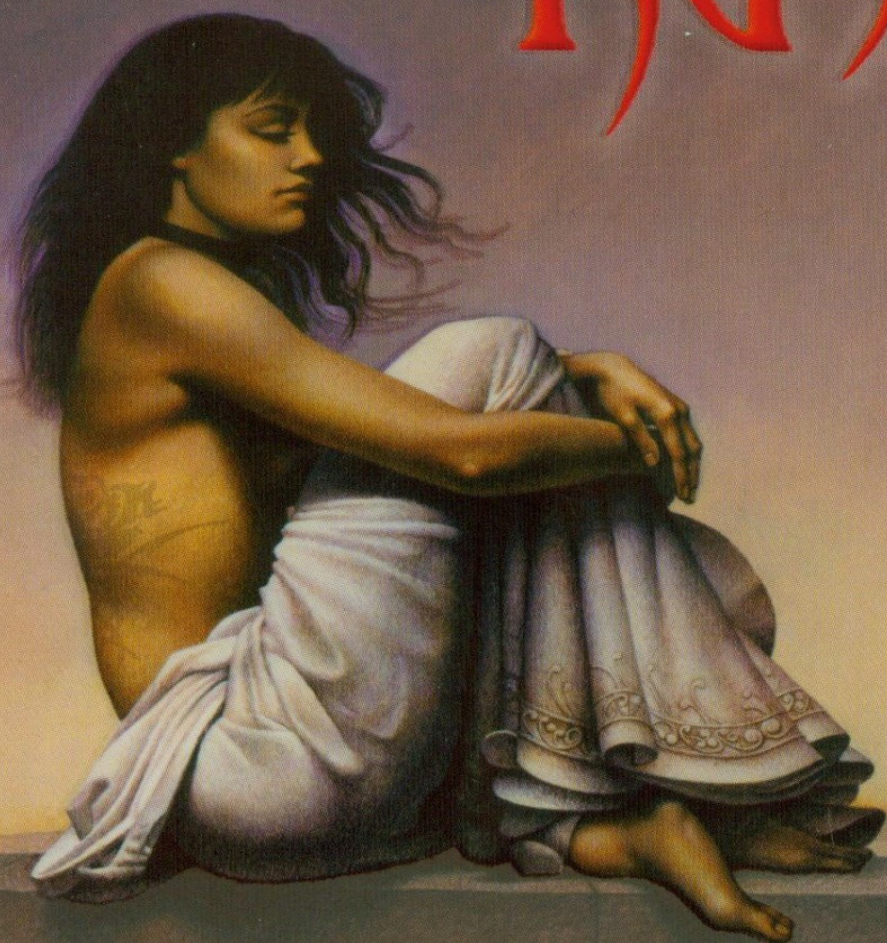


JACQUELINE CAREY

WCIELENIE
KUSZIELA



JACQUELINE CAREY

WCIĘLENIE KUSZIELA

Kushiel's Avatar

Przełożyła: Maria Gębicka-Frać

Wydawnictwo
MAG

2006

PODZIĘKOWANIA

Mam dług wdzięczności wobec wszystkich ludzi, którzy przyczynili się do sukcesu trylogii *Dziedzictwo Kusziela*. Mojemu pierwszemu agentowi, Toddowi Keithleyowi, którego wiara w książki sprawiła, że stało się to możliwe, oraz mojej agentce, Jane Dystel, dzięki wsparciu której trylogia została ukończona i wydana. Wszystkim w wydawnictwie Tor, i szczególnie mojej redaktorce, Claire Eddy, za jej umiejętności i pasję.

I w końcu, ale przenigdy w najmniejszym stopniu: Czytelnikom.
Dziękuję.

 [Spis treści](#) 

DRAMATIS PERSONAE

DOMOWNICY FEDRY

Anafiel Delaunay de Montrčve – mentor Fedry (nieżyjący)

Alcuin nó Delaunay – uczeń Delaunaya (nieżyjący)

Fedra nó Delaunay de Montrčve – hrabina de Montrčve, *anguisette*

Joscelin Verreuil – kochanek Fedry, brat kasjelita (Siovale)

Fortun, Remy – kawalerowie (nieżyjący)

Ti-Filip – kawaler

Hugues – słuźący

Eugenia – gospodyni

Clory – siostrzenica Eugenii

Purnell Friote – zarządca majątku Montrčve

Richelina Friote – żona Purnella

Benoit – chłopiec stajenny

CZŁONKOWIE RODZINY

KRÓLEWSKIEJ TERRE D'ANGE

Ysandra de la Courcel – królowa Terre d'Ange, żona Drustana mab Necthana

Sydonia de la Courcel – starsza córka Ysandry

Alais de la Courcel – młodsza córka Ysandry

Barquiel L'Envers – wuj Ysandry, diuk L'Envers (Namarra)

ALBA

Drustan mab Necthana – cruarcha Alby, mąż Ysandry de la Courcel

Necthana – matka Drustana

Breidaja, Moireada (nieżyjące), Sibeal – siostry Drustana, córki Necthany

TRZY SIOSTRY

Hiacynt – uczeń Pana Cieśniny, Księżę Podróżnych
Tilian, Gildas – słudzy

LA SERENISSIMA

Benedykt de la Courcel – stryjeczny dziadek Ysandry, księżę krwi (nieżyjący)

Melisanda Szachrizaj de la Courcel – druga żona Benedykta

Imriel de la Courcel – syn Benedykta i Melisandy

Severio Stregazza – syn Marii Celestyny de la Courcel i Marka Stregazza, księżę krwi

Cesare Stregazza – doża La Serenissimy

Ricciardo Stregazza – młodszy syn doży

Allegra Stregazza – żona Ricciarda

Benito Dandi – szlachcic, członek klubu immortali

VERREUIL

kawaler Miliard – ojciec Joscelina

Ges – matka Joscelina

Luk – starszy brat Joscelina

Iwona – żona Luka

Mahieu – młodszy brat Joscelina

Maria Luiza – żona Mahieu

Jehana – starsza siostra Joscelina

AMILCAR

Nicola L'Envers y Aragon – kuzynka królowej Ysandry
Ramiro Zornin de Aragon – doradca króla, mąż Nicoli
Fernan – hrabia Amilcaru
Vitor Gaitan – kapitan straży portowej
Mago, Harnapos – kartagińscy więźniowie

MENECHET

Fadil Chouma – handlarz niewolników (nieżyjący)
Nesmut – chłopak na posyłki
Raif Laniol, hrabia de Penfars – ambasador w Menechecie
Julia de Penfars – żona Raifa
Ptolemeusz Dikajos – faraon Menechetu
Klitemna – żona faraona
Rechmire – urzędnik skarbu
Denise Fleurais – uczestniczka delegacji pana Amaurego
Radi Arumi – dżebeński przewodnik
generał Hermodorus – wróg faraona

KHEBBEL-IM-AKAD

Sinaddan-Szamabarsin – *lugal* Khebbel-im-Akad
Waleria L'Envers – żona *lugala*, córka Barquiela L'Envers
Tizrav – perski przewodnik
Renée de Rives – uczestniczka delegacji pana Amaurego
Nicholas Vigny – członek delegacji pana Amaurego
Nurad-Sin – akadyjski kapitan

DRUDŻAN

Mahrgakir – „Zwycięzca Śmierci”, władca Drudżanu

Gasztaham – naczelny kapłan *Skotophagotis*
Tahmuras – wojownik
Nariman – zwierzchnik eunuchów w zenanie
Ruszad – eunuch z Persji
Erich – niewolnik ze Skaldii
Drucylla – niewolnica z Tyberium
Kaneka – niewolnica z Dżebe–Barkal
Uru–Azag – eunuch z Akadu
Jolanta – niewolnica z Chowatu
Naznina – niewolnica z Efezjum
Jagun – wódz Tatarów Kereitów

DŻEBE–BARKAL

Wali – przewodnik rzeczny
Mek Timmur – przewodnik karawany
Zanadechete – królowa Meroe
Ras Lijasu – księżę Meroe
Nathifa – siostra Lijasu
Tifari Arnu – przewodnik
Bizan – przewodnik
Nkuku – tragarz
Yedo – tragarz
Szoanete – babka Kaneki, bajarka

SABA

Hanoch ben Hadad – kapitan milicji
Jewuna – wdowa, siostra Hanocha
Bilgah – członek sanhedrynu
Abiram – członek sanhedrynu
Ranita – kobieta z Saby

Semira – kobieta z Saby
Morit – kobieta z Saby, astronom
Ardat – córka Jewuny
Eszkol ben Awidan – żołnierz

INNI

Evrilac Duré – kapitan garnizonu Pointe des Soeurs
Guillar, Armand – żołnierze z Pointe des Soeurs
Eleazar ben Enoch – mistyk jeszuicki
Adara – żona Eleazara
Michel Nevers – kapłan Kusziela
Audyna Davul – d’Angelińska uczona
Emil – członek dawnej grupy Hiacynta, wódz Cyganów w Mieście
brat Selbert – naczelnny kapłan z sanktuarium Elui (Siovale)
Liliana – nowicjuszka z sanktuarium Elui (Siovale)
Honora, Beryl, Cadmar, Ti-Michel – dzieci z sanktuarium Elui
(Siovale)
Jacques Écot – mleczarz (Siovale)
Agnes – żona Jacquesa (Siovale)
Kristof, syn Oszkara – naczelnik cygańskiej kompanii
Cecylia Laveau-Perrin – adeptka Domu Cereusa, nauczycielka
Fedry i Alcuina
Roxanna de Mereliot – Pani Marsilikos (Eisanda)
Thelesis de Mornay – nadworna poetka
Kwintyliusz Rousse – admirał floty królewskiej

JEDEN

Skończyło się snem.

Sędziwa Wyrocznia Aszery z Morza obiecała mi dziesięć lat spokoju; miałam dziesięć lat i w tym czasie mój majątek rósł wraz z dostatkiem Terre d'Ange, mojej umiłowanej ojczyzny.

Jakże często czas wielkiego szczęścia można docenić tylko wtedy, gdy spogląda się wstecz. Dobrze, że przepowiednia Wyroczni posłużyła mi również za przestrożę, bo nie było dnia, który bym przeżyła bez doceniania jej łaskawości. Cieszyłam się jeszcze młodością i pięknem, przy czym to drugie pogłębiało się w miarę, jak mijające lata zabierały pierwsze. Mówiła o tym moja dawna mentorka, Cecylia Laveau – Perrin, i jeśli jako dwudziestoletnia dziewczyna zbagatelizowałam jej słowa, to uznałam ich słusność, gdy zostawiłam za sobą lekkomyślne lata wczesnej młodości.

Wielu może uznać, że nie ma się czym przejmować, ale jestem D'Angeliną i nie mam powodu, żeby przeproszać za nasz styl życia. Mogę sobie być hrabiną de Montrčve, co więcej, bohaterką królestwa – czyż następca nadwornej poetki nie sławił w poemacie moich czynów? – ale zaistniałam jako Fedra nó Delaunay, sługa Naamy i Wybranka Kusziela, anguisette i najbardziej wyjątkowa kurtyzana spośród wszystkich znanych w królestwie. Nigdy nie twierdziłam, że nie jestem próżna.

Miałam rzeczy i względy, które ceniłam nade wszystko, przy czym nie najbłahszą spośród nich była przychylność mojej królowej, Ysandy de la Courcel, która przed dziesięciu laty obdarzyła mnie

Gwiazdą Towarzysza za rolę w ocaleniu tronu. Już wtedy widziałam w niej zadatki na wielką władczynię – przypuszczam, że do tej pory dostrzegło je całe listwotwo. Przez dziesięć lat Terre d'Ange zaznała życia w spokoju i dobrobycie; Terre d'Ange i Alba – władane pospołu przez Ysandrę de la Croucel i cruarchę Drustana mab Necthana, którego mam zaszczyt nazwać przyjacielem. Ręka Elui musiała pobłogosławić ten mariaż, skoro miłość wyrosła z nasion politycznego przymierza! Zaiste, miłość okazała się potężną siłą, pokonując nawet morderczą Cieśninę rozdzielającą tych dwoje.

Niestety, wymagało to poświęcenia Hiacynta.

Stąd natura mojego snu.

Gdy się zbudziłam, drżąca i zdyszana, ze łzami spływającymi spod zamkniętych powiek, nie wiedziałam, że to początek końca. Nawet w chwilach największego szczęścia nie zapomniałam o Hiacyncie. Nie śniłam o nim wcześniej, to prawda, ale zawsze o nim myślałam. Jak mogłabym tego nie robić? Był moim najdawniejszym, najdroższym przyjacielem, towarzyszem dzieciństwa. Nawet mój pan Anafiel Delaunay, który zabrał mnie, wówczas dziesięcioletnią, do swojego domu, wyszkolił w sztuce szpiegowania i dał mi swoje nazwisko, które noszę do dziś dnia, nie znał mnie tak długo. To, jaka jestem, kim się stałam, zawdzięczam mojemu panu Delaunayowi, który paroma słowy przemienił fatalną skazę w uświęcony znak, ślad Strzały Kusziela. Ale to Hiacynt poznał mnie wcześniej i ofiarował mi przyjaźń, gdy w Dworze Nocy byłam tylko niechcianym bękartem dziwki, sierotą ze szkarłatną plamką w lewym oku – z plamką czyniącą mnie niezdolną do służby Naamie i sprawiającą, że przesądny lud wytykał mnie palcami i nie szczędził przezwisk.

I śniłam o tamtym Hiacyncie. Nie o młodym mężczyźnie, którego zostawiłam losowi gorszemu od śmierci – ów los powinien przypaść mnie – lecz o cygańskim chłopcu z czarnymi kędziorami i wesołym uśmiechem, o chłopcu, który pod wywróconym straganem wyciągnął do mnie rękę i zawarł ze mną konspiracyjną przyjaźń.

Z drzeniem głęboko zaczerpnęłam tchu, czując, jak sen blaknie, a łyzy wciąż moczą moje policzki. Jakże łatwo jest wzbudzić w człowieku przerażenie! We śnie stałam na dziobie statku, jednego z szybkich, zwrotnych ilirskich żaglowców, znanych mi tak dobrze z wcześniejszych przygód, i płakałam, widząc, jak powiększa się otchłań wodna pomiędzy mną a brzegiem samotnej wyspy, gdzie Hiacynt stoi samotnie, wyciąga ręce i wykrzykuje moje imię. Na tej wyspie odgadł zagadkę, nazwę źródła mocy Pana Cieśniny. Ja też ją rozwiązałam, ale Hiacynt użył *dromonde*, cygańskiego daru widzenia, i jego odpowiedź sięgała dalej w przeszłość. Zapewnił nam bezpieczną przeprawę przez Cieśninę, kiedy ogromnie jej potrzebowaliśmy, i drogo za to zapłacił, miał bowiem pozostać związany przez całą wieczność z tymi kamienistymi brzegami, jeśli *geis* nie zostanie przerwane. Klucza do zerwania klątwy szukałam od wielu lat, i tak we śnie, jak na jawie kończyło się to porażką. Słyszałam za plecami głosy marynarzy, klnących na przeciwne wiatry, które unosiły nas coraz dalej od wyspy. Przestrzeń szarej wody stale się poszerzała, ścigały nas krzyki Hiacynta, wołającego chłopięcym głosem do kobiety, którą się stałam: Fedro, Fedro!

Zadrzałam na to wspomnienie i moje myśli odruchowo skierowały się ku temu, co niosło pociechę. Przytuliłam się do śpiącego obok Joscelina i oparłam mokry od łez policzek na jego ramieniu – był to bowiem ostatni i największy z moich darów, ten, który ceniłam najbardziej: miłość. Od dziesięciu lat Joscelin Verreuil był moim wybrankiem i jeśli tysiące razy kłóciliśmy się i wzajemnie raniliśmy do żywego, nie żałuję ani jednego dnia. Niech całe królestwo się śmieje – i śmieją się, a jakże – ze związku kurtyzany i kasjelity; my wiemy, czym dla siebie jesteśmy.

Joscelin się nie obudził, tylko zmienił pozycję, przytulając się do mnie. Księżyc zaglądał przez wychodzące na ogród okno sypialni, poświata srebrzyła rozrzucone na poduszce jasne włosy Joscelina, a zioła i róże nasycaly powietrze słodkim aromatem. Nasza sypialnia

jest przyjemnym miejscem do snu i kochania. Przycisnęłam usta do ramienia Joscelina. To mógłby być Hiacynt, gdyby wypadki potoczyły się inaczej. Marzyliśmy o tym, on i ja.

Nikt nie wie, co by było, gdyby...

Jakiś czas później zasnęłam i śniłam, że wciąż rozmyślam, aż zbudziłam się w słońcu, kładącym się jasnym pasem na pościeli. Joscelin już był w ogrodzie. Jego sztylety błyskały, gdy płynnie wykonywał serie kasjelickich ćwiczeń, powtarzanych codziennie od dziesiątego roku życia. Dopiero gdy wstałam, wykąpałam się i zasiadłam do śniadania, przyszedł, by się ze mną przywitać. Miał posępny wzrok.

– Są wieści z Azalii.

Zastygłam z kromką chleba z miodem w połowie drogi do ust. Po chwili ostrożnie odłożyłam ją na talerz, wspominając sen.

– Jakie wieści?

Joscelin usiadł naprzeciwko mnie, wspierając łokcie na stole i brodę na rękach.

– Nie wiem. To ma coś wspólnego z Cieśniną. Kurier Ysandry nie chciał powiedzieć nic więcej.

– Hiacynt – szepnęłam.

– Możliwe. – Jego głos brzmiał ponuro. – Mamy stawić się na dworze, gdy tylko będziesz gotowa.

Wiedział, tak samo jak ja. Joscelin był tam, kiedy Hiacynt przyjął na siebie moje przeznaczenie, widząc dzięki *dromonde* to, do czego ja doszłam na drodze rozumowania, i w ten sposób skazując się na wieczne wygnanie. Piękny los dla Księcia Podróżnych, nieskończona egzystencja na maleńkiej wyspie wśród głębokich wód rozdzielających Terre d'Ange i Albę, i przyuczanie się do roli Pana Cieśniny.

Taka była umowa. Pan Cieśniny miał zostać uwolniony od klątwy dopiero wtedy, gdy ktoś zajmie jego miejsce. Jedno z nas musiało

zostać. Wiedziałam, że to konieczne, i byłam gotowa to zrobić. Uznałam, że warto ponieść ofiarę, gdyż w przeciwnym wypadku statki z Alby nie pokonałyby Cieśniny i Terre d'Ange podbiłaby armia Skaldów.

Rozwiązałam zagadkę i okazała się, jaka jest odpowiedź: Pan Cieśniny czerpał swoją moc z Zaginionej Księgi Razjela. Ale *dromonde* pozwala spoglądać tak w przód, jak i wstecz, dlatego odpowiedź Hiacynta sięgała głębiej. Zobaczył samą genezę *geis*, jak anioł Rahab pokochał śmiertelną kobietę, która nie kochała jego, i wziął ją w niewolę. Jak spłodził z nią syna, jak podjęła próbę ucieczki i zginęła podczas niej wraz ze swoim umiłowanym. Jak Rahab został ukarany przez Boga Jedynego za nieposłuszeństwo i jak w złości wywarł zemstę na synu, który pewnego dnia miał zostać nazwany Panem Cieśniny. Jak Rahab wyniósł z głębiny stronicie Zaginionej Księgi Razjela, jak dał je swojemu synowi wraz z władzą nad wodami i jak uwięził go na samotnej wyspie Trzech Sióstr, skazując na rozdzielanie Terre d'Ange i Alby, dopóki jego własna kara nie dobiegnie końca.

Taki oto los stał się udziałem Hiacynta.

Od ponad dziesięciu lat szukałam sposobu na przełamanie klątwy, która go więziła, i zgłębiałam wiedzę jeszuicką w nadziei, że znajdę klucz do uwolnienia mojego przyjaciela. Jeśli klucz istniał, mógł być ukryty w naukach tych, którzy czcili Jezusę ben Josefa, uznanego potomka Boga Jedynego. Niestety, ja nie mogłam go znaleźć.

Była to jedna z niewielu spraw, w których poniosłam całkowitą klęskę.

– Idziemy. – Odsunęłam talerz, straciwszy apetyt. – Muszę wiedzieć, co się stało.

Joscelin pokiwał głową i wyszedł by wydać stajennemu dyspozycje do przygotowania powozu. Ja poszłam się przebrać w coś odpowiedniego na wizytę na dworze. Włożyłam suknię z bursztynowego jedwabiu i przypięłam do stanika Gwiazdę Towarzysza, brylantowy herb Elui w promienistej oprawie. Noszenie

takiej broszy jest trochę kłopotliwym zaszczytem, ponieważ jednak wzywała mnie królowa, nie śmiałam pojawić się bez niej. Ysandra przywiązywała dużą wagę do przyznawanych godności.

Mój powóz ze zmienionym herbem Montrčve na drzwiczkach jest dobrze znany w Mieście Elui. Tu i ówdzie przechodnie pozdrawiali mnie wesoło i przesyłali całusy, a ja skrywałam niepokój i z uśmiechem odpowiadałam na hołdy, bo przecież nie z winy moich wielbicieli nerwy miałam napięte jak struny. Joscelin znosił to ze zwykłym u niego stoicyzmem. Kiedyś to jego zachowanie było przedmiotem naszych częstych sporów. Z biegiem lat staliśmy się trochę mądrzejsi.

Jeśli wciąż miewałam klientów, to byli oni nieliczni i starannie wybrani – trzy razy do roku, nie więcej i nie mniej, godziłam się na spotkanie jako sługa Naamy. Po wielu kłótniach i dyskusjach z Joscelinem takie rozwiązanie okazało się kompromisem znośnym dla obu stron. Nic na to nie poradzę, że Strzała Kusziela budzi we mnie gwałtowne żądze; jestem *anguisette*, stworzoną do znajdowania największej rozkoszy w cierpieniu. Na tej samej zasadzie Joscelin nie może zmienić faktu, że on jest ulepiony z zupełnie innej gliny.

Zapewne oboje wiemy, że na tym świecie są tylko dwie osoby zdolne naprawdę nas rozdzielić. A jedna...

Nikt nie wie, jak mogłoby być.

Nikt nie wie, co by było, gdyby...

Hiacynt.

Co do drugiej osoby... Ale nie mówimy o Melisandzie Szachrizaj, wyjąwszy wzmianki w kontekście aktualnych wydarzeń politycznych. Joscelin lepiej niż ktokolwiek inny zna ogrom mojej nienawiści do niej; inne uczucia, jakimi ją darzę, są przekleństwem mojej natury i brzemieniem, które dźwigam w milczeniu. Kiedyś zaproponowałam jej siebie w zamian za wiadomość o miejscu pobytu jej syna. Melisanda nie była skłonna zapłacić tej ceny. Nie sądzę, by sprzedała

tę informację za jakąkolwiek cenę, bo wśród żywych nie ma chyba nikogo, kto wiedziałby coś o chłopcu. Wiem, zasięgałam języka.

To druga tajemnica, której nie zdołałam odkryć.

Obecnie ma to mniejsze znaczenie, trochę mniejsze, choć gdy chodzi o Melisandę, nigdy nie ma pewności. Ysandra kiedyś uważała, że moje obawy są nieuzasadnione, zabarwione przez emocje *anguisette*. Tak rzeczywiście było, zanim się dowiedziałam, że Melisanda Szachrizaj poślubiła jej stryjecznego dziadka Benedykta de la Courcel i urodziła syna, który mógł odziedziczyć tron Terre d'Ange. Choć Benedykt od dawna nie żyje, podobnie jak jego współspiskowiec Percy de Somerville, Melisanda wciąż mieszka w świątyni Aszery z Morza. Los jej syna pozostaje nieznany, a planów Melisandy nie potrafię odgadnąć.

Moja królowa Ysandra ma mniej zmartwień, odkąd osiem lat temu urodziła córkę, a dwa lata później drugą. Teraz dwie następczynie stoją pomiędzy synem Melisandy a tronem i codziennie są dobrze strzeżone; kwestią bardziej palącą pozostaje sukcesja w Albie, gdzie obowiązuje dziedziczenie matrilinארne. O ile Drustan nie zerwie z tradycją Cruithnów, następca tronu będzie dzieckiem nie jego lędźwi, lecz łona jednej z jego siostr. Takie są zwyczaje jego ludu, Cullach Gorrym, który zwie się Najstarszymi Dziećmi Ziemi. Drustan ma dwie siostry, Breidaję i Sibeal, z których żadna nie wyszła za potomka Elui.

Tak po dziesięciu latach pokoju wyglądała polityka Terre d'Ange w dniu, w którym jechałam do pałacu, żeby wysłuchać nowin z Azalii.

Azalia, północna prowincja Terre d'Ange, leży najprzeciwko Alby, oddzielona od niej przewężeniem Cieśniny. Kiedyś wody te były prawie nieprzebyte i podlegały władzy tego, którego nazwaliśmy Panem Cieśniny. To się zmieniło od czasu ofiary Hiacynta i małżeństwa Ysandry z Drustanem – a jednak żadnemu statkowi nie udało się dobić do brzegu wysp zwanych Trzema Siostrami. Ograniczenia złagodniały, lecz została klątwa rzucona przez nieposłusznego anioła Rahaba. Dopóki nie skończy się jego kara,

dopóty klątwa pozostanie w mocy.

Jak zauważył Pan Cieśniny, Bóg Jedyny ma długą pamięć.

Pełna złych przeczuć, weszłam z Joscelinem na dziedziniec pałacu. Wezwanie mogłoby budzić nadzieję, gdyby nie sen. Już kiedyś moje lęki objawiły się w snach, choć potrzebowałam pomocy wyszkolonego adepta Domu Gencjany, żeby je zrozumieć – i wtedy okazały się jak najbardziej uzasadnione. Tym razem pamiętałam sen. Zbudziłam się we łzach i pamiętałam. Słowa niewidomej staruszki wraz z wewnętrznym drżeniem przestrzegały mnie, że dekada spokoju zbliża się do końca.

DWA

Ysandra przyjęła nas w jednym z mniejszych pokojów narad, wysokiej komnacie ze stołem, wokół którego stało osiem wyściełanych krzeseł. Królowa zajmowała miejsce u szczytu stołu, a po bokach siedziało trzech mężczyzn w podniszczonych po podróży strojach z herbami rodu Courcel.

– Fedro. – Gdy wprowadzono nas do komnaty, Ysandra podeszła i obdarzyła mnie powitalnym pocałunkiem. – Messire Verreuil. – Uśmiechnęła się, gdy Joscelin złożył kasjelicki ukłon, krzyżując przed sobą zarękawia. Ysandra zawsze go lubiła, szczególnie od czasu, gdy w jej obronie skrzyżował ostrza z niedoszłym zabójcą. – Miło was widzieć. Uznałam, że powinniście jako pierwsi posłuchać o tym fenomenie.

– Pa... – Pohamowałam się chyba po raz tysięczny; Gwiazda Towarzysza uprawniała mnie do zwracania się do potomków Elui jak do równych sobie, jednak nawet po tylu latach stało to w sprzeczności z moją naturą i szkoleniem. – Ysandro, bardzo ci dziękuję. Czy chodzi o wieści z Cieśniny?

Trzej mężczyźni zerwali się z miejsc, gdy królowa wstała, i Ysandra zwróciła się w ich stronę.

– To Evrilac Duré z Trevalionu i jego podkomendni, Guillard i Armand – powiedziała. – Od roku, z rozkazu Ghislaina nó Trevalion pełnią straż w Pointe des Soeurs.

Nogi ugięły się pode mną.

– Hiacynt – szepnęłam.

Point des Soeurs leży w północno-zachodniej Azalii w księstwie Trevalion, najbliżej wysp, które D'Angelinowie nazwali Trzema Siostrami; tam władał Pan Cieśniny i tam miał zastąpić go Hiacynt.

– Nie mamy wiadomości o Cyganie, hrabino – powiedział cicho Evrilac Duré, występując do przodu i składając lekki ukłon. Był wysoki, po czterdziestce, ze zmarszczkami w kącikach szarych oczu, powstałymi na skutek długotrwałego spoglądania na morze. – Przykro mi. Wiele słyszeliśmy o jego poświęceniu.

Niewątpliwie w Azalii o tym mówiono. To tam dobiliśmy do brzegu, wniesieni w ujście rzeki Rhenus przez potężną falę posłuszną Panu Cieśniny, D'Angelinowie, Cruithnowie i Dalriadowie, z wciąż świeżą i bolesną raną po utracie Hiacynta. Powitał nas Ghislain nó Trevalion, wówczas Ghislain de Somerville. Wyrzekł się nazwiska ojca, czemu się wcale nie dziwię.

– Usiądźcie i posłuchajcie. – Ysandra wskazała krzesła.

Choć w królestwie panuje spokój, strażę w Point des Soeurs pozostają czujne. Azalijczycy mają swoją dumę i dobrze wiedzą, że skaliste wzniesienie leży niedaleko granicy z Kuszetem. Nawet w czasie pokoju dochodzi do utarczek pomiędzy potomkami Towarzyszy Elui. Błogosławiony Elua, poczęty z krwi Jezui ben Josefa i łez Marii Magdaleny, pielęgnowany w łonie Ziemi, nie szukał włości tutaj, gdzie po długich wędrówkach powitany został z otwartymi ramionami. Ten kraj uczynił swoim domem i Terre d'Ange nosi nazwę na jego cześć. Kochaj jak wola twoja, przykazał nam; nic więcej. Inaczej rzecz się ma z jego Towarzyszami – Azą, Naamą, Anaelem, Ejszet, Kuszielem, Szamchazajem i Kamaelem – upadłymi aniołami, którzy uwolnili Eluę i pomagali mu w drodze, i którzy podzielili między siebie królestwo. Dali nam wiele darów – i waśnie. Tylko Kasjel nie upomniał się o prowincję, wiernie trwając u boku Elui, Towarzysz Doskonały.

Odeszli wszyscy do prawdziwej Terre d'Ange, która leży w zaświatach. Aby to się stało możliwe, Bóg Jedyiny i Matka Ziemia

zawarli pokój. Zostaliśmy tylko my, ich potomkowie. Wypełniamy przykazanie Błogosławionego Elui najlepiej, jak potrafimy, i wciąż tworzymy naszą historię. Jej elementem była opowieść rozpoczęta przez Armanda, pełniącego nocną wartę, kiedy się zaczęło.

– Błyskawice – powiedział Armand z Trevalionu – jakich nigdy nie widziałem, niebiesko-białe i trzeszczące, pani, wielkie i rozwidlone, bijące z jednej chmury jakieś dziesięć mil od wybrzeża. – Wzruszył ramionami. – Wiem, że z tamtej strony leżą Trzy Siostry. W ciemności nie mogłem być pewien, ale zdaje się, że chmura wisiała nad nimi.

– Przecież burza z piorunami nie jest niczym dziwnym – zauważył Joscelin.

Armand pokręcił głową.

– Widywałem burze, messire kasjelito, zwyczajne i niezwykłe. Trzeci raz pełnię służbę w Pointe des Soeurs. To nie była burza i czegoś podobnego nigdy nie widziałem. Noc była cicha, niebo jak czarny aksamit usiany gwiazdami i tylko w jednym miejscu przysłaniała je chmura. Przy każdym błysku widziałem jej spodnią stronę, fioletową i czarną, gdzieniegdzie migoczącą złotem. Stałem na murach otoczony spokojem wiosennej nocy i patrzyłem. Wreszcie poszedłem po dowódcę.

– Opisuje wiernie – potwierdził Evrilac Duré. – Dokoła panowała cisza, tylko fale szumiały łagodnie i w Point des Soeurs cykały świerszcze. Ale widzieliśmy, jak błyskawice rozdzierają niebo i morze szaleje wokół Trzech Sióstr. – Położył ręce na stole. – Mieszkając nad Cieśniną, widziałem wiele dziwnych rzeczy. Nikt temu nie zaprzeczy, ani mężczyzna, ani kobieta, czy to w Albie, czy w Terre d'Ange. Przyływy sprzeczne z wolą księżyca, prądy płynące wstecz, kipiele, wiry i niełamiące się fale... Sami widzieliście Oblicze z Wody, prawda?

– Tak. – Czegoś takiego nigdy się niezapomina.

– Tak słyszałem – mruknął Duré. – Ja jednak nie znałem tego ani z widzenia, ani ze słyszenia. Błyskawice pomykały po niebie przez

większą część nocy i pioruny biły jeden po drugim, gdy razem z Armandem patrzyliśmy z wieży. Widok był piękny i straszny. Tuż przed świtem rozbłysła ostatnia błyskawica, a była tak jasna, że rozświetliła całe niebo, i rozległ się ogłuszający huk gromu. Zaraz potem usłyszeliśmy krzyk, ludzki głos, jak się zdaje, ale tak potężny, że zagłuszył szum morza. Długi, przeraźliwy krzyk. – Duré umilkł na chwilę. – A później zapadła cisza.

– Zbudził się cały garnizon – odezwał się trzeci mężczyzna, Guillard. – Ja pierwszy wyskoczyłem na zewnątrz, gdy niebo szarzało na wschodzie. Ujrzałem nadciągającą falę, która złamała się na brzegu i zostawiła na nim wszystko, co niosła. Ryby, węgorze, tysiące stworzeń morskich podskakiwało i snęło na kamieniach. Fala rozchodziła się wielkim pierścieniem, jak zmarszczki na stawie po wrzuceniu kamyka. – Pokręcił głową. – Cały brzeg, jak okiem sięgnąć, wił się i trzepotał. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

– Widzieliście więc chmurę i dziwne błyskawice – powiedziałam, ściągając brwi. – A potem falę, która wyrzuciła na brzeg mnóstwo ryb. A co z wyspami? Czy próbowaliście zbliżyć się do Trzech Sióstr?

Mężczyźni wymienili spojrzenia. Evrilac Duré złożył ręce.

– Nie. Jesteśmy zobowiązani do obserwowania i składania meldunków. Wysłałem wieści do pana Ghislaina, on zaś kazał mi bezzwłocznie powiadomić Jej Wysokość, co uczyniłem.

Bał się. Widziałam strach w jego oczach, w napiętych liniach wokół ust. Nie mogłam go potępiać. Jakieś dwanaście lat temu zginęło wielu ludzi z Trevalionu, w tym wielu podkomendnych Ghislaina, podczas próby sforsowania Cieśniny. Sam Ghislain nie ponosił winy, rozkazy wydał stary król, dziadek Ysandry, Ganelon de la Courcel. Tak czy inaczej, zginęli. Nie mogłam nikogo winić za strach. Ja też się bałam.

Ysandra chrząknęła.

– Już wysłałam kurierów do Kwintyliusza Rouse. Ale admirał jest daleko, bierze udział w wyprawie do Khebbel–im–Akad i nie wróci przed końcem lata. Fedro, uznałam, że chciałabyś poznać te wieści.

Jak rozumiem, prowadziłaś poważne badania na temat Pana Cieśniny.

– Tak.

Przeciągnęłam rękami po twarzy, żałując, że admirał floty królewskiej wyruszył w daleki rejs. Kwintyliusz Rouse był z nami, gdy Hiacynt podjął decyzję; co więcej, admirał od dawna miał zatarg z Panem Cieśniny. To on rok po roku wypróbował obronę Trzech Sióstr. Jeśli ktokolwiek nadawał się do ponowienia próby, to tylko on. Ja miałam wyłącznie bezużyteczną wiedzę – i Joscelina, z którego na morzu było niewiele pożytku, bo mój osobisty Towarzysz Doskonały, niestety, nie urodził się do żeglarskiego życia i na morzu najczęściej wymiotował przez reling.

– Co sądzisz? – Ysandra patrzyła na mnie życzliwie. Znała Hiacynta, aczkolwiek krótko, i wiedziała o naszej długotrwałej przyjaźni.

– Nie wiem. – Uniosłam głowę. – Pan Cieśniny powiedział, że terminowanie będzie długie. Może to tylko jakaś demonstracja mocy. Ale w głębi duszy czuję, że chodzi o coś więcej. Za twoim pozwoleniem, chciałabym to zbadać.

– Pozwalam. – Ysandra spojrzała nie bez pewnej surowości na Evrilaca Duré. – Messire Duré, nie rozkażę nikomu z Trevalionu przypuszczać szturm na Trzy Siostry... ale poproszę o to. Jeśli Fedra nó Delaunay zechce popłynąć, czy ją zawieziecie?

Evrilac Duré głośno przełknął ślinę i odrobinę uniół brodę. Azalijczycy są dumni i słowa Ysandry dotknęły go do żywego. Moja królowa poznała podstawy manipulowania ludźmi, odkąd wstąpiła na tron.

– Wasza Wysokość, zawieziemy! – odparł.

Tak oto nasze plany zostały określone.

Ysandra odprawiła Azalijczyków, żeby mogli się posilić i odpocząć, a następnie poinstruowała sekretarza szkatuły królewskiej, że mają zostać nagrodzeni, a nasza wyprawa hojnie zaopatrzona. Joscelina i

mnie zaprosiła na posiłek w ogrodzie, z czego się ucieszyłam, bo przecież nie dokończyłam śniadania i trochę zgłodniałam.

Przedpołudniowe słońce grzało zieleniące się rośliny w ogrodzie dwa razy większym od mojego skromnego ogródka i trzy razy lepiej zadbanym. Dzieliliśmy z Ysandra rzadką chwilę zażyłości, gdy wspólnie piliśmy gorące mleko z winem, korzeniami i jajkiem, pojadając pierwsze owoce wczesnej wiosny. W królestwie było niewiele osób, które Ysandra darzyła bezgranicznym zaufaniem. Ze wszystkich zaszczytów, jakimi mnie nagrodziła, jej zaufanie cenię sobie najbardziej.

Szambelan pokoju dziecinnego przyprowadził Sydonię i Alais, córki Ysandry, żeby przywitały się z matką. Muszę przyznać, że obie były prześliczne. Starsza, Sydonia, była poważną dziewczynką z prostymi, lśniąco ciemnymi włosami w kolorze starego złota i z ciemnymi oczami ojca; w młodziutkiej delfinie dostrzegłam cechy obojga rodziców. Mniej miała ich jej siostra Alais, drobna, ciemnowłosa i skłonna do płatania figli. To ona wspięła się na kolana Joscelina i wsunęła kędzierzawą główkę pod jego brodę. Joscelin roześmiał się i pozwolił jej bawić się sprzączkami zarękawi. Umiał postępować z dziećmi lepiej niż ja.

Ysandra uśmiechała się z matczyną pobłażliwością, gładząc lśniąco ciemne włosy Sydonii, która klęczała obok niej, zajęta okręcaniem łądyżek fiołków wokół stołowej nogi z kutego żelaza.

– Alais zwykle nie garnie się do ludzi, Joscelinie. Może powinieneś się zastanowić, czy nie zostać ojcem. Zdaje się, że masz podejście do dzieci.

– Hmm... – Joscelin objął dziewczynkę jedną ręką, a drugą sięgnął do salaterki z jagodami. – Złamałem dość przysięg bez znieważania łaski Kasjela, pani.

Królowa popatrzyła na mnie z uniesionymi brwiami, a ja bez zmrużenia oka odwzajemniłam spojrzenie.

Myśleliśmy o tym, oczywiście, jakżeby inaczej. Ale słowa Joscelina zawierały prawdę, a jeszcze głębszej prawdy nie powiedziałam

Ysandrze. Noszę pechowe imię, nadane mi przez matkę, która wiedziała dużo o sztukach Naamy, lecz niewiele o czymkolwiek innym. Mój pan Kusziel naznaczył mnie na swoją służbę, a jego celna Strzała sięgnęła głębiej, niż mogłam przypuszczać. Kto wie, czy wątpliwy dar *anguisette* nie jest dziedziczny? Nigdy nie słyszałam, że jest, ale też nigdy nie słyszałam, że nie jest. Jestem jaka jestem i rozpaczanie nad tym nie ma sensu. Zapewne nie przeżyłabym swych wszystkich przygód, gdyby nie moja wyjątkowa zażyłość z bólem. *Lypiphera*, nazwali mnie na wyspie Kriti; znosząca ból.

Otóż to, nie miałam zamiaru przekazać tego wątpliwego daru dziecku z mojej krwi, dlatego nigdy nie poprosiłam Ejszet o błogosławieństwo otwarcia bram mojego łona. Są pewne rodzaje bólu, których nawet *anguisette* chce uniknąć. To był jeden z nich.

– Niech więc tak będzie – powiedziała Ysandra i ruchem głowy wskazała Gwiazdę Towarzysza na mojej piersi. – Zawsze myślałam, Fedro, że oszczędzasz obiecaną przeze mnie nagrodę dla swoich dzieci. Księstwo, stanowisko na dworze, może dobra partia. Dałam słowo.

– Nie. – Musnęłam broszkę palcami i pokręciłam głową, dodając: – Niczego nie potrzebuję ani nie pragnę, pani, z wyjątkiem tego, czego nie jesteś w stanie mi ofiarować. – Uśmiechnęłam się ze smutkiem. Bóg Jedyne odwrócił się od nas, D’Angelinów, i nie interesuje się potomkami Błogosławionego Elui. Nawet królowa nie jest w stanie zmienić tego faktu. – Czy możesz przywrócić martwych do życia albo dać mi klucz do zamka zemsty Boga Jedyne? Dałaś mi wszystko inne, o czym tylko mogłam zamarzyć.

– Żałuję, że tak mało. Mam wielki dług wobec ciebie. – Ysandra wstała i zaczęła się przechadzać po swoim zielonym azylu. Nie było tu ziół, tylko kwiaty cieszące jej oko, troskliwie pielęgnowane przez ogrodników. W pobliżu bramy czterej gwardziści stali w swobodnych pozach, odprężeni i zarazem czujni, podczas gdy szambelan z młodszym służącym czekali na rozkazy. Delfina Sydonia siedziała ze

skrzyżowanymi nogami na ziemi i nuciła, plotąc wianek, a mała księżniczka Alais ciągnęła Joscelina za warkocz. – Nie ma żadnych wiadomości o chłopcu Melisandy?

– Nie – odparłam cicho i pokręciłam głową, choć królowa nie mogła tego zobaczyć. – Powiedziałabym ci, pani, gdyby były.

– Fedro... – Odwróciła się i spojrzała na mnie. – Nigdy nie przestaniesz się zapominać, prawie kuzynko?

– Chyba nie. – Uśmiechnęłam się do niej, po czym wzięłam garść fiołków z podołka Sydonii i splotłam je umiejętnie w misterną girlandę. Nabrałam wprawdy, gdy sama byłam dzieckiem, pomagając adeptom w Dworze Kwiatów Nocy. – Proszę – powiedziałam, zakładając jej wianek na głowę.

Dziewczynka pokraśniała z zadowolenia i podbiegła do matki. Kurtyzana może robić to, co nie przystoi królowej.

– Ślicznie – pochwaliła Ysandra i pocałowała córkę w czoło. – Podziękuj hrabinie, Sydonio.

– Dziękuję, hrabino – powiedziała posłusznie dziewczynka.

Jej siostra Alais zachichotała nagle. Zadźwięczała stal, gdy wyciągnęła z pochwy sztylet Joscelina. Strażnicy drgnęli, słysząc brzęk broni, i roześmiali się z ulgą, gdy Joscelin delikatnie wyłuskał rękojeść z drobnych paluszków. Delfina Sydonia sprawiała wrażenie zbulwersowanej zachowaniem siostry; Alais miała zadowoloną minę.

Na twarzy Ysandry malowała się rezygnacja.

– Być może w tej sprawie masz rację – powiedziała cierpko. – Niech Elua błogosławi twoim poszukiwaniom, Fedro. I gdybyś po drodze mijala okręt flagowy cruarchy, powiedz mojemu mężowi, żeby się pospieszył.

TRZY

Doznałam innych strat, takiej samej wagi, jak ofiara Hiacynta, i niektóre z nich pod wieloma względami były bardziej dotkliwe. Nigdy nie zapomnę brutalnego zabójstwa mojego pana, Anafiela Delaunaya, i jego ucznia Alcuina. Zawsze też będę pamiętać moich kawalerów, Remy'ego i Fortuna, którzy z rozkazu Benedykta de la Courcel zostali na moich oczach zgładzeni za grzech lojalności.

Lojalności wobec mnie.

Ale groza losu Hiacynta była pod tym względem wyjątkowa, że nie malała z upływem czasu. Żył, ale stracony dla świata. Przez osiemset lat Pan Cieśniny władał wodami ze swojej samotnej wieży – osiemset lat! A Hiacynt sam mianował się jego następcą. Przelane łzy nie mogły zmyć tego wyroku i wciąż pamiętałam, że podczas gdy ja żyję, śmieję się i kocham, on cierpi, samotny na odciętej od świata wyspie.

Przygotowania do podróży zajęły cały dzień. Choć prowadziłam jeden z najsłynniejszych salonów w Mieście Elui, szeroko znany z eleganckich przyjęć i dyskursów, nie straciłam ducha przygody. Joscelin, jak zwykle roztropny, posłał do Montrčve po mojego drogiego kawalera Ti-Filipa, żeby nam towarzyszył. Zrobił to w chwili, gdy kurier Ysandry stanął w progu naszego domu. Gdyby to zależało ode mnie, oszczędziłabym mu tej podróży i zrobiłabym źle. Ti-Filip, ostatni z Chłopców Fedry, przybył do Miasta co koń wyskoczy i stanął przede mną ze znajomym błyskiem w oczach.

– Zawdzięczam życie tak samo Cyganowi, jak tobie czy Joscelinowi, pani – powiedział, łapiąc oddech w antykamerze. – Prawie

zajeździłem trzy konie, żeby tego dowieść. Niech twój zarządca strzyże owce beze mnie, ja pojedę z tobą do Pointe des Soeurs. Poza tym możesz potrzebować marynarza.

Po takiej deklaracji nie mogłam mu odmówić. Ti-Filip przyprowadził ze sobą kompana, oddanego pasterza ze wzgórz Montrčve. Hugues miał nie więcej niż osiemnaście, dziewiętnaście lat, rumiane policzki, ciemną czuprynę i wiecznie zdumione oczy w rozmytym kolorze leśnych dzwonków. Ti-Filip uśmiechnął się do mnie, gdy młody Hugues ukłonił się i z ciemnym rumieńcem wydukał słowa powitania.

– Słyszał różne opowieści, pani, jak wszyscy. Ponieważ ty zbyt rzadko bywasz w Montrčve, pomyślałem, że zabiorę go do Miasta. Poza tym jest silny jak wół.

Mogłam w to wierzyć, widząc szerokość jego ramion. Odwiedzam Montrčve i mieszkam tam co najmniej przez kilka miesięcy w roku, ale prawda jest taka, że moja posiadłość doskonale radzi sobie beze mnie. Purcell Friote i jego żona Richelina są niezastąpieni, a Ti-Filipa bawi zarządzanie posiadłością, odgrywanie seneszala i flirtowanie z chętnymi chłopcami i dziewczętami Siovale. Słyszałam – bo zwracam uwagę na takie rzeczy – że podobno prawie jedna czwarta nieślubnych dzieci urodzonych w Montrčve jest potomstwem mojego kawalera. Cóż, nie dziwię się ich matkom, że dokonały takiego wyboru. Filip jest bohaterem królestwa, udekorowanym osobiście przez Ysandrę medalem za męstwo.

To samo uwielbienie – tylko głębsze – z jakim młody Hugues spoglądał na bohaterskiego Ti-Filipa, dostrzegłam w jego szaroniebieskich oczach, gdy patrzył na Joscelina i na mnie.

– Miło cię poznać, Huguesie z Montrčve – powitałam go formalnym tonem, wcielając się w narzuconą mi przez los rolę hrabiny. – Czy rozumiesz, że nie wybieramy się na majówkę, lecz czeka nas niebezpieczna wyprawa?

– Tak, pani! – wykrztusił i znów się zająknął, a rumieniec

przyciemnił jego jasną skórę. – Tak, pani, tak. Rozumiem doskonale.

– Dobrze. – Przeszylałam go surowym spojrzeniem. – Bądź gotów do drogi o świcie.

Hugues wymamrotał coś niezrozumiale. Gdy się odwróciłam, usłyszałam, jak scenicznym szeptem mówi do Ti-Filipa:

– Myślałam, że jest wyższa!

Puściłam tę uwagę mimo ucha, ale policzki Joscelina zadrżały z tłumionego śmiechu.

– O co chodzi? – zapytałam ze złością, gdy znaleźliśmy się sami. – Czy bawi cię mój wzrost?

– Nie. – Joscelin rozbroił mnie uśmiechem, wsuwając dłonie w gąszcz moich kruczoczarnych loków. – Słyszał o twoich dokonaniach i oszołomiła go twoja reputacja, Fedro nó Delaunay. Musiałabyś mieć chyba siedem stóp wzrostu, żeby pasować do jego wyobrażeń. Pewnie stawałbym na podnóżku, żeby cię całować. – Złożył na moich wargach pocałunek, a ja zarzuciłam mu ręce na szyję. – Istna Grainna mac Connor – wymruczał w moje usta.

– Nie dokuczaj mi – poprosiłam, ciągnąc go za kark. – Nie jestem wojownikiem, Joscelinie.

– Jesteś wojowniczką Naamy. – Pocałował mnie znowu, rozwiązując tasiemki mojej sukni. – Albo Kusziela. Chociaż tylko jedno z nas wie, jak używać ostrza.

Robił to po mistrzowsku – Joscelin, mój towarzysz doskonały. Jak Ysandra, zawdzięczam życie jego biegłości w posługiwaniu się sztyletami i mieczem. Cała Terre d'Ange wie o jego pojedynku ze zdradzieckim kasjelitą i niedoszłym zabójcą, Dawidem de Rocaille. Nigdy nie słyszałam o innej walce na miecze, która spowodowała przerwanie burzliwych zamieszek. Jeśli jest równie biegły we władaniu inną bronią, w którą natura wyposażyła ród męski, to wiedzą o tym nieliczni. Niespodziewanoby się tego po bracie kasjelicie, który kiedyś ślubował życie w celibacie. Ja też się nie spodziewałam. Ręce Joscelina delikatnie muskały moją skórę; rzadko

przychodzi mu do głowy, żeby traktować mnie inaczej, choć jestem *anguisette*, Wybranką Kusziela, i ból sprawia mi przyjemność. Ale uczyliśmy się razem i Joscelin opanował sztukę dręczenia mnie delikatnością. Kasjelicka dyscyplina jest surowa. Czułam to w jego stwardniałych dłoniach i czubkach palców, gdy mnie rozbierał. Pobudzał mnie z niezmierną wprawą, aż pojękiwałam z żądy i błagałam, żeby nie przedłużał. Kiedy wreszcie wszedł we mnie, westchnęłam z zadowolenia, opasując go w talii nogami. Patrzenie w jego twarz przypominało spoglądanie w słońce; promieniująca z niej miłość była niemal zbyt wielka do zniesienia.

– Fedro – szepnął.

– Wiem.

Wtuliłam twarz w jego ramię i obejmowałam go z całej siły, ucząc się na pamięć uczuć towarzyszących tym chwilom, i płonęłam z pożądania. Był kompasem, który wskazywał pragnienia mego serca, i gdy był we mnie, czułam się spełniona. Trzymałam go mocno i miałam łzy w oczach, sama nie wiem dlaczego. Rwącym się głosem prosiłam:

– Och, Joscelinie! Nie przerywaj. Jeśli mnie kochasz, nie przerywaj. Poczulałam, że się uśmiechnął i poruszył we mnie.

– Nie przestanę – obiecał.

I nie przestawał przez długi, długi czas.

Tak kochaliśmy się tej nocy, ostatniej nocy okresu wieloletniego spokoju. Przypuszczam, że Joscelin także wyczuwał nadchodzącą zmianę; byliśmy razem zbyt długo, żeby nie myśleć podobnie, a nasza więź została zadzierzgnięta w najgorszych okolicznościach.

Później od razu zapadłam w spokojny sen bez marzeń. Nocny wiatr wysuszył łzy na moich policzkach i zbudziłam się o czystym wiosennym poranku.

Niezależnie od tego, jak ponuro zapowiada się wyprawa, jej rozpoczęcie niesie ze sobą wrażenie wolności. Moje serce zwykle

rośnie na początku każdej podróży i ta nie stanowiła wyjątku. Służba zajęła się sprawnym pakowaniem bagaży, a Eugenia, moja gospodyni, krzątała się bez ustanku, szykując prowiant na drogę. Wiedzieliśmy, że niczego nam nie zabraknie.

Mój majątek pomnożył się w latach pokoju. Ojciec, którego pamiętam jak przez mgłę, był utracjuszem bez głowy do zarabiania pieniędzy. Gdyby miał więcej rozwagi, nie zostałabym sprzedana do terminu w Domu Cereusa, pierwszego z Trzynastu Domów Dworu Nocy. Liczyłam się z odmianą fortuny, dlatego zawsze starałam się inwestować mądrze, wspierana dobrą radą przez mojego faktora, a także koneksjami na dworze i w wielu innych znaczących domach.

Sława pierwszej kurtyzany królestwa daje korzyści. Czasami za moje usługi proponowano dziwaczne rzeczy – i czasami je przyjmowałam. Część zarobków hojną ręką oddawałam do świątyni Naamy, resztę zatrzymywałam dla siebie.

Evrilac Duré i jego ludzie, wypoczęci po forsownej podróży, tuż przed wyjazdem do domu okazywali zapał większy niż w komnacie Ysandry. Evrilac uniósł brwi na nasz widok, bo było nas tylko czworo, z niezbędnym bagażem na grzbietach jucznych mułów.

– Tylko czworo, pani? – zapytał. – Myślałem, że zabierzesz przynajmniej pannę służącą.

– Panie Duré – odpowiedziałam uprzejmym tonem – będziemy podróżować na przełaj do zapomnianego przez bogów i ludzi garnizonu, żeby stawić czoło Panu Cieśniny w jego własnym królestwie. Nie jedziemy z towarzyską wizytą do księstwa Trevalion. W środku zimy przebyłam pieszo skaldyjskie pustkowia, a potem sztorm zaniósł mnie w kompanii piratów na Kriti. Nie sądzisz, że wiem, co robię?

Roześmiał się, błyskając białymi zębami; Azalijczycy uwielbiają demonstrację dumy. I tak oto wyruszyliśmy przez ziemie zieleniejące pod dobrymi auspicjami wiosny. Gdy marmurowe mury Miasta Elui zostały za nami, odetchnęłam głęboko świeżym powietrzem i

zobaczyłam, że Joscelin robi to samo. W trakcie jazdy Guillard i Armand rzucali w moją stronę pełne podziwu spojrzenia, a młody Hugues śpiewał, rozpierany radością. Miał płuca jak miechy i silny, dźwięczny głos.

– Przypomina mi Remy’ego – powiedział Ti-Filip z cieniem smutku w uśmiechu, podjeżdżając do mnie. – Błagał, żeby go zabrać. Nie mogłem mu odmówić.

Pokiwałam głową, a dawny żal ścisnął mnie za gardło. Remy był pierwszym z moich kawalerów, pierwszym z Chłopców Fedry, którzy zgłosili się do mnie na służbę. Widziałam jego śmierć. Nie uwolniłam się z okowów winy za przelaną krew – z winy, którą uświadomiłam sobie w pełni w czasie ceremonii *thetalos* w kriteńskiej jaskini. Nie zapomniałam też o tych, którzy przeżyli, a których liczby nigdy nie będzie dane nam poznać. Czy ten młodzieniec śpiewałby równie swobodnie i radośnie w Terre d’Ange rządzonej przez Melisandę Szachrizaj? Byłam przekonana, że nie, ale nigdy nie będę wiedzieć tego na pewno.

– Cieszę się, że go zabrałeś – powiedziałam do Ti-Filipa, który uśmiechnął się szeroko.

– Układa fatalne wiersze. Od dwóch dni wiele z nich jest poświęconych tobie, pani. „O liliowoblada z kruczoczarnym włosem, o gwiaździstooka niczym nocne niebo”.

Roześmiałam się i to mu chodziło; nie ulegało wątpliwości, że obecność Huguesa uprzyjemniła nam podróż. W dobrym tempie zmierzaliśmy na północ wzdłuż rzeki Awiliny do prowincji Namary, gdzie skręciliśmy na zachód ku Pointe des Soeurs. Słońce świeciło jasno przez całą drogę. W winnicach jasnozielone pędy zaczynały okręcać się wokół brązowych, suchych łodyg, a w gajach oliwnych szemrały srebrzyste liście. Od czasu do czasu spotykaliśmy Cyganów, wracających z wiosennego targu końskiego w Hippochamp w Kuszecie. Nie sposób było ich nie poznać, gdy błyskali białymi zębami w smagłych twarzach i rozmawiali we własnej mowie przeplatanej

d'Angelińskimi słowami. Cyganki nosiły swój majątek na sobie, w postaci złotych monet naszytych na kolorowe chusty. Również z monet były wykonane naszyjniki i kolczyki.

„Jesteś księciem swojego ludu, Hiacyncie” – to zawsze powtarzała mu matka; Księciem Podróżnych, bo właśnie podróżnymi zwali się Cyganie, będąc skazanymi na wędrówkę po ziemi. Wierzyłam w te słowa jako dziecko; gdy podrosłam, uznałam, że to naiwne kłamstwo matki, która została wypędzona i uznana przez swój lud za *vrajna*, czyli nieczystą, bo pokochała D'Angelina i straciła z nim cześć. A tak naprawdę matka Hiacynta straciła cześć wskutek bezmyślnego zakładu. Jej kuzyn przegrał i podstępem pozwolił uwieść córkę swojego wodza, żeby uregulować dług w Domu Przystępu.

Jak się okazało, matka Hiacynta nie kłamała. Manoj, jego dziadek, był cygańskim królem. Kiedy się spotkali z otwartymi ramionami przyjął utraconego przed laty wnuka.

Wtedy Hiacynt także się poświęcił. Zrobił coś, co było *vrajna*, gdy dla mojego dobra użył *dromonde*, odziedziczonego po matce daru widzenia, który pozwalał rozchyłać zasłony przeszłości i przyszłości. Mężczyznom nie wolno uprawiać *dromonde*, dlatego cygański król jego również wypędził.

Myślałam po drodze o tych wydarzeniach. Zauważyłam, że Joscelin spochmurniał, gdy popatrzył na cygańskie kompanie w kolorowych wozach.

Omijaliśmy miasta i większe osady, zatrzymując się w tylko w skromnych przydrożnych zajazdach dla kurierów, gdzie właściciele patrzyli nieufnie na moją twarz i mruzcili coś pod nosem, ale nie zadawali pytań. Dwadzieścia lat temu niewielu D'Angelinów rozpoznawało znak Strzały Kusziela; nie było *anguisette* w pamięci ludzi. Teraz już była. Słyszałam, że wiejskie dziewczęta chętne do służby Naamie kłują się w oczy, żeby na białku powstała czerwona plamka. Nie wiem, czy to prawda, ale mam nadzieję, że nie. Nie robią

tego w Mieście Elui, gdzie każdy ulicznik z Mont Nuit natychmiast poznałby się na fałszerstwie. Jako dziecko w Dworze Nocy myślałam, że byłoby przyjemnie, gdyby moje nazwisko zasłynęło w całym królestwie; jako dojrzała kobieta nie dbałam o swoją sławę i myślałam o innych sprawach.

Po kilku dniach jazdy dotarliśmy do Pointe des Soeurs, gdzie powitano nas z dużym szacunkiem, byliśmy bowiem częścią legendy, nad którą pełnili wartę. Guillard i Armand tryskali dobrym humorem, uradowani rolą naszej eskorty, a sam dowódca, Evrilac Duré, patrzył pobłaźliwie na ich błazeństwa.

Garnizon w Pointe des Soeurs leży na odludziu nad samym morzem, w odległości dziesięciu mil od najbliższej wioski. Stacjonujący tu żołnierze byli spragnieni eleganckiego towarzystwa i wieści z szerokiego świata, choć nie przypuszczam, że spodziewali się takich, jakie przywieźliśmy. Milczeli, gdy Duré wezwał ochotników do udziału w naszej wyprawie.

– Strach was obleciał? – zapytał drwiąco krępy Guillard. – Powiem wam, sama królowa, Ysandra de la Courcel, powiedziała dowódcy: „Messire Duré, nie rozkażę nikomu z Trevalionu przypuścić szturm na Trzy Siostry... ale poproszę o to”. Czego tu się bać, chłopaki? Ryb? – Uderzył pięścią w pierś. – Mówię wam, ja idę! Nie zostanę z tyłu, żeby potem słuchać cudzych opowieści przy ognisku!

Po takim wyzwaniu ochotnicy występowali dwójkami i trójkami, aż w końcu Duré oznajmił, że ma już wystarczającą liczbę ludzi. Zarumieniony Hugues radośnie rozdziawiał usta. Uśmiechnęłam się, widząc jego zadowolenie, i zastanowiłam nad tym, co nas czeka.

Po podwieczorku Armand i Guillard oprowadzili nas po fortecy i przyległych gruntach. Tutaj, jak mi powiedziano, fala złamała się na kamienistym brzegu, wyrzucając olbrzymi ładunek stworzeń morskich. Szłam wzdłuż plaży, oglądając śnięte, zasuszone ryby. Potem, wysoko na murach fortecy, Armand wskazał nad szarym rozkołysanym morzem na północny zachód, w kierunku cienistej

smugi na horyzoncie, najbliższej z Trzech Sióstr. „Tam”, powiedział, „wisała chmura, z której biły niezwykle błyskawice”. Dodał, że od wyjazdu panowała cisza.

Słuchałam pilnie i kiwałam głową. Krzyki mew niosły się na wietrze, zagłuszając odgłosy towarzyszące przygotowaniom statku do jutrzejszego wyjścia w morze. Ludzie Duré uwijali się, sprawdzając takielunek i uzupełniając zapasy.

– Co o tym myślisz? – zapytał tej nocy Joscelin w skromnej komnatce, którą nam przydzielono.

Trzymał na kolanach splątane skórzane pasy, nacierając je oliwą dla ochrony przed wilgocią w czasie morskiej podróży. Uniosłam głowę znad jeszuickiego zwoju Szmoth, kroniki ucieczki Mojszego z ziemi Menechetu i rozdzielenia morza. Rabbi, mój dawny nauczyciel, wytargałby się za brodę, gdyby zobaczył, że trzymam w dłoniach święty tekst i obchodzę się z nim tak bezceremonialnie; zmarł siedem lat temu, jego zmęczone serce przestało bić we śnie.

– Nic. – Pokręciłam głową. – Dość dobrze opisali Rahaba, ale nie ma ani słowa o potomku Elui. Może parę analogii, nic więcej. A ty?

Joscelin wzruszył ramionami, patrząc na mnie spokojnie. Jego silne, zwinne ręce wciąż wcierały olej w skórę.

– Chronić i służyć – powiedział cicho.

Kiedyś lepiej niż ja znał jeszuickie nauki, bo są one zbliżone do kasjelickich. Jeszuici zwą kasjelitów apostatami. Ze wszystkich Towarzyszy tylko Kasjel podążył za Eluą – z czystości serca, w gniewie wyrzekając się miłości i miłosierdzia Boga Jedynego. Jeszuici twierdzą, że inni podążyli za Eluą z arogancji, przeciwstawiając się władzy Boga Jedynego: Naamą kierowała żądza, Azą duma, Szamchazajem przebiegłość i tak dalej. Kusziel, który naznaczył mnie jako swoją sługę, kiedyś karał potępionych i podobno ich miłował. Możliwe, ale to Błogosławiony Elua przykazał: Kochaj jak wola twoja. Kiedy Bóg Jedyńy i Matka Ziemia zawarli pokój i stworzyli miejsce, które nigdy wcześniej nie istniało, Kasjel postanowił pójść za Eluą do

prawdziwej Terre D'Ange leżącej w zaświatach. Tylko on spośród Towarzyszy pogodził się z potępieniem i uznał je za zasłużone.

Ocenił, że warto. Tego nie umiem wyjaśnić ani Jeszui, ani kasjelici. Nie sądzę, żeby choć próbowali.

Teraz wiem więcej niż wszyscy kasjelici i przypuszczam, że wielu Jeszuitów. Ale to wciąż za mało. Wstałam z łóżka i uklęknęłam u boku Joscelina, przyciskając czoło do jego kolana. Nie lubił, gdy się tak zachowywałam, ale nie mogłam powstrzymać bólu skruchy w moim sercu.

– Myślałam, że znajdę sposób, żeby go uwolnić – szepnęłam. – Naprawdę.

Po chwili poczułam, jak Joscelin gładzi moje włosy.

– Ja też – powiedział cicho. – Elua świadkiem, Fedro, ja też.

CZTERY

Rankiem wyszliśmy w morze. Droga z Pointe des Soeurs do Trzech Sióstr nie jest daleka, ale zerwał się silny przeciwny wiatr utrudniający żeglugę i musieliśmy płynąć szerokimi halsami. Galera była pięknym, szybkim statkiem o niewielkim zanurzeniu. Na maszcie nad szerokim pokładem łopotał proporzec Trevalionu, trzy korabie z Gwiazdą Nawigatora. Czułam, jak morze wznosi się pod moimi nogami, i to wrażenie było dziwnie znajome, szybko więc przypomniałam sobie sztukę balansowania ciałem, by kołysać się wraz z falami.

Duré i jego ludzie znali się na żeglarskim rzemiośle, a gdyby było inaczej, Ti-Filip nadrobiłby wszelkie braki. Dwoił się i troił, w wyśmienitym humorze biegając z dziobu na rufę. Kiedyś był marynarzem i służył pod rozkazami admirała Kwintyliusza Rouse. Pełen podziwu Hugues nie odstępował go na krok, służąc mu swą siłą, podczas gdy mój towarzysz doskonały stał przewieszony przez reling, blady i zlany potem.

Jak już mówiłam, Joscelin nie był wilkiem morskim.

Pomimo nieustannego halsowania, zaledwie po paru godzinach żeglugi brzegi Trzeciej Siostry zarysowały się wyraźnie na horyzoncie. Stałam na dziobie i patrzyłam, jak wyspa rośnie w oczach, co było dziwną odwrotnością do straszego snu, który zbudził mnie przed tygodniem.

Skupiona i zamyślona, nie zauważyłam, że nie jesteśmy sami w Cieśninie.

Zaalarmował mnie okrzyk z bocianiego gniazda i po chwili zobaczyliśmy to wszyscy. W dali po siwym morzu płynęło siedem okrętów, zdążając z przeciwnej strony do tego samego celu.

„Gdybyś w czasie podróży spotkała okręt flagowy cruarchy, powiedz mojemu mężowi, żeby się pospieszył”, przykazała mi żartobliwie Ysandra. Drustan mab Necthana miał przybyć do niej tej wiosny – była nawet wyznaczona nagroda dla osoby, która pierwsza dostrzeże żagle – ale tak naprawdę nie mogła zakładać, że faktycznie się spotkamy. Statek płynący na czele miał wielki kwadratowy żagiel z czarnym dzikiem Alby na szkarłatnym de.

– Drustan! – zawołałam bez tchu i pobiegłam do Evrilaca Duré. Mężczyzna popatrzył na mnie z niedowierzaniem, potem odwrócił głowę i na własne oczy zobaczył dowód. Kazał sternikowi zmienić kurs. Marynarze musieli zasiąść do wiosł; wyteżali mięśnie i sapali, żeby pokonać spienione fale.

Ludzie Drustana zobaczyli nas i okręt się zatrzymał, opuszczając żagle i rzucając kotwicę. Z daleka zobaczyłam cruarchę, małą postać w szkarłatnym płaszczu.

– Drustan! – powiedział Ti-Filip, ściągając brwi. – Na siedem piekieł, po co cruarcha Alby płynie na Trzy Siostry? Powinien kierować się do portu i do sypialni królowej.

– Nie wiem – odparłam.

Obok Drustana stał ktoś niższy i szczuplejszy. To nie jest wojownik, pomyślałam, patrząc nad wodą. Dopiero gdy podpłynęliśmy bliżej, zobaczyłam, że to kobieta, a gdy ustawiliśmy się burta w burte, rozpoznałam w niej najmłodszą żyjącą siostrę Drustana, średnią córkę Necthany, Sibeal.

Cruarcha wzniosł rękę w powitalnym geście. Zobaczyłam jego uśmiech, ciemne poważne oczy i wytatuowaną urzetem twarz. Drustan nie wyglądał na zaskoczonego.

– Fedro nó Delaunay, bracie Joscelinie! – zawołał cruarcha Alby. – Co za spotkanie.

Władał naszym językiem bez zarzutu i nic dziwnego, sama go uczyłam. Zacisnęłam ręce na relingu i patrzyłam na cruarchę, a ludzie Duré mruzczyli za moimi plecami.

– Drustanie, panie mój – zaczęłam ze zdumieniem – skąd się tu wzięłaś i dlaczego?

Drustan mab Necthana skinął na siostrę. Sibeal uniosła głowę i spojrzała na mnie nad dzielącą nas wodą. Miała tak samo poważne spojrzenie jak brat; z powodu bliźniaczych linii niebieskich kropek na policzkach jej oczy wydawały się jeszcze szerzej osadzone.

– Sibeal miała sen – rzekł krótko cruarcha.

Niedługo później, gdy nasze siły się połączyły, powitaliśmy się. Przesiadka wymagała wielu manewrów, lecz morze stało się dziwnie spokojne, więc zrobiliśmy to bez trudu. Dołączyło do nas kilku ludzi Duré – większość została na galerze – i Duré rozkazał rzucić dryfkotwę. Drustan osobiście pomógł mi wejść na pokład i uściskał mnie serdecznie, gdy zarzuciłam mu ręce na szyję i obdarzyłam powitalnym pocałunkiem. Niewielu ludzi lubię i podziwiam bardziej niż cruarchę Alby.

Kobiety z linii cruarchy są jasnowidzące. Gdy kiedyś dobiliśmy do brzegów Alby, powitała nas najmłodsza siostra Drustana, Moireada. Powiedziała, że czekała na nas, bo takie polecenie otrzymała we śnie. Dziś Moireada nie żyje, wiele lat temu zginęła od włóczni Tarbh Cró w bitwie pod Bryn Gorrydum, gdzie Drustan odzyskał tron. Widziałam to. Zginęłoby więcej osób, gdyby nie Joscelin. Od tamtego dnia cruarcha nazywa go bratem.

– Widziałam skałę na wodzie – powiedziała cicho Sibeal w języku cruithne. – Na skale siedział kruk. Niebo się otworzyło i biły pioruny. Kruk rozpościerał w udreńce skrzydła. Woda była pełna węży. Nagle z niebios sfrunęła biała gołębica i usiadła na skale. – Objęła się rękami i patrzyła w kierunku Trzeciej Siostry. – Widziałam, jak woda się podnosi i węże biją ogonami, a kruk nie może odlecieć. Widziałam, jak gołębica ląduje i otwiera dziób, wypadł z niego diament. A potem

się obudziłam. – Zwróciła na mnie zatroskane oczy. – Ty też to śniłaś.

– Nie – szepnęłam. Moja ręka uniosła się jakby z własnej woli, żeby dotknąć nagiego miejsca pod szyją. Kiedyś spoczywał tam diament. Diament Melisandy. – To znaczy tak, Sibeal, śniłam. Śniłam o Hiacyncie, ale nic więcej.

– Hiacynt – wypowiedziała to imię z akcentem cruithne. Lekka pionowa zmarszczka przecięła pokrytą meszkiem skórę pomiędzy jej brwiami. – Tak.

– Powiadają – wtrącił Drustan mab Necthana – że dwa tygodnie temu błyskawice rozjaśniły niebo i morze się podniosło. Przybyłem, żeby zobaczyć.

– Panie, nie powinieneś ryzykować! – zawołałam impulsywnie. – Królowa czeka na ciebie w Mieście Elui. My tam popłyniemy, panie. Taki był nasz zamiar.

Evrilac Duré przesunął się za moimi plecami. Stałam pomiędzy Joscelinem i Ti-Filipem. Drustan mab Necthana, cruarcha Alby, patrzył na mnie, milcząc. Był z nami, kiedy Hiacynt zapłacił za naszą wolność. Gdyby sam mógł to zrobić, nie wahałby się ani chwili. Pamiętał o tym równie dobrze jak ja.

Zawsze się rozumieliśmy.

– W takim razie płynmy razem, Fedro – rzekł cicho. – Ostatni raz. Sen Sibeal jest zagadką, która wymaga rozwiązania. Muszę to zrobić.

Tak oto drugi raz przybyłam na wyspę zwaną Trzecią Siostrą, płynąc jak za pierwszym razem na okręcie flagowym cruarchy Alby. Nie wiem, czy albijscy żeglarze się bali; byli ludźmi starannie wybranymi przez Drustana, a o ich doświadczeniu świadczyły tatuaże na ramionach i twarzach. Podnieśli żagle bez okazywania strachu. D'Angelinowie na pokładzie poszeptywali między sobą, gdy nagły podmuch wydał szkarłatne płótna z wizerunkiem czarnego dzika. Joscelin był blady, choć nie wiem, czy ze strachu, czy na skutek choroby morskiej. Rysy Ti-Filipa zastygły w nietypowo ponurych

liniach, gdy rzucał okiem na strome, wysokie urwiska Trzeciej Siostry. Młody Hugues przestępował, podniecony, z nogi na nogę.

Drustan miał zdeterminowaną minę, a jego siostra Sibeal spokojną. Ja czułam się chora.

Zapomniałam, jak wyspa pędziła w moją stronę, jak wysokie, strome ściany skrywały wejście do zatoki. Wtedy przyniosła nas potężna fala. Tym razem wiatr porwał okręt niczym dziecinną zabawkę, gnając do otoczonej klifami zatoki. Zapomniałam, jak wygląda świątynia na szczycie, jak długie są kamienne schody opadające ku skalistemu cyplowi.

Czekała tam na nas samotna postać.

Poznałam go z daleka. Moje usta otworzyły się w mimowolnym krzyku, wyciśniętym z płuc przez niespodziewany, bolesny skurcz serca.

Hiacynt.

Uniósł rękę i wiatr ucichł. Statek dryfował, niesiony przez rozkołysane morze ku brzegowi. Hiacynt opuścił rękę i w wąskiej przestrzeni dzielącej drewnianą burtę od skalistego brzegu powstała drżąca fala, woda wzniosła się i kotłowała. A on stał samotnie na skale, odziany w spodnie i kaftan z rdzawoczarnego aksamitu, z poplamionym morską solą żabotem i koronkowymi mankietami.

Wydałam stłumione westchnienie, a on uśmiechnął się smutno, jego oczy... oczy Hiacynta, ciemne i mądre w znajomej, ukochanej twarzy, gdy rozcapierzał naprężone palce nad wzbudzonymi falami... Włosy opadały mu w granatowoczarnych kędziorach na ramiona, dłuższe niż wtedy, gdy go tu zostawiłam. W kącikach jego oczu, zawsze skorych do uśmiechu, pojawiły się drobne kurze łapki. Jego oczy... Eluo!

– Witaj, Fedro – powiedział cicho. – Miło cię widzieć.

Miał głębsze spojrzenie, a jego oczy wydały mi się ciemniejsze, źrenice wyglądały jak bliźniacze otchłanie, bezdenne i czarne. Otaczały je pierścienie tęczówek, zmienne niczym cieniste głębie

oceanu przestrzelone tysiącami falujących świateł. Usłyszałam ochryply krzyk Joscelina i spojrzenie tych dziwnych, niesamowitych oczu przesunęło się na niego.

– I ciebie, kasjelito. – Hiacynt zgiął się w ironicznym ukłonie. – Panie Drustanie. – Jego głos się zmienił. – Sibeal.

– Hiacyncie! – zawołałam, wbijając paznokcie w reling. – Och, Hiacyncie... na Eluę, pozwól nam dobić do brzegu.

Pokręcił głową, wprawiając w ruch czarne loki, wciąż trzymając palce rozpostarte nad falami. Dziwny uśmiech wykrzywił jego usta.

– Nie mogę, Fedro, nie rozumiesz? Nie śmiem tego uczynić. Tylko wam pozwoliłem podpłynąć tak blisko i nie zrobiłbym tego, gdybym wam nie ufał. Jeśli postawicie stopę na brzegu, *geis* się zbudzi. – Ukłonił się, tym razem Drustanowi. – Połowa zagadki rozwiązana, *cruarcho*, poślubiłeś Ysandrę z miłości, Alba i Terre d'Ange są zjednoczone. Co doreszty... – Wzruszył ramionami. – Nie poproszę nikogo, żeby zajął moje miejsce.

Pląkałam i łzy spływały mi po policzkach. Jakby z oddali, usłyszałam głos Drustana:

– Ponad dziesięć dni temu szalała burza, która nie była burzą. Co wróżyła?

– On nie żyje. – Cichy głos Hiacynta dochodził zewsząd i znikąd. W moich wspomnieniach nigdy taki nie był. – Ten, którego zwaliście Panem Cieśniny. Widzieliście przekazanie władzy.

– Chodź zatem! – Wstrzymałam oddech, żeby odzyskać panowanie nad głosem, i powtórzyłam żarliwie: – Chodź z nami! Niech to się skończy.

Hiacynt uśmiechnął się. Ten uśmiech był straszny, nie sięgał ciemnych otchłani oczu.

– Myślisz, że mogę? – zapytał i rozluźnił palce, wstępując na dzielące nas fale.

Nagle świat stanął na głowie. Nie umiem znaleźć lepszych słów na opisanie tego, co się stało. Podczas gdy my spokojnie dryfowaliśmy na

wodzie, Hiacynt zrobił jeden krok do przodu, świat przekręcił się w przyprawiający o mdłości sposób. W dzielącym nas wąskim pasie wody coś się zmieniło, otworzyła się czeluść głębsza i ciemniejsza niż oczy Hiacynta, bezdenna, budząca mdłości pustka, wokół której obrócił się świat, a w głębi poruszyło się coś strasznego, promieniującego butnym, niszczycielskim gniewem. Przez chwilę myślałam, że Hiacynt to zrobił, że pokonał lukę pomiędzy nami... potem świat się wyprostował, my znów dryfowaliśmy, otchłań z przerażającą istotą zniknęła, a Hiacynt zginał się wpół na brzegu, łapczywie chwytając powietrze. Podniósł nawiedzony wzrok i przemówił. Jego głos należał do Cygana, którego pamiętałam.

– Widzisz? – wydyszał. Czoło zrosiły mu krople potu. – To niemożliwe. Sama próba dokonania tego jest jak umieranie. Wiem, bo czyniłem to wiele razy. – Wyprostował się powoli, jakby każdy ruch sprawiał mu ból. – Skoro przybyliście – zaczął formalnym tonem – niechaj będzie wiadomo, że Cieśnina ma nowego Pana. Wszyscy, którzy zapragną się przez nią przeprawiać, nie napotkają przeszkód. Rozejm cruarchy wciąż obowiązuje. Dopóki miłość będzie łączyć Albę i Terre d'Ange, dopóty Cieśnina pozostanie otwarta.

– Hiacyncie. – Poczulałam na sobie spojrzenie Sibeal i wypowiedziałam jego imię jak rozpaczliwą modlitwę. – Czy jest jakiś sposób, żeby cię uwolnić?

Popatrzył na mnie, stojąc niemal na wyciągnięcie ręki, a smutek w jego oczach miał głębię oceanu.

– Ja go nie znalazłem, Fedro. A ty? – Gdy bez słowa pokręciłam głową, wykrzywił usta w strasznym uśmiechu i zmarszczki w kącikach jego oczu się pogłębiły. – W takim razie niech cała wiedza o mojej klątwie zostanie pogrzebana i zapomniana. Jeśli mnie kochasz, Fedro, zapomnij. Jestem jeszcze młody i niezbyt długo pełnię tę rolę, żeby bez skrpułów zdać ją na kogoś innego. Dopóki nie osłabnie moja wola, żaden statek nie dobieje do tych brzegów. – Hiacynt rozłożył ręce. – Ale starzeję się, jak widzisz – dodał cicho. – Pan

Cieśniny był potomkiem Rahaba i pierwszej kobiety z linii Elui. Ja nie jestem nim, nie mam w żyłach trzech części ichoru na jedną część krwi, dlatego nie mogę żyć wiecznie bez utraty młodości. – Z trudem przełknął ślinę. – Niech zapomną. Potem, gdy już odejdą wszyscy, których znałem i kochałem, gdy przemienię się w wysuszoną łupinę, zapomnę o skrupułach i będę miał mniej na sumieniu.

Mój sen wrócił do mnie z przerażającą jasnością – rozszerzające się lustro wody i Hiacynt na próżno wykrzykujący moje imię.

– Co to takiego? – Zmusiłam się, żeby o to spytać, starając się panować nad głosem. – Hiacyncie, kiedy próbowałeś opuścić wyspę, w wodzie coś było. Czy to Rahab?

– On albo jego emanacja. Tak. – Nasz statek łagodnie kołysał się na wodzie, liny poskrzypywały, fale pluskały. – Znasz sposób.

– Tak i nie. – Odetchnęłam głęboko i spojrzałam w puste błękitne niebo. – Istnieje pewne słowo. Jeszuici twierdzą, że Bóg Jedyny jest bezimienny i niepoznawalny. Sami zwą go Adonai, po prostu Panem, ale On ma Imię i temu słowu muszą być posłuszni wszyscy Jego słudzy. Nawet Rahab. – Popatrzyłam na Hiacynta. – Tyle się dowiedziałam. Ale... – pokręciłam głową – nie znam Imienia Boga. Ta wiedza mi umyka.

Coś poruszyło się w dziwnie zmiennych oczach Hiacynta; może moc skryta w głębinach... a może tylko nadzieja.

– Możesz je znaleźć.

– Hiacyncie... – Jego imię uwięzło mi w gardle. – Szukałam przez dziesięć lat! Są jeszuiccy uczeni, którzy poświęcili na to całe życie, a wielu im podobnych szukało już w czasach, zanim Błogosławiony Elua zjawił się na ziemi. Nigdy, przenigdy nie przestanę szukać, przysięgam ci, lecz po dziesięciu latach nie mam wielkich nadziei.

Hiacynt odwrócił wzrok.

– Cyganie. – Pragmatyczny głos Joscelina zakłócił ciszę. – Masz *dromonde*. Co mówi ci dar widzenia?

– *Dromonde*. – Hiacynt uśmiechnął się ponuro. – Widzę wyspę,

kasjelito, widzę wiatr i morze. Jak myślisz? Nie widziałem nic innego, odkąd tu przybyłem.

– A przyszłość Fedry?

Pytanie zawisło w powietrzu. Czarne źrenice Hiacynta rozmyły się, zmatowiały.

– Fedro – szepnął. W dawnych czasach nigdy nie chciał użyć dla mnie swojego daru. – Ach, Fedro! Nie jestem w stanie ogarnąć tego wzoru, jest zbyt wielki. Ma liczne rozgałęzienia, poza które nie mogę wejrzeć, i każde z nich wiedzie w ciemność. Kusziel zagradza drogę, surowy i złowrogi, z rozpostartymi rękami. W jednej trzyma mosiężny klucz, a w drugiej... – Jego wzrok nagle się wyostrzył. – A w drugiej diament na aksamitnej wstążeczce.

Uniosłam rękę do szyi.

– To mój sen – powiedziała cicho Sibeal w ojczystym języku. – To właśnie widziałam.

PIĘĆ

Podróż powrotna do Pointe des Soeurs przebiegała w ponurym nastroju.

Rozstaliśmy się z Drustanem mab Necthana i jego świtą na morzu. Pożeglowali na wschód, do portu Trevalion, gdzie Ghislain i jego żona Bernadetta wypatrywali ich przybycia. Ludzie Evrilaca Duré byli w stosunkowo dobrych humorach, nie bardzo wiedząc, co zaszło, i ciesząc się, że przeżyli. Ja stałam na dziobie i patrzyłam, jak rozdziela wodę.

Z zadumy wyrwał mnie Joscelin. Stercząca nad jego ramieniem rękojeść miecza rzucała rozfalowany cień krzyża na wodę.

– Znam tylko jeden taki diament – rzekł cicho. – Melisandy...

– Wiem – przerwałam mu ostro.

Czy Melisanda miała jakiś wpływ na los Hiacynta? Nie sędzę. Obwinałam ją o wiele rzeczy, ale nie o to. Tutaj w grę wchodził pechowy przypadek, mój Książę Podróżnych został uwikłany w przeznaczenie, które zrodziło się osiemset lat temu. Nie mogłam się uwolnić od wspomnienia wyrazu jego twarzy, gdy odpływaliśmy. Hiacynt uniósł ręce i wtedy przejrzysta fala obróciła statek dziobem ku wąskiemu przesmykowi, wyniosła nas na otwarte morze. Widziałam, jak usta Hiacynta się poruszały, wypowiadając słowa komendy.

Jak on, który miał taką władzę, mógł szukać pomocy u mnie? W czasie jego nieobecności narzucona mu rola stała się dla mnie

nierealna. Teraz, gdy znowu go ujrzałam, zaczęłam wątpić w swoje skromne umiejętności. Co odkryłam przez dziesięć lat? Pogłoskę, nic więcej, legendę. Rabbi opowiedział mi ją dawno temu, przed moim wyjazdem do La Serenissimy. Lilit, pierwsza żona Edoma, uciekła spod jego władzy, a Bóg Jedyny wysłał po nią swoje sługi. Gdy stanęli przed nią z wezwaniem do powrotu, roześmiała się tylko i wyrzekła Jego Imię, odsyłając ich precz.

Cóż, nie okłamałam Hiacynta, naprawdę rozmawiałam z wieloma jezuitickimi uczonymi, odkąd po raz pierwszy usłyszałam tę legendę. W obrębie religii Jezuitów istnieją mistyczne odłamy i niektórzy utrzymują, że sam pięcioksiąg Tanachu jest zaszyfrowanym Imieniem Boga. Każdej literze każdego słowa przypisana jest pewna wartość i mistycy bez końca porównują wartości słów. A jednak nie spotkałam kogoś, kto by twierdził, że zna Imię Boga.

Obecnie w Mieście Elui i w całym królestwie pozostało niewiele Jezuitów, a ich myśli stale zwracają się ku północy. Exodus zapoczątkowany przed dziesięcioma laty trwał i z dalekiego północnego wschodu napływały pogłoski, że Jeszuici tworzą państwo na zimnych pustkowiach. Nie wszyscy się zgadzali, że jest to spełnienie prorocstwa Jeszui ben Josefa – wśród nich mój dawny mistrz rabbi – ale liczba niedowiarków malała z roku na rok. Stało się to, czego się obawiał rabbi: Dzieci Yisraela się podzieliły. Oczy tych, którzy pozostali, coraz częściej zwracają się ku przyszłości i coraz rzadziej spoglądają w przeszłość. A ja... ja jestem D'Angelina. Kiedy Bóg Jedyny próbował wezwać Eluę do swojego nieba, Błogosławiony Elua i jego Towarzysze odmówili. Jestem dzieckiem Elui, Wybranką Kusziela i służką Naamy, i nie mnie zajmować się takimi sprawami.

Ale dla Hiacynta...

Pewien helleński mit opowiada o człowieku, któremu wolno było prosić bogów o dar. Poprosił o nieśmiertelność, zapomniawszy wspomnieć o wiecznej młodości. Złośliwi bogowie spełnili jego życzenie. Nigdy nie umarł, stale się starzejąc. W końcu, gdy została z

niego tylko skóra i kości, gdy skurczył się do suchej, poskrzypującej karykatury człowieka, ulitowali się nad nim i przemienili go w konika polnego. Po jakim czasie? Mit tego nie mówi. Do dziś dnia nie mogę bez drżenia słuchać gry koników polnych.

Spędziliśmy spokojną noc w Pointe des Soeurs i rankiem byliśmy gotowi do drogi. Evrilac Duré zaproponował, że przydzielili nam eskortę, ale odmówiłam grzecznie i podziękowałam za udzieloną pomoc. Posililiśmy się o brzasku i niespełna godzinę później ruszyliśmy w drogę.

Joscelin, który zdążył ocenić mój nastrój, rozsądnie zachowywał milczenie, a Ti-Filip był dość mądry, żeby wziąć z niego przykład. Tylko młody Hugues gadał bez końca o spotkaniu na wyspie.

– Podobno jego matka była cygańską królową, nosiła złoto na każdym palcu i miała złote chusty na każdy dzień tygodnia, a gdy kogoś przeklęła, to z miejsca padał trupem. To prawda, pani? – zapytał z wielkim zaciekawieniem. – Podobno w dzieciństwie przepowiadał na rynku przyszłość, a wielmoża z pałacu ustawiali się w rzędzie, czekając na swoją kolej.

– Kradł słodczyce na rynku – odparłam krótko. – A jego matka była praczką.

– Ale...

– Huguesie. – Odwróciłam się w jego stronę, ściągając wodze wierzchowca. – Tak, Hiacynt miał dar *dromonde*, a przed nim jego matka. Przepowiadała przyszłość i czasami ludzie płacili jej drobną monetą; w większości sami byli biedni. Prowadziła dom z pokojami dla Cyganów niegardzących kobietą, która straciła *laxta*, czyli cnotę, prała cudze rzeczy i lokowała zarobki w złotych monetach, jakie widziałeś na szyjach połowy mijanych po drodze Cyganek. Myślisz, że jej synowi było pisane takie przeznaczenie?

Rumieńce przyciemniły jego policzki.

– Nie chciałem...

Westchnęłam.

– Wiem. To wspinała, tragiczna historia, a ty miałaś zaszczyt zobaczyć jej fragment. Nie sądzę, żeby ktokolwiek opowiadał ją poza granicami Azalii. Ale, Huguesie, nigdy nie zapominaj, że bohaterami takich opowieści są prawdziwi ludzie, którzy zapłacili rozpaczą, poczuciem winy i smutkiem, żeby inni mogli o nich opowiadać.

Umilkł i opuścił głowę, a mnie opadły wyrzuty sumienia, że go zawstydziłam. Tego wieczoru zatrzymaliśmy się w gospodzie w mieście Seinagan. Hugues wcześniej wymówił się od towarzystwa i opuścił izbę. Ti-Filip poszedł za nim bez słowa.

Izba była przyjemna, z bielonymi, niedawno wyszorowanymi ścianami, a ogień w kominie odpierał wieczorny chłód i rozsiewał słodką woń gruszy.

– Byłaś surowa dla chłopaka – powiedział cicho Joscelin, nie patrząc na mnie, wodząc palcami po brzuchu porowatego glinianego dzbana z winem. – Jest podekscytowany, to wszystko. Nie miał na myśli nic złego.

– Wiem. – Wsparłam podbródek na rękach. – Wiem. Nie to mnie irytuje, Joscelinie. Zobaczyłam Hiacynta i poczułam się bezradna. Boli mnie serce i ten ból nie sprawia mi żadnej przyjemności.

– Gdybym to ja rozwiązał zagadkę. – Joscelin gwałtownie poderwał głowę. – Czy to chcesz usłyszeć? Chciałbym to zrobić, Fedro. Tak byłoby lepiej dla nas wszystkich. Gdybym mógł zamienić się z nim miejscami i oszczędzić ci bólu, zrobiłbym to. Ale nie mogę – rzekł z goryczą. – Nie jestem taki bystry jak ty i nie mam do pomocy daru widzenia. Mam tylko to. – Uniósł stwardniałe dłonie. – Dotychczas wystarczały. – Wyraz jego twarzy zmienił się. – I mogłyby wystarczyć, gdybyś go przekonała. Znam odpowiedź, prawda? Nie muszę być mądry ani obdarzony jakimś wyjątkowym darem, już nie. Wystarczy, że Hiacynt pozwoli mi postawić nogę na swojej wyspie.

– Nie, Joscelinie! – Popatrzyłam na niego z przerażeniem. – Jak możesz nawet o tym myśleć?

– No cóż. – Skrzywił usta w cierpkim uśmiechu. – To rozwiązałyby twoje problemy.

– Idiota! – Mocno chwyciłam jego rękę. –Joscelinie Verreuil, jeśli bodaj przez minutę myślałeś, że po tobie rozpaczalabym odrobinę mniej niż po Hiacyncie, to jesteś skończonym głupcem – powiedziałam z rozdrażnieniem. – On jest moim najdawniejszym, najdroższym przyjacielem i kocham go bardzo, ale ty... – pokręciłam głową – ty jesteś idiotą. I jeśli myślisz, że wejdę w ciemność bez ciebie u boku, to jesteś idiotą po trzykroć. Nie wykręcisz się tak łatwo.

Ścisnął moje palce.

– W takim razie stanę na rozstajach – powiedział cicho. – I wybiorę, znowu wybiorę, dokądkolwiek będzie prowadzić twoja ścieżka. Chronię i służę.

Były to słowa, które po prostu musieliśmy sobie powiedzieć. Rankiem zbudziłam się ze zdecydowaniem w sercu i postanowieniem, że będę miłsza dla otaczających mnie ludzi. Jechaliśmy w dobrym tempie, a po powrocie do Miasta Elui dowiedzieliśmy się, że wieści o przybyciu Drustana wyprzedziły nas o jeden dzień. Przywieźli je kurierzy z Azalii, pędzący na złamanie karku po nagrodę Ysandry.

Królowa wysłuchiwała naszej opowieści, szczególną uwagę poświęcając przekazaniu władzy i słowom Hiacynta. Przypuszczam, że szczerze litowała się nad jego losem, ale nawet królewska władza ma swoje granice. Ysandra była odpowiedzialna za całe królestwo i czekała na umiłowanego małżonka, ojca swoich dzieci, który zmierzał do stolicy. Nie mogła nic zrobić. Gdyby cokolwiek leżało w jej mocy, poprosiłabym o to; dawno temu nagrodziła mnie Gwiazdą Towarzysza, z czym wiązała się obietnica wyświadczenia łaski.

Ale nie miałam o co prosić.

Jak wypadło, naradziłam się z mistrzem ceremonii w sprawie przygotowania wjazdu Drustana do Miasta. Obecnie jest to jeden z wielkich obrzędów wiosny, a ja widziałam, jego początki. Kiedyś

niewielu D'Angelinów władało cruithne. Dziś pomiędzy naszymi krajami panuje duży ruch, język jest wykładany w wielu szkołach i Ysandrze nie brakuje tłumaczy. Dzieci nie potrzebują moich podpowiedzi, żeby witać cruarchę w jego ojczystej mowie.

Przed przybyciem Drustana moją uwagę rozproszyło nieco posiedzenie starszych gildii sług Naamy. Od czasu pobytu w La Serenissimie pełnię rolę łącznika gildii z pałacem i jest to jedyny urząd, o jaki kiedykolwiek zabiegałam. Z początku uważano moją obecność w ich gronie za szczęśliwe zrządzenie losu, bo upłynęło sto lat, odkąd członek wyższych sfer piastował stanowisko w gildii, ale później nie zawsze przyjmowano z entuzjazmem proponowane przeze mnie reformy. Gdy pewnego dnia przeprowadzaliśmy głosowanie, Jareth Moran, duejn Domu Cereusa, darł włosy z głowy.

– Jeśli zainwestujemy cztery tysiące dukatów w markę i szkolenie czeladnika – zaczął, starannie dobierając słowa – który następnie zostanie uznany za niezdolnego do służby, powinniśmy mieć możliwość uzyskania odszkodowania za poniesione koszty. W przeciwnym wypadku pójdziemy z torbami.

– W takim razie wybierajcie mądrzej, panie duejnie – odparłam nieubłaganie – albo bardziej się przykładajcie do szkolenia adeptów. Tym, którzy zostaną uznani za niezdolnych, nikt nie zwróci straconych lat życia.

Jareth spojrział na mnie gniewnie, ale nie odpowiedział, pamiętając moje dzieje. Byłam dzieckiem w Domu Cereusa, uznanym za niezdolne do służby z powodu szkarłatnej plamki w oku. Dopiero mój pan Anafiel Delaunay zorientował się, że noszę znak Strzały Kusziela, i kupił moją markę, a potem szkolił mnie w sztukach Naamy i szpiegostwie. Za dary klientów kupowałam sobie wolność, płacąc markarzowi, który krok po kroku dokumentował drogę ku niej na mojej skórze. Moja marka została ukończona dawno temu. Ściele się od podstawy kręgosłupa do karku, czarna dzika róża z akcentami szkarłatu.

Marka oznacza, że jestem sługą Naamy i wolną D'Angelina, bez żadnych zobowiązań wobec innych osób. Wywalczyłam markę nie bez trudu i wykorzystywałam zdobytą wraz z nią pozycję do wprowadzania zmian. Trzynastu Domom Dworu Nocy już nie wolno ustanawiać ceny za markę dzieci sprzedanych do terminu, jak było w moim przypadku. Teraz wszyscy są czeladnikami i nowi mają takie same prawa, jak ci, którzy urodzili się we Dworze Nocy i byli w nim wychowywani za darmo. W dzisiejszych czasach Anafiel Delaunay nie mógłby kupić mojej marki jak wtedy, gdy miałam dziesięć lat.

To także było moim dziełem i uważam, że dobrze pomyślałam. Anafiel Dealunay, choć był właścicielem mojej marki, nauczył mnie, że nie wolno traktować ludzi jak sprzęty. On w swoim domu na to nie pozwalał. Wszyscy chętni do służby Naamie muszą podejmować decyzje z własnej nieprzymuszonej woli, lecz nie sądzę, żeby we Dworze Nocy wybór był równie swobodny jak w Domu Delaunaya. Teraz to się zmieniło. Sama królowa – młoda matka w czasie, gdy zaproponowałam zmiany – poparła mnie z całego serca.

I nie sądzę, żeby szeregi sług Naamy przerzedziły się z powodu reformy; o ile mi wiadomo, znacznie się powiększyły, odkąd osiągnęłam wysoką pozycję.

– Naama kładła się w szynkach Bodistanu z nieznanymi, żeby Błogosławiony Elua mógł się najeść – powiedziała z rozbawieniem kapłanka Wielkiej Świątyni Naamy. – Nie dla nabicia portfeli duejnom Dworu Nocy, panie Jarecie. Opowiadamy się za tą propozycją. Jeśli czeladnik zostanie uznany za niezdatnego do służby, duejn jego Domu powinien zapewnić mu środki na odsłużenie terminu w wyznaczonym czasie. Nie mniej, nie więcej.

– Chcesz, abyśmy znajdowali zatrudnienie osobom, które nie nadają się do służby Naamie? – zapytał duejn Domu Przestępu. – To nierozsądne. Nie możemy pełnić roli pośredników pracy dla niewydarzonych adeptów.

– Czy chcesz powiedzieć, że Dom Przestępu nie zdoła znaleźć pół

tuzina posad urzędniczych dla wykwalifikowanych czeladników? – zapytałam cynicznie. Wszyscy wiedzieli, że adepci Przepięty są nadzwyczaj biegli w sprawach finansowych. – Ja mówię, że system terminowania w istniejącej formie jest niedoskonały. Sprawia, że czeladnik może zostać dosłownie niewolnikiem swojego Domu.

Zapadła cisza. D'Angelinowie lubią uważać się za lepszych od reszty świata, jesteśmy bowiem bliżsi niż inni początkom swojego narodu. Nawet najędzniejszy wieśniak może wywieść swoje pochodzenie od Elui lub jednego z Towarzyszy, którzy nie oszczędzili nam darów. Nie uznajemy niewolnictwa, odkąd Błogosławiony Elua stąpił po naszej ziemi. Kochaj jak wola twoja, przykazał, a niewolnictwo samą swoją naturą gwałci jego święte przykazanie. Posiadanie czyjejs marki jest prawie równie złe, kiedy adept nie ze swojej winy nie może otrzymywać darów od klientów.

Mam *couturiere*, wygadana i utalentowana, która nie została adeptką gdyż z powodu blizny nie spełniała wymogów Dworu Nocy. Wykonanie marki za pieniądze z zamówień, jakie pozwalała przyjmować jej duejna, zajęłoby Favrieli nó Dzika Róża co najmniej piętnaście lat – tymczasem jej młodość uleciałaby, a geniusz został roztrwoniony na projektowanie strojów dla byłych towarzyszy. Tak się nie stało, bo zapłaciłam za markę Favrieli i kupiłam jej wolność. Ale byli też inni, ja zaś nie miałam środków, żeby pomóc im wszystkim.

Nawet moja wolność została kupiona. Było to zasługą Melisandy.

A diament... diament był jej darem.

W końcu wniosek przeszedł minimalną większością głosów, zgodnie z moimi przewidywaniami. Przedstawiciele gildii ulicznej nie mieli nic do stracenia, a świątynia Naamy udzieliła pełnego poparcia. Reforma była niedogodna wyłącznie dla Dworu Nocy, lecz nie na tyle, żeby duejnowie wystąpili przeciwko reszcie sług Naamy.

A zwłaszcza przeciwko mnie, faworycie królowej.

Po posiedzeniu odbyłam rozmowę z Berengerą z Namarry,

kapłanką Wielkiej Świątyni, dziękując jej za poparcie w tej sprawie. Można powiedzieć, że znałam ją od dziecka; była akolityką, gdy po raz pierwszy ślubowałam służyć Naamie. Przy powtórnyim ślubowaniu to ona odprawiała obrzędy.

– Nie ma potrzeby – rzekła krótko, chowając ręce w szerokich rękawach eleganckiej szkarłatnej szaty. – To dobry pomysł. Sprawiałaś się nadzwyczajnie, Fedro nó Delaunay.

– Staralam się. – Zarumieniłam się; chyba każdy jest rad, gdy usłyszy pochwałę z ust przedstawiciela stanu kapłańskiego.

Berengera uśmiechnęła się, mrużąc zielone kocie oczy. Przypomniałam sobie smak miodowego ciastka na języku, jej pocałunek i słońce, które złociło skrzydła mojej ofiarnej gołębiczy, gdy wzlatywała ku okienku w kopule.

– Fedro, służba Naamie jest dla nich pasją i przedmiotem dumy – powiedziała, patrząc za wychodzącymi duejnami Dworu Nocy. – Nie umniejszam tych kwestii, nie zazdroszczę nikomu pieniędzy i chwały. Ale sednem sprawy jest miłość. – Spojrzała na mnie. – Naama postanowiła kłaść się z nieznanymi, dając i otrzymując rozkosz, z tysiąca powodów, oddanie, zachłanność, skromność, doskonałość, niesienie pociechy, geniusz, pokuta, dominacja, pożądanie... – wymieniła atrybuty Trzynastu Domów. – Wszystkie powody są prawdziwe, ale najważniejszym spośród nich jest miłość. Zawsze miłość.

– Wiem – szepnęłam.

Kochałam wszystkich swoich klientów, przynajmniej troszeczkę. Nie rozmawiałam o tym z Joscelinem, bo on by mnie nie zrozumiał. Kiedyś był kapłanem, lecz należał do Kasjela, a Kasjel takich rzeczy nie pojmował. Kapłanka Naamy rozumiała.

– Zapomnieli, w Dworze Nocy – powiedziała. – We wszystkich wielkich Domach, Cereusa, Heliotropu, Waleriany, Jaśminu... nawet Gencjany z ich wizjami. Zapomnieli albo rozumieją tylko część całości. Ty pamiętasz. Zawsze pamiętasz. – Berengera z Namarry

uniosła smukłą rękę i położyła delikatne palce nad moim sercem. – Prawdziwą ofiarę składa się z miłością.

Zadrżałam z pożądania, niemal tak, jakby była moją klientką.

– Pani – zaczęłam, starając się mówić spokojnie – powiedziano mi, że moja ścieżka wiedzie w ciemność. Co widzisz? Czy wolą Naamy jest, żebym cierpiała?

Pokręciła ze smutkiem głową, włosy barwy moreli zalśniły na tle jedwabiu jej szaty.

– Jestem kapłanką, nie jasnowidzącą, Fedro nó Delaunay. Tego nie mogę ci powiedzieć. Wiem tylko, że twoja wiedza naprawdę ci posłuży, jeśli nie boisz się ofiary. – Cofnęła rękę i schowała ją w rękaw. – Kochaj jak wola twoja – zacytowała. – Nawet słudzy Naamy w końcu podążają za Błogosławionym Eluą.

Nie była to zbyt pocieszająca rada.

SZEŚĆ

Gdy Drustan mab Necthana przybył do Miasta Elui, rozpoczęły się uroczystości i uczyty. Joscelin i ja, z Gwiazdą Towarzysza na piersi, wyjechaliśmy mu na spotkanie w orszaku Ysandry. Towarzyszył nam Ti-Filip z Huguesem, który patrzył na wszystko, co się wokół niego dzieje, szeroko otwartymi oczami. Wraz z innymi obrzucaliśmy cruarchę płatkami róż i wzdychaliśmy oczarowani, gdy u bram Miasta mała księżniczka Alais rzuciła się ojcu na szyję. Przyczepiła się do niego jak małpka, nogami obejmując go w pasie, a Drustan z uśmiechem ukrył twarz we włosach córki. Pieszko pokonał połowę drogę do pałacu, choć musiała mu doskwierać wykręcona lewa stopa.

Naprawdę, ten widok rozgrzałby serce z kamienia.

Wiem, że rozgrzał serce Ysandry, i byłam z tego rada. Żaden monarcha nie wstąpił na tron Terre d'Ange w okolicznościach gorszych niż ona i nikt nie sprawował władzy z większą odwagą i miłosierdziem. Jeśli komuś się wyda, że szczędzę pochwał mojej pani, to nie czynię tego ze złej woli. Lepiej niż ktokolwiek inny znam hart ducha Ysandry i nie mogłabym prosić o lepszą władczynię.

Nie, niezadowolenie wyrasta z cieni mojej duszy.

Z własnej woli poddałam się ceremonii *thetalos* na wyspie Kriti, stając twarzą w twarz ze smutkiem i cierpieniem wywołanym przez moje poczynania. Gdybym nie popełniła świętokradztwa, winy zostałyby mi odpuszczone i żyłabym dalej bez ich świadomości. Wiem, bo widziałam, co zaszło w sercu Kazana Atrabiadesa, który był moim przyjacielem –i kochankiem – a wcześniej porywaczem. Ale

dopuszczałam się świętokradztwa i nie uzyskałam rozgrzeszenia. Tajemnica, którą naruszyłam, nie była przeznaczona dla mnie. Dlatego muszę wciąż pamiętać to, co tam zobaczyłam, i żyć w poczuciu winy.

Tak więc przez dziesięć lat nosiłam w sobie tę wiedzę i ból będący jej skutkiem. Teraz niedola Hiacynta rozdarła zagojone rany i blizny na mojej duszy zaczęły krwawić na nowo.

Ilekroć miałam czas, chodziłam do swojego ostatniego sprzymierzeńca pośród Jesuitów, mistycznego uczonego Eleazara ben Enocha.

Współwyznawcy odnoszą się do niego z podziwem i zarazem pogardą. Z podziwem, bo posiada ogromną wiedzę, chociaż jest stosunkowo młody. Z pogardą, ponieważ wciąż spogląda wstecz, rozważając na wpół zapomniane tajemnice, podczas gdy reszta jego ludu z coraz większym natężeniem patrzy na północ i ku przyszłości. To u niego zaczęłam studiować język akadyjski, który, nawiasem mówiąc, jego pobratymcy też mają w pogardzie.

Niesłusznie, jak myślę, i Eleazar podziela moje zdanie. Niewiele języków jest starszych od tego, którym mówią potomkowie rodu z Ur. Ich bohater, Ahzymandias, wyprowadził swój lud z wygnania na pustyni, żeby odzyskać utracone w przeszłości ziemie przodków. Dziś zwą je Khebbel-im-Akad, Akad Odrodzony. Akadyjczycy i Jeszuici byli kiedyś spokrewnieni, gdy Dzieci Yisraela zwały się ludem Habiru; ich język do dziś zachował tę nazwę. Po akadyjskich podbojach Dzieci Yisraela rozproszyły się jak liście na wietrze, ich dwanaście plemion się rozpadło, dziesięć z dwunastu zaginęło, a ojczysty język zatracił pierwotną czystość.

W każdym razie tak powiadają.

Gdy nowo powstałe cesarstwo Persji rozgromiło Akadyjczyków, dwór królewski z Ur uciekł w głąb Umajjatu, gdzie przyszedł im z pomocą kalif. Tam uchodźcy przestrzegali przez tysiąc lat dawnych tradycji, pielęgnowując język i zemstę. Eleazar ben Enoch uważał, że w

zamierzchłej przeszłości Akadyjczycy wyrosli z tego samego pnia, co Dzieci Yisraela. Ich bóstwo zwało się El, czyli Bóg, którego prawdziwe Imię jest niepoznawalne. Obecnie Jeszuici, skupieni na wierze w Jezusę ben Josefa, mniej myślą o Imieniu Boga, a Akadyjczycy niewiele dbają o Ela, gdyż zgodnie z wizją Ahzymandiasa podbili Persję w imię Szamasza, Lwa Słońca.

Jednakże Eleazar ben Enoch, Jeszuita mieszkający w Mieście Elui, całym sercem oddał się Bogu Jedynemu i kokietował Go głębokimi medytacjami, poszcząc i recytując hymny w języku habiru i akadyjskim, szukając w nich słowa, Pierwszego Słowa Stworzenia, które powołało świat do istnienia – ono bowiem, jak wierzył, było Imieniem Boga.

Bywałam z nim, gdy to robił, bo zostaliśmy przyjaciółmi, Eleazar i ja. Klęczałam *abeyante* na matach w jego pokoju modlitw, jak dawno temu nauczono mnie w Dworze Nocy, siedząc na piętach z ułożoną dokoła aksamitną spódnicą. Eleazar, też na klęczkach, kołysał się w przód i w tył, śpiewając silnym głosem. Czasami wstawał i tańczył, wzięwszy się pod boki. Podskakiwał i obracał się, jego chude nogi pląsały pod czarną szatą, gdy wirował z głową zadartą w religijnej ekstazie.

Wyglądał wtedy zabawnie; jego żona Adara starała się ukryć uśmiech, gdy w tym momencie wchodziła do pokoju. Przynosiła mężowi wodę i chrupiący chleb świeżo kupiony na targu, bo Eleazar po zakończeniu postu miał wilczy apetyt. Co dobrze o niej świadczy, nie miała nic przeciwko jego znajomości z najsłynniejszą kurtyzaną w Mieście Elui.

– Ojczy narodów! – wysapał Eleazar w habiru. – Panie boskiego oblicza! Wysłuchaj mnie, swego nędznego wyznawcę, i nagródź widokiem swojego tronu! Ach! – Zesztywniał, klęcząc z rozrzuconymi ramionami. – *Abu* – szepnął, przechodząc na akadyjski – *Abu El, anaku basu kussu*. Boże, Ojczy mój, pozwól mi stanąć przed twym tronem.

Błogość rozjaśniła jego twarz, zwichrzone końce czarnej brody zadrżały. Klęczałam cierpliwie i patrzyłam, podczas gdy Eleazar ben Enoch opadał powoli z jeszuickiego nieba, wracając na ziemski padół. Gdy otworzył brązowe oczy i potrząsnął głową, zrozumiałam, że wrócił z pustymi rękami.

– Nie mam Imienia.

Wyrzekł te słowa z rytualnym smutkiem. Eleazar ben Enoch wierzył, że ogląda Boga w swoich podróżach i że pewnego dnia powróci ze Świętym Imieniem wypisanym w sercu.

Pokiwałam głową i ukloniłam się nisko.

– Jestem bardzo wdzięczna za twoje starania, ojcze – powiedziałam formalnie.

Eleazar westchnął i usiadł ze skrzyżowanymi nogami, jego kościste kolana mocno napięły szatę.

– Jeszuo, zniknij się nad nami – rzekł ze smutkiem. – Straciliśmy ten dar, gdy podążyliśmy za Masziachem. On zesłał swego Syna, żeby odkupił zerwane przez nas przymierze. – Popatrzył na oderwany kawałek chleba jak na cudowne zjawisko. Położył go na języku i przeżuwał powoli. – Jest powiedziane... – przełknął kęs – że jedno plemię nigdy nie zawiodło, i jest to płomień Dana. – Eleazar pokręcił głową. – Adonai jest litościwy, Fedro – rzekł cicho – i dla nas zesłał swojego Syna, Jeszue ben Josefai. Ujrzałem w przelocie Jego tron, Jego wszechmogącą stopę, nic więcej. Co do reszty, jest Jezua. – Uśmiechnął się, jego twarz wyrażała radość przemieszana ze smutkiem. – Nasze odkupienie zależy od jego poświęcenia. Nie sądzę, żeby Adonai zdradził swoje Święte Imię komuś spośród Dzieci Yisraela. Może wyjawi je dziecku Elui.

– Elui! – mój głos brzmiał gorzko. – Adonai niewiele dba o swego nieprawego potomka Eluę, który przez sto lat wędrował w zapomnieniu, podczas gdy Adonai opłakiwał twojego Jeszue. Nie sądzę, żeby zdradził swoje Imię komuś takiemu jak ja.

– Może zatem ma je w pieczy plemię Dana. – Eleazar, zmęczony

długą modlitwą, zignorował mój ostry ton. – Jeśli zdołasz je odnaleźć.

Nie odpowiedziałam. Wszyscy Jeszuci znają mit o zaginionych plemionach. Większość z nich wierzy, że poszły na północ, za jałowe stepy, gdzie ma powstać państwo gotowe na przyjęcie Jeszui. Nie wiem, czy to prawda. Wiem tylko, że w pismach habiru sprzed przyjścia Jeszui plemię Dana nie jest wymieniane wśród tych, które odeszły.

– A może Pierścień Szalomona leży zapomniany na dnie mojej szkatułki z biżuterią – powiedziałam – choć nie sądzę. – Wstałam, ganiąc się w duchu za nietaktowną uwagę, i pocałowałam go w policzek. – Nie zaprzestawaj poszukiwań, Eleazarze. Twój Bóg ma szczęście, że ktoś służy mu z takim oddaniem.

Pokiwał głową, odrywając i wsuwając do ust następny kawałek chleba. Zostawiłam go, żującego z zadumą, ze wspomnieniem chwały rozświetlającym jego szczupłą twarz. Adara odprowadziła mnie do drzwi, gdzie włożyłam w jej ręce sakiewkę z monetami.

– Dar z wdzięczności za waszą gościnę. – Tak mówiłam po każdej wizycie. Eleazar nigdy nie przyjąłby sakiewki – a gdyby nawet, oddałby ją w ciągu godziny – Adara jednak знаła cenę chleba i tego, co było potrzebne, żeby jej mąż mógł spokojnie kontynuować medytacje.

– Zawsze jesteś mile widziana w naszym domu, pani. – Jej uśmiech promieniał. – Myśl, że twój przyjaciel cierpi z powodu okrucieństwa Rahaba, rozdziera mu serce.

Taka jest beztroska bogów, myślałam w drodze do domu, a my jesteśmy wobec niej bezsilni. Nawet tutaj, w błogosławionym królestwie, gdzie Elua i jego Towarzysze dali nam niedościgłe dary wdzięku, piękna i wiedzy, płodząc muzyków i chirurgów, architektów i skutników, malarzy, poetów i tancerzy, rolników i hodowców winorośli, wojowników i dworzan, nie ma mocy potrzebnej do zdjęcia dawnej klątwy, którą rzucił potężny sługa Boga Jedynego. Cała miłość

w moim sercu była tylko cichym, nieistotnym drobiazgiem w obliczu potęgi zapiekłej nienawiści Rahaba. I skąd ta nienawiść? Stąd, że Pan Głębiny pokochał kobietę, a ona kochała innego.

Błogosławiony Eluo, modliłam się, tak być nie powinno. Jeśli istnieje jakiś sposób, pozwól mi go znaleźć, bo nie dożyję w spokoju końca swoich dni. Nie sądzę, bym mogła śmiać się i cieszyć, żyć i kochać ze świadomością, że Hiacynt wznosi wiatr i fale, patrzy w lustro i czeka, aż czas przemieni go w parodię człowieka. Dokądkolwiek biegnie ścieżka, podążę nią. Jakakolwiek jest cena, zapłacę.

W tym mrocznym ponurym nastroju wróciłam do domu. Joscelin i Ti-Filip czekali na mnie z poważnymi minami w salonie. Młodego Huguesa i służby nie było w polu widzenia. Przystanąłam, zastanawiając się, dlaczego stoją ramię w ramię przed niskim stołem.

– O co chodzi?

Joscelin przesunął się, wskazując zapieczętowany list leżący na stole. Nie było to nic niezwykłego, bo otrzymywałam korespondencję prawie codziennie – listy, propozycje spotkania, zaproszenia, poematy miłosne.

– Dostarczył go kurier z La Serenissimy.

Allegra Stregazza czy może Severio? Oboje pisywali do mnie od czasu do czasu, a Joscelinowi nie za bardzo podobała się moja przyjaźń z Severiem, gdyż nie zapomniał, że kiedyś, krótko, brałam pod uwagę jego propozycje małżeństwa. Joscelin wyrzekł się zazdrości, lecz nawet on był mężczyzną.

To jednak nie tłumaczyło miny Ti-Filipa.

Jasny welin lśnił na tle ciemnego, polerowanego drewna, drobnoziarnisty i gładki, opatrzony wielką pieczęcią z poślaczanego wosku. Uklękłam i podniosłam list, żeby obejrzeć herb odcisnięty w pieczęci.

Ręce mi zadrżały i upuściłam pismo, nie mogąc oderwać od niego wzroku.

Korona z gwiazd, Korona Aszery, która zdobi pieczęć Doży i drzwi świątyni Aszery z Morza. A pod nią trzy miniaturowe splecione klucze – herb rodu Szachrizaj.

List przysłała Melisanda Szachrizaj.

SIEDEM

Biorąc głęboki oddech, złamałam pieczęć i otworzyłam list.

W pokoju panowała martwa cisza, gdy go czytałam. Joscelin i Ti-Filip spoglądali na siebie nad moją głową, nie mając odwagi mi przerywać pytaniami. List był krótki, tylko parę linijek skreślonych eleganckim charakterem pisma Melisandy. Wszędzie i zawsze bym je poznała. Widywałam je w dzieciństwie w domu Delaunaya, gdy prowadzili ożywioną korespondencję, jako przyjaciele i rywale. Zobaczyłam je w osadzie skaldyjskiego wojownika Waldemara Seliga, ze zgrozą uzmysławiając sobie ogrom jej zdrady.

Teraz czytałam list we własnym domu, a kiedy skończyłam, odłożyłam go na stół i przycisnęłam złączone palce do ust.

– Na Eluę! – Ti-Filip nie zdołał się pohamować. – Czego chce ta dziwka? Popatrzyłam na niego i odparłam krótko:

– Mojej pomocy.

– Co takiego? – zapytał z niedowierzaniem Joscelin. Podniósł list i przeczytał go, podał Ti-Filipowi i opadł na krzesło. Patrzył na mnie z otwartymi ustami, kręcąc głową. – Nie. Oszalała. Na pewno oszalała!

Droga Fedro – pisała w liście – zwracam się do Ciebie z prośbą o pomoc w sprawie najwyższej wagi. Nikomu innemu nie mogę zaufać. Przysięgam Ci, na imię Kusziela, że nie jest to podstęp i w żaden sposób nie narazi na szwank Twojej lojalności. Przybądź szybko do La Serenissimy, a wszystko wyjaśnię.

Usłyszałam stłumione przekleństwo Ti-Filipa, gdy skończył czytać.

– Nie – powtórzył Joscelin, choć się nie odezwałam. Rumieńce

wracały na jego policzki. – Fedro, nie możesz brać tego pod rozwagę. Obojętnie, o co chodzi, to musi być jakaś sztuczka.

– Nie. – Popatrzyłam na popiersie Anafiela Delaunaya stojące na cokole z czarnego marmuru. Mój pan Delaunay odpowiedział spojrzeniem, milczący jak zawsze, z cierpką czułością na surowym obliczu. Wspomniałam, jak po raz pierwszy ujrzałam Melisandę w sali ćwiczeń, jak dotknęła mojej twarzy, a pode mną ugięły się nogi. Była jedyną osobą, której mnie pokazał, zanim rozpoczęłam służbę Naamie. Kiedyś byli przyjaciółmi i kochankami. Gdyby nie jej zdrada, Delaunay żyłby do dzisiaj, podobnie jak wielu, bardzo wielu innych ludzi. Nigdy nie miałam odwagi zliczyć tych, którzy zginęli wskutek knowań Melisandy. – Przysięgła na imię Kusziela. Nawet Melisanda ma zasady.

– Nawet o tym nie myśl. – W głosie Joscelina brzmiał ostry ton, jakiego nie słyszałam od ponad dziesięciu lat. Łzy zaszczypały mnie w oczy i spojrzałam na niego, głośno przełykając ślinę.

– To sen Sibeal, nie widzisz? I wizja Hiacynta. Joscelinie, nie udaję, że rozumiem, ale muszę jechać.

Milczał przez chwilę.

– Pozwolisz, żeby znów założyła ci swoją smycz.

– Nie. – Podniosłam ze stołu list rzucony przez Ti-Filipa, potarłam kciukiem woskową pieczęć. – Melisanda przebywa w świątyni Aszery. Nie jest wolna, nie może rościć sobie do mnie żadnych praw. A ja nie proponuję jej tego co kiedyś.

– Melisanda Szachrizaj nie potrzebuje wolności, żeby wysuwać roszczenia wobec ciebie – szepnął Joscelin. – A ty nie musisz niczego oferować. Myślisz, że tego nie wiem?

– Joscelinie. – Odłożyłam list i potarłam skronie. Bardzo bolała mnie głowa. – Co według ciebie mam zrobić? Zostać tutaj i powoli popadać w szaleństwo, myśleć o Hiacyncie i spędzać dni na błaganiu, żeby jakiś biedny, nawiedzony przez Boga mistyk natknął się w końcu na Święte Imię? Nie chcę widzieć Melisandy, Błogosławiony Elua

świadkiem, wcale nie chcę jej pomagać! Ale sny i wizje wskazały tę drogę, a ja modliłam się do Elui, żeby mi ją pokazał. Moje modlitwy zostały wysłuchane, list jest tego znakiem. Co mam zrobić? Wyrzucić go? – Opuściłam ręce na kolana i pokręciłam głową. – Nie mogę.

– Ja pojedę. – Słowa Ti-Filipa zabrzmiały szorstko. – Cygan powiedział, że ścieżka będzie mroczna. Ha, nie boję się ciemności. – Odchrząknął. – Nie wyobrażam sobie, żeby spotkało nas coś gorszego niż wcześniej, pani. I nie obawiam się o twoje spotkanie z Melisandą Szachrizaj. Cokolwiek jest pomiędzy wami, dwa razy stawiałaś jej czoło i dwa razy wygrałaś. – Spojrzał na Joscelina. – Ludzie o tym zapomnieli.

– Nie zapomniałem! – Joscelin podniósł głos. W dawnych czasach często się kłócili; teraz robili to po raz pierwszy od naszego pobytu w La Serenissimie. – Po prostu nie wierzę, by czyjeś szczęście trwało wiecznie, nawet Fedry. I jeśli myślisz, kawalerze, że widziałeś wszystko, co świat skrywa w mroku, to grubo się mylisz.

– Tylko dlatego, że nie jestem kasjelitą, który spędza niezliczone godziny na medytacjach o potępieniu...

– Dość! – przerwałam im, zanim sprzeczka nabrała rumieńców. – Joscelinie – przeszylam go wzrokiem – zamierzam to zrobić. Czy chcesz mi towarzyszyć?

Jego twarz wykrzywił uśmiech.

– Przysięgłem. Na wieczne potępienie i dłużej – dodał, rzucając jadowite spojrzenie Ti-Filipowi. – Choć wolałbym potępienie od przebywania pod jednym dachem z Melisandą.

– Pani, będziesz pod lepszą ochroną, jeśli... – zaczął Ti-Filip.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Filipie, cenię twoją odwagę i wierność bardziej, niż mogę wyrazić słowami. Ale jeśli jest ktoś, kogo potrzebuję u swego boku, to tylko Joscelin. Ty jesteś potrzebny tutaj. Muszę wiedzieć – dodałam łagodnie – że ktoś będzie palił lampy, wypatrując naszego powrotu.

Łzy zakręciły się w oczach Ti-Filipa.

– Pani, wiesz, że w twoim imieniu zmierzyłbym się z każdym niebezpieczeństwem.

– Wiem. Proszę, żebyś tego nie robił, i być może to jest trudniejsze. – Roześmiałam się. – Tak czy siak, o czym my mówimy? Wiosenna podróż do La Serenissimy? Pojedziemy i w miesiąc będziemy z powrotem. Błahostka, w porównaniu z dawnymi niebezpieczeństwami.

– Nie ma błahych niebezpieczeństw, gdy w grę wchodzi Melisandą
– Mruknął Joscelin. – Niezależnie od tego, czy ma swobodę ruchów, czy nie.

Ysandra, co było do przewidzenia, nie kryła niezadowolenia. Musiałam jej powiedzieć, uznałam bowiem, że tyle jestem winna swojej królowej. Patrzyła na mnie gniewnie i krążyła po przytulnym salonie; jej nastrój i zachowanie bardziej pasowały do oficjalnych komnat. Stałam cierpliwie i przeczekiwałam jej złość, rada z obecności Joscelina u mojego boku. Nie wiedzieć czemu Ysandra była przekonana, że on nie jest zdolny do zrobienia głupstwa. Moim zdaniem grubo się myliła. Nie było jej na mrocznej wyspie, gdy Joscelin przeszedł pod wiszącym mostem i w pojedynkę, uzbrojony tylko w sztylety, zaatakował więzienną fortecę La Dolorosę. No cóż, jeśli Ysandra de la Courcel uważała, że kasjelita jest mniej lekkomyślny niż kurtyzana, jej sprawa. Ja wiedziałam swoje.

Drustan mab Necthana siedział w milczeniu, z powagą i zadumą w ciemnych oczach. Pożeglował do Trzech Sióstr, wiedziony przez sen Sibeal; wiedziałam, że on nie sprzeciwi się mojemu wyjazdowi.

– Pięknie – powiedziała w końcu Ysandra z irytacją, zatrzymując się przed nami. – Jedź. Kiedyś próbowałam coś ci wyperswadować i nie miałam racji. Przysięgam, że nigdy więcej tego nie zrobię. Pamiętaj jednak, że Melisanda zwodziła cię przez cały czas i tylko dzięki błogosławieństwu Elui nie straciliśmy życia. Jeśli uważasz, że teraz jest inaczej, popełniasz ten sam błąd. – Spojrzała na mnie. – Czy

masz choć znikome pojęcie, jaką grę prowadzi tym razem?

– Nie – odparłam spokojnie, zaciskając dłonie, żeby ukryć ich drżenie. Wcześniej zawsze wiedziałam. Być może źle oceniałam jej posunięcia – z niemal fatalnym skutkiem, jak zauważyła Ysandra – ale rozumiałam charakter jej gry. Teraz nie mogłam odgadnąć. *Zwracam się do Ciebie z prośbą o pomoc...* Szukanie pomocy nie leżało w charakterze Melisandy, więc już samo to mnie niepokoiło. – Gdy się dowiem, powiadomię cię, obiecuję.

– Eluo... – Ysandra westchnęła i niespodziewanie ujęła moją twarz w dłonie, całując mnie w czoło. – Przysięgam, prawie kuzynko, przyprawiasz mnie o więcej zmartwień niż dziesięciu Szachrizaj i moja córka Alais razem wzięci – powiedziała. – Mój panie kasjelito, zrób wszystko, żeby bezpiecznie sprowadzić ją do domu.

Joscelin uklonił się z cieniem uśmiechu w kąciku ust. Czasami myślę, że tych dwoje rozumie się zbyt dobrze. Drustan podszedł i chwycił mnie za rękę.

– Córki Necthany śnią prawdziwe sny – powiedział. – Moja siostra Moireada znała twój głos, zanim postawiłaś stopę na albijskim brzegu. Będziemy czekać na twój szczęśliwy powrót.

Zatem wyruszyliśmy.

Joscelin i ja przemierzaliśmy ziemię Caerdicca Unitas. Czułam się dziwnie, pokonując tę samą trasę co dziesięć lat temu, gdy pędziliśmy w orszaku Ysandy, rozpaczliwie pragnąc udaremnić ostatni, zabójczy cios Melisandy. Teraz spieszyłam jej z pomocą... ponieważ o to prosiła. W istocie było to bardzo dziwne. W czasie tej podróży słyszeliśmy opowieści o podróży Ysandy w budzącym grozę orszaku Angelinów, którzy niczym wichur mknęli północnym traktem z La Serenissimy do Milazzy. Słuchaliśmy ich w przydrożnych zajazdach i wymienialiśmy spojrzenia, wspominając metaliczny smak strachu w ustach, ból mięśni po długim czasie spędzonym w siodle, a także niekończące się sprzeczki Ysandy de la Courcel i pana Amaurego

Trente.

Tak oto powstają legendy.

Nic znaczącego nie wydarzyło się w czasie podróży mojej i Joscelina, pogoda dopisywała i tylko parę ulew przygasiło naszego ducha. W dzisiejszych czasach północny szlak jest bezpieczny, jak nigdy dotąd. Kiedyś zagrażali mu skaldyjscy jeźdźcy, ale teraz na południowej granicy Skaldii panuje spokój. Wiele plemion utworzyło luźną federację, swobodnie handlując z Caerdicci. W pewien sposób jest to zasługą Waldemara Seliga. Choć jego starania spełzły na niczym – dzięki niech będą Błogosławionemu Elui – był swego rodzaju nowością wśród Skaldów: przywódcą, który myśli. Rozbudził w plemionach ambicję i pragnienie bardziej wyrafinowanych zdobyczy cywilizacji, a poza tym nauczył je, że razem mogą osiągnąć cel niedostępny w pojedynkę. Rozgromieni przez D'Angelinów Skaldowie stali się ostrożni i teraz na drodze uczciwego handlu uzyskiwali to, co kiedyś chcieli zdobyć siłą oręża.

Pewnego dnia, jak myślę, spróbują ponownie. Ale na razie panuje pokój.

O La Serenissimie pisałam obszernie gdzie indziej. Wystarczy powiedzieć, że miasto się nie zmieniło. Wciąż jest piękne, pełne światła odbijającego się w wodzie – i pełne smrodu z kanałów. Z tym miastem wiąże się zbyt wiele moich wspomnień, przy czym tylko nieliczne są przyjemne.

W innych okolicznościach zawitałabym albo do pałacu doży, albo do Małego Dworu, i skorzystała z gościny, której z pewnością by mi nie poskąpiono. Choć wydawało się to niewiarygodne, Cesare Stregazza nadal był dożą La Serenissimy. Uznałam, że musiał mieć prawie dziewięćdziesiąt lat, co w jego rodzie jest czymś niesłychanym. Członkowie rodziny Stregazza rzadko cieszą się długim życiem. Zapewne mnie pamiętał, ponieważ dzięki moim wysiłkom zachował tron. Jego młodszy syn Ricciardo administrował

obecnie powszednimi sprawami miasta, przynajmniej tak pisała Allegra. Przypuszczałam, że zastąpi swojego ojca jako doża. Miałam taką nadzieję, był bowiem godny tego urzędu.

Mały Dwór, od trzech lat należący do Severia, został przemianowany na Palazzo Immortali, od nazwy klubu nowego właściciela. Nie brak w nim d'Angelińskich akcentów – jakżeby inaczej, skoro Severio jest wnukiem księcia Benedykta de la Courcel; jednak już nie reprezentuje Terre d'Ange na obczyźnie. Severio ma w żyłach jedną czwartą naszej krwi, lecz jest na wskroś Serenissimczykiem. Kilka lat temu poślubił serenissimską szlachciankę, córkę jednej ze Stu Godnych Rodzin, i wydaje się zadowolony ze swojego losu. Jak zrozumiałam, jego żona nie ma nic przeciwko mniej delikatnym zabawom w sypialni. Dobrze się składa, bo Severio był kiedyś moim klientem, co zaostrzyło mu apetyt.

W czasie tej wyprawy nie chciałam ingerować w życie tych dwóch rodzin. Wciąż nie brakuje goryczy po zdradzie księcia Benedykta i spisku uknutym przez Marka i Marię Celestynę Stregazza – przy czym winą obarcza się głównie D'Angelinów. niesprawiedliwie, jak myślę, bo przecież Marco Stregazza był starszym synem doży, ale...

Za spiskiem stał geniusz Melisandy.

Ja zaś jechałam do La Serenissimy w odpowiedzi na jej prośbę o pomoc.

Zatrzymaliśmy się z Joscelinem w jednym z najlepszych zajazdów w pobliżu Campo Grande. La Serenissima jest miastem przede wszystkim handlowym, więc obecność dwojga D'Angelinów nikogo nie dziwiła. Poranne słońce migotało w wodzie Wielkiego Kanału i krzeszło złote iskry na kopule świątyni Aszery, gdy spoglądałam z balkonu na rojny targ na placu. Dziwne, że przyszła mi do głowy tylko jedna myśl i zbudziła echa wspomnień. Joscelin stanął obok mnie i patrzyliśmy, myśląc o tym samym.

– Tam – powiedział, wyciągając rękę. – Tam stał kram handlarza papugami z Dżebe–Barkal. Pamiętasz?

– Jeszuita. Immortali chcieli go pobić. Ti–Filip wyszedł z potyczki z rozkwaszonym nosem. – Ściągnęłam brwi. – Jak to się stało, że bronieś kramu z papugami?

– Nie pamiętam. – Oparł się o balustradę, przęzając ramiona. – Eluo, ależ był ze mnie wtedy idiota! To cud, że mi wybaczyłaś.

– Nie. – Położyłam dłoń na jego przedramieniu. – Oboje wykazaliśmy się głupotą, a ja na dodatek okrucieństwem. Misja zaślepiała mnie do tego stopnia, że nie dbałam o to, jak bardzo cię krzywdzę. Nauczyłam się delektować tym bólem. Nazwij to głupotą *anguisette*.

Joscelin spojrział na targ.

– Tylko, że ty miałaś rację, podczas gdy ja uważałem, że szukasz wiatru w polu. I byłem zbyt dumny, by przyznać, jak bardzo się bałem, że cię tracę. Byłoby inaczej, gdyby nie ta duma.

– No cóż. – Wsparłam głowę na jego ramieniu. – Dzięki Elui, jesteśmy trochę starsi i trochę mądrzejsi. Cokolwiek się stanie... – Odsunęłam się, żeby spojrzeć mu w twarz. – Joscelinie, wiesz, że nigdy cię nie zostawię.

– Wiem – odparł cicho. – Wiem, Fedro. Ale boję się tego, co łączy cię z Melisandą, ponieważ jest w tym ręka Kusziela. Jesteś jego Wybranką, a on naznaczył cię jako swoją... ja zaś jestem tylko służką Kasjela, nic więcej. Kim jestem wobec kogoś, kto był Karzącą Ręką Boga?

Kasjel jako jedyny spośród Towarzyszy Elui nie przyniósł żadnych darów i nie pragnął ziemskiej władzy. Żadna prowincja nie nosi jego imienia, nie zostawił też po sobie śmiertelnych potomków. Ku jego czci istnieją tylko bracia kasjelici, średni synowie, zaprzysiężeni do ślepej wierności. Istotnie, czym było to wobec okrutnej i miłosiernej potęgi Kusziela, pana pokuty, strażnika brązowych wrót piekła? Niełatwo być Wybranką Kusziela.

– Miłość – powiedziała do Joscelina. – Tylko miłość. A jeśli to nie wystarczy, Eluo, dopomóż nam wszystkim.

Joscelin zadrżał i objął mnie mocno.

OSIEM

Poszliśmy do świątyni Aszery z Morza.

Jeśli kapłanki wiedziały, kim jestem, to tego nie okazały. Dziwnie było stanąć we właściwej świątyni i spojrzeć na ogromny posąg bogini. Wyrzeźbiona w kamieniu Aszera patrzyła przez otwartą przestrzeń, otoczona wznoszącymi się i opadającymi falami. Kiedyś stałam na balkonie naprzeciwko i udawałam jej głos, żeby nie dopuścić do namaszczenia zdrajcy na jej umiłowanego, dożę La Serenissimy.

Wezwana Wybranka przyszła nas powitać, jej bose stopy cicho szurały po posadzce, szklane paciorki lśniły na nitkach srebrnego woalu. Ukłoniła się i błękitne szaty zafalowały pod srebrną siateczką.

– Pani Melisanda przyjmie was.

Poszłam z Joscelinem za kapłanką, której towarzyszyło dwóch świątynnych eunuchów z ceremonialnymi włóczyniami. Wspomniałam, jak kiedyś jeszuicka dziewczyna Sara zastrzeliła eunucha z kuszy, jak ludzie Kazana zabili innych w łózkach, i mimowolnie zadrżałam.

Tę krew także miałam na sumieniu, krew niewinnych.

Przemierzaliśmy liczne korytarze, droga była dłuższa niż wtedy, gdy byłam tutaj z Ysandrą. Już wtedy kapłanki Aszery odnosiły się do Melisandy jak do królowej na wygnaniu. Po dziesięciu latach jej pozycja musiała się jeszcze bardziej umocnić. Nie wątpiłam, że kapłanki uhonorowały jej prośbę o azyl z szacunku, ale też nie miałam wątpliwości, że jego korzenie tkwiły w głębokiej szkatule

Melisandy. Po oskarżeniu o zdradę na mocy edyktu Ysandry jej posiadłości stały się własnością korony, ale zyski zdążyły trafić do banków w La Serenissimie. Jak adepci Domu Przestępu, Szachrizaj dobrze rozumieli, że pieniądź oznacza władzę – Melisanda, nawet pokonana, zdołała ocalić swoje fundusze.

Słudzy dwa razy zapukali w wielkie drzwi z połączanymi zawiasami. Otworzyła je akolitka ze spuszczonego wzrokiem. Cichy głos Wybranki zaanonsował nas z akcentem caerdicci:

– Hrabina Fedra nó Delaunay de Montrčve i monsignor Joscelin Verreuil.

Wprowadzono nas do komnat Melisandy.

Słońce wpadało przez okna, które wychodziły na wewnętrzny dziedziniec, i przyjemnie ogrzewało wnętrze. Stały tam niskie kanapy i stół nakryty z niewymuszoną elegancją, jak w każdym d'Angelińskim salonie, a kwitnące krzewy w donicach przesycały powietrze miłą wonią.

Gdzieś w pobliżu szemrała fontanna.

Melisanda Szachrizaj stała, czekając na nas.

Jej widok uderzył mnie niczym fala przyływu, zapierając dech w piersi. Wróciły dawno pogrzebane wspomnienia, a pierwszym wśród nich była gorzka, długotrwała nienawiść. Nikt nigdy nie zdradził mnie bardziej okrutnie ani nie zranił głębiej, – i nie mogłam na nią patrzeć bez przypominania sobie mojego pana Delaunaya, jego surowych rysów zastygłych w chwili śmierci, ciemnej krwi zlepiającej kasztanowy warkocz.

I pomimo tego, co nas dzieliło, pomimo wspomnienia tych strasznych chwil, gdy jej ręce błędziły po moim ciele, zmuszając je do reakcji na przekór pękającemu, krwawiącemu sercu... mimo to odczuwałam pożądanie.

Liczyłabym na zbyt wiele, gdybym sądziła, że lata okażą się niełaskawe dla urody Melisandy Szachrizaj.

Jej piękno, które dziesięć lat temu skrzyło się niczym krawędź

diamentu, dojrzało z wiekiem, zyskując bogatszą, bardziej aksamitną głębię. Melisanda na czas naszego spotkania zdjęła Welon Aszery. Twarz miała bladą, ale jej rysy zachowały dawną śmiałą symetrię, oczy nie straciły barwy szafirów o zmierzchu, rozpuszczone włosy spływały w falistej kaskadzie granatowej czerni, a figura była niemal posągowa.

Jednak, gdy przemówiła, jej melodyjny głos zdradzał rezerwę.

– Fedro – powiedziała z poważną miną – nie wiedziałam, czy przybędziesz.

Przestąpiłam z nogi na nogę, świadoma obecności u mojego boku Joscelina i jego miłości. To według niego ustawiała się igła kompasu mego serca.

– Nie przybyłabym, pani – odparłam z udawaną lekkością – gdyby chodziło tylko o twoją prośbę. Ale, rozumiesz, w grę wchodzi proroctwo.

– Ach. – Jedna sylaba. Jej mina nic nie zdradzała. Skinęła głową Joscelinowi. – Messire Verreuil. – Ostatnim razem, gdy się spotkali, groził jej mieczem. Tych dwoje nienawidziło się z całego serca.

– Lady Szachrizaj. – Głos Joscelina był obojętny, jego ukłon nieskazitelny. Tym razem nie miał broni. To, co przystało rycerzowi królowej, było niestosowne w czasie prywatnej wizyty w świątyni Aszery.

– Siądźcie, proszę – powiedziała Melisanda, wskazując kanapy. Sama zajęła miejsce naprzeciwko, podziękowała kapłance i odprawiła ją razem z eunuchami. Odeszli, dyskretni jak dobrze wyszkolona służba. – Z pewnością zastanawiasz się, dlaczego cię wezwałam – powiedziała bez wahania.

– Tak – odparłam. – Zastanawiam się.

Melisanda odetchnęła głęboko. Jej spojrzenie ześliznęło się z mojej twarzy, zamysłona, utkwiała wzrok w jakimś punkcie za moimi plecami.

– Mój syn zaginął.

Powstrzymując wybuch śmiechu, chyba cicho parsknęłam mimo woli.

– Pani, to stare dzieje. Twój syn zaginął dziesięć lat temu.

Popatrzyła na mnie z cieniem zniecierpliwienia.

– Nie mnie.

Zrozumienie jej słów zajęło mi całą minutę. Gdy wreszcie pojęłam, co powiedziała, miałam wrażenie, że świat przekręcił się pod moimi nogami. Joscelin drgnął obok mnie.

– Chcesz powiedzieć... – Przełknęłam ślinę i podjęłam, ostrożnie dobierając słowa: – Mówisz, że nie wiesz, gdzie on jest. Twój syn.

– Tak. – Melisanda pokiwała głową. – Tak mówię.

Wtedy jednak roześmiałam się z niedowierzaniem.

– No proszę. – Bezwiednie podniosłam się z kanapy i zaczęłam chodzić po pokoju. – Twój syn, którego przez dziesięć lat ukrywałaś przed światem, zaginął. A ty siedzisz tutaj, otoczona przez fontanny i eunuchów. Ostrzegano cię, pani. Sama Ysandra de la Courcel cię ostrzegła, dziesięć lat temu. Nie zgodziłaś się oddać go pod jej opiekę, odmówiłaś miejsca przynależnego mu jako księciu krwi i potomkowi rodu Courcel. Zamiast tego miałaś zamiar uczynić z niego broń, którą mógłby podjąć każdy, kto chciałby jej użyć. – Przegarnęłam włosy. Spostrzegłam, że mówię coraz szybciej. – I doczekałaś się. To było nieuniknione. Czego chcesz ode mnie, pani? Czego?!

Melisanda patrzyła na mnie, siedząc bez ruchu.

– Chcę, żebyś go odnalazła.

Stanęłam jak wryta.

– Ja? Dlaczego?

– Ponieważ to potrafisz – odparła zwięźle. Zaśmiałam się znowu, patrząc na nią.

– Tak? A czemuż to miałabym ci pomagać?

Coś niezgłębionego pojawiło się w jej szafirowych oczach.

– Chłopiec nie jest niczemu winny.

– Nie. – Pokręciłam głową, wzywając siłę woli, której, jak

wiedziałam, bardzo mi brakowało. – Nie – powtórzyłam pewniej. – Pani, wybacz, ale to nie wystarczy. – Czułam obecność Joscelina, solidną jak mocny uścisk. – Jako człowiek współczuję ci, pani, lecz nie jestem ani twoją sojuszniczką, ani sługą, żeby pomagać ci w tej sprawie. Przysięgłam wierność Ysandrze de la Courcel i dotrzymam słowa. Zapytam więc ponownie: dlaczego miałabym ci pomóc?

W ciszy, jaka zapadła, odliczyłam trzy powolne, miarowe uderzenia serca.

A potem Melisanda strzaskała mur mojej woli.

– Szukasz Imienia Boga. Mogę ci powiedzieć, gdzie można je znaleźć.

Usłyszałam, jak Joscelin gwałtownie zaczerpuje tchu. Czułam, jak przez mgłę, że nogi uginają się pode mną. Patrzyłam w piękną, nieprzejechaną twarz Melisandy.

– Nie wiesz – powiedziałam drętwo i niemądrze. – Nie możesz wiedzieć.

Melisanda nawet nie mrugnęła okiem.

– Trzydzieści lat temu Anafiel Delaunay rozpoczął dochodzenie w sprawie Pana Cieśniny. Sądzisz, że nigdy się nie zastanawiałam dlaczego? – Uśmiechnęła się cierpko. – Z początku się myliłam. Myślałam, że zabiega o pomoc Maelcona Uzurpatora, żeby umocnić tron Ysandry. Ja bym tak zrobiła i tak właśnie postąpiła Lyonetta de Trevalion, próbując zdobyć koronę dla swojego syna Baudoina. Choć nie miałam racji... – jej rysy stwardniały – wiedziałam, czego szukał, i podążyłam jego tropem. Gdy twój cygański przyjaciel zapłacił za rozwiązanie zagadki, wiedziałam, że będziesz kontynuować poszukiwania, chcąc znaleźć klucz, który zapewni mu wolność.

Usiadłam, wiedząc, że szok, który mnie ogarnął, rezonuje w Joscelinie.

– I chcesz powiedzieć, że ty go znalazłaś?

– Nie. – Melisanda lekko, niemal współczująco pokręciła głową. – Nie znalazłam klucza. Ale wiem, gdzie można go znaleźć. Jesteś zbyt

podobna do Anafiela, Fedro, angażując się w akademickie poszukiwania. Ja nauczyłam go wykorzystywać ludzi i myślałam, że zrobiłam to dobrze, gdy szkolił ciebie i Alcuina na szpiegów w służbie Naamie. I wyszkolił was dobrze, ale nie wystarczająco. Choć wykorzystywał was oboje, gardził kupowaniem obcych oczu i uszu. – Odetchnęła głęboko. – W przeciwieństwie do mnie. Poza tym ja miałam więcej czasu. Szukasz plemienia Dana, prawda?

– Tak – przyznałam z bólem w sercu.

– Powiem ci, gdzie można je znaleźć, jeśli ty odnajdziesz mojego syna, Imriela.

Krew szumiała mi w uszach jak mosiężne skrzydła, czerwona mgiełka przysłoniła oczy. Ujrzałam oblicze Kusziela, okrutne i współczujące. W jednej ręce trzymał mosiężny klucz, w drugiej diament na aksamitnej Wstążeczce... Czułam na sobie spojrzenie Melisandy. Czułam nacisk na ladgarstki, twarde niczym kajdany – dłonie Joscelina.

– Nie – szepnął. – Fedro, nie rób tego.

Zamrugalam, szkarłatna mgiełka się przerzedziła. Melisanda patrzyła na mnie wyczekująco.

– Dlaczego? – zapytałam. – Dlaczego? Elua wie, pani, że wciąż masz swoich szpiegów. Zaprzecz, a wyjdę niezależnie od tego, jaką przynętą będziesz mnie kusić.

– Mam szpiegów. – Melisanda leciutko skrzywiła usta. – Myślisz, że nie próbowałam, Fedro nó Delaunay? Nic nie znaleźli. Ktokolwiek zabrał mojego syna, prowadzi przebiegłą grę. – Powiodła wzrokiem po swym luksusowym więzieniu. – A ja siedzę tutaj, otoczona przez fontanny i eunuchów. Gdybym była wolna... – Pokręciła głową. – Nie mogę jechać do Terre d'Ange. Nie jawnie. Potrzebuję kogoś, kto będzie moimi oczami i uszami. Potrzebuję kogoś, kto będzie umiał prowadzić grę równie głęboką i dobrze zakonspirowaną jak ten, kto zabrał Imriela. Tylko ty się do tego nadajesz.

Popatrzyłam na Joscelina, który powoli rozluźniał palce zaciśnięte

na moich rękach.

– Nie pytaj – burknął. – Przysięgłem. Wiesz o tym.

– Nie zrobię niczego, co byłoby sprzeczne z wolą mojej królowej – powiedziałam do Melisandy.

– Oczywiście. – Pochyliła głowę. – Proszę cię, żebyś odnalazła mojego syna. Czy Ysandra nie prosiła o to samo?

– Tak. – Wytrzymałam jej spojrzenie. – Wiesz, że będę zobowiązana oddać go królowej. Zawsze chciała mieć go pod swoim dachem. Cokolwiek knujesz... – Pokręciłam głowę. – Nie przyłożę do tego ręki. Jeśli go odnajdę, przyślę ci wiadomość, ale najpierw powiadomię o wszystkim królową.

Pokiwała głową.

– Niczego innego się nie spodziewałam. Zgadzasz się?

Przegarnęłam włosy palcami.

– Czy przysięgniesz – zaczęłam z determinacją – na imię Kusziela i Błogosławionego Elui, że nie oszukałaś mnie w żadnym szczególe?

– Gdybym mogła. – Melisanda uśmiechnęła się z gorzką ironią. – Przysięgam.

– Zrobię to – powiedziałam.

Cichy plusk fontanny splótł się z westchnieniem Joscelina.

DZIEWIĘĆ

– Tutaj. – Palec Melisandy wskazał sanktuarium Elui na mapie. Przygryzłam język, żeby powstrzymać się od okrzyku. Spojrzała na mnie. – Tak. Tak blisko.

Przez dziesięć lat jej syn – Imriel de la Courcel, księżę krwi, trzeci z kolei kandydat do tronu – był wychowywany w sanktuarium Elui na południu Siovale, niespełna trzy godziny jazdy od mojej posiadłości Montrčve.

– A nie mówiłem, że powinnaś spędzać tam więcej czasu? – mruknął Joscelin.

Obrzuciłam go pełnym złości spojrzeniem.

– Nie. – Melisanda przesunęła palec na północ od Montrčve, pokazując inne sanktuarium. – Dla praktyk religijnych pojechałbyś tutaj, jak myślę. Landras leży za daleko, żeby obrócić w jeden dzień. Starannie dokonałam wyboru.

– Pod naszym nosem – powiedziałam pełna podziwu dla zuchwałości jej planu. – Albo prawie. Gdzie był, gdy przeszukiwaliśmy Mały Dwór?

– Ukryty w świątyni Elui – odparła rzeczowo, bez cienia satysfakcji. – Ludzie Ysandry nie przeszukali świątyni, tylko wypyтали kapłana.

– Który skłamał dla ciebie – powiedział Joscelin. – Skłamał! A potem przewiózł dziecko przez d’Angelińską granicę, żeby zostało wychowane w tajemnicy w sanktuarium Elui? – Potrząsnął głową. – Nie wierzę. Dlaczego? To nie ma sensu.

– Zapytaj brata Selberta, jeśli chcesz wiedzieć, czym się kierował. –

Melisanda pochyliła się, żeby wygładzić zagniecenie mapy. – Wierzył, że spełnienie mojej prośby nie pogwałci jego ślubów. – Wyprostowała się i popatrzyła na Joscelina. Spojrzenie jej ciemnoniebieskich oczu było czyste i spokojne. – Messire Verreuil, Imriel jest moim synem i nie zrobił nic złego. Ysandra de la Courcel nie ma do niego żadnego prawa, a stan kapłański Elui nie odpowiada przed tronem Terre d’Ange. Choć może ci się to nie podobać, kapłan nie zrobił nic naganego.

– Skłamał dla ciebie! – powtórzył Joscelin, ale Melisanda tego nie skomentowała.

Nie drążyłam tej sprawy, jeszcze nie. Wpatrywałam się w mapę i rozmyślałam. Melisanda naprawdę dobrze wybrała, decydując się na sanktuarium w Landras. Leżało daleko od miast i ich politycznych intryg. Ciche, prowincjonalne sanktuarium, w równych częściach oddane akademickim studiom uwielbianym przez Siovaleńczyków, potomków Szamchazaja, i sielskiemu życiu.

– Jak to się stało? – zapytałam Melisandę.
Pokręciła głową.

– Nikt nie wie. Dzieci, a było ich pięcioro pod opieką świątyni, wyprowadziły stado kóz na wiosenne pastwiska. O zmierzchu wróciła tylko czwórka. Imriela z nimi nie było.

– Twój syn pasał kozy?

– Zaginiony książę wychowywany w tajemnicy przez kapłanów Elui. – Melisanda uśmiechnęła się nieznacznie. – Nieświadom swojego pochodzenia, oczyszczony ze skazy grzechów rodziców. Terre d’Ange przyjąłaby go z otwartymi ramionami.

Miała rację, tak byśmy postąpili. Zadrzałam i odłożyłam na bok myśli o tym, jakie jeszcze nieczne plany musiały się z tym wiązać.

– Pozostała czwórka niczego nie słyszała ani nie widziała?

– Nie. – Melisanda już się nie uśmiechała. – Rozproszyli się po wzgórzach z fujarkami, wiesz, grają na nich pasterze, żeby słyszeć siebie wzajemnie. Po wypytaniu dzieci brat Selbert zarządził

poszukiwania z pochodniami. Znaleźli kilka zabłąkanych kóz, nic więcej. – Po chwili milczenia podjęła: – Szukali znowu rano. Z początku myśleli, że Imriel się zranił albo utknął w jakiejś pułapce, może zsunął się ze stromego urwiska albo wpadł w rozpadlinę. Nie znaleźli go.

– I wtedy brat Selbert cię powiadomił.

– Najpierw przeszukał okolicę, dyskretnie wypytyując wieśniaków, czy w wioskach albo na drogach nie widziano chłopca o wyglądzie Imriela. Kiedy zyskał pewność, że nie, przybył do mnie osobiście.

– A ty mu wierzysz? – Uniosłam brwi.

– Ponieważ okłamał ludzi Ysandry? O to ci chodzi? – Melisanda spojrzała mi w oczy, odgadując moje myśli. – Kapłani Elui przysięgli służyć miłości, nie prawdzie. Tak, wierzę mu. Nie zapomniałam, jak odczytywać znaki świadczące o kłamstwie, Fedro nó Delaunay.

Zarumieniłam się, choć za skarby świata nie mogłabym powiedzieć, dlaczego.

– I wtedy wysłałaś swoich szpiegów na poszukiwania.

– Tak. – Zatrzepotała rękami. – Wysłałam moich szpiegów.

– Którzy nic nie znaleźli?

– Nic a nic. – Melisanda westchnęła głęboko. – Ani jednego włosa, ani odcisku stopy, ani pogłoski czy konspiracyjnego szeptu. Mój syn zniknął tak, jakby się zapadł pod ziemię. Rozumiesz teraz, dlaczego proszę cię o pomoc?

– Tak.

Znów zaczęłam spacerować po salonie, marszcząc czoło w zadumie. Za ten zły nawyk, będący przyczyną brzydkich zmarszczek, we Dworze Nocy zostałamby skarcona, ale nie zważałam na to. Nie podobał mi się kierunek, w jakim zmierzały moje myśli.

– Czy ktoś inny wiedział o miejscu pobytu twojego syna? – zapytał Joscelin.

– Nie. – Słuchanie głosu Melisandy bez słodkiej jak miód groźby wytrącało mnie z równowagi. To, co wzięłam za rezerwę, było

nieznanym mi tonem rozpaczy i, co dziwniejsze, strachu. Nie sędę, żeby ktoś inny potrafił dostrzec różnicę. Ja dostrzegłam. – Niektórzy kapłani i kapłanki mogli się domyślać, nie jestem pewna.

– Ktoś musiał wiedzieć – odparł Joscelin, patrząc, jak krążę po salonie.

– Tak. – Melisanda też na mnie patrzyła. –To możliwe. Ryzyko zawsze istnieje. Fedro, co o tym sądzisz?

Moje imię na jej ustach wciąż podnosiło mi włoski na karku. Stałam przed donicą z kwitnącym migdałowcem, muskając płatki palcami.

– Niewielu jest ludzi zdolnych do prowadzenia z tobą zawilej, bezlitosnej gry, pani. Jak myślisz, ilu w samej Terre d’Ange?

– Może kilku.

Był to zawyżony szacunek.

– Twoi krewni?

– Nie. – Melisanda zawahała się. – Nikt z rodu Szachrizaj nie skrzywdziłby chłopca, niezależnie od tego, czy mnie napiętnowali. Imriel otwiera przed nami zbyt wielkie możliwości. Wiedziałabym, gdyby któryś z moich krewnych go znalazł. Dowiedziałabym się w taki czy inny sposób.

W to mogłam uwierzyć. Westchnęłam, odwracając się w jej stronę.

– Mnie przychodzi na myśl jedna osoba – oświadczyła.

– Barquiel L’Envers.

Melisanda spojrzała mi w oczy i zrozumiałam, że myślimy podobnie.

Wuj Ysandry i ja byliśmy ostrożnymi sprzymierzeńcami. Barquiel kiedyś był największym wrogiem mojego pana Delaunaya i z tego powodu nie miałam do niego wielkiego zaufania. W końcu jednak mu zaufałam; w jego ręce złożyłam przyszłość tronu Ysandry, a on spisał się jak bohater, broniąc Miasto Elui przed rebelią Percy’ego de Somerville i czekając na przybycie królowej. Z drugiej strony nie mogę zapomnieć, co zrobił, żeby zapewnić tron siostrzenicy, a nie był

to postępek ani szlachetny, ani zgodny z prawem.

– Nie on – sprzeciwił się Joscelin.

– Kazał zabić Dominika Stregazza – przypomniałam mu. – Sam się do tego przyznał.

– Dominik zabił jego siostrę. – Joscelin poczerwieniał. – Nie usprawiedliwiam go, Fedro, ale miał powody, żeby szukać zemsty.

– Barquiel L'Envers jest ambitny i przebiegły – przyznała Melisanda – i bez skrupułów robi to, czego nie robi królowa. Gdyby wieść o miejscu pobytu Imriela dotarła do jego uszu, nie sądzę, że zwierzyłyby się Ysandrze. Myślę, że zrobiłyby wszystko, co uznałyby za konieczne, żeby zapewnić sukcesję linii rodu L'Envers.

Jej głos pozostał spokojny, lecz twarz nadzwyczaj zbladła.

– Nie sądzę – powiedziałam. – Nie coś takiego. Ale on jeden ze wszystkich, którzy przychodzą mi na myśl, byłby do tego zdolny. Dowiem się, ile będę mogła. – Przez chwilę patrzyłam na nią. – Wiesz, że istnieje ryzyko, że chłopiec nie żyje.

Choć jej nienawidziłam, wyrzekłam te słowa jak najdelikatniej. Wyraz twarzy Melisandy nie zmienił się. Miałyśmy takie same informacje, nie było więc możliwości, że wydedukuję coś, o czym ona już by nie pomyślała.

– Wiem. – To słowo zabrzmiało głucho. – Jeśli tak, wtedy winny będzie zdany na łaskę Kusziela. A ja mimo wszystko dotrzymam naszej umowy.

Kolczaste słowa, obosieczne. Ja byłam wybranką Kusziela, a ona jego potomkiem. Jeśli popełniono morderstwo, zostanie ono w taki czy inny sposób pomszczone. Westchnęłam, czując ciężar tego zadania jak kamień milowy na szyi.

– Pani, będę musiała porozmawiać z twoimi... szpiegami. Istnieje możliwość, że któryś z nich cię zdradził.

– Nie. – Melisanda odrobinę uniosła podbródek, zmrużyła oczy. – To już ustaliłam na własną rękę, Fedro nó Delaunay. Tego nie dopuścił się nikt, kto jest mi wierny. Moi sojusznicy dość wycierpieli,

kiedy zdradził mnie mój kuzyn Marmion. Nie narażę nikogo więcej na bezduszną sprawiedliwość królowej.

– To spowolni moje poszukiwania.

– Zaoszczędzę ci straty czasu. – Jej ton był nieustępliwy. – Czy naprawdę myślisz, że wiązałabym się z ludźmi, którym nie mogę zaufać? Porwanie zostało zaplanowane przez osobę z zewnątrz, Fedro, jestem tego pewna. Podałam cenę i zapłacę ci za pomoc. Nie próbuj wytargować więcej.

– Możemy odejść – powiedział Joscelin, wbijając w nią wzrok.

– Możecie. – Melisanda spojrzała na niego, potem na mnie. – Nie sądzę jednak, że to zrobicie.

– Nie. – Udawanie nie miało sensu. Nawet nie próbowałam. – Ale musisz dotrzymać umowy. Jak to się odbędzie?

– Ach. – Melisanda podniosła się z wdziękiem i podeszła do otwartej szkatułki. Wyjęła drewnianą tubę i podała ją mnie. – Proszę.

Otworzyłam tubę. Wysunęłam zwój, rozwinęłam i zobaczyłam dokument wypisany nieznanym mi pismem na pięknie wyprawionej skórze. Pokrywały ją szerokie, pionowe linie czarnych znaków, a tekst był tu i ówdzie iluminowany kolorowymi miniaturami. Tutaj król siedzi na tronie, udzielając audiencji przepysznie odzianej kobiecie; tutaj daje jej pierścień. Tutaj ogień, miecze i zniszczenie; tutaj dwaj mężczyźni wznoszą ręce przed ołtarzem. Tutaj świątynia w ruinach; tutaj przeprawa morska. Patrzyłam ze ściągniętymi brwiami, nie rozumiejąc.

– Co to jest?

– Dokument jest napisany po dżebeńsku. Zwą go *Kefra Neghast*, Chwała Królów. – Melisanda pochyliła się, gdy usiadłam, żeby obejrzeć dokument, i wskazała jedną z ilustracji. – Patrz, to spotkanie Szalomona i Makedy, królowej Saby. A to pierścień, który król daje jej na pamiątkę.

– Pierścień Szalomona – mruknęłam. Jej zapach mnie rozpraszał.

– Być może. – Melisanda obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem. – To

jest Szalomon. Tutaj, widzisz? Ten człowiek to Melek al'Hakim, księżę Saby, syn Szalomona. Przyszedł do świątyni, żeby w czasie wojny ocalić skarb ojca. Nosi jego pierścień. A ten człowiek... – postukała w skórę – to Chiram, architekt świątyni Szalomona. – Melisanda ukucnęła, elegancko jak adeptka Dworu Nocy, z oczami pełnymi zadumy. – Urodził się w plemienu Dana.

– Nie. – Mimowolnie rozłożyłam ręce. – Pochodził z plemienia Naftalego. Tak jest napisane w Księdze Królów.

W Księdze Królów, tak. Nie w *Paraleipomenonie*. – Melisanda użyła helleńskiego słowa, niecierpliwie machając ręką. – Jak to brzmi po d'Angelińsku?

– Kroniki – odparłam. – *Dibbere Hayyamin*, Dzieje Dni. – Bezskutecznie próbowałam sobie przypomnieć. Być może Księga Kronik podawała inny rodowód architekta. – Pani, co chcesz powiedzieć?

– To, co mi powiedziano. Nie mniej, nie więcej. – Melisanda popatrzyła na mnie. – Legenda z dalekiego Dzebe–Barkal mówi, że Melek al'Hakim, syn Szalomona, i architekt Chiram uciekli ponad tysiąc lat temu z rozpadającego się imperium Habiru. Najpierw udali się do Menechetu chronionego przez faraona, potem na południe do Saby. A z nimi poszło plemię Dana.

– Znasz dzebeński – powiedziałam z niedowierzaniem.

– Nie. – Melisanda uśmiechnęła się. – Kazałam przetłumaczyć zwój. To, co mi powiedziano, powierzyłam pamięci. – Wyprostowała się i wstała. – Weź go. Możesz zrobić to samo. A kiedy wrócisz i powiesz mi, czego się dowiedziałas o moim synu, podam ci nazwisko człowieka z miasta Iskandria w Menechecie. Człowiek ten mówi, że może cię poprowadzić na południe do Dzebe–Barkal, do miejsca, w którym syn Szalomona założył swoją dynastię.

Ostrożnie zrolowałam zwój, mając na względzie spękaną farbę na malowanych literach.

– Dlaczego myślisz, że nie zdołam znaleźć przewodnika na własną

rękę, pani?

– Możesz spróbować – przyznała Melisanda. – Choć niełatwo takiego znaleźć, bo cesarstwo syna Szalomona od dawna nie istnieje, a jego historia popadła w zapomnienie. Dałaś jednak słowo. Jesteś uczennicą Anafiela Dealunaya. Nie sądzę, że się wycofasz.

– Nie. – Schowałam zwój do tuby. – Nauczyłaś mnie wykorzystywać ludzi lepiej niż mój pan Delaunay, pani. Zabiorę zwój i odejdę. Nie jestem taka jak ty. – Nałożyłam wieczko na drewniany cylinder i przekręciłam. – Nie myliłaś się, mówiąc, że twój syn jest niewinny. Choćby z tego powodu postaram się dowiedzieć, co się z nim stało.

– Dziękuję – powiedziała Melisanda uprzejmie.

Poczułam się dziwnie, słysząc z jej ust to słowo. Nie mając czemu się przeciwstawić, nie wiedziałam, co począć z emocjami. Joscelin jednym płynnym ruchem podniósł się z kanapy i pomógł mi wstać.

– Wrócimy, kiedy będziemy mieć jakieś wieści, pani – oznajmił.

DZIESIĘĆ

Ponieważ nie mieliśmy powodów, żeby przeciągać pobyt, opuściliśmy La Serenissimę tego samego dnia.

Przez długi czas rozmawialiśmy tylko o praktycznych sprawach związanych z podróżą. Przypuszczam, że nie zniosłabym niczego więcej. Miałam mętlik w głowie, próbując zrozumieć, co się stało. Nie potrafiłam. Było tego zbyt wiele.

– Dobrze postąpiłaś. – Joscelin przerwał milczenie na drodze za Payento.

Spojrzałam na jego profil. Wpatrywał się w drogę przed sobą, jego ręce pewnie trzymały wodze.

– Joscelinie, zgodziłam się jej pomóc.

– Wiem. – Zerknął na mnie z ukosa. – Eluo, dopomóż mi, ale nie wiem, co innego mogłabyś zrobić. Myślisz, że mówiła prawdę w sprawie tej dżebeńskiej legendy?

– Nie wiem. – Musnęłam palcami przytroczoną do łąku siodła tubę ze zwojem. – Możliwe. To w jej stylu, mieć asa i przez tyle lat trzymać go w rękawie.

– W jakim celu? – Joscelin nie krył zaciekawienia. – Rozumiem, że na początku śledziła poczynania Delaunaya, ale dlaczego obecnie miałyby interesować się Panem Cieśniny?

– Jak sądzisz, co zrobiłby Drustan mab Necthana, gdyby Melisanda próbowała osadzić na tronie swojego syna?

– Przerzucił wojska przez Cieśninę, żeby ją powstrzymać.

– Właśnie. – Poglądziłam drewnianą tubę. – Chyba że Pan Cieśniny

uniemożliwiłyby przeprawę. Za cenę wolności mógłby wziąć to pod rozwagę.

– Hiacynt? – Dziwnie było słyszeć, że mówi w ten sposób. – Nigdy.

– Nigdy. – Przez chwilę smakowałam to słowo. – Dziesięć dni temu powiedziałabym, że nigdy z własnej woli nie pomogę Melisandzie Szachrizaj. A moje „nigdy” jest znacznie krótsze niż Hiacynta, Joscelinie. – Wspomniałam rozpacz w oczach cygańskiego chłopca, którego kochałam, jego oblicze Pana Cieśniny, nieśmiertelną moc uwięzioną w śmiertelnym ciele. W zakamarku umysłu konik polny ćwierkał ostrzegawczo. – Teraz nie – Za dziesięć lat... być może.

Kopyta naszych koni postukiwały rytmicznie na bitej drodze, podczas gdy Joscelin rozważał moje słowa.

– Zapewne masz rację – powiedział w końcu i znów na mnie popatrzył. – To jednak nie ma znaczenia, już nie. I uważam, że dobrze sobie z nią poradziłaś.

– Staralam się.

To była prawda. Myślę, że dobrze się sprawiłam. W mojej karierze *anguisette* w służbie Naamie podałam tylko raz *signale*, hasło nakazujące klientowi zaprzestać; było ono ważniejsze od udawanych protestów i sprzeciwów. Stało się to w czasie spotkania z Melisandą Szachrizaj. Miałam klientów bardziej brutalnych, rozkoszujących się maltretowaniem, zostawiających na moim ciele ślady, które goiły się przez wiele tygodni. Nigdy nie miałam klienta, który bawiłby się mną z równie wytrawną biegłością. Ale dzisiaj zachowałam się w jej obecności tak, jak powinnam. Poza pierwszą reakcją na jej prośbę – kto zareagowałby inaczej? – nie straciłam panowania nad sobą, nie okazałam słabości narzuconej mi przez los.

A teraz w całym ciele czułam ból spowodowany pożądaniem.

Strzała Kusziela tkwiła głęboko.

Joscelin to rozumiał. Byliśmy razem zbyt długo, żeby mogło być inaczej. Kiedyś, na długo przed tym, nim zostaliśmy kochankami,

pogardzał tą moją cechą. Był ze mną rankiem po Najdłuższej Nocy, gdy podałam *signale* Melisandzie, a ona zawiesiła diament na mojej szyi. I był ze mną, kiedy się zbudziłam, chora i zdradzona, gdy Melisandą sprzedała nas w niewolę do Skaldii. Nawet wtedy, nawet w odmętach zdrady i nienawiści do samej siebie nie umiałam się obronić przed pożądaniem, jakie we mnie wzbudzała. Była potomkiem Kusziela, jego dzieckiem, jakiego świat dotąd nie widział, a ja Wybranką Kusziela, jedyną *anguisette* urodzoną za ludzkiej pamięci. Byłyśmy powiązane w sposób, jakiego racjonalna myśl i wola umysłu nie potrafią pojąć.

Nie mogłam przestać jej pragnąć, podobnie jak nie mogłabym powstrzymać przyływu oceanu.

Po tym strasznym drugim poranku Joscelin chyba zrozumiał, przynajmniej częściowo. A Skaldia... Skaldia zmieniła wszystko między nami. Kiedy odkryłam, że go kocham? Nie umiem powiedzieć. Gdy sobie to uświadomiłam, miałam wrażenie, że znam to uczucie już od bardzo dawna. Gdzieś, kiedyś, życie bez niego stało się nie do pomyślenia.

To jednak nijak nie wpłynęło na charakter moich pragnień.

Trzeba przyznać, że Joscelin nie wypowiedział jednego słowa wyrzutu, tylko pocieszył mnie, jak umiał, gdy zatrzymaliśmy się na noc w zajeździe. Na szorstkich kocach odłożył na bok wewnętrzną dyscyplinę i kochał się ze mną z całą dzikością serca.

Trochę pomogło. Obejmowałam go mocno, przyciskając dłonie do jego pleców, czując mięśnie pracujące gwałtownie pod skórą, gdy wbijał się we mnie. Wtulałam twarz w szyję mojego kochanka, obsypana lśniącymi pasmami jego włosów, a słone łyzy moczyły mi policzki. Nie wystarczyło. Był niezrównanym wojownikiem, lecz nie było w nim okrucieństwa. I za to go kochałam. A jednak nawet wtedy, gdy zeszywniał nade mną, znajdując spełnienie, i gdy moje ciało odpowiedziało gorliwie, to nie wystarczyło. Moja skóra tęskniła za pocałunkiem bicza, za ukąszeniem ostrza. Pragnęłam klęczeć w

służalczym poddaniu, szepcząc nieprzyzwoite błagania.

Trudno być bardziej żalonym.

Gdzieś ponad nami Kusziel uśmiechał się bezlitośnie.

Czułabym się inaczej, gdyby przyczyną tego był ktoś inny niż Melisanda.

Od czasu do czasu ogarniała mnie tęsknota i wtedy oboje wiedzieliśmy, że nadszedł czas wziąć klienta. Mogę wybierać i robię to trzy razy w roku. Już nie jestem *anguisette* Delaunaya, decyduję się tylko na osoby, które uważam za godne takiego spotkania. Złości mnie i przepełnia nienawiścią do samej siebie świadomość, że teraz – nawet teraz! – sam widok Melisandy wystarczył, żeby rozbudzić moje najmroczniejsze żądze.

Gdybym nie była tym, kim jestem, gdybym nie znała jej tak dobrze, nie pokrzyżowałabym jej planów związanych z przejęciem tronu Terre d'Ange. Wiem. Ale dlaczego teraz? To niczemu nie służyło, nie mogłam doszukać się żadnej przyczyny ani celu.

Kto może przejrzeć zamierzenia bogów? Z trudem porzuciłam roztrząsanie wewnętrznych rozterek i skupiłam myśli na naszym obecnym problemie. Imriel de la Courcel, syn księcia wychowany jako pasterz kóz – motyw ze starej legendy. Wciąż byłam oszołomiona zuchwałością planu Melisandy. Nie kwapiłam się do konfrontacji z diukiem L'Envers, choć uważałam go za głównego podejrzanego. Kiedyś ocalił mi życie, na Polu bitwy pod Troyes-le-Mont, i uratował tron Ysandry. Gdyby Barquiel L'Envers dowiedział się o miejscu pobytu chłopca, nie sądzę, że przywiózłby go do pałacu, by umożliwić Ysandrze spełnienie jej marzenia, czyli zakończenie krwawej waśni, która prześladowała ród Courcel.

Barquiel L'Envers uważał, że to głupia, dziecinna mrzonka. Gdyby znalazł dziecko, może nie zabiłby go od razu – Eluo, spraw, żeby tak było – ale mógłby spowodować, żeby zniknęło.

A ja w głębi duszy nie byłam pewna, czy nie miałyby racji. Ysandrą

kierowały szlachetne pobudki, ale byłam przy tym, jak Melisanda zagroziła jej wojną, jeśli zabierze Imriela. Nie sądzę, żeby królowa, która od dawna uważała Melisandę Szachrizaj za swojego wroga, dostrzegła różnicę.

Ja dostrzegłam. Gdyby Melisanda dla zemsty zrezygnowała ze stawek swojej długotrwałej gry, wszyscy byliby przegrani. Być może Ysandra uważała, że Melisanda, przebywając w zamknięciu, jest niegroźna. Też tak myślałam, ale dawno temu, gdy Melisanda stanęła przed obliczem sprawiedliwości w Troyes-le-Mont. Uciekła stamtąd i z tego powodu wielu ludzi straciło życie, w tym drogie mi osoby. Teraz byłam mądrzejsza.

Podobnie jak Barquiel L'Envers.

Tak oto mijala nasza podróż powrotna, w melancholijnym, ponurym nastroju. Długie godziny spędziłam na rozmyślaniach o dżebeńskim zwoju i zapisanych na nim rewelacjach, zastanawiając się, czy spekulacje Melisandy mogą być prawdziwe. Po tak długim czasie bałam się mieć nadzieję... i bez wstydu przyznam, że przerażał mnie ogrom czekających mnie zadań. Już nie byłam dzieckiem, popędliwym i beztroskim, obdarzonym młodzieńczą wiarą w nieśmiertelność. Miałam trzydzieści dwa lata i osiągnęłam pozycję, o jakiej w młodości nigdy nie marzyłam. Kiedyś wyobrażałam sobie, że zostanę pierwszą kurtyzaną w Mieście Elui, ale przez myśl mi nie przeszło, że będę hrabiną, damą Gwiazdy Towarzysza, zaufaną królowej i Wybranką Kusziela, przed którą klękają żołnierze, Niewybaczeni. Tak, aż tyle zyskałam.

I przerażała mnie myśl, że mogę to wszystko utracić.

Dżebe-Barkal. Nazwa kojarzyła mi się z miejscem na mapie, ze sprzedawcą papug na Campo Grande. Niewiele więcej wiedziałam. Nasi krytycy twierdzą, że Terre d'Ange izoluje się od świata, i to jest prawda. Sprzymierzyliśmy się z miastami-państwami Caerdicci i z Aragonią, ponieważ mamy wspólne granice; ostatnio z Albą,

ponieważ Ysandra de la Courcel poślubiła cruarchę i przerwała klątwę Cieśniny. Broniliśmy naszych rubieży przed Skaldami, gdyż próbowali zabrać to, co należy do nas; stoczyliśmy wojnę i zawarliśmy przymierze z Khebbel–im–Akad, jest to bowiem potęga zbyt wielka, żeby ją zlekceważyć.

Obecnie sytuacja trochę się zmienia. Ysandra spogląda poza granice dalej niż inni d’Angelińscy władcy, szuka sojuszników, popiera wymianę handlową. Po części dzięki mnie, jak myślę, nawiązaliśmy stosunki dyplomatyczne z Ilirią i Kriti w Helladzie. Ysandra nie obawia się wysłać delegatów do Efezjum, do Menechetu, do Kartaginy, nawet do Umajjatu.

Ale Dzebe–Barkal? Dzebe–Barkal leży, myślałam ponuro, gdy przekroczyliśmy granicę Terre d’Ange, bardzo, ale to bardzo daleko.

Zostaliśmy powitani żywiłowo nie tylko przez Ti–Filipa, ale również przez wszystkich domowników. Eugenia, moja gospodyni, pracowała u mnie od ponad dziesięciu lat, a ja nauczyłam się cenić nie tylko jej gospodarność, lecz także nieustanną troskliwość. Pamiętając wdzięk i lojalność służby pana Delaunaya, starałam się osiągnąć to samo. Jeśli mi się udało, to nie tylko dzięki przyzwoitym pensjom oraz traktowaniu wszystkich uczciwie i z szacunkiem, ale również dzięki niezrównanemu nadzorowi Eugenii. Czymś, czego żadna z nas nie toleruje, jest między innymi rozsiewanie plotek. Tylko raz podziękowałam pewnej osobie za służbę, właśnie z powodu niedyskrecji. Zrobiłam to z bólem, ale nie miałam wyjścia.

Po kąpieli i przebraniu się w świeże ubrania, spotkaliśmy się z Ti–Filipem w ogrodzie na dziedzińcu, żeby zdać mu relację z pobytu w La Serenissimie. Jego oczy zrobiły się okrągłe, gdy usłyszał nowiny.

– To chyba żarty.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Przysięgam jej pomóc.

– Ha! – Ti–Filip włożył do ust kandyzowany migdał i przeżuwał go z zadumą. – Co zrobisz, pani? I, co ważniejsze... – przełknął i wyszczerzył zęby – co ja mogę zrobić?

– Ja będę zadawać pytania – odparłam. – Roztropnie, oczywiście. Ty... – uśmiechnęłam się – ty możesz znaleźć dla mnie dżebeńskiego uczonego, Filipie. Mam dokument, który trzeba przetłumaczyć.

Skrzywił się.

– Mam szperać w zakurzonych akademickich zakamarkach? Trochę nudne zadanie.

– Być może. – Wzruszyłam ramionami. – Zapewne wyprawię cię do Marsilikos. Wątpię, czy w Miejskiej Akademii ktoś zna dżebeński.

– Marsilikos. – Ten pomysł poprawił mu humor. Marsilikos jest miastem portowym, ukochanym przez żeglarzy miejscem spotkań z szerokim światem. Jeśli był jakiś uczone, który zajmował się Dżebe-Barkal, to w tamtejszej akademii. – Mogę zabrać ze sobą Huguesa, pani? Chce znowu zobaczyć morze.

– Dlaczego nie? O ile będziesz musiał tam jechać. I skontaktuj się z Emilem z Progu Nocy.

– Z Cyganem? – Ti-Filip zrobił skonsternowaną minę, a Joscelin obrzucił mnie zaciekawionym spojrzeniem.

– Był najbliższym kompanem Hiacynta. Cyganie powinni coś wiedzieć. Poza tym bywają w wielu różnych miejscach i słyszą różne rzeczy.

Nie wiem, dlaczego o tym pomyślałam, przecucie, obowiązek? Kiedyś, na prośbę Hiacynta, przekazałam Emilowi dom jego matki i jego stajnię do wynajęcia.

– Jak sobie życzysz. – Ti-Filip wyciągnął rękę, gdy Eugenia weszła z półmiskiem puszystych pasztecików nadziewanych przepiórczym mięsem. – Eugenio, bogini! Czytasz w moich myślach, a przynajmniej w moim żołądku.

– Daj spokój, panie kawalerze. – Surowo poklepała go po ręce. – Pierwsze dla mojej pani. – Podsunęła mi półmisek pod nos i wiedziałam, że nie odstąpi, póki nie wybiorę paru smakowitych kąsków. Skoro usługiwała nam osobiście, to musiało znaczyć, że sama przygotowała potrawę. Popatrzyła na mnie z dezaprobatą. – Musisz

jeść więcej, pani, jeśli zamierzasz znów hulać po mapie, doprowadzając się do stanu skrajnego wyczerpania.

Muszę przyznać, że słudzy nigdy w ten sposób nie zwracali się do pana Delaunaya. Z drugiej strony, pan Delaunay nie był *anguisette*. Podniosłam srebrne szczypce i wzięłam jeszcze dwa paszteciki.

– Nigdzie się nie wybieram, Eugenio.

– Nie. – Parsknęła. – Ale się wybierzesz, pani. Mówi o tym twoja mina.

Joscelin zaśmiał się.

– Nie przypuszczałem, że to poznasz, Eugenio.

– Po dziesięciu latach, gdy jest dla mnie jak córka? – Spojrzała na niego kwaśno. – Ja nie zapominam, messire kasjelito. A ty nie powinienesz się śmiać, tkwiąc u jej boku jak cień.

– Cóż. – Joscelin lubił Eugenię. – Ja muszę myśleć o swojej przysiędze.

– O przysiędze! – Pogroziła mu szczypczykami. – Przysięgam, że spuszczę ci manto, jeśli nie przywieziesz mojej pani bezpiecznie do domu. I nie myśl, że tego nie zrobię, messire kasjelito. Dochowałam się wnuków równie wysokich jak ty.

Ti-Filip ryknął śmiechem na całe gardło, pochylając się, żeby zgarnąć resztę pasztecików z półmiska. Nawet Joscelin się uśmiechnął, wszyscy wiedzieliśmy, że za niedorzeczną pogroźką Eugenii kryje się szczerą troska.

– Będę ostrożna, Eugenio – powiedziałam cicho. – Cokolwiek mi przyjdzie robić. Obiecuję.

– Zeszłym razem też tak mówiłaś i omal nie zginęłaś. – Moja gospodyni obrzuciła mnie znaczącym spojrzeniem. – Miłość dotyczy także domu i ogniska domowego, pani. Nie zapominaj.

– Nie zapomnę.

Patrzyłam za nią, gdy odchodziła, kołysząc się jak żaglowiec. Wieczór był ciepły, w wilgotnym powietrzu wisiał zapach lawendy i rozmarynu. Nowa służąca, bratanica Eugenii, wsunęła się do ogrodu i

zapaliła świeczką rozsiewające tajemniczy blask lampy w szklanych kulach. Na dziedzińcu grali muzycy, na harfie, flecie i bębenku.

Dżebe–Barkal. Serce bolało mnie na myśl o wyjeździe z tego miejsca, o opuszczeniu mojego ślicznego domu. Eugenia miała rację, do niego też żywiłam miłość. Mimo to jednocześnie czułam ból gdzie indziej, głęboką potrzebę *anguisette*, jakiej nie zaspokoi życzliwość ani współczucie. Byłam związana ze swoją naturą tak mocno, jakby skuwały mnie z nią kajdany klienta. Równie dobrze Melisanda mogłaby założyć mi swój diament na szyję, pomyślałam i gorzki śmiech uwiązał mi w gardle.

- Fedro – powiedział cicho Joscelin. – Idź do świątyni.
- Do sanktuarium Elui?
- Nie. – Pokręcił głową. – Kusziela.

JEDENAŚCIE

Choć jestem Wybranką Kusziela, rzadko chadzam do jego świątyni. Ja, którą przez całe życie kłuje jego Strzała, nie potrzebuję pomocy jego sług, żeby odprawić pokutę. Mój pan Kusziel zapewnia mnóstwo okazji swojej *anguisette*. Nieczęsto muszę kajać się u jego stóp. Dla mnie ołtarz Kusziela znajduje się gdzie indziej.

Joscelin tylko raz wcześniej dał mi taką radę, po naszej ucieczce z niewoli na skaldyjskich pustkowiach. Wówczas, podobnie jak teraz, przypomniałam sobie to, o czym tak często zapomniałam: Joscelin był nie tylko Wojownikiem, ale również kapłanem.

Jak wtedy, posłuchałam. Poszłam.

Kapłani Kusziela nie zadawali pytań, tylko pokiwali głowami na mój widok. Nawet gdyby moja twarz nie była znana w całym Mieście Elui, rozpoznaliby mnie po szkarłatnej plamce. Kapłani Kusziela uważają swoją wiedzę za świętą. Ubrani w czarne szaty i ceremonialne mosiężne maski, które nie pozwalały odgadnąć płci, zaprowadzili mnie do łaźni, gdzie zostałam poddana oczyszczającym kąpielom, a następnie przeszliśmy do właściwej świątyni. Ciężkie drzwi zamknęły się za nami z głuchym łoskotem.

Było to pomieszczenie z wysokim sklepieniem i grubymi kamiennymi murami okopconymi przez oświetlające je pokolenia świec. Złożyłam złoto w ofierze i wysypałam kadzidło do ognia na ołtarzu. Kłęb pachnącego piżmem dymu zaszczytał mnie w oczy. Spojrzałam na rozmyty, spowity dymem wielki posąg Kusziela: surowe, mosiężne oblicze, pręt i cep w rękach skrzyżowanych na

piersi. Potem kapłani pomogli mi się rozebrać i stanęłam naga.

Usłyszałam, jak ktoś głośno zaczerpnął tchu. Nawet kapłani Kusziela nie są nieczuli. Wiem, co zobaczyli; moja naga skóra lśniła bielą w blasku świec, żywe czarne linie marki wyraziście odznaczały się na plecach, misterny rysunek odzwierciedlający ciernie, akcentowany kropelkami szkarłatu. Marka została wykonana przez samego mistrza Roberta Tielharda; obecnie powielanie jej uważane jest za przestępstwo i może to zrobić tylko *anguisette*. Tak zarządziła gildia markarzy.

Ja jestem jedyną żyjącą *anguisette*.

Zwinęłam włosy w luźny węzeł na karku i uklęknęłam na wyszorowanych płytach przed pręgierzem. Już bez dalszego łamania protokołu, zamaskowany kapłan przywiązał moje ręce do słupka rzemieniami z surowej skóry. Zaboląły mnie naprężone ramiona, niemal wyskakując ze stawów, a mój oddech stał się szybki i wytężony.

Rozpoczęła się chłosta.

Kapłani Kusziela są mistrzami w tej sztuce – bo biczowanie jest sztuką, choć ignoranci mogą być innego zdania. Gdy zakończone żelaznymi kulkami rzemienie spadły na moje plecy, krzyknęłam, szamocząc się w pętach. Ból, błogosławiony i mile widziany, rozlał się po skórze.

– Panie mój, Kuszielu! – wysapałam. – Wybacz mi, bo nie znam twojej woli!

Bicz znów mnie ukąsił, zbyt szybki w swojej gotowości; rozpoznałam, że trzyma go ręka mężczyzny. Smugi ognia zaćmiły mi oczy, powietrze paliło w płucach, zmuszając do mimowolnego krzyku. Chropowate drewno pręgierza drapało mnie w policzek. Kapłan uderzył znowu, i jeszcze raz. Cierpienie rozkwitało we mnie, sprawiając mi rozkosz nie do zniesienia. Słyszałam własne jęki i upominający sykliwy szept kapłana.

– Uczyń teraz wyznanie.

– Panie mój, Kuszielu. – Klęcząc, obróciłam głowę, widząc w perspektywie swoje ręce i ponad nimi spokojne, bezlitosne oblicze Kusziela skąpane w czerwonej mgiełce. – Ach! – Rzemienie owinęły się wokół mojej klatki piersiowej, żelazne kuleczki ukąsiły głęboko. – Ścieżka jest zbyt ciemna, panie, boję się!

Żadnej litości. Kapłan uderzał bez zmiłowania, bicz świszczął w powietrzu, tryskała wilgoć, gdy rzemienie całowały moje ciało. Głowa zwisała mi na piersi i zapłakałam ze wstydu.

– Panie mój, Kuszielu – szepnęłam cichym, rwącym się głosem. Dygot wstrząsnął moim obolałym ciałem, gdy wyrzekłam straszne słowa: – W głębi serca już nie chcę być twoją Wybranką.

Nastąpiła przerwa, rytm razów załamał się... a potem bicz zaśpiewał w powietrzu i spadł mocno, eksplozja bólu przetoczyła się po mojej pokaleczonej skórze. Jeden... dwa... trzy i nastąpił koniec. Zwisłam bezwładnie na rzemieniach, zasapana, przepełniona spokojem.

– Bądź uwolniona – mruknął kapłan.

Usłyszałam plusk zanurzanej chochli, a potem poczułam pieczenie, gdy moje rany polano słoną wodą. Raz jeszcze ciało szarpnęło się w więzach i zadarłam głowę, widząc przez łzy niezmiennie oblicze Kusziela.

Rytuał dobiegł końca. Przysiadłam na piętach. Znużenie ogarnęło moje członki, gdy kapłani rozwiązali mi ręce i pomogli się ubrać. Kontakt skóry z bielizną wzbudzał fale bólu.

Ku mojemu zaskoczeniu jeden z kapłanów odprawił gestem pozostałych. Po ich wyjściu zdjął kaptur i mosiężną maskę. Ujrzałam twarz śmiertelnika, surową i o ostrych rysach, okoloną włosami o barwie metalu.

– Fedro nó Delaunay, hrabino de Montrčve. – Nietłumiony przez maskę głos był głęboki i dźwięczny. – Jestem Michel Nevers, pierwszy wśród kapłanów Kusziela w Mieście Elui. Chciałbym z tobą pomówić.

– Jak sobie życzysz, panie. – Dygnęłam i przełknęłam ślinę, bo

zalała mnie fala bólu.

Komnata, do której zaprowadził mnie Michel Nevers, była urządzona ze stonowanym zbytkiem, oświetlona zbyt małą liczbą lamp i obwieszona gobelinami. Na ściennych półkach stało wiele ksiąg w splekanych, podłużonych oprawach. Zauważyłam egzemplarz ilustrowanej *Historii Namarry* Sarae, zawierającej dzieje córki Naamy, Mary, służącej Kusziela i w pewnym sensie pierwszej *anguisette*.

– Wypij. – Kapłan Michel nalał do kieliszka czerwone wino. – Wzmacnia krew. A ty potrzebujesz siły.

Posłusznie skosztowałam odrobinę, a potem wypić więcej, czując w winie smak gron pieszczonych przez słońce i deszcz, wykarmionych przez żyzną ziemię wzbogaconą rozkładem śmierci, przez glebę Terre d'Ange zwilżoną krwią Błogosławionego Elui. Ziemia – łono, które go przyjęło, krew i lzy – nasienie, które go spłodziło. Czułam to wszystko w winie, gwałtowną śmierć winogron, pełną wigoru radość miażdżących je wieśniaków, głęboką wiedzę właściciela winnicy, czas i powolną mądrość wieku przemieniającą sok w wino, strzegącą go dębową beczką, szepczącą o długim życiu drzewa, zakończonym przez ukąszenie siekiery.

– Widzisz. – Napełnił drugi kieliszek i uniósł go wysoko, patrząc na zawartość. – Tak wiele trzeba, żeby powstała odrobina wina.

– Panie. – Odstawiłam swój kieliszek, krzywiąc się, gdy suknia otarła ramiona. – Czy chcesz udzielić mi lekcji?

– Nie. – Michel Nevers uśmiechnął się, niespodziewanie i życzliwie. – Tylko przypomnieć, że nie wiemy, jaki koniec spotka nasze krótkie życie, podobnie jak winogrona. Nie chcesz już dłużej być *anguisette*?

– Boję się. – Złożyłam ręce na kolanach i spojrzałam mu w oczy. – Moja ścieżka biegnie w ciemności, a Strzała Kusziela kłuje, budząc niezwykle pragnienia. Ranię mojego ukochanego każdą decyzją, każdym oddechem. Tak, wielebny, pragnę, by Kusziel wybrał sobie kogoś innego. Czy nie służyłam mu dobrze? Przysięgam na swój

honor, że uwolnię mojego przyjaciela. Czy to nie wystarczy? Czy muszę być przymuszana na każdym kroku?

Skłonił głowę, szare jak żelazo włosy opadły mu na czoło.

– Mówisz o Melisandzie Szachrizaj.

– Tak.

Kapłan wstał, by spojrzeć na półki z książkami. Dotknął kilku tomów.

W całych dziejach Terre d'Ange pojawiały się opowieści o *anguisette*. Pochodzenie od Towarzyszy Elui niesie niebezpieczne dary, przy czym żadne nie mogą się równać z tymi, jakie dał Kusziel. Zadawanie cierpienia bez współczucia... – Wzniósł oczy. – To woła o pomstę do nieba. Dlatego potrzeba *anguisette*, żeby równoważyć szale. Znoszenie niewysłowionego cierpienia z bezbrzeżnym współczuciem...

– Dlaczego ja? – przerwałam mu. – Wielebny kapłanie, rozumiem na miarę swoich możliwości to, o czym mówisz. Melisanda Szachrizaj jest potomkiem Kusziela, może najgroźniejszym, jakiego znało królestwo, a ja przyczyniłam się do pokrzyżowania jej szyków. Dlaczego? Nie pochodzę z przeklętego przez bogów rodu, nie jestem Marą, córką Naamy i skazanego na śmierć mordercy. Moja matka była adeptką Domu Jaśminu, a ojciec synem kupca, rozrzutnym i głupim. Nie chcę znosić niewysłowionego cierpienia z bezbrzeżnym współczuciem...

– Fedro. – Kapłan uniósł ręce. – Wybacz, nie chciałem sugerować, że taki miał być twój los. Dlaczego ty? – Pokręcił głową. – Nie wiem. Być może wiele razy obrócimy się na kole życia, zanim Błogosławiony Elua wpuści nas przez bramę do prawdziwej Terre d'Ange, która leży w zaświatach. Może Kusziel w swym bezgranicznym miłosierdziu pozwala, żebyś odpokutowała za jakąś nienazwaną zbrodnię. Nie wiem. Wiem tylko, że dokonał mądrego wyboru, a skoro nie zdejmuje z ciebie swego palca, to znaczy, że jego dzieło jeszcze nie zostało ukończone. – Pochylił się i pocałował mnie w czoło zaskakująco

miękkimi ustami. – Wybranka Kusziela, sługa Naamy. Nosisz znaki ich obojga i obojgu służysz wiernie i dobrze. Nie zapominaj, oni są tylko Towarzyszami Błogosławionego Elui, w którego jasnym cieniu wszyscy podążamy, nawet Kasjel.

– To trudne, panie – szepnęłam.

– Tak. – Michel Nevers pokiwał głową, a ja zobaczyłam w jego oczach wyraz przypominający współczucie. – Trudne.

Tak wyglądały moje odwiedziny w świątyni Kusziela i jeśli nie wyszłam stamtąd mądrzejsza, to przynajmniej pokrzepiona, zarówno przez słowa kapłana, jak i odprawioną pokutę. Wspomnienie bólu uspokoiło mnie i oczyściło myśli. Choć pragnienie nie przepadło – nigdy nie opuszcza mnie całkowicie – płomień rozniecony przez spotkanie z Melisandą przygasł.

Joscelin opatrzył mnie tego wieczoru, smarując maścią świeże rany. Leżałam z głową opartą na przedramionach, zadowolona, ciesząc się dotykiem jego rąk.

– Wszystko to w imię miłości – powiedział z zadumą. – Nie będę udawać, Fedro, że rozumiem.

– Nie – wymruczałam, czując, że ciężą mi powieki. Maść piekła w miejscach, gdzie bicz rozciął skórę. To było przyjemne uczucie. – Ale miałeś rację, posyłając mnie do świątyni.

– Wiem. Powinienem wiedzieć. Wciąż pozostaje tajemnicą, jak ze sobą wytrzymujemy. – W jego głosie brzmiała czułość i humor niezrozumiały dla nikogo poza nami dwojgiem; nasza miłość musiała skłaniać Błogosławionego Eluę do uśmiechu. – Powinnaś umówić się z markarzem, kochanie. – Czubki jego palców prześledziły pręgę przecinającą linie mojej marki. – To wymaga retuszu. Tutaj... – palce przesunęły się – i tutaj.

Zadrzałam, czując dotyk jego rąk, który przemieniał ból w żądzę. Jeśli byliśmy niedobrani pod względem naszych potrzeb, świadomość tego i konieczność kradzieży szczęścia zakazanymi środkami

sprawiała wyborną udrękę. Czując, jak w moim ciele narasta leniwe pożądanie, na wpół ze śmiechem wydyszałam jego imię:

– Joscelinie...

– Czy chcesz...? – szepnął, przesuwając rękę po krągłości moich pośladków.

– Tak. – Położyłam się na plecach i przyciągnęłam go do siebie. – Och, chcę.

DWANAŚCIE

Rankiem zebrałam się na odwagę i stawiałam w pałacu.

Przewidywałam, że Ysandrze nie spodobają się nasze rewelacje, i się nie pomyliłam. Królowa zbladła i krążyła po salonie niczym rozzłoszczona lwica, bezgłośnie miotając przekleństwa. Joscelin stał krok bliżej mnie niż zwykle w obecności królowej, a ja byłam rada, że są z nami Drustan i Sibeal.

Annały nie wspomną o wybuchowym temperamencie Ysandry de la Courcel. Nieczęsto widziałam, by w niekontrolowany sposób traciła panowanie nad sobą, i nigdy bez sprowokowania. Okazywanie gniewu w naszej obecności było miarą zaufania, jakim nas darzyła.

Mimo wszystko czułam zdenerwowanie.

– Kto? – zapytała, zatrzymując się, wsparta pod boki. – Kto mógł zrobić coś takiego i nic mi nie powiedzieć?

Otworzyłam usta i zamknęłam je przezornie.

– Szachrizaj. – Królowa ściągnęła brwi. – Czy będą wieczną plagą mego panowania? Poślę po diuka Faragona... – Urwała, a ja zobaczyłam, że pomyślała o tym samym co ja – ostatnim razem wezwała diuka de Szachrizaj przed tron z powodu nieortodoksyjnych metod działania swojego wuja Barquiela L'Envers.

– Pani – odezwałam się – Ysandro, Melisanda jest pewna, że to nie był żaden z jej krewnych.

– A jak ty myślisz? – zapytał Drustan mab Necthana.

– Myślę, że mówi prawdę.

– Całą prawdę? – Ysandra popatrzyła na mnie twardo.

– Prawdopodobnie nie. – Wzruszyłam ramionami. – W jej przypadku śmiało można tak założyć. Ale to, co powiedziała, było prawdą.

Królowa przeniosła wzrok na Joscelina.

– Co powiesz, kasjelito?

– Wasza Wysokość. – Ukłonił się ze skrzyżowanymi przedramionami. – Zgadzam się z Fedrą. Melisanda Szachrizaj jest niebezpieczna jak żmija i dwakroć bardziej przebiegła, ale sądzę, że nie skłamała.

– To małe dziecko – powiedziała Ysandra na pół do siebie. – Biedny chłopiec. Ostrzegałam ją.

Drustan szeptał do Sibeal, wyjaśniając w cruithne szczegóły rozmowy. Na jej twarzy widziałam coś dziwnego: nadzieję i niezachwianą pewność wizjonera.

– To był wieszczy sen – powiedziała po d’Angelińsku z miękkim akcentem. Jej szeroko rozstawione ciemne oczy zwróciły się w moją stronę. – Znajdziesz sposób, żeby go uwolnić.

Hiacynt.

Dżebe–Barkal.

– Pani Sibeal, modlę się, żeby tak było – odparłam – ale złożyłam obietnicę i muszę jej dotrzymać. Być może na szali leży życie tego dziecka.

– Może już być za późno. – Ysandra nie owijała w bawełnę. – Niezależnie od tego, kto jest odpowiedzialny za jego zniknięcie.

– Wiem. – Spojrzałam jej w oczy. – Mimo wszystko muszę szukać.

– Kimkolwiek jest... – odetchnęła głęboko – ktokolwiek ponosi winę, zostanie osądzony, Fedro, jak każdy inny przestępca. Czy to rozumiesz?

– Tak, pani... Ysandro.

Wiedziałam, o kim mówi, i pękało mi serce. Ysandra de la Courcel nie była głupia. Miała na myśli swojego wuja z jego nieszablonowymi metodami.

– Przez całe swoje życie – podjęła z zadumą – Imriel de la Courcel stanowił zagrożenie dla mojego tronu i dziedzictwa moich córek. Zawsze o tym wiedziałam. I zawsze byłam przygotowana na uporanie się z tym problemem po swojemu, zgodnie z nakazem Błogosławionego Elui. Nie okażę łaski nikomu, kto spróbuje działać na własną rękę.

– Rozumiem.

Ysandra uniosła brwi.

– Ufam, że zdasz raport najpierw mnie, a dopiero potem Melisandzie Szachrizaj, prawie kuzynko?

– Pani! – obruszyłam się. – Tak, oczywiście.

Zaraz potem zostaliśmy odprawieni.

W drodze przez pałacowe korytarze rozmawialiśmy z Joscelinem ściszonymi głosami, omawiając spotkanie z królową, i uprzejmie pozdrawialiśmy napotkanych arystokratów. Zaledwie parę tygodni temu zaliczaliśmy się do nich, do grona d’Angelińskich wielmożów, którzy zbierali się w salonach i Sali Gier, żeby w eleganckich, marmurowych wnętrzach plotkować, flirtować i prowadzić gry o władzę. Teraz to wszystko wydawało się trywialne.

– Widziałeś jej minę? – zapytałam cicho. – Choć tego nie powiedziała, myślała chyba o Barquielu L’Envers.

– Widziałem. – Przystanął, gdy zbliżyliśmy się do markiza d’Arquil z małżonką, przystojnej pary po czterdziestce, bardzo *à la mode*. Towarzyszył im paż, a z tyłu stał brat kasjelita, młody człowiek w popielatoszarym stroju, z wystudiowaną miną surowej wyniosłości. – Miłe spotkanie, panie, pani – rzekł grzecznie Joscelin.

– Hrabino! – Markiza d’Arquil chwyciła mnie za rękę i ucałowała w oba policzki. – Zaprosiliśmy cię na nasze przyjęcie kwiatu wiśni, ciebie i twojego oszałamiającego kochanka, lecz wyjechaliście z Miasta, bezduszne istoty. Musicie obiecać, że na pewno zjawicie się na następnej fecie.

– Postaram się, pani, ale nie mogę obiecać. – Kątem oka widziałam, jak ich kasjelicki strażnik ostentacyjnie wita się z Joscelinem. Inkrustowane zarękawia zaśniły, gdy skrzyżował przedramiona i zgiął się w ukłonie. – Niekiedy moje sprawy zmuszają mnie do podróży.

Dziesięć lat temu, po pojedynku Joscelina w świątyni Aszery, rody szlacheckie postanowiły odnowić prastarą tradycję, czego skutkiem był niespotykany dotąd napływ średnich synów do Bractwa Kasjelitów. Choć sama królowa zrezygnowała z kasjelickiej straży, wynajmowanie braci stało się modne wśród arystokratów. Myślę, że stary prefekt, u którego szkolił się Joscelin, od ręki odrzuciłby większość podań z obu stron. Nowy prefekt rozpatrywał je pozytywnie. Większa część narybku nie ukończyła szkolenia, kilku jednak wytrzymało i teraz pełnili służbę w zamożnych rodzinach, zaprzysiężeni, by chronić i służyć.

I wszyscy spoglądali na Joscelina z rozpaczliwą mieszaniną uwielbienia dla bohatera i pogardy dla odstępcy. Jego zwycięstwo nad zdradzieckim kasjelitą, który nastawał na życie Ysandry, przeszło do legendy, ale z mojego powodu Joscelin wystąpił z Bractwa Kasjelitów, za co został obłożony klątwą. Ci, którzy nie złamali ślubu życia w celibacie, gardzili nim za to.

– Twoje sprawy. – Markiz d’Arquil uśmiechnął się domyślnie. – To znaczy, sprawy Naamy.

– Jak mówisz, panie. – Uśmiechnęłam się w odpowiedzi, kładąc dwa palce na ustach w geście oznaczającym dyskrecję. Joscelin, na którego nie patrzyli, wywrócił oczami. – Zrobię, co w mojej mocy, by zdążyć na następne przyjęcie.

Pożegnaliśmy się serdecznie. Kasjelicki strażnik wykonał kolejne ceremonialne przedstawienie, kłaniając się na tyle nisko, żeby pokazać włosy związane na karku. Nie miał miecza, tylko sztylety, bo Ysandra zakazała noszenia długiej broni w pałacu. Joscelin tym razem odpowiedział ponurym skinieniem. Nad jego ramieniem

sterczała okręcona podniszczoną skórą rękojeść miecza, dowód zaufania królowej.

– Eluo, uchwaj – mruknął, gdy odeszli. – Czy kiedyś też byłem takim zarozumialcem?

Ujęłam go pod ramię.

– Gorszym.

Roześmiał się.

– Ha, być może. Przypomnij mi, że mam pewne plany, kiedy następnym razem d'Arquilowie zaproszą nas na przyjęcie. Fedro... – Ton głosu Joscelina się zmienił i spojrzałam na niego. – Czy zamierzasz osobiście wypytać Llenversa?

– Tak. – Przez chwilę oceniałam jego minę. – Myślisz, że Ysandra pośle po niego?

– Uhm. – Popatrzył na mnie. – Jest jej najbliższym krewnym. Myślę, że spotka się z nim prywatnie, zanim oskarży go na oczach świata. Chcesz porozmawiać z nim pierwsza?

Myślałam o tym. Jeśli Ysandra miała jakąś wadę, to była nią niechęć do dostrzegania wad u tych, których kochała.

– Bardzo. Gdzie on jest?

– W Champs-de-Guerre. – Joscelin uniósł brwi, tym samym komentując rolę diuka jako dowódcy wojsk królewskich. Został mianowany tymczasowo, z potrzeby chwili po zdradzie Percy'ego de Somerville, ale Ysandra go nie odwołała i nie wyznaczyła innego wodza naczelnego. – Niespełna dzień jazdy stąd. Jeśli wyruszymy po południu, będziemy na miejscu, zanim Ysandra postanowi wysłać kuriera.

– Dobrze. – Z wdzięcznością ścisnęłam jego rękę. – Wydaje się, że sprawy zmuszają nas do podróży.

Jeśli myślałam, że wszystko pójdzie jak z płatka, to byłam w błędzie. Ti-Filip czekał na nas niecierpliwie, chcąc jak najszybciej podzielić się wiadomościami. Niemal wychodził ze skóry, gdy

wydawałam dyspozycje Eugenii, która miała przygotować sakwy na wyjazd do koszarów armii królewskiej.

– Pani! – zawołał z uśmiechem od ucha do ucha. – Nie miałaś racji. W Miejskiej Akademii znalazłem uczoną, która interesuje się Dżebe-Barkal, choć jest muzykiem, nie lingwistą. Pięćdziesiąt lat temu jej ojciec grał na bębnach w Domu Dzikiej Róży, a po zrobieniu marki ruszył na włóczęgę po świecie i wiele lat spędził w tym dalekim kraju. Sporządziła wierną kopię zwoju i uważa, że do jutra zdąży go przetłumaczyć. A ten Cygan, Emil, obiecał zjawić się rano.

– Jutro? – Skrzywiłam się. – Wyjeżdżamy do Champs-de-Guerre. Powiedz uczonej... jak się nazywa?

– Audyna Davul.

– Przekaż pani Audynie Davul, że odwiedzę ją po powrocie, a Emilowi... Emilowi powiedz to samo.

– Odwiedzisz go w Progu Nocy? – Ti-Filip zrobił sceptyczną minę. Roześmiałam się.

– Dlaczego nie? Minęło dużo czasu, odkąd piłam wino w „Kogutku”. Kiedyś to było moje schronienie. I tam też udaliśmy się, gdy sprowadziłam cię do Miasta. Może za długo się obracam w wyrafinowanych kręgach.

– Powiem mu. – Ti-Filip milczał przez chwilę. – Pani, kazał ci przekazać, że Manoj nie żyje, a kompanie Cyganów wypowiadają imię Hiacynta, syna Anastazji, na skrzyżowaniach dróg.

Manoj był dziadkiem Hiacynta, cygańskim *kralis*, czyli królem, a Anastazja była jego córką, matką Hiacynta, zdradzoną i napiętnowaną przez swój lud. Nie sposób wyrazić słowami, jakie znaczenie miał dla Hiacynta fakt, że Cyganie pamiętali i wspominali go, Księcia Podróżnych jako syna Anastazji.

– Powiedz mu... – zaczęłam cicho. – Powiedz mu, że jestem wdzięczna za te informacje.

– Jak sobie życzysz – odparł Ti-Filip, zachowując zastrzeżenia dla siebie.

Po uporządkowaniu naszych spraw, z napomnieniami Eugenii dźwięczącymi w uszach, Joscelin i ja znowu ruszyliśmy w drogę. Białe mury Miasta Elui kurczyły się w dali, gdy jechaliśmy na północ ku Champs-de-Guerre. W drodze powtórzyłam, co powiedział mi Ti-Filip. W przeciwieństwie do mojego kawalera, Joscelin zrozumiał. Był tam, kiedy Hiacynt dokonał wyboru, odwracając się plecami do czekającego nań dziedzictwa, żeby złożyć przede mną dar *dromonde* i uśmierzyć mój strach.

– Książę Podróżnych – powiedział, kręcąc głową. – Czy wiesz, że wcześniej mu nie wierzyłem? Dopóki nie poznaliśmy cygańskiego króla, myślałem, że to po prostu kolejne kłamstwo przeklętego Cygana.

– Ja również – mruknęłam. – Eluo, wybacz mi.

– Nie jestem pewien, czy sam Hiacynt znał prawdę. – Joscelin popatrywał na mnie z ukosa. – Pan Cieśniny. Kto by pomyślał! Czy wiesz, że ona jest w nim zakochana?

Patrzyłam na drogę pomiędzy uszami wierzchowca.

– Sibeal?

– Uhm.

Pomyślałam o nadziei, jaka rozjaśniła jej twarz, i wspomniałam cicho wyrzeczone słowa: „Znajdziesz sposób, żeby go uwolnić”. Zastanawiałam się, czy Hiacynt wiedział i co czuł. Zastanawiałam się, co ja czuję. Ale na głos powiedziałam tylko:

– Wiem.

TRZYNAŚCIE

Na noc zatrzymaliśmy się w przyjemnym zajeździe i zjedliśmy wieczorny posiłek na dziedzińcu, gawędząc z innymi podróżnymi. Rankiem wiejski wyrostek, z dłońmi i stopami zbyt dużymi w porównaniu z tyczkowatym ciałem, podprowadził nasze wypoczęte, wyszczotkowane wierzchowce do klocka ułatwiającego wsiadanie. Poczzerwieniał i ukłonił się gdy Joscelin dał mu srebrnego centyma. Rzucił na mnie ukradkowe spojrzenia spod długich, dziewczęcych rzęs. Pewnego dnia będzie łamać serca pomyślałam, ale jeszcze nie dzisiaj.

Znów ruszyliśmy, jadąc wysadzonymi drzewami drogami przez żyzne serce d'Angelińskich ziem uprawnych.

Słońce jeszcze nie wspięło się wysoko, kiedy dotarliśmy do Champs-de-Guerre, szerokich zielonych pól, na których ćwiczy i koszaruje stała armia Terre d'Ange. Zapytaliśmy o kwatery oficerów i powiedziano nam, że diuk Barquiel L'Envers przeprowadza przegląd korpusów piechoty na głównym placu.

– Zaczekamy? – zapytał Joscelin. – Niedługo zrobią przerwę na południowy posiłek.

– Nie – odparłam stanowczo. – Spotkajmy się z diukiem Barquielem w polu.

Uczynny porucznik skierował nas na plac, choć sądzę, że trafilibyśmy tam sami, przyciągnięci przez hałas. Zielona murawa na rozległym polu była udeptana przez tysiące stóp. Słyszeliśmy stękanie ćwiczących ludzi, szczęk zbroi i broni.

Bez trudu wypatrzyliśmy diuka Barquiela, przyglądającego się z boku potyczce. W purpurowym płaszczu rodu L'Envers, zarzuconym na stalowy pancerz, wykrzykiwał rozkazy do oficerów i żołnierzy piechoty. Ściągnęłam wodze wierzchowca, Joscelin zrobił to samo.

Barquiel zauważył nas i rozkazał chorążemu dać sygnał do zakończenia ćwiczeń. Podszedł do nas z uśmiechem.

– No, no, no. – Zatrzymał się i przekrzywił głowę, patrząc na mnie.

– Hrabina Fedra nó Delaunay de Montrčve. Czemu zawdzięczam tę niespodziewaną przyjemność?

– Wasza Książęca Mość. – Skinęłam głową, wciąż pozostając w siodle. Słońce błysnęło na mojej Gwieździe Towarzysza, niezbyt subtelnie przypominającej, że mam prawo zwracać się do niego jak do równego sobie. – Chciałabym omówić z tobą pewną sprawę.

Barquiel L'Envers uniósł brwi pod hełmem okręconym turbanem, który upodobał sobie w czasach ambasadorowania w Khebbel-im-Akad.

– Tak? A co moja pani hrabina proponuje w zamian za swobodny wgląd w moje myśli?

Wyprostowałam się z konsternacją.

– A czego pragnie mój pan?

Gdyby chodziło mu o spotkanie, zamierzałam odmówić, ale Barquiel L'Envers był zbyt przebiegły, żeby prosić o rzecz tak oczywistą. Spojrzenie fiołkowych oczu, jakże podobnych do oczu jego siostrzenicy Ysandry przeniosło się na Joscelina.

– Wśród moich ludzi krąży legenda – zaczął od niechcienia – że kasjelita z gołą głową, z mieczem i zarękawiami może pokonać żołnierza w polowej zbroi z mieczem i tarczą. Ja mówię, że to romantyczna bzdura. Co ty na to, messire Verreuil? Czy poddamy ją próbie?

– Wasza Książęca Mość, to dla mnie zaszczyt – odparł Joscelin uprzejmie – lecz nie mogę go dostąpić. Zostałem wyklęty przez Bractwo Kasjelitów.

– A, tak. – L’Envers uśmiechnął się. – Rycerz królowej, wybranek pani Fedry, wieczny apostata. A jednak, messire Verreuil, ilekroć ludzie wypowiadają słowo „kasjelita”, myślą o tobie. Czy skrzyżujesz ze mną miecze?

Joscelin i ja wymieniliśmy spojrzenia. Słowa czy choćby wzruszenie ramion nie były potrzebne; znaleźliśmy się na wylot. Decyzja należała do niego.

– Jak mówisz, Wasza Książęca Mość – powiedział do L’Enversa – na swój sposób wciąż jestem sługą Kasjela. – Pokręcił głową. – I jako taki wyciągam miecz tylko po to, żeby zabić. Nie dobędę go przeciwko tobie, panie.

– Wygodny zakaz! – zawołał Barquiel L’Envers do swoich ludzi, którzy stali dokoła i przysłuchiwali się z zaciekawieniem.

– Panie L’Envers. – Joscelin z wdziękiem zsunął się z siodła i podał wodze zaskoczonemu żołnierzowi. Stał przed diukiem i ukłonił się z kasjelicką precyzją, a sztylety wyskoczyły z pochew, gdy się wyprostował. Cień uśmiechu igrał w kąciku jego ust. – Powiedziałem, że nie wyciągnę miecza. Nie powiedziałem, że odrzucam twoją prośbę.

Potężny okrzyk wyrwał się z gardeł piechurów, którzy spieszenie utworzyli szerokie półkole, robiąc miejsce dla walczących. Czyjś giermek pobiegł co sił w nogach, żeby powiadomić obóz, a jeden z oficerów z radością tłukł drugiego po ramieniu. Brwi L’Enversa zniknęły pod krawędzią hełmu w wyrazie ogromnego niedowierzania.

– Chcesz walczyć ze mną sztyletami?

– Wasza Książęca Mość pragnie walczyć z kasjelitą – odparł Joscelin. – Z tym kasjelitą?

Po chwili L’Envers roześmiał się głośno, klepiąc się ręką po udzie.

– Niech więc tak będzie! Do pierwszej krwi albo do poddania, co nastąpi pierwsze. Anton, tarcza! – Uśmiechnął się szeroko, pokazując białe zęby, i pokręcił głową. – Na cycuszki Naamy, masz jaja, kasjelito.

Prawie cię za to lubię.

Joscelin uśmiechał się, krzyżując sztylety.

Mogło być gorzej, tyle powiem. L'Envers miał nie pełną zbroję, lecz ćwiczebny kirys piechura, nagolenice i rękawice. Mimo to wysoka tarcza w kształcie latawca, którą założył na lewe ramię, zapewniała mu porządną ochronę, a jego miecz był trzy razy dłuższy od sztyletów Joscelina. Zimna stal ich broni była zabójcza, ostra jak brzytwa. Siedziałam w siodle, zdjęta cichym lękiem, i z pogodnym wyrazem twarzy patrzyłam, jak diuk L'Envers podnosi tarczę, oswajając się z jej ciężarem, i wykonuje parę próbnych sztychów. Po całym Champs-de-Guerre niosły się krzyki, tupot stóp i tętent koni, gdy widownia się powiększała. Wokół mnie utworzyła się improwizowana straż honorowa, chroniąca przed przepychającymi się żołnierzami. Giermek poprawił osłony policzkowe na hełmie swojego pana, zacisnął pasek pod brodą.

– Zaczynamy? – zapytał Barquiel L'Envers.

Joscelin skłonił się w milczeniu.

Walka zaczęła się w wolnym tempie, obaj uczestnicy krążyli, wypatrując słabych punktów. Barquiel L'Envers był arogancki, ale uczestniczył w niezliczonych bitwach i nie działał pochopnie. Wykonał próbne pchnięcie i zmrużył oczy, gdy Joscelin sparował je bez wysiłku, jego osłonięte stałą przedramię odbiło miecz, gdy zrobił wypad i obrócił się, błyskawicznie uderzając sztyletem w prawej ręce. Sztylet ześliznął się po tarczy L'Enversa. Joscelin odstąpił, wspierając ciężar ciała na przesuniętej do tyłu nodze, i skrzyżował sztylety w obronnej pozycji, gotów do odparcia następnego ataku.

Znałam na pamięć jego pełne wdzięku kroki, płynne zmiany kasjelickich figur, skomplikowane wzory tkane przez jasną stal sztyletów. Tysiące razy patrzyłam, jak ćwiczy sam w naszym ogrodzie. Barquiel L'Envers przemykał czujnie, zwrócony w jego stronę lewym, chronionym przez tarczę bokiem. Nagle miecz skoczył

w niskim, bocznym ciosie, mierząc w brzuch Joscelina. Krzyknęłam... ale Joscelin już obracał się w lewo, sztylet sunął w dół na spotkanie groźnej główki, pochwycił ją pomiędzy zakrzywiony jelec a podstawę ostrza. Prawy łokieć Joscelina poderwał się i dźgnął w gardło L'Enversa.

Barquiel L'Envers zakaszłał, oczy mu zwilgotniały; przypuszczam, że grdyka mocno go zaboląła.

– Nie próbowałbyś tej sztuczki z człowiekiem, który ma naszyjnik, kasjelito – wykrztusił.

– Nie, panie. – Joscelin uśmiechnął się lekko. – Nie próbowałbym

L'Envers odzyskał dech i przypuścił gwałtowny atak; grad krótkich szybkich pchnięć zmusił Joscelina do obrony. Patrzyłam z sercem w gardle, bo wiele ciosów mogło być śmiertelnych, gdyby osiągnęły cel. Do dziś dnia naprawdę nie wiem, czy diuk powstrzymałby miecz, gdyby obrona Joscelina zawiodła. Dzięki Błogosławionemu Elui, do tego nie doszło.

Ale gdy stało się jasne, że miecz Barquiel'a nie przedrze się przez błyszczący krąg, jaki tworzyły sztylety i zarękawia Joscelina, równie oczywiste było to, że Joscelin nie zdoła wejść bezpiecznie w zasięg miecza diuka i ominąć jego tarczy. Krążyli bez końca, ubijając błotnistą ziemię, podczas gdy żołnierze robili zakłady, a mnie zimny pot ściekał między łopatkami.

W pewnym momencie Barquiel L'Envers cofnął się, podniósł wysoko tarczę i miecz, po czym natarł szybkim, pewnym krokiem, chcąc zadać cios w czubek głowy Joscelina. Joscelin błyskawicznie poderwał skrzyżowane sztylety, chwytając pomiędzy nie długie ostrze. Siłowali się przez chwilę, potem L'Envers gwałtownie poderwał tarczę, uderzając w niczym niechronioną twarz Joscelina.

Joscelin zatoczył się do tyłu, uwalniając miecz L'Enversa, a żołnierze przysunęli się bliżej. Moja klacz poruszyła się nerwowo, zarzucając głową i zasłaniając mi widok. Zanim ją uspokoiliam, walczący znów się zwarli. Joscelin unieruchomił miecz L'Enversa w

zakrzywionym jelcu sztyletu; diuk mocno napierał tarczą, próbując wetknąć mu jej skraj pod brodę. Stali na szeroko rozstawionych nogach, ich stopy się ślizgały, szukając oparcia w błocie.

To Joscelin się zachwiał. Widziałam, gdy napinali się i dyszeli, widziałam, jak jego lewa stopa się ślizga, widziałam, jak lewe kolano zaczyna się uginać. Pchnięty tarczą L'Enversa Joscelin upadł na plecy. Barquiel L'Envers z krzykiem zwycięstwa uwolnił i opuścił miecz, mierząc sztychem w gardło adwersarza.

– Czy się poddajesz, messire kasjelito?

Leżąc na plecach, Joscelin uniósł ręce.

– Panie, poddaję się.

Żołnierze ryknęli gromko, a ja odetchnęłam, rada, że pojedynek się skończył. Barquiel L'Envers ze śmiechem podał miecz z tarczą giermkowi. Wsunął hełm pod pachę i drugą rękę wyciągnął do Joscelina, podnosząc go z ziemi.

– Dobra walka, messire Verreuil, choć mniemam, że twoja pani nie będzie zachwycona stanem twojego przyodziewku. Z drugiej strony, wywalczyłeś jej prawo zadawania pytań. Czy udamy się do mojej kwatery? Przyjmę was jak należy i zobaczymy, czy mój pokojowy poradzi sobie z tym błotem.

Udaliśmy się do koszar.

Kwatery dowódcy wojsk królewskich w Champs-de-Guerre były przestronne i przyzwoicie urządzone, choć nie luksusowe. Akadyjskie poduszki i kobierce nadawały im wschodni charakter, ulubiony przez Barquiel L'Envers. Nie dostrzegłam nigdzie śladu kobiecej ręki. W ciągu wielu lat naszej znajomości tylko raz spotkałam żonę diuka. Silna kobieta wydawała się zadowolona z zarządzania rodzowymi włościami w Namarze, podczas gdy jej ambitny mąż robił dobry pożytek ze swoich talentów gdzie indziej.

L'Envers dotrzymał słowa i pożyczył Joscelinowi czyste spodnie, powierzając ubłocone ubranie pokojowcowi. Podano kurczęta na

zimno z solonymi plasterkami melona, chrupiącym chlebem i ostrym białym serem. Później Joscelin usiadł ze skrzyżowanymi nogami na podłodze i zajął się metodycznym czyszczeniem broni i zarękawi. W tym czasie ja rozmawiałam z Barquielem L'Envers.

– Pani Fedro. – Wciąż zadowolony ze zwycięstwa diuk był w wylewnym nastroju. – O jakiej sprawie życzysz sobie mówić?

– Wasza Księżęca Mość. – Pochyliłam głowę. – Co wiesz o Imrielu de la Courcel?

– Chłopak Melisandy. – L'Envers obrzucił mnie przenikliwym spojrzeniem. – Dlaczego pytasz o niego? Wiesz coś, czego ja nie wiem, hrabino?

Wzruszyłam ramionami.

– Szukałeś go, panie. Tyle mi wiadomo.

Ściągnął usta i zapatrzył się w kieliszek z winem, zastanawiając się, ile mi powiedzieć.

– Tak – przyznał w końcu. – Szukałem. – Odstawił kieliszek i spojrzał na mnie. – Twoje metody różnią się od moich, *anguisette*, co do tego jesteśmy zgodni. Ostatnim razem, gdy postanowiliśmy sobie nie ufać, niemal oddaliśmy królestwo w ręce Melisandy Szachrizaj. Jeśli ci powiem, co wiem, czy wyświadczysz mi grzeczność?

Hałas towarzyszący czyszczeniu broni na chwilę ucichł.

– Tak – odparłam.

– Dobrze. – Barquiel L'Envers zaczerpnął tchu i przeczesał ręką jasne, krótko ścięte włosy. – Wiesz, że mam powiązania z Khebbel-im-Akad i Aragonią. Agenci szukali informacji w obu miejscach, wśród nisko i wysoko urodzonych, a potem w Efezjum, Kartaginie i Umajjacie. Żaden nie natrafił na ślad chłopca. Sądzę, że wykorzystyłaś swoje znajomości w La Serenissimie, Helladzie i Ilirii, żeby i tam zasięgnąć języka? – W jego głosie nie było napięcia, powieki mu nie drżały, nie doszukałam się ani jednej oznaki kłamstwa.

– Tak. Szukałam także informacji w samej Terre d'Ange.

L'Envers pokiwał głową.

– Tak myślałem. Anafiel Delaunay dobrze cię wyszkolił. Gdyby ukrywał go ktoś z otoczenia Ysandry, jestem przekonany, że na przestrzeni dziesięciu lat musiałabyś się o tym dowiedzieć.

– Nie ukrywał.

Patrzył na mnie. Widziałam, jak jego źrenice się kurczą, gdy zrozumiał. Strach i podniecenie objawiają się podobnie; nie byłam pewna, co wyrażają oczy Barquiela.

– Wiesz. – Oddech mu uwiązał w obitym gardle i diuk kaszlnął niecierpliwie, mocno chwytając moją rękę. – Ty wiesz! – Oczy mu rozbłysły, usta rozchyliły się w uśmiechu. – Kto to jest?

– To już nie ma znaczenia, panie – odparłam, nie bacząc na ból, jaki mi sprawia. – Chłopiec zaginął.

Barquiel L'Envers puścił mój nadgarstek i wyrzucił z siebie stek pełnych pasji przekleństw. Joscelin uspokoił się i kontynuował czyszczenie broni. Zaczekałam, aż diuk ucichnie, i przedstawiłam mu skróconą wersję opowieści Melisandy.

– I pomyślałaś, że ja to zrobiłem? – zapytał.

– Mój pan ma środki i rozum – odparłam dyplomatycznie. – Melisandzie też przyszło to do głowy. I... – dodałam – podejrzewam, że otrzymasz wezwanie od królowej.

– Wątpliwy komplement i przyjmę go jako taki. – Barquiel L'Envers pokręcił z uśmiechem głową. – Sanktuarium Elui! Myślałem, że kazała wywieźć chłopca do Skaldii. To jedyne miejsce, którego nie możemy przeszukać, a ona od czasów Seliga ma z nimi powiązania. Przez myśl mi nie przeszło, że ma sojuszników wśród kapłanów Elui.

– Ani mnie, panie. Ani mnie.

Zajęty szorowaniem sprzączek zarekawii Joscelin chrząknął z dezaprobatą.

– Cóż. – L'Envers z zadumą spojrział w jego stronę. – Przechytrzyła ciebie i mnie, pani Fedro, ale wygląda na to, że przechytrzyła również samą siebie. Nie będę udawać, że byłoby mi przykro, gdybym usłyszał o śmierci dziecka. Może być niewinny, lecz póki żyje, jest bronią,

która może zostać użyta przeciwko potomkom rodu L'Envers. I nie podobami się myśl, że nie wiem, czyja ręka mogłaby nim pokierować – mówił, patrząc znów na mnie. – Czy Ysandra wezwała tego kapłana?

– Jeszcze nie.

– Wezwie. – Odchylił się na krześle. – Może nie od razu wymyśli, jak zmierzyć się z kapłanami Elui, ale w końcu to zrobi. Znam swoją siostrzenicę.

Pokiwałam głową, uznając jego słowa za ostrzeżenie.

– Przyjęłam do wiadomości, panie. Dziękuję za szczerość.

– Ach. – L'Envers uśmiechnął się, patrząc na pochyloną głowę Joscelina. – Zapłaciłaś za nią uczciwie. Ufam, że jesteś zadowolona z mojej otwartości. Czy może chcesz, żebym przysiągł... na płonącą rzekę?

Zarumieniłam się, gdy wyrzekł starożytne hasło rodu L'Envers zobowiązujące jego członków do mówienia prawdy i udzielenia pomocy. To z pomocą tych słów skłoniłam go do obrony Miasta Elui przed zdradzieckim Percym de Somerville, słów powierzonych mi w zaufaniu przez jego krewniaczkę, Nicole L'Envers y Aragon.

– Czy przysiągłbyś, gdybym poprosiła?

Spojrzenie diuka pozostało niewzruszone.

– Tak.

– Nie trzeba – powiedziałam. – Wierzę ci.

Wyjechaliśmy z Champs-de-Guerre późnym popołudniem. Uznaliśmy, że jeśli nie będziemy robić postojów, dotrzemy do Miasta Elui przed nocą, bo z nadejściem lata dni stawały się coraz dłuższe. Pokojowiec Barquiela L'Envers sprawił się doskonale – ubranie Joscelina było suche i tylko trochę przybrudzone. On sam tryskał doskonałym humorem pomimo przegranej.

– Jeśli to nie L'Envers – zagadnął – to kto?

– Nie wiem. Sądzisz, że powiedział prawdę?

– Tak, jak zresztą i ty. – Zerknął na mnie. – To zwiększa szanse, że chłopiec żyje. L'Envers ma rację, może być niebezpieczną bronią w

czyjejś ręce.

– Chciałabym wiedzieć, w czyjej. – Westchnęłam. – Wiesz, musimy jechać do sanktuarium Elui i zadać pytania, zanim Ysandra wezwie brata Selberta.

– Uhm.

– Joscelinie? – Popatrzyłam na jego profil. – Dałeś mu wygrać, prawda?

Kącik jego ust uniósł się w lekkim uśmiechu.

– Który szanujący się kasjelita zrobiłby coś takiego?

Uniosłam brwi.

– Tylko jeden.

Joscelin roześmiał się, nie odpowiedziawszy na moje pytanie.

CZTERNAŚCIE

Po powrocie do Miasta Elui wysłałam wiadomość do Ysandry, informując pokrótce o spotkaniu z jej wujem, diukiem L'Envers, i dzieląc się z nią swoim przekonaniem o jego niewinności. Nie kryłam się również z zamiarem wyjazdu do Siovale, do sanktuarium Elui w Landras, w celu wypytania kapłanów o okoliczności zniknięcia Imriela de la Courcel.

Cóż, jeśli Ysandra zechce mnie ubiec, proszę bardzo. Jeśli nie, będę prowadzić dochodzenie na swój sposób.

Najpierw jednak spotkałam się z Audyną Davul w Miejskiej Akademii.

Byłam tam wiele razy, ale rzadko zaglądałam do kolegium muzyków, gdzie z różnych salonów płynie mniej lub bardziej rytmiczna melodia. Studenci w różnym wieku uczyli się grać na harfach, lirach i mandolinach, tamburynach i kotłach, fletach i fujarkach, i oczywiście na bębnach. W pokojach Audyny Davul zobaczyłam ogromną kolekcję tych instrumentów – wcześniej nie miałam pojęcia, że istnieje aż tyle ich rodzajów. Były tam bębny duże i małe, niskie i szerokie, wysokie i wąskie, obciążone kozią skórą, drewniane, miedziane i ceramiczne, stalowe kociołki do uderzania małymi pałeczkami, ręczne bębenki–grzechotki.

Audyna Davul, skupiona, chuda kobieta po czterdziestce, z szarymi oczami i miodową cerą, była owocem romansu adepta Dzikiej Róży z efezjańską tancerką. Kiedy jej matka zmarła w połogu, ojciec zabrał ją na swoje wędrówki, grał na bębnie płacąc za miejsce na statku, bawiąc

załogę i podając rytm wioślarzom. Powiadano, że galera miała skrzydła, gdy Antoine Davul nadawał tempo. Od piątego do piętnastego roku życia Audyna mieszkała w Dżebe–Barkal. Dorastała, mówiąc i pisząc po dżebeńsku, podczas gdy jej ojciec studiował język „górskich mówców”, wielkich wydrążonych pni używanych do porozumiewania się na odległość na wyżynach Dżebe–Barkal.

Audyna Davul przetłumaczyła zwój, który Melisanda nazwała *Kefra Neghast*.

– Tak – powiedziała, wskazując przygotowany welin. Zawierał nie tylko tłumaczenie starannie umieszczone pod każdą linijką dżebeńskiego tekstu, ale także zapis fonetyczny nieznanego mi pisma.

– Twoje informacje są poprawne, to historia Meleka al’Hakima, księcia Saby. Obecnie nie opowiada się jej często.

Ostrożnie trzymałam cenny dokument, przeglądając tekst.

– Zatem to prawda? Był synem Szalomona?

– Czym jest prawda? – Nauczycielka muzyki uśmiechnęła się, rozkładając dłonie. – Prawda jest taka, że tę legendę opowiada się w Dżebe–Barkal, dokąd mieszkańcy Saby uciekli po zatargu z faraonem Menechetu i gdzie rządzą przez wiele lat. Przetłumaczyłam słowa wiernie, tak jak są napisane. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć, hrabino.

– Dziękuję. – Do tej chwili nie śmiałam w to uwierzyć. Odłożyłam pergamin i spontanicznie zarzuciłam Audynie ręce na szyję, całując ją w policzek. – Maitresse Davul, dziękuję!

Roześmiała się, odwzajemniając uścisk.

– Teraz cała akademia będzie plotkować, że cieszę się specjalnymi względami Fedry nó Delaunay. – W kącikach jej oczu pojawiły się drobne zmarszczki. – Może to przyciągnie więcej chętnych do nauki gry na bębnach.

– Mam nadzieję. – Przyjęłam tubę z oryginalnym dżebeńskim manuskrytem. – Nie wróciłaś do Dżebe–Barkal, prawda?

– Nie. – Audyna Davul pokręciła głową. – Stopy mojego ojca

podążały w rytmie, jaki tylko on mógł usłyszeć. Ja podążałam za nim. Kiedy wreszcie przywiózł mnie do Terre d'Ange, zrozumiałam, że trafiłam do domu. Przyniosłam jego rytmy do Miasta Elui. I nie mam zamiaru stąd wyjeżdżać.

Położyłam na stole sakiewkę.

– Proszę, przyjmij to z podziękowaniami za wyborną pracę. Jeśli pozwolisz, chciałabym pewnego dnia porozmawiać z tobą dłużej o Dzebe–Barkal. Żałuję, że moje plany uniemożliwiają rozmowę w tej chwili.

Ukloniła się, kurze łapki w kącikach jej oczu zarysowały się wyraźniej.

– Jak sobie życzysz, hrabino. Nigdzie się nie wybieram.

Zazdroszczę jej tego, pomyślałam w powozie, wracając do domu.

Dziwne, że zamiłowanie ojca do wędrówek wygasło w jego na wpół d'Angelińskiej córce. Dziwne, że dziecko byłego adepta Domu Dzikiej Róży i efezjańskiej tancerki poświęciło się pracy w akademii. Pomyślałam o swoich rodzicach – mojej pięknej, leniwej matce i głupim, rozrzutnym ojcu – i zastanowiłam się po raz tysięczny, czy potrafili powiązać hrabinę de Montrčve, *anguisette* Delaunaya i zaufaną królowej, ze śliczną dziewczynką ze skazą, sprzedaną duejnie Domu Cereusa. Zrzekli się wszelkich praw do mnie na rzecz Dworu Nocy i do ukończenia dziesięciu lat nie znałam innego życia. Nigdy więcej ich nie widziałam.

Właściwie to nie było złe życie. Każdy z Trzynastu Domów ma własną specjalność, a w Cereusie ceni się ulotną naturę istnienia i piękna. Adeptci byli dość mili i nauczyłam się szacunku do służby Naamie. Wiele swoich przymiotów zawdzięczam szkoleniu w Domu Cereusa. Ale życie adeptów sprowadza się do bawienia klientów, moje zaś... moje obejmowało znacznie więcej. Wciąż się zastanawiam, czy moi rodzice wiedzieli, kim jestem.

Jeśli nawet, to nie dali znaku życia – i dlatego uważam, że być może

już nie ma ich wśród żywych. Wielu ludzi zmarło w czasie Najsroźszej Zimy przed dwunastu laty, kiedy kraj nawiedziła choroba i skaldyjscy najeźdźcy. Lubię myśleć, że gdyby żyli, odezwaliby się do mnie, kiedy poeci i klienci zaczęli głośno słać moje imię. Moja matka płakała, zostawiając mnie pod opieką duejny. Pamiętam, że płakała. Zastanawiałam się, czy byłaby zdziwiona, że ich dziecko stało się biegłe w sztuce szpiegowania. W ostatecznym rozrachunku bardziej byłam dzieckiem Anafiela Delaunaya niż moich rodziców.

Pomyślałam o synu Melisandy Szachrizaj, wychowanym przez kapłanów Elui.

Zastanawiałam się, jaki jest.

Gdybym mogła, cały następny dzień spędziłabym nad przekładem *Kefra Neghast*. Niestety, nie miałam czasu. Przyznaję ze wstydem, że niedola Hiacynta znalazła się na drugim miejscu. Jak nauczycielka gry na bębnach, nigdzie się nie wybierał. Sprawa Imriela de la Courcel przedstawiała się zgoła inaczej.

Oboje z Joscelinem ponownie przyszykowaliśmy się do podróży.

Ponieważ od Ysandry nie napłynęły żadne wiadomości, uznałam to za dobry znak i pozwoliłam sobie opóźnić wyjazd o pół dnia, żeby spotkać się z Emilem, dawnym towarzyszem Hiacynta w Progu Nocy.

Próg Nocy to skupisko szynków, gospód i szulerni u stóp Mont Nuit, wzgórza, na którym stoi Trzynaście Domów Dworu Nocy. To prawda, że dzielnica ta cieszy się najgorszą sławą w Mieście Elui, ale brak wyrafinowania typowego dla Dworu Nocy nadrabia rubaszną żywiołowością. Od dawna jest raczej niebezpiecznym miejscem zabaw dla śmiałej szlachty z Miasta. Mieszkańcy Progu Nocy umieją na tysiące sposobów wyczyścić kieszenie d'Angelińskich wielmożów.

Hiacynt, mój najdroższy przyjaciel, był jednym z nich... i z tego powodu uważałam Próg Nocy, ten wyświechtany przedpokój cywilizowanych rozkoszy Dworu Nocy, za azyl. To tam uciekałam przed rygorami Domu Cereusa, a później Delaunaya. Mój Książę

Podróżnych zarabiał na życie przepowiadaniem przyszłości pijanym pannom i paniczom, używając daru *dromonde*, a także sprzedawał informacje i usługi oraz, co było bardziej pragmatyczne, miał stajnię i pokoje do wynajęcia. Zostawił wszystko Emilowi, szefowi swojej gromady gońców i pomocników.

Ti-Filip uprzedził karczmarza, więc w „Kogutku” czekał na nas zastawiony stół.

– Pani Fedra nó Delaunay! – krzyknął Emil, gdy weszłam do gwarnej izby. Przykląkł i szeroko rozłożył ramiona. – Zaszczycasz mnie swoją wizytą!

Nie bacząc na spojrzenia i szepty licznych klientów, podeszłam do niego z uśmiechem i wzięłam go za rękę.

– Emilu, miło cię widzieć.

– I ciebie. – Ucałował moje dłonie i wstał, nie wyższy, ale znacznie szerszy w barach, niż go pamiętałam. Minęło co najmniej osiem lat; byłam tu tylko raz od czasu długiego pobytu w La Serenissimie. – Kawaler Filip, messire kasjelita... chodźcie, siadajcie, przyjaciele! Powspominamy dawne czasy i starych znajomych.

Wokół naszego stołu powstała wolna, pełna szacunku przestrzeń. Za skarby świata nie mogłabym powiedzieć, czy było to skutkiem mojej wątpliwej sławy, porywczego charakteru kawalera Ti-Filipa, kasjelickiej broni i pewności siebie Joscelina, czy może po prostu obecności Emila. Najwyraźniej w Progu Nocy powodziło mu się doskonale i był człowiekiem, z którym należało się liczyć, przynajmniej w „Kogutku”.

Gdy podano wino, Emil pochylił się, opierając łokcie na stole.

– Masz wieści od Hiacynta?

– Tak – odparłam.

Nabrałam tchu i opowiedziałam mu o podróży do Trzech Sióstr, o przekazaniu władzy przez Pana Cieśniny i o tragicznym zwrocie w życiu Hiacynta.

Kiedy skończyłam, łzy lśniły w ciemnych oczach Emila.

– Ach! Na nowo łamiesz mi serce. Może nie wiedziałaś, hrabino, ale był dla mnie jak brat.

– Wiem – zapewniłam ze współczuciem. – Emilu, jest coś więcej, jeśli chcesz posłuchać. Być może mam klucz do otworzenia kajdan jego klątwy, a raczej wiem, gdzie go szukać. Czeka mnie długa, trudna droga i zanim na nią wstąpię, muszę zrobić coś innego. Wiem, że Cyganie bywają w wielu miejscach i słyszą różne rzeczy, znacznie więcej niż wydaje się *gadje* – Czy jesteś z nimi w na tyle dobrej komitywie, żeby słuchali dla mnie?

Uśmiechnął się lekko, gdy użyłam cygańskiego słowa na określenie obcych.

– Dość dobrej, jak sędzę. Jest inaczej niż za czasów Hiacynta. Kawaler powiedział ci, że Manoj nie żyje? Teraz kompanie swobodniej kontaktują się z nami, miastowymi, i nie pogardzają *didikani* jak kiedyś.

Jak Hiacynt, Emil był mieszanej krwi, d’Angelińskiej i cygańskiej – a takich mieszaińców zwano *didikani*.

– Słyszysz więc różne rzeczy.

– Słyszę. – Emil potarł kciukiem o palec wskazujący, jakby trzymał monetę. – Czasami je powtarzam – powiedział i zacisnął dłoń w pięść. – Czasami nie. Dla ciebie... – Szeroko otworzył rękę. – Dla ciebie zaśpiewam jak słowik. Co chcesz usłyszeć, Fedro nó Delaunay?

– Wszelkie wieści o Imrielu de la Courcel... albo o dziecku, które pasuje do jego opisu.

Zapadła cisza. Wszyscy – Joscelin, Ti-Filip i ja – przysunęliśmy się, ale Emil z żalem pokręcił głową.

– Nie. Przykro mi. Minęło co najmniej pięć lat, odkąd ostatni raz zakładano się w Progu Nocy o miejsce pobytu zaginionego księcia. Domy gry nie dadzą ci żadnych szans i ze śmiechem zgarną twoje pieniądze. Ale będę słuchać. – Spojrzał na mnie przenikliwie. – Dziecko pasujące do jego opisu, mówisz?

– Dziecko, które zginęło z sanktuarium Elui w Landras, w dolnej

Siovale. Dziesięcioletni chłopiec o oczach matki. – Nakryłam ręką jego dłoń, ścisnęłam palce. – Tej informacji, Emilu, nie można sprzedać za żadną cenę.

– Nie uczyniłbym tego! – Zrobił urażoną minę. – Hiacynt był moim Przyjacielem, pani. Był lojalny wobec każdego, z kim się przyjaźnił, Cygana, *didikani*, D’Angelina. Co mnie obchodzi zaginiony następca tronu? Nie sprzedałbym tej informacji dla zysku, skoro ty możesz ją wykorzystać, aby zwrócić wolność mojemu przyjacielowi.

– To dobrze. – Odprężyłam się. –Jeśli coś usłyszysz...

– Jeśli coś usłyszę, przyjdę do ciebie. – Emil jednym haustem wypij wino i znów napełnił kubek. – To prawda, co powiedziałem. Opowieść rodzi się powoli, ale rośnie i się rozprzestrzenia. Manoj nie żyje, zabrakło cygańskiego króla. Kompanie wypowiadają na rozstajach imię Hiacynta, syna Anastazji.

– Przebył Długą Drogę – mruknął niespodziewanie Joscelin.

– *Lungo Drom* – powtórzył z westchnieniem Emil. – Niektórzy z nas chadzają wewnętrzną ścieżką, a inni zewnętrzną. Nie znam nikogo, kto przebyłby dłuższą drogę, niż syn Anastazji.

Nikt z nas nie znał kogoś takiego. Ti-Filip podniósł kubek.

– Za Hiacynta.

– Za Hiacynta. – Tręcili się kubkami, potem Emil zerwał się od stołu i podniósł kubek wysoko. – Za Hiacynta, syna Anastazji! – krzyknął. – Chodźcie wszyscy, którzy pamiętacie jego imię. Każdemu postawię wino, żeby spełnił toast za Księcia Podróżnych!

Podniósł się ogłuszający ryk i choć przypuszczałam, że połowa gości wiwatowała na cześć darmowego wina, wzruszenie ścisnęło mnie za gardło. Wspomniałam, jak Hiacynt brylował w „Kogutku”, z rozjaśnioną radością twarzą... i wspomniałam go na wyspie, z rozpaczą w nawiedzonym spojrzeniu.

Cokolwiek miało się zdarzyć, bałam się, że śmiały, wesoły towarzysz młodości Emila odszedł na zawsze.

Wypiłam za jego pamięć i posmakowałam soli własnych łez.

PIĘTNAŚCIE

– Teraz już wiesz, dlaczego nie bywamy częściej w Progu Nocy – powiedział Joscelin.

– Zamknij się – mruknęłam, mrużąc oczy w bezlitosnym d’Angelińskim słońcu, które kłuło mnie jak igły. W głowie huczały mi bębny Audyny Davul i mogłabym przysiąc, że moja lekka klacz stąpa ciężko jak kon pociągowy.

– Możemy zwlec z wyjazdem do rana.

– Nie stracę dnia z powodu sikacza z „Kogutka”!

Po pierwszym toaście polało się go sporo. Hojność Emila nie miała ranic, a potem ja poczułam się zobowiązana do postawienia kolejki, bo kiedy ma się taką reputację, nie oplaca się być skąpym. Topiąc prywatne smutki, zachęcona publicznymi wybuchami nostalgicznej melancholii, wypłam tyle wina, żeby później tego żałować. Joscelin z typową kasjelicką powściągliwością spełnił tylko pierwszy toast, po czym ograniczył się do picia wody.

– Jesteś jakby lekko zielona, Fedro – powiedział, patrząc na mnie.

Otworzyłam oczy na tyle szeroko, żeby go spiorunować wzrokiem.

– Czuję się świetnie!

Pomimo mojej bolącej głowy jechaliśmy w dobrym tempie, a na drugi dzień doszłam do siebie. Zostawiliśmy za sobą żyzne pola L’Agnace i otoczyły nas górzyste tereny Siovale. Jak zawsze, powrót do prowincji dzieciństwa sprawił, że Joscelin się odprężył, rozluźnił ramiona i uśmiechał często. Z przyjemnością patrzyłam na tę zmianę,

bo czułam się winna, że zmuszam go do długotrwałego pobytu w Mieście. Trzeciego dnia wjechaliśmy na kręte górskie ścieżki.

Wioska Landras leży u stóp góry; powiedziano nam, że noszące tę samą nazwę sanktuarium Elui znajdziemy dalej, za szczytem w stromej dolinie. Spędziliśmy noc w wiosce, korzystając z gościny wójta i w rewanżu przekazując pilnym słuchaczom najświeższe wiadomości z Miasta. Siovaleńczycy są dziwnym ludem; w większości pochodząc z linii Szamchazaja, mają skłonności do rozmyślania o dziwactwach ludzkiej natury i dynamice fizycznego świata. Nie jest niczym niezwykłym widok pasterza dyskutującego o filozofii helleńskiej czy farbiarza zajętego ulepszeniem koła wodnego, a wszyscy lubią dysputy o polityce. Z ukłuciem żalu przypomniałam sobie, że mam za mało czasu, by tego lata zajrzeć do swoich włości w Montrčve.

Rankiem ruszyliśmy wąskim szlakiem pod górę, nasze juczne muły mozoliły się pod ciężarem daniny, jaką na prośbę wójta zabraliśmy do sanktuarium. Na wyżynach powietrze było chłodniejsze, sosnowe lasy ustąpiły trawiastym łąkom. Mijaliśmy strome skały i równie strome przepaście. Joscelinowi skrzyły się oczy, gdy z radością pokazywał mi zwierzęta, pardwy i szczygły z białymi pelerynkami, płochliwe drozdy, a raz stado kozic, które przyglądały się nam z zaciekawieniem.

– Tam – powiedział na szczycie, wyciągając rękę.

Daleko w dole leżała dolina, zielony dywan usiany szkarłatnymi makami, rozdarty przez wartki potok. Wstrzymałam oddech, gdy zobaczyłam miniaturowe z tej wysokości szare kamienne budynki sanktuarium i wyciosany z grubsza posąg Elui. Po drugiej stronie doliny kręte szlaki prowadziły na łąki i ku szczytom.

– Kozie ścieżki – mruknął Joscelin, patrząc na dalekie turnie. – Tam się to stało. Nic dziwnego, że nikt nic nie widział.

Wysoko ponad szczytami krążył orzeł, w pewnej chwili krzyknął przenikliwie i zapikował. Zadrzałam na myśl o jego ofierze.

– Jedziemy na dół.

Droga, nawet konno, zabrała większą część godziny. Choć widziałam w życiu niejedne góry, pozwoliłam Joscelinowi jechać z przodu, zdając się na jego doświadczenie. Nim dotarliśmy na dno doliny, nie było wątpliwości, że w sanktuarium nas zauważono i oczekiwano.

– Witajcie, podróżni! – Młoda, śliczna akolitka powitała nas na dziedzińcu. Złożyła formalny ukłon, z dłońmi schowanymi w rękawach krótkiej brązowej szaty. Moja zmęczona klacz pochyliła głowę i parsknęła cicho. – Ach, biedactwo. – Akolitka podeszła do niej i położyła ręce na spoconej szyi zwierzęcia.

– Siostró kapłanko, jestem Fedra córka Delaunay de Montrčve – przedstawiłam się – a to mój wybranek, Joscelin Verreuil. Czy możemy porozmawiać z bratem Selbertem?

Akolitka, która przytulała policzek do końskiego karku, spojrzała na mnie. Zauważyłam, że kiedy zadałam pytanie, drgnęła.

– Och, tak, oczywiście. – Uśmiechnęła się. – Spodziewa się was, jak myślę. Przynajmniej spodziewa się kogoś. Jeśli zsiądziecie, zajmę się końmi, a on przyjmie was w świątyni... aha, mułami też się zaopiekuję. Przywieźliście nam... co przywieźliście? Zapewne soczewicę i solone sardele. Dziękuję, dziękuję, pani.

Patrzyłam, jak przemyka pomiędzy zwierzętami i zagląda do koszy na grzbietach mułów. Na skroni miała starą, ledwo widoczną bliznę, wklęsnięty półksiężyc.

– Czy możemy gdzieś obmyć z kurzu twarz, siostró?

– Och! – Znów drgnęła i parsknęła śmiechem. – Stale mi to powtarza, a ja wciąż zapominam. „Liliano, zaproponuj wodę!”. – Miała szeroko otwarte oczy, a spojrzenie niewinne jak dziecko. Zrozumiałam, że jest trochę opóźniona w rozwoju. – Tak, pani, tam jest cysterna – powiedziała, pokazując ręką. – A ja jeszcze nie jestem kapłanką, tylko Lilianą.

Dziękuję, Liliano.

– Jesteście mile widziani! – Uśmiechnęła się do nas promiennie, potem dodała z powagą: – Zajmę się nimi dobrze, obiecuję. Waszymi końmi i mułami.

Nie wątpiłam, bo gdy lekkim krokiem pobiegła ku stajniom, nasze wierzchowce i muły poszły za nią same, rosłe zwierzęta jedno za drugim spieszyły za bosą dziewczyną w zgrzebnej szacie.

Joscelin zamrugał.

– Jest tu ktoś naprawdę pobłogosławiony przez Eluę.

Woda w cysternie była zimna i orzeźwiająca. Oboje napiliśmy się z chochli, potem obmyliśmy ręce i twarze. Do świątyni Elui wiódł wąski korytarz, chłodny i mroczny, a na końcu roztaczał się widok, jaki podziwialiśmy z góry.

Posąg, już nie pomniejszony przez odległość, piął się wysoko w błękitne niebo. Błogosławiony Elua miał rozpostarte ramiona, jasne maki kołysały się u jego granitowych stóp. Pochyliłam się, rozpięłam sprzączki butów do jazdy konnej i zrolowałam pończochy. Ziemia pod moimi stopami była sucha i sypka.

– Nie mamy żadnej ofiary – szepnęłam do Joscelina. Postawił swoje buty na półce przy wyjściu.

– Mamy siebie.

W świętych miejscach na każdego spływa spokój. Ręka w rękę szliśmy po łące pełnej polnych maków, po bujnej trawie i jasnozielonych liściach. Weszliśmy w długi cień posągu. Elua powitał nas uśmiechem, słodkim i niewinnym jak uśmiech akolitki. Na jego lewej dłoni, wyciągniętej w ofierze, widniała głęboka rana po sztylcie Kasjela. Tak właśnie odpowiedział Elua, gdy arcyherold Boga Jedynego kazał mu zająć miejsce w niebie. Uśmiechnął się wtedy i pożyczył sztylet od Kasjela. Przeciął skórę na dłoni i pociekły szkarłatne krople krwi, w miejscu, gdzie spadły na ziemię, rozkwitły anemony. „Niebo mojego dziadka jest bezkrwiste, w przeciwieństwie do mnie. Niech wskaże mi lepsze miejsce, gdzie będziemy mogli

kochać, śpiewać i starzeć się wedle woli, gdzie będą mogły dołączyć do nas nasze dzieci i dzieci naszych dzieci, a wówczas pójdę”. Ukłękłam przed posągiem i zmówiłam modlitwę. Moja spódnica opadła na kwiaty, na szkarłatne atlasowe płatki okalające czarne aksamitne pręciki, żywe jak plamka w moim oku. Skłoniłam głowę, przycisnęłam usta do rozgrzanego przez słońce granitu stóp Elui.

– Fedro nó Delaunay.

Delikatny jak powiew męski głos wymówił moje imię. Wstałam, odwróciłam się i zobaczyłam go, kapłana Elui, odzianego w szaty koloru letniego nieba. Miał przystojne, surowe rysy Siovaleńczyka, oczy srebrzyście zielone niczym liście maków i jasnobrązowe włosy, spadające na plecy, zaplecione w długi warkocz.

– Bracie Selbercie – powitałam go.

– Tak. – Uśmiechnął się. – Spodziewałem się ciebie.

Kątem oka zobaczyłam, że Joscelin podnosi się z klęczek i kłania po kasjelicku, jego skrzyżowane ręce zawisły nad rękojeściami sztyletów.

– Mnie, panie? – zapytałam. – Jak to możliwe?

– Ciebie. Albo kogoś innego. Nie jesteś pierwsza. – Przekrzywił głowę. Usłyszałam płynący z dali dźwięk pastuszej fujarki i odpowiedź niosącą się po górach. – Czy przysłała cię królowa?

Patrzyłam na niego, skąpanego w blasku słońca, stojąc w cieniu Błogosławionego Elui.

– A jak myślisz, wielebny, czym jestem emisariuszem?

– Ach. – Brat Silbert uśmiechnął się enigmatycznie jak wykuty z kamienia Elua. – Przypuszczam, że Kusziela. Chodźcie. – Wyciągnął rękę. – Musimy porozmawiać.

Poszliśmy z Joscelinem za kapłanem tak samo posłusznie, jak wcześniej nasze zwierzęta za Lilianą. Przystanęliśmy przy wejściu, żeby się obuć. Brat Selbert czekał, cierpliwy i spokojny. Jak inni członkowie zakonu, nie nosił butów, stopy miał stwardniałe i spękane, z wżartym w nie kurzem.

– Chodźcie – powtórzył.

Poszliśmy za nim do prywatnych kwater.

– Przybywacie w sprawie chłopca – powiedział, gdy zajęliśmy miejsca.

Otworzyłam usta, ale Joscelin mnie uprzedził, dając upust dawno powstrzymywanemu gniewowi.

– Jak mogłeś to zrobić? – wybuchnął. – Jak mogłeś zdradzić królestwo, żeby pomóc tej... tej kobiecie?

– Melisandzie. – Brat Selbert spokojnie wymówił jej imię, przekrzywiając głowę. – Melisandzie Szachrizaj de la Courcel. – Uśmiechnął się do wspomnień. – Dlaczego to cię oburza, młody kasjelito?

Joscelin spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Dlaczego? Od czego mam zacząć, kapłanie? Zdaje się, że jesteś świadom, że to ona doprowadziła do skaldyjskiej nawały? Że spiskowała z Waldemarem Seligiem? Że szantażowała dowódcę wojsk królewskich, Percy'ego de Somerville? Że poślubiła Benedykta de la Courcel pod fałszywym pretekstem, że skorumpowała Bractwo Kasjelitów poprzez...

– Tak. – Kapłan uniósł rękę, przerywając tę litanie. – Zrobiła to wszystko, Joscelinie Verreuil. I niejeden z tych uczynków nie byłby możliwy, gdyby nie chciwość, strach, bezmyślna nienawiść, żądza zemsty ze strony ludzi, z którymi spiskowała.

Znaczenie jego słów musnęło mnie jak czubek skrzydła. Zadrżałam.

– Mówisz, że nie pogwałciła przykazania Błogosławionego Elui.

– Tak. – Brat Selbert skłonił głowę. – Kochaj jak wola twoja. Na dobre czy na złe, Melisanda Szachrizaj knuła plany z miłości do samej gry.

– Przecież to straszne – szepnęłam.

– Tak. – Kapłan pokiwał głową. – Ale nie mnie to osądzać. Dla mnie liczą się tylko intencje. – Jego srebrzystozielone oczy wyrażały to, co widziałam w świątyni Kusziela u Michela Neversa: surowe współczucie. – Potomkowie Kusziela mają dar dostrzegania skaz w

duszy innych. Nie mogę nic poradzić, jeśli wykorzystują je z miłością.

Przełknęłam ślinę.

– Nawet z miłością bez współczucia?

– Nawet wtedy. – Głos brata Selberta zawierał ocean smutku. – Mogę tylko podsycać iskierkę, kiedy ją zobaczę. Dostrzegłem ją w trosce pani Melisandy o dziecko.

– Okłamałeś królową – zarzucił mu Joscelin.

– Tak, w istocie. – Kapłan spojrzał na niego z lekkim zdziwieniem. – Królowa chciała zabrać dziecko, żeby służyło jej własnym celom. Cele są szczytne, młody kasjelito, i wyrastają z jej miłości do królestwa, z jej pragnienia pokoju. Ale nie przewyższają miłości matki do dziecka. Królowa nie знаła chłopca. Był synem pani Melisandy. Niezależnie od zła, jakiego dopuściła się matka, nakaz Elui nie pozostawił mi wyboru.

– Nakaz Elui. – Przycisnęłam kciuki do skroni. – Bracie Selbercie, czy wiesz, że Melisanda chciała, by chłopiec przebywał tutaj w ukryciu, dopóki nie osiągnie wieku, w którym będzie mogła pokazać go światu niczym legendarnego bohatera i ogłosić jego prawa do tronu?

– Taki miała zamiar. – Jego oczy rozblęły niczym liście maków w promieniach słońca. – Mógłby ją zaskoczyć.

– Mógłby – powtórzyłam twardym głosem. – Gdyby nie zniknął. Dzięki twojej interpretacji nakazu Elui.

Brat Selbert westchnął.

– Znów do tego wracamy. – Z ponurym wyrazem twarzy bezradnie rozłożył ręce. – Co ci mam powiedzieć, pani Fedro? Nawet teraz, choć doskwiera mi poczucie winy, jestem przekonany, że postąpiłem właściwie. Gdybym był próżnym człowiekiem, mógłbym pomyśleć, że Błogosławiony Elua zadrwił ze mnie, za moją dumę, ale Elua nie jest taki okrutny, żeby wykorzystywać dziecko do dawania nauki kapłanom. Jednakże Imriel zniknął, a ja zostałem bez odpowiedzi.

Przyjrzałam mu się uważnie.

– Wspomniałeś, że nie jesteśmy pierwsi. Powiedz mi o emisariuszach Melisandy.

– Przyjechało dwóch ludzi z jej znakiem. – Splótł palce wokół kolana. – To było po moim powrocie z La Serenissimy, kiedy przekazałem jej złe wieści. Udawali, że są z Eisandy. To polityka, niemająca nic wspólnego z Eluą. Jeśli sobie życzysz, powiem ci, jak wyglądali, i powtórzę nazwiska, choć zapewne były fałszywe.

– Tak, dziękuję. Przeprowadzili poszukiwania?

– Wypyтали mnie i wszystkich w świątyni, przeszukali wzgórze, na których to się stało. – Brat Selbert spojrział w stronę okna. – Zdaje się, że przeszukali również okoliczne osady i wypytali wieśniaków. – Pokręcił głową. – Zrobiliśmy to samo i więcej. Przez wiele dni przeczesywaliśmy turnie. Zajrzeliśmy do każdej jaskini, do każdej rozpadliny... Sam nadzorowałem poszukiwania i udzieliłem emisariuszom wszelkiej pomocy. – Jego głos się zmienił, przez chłodne opanowanie przebił się żal. – Błagam, pani Fedro, nie zrozum mnie źle. Gdyby był jakiś sposób, jakikolwiek sposób... w jednej chwili oddałbym życie, byle tylko Imriel bezpiecznie powrócił. Przypuszczam, że nawet Melisanda nie miała zastrzeżeń do mojej szczerości.

– Nie – powiedziała z roztargnieniem. – Nie miała. Ale twoja dyskrecja to inna sprawa.

– Nikt nie wiedział. – Kapłan uniósł ręce, po czym opuścił je na kolana. – Nie mogę tego udowodnić, nie teraz. Nie pytali, gdy wcześniej zabrałem chłopca do La Serenissimy, powiedziałem, że jedziemy gdzie indziej. Po jego zniknięciu... niektórzy odgadli.

– Ty... Zabrałeś chłopca do La Serenissimy?

– Kiedy skończył osiem lat. – Brat Selbert pokiwał głową. – Pani Melisanda pragnęła go zobaczyć. Przysięgam ci, chronięm jego tożsamość najlepiej, jak potrafiłem. Jeśli ktoś się dowiedział, to nie przez moją nieostrożność.

– Ha. – Trudno było sobie wyobrazić, że ktoś się dowiedział z

powodu nieostrożności Melisandy, a jednak zaryzykowała, każąc przywieźć go do siebie. Ryzyko, pomyślałam, o którym nie raczyła wspomnieć. – A chłopiec? Wiedział?

– Nie – zaprzeczył stanowczo kapłan. – Imri uważał, że jest sierotą, że jego rodzice zmarli na serenissimską febrę na statku, którym przybyłem do Terre d'Ange, przekazując go pod opiekę świątyni. Nikt nie miał powodu, żeby w to wątpić.

– Nikt nie wątpiłby w słowo kapłana – powiedziałam. – Melisanda na to liczyła. Wykorzystała cię do własnych celów, bracie Selbercie.

– Tak uważała – mruknął. – Ja z kolei byłem przekonany, że służę celom Błogosławionego Elui. Może byłem głupcem. Jeśli tak, zostałem ukarany.

– Czy Imriel nie uznał za dziwne spotkania z matką w La Serenissimie? – zapytałam.

– Nie wiedział. – Brat Selbert pokręcił głową. – Powiedziano mu, że Melisanda Szachrizaj jest zamożną szlachcianką, przyjaciółką rodziców, która zostanie jego patronką, gdy wejdzie w wiek męski.

– Chwaliby się tym – wtrącił Joscelin. – Był chłopcem! Okłamałeś swoich zakonnych towarzyszy, zabrałeś go do La Serenissimy i przedstawiłeś tej wymyślonej patronce... Co zrobiłeś, mój panie kapłanie? Kazałeś mu dochować sekretu? Ośmioletniemu chłopcu? Możesz być pewien, że opowiedział o tym kolegom w chwili powrotu.

– Nie Imri. – Kapłan uśmiechnął się enigmatycznie. – Nie znałeś go, messire Verreuil. Był przekonany, że dama, którą poznał, znajdzie się w niebezpieczeństwie, jeśli szepnie o niej słówko, co zresztą było zgodne z prawdą. Nie, nie. – Znowu pokręcił głową, wprawiając w ruch długi warkocz. – Imri zabrałby tajemnicę do grobu. Osiem lat czy nie, miał to, to... – zająknął się, szukając odpowiedniego słowa – miał rys szlachetności, dziedziczny w rodzie Courcel.

Pomyślałam o Ysandrze de la Courcel, jadącej w wąskim szpalerze Niewybaczonych, który rozdzielał zbuntowane wojska diuka de Somerville – jechała z podniesioną głową, z oczami wpatrzonymi w

Miasto Elui. Wiedziałam, co miał na myśli.

– A jeśli posiadał choć połowę przebiegłości matki, wielebny, odgadł tożsamość swojej patronki.

– Możliwe, że tak by się stało – odparł brat Selbert – gdyby znał historię. Jeszcze nie doszliśmy do omawiania dziejów współczesnych, ja zaś pilnowałam, żeby nie miał dostępu do tej wiedzy.

Zatem chłopiec dorastał nieskrępowany i wolny, uważając się za sierotę, dziecko Elui, dostrojony do łagodnego rytmu życia w tej cichej dolinie. Westchnęłam. Nie wiedzieć czemu to czyniło moje zadanie tym bardziej wzruszającym.

– Kiedy miałeś wyznać mu prawdę?

– Gdy skończy szesnaście lat. – Kapłan patrzył na mnie. – Na ten wiek się zgodziliśmy.

Szesnaście lat. Wydawało się to daleką przyszłością.

– Bracie Selbercie – zaczęłam, zbierając myśli – przykro mi, że musisz przechodzić przez to raz jeszcze, ale gdybym mogła porozmawiać z innymi kapłanami i twoimi podopiecznymi – przede wszystkim z dziećmi – bardzo by mi to pomogło.

– Tak, oczywiście. – Wstał, wygładzając szatę, i zawahał się. – Nie powiedziałaś, czy to królowa cię przysłała.

– Królowa wie o mojej wizycie – odparłam – ale przysłała mnie Melisanda.

SZESNAŚCIE

Cienie w dolinie się wydłużyły. Patrzyliśmy, jak dzieci schodzą z niewidocznych płaskowyżów na wąskie ścieżki, sprowadzając z gór stada kóz. Kiedyś było ich pięcioro, teraz tylko czworo. Towarzyszyli im akolici w brązowych szatach. Wysokie głosy dzieci niosły się dźwięcznie w rozrzedzonym powietrzu. Kudłate kozy, brązowo-białe, z dzwonekami na szyjach, dreptały krętą ścieżką, ich kopytka pewnie wybierały drogę. Dzieci podążały za nimi niemal równie zwinnie. Rozproszyły się na dnie doliny, z długimi patykami w rękach, wprawnie prowadząc swoje podopieczne przez porośnięty drzewami garb, który wyginał się łukiem nad rzeką.

– Tak było w dniu, w którym zniknął Imriel? – zapytałam brata Selberta.

– Nie – odparł cicho. – Niezupełnie. Wtedy dzieci chodziły same, a starsze, jeśli chciały, mogły szukać wyżej położonych pastwisk. Teraz nie wolno im się oddalać i każdej grupie towarzyszy akolita.

Uniosłam brwi.

– Imriel był zaliczany do starszych?

Skóra na wysokich kościach policzkowych kapłana poróżowiała.

– On... niezupełnie. Ale był impulsywny. Cadmar i Beryl są najstarsi.

Wyłowiłam ich wzrokiem, gdy zapędzali kręcące się kozy do zagrody. Wysoki chłopiec z czupryną, która jak płomień jaśniała w skośnych promieniach słońca, i ciemnowłosa dziewczynka w wianku z polnych kwiatów. Pozostałych dwoje było młodszych, mniej więcej

w wieku córek Ysandry.

– Bądź dla nich łagodna, pani Fedro – powiedział brat Selbert. – Zniknięcie Imriego bardzo je wystraszyło, podobnie jak późniejsze wypytywanie przez ludzi Melisandy. – Patrzył ponuro, gdy dzieci wchodziły w obręb murów sanktuarium, śmiejąc się i gawędząc. – To jest Honora – powiedział, wskazując najmłodszą, mniej więcej sześciolletnią dziewczynkę. – Przez miesiąc nie chciała paść kóz ze strachu, że zabierze ją to, co porwało Imriela. A Cadmar... robi dzielną minę, ale nie podejdzie do jaskini czy skały, tylko trzyma się środka szlaku. Ti-Michel dopiero niedawno przestał budzić się w środku nocy i płakać za Imrim, a Beryl... ach. Beryl obwinia Eluę za to, co się stało. O nią martwię się najbardziej.

– Powinieneś im powiedzieć – wtrącił Joscelin. – Powiedzieć prawdę. Strach i kłamstwa jątrzą się w ciemności. Prawda może ranić, ale tnie czysto.

– Być może masz rację, sługo Kasjela – mruknął kapłan. – Pomyślę o tym. Chodźcie, zbieramy się na kolację.

W sanktuarium Elui posiłki spożywano w wielkiej sali z wysokimi kamiennymi łukami. Strawa była prosta, ale smaczna – soczewica z cebulą, duszone jarzyny i ryby świeżo złowione w rzece, do tego czarny chleb posmarowany ostrym serem z koziego mleka. Akolici, których było sześciu, po kolei zajmowali się gotowaniem i innymi obowiązkami. Brat Selbert zasiadł do stołu z ośmioma innymi kapłanami i kapłankami.

Wieczorem rozmawiałam z nimi wszystkimi i nie poznałam żadnych ważnych faktów. Dowiedziałam się, że Imriel był pięknym dzieckiem z granatowoczarnymi włosami, skórą jak kość słoniowa, oczami o barwie nocnego nieba; nieodrodny syn swojej matki, choć nikt nie ujął tego w słowa. Dowiedziałam się, że był dumny, miły i trochę nieokiełznany, kilkanaście razy wysłuchałam opowieści o jego zniknięciu i choć szczegóły nieco się różniły, przebieg wypadków

pozostał niezmienny. Gdyby historie brzmiały identycznie, nabrałabym podejrzeń. Tak było, gdy przesłuchiwałam wartowników z Troyes–le–Mont, którzy taili straszny sekret o pomocy, jakiej Percy de Somerville udzielił Melisandzie Szachrizaj w ucieczce z fortecy. Dziesięć lat temu w La Serenissimie tożsamość zeznań zadała kłam ich prawdziwości. Tutaj było jasne, że mieszkańcy sanktuarium mówią prawdę.

Brat Othon, najmłodszy kapłan, opowiedział, jak przez wiele dni przeszukiwali góry, nie odnalazłszy ani śladu chłopca. Urodzony i wychowany w wiosce Landras, sam kierował poszukiwaniami. Smutek z powodu niepowodzenia wyraźnie malował się na jego twarzy.

– Jesteś pewien, bracie Othonie? – zapytał go Joscelin łagodnym tonem. – Nie podważam twojej skrupulatności, ale góry są rozległe. Sam jestem Siovaleńczykiem i wiem, że w Verreuil, gdzie się wychowałem, są zakamarki, których nawet mojemu bratu Lukowi i mnie nie udało się spenetrować.

– To możliwe. – Kapłan spojrział na niego z przygnębieniem w oczach. – To zawsze jest możliwe. Wciąż szukam, myśląc, że znajdę ciało chłopca zaklinowane w jakiejś szczelinie, gdy w końcu stopnieją zimowe śniegi. Ale jeśli odszedł z własnej woli... – Pokręcił głową. – Mógł iść przez wiele dni, zanim spotkało go coś złego. Chyba za późno poszerzyliśmy obszar poszukiwań, pewni, że musi być gdzieś w pobliżu.

Słuchając tego, nie byłam ani trochę mądrzejsza. Oczywiście, kapłani i akolici wiedzieli, kim jesteśmy. Widziałam to w ich ukradkowych spojrzeniach, słyszałam w ściszonych pomrukach, gdy myśleli, że nie słyszę. Kapłani Elui są wykształceni; dobrze wiedzieli, że Fedra nó Delaunay jest Wybranką Kusziela, zaufaną osobą królowej. Czy wiedzieli, że ich Imri był Imriem de la Courcel, synem Melisandy Szachrizaj? Przypuszczam, że większość z nich już to odgadła. Ale tutaj, w sanktuarium Elui, nikt o tym nie mówił.

Uznałam, że to niedobrze. Ich milczenie niczym rak toczyło spokój tego świętego miejsca.

Jedynym wyjątkiem była młoda akolitka Liliana, której słodki uśmiech jaśniał niczym światło słońca; Liliana i dzieci. Rozmawiałam z nimi po kolacji, gdy opiekunowie sanktuarium udali się do sal bibliotecznych, żeby podjąć studiowanie ksiąg.

– Pani Fedra i jej wybranek chcą, żebyście opowiedzieli im o Imrim – powiedział dzieciom brat Selbert, po czym wyszedł, zostawiając nas samych.

– Dlaczego? – zapytał śmiało Cadmar, spoglądając na mnie z posępną podejrzliwością w dwunastoletnich oczach. – Kim jesteś?

– Jestem przyjaciółką królowej.

– Królową interesuje, co się stało z Imrim? – zapytała Beryl głosem wyostrzonym przez niedowierzanie.

Popatrzyłam na nią poważnie. Była o rok starsza od Cadmara, mała kobietka z czarnymi włosami, prostymi i delikatnymi jak jedwab, z drobnymi pączkami piersi i pogardą w zielonych oczach. Zastanowiłam się, czy nie jest dzieckiem brata Selberta. Nie byłoby to niczym niezwykłym, bo dzieci kapłanów często trafiały pod opiekę sanktuarium, w którym sprawowali posługi.

– Tak – odparłam. – Interesuje.

Honora wdrapała się na kolano Joscelina. Trzymał ją z rozbawioną miną – Przysięgam, że nie mam pojęcia, dlaczego dzieci go uwielbiają. Większość dorosłych uważa go za chłodnego i nieprzystępnego.

– Imri nauczył mnie wspinać się na drzewa – oznajmiła dziewczynka, podskakując na kolanie Joscelina. – Dał mi miodu, choć Beryl mu zabroniła. Pszczoły użądliły go siedemnaście razy i siostra Filipa obłożyła go całego błotem.

– Cicho, Honoro – mruknął Cadmar. – Panią to nie obchodzi.

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytałam, pochylając się i opierając podbródek na rękach. – Lubię miód. I chcę posłuchać o Imrielu.

– Imriel – zaśpiewała Honora, podskakując na kolanie Joscelina. –

Im-ri-el! Rozzłościł Cadmara, bo powiedział, że lubi Beryl. Cad-mar lubi Be-ryl!

– Przestań! – Chłopiec poczerwieniał po korzonki ognistych włosów.

– Prawdziwy? – Krzepki Ti-Michel uniósł ręce nad głowę, żeby dotknąć rękojeści miecza Joscelina. – Mogę zobaczyć?

– Sza. – Joscelin posadził go na drugim kolanie. – Pokażę ci później, jeśli chcesz. Michel, co wiesz o Imrim? Byłeś tam tego dnia, kiedy zaginał?

– Tak. – Głos chłopca opadł do szeptu, na jego buzi odmalowała się rozpacz. – Poszedł... chciał znaleźć wyższe pastwisko, za osuwiskiem, cały czas grałem na fujarce! Nie odpowiadał, a ja nie... nie...

– Ti-Michel przyszedł po mnie, pani Fedro – przerwała mu Beryl. – byłam z Honorą na jednym z dolnych pastwisk. Zabraliśmy Cadmara i szukaliśmy tak daleko, jak śmieliśmy, a maluchy pilnowały kóz. Gdy go nie znaleźliśmy, wróciliśmy, żeby powiedzieć bratu Selbertowi.

– Poszliście za osuwisko? – zapytałam. Po chwili zastanowienia pokręciła głową.

– Nie wtedy. To wąska półka i niebezpieczna. Zeszła kolejna lawina skalna, nie mogliśmy przejść. Brat Othon pracował w nocy, żeby oczyścić przejście.

– Cadmar miał stracha! – Ti-Michel zsunął się z kolana Joscelina, zapominając o smutku i wyzywająco unosząc brodę.

– Ty też! – zawołał starszy chłopiec. – Ty pobiegłeś po Beryl.

– Cad-mar miał stracha! – zaśpiewała Honora, nie przestając podskakiwać, i dodała: – Imri nie bał się niczego.

– To prawda? – zapytałam Beryl.

– Nie. – Obrzuciła mnie chłodnym, szacującym spojrzeniem. – Oczywiście, że nieprawda. Każdy czegoś się boi. Ale był odważny, jak na chłopaka. – Skrzywiła usta. – Odważniejszy niż Cadmar. Imri lubił ryzykować z ciekawości, co się stanie. A kiedy się zranił, nigdy się nie skarżył. Ale się bał. Bał się, że ktoś zobaczy, jak płacze.

– Kiedyś – zaczął Ti-Michel – kiedyś wpadłem do rzeki, a Imri...

– Och, przestań – prychnął Cadmar. – Sam byś wyszedł, gdybyś tylko wstał i przestał się miotać. Tam wcale nie było głęboko.

– Imri nauczył nas pływać. – Honora zeskoczyła z kolana Joscelina i podeszła, żeby spojrzeć mi w twarz, z roztargnieniem chwytając rąbek mojej spódnicy. – Zdejmujemy ubrania. Lubię pływać. Skąd masz czerwoną plamkę w oku?

– Urodziłam się z nią – odparłam, dotykając jej noska. – A dlaczego ty masz piegi?

Mała zrobiła zeza, próbując zobaczyć swój nos, i zachichotała.

Słowa, które padły, zostały wypowiedziane przyciszonym głosem:

– Potężny Kusziel, pan różgi i pręgi, wypuszcza Strzałę z niezawodnej dłoni, przeszywa oczy wybranych śmiertelnych, a krwawa rana nigdy się nie goi.

Uniosłam głowę, patrząc na Beryl, która była blada i miała wyzywającą minę.

– Wiem kim jesteś – powiedziała. – Brat Selbert myśli, że jestem za mała, ale wcale tak nie jest. Słyszę, jak szepczą. Zawsze szepczą, odkąd Imri zniknął. Widzę, jakie książki czytają, gdy myślą, że nie zwracamy na nich uwagi, i ukrywają zwoje. Wiem kim jesteś. Po co tu przyjechałaś. Dlaczego dopytujesz się o Imriego?

Joscelin i ja wymieniliśmy spojrzenia.

– Beryl – zaczęłam łagodnie – powiedziałam wam prawdę. Jestem przyjaciółką królowej, a ją interesuje los Imriela. Jeśli dzieci Błogosławionego Elui spotyka krzywda, Jej Wysokość chce wiedzieć, jak to się stało i dlaczego. Jeśli w grę wchodzi coś więcej... – Pokręciłam głową. – Nie mogę mówić wam o tym, czego nie chce powiedzieć brat Selbert. Musicie sami go spytać. Ale jeśli wiecie coś, co pomoże mi znaleźć Imriego, proszę, powiedzcie. Daję wam słowo, szukam go tylko po to, żeby mu pomóc.

– Nie. – Opuściła ramiona. – Po prostu zniknął! A Elua... Elua nic nie zrobił, żeby go ochronić. – Żal wykrzywił buzię Beryl. – Brat

Selbert mówi, że los nas wszystkich spoczywa w rękach Elui! Gdzie był Elua, gdy Imri go potrzebował?

Zapadła cisza. Honora zaczęła szlochać, bardziej rozstrojona z powodu złości Beryl niż boskiej niesprawiedliwości. Ti-Michelowi drżała dolna warga, a Cadmar ponuro zaciskał szczęki. Wykonałam marną robotę, jeśli chodzi o życzenie kapłana. Joscelin usiadł na podłodze ze skrzyżowanymi nogami i przyciągnął Honorę, która szybko się uciszyła.

– Beryl, Elua nie może zapobiec złym rzeczom – powiedziałam. – Może tylko dać nam odwagę, żebyśmy stawili im czoło z miłością.

– To za mało!

– Tak, ale to wszystko, co mamy.

Kimże ja byłam, żeby uczyć teologii podopiecznych kapłanów Elui? A jednak Joscelin miał rację. Wyznanie trudnej prawdy jest podstawą wiary. Patrzyłam, jak Beryl porównuje tę prawdę z półkłamstwami i przemilczeniami, które otaczały zniknięcie Imriela de la Courcel, i czerpie siłę z jej akceptacji. Powoli prostowała ramiona, przeszywając mnie wzrokiem.

– A jeśli będę się za niego modlić? Czy wierzysz, że Elua wysłucha moich modlitw?

– Tak – odparłam z przekonaniem, jakbym sama nigdy nie wątpiła. Uznałam, że niezależnie od tego, czy modlitwa pomoże zaginionemu Imrielowi, z pewnością nie zaszkodzi Beryl.

– W takim razie będę się modlić – oświadczyła dziewczynka.

Tak wyglądało nasze spotkanie z dziećmi w sanktuarium Elui. Były przygaszone, gdy odchodziliśmy, i sędzę, że brat Selbert nie miał powodów do zadowolenia. Ale w zielonych oczach Beryl błyszczała iskra nowego postanowienia i uważam, że nie wszystko poszło na marne. Dopiero gdy zostaliśmy sami z Joscelinem w naszej skromnej sypialni, dałam wyraz swojemu poczuciu niemocy.

– Na Eluę! – Rzuciłam poduszką w kamienną ścianę. – Brat Selbert,

kapłani, akolici, dzieci... mówią prawdę, prawda?

– Uhm. – Joscelin roztropnie przestawił lampę oliwną na stolik przy łóżku, poza zasięg mojej spódnicy.

Miotalam się po pokoju, nie zważając na nic.

– Mówią prawdę – powiedziałam i zaczęłam odliczać na palcach L'Envers mówi prawdę, szpiedzy Melisandy mówią prawdę... Melisanda, na miłość Kusziela! Melisanda mówi prawdę. Co pominęłam, Joscelinie? Nie dostrzegam żadnego wzoru! Gdzie kryje się kłamstwo? Kogo przeoczyliśmy?

– La Serenissima? – Wyjął z sakwy zrolowaną mapę, rozpostarł ją na wąskim stole – Selbert zabrał chłopca na spotkanie z Melisanda. Ktoś odgadł prawdę.

– Severio powiedziałyby mi, gdyby coś zwietrzył. – Z zadumą wpatrywałam się w mapę, kreśląc półkole na północ od Landras. – Gdby próbowali dotrzeć do Marsilikos, przecież ktoś zobaczyłby ich po drodze.

– Może nie próbowali. – Joscelin wyrysował krętą trasę na południe. – Może poszli w góry.

– Do Aragonii? L'Envers tam szukał. – Po namyśle wzruszyłam ramionami. – Może pojedziemy na południe i popytamy. Będziemy blisko Verreuil, Joscelinie Moglibyśmy odwiedzić twoich bliskich.

Jego oczy rozbliły w blasku lampy i zaraz potem pociemniały.

– Nie chciałbym tracić czasu. Jeśli gdzieś wstąpmy, to tylko do Montrčve.

– Gdzieś musimy się zatrzymać. – Wstałam i podniosłam poduszkę. – Montrčve nie leży po drodze, w przeciwieństwie do Verreuil.

– Jak sobie życzysz. – Uśmiechał się zadowolony, zwijając mapę.

Byłam rada, że mogłam kogoś uszczęśliwić.

SIEDEMNAŚCIE

Rankiem pożegnaliśmy się na dziedzińcu z bratem Selbertem.

– Przykro mi – powiedział – że nie mogliśmy dać ci odpowiedzi, jakich szukasz, pani Fedro.

– Dałeś nam to, co miałeś, wielebny bracie. – Skłoniłam głowę. – Za to jestem ci wdzięczna. Być może królowa wezwie cię, żeby przedyskutować twoją rolę w zniknięciu Imriela z La Serenissimy. Opowiem się po twojej stronie.

Brat Selbert przełknął ślinę, jego grdyka się poruszyła.

– Nie chciałem, żeby chłopca spotkała krzywda. Myślałem... myślałem, że wychowa się w łasce Elui, z duchem nieskrępowanym przez polityczne machinacje.

– Wiem.

– Powiedz dzieciom, kim on był. – Joscelin poprawił sprzączki zarękawi, sprawdził i schował broń. – To pomoże im zrozumieć, bracie Selbercie. I powinny wiedzieć, że nawet łaska Elui nie czyni ich odpornymi na choroby, jakie lęgną się w ludzkich sercach. – Popatrzył na kapłana. – Ani na głupotę wyrastającą z dumy.

– Powiem im. – Brat Selbert odpowiedział mu niewzruszonym spojrzeniem – Nie spiesz się z osądzaniem mnie, kasjelito. Czy możesz powiedzieć, że znasz wolę Elui?

– Nie – odparł Joscelin cicho. Młoda akolitka Liliana wyszła ze stajni i wystawiając twarz na poranne słońce, uśmiechała się, a nasze wierzchowce i muły szły za nią jak kaczuszki za matką. – Są tajemnice, których nikt nie może zgłębić.

– Owszem. – Kapłan pokiwał głową. – I cele zbyt rozległe, żebyśmy mogli je pojąć.

Widząc lśniąca sierść i energiczny krok naszych zwierząt, mogłabym przysiąc, że nie dzień, a cały miesiąc pławiły się w słońcu na wybiegu sanktuarium Elui. Moja klacz skakała jak źrebię, przechodząc po drewnianym mostku, i strzygąc uszami, nasłuchiwała głuchego stukotu kopyt.

– Czy wiesz, że moja matka miała na imię Liliana? – zapytałam Joscelina.

– Naprawdę? – Miał zaskoczona minę. – Nigdy mi nie mówiłaś.

– Naprawdę.

Tak zaczęła się nasza wędrówka przez góry Siovale. Na dolnych pastwiskach Beryl i Ti-Michel pokazali nam drogę do osuwiska, wąskiej półki nad przepaścią, z niebezpiecznie przewieszonymi skałami powyżej. Ostrożnie przejechaliśmy oczyszczoną ścieżką i wspięliśmy się na dalekie pastwiska porośnięte wysoką trawą, doskonałą na wiosenny wypas i jesienne sianokosy. Nie było tam nic ciekawego, ale mieliśmy punkt wyjścia.

Zaznaczyliśmy na mapie przeszukane miasteczka i wioski. Brat Othon zostawił wzdłuż górskich szlaków znaki, wydrapując pieczęć Elui na skałach i drzewach na już przeczesanych obszarach. Miał rację – poszukiwania były dokładne. Przez dwa dni kreśliliśmy coraz szersze łuki, wciąż natrafiając na znaki Othona. To przypomniało mi jazdę cygańskimi szlakami i szukanie *chaidrov*, tajemnych znaków, którymi zaznaczali przejazd taboru. Po drodze spotkaliśmy niewielu ludzi, głównie pasterzy, którzy nie mogli powiedzieć nam nic użytecznego.

Po dwóch dniach znaki Othona przestały się pojawiać, a mnie zaczęła prześladować myśl, że nasze poszukiwania są skazane na niepowodzenie. Mimo wszystko kontynuowaliśmy je, aż w końcu miałam serdecznie dość obozowania na górskich łąkach i kąpania się

w lodowatych strumieniach.

– Jest wioska... tutaj. – Joscelin podniósł głowę znad mapy i patrzył, jak próbuję rozczesać beznadziejnie splątane włosy. – Możemy tam dotrzeć przed zmierzchem, a jutro w południe zawitać do Verreuil.

– Dobrze. – Grzebień utknął. Wyciągnęłam go, zmełszy w zębach przekleństwo. – Nie pokażę się twoim bliskim tak, jakbym spała w ptasim gnieździe.

Uśmiechnął się do mnie.

– Wyglądasz jak panna z legendy, która dopiero co skończyła baraszkować w sianie z Eluą.

– Czuję się jak przeciągnięta przez żywopłot.

Joscelin roześmiał się.

– Wciąż wyglądasz pięknie. Zatem jedźmy. Będziemy w wiosce przed wieczorem i wybłagamy nocleg, jeśli nie mają gospody. Ja też nie miałbym nic przeciwko gorącej kąpiel.

Rankiem jechaliśmy w dobrym tempie i dotarliśmy do głębokiego przełomu, który prowadził na południe do Aragonii, a tam straciliśmy czas na rozmowę z kupcami z karawany handlowej. Nie mieli żadnych wiadomości o dziecku pasującym do opisu Imriela, ale za to, rozgniewani, opowiedzieli, że zostali oszukani przez cygańskich handlarzy koni. Trzymałam język za zębami, choć mnie zirytowali. To prawda, że Cyganom dużą radość sprawia przechytrzenie *gadje*, ale prawdą jest również to, że większość *gadje* sama jest sobie winna, próbują bowiem robić to samo i czynią z tego cnotę.

Później musieliśmy nadrobić opóźnienie i jeden muł pośliznął się na rumowisku, nadwerężając przednią nogę. Zwolniliśmy do kulawego truchtu i stało się jasne, że nie dotrzemy do wioski przed zmrokiem. Joscelin wyjechał naprzód, żeby znaleźć miejsce na rozbiecie obozu. Gdy zmierzch przechodził w noc, wrócił w dobrym humorze.

– Zajechaliśmy dalej, niż myśleliśmy – powiedział. – W następnej dolinie jest zagroda mleczarza. Robią ser, który sprzedają na targu.

Rozmawiałem z gospodarzem, powiedział, że zapewni nam nocleg i strawę za drobną monetę. I gorącą kąpiel. – Uśmiechnął się szeroko. – Pytałem.

– Elui niech będą dzięki! – zawołałam z radością.

Ściemniało się, gdy niespiesznie wjechaliśmy w dolinę. Wieśniak wyszedł z latarnią i zaprowadził nas do pustej zagrody przy obórcie, gdzie mogliśmy zostawić konie i muły, a siodła i juki ułożyć pod pochyłym daszkiem. Powiedział tylko, że nazywa się Jacques Écot, nie wdając się w rozmowę. Był milczący i zamknięty w sobie. Zdziwiła mnie jego żona Agnes, drobna kobieta o twarzy, która byłaby pełna życia, gdyby nie smutek w oczach.

Mieszkali sami w zagrodzie. Agnes zakrzętnęła się, grzejąc wodę na kąpiel i kładąc czyste obrusy na stole. Zaprowadziła nas do schludnej sypialni z bielonymi ścianami, dziecinną komodą i łóżkiem ze śliczną narzutą. Musnęłam ją ręką, ale o nic nie pytałam.

Po kąpeli Joscelin wylał wodę z wanny. Patrzyłam na mięśnie grające pod skórą jego ramion, wspominając, jak mu się przyglądałam, gdy pierwszy raz wykonywał przy mnie proste fizyczne prace. Razem byliśmy niewolnikami, on i ja, sprzedanymi do skaldyjskiej osady. Wydawało się, że było to wieki temu.

Później zjedliśmy kolację z Jaquesem i Agnes Écot, siedząc przy stole w przytulnej, wiejskiej kuchni. Światło lamp pełgało po talerzach z fasolą, szynką i tłuczoną rzepą, po dzbanie z zimną wodą ze studni. Powinno być przytulnie i urokliwie, ale nad tym domem wisiał całun smutku i odczuwałam dziwny niepokój.

– To nie moja sprawa – mruknęła Agnes, odsuwając talerz z nietkniętym jedzeniem – ale to bardzo dziwne, że piękni państwo podróżują po bezdrożach Siovale.

– Nie takie dziwne. – Joscelin uśmiechnął się do niej. – Moim ojcem jest kawaler Miliard Verreuil. Znacie go? Nasze włości leżą niedaleko stąd.

– Ach, tak! – Jej twarz pojaśniała. – Widywałam go na targu w miasteczku... Chwalił nasze sery. Jesteś do niego podobny, panie, teraz to dostrzegam. Do niego i wszystkich jego postawnych synów. Jakie noszą imiona?

– Luk i Mahieu – odparł Joscelin. – Moi bracia.

– Luk i Mahieu – powtórzyła tęsknie Agnes. – Są już dorośli, mają żony i dzieci.

– W istocie.

Szorstki głos Jacquesa Écota przerwał chwilę zadumy.

– Przybywacie z niewłaściwej strony, jeśli jedziecie z Miasta Elui. – Zmierzył mnie wzrokiem. – A sądząc po twoim stroju, właśnie stamtąd jesteście.

– Messire Écot – powiedziałam grzecznie, choć czułam się trochę urażona jego obcesowością – w istocie pochodzimy z Miasta Elui. Obecnie jedziemy z sanktuarium w Landras, szukając chłopca dziesięcio- lub jedenastoletniego, o jasnej cerze, czarnych włosach i niebieskich oczach. Czy widziałeś dziecko pasujące do tego opisu, samo albo w towarzystwie innych? Chłopiec zaginął jakieś trzy miesiące temu.

– Agnes upuściła widelec, który z brzękiem upadł na stół. Krew odpłynęła jej z twarzy.

– Jacques... – szepnęła.

– Czy to jakiś żart? – Mleczarz zerwał się od stołu, zaciskając pięści i gniewnie ściągając usta. – Czy drwicie z naszej rozpacz?

Wyprostowałam się, przywierając plecami do oparcia krzesła.

– Panie gospodarzu... – Joscelin płynnym ruchem stanął między nami, położył ręce na ramionach Écota i delikatnie pchnął go na krzesło. – Wybacz, nie chcieliśmy cię urazić. Pani Fedra mówi prawdę, szukamy zaginionego chłopca. Może usiądziesz i spokojnie opowiesz nam o swoich troskach?

Mleczarz usiadł, posłuszny i otumaniony, przecierając ręką oczy.

– Agnetta! – mruknął. – Agnetta!

Popatrzyłam na jego żonę.

– Wasza córka.

Pokiwała głową sztywno jak marionetka. Twarz miała wciąż białą niczym płótno.

– Nasza córka. Skończyła jedenaście lat, weszła w rok dwunasty. – Z trudem przełknęła ślinę. – Zaginęła, pani, jakieś trzy miesiące temu.

– Och, nie. – Wezbrała we mnie fala smutku, narastająca i łamiąca się, zbyt wielka do ogarnięcia rozumem. – Nie.

Przeczucie czegoś strasznego zawisło nade mną niczym burzowa chmura, czerwona mgła zasnęła mi oczy. W uszach czułam brzęczenie, jak w gnieździe szerszeni. Wreszcie zobaczyłam tworzący się wzór, coś, co pominęłam, rękę, o której zapomniałam, okrutną i nieubłaganą.

Kusziel.

Joscelin kawałek po kawałku wyciągnął z mleczarza i jego żony historię zaginięcia córki; brzmiała dość znajomo. Wiosenne deszcze były dość skąpe i dziewczynka odeszła z częścią stada, szukając pastwiska w sąsiedniej dolinie. Słodka, śliczna Agnetta o żywej twarzy matki nigdy nie powróciła. Ojciec szukał jej wieczorem z pomocą parobka, którego wtedy utrudniali, chodząc z wysoko podniesioną latarnią wśród porykującego bydła. Zniknęła bez śladu.

Elua nie jest taki okrutny, żeby wykorzystywać dziecko do dawania nauczki kapłanom...

Tak powiedział brat Selbert i święcie wierzył w swoje słowa, ale to nie Elua, lecz Kusziel był kiedyś zwany Karzącą Ręką Boga. Zbyt dobrze znałam jego okrutną sprawiedliwość, żeby zbagatelizować to zdarzenie jako zwyczajny zbieg okoliczności. „Wzór zbyt wielki, żebym mógł go ogarnąć”. Tak powiedział Hiacynt, patrząc w moją przyszłość. Naprawdę tak było. Spodziewałam się wszystkiego – dosłownie wszystkiego – ale nie tego. Siedziałam sztywna niczym słup i słuchałam, jak Jacques Écot z zapalem opowiada o zaginięciu córki,

w pasji zapominając o swoim stoicyzmie. Niedźwiedź, pomyśleli, albo wilki – ale przecież drapieżniki pozostawiłyby tropy i ślady walki, krople krwi. „Nie”, zakończył ponuro; „Agnetkę zabrał człowiek, najpewniej Cygan”. Wszyscy wiedzieli, że Cyganom nie wolno ufać, że gdy tylko nadarzy się okazja, kradną z kołyszek d’Angelińskie dzieci i wychowują jak swoje.

– To nie oni – mruknęłam, ale mój głos przeszedł bez echa, zalany przez powódź cierpienia, jaką spowodowało nasze dociekanie.

Jakimś sposobem Joscelinowi udało się zrobić wszystko tej nocy, wysłuchać tragicznej opowieści rodziców, przeprosić ich i złożyć wyrazy współczucia, wypytać o dalszą drogę i zabrać mnie do naszej skromnej sypialni. Teraz wiedziałam, że to był pokój Agnetty, z kapą uszytą dla jedyne go dziecka przez kochającą matkę. Siadłam na łóżku, wbijając w Joscelina osłupiałe spojrzenie.

– Och, Joscelinie! A co, jeśli... jeśli to nie ma nic wspólnego z polityką, z krewnymi królowej, z Melisandą. Jeśli to tylko... – Na próżno szukałam słów. – Zła rzecz, która się stała?

– Dowiemy się. – Ukląkł przy łóżku i z dzikością w oczach chwycił mnie za rękę. – Fedro, jeśli ktoś porywa z domów d’Angelińskie dzieci, znajdziemy go. Rankiem pojedziemy do Verreuil. Mój ojciec nie puści tego płazem, obiecuję ci to! Udzieli nam wszelkiej pomocy, odda czeladź do dyspozycji, postawi na nogi całą okolicę. Znajdziemy ich.

Drżałam do szpiku kości. Nie śmiałam myśleć, w jakim celu zostały porwane dzieci, jeszcze nie. Rozpacz Écotów była nie do zniesienia. Nie wiem, jak ja bym to zniosła, gdyby chodziło o moje dzieci. Co wiedziałam o rodzicielskim cierpieniu? Strach powstrzymywał mnie przed macierzyństwem, a ta bolesna strata była gorsza, znacznie gorsza, niż sobie wyobrażałam.

– Ci biedni ludzie...

– Wiem. – Joscelin objął mnie i poczułam jego ciepły oddech we włosach. – Wiem – powtórzył. – Wiem.

OSIEMNAŚCIE

Mżyło, gdy żegnaliśmy się z naszymi gospodarzami. Z kroplami deszczu we włosach siedziałam w siodle, podczas gdy Joscelin omawiał z mleczarzem kurację naszego muła. Bez niego podróż będzie szybsza, a oni zyskają pożyteczne zwierzę. Mogłam ponieść ten koszt.

Agnes Écot stała w progu i patrzyła na mnie z nadzieją.

– Znajdziemy ją – powiedziałam, gdy Joscelin sprawdzał postronek drugiego muła, szykując się do odjazdu. – Przysięgam ci jako Wybranka Kusziela. Znajdziemy twoją córkę.

Joscelin wskoczył na wałacha, obrócił jego głowę na zachód, w stronę Verreuil, i ruszyliśmy.

Odezwał się dopiero po godzinie.

– Nie powinnaś jej tego obiecywać – mruknął, nie patrząc na mnie. – Mówiłem wczoraj... Oboje znamy szanse. Powiedziałem to, żeby cię podnieść na duchu. Ty każesz jej wierzyć, Fedro. Fałszywa nadzieja jest okrutniejsza niż życzliwość.

– Wiem. – Nie wiedziałam, jak mam mu wytłumaczyć, że wypowiedziałam te słowa automatycznie, niemal bezwiednie. – Joscelinie, musiałam.

Spojrzał na mnie, ale nie odpowiedział. Niedługo później wjechaliśmy pomiędzy strome urwiska i w wąwozy, co uniemożliwiało rozmowę. Joscelin prowadził, a ja jechałam za jucznym mułem, uważnie kierując klaczą i zastanawiając się nad dziwnym uczuciem, które rozsadało mi piersi.

Był to gniew.

Przez całe życie byłam Wybranką Kusziela – i cierpiałam z tego powodu, podobnie jak inni, których porwało moje trudne przeznaczenie. A jednak, choć byłam świadoma głupoty moich decyzji i miałam krew na sumieniu, wiedziałam, że każdy z nas sam podejmuje decyzje i nikt nie jest wolny od odpowiedzialności za swoje poczynania. Przekonanie, że jest inaczej, świadczy o próżności. Jeśli kwestionowałam mądrość wyboru Kusziela – nawet modliłam się o uwolnienie od brzemienia mojej natury – nigdy nie kwestionowałam jego sprawiedliwości.

Kwestionowałam ją teraz.

Co uczyniła córeczka mleczarza, że została uwikłana w straszną sieć zemsty? Sprzedała na targu niedojrzały ser? To przerastało moją wyobraźnię. Przygotowana na intrygę, na spiski w spiskach, znalazłam ostatnie, czego się spodziewałam: przypadek, okrutny przypadek. Jeśli istniał jakiś cel, to stał za nim Kusziel – albo sam Elua. Nie potrafiłam wyobrazić sobie celu tak doniosłego, żeby usprawiedliwić okrucieństwo. I byłam zła do głębi duszy.

Deszcz przestał padać, gdy dotarliśmy na szczyt masywu, szeroki i wietrzny płaskowyż. Pod nami rozciągały się brązowe zmarszczki gór. Joscelin zatrzymał się, żeby dać chwilę wytchnienia zmęczonym zwierzętom.

– Fedro – mruknął, gdy podjechałam do niego – sama to powiedziałaś. Nawet Błogosławiony Elua nie może zapobiec chorobom świata. Może nam tylko dać odwagę, żebyśmy stawiali im czoło z miłością.

Parsknęłam gorzkim śmiechem.

– A co powiedziała dziewczyna? Miała rację. To za mało.

– Musi wystarczyć. – Patrzył na mnie spokojnie. – To wszystko, co mamy.

– To sprawka Kusziela. – Odgarnęłam z twarzy splątane włosy, spoglądając na rozciągający się pod nami widok, na dalekie błękitne

zwierciadło jeziora w posiadłości Verreuil. – Czuję to, Joscelinie. Czuję to w szpiku kości. Byłam głupia, nie dostrzegałam tego wcześniej.

– Możliwe. – Jego ręce spoczywały spokojnie na łąku. – Nawet Kusziel służy Błogosławionemu Elui i nawet on musi używać śmiertelników, żeby wykonywali jego polecenia. A ty jesteś jego wybranką.

– Tak. – Przełknęłam ślinę, wspominając obietnicę daną Agnes Écot. – Jedziemy.

W południe przybyliśmy do Verreuil. Zawitałam tam już kiedyś, ale dążyłam zapomnieć o atmosferze wesołego rozgardiaszu, panującej w domu dzieciństwa Joscelina. To było piękne domostwo na brzegu jeziora – Jeziora Verre – rozsypujące się w najstarszych częściach i rozbudowywane w miarę, jak powiększała się rodzina. Wyjechaliśmy z mrocznych cieni świerków i zobaczyliśmy bratanicę Joscelina bawiącą się na skraju lasu.

– Wujek Joscelin! – Dziewczynka biegła, widziałam umorusaną buzię z oczami szeroko otwartymi ze zdumienia. Usłyszałam śmiech Joscelina, gdy pochylił się w siodle i chwycił ją w objęcia. Mała wywinęła się i uciekła, a jej pisk niósł się echem po górach. – Wujek Joscelin, wujek Joscelin przyjechał!

Nie ujechaliśmy dziesięciu kroków, a drzwi dworu otworzyły się gwałtownie i mieszkańcy wysypali się na podwórze: dorośli, dzieci, stado ujadających psów. Łzy zaszczypały mnie w oczy na widok tego powitania. Wstrzymałam klacz, robiąc miejsce Joscelinowi, by przywitał się z rodziną.

– Pani Fedra! – Luk Verreuil podszedł do mnie z szerokim uśmiechem. Był dwa lata starszy od Joscelina i wyższy o tyle samo cali. Swymi szerokimi dłońmi chwycił mnie w talii i zсадził z siodła, a w chwili, gdy dotknęłam stopami bruku, zamknął mnie w miążdżącym uścisku. – Miło cię widzieć!

– I ciebie... ty wielkoludzie! – Powietrze dosłownie uciekło mi z

płuc. Oddychałam ze świstem, witając się z jego żoną Iwoną, wysoką i wiotką, z szarymi skośnymi oczyma. – Pani.

– Och, Luk, daj jej odetchnąć. – Pochyliła się z uśmiechem i obdarzyła mnie powitalnym pocałunkiem.

Odzyskałam oddech i przywitałam rodziców Joscelina.

– Panie Miliard, pani Ges, dziękuję wam za gościnę. Wybaczcie, że zjawiamy się bez zapowiedzi, ale nie mieliśmy czasu przysłać wiadomości.

– Nic nie szkodzi. – Pani Ges uśmiechnęła się ciepło, a jej mąż się uklonił. – Zawsze jesteś tu mile widziana, hrabino.

– Dziękuję. – Jeszcze raz odetchnęłam głęboko. – Przykro mi to mówić, pani, lecz nie jest to grzecznościowa wizyta.

Miliard Verreuil popatrzył na mnie z namysłem. Był wysokim mężczyzną – wszyscy członkowie rodziny Joscelina byli wysocy – i miał specyficzną staroświecką urodę, jak średni syn. Nie umiem powiedzieć, co wyczytał z mojej twarzy, ale to, co powiedziałam, przyjął z powagą.

– Porozmawiamy w domu.

Pokiwałam głową. Joscelin przyprowadził do mnie swojego młodszego brata Mahieu i jego żonę Marię Luizę, potem zostałam przedstawiona ich dzieciom oraz potomstwu Luka i Iwony, następnie jego starszej siostrze Jehanie, będącej w odwiedzinach z dwoma nastoletnimi synami, którzy szurali nogami i czerwienili się jak buraki w mojej obecności; wokół nas przez cały czas kręciły się psy, wielkie kudłate stworzenia sięgające mi do pasa, wysokie jak wszystko w Verreuil.

Pani Ges wprowadziła nas do domu i jakimś sposobem zdołała odprawić dzieci i psy, dorosłych zapraszając do salonu na poczęstunek i wino. Joscelin odziedziczył po niej spokój i pewność siebie, choć wyraźnie faworyzował ojca i miał jego rezerwę. Zastanawiałam się czasami, jaki byłby, gdyby dorastał w Verreuil, a nie w surowym rygorze Bractwa Kasjelitów. Zastanawiałam się też,

czy nie miał rodzicom za złe, że w wieku dziesięciu lat wyprawili go z domu rodzinnego, nigdy bowiem nie poruszał tego tematu.

Rozległo się szuranie i zgrzytanie, gdy domownicy przysuwali krzesła, żeby usiąść bliżej nas. Przytulny salon w Verreuil został urządzony z wdziękiem i wygodą typową dla starych domostw. Meble były piękne, ale podniszczone, dywany miejscami wyświechtane. Mimo to drewno wypolerowane pszczelim woskiem lśniło, a pokój zdobiły świeże kwiaty.

Kawaler Miliard Verreuil zajął poczesne miejsce na twardym krześle podobnym do tronu. Nie mogłam się powstrzymać od zerkania na jego lewą rękę spoczywającą na podłokietniku. Kończyła się kikutem, ukrytym pod mankietem batystowego rękawa. Stracił lewą dłoń w bitwie o Troyes–le–Mont w czasie ostatniego, desperackiego ataku grupy skaldyjskich najeźdźców, odciętych od wycofującej się armii. Skłonił przede mną głowę i formalnie otworzył dyskusję.

– Czym dom Verreuil może służyć Jej Wysokości?

– Panie... – pokręciłam głową – nie jesteśmy tutaj w sprawach królowej, niezupełnie.

– Zamrugął. – Myślałem...

– Ojczy. – Joscelin pochylił się, opierając łokcie na kolanach. – Czy Pamiętasz zaginionego dziedzica rodu Courcel?

– Dziecko Melisandy. – Miliard Verreuil wyrzekł te słowa w taki sposób, jakby miały wstrętny smak.

– Imriel de la Courcel – powiedziała Jehana, siostra Joscelina. – Syn Melisandy Szachrizaj i księcia Benedykta de la Courcel, który był bratem Ganelona, stryjem Rolanda, stryjecznym dziadkiem królowej. Zaginał w czasie ataku w La Serenissimie.

Przypomniałam sobie, że Jehana jest rodzinnym genealogiem. Nie miałam okazji poznać jej wcześniej. Joscelin złożył wizytę w posiadłości jej męża, ale ja musiałam wtedy zostać na królewskim dworze jako tłumaczka, do Ysandry bowiem przybyło poselstwo

Ilirów.

– Tak. – Joscelin pokiwał głową. – Przebywał w sanktuarium Elui w Landras. – Zignorował pomruki i szepty zdziwienia. – Około trzech miesięcy temu zniknął, pasąc kozy w górach. Pomyśleliśmy, że padł ofiarą jakiegoś spisku, ale wczoraj... wczoraj wieczorem dowiedzieliśmy się o innym zaginionym dziecku. Jedenastoletnia córka mleczarza została porwana z pastwiska parę mil od wioski Harnis.

– Niedźwiedzie – rzekł Luk bez namysłu. – Albo wilki. Nabierają śmiałości na wiosnę, gdy nadchodzi pora cielenia, a wciąż są wygłodniałe po zimie.

– Nie sądzę. – Joscelin pokręcił głową. – Byłyby ślady, szczątki, krew. Mleczarz przeszukał teren, podobnie jak kapłani. Oni znają góry. Czuję, że dokonała tego ludzka ręka.

– Ale kto mógłby zrobić coś takiego?! – zawołała pobladła Maria Luiza, żona Mahieu. Pulchna i śliczna, stanowiła przeciwieństwo męża, wysokiego jak reszta klanu i do tego chudego niczym tyczka. – I dlaczego?!

– Nie wiemy – odparłam cicho. Zwróciłam się do Miliarda Verreuil: – Z tego powodu przyjechaliśmy, panie. Chcemy prosić o pomoc w przeczesaniu Siovale, a przynajmniej obszaru pomiędzy Verreuil i Landras.

– Zgoda. – Kawaler siedział wyprostowany na krześle, z twarzą zaciętą i bladą z gniewu, a jego oczy płonęły niczym ślepień sędziwego jastrzębia. – Na Eluę! Osobiście poprowadzę poszukiwania i wywrócę okolicę do góry nogami. Każdy zagrodnik, każdy pasterz, każdy kmieć... Nie, czekajcie, zrobię coś więcej. Poślę do jaśnie pana markiza de Toluard i zobaczymy, ilu ludzi on użyczy nam do tego zadania.

– Ja zawiozę wiadomość – zaproponowała Iwona. – Jest kuzynem mojej matki, wysłucha mnie.

– Wysłucha tak czy owak! – Miliard Verreuil uderzył w poręcz

zdrową prawą ręką. – Na krew Elui! Nikt z linii Szachrizaj nie zazna spokoju, dopóki w Siovale będą się działy takie bezceństwa!

Pani Ges popatrzyła na mnie ze zmartwieniem w oczach, jej sympatyczną twarz pocięły zmarszczki.

– Czy domyślasz się, kto mógł to uczynić?

Rozłożyłam ręce.

– Nie, pani.

– Euskerrowie mogliby to zrobić – powiedziała chłodnym tonem Jehana – gdyby spodziewali się jakichś korzyści, na przykład wywarcia nacisku na królową w ich sporze z rodem Aragonów.

Wiedziałam o tym niewiele, tylko tyle, że Euskerria, prowincja leżąca w północno-zachodniej Aragonii, została zaanektowana przez potomków Tyberium, którzy utworzyli ród Aragonów. Pokręciłam głową, odrzucając ten pomysł.

– Gdyby wiedzieli, kim jest chłopiec, to mogłoby mieć sens, ale po co mieliby porywać córkę mleczarza?

– Nikt nie zna gór lepiej niż Euskerrowie – zauważył Mahieu, odgarniając grzywkę z czoła. – Są także dość przebiegli, żeby zmylić tropy, wprowadzając drugie dziecko.

Jak jego siostra, miał naukowe zacięcie i dobrze znał historię.

– Nie, królowa już coś by o tym wiedziała. – Jehana zmarszczyła brwi. – Czytałam historie o d'Angelińskich dzieciach porywanych przez Cyganów. Elua wie, ilu ich przemierza przełęcz dzielące nas od Aragonii. Podają się za druciarzy i handlarzy koni, ale kto może wiedzieć, co ukrywają na swoich wozach?

– Nie! – Sama byłam zaskoczona ostrością własnego tonu. Westchnęłam i przeprosiłam. – Pani Jehano, proszę o wybaczenie. To nie Cyganie.

– Skoro tak mówisz, hrabino. – Jehana popatrzyła na mnie z zaciekawieniem. – Prawie siostro, powiedziałabym. Muszę wyznać, że jesteś inna, niż się spodziewałam.

– Inna? – Uniosłam brwi.

– Inna. – Skrzywiła kącik ust w znajomym mi cieniu uśmiechu. – Bystry umysł i silna wola, tego się spodziewałam. Joscelin nie zakochałby się w kimś gorszym. I wiem, kim jesteś. Mimo to nie przypuszczałam, że po wędrowce po bezdrożach Siovale będziesz wyglądała jak jeden z najdelikatniejszych kwiatów Dworu Nocy.

Zarumieniłam się, a Jehana parsknęła śmiechem.

– Jehano! – Jej ojciec, już zajęty kreśleniem planów poszukiwań z Lukiem i Joscelinem, odwrócił się i skarcił ją wzrokiem. – Zachowuj się przyzwoicie.

Uśmiechnęła się tylko i pocałowała go w policzek, a potem odwróciła się w moją stronę.

– Będą się tym zajmować godzinami. Czy pokazać ci twoje pokoje? Wydaje mi się, że nie masz nic przeciwko odpoczynkowi przed kolacją. Za twoim pozwoleniem, mam – dodała.

– Proszę bardzo. – Pani Ges machnęła z roztargnieniem ręką, odliczając na palcach drugiej. – Będę zajęta do zmierzchu, próbując wykoncypować, jak spiżarnia ma zaopatrzyć to przedsięwzięcie.

Poszłam z Jehaną do pokoi, które zajmowaliśmy z Joscelinem w czasie poprzedniej wizyty, wysprzątanych i przewietrzonych, z oknami wychodzącymi na góry. Było tam parę drobiazgów z dzieciństwa Joscelina – elementarz caerdicci w splekanej oprawie, tomik wierszy wojownika-poety Martina Legera, miniaturowy róg myśliwski. Jehana zwlekała z wyjściem, oglądając różek.

– Ja mu go dałam – mruknęła. – Na dziewiąte urodziny. Wybłagałam pieniądze u Luka. Wiedziałam, że ma tylko rok, żeby się nim bawić, bo potem zostanie posłany do kasjeliów. Czy mówi o życiu w tym domu?

Usiadłam na łóżku.

– Nieczęsto.

– Chyba ja tęskniłam za nim najbardziej. – Jehana odłożyła róg. – Mahieu był zbyt mały, a Luk... Luk nigdy tego nie powiedział, ale chyba się cieszył, że nie padło na niego. Wiesz, że ojciec był wściekły,

gdy Joscelin złamał przysięgi dla ciebie? I omal nie padł trupem, gdy usłyszał, że jego syn został skazany zaocznie za zamordowanie twojego pana Delaunaya. Nie uwierzył w winę Joscelina, ale i tak ciężko to przeżył.

Oboje z Joscelinem byliśmy wtedy w skaldyjskiej niewoli, zdradzeni przez Melisandę Szachrizaj, choć nikt nie mógł o tym wiedzieć. Gdy znaleziono martwego Anafiela Dealunaya i jego ucznia Alcuina, a *anguisette* i jej kasjelicki strażnik zniknęli, nasunął się logiczny wniosek. Pamiętam, jak w przeddzień bitwy Joscelin rozpaczał na myśl, że jego ojciec mógł dać temu wiarę.

– Tyle się domyśliłam – powiedziałam. – Nigdy jednak nie powiedział mi tego wprost. Zawsze odnosił się do mnie z kurtuazją.

– Z kurtuazją. – Skrzywiła się. – Tak. Ojciec już taki jest. Na szczęście miał dość rozsądku, by po Troyes–le–Mont zrozumieć, że nie odmieni losu. Mama natomiast była ucieszona. Zawsze żałowała, że straciła średniego syna, posyłając go do kasjelitów. – Jehana przekrzywiła głowę, patrząc na mnie. – Kochasz go, prawda?

– Tak. – Pokiwałam głową. – Bardziej, niż umiem wyrazić słowami.

– Dobrze. – Otrzepała rękę, wytarła je w spódnicę. – Opiekuj się nim. – Zaśmiała się z zakłopotaniem. – Wiem, to brzmi niemądrze. Nosi miecz na plecach i sztylety u pasa, umie ich używać na tysiące sposobów, a ty... cóż. Ale jest moim młodszym bratem i złożył serce w twoje ręce.

– Rozumiem, pani.

Jehana wyszła, a ja położyłam się na łóżku. Miała rację, byłam zmęczona, i to bardziej niż przypuszczałam. Oczywiście, podróż zbiera swoje żniwo, ale to zmęczenie dotyczyło bardziej duszy niż ciała. Opowieść mleczarza była dla mnie ciosem. W trakcie prób rozwikłania tajemnicy zniknięcia Imriela ani razu nie przyszło mi na myśl, że w grę może wchodzić bezmyślna zbrodnia. Była to ostatnia rzecz, jakiej mogłabym się spodziewać – jakiej każdy mógłby się spodziewać. Wszystkie moje wysiłki spełzły na niczym.

Poszukiwanie prawdy spadło teraz na Miliarda Verreuil i jego ziomków. Jeśli uwolnienie się od brzemienia odpowiedzialności sprawiło mi ulgę – a sprawiło – pozostało uczucie osamotnienia, zagubienia i wielkiego, bardzo wielkiego zmęczenia.

Rozmyślając o tym, zapadłam w sen. Zbudziłam się, gdy ktoś potrząsnął mnie za ramię. Otworzyłam oczy i zobaczyłam skośne złote promienie słońca. Joscelin siedział na brzegu łóżka, uśmiechając się do mnie.

– Chyba nie chcesz przespać kolacji? – zapytał. – Nie dziwiłbym się, bo na dole panuje okropny rozgardiasz, ale kilkoro moich bliskich byłoby poważanie rozczarowanych.

– Nie. – Ziewnęłam i usiadłam. – Już idę.

Joscelin nie przesadzał. Jadalnia niemal pękała w szwach, z trudem mieszcząc liczną rodzinę, ośmiu zbrojnych i prawie tuzin synów wieśniaków i pasterzy w zgrzebnych ubraniach, siedzących ramię w ramię z drobną szlachtą Siovale. Miliard Verreuil nie tracił czasu i nie robił ceregieli. Pomimo swoich sztywnych manier, w głębi serca był egalitarystą.

Rozmowa dotyczyła rozpoczynających się rankiem poszukiwań. Iwona już wyjechała z delegacją do markiza de Toluard, żeby prosić o pomoc. Mahieu i Jehana pracowali w bibliotece, dzieląc teren poszukiwań na kwadraty i z pomocą starszych dzieci kopiując mapy. Pani Ges i Maria Luiza spędziły popołudnie na popędzaniu znękanym kuchennym, które szykowały paczki z prowiantem dla poszukiwaczy. Nic dziwnego, pomyślałam, że kolacja wygląda na przygotowaną w pośpiechu, pieczeń jagnięca jest przypalona z wierzchu i trochę zbyt czerwona w środku.

A jednak nikt nie miał zastrzeżeń. Skubałam jedzenie i puszczałam rozmowę mimo ucha, uprzejmie kiwając głową i ignorując ukradkowe spojrzenia nowo przybyłych. Synowie Jehany wyblągali pozwolenie na udział w poszukiwaniach; najstarsza córka Luka

prosiła o to samo i spotkała się ze stanowczą odmową, z czego byłam rada. Chłopcy mieli czternaście i piętnaście lat, byli wystarczająco duzi, żeby dać sobie radę. Dziewczynka miała zaledwie dziesięć lat.

– Wyruszymy o świcie – powiedział do mnie Joscelin. – Mahieu i Jehana wyznaczyli punkty zborne, gdzie poszczególne grupy spotkają się trzeciego dnia, więc jeśli ktoś się czegoś dowie, zaczniemy od danego miejsca Natychmiast pchniemy gońca do dworu. W tym czasie już powinna napłynąć odpowiedź od markiza. Będiesz informowana na bieżąco.

– Co?! Zwariowałaś? Jadę z tobą.

– Fedro. – Rysy jego twarzy stwardniały, białe linie wystąpiły po obu stronach ust. – Nie. Spowalniałabyś nas tylko. – Uniósł rękę, uprzedzając mój wybuch. – Posłuchaj, ci ludzie urodzili się i wychowali w górach, wiedzą, jak przemieszczać się szybko i pewnie. Nawet ja nie będę dowodzić grupą, tylko dołączę do Reynarda, bo nie znam tak dobrze terenu i zbyt długo mnie tutaj nie było. A ty... ty zostaniesz w Verreuil.

– Ja bym was spowolniała? – zapytałam z niedowierzaniem. – Joscelinie, razem w środku zimy przebyliśmy Kamaeliny!

– Tak. – Głos miał napięty i niski. – Ponieważ musieliśmy. Na Eluę, Fedro! Nieczęsto mam okazję powstrzymać cię od niepotrzebnego narażania się na niebezpieczeństwo. Nie pozwolisz mi na to choć jeden raz?

Otworzyłam usta do ostrej odpowiedzi i nagle wspomniałam Jehanę, mówiącą, że mam w rękach serce jej brata. Westchnęłam. Joscelin miał rację; nie było powodu, żeby im towarzyszyć. Jeśli nawet nikogo bym nie spowalniała – a mogłam, troszeczkę, bo w górach byli znacznie lepsi ode mnie – nie przydałabym się na wiele.

– Niech ci będzie – ustąpiłam. – Zostanę.

– Dziękuję – powiedział z ulgą w głosie.

DZIEWIĘTNAŚCIE

Nad górami Siovale wstał piękny, jasny ranek, ale dwór zbudził się na długo przed wschodem słońca. Czułam się niepotrzebna i miałam wrażenie, że tylko przeszkadzam, nie otrzymawszy żadnego zadania. Poszłam do kuchni i zobaczyłam Marię Luizę, dźwigającą do jadalni ogromny garnek owsianki.

– Ja to wezmę – powiedziałam, wyciągając ręce.

– Jesteś pewna? – Wywróciła oczami. – Przyda mi się pomoc. Wszyscy gotują i nie ma nikogo, kto podawałby do stołu. Uważaj, ciężki.

– Dam radę.

Wsparłam garnek na biodrze, przytrzymując go lewą ręką. Nauczyłam się usługiwać do stołu w Dworze Nocy, a takich rzeczy się nie zapomina. Uśmiechnęłam się, widząc zaskoczone miny mężczyzn, gdy okrążałam stół nakładając szczodre racje owsianki na drewniane miski. Podawanie do stołu jest sztuką; trzeba umieć zachować równowagę z ciężkim naczyniem, podchodzić dyskretnie, elegancko nakładać potrawy. Trochę jednak wyszłam z wprawy i przyłapałam się na dziecinnym targowaniu – jeśli okrążę stół bez uronienia kropelki, bez szcęknięcia łyżką, to odnajdą dzieci, Błogosławiony Eluo, spraw, żeby tak było...

Skupiona na swoim zajęciu, nie zauważyłam, kiedy Joscelin wszedł do jadalni i odsunął krzesło od stołu. Drgnęłam, widząc jego rozbawioną minę i przez nieuwagę wychłapałam trochę owsianki.

– Przepraszam! Zaskoczyłeś mnie.

– Ja też nie spodziewałam się zobaczyć cię tutaj. – Uśmiechnął się szeroko i zwinnie zebrał łyżką rozlaną owsiankę. – Miłe pożegnanie. Pożywne jedzenie i obsługa godna króla.

Przesunęłam ciężki garnek, czując jego ciepło przez suknię.

– Co najwyżej baroneta. Dawno tego nie robiłam. Wszystko już gotowe?

– Lepiej być nie może. – Joscelin nabrał owsianki do ust i przełknął, po czym podjął: – Konie są osiodłane i objuczone, a słońce oderwało się od horyzontu. Ojciec z dowódcami grup po raz ostatni omawiają plany. Wyruszymy zaraz po śniadaniu. Obiecuję, że najpóźniej za trzy dni wyślemy wiadomość; prędzej, jeśli ktoś ich znajdzie. – Z pełnymi ustami wskazał brodą ścianę. – Dlaczego nie postawisz garnka na kredensie? To wygląda...

Urwał, a ja odruchowo spojrzałam w tę samą stronę co on. Mahieu stał w drzwiach z dziwnym wyrazem twarzy.

– Fedro – zaczął pełnym napięcia głosem – tam są... Cyganie. Na dziedzińcu. Chcą się z tobą zobaczyć.

Przez chwilę stałam jak skamieniała. Patrzyłam na niego, trzymając garnek owsianki w ramionach. Zgrzyt odsuwanych krzeseł i okrzyki wśród czeladzi wyrwały mnie z osłupienia.

– Już idę – powiedziałam, stawiając garnek na kredensie. Joscelin wstawał od stołu. – Ty. – Wskazałam mężczyznę, który zaklął na wieść o cyganach. – Masz zostać tutaj. Nie chcemy żadnych burd.

Skinął głową, zaciskając szczęki. Wyszłam na dziedziniec.

Choć niebo było już bladozłote, na bruku dziedzińca ścieliły się jeszcze długie cienie gór. Niepotrzebnie zawracałam sobie głowę zatrzymywaniem tamtego człowieka, bo już gromadzili się inni. Pięciu, wśród nich Miliard i Luk Verreuil, z na wpół dobytymi mieczami stało w półkolu przed cygańską kompanią. Minęłam ich z Joscelinem u boku.

Kompania była mała, tak mała jak ta, z którą przed laty podróżowaliśmy z Hippochampu. Jeden wóz ze spłowiała, niegdyś

kolorową budą, z wielkimi drzazgami na drewnianych szprychach kół. Nawet po starych tyberyjskich drogach przejazd przez góry nie był łatwy. Woźnica siedział na koźle z obojętnym wyrazem twarzy. Kobiety i dzieci kryły się w wozie za zaciągniętymi zasłonami.

Przed wozem siedziało na koniach dwóch mężczyzn, jeden bardziej z przodu. Od razu poznałam, że są Cyganami pełnej krwi – mieli brązową karnację i żywe czarne oczy, i obaj byli napięci jak struny.

– *Tseroman* – powiedziałam do przywódcy, skłaniając głowę. Jego ramiona trochę się rozluźniły, gdy usłyszał cygańskie powitanie, choć oczy pozostały podejrzliwe i czujne. – Jestem Fedra nó Delaunay. Skąd wiedziałeś, że mnie tu zastaniesz?

– Jesteś naznaczona. Czego Cyganie nie widzą, o tym usłyszą. Twój przejazd został zauważony. – Głos miał szorstki i mówił z obcym akcentem. – Jestem Kristof, syn Oszkara. To moja kompania. – Ukłonił się w siodle. Po forsownej jeździe miał przyprószone pyłem włosy i koszulę. – *Didikani* z Miasta Elui mówi, że towarzyszka wnuka cygańskiego króla szuka dziecka.

– Tak. – Serce załomotało mi w piersi. – Widziałeś je?

– Tam. – Cygański naczelnik obrócił się w siodle, wskazując na południe. – Na Aragońskiej Przełęczy, zanim liście rozwinęły się w pełni na brzozech. Dwóch mężczyzn i troje dzieci.

– D’Angelińskich dzieci? – zapytałam.

Kristof skinął głową.

– Dziewczynka i dwóch chłopców. – Opuścił rękę, pokazując odległość od ziemi. – Tacy duzi. Nie wyglądali dobrze.

– Chorzy? – zapytałam. – Ranni?

– Może ranni. – Uciekł wzrokiem. – Może odurzeni.

Gdzieś za mną Luk zaklął siarczyście. Usłyszałam szmer stali o skórę i bardziej wyczułam, niż zobaczyłam, że Joscelin się odwrócił, kręcąc głową w milczącym ostrzeżeniu. Na twarzach Cyganów odbiło się napięcie i woźnica zebrał lejce, ale poza tym nikt się nie poruszył.

– Widziałeś dziecko opisane przez *didikani*? – zapytałam Kristofa.

– Był taki chłopiec, perełka *gadje*, z czarnymi włosami i oczami głębokimi jak morze.

Po plecach przebiegł mi dreszcz.

– Kristofie, kim byli ci mężczyźni? Dokąd się kierowali?

Jego spojrzenie znowu uciekło w dal.

– Nie wiedzieliśmy o niczym, gdy ich spotkaliśmy. Była wiosna. Słowa *didikani* usłyszeliśmy zaledwie dwa dni temu. Ci ludzie chcieli kupić nasz wóz. – Pogardliwie skrzywił usta. – Nie sprzedaliśmy.

– Kristofie – zaczęłam z rozpaczą w głosie – błagam. Kim oni byli?

Nie odpowiedział mi, ruchem brody wskazując Miliarda Verreuil.

– Ty, d’Angeliński panie! Czy jesteś jak inni, którzy mówią, że Cyganie kłamią, oszukują i kradną dzieci *gadje*?

– Słyszałem takie rzeczy, nawet pod własnym dachem – odparł Miliard spokojnie. – Sam ich nie mówiłem, ale też nie przeczyłem. Jeśli skrzywdziłem twoich ludzi milczeniem, przepraszam. Ale pyta cię pani Fedra, a na własne uszy słyszałem, że skwapliwie staje w obronie imienia Cyganów.

– Ty – Kristof popatrzył na mnie – podróżowałaś *Lungo Drom* z synem Anastazji.

– Tak. – Zrozumiałam wtedy niewypowiedzianą cenę za tę informację i wyrzekłam słowa, które chciał usłyszeć: – *Tseroman*, wciąż podróżuję. Dopóki Hiacynt, syn Anastazji i wnuk cygańskiego króla nie odzyska wolności, będę dla niego podążać Długą Drogą. On to widział. A on – dotknęłam ramienia Joscelina – podróżuje ze mną.

– Skoro mówi *dromonde*, ja nie będę milczał. – Głęboko zaczerpnął tchu. – Ci ludzie byli kartagińskimi handlarzami niewolników. Zmierzali do Amilcaru w Aragonii.

– Kartagińczycy! – wybuchnął Luk. – Co Kartagińczycy robili w Siovale? Jeśli łżesz, Cyganie, zapłacisz za to głową!

Kristof skrzywił usta w uśmiechu, jego czarne oczy spoglądały beznamiętnie.

– Co wiesz o handlu, wysoki *gadje*? Są tacy, którzy dobrze płacą za

d'Angelińskie dzieci. Aragończycy zakazali handlu niewolnikami, ale Kartagińczycy są przebiegli i chciwi. Gdzie lepiej na nie polować? Jeśli dziecko zginie w górach, wy, *gadje*, powiecie, że to robota wilka lub niedźwiedzia, albo... brudnych złodziei, Cyganów. Z tymi słowy zawrócił wierzchowca, jego towarzysz wziął z niego przykład, woźnica skręcił lejce i cmoknął na konie. Zrobiłam krok za nimi.

– Wiedziałaś. Mogłaś wtedy o tym zameldować, Kristofie.

Cygański naczelnik zatrzymał się, spoglądając przez ramię.

– Wiedziałem – przyznał cicho. – Komu miałbym zameldować? Komuś takiemu jak on? – Ruchem głowy wskazał Luka. – Pojedzie do Amilcaru i jeśli nie znajdzie kartagińskich handlarzy niewolników, zacznie szukać mnie, z mieczem w dłoni.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Królewska sprawiedliwość chroni Cyganów tak samo, jak D'Angelinów. Poręczyłabym za to życiem.

– Może. Ale Miasto Elui jest daleko, *chavi*, i nawet królowa może uwierzyć w kłamstwo. Próba nie była warta mojego życia. Może pewnego dnia to się zmieni, gdy znów będziemy mieć cygańskiego króla. – Kristof uniósł rękę. – Fedro nó Delaunay, wypowiem twoje imię i będę je pamiętać.

– A ja twoje, synu Oszkara. Niech *Lungo Drom* ci sprzyja.

Stałam i patrzyłam za nimi, nie zważając na szepty za plecami. Słońce świeciło nad górami i zalewało dziedziniec złotym blaskiem. Patrzyłam na zakurzony wóz, dopóki nie zniknął za pierwszym zakrętem, potem odwróciłam się do zgromadzonych mieszkańców posiadłości Verreuil.

– Ha! – Z powagą ogarnęłam ich wzrokiem. Joscelin u mojego boku westchnął cicho. – Kto chce jechać do Amilcaru?

Przygotowanie się do wyjazdu zabrało nam tylko parę godzin, przy czym większa część tego czasu zeszła na sprzeczkach Verreuilów. Spakowałam się szybko i spożytkowałam wolne chwile na napisanie listu do Ysandry, w oględnych słowach relacjonując ostatnie

wydarzenia. W końcu postanowiono, że będzie nam towarzyszyć Luk z dwoma zbrojnymi i stajennym. Według ojca to Mahieu powinien wziąć udział w przygodzie, ale on ustąpił miejsca starszemu bratu. Przypuszczam, że Jehana chętnie pojechałaby z nami – widziałam tęskny wyraz w jej oczach – ale za parę dni musiała wrócić do domu. Niemal chciałam, żeby rzuciła rozwagę na wiatr i ruszyła z nami, bo byłoby przyjemnie mieć towarzyszkę podróży. Nie śmiałam jednak jej namawiać, a poza tym miała dostarczyć mój list do najbliższej stacji kurierskiej.

Rozgorzała długa debata, czy można zaufać słowom Cygana, ja jednak nie brałam w niej udziału. Wreszcie Miliard Verreuil oznajmił, że poszukiwania zostaną przeprowadzone zgodnie z planem, choć na trochę mniejszą skalę. To była rozsądna decyzja. Niezależnie od tego, czy uwierzyli w historię Kristofa, po okolicy krążyły pogłoski o handlu niewolnikami.

Niech się dowiedzą, ile tylko można. Ja jechałam do Amilcaru.

Wiedziałam, że Cygan powiedział prawdę.

Tak, Kristof mógł pominąć pewne szczegóły, mógł się pomylić co do tego, że porywacze byli Kartagińczykami, choć raczej w to wątpiłam. Ale wiedziałam, że widział Imriela. Dostrzegałam w tym wszystkim straszną symetrię, świadczącą o roli Kusziela. Hiacynt powiedział prawdę, był tam wzór, zbyt wielki, żeby go ogarnąć. Nikt nie może zgłębić woli bogów i aniołów, gdy kształtują życie śmiertelników; wyczuwałam jakiś cel w kolejnych zdarzeniach i modliłam się, żeby był mniej straszny niż się wydawało. Gdy nieświadomie natknęliśmy się z Joscelinem na spisek Melisandy, z łatwością mogła nas zabić. Nie zrobiła tego. Pozbyła się nas w inny sposób, sprzedając w niewolę do Skaldii. Przeżyliśmy. Imriel de la Courcel też miał szansę przeżyć.

Jechałam do Amilcaru.

Wyruszyliśmy przed południem, podążając wysoko położonymi szlakami i skrótami znanymi Siovaleńczykom. Na płaskim terenie

pokonalibyśmy odległość w kilka dni. W górach droga miała trwać trzy razy dłużej, i to pod warunkiem, że utrzyma się ładna pogoda.

Nikt nie mówił o pośpiechu, ale staraliśmy się jechać jak najszybciej. Minęły ponad trzy miesiące. Trop, jeśli go znajdziemy, będzie zimny. Miałam nadzieję na uzyskanie pomocy w Amilcarze. Dwa lata temu Ramiro Zornin de Aragon został mianowany konsulem w tym mieście, królewskim łącznikiem z panem Amilcaru. Jeśli Elua okaże nam przychylność, jego żona, Nicola L'Envers y Aragon, krewna królowej i moja przyjaciółka, będzie w rezydencji. Nie miałam wątpliwości, że zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby nam pomóc.

I to była dobra wiadomość związana z Amilcarem.

Posiadanie aragońskich czy d'Angelińskich niewolników jest w Aragonii zakazane, tyle wiedziałam. Aragoński pan, który chciałby pogwałcić ten edykt, musiałby być bardzo odważny. Terre d'Ange jest największym sprzymierzeńcem ich kraju. Bez naszej potęgi Aragonia byłaby bezbronna wobec zakusów cesarstwa Kartaginy. Na razie oba kraje łączy niepewne przymierze handlowe. „Co wiesz o handlu, wysoki *gadje*?”. Dość, pomyślałam, by wiedzieć, że nielegalny handel odbywa się wszędzie. Ale jeśli kartagińscy handlarze niewolników sprzedawali d'Angelińskie dzieci w Aragonii, prawdopodobnie zależało im na tym, by jak najszybciej przekazać je w inne ręce i stracić z oczu.

A Amilcar jest miastem portowym.

I to była ta zła wiadomość związana z Amilcarem.

Trzeciego dnia dotarliśmy do drogi biegnącej przez wschodnią Przełęcz Aragońską i przyspieszyliśmy, jadąc wzdłuż wielkiej rzeki w cieniu strzelistych szczytów. O zmierzchu, gdy ludzie z Verreuil rozbijali obóz, Luk wybrał się na ryby. Wrzucił linki do wartkiej wody i zanim się ściemniło, złapał kilka pstrągów.

– Czy jeszcze pamiętasz, jak się czyści ryby, braciszku? – zapytał

Joscelina, gdy wrócił z lśniącoymi rybami nanizanymi na linę.

Joscelin lakonicznie uniósł brew.

– Możliwe.

Przeglądałam tłumaczenie dżebeńskiego zwoju i patrzyłam kątem oka, rozbawiona, gdy synowie Miliarda Verreuil skrobali i patroszyli pstrągi przy świetle ogniska. Była to brudna praca, delikatnie mówiąc. Luk ukłuł się, wyjmując haczyk, zaklął, wsunął kciuk do ust i wyszarpnął go gwałtownie, plując rybim śluzem.

– Nie powinnaś się śmiać, pani – powiedział, rozżalony. – Chciałem być miły. Twój ukochany powiedział mi, że lubisz pstrągi.

– Lubię – przyznałam. – I dziękuję.

– Nie ma za co. – Luk zerknął z niezadowoleniem na Joscelina, który bez słowa podniósł dwie starannie oczyszczone ryby. – Proszę bardzo, możesz oprawić wszystkie. Nie sądziłem, że ktoś łowi ryby w Mieście Elui.

– Ja nie. – Joscelin zabrał się za trzeciego pstrąga. – Ja łowię w Montrčve.

– Mogłem zgadnąć. – Luk usiadł obok mnie, bez skrępowania pocierając dłonie, żeby pozbyć się rybich łusek. – Pani... Fedro... w Verreuil nie chciałem nikogo urazić. Chodzi mi o Cygana. Nie zrobiłbym mu krzywdy. Nawet gdybym był przekonany o jego winie, wezwałbym magistrata i postawił go przed sądem. Byłem zdenerwowany, to wszystko.

– Wiem. – Odłożyłam pergamin. – Luk, wiem. Problem w tym, że wielu innych postąpiłoby inaczej, i wielu zachowałoby milczenie, widząc samowolnie wymierzaną sprawiedliwość. Cyganie wolą nie ryzykować. Znam ich złą reputację, tylko po części zasłużoną. Poprosiłam ich o pomoc. Odszukanie mnie wymagało odwagi. Twoje pogroźki w niczym nie pomogły.

– Chyba nie – mruknął. – Ale skąd ta pewność, że nie skłamał?

Powiedziałam mu, jak rozpoznać dziewięć oznak kłamstwa, a on patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami.

– To takie... skomplikowane. – W przeciwieństwie do brata, Luk Verruil był człowiekiem nieskomplikowanym. Wstał i pokręcił głową.
– Zdam się na ciebie i poprzestanę na tym, na czym się wyznaję, a w tej chwili są to ryby. Joscelinie, skoro tak dobrze radzisz sobie z nożem, możesz je wypatroszyć. Pani Fedro, jeśli mi wybaczysz, pójdę nad rzekę umyć ręce i nazbierać kamieni do dołka, w którym upieczemy ryby.

– Wybaczę.

Po odejściu brata Joscelin zachichotał, wycierając w garść trawy nóż, którym czyścił ryby.

– To go gryzło od wyjazdu. Cieszę się, że wreszcie z tobą pomówił. Być może naprawdę weźmie sobie do serca twoje słowa.

– Może. – Popatrzyłam na niego. – Pomimo energii i zdrowego rozsądku, członkowie twojej rodziny nie sprawiają wrażenia skorych do zmiany sposobu myślenia.

– Nie. – Joscelin przysiadł na piętach przy ogniu i dyskretnie sprawdził, czy brat i pozostali są poza zasięgiem słuchu. – Na prowincji stare przekonania mają mocne korzenie. Przychodzi mi to na myśl w czasie każdych odwiedzin. Kocham ich, Elua świadkiem, ale... moje zbyt krótkie dzieciństwo skończyło się dawno temu. – Wyciągnął brudne ręce, przyglądając się odciskom od rękojeści sztyletów i miecza. – Noszę Verreuil w sercu – powiedział z zadumą – a Verreuil żyje beze mnie, niezmienione. To ja się zmieniłem.

– Żałujesz? – Musiałam o to spytać.

– Nie. – Ogień odbijał się w jego oczach, gdy spojrzał na mnie. Uśmiechnął się lekko i pokręcił głową. – A ty?

– Nie. Mam ciebie. To najważniejsze. – Musnęłam czubkami palców jego przedramię. – Ja też w zasadzie nie miałam dzieciństwa, a jeśli już, to nie takie, jak wyobraża je sobie twoja rodzina. Miałam za to Delaunaya i Alcuina. I Hiacynta. Miałam miłość. I mam ciebie. Już dla tego było warto.

– Tak. Zawsze. – Joscelin spojrzał na południe. – Dzieciństwo nieraz

kończy się czymś gorszym niż wstąpienie do Bractwa Kasjelitów czy do służby u Delaunaya.

Zadrżałam.

– Wiem. Och, Eluo!

– Syn Melisandy. – Milczał przez chwilę. – Może kapłan miał rację, wychowując go w taki sposób. Przynajmniej nie brakowało mu radości. Ale to się skończyło. Jeśli nawet znajdziemy go całego i zdrowego, nie będzie mu łatwo, gdy tylko się dowie, kim jest. Nie wróci do kochającej rodziny, jak córka mleczarza.

– Ysandra zadba o jego bezpieczeństwo.

– Zrobi, co w jej mocy, wiem. Ale... – Joscelin wzruszył ramionami – droga będzie trudna.

Pomyślałam o Imrielu de la Courcel. Co będzie, gdy dziesięcioletni chłopiec dowie się, że wszystko, w co wierzył, było kłamstwem? Że jest dzieckiem zdrajczyny, że żyje dzięki niewyobrażalnej intrydze, że ludzie, których nigdy nie spotkał, byłiby radzi z jego śmierci?

– Biedny chłopiec – szepnęłam.

– W istocie. – Joscelin zebrał się w sobie i zmierzył wzrokiem kupkę rybich wnętrzności. – Będzie lepiej, gdy się tego pozbędę, chyba że ty miałabyś ochotę.

Uniosłam brwi.

– To ty lubisz łowić ryby.

Uśmiechnął się cierpko.

– Tak myślałem.

DWADZIEŚCIA

Droga do Amilcaru zabrała prawie dwa tygodnie, przy czym dwa dni straciliśmy z powodu letnich burz. Jean–Richard, starszy z dwóch zbrojnych, uznał, że podróżowanie w czasie nawałnicy nie będzie bezpieczne. Złościło mnie to opóźnienie, ale przyznałam mu rację, gdy zobaczyłam, że zasilona przez ulewę rzeka przybiera gwałtownie. Wystąpiła z brzegów i rwała wściekle tuż poniżej jaskiń, w których znaleźliśmy schronienie.

Wyliczyliśmy czas tak, żeby przybyć do miasta z samego rana, i zatrzymaliśmy się w jednej z lepszych gospód w pobliżu ruchliwego portu. Luk, który płynnie mówił po aragońsku, uzgodnił cenę za pokoje. Ja trochę rozumiałam język – to odmiana caerdicci, płynna i melodyjna, z wydłużonymi samogłoskami i lekko sepleniącą wymową „s” – ale ze wstydem przyznam, że nigdy go nie studiowałam.

Po rozlokowaniu się skreśliłam krótki list do Nicoli L’Envers y Aragon pieczętując go herbem Montrčve i posyłając Dolana, młodszego zbrojnego, do pałacu konsula na Plaza del Rey. Następnie kazałam przygotować kąpiel i zleciłam praczce wyprasowanie mojej najlepszej sukni – ze srebrnoszarego jedwabiu, ze stanikiem pięknie haftowanym srebrną nicią. To musiało wystarczyć. Nie pakowałam się z myślą o wizycie u konsula w Amilcarze.

Odpowiedź otrzymam bezzwłocznie, pomyślałam, jeśli tylko Nicola przebywa w mieście; rzeczywiście była w Amilcarze i odpowiedziała szybciej, niż przypuszczałam. Nakładałam proszek antymonowy na rzęsy i utykałam włosy w siateczkę z perełkami, gdy do drzwi zapukał

zdumiony Aragończyk, służący z gospody. W zrozumiałym caerdicci oznajmił, że na dole czeka królewski powóz.

Oczywiście był to tylko powóz królewskiego konsula, ale robił wrażenie – ze stangretem na koźle, lokajem z tyłu i złożonym herbem domu Aragon na bokach. Luk wiercił się nerwowo na aksamitnym siedzeniu, bawiąc się zasłonkami i zajmując dużo miejsca jak na jednego pasażera.

– Eluo, ale tu duszno! – mruknął, skubiąc żabot. Jego błękitne oczy, tak podobne i niepodobne do oczu brata, były szeroko otwarte i pełne niepokoju. – Jesteś pewna, że odpowiednio się ubrałem? Nigdy dotąd nie spotykałem się z cudzoziemską szlachtą. Fedro, jak należy zwracać się do pana z rodu Aragonów? Mam przyklęknąć czy się ukłonić?

– Pani Nicola jest D’Angelina i przyjaciółką – przypomniałam mu. – A Ramiro jest konsulem, nie królem. Po prostu... udawaj, że witasz się z markizem de Toluard, Luk. Okazuj im tę samą uprzejmość.

– Tibault de Toluard zaciągnąłby mnie na blanki, żebym obejrzał trebusz ostatnio udoskonalony przez jego inżynierów – odparł Luk ponuro. – Nie sądzę, by Ramiro Zornin de Aragon zrobił to samo.

– Nie. – Joscelin swobodnie wsparł plecy na wyściełanym oparciu. – Pewnie zamiast tego pokaże ci najnowszą grę hazardową i jeśli nie zabrałeś kości, będzie miał komplet do pożyczania. Nie przejmuj się, Luk. Nie przyniesiesz wstydu Verreuil.

– Mam nadzieję – mruknął jego brat.

Miasto jest przyjemne, choć w drodze na Plaza del Rey niewiele widzieliśmy przez zaciągnięte zasłonki powozu. Po jednej stronie placu stoi masywny pałac hrabiego z szarego granitu, zdobiony ślimacznicami z kutego żelaza. Konsul rezydował naprzeciwko, w gmachu niższym i bardziej nowoczesnym. Dwóch strażników machnęło rękami, przepuszczając powóz przez sklepioną bramę na dziedziniec, gdzie czekał majordomus w liberii Aragonów.

– Hrabina de Montrčve – powiedział w płynnym d’Angelińskim, gdy wysiadłam z powozu. – Panowie Verreuil. Pani Nicola czeka.

Weszliśmy za nim do marmurowego holu. Było tu chłodniej niż na dworze, światło wpadało przez okna z geometrycznym ornamentem, palmy daktylowe w wielkich donicach użyczają cieniom zielonkawych tonów. Majordomus zaprowadził nas do salonu z wąskim marmurowym fryzem, który przedstawiał króla Aragonii ułaskawiającego księcia Kartaginy. Zwróciłam uwagę na mnóstwo złoconych wykończeń i krwistoczerwony dywan.

– Lekka przesada, prawda? – Nicola L’Envers y Aragon z uśmiechem wyszła nam na spotkanie. – Niestety, nie wolno mi wprowadzać zmian w wystroju sali recepcyjnej. Fedro, moja droga. Miło cię widzieć. – Złota bransoleta z pieczęcią zadzwoniła na jej nadgarstku, gdy uniosła rękę, żeby dotknąć mojej twarzy i obdarzyć mnie powitalnym pocałunkiem. – I ciebie, Joscelinie.

– Pani Nicolo. – W jego głosie pobrzmiwała nutka rozbawienia, gdy się pochylił, żeby ją ucałować.

– A to zapewne pan Luk. – Nicola popatrzyła z zaciekawieniem na brata Joscelina. – W Verreuil rosną Wysocy mężczyźni.

– Pani. – Zarumieniony Luk zgiął się w ukłonie.

Nicola się roześmiała.

Był to znajomy śmiech, niski i zmysłowy, przyprawiający mnie o szybsze bicie serca – nawet tutaj, nawet teraz. Ale przez całe namiętne życie byłam *anguisette* i przywykłam radzić sobie z tym, co mnie rozpraszało.

– Nicolo – powiedziałam – chciałabym, żeby było inaczej, lecz nie przybywamy tutaj dla przyjemności. To poważna sprawa.

– Tyle się domyśliłam. – Ruchem głowy wskazała kapiące od złota krzesła wokół niskiego stołu z hebanu. Na tacy czekało na nas wino i oliwki. – Ramiro powinien wrócić przed zachodem słońca. Jest na spotkaniu ze skarbnikiem Fernana, omawiają jakieś rachunki. Czy twoja sprawa może zaczekać?

– Wolałabym, żebyś ty wysłuchała jej pierwsza.

Nicola słuchała bez przerywania, nie zdradzając myśli. Dziwnie by wiedzieć ją w Amilcarze z jej d'Angelińskim opanowaniem i pięknem, ubraną w aragońską suknię z dekoltem wyciętym w karo. Złotaworude włosy miała ułożone w wymyślną fryzurę, podpiętą długimi szpilami ze złotymi koronami Aragonów. Luk pożerał ją wzrokiem, nie kryjąc fascynacji, czemu się nie dziwiłam. Opisałam słowami naszą podróż przez Siovale. Nicola okazała zdumienie dopiero wtedy, gdy powtórzyłam słowa Cygana Kristofa.

– Co? – Jej fioletowe oczy otworzyły się szeroko z oburzenia.

– Tak powiedział, pani – odparłam. – Kartagińscy handlarze niewolników zmierzający do Amilcaru. Mówisz, że to niemożliwe?

– Nie wiem. – Nicola ściągnęła brwi i wsparła podbródek na pięści. Bransoleta na jej ręce zamrugła w skośnym świetle padającym z wysokich okien, promienie słońca odbiły się od granatowego kaboszonu. – Nie. Nie mówię, że to niemożliwe. Hrabia Fernan robi, co w jego mocy, żeby port był patrolowany, ale zakazany handel trudno jest wyplenić.

– Port – powiedział Joscelin. – Co z resztą miasta? A jeśli tylko przejeżdżali przez Amilcar w drodze do Kartaginy?

Nicola pokręciła głową.

– Jeśli zaryzykowali przywiezienie d'Angelińskich jeńców do Amilcaru, to z myślą o porcie. Nie ma innego powodu.

– Możesz nam pomóc? – zapytałam. – Wyślę wiadomość do Ysandry, jeśli trzeba załatwić to formalnie. Poprosi Aragonie o pomoc, ale minie jakiś czas, zanim przybędzie poselstwo, a z każdym dniem trop staje się zimniejszy.

– Pomogę ci, oczywiście. – Uniosła ślicznie zarysowany podbródek i w jej oczach błysnęła chłodna determinacja nieobca nikomu, kto miał okazję poznać członków rodu L'Envers. Widywałam ten wyraz u królowej, a wcześniej u diuka Barquiela. – Możesz być tego pewna. – Nicola wzięła ze stołu mały złocony dzwonek i potrząsnęła nim. Gdy

do pokoju wszedł służący, zwróciła się do niego w płynnym aragońskim. – Wysłałam wiadomość do Ramira, że ma wracać w pośpiechu, bo inaczej zasiedzi się przy kielichu – wyjaśniła po d’Angelińsku bez cienia zakłopotania. – Powinien zjawić się w ciągu godziny.

– Pani Nicolo. – Joscelin wstał. – Za twoim pozwoleniem, musimy z Lukiem kupić parę drobiazgów na targu. Możemy wrócić za godzinę?

Luk otworzył usta, żeby zaprotestować, potem zmienił zadanie. Nicola popatrzyła na Joscelina i nie wiem, co przekazali sobie wzrokiem. Skłoniła głowę.

– Jak sobie życzysz, messire kasjelito. Wydałam rozkazy, żeby nikt nie zabronił wam wstępu do pałacu konsula.

– W takim razie za godzinę. – Joscelin ukłonił się i wyszedł, zabierając Luka.

Popatrzyłam za nimi.

– Nabrał trochę ogłady – zauważyła Nicola, gdy naląła wina do kieliszków i usiadła przy stole. Po wyjściu mężczyzn stała się mniej formalna.

– Lubi cię – szepnęłam w kieliszek. – Nie sądzę, że tego chciał, ale cię polubił.

– I czemu nie? – Jej uśmiech był przebiegły, jak u Barquiela, ale bardziej subtelny. – Ostatecznie jestem dość sympatyczna.

– Tak. – Spojrzałam jej w oczy. – Naprawdę, przykro mi, pani, że przybywam z taką sprawą. Nie miałam zamiaru sprawiać ci kłopotu.

– Fedro. – W jej głosie usłyszałam rezygnację przemieszaną ze szczerym uczuciem. – Byłabym bardzo zadowolona, gdybyś zjawiała się w moich progach dla czystej rozrywki, lecz nigdy na to nie liczyłam. Wiem, kim jesteś. Wiedziałam od początku, Wybranko Kusziela. Głupotą byłoby rościć sobie prawa do osoby, którą bogowie naznaczyli jako swoją. Poza tym w przeciwieństwie do innych nie jestem głupia, żeby chwytać coś, co parzy w dotyku. To, co mi dałaś... – podniosła rękę z granatową pieczęcią – trzymam na widoku.

Jej gest przypomniiał mi Emila, zaciskającego pięść w „Kogutku”, i Kusziela z wizji Hiacynta, z kluczem i diamentem w rękach. Przypomniiał mi, że znałam w życiu niewielu ludzi na tyle odważnych i mądrych, aby nie skrywali tego, co jest dla nich cenne. Przypomniiał mi, dlaczego zleciłam zrobienie pieczęci z granatem dla Nicoli L’Envers y Aragon.

– Nosisz ją – powiedziałam cicho.

– Tak – odparła ze śmiechem. – Ach, Fedro, zawsze. Jest przecież jedyna w swoim rodzaju. Aragończycy mogą nie wiedzieć, co oznacza. Ja wiem.

Granat o kaboszonowym szlifie, szkarłatny jak plamka w moim lewym oku, zdobiony wyrzeźbionym symbolem: kunsztownie oddana strzała, od ostrego grotu po piękne linie lotek.

Strzała Kusziela.

Tylko raz w życiu dałam upominek kochanki i była to właśnie ta pieczęć. Kiedyś Nicola była moją klientką, obecnie jest przyjaciółką. Nigdy nie zapomniałam, że gdybym zaufała jej radzie, gdybym nie żywiła podejrzeń, wydarzyłoby się mniej złego. Było to wtedy, gdy Barquiel L’Envers i ja nie mogliśmy dojść do porozumienia, oboje szukaliśmy Melisandy Szachrizaj i żadne z nas nie chciało uwierzyć drugiemu. Melisanda musiała się śmiać, bezpieczna w Małym Dworze w La Serenissimie, gdy krążyliśmy wokół siebie nieufnie! Gdybyśmy wymienili się informacjami, gdybyśmy połączyli siły, z pewnością znaleźlibyśmy ją wcześniej.

A moi ukochani kawalerowie, Fortun i Remy, nie straciliby życia, podobnie jak wielu innych ludzi. Imriel de la Courcel nie zostałby wysłany do sanktuarium Elui, nie zaginąłby, wprowadzony przez handlarzy niewolników.

Będąc osobą z zewnątrz, wskutek małżeństwa mieszkającą w Aragonii, Nicola widziała naszą głupotę. Próbowwała mi powiedzieć, ja jednak nie chciałam jej słuchać. I choć wiedziała, że jej nie ufam, powierzyła mi święte zawołanie rodu L’Envers, słowa zapewniające

pomoc w największej potrzebie. „Na płonącą rzekę...”.

Nawet królowa nie złamała protokołu rodu swojej matki, żeby powierzyć mi te słowa. Tylko Nicola. To czegoś mnie nauczyło. Jakieś osiem lat temu odwzajemniłam przysługę, dając Nicoli coś, czego nigdy nie dałam nikomu innemu.

– Cieszę się – powiedziałam – że cenisz sobie ten drobiazg.

– Tak. – Nicola z roztargnieniem obracała bransoletę na rękę. – Cieszę się, moja droga, że tego nie żałujesz. Ja też lubię twojego kasjelitę, ale jest zazdrosnym kochankiem.

– Joscelin... – rozłożyłam ręce – to Joscelin.

– Tak. – Uśmiechnęła się. – I prawdopodobnie zadaje ci uderki większe niż ja mogłabym wymyślić. Cóż, musi mu być ciężko, że znowu służysz Melisandzie.

– Ciężko? – zastanowiłam się, kręcąc głową. – Nicolo, już sama nie jestem pewna, komu służę. Co mam sądzić, gdy wola Melisandy zbiega się z wolą Ysandry? Jestem służką Naamy, dwukrotnie poświęconą, a jednak Naama nie odgrywa w tym żadnej roli, przynajmniej ja jej nie dostrzegam. Jestem Wybranką Kusziela, tak, a Kusziel... – Zadrżałam. – Jeśli się nie mylę, to właśnie Kusziel jest sprawcą tego koszmaru. Czy wypełniam jego wolę, próbując mu przeszkadzać? Na początku myślałam, że kieruję się własną wolą, że moim jedynym prawdziwym celem jest uwolnienie Hiacynta, mojego przyjaciela.

– A teraz nie jesteś pewna.

– Nie. – Napiałam się wina i odstawiłam kieliszek. – Teraz, po rozmowach z opiekunami, towarzyszami i rodzicami dzieci, niewinnych dzieci, które cierpią z powodu sprawiedliwości Kusziela, wcale nie jestem pewna komu służę. Dzieje się coś ważnego. Nie wiem co.

Przyjaciół mniejszej miary wyrzekłby łatwe słowa pociechy. Nicola tego nie zrobiła.

– Nie mogę niczego obiecać, Fedro. Jak mówisz, trop jest zimny,

jeśli jednak biegnie przez Amilcar, ludzie hrabiego Fernana go znajdą. – Tym razem jej uśmiech był posępny. – Nie dbam o to, czy sprawa dotyczy Melisandy Szachrizaj, czy kalifa Khebbel–im–Akad. Jeśli w Amilcarze ktoś handluje d’Angelińskimi niewolnikami, położę kres temu procederowi.

– Dziękuję – odparłam krótko.

Nicola wzruszyła ramionami.

– Za to nie trzeba dziękować. Mam pewne wpływy. Z przyjemnością wykorzystam je w dobrym celu, choć moi znajomi nie są liczni.

– Skoro o tym mowa... – Spojrzałam na nią. – Czy Marmion Szachrizaj przebywa w mieście?

– Marmion? – Nicola odprężyła się, na jej twarzy odbiło się rozbawienie. – Nie, pan Marmion przebywa na dworze, służąc królowi. Wyrobił sobie pozycję. Poza tym zaczynamy się kłócić, gdy zbyt długo przebywamy w jednym miejscu.

Przyznam, że jej słowa sprawiły mi ulgę. Wiele lat temu Marmion Szachrizaj zdradził Melisandę, wydając ją w ręce Quincela de Morhban, suwerennego diuka Kuszetu, który przyprowadził ją do Troyes–le–Mont. W końcu zapłacił za zdradę. Persja, jego sojuszniczka i siostra, okazała się dwulicowa i Marmion nieumyślnie – tak twierdził – przyczynił się do jej śmierci, jego ludzie przypadkowo zaproszyli ogień, w którym zginęła. Nie wiem, jak było naprawdę, ale został skazany na banicję. Przypuszczam, że Szachrizaj dopilnowaliby, żeby zapłacił głową, gdyby Nicola nie zaproponowała mu azylu w Aragonii.

Dobrze się stało, bo jeśli nawet Marmion popełnił zbrodnię, był lojalny wobec królowej. Z drugiej strony cieszyłam się, że go nie spotkam.

W moim życiu znów pojawił się jeden Szachrizaj, i tego było aż nadto.

DWADZIEŚCIA JEDEN

Godzinę później jeszcze raz powtórzyłam tę historię konsulowi, mężowi Nicoli.

Ramiro Zornin de Aragon był pośledniejszym członkiem rodu Aragonów, a na dodatek pijakiem. Mimo to go polubiłam. Był dobroduszny i nieszkodliwy, i zdolny do żarliwych uczuć, kiedy miał do tego motywację

Pogłoska o kartagińskich handlarzach niewolników w Amilcarze była takim bodźcem.

Nie wątpiłam, że Nicola nakłoniłaby go do działania, gdyby okazało się to konieczne, ale pan Ramiro nie potrzebował zachęty. Niezależnie od zamiłowania do beztroskiego życia, dobrze wiedział, kto jest sojusznikiem jego kraju; wiedział także, że jego żona jest kuzynką królowej Terre d'Ange, a synowie – dwóch chłopców, których nie miałam okazji poznać – są półkrwi D'Angelinami. Jeszcze nie skończyłam opowiadać, gdy kazał wezwać hrabiego Fernana i kapitana straży portowej.

Przypuszczam, że Ramiro nieczęsto wykorzystywał pełnię swojej władzy jako konsul królewski. Zrobił to teraz, jego policzki poróżowiały z emocji, brązowe oczy spaniela rozblęły. Nicola patrzyła na niego z tkliwą dumą; to mnie zaskoczyło, bo kiedy go poznałam, nie przypuszczałam, że darzą się szczerym uczuciem. W Terre d'Ange Nicola mówiła tylko o jego wadach, ale więź pomiędzy nimi była głębsza, niż sądziłam. Nicola była przecież D'Angeliną, a niezależnie od polityki żadne z dzieci Elui nie pozostaje długo w

związku bez miłości.

A miłość przybiera wiele form.

Przed przybyciem hrabiego i kapitana straży portowej zjedliśmy w pośpiechu posiłek, a potem zjawił się Fernan, czarnobrody i barczysty, flegmatyczny, lecz wyraźnie nieszczęśliwy, że został wezwany przez człowieka, którego uważał za potulnego. Zobaczyłam, że przemyślał swoje nastawienie, gdy został mi przedstawiony, a potem jeszcze dwa razy, gdy poznał Joscelina i Luka, synów Verreuil. Chłodny kasjelicki ukłon Joscelina i błysk skrzyżowanych zarękawi skłoniłyby do namysłu każdego rozsądnego człowieka, a Luk... dzięki mu za siovaleńskie serce. Luk był wzorem wszystkiego, co dobre i szczerze w starych rodach d'Angelińskiej szlachty, z szeroko osadzonymi niebieskimi oczami i uprzejmościami prawionymi w z trudem wyuczonym aragońskim.

Jakiś czas później wszyscy razem sprawiliśmy, że hrabia rozgorzał gniewem. Wymagało to sporo zachodu, bo był powolnym, statecznym mężczyzną, świadomym własnej wartości, i ten nagły nacisk ze strony konsula nie przypadł mu do gustu. Ale był też dumny i implikacje naszych wieści ucięły go do żywego.

– Kartagińczycy – burknął, przechodząc na caerdicci, który wszyscy znaleźliśmy. – Co powiesz, kapitanie Vitorze? Czy gościmy w Amilcarze kartagińskich handlarzy niewolników?

Vitor Gaitan, kapitan straży portowej, wzruszył ramionami. Był szczupły, z dziobami po wietrznej ospie na policzkach.

– Cyganie mogą tak mówić, ale Cyganie kłamią. Pozwól mi odejść, panie hrabio, a przed świtem otrzymasz odpowiedź.

– Idź. – Hrabia Fernan rąbnął potężną pięścią w stół. – Na Mitrę, Możesz wywrócić Amilcar do góry nogami!

I tak się stało. Wyjechaliśmy wieczorem, żeby zobaczyć, co się dzieje. Nicola, uważając przyglądanie się brutalnym procedurom za głupotę, nie chciała brać w tym udziału – i nie mam do niej pretensji.

Widok nie zaliczał się do przyjemnych. A jednak to ja wprawiałam w ruch te wypadki, dlatego czułam, że powinnam je oglądać. Zobaczmy, pomyślałam ponuro, ile gorzkiej prawdy zawierają słowa Cygana; może pewnego dnia Aragończycy nie będą tacy skorzy do potępiania pobratymców Hiacynta. Udaliśmy się z panem Ramirem i jego strażnikami oraz z Jean-Richardem i Donanem, zbrojnymi z Verreuil.

Była to noc pochodni i stali, powietrze wypełniał zapach słonej wody i krzyki protestu zdesperowanych ludzi. Żołnierze kapitana Vitora nie byli delikatni, przeszukując kolejne statki, przesłuchując pod groźbą miecza mieszkańców tawern i noclegowni.

Siedziałam na swojej klaczy i z drżeniem patrzyłam, jak trzech członkowie straży portowej głowicami mieczy okładają kartagińskiego marynarza, podejrzewając, że kłamie.

– Pani! – krzyknął marynarz z ustami pełnymi krwi, podchwytyjąc moje spojrzenie. – Łaskawa pani, błagam o miłosierdzie!

Gdybym nie rozumiała łamanego aragońskiego, w jakim mówił... ale rozumiałam. Odwróciłam głowę, szepcząc do pana Ramira:

– Czy nie mogą przesłuchać go w łagodniejszy sposób?

– Poprosiłaś o pomoc hrabiego Fernana, hrabino. Musimy pozwolić, żeby robił to po swojemu. – Wyjął srebrną flaszkę i pociągnął porządny łyk brandy, po czym poczęstował mnie. – Proszę. To pomaga.

Obserwowałam więc dalej, a metody kapitana Vitora i straży portowej, choć brutalne, okazały się skuteczne. Jedna pogłoska, wydyszana przez pobitego Kartagińczyka, doprowadziła do drugiej. Przymus spowodował zerwanie milczącego porozumienia. Członkowie straży schodzili się ze wszystkich stron, przynosząc złane krwią strzępy plotek i pogłosek. Pewien człowiek... nie, dwóch ludzi albo trzech wynajmowało pokoje w nędznych zaułkach Kartagińczykom, tak, uiszczającym czynsz w miedzianych monetach, spotykającym się z menechetańskim handlarzem niewolników Fadilem Choumą, tak, znanym z kupowania dużych ilości opium...

Przypuszczam, że z nas wszystkich to Joscelin zniósł przesłuchania z największym spokojem. Podczas gdy ja odwracałam wzrok, Luk pochylał się nad karkiem wierzchowca, ludzie z Verreuil oddychali ciężko i bledli, a pan Ramiro pociągał ze swojej flaszki, twarz Joscelina wyrażała kasjelicki stoicyzm. Widziałam podobną minę w dawnych czasach, gdy odprowadzał mnie na spotkania z klientami.

Gdy wstał świt, ponury i szary, a uśmiechnięte delfiny zaczęły figlować w zatoce, wydmuchując z nozdrzy pióropusze pary, kapitan Vitor Gaitan miał swoją odpowiedź. Szczrzył zęby jak wilk, prowadząc swoich ludzi krętymi uliczkami, a jego oczy lśniły w dziobatej twarzy. Zaspana, ubrana byle jak kobieta pojawiła się na balkonie na piętrze, protestując i wykrzykując przekleństwa, gdy strażnicy wyważali drzwi. Nie zwracali na nią uwagi, wytężając mięśnie. Zamek ustąpił, drzwi z cienkich desek rozsypały się na kawałki.

Siedzieliśmy na wierzchowcach w uliczce, patrząc, jak strażnicy wypychają w szare światło brzasku dwóch rozczochranych Kartagińczyków, mrugających z zaskoczenia, ledwo świadomych, że zostali zakuci w kajdany. Kapitan Vitor ruszył w naszą stronę.

– Panie – powiedział po aragońsku, kłaniając się Ramirowi. – Pani.
– Zwrócił się do mnie i ujrzałam, że dziobata twarz krzywi się z furii.
– Musicie to zobaczyć.

Nie potrzebując zachęty, zsunęłam się z siodła. Joscelin szedł pół kroku za mną, z rękami na sztyletach, gdy podniosłam spódnicę i przestąpiłam próg.

Ciemne wnętrze cuchnęło kapustą i nadpsutym mięsem. W pierwszej izbie zobaczyłam stół i krzesła, parę osobistych drobiazgów, przewrócony dzban wina. Członek straży portowej wyminął mnie z wysoko podniesioną pochodnią. Światło odbiło się w dwóch parach oczu, które patrzyły znad podłogi. Westchnęłam głośno.

Były to dzieci, dwoje, ich ładne buzie zdradzały d'Angelińskie pochodzenie. Chłopiec i dziewczynka, dziesięcio-, co najwyżej

dwunastoletni. Kulili się na cuchnącym moczem barłogu ze słomy, bladzi z braku słońca, ze źrenicami rozszerzonymi tak mocno, że nie było widać tęczy.

Usłyszałam przekleństwo Joscelina, brzmiące jak modlitwa.

Nie zwracając na niego uwagi, uklękłam powoli, rozpościerając fałdy spódnicy na brudnej słomie.

– Agnetta Écot? – zapytałam cicho, patrząc w twarz dziewczynki, w jej pustym spojrzeniu, w jej zapadniętych policzkach widziałam rysy twarzy żony mleczarza.

Wciskając się w kąt, dziewczynka pokiwała głową, jeden raz, drugi. Tak. Chłopiec, młodszy, próbował schować się za nią, kuląc głowę, splątane włosy opadały mu na czoło jak jesienne liście.

Na pewno nie był Imrielem de la Courcel.

– Agnetto – powiedziałam spokojnie – mam na imię Fedra. Szukałam cię. Ci ludzie są przyjaciółmi. – Przysiadając na piętach, wyciągnęłam rękę. – Już nic ci nie grozi. Wyjdiesz?

Po chwili w cieniach nastąpiło poruszenie, przestraszone dzieci nieufnie pokręciły głowami. Joscelin wysunął się z za moich pleców i przykucnął na słomie, światło pochodni zaśniło czerwono na jego wypolerowanych zarękawicach.

– Widzicie je? Już nikt nie zrobi wam krzywdy – powiedział płaskim, beznamiętnym głosem. – Na imię Kasjela, przysięgam na ból śmierci.

Agnetta Écot przyskoczyła z łkaniem do Joscelina i przytuliła buzię do jego piersi, obejmując go chudymi rączkami. Podniósł się z dziewczynką w ramionach, muskając głową niski strop, gdy ją wynosił.

– Chodź – powiedziałam do chłopca.

Serce mi pękało, bo widziałam, że się boi, że zostawimy go tutaj samego. Kurczowo złapał moją rękę, jak tonący, i pozwolił wyprowadzić się z izby Kartagińczyków. Gdy tylko wyszliśmy w zalany szarym światłem zaułek, chłopiec podbiegł do Luka i objął go

w pasie, rozpoznając swojskie, siovaleńskie rysy.

Stałam na ulicy, obserwując tę scenę.

– Tak. – Kapitan Vitor Gaitan siedział na koniu, patrząc na mnie. Jego ludzie otaczali Kartagińczyków. – Skończone. Masz dzieci. – Mówił w caerdicci z aragońskim akcentem. – I hrabia... – spojrzał na pana Ramira – ma swoją odpowiedź.

– Odpowiedź. – Ramiro Zornin de Aragon wyprostował się z godnością. – Nie spoczniemy, dopóki nie będę miał pełnego sprawozdania, jak do tego doszło.

Troje dzieci. Cygan widział troje. Napotkałam spojrzenie Joscelina nad głową trzymanej przez niego dziewczynki.

– Agnetto – zaczęłam łagodnym tonem, muskając jej splątane loki. – Był ktoś jeszcze? Czy był z tobą drugi chłopiec?

Wymamrotała coś urywanie, odwracając głowę. Odpowiedziało drugie dziecko, chłopiec popłakujący w ramionach Luka.

– Imri! – szepnął, drżąc. – Imri!

Jeden z kartagińskich więźniów powiedział coś do drugiego, który zaśmiał się chrapliwie i splunął na udeptaną ziemię zaułka. Choć nie rozumiałam słów, usłyszałam nazwisko Fadila Choumy.

Menechetański handlarz niewolników.

– Mój pan Ramiro mówi prawdę – powiedziałam w caerdicci do kapitana straży portowej. Gniew przemieszany z rozpaczą przyprawiał mnie o zawroty głowy. – Potrzebujemy pełnego sprawozdania. Było troje dzieci, troje uprowadzonych d'Angelińskich dzieci. Odnależliśmy dwoje. Zapytaj tych ludzi, co zrobili z trzecim?

Vitor Gaitan skłonił głowę.

– Tak się stanie.

DWADZIEŚCIA DWA

I tak się stało.

Wszystko odbyło się zgodnie z aragońskim prawem, które jest surowe i rygorystyczne. Gdybym wtedy wiedziała, o co proszę, nie wiem, czy wystarczyłoby mi odwagi.

Hrabia Pernan poddał Kartagińczyków torturom.

Oglądałam je, bo się do nich przyczyniłam. Torturowano ich w lochu twierdzy hrabiego, w komorze z wilgotnymi kamiennymi ścianami, obwieszonymi żelastwem.

Nicola L'Envers y Aragon postanowiła mi towarzyszyć.

Jej decyzja trochę mnie zaskoczyła, wiedziałam jednak, że czym innym jest obserwowanie kontrolowanej procedury, a czym innym przyglądanie się chaotycznej bijatyce w porcie. Może nie chciała, żebym patrzyła na to sama; może wzruszył ją stan dzieci, gdy przyprowadziliśmy je do pałacu konsula. Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że byłam jej wdzięczna.

Mężczyźni nazywali się Mago i Harnapos. Ludzie hrabiego najpierw zajęli się nimi pojedynczo. Harnapos stał zakuty w łańcuchy, podczas gdy Mago siedział na drewnianym stołku z nogami w dybach. Dwaj silni pomocnicy trzymali go za ramiona, a kat hrabiego podsuwał płonąca pochodnię pod podeszwy jego stóp. W ten sposób składali zeznania, a skryba spisywał je na woskowej tabliczce.

Nie trzeba mówić, że wrzeszczeli. Krzyczeli, gdy skóra pokrywała się bąblami, czerniała i pękała, pochodnia skwierczała, zalewana płynami ustrojowymi, zapach spalonego mięsa rozchodził się po

komorze. Ludzie hrabiego musieli wyteżać siły, żeby utrzymać Harnaposa, większego z tej dwójki, bo jego pierś się napinała, a ścięgna na szyi prężyły niczym żelazne druty, gdy zdierał gardło w krzyku. Mało nie powyrywał sobie rąk ze stawów w czasie szamotaniny.

Krew szumiała mi w uszach i widziałam wszystko przez szkarłatną mgiełkę.

Nicola tłumaczyła dla mnie, jej szept był jedynym, co trzymało mnie przy zdrowych zmysłach. Być może słowa więzły jej w gardle, ale mówiła bez zająknięcia, i za to też byłam jej wdzięczna. Nie sądzę, że mogłabym to znieść, gdyby zachowywała się inaczej. Bawiłam się w takie rzeczy przez całe życie, lecz pomiędzy naśladownictwem a brutalną rzeczywistością zachodzi niewielkie podobieństwo.

To drugie też poznałam. I nie mam ochoty tego wspominać.

Oto co wyznali więźniowie: W Kartaginie poznali pewnego człowieka, menechetańskiego handlarza niewolników Fadila Choumę, i razem zaczęli pić piwo w tawernie. Chouma powiedział im, że zna kupców oferujących fortunę każdemu, kto wystara się o D'Angelinów do wystawienia na sprzedaż na zagranicznych targowiskach. Mago urodził się w górach. Miał przyjaciół wśród Euskerrów. Miał mapę. Miał plan. Mieli się spotkać w Amilcarze.

Mago i Harnapos pojechali do północnej Aragonii, handlując w oparciu o prawa przyznane Kartaginie, bez trudu ominęli nieliczne patrole na granicy, ruszyli w góry z mapą i swoim planem, przedostali się do Siovale i przebiegle wybrali ofiary. Zdecydowali się na dzieci pasterzy, bo wiedzieli, że ich utrata nie nabiera rozgłosu i nikt nie zarządzi zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań. Uprawdzali je ukradkiem – Harnapos wyznał, że używali skórzanej pałki obciążonej ołowiem, uderzając ofiary w podstawę czaszki. Później szybko uciekali i starannie zacierali ślady, czego nauczyli się od Euskerrów, a w drodze podawali dzieciom opium, żeby były uległe. Tutaj wtrąciłam pytanie, które Nicola przetłumaczyła katowi. Gdzie w Siovale? Ile

dzieci? Dokąd zostały zabrane? Nastąpiła przerwa, gdy jeden z ludzi Fernana rozkładał mapę. Mago wskazał drżącym palcem, z kropelkami potu na twarzy. Tutaj, tutaj i tutaj. Tak, troje dzieci, było trzecie. Chłopiec, tak, piękny chłopiec, dziki jak żbik, z czarnymi włosami i niebieskimi oczami, najcenniejsza zdobycz.

A gdzie on jest teraz?

Żaden nie chciał odpowiedzieć, choć chyba już wiedzieli, że ich los jest przesądzony. Nie znałam aragońskiego prawa, ale umiałam odczytywać mimikę i widziałam wyrok śmierci na twarzach ludzi hrabiego Fernana i w ponurej minie Nicoli, która była żoną królewskiego konsula. A jednak nadzieja jest wytrwała i mężczyźni czepiali się jej pomimo braku szans. Harnapos skowyczał w kącie, grzechocząc łańcuchami. Mago siedział bezwładnie na stołku, zlany potem i patrzył mi w oczy.

Był człowiekiem, tylko człowiekiem, bezmyślnie okrutnym i chciwym, skazanym przez swoją głupotę na straszliwe męki. Jego spalone, bezużyteczne stopy przypominały bezkształtne grudy łożu. Z własnej woli wszedł w sieć sprawiedliwości Kusziela. A jednak kiedyś sama przebywałam w takim miejscu, w strasznym więzieniu z kamienia, gdzie obłęd odarł ludzi z człowieczeństwa. Wbrew wszystkiemu, pomimo jego winy, łączyła nas cienka nić pokrewieństwa. Jedna ofiara umie rozpoznać drugą.

Co mi dasz, błagało jego zrozpaczone spojrzenie, za upragnioną odwiedź? Nie mówił w moim języku, ale wiedział; słyszał mój głos, gdy zadawałam pytania. Czułam obecność Kusziela, słyszałam łoskot mosiężnych skrzydeł – Karząca Ręka Boga, władająca prętem i cepem, pogardzana i nieodparta; ach, Eluo! Burza szalała w mojej głowie. Przez krwawoczerwoną mgłę, która zasnuwała mi oczy, ujrzałam skinienie kata. Ludzie chwycili Mago za ramiona, opuścili pochodnię do jego stóp.

– Czekaście! – Słowo zabrzmiało szorstko, bez zastanowienia wyrzekłam je w caerdicci. Ludzie hrabiego znali ten język i zastygli w

bezruchu. – Szybka śmierć – powiedziałam, urywanie zaczerpując tchu. – Szybka śmierć, jeśli odpowie szczerze.

To było wszystko, co mogłam dać, choć nie miałam prawa. Kat popatrzył na Nicolę. Bez wahania uniosła podbródek i zwróciła się do niego po aragońsku:

– Hrabina Montrčve, ciesząca się względami Jej Wysokości Ysandry de la Courcel, królowej Terre d'Ange, przemówiła. Konsul królewski rodu Aragonów wyraża zgodę. Niech tak będzie.

Mago odetchnął głęboko, a ja miałam wrażenie, że wciągnęłam do płuc wypuszczone przez niego powietrze. Jego ręce, trzymane przez ludzi hrabiego, zamykały się i otwierały. Ostatecznie był tylko człowiekiem. Nie znałam jego życia, dziejów ani twardych okoliczności, jakie być może pchnęły ich obu do popełnienia niegodziwości. Mago zwiesił głowę, godząc się na taką umowę. Rwącym się szeptem opowiedział resztę historii.

Głupota, wyłącznie głupota. Cyganie odmówili sprzedaży wozu, ale wystarali się o inny i przeszmyglowali otumanione dzieci do Amilcaru pod nieuważnym okiem strażników portowych, którzy pobieżnie sprawdzili przewożone przez nich towary. Stawili się w porcie na umówione spotkanie... i poznali smak menechetańskiej zdrady. Wygadany Fadil Chouma oznajmił, że mieli dostarczyć dzieci jesienią, nie wiosną, że umówi kupców w Iskandrii, jak najbardziej, ale muszą zrozumieć, że sprawa jest delikatna, bo wszyscy się poznają na d'Angelińskiej krwi, a Terre d'Ange słynie z bezwzględnego karania handlarzy niewolników... Menechet leży daleko, lecz Khebbel–im–Akad ma tam duże wpływy a syn kalifa ożenił się z krewniaczką królowej... Może mógłby zabrać jedno dziecko, tak, tego pięknego chłopca... Tak! Dziki i silniejszy, niż może się wydawać, ale Fadil Chouma miał już na myśli kupca; jednego, tylko jednego, zauważ, szukającego czegoś wyjątkowego... Może jeszcze trochę opium? Tak, ma kupca na myśli, i to takiego, który poskromiłby wcielonego diabła, nie, nie, żadnych nazwisk...

Tyle zyskałam, kawałek po kawałku składając historię Mago, i czułam się chora z rozpaczy.

– Nie masz pojęcia, jak nazywa się kupiec? Kupiec w Iskandrii?

Nie wiedział, Harnapos też nie. Kat sprawdził, czy mówią prawdę, przypiekając im stopy. Krzyczeli i wili się z bólu, nie mając już żadnych ważnych informacji. Powiedzieli tylko tyle, że Menechetańczyk zapłacił za chłopca mniej, niż uzgodnili, i obiecał wrócić jesienią po pozostałą dwójkę, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem. Tymczasem Mago i Harnapos zajmowali się opadającymi z sił d'Angelińskimi dziećmi, trzymając je w ukryciu, każąc im milczeć, zużywając kurczący się zapas pieniędzy na wynajęcie izby, zakup żywności i opium, którym je oszołamiali. Nie, przysięgli, obaj *in extremis*, nie molestowali i nie tknęli dzieci, nie byli tacy głupi, żeby niszczyć cenny towar, ani ich nie bili, nie, nie zanadto, tylko tyle, żeby wiedziały...

– Dość. – Przycisnęłam palce do bolących skroni. – Wystarczy. Niech podadzą informacje dotyczące Fadila Choumy i planów spotkania po jego powrocie. Nie mam więcej pytań.

Nicola wdała się w rozmowę z katem, a ja nawet nie próbowałam jej zrozumieć. Poczułam się pusta, zmęczona do szpiku kości i chora od tego, co widziałam.

– Tak się stanie – powiedziała do mnie Nicola po zakończeniu wymiany zdań. Jej spokojny głos użyczał mi siły. – Urzędnik Fernana dopilnuje, żebyś dostała pełne tłumaczenie zeznań.

– Dziękuję – mruknęłam. – A Kartagińczycy?

– Egzekucja o świcie. Będzie publiczna, ale szybka.

Pokiwałam głową i po raz ostatni spojrzałam na ludzi w celi.

– W takim razie chodźmy.

Na zewnątrz wieczorne słońce złociło Plaza del Rey. Niebo o barwie spłowiałego błękitu wydawało się bezdenną otchłanią, zapach soli z portu mieszał się ze świeżym chłodnym wiatrem z północy. Nicola zadrzała, napełniła płuca czystym powietrzem.

– Eluo! Nie chcę więcej oglądać czegoś takiego.

– Ani ja – powiedziałam.

– To długa droga od zabawy jedwabnymi sznurami i biczami z jeleniej skóry – mruknęła. Przebiegł mnie dreszcz i na chwilę zamknęłam oczy. Nicola patrzyła na mnie, gdy je otworzyłam. – Nawet po czymś takim, Fedro?

– Zawsze. – Zgrzytnęłam zębami. – Zawsze.

– Ach. – Przez chwilę spoglądała na mnie, ludzie pana Ramira czekali w dyskretnej odległości. – Chyba teraz lepiej rozumiem, dlaczego postanowiłaś oddać serce temu przekłętemu kasjelicie.

Jej słowa niespodziewanie skłoniły mnie do uśmiechu.

– To nie była kwestia wyboru.

– Nie z jego strony, jak sądzę. Cóż, przypisz to mądrości Błogosławionego Elui. – Nicola wzięła się w garść. – Idziemy. Muszę się wykapać i napić, niekoniecznie w tej kolejności.

W prywatnej jadalni konsula zastałyśmy naszych towarzyszy. Na stole leżały resztki kolacji i wino lało się strumieniami; nawet Joscelin choć raz wypił tyle, że było to po nim widać.

– Przepraszam – wymamrotał, witając mnie uściskiem. Wyczułam w jego ciele napięcie, którego nie złagodziło nawet spożyte wino. – Fedro, przepraszam, ale nie mogłem pójść z tobą. Nie mógłbym patrzeć. Wiedziałem, że jesteś w miarę bezpieczna. W przeciwnym wypadku nie odstąpiłbym cię na krok.

– Wiem. – Znalazłam czysty kieliszek, nalałam brandy z karafki i wypiałam, z zadowoleniem witając ciepło rozchodzące się w brzuchu. – To nie było coś, co chciałbyś oglądać.

– Nie. – Jego twarz się skrzywiła, nozdrza rozdęły. – Ale byłem taki wściekły, że niemal tego chciałem. I to mnie przestraszyło. Czego się dowiedziałaś? Co zrobili z Imrielem?

– Sprzedali go. – Nalałam wina do kieliszka i skuliłam się w kącie kanapy, poddając się zmęczeniu. – Sprzedali menechetańskiemu handlarzowi niewolników, który miał na myśli kupca z Iskandrii. Co z

dziećmi?

Joscelin usiadł obok mnie, obejmując dłońmi głowę.

– Menechet – mruknął. – Błogosławiony Elua. Śpią – dodał, wskazując ruchem głowy pokoje gościnne. – Dość dobrze, zważywszy na okoliczności. Obejrzał je medyk Ramira i powiedział, że nie odniosły poważnych obrażeń. Głównie strach, brak właściwego jedzenia i światła. Choroba opiumowa jest najgorsza. Minie wiele dni, zanim będą zdolne do podróży. Może tygodni.

– Tygodni. – Patrzyłam na Nicole, Ramira i Luka, pogrążonych w rozmowie. – Nie możemy czekać tak długo. Jeśli jutro zarezerwujemy miejsca na statku, możemy być w Iskandrii przed wyjazdem Fadila Choumy. Powiedział, że wróci po pozostałych dwoje, choć być może kłamał. Gdy tylko urzędnik hrabiego przyśle rysopis...

– Nie. – Joscelin uniósł głowę i popatrzył na mnie. – Fedro, oszalałaś? To zaszło za daleko. Znaleźliśmy trop w Amilcarze dzięki pomocy Nicoli i pana Ramira. Jak myślisz, co zdziałyśmy w Iskandrii we dwójkę, zdani wyłącznie na siebie? Żadne z nas nawet nie zna języka i mamy za mało pieniędzy na podróż. – Pokręcił głową. Wrócimy do miasta i złożymy raport Ysandrze. Jest królową, Fedro. Jeśli będzie chciała kontynuować poszukiwania, ma środki do dyspozycji.

– Mogłabym znaleźć w Iskandrii faktora, który pożyczy pieniądze...

– Nie! – Po drugiej stronie pokoju Luk drgnął, słysząc podniesiony głos brata. Joscelin westchnął. – Na Eluę, jesteś jak pies myśliwski na tropie. Fedro, posłuchaj mnie. Luk zgodził się zostać, dopóki dzieci nie nabiorą siły, a Ramiro zaproponował im wszystkim gościnę. Luk i ludzie z Verreuil dopilnują, żeby dzieci wypoczęły. Jeśli ten Menechetańczyk wróci, złapią go tutaj, w Amilcarze. My wsiądziemy na statek do Marsilikos i wrócimy do domu.

– Pięknie. – Zamknęłam oczy, ciepło brandy rozgrzewało i rozleniwiało. Nie spałam od czasu przyjazdu do Amilcaru. Joscelin miał rację, oczywiście; rację, ponieważ był Joscelinem i moje

bezpieczeństwo zawsze leżało mu na sercu, i rację z uwagi na powody, o których zapomnieliśmy ze zmęczenia. – A co potem?

– Potem złożymy raport Ysandrze i sprawa przejdzie w jej ręce – odparł ponuro.

– A potem? – Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego. – Powinnam wrócić do La Serenissimy, Joscelinie, i złożyć raport Melisandzie. Pamiętasz, co obiecała w zamian?

Patrzył na mnie przez chwilę, potem zaczął się śmiać – był to cichy, pozbawiony wesołości śmiech człowieka pokonanego przez ironię losu.

– Przewodnik – mruknął. Nalał brandy do kieliszka i wychylił go jednym haustem. – Nazwisko człowieka z Iskandrii, który przysięga, że może zaprowadzić nas do ludzi Szalomona na południu Dżebe-Barkal.

Hiacynt.

Świadoma obecności niewidzialnego wzoru, który się wokół mnie zamykał, pokiwałam głową.

– Otóż to.

DWADZIEŚCIA TRZY

Policzek Nicoli, miękki i uperfumowany, przytulił się do mojego, gdy objęliśmy się na pożegnanie.

– Bądź ostrożna, Fedro nó Delaunay – szepnęła. – Brakowałoby mi ciebie, gdyby coś ci się stało.

– Będę ostrożna. – Uśmiechnęłam się do niej. – Przyjedź do Miasta, kiedy ta sprawa zostanie zamknięta. Jak mam ci wierzyć, że będziesz za mną tęsknić, skoro tak rzadko się widzimy?

– Zawsze sługa Naamy. – Zaśmiała się. – Przyjadę, gdy tylko będę mogła, i wiesz o tym. Przed mianowaniem Ramira było łatwiej. Może brakowało mi pieniędzy, ale miałam mnóstwo czasu. Masz mój list do Ysandyry?

– Tak. – Poklepałam pękate sakwy.

– To dobrze. – Jej twarz spoważniała. – Obiecuję ci, straż portowa będzie w stanie wzmożonej czujności. Menechetańczyk trafi w nasze ręce jeszcze zanim postawi stopę na brzegu, a kurier ruszy w drogę w ciągu godziny.

– Dziękuję. Za wszystko. Możesz być pewna, podszeptę Ysandrze, żeby pochwaliła Ramira przed Aragonami za pomoc, jakiej udzielił jako konsul.

– To nie zaszkodzi. – Nicola patrzyła, jak Luk Verreuil wchodzi do sali recepcyjnej, trzymając dzieci za ręce. – Ale nie jest konieczne. – Odwróciła się w moją stronę. – Mam nadzieję, że go znajdziesz.

– Jeśli Elua pozwoli, zostanie odnaleziony – odpowiedziałam. Uśmiechnęła się czule i uniosła rękę, żeby pogłodzić mnie po

policzku. Bransoleta z granatem zamrugała na jej nadgarstku.

– Na płonącą rzekę, moja droga. Pamiętaj o tym, czegokolwiek szukasz. Może znowu się przydać, nigdy nic nie wiadomo.

– Będę pamiętać – obiecałam.

Wymieniłam słowa pożegnania z panem Ramirem i hrabią Fernanem, posępnym, ale dumnym z dokonań swoich ludzi, a potem poszłam z Joscelinem, żeby pożegnać się z jego bratem i dziećmi. Nie wyglądały dobrze – ich bladość i drzenie wyraźnie świadczyły o chorobie opiumowej – ale największy strach przeminął i stały spokojnie, nie kuląc się i nie próbując chować.

– Agnetto, Sebastianie – rzekł Luk łagodnie – pożegnajcie się z panią Fedrą i moim bratem Joscelinem, którzy przybyli aż z Miasta Elui, żeby was odszukać.

Dzieci szeptem wypowiedziały słowa pożegnania.

– Dasz sobie radę? – zapytał Joscelin brata.

Luk pokiwał głową.

– Donal zanieś wiadomość do Verreuil i z grupą ludzi wyjedzie na spotkanie, a pan Ramiro przydzielili nam eskortę do samej przełęczy. Ojciec powiadomi Écotów i odszuka rodzinę Sebastiana. Jak się dowiedzieliśmy, pasą owce w pobliżu La Crange. Mahieu ich znajdzie, nie ma obawy. – Uśmiechnął się szeroko. – Nie martw się, braciszku. Podróżowanie z tobą było prawdziwą przygodą i choć raz to ja wrócę do domu jako bohater. Niewątpliwie Iwona natrze mi uszu.

Sebastian zaśmiał się na te słowa. Dzieci wrócą do zdrowia, jeśli Błogosławiony Elua pozwoli. Żałne dziecko nie powinno przeżywać takiego koszmaru, jak ta dwójka, ale byli młodzi i silni, więc mieli szansę wyjść z tego bez szwanku.

– Powodzenia – powiedziałam do Luka – i bądź ostrożny. Wyślesz wiadomość, gdy tylko wrócisz do domu?

– Oczywiście. – Podniósł moje ręce do ust i ucałował. – I od dzisiaj będę mówić o Cyganach tylko, dobrze, przysięgam, pani.

Tak oto pożegnaliśmy się z przyjaciółmi, rodziną i Amilcarem.

Żegluga wzdłuż wybrzeża do Marsilikos była łatwa, letnia pogoda ładna, gorąca i słoneczna, a wiatr wydymający żagle zapewniał nam dobre tempo. Bezczynność po znoonej jeździe przez góry wydawała się bardzo dziwna. Joscelin pomiędzy atakami choroby morskiej, która dokuczała mu przez kilka pierwszych dni, sprawdzał stan naszych zamkniętych w ładowni wierzchowców. Sam nie był żeglarzem i nie miał pewności, czy konie dobrze znoszą kołysanie, ale miały się lepiej od niego.

Ja spędzałam czas na tym, o czym marzyłam od kilku frustrujących tygodni: mozoliłam się nad sporządzonym przez Audynę Davul tłumaczeniem dżebeńskiego zwoju, zastanawiając się nad opowieścią i jej miejscem w wiedzy Habiru, a także uczyłam się na pamięć dżebeńskich liter, wypowiadałam na głos fonetycznie zapisane słowa i na okrągło powtarzałam zdania.

Joscelin, gdy największe nasilenie choroby miał już za sobą, popatrywał na mnie z niedowierzaniem.

– Próbujesz samodzielnie nauczyć się dżebeńskiego, prawda!

– Możliwe. – Uniosłam brwi. – Sam powiedziałaś, Joscelinie, że w Menechecie bylibyśmy bezradni, bo żadne z nas nie zna tamtejszego języka. Potomkowie Szalomona mogą posługiwać się habiru, ale jak ich odnajdę w Dżebe–Barkal, jeśli nie będę znała dżebeńskiego?

Usiadł obok mnie na rozgrzanym przez słońce pokładzie.

– Melisanda nie zna, a znalazła przewodnika. Ten człowiek musi mówić przynajmniej w caerdicci.

– Po helleńsku. – Zwinęłam pergamin i schowałam do tuby. – Helleński jest wybranym językiem uczonych w Menechecie. Czytała Tanach po helleńsku, nie zauważyłaś?

– Nie. – Odsuwając na bok zwój liny, wsparł się na łokciach – Nie zauważyłem. Tak czy siak, znasz helleński. Może jednak poradzimy sobie w Menechecie.

– Możliwe. – Patrzyłam na niebieskie fale za burtą. – Ale w Dżebe–

Barkal bylibyśmy zdani na przewodnika Melisandy. Niezależnie od tego, czy Melisanda mówi prawdę, takiemu układowi nie mam zamiaru ufać. W Amilcarze dość się namęczyłam z powodu niezmierności języka.

– Cóż, rozszerz zakres swoich studiów na aragoński – rzekł Joscelin zgodnie. – Zawsze warto wiedzieć jak najwięcej, czy nie tak mawiał Delaunay? Skoro Luk zdołał opanować ten język, to znaczy, że każdy może dokonać tej sztuki. Jest zbliżony do caerdicci. Nauczę się go, jeśli tobie się nie chce. Fedro, jak myślisz, co robi Ysandra?

– Chciałabym wiedzieć.

– Barquiel poradzi jej, żeby dała spokój. Prawdopodobnie chłopiec znalazł się już jako niewolnik w seraju jakiegoś menechetańskiego arystokraty. Nawet nie wie, kim jest. Równie dobrze mógłby zostać zabity, wynik byłby ten sam.

– Tak – odpowiedziałam z namysłem. – To samo myślała Melisanda, kiedy sprzedała nas do Skaldii.

– Prawda. – Joscelin usiadł, objął kolana rękami. – I omal nas to nie zabiło, albo przynajmniej mnie. – Twarz miał spokojną, gdy wspominał ten zły dla nas czas. – Umarłbym w osadzie Seliga, gdybyś nie zawstydziła mnie do żywego. Chciałem umrzeć. Byłem dorosłym mężczyzną z kasjelickimi umiejętnościami i szkoleniem. Jak myślisz, czy Imriel przetrzyma? Jest tylko dzieckiem. – Zadrzał, jego głos stał się szorstki. – Widziałaś tych dwoje.

– Widziałam. – Pomyślałam, że Imriel de la Courcel jest silny, silny i uparty. Tak wynikało ze słów tych, którzy go znali. O tym świadczyło jego pochodzenie. Poza tym był synem Melisandy. Cokolwiek o nich mówić, odwaga potomków Kusziela nie miała granic. Imriel ugnie się czy złamie? Nie umiałam powiedzieć. – To cię tak rozzłościło?

– Tak. – Potarł ręce o kolana, jak gdyby nawet teraz go swędziały. – Pamiętasz... kiedyś coś mi powiedziałaś. W Morhbanie, po tym, jak... mniejsza z tym. Gdy wyjeżdżaliśmy.

– Pamiętam.

To było w czasie naszej szalonej wyprawy do Alby po Drustana mab Necthana i wojska Cruithnów, żeby na d'Angelińskiej ziemi zmierzyli się ze skaldyjskimi najeźdźcami Seliga. Oddałam się wówczas diukowi Quincelowi de Morhban w zamian za prawo przejazdu przez jego włości; myślę, że żadne z nas nie żałowało tej wymiany. Joscelin był mniej zadowolony. Choć w owym czasie nie byliśmy kochankami, moje skłonności *anguisette* obrażały jego poczucie przyzwoitości.

– Próbowalaś mi to wyjaśnić – rozkosz, ulgę w poddawaniu się woli klienta. Zapytałaś mnie, czy nie czułem czegoś podobnego, kiedy uległem wyzwaniu, walcząc przeciwko Skaldom, wojom Guntera czy Seliga, chociaż wiedziałem, że mogę przegrać.

– A ty przyznałeś, że tak. – Uśmiechnęłam się. – Zarzuciłam ci, że masz wielki temperament.

– Pogrzebany pod kasjelicką dyscypliną – przyznał Joscelin, kiwając głową. – Miałaś rację, choć nie chciałem tego słuchać. Mimo to nigdy nie czułem wściekłości, którą można wyładować tylko poprzez sprawienie cierpienia innej osobie. Poznałem ją tego dnia, gdy znaleźliśmy te biedne dzieci. Przeraza mnie świadomość, że noszę w sobie taką złość.

– Tak być powinno. – Dotknęłam jego ramienia. – Joscelinie, to, co tkwi w tobie, jest nie gorsze od tego, co tkwi w innych, a nawet znacznie lepsze. Po prostu ty z większą niechęcią niż inni akceptujesz własne niedoskonałości.

Popatrzył na mnie z ukosa.

– Zaakceptowałem ciebie, prawda?

– Po długim czasie – powiedziałam spokojnie.

Joscelin roześmiał się.

– Ach, cóż... rzecz w tym, Fedro, co by się stało, gdybym uległ takiej wściekłości?

– Nie wiem. – Zastanowiłam się i pokręciłam głową. – Kto może wiedzieć? Ja wiem tylko, że jeśli kiedyś ulegniesz, to będziesz miał ku

temu naprawdę dobry powód.

– Tak myślę. – Trochę się odprężył. – Mam nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie.

Nasza podróż mijiała jak kolejne dni, spokojnie i leniwie. Aragońska załoga była miła i dobrodusza, i parę razy zjedliśmy kolację przy kapitańskim stole w schludnej kabinie. Kapitan pochodził z Amilcaru, był wykształconym człowiekiem i płynnie władał caerdicci. Uważał się za poddanego hrabiego Fernana, ale dobrze mówił o panu Ramiro i jego d’Angelińskiej żonie. Nicola umiała być uprzejmą panią domu. Przypuszczam, że Ramiro zawdzięczał swoje obecne stanowisko jej talentom, choć dobrze świadczy o nim fakt, że starał się rzetelnie wypełniać swoje obowiązki.

Wreszcie zawinęliśmy do Marsilikos.

Gdybym była mniej niecierpliwa, złożyłabym wizytę Roxannie de Mereliot, Pani Marsilikos. Przyjaźniłyśmy się od wielu lat i Roxanna była jedną z niewielu osób, którym ufałam bezgranicznie. Ale nie zniosłabym opóźnienia po tak długim czasie spędzonym w drodze, przez góry i morze. Jednego jucznego muła zostawiliśmy w Siovale, a drugiego w Amilcarze; teraz mieliśmy tylko wierzchowce i tyle bagażu, ile zdołały udźwignąć. To musiało wystarczyć. Wzdłuż Drogi Ejszet do Miasta Elui nie brakowało zajazdów i wiosek. Uznaliśmy, że jeśli będziemy oszczędnie gospodarować resztką pieniędzy, wystarczy nam na wyżywienie.

Bez obciążenia i nie zatrzymując się bez potrzeby, jechaliśmy w dobrym tempie. Był piękny letni dzień, gdy dotarliśmy do Miasta Elui.

Dobrze było wrócić do domu.

Białe mury Miasta jaśniały zapraszająco w sennym popołudniowym słońcu. Strażnicy rozpoznali nas i z radosnym okrzykiem wpuścili przez Południową bramę. Miasto tęskniło za nami. Widziałam, że nawet Joscelin się uśmiechnął i podniósł rękę w salucie, błyskając stalowymi zarękawiami. Naprawdę, pomyślałam,

Miasto stało się także jego domem. Miał tutaj swoje miejsce, którego już brakowało dla niego w Verreuil

Wieści nas wyprzedziły, zanesione przez jednego z łobuziaków, którzy kręcą się wokół straży przy bramach Miasta, czekając na jakieś godne uwagi zdarzenie. Nie wątpię, że Eugenia zapłaciła mu za wiadomość. Gdy przybyliśmy do mojego urokliwego domu na końcu krętej ulicy u stóp pałacowego wzgórza, czekało nas radosne przyjęcie.

– Na Eluę! – Ti-Filip dosłownie tańczył z podniecenia. Wracasz w samą porę, pani! Nie wiem, co było w liście, który wysłałaś do królowej ale na dworze od ponad miesiąca brzęczy niczym w ulu, królowa natomiast milczy jak zaklęta. Szkoda, że nie przysłałaś listu do nas. O co chodzi? Zależliście chłopca?

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć.

– Och, dajże jej spokój – zganiała kawalera Eugenia, odsunęła go i podeszła, żeby mnie uściskać. – Chodź, pani, nie zwracaj na niego uwagi. Już grzeję wodę na kąpiel, migiem będzie gotowa, a zaraz potem kolacja. Julien pobiegła na targ, żeby sprawdzić, czy mają jeszcze świeże ryby...

I tak dalej, cała litania drobiazgów. Byłam w domu.

Ti-Filip mógł poczekać; najpierw zażyłam kąpieli, rozkoszując się gorącą wodą, pachnącą słodkimi olejkami, z garścią suszonej lawendy pływającej na powierzchni i rozstawionymi wokół wanny świeczkami. Właściwie to wciąż byłam kurtyzana, Nicola miała rację. Sypialnię dzieliłam z Joscelinem i żaden klient nigdy jej nie widział, ale łaźnia należała wyłącznie do mnie.

Później położyłam się do masażu, a siostrzenica Eugenii, Clory, nacierała moje zmęczone po podróży ciało kojącym, odświeżającym olejkami z wyciągiem z mięty. Ledwo znałam tę dziewczynę; została zatrudniona wiosną. Dość dawno, ale przecież długo nie było mnie w domu.

– Masz zwinne ręce, Clory – wymruczałam z na wpół

przymkniętymi oczami.

– Uczylałam się u masażysty z Domu Balsamu, pani. – Głos miała nieśmiały, ale ręce pewne, kciuki uciskały mocno moją talię, wypędzając ból wywołany długotrwałym siedzeniem w siodle. – Czy ciocia Eugenia nie powiedziała ci, że będziesz zadowolona?

– Twoja ciotka jest mądrą kobietą. – W Dworze Nocnych Kwiatów Balsam zajmuje się niesieniem ulgi i pociechy. Usiadłam. – Dziękuję ci, Clory.

Zarumieniła się z radości, podając mi jedwabny szlafrok.

– Pdo bało ci się? Mistrz Lugard powiedział, że nieopierzona czeladniczka nie powinna zajmować się Wybranką Kusziela.

– Co takiego? – Spojrzałam przez ramię, odgarniając wilgotne włosy – W takim razie to głupiec. Słuchaj ciotki, dziecko, ona jest mądrzejsza od niego. Zapewne wspomniała ci o obowiązującej tutaj zasadzie. Wychowałam się w Dworze Nocy i wiem, jak plotkują słudzy. Byłam jedną z nich. Twoje umiejętności są mile widziane, ale w moim domu nade wszystko cenię sobie dyskrecję. Rozumiesz?

– Pani. – Clory dygnęła nerwowo i splotła śliskie od olejku ręce. – Rozumiem, pani. Nie zawiodę twojego zaufania, nigdy!

– Dobrze. – Uśmiechnęłam się do niej, myśląc: Dziecko! Błogosławiony Eluo, ja nazywam ją dzieckiem! Nie przypuszczałam, że kiedyś usłyszę coś takiego z własnych ust. – I następnym razem, gdy ktoś ośmieli się zasugerować, że nie nadajesz się do służby u mnie, powiedz mu, że ja jestem odmiennego zdania.

– Zrobię tak, pani. – Kolejne dygnięcie, z uwielbieniem w oczach. – Dziękuję ci, pani.

Ach, Eluo. Odprawiłam Clory i usiadłam przed lustrem. Moje oczy patrzyły na mnie z lekkim zdziwieniem, na jasną i opromienioną blaskiem świec twarz, z ciemnymi kałużami oczu, z różanym płatkami szkarłatu w lewym, wciąż piękną, lecz już nie dziewczęcą. Usta stworzone do miłości, gładka krzywizna powieki, brwi wygięte

niczym delikatne skrzydła. Kiedy, myślałam, wodząc palcami po zaparowanym szkłe, uroda zacznie przemijać? To jedna z efemerycznych cech pielęgnowanych w Domu Cereusa – piękno w najpełniejszym rozkwicie, przed pierwszym warzącym je pocałunkiem szronu. Gdybym była prawdziwą adeptką, dzień w dzień otoczoną zbytkiem, rozpieszczaną i ochranianą, mogłabym zachować je przez długie lata. Na drodze, na ciemnej drodze, która leżała przede mną... któż mógł to wiedzieć?

– Fedro. – W drzwiach stanął Joscelin. – Ti-Filip padnie trupem ze zniecierpliwienia, jeśli nie zejdziesz na kolację, a Clory upuściła paterę krojonego melona w geranium Eugenii. Coś ty zrobiła, że biedne dziewczę jest takie rozemocjonowane?

– Ja? – Popatrzyłam na niego. – Nic.

– Nic? – Wyszczrzył zęby. – Z tobą nie trzeba wiele. Chodź, musimy coś przekąsić. Jeśli dobrze zrozumiałem, młody Hugues ułożył kilkadziesiąt poematów na twoją cześć. Musisz ich wysłuchać.

DWADZIEŚCIA CZTERY

Po wybornym posiłku – i wysłuchaniu licznych wierszy niezbyt wysokiego lotu – rozmawialiśmy do późna w nocy, Joscelin, Ti-Filip i ja. Pewnie siedzielibyśmy do białego rana, gdyby nie to, że Ysandra zostawiła rozkazy, żebym stawiała się w pałacu natychmiast po powrocie.

W efekcie niewiele spałam. Może to było niemądre, ale w miłości zawsze tak bywa. Księżycowa poświata wlewała się przez okno do sypialni, pościel była miękka i przyjemna, pachnąca suszonymi ziołami. Zrzuciłam ubranie i stanęłam w prostokącie blasku. Podniosłam ręce, żeby rozpleść warkocz Joscelina, gdy też się rozebrał. Muskałam sutkami jego twardego torsu, rozpuszczone włosy spadły jak jasny jedwab na moje ręce i jego ramiona. Wtuliłam usta w jego szyję, smakując sól ze skóry, przesuwając językiem po obojczykach.

– Fedro – szepnął, zanosząc mnie na łóżko.

Użyłam swojej sztuki, tak, nie po raz pierwszy. Miałam chwilę wytchnienia od nieznośnej obecności Kusziela, od jego żądań. Księżyc w pełni wisiał nad moim ogrodem – księżyc Naamy, księżyc kochanków, okrągły i srebrny. Pozwoliłam, żeby mnie porwał, żeby porwał nas oboje, przyływy mojej krwi dostroiły się do jego przyciągania. Pragnienie serca i krocza, proste i słodkie... Wykonałam *languisement*, aż jego fallus skoczył niczym ryba na haczyku, napięty i wyprężony, z migoczącą kropelką nasienia na czubku.

A on... Joscelin uśmiechnął się, mrużąc ciężące powieki,

bezgranicznie cierpliwy dzięki długiemu szkoleniu kasjelickiej dyscypliny. Przyciągnął mnie, żeby zamknąć wargi na moich ustach i zaprosić mój język do leniwego tańca. Jego ręce błędziły po mojej marce, formując moje ciało z nocy Naamy, palce rozchyliły płatki pomiędzy moimi udami. Westchnęłam, czując jego usta na piersiach, wargi ssące brodawki, język wędrujący niżej, badający fałdy ciała w poszukiwaniu ukrytej perły.

Wreszcie pchnęłam go na łóżko i dosiadłam, z urywanym wydechem wsuwając jego fallus, mokra i obolała z pożądania. Joscelin śmiał się cicho, z włosami rozsypanymi na poduszce jak księżycowa poświata, z rękami na moich pośladkach, gdy go ujeżdżałam, zalewana kolejnymi falami rozkoszy.

– Też mi *anguisette*.

– Skarżysz się? – wysapałam.

– Nie. – Usiadł, nie wychodząc ze mnie, i objął mnie mocno. Opasałam go nogami, ujęłam jego twarz w dłonie i pocałowałam. – Biorę takie dary, jakie są – wymruczał, gdy podniosłam głowę – i nie zadaję pytań.

Ja też nie.

Może pewnego dnia będę dość mądra, żeby zrozumieć zamierzenia bogów. Na razie wystarczyło brać to, co dawali, miłosiernie pozbawione okrutnych pragnień bólu; sama rozkosz, moneta Naamy, czysta i bez domieszek, uświętniona obecnością miłości.

Obecnością Błogosławionego Elui.

Trzymaj ten dar blisko serca.

Robiłam to, robiłam, dopóki nie legliśmy, zaspokojeni i wyczerpani, ja z głową na piersi Joscelina. Łagodny wiaterek chłodził mokre od potu ciała. Joscelin bawił się naszymi włosami, leniwie skręcając pasemka.

– Patrz. – Pogładził czarno-złote sploty. – Ciemne i jasne, splecione jak nasze życie.

Jego słowa niespodziewanie zbudziły wspomnienia. Zrobiłam

dokładnie to samo – dwanaście lat temu – w gabinecie Delaunaya, z Alcuinem, który był mi niemal bratem; z Alcuinem, który miał włosy białe jak mleko. Mogłabym o tym zapomnieć, gdyby nie to, że akurat wtedy wszedł Delaunay z wiadomością, że Melisanda Szachrizaj przyszła umówić spotkanie ze mną na Najdłuższą Noc.

A u podstaw tej propozycji leżała zdrada i koszmar, gabinet przemieniony w rzeźnię, martwy Delaunay i konający Alcuin, jego białe włosy lepkie od krwi.

Wtedy nie wiedziałam. Skąd mogłam wiedzieć? Nie miałam daru *dromonde*, żeby czytać w przyszłości jak w otwartej księdze. Gdy Delaunay wszedł do gabinetu, drgnęłam gwałtownie, szarpiąc splecione włosy i czując się głupio.

Tym razem wzięłam ten omen do serca.

Piękno w pełni rozkwitu, przed pierwszym, warzącym je pocałunkiem szronu.

Nie trzeba było snu ani jasnowidzenia, żeby zrozumieć ostrzeżenie. Pod rozkosznym rozleniwieniem czułam w kościach zmęczenie długiej podróży i leżące przede mną tysiące mil... a z dali, niczym gra rogów myśliwskich na wietrze, płynął zew sprawiedliwości Kusziela. *Trzymaj to blisko serca.* Pasma naszych splecionych włosów, połączone losy, leżały na Piersi Joscelina. Wpatrywałam się w jego twarz, spokojną i odprężoną, jakbym chciała wyryć ją w swojej pamięci.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – zapytał.

– Bo cię kocham.

Jak można było się spodziewać, zasnęłam i zbudziłam się, gdy było już zupełnie jasno, a wezwanie królowej czekało. W pałacu zostaliśmy przyjęci bez zwłoki i wprowadzeni przed majestat Ich Wysokości, Ysandry i Drustana.

Ysandra miała nieodgadniony wyraz twarzy. Choć raz nie upomniała mnie, gdy dygnęłam na powitanie. Nie wiedziałam, czy

jest zła, że postanowiłam działać za jej plecami. Dostała list przywieziony przez kuriera z Verreuil, a teraz z mojej miny odgadła, że wieści nie są dobre.

– Mów – poleciła.

Wzięłam głęboki oddech i opowiedziałam wszystko, nie pomijając najdrobniejszych szczegółów, a Joscelin od czasu do czasu wtrącał komentarze. Kiedy skończyłam, przekazałam jej list Nicoli. Ysandra przeczytała pismo w milczeniu i podała je Drustanowi.

– Przykro mi, pani – ośmieliłam się szepnąć, nie mogąc dłużej znieść ciszy.

– Niepotrzebnie. – Spojrzenie Ysandy wróciło z dali, w którą się wpatrywała. – Zrobiłaś wszystko, żeby go odnaleźć. Jestem ci za to wdzięczna.

– Dziękuję.

– Pamiętaj – w głosie królowej zabrzmiał ostry ton – nie jestem do końca zadowolona, że postanowiłaś przepytąć mojego wuja bez mej wiedzy, i kapłana Selberta, którego poczynania graniczą ze zdradą. A jednak nauczyłam się, Fedro nó Delaunay, że wtrącanie się niekiedy bywa niemądre. – Ysandra westchnęła. – Jak to się dzieje, że nigdy nie rozwiążesz zagadki bez kładzenia większej u moich stóp?

– Przykro mi, pani – powtórzyłam.

– Och, przestań. – Ysandra wsparła podbródek na pięści i popatrzyła na Drustana, gdy odłożył list Nicoli. – Co powiesz? Jak cruarcha Alby pokierowałby taką sprawą?

Cierpki uśmiech nie pasował do wytatuowanej twarzy Drustana.

– A jak myślisz, kochanie? Jesteśmy przecież barbarzyńcami. Gdyby ktoś ukradł księcia Cullach Gorrym, ruszyliby na wojnę. W Terre d'Ange to nie jest takie proste, a złodziej nie jest człowiekiem z nieprzyjaznego plemienia, tylko kupcem z dalekiego kraju, niemającym pojęcia o wartości swojej zdobyczy. Dlatego raczej nie możesz ruszyć na wojnę przeciwko Menechetowi.

– Nie – powiedziała Ysandra ponuro. – Nie sądzę też, aby parlament

poparł taki pomysł. A Kartagina... krew wrze na myśl o ich zbrodni. Chyba nie będę miała kłopotów z przeforsowaniem żądania odszkodowania od oligarchii. Trzeba to zrobić, żeby zło się więcej nie powtórzyło. Niestety to nie będzie miało wpływu na odzyskanie chłopca. Kartagińscy porywacze nie żyją, pisze Nicola, straceni na rozkaz hrabiego Amilcaru. Widziałaś, jak to się stało?

Stało się. Nie widziałam jak. Wcześniej zobaczyłam dość, nawet dla mojego sumienia.

– To była publiczna egzekucja, pani – odparłam. – Ich głowy ku przestrodze zostały wbite na słupy na Plaza del Rey. Tyle widzieliśmy.

– Mało subtelny sposób, ale oby okazał się skuteczny. Mimo to... – Strapiona Ysandra pokręciła głową. – Menechet. Państwo niezbyt potężne, lecz starożytne i chytre. Może ten handlarz niewolników, ten Fadil Chouma wróci do Amilcaru, a może nie. Muszę przyjąć, że nie wróci, i postępować zgodnie z tym założeniem. Mamy przymierze z Khebbel-im-Akad, ale jest ono niepewne i podejrzewam, że mój wuj Barquiel sprzeciwiłby mi się w tej sprawie. Wydał córkę za syna kalifa; bez niego nie mogę liczyć na wsparcie Akadyjczyków. Jeśli zaproponuję okup za powrót chłopca – co wtedy? Groźby bez obnażania zębów są przyznaniem się do słabości. Na jakie ryzyko naraziłabym moich poddanych, moje dzieci?

– Potraktuj to jak sprawę handlową – podsunął Drustan. Wzruszył ramionami, gdy spiorunowała go wzrokiem. – Prywatna sprawa przyczajona w większej, kaprys królowej spełniony dla naoliwienia kół handlu. Jeśli czegoś się nauczyłem, odkąd Alba ma kontakt z szerszym światem, to tego, że żaden kraj nie lekceważy wymiany towarów. Parlament może nie zatwierdzić zbrojnego wystąpienia przeciwko Menechetowi, a już na pewno nie zgodzi się na to dla syna Melisandy, z pewnością jednak nie sprzeciwi się wysłaniu delegacji handlowej. Zwłaszcza – dodał – jeśli delegaci będą oferować kupno towarów z Alby. Wtedy to stanie się sprawą cruarchy, a nie parlamentu.

– Dobry pomysł, jak na barbarzyńcę – powiedziała Ysandra łagodnie. – Ty byś tak zrobił?

– Nasze towary, wasze poselstwo. Dlaczego nie? – Drustan uśmiechnął się szeroko. – Możemy dokonać wymiany. Jak sądzisz, zdołasz przekonać kilku azalskich szkutników, żeby zimowali w Albie?

– Zdołam. – Ysandra odpowiedziała uśmiechem.

Jakie to musi być dziwne, pomyślałam, być nie tylko mężem i żoną, ale także cruarchą i królową, którzy wymieniają się życiem i bogactwem narodów, tak jak kochankowie podarkami. Nie powiedziałam tego na głos, tylko zapytałam:

– Kogo pošlesz?

– Amaurego Trente – odparła Ysandra bez wahania. – Będzie temu przeciwny, lecz w końcu pojedzie, a ja mogę ufać jego dyskrecji. Cokolwiek wyniknie, wolałabym, żeby ta sprawa nie nabrała rozgłosu. Zbyt wiele osób chciałoby, żeby zakończyła się niepowodzeniem.

– Oczywiście. – Pochyliłam głowę.

Dokonała dobrego wyboru.

Podróżowałam z panem Amauryem Trente w czasie ucieczki z La Serenissimy, kiedy służył jako kapitan gwardii królowej. Choć będzie pomstował na głupotę planu, zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby znaleźć Imriela de la Courcel i przywieźć go do Terre d'Ange. Jego wierność nie budziła najmniejszych zastrzeżeń.

– Co ty powiesz, messire kasjelito? – zapytała Ysandra z niekłamaną ciekawością. – Czy to mądra decyzja?

Joscelin ukłonił się, krzyżując przedramiona.

– Tak. Jeśli pošlesz gońca do Verreuil, damę słowo, że dyskrecja mojej rodziny równa będzie naszej.

– Nie wątpię. – Królowa popatrzyła na mnie. – Co zrobisz teraz?

– Teraz? – Wyprostowałam ramiona, walcząc z przygniatającym je brzemieniem. – Mam parę spraw do załatwienia w Mieście, pani.

Muszę naradzić się z pewnym jezuitskim uczonym i spotkać z kilkoma innymi osobami. Potem... – Zaczepnęłam tchu. – Potem pojedę do La Serenissimy. Muszę wypełnić obietnicę i poznać pewne nazwisko. Jeśli Elua pozwoli, zjawię się w Iskandrii niedługo po panu Trente.

– Tak myślałam. – Twarz Ysandry złagodniała. – Ach, Fedro! Jeśli już musisz to robić, to czy koniecznie na warunkach Melisandy? Przecież kurier mógłby zanieść wieści i można by znaleźć innego przewodnika. Nie żądam tego od ciebie, ale Błogosławiony Elua wie, że skoro i tak zamierzasz jechać do Iskandrii, byłabym niezmiernie zadowolona, gdybyś udała się z Amaurym. Co takiego jesteś winna Melisandze, że musisz osobiście dostarczyć wiadomość?

To mnie zaskoczyło, nie spodziewałam się ani propozycji, ani pytania. Patrzyli na mnie, wszyscy, czekając na odpowiedź. Czułam w piersi bicie serca, powolne i głośne, i słyszałam szum krwi w uszach.

– Nie wiem – odparłam cichym, słabym głosem. Nieświadomie podniosłam rękę do diamentu, który od dawna nie wisiał na mojej szyi. – Wybacz mi, pani, naprawdę nie wiem.

– Niech więc tak będzie – powiedziała Ysandra z westchnieniem. – Wyruszasz na tę wyprawę, żeby uwolnić Cygana?

W milczeniu pokiwałam głową.

– A ty z nią? – Spojrzała na Joscelina.

– Przysięgłem – odparł głuchym głosem.

Ysandra uniosła brwi.

– Czy mogę coś zrobić, żeby wam pomóc?

Joscelin pokręcił głową.

– Modlić się za nas, Wasza Wysokość.

– Chwileczkę. Jest jedna sprawa. – Popatrzyłam na Drustana. – Czy wracasz do Alby jesienią? I Sibeal z tobą?

– Wracamy – odparł powoli, rozumiejąc cel mojego pytania. – Myślisz, że Pan Cieśniny jej wysłucha?

– Chyba tak. – Przełknęłam ślinę. – Oboje są jasnowidzący, syn

Anastazji i córka Necthany. Nie rozumiałam tego, kiedy spotkaliśmy się na morzu, nie rozumiałam jej snu. Teraz widzę bardziej wyraźnie. Jeśli... jeśli nie będziecie próbowali dobić do brzegu, tylko porozmawiać, powinien na to pozwolić. A ja dam jej wiadomość do przekazania. Czeka nas długa droga, naprawdę. Może zająć nam rok, może więcej. Słowo nadziei... może podniesie go na duchu, pomoże mu przetrwać.

– Porozmawiaj z Sibeal – rzekł Drustan mab Necthana. – Jeśli się zgodzi, tak zrobimy.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Spotkałam się z Sibeal, siostrą Drustana, w królewskiej sokolarni.

Domyśliłam się, że w czasie pobytu w Terre d'Ange siostra cruarchy Alby otrzymała wiele propozycji od tych, którzy chcieli zostać jej kochankami albo małżonkami. Jak słyszałam, Sibeal odrzuciła je wszystkie ze spokojem i wdziękiem, który nie mógł nikogo urazić. Zamiast w pałacu wolała spędzać czas w różnych dziwnych miejscach.

Obecnie zwiedzała sokolarnię.

Naczelny sokolnik, drobny, ciemnowłosy mężczyzna o ostrych rysach swoich podopiecznych, wyraźnie ją uwielbiał. Wodził za nią rozkochanym wzrokiem, gdy karmiła pisklęta kawałkami mięsa wyjmowanymi z k0szyka. Niezdarne, jeszcze częściowo porośnięte puszkami, młode ptaki wyciągały szyje i rozdziawiały dzioby, pokazując różowe gardziołka.

– Drustan wspomniał, że chcesz ze mną pomówić – powiedziała Sibeal z lekkim akcentem cruithne, odstawiając koszyk.

– Tak. – Dzwoneczek zadzwęczał obok mojego prawego ucha, gdy siedzący na berle sokół zaczął czyścić pióra. Przesunęłam się w lewo.

– Mam wiadomość dla Hiacynta.

Jej ciemne oczy były spokojne, wcale nie zdziwione.

– I chcesz...?

– Chcę, żebyś ją dostarczyła – odparłam stanowczym tonem.

Naczelny sokolnik przesunął się obok mnie, rozwiązał pęta i wabił sokoła na rękawicę. Nie ja wybrałam miejsce spotkania, ale nie

miałam czasu do stracenia.

– Nie sądzę – zaczęła Sibeal z zadumą – żeby Pan Cieśniny pozwolił jakiemuś statkowi podpłynąć do brzegu.

– Twojemu pozwoli. – Patrzyłam nieufnie na sokoła, którego sokolnik przesadził na dalekie siedzisko przy wejściu na dziedziniec. – Chyba, że się mylę.

– Może – wyszeptała z pochyloną głową. – Nie wiem.

– Kochasz go – powiedziałam otwarcie. Wiele mnie to kosztowało, więcej niż przypuszczałam. Słowa trafiły w moje własne serce, a Sibeal uniosła głowę i spojrzała na mnie z zaskoczeniem w oczach. – On jest Cyganem, Sibeal, ale przede wszystkim D’Angelinem. Kochaj jak wola twoja. Widziałam to w Albie, dawno temu.

– Moireada – szepnęła. Najmłodsza siostra Drustana zginęła w Albie przed laty, i wciąż ją oplakiwano. – To Moireada wzbudziła radość w jego sercu. Mógłby ją pokochać, a ona jego. Kto wie? Byłaś ty, wtedy i teraz. A ja, ja jestem tylko...

– Żyjesz – powiedziałam. – Żyjesz i jesteś zakochana. W pewien sposób, Sibeal, my też jesteśmy siostrami, bo Hiacynt jest drogi mojemu sercu. Moireada nie żyje, a ja... cóż, mnie czeka długa droga. Hiacynt zrozumie, jeśli ktoś mu to powie. Przekaż mu, że ruszamy w *Lungo Drom* dla niego, Joscelin i ja. Miał rację. Zobaczył to, zanim ja zrozumiałam. Powiedz mu... powiedz mu, że idę szukać Imienia Boga. Zrobisz to dla mnie?

– Tak. Jeśli pozwoli, powiem mu. – Sibeal wyciągnęła rękę w kierunku pisklęcia, smukłym, brązowym palcem gładząc porośnięty puszką łebek. – Śliczny, prawda?

– Tak. – Pomyślałam o akolitce Lilianie w sanktuarium Elui i naszych wierzchowcach idących za nią w rzędzie. Pomyślałam o Bitwie pod Bryn Gorrydum, gdzie zginęła Moireada, i o czarnym dziku, który wypadł z lasu i dzięki któremu wojska Drustana zyskały przewagę zaskoczenia. Naprawdę, na tym świecie nie brakowało rzeczy, które wykraczały poza moje pojmowanie. – Dziękuję, Sibeal.

– Wróc. – Spojrzała na mnie ciemnymi oczami wizjonerki. – On też by o to prosił. Niezależnie od tego, jak daleko zajdziesz i czy znajdziesz to, czego szukasz. Niezależnie od tego, co stanie się z nami wszystkimi, wróc.

Przebiegło mnie drzenie, gdy poczułam muśnięcie magii, która była starożytna już za czasów Elui. Zwą się Najstarszymi Dziećmi Ziemi; barbarzyńcy, żartował Drustan, ale są starsi od nas.

– Postaram się – obiecałam, skłaniając głowę przed córką Necthany.

Joscelin czekał na mnie na dziedzińcu, gdzie ptaki ćwiczą na długich linkach. Szpony wbijały się głęboko w skórę, którą okręcił przedramię. Jeden z czeladników sokolnika udzielał mu instrukcji.

– Fedro! – Uśmiechnął się szeroko, podnosząc ptaka. – Jak myślisz? Zbudujemy sokolarnię w Montrčve?

– Jak Elua pozwoli. – Zatrzymałam się w rozsądnej odległości, patrząc na drapieżny dziób i dzikie, okrągłe oko sokoła. – Możemy założyć zwierzyniec, jeśli chcesz, pod warunkiem, że wrócimy cali i zdrowi. Jesteś gotowy?

Z pewną niechęcią Joscelin oddał sokoła opiekunowi i odeszliśmy. Było to tylko jedno ze spotkań, które umówiłam przed wyjazdem. Najbardziej bałam się następnego.

Nauczyłam się w życiu postępować z monarchami i ich krewnymi, z jasnowidzącymi i uczonymi, z kapłanami i piratami. Ale jeśli był ktoś, kto budził lęk w moim sercu, to moja *couturiere*, Favriela nó Dzika Róża.

Tak, miała wobec mnie dług wdzięczności i nigdy nie pozwoliła mi zapomnieć, że jest to dług bardzo niemiły, niezależnie od tego, jak bardzo cenila sobie rezultat końcowy – swoją wolność i sławę. Gdybym nie zapłaciła za jej markę Domowi Dzikiej Róży, pracowałyby w zapomnieniu przez długie lata. Czyżbym naprawdę zrobiła coś strasznego?

A jednak Favriela nie lubiła brzemienia wdzięczności.

– Krótki termin – powiedziała w przedpokoju swojego salonu. – Jak zwykle, hrabino. – Jakbym nie zadała sobie trudu umówienia spotkania. – Potrzebujesz szaty na turniej rycerski czy może chcesz zrobić wrażenie na nowym kliencie?

– Ani jedno, ani drugie. – Staralam się być uprzejma i nie zwracać uwagi na tłumiony śmiech Joscelina. – Ta sprawa nie powinna cię interesować. Potrzebne mi dwa komplety podróżne, nic więcej, na długą podróż.

– Nic więcej. – Favriela nó Dzika Róża uniosła brwi, czerwonozłote jak grzywka i piegi na zadartym nosie. U każdego innego taka mina wyglądałaby czarująco; Favriela potrafiła wyrazić nią nieopisane lekceważenie. – Cały świat spogląda na Terre d'Ange, wypatrując nowinek w modzie, a cała Terre d'Ange patrzy na Miasto Elui. W Mieście Elui wszyscy patrzą na Fedrę nó Delaunay, hrabinę de Montrčve, ponieważ wiedzą, że ja ją ubieram, na drogę wcale nie gorzej niż do sali balowej. Nie waż się mi mówić, hrabino, co powinno, a co nie powinno mnie interesować. Dokąd jedziesz?

– Do La Serenissimy i Menechetu – odparłam pokornie. – A potem do Dżebe–Barkal.

– Dżebe–Barkal! – Zaskoczyłam ją, choć tylko na chwilę. Zielone oczy zmrużyły się w zadumie. – Chcesz coś lekkiego i niezbyt dopasowanego, lecz dostatecznie mocnego. Jasne kolory, ale takie, na których nie będzie odznaczać się kurz. – Zdecydowanie pokiwała głową. – Chodź. Pokażę ci parę tkanin.

Rzuciłam okiem na Joscelina i poszłam za Favrielą w głąb jej salonu; zajmował teraz dwie kondygnacje, cały należący do niej budynek w dzielnicy sukienników. Jej bławatnicy, krojczowie, szwaczki, hafciarki patrzyli na nas z rozbawieniem i oczywistym uwielbieniem dla wybuchowej pracodawczyni.

W końcu wybrałam dwa rodzaje materiału – szafranową wełnę, pięknie gręplowaną i lekką jak puch, i surowy jedwab w kolorze oliwkowej zieleni.

– Możesz to nosić – powiedziała Favriela krytycznie, przysuwając bele do mojej twarzy. – Chociaż nie jest to twój najlepszy kolor. – Przyglądała mi się, krzywiąc zeszpeconą wargę. – Pewnie muszę na nowo wziąć miarę?

– Nie zmieniałam się, odkąd mierzyłaś mnie ostatnim razem – odparłam z nutką oburzenia.

– Skoro tak mówisz. – Jej brwi znowu powędrowały w górę. Westchnęłam i pozwoliłam zmierzyć się na nowo, stojąc cierpliwie, gdy sznurkiem z węzełkami okręcała mnie na wysokości piersi, talii i bioder. Zrobiła notatki na kartce.

– I co? – zapytałam.

Odwróciła rudą, kędzierzawą głowę, skrywając uśmiech.

– Wygląda na to, że twoje wymiary wcale się nie zmieniły, hrabino.

– A nie mówiłam?

– Mówiłaś. – Nie unosząc głowy, Favriela naszkicowała projekt stroju podróżnego szybkimi, eleganckimi liniami. – Tak to sobie wyobrażam, widzisz? Konwencjonalny, ale swobodny, żeby nie krępował ruchów i pozwalał na przepływ powietrza. I płaszcz, z szerokimi rękawami i kapturem, chroniący przed blaskiem słońca i nocnym chłodem. Może być?

– Tak. – Popatrzyłam na szkic i westchnęłam. – Piękny. Kiedy będzie gotowy?

– Wróc za dwa dni na ostatnią przymiarę. – Naszkicowała piękny haftowany szlak i spojrzała na mnie. W rozproszonym świetle widziałam niekłamaną ciekawość w jej zielonych oczach, widziałam też brzydką bliznę na górnej wardze. Gdyby nie ta skaza, Favriela byłaby adeptką Domu Dzikiej Róży, służą Naamy. – Dlaczego Dzebe-Barkal?

– Bo mam tam coś do zrobienia. Mam dług u przyjaciela.

– Dług. – Poderwała głowę, krzywiąc usta. – Chętnie zaciągasz długi, hrabino.

Zapłonął we mnie gniew zrodzony przez długą frustrację i

gniewnie spojrzałam jej w oczy.

– Drwij ze mnie, jeśli chcesz, ale pochodzisz z Domu Dzikiej Róży, Favrielo, gdzie prawie zostałam adeptką. Umiesz opowiadać równie dobrze, jak projektować stroje. To ty opowiedziałas mi historię Mary, córki Naamy, pierwszej *anguisette*. Czy znasz opowieść o tym, jak półkrwi Cygan zwany Księciem Podróżnych został Panem Cieśniny?

Chyba po raz pierwszy Favriela nó Eglantyna spojrzała na mnie jak na zwykłą śmiertelniczkę, a nie utrapienie i nieprzyjemne przypomnienie o nieproszonym dobrodziejstwie.

– Znam – odparła cicho. – Słyszałam.

– Otóż to. – Przeciągnęłam materiał między palcami. – Ta sprawa nie została zakończona. Dlatego muszę jechać do Dżebe–Barkal.

– Tak. – Pochyliła się nad szkicem, dodając niepotrzebną ozdóbkę. – Dwa dni. I... – podniosła głowę z błyskiem w oczach – możesz złożyć wizytę markarzowi, hrabino. Nie zaszkodzi odświeżyć markę.

Na swój irytujący sposób Favriela oczywiście miała rację; wizyta była na mojej liście spraw do załatwienia przed wyjazdem do La Serenissimy. Myślałam o tym z rozbawieniem i złością, gdy leżałam na stole w pracowni markarza. Była to wyśmienita tortura, gdy ostre, zanurzone w tuszu igły wbijały się w moją skórę, odświeżając linie marki. Niezależnie od prawa Kusziela do mnie – a jest ono ogromne – jestem także służką Naamy, dwa razy zaprzysiężoną z własnej woli. Nie wyruszyłabym na taką wielką wyprawę bez odnowienia marki.

Kiedy markarz skończył, stanęłam przed lustrem w dobrze ogrzanej pracowni i spojrzałam przez ramię. To była dobra robota. Czarne kolczaste pnącza zaprojektowane przez mistrza Roberta Tielharda nieskazitelnie odznaczały się na mojej jasnej skórze, wijąc się wzdłuż kręgosłupa akcentowane szkarłatnymi płatkami. Markarz uklonił się, oddając cześć nie tyle mnie, ile pracy mistrza. Mimo wszystko zapłaciłam mu szczerze. Gildia markarzy oddaje dziesięcinę świątyni Naamy. Dar dla jednych był darem dla drugich.

Naamo, modliłam się w duchu, nie zapomnij o swojej służce.

Miałam jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia, w tym wiele nudnych i prozaicznych. Spotkałam się ze swoim faktorem, Jaqueśm Breninem, żeby omówić finanse. Podjęliśmy ustalenia na przyszły rok – przystałam na jego sugestie, zawsze dobre – a on dał mi weksle dla Banco Tribuno w La Serenissimie i iskandryjskiego bankiera, który miał dobrą reputację.

Spotkałam się, w dzień i na trzeźwo, z Emilem w Progu Nocy. Podziękowałam mu serdecznie i dałam sakiewkę złotych monet, której nie chciał przyjąć.

– Nie. – Wcisnęłam mu sakiewkę w dłoń. – Zatrzymaj to, Emilu. Połowę dla siebie, albo dla *didikani* z Miasta, jeśli chcesz, i połowę dla Kristofa, syna Oszkara. Niech będzie wiadomo, że to z wdzięczności, na cześć Hiacynta, syna Anastazji. W zamian nie proszę o nic, tylko o milczenie.

– Cyganie nie wtrącają się w sprawy *gadje* – powiedział Emil odruchowo i uśmiechnął się przepaszająco. – Przynajmniej nie tych, którzy kroczą *Lungo Drom*. Znalazłaś zatem zaginionego księcia?

– Znalazłam trop – odparłam. – I jak Elua pozwoli, znowu się na niego natknę. Ale wypełniłam swój obowiązek. Teraz najważniejszy jest Hiacynt.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Następny dzień miałam równie zajęty. Wybrałam się do Miejskiej Akademii na spotkanie z Audyną Davul i słuchałam jak zaczarowana, gdy opowiadała mi o Dzebe–Barkal. W swojej ignorancji wyobrażałam sobie, że jest to kraj pustylny, jak Umajjat, ale były tam góry, zielone doliny, rozległe jeziora, a nawet jeden z najbardziej malowniczych wodospadów na świecie. O ile wiedziałam, mieliśmy przebyć cały ten kraj, aż do południowych granic.

– Nie okazujcie słabości – poradziła nam Audyna Davul. –To dumny naród, zdolny do wielkiej wspaniałomyślności i równie wielkiego okrucieństwa. Co do potomków Szalomona, o których mówicie... o nich wiem tylko tyle, ile mówi historia. Ale na północy... Dzebeńczycy są zazdrośni o swoją dumę. Bądźcie uprzejmi i nigdy nie okazujcie strachu.

Podziękowałam jej, a Joscelin uklonił się nisko. Spróbowałam wyobrazić sobie przestraszonego kasjelitę, lecz mi się nie udało. Potem wspomniałam osadę Waldemara Seliga, gdzie pragnął śmierci, zakuty w łańcuchy, z odmrożonymi rękami, splątanymi włosami i dzikością w oczach.

Wszystko jest możliwe.

Nawet najgorsze z najgorszych.

Po powrocie do Miasta kazałam sporządzić wierną kopię tłumaczenia dzebeńskiego zwoju i posłałam ją Eleazarowi ben Enochowi, mojemu ulubionemu jezuickiemu uczoneму. Zamierzałam odwiedzić go po południu – i przyznam, że czekałam na

to z pewnym podnieceniem. Dziesięć lat życia poświęciłam poszukiwaniom Imienia Boga. Oczywiście, byłam daleka od celu, ale nie mogłam się doczekać, żeby poznać zdanie uczonego, pełnego pasji Eleazara.

– Przyślę po ciebie powóz – obiecał Joscelin, całując mnie w czoło. Uśmiechnął się lekko. – Chętnie wysłucham skróconej wersji wypowiedzi rabiego Eleazara. Obawiam się, że całość mogłaby przytłoczyć prostego sługę Kasjela.

– Kłamca – powiedziałam czule.

Roześmiał się i odszedł.

Eleazar drżał z podniecenia, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na matach modlitewnych i klepiąc kościste kolana. Przed nim na podłodze leżało tłumaczenie *Kefra Neghast*.

– Fedro nó Delaunay! – zawołał. – Znalazłaś skarb! Chodź, podzielmy się myślami w tej sprawie.

Uklękłam naprzeciwko niego i rozwinęłam oryginalny zwój z ilustracjami, trzymając go ostrożnie za rogi.

– Myślisz, ojcze, że jest w tym jakiś sens?

– Sens na pewno. To opowieść, prawda? – Wzruszył ramionami. – Czy prawdziwa? Kto może wiedzieć? Musisz jechać i zobaczyć na własne oczy.

– Ale myślisz, że to możliwe.

Eleazar ben Enoch po chwili pokiwał głową.

– Myślę, że możliwe, przynajmniej w części. W dawnych czasach narody Habiru i Dzebe–Barkal łączył handel i wojny. Ta królowa, Makeda – wskazał ilustrację – nie musi być wymyślona. Szalomon miał wiele żon łącznie z córką faraona. Pierścień... – Z zadumą postukał paznokciem w zęby. – Tradycja ludowa mówi, że było na nim wypisane Imię Boga, dzięki czemu Szalomon mógł rozkazywać demonom i zmusić je do budowy świątyni. Co jest ziarnem prawdy w sercu tej perły? Może z pierścieniem ojcowskiej władzy Melek al'Hakim wydał rozkazy architektowi Chiramowi, którego ojciec

pochodził z plemienia Dana. Jego matka... ach! – Brązowe oczy rozbliły. – Może była innego wyznania? I robotnicy Chirama także? Czčili Aszerę z Morza i Baala z wysokich miejsc.

– Może – przyznałam powoli. To brzmiało sensownie, choć nie po mojej myśli. – Sądysz więc, że to mit, nic więcej?

– Pierścień Szalomona. – Głos Eleazara złagodniał. – Wybacz mi, twój zwój zawiera odpowiedzi na niezwykle pytania, a ja w swej radości zapomniałem, że nie takich szukasz. Jeśli spytasz, czy całym sercem wierzę, że na Pierścieniu Szalomona widniało Imię Boga... Zaprzeczę, Fedro nó Delaunay. Nie wierzę. Zbyt dużo czasu spędziłem na ścieżkach modlitwy, żeby wierzyć, iż Słowo jest wypisane na zwyczajnym klejnocie. – Pochylił się, dotknął diamentu Gwiazdy Towarzysza na mojej piersi. – Tutaj jest wyryta pieczęć Elui, prawda? Zapewnia wielkie względy. Ale to ludzki znak, nie mniej i nie więcej, i to królowa ma być mu posłuszna, nie sam Błogosławiony Elua. Taka jest prawda. Sądzę, że podobnie jest z Pierścieniem Szalomona.

Zamknęłam broszę w dłoni i spojrzałam na zwój.

– W takim razie nie wierzysz, że ten Melek al’Hakim zabrał Imię Boga?

Eleazar pokręcił głową.

– Tego nie mówię. Są ścieżki modlitwy zapomniane przez Dzieci Yisraela. Możliwe, że pamiętał je Melek al’Hakim z plemieniem Dana. I jest to. – Wskazał linijkę tekstu.

– „Melek al’Hakim został namaszczonej przez kapłana Zadoka, stając się Melekiem–Zadokiem, i z Chiramem synem Chirama i ludem Dana, i z dwudziestoma z plemienia Lewiego, to jest z linii Aarona, ograbili przybytek Szalomona z naczyń i skarbów, i uciekli w czasie wojny do Menechetu – przeczytałam na głos, potem przysiadłam na piętach. – Co z tego rozumiesz, ojczy?

– Cokolwiek zabrał Melek al’Hakim, miał błogosławieństwo stanu kapłańskiego. Nie wiem. Może było to Imię Boga. Jaki inny skarb godzien jest większej ochrony?

– Świątynia została zbudowana dla przechowania znaków Przymierza.

– Tak. – Eleazar pokiwał głową. – Tablic Mojszego, laski Aarona i dzbana z manną. Tak jest napisane, i jest napisane, że arka, która je zawierała, została zabrana w góry i ukryta w czasach Judy Machabeusza. – Wzruszył ramionami. – Może tak było. Jeśli tak, śmiertelni zatracili tę wiedzę. Ale ten przedmiot... – Wskazał dżebeński zwój, oryginał. Na ilustracji dwaj mężczyźni nieśli na długich drążkach okrytą płachtą skrzynię. – Jest zasłonięty, tak. A jednak przypomina mi arkę opisaną w Tanachu. Czy nie dostrzegasz, tutaj, zarysu dwóch cherubinów zwróconych do siebie twarzami?

Zmrużyłam oczy.

– Możliwe.

– Możliwe. – Eleazar uśmiechnął się i jego pospolita twarz na chwilę stała się piękna. – Kto wie, Fedro nó Delaunay? To tajemnica stracona dla nas, którzy słuchamy nauk Jezui ben Josefa. Komu jest potrzebny głos Adonai, przemawiający spomiędzy cherubinów, skoro po ziemi chodził Masziach, ciało i krew, i coś więcej? Komu potrzebne Imię Boga, skoro Jego Syn wyrzekł słowo odkupienia i zawarł nowe przymierze?

Pomyślałam o strasznej mocy i cierpieniu w oczach Hiacynta, o ziejącej w morzu otchłani i o budzącej grozę gniewnej istocie, która poruszała się w głębinie.

– Nie wszystkie stworzenia Adonai posłusznie przystały na przymierze Jezui, ojczy. Rahab, który jest Księciem Głębiny, nie uczynił tego, i Hiacynt za to cierpi. Jeśli ani w tradycji Elui, ani Jezui nie ma nic, co odmieniłoby jego los, jeśli Imię Boga jest jedyną potęgą, której Rahab musi posłuchać, to ja go potrzebuję.

– Możliwe. – Eleazar milczał przez chwilę. – Odpowiadasz na własne pytania, a ja nie mogę ci pomóc. Czy opowieść ze zwoju ma jakąś wartość? Nie wiem. Musisz jechać do Dżebe–Barkal i sama to sprawdzić. Mogę powiedzieć ci tylko jedno, Fedro nó Delaunay, co na

pewno jest prawdą. – Splótł ręce na piersi, na jego twarzy odmalowała się powaga. – Zrozumienie Adonai wykracza poza ludzką zdolność pojmowania. Chcąc poznać Jego Imię, musimy oddać się Mu z bezbrzeżnym zaufaniem i miłością, uczynić z siebie naczynie, w którym nie będzie nas samych.

– Eleazarze... – przełknęłam ślinę – nie jestem pewna znaczenia twoich słów.

– Ja też nie – odparł łagodnie – choć szukałem go przez wiele lat. Wiem tylko, że to prawda, bo tak zostałem nauczony przez mojego nauczyciela, a on przez swojego, i tak do początków Dzieci Yisraela. Choć nie oddajesz czci Adonai, jesteś dzieckiem Elui, Fedro, i jako taka wiesz coś o miłości. Może tobie zostanie ujawniony sposób.

– Dziękuję, Eleazarze – powiedziałam, wstając z podłogi. – Będę się modlić, żebyś miał rację.

Cóż, liczyłam na więcej, ale to musiało wystarczyć – i wystarczyło, przynajmniej dla podtrzymania nadziei. To dziwne, że naród tak się rozproszył, a jego wiedza i historia popadły w zapomnienie, choć może mój osąd nie jest sprawiedliwy. My, D'Angelinowie, jesteśmy inni, ale przecież mogliśmy stracić to, co mamy. Najazd Waldemara Seliga dobitnie to wykazał.

Tak, pomyślałam, i jak byśmy się wówczas sprawili? Czy pokładalibyśmy nadzieję w miłości Błogosławionego Elui, żeby dodawała nam sił przez tysiące lat i podtrzymała naszą wiarę? Jakie opowieści snulibyśmy o sprawiedliwości Kusziela, sile Kamaela, miłosierdziu Ejszet, gospodarności Anaela, pomysłowości Szamchazaja, dumie Azy i hojności Naamy? Podziwialibyśmy nadal wierność Kasjela czy może uważali ją za głupotę? A Elua, Błogosławiony Elua... jaką pociechę znaleźlibyśmy w naszym wędrującym bękarcim bogu, który władał jedynie prowincją Miłości?

Zawstydziłam się swoich myśli i pobłogosławiłam Eleazara ben Enocha. Objął mnie na pożegnanie, podobnie jak jego miła żona,

Adara. Zapamiętałam jego ostatnie słowa i zastanawiałam się nad ich znaczeniem. Jak możemy być sobą, wyzbywając się siebie? W końcu uznałam, że to było jak wszystkie tajemnice: niepoznawalne. Będę się martwić, pomyślałam, w Dzebe–Barkal.

– I co? – zapytał Joscelin, gdy wróciłam do domu. – Co miał do powiedzenia rabbi?

– Niewiele – odparłam. – Mniej, niż się spodziewałam, choć więcej, niż się obawiałam. Mówi, że musimy jechać i sami zobaczyć.

Pokiwał głową i cierpko ściągnął usta.

– W takim razie dobrze. Melisanda Szachrizaj miała rację przynajmniej w jednej sprawie. Uczone księgi dalej cię nie zaprowadzą. Musimy zobaczyć, jakie odpowiedzi skrywa Dzebe–Barkal.

Czas ponownego wyjazdu z Miasta Elui nadszedł szybko, zbyt szybko, bo przecież niedawno wróciliśmy, ale moje sprawy były już załatwione i uporządkowane, i już się pożegnałam. Tego wieczoru zjedliśmy kolację w ogrodzie, Joscelin, Ti–Filip i ja, wszyscy w melancholijnym nastroju. Młody Hugues siedział w pewnej odległości, grając smutną, słodką melodię na flecie. Był lepszym muzykiem niż poetą i tęskne, łagodne tony rozbrzmiewały o zmierzchu, niesione przez zapach rozgrzanych w słońcu ziół.

Eugenia usługiwała nam osobiście, jak wcześniej, i jeśli jej mina wyrażała rezerwę, to w oczach dostrzegłam wyrzut. Byłam rozdarta wewnętrznie, jak nigdy dotąd, z jednej strony pragnęłam zostać, a z drugiej już być w drodze.

– Zabierz mnie ze sobą – powiedział w końcu Ti–Filip, stawiając kieliszek na stół tak gwałtownie, że kropelki czerwonego wina zaplamiły nieskazitelnie biały obrus. Oczy mu płonęły w migotliwym świetle pochodni. – Proszę, pani, to mroczna droga, tak powiedział Cygan, i już skręciła w odnogę, której wcześniej nie mogłaś zobaczyć. Kto wie, co cię czeka? Czy naprawdę stać cię na odtrącenie pomocy?

Nawet kasjelicie przyda się ktoś, kto będzie strzegł tyłów.

Melodia grana przez Huguesa nagle się załamała. Joscelin patrzył na mnie, milcząc, po czym poznałam, że jest podobnego zdania.

Przeniosłam spojrzenie na twarz Ti-Filipa. Ze wszystkich Chłopców Fedry on zawsze był najbardziej bezpośredni, ostatni do skrywania myśli i uczuć. Przysiągł mi wierność ni z tego, ni z owego, dla żartu, dawno temu – a jednak dotrzymał słowa i tysiące razy dowiódł swojej wierności. Pomyślałam o jego towarzyszach, Remym i Fortunie, i o tym, jak zginęli. Trzeba było sześciu ludzi Benedykta, żeby powalić Remy'ego, który śpiewał tak słodko i umarł z przekleństwem na ustach. I Fortun! Mój stateczny Fortun, który zdołał dotrzeć do drzwi i tam skonał, z jednym sztyletem w nerce i z drugim w sercu.

Myślałam o tym i patrzyłam na Ti-Filipa, aż jego twarz się rozmyła i ujrzałam go bladego w objęciach śmierci, z gardłem otwartym w szkarłatnym uśmiechu.

– Nie. – To słowo zabrzmiało ostrzej, niż zamierzałam. Zadrzałam, zamrugałam. – Nie – powtórzyłam z łagodną stanowczością. – To droga nie dla ciebie, kawalerze.

Nie wiem, co usłyszał w moim głosie, ale to wystarczyło. Zwiesił głowę, zwichrzone włosy ocieniły jego czoło. Zacisnął palce na kieliszku, aż zbieleły kłykcie.

– Niech tak będzie – burknął szorstko. – Pani, będę pilnował domu do twego powrotu. Ale wiedz, że sercem będę przy tobie.

Siedzący na marmurowej ławce Hugues wybuchnął płaczem.

Klamka zapadła.

Tej nocy spałam i śniłam koszmar, ten sam, co wcześniej, identyczny prawie we wszystkich szczegółach. Znów stałam na dziobie statku, szybkiego ilirskiego statku ze skośnym żaglem, i serce mi pękało, gdy kamienisty brzeg wyspy się oddalał, a chłopięcy głos Hiacynta niósł się nad coraz szerszą przestrzenią wody. „Fedro, Fedro!”. To był jego głos, żywy w mej pamięci, ten sam, który witał

mnie wesoło, który namawiał do kradzieży słodyczy na zatłoczonym targu w Progu Nocy, który krzyczał ostrzegawczo, gdy ludzie duejny zabierali mnie do Domu Cereusa, głos przepojony teraz grozą i samotnością.

Ale chłopiec, chłopiec, który płakał na brzegu i wyciągał ręce w daremnym błaganiu, miał skórę w kolorze świeżej kości słoniowej i lśniące, granatowoczarne włosy, i twarz, która nie była twarzą Hiacynta.

– Idę – wymruczałam z desperacją, na wpół rozbudzona w szarym świetle brzasku – idę.

A potem zbudziłam się we własnym łóżku, przy spokojnie śpiącym Joscelinie. Gdy jestem bezpieczna, nie trapią go złe sny. Miał przeze mnie dość koszmarów na jawie. Leżałam i patrzyłam w sufit, zastanawiając się, do którego chłopca mówiłam – do Hiacynta ze wspomnień czy do Imriela de la Courcel, którego nie znałam. Wzór przeznaczenia, podobnie jak Imię Boga, jest zbyt ogromny, żeby go ogarnąć.

Zastanawiając się, zasnęłam i śniłam, że nie śpię i wciąż się zastanawiam, i nie wiedziałam nic więcej, dopóki Joscelin nie zbudził mnie delikatnie. Otworzyłam oczy w jasnym świetle poranka.

Nadszedł dzień wyjazdu.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

Na północnej drodze przez Caerdicci Unitas napadli na nas zbójcy.

Warto opowiedzieć o tym zdarzeniu, bo posłużyło mi za poważne przypomnienie o granicach mojego rozsądku. Byłam taka pewna swojego złowieszczego przeznaczenia, taka pewna, że postąpiłam właściwie, zakazując Ti-Filipowi nam towarzyszyć, że wcale nie myślałam o zwyczajnych niebezpieczeństwach, jakie czyhają na drodze na dwoje samotnych podróżnych.

Mój nowy strój podróżny był dokładnie taki, jak obiecała Favriela nó Dzika Róża, lekki i wygodny, a elegancki krój i bogaty materiał dosłownie krzyczały, że nosi go d'Angelińska szlachcianka. Napastnicy rzecz jasna uznali, że d'Angelińska szlachcianka i jej jedyny towarzysz są łatwym łupem. Byliśmy dzień jazdy na zachód od Pavento, kiedy to się stało. Co za ironia; to tutaj wiele lat temu zginęli kurierzy Ysandry, próbujący prześcignąć posłańców Melisandy. Przypuszczam, że w czasie tamtej podróży byliśmy bardziej czujni, ale ten atak nastąpił tak szybko, że nie zdążyliśmy zebrać myśli.

W jednej chwili jechaliśmy spokojnie, prowadząc świeżo zakupione juczne konie, a w następnej otoczyło nas ośmiu ludzi.

To byli Caerdicci, sądząc z wyglądu, choć paru mogło mieć w żyłach krew skaldyjską. Biedni i głodni, co do jednego; wyrzutki i zbójcy bez zbroi i z byle jaką bronią. Dwaj biegli za nami, tnąc postronki jucznych koni. Jeden przyskoczył do mnie, zanim zdążyłam mrugnąć, i jedną brudną ręką złapał mnie za spódnicę, a drugą przycisnął sztylet do mojej talii. Następny chwycił uzdę klaczy. Wałach Joscelina,

niegdyś wyszkolony do bitwy, stanął dęba; Joscelin klął, starając się nad nim zapanować. Trzech ludzi wyskoczyło z krzaków z nożami, prowizorycznymi włóczniami i jednym wyszczerbionym mieczem, a ich przywódca zagroził nam drogę. Miał kuszę, piękną, nową i lśniącą, niewątpliwie skradzioną. Trzymał ją pewnie, celując prosto w Joscelina.

– Oddajcie nam wszystko, co macie – powiedział w caerdicci powoli i starannie, niczym do opóźnionych dzieci – a odejdziecie cali. Jeśli stawisz opór, twoja kobieta zostanie...

Nie dodał słowa więcej, bo ruchem zbyt szybkim, żeby mogło ułović go oko, Joscelin wyrwał sztylet z pochwy i rzucił w herszta bandy. Usta mężczyzny jeszcze się poruszały, gdy ręka podskoczyła do rękoności wystającej z gardła. Herszt przewrócił się na bok.

Wykorzystałam chwilę zaskoczenia i zaciśniętymi pięściami mocno uderzyłam w głowę człowieka, który dźgał mnie w żebra. Zbójca zachwiał się i popatrzył na mnie z otwartymi ustami, ale ja już ścisnęłam boki kłaczy, słysząc szmer wyciąganego miecza.

– Kasjelu! – Dźwięczny, głośny okrzyk poniósł się w gorącym powietrzu.

Głównia zatoczyła łuk jak kosa, tnąc ciało i kości; trysnęła szkarłatna krew. Twarz Joscelina zastygła w grymasie zimnej furii. Zatrzymałam kłacz w bezpiecznej odległości i patrzyłam z drżeniem. Trzech zbójców już nie żyło, a czwarty był ranny, choć przecież Joscelin nie ćwiczył walki na końskim grzbiecie. Zeskoczył z siodła i ruszył na pozostałych czterech. Zobaczyłam, że jeden podnosi kuszę herszta, i zaczerpnęłam tchu do ostrzegawczego krzyku, ale Joscelin już się odwracał z mieczem trzymanym oburącz, jego warkocz śmignął w powietrzu jak bat.

Zbójca zamknął oczy i pociągnął spust, szepcząc modlitwę do bóstw Caerdicci. Nie został wysłuchany. Bełt zaświszczał i błysnęły zarękawia Joscelina, odbijając go w bok. Bracia kasjelici uczą się takich rzeczy. Joscelin natarł, miecz trafił napastnika, gdy ponownie

napinał kuszę. Zbójca zgiął się we dwoje i leżał, wykrwawiając się w pył drogi.

Inni rzucili się do ucieczki. Jeden z koni jucznych zarył kopytami w ziemię i gwałtownie poderwał głowę, wyszarpując postronek z dłoni mężczyzny, a drugi, spłoszony, pogalopował przed siebie. Dwóch zbójców wymachiwało rękami i krzyczało w biegu, starając się zagnać go w góry. Ranny truchtał kulawo za nimi.

Przez chwilę myślałam, że Joscelin wskoczy na konia i rzuci się w pogoń, ale zdołał się opanować. Wsunął palce do ust i zagwizdał przeraźliwie, a sygnał ten znały wszystkie nasze wierzchowce. To sztuczka, której nauczyli nas cygańscy trenerzy koni; nic więcej nie powiem, bo dałam słowo, że dochowam sekretu. Spłoszony koń przygalopował posłusznie, a moja klacz zastrzygła uszami. Trąciłam ją obcasami, przynaglając do kłusa.

Joscelin stał na drodze, dysząc ciężko, a szkarłatne strumyczki krwi ściekały po głównej opuszczonego miecza.

– Jesteś cała? – zapytał, nie patrząc na mnie.

– Tak. – Nie ufałam zbyt własnemu głosowi.

Pokiwał głową, starannie wycierając ostrze w zgrzebny kaftan leżącego trupa, a potem nagle ukląkł na drodze. Pochylił głowę, odłożył miecz i skrzyżował przedramiona, mrużąc kasjelicką modlitwę. Czekałam w milczeniu, podczas gdy wałach wyciągnął szyję i z ciekawością obwąchiwał jego włosy. Kiedy Joscelin wstał, jego oczy były pełne bólu.

– To staje się coraz łatwiejsze. – Jednym płynnym ruchem schował miecz do pochwy na plecach i odwracając twarz ode mnie, wyjął sztylet z gardła herszta. – Zbyt łatwe.

– Przykro mi. – Nic innego nie mogłam powiedzieć.

– Wiem. – Wyczyścił i schował sztylet, potem sięgnął po przecięte te postronki – Pomóż mi, lepiej wiążesz supełki.

Zrobiłam to w milczeniu. Gdy skończyłam, pojechaliśmy w kierunku Pavento, gdzie znaleźliśmy nocleg i zameldowaliśmy o

zdarzeniu straży principia. Ani tego dnia, ani w następne nie spotkały nas żadne kłopoty. Jeśli tamtejsi zbójcy mają jakąś sieć wywiadowczą, to przypuszczam, że wzdłuż północnego traktu rozeszły się wieści, że lepiej jest zostawić w spokoju dwoje na pozór nieszkodliwych D'Angelinów.

Dotarliśmy do La Serenissimy.

Nad miastem kładł się zmierzch, błękitny i przydymiony, i miękkie różane odcienie spowijały budowle na Campo Grande, ozłoczone w miejscach, gdzie jeszcze sięgały promienie zachodzącego słońca. Nad wodą niósł się śmiech i głosy śpiewające pieśń. Po kanałach pływały malowane bissony i gondole, młodzieńcy Stu Godnych Rodzin zalecali się do panien zgodnie ze zwyczajami przyjętymi przez serenissimską szlachtę.

To mógł być mój świat. Ta myśl mnie nawet bawiła – kiedyś, krótko, przez jedno uderzenie serca. Severio Stregazza, wnuk doży, zaproponował mi małżeństwo. Oczywiście, jego rodzina nie wyraziłaby zgody, on jednak wówczas o tym nie wiedział.

Popatrzyłam na profil Joscelina rysujący się na de ciemnego błękitu zapadającej nocy.

Nigdy nie wątpiłam, że dokonałam właściwego wyboru.

Tym trudniej było mi prosić go o to, o co musiałam, tego wieczoru w jadalni eleganckiej gospody, tej samej, w której zatrzymaliśmy się poprzednim razem. Nie chciałam, podobnie jak wtedy, krępować tutejszych znajomych naszą niespodziewaną wizytą. Z tego względu stanęliśmy w gospodzie; pokoje były wygodne, służba dobrze wyszkolona, a potrawy wyborne.

– Joscelinie.

Pomimo gwaru i szczęku zastawy usłyszał wahanie w moim głosie.

– Słucham?

Skinęłam na schludnie ubranego służącego, żeby przyniósł więcej słodkiego muszkatu, który podawano do deseru. Ukłonił się z

uśmiechem i dolał mi wina do kieliszka. Wypiłam łyk, potem drugi, zwlekając.

– Jutro chcę pójść sama.

Joscelin siedział bez ruchu, potem raz zamrugał. Jego rysy stwardniały.

– Na spotkanie z Melisandą. Dlaczego?

– Ponieważ... – Obracałam w dłoni filigranowy kieliszek, patrząc, jak światło świec załamuje się na krawędzi. Pierwszorzędna robota, serenissima; bez wątpienia został wydmuchany na Isla Vitrari. – Ponieważ to, co muszę jej powiedzieć... dotyczy jej syna. To sprawa między nią i Kuszielem. Nikim innym.

– Och, Fedro. – Smutek w głosie przyciągnął moje spojrzenie z powrotem ku niemu. – Tak troszczysz się o jej dumę? Wciąż?

– Nie tylko o to chodzi. Nie o dumę. – Pokręciłam głową. – Joscelinie... Widziałeś dzieci, które uratowaliśmy. Muszę jej to powiedzieć.

– Sprawiedliwość Kusziela – rzekł łagodnie. – Sama tak powiedziałaś

– Tak. – Dopiłam wino i odstawiłam kieliszek. – Kiedy znaleźliśmy te dzieci w Amilcarze, czy myślałeś, że to sprawiedliwe?

Nie odpowiedział od razu.

– Nie mnie to osądzać.

– Ani mnie. Ale myślę... myślę, że na świecie nie ma nikogo, kto darzyłby Melisandę Szachrizaj równie czystą, głęboką pogardą jak ty.

– Głos zadrżał mi lekko. – I myślę, że gdy się dowie, że Kusziel postanowił ukarać ją za grzechy, każąc płacić za nie jej synowi... myślę, że nawet ona zasługuje, by usłyszeć o tym bez świadków.

– Uważasz, że ty mogłabyś liczyć na podobne współczucie z jej strony? – zapytał szorstko.

„Zadawanie cierpienia bez współczucia...”.

– To nie ma znaczenia. – Z trudem przełknęłam ślinę. – Joscelinie, nielekkko mi z tym na sercu. Przez całe życie służyłam Kuszielowi i

nigdy nie kwestionowałam jego woli. Robię to teraz. Nie widzę celu, jaki uświęcałby środki. Poza tym jestem stworzona do przyjmowania bólu, do radowania się nim, nie do zadawania. Przekazać te wieści z tobą, łypiącym gniewnie znad mego ramienia... nie mogę tego zrobić.

– Nie łypałbym – zaprzeczył odruchowo, po czym westchnął, przyciskając palce do oczu. – Dobrze. Dobrze, dobrze. Rób, co musisz, zaczekam w świątyni. – Opuścił ręce i popatrzył na mnie lekko zaczerwienionymi oczami. – Czy to wystarczy?

– Tak – szepnęłam. – Dziękuję.

– Nie dziękuj. – Pokręcił głową. – Myślę, że szkoda twojego współczucia dla Melisandy.

Stąd potrzeba istnienia *anguisette*, żeby równoważyć szale.

– Wiem – odparłam żałośnie. – I być może masz rację. Ale mogę postępować zgodnie z nakazami własnej natury, nie jej.

– Kochaj jak wola twoja – powiedział z kolejnym westchnieniem.

Rankiem poszliśmy do świątyni Aszery z Morza.

Poeci i filozofowie pisali o dziwności powtórnego przeżywania dawnej chwili; miejsce, osoba, przypadkowe słowo wyzwalają w pamięci coś, co mówi: tak, właśnie tak było, dokładnie. Czytałam o tym, lecz nigdy czegoś takiego nie doświadczyłam. Poznałam to wrażenie tego dnia. Byłam tu wcześniej, w tym mieście zbudowanym na wodzie, pod wielkimi złotymi kopułami świątyni. Nie raz napotkałam puste spojrzenie wielkiego kamiennego posągu Aszery, piętrzącego się nad ołtarzem, z rzeźbionymi falami u stóp.

Za pierwszym razem kupiłam miodowe ciastka. Za drugim mówiłam jej głosem. Zawarłyśmy umowę, bogini i ja.

Potem przybyłam z Ysandra, która ma prawo mi rozkazywać, bo jest moją królową. Ostatnio towarzyszył mi Joscelin, gdy szłam, tak jak teraz, wśród wybranych kapłanek w szeleszczących błękitnych szatach i woalach ze srebrnej siateczki – szklane paciorki migotały jak łyzy nanizane na drucik, bosc stopy bezszelestnie stąpały po posadzce.

– Zaczekam – powiedział Joscelin, składając formalny kasjelicki ukłon, z rękami zaciśniętymi w pięści pod stalową siatką rękawic.

Wydawał się obcą istotą, kanciastą i nadzwyczaj męską wśród poszeptujących kapłanek i dumnych, acz zniewieściałych świątynnych eunuchów z ceremonialnymi włóczyniami.

– Wrócę – obiecałam.

Sądził, że jestem głupia; wiem, że uważał mnie za niemądrą z powodu mojego współczucia. Czy byłam niemądra? Nie wiem. „Co takiego jesteś winna Melisandzie, że musisz osobiście dostarczyć wiadomość?”. Tak zapytała Ysandra, i słusznie. Była moją panią i władczynią, Ysandra de la Courcel; wierzyła, kiedy wszyscy inni zwątpili. Wywyższyła mnie i nagrodziła zaszczytami, zwała swoją prawie kuzynką. Ilekroć myślałam o odwadze, ilekroć myślałam o lojalności, jedno i drugie pojęcie miało twarz Ysandy – taką, jaką widziałam po naszym powrocie z La Serenissimy, gdy pomiędzy rozstępującymi się wojskami Percy’ego de Somerville jechała bez cienia strachu ku murom Miasta Elui.

A ilekroć myślałam o miłości, widziałam twarz Joscelina.

„Fedro!”.

Ale nosiłam w pamięci także głos Melisandy, rozstrojony z szoku, na widok jej pięknych oczu rozszerzonych ze strachu, gdy tłukłam głową w mur celi w La Dolorosie. Widziałam to, osuwając się na podłogę.

Pocałunek, jeden pocałunek. Zrobiłam to wszystko, żeby mu się oprzeć.

Od tej pory dotknęła mnie tylko raz, i to czubkiem sztyletu, sztyletu Joscelina. Pozwoliłabym się zabić, gdyby mogła to zrobić. Nie mogła.

Takie samo, wszystko było takie samo. Drzwi na złoconych zawiasach, kapłanka pukająca dwa razy i anonsująca mnie w miękim, szeleszczącym dialekcie caerdicci, którego używają w tym mieście. Ten sam pokój pełen skośnych promieni słońca i cichego szemrania niewidocznej fontanny. Ten sam szmer zamykanych drzwi. Nawet zapach był taki sam; latem trochę głębszy, zapach wody,

rozgrzanego przez słońce marmuru i kwitnących krzewów, i delikatny, piżmowo–korzenny, który rozpoznałabym wszędzie, w tłumie i z zawiązanymi oczami, jedyny w swoim rodzaju zapach Melisandy, która stała, czekając.

I fala, fala emocji była taka sama, fala nienawiści, miłości i pożądania, rozbijająca moje serce na kawałki i rozcierająca okruchy w pył.

Tylko że tym razem w jej oczach widziałam strach.

I tym razem uklękłam.

DWADZIEŚCIA OSIEM

– Mów.

Melisanda przymknęła powieki, broniąc się przed bólem. Ja też tak robiłam, to samo widywałam u innych – nigdy u niej. Postąpiłam słusznie, przychodząc bez Joscelina. Jej rzęsy zakrzywiały się niczym hebanowe grzywacze. Jestem D’Angelina. Nie mogę nie zauważać takich rzeczy.

– Nie było – zaczęłam, szukając słów – żadnego spisku.

Otworzyła oczy.

– Cóż zatem się stało?

Powiedziałam jej.

Nie wiem, czego się spodziewałam, ale zniosła to dobrze. Nie sędzę, żeby ktoś, kto znał ją słabiej niż ja, dostrzegł drgnienie ciała, dostrzegł straszne zrozumienie, które wypełniło ciemnoniebieskie studnie jej oczu. To był potężny cios. Każdego śmiertelnego wroga mogłaby przechytrzyć i wyprowadzić w pole. Ale nie to – nie ślepy traf i wiszący nad nim cień ręki Kusziela.

– Żyje? – To było pierwsze słowo, jakie powiedziała, pierwsze, jakie zdołała wyrzec przez zaciśnięte zęby.

– Tak myślę. – Marmurowa podłoga była twarda pod moimi kolanami a niewygodą pozwalała mi się lepiej skupić. – Menechetańczyk znalazł się na jego wartości. Zapłacił grube pieniądze. Z tego wnoszę, że Imriel żyje.

Melisanda zrobiła jeden krok, drugi. Wyciągnęła rękę, wczepiła w moje włosy, uniosła głowę. Czując ból w karku, patrzyłam w jej

płonące oczy. Mój oddech się spłycił, serce biło mocno i szybko. Powinnam się odsuwać lecz nie mogłam, nawet gdyby od tego zależało moje życie. Kiedyś była moją klientką, jedyną, której uległam bez reszty. Świadomość, że jej dotknięcie odciska się na mojej duszy, że jej ból odczuwam jak własny, budził we mnie drżenie.

– Jesteś pewna? – zapytała cicho, przeszukując wzrokiem moją twarz. – Jesteś absolutnie pewna, że opowieść jest prawdziwa, Fedro nó Delaunay?

– Kartagińczycy zostali poddani torturom – szepnęłam. – Pani, byłam tego świadkiem. Sama zadawałam pytania. Przykro mi, ale jestem absolutnie pewna.

Puściła mnie i odwróciła się. Pozbawiona jej dotyku, zachwiałam się na kolanach. Patrzyłam na jej plecy, słyszałam, jak wymruczała jedno słowo.

– Kusziel.

– Tak. – Mój głos brzmiał chrapliwie, gardło miałam zaciśnięte z pożądania i współczucia.

Melisanda opuściła głowę. Można było powiedzieć o niej wszystko, ale nie to, że brak jej odwagi. Klęczałam w milczeniu, wiedząc to, co wiedziała ona. Przeżyłam *thetalos* w jaskini Temerios. Wiem, co to znaczy stanąć twarzą w twarz z poczuciem winy za przelaną krew.

Ale nie za krew rodzonego dziecka. Tego nigdy nie poznam.

– Zapłacą. – Jej głos był bezdźwięczny, ręce zacisnęły się w pięści. – Kartagińczycy, którzy to zaczęli... są już martwi.

– Pani. – Chrząknęłam. – To już się stało. Ich głowy tkwiły na pikach na Plaza del Rey, gdy wyjeżdżaliśmy z Amilcaru.

– Tak. – Ramiona jej opadły, choć tylko odrobinę. To wystarczyło, zobaczyłam. Prostując się, przeszła na drugą stronę pokoju i otworzyła kuferek, ten sam, w którym przechowywała dżebeński zwój. – Obiecałam ci podać nazwisko przewodnika.

Wstałam jednym, eleganckim ruchem, jak nauczono mnie w Dworze Nocy. Nasze palce musnęły się, gdy podawała mi kawałek

welinu. Spojrzałam na nieznanome nazwisko i adres.

– Najmuje się jako przewodnik karawan z Menechetu do Dżebe Barkal – powiedziała bezdźwięcznym głosem. – Zapewniono mnie, że wie gdzie znaleźć potomków z Saby. Nie mogę przysiąc, że to prawda, ale moje informacje są dobre. Tylko tyle mogę zrobić. Proszę.

– Dziękuję. – To słowo zabrzmiało głupio. Czułam się głupio. Melisanda uśmiechnęła się gorzko.

– Zrobiłaś, o co prosiłam, Fedro nó Delaunay. Nie popełniłam błędu wybierając ciebie. – Jej oczy znowu przeszukały moją twarz. – Opowiedz mi o delegacji królowej do Iskandrii.

Opowiedziałam jej i patrzyłam, jak chodzi, jak wraca do życia po doznanym wstrząsie, jak jej umysł pracuje i kalkuluje. I, Eluo, dopomóż kochałam ją za to, troszeczkę. A jednak...

– Melisando.

Zatrzymała się, odwróciła i spojrzała na mnie. Pokręciłam głową.

– Nie możesz tego zrobić. Wiem, że to więzienie nie jest w stanie cię zatrzymać, wierz mi, wiem dobrze. Ta myśl przyprawia mnie o koszmary. Jeśli pojedziesz do Iskandrii, jeśli opuścisz to miejsce... – Urwałam. – Będę wiedziała. Przybyłam tutaj wbrew życzeniu mojej królowej, wbrew woli wszystkich innych. Nad twoją głową wisi wyrok śmierci, Melisando, nie wolno ci rezygnować z ochrony Aszery. Jeśli to zrobisz, honor każe mi pokrzyżować ci szyki.

– On jest moim synem! – wysyczała.

– Wiem. – Drżał mi głos, lecz nie ustąpiłam. – A ja jestem Wybranką Kusziela i poddaną Ysandy de la Courcel. Pójdę do pana Amaurego Trente w Iskandrii, pójdę do faraona, jeśli będzie trzeba. Czy ty możesz zrobić coś, czego nie mogą oni? Twoje fundusze się kurczą i staną się jeszcze mniejsze, gdy będziesz musiała uciekać. Już kiedyś prowadziłyśmy tę grę, pani. Czy naprawdę chcesz wystąpić przeciwko mnie?

Melisanda poderwała głowę, jej płonące, niespokojne spojrzenie błędziło po ścianach salonu. Błogosławiony Eluo, nawet w rozpacz

była wspaniała! Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, że faktycznie przebywa w więzieniu. Dopiero teraz dostrzegłam otaczające ją subtelne, złocone kraty. Zadrżała i opanowała się, odzyskując zimną krew.

– Łamiesz mi serce, Fedro.

– Tak. – Ogarnęło mnie uczucie chłodnego, beznamiętnego spokoju. Choć raz stałyśmy na równym gruncie. Patrzyłam na nią, myśląc o tym – Ty, pani, złamałaś moje dawno temu.

– Strzała Kusziela. – Podeszła bliżej i przyłożyła rękę do mojego policzka – Sługa Naamy. – Jej dłoń była chłodna, twarz nieodgadniona. – Z początku myślałam, że jesteś zabawką, tylko niebezpieczną zabawką, przypuszczam, że nawet Anafiel się na tobie nie poznał, choć wyuczył dość dobrze. Później... później zmądrzałam. Nie zabawka, prędzej wyzwanie, rękawica rzucona przez bogów.

– A teraz? – zapytałam.

– Teraz? – Coś zmieniło się w wyrazie jej oczu osadzonych w twarzy, której piękno wyczelowała rozpacz. Widziałam w nich pragnienie zemsty i okrucieństwo. Były tam również nasze wspólne dzieje z całą ich zdradą, nienawiścią i pełną gwałtu ekstazą. Moja obojętność przeminęła, krótkotrwała i krucha. Głos Melisandy stał się niższy, słodki jak miód; jak mogłam zapomnieć o jego władzy nade mną? – Teraz... – Krew w moich żyłach przyspieszyła, rumieniec zakwitł na policzku dotkniętym jej ręką. Znajomy ból ścisnął mi serce, czułam tętnienie pomiędzy udami. Moje powieki stały się ciężkie, usta się rozchyliły. Poczuć to znowu, jej żar, nacisk jej ciała, jej piersi na moich piersiach, ten okrutny, wyrefinowany dotyk, ach, Eluo! Broniałam się przed upadkiem, Melisanda odsunęła rękę. – Teraz nie wiem, Fedro.

Tym razem przerwany kontakt odczułam jako pustkę. Niemal straciłam równowagę, tęsknota ciągnęła mnie ku niej, serce przeszywał ból ostry jak zimowy wichur. Wyświadczyłam jej uprzejmość, nie zabierając Joscelina. Odwzajemniła się teraz,

odwracając ode mnie i mówiąc przez ramię:

– Nigdy nie chciałam mieć sumienia. A jednak wydaje się, że nasz pan Kusziel uznał, iż należy dać mi to, bez czego przyszedłam na świat. Ty jesteś ucieleśnieniem mojego sumienia, Fedro. – Melisanda spojrzała na mnie. Twarz miała opanowaną, dłonie ukryła w rękawach. – Słyszałam o panu Amaurym Trente. Zdolny człowiek, powiadają, i wierny królowej, choć niezbyt bystry.

– Wystarczająco – odparłam bez namysłu.

Skrzywiła kącik ust.

– Gdyby Ysandra pozwoliła, udałby się do diuka Milazzy po wsparcie wojskowe. To ty zaproponowałaś pomoc Niewybaczonych, prawda? Słyszałam, że klękają przed tobą.

Nie mogłam zaprzeczyć. Gdyby dziesięć lat temu Amaury Trente dopiął swego, cudzoziemska armia wkroczyłaby na ziemię Terre d'Ange. Niewybaczeni... tak. To był mój pomysł. I rzeczywiście uklękli. Wzruszyłam ramionami ze stoicyzmem, którego nie czułam.

– Oddali hołd w imię Kusziela. Mają wiele do odpokutowania.

– Tyle że wojska królewskie przepuściły ich bez zatrzymywania – Twarz Melisandy, nieruchoma i spokojna, przypominała kameę z kości słoniowej. – A ty rzucałaś monety. – Jej brwi uniosły się lekko, w głosie zabrzmiał ton rozbawienia. – Monety.

Tak, rzucaliśmy srebrne monety z profilem Ysandry de la Courcel, Czyste i świeżo wybite. Wzbijały się łukiem w niebo, wystrzeliwane z proc ludzi Amaurego Trente, i spadały srebrnym deszczem. Wspomniałam osłupiałe twarze żołnierzy, przenoszących wzrok z bezprecedensowych darów chwytanych w stwardniałe od mieczy dłonie, na profil kobiety, która rozdzielała ich szeregi, jadąc niepowstrzymanie ku murom Miasta Elui

– Tak – przyznałam cicho. – Rzucaliśmy monety.

Melisanda pokiwała głową.

– I to też był twój pomysł.

Nikt inny nie wyrysował tej linii, nie dokonał tego powiązania. W

opowieściach nie przypisywano mi tego pomysłu. Popatrzyłam na nią.

– W Ilirii obowiązuje zakaz bicia monet z wizerunkiem bana. Przypomniałam sobie o tym. Powinnam podziękować ci za czas, jaki spędziłam tam jako zakładniczka, pani.

– Tak myślałam. Kusziel nie traktuje ulgowo wybranego przez siebie sumienia. – Mina Melisandy nie uległa zmianie. – Pojedziesz do Iskandrii. W przeciwieństwie do Amaurego Trente, Menechetańczykom nie brakuje sprytu. Łatwo się uczysz i jesteś wyszkolona w sztukach szpiegowania. Możesz mnie nienawidzić, ale mój syn jest niewinny. Skoro postanowiłaś patrzeć, jak gniję w tej złoconej klatce, uczynię cię odpowiedzialną za jego dobro.

„Zadawanie cierpienia bez współczucia...”.

– Nie możesz. – Drżał mi głos. – Zrobiłam wszystko, co mogłam. Nasz dług został uregulowany.

– Nie. – Melisanda pokręciła głową z okrutną subtelnością. – Nigdy nie będzie uregulowany, Fedro nó Delaunay. Jesteśmy związane. Czy nie zdajesz sobie z tego sprawy?

Odwróciłam wzrok, wspominając sen, chłopca o twarzy Imriela, krzyczącego głosem Hiacynta, wspominając dzieci w Amilcarze, zdziczałe i na wpół oślepięne przez blask pochodni.

– Zrobię, pani, dla twojego syna wszystko, co będę mogła. Tyle, ile zrobiłabym dla każdego dziecka. Poza tym niczego nie mogę obiecać. Ta sprawa już nie leży w mojej gestii.

– Jest sprawą królowej – mruknęła Melisanda. Roześmiała się. Ten dźwięk był straszny, jak trzask pękającego szkła. – W czyje ręce w końcu wpadnie mój Imriel, kto nauczy go winić matkę, która zgotowała mu taki los? Gorzka ironia, że to nie moja wina.

– Wiem – powiedziałam, wytrzymując jej spojrzenie. Co innego mogłam powiedzieć? Wiedziałam.

– Niech zatem żyje w nienawiści do mnie, ale niech żyje. – Strach wrócił nagi i bezbronny. – Dostałaś ode mnie dar klienta, którym

zapłaciłaś za markę. Czy nie przysięgniesz mi tyle?

„Znosić niewysłowione cierpienie z bezgranicznym współczuciem...”.

Przełknęłam ślinę.

– O wiele prosisz. A ja jestem głupia, skoro słucham. Pani, Melisando... nie ma żadnego długu. Wszystko, co byłam ci winna, wyrównałaś w pełni swoją zdradą. Przykro mi z powodu cierpienia twojego syna, ale umowa była prosta i ja się wywiązałam...

– Jesteś Wybranką Kusziela – weszła mi gwałtownie w słowo. – To jego sprawka. Myle się, Fedro? Nie sądzę. Kusziel postanowił ukarać swojego potomka. Niech więc tak będzie. Ale cokolwiek zrobiłam, mój syn jest niewinny. Proszę cię tylko o pomoc w odnalezieniu Imriela. Masz talent do spraw, które wymagają sztuki szpiegowania. Proszę cię tylko, byś dopilnowała, żeby nie cierpiał więcej za moje grzechy. Czy nie masz litości w sercu? Czy proszę o zbyt wiele?

– Nie – szepnęłam.

– To przecież drobna prośba – dodała cicho.

Ponieważ żaden argument nie przyszedł mi na myśl, ponieważ jej rozpacz pozbawiała mnie tchu, ponieważ widziałam dzieci w Amilcarze, przysięgłam jak ostatnia idiotka, z sercem pełnym narastającego cierpienia, choć wtedy wciąż wierzyłam, że będę musiała tylko nadzorować poczynania Amaurego Trente i dopilnować, żeby Imriel został oddany z woli faraona i zajął należne mu miejsce w dziejach rodu Courcel. Patrząc w ciemnoniebieskie oczy Melisandy, przysięgłam.

– Niech tak będzie. Na imię Błogosławionego Elui, obiecuję. Zrobię, co będę mogła.

– Dziękuję – odparła. – Będę spać spokojniej. – Urwała, a po chwili podjęła zmienionym głosem: – Życzę ci szczęścia, Fedro, w twoich prywatnych poszukiwaniach. Cygański chłopak... – Melisanda pokręciła głową. – Natknął się na pradawną klątwę. Nawet ja nie mogłabym tego przewidzieć.

– On przewidział – powiedziałam ostrym tonem. Nie czułam się dobrze, że nakłoniła mnie do dania słowa, gdy na szali spoczywał los Hiacynta. – Hiacynt widział, co go czeka. I poszedł bez zmrużenia oka dla mnie, dla nas wszystkich. Przez ciebie znaleźliśmy się na tej drodze, Melisando, czy o tym wiedziałaś, czy nie, czy tego chciałaś, czy nie. I wykorzystałabyś go, gdybyś mogła. Zwój, przewodnik... – Uniosłam głowę zaciskając w dłoni kawałek welinu. – Miałaś to od początku.

– Nie zawsze. –W jej słowach brzmiała dziwna szczerość. – Zostało mi niewiele broni, Fedro, co miałam zrobić? Nie ja rzuciłam klątwę.

Odwróciłam wzrok, kręcąc głową. Do końca życia nie zdołam jej zrozumieć.

– Ani nie stworzyłaś handlarzy niewolników, pani. A jednak zabrali twojego syna.

– Tak. – To słowo spadło z jej ust niczym kamień. Spojrzałam na nią, bladą i opanowaną. – Nie zrozum mnie opacznie. Grałam i przegrałam, a Kusziel mnie osądził. Czy chcesz, żebym to powiedziała? – Straszna wieść o losie syna wciąż płonęła w jej oczach. – Powiem. Byłam głupia. Nigdy nie przypuszczałam, że Kusziel zażąda zapłaty w niewinnej krwi.

– Nie? – Miałam łzy w oczach; przepędziłam je mruganiem, śmiejąc się niewesoło. – Och, pani, twoje gry zawsze kończyły się przelaniem krwi niewinnych!

Melisanda stała spokojnie, patrząc na mnie, a ja za skarby świata nie mogłabym odgadnąć co myślała. Z niezwykłą delikatnością chwyciła moje ramiona, pochyliła głowę i pocałowała mnie, subtelnie, ulotnie. Muśnięcie ust, nic więcej. Wystarczyło.

– Ty swoją zawsze oddawałaś z własnej woli, Fedro. Na tym, moja droga, polega różnica.

W ostatecznym rozrachunku znała mnie o wiele za dobrze.

Zachwiałam się, z sercem przeszytym słodyczą jej pocałunku, zrozumiawszy w końcu, dlaczego Benedykt de la Courcel ochoczo

dopuścił się dla niej zdrady i dlaczego tak wielu innych uczyniło to samo.

Melisanda uśmiechnęła się z oczami pełnymi bezbrzeżnego smutku.

– Zrobiłam tylko to, do czego zostałam stworzona. Jeśli bogowie tego nie chcieli, nie powinni byli mnie stworzyć. Wydaje się, że pożałowali swojego błędu, skoro stworzyli ciebie. Masz swój mit i swojego przewodnika, Fedro nó Delaunay. Jedź do Iskandrii i dopilnuj, żeby mój syn został uwolniony z potrzasku zemsty Kusziela. Posłucham twojego ostrzeżenia i zostanę tutaj. Stawka stała się zbyt wysoka. Boję się, że przegrywam.

– Pani – Skłoniłam głowę, dźwigając ciężar smutku ze wspomnieniem pocałunku na ustach. Zbierało mi się na płacz, choć nie wiedziałam dlaczego – przysięgam ci, twój syn zostanie odnaleziony.

Jak na początku spotkania, Melisanda Szachrizaj zamknęła oczy.

– Błogosławiony Eluo, spraw, żeby tak było – szepnęła i była to najszczęśliwsza modlitwa, jaką kiedykolwiek u niej słyszałam. A potem otworzyła oczy i wyrzekła jedno słowo: – Idź.

Poszłam.

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

Joscelin czekał w świątyni.

Uniósł głowę, gdy weszłam, i jego widok był dla mnie gwiazdą w ciemności. Rzuciłam mu się w ramiona i czułam, jak mnie obejmuje, odgradzając od świata. Kapłanki i słudzy świątynni przystanęli, patrząc na nas, gdy wspierałam czoło na jego piersi. Trzymał mnie mocno, przytulając policzek do moich włosów.

– Już po wszystkim? – wymruczał.

Uwolniłam się niechętnie z jego objęć, chwyciłam go za rękę.

– Tak. Dziękuję ci. – Zaczepnęłam tchu. – Mam nazwisko przewodnika i adres w Iskandrii. Powinniśmy spotkać się z człowiekiem pana Brenina w Banco Tribuno w związku z weksłami i zarezerwować miejsca na statku. Rozsądnie... rozsądnie będzie zobaczyć się również z Ricciardem Stregazza. Poproszę go o podwojenie straży pilnujących Melisandy.

Joscelin uniósł brwi.

– Myślisz, że może uciec?

– Nie wiem. – Pokręciłam głową. – Pragnie wziąć sprawy w swoje ręce. Myślę, że wyperswadowałam jej takie rozwiązanie, ale nie jestem na tyle głupia, by wierzyć jej na słowo.

– W takim razie musimy tego dopilnować – odparł Joscelin spokojnie.

Dopilnowaliśmy.

Podróż morską z La Serenissimy do Iskandrii jest długa; najdłuższa, jaką kiedykolwiek odbyłam. Nie udało nam się zdobyć miejsc na

statku, który zabrałyby również konie, dlatego musieliśmy prosić Riccarda, żeby się nimi zajął. Zgodził się i choć żałowałam, że musimy je zostawić, wiedziałam, że będą pod dobrą opieką w jego posiadłości Villa Gaudio na serenissimskim lądzie. Przyjemnie było odwiedzić Allegrę, żonę Ricciarda, z którą korespondowałam regularnie przez dziesięć minionych lat.

W największe zdumienie wprawiły mnie ich dzieci, Sabrina i Lucio, które pamiętałam jako malców. Sabrina była teraz poważną siedemnastolatką, a dwa lata młodszy, tryskający energią Lucio bez ustanku mówi o klubie szlacheckim, do którego miał wstąpić po osiągnięciu pełnoletności, i wyliczał na palcach jego zalety.

– Nie masz dzieci? – Allegra z łagodnym rozbawieniem przypatrywała się mojej zdziwionej minie. – Moje już dorastają.

– Widzę – odparłam. – Ale to stało się tak szybko.

Roześmiała się i zmieniła temat rozmowy, opowiadając mi o swoich najnowszych innowacjach w otoczonej jej patronatem Scholae kurtyzan. Z początku projektem zajmował się Ricciardo, ale prawdziwą siłą, która go napędzała, była Allegra. W Terre d'Ange służba Naamie jest świętym powołaniem. W La Serenissimie, gdzie lud nie oddaje czci Elui i jego Towarzyszom, nigdy tak nie będzie, lecz od czasu powstania Scholae status kurtyzan znacznie się poprawił. Siła jest w liczbie i świadomości. Nic nigdy nie dorówna eleganckiemu splendorowi d'Angelińskiego Dworu Nocy, ale wykształcone kurtyzany La Serenissimy zaczęły zdobywać sławę w Caerdicci Unitas. Ucieszyłam się, bo to ja byłam autorką pomysłu.

Rozmawialiśmy o tym na pokładzie statku, Joscelin i ja, w czasie długich godzin, gdy minęły najgorsze ataki jego morskiej choroby. Tym razem trwały znacznie krócej. Przyzwyczajają się do morskich podróży, pomyślałam. Lato ustępowało jesieni, dni jednak wciąż były gorące. Naszą ulubioną porą był wieczór, gdy słońce chowało się za dalekim horyzontem i zmierzch chłodził powietrze.

– Wpadłaś na dobry pomysł – pochwalił. – Naama z pewnością jest

zadowolona.

– Możliwe – powiedziałam, patrząc na niego z zaciekawieniem. – Kiedyś gardziłeś tym, co robię, prawda? Czy wciąż uważasz to za złe?

– Złe? – Joscelin wzruszył ramionami. – Tak mnie nauczono u kasjelitów; nie tylko służba Naamie, ale także Elui i jego Towarzyszom jest uważana za głupstwo. Tylko Kasjel był wierny prawdzie i pewnego dnia poprowadzi samego Błogosławionego Eluę ku odkupieniu, a z nim całą Terre d’Ange, ziemską i prawdziwą, która leży w zaświatach. – Uśmiechnął się cierpko, patrząc na horyzont, gdzie zapalała się pierwsza gwiazda – wierzyłem w to, kiedy cię poznałem.

Tyle wiedziałam.

– A teraz?

– Teraz? – Odwrócił głowę i popatrzył na mnie. – Nie. Przynajmniej nie wtedy, kiedy z własnej woli podpisuje się kontrakt w hołdzie dla Naamy. Tyle uważam za prawdziwe. Są tajemnice, których mogę nie pojmować, ale przyjmuję je do wiadomości. Moje przekonania... moje rzekonania także się zmieniły. Teraz wierzę w coś, co Bractwo uważa za największą herezję: Kasjel poszedł za Eluą z miłości. Nie z miłości zrodzonej z boskiego współczucia, ale po prostu... – wyciągnął rękę i okręcił lok moich włosów na palcu – z miłości.

Westchnęłam i oparłam się o niego.

– W to zawsze wierzyłam.

– Chciałaś w to wierzyć.

– Prawda – przyznałam. Po chwili zapytałam o coś zupełnie innego: – Joscelinie, czy jest ci przykro, że nie mamy dzieci? – Zesztywniał lekko, a potem się odprężył, gdy spojrzałam mu w twarz.

– Szczerze? Czasami tak. – Pogładził moje włosy. – Chyba chciałbym... nie wiem. A jednak... – Potrząsnął głową i odwrócił wzrok. – Nigdy cię nie okłamałem. Niezależnie od tego, jaka jest prawdziwa natura Kasjela, śluby złożyłem solennie.

– Te, które złamałeś – powiedziałam łagodnie – złamałeś z miłości.

– Wiem. – Patrzył w zorzę gasnącą na horyzoncie. – I wierzę, że wbrew wszystkiemu uczyniłem to w jego służbie. Ale mówiłem szczerze, że nie chcę bardziej naciągać jego łaskawości. Gdyby nasze dziecko... gdyby moje dziecko miało być trafione Strzałą Kusziela... – Zadrżał. – Naprawdę, pewne rzeczy są nie do zniesienia.

– Wiem, kochanie. Wierz mi, wiem.

– Już sama ty prawie mnie zabijasz. – Nutka wesołości wróciła do jego głosu. – Ach, Fedro... czy jest mi przykro? Tak, czasami. Czasami żałuję wielu rzeczy, w większości takich, których nie mogę albo, gdybym mógł, me chciałbym zmienić. Ty nie?

– Też. – Patrzyłam, jak kolejne gwiazdy zapalają się na aksamitnym nieboskłonie. – Nie byłoby nas tutaj, tysiące mil od domu, gdybyśmy mieli dzieci.

– Nie – zgodził się. – Na pewno nie.

Wiał łagodny, jednostajny wiatr, gdy serenissimscy marynarze chodzili po statku, zapalając lampy na dziobie i rufie. Wątle skierki świateł w bezkresnej ciemności, pomyślałam, samotne na rozkołysanym łonie oceanu, podczas gdy wysoko nad nimi rozpościera się baldachim roziskrzonych gwiazd. Próbowałam to sobie wyobrazić, życie w domowym zaciszu i proste przyjemności, jakie były udziałem Allegry i Ricciarda Stregazza w Villa Gaudio, zyskujące głębszy wymiar przez dobre uczynki i sprawowane przez nich rządy. Z nami byłoby tak samo. Joscelin puścił mnie i wsparł się na relingu. Patrzyłam na jego profil. Krzyż rękojeści miecza wznosił się nad ramieniem, przysyłając gwiazdy. Czy z przykrością powiesiłby broń na kołku? Chyba nie.

A jednak... gdzieś pod tym samym rozgwieżdżonym niebem wznosiła się skalista wyspa z wysokim ołtarzem otwartym na wiatr i z samotną wieżą, skąd mój Książę Podróżnych patrzył, jak słońce zachodzi i wschodzi, jak dni przechodzą w lata, jak powoli nadciąga starość i szaleństwo.

I gdzieś był dziesięcioletni chłopiec o oczach barwy szafiru, sprzedany w niewolę do obcego kraju. Jeszcze nie pojmowałam, jak są powiązani. Wiedziałam tylko, że są.

Nasze miejsce było tutaj, Joscelina i moje.

Tak mijąca nam podróż.

Tym, którzy nigdy nie widzieli Iskandrii, powiem, że jest to miasto wspaniałe i stare, twór wielu kultur. W pojęciu Menechetańczyków jest młode, zostało bowiem założone przez helleńskiego zdobywcę, który wyzwolił ich spod perskiej władzy; nazwali go Al-Iskandr i ukoronowali rogami Amona. Jego potomkowie przenieśli stolicę do tego miasta, ale w jedno pokolenie po jego śmierci przybrali regalia władzy faraona, łącząc menechetańską tradycję z helleńską krwią.

Menechet znalazł się w cieniu cesarstwa Tyberium i w przeciwieństwie do wielu innych, zachował suwerenność, godząc się z nieuchronnym i składając daninę w ziarnie potężnemu sąsiadowi. W czasach, gdy tyberyjska potęga sięgała zenitu, na tronie faraonów zasiadała przebiegła królowa. Podstępem skłóciła tyberyjskich generałów, aż stali się zbyt słabi, żeby zająć Menechet. Mój pan Delaunay zawsze ją podziwiał; zwała się Kleopatra Philopater. Później zaczęły się kłopoty w Albie i Tyberium zostawiło Menechet w spokoju.

Teraz oczywiście jest inaczej. Granicom Menechetu zagrażają pustynni jeźdźcy z Umajjatu i ogromna potęga Khebbel-im-Akad. Menechet balansuje pomiędzy nimi, przymilając się obu stronom i podtrzymując więzi z miastami-państwami Caerdicca Unitas – zwłaszcza z La Serenissimą i jej potężną flotą – i z Kartaginą. My, D'Angelinowie, jesteśmy na politycznej arenie nowi, choć nie lekceważeni; przypuszczam, że nikt w Menechecie nie zapomniał, iż niespełna dwadzieścia lat temu Terre d'Ange pokonała Akadyjczyków w bitwie morskiej.

O zachodzie słońca weszliśmy do Wielkiego Portu i powitał nas nie byle jaki widok, gdy mijaliśmy przybrzeżną wyspę ze słynną latarnią iskandryjską, masywnym kolosem wyrastającym na około pięćset

stóp w niebo, z marmurowymi ścianami zalanymi czerwienią zachodzącego słońca. Latarnia ma trzy kondygnacje, a podstawa jest szeroka niczym forteca. Kapitan statku powiedział nam, że stacjonuje tam cały szwadron kawalerii. Musiałam wysoko zadrzeć głowę, żeby zobaczyć wierzchołek, gdzie w niebo wbijał się pióropusz dymu.

Ku mojemu rozczarowaniu sam płomień wydawał się nikły i nie robił większego wrażenia w złotym świetle, ale kapitan zapewnił, że w ciemności zapłonie jasno niczym gwiazda, widoczny z odległości wielu mil na morzu. Wskazał napis wyryty w kamieniu węgielnym.

– Jesteśmy za daleko, żeby przeczytać, pani, ale inskrypcja głosi: „Sostratos, syn Deksifanesa z Knidos, poleca wszystkim żeglarzy opiece bogów” – powiedział. – Faraon kazał wyryć swoje imię, lecz architekt Sostratos wyciął własne, po czym przysłonił je tynkiem i na wierzchu wyźłobił dedykację władcy. Po stu latach tynk skruszał i imię faraona popadło w zapomnienie. To sprytny architekt będzie pamiętany po wsze czasy, i słusznie, bo latarnia iskandryjska nie ma sobie równych.

Joscelin uśmiechnął się, historia pobudziła jego siovaleńską fantazję; wszyscy potomkowie Szamchazaja czują sympatię do architektów i inżynierów, im bardziej pomysłowych, tym lepiej. Podziękowałam kapitanowi, który z ukłonem poprosił o wybaczenie i poszedł nadzorować wejście do portu. Choć był nadzwyczaj uprzejmy, nie czułam się swobodnie w jego obecności. To nie była jego wina. Ostatnim razem, gdy przebywałam na pokładzie serenissimskiego statku, byłam o włos od stracenia głowy. Coś takiego trudno zapomnieć.

Niebo miało żywy odcień purpury, gdy weszliśmy do portu, a ponad dachami rysowały się korony palm daktylowych. Tak daleko na południu zmierzch nie przyniósł chłodu i gorące powietrze było gęste, ciężkie od obcych zapachów. Podróżowałam do wielu miejsc, chętnie czy wbrew woli i myślałam, że przywykłam do egzotyki, ale Iskandria była inna, bardziej obca, niż się spodziewałam. Przybyliśmy

późno i poza naszą załogą wszyscy w porcie – mężczyźni i chłopcy, kobiet nie widziałam – byli szybcy i smagli, mówili nieznanym mi językiem.

Jedną rzeczą jest zwiedzanie obcego kraju na pieszo czy w siodle, gdy można obserwować stopniową zmianę pejzażu i kultury, a zupełnie czym innym podróżowanie morzem i nagłe zjawienie się w obcym mieście. Zerknęłam na Joscelina, który z oszołomioną miną stał na nabrzeżu obok naszych worków i kufrów, i przez chwilę żałowałam, że nie zabraliśmy Ti-Filipa. Były marynarz i doświadczony awanturnik większość czasu na statku spędziłby na grze w kości i wymianie opowiastek, a po zawinięciu do portu zaprowadziłby nas do najlepszej kwatery w Iskandrii.

– Pani. – Serenissimski kapitan podszedł z gnącym się w ukłonach uśmiechniętym Menechetańczykiem. – Ponieważ nie wspomniałaś o żadnych przygotowaniach, pozwoliłem sobie poprosić młodego Nesmuta o przysługę. Jest... – rzucił chłopcu ostrzegawcze spojrzenie – jednym z najrzetelniejszych łobuziaków pałętających się po porcie, i trochę zna helleński. Mówi, że delegacja D’Angelinów zatrzymała się na ulicy Pomarańczy. Sprowadzi powóz i zabierze was tam za dwadzieścia oboli. To uczciwa cena.

– Zgadzą się – powiedziałam, kiwając głową do chłopaka. – Dziękuję.

Uśmiechnął się, błyskając zębami w mroku, i zniknął. Tak samo uśmiechał się Hiacynt, kiedy był chłopcem... Wrócił niedługo później, prowadząc konia za uzdę. Powóz był otwarty, prosty, ale wygodny. Milkliwy stangret siedział na koźle ze znudzoną miną.

– Nesmut jest dobrym chłopakiem – powiedział kapitan, gdy załadowano nasze rzeczy. – Gdybyś potrzebowała przewodnika po mieście, on będzie ci służyć. Znamy się od dawna i wie, że natrę mu uszu, jeśli się dowiem, że oszukał mojego pasażera.

– Dziękuję, panie kapitanie – powiedziałam z większą szczerością niż wcześniej. – Naprawdę, jestem ci wdzięczna za życzliwość.

– Nic wielkiego. – Szurnął nogami i spojrzał w bok, nagle zakłopotany. – Słyszałem o tobie. Rozumiesz, marynarze słyszą różne rzeczy. To ty... to ty spadłaś z urwiska La Dolorosy i przeżyłaś. Mówią, że Aszera z Morza chwyciła cię w dłoń i wyniosła na fale. Wiem... wiem, że Marco Stregazza rozkazał cię zabić. Nie dziwię się twojej niepewności. A jednak wiedz, że ja zawiozę cię wszędzie, dokąd tylko zechcesz. Będziemy w porcie dwa tygodnie. Wystarczy, że dasz znać.

Co miałam powiedzieć? Podziękowałam mu jeszcze raz, czując się dziwnie. Joscelin u mojego boku zaśmiał się cicho. Nesmut niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, trzymając lejce.

– Łaskawy panie, łaskawa pani! – zawołał po helleńsku. – Jedziemy, bo inaczej minie was kolacja. *Kyria Maharet* będzie zła.

Posłuszni jego naleganiom, pożegnaliśmy się z kapitanem i wsiedliśmy wozu. Serenissimczyk uklonił się, zamiatając ziemię kapeluszem. Nawet nie poznałam jego imienia. Potem woźnica strzelił z bata i ruszyliśmy. Zapadł zmierzch, końskie kopyta tętniły po szerokich, prostych licach. Nesmut siedział naprzeciwko nas, pocierając ramiona i szczerząc zęby w uśmiechu. Nosił biały strój podobny do tuniki, obszarpany, ale czysty. Czarne włosy spadały mu na ciemne oczy. Oceńłam, że ma trzynaście lat.

W nocy trudno wyrobić sobie zdanie o mieście, ale co nieco zdołałam zobaczyć. Iskandria jest miastem dobrze rozplanowanym, pełnym eleganckich świątyń i parków, wspaniałych placów i czystych ulic wysypanych żwirem. Nesmut uniósł głowę i głęboko wciągnął powietrze, gdy skręciliśmy. Machnął smukłą ręką.

– Ulica Pomarańczy – oznajmił. – Czujecie?

W istocie, zapach cytrusów przenikał ciężkie powietrze. Kawalek dalej woźnica ściągnął lejce przed niskim, sklepionym wejściem z pochodniami płonącymi po obu stronach. Nesmut wyskoczył z powozu i wbiegł do środka. Wrócił po chwili z szerokim uśmiechem i dwoma służącymi.

– Łaskawy panie, łaskawa pani, jesteśmy. – Wyciągnął rękę.

Zapłaciłam mu serenissimskimi pieniędzmi, przed wyjazdem upewniwszy się co do ich wartości; jestem skrupulatna w takich sprawach. Chłopak uważnie obejrzał monety i przygryzł krawędź jednej, czym znów przypomniał mi Hiacynta. Joscelin nadzorował przenoszenie naszych bagaży do gospody.

– Dobrze – oświadczył w końcu Nesmut, dając połowę monet woźnicy, a resztę chowając do ukrytej kieszeni w tunice. – Przyjdę rano, tak? Łaskawa pani będzie potrzebować przewodnika po mieście.

Chciałam zaprzeczyć, lecz po namyśle zmieniłam zdanie.

– Zgoda – powiedziałam po helleńsku. – Dziękuję. Nie mogę obiecać, że skorzystam z twoich usług, ale i tak zapłacę ci za stracony czas. Uśmiechnął się i złożył zaskakująco elegancki ukłon, a potem wziął nogi za pas. Przez chwilę patrzyłam, jak jego szczupła sylwetka maleje w ciemności, potem weszłam za Joscelinem do gospody.

Za szerokim łukowatym wejściem powitała nas krzepka kobieta po czterdziestce odziana w warstwy jedwabiu. Oczy miała podkreślone proszkiem antymonowym, a włosy splecione w schludny kok, nakryty misterną złotą czapczką. Złożyła ręce i ukłoniła się, witając nas bezbłędnym helleńskim:

– Panie i pani, jestem Metricha. Nesmut powiedział, że szukacie noclegu.

– Tak – odparłam. – Macie tu innych d’Angelińskich gości?

– Tak. – Metricha znowu się ukłoniła, obrzucając nas czujnym spojrzeniem. – Kyrios Trente i jego ludzie najęli u nas pokoje. Z naszej gospody jest niedaleko do rezydencji ambasadora. Czy mam pokazać wam pokoje? Pora kolacji... – jej oczy błysnęły – prawie się skończyła.

– Tak, proszę – powiedziałam pokornie.

Nasza gospodyni Metricha – chłopiec nazwał ją Maharet – zaprowadziła nas do pokoi, ładnych i dobrze wyposażonych, chłodnych w wieczornym powietrzu, które niosło zapach cytronów z niewidzialnego dziedzińca.

– Tu jest dzban – powiedziała – gdybyście chcieli umyć twarze. Jeśli nie zejdziecie do jadalni w ciągu kwadransa, nie dostaniecie jeść.

Wyszła.

Usiadłam na łóżku i westchnęłam. Materac był sztywny, bawełniana pościel wybornie miękka. Po tygodniach spędzonych na pokładzie statku solidny grunt wydawał się niepewny pod moimi stopami. O wiele bardziej podobała mi się myśl o spaniu niż o jedzeniu. Joscelin nalał wody z dzbana do marmurowej misy i umył twarz.

– Ach! – Zadarł głowę, rześki i odświeżony. – Fedro, idziesz? – zapytał i dodał żałośnie: – Może ty nie musisz jeść, ale ja jestem głodny jak wilk.

– Idę – powiedziałam z westchnieniem, podnosząc się z łóżka.

Wyglądałam niechlujnie, poplamiona solą i zmęczona po podróży.

Wygladziłam ubranie i w duchu pobłogosławiłam wybuchowy geniusz Favrieli nó dzika Róża.

Jadalnia była przestronna, z wysoko sklepionym stropem wspartym na smukłych kolumnach. Zdobione geometrycznym ornamentem lampy rzucały łagodne światło, a odziani w biel słudzy poruszali się bezszelestnie. W sali rzucał się w oczy jeden stół, przy którym siedziało liczne grono skupione wokół człowieka, który najwyraźniej przewodził. Siedział z pochyloną głową, z palcami rąk wczepionymi w kędzierzawą czuprynę, podczas gdy jego towarzysze próbowali go pocieszać.

Gdy weszliśmy do pokoju, uniósł głowę i wówczas go poznałam.

– Fedra nó Delaunay! – zawołał pan Amaury Trente. – Dzięki niech będą Błogosławionemu Elui! Już myślałem, że się nigdy nie zjawisz.

TRZYDZIEŚCI

Fadil Chouma nie żył.

Wysłuchałam tej historii w ciągu godziny, gdy menechetańscy słudzy odawali kolejne półmiski z korzennymi potrawami – pieczone bakłażany, bób, jagnię z cebulą i pietruszką, marynowane limety, ciecierzycę sezamem, ryby w ostrym czosnkowym sosie, a do tego płaskie chlebki i zaprawione miodem piwo jęczmienne.

Choć wcześniej sądziłam, że nie jestem głodna, apetyt objawił się niespodziewanie i jadłam łapczywie, gdy pan Trente snuł swoją opowieść.

Delegacja szybko i bez wypadków przybyła z Marsilikos zaledwie tydzień przed nami. Ambasadorem Ysandry w Iskandrii był Raif Laniol, hrabia de Penfars. Powitał delegatów stosownie i zamówił kwatery u pani Metrichy, wdowy mieszanej krwi, menechetańskiej i helleńskiej. Jak zrozumiałam, w Iskandrii istnieje nieoficjalny system kastowy i rodzimi Menechetańczycy są uważani za gorszych od potomków Hellenów.

Hrabia Raif szybko się zorientował, że sprawa ma delikatną naturę, i pomógł w negocjacjach z sekretarzem skarbu faraona, przedstawiając ofertę praw do handlu z Albą jako kuszącą okazję. Amaury Trente zaprezentował przywiezione dary: skrzynię ołowianych brosz i naramienników oraz misternych złotych bransolet, a także, co było najbardziej pomysłowe, sadzonki albijskich roślin, bo faraon Menechetu od dawna słynął jako zapalony miłośnik egzotycznej flory. Wszystko poszło bardzo obrze i delegacja została

zaproszona przed majestat faraona Ptolemeusza Dikajosa, który wyraził zadowolenie z darów i okazał zainteresowanie nawiązaniem stosunków handlowych z Albą. Amaury Trente wymienił, jakie towary interesują cruarchę – len, daktyle, pszenica – i dorzucił mimochodem, że cruarcha chciałaby spełnić kaprys swojej żony i odzyskać małego d’Angelińskiego chłopca omyłkowo sprzedanego w niewolę w tym mieście.

Mam tylko słowo Amaurego Trente i jego towarzyszy, ale nie mam powodu w nie wątpić. Wnoszę, że pokierował sprawą z subtelnością, która zadowoliłaby nawet Melisandę. Faraon wysłuchał go i machnął upierścienioną ręką, każąc sekretarzowi skarbu załatwić tę drobną sprawę, po czym wrócił do znacznie poważniejszej kwestii lnu i daktyli.

Tak czy owak, sprawa miała zostać załatwiona. Sekretarz skarbu zlecił ją starszemu urzędnikowi, nie chcąc brudzić sobie rąk, a urzędnik znał rezydencję Fadila Choumy na ulicy Krokodyli. Powołując się na imię swojego pana, wezwał oddział gwardii faraona i stawiał się przed domem gotów żądać zwrotu d’Agelińskiego chłopca w imieniu państwa, z odszkodowaniem w przypadku zgody i śmiercią w razie odmowy.

Ale Fadil Chouma już nie żył.

D’Angeliński chłopiec dawno temu został sprzedany.

Zrozumiałam teraz, dlaczego pan Amaury Trente targał się za włosy. Domownicy Choumy pamiętali chłopca, nie było jednak żadnych dowodów sprzedaży Imriela de la Courcel – a Fadil Chouma skrupulatnie prowadził księgi. Może był ku temu powód. Niewątpliwie d’Angeliński chłopiec był towarem, o którym Fadil Chouma pragnął jak najszybciej zapomnieć. Poza tym to on go zabił.

W pewien sposób można uznać to za wypadek, choć przypuszczam, że Imriel miał zamiar uśmiercić handlarza. Stało się to w kuchni – kobiety Choumy rozpieszczały chłopca, podziwiając jego urodę, i pozwalały mu wyjadać smaczne kąski. Imriel odwrócił się w

mgnieniu oka i chwycił nóż, którego kucharz używał do filetowania kurczaka. Wbił go w udo Fadila Choumy.

Rzecz jasna, rana nie była śmiertelna. Chouma ryknął niczym byk, kobiety wyjęły nóż i obandażowały ranę. Imriel dostał bicie i dwa dni później go sprzedano. Fadil Chouma zaciskał usta w wąską linię i nie chciał powiedzieć, komu. Rana już wtedy się jątrzyła. Po czterech dniach noga zrobiła się gorąca i spuchła, czerwone pręgi pięły się w górę.

– Nie chciał pozwolić, żeby chirurg odjął mu nogę – powiedział ponuro Amaury Trente. – Słyszałem, że umierał, wrzeszcząc, i wcale nie jest mi przykro. Ale nikt nie wie, co zrobił z chłopcem.

Zabrano naczynia z naszego stołu. Menechetańscy słudzy krążyli w pobliżu z dzbanami jęczmiennego piwa, wyraźnie mając nadzieję, że w końcu udamy się na spoczynek. Amaury Trente i jego delegaci patrzyli na mnie z nadzieją. Zastanawiałam się, co zrobiłby Delaunay?

– Sądzisz, że domownicy Choumy mówią prawdę? – zapytałam.

– Mam powody w to wierzyć – odparł Amaury. – Jak zrozumiałem, gwardziści faraona wypytywali ich na ostrzu noża i niezbyt delikatnie. Sprzedał chłopca z wielkiej złości i nikt nie wie, komu. Urzędnik Rechmire szczegółowo przejrzał jego księgi rachunkowe. W Menechecie handlarze niewolników płacą podatki jak wszyscy inni. – Wzruszył ramionami nie kryjąc niesmaku. – Zaksięgował zakup chłopca w Amilcarze, lecz nie ma wzmianki o sprzedaży. Nikt nie wspomniał, że był D'Angelinem, ale opis się zgadza i nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Rechmire jest pracowity i pilny, zwłaszcza gdy chodzi o ochronę interesów skarbu faraona. Zajmował się tą sprawą przez kilka dni, zasięgał języka na targach niewolników, wśród libertynów i w domach uciech. Nic. A wierz mi pani – dodał ponuro – nawet w Iskandrii dziesięcioletni d'Angeliński chłopiec nie pozostałby niezauważony.

– Tak – przyznałam. – Chyba tak.

Co zrobiłby Delaunay? Zawsze warto wiedzieć jak najwięcej. Delaunay przeanalizowałby sytuację, pomyślałam. I zyskałby... co? Zmęczona długą podróżą i senna po obfitym posiłku, zmusiłam umysł do pracy.

– Chouma – mruknęłam, rozmyślając.

Fadil Chouma był bystrym i skrupulatnym człowiekiem. Zanotował zakup Imriela, dlaczego więc nie sprzedaż? Może z powodu szybko postępującej choroby. Ale zataił tę informację przed domownikami, co sugerowało inne przyczyny. Kto wie, co zamierzał zrobić? Nie wiadomo, ale uznałam, że na pewno nie chciał umieścić wpisu w księgach.

Dlaczego?

Może z powodów politycznych, bo handel D'Angelinami niósł ze sobą niebezpieczeństwo... choć nie na tyle duże, żeby się bał odnotować kupno Imriela. Nie, musiało chodzić o coś innego. Dlaczego zataił los chłopca? Najbardziej oczywista możliwość skręcała mi trzewia. Imriel dźgnął nożem handlarza niewolników. Jeśli Chouma zabił winowajcę w napadzie wściekłości, zachował to w tajemnicy, bo wiedział, że domownicy go lubili...

Nie. Odrzuciłam ten pomysł, wzywając logikę dla uzasadnienia. Fadil Chouma był handlarzem niewolników, człowiekiem interesu. Zainwestował zbyt dużo czasu i pieniędzy, żeby w gniewie pozbyć się cennej własności. Nie mogło być inaczej, nie mogło, bo jeśli tak, moje poszukiwania byłyby daremne. Przecież sprawiedliwość potężnego Kusziela musiała prowadzić do czegoś więcej niż tylko zaginionych zwłok małego chłopca, do ślepego zaułka w obcym mieście.

Przyszedł mi na myśl Amilcar i dzieci. Kręta uliczka, ciemny pokój na tyłach domu. Pomyślałam o Kartagińczykach, biednych, głupich brutalach, o Mago ze spalonymi stopami, wywrzaskującym zeznanie.

„Fadil Chouma miał na myśli kupca...”.

Wybieg handlarza, pomyślałam wtedy, mający na celu wywinięcie się z umowy, której nie miał zamiaru dotrzymać. A jednak... a jeśli

nie? Fadil Chouma miał kupca na myśli. Asekurował się, rejestrując zakup – lecz nie odnotował sprzedaży. Dlaczego? Nie potrafiłam tego zrozumieć, lecz w głębi duszy czułam, że kawałki układanki zaczynają tworzyć wzór.

– Chouma chronił swoje interesy – oznajmiłam. – Od początku miał na myśli kupca i ktokolwiek to jest, jest kimś niebezpiecznym. To osoba, z którą lepiej się nie afiszować i której nazwiska lepiej nie przytaczać. Chouma nie był pewny, czy transakcja dojdzie do skutku, dlatego zapisał zakup Imriela. Zmieniłby wpis, gdyby nie zachorował.
– Zamrugałam

i zdałam sobie sprawę, że Amaury Trente wraz ze wszystkimi innymi patrzy na mnie w osłupieniu. Odezwałam się po długim czasie.

– I... co z tego? – zapytał Amaury ostrożnie. – Co nam to daje?

– Zapytaj... jak on się nazywa? Ambasador? – Głowę miałam otępiałą ze zmęczenia i wysiłku. – Raif, tak? Raif Laniol, hrabia de Penfars. Zapytaj go, panie. Faraon jest potężnym człowiekiem, a potężni ludzie mają wrogów. Ambasador powinien znać ich nazwiska. To da nam przynajmniej punkt wyjścia.

Jedna z delegatek, Denise Fleurais, chrząknęła.

– Znajomości ambasadora de Penfars ograniczają się do górnej warstwy menechetańskiego społeczeństwa – oznajmiła taktownie.

– Ma na myśli Hellenów – mruknął ktoś przy końcu stołu.

To zapoczątkowało dyskusję o zaletach cywilizacji helleńskiej w porównaniu z tubylczą. Słuchałam półuchem, obserwując menechetańskich służących, którzy z dobrze skrywanym zniecierpliwieniem czekali, kiedy wreszcie d'Angelińscy goście udadzą się do łóżek.

– Z pewnością – zaczęłam, myśląc o uprzejmych brązowych maskach twarzy służących – ambasador de Penfars ma kontakty również wśród rodowitych Iskandryjczyków.

Odpowiedziała mi cisza.

– Niewielkie – powiedziała w końcu pani Denise. Miała włosy

koloru świeżego mahoni i sprytną minę, co mi się spodobało. – Jest urzędnik, Rechmire, przynajmniej tak nam się wydaje. Ambasador nie zna tutejszego dialektu.

– Co? – wykrzyknęłam głośniejszym głosem, niż zamierzałam, ale naprawdę byłam poruszona.

Raif Laniol przebywał w Iskandrii od ponad dwóch lat, miał więc aż nadto czasu, żeby nauczyć się języka. A jednak... Z twarzy delegatów wyczytałam, że niewielu podziela moje zdumienie.

– Fedro – odezwał się Joscelin – jeśli masz rację, nikt nie poruszył tego wątku w czasie przesłuchania. Z pewnością domownicy Choumy podzielali jego lęki. Kto może być klientem, znajomości z którym lepiej nie rozgłaszać? – Popatrzyłam na niego, a on wzruszył ramionami. – Nikt ich o to nie pytał, gwarantuję. Ale... – wyjął kubek z mojej ręki, spojrzał na resztkę piwa – na dzisiaj wystarczy.

– Słusznie. – Położyłam ręce na stole i wstałam, niemal słaniając się ze zmęczenia. – Panowie, panie... zróbmy przerwę.

Nikt się nie sprzeciwił, za co byłam wdzięczna. Joscelin troskliwie ujął mnie pod ramię i zaprowadził do przyjemnie urządzonej sypialni, gdzie przez otwarte okna wpadał nocny wiatr i zapach cytrusów. Oparty o ścianę, patrzył z lekkim rozbawieniem, jak padam na wygodny materac. Głowę miałam pełną myśli, które odpierały sen.

– I co? – zapytał w końcu.

Westchnęłam, podpierając się na łokciu.

– Co mam ci powiedzieć? Że kurczowo czepiam się nikłej nadziei? Że to zbrodnia, że ambasador nie zna menechetańskiego?

Uniósł brwi.

– To już jakiś początek.

– Najpierw zajmiemy się sprawą Hiacynta – powiedziałam stanowczo, starając się nie myśleć o obietnicy danej Melisandzie. – Poczynimy przygotowania. Potem... potem zobaczymy, czego można się dowiedzieć wśród tych, którzy nie należą do helleńskiej warstwy menechetańskiego społeczeństwa.

Joscelin uśmiechnął się.
– Wiedziałem, że to powiesz.

TRZYDZIEŚCI JEDEN

Rankiem zebraliśmy się przy śniadaniu, które składało się z pikantnych placków fasolowych smażonych na oleju, podawanych ze słodkim dżemem figowym, co stanowiło dziwne, ale przyjemne połączenie smaków. Amaury Trente już wysłał wiadomość do ambasadora Penfars, prosząc o spotkanie. Okazywał większy optymizm niż wczoraj wieczorem, bo moje sugestie wyznaczyły mu przynajmniej kierunek działania.

My z Joscelinem mieliśmy zwiedzić Iskandrię. Niezależnie od obietnic danych Melisandzie najpierw zamierzałam odnaleźć przewodnika, i umówić się z nim na wyprawę do Dżebe–Barkal. Po załatwieniu najpilniejszych spraw mogłam ze spokojnym sumieniem pomóc Amaurem w poszukiwaniach tajemniczego nabywcy Imriela.

Nesmut dotrzymał słowa i zjawił się, gdy jedliśmy śniadanie.

– Masz dla mnie pracę, tak? – zapytał z ujmującym uśmiechem. – Łaskawi państwo potrzebują przewodnika, żeby zobaczyć miasto? Pokażę najlepsze miejsca!

Z sakiewki u pasa wyjęłam skrawek welinu, który dała mi Melisanda i pokazałam go chłopcu.

– Szukam niejakiego Radiego Arumi, który mieszka pod tym adresem na ulicy Krokodyli. Znasz to miejsce?

Nesmut zerknął na notatkę.

– Łaskawa pani, nie umiem czytać, ale znam ulicę Krokodyli. Jeśli podasz mi numer, zabiorę cię tam, tak.

Po krótkich negocjacjach doszliśmy do porozumienia.

Skwar uderzył nas niczym żar z kowalskiego pieca, gdy wyszliśmy z gospody Metrichy. Trudno uwierzyć, pomyślałam, że w Terre d'Ange na pokryte rżyskami pola padają chłodne jesienne deszcze. W Menechecie słońce paliło niemiłosiernie i niebo wyglądało jak wykute z blachy, z miedzianym odcieniem od żaru. Choć szerokie ulice były zamiecione do czysta, czułam w ustach smak pyłu.

Pomimo upału miasto tętniło życiem. Nesmut powiedział nam, że zrobi się jeszcze goręcej; w południe wszyscy uciekali w cień, przeczekując największą spiekotę. Dobrze, że wstaliśmy wcześniej. Chłopcu nie zamykały się usta, gdy prowadził nas przez miasto, zagadując ludzi na rogu każdej ulicy – służących, woźniców, gospodynie, nosiwodów. Zdawało się, że wszyscy mają dla niego dobre słowo.

Menechetańskie słowo, jak zauważyłam.

– Tutaj jest ulica Lichwiarzy – oznajmił Nesmut, wyciągając rękę. – Jeśli chcecie, zaprowadzę was do człowieka, który zamieni wasze serenissimskie monety na tutejsze. Wtedy kupcom trudniej jest oszukiwać. Znam uczciwego człowieka.

Zerknęłam na Joscelina, który uniósł brwi.

– Ty nas nie oszukujesz, prawda, Nesmucie? – zapytał chłopca po helleńsku. – Bo jeśli tak... – Ruchem tak szybkim, że nie nadążyło za nim oko, wyjął sztylety z pochew i skrzyżował je pod brodą chłopaka. – Bardzo się rozzłoszczę.

Nesmut szeroko otworzył ciemne oczy.

– Łaskawy panie! – sapnął. – Przenigdy!

– To dobrze. – Joscelin schował sztylety i uklonił się, krzyżując zarękawia. W kąciку jego ust błąkał się lekki uśmiech. – W takim razie posłuchamy twojej rady. Dziękuję, Nesmucie.

– Łaskawy panie – powiedział, znowu wyciągając rękę. – Tędy.

Wymiana serenissimskich solidów na menechetańskie obole okazała się nadzwyczaj rzetelna i najpewniej było to skutkiem wrażenia, jakie Joscelin wywarł na Nesmucie. Transakcja szybko

została zakończona i Nesmut, znów pełen poczucia własnej ważności, zaprowadził nas na ulicę Krokodyli.

Dom, którego adres podała mi Melisanda, stał w dzielnicy jubilerów i mieściła się w nim, jak najbardziej, pracownia przedstawiciela tego rzemiosła. Zadźwięczały maleńkie brązowe dzwoneczki, gdy otworzyliśmy drzwi, wchodząc z jasnego słońca w cienisty chłód grubych murów z piaskowca. Dla moich oślepionych przez słońce oczu wewnątrz wydawało się ciemne jak w nocy. Dostrzegłam kanciastą sylwetkę człowieka przy warsztacie stojącym w prostokącie światła, które wpadało przez okno. Mężczyzna uniósł głowę i usłyszałam, jak głośno zaczerpuje tchu; jego ręce poruszyły się szybko, odwracając leżące na stole kamienie, zanim wstał na powitanie.

– Pani – zwrócił się do mnie po helleńsku, składając dłonie i kłaniając się nisko. Jego twarz, gdy się wyprostował, wyrażała podziw. – Nazywam się Karem. Czym mogę ci służyć?

– Karem – powtórzyłam, mrugając. Moje oczy przyzwyczajały się do półmroku. Menechetańczyk był młody, jego szczękę porastał jeszcze młodzieńczy zarost. – Jestem Fedra nó Delaunay, hrabina de Montrčve z Terre d'Ange. Szukam niejakiego Radiego Arumi. Znasz go?

– Dżeben. – Karum nie krył rozczarowania. – Tak, znam go, pani. Gdy przyjeżdża do Iskandrii, wynajmuje pokój w domu mojego ojca. Zaczekaj tutaj, proszę. Powiem mu, że przybyłaś.

Uklonił się i zniknął w drzwiach prowadzących na tyły domu. W sklepie wokół niskiego stołu stały krzesła z wyplatanyimi siedzeniami i oparciami. Nesmut wspiął się na jedno z nich i usiadł ze skrzyżowanymi nogami. Karem długo nie wracał. Popatrzyłam na jego warsztat. Na blacie leżały rozrzucone półszlachetne kamienie, karneol, ametyst, chalcedon. Zastanowiłam się, dlaczego je podwracał. Jego narzędzia same w sobie były dziełami sztuki,

kunsztownie wykute małe ostrza, szczypczyki i dłutka przywiodły mi na myśl strzałki Melisandy, wymyślne instrumenty do zadawania niosącego rozkosz bólu.

W końcu jestem *anguisette*. Oto, co znaczy być Wybranką Kusziela. Żaden cel, żadne dążenia nie odmienią mojej natury; jestem jaka jestem na dobre i na złe.

Po jakimś czasie oboje z Joscelinem usiedliśmy na krzesłach. Wreszcie Karem wrócił z czarnoskórym mężczyzną w nieokreślonym wieku w haftowanej czapeczce na wełnistych włosach. Jego twarz wyglądała jak wygarbowana przez słońce.

– Radi Arumi – powitałam go, wstając i skłaniając głowę: – *Indemin aderq*.

Uśmiechnął się szeroko, pokazując białe zęby.

– Ha! Senna zjawa mówi do mnie po dzebeńsku – powiedział w łamanym helleńskim. – Czy śnię? Mój przyjaciel Karem śni i zakrywa krocze, zawstydzony.

Zarumieniłam się, choć przypuszczam, że nie bardziej niż biedny Karem.

– Messire Arumi – powiedziałam, puszczając uwagę mimo ucha – szukam potomków Meleka al’Hakima, syna królowej Saby. Powiedziano mi, że wiesz, gdzie ich znaleźć.

– Ach. – Radi Arumi usiadł, patrząc na mnie i moich towarzyszy. Nosił swobodną, kolorową szatę, wystrzępioną na rąbku. – Pewien człowiek, Hellen, pytał o takie rzeczy ponad rok temu. Służył pani z La Serenissimy, tak mi powiedział. Chciał wiedzieć, czy historie mówią prawdę. Prowadziłem karawany do Meroe. Chciał wiedzieć, czy mógłbym zaprowadzić go do potomków Saby.

– A możesz? – Joscelin poruszył się nieznacznie, żeby pokazać rękojeści sztyletów i miecza.

Nesmut podciągnął kolana i przenosił spojrzenie z Joscelina na mnie, wyraźnie zaciekawiony.

– Tak, *kyrios* – odparł Radi Arumi, kłaniając się na siedząco. – Choć

to daleko, bardzo daleko na południu, mogę was zaprowadzić. Ale... – uniósł dłoń, zwracając w naszą stronę jej blade wnętrze, i wyprostował palec. – To długa podróż i trudna. Czy chcecie ją odbyć?

– Tak – odparłam stanowczo, uprzedzając ewentualne zastrzeżenia Joscelina. – Mamy pewne sprawy do załatwienia w Iskandrii, ale wiedz że bardzo nam zależy na dotarciu do potomków Saby. Czy możesz nas tam oprowadzić? Zapłacimy.

Nesmut parsknął na znak protestu. Kareem podszedł z ponurą miną warsztatu i podniósł kamień. Radi Arumi obserwował mnie spod przymkniętych powiek.

– Za dwa tygodnie karawana rusza do Meroe. Jestem umówiony na przewodnika. Możesz dołączyć do nas, a z Meroe ruszymy do Saby, gdzie mieszkają potomkowie Meleka al’Hakima. Czy to ci odpowiada, pani? Jeśli tak, porozmawiamy o pieniądzach.

Zerknęłam na Joscelina, który wzruszył ramionami.

– Tak. Pomówmy o pieniądzach.

Zrobiliśmy to w wielu językach, bo i Nesmut, nasz samozwańczy pośrednik, i jubiler Kareem wtrącali swoje trzy grosze, podczas gdy Joscelin i ja naradzaliśmy się po d’Angelińsku. Zrozumiałam, że targowanie się jest tutaj sztuką i nieodłączną częścią ubijania interesów. W pewnej chwili podano mocną miętową herbatę osłodzoną miodem. Popijaliśmy ją z małych filiżanek i sprzecaliśmy się uprzejmie. W końcu stanęło na tym, że Joscelin i ja będziemy towarzyszyć menechetańskiej karawanie handlowej do Meroe, stolicy Menechetu, a tam zapłacimy Radiemu Arumi za zaprowadzenie nas na południe do potomków Saby.

– Oby Amon–Re z uśmiechem patrzył na nasze przedsięwzięcie – rzekł Radi formalnie, podnosząc się i kłaniając. – Za dwa tygodnie będę na was czekał przy Południowej Bramie. Wyruszymy o świcie.

Tak oto mieliśmy całe dwa tygodnie na poszukiwanie tropu Imriela w Iskandrii. Choć zachowałam poważny wyraz twarzy, byłam

zadowolona z wyniku. Dość czasu, myślałam. Jeśli w dwa tygodnie niczego nie zdziałamy, to i cała wieczność też by nie pomogła. Tak wtedy myślałam.

– Łaskawa pani – zagadnął Nesmut – zbliża się południe. Czy nie chcesz odpocząć? Niedaleko stąd jest dom, w którym podają bardzo dobre piwo.

– Tak. – Wstałam, zeszywniała po długim siedzeniu, i podeszłam do stołu Karema, chcąc obejrzyć jego rękodzieło. – Karemie, jakie piękne! Czy to kamea? Jest godna d’Angelińskiego warsztatu.

Ustawił się pomiędzy mną i stołem, żebym nie mogła się przyjrzeć się kamieniom.

– Nie, nie, pani jest zbyt uprzejma – wymamrotał. – To błahostki, to tylko błahostki.

– Łaskawa pani – Nesmut wyrósł u mojego boku i pociągnął mnie za rękę – idziemy.

Na ulicy, kiedy drzwi sklepu jubilera zamknęły się za nami, znowu się rozluźnił. Wymieniłam zdziwione spojrzenie z Joscelinem, który wzruszył ramionami. Słońce stało wysoko i skwar narastał.

– Chodźcie – przynaglił Nesmut. – Odpoczniemy.

Przybytek, do którego nas zaprowadził, miał charakter menechetański. Chłodne i ciemne wnętrze z grubymi ścianami, które powstrzymywały żar, wysoki sufit, żeby rozpraszać ciepło, niskie stoły i krzesła na zimnej wyłożonej kafelkami podłodze. Przystanęliśmy w wejściu zwieńczonym ostrołukiem. Kilku mężczyzn grało w jakąś grę na intarsjowanej planszy. Unieśli wzrok i popatrzyli na nas. Nesmut wdał się w rozmowę z właścicielem, w końcu pokiwał głową i zaprowadził nas do stołu. Właściciel przyniósł brązowy gliniany dzban i trzy kubki.

Nalał piwa i mężczyźni wrócili do gry, od czasu do czasu ukradkiem spoglądając w naszą stronę.

– Nesmucie, czy na pewno jesteśmy tu mile widziani? – zapytałam.

Nesmut jednym haustem wypił połowę zawartości kubka i

energicznie pokiwał głową. Odstawił naczynie.

– Tak, łaskawa pani. To nie jest miejsce dla kobiet, nie dla Menechetanek, ale wyjaśniłem Hapusenebowi, że jesteś cudzoziemką, nieco odmienną. Nie mają nic przeciwko, nie obawiaj się. Sporo wiem o cudzoziemcach – dodał chełpliwie.

– A o Menechetańczykach i Hellenach? – zapytał Joscelin.

Nesmut dolał piwa do kubka.

– O wszystkich, łaskawy panie, którzy przybywają do miasta. Ale wy jedziecie do Dzebe–Barkał, prawda?

– Tak – przyznałam. – Za dwa tygodnie. – Napiałam się piwa; było chłodne i orzeźwiające, słodzone miodem, o lekko miętowym smaku. – Nesmucie, to prawda, potrzebujemy przewodnika po mieście, kogoś, kto zna je od podszewki. Ale nasza sprawa jest bardzo delikatna i ten przewodnik... to musi być ktoś, komu będziemy mogli zaufać, ktoś, kto potrafi dochować tajemnicy.

Jego oczy zrobiły się okrągłe.

– Potrafię dochować tajemnicy! – oświadczył z zapałem, tłukąc się pięścią w pierś. – Potrafię, daję słowo.

Pokręciłam głową.

– Nie, nawet obietnica nie wystarczy. To zbyt poważna sprawa.

– Przysięgnę na Serapisa, boga umarłych. – Nesmut skulił się i ukląkł na niskim krześle, podciągając pod siebie bose stopy. – Złożę najstraszniejszą przysięgę, jaką znam, łaskawa pani!

Zastanowiłam się i w końcu pokiwałam głową, robiąc bardzo surową minę.

– Zgoda. Przysięgnij.

Nesmut podniósł rękę i z ogromną powagą wyrecytował po menechetańsku długą przysięgę.

– Dobrze – powiedziałam, gdy skończył. – Nesmucie, szukamy chłopca, d’Angelińskiego chłopca, który został sprzedany do niewoli w Iskandrii.

– Aha... – Z zawiedzioną miną opadł na krzesło. – Tak, łaskawa

pani. Tego, który dźgnął nożem kupca Choumę?

Uniosłam brwi.

– Wiesz o tym?

Nesmut parsknął.

– Wszyscy wiedzą. Urzędnik Rechmire przemaszerował przez miasto do domu Choumy, prowadząc małą armię. Wszyscy wiedzą. Oprócz jaśnie państwa – dodał z pogardą. – Są zbyt zajęci małpowaniem Hellenów, wkradaniem się w łaski. Ich nie obchodzi, czego ludzie faraona chcą od menechetańskiego handlarza niewolników. Ich nie obchodzi, że trzecia nałożnica Choumy będzie miała blizny.

– To tyle, jeśli chodzi o dyskrecję – powiedział do mnie Joscelin.

– Prawda – przyznałam. – Nesmucie, co mówią o tym ludzie? Czy wiedzą, gdzie można znaleźć chłopca?

– Nie. – Pokręcił głową, zajęty nalewaniem piwa do swojego kubka. Nasz młody przewodnik był mocno spragniony. Zerknął na Joscelina, pytając o pozwolenie, a potem skinął na właściciela, prosząc o następny dzban. – Nie, łaskawa pani, tego nikt nie wie. Ale powiadają... – Popatrzył na nas z ukosa i umilkł.

Właściciel przyszedł z nowym dzbanem. Nesmut zaczekał, póki nie odejdzie, i odprowadził go wzrokiem.

– Nesmucie – przynagliłam delikatnie. Z niechęcią spojrzał mi w oczy. – Jeśli się boisz powiedzieć, przysięgam, nie wyjawię, że wiem to od ciebie. Przysięgam na imię Błogosławionego Elui, a takiej przysięgi żaden D'Angelin nie złamie.

Chłopiec zapatrzył się w kubek, opuszczając głowę tak nisko, że włosy przysłoniły mu twarz.

– Powiadają – szepnął – że D'Angelinowie, którzy przybyli, ci inni, szukają chłopca. Po cóż by innego akurat wtedy Rechmire miał chodzić do domu Choumy? Więc to prawda. A czyjego imienia nikt, kto ceni sobie życie, nie zdradzi ludziom faraona? – Jego głos opadł do szeptu. – Faraona.

To miało sens, choć wolałabym, żeby nie miało. Sama powinnam o tym pomyśleć. Terre d'Ange nie zezwala na handel D'Angelinami. Jeśli faraon miał kaprys posiadać d'Angelińskiego niewolnika, z pewnością nie chwaliłby się tym przed światem.

„Fadil Chouma miał na myśli kupca, jednego, zważ, tylko jednego...”.

Jeśli faraon kupił Imriela, odbyło się to w sekrecie, bez wątpienia z zapewnieniami Choumy, że chłopiec jest nikiem, zwykłym pastuszkim, którego nikt nie będzie poszukiwał. Pomyślałam o innych, o dzieciach znalezionych w Amilcarze. Taka byłaby prawda, gdyby padło na któreś z nich. Ale nie, Chouma wybrał Imriela. Teraz w progi faraona zawitała delegacja, oferująca intratne prawa handlowe w zamian za zwrócenie chłopca.

– Eluo! – zawołał Joscelin. Wyglądał jak chory. – Jeśli to prawda, nigdy się do tego nie przyzna.

– Nie – odparłam. – Będzie okazywał chęć współpracy. I przypuszczam, że za sugerowanie czegoś innego można zapłacić głową. Nie – westchnęłam – za późno na dyplomację. Najpierw musimy się dowiedzieć, czy to prawda.

– A jeśli tak? – Joscelin uniósł brwi.

– Będziemy musieli go wykraść – odparłam. Nesmut pisnął ze strachu. Popatrzyłam na niego łagodnie. – Mówiłam, że sprawa jest poważna.

Z jego miny poznałam, że całkowicie się ze mną zgadza.

TRZYDZIEŚCI DWA

Najpierw musieliśmy wybadać, czy Imriel de la Courcel rzeczywiście przebywa w pałacu faraona.

Po początkowym szoku Nesmut okazał się cennym sojusznikiem; dobrze zrobiłam, obdarzając go zaufaniem. Przysięga była wiążąca, a prawie dorosły Nesmut traktował ją z chłopięcą powagą i męskim poczuciem obowiązku.

Gdy tylko zajął się sprawą, przypomniał sobie o wielu znajomych w pałacu: pracze, pomocniku kucharza, ogrodniku, piwowarze. Lista nie miała końca. Był taki, jak myślałam – sympatyczny i bystry, znający połowę mieszkańców miasta. Kiedy nie oprowadzał cudzoziemców po Iskandrii, przyjmował drobne zlecenia, przynosił wiadomości i sprzedawał plotki.

Jak Hiacynt.

Gdy poczuł ducha konspiracji, oczy mu rozbłysły i musiałam przypomnieć, żeby ściszył głos i mówił o naszym planie w ogólnikach. Inni klienci być może nie znali helleńskiego, ale wolałam nie ryzykować. Eluo, był taki młody! To mnie niepokoiło.

– Nikomu nie wolno podejmować najbliższego ryzyka, żeby zdobyć te informacje – przykazałam – rozumiesz? Nikomu, zwłaszcza tobie.

Usłyszałam w głowie echo głosu mojego pana Delaunaya. Wiele razy przy różnych okazjach powtarzał mi to samo. Zwykle nie zwracałam uwagi na jego przestrogi.

– Słyszę, łaskawa pani. – Nesmut energicznie pokiwał głową. – Nie

ryzykować. Tylko obserwować.

I to także zabrzmiało znajomo, przypominając mi o zuchwałej pewności siebie z czasów mojej młodości. Potrafiłam dostrzec tę ironię. Melisanda Szachrizaj nauczyła Delaunaya wykorzystywać ludzi do własnych celów – wykorzystywał mnie i Alcuina, bezwzględny i nękania poczuciem winy, dotrzymując przysięgi, o której zapomniała reszta świata. Miał niewielki wybór, bo drzwi do sfer, których sekrety pragnął poznać, zostały przed nim zamknięte.

Tak samo jak przede mną zamknięte były drzwi do tajemnic faraona.

Musiałam wykorzystać Nesmuta, żeby zyskać dostęp do dolnej warstwy menechetańskiej społeczności i tropić te sekrety we wszystkich możliwych zakamarkach, aby dotrzymać przysięgi złożonej Melisandzie Szachrizaj.

Tak, potrafiłam dostrzec tę ironię.

– Nesmucie, dlaczego jubiler Karem odwrócił kamienie, gdy weszliśmy do sklepu? – Joscelin umyślnie zmienił temat, okazując szczere zaciekawienie.

Popatrzyłam na niego z wdzięcznością, dobrze wiedząc, że odgadł moje myśli.

– Ach, o to chodzi. – Chłopak uśmiechnął się szeroko. – Łaskawa pani, Karem robi... jak powiedziałaś? Kamee? Portrety, tak, rzeźbi portrety królowej dla jej wielbicieli. Gdyby spojrział na nie ktoś tak piękny jak ty... – Klasnął językiem i pstryknął palcami. – Kamień pękłby z zazdrości.

– Aha. – Joscelin obrzucił mnie rozbawionym spojrzeniem. – Rozumiem.

– Dobrze wiadomo – podsunął Nesmut uczynnie – że takie rzeczy się zdarzają.

Uznałam, że najwyższa pora wrócić do gospody Metrichy i naradzić z Amauryem Trente. Nesmut miał mnóstwo planów i pomysłów w związku ze swoim zadaniem, dlatego chętnie zgodził się opuścić nasze

towarzystwo. Uregulowaliśmy należność, Nesmut wyprowadził nas z piwiarni... i nagle stanął jak wryty, smukłym brązowym palcem nakazując nam zrobić to samo.

– *Skotophagotis!* – syknął, przyciskając się do muru i gorączkowymi gestami przywołując nas do siebie.

Joscelin odruchowo wyciągnął sztylety i ugiął nogi w kolanach. Stojąc za nimi, zerkałam nad ich ramionami.

Na końcu ulicy, która przecinała kanał, pojawił się samotny mężczyzna w luźnej czarnej szacie, oświetlony skośnymi promieniami. Blask popołudniowego słońca odbijał się dziwnie od jego głowy, lecz nie mogłam dojrzeć, dlaczego; albo czaszkę miał ogoloną na łyso i natartą olejem, albo nosił jakieś niezwykle nakrycie głowy. Zatrzymał się, rozejrzał i ruszył przed siebie, postukując długą, okutą żelazem laską z obsydianową gałką.

Nesmut odetchnął i odprężył się, gdy mężczyzna zniknął z pola widzenia. Opuścił rękę.

– *Skotophagotis?* – zapytałam. Joscelin wyprostował się i schował sztylety. Słowo było helleńskie, ale nie znałam go. – Pożeracz ciemności?

– Łaskawa pani, nie pytaj. – Nesmut drżał od stóp do głów. – Są rzeczy powszechnie znane. Nie patrz na portret królowej, żeby kamień nie pękł z zazdrości. Nie przecinaj cienia *Skotophagotis*, żebyś nie umarł przed zachodem słońca. Chodźmy, zaprowadzę was do *kyrii* Maharet.

To na pewno jakiś kapłan Serapisa, pomyślałam, boga umarłych. Menechetańczycy mają obsesję na punkcie śmierci i znaczną część życia spędzają na przygotowaniach do niej. Dynastia Ptolemeuszów postąpiła mądrze, łącząc kult Serapisa z kultem Dis, bóstwa helleńskiego. Przypuszczam, że w dzisiejszych czasach nawet sam faraon nie wiedział, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie. Ptolemeusze stali się Menechetańczykami w znacznie większym stopniu, niż sądzili. Jakżeby inaczej, po półtora tysiącu lat? Ale ja,

która przeżyłam spotkanie z tajemnicami Temenos na wyspie Kriti, wiedziałam co nieco o wciąż żywym kulcie najstarszych potomków Hellady.

Może Serapis był podobny do mojego pana Kusziela, który kiedyś w służbie u jezuickiego Boga Jedynego strzegł mosiężnych wrót piekieł? Jeśli tak, pomyślałam, jestem mu winna modlitwę. Tylko że wciąż byłam zła na Kusziela, którego sprawiedliwości nadal nie potrafiłam pojąć. Jeśli znane mi wydarzenia wiodły do jakiegoś ważniejszego celu, ja nie umiałam go dostrzec.

Takie myśli chodziły mi po głowie, gdy wróciliśmy na ulicę Pomarańczy i Nesmut przekazał nas pod opiekę pani Maharet, inaczej Metrichy, a ona przyjęła nas gościnnie. Nesmut obiecał, że wróci jutro rano, i musiałam się tym zadowolić. Zastanawiałam się, czy mój pan Delaunay miał te same złe przeczucia, gdy przepelniona radością wychodziłam na jakieś niebezpieczne spotkanie.

Czułabym to samo, gdybym wiedziała, dokąd *Lungo Drom*, cygańska Długa Droga, zaprowadzi Hiacynta. Ale wtedy byłam młodsza i znacznie głupsza.

– Wiesz, kogo mi przypomina? – zapytał Joscelin, gdy Nesmut ostatni raz błysnął uśmiechem w gęstniejącym mroku.

– Tak – odparłam cicho. – Wiem.

– Cóż. – Popatrzył na mnie. – Musimy porozmawiać z Amaurem Trente.

Tego wieczoru dowiedzieliśmy się przy kolacji, że pan Amaury rozmawiał z ambasadorem de Penfars. Wyglądało na to, że faraon ma wielu niebezpiecznych wrogów, ale faworytem Raifa Laniola był niejaki generał Hermodorus z rodu Ptolemeuszów, mający prawo ubiegać się o władzę, gdyby tron nagle opustoszał.

– Hrabia Raif sugeruje, że możesz wraz z messire Joscelinem spotkać się z generałem, pani – powiadomił mnie Amaury. – My nie możemy, gdyż byłoby to obrazą dla faraona. Jeśli arystokraci będą

robić jakieś uwagi, to na pewno założą, że konkurujecie z naszą misją i zabiegacie o względy przeciwników faraona.

– Jutro wyślemy list zapowiadający – odparłam. – Panie Trente, dziś Wam inną teorię, z menechetańskiego źródła.

– Tak? – zapytał, zaciekawiony.

Zauważyłam, że pani Denise Fleurais, która mówiła o podziale społeczeństwa na menechetańskie i helleńskie, nadstawiała ucha. Zobaczyła też, że menechetański sługa, ten sam, który usługiwał nam wczorajszego wieczoru, ociąga się z odejściem po nalaniu piwa. Rozmawialiśmy po d’Angelińsku. Podjęłam w tym samym języku, nie zmieniając tonu:

– Panie, w kącie jest wąż.

Połowa towarzystwa usłyszała i drgnęła, rozglądając się po kątach; Joscelin błyskawicznie zerwał się od stołu ze sztyletem w rękę, gotów nim rzucić. Nie spuszczałam oka z Menechetańczyka i zobaczyłam, że nie zareagował na moje słowa, tylko z konsternacją przyglądał się delegatom.

Ostrożności nigdy za wiele.

– Jaki wąż? – zapytał Amaury Trente z irytacją, na wpół podnosząc się z krzesła. – W którym kącie?

– Wybacz, panie – powiedziałam. – Zdawało mi się, że widziałam coś w cieniach, i... – nieznacznym ruchem głowy wskazałam Menechetańczyka – musiałam to sprawdzić.

Amaury usiadł, wreszcie rozumiejąc. Melisanda miała rację, nie był zbyt bystry. Z drugiej strony, wysoko urodzeni z reguły zapominają, że ci, którzy im usługują rękami i nogami, mają także oczy, uszy i rozum. Joscelin pokręcił głową, chowając sztylety i siadając do stołu. Zaczekałam, aż wszyscy zajmą miejsca.

– Ludność w mieście jest przekonana – zaczęłam cicho – że faraon zabrał chłopca dla siebie i tylko udaje, że nic nie wie.

Nie przyszło im to na myśl, poznałam po minach. Nie byłam zdziwiona, bo przecież ja też o tym nie pomyślałam. Może Amaury

Trente nie był zbyt bystry, ale nie zaliczał się do głupich. Dość szybko zrozumiał konsekwencje i jego twarz spoważniała.

– Jeśli tak, to chłopiec jest stracony – rzekł ponuro. – Ptolemeusz Dikajos nigdy się nie przyzna. A my trzymaliśmy karty zbyt blisko przy orderach, żeby teraz grozić zerwaniem negocjacji z powodu zwyczajnego niewolnika. – Pokręcił głową. – Ysandra jasno dała to do zrozumienia. Nie chciała, żeby wyszło na jaw, kim jest chłopiec. Jeśli ujawnimy, jakie ma znaczenie... Eluo! Jest żywym celem, a królowa nijak nie może go chronić. A gdyby ktoś wykorzystał go przeciwko niej...

– Wiem, panie. Wierz mi, wiem. Robię wszystko, co w mojej mocy, żeby sprawdzić, czy ta pogłoska jest prawdziwa.

– A jeśli tak? – zapytała pani Denise Fleurais.

Spojrzałam jej prosto w oczy.

– Zrobimy wszystko, co będzie konieczne. Słudzy Naamy umieją znaleźć wejście do każdego pałacu, a to, co zostało skradzione, zawsze może zostać wykradzione. Skoro faraon nie przyznał się do zysku, nie będzie mógł przyznać się do straty.

– Jak... – zaczął pan Amaury i urwał w pół zdania. – Nie, mniejsza tym. Porozmawiamy o tym później, jeśli przyjdzie co do czego.

– Dziękuję, panie. – Skłoniłam głowę w jego stronę. Amaury westchnął i wbił zadumane spojrzenie w Joscelina i mnie.

– Jutro rano pomówię z Raifem Laniolem i zapytam, czy jego zdaniem pogłoska może mieć jakieś podstawy. Mów, co chcesz, hrabino, ale wydaje się, że kłopoty jak wierny kochanek podążają za tobą i obecnym tutaj messire kasjelitą.

Żadne z nas nie zaprzeczyło.

Dopiero gdy leżeliśmy w łóżku, Joscelin wrócił do tego tematu.

– Co będzie, jeśli przyjdzie co do czego, Fedro? – zapytał, wspierając się na łokciu i patrząc na mnie. – Czy zgodzisz się na spotkanie, żeby zdobyć dostęp do seraju faraona? Czy bezpieczeństwo syna Melisandy jest tyle warte?

Bawiłam się kosmykiem włosów Joscelina, unikając jego pochmurnego spojrzenia. Jeszcze mu nie powiedziałam, że dałam słowo Melisandzie. Biorąc pod uwagę wszystko, co łączyło i dzieliło nas troje, wyznanie było zbyt trudne.

– Spotkanie nie będzie konieczne. Może wystarczy wprawić otoczenie faraona w przekonanie, że istnieje taka możliwość. Najpierw spróbuję tej drogi.

– A jeśli trzeba będzie czegoś więcej? – zapytał cicho.

– Nie wiem. – Spojrzałam mu w oczy. Musiałam. – Joscelinie, Imriel jest dzieckiem. Widziałeś dzieci uratowane w Amilcarze. W jego przypadku będzie gorzej, znacznie gorzej. Czy to ważne, czyim jest synem? Naama kładła się w oberżach z plebejuszami, kiedy Błogosławiony Elua głodował. Czy ja... – głos mi się załamał – czy ja powinnam mieć skrupuły?

Po chwili milczenia pokręcił głową.

– Nie.

– Uwolnienie go całego i zdrowego spadnie na ciebie. Obojętnie, jakimi środkami.

Joscelin uśmiechnął się.

– Czyżbyś we mnie wątpiła?

– Nie – zapewniłam żarliwie, obejmując go za szyję.

Nie wątpiłam. Przyszedł po mnie do La Dolorosy, więziennej fortecy, której nikt nie mógł zdobyć. Joscelin tego dokonał, przechodząc pod wiszącym mostem. Jeśli dojdzie co do czego, to w porównaniu z tamtym wyczynem uwolnienie Imriela de la Courcel z pałacu faraona bedy drobnostką.

– Ani przez chwilę.

– W takim razie jesteśmy zgodni. – Pochylił głowę, żeby mnie pocałować.

Przytrzymałam go mocno, modląc się, żeby tak było.

TRZYDZIEŚCI TRZY

Nesmut zjawił się rankiem i powiedział nam, że rozpuścił wieści i jego znajomi przeprowadzą zwiad w pałacu faraona. Córka praczki, przyjaciółki jego matki, zajmująca się polerowaniem srebrnych i pozłacanych lamp w pałacu, uważała, że zdoła załatwić spotkanie w kwaterach nałożnic. Nesmut niemal pękał z podniecenia, z ledwością nad sobą panując.

Przestrzegłam go znowu w najbardziej dobitnych słowach i widziałam, jak płoną mu oczy, choć kiwał głową na znak posłuszeństwa. Joscelin poparł mnie, muskając ręką sztyletów i przypominając, kto będzie winny, jeśli nasze poszukiwania wyjdą na jaw. Nesmut popatrywał na niego nieufnie i widać było, że jego słowa wziął sobie bardziej do serca niż moje.

Byłabym rozbawiona, gdybym tak mocno się nie martwiła; Joscelin prędzej uciąłby sobie rękę niż skrzywdził chłopaka, ale Nesmut nie musiał o tym wiedzieć. I muszę przyznać, że Joscelin umiał robić całkiem groźną minę, gdy chciał. Dziesięć lat życia ze mną nie stąpiło skraju bezwzględnej kasjelickiej dyscypliny.

Wyprawiliśmy Nesmuta z pękata sakiewką, nabitą głównie miedziakami z kilkoma srebrnymi obolami. Ruszył truchtem, uśmiechając się szeroko i obmacując podzwaniający trzos. Pokręciłam głową, czując ciężar w sercu, i skreśliłam list do generała Hermodorusa i jego małżonki.

Później, ponieważ nic więcej nie mogłam wskórać, udałam się z panią Denise Fleurais do łaźni.

W Iskandrii jest wiele łaźni, a tę nasza gospodyni Metricha poleciła jako odpowiednią, odwiedzaną przez kobiety ze średniej arystokracji. Była zbudowana w stylu tyberyjskim, z trzema basenami z wodą chłodną, letnią i gorącą.

Tutaj był świat inny od tego, jaki wczoraj pokazał nam Nesmut. Tutaj nie było mężczyzn, z wyjątkiem służących, cichych i dyskretnych. Kobiety, młode i starsze, gawędziły po helleńsku, od czasu do czasu wtrącając mechetańskie słowo. Kazałyśmy stangretowi zatrzymać się przed łaźnią i uiścićśmy należność. Sługa powitał nas z ukłonem przed drzwiami przebieralni, podając nam grube bawełniane ręczniki i szaty z cienkiego płótna. Rozpoczynanie kąpieli od zimnej wody frigidarium jest syberyjskim zwyczajem, który zawsze uważałam za przesadnie rygorystyczny. Poszłyśmy prosto do caldarium z wielkim basenem. Tutaj przebywała większość klientek. Rozmowy przycichły, gdy weszłyśmy do nagrzanej komnaty, ale zaraz zostały podjęte z nowym ożywieniem. Patrząc na Denise, mogłam zrozumieć dlaczego. Jej inteligentną twarz cechowało surowe piękno, a orzechowe oczy płonęły nawet w kłębach pary. Niewymuszony wdzięk, z jakim spięła włosy na czubku głowy, zbłąkany lok wijący się po jej ramieniu, gdy zsunęła szatę...

Byłyśmy D'Angelinami. To wystarczyło.

Ozdobione rybkami kafelki pod moimi bosymi stopami były śliskie i ciepłe, rozgrzane przez niewidoczne hipokaustum. Zsunęłam szatę z ramion i zeszałam po stopniach do parującej wody, nie zwracając uwagi na zbiorowe poszeptywanie.

– To twoja marka, hrabino. – Zanurzając się z westchnieniem zadowolenia, Denise popatrzyła na mnie z rozbawieniem. – Nie widziały wcześniej czegoś takiego.

Czasami sama o tym zapominam.

W naszą stronę ruszyły dwie menechetańskie damy, rozchichotane i ośmielające jedna drugą. Odważniejsza podeszła bliżej i zwróciła się do nas w bezbłędnym helleńskim.

– *Kyria*, zastanawialiśmy się z przyjaciółką, czy jest zwyczajem wśród d’Angelińskich kobiet... – wskazała na mnie brodą – tak się zdobić?

Otworzyłam usta, ale Denise mnie ubiegła.

– To marka Naamy, która jest naszą boginią rozkoszy – odparła szczerze – A hrabina Fedra nó Delaunay de Montrčve przysięgła jej służyć. Czy macie podobny kult w Menechecie?

– Nie! – odparła ta wstydlawsza, a potem obie wybuchły śmiechem, obejmując się. – Zatem to prawda? Wasi bogowie żądają, żebyście służyły... – ściszyła głos – w sypialni?

Uniosłam brwi i spojrzałam na Denise.

– Tak – odparła beznamiętnie. – Ale robią to tylko najszlachetniejsze i najpiękniejsze, jak pani Fedra. Czy nie widzicie, że jest wprost stworzona, by służyć księżetom i królom?

Ich rozweselone miny mówiły, że widzą. Ta śmielsza spytała, czy może dotknąć marki; jeśli jedna mogła, chciały wszystkie pozostałe. Znosiłam to z wdziękiem, stojąc po pas w parującej wodzie, a delikatne ręce gładziły moją skórę, śledząc zarys eleganckich linii wzdłuż kręgosłupa. To wyjątkowa udręka dla *anguisette*.

– Nie czuję różnicy! – zawołała ze zdumieniem ta śmielsza. – Myślałam, że będzie wypukła, jak blizna... Ciociu, chodź tutaj, dotknij, jej skóra jest gładka niczym jedwab – dodała i przeszła na menechetański przywołując sędziwą matronę o obwisłych piersiach i jasnych, zaciekawionych oczach. Kobiety tłoczyły się wokół mnie, wydając okrzyki zdziwienia i przepychając się jedna przez drugą.

– Po to mnie tu przyprowadziłaś? – zapytałam Denise Fleurais.

– Moja matka była adeptką Domu Przystępu – odparła po d’Angelińsku, patrząc na mnie z przebiegłym błyskiem w oku. – Może Amaurego Trente nie obchodzi, w jaki sposób dostaniesz się do komnat faraona, ale ja jestem zainteresowana. Jeśli zamierzasz zabrać swojego kasjelitę, będziesz musiała uśpić podejrzenia. Niech wszyscy wiedzą, że jesteś perłą o niezrównanej wartości, której

należy strzec nadzwyczaj pilnie. W handlu, chcąc zyskać jak najwięcej, trzeba na samym początku podać jak najwyższą cenę.

– Aha. – Odwróciłam się do swoich wielbicielek, grzecznie skłaniając głowę. Zaspokoiwszy ciekawość, pogodziły się z tą milczącą odprawą i odeszły, śmiejąc się i chlapiąc wodą. – Nie podjęłam decyzji – powiedziałam do Denise. – Jest na to za wcześnie.

– Tak, na podejmowanie decyzji. – Wzruszyła ramionami, wynurzając się z wody. – Ale nie na kładzenie podwalin. – Popatrzyła na mnie przez woale pary. – Jej Wysokość przydzieliła mnie do tej delegacji, bo znam się na sprawach handlowych – wyjaśniła cicho. – Cokolwiek wyniknie, królowa nie życzy sobie, żeby cruarcha Alby stracił na wymianie towarów z Menechetem. Z drugiej strony, kupiec umie odgadnąć sekretne pragnienia serca klienta. Wiem, że Jej Wysokość chce, by chłopiec, Imriel, zajął należne mu miejsce. Nie udaję, że rozumiem, jakie pragnienie kieruje tobą, hrabino, ale zostałam zobowiązana do odnalezienia chłopca. Jeśli jesteś gotowa ponieść koszty, nie lekceważ mojej rady.

Kobiece głosy niosły się nad wodą caldarium, niefrasobliwe i wesołe. Patrzyłam na Denise w milczeniu. Myślałam o dzieciach znalezionych w Amilcarze. Myślałam o obwieszonym klejnotami i nieznanym mi faraonie. Skóra mrowiła mnie od dotyku obcych rąk. Myślałam o dzielnym uśmiechu Nesmuta, który tak bardzo przypominał mi Hiacynta. Myślałam także o Melisandzie Szachrizaj, zamykającej oczy w bólu, i o jej ustach na moich.

I o Joscelinie. Zawsze o Joscelinie.

– Nie wiem, czy chcę ponosić koszty – odpowiedziałam szczerze.

– Nie? – Denise Fleurais wygięła wargi w uśmiechu. – Większość ludzi nie chce, dopóki umowa nie zostanie zawarta. Nie mogę podjąć decyzji za ciebie. Ja nie ustalam warunków, tylko stwarzam okazję.

Jej słowa towarzyszyły mi, gdy poszłam zanurzyć się w chłodniejszej wodzie tepidarium, i długo potem. Myślałam o tym wcześniej, oczywiście, pani Denise miała rację. Ale minął długi czas,

odkąd sprzedawałam się tylko z miłości albo dla przyjemności służby Naamie. Gdy byłam młodsza, robiłam to bez namysłu. Teraz było inaczej.

Ale zadręczanie się nie miało sensu, bo nie mogliśmy nic przedsięwziąć, dopóki nie zyskamy pewności, że Imriel de la Courcel przebywa w pałacu faraona... a w tej sprawie, ku mojej wielkiej irytacji, nasze śledztwo utknęło w miejscu.

Nesmut zdał raport nazajutrz. Nie miał wesołej miny. Jego znajomi byli skorzy do udzielenia pomocy, gdyż rozumieli to jako formę ukrytego wyzwania rzuconego arystokracji. Niestety, nikt w pałacu nie widział d'Angelińskiego chłopca, a Nesmut zapewnił mnie, że po wizycie w łaźniach, gdy zaczął krążyć opis mojej osoby, ludzie mieli lepsze pojęcie na temat wyglądu D'Angelinów.

Choć nie liczyłam na wiele, zwerbowałam Nesmuta do pomocy w znalezieniu domu generała Hermodorusa i przepytaniu jego sług.

Nasz list dotarł do adresata i niedługo później napłynęło zaproszenie na kolację, w której miało uczestniczyć kilkoro przyjaciół gospodarzy. Naturalnie, przyjęliśmy je i umówiliśmy się z Nesmutem, że tego wieczoru będzie nam towarzyszyć, niosąc pochodnię do oświetlania drogi.

O spotkaniu tym powiem tylko tyle, że okazało się nużące i niczego nie wniosło. Poznałam wielu menechetańskich malkontentów, którzy z kolei pragnęli poznać przyczyny naszej wizyty w Iskandrii. Uśmiechłam się i aluzyjnie dawałam do zrozumienia, że Ysandra de la Courcel, mądra i łaskawa królowa Terre d'Ange, nie ma zamiaru ingerować w polityczne sprawy Menechetu, lecz tylko handlować swobodnie z tym, kto trzyma władzę. Kto wie? Zapewne tak wyglądała prawda.

Większość pytań kierowali do Joscelina, wypytując o d'Angelinskie sojusze i taktykę bitew. Czego nie wiedział, to zmyślał, opisując fantastyczne, z pewnością nieistniejące maszyny wojenne.

Generał Hermodorus miał pałakowate nogi, wydatny brzuch i skupione oczy pod zrosniętymi nad nosem brwiami. Towarzysze zwali go Horusem; był to menechateński żart, którego nie rozumiałam. Nie wzbudził ani mojej sympatii, ani antypatii. Jego żona, Gyllis, mówiła wyłącznie szeptem; pomyślałam, że byłoby mi jej żal, gdybym znała ją lepiej. Tak oto jedliśmy i prowadziliśmy puste rozmowy, a moje serce przez cały czas łomotało na myśl, że Nesmut w kuchni zapija chleb piwem i niewinnie wypytuje służbę generała.

Nie musiałam się martwić. Nesmut czekał przy drzwiach, gdy się pożegnaliśmy, trzymając zapaloną pochodnię, żeby oświetlać nam drogę do domu. Z zawiedzioną miną spojrzał mi w oczy i uklonił się, niedostrzegalnie kręcąc głową. Nie byłam zaskoczona. Generał Hermodorus, niezależnie od swoich uczuć do faraona, nie zrobił na mnie wrażenia człowieka, który podejmuje ryzyko, żeby dać upust cielesnym namiętnościom.

Jedyny wart odnotowania szczegół, choć bez większego znaczenia, został zauważony tylko przeze mnie. W domu generała Hermodortisa służyła Hellenka z wyspy, zdobyta w wyniku potyczki, której nie potrafię nazwać. Nie zwróciłabym na nią uwagi, gdyby nie zawahała się, stawiając talerz na stole przede mną. Gdy jej podziękowałam, pochyliła głowę w ukłonie.

– *Lypiphera* – szepnęła i ruszyła dalej.

Znosząca ból.

Tak zostałam nazwana tylko raz, na wyspie Kriti, przez niewolników.

Nie wiem, skąd wiedzieli.

TRZYDZIEŚCI CZTERY

Minął tydzień, w ciągu którego ani trochę nie zbliżyliśmy się do celu; za kilka dni musieliśmy wyjechać albo zrezygnować z miejsca w karawanie Radiego Arumi.

Pan Amaury Trente znów targał czuprynę.

Zniechęcona, poprosiłam Nesmuta o umówienie spotkania z wdową po Fadilu Choumie i służenie nam za tłumacza. Spełnił moją prośbę, ale spotkanie okazało się bezowocne. Zabraliśmy podarki w postaci słodyczy, d'Angelińskich tkanin i dzbanów menechetańskiego piwa, i spędziliśmy popołudnie na prawieniu uprzejmości i nic niewnoszących dociekaniach. Żona Choumy zachowywała stoicką minę, a nałożnice chichotały i szeptały, zasłaniając usta dłońmi – z wyjątkiem jednej, która skrywała twarz za woalem i nic nie mówiła. „Nie obchodzi ich, że trzecia nałożnica Choumy będzie miała blizny”, powiedział Nesmut.

Mnie to obchodziło. Trzecia nałożnica Fadila Choumy milczała. Nie powiedziała złego słowa o faraonie, podobnie jak pozostałe kobiety, choć wciąż poszeptywały. Nesmut tylko ze smutkiem kręcił głową. Jedynym godnym uwagi zdarzeniem związanym z tą wycieczką było to, że mieliśmy okazję zobaczyć następnego z tych strasznych kapłanów, których bał się Nesmut. Mężczyzna szedł śmiało środkiem ulicy Urn Kanopskich.

To najszersza ulica w Iskandrii, obstawiona ogromnymi posągami menechetańskich bóstw, których oblicza zdradzają wpływy helleńskie. Zobaczyłam kapłana, zanim Nesmut syknął ostrzegawczo:

– Skotophagotis!

My, D’Angelinowie, jesteśmy bękartami z linii Boga Jedynego, wychowanymi w szacunku do wszystkich bogów. Niewiele myśląc, skręciłam pod ścianę, a Joscelin za mną, tym razem nie sięgając po sztylety. Nesmut przykucnął, wyzywająco szczerząc zęby. Tym razem mogłam lepiej przyjrzeć się kapłanowi. Nie wyglądał na Menechetańczyka, zauważyłam ze zdziwieniem. Skórę miał jaśniejszą i nosił kędzierzawą, przyciętą prostokątnie brodę. Z bliska zobaczyłam, dlaczego słońce lśni dziwnie na jego głowie – miał kościany hełm, czaszkę dzika albo jakiegoś innego zwierzęcia, z tabliczkami kości słoniowej na złotych drucikach.

A potem nadjechał rydwan, zmierzający na igrzyska odbywające się co tydzień w wielkim amfiteatrze w Iskandrii. Woźnica z zielonymi wstążkami zawiązanymi na ramionach klął, ciągnąc cugle. Spienione konie galopowały, gryząc wędzidła i potrząsając głowami.

Była to para dobranych kasztanów. Pamiętam je dobrze, fruujące płaty piany, upał i pył. Pamiętam zapach rozgrzanej końskiej skóry. *Skotophagotis* stał bez ruchu z podniesioną laską. W południowym słońcu jego skrócony cień leżał na drodze jak wycięty nożem, czarny niczym smoła i nieruchomy, przecinając drogę woźnicy.

Nesmut pisnął przeraźliwie i zacisnął zęby na dłoni, żeby nie krzyknąć.

Woźnica zaklął po menechetańsku i strzelił z bata.

Skotophagotis pochylił głowę, słońce zalśniło na pożółkłej kości. Usunął się z drogi, rydwan przemknął błyskawicznie. Nesmut pociągnął mnie za rękę i wymamrotał:

– Nie patrz, nie patrz, pani, nie przetnij jego cienia.

Wtedy jego słowa nie miały znaczenia. Miałam zrozumieć je później.

Pan Amaury Trente był w paskudnym nastroju, gdy wieczorem jedliśmy kolację w gospodzie Metruchy, i nie mogłam mieć o to do

niego pretensji. Poszukiwania Imriela de la Courcel stanęły w miejscu, natomiast negocjacje handlowe musiały posuwać się do przodu, gdyż inaczej wysłannicy królowej straciliby wiarygodność w oczach Menechetańczyków. Z tego względu prawie nie widywałam Denise Fleurais, która od trzech dni była najbliższą mi osobą w gronie delegatów. Ysandra nie życzyła sobie, żeby Drustan poniósł jakiegokolwiek straty, a jej życzenie było dla wszystkich rozkazem.

Oczywiście, od czasu naszej wizyty w łaźni pogłoski obiegiły miasto i w Iskandrii zastanawiano się, czy dla osłodzenia negocjacji zaoferują swoje dary faraonowi. Propozycja, poszeptowano, nie została źle przyjęta.

Joscelin też to słyszał, ale nie wiem, co sobie myślał. Po ostatniej rozmowie znał moje stanowisko, później nie wracaliśmy do tematu. Posłuchałam własnej rady. Ani jeden znajomy Nesmuta nie potwierdził, że Imri przebywa w pałacu, a skoro go tam nie było, nie miałam zamiaru ponosić osobistych kosztów.

– Chce cię poznać, Fedro. – Pan Amaury Trente podniósł kubek z piwem i przyjrzał mu się z dezaprobatą. – Eluo, co ja bym dał za kieliszek czerwonego namareńskiego! Powinniśmy zabrać beczułkę. Mniejsza z tym... Zdaje się, że wieści doszły do ucha faraona, który dziś powiedział ambasadorowi de Penfars, iż pragnie zobaczyć tę perłę d'Angelińskiego
piękna. Zwłaszcza że widział cię generał Hermodorus.

Skubałam rybę na talerzu, oddzielając delikatne mięso od niezliczonych ości.

– Skoro tak, może mnie zobaczyć. Skoro władca Menechetu wzywa mnie przed swój majestat, raczej nie mogę odmówić.

– A jeśli poprosi o coś więcej? – zapytał Amaury. – Hrabia Raif sądzi, że może to zrobić. Słyszał, jak się zdaje, o służbie Naamie.

Na drugim końcu stołu Denise Fleurais kaszlnęła dyskretnie. Nie zwracając na nią uwagi, spojrzałam Amauremu w oczy.

– Jako wolna D'Angelina nie jestem winna posłuszeństwa

Ptolemeuszowi Dikajosowi. Czy ambasador de Penfars radzi, żeby spełnić jego prośbę? Czy myśli, że faraon oniemieje na widok mojej urody i z własnej woli wyda chłopcę?

– Nie. – Pan Amaury miał żalostną minę. – Ale kończą nam się możliwości, Pani. – Uznał też... jesteś wprawna w sztuce szpiegowania. Mężczyznom rozwiązują się języki w chwilach namiętności... Eluo, nie wiem! Myślałem, kiedy przybyłaś... – Wzruszył ramionami. – Myślałem, że go znajdziemy.

– Tak ja, panie – mruknęłam. – Jak ja.

Amaury osuszył z westchnieniem kubek i wbijał wzrok w dno, dopóki służący nie dolał mu piwa. Odsunęłam talerz i popatrzyłam na Joscelina, który spoglądał na mnie z nieodgadnioną miną. Inni delegaci, mniej zaangażowani, śmiali się i rozmawiali, wesoło pobrzękując sztućcami. Ktoś, pan pomniejszego rodu, opowiadał o wydarzeniu dnia słuchaczom, którzy zastygli z grozy.

– ...Włókł go czterdzieści jardów, a może nawet więcej – mówił. – Gdy odcięli lejce od pasa, rodzona matka by go nie poznała.

– Powinnaś wysłać list zapowiadający – oznajmił nagle Amaury, unosząc głowę. – Przynajmniej tyle. Raif Laniol jest głupcem, skoro nie poradził tego wcześniej.

– ...Dobrane kasztany, piękniejszych nie widzieliście, szyje wygięte w takie wdzięczne łuki, że niejedna kobieta płakałaby z zazdrości, powiadam wam, i jeden złamał nogę, niemal sam się rozpłakałem...

– Oczywiście – odparłam z roztargnieniem – jeśli uważasz, że tak będzie najlepiej. Panie Amaury, o czym oni mówią?

– Co? – Amaury Trente patrzył na mnie przez chwilę bez śladu zrozumienia. – Aha! Zdaje się, że człowiek zginął w czasie wyścigów rydwanów. Jeden z woźniców. Okropny wypadek.

– Czy nosił zielone wstążki? – zapytałam drżącym głosem.

– Zielone wstążki? – Amaury ściągnął brwi i zapytał.

Pytanie obiegło stół i wróciła odpowiedź naszpikowana mnóstwem makabrycznych szczegółów. Tak, woźnica miał zielone wstążki

zawiazane na ramionach, przynajmniej w czasie jazdy. Zaplatal sie w lejce i konie go powlokly, gdy rydwan sie wywroutil. Kto moze powiedziec, jakiego koloru nabraly wstazki, kiedy nasiakly krwia?

Tak czy siak, mezczyzna nie zyly.

Wtedy musnelo mnie zimne piorko zlých przecuó.

– Panie Amaury, kim sa kaplani, ktorých miejscowi zwa Pozeraczami Ciemnoóci?

Nikt, jak sie okazalo, nie wiedzial tego na pewno; jedni nigdy nie spotkali sie z kimś takim, inni zaó, jak ja, zalozyli, ze sa menechetańskimi kaplanami, slugami Serepisa, pana umarlych. Wysluchalam ich wszystkich i dowiedzialam sie niewiele, ale zaczelam sie zastanawiac. Joscelin widzial to samo co ja. On tez sluchal i jego twarz wyrazala coraz wieksze zaniepokojenie, bedace odbiciem moich uczuó. Niewidzialny wzor wydarzen zaciskal sie wokol nas.

Tej nocy mialam sen.

Tym razem byl inny. Snialam nie o statku i wyspie, lecz o ulicy Urn Kanopskich, plaskiej i zalanej swiatlem poludniowego slonca, z gruba warstwa pylu pokrywajaca kamienie. Poórodku ulicy klęczala samotna postac z pochylona glowa. Zelazna obroza ciazyła na jej szyi, ogromna i okrutna, polaczona lancuchem ze skutymi rekami. Wlosy spadaly w czarnych lokach na chude ramiona.

– *Skotophagotis!* – powiedzial, a ja wiedzialam, ze to Nesmut.

Zrobilam krok do przodu, stopy ciazyły mi, jakby byly z ołowiu. Czarny cień padl na kamienne plyty, na klęczacego chłopca. Chłopiec uniosl glowe. Jego twarz przecinala czarna prega cienia, rzucana przez niewidzialna laskę. Oczy nad cieniem byly błękitne jak szafiry.

– *Lypiphera* – powiedzial glósem Hiacynta.

Zbudzilam sie drzaca i zaplakana, zamkneta w ramionach Joscelina.

Przytulal mnie, dopoki spazm nie minal. Moje kolaczace serce

powoli się uspokoiło, oddech zwolnił. Wysunęłam się z ramion Joscelina i stanęłam przed otwartym oknem, pozwalając nocnemu wiatrowi osuszyć skórę z potu.

– Od jak dawna nękają cię koszmary? – zapytał Joscelin za moimi plecami.

– Od wyjazdu do Miasta – odparłam. – Śniłam o Hiacyncie, zanim to wszystko się zaczęło.

– Powinnaś mi powiedzieć.

– Wiem. – Odwróciłam się i spojrzałam na niego. Siedział na łóżku, jego piękna twarz pociemniała z troski. – To nie ma znaczenia, naprawdę. Wcześniej też miewałam koszmary, przed La Serenissimą. Nie jestem jasnowidzącą. Sny nigdy nie mówią mi tego, o czym bym nie wiedziała. Pokazują mi rzeczy, których nie chcę przyjąć do wiadomości.

– A co ci powiedział ten? – zapytał z powagą dziecka.

Joscelin nigdy nie śmiał się z moich snów, obojętne, co mu mówiłam. Byliśmy razem zbyt długo. Zadrżałam i objęłam ramiona rękami.

– Nie wiem – szepnęłam. – Ale widziałam cień tego kapłana.

– *Skotophagotis* – powiedział i milczał przez chwilę. – Fedro, chodź spać. Myślę, że taką rozmowę lepiej odbyć w dzień.

Z całego serca przyznałam mu rację, wsuwając się do łóżka i w jego ramiona. Z głową na jego piersi wreszcie zasnęłam. Joscelin leżał z otwartymi oczami, patrząc w sufit, i nie wiem, jakie własne koszmary tam widział.

Rankiem nie rozmawialiśmy o tym.

Nesmut zjawił się pod koniec pory śniadaniowej, jak miał w zwyczaju, niespiesznym krokiem wchodząc do jadalni Metruchy. Zajął miejsce przy stole – byłam sama z Joscelinem, delegacja pana Amaurego już wyszła – i poczęstował się plackiem fasolowym, piętrząc na nim górę figowej galaretki. Zauważyłam, że ma nową

tunikę, białą z delikatnym brązowym paskiem, świeżo włożoną, bo bawełniane płótno jeszcze nie było pogniecione. Nesmutowi dobrze się powodziło, odkąd go zatrudniliśmy. Czułam się winna, że muszę wypowiedzieć mu służbę.

Musiałam pamiętać o śnie.

– Nesmucie – powiedziałam stanowczym tonem. Zwrócił na mnie szeroko otwarte oczy, przeżuwając placek. – Podjęłam decyzję. Nasza umowa wygasa. Nie chcę, żebyś narażał siebie albo innych, prowadząc poszukiwania w pałacu faraona.

– Łaskawa pani! – zawołał z konsternacją, z okruszkami na wargach. Przełknął kęs i zaczął jeszcze raz: – Łaskawa pani, dopiero zaczęliśmy szukać...

– Wystarczy – oświadczyłam kategorycznie. – Przysięgnij. Przysięgnij na Serapisa.

Joscelin uniósł brwi i poruszył się, dla większego efektu pokazując rękojeść miecza.

– Przysięgnę – mruknął Nesmut. Z ponurą miną uniósł rękę i złożył przysięgę po menechetańsku. – Łaskawa pani jest zadowolona? Czy teraz mam odejść?

Niezależnie od poczucia winy, wielki ciężar spadł mi z serca. Sięgnęłam do sakiewki po srebrnego obola.

– To nie znaczy, że nie jestem z ciebie zadowolona, Nesmucie, tylko...

– Zaczekaj – powiedział Joscelin łagodnie. Pochylił się nad stołem. – Nesmucie, pani Fedra boi się o ciebie i nie chce, żebyś znalazł się w niebezpieczeństwie, ani ty, ani ktokolwiek inny. To nie znaczy, że nie potrzebujemy twojej wiedzy. Powiedz nam, jeśli możesz, i miej na względzie troskę mojej pani. Powiedz, kim jest człowiek, którego nazwałeś Pożeraczem Ciemności?

Nesmut zadrżał i rozejrzawszy się, wyszeptał:

– Łaskawy panie, mówienie o nich jest niebezpieczne. Są cieniami, kapłanami królestwa, które umarło i żyje, Persji, która była. W

Iskandrii i na całym świecie chodzą, gdzie tylko zechcą. Podobno Akadyjczycy nienawidzą ich jak zarazy, ale nawet oni boją się przeciąć cień któregoś z nich. Może kilku próbowało i skończyło marnie.

– Jak woźnica rydwanu – powiedziałam.

Nesmut energicznie pokiwał głową i sięgnął po następny placek, zapominając o strachu.

– Łaskawa pani słyszała, tak. Widzieliśmy, jak jechał ulicą, a potem umarł, umarł przed zachodem słońca. Był durniem ze wsi i nie wiedział, co robi.

– Persji, która była? – Joscelin zmarszczył czoło. – Chodzi ci o to, że są potomkami Persów?

– Nie. – Nesmut przeżuł i przełknął kęs, nalewając wody do szklanki. – To znaczy, łaskawy panie, że są starożytnej krwi, ale w Khebbel-im-Akad mieszka wielu Persów. *Skotophagotis...* – znowu ściszył głos – pochodzą z królestwa, które umarło i żyje.

Joscelin spojrzał na mnie, a ja pokręciłam głową. W czasie studiów z Eleazarem ben Enochem poznałam z grubsza historię i język Akadu, lecz nie słyszałam o królestwie, które umarło i żyje. O samej Persji wiedziałam niewiele, bo to niegdyś potężne cesarstwo zostało podbite przez Ahzymandiasa i odrodzony dom z Ur ponad pięćset lat temu. Akadyjczycy byli bezlitośni i zrobili wszystko, co w ich mocy, żeby zniszczyć perską kulturę.

Oczywiście pewna historia wciąż jest żywa w pamięci D'Angelinów. To król Persji uwięził Błogosławionego Eluę, kiedy wędrował po ziemi... i to Naama go uwolniła, oferując królowi jedną noc rozkoszy. Dlatego czcimy Naamę i składamy jej hołd, wstępując do niej na służbę.

Zaniepokoila mnie ta myśl.

– Nesmucie... – zaczęłam, ale nie dokończyłam pytania, bo w tej chwili do jadalni wszedł pan Amaury Trente z dwoma delegatami, rozglądając się nerwowo.

– Fedro! – zawołał, gdy tylko mnie zobaczył. Szybko podszedł do naszego stołu. – Pani, cieszę się, że jeszcze tu jesteś. Faraon przesyła wiadomość przez ambasadora de Penfarsa. Masz stawić się na audiencji, natychmiast.

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

Nikt, wolna D'Angelina czy ktokolwiek inny, nie ignoruje wezwania od panującego władcy w jego własnej stolicy. Przebrałam się w suknię odpowiednią na dwór, z jedwabiu w kolorze ciemnego różu naszywanego kryształowymi koralikami. Rok temu wyszła z mody, ale zaprojektowała ją Favriela nó Dzika Róża i dopasowany krój, z sutymi falbanami na samym dole, wciąż jeszcze był kopiowany.

Zabrałam ją, bo zajmowała mało miejsca i ważyła niewiele.

– Bardzo ładnie – powiedział Joscelin, patrząc, jak splatam włosy w koronę.

– Jest faraonem Menechetu, Joscelinie. – Przypięłam warkocze ozdobnymi szpilkami i odwróciłam głowę, żeby przejrzeć się w matowym lustrze z brązu. – Czy mam stanąć przed nim w podróżnym stroju?

Joscelin wzruszył ramionami i nie odpowiedział. Przebrał się w wams z gołębioszarego aksamitu z małym herbem Montrčve wyhaftowanym na piersi. Gdyby związał włosy na karku, mógłby uchodzić za brata kasjelitę.

Popatrzyłam na niego z rezygnacją.

– Nie będziesz mógł wnieść broni do pałacu faraona.

– Wiem. Zostawię ją, gdy poproszą.

Nie było innego wyjścia. Westchnęłam i pocałowałam go, a potem musnęłam usta odrobiną karminu. Strojenie się na spotkanie z cudzoziemskim monarchą mogło budzić w nim gorzką wesołość, ale jego nigdy nie nazwano perłą d'Angelińskiego piękna. Choć nasze

poszukiwania zakończyły się niepowodzeniem, negocjacje handlowe z Menechetem miały trwać dalej, a ja dzięki pomysłowi pani Denise zyskałam określoną reputację i musiałam o nią zadbać.

Ambasador hrabia Raif Laniol przysłał swój powóz i wraz z małżonką powitał nas na dziedzińcu. Był wysokim człowiekiem o kasztanowych, lekko siwiejących włosach, obytym i wytwornie się wysławiającym.

Słyszałam, że jest wybitnym hellenistą; tak, to mogło budzić podziw, lecz osobiście uważałam go za durnia, bo nie nauczył się menechetańskiego. Tak, ograniczanie się do wąskiej dziedziny jest słabością uczonych. W żona Julietta spodobała mi się. Była nacechowana poważnym urokiem rozjaśnianym niespodziewanie przez uśmiech.

– Hrabino – powiedziała, obdarzając mnie powitalnym pocałunkiem – to zaszczyt cię poznać. Zaprosilibyśmy was na kolację, ciebie i messire Verreuil, gdyby nie obawa, że przeszkodzimy w poszukiwaniach.

Podziękowałam uprzejmie, a potem jej mąż przytrzymał drzwi powozu i wsiedliśmy do niego wszyscy, ściśnięci w niewielkiej przestrzeni. Amaury Trente miał zaniepokojoną minę; choć nic nie powiedział, wiem, że moja skłonność do improwizowania budziła w nim trwogę.

Mnie zaś przepelniał nieuzasadniony spokój. Słuchałam, jak Raif Laniol objaśnia nam etykietę, i powierzałam jego słowa pamięci. Mieliśmy zatrzymać się przy drzwiach do sali tronowej, po zaanonsowaniu iść trzy kroki za szambelanem, ambasadorem i jego żoną, następnie paść na kolana, potem stać ze spuszczoneym wzrokiem, dopóki faraon do nas nie przemówi. Po zakończeniu audiencji mieliśmy poczekać, aż szambelan minie nas w drodze do drzwi, i ruszyć trzy kroki za nim w takiej kolejności, w jakiej przybyliśmy.

Było też więcej niuansów. Czekałam, dopóki ambasador nie

skończy.

– Panie ambasadorze, co wiesz o kapłanach, których Iskandryjczycy nazywają *Skotophagotis*?

Hrabia Laniol zamrugał z konsternacją. Żona szepnęła mu coś do ucha.

– Aha, tak – powiedział z pojaśnioną twarzą. – Słyszałem, że to jakiś miejscowy przesąd. W Menechecie, jak wszędzie indziej, nie brakuje wróżbitów i jasnowidzów. Czy to cię niepokoi?

– Być może. Skąd pochodzą? Słyszałam, że z Persji.

– Z Persji! – Wybuchnął śmiechem. – Ktoś nagadał ci głupstw, hrabino.

– Nigdy nie słyszałeś o królestwie, które umarło i żyje?

– Ha. – Hrabia Raif popatrzył na mnie dobrodziejnie. – Myślisz o Kheb-bel-im-Akad, moja droga. O ile wiem, sama nazwa oznacza...

– Akad odrodzony – powiedziałam. – Tak, panie, wiem. Chodzi o coś innego.

Z rozbawieniem pokręcił głową.

– Nie sędzę, pani.

A potem już nie było czasu na rozmowy, bo dotarliśmy do pałacu faraona. To olśniewająca budowla, oblicowana białym marmurem i górująca nad portem. Gwardziści znali ambasadora z widzenia, ale woleli nie ryzykować. Zajrzeli do powozu i kazali nam się opowiedzieć, sprawiając nazwiska na liście zapisanej na woskowej tabliczce. Wszystko się zgadzało, więc wpuścili nas za bramę.

Przestronne wnętrze pałacu ma wysokie sufity i niezliczone okna, przez które swobodnie wpada morska bryza. Wprowadzono nas do antykamery, gdzie niewolnicy stoicko machali wielkimi wachlarzami z palmowych liści, i podano nam chłodzone napoje z płatkami hibiskusa. Niedługo później zjawił się szambelan z dwoma służącymi. Był wysoki i chudy, lekko przygarbiony, bez śladu wesołości na ascetycznej twarzy.

– Panie ambasadorze – przywitał Laniola po helleńsku.

Hrabia Raif ukłonił się.

– Panie szambelanie, znasz pana Amaurego Trente i jego towarzyszy, pana Nicolasa Vigny i barona de Chaolais. Czy mogę przedstawić ci hrabinę Fedrę nó Delaunay de Montrčve i jej kochanka Joscelina Verreuil?

Szambelan zamrugął. W przeciwieństwie do Terre d'Ange, kobiety w Menechecie nie miewają kochanków, przynajmniej nie oficjalnie.

– Faraon będzie zachwycony – oznajmił. – Panie Verreuil, czy zechcesz zostawić broń w naszej pieczy?

Joscelin złożył kasjelicki ukłon, wyjął sztylety i odpiął pochwę z mieczem. Jeden ze sług szambelana podszedł z pasem najlepszego menechetańskiego płótna, by przyjąć jego broń. Niezdobiona stal, natarta olejem skóra i podniszczone rękojeści wyglądały surowo, leżąc na pięknej białej tkaninie.

– Te ostrza kiedyś ocaliły życie Jej Wysokości – powiedział hrabia Raif. – Strzeż ich dobrze, panie szambelanie.

A zatem nie jest niewolnikiem dyplomacji, pomyślałam. Szambelan zerknął na Joscelina z większym szacunkiem.

– Tak się stanie – zapewnił z lekkim ukłonem. – Faraon czeka.

Ruszyliśmy, hrabia Raif i jego żona trzy kroki za szambelanem, potem Amaury Trente i delegaci, Joscelin i ja na końcu. Szłam w miarowym tempie ze spuszczonym wzrokiem, a echo naszych kroków informowało mnie o wielkości sali tronowej. Powietrze, wprawiane w ruch przez niewolników z wachlarzami, pachniało kamforą i drewnem sandałowym, słysząc cichy szcęk zbroi, domyśliłam się obecności kilkunastu strażników. Potem padły nasze nazwiska i spod rżęs zobaczyłam, że hrabia Raif i Julietta, a za nimi pan Amaury i delegaci klękają. Męski głos przemówił do nich przyjaźnie, potem zabrzmiał kobiecy, młody i piskliwy.

Nadeszła nasza kolej. Zbliżywszy się do tronu, padłam na kolana, przez jedwab sukni czując chłód marmuru, ukłoniłam się nisko i

wstałam, nie podnosząc wzroku, świadoma, że Joscelin robi to samo.

– Pani Fedro – powitał mnie faraon. Spojrzałam mu w oczy. Pomimo szat kapiących od złota Ptolemeusz Dikajos, faraon Menechetu, był po prostu mężczyzną w średnim wieku, ze złotym diademem na rzadziejących włosach. Uśmiechnął się do mnie. – A więc to jest perła Terre d’Ange.

– Panie. – Skłoniłam głowę. – Inni to powiedzieli, nie ja.

– Och, nie rozminęli się z prawdą. – Ujął rękę siedzącej obok niego kobiety, a raczej dziewczyny. – Czy zgodzisz się ze mną, moja droga Klitemno?

Druga żona faraona i obecna królowa zachichotała.

– Jak najbardziej, to prawda! Moje damy dworu tyle mi opowiadały. Powiedz mi... – pochyliła się, szeroko otwierając oczy – czy to dzięki kąpielom w mleku dzikich oślic masz taką jasną cerę? Słyszałam, że tak się robi.

– Nie, pani. – Dygnęłam, starając się zachować poważny wyraz twarzy. Audiencja przebiegała niezupełnie zgodnie z moimi przewidywaniami. Widziałam, jak Joscelin zagryza usta i wbija wzrok w podłogę. – Używam maści z lanoliny z wełny z pierwszego strzyżenia, z różanym olejkiem. Nadaje skórze cudowną jędrność. Jestem pewna, pani, że pan Amaury wystara się o maść dla ciebie, jeśli masz takie życzenie.

– Och, tak! – Królowa Klitemna klasnęła w ręce. Ptolemeusz Dikajos miał rozbawioną, pobłażliwą minę. Amaury Trente popadł w osłupienie i marnie to maskował. – Ale na pewno – podjęła z zapalem młoda królowa – stosujesz nalewkę z psianki, żeby przydać oczom blasku, prawda?

– Nie, pani. – Pokręciłam głową i uśmiechnęłam się do niej życzliwie. – Psianka sprawia, że oczy źle znoszą światło. Obawiam się, że w takim wypadku oślepiłby mnie blask Waszej Wysokości.

– Och! – Rumieniec zadowolenia ożywił jej ziemiste policzki. – Ale twoje oczy... – Pochyliła się jeszcze mocniej. – Och! Masz dziwną

skazę, pani Fedro, plamkę szkarłatu...

– To znak Strzały Kusziela – powiedział Raif Laniol, ambasador de Penfars, występując o krok i gnąc się w ukłonie. – Przynajmniej tak mówimy w Terre d’Ange.

– Potężny Kusziel, pan różgi i pręgi, wypuszcza Strzałę z niezawodnej dłoni, przesywa oczy wybranych śmiertelnych, a krwawa rana nigdy się nie goi. – Słowa zostały wyrzeczone po helleńsku, ale pochodziły z d’Angelińskiego źródła. Zobaczyłam, że Joscelin uniósł głowę, mimo woli krzyżując ręce nad rękojeściami nieobecnych sztyletów. Ptolemeusz Dikajos uśmiechał się szeroko. – Dajże spokój, panie de Penfars – zwrócił się do ambasadora. – Jesteś uczonym. Tyberium może wysuwać pretensje, ale cały świat wie, że najlepsza biblioteka znajduje się w Iskandrii. Menechet przetrwał tysiące lat dzięki swej wiedzy. Czy naprawdę myślisz, że przyjąłbym d’Angelińskie poselstwo, nie dowiadując się wprzód o wszystkim, co tylko możliwe? Czy sądzisz, że nie zasięgnąłem informacji o gościach, którzy złożyli wizytę drogiemu generałowi Hermodorusowi? – Ignorując nas przez chwilę, zwrócił się do młodej małżonki: – Klitemno, widziałaś kwiat d’Angelińskiego piękna. Racz nas teraz zostawić.

Z cieniem niechęci królowa zsunęła się z tronu i podeszła do czekającej eskorty.

– Nie zapomnisz o maści? – zapytała mnie z nadzieją.

Popatrzyłam znacząco na Amaurego Trente, który drgnął i dopiero po chwili zgiął się w ukłonie.

– Będę zaszczycony, osobiście spełniając twoje życzenie, Wasza Wysokość.

A potem zostaliśmy sami z faraonem Menechetu, którego inteligencji, jak się obawiam, poważnie nie doceniałam. Ptolemeusz Dikajos splótł na brzuchu bogato upierścienione palce i popatrzył na nas.

– Chciała cię zobaczyć, pani, i poznać sekrety d’Angelińskiego

piękna. Jesteśmy wdzięczni za wyrozumiałość.

– To dla mnie zaszczyt, panie.

Machnął ręką.

– Klitemna jest głupiutkim dzieckiem, ale ma dobre serce i wniosła w posagu przymierze z wyspą Kyterą, na którym bardzo mi zależy. Osobiście jestem bardzo zadowolony. Powiedz mi, jak mogę się odwdzińczyć?

Służyłam Naamie przez wiele lat i umiem rozpoznać ważne pytanie. Usłyszałam je teraz. Równie długo zgłębiałam sztukę szpiegostwa i umiałam odczytać barwę głosu, milczący język ciała. „Wiem, kim jesteś”, mówiły rysy Ptolomeusza Dikajosa, „i co robisz. Wiem, czego szukasz i o co chcesz poprosić. Czy się ośmielisz?”.

Zastanowiłam się, skąd wiedział, i wspomniałam Melisandę Szachrizaj, która na serenissimskim wygnaniu zdołała dotrzeć do helleńskich tłumaczeń tekstów habiru, do rzadkich dżebeńskich rękopisów. Melisandę która przez chwilę rozważała myśl o ucieczce do Iskandrii i poszukiwaniu zaginionego syna. Dopiero teraz przyszło mi na myśl, żeby się zastanowić, dlaczego była taka pewna, że znajdzie pomoc w tym mieście.

I kto jej udzieli. Melisanda zawsze mierzyła wysoko.

– Wasza Wysokość, wiesz, kim jestem. Czy wiesz, czego szukam?

Ptolomeusz Dikajos poruszył się na tronie, błyskając pierścieniami. Miał niewzruszoną minę.

– Wiem, że nie znajdziesz tego w tych murach.

Wpatrywałam się w jego twarz tak, jakby od tego zależało moje życie, a jeśli nie moje, to Imriela. Faraon coś ukrywał. Wiedzę czy chłopca? Jeśli się pomylę, zaprzepaszczę okazję. Musiałam podjąć grę. Twarz faraona była spokojna. Nie byłby taki pewny siebie, gdyby ukrywał Imriela. Tajne przymierze łatwiej jest ukryć niż dziesięcioletniego chłopca. Pomyślałam o swoim śnie i ciemnej prędze cienia na twarzy Imriela. Amaury Trente patrzył na mnie, jego usta poruszały się bezgłośnie, gdy wznosił modły, żebym nie zrobiła

czegoś głupiego. W rzeczywistości nie mogłam tego wiedzieć.

– W takim razie zadam pytanie, Wasza Wysokość, uważam bowiem, że jesteś uczonym wielkiej miary. – Głęboko zaczerpnęłam tchu. – Co to za królestwo, które umarło i żyje?

Faraon Menechetu zbladł.

– Drudżan.

– Drudżan. – Delektowałam się tym słowem, a także bladością i kropelkami potu, które nagle wystąpiły na łysinie mojego rozmówcy.

– Powiedz mi, panie, co to jest Drudżan?

Zbliżył się strażnik z nadwornym wróżbitą o pomarszczonym czole. Ptolemeusz Dikajos odzyskał zimną krew i odprawił ich ruchem dłoni.

– Drudżan – zaczął ponuro – był satrapią cesarstwa Persji. Dziś to królestwo leżące na północ od Khebbel–im–Akad.

– Królestwo? – Hrabia Raif wygiął w łuk srebrne brwi. – Suwerenne królestwo, panie?

Po chwili milczenia Ptolemeusz Dikajos odparł:

– Tak mi się wydaje. Trzydzieści lat temu Drudżanie zbuntowali się przeciwko akadyjskim panom i zostali bezlitośnie zmiażdżeni. Wszystkich członków królewskiego rodu ścięto, a kobiety zgwałcono i zabito. Potem... – bezradnie rozłożył ręce – osiem lat temu coś się zmieniło. Nie wiem dokładnie co, bo Akadyjczycy nie są skłonni o tym mówić. Ale właśnie wtedy zjawili się kapłani, pierwsi *Skotophagotis*. Czasami przybyli sami, czasami z towarzyszami, kupcami i najemnikami.

– A ty ich przyjąłeś, panie? – zapytałam, zabarwiając głos nutką uprzejmego niedowierzania. – Słyszałam, że Akadyjczycy nienawidzą ich jak zarazy.

– I równie mocno się ich obawiają. – Pokręcił głową. – Nie przyjąłem ich. Handlowanie z nimi oznacza śmierć, udzielanie im gościny oznacza śmierć, służenie pomocą oznacza śmierć. Tak orzekli Akadyjczycy. Takie oświadczenie wygłosił Iszme–la–Ilu, który jest

wielkim wezyrem kalifa Khebbel–im–Akad, i ja go posłuchałem. Drudżanie i ich kapłani kości nie są mile widziani w Iskandrii ani nigdzie indziej w Menechecie. Ale... – uśmiechnął się kwaśno – wchodzenie im w drogę również oznacza śmierć, i to wcale nie od akadyjskiej stali. Niegodną śmierć, na wyniszczającą chorobę, od ukąszenia szerszenia, pod kopytami spłoszonego konia. Wierz mi – dodał, rozglądając się – naradziłem się z kapłanami i sprawdziłem w naszej wielkiej bibliotece. Nie uzyskałem odpowiedzi. Są talizmany, zwoje z modlitwami... – Machnął ręką. – Wrogowie drudżańskich kapłanów i tak umierają.

– Mogą więc chodzić, gdzie zechcą? – zapytałam.

Ptolemeusz Dikajos pokiwał głową.

– Robimy to, co kazali Akadyjczycy. Unikamy ich i dziękujemy wszystkim bogom, że są nieliczni i nie stosują gwałtu, gdy pozostawia się ich w spokoju. – Znów uśmiechnął się cierpko. – Menechet jest starożytny, pani Fedro, i przetrwał wiele burz. Niezależnie od tego, co dzieli Drudżan i Khebbel–im–Akad, my to przeczekamy.

– Tak, ale teraz... – rozmyślałam na głos. – Panie, po co przychodzą Drudżanie? Czy kupują niewolników?

Przybrał kamienny wyraz twarzy.

– Możliwe, choć to zakazane.

– Oczywiście – przyznałam z roztargnieniem. – Ale jeśli tak... to czy ktoś próbował im przeszkodzić? Twoja gwardia? Czy ktoś ich wypytuje przy bramach miasta?

Faraon pokręcił głową.

– Nie. Jeśli są z nimi *Skotophagotis*.

– A jaka jest kara dla menechetańskich kupców przyłapanych na robieniu interesów z Drudżanami?

Faraon spojrział mi w oczy i odparł cicho:

– Śmierć.

Zadrżałam, a zaraz potem usłyszałam zduszone chrząknięcie Amaurego Trente. Dźwięk wydawał się dziwny i płynący z daleka, bo

zagłuszał go łopot mosiężnych skrzydeł. Czerwona mgiełka przysłoniła mi oczy. Niewidzialny wzór zacieśniał się wokół mnie. Widziałam szkarłatne oblicze Kusziela, okrutne i uśmiechnięte, i jego potężne ręce. W jednej przyciśniętej do piersi, trzymał klucz – druga, wyciągnięta, oferowała diament na aksamitnej wstążeczce.

– Fedro! – Potrząsały mną ręce Joscelina, mocno zaciśnięte na moich ramionach. Zamrugalam, w oczach mi przejaśniało i zdałam sobie sprawę, że ledwo trzymam się na nogach. – Dobrze się czujesz?

– Tak. – Chwyciłam go, odzyskując równowagę, i popatrzyłam na Ptolomeusza Dikajosa. – Panie, błagam o łaskę.

Lekko machnął ręką.

– Mów.

Kątem oka widziałam, jak pan Amaury się krzywi, a Raif Laniol dyskretnie kręci głową, odwodząc mnie od tego zamiaru. Zignorowałam ich obu.

– Panie, wiesz, że Jej Wysokość kazała nam szukać małego d'Angelińskiego chłopca, porwanego przez kartagińskich intruzów i sprzedanego w niewolę do Menechetu. Wspaniałomyślnie pomagałeś nam w poszukiwaniach. Proszę cię, żebyś pomógł nam raz jeszcze i rozkazał przepytac iskandryjskie straże, czy ktoś nie widział chłopca opuszczającego miasto z kapłanami Drudżanu.

Ptolemeusz Dikajos odprężył się trochę.

– Tak się stanie. – Skinął na starszego gwardzistę w złożonym napierśniku na białej tunice i przemówił do niego po menechetańsku.

– Pani Fedro – syknął mi do ucha Amaury, mocno zaciskając rękę na moim ramieniu. – Zastanów się, co robisz! Stawiasz się...

– Sza. – Ruchem ręki nakazałam mu milczenie, wytężając słuch, żeby ułoić słowa faraona. Mówił cicho, ale mam ucho do języków i pamięć wyćwiczoną przez Anafiela Delaunaya. – Amaury, czy podałeś faraonowi rysopis Imriela de la Courcel? – zapytałam szeptem po d'Angelińsku.

– Rysopis? – Puścił mnie i zrobił zdziwioną minę. – Nie, oczywiście

że nie. Faraon nie zaprzętałby sobie głowy takimi drobiazgami. Nawet sekretarz skarbu nie raczył ich wysłuchać. Powiedziałem urzędników Rechmire, nikomu innemu.

Raif Laniol, ambasador de Penfars, piorunował nas wzrokiem, temperowany tylko ostrzegawczym spojrzeniem Joscelina. Nie zwracałam na niego uwagi, zastanawiając się nad możliwościami klucza, jaki dał mi Amaury.

– Wydałem rozkazy – oznajmił faraon Menechetu, kładąc kres naszej dyskretnej sprzeczce. Popatrzył na mnie z chytrym błyskiem w oczach i rozciągnął w uśmiechu szerokie usta. – Wygląda na to, że Terre d'Ange jest ogromnie zainteresowana tym młodym niewolnikiem, czyż nie? A ty, pani, jaką łaskę wyświadczysz mi w zamian?

Amaury Trente westchnął i poderwał ręce w geście rozpaczki. Jeden z delegatów uśmiechnął się szeroko. Julietta de Penfars patrzyła na mnie ze współczuciem, podczas gdy jej małżonek starał się robić dobrą minę do złej gry. Joscelin... Joscelin tylko ściągnął brwi, jak człowiek słuchający odgłosów dalekiej bitwy.

– Panie – zwróciłam się do faraona – czy mogę pomówić z tobą na osobności?

TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

Oczywiście spełnił moją prośbę.

Do dziś dnia nie wiem, czy Ptolemeusz Dikajos naprawdę wierzył, że pójde z nim do łóżka za taką drobną przysługę. Niewykluczone, a może był przekonany, że przystanę na taką cenę, by kupić jego milczenie w sprawie d'Angelińskiego niewolnika, którym nadzwyczaj mocno interesowała się nasza królowa. Znał przecież jego wartość.

Tak czy siak, wyprowadziłam go z błędu.

– Panie – zwróciłam się do niego w prywatnej komnacie recepcyjnej, gdzie towarzyszyli nam tylko niewolnicy z wachlarzami – oto moja propozycja: w zamian za twoją pomoc nie powiem ambasadorowi de Penfars ani panu Amauremu Trente, że sprzymierzyłeś się z panią Melisandą Szachrizaj de la Courcel.

Przez długą chwilę patrzył na mnie bez słowa, leżąc na szezlongu z głową wspartą na ręku.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Stąd, panie... – uniosłam brwi – że nikt nie opisał ci poszukiwanego. Mimo to słyszałam, jak mówiłeś strażnikowi, że chodzi o d'Angelińskiego chłopca około dziesięcioletniego, z czarnymi włosami i niebieskimi oczami. Albo sam go widziałeś... albo ktoś ci go opisał. Przychodzi mi na myśl tylko jedna osoba, która mogła to zrobić.

Na te słowa pobladł lekko.

– Nie znasz menechetańskiego.

– Nie – przyznałam. – Nie znam. Ale słuchałam pewnego

młodzieńca, który dla mnie pracował i te same słowa tłumaczył na menechetańskiej w rozmowie z wdową po Fadilu Choumie i jego nałożnicami. Mam wyrobione ucho, panie, do języków.

– W istocie. – Po chwili Ptolemeusz Dikajos wstał i zaczął krążyć po pokoju z rękoma za plecami. Wodził wzrokiem po szezlongu, obojętnych niewolnikach, zdobionych freskami ścianach. Wreszcie popatrzył na mnie. – Nigdy nie widziałem tego chłopca. Iskandria ma swobodę handlu z La Serenissimą. Kobieta, o której mówisz, była żoną jedyne go d’Angelińskiego przedstawiciela w tym mieście-państwie. Nasza znajomość trwa od dawna.

– Jej szczęście odmieniło się znacznie, odkąd ją poznałeś.

– Więzienie. – Lekceważąco machnął ręką. – Albo azyl, jeśli wolisz. Tak. A jednak dano mi do zrozumienia, że jej syn... – położył subtelny nacisk na tym słowie – jest trzeci w kolejce do d’Angelińskiego tronu.

– To prawda. Dlatego Jej Wysokości Ysandrze de la Courcel zależy na jego bezpieczeństwie. To nie zmienia faktu, że jego matka została skazana za zdradę i umrze, jeśli opuści swój azyl.

Ku mojemu zaskoczeniu Ptolemeusz Dikajos wybuchnął śmiechem – serdecznym i tubalnym. Śmiał się, aż zwilgotniały mu oczy i musiał je wytrzeć obwieszonym frędzlami końcem szarfy.

– Ach, Fedro nó Delaunay! Dlaczego twoja królowa nie przysłała ciebie zamiast tych delegatów? Zaoszczędzilibyśmy sobie męczących rozmów. Słyszałem o tobie. Kobieta, o której mówimy, ostrzegła mnie przed twoją inteligencją.

– Mam inne sprawy w Iskandrii. Mojej królowej zależy tylko na powrocie chłopca.

– Tak, oczywiście. Jego rodzona matka nie prosi o nic więcej. – Usiadł, posapując i ocierając oczy. – No nie! Sami bogowie płaczą ze śmiechu. Sądziłaś, że ja go przetrzymuję?

– Do dzisiaj – przyznałam.

– Chciałbym, żeby tu był. – Ptolemeusz Dikajos odetchnął głęboko i opanował się. – Oddałbym go, pani, tak czy inaczej. Obiecałem...

naszej przyjaciółce, a ona, wiem, nie miałaby mi za złe, gdybym nieświadomie dopuścił się grzechu. Szkoda, że jest inaczej, bo obiecała potężne przymierze, jeśli chłopiec zasiądzie na tronie. Ale nie, nie gustuję w chłopcach, nawet d'Angelińskich.

– Szkoda, panie – powiedziałam cicho. – Gdyby chłopiec pojawił się nagle, oszołomiony i zagubiony, z jakąś niestworzoną historią... nie padłyby żadne pytania. Tylko słowa wdzięczności.

– Możesz za to poręczyć? – zapytał przebiegle. – Jesteś gotowa przysiąc?

Pomyślałam o broszy, którą dała mi Ysandra, o Gwieździe Towarzysza i obiecanej, dotąd niewyświadczonej łasce.

– Tak, panie – odparłam. – Przysięgnę. Jeśli taka jest prawda.

Zwarliśmy się wzrokiem, i to faraon uciekł ze spojrzeniem.

– Powiedziałem prawdę. Nigdy nie widziałem chłopca ani nie słyszałem o jego istnieniu, dopóki pan Amaury nie zaczął dociekać. Z La Serenissimy nadszedł list, na statku, którym przybyłaś, i wtedy dowiedziałem się więcej. Wierz mi, przeprowadziłem poszukiwania na własną rękę, bez skutku. A teraz... – Popatrzył na mnie. – Gdybym był na twoim miejscu, modliłbym się do każdego boga, który zechciałby mnie wysłuchać. Ponieważ, jeśli twoje domysły są bliskie prawdy, jeśli chłopca zabrali Drudżanie... – Pokręcił głową. – Nie mogę ci pomóc. Nikt nie może.

– Cóż – mruknęłam, oszołomiona z rozpaczy. – Będziemy musieli to sprawdzić. Czy zawarliśmy umowę, panie? Moje milczenie za twoją pomoc?

Po chwili pokiwał głową.

– Tak, cokolwiek z tego wyniknie.

Wtedy rozległo się dyskretne pukanie do drzwi i wszedł kapitan straży miejskiej z meldunkiem, który sprawił, że mój świat rozpadł się na kawałki.

Za późno zawarłam umowę. Imriel de la Courcel zniknął. Znów byłam trzy kroki z tyłu i tylko Kusziel wiedział, w jaką okropną

ciemność wiodła moja ścieżka.

Drudżan, pomyślałam z drzeniem.

Ptolemeusz Dikajos popatrzył na mnie współczującym wzrokiem. To przeraziło mnie bardziej, niż mogę wyrazić słowami.

Co dobrze o nim świadczy, pan Amaury Trente przyjął wieści z fatalistycznym spokojem.

– Wiedziałem – rzekł ponuro, kiedy się spotkaliśmy, a ja wiernie pomorzyłam wiadomość kapitana straży. Oburącz chwycił się za głowę i szarpnął za włosy. – Błogosławiony Eluo, pani, wszystko się komplikuje, gdy tylko bierzesz w tym udział! Nie ma szans, że się pomylili?

– Nie – odparłam ze smutkiem, nalewając piwo do jego kubka. – Niestety.

Nie było w tym żadnej wielkiej tajemnicy. Tak, chłopiec był w Iskandrii i nikt o niego nie pytał. Wartownicy pamiętali, tak, jakieś pięć miesięcy temu, w pełni lata, Drudżanie opuścili miasto przez Wschodnią Bramę, *Skotophagotis* i trzech wojowników z d'Angelińskim chłopcem. Opisali go chętnie: twarz piękna jak klejnot, zastygła w wyrazie strachu i złości, mlecznobiała cera, tak, czarne faliste włosy z granatowym połyskiem, oczy barwy nieba o zmierzchu.

Przetłumaczyłam słowo w słowo, żeby pan Amaury nie miał wątpliwości.

Nie miał, choć nie do końca.

Popatrzył na mnie spomiędzy zaciśniętych na głowie rąk.

– Wychodzi więc na to, że przynajmniej ja mam ruszyć do Khebbel–im–Akad i zobaczyć, czy więzy krwi są mocniejsze od małżeńskich. Ośmielę się spytać, hrabino, czy raczysz mi towarzyszyć? Nie chciałbym się narzucać, ale... podobno znasz akadyjski. Obawiam się, że będę potrzebował twojej pomocy.

Nie odpowiedziałam, nie od razu. Nasza gospodyni Metricha dowiedziała się, że byliśmy na audiencji u faraona, i tego wieczoru

usługiwała nam osobiście. Z wielką pompą i licznymi sługami przyniosła łopatkę jagnięcą do naszego stołu, ukloniła się i postawiła danie przede mną. Słyszała, że zostałam wyróżniona prywatnym posłuchaniem. Popatrzyłam na jej profil, na filigranową złotą czapczkę na koku. Chciałam kupić podobną, żeby zabrać ze sobą albo wysłać Favrieli nó Dzika Róża, która z pewnością uznałaby ten drobiazg za interesujący.

Dżebeńska karawana Radiego Arumi wyruszyła pojutrze. Mieliśmy zarezerwowane miejsca i wpłaciliśmy zaliczkę na doprowadzenie do Meroe.

W mojej wizji Kusziel trzymał diament.

„Fedro!” – wołał głos w moich snach... głos Hiacynta albo Imriela. Już nie byłam pewna. *Lypiphera*, słyszałam, i to był głos Nesmuta, mówiącego po helleńsku z melodyjnym akcentem. Znaleźliśmy go z Joscelinem w porcie; znaleźliśmy i zapłaciliśmy za ostatnie zadanie, jeszcze raz wracając do domu Fadila Choumy. Nie wiem dlaczego. Mieliśmy zeznania wartowników. Ale musiałam to usłyszeć, żeby zyskać bezwzględną pewność.

– Zapytaj ją – powiedziałam do Nesmuta. – Zapytaj ją, czy jej mąż znał *Skotophagotis*.

Jeśli wdowa wiedziała cokolwiek, dobrze to skrywała, ze zgrozą potrząsając głową. To nałożnica, trzecia nałożnica, która miała blizny pod woalem, Padła z płaczem na podłogę, zakrywając głowę rękami. Wypytałam ją jak najłagodniej i Nesmut wydobył z niej przerywaną łkaniem opowieść. Przyznała się, że dochowała sekretu, nawet przesłuchiwana na czubku noża. Dwa razy widziała, jak Chouma rozmawiał ze *Skotophagotis*. Za pierwszym razem pobił ją i zagroził, że ukatrupi, jeśli piśnie słowo. Za drugim razem uciekła, bojąc się cienia kapłana, i nie słyszała, co mówili. Ale wiedziała, że pieniądze przeszły z ręki do ręki, a Imriel zniknął. Nie miała wątpliwości co do natury wymiany. Ja też nie miałam, choć nie do końca.

„Fadil Chouma miał na myśli kupca, jednego, tylko jednego...”

Nic dziwnego, że chciał ukryć transakcję. Mój pierwszy domysł był trafny. Ujawnienie sekretu w Menechecie groziło utratą życia. Faraon wydał wyrok śmierci na każdego przyłapanego na handlu z Drudżanami.

Dżebeńska karawana Radiego Arumi miała wyruszyć pojutrze.
Amaury Trente czekał na odpowiedź.

Pomyślałam o Hiacyncie i bezbrzeżnej rozpacz, która czaiła się w głębi jego oczu. Oglądał powolną śmierć nadziei. Co się z nim stanie za sześć miesięcy, za rok? Pomyślałam o dzieciach uratowanych w Amilcarze, o ich przerażonych, nawiedzonych buziach. O ile gorszy los przypadł w udziale Imrielowi de la Courcel? Jak długo zdoła go znosić? Beze mnie Amaury nigdy nie znajdzie tropu. A Amaury zmierzał ku intrygom Khebbel-im-Akad, nie mając nawet zaufanego tłumacza. Zdolny człowiek, choć niezbyt bystry, tak powiedziała o nim Melisanda. Będzie zdany na łaskę Walerii L'Envers, która wyszła za syna kalifa. Nie sądzę, żeby którejkolwiek z córek Barquiela L'Envers zależało na odnalezieniu Imriela. Ja, w przeciwieństwie do Amaurego Trente, mogłam ją zmusić to udzielenia pomocy. I w przeciwieństwie do niego umiałam wysnuć nić prawdy z kłębka półprawd i uników.

„W imię Błogosławionego Elui. Obiecuję. Zrobię, co w mojej mocy”.

Gdybym przewidziała, że stanę przed taką decyzją, nie dałabym słowa. Ale dałam, a na szali spoczywało życie dziecka. W wyobraźni ujrzałam kapłana *Skotophagotis* i zadrżałam. Rozgałęzione ścieżki, powiedział Hiacynt, i wszystkie biegną w ciemności. Bałam się, bardzo się bałam, że Imriel de la Courcel już kroczył jedną z nich. Jeśli nie pospieszę mu ratunek, jego twarz będzie mnie prześladować w snach do końca życia, a tego nie zniosę.

Hiacyncie, modliłam się w milczeniu, wybac mi tę decyzję.

– Fedro? – zapytał Amaury Trente. – Pojedziesz?

Przez łzy patrzyłam na Joscelina.

– Myślałam... naprawdę myślałam, że skończyliśmy. Myślałam, że

tutaj nasze drogi się rozejdą, naprawdę. Joscelinie, ukochany, jeśli powiem ci, że w La Serenissimie złożyłam przysięgę...

Joscelin patrzył na mnie przez długą chwilę, a potem złożył swój kasjelicki ukłon, nieskazitelny i oszczędny.

– Chronię i służę, pani – rzekł cicho. – Czy to chcesz usłyszeć? Skoro uważasz, że trzeba, to znaczy, że trzeba. Poza tym... – kącik jego ust uniósł się w uśmiechu – nie zależy mi na uwolnieniu twojego Cygana na tyle, żebym odmówił udziału w tej wyprawie.

Zaśmiałam się przez łzy. Och, Hiacyncie! Moje serce pękało niczym mocno rozgrzane naczynie ze skazą.

– Tak, panie – powiedziałam do Amaurego Trente – pojedę z tobą do Khebbel-im-Akad.

Decyzja zapadła. Rankiem poszliśmy do sklepu jubilera, żeby zobaczyć się z Radim Arumi. Przy miętowej herbacie przedstawiliśmy naszą sprawę, a raczej powiedzieliśmy tyle, ile uważałam za wskazane. Dżebeński przewodnik wysłuchał nas z powagą.

– Rozumiesz, *kyria* – rzekł z żalem. – Nie mogę ci oddać zaliczki. Poczyniono już pewne przygotowania, zakupiono zapasy, wynajęto wielbłądy. Sama wiesz, jak to jest.

Przyznałam mu rację i domyśliłam się, że właściciel karawany dopilnuje, by nic się nie zmarnowało. Po niezliczonych filiżankach herbaty i niekończących się negocjacjach uzgodniliśmy, że część zaliczki zostanie nam zwrócona, a reszta przepadnie.

– Przyjdź za pięć miesięcy, piękna. – Radi Arumi uśmiechnął się szeroko, jego zęby błysnęły olśniewającą bielą na tle pomarszczonej, ciemnej twarzy. – Jeśli będziesz chciała uczestniczyć w mojej następnej podróży, posłużę ci za przewodnika.

Dzięki umowie z faraonem mogłam do woli szperać w królewskiej bibliotece. Przez kilka dni w pełni korzystałam z tego przywileju, ale uzyskałam niewiele. Dzieł historycznych nie brakowało. Dowiedziałam się, że Drudzan był małą prowincją leżącą nad

morzem Kaspara, od wschodu, północy i południa strzeżoną przez góry. Łatwy do obrony, długo cieszył się niezależnością, choć satrapowie składali hołd wielkim królom Persji. Dowiedziałam się, że był miejscem kultu starożytnych Persów, którzy zwali je również Dżahandarem, Krainą Ognia, z powodu fenomenu występującego na półwyspie. Tam ze szczelin w skałach tryskały strugi ognia.

Helleński filozof Stratofanes widział je na własne oczy i uznał za zjawisko naturalne, skutek spalania lotnych gazów uwieczonych pod skorupą ziemi. Persowie, którzy czcili Ahurę Mazdę, Pana Światła, zbudowali wokół ogni świątynie i doglądali ich troskliwie.

Nawet Akadyjczycy, którzy zniszczyli kulturę perską, nie zgasili świętych ogni Drudżanu, uznając je za świadectwo, że słoneczny ogień Szamasza zstąpił na ziemię, by przypieczętować ich zwycięstwo. Perskim kapłanom – zwano ich magami – wolno było doglądać ogni... tylko, że w imię Szamasza.

Tyle się dowiedziałam. Przez stulecia panował spokój, potem nagle doszło do buntu. Przypuszczam, że odcięty od świata Drudżan, ubogi w bogactwa naturalne i z tego względu ignorowany przez suwerenów, którzy skupiali uwagę na bogatszych krainach, z biegiem lat wrócił do dawnych zwyczajów.

Przywódcą buntu był Hoszdar Ahzad, książę starożytnej krwi, i w jego imię Drudżanie podnieśli miecze, zabijając akadyjskiego wezyra i jego garnizon. Zdobyli wszystkie nadgraniczne forty i zajęli stojący na półwyspie warowny pałac Daršanga, gdzie Hoszdar Ahzad osiadł jako suwerenny władca i wydał dekret nakazujący przywrócenie kultu Ahury Mazdy.

Byłoby lepiej dla niego, pomyślałam, gdyby siedział cicho i najpierw zadbał o umocnienie granic, bo gdy tylko imię Ahury Mazdy poniosło się swobodnie nad Krainą Ognia, fala akadyjskiej zemsty zalała ją krwią.

Autor akadyjskich kronik nie skąpił radosnych opisów, dokumentując potworności, które mroziły mi krew w żyłach. W

Daršandze było najgorzej. Hoszdar Ahzad i jego rodzina zostali więci żywcem. Samozwańczego suwerena zmuszono do patrzenia na gwałty dokonane na żonie i młodych córkach. Kiedy jego krzyki rozpaczy stały się zbyt głośne, oprawcy obcięli mu język. Jego maleńki syn został zakłuty i nadziany na rożen, upieczony i rzucony psom. Później zdecydowano, że Ahzad dość zobaczył, i wydłubano mu oczy. Podczas gdy błąkał się, ślepy i niemy, akadyjski generał nakazał masakrę. Było tak, jak powiedział faraon. Niskiego czy wysokiego urodzenia, mężczyźni, kobiety i dzieci z rodu Hoszdarka zostali rozniesieni na mieczach. Kamienne posadzki Daršangi spłynęły krwią, a zwłoki spiętrzone niczym drewno na opał.

Na koniec akadyjski generał pozwolił łucznikom użyć Hoszdarka Ahzada jako cel ćwiczebny. Kronikarz donosił z nieskrywaną radością, że śmierć się nie spieszyła.

Dość zobaczyłam. Odepchnęłam manuskrypt i siedziałam w zimnej, wielkiej bibliotece, chora od tego, co przeczytałam. Na malowanych ścianach Tot z głową ibisa, menechetański bóg skrybów i uczonych, kroczył spokojnie z wagą w jednej ludzkiej ręce. Wiedziałam, że Akadyjczycy potrafią być brutalni. Nie wiedziałam do jakiego stopnia. Skromny urzędnik, który pomagał mi w poszukiwaniach, podszedł z ukłonem i przemówił po helleńsku. Może bogowie Hellady nie mieli wstępu do biblioteki – ale ich język miał.

– Czy życzysz sobie jeszcze czegoś, łaskawa pani?

– Nie ma nic więcej na temat Drudżanu?

– Nic. – Pokręcił głową. – To najświeższe zapiski. Nie ma nic innego.

– Szukałeś odnośników do Dżahandaru?

– Szukałem we wszystkich katalogach, jak kazałaś – odparł z wrodzoną cierpliwością. – Drudżan i Dżahandar to jedno i to samo, pani. Nie ma niczego więcej. Kapłani wiele razy pytali o te rzeczy.

– *Skotophagotis* – powiedziałam. Urzędnik milczał, lecz nagły strach zmatowił jego ciemne oczy. Westchnęłam i przetarłam twarz, pragnąc pozbyć się wizji krwi rozlanej przez Akadyjczyków. –

Królestwo, które umarło i żyje, tak je nazywają. Dowiedziałam się, jak umarło. Chcę teraz wiedzieć, jak żyje.

– Nie wiem, łaskawa pani. – Urzędnik mówił piskliwym głosem i z trudem przełykał ślinę, muskając palcami talizman zawieszony na szyi. – Ale nie sądzę, by uczeni o tym napisali. Nie, jeśli są mądrzy.

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

Wyruszyliśmy do Khebbel–im–Akad.

Zorganizowanie transportu i zapasów na podróż zabrało nam tydzień, przy czym w tym czasie delegacja wciąż prowadziła negocjacje handlowe. W końcu okazało się, że dobrze zrobiłam, zawierając umowę z Ptolemeuszem Dikajosem, bo służył nam bezgraniczną pomocą. Przypuszczam, że opłacało mu się ponieść te koszty. Imriel de la Courcel został wywieziony z kraju, więc Menechet miał do zyskania znacznie więcej niż Terre d'Ange. Gdyby Amaury Trente wiedział, że faraon konspirował z Melisandą, bez mniejszych skrupułów zerwałby rozmowy.

Wyłożyłam to prosto z mostu i Ptolemeusz Dikajos zrozumiał; zrozumiał także, że podtrzymywanie tajnego przymierza z Melisandą Szachrizaj może przynieść niewielkie korzyści, a nawet okazać się niebezpieczne. Z jego punktu widzenia jej syn był martwy, nie miał więc szans na zdobycie tronu. Faraon przysiągł, że odtąd będzie pertraktować tylko Ysandrą. Udaremnienie jednej z ostatnich sztuczek Melisandy sprawiło mi gorzką przyjemność.

Denise Fleurais miała zostać, żeby dokończyć negocjacje, i zapewne, pomyślałam, sprawi się lepiej niż pan Amaury. Hrabia Raif uparcie powtarzał, że faraon nie będzie chciał pertraktować z kobietą, ja jednak byłam odmiennego zdania i choć raz Amaury przyznał mi rację – a ponieważ Ysandra mianowała go przewodniczącym delegacji, decyzja należała do niego. Pani Denise miała przypieczętować umowę i wrócić z połową delegatów do Terre

d'Ange, niosąc wieści o naszych poszukiwaniach.

Miała również, jak uzgodniłyśmy, dopilnować wysyłki darów w postaci balsamu oraz innych cennych maści i kosmetyków dla żony faraona, biednej, głupiutkiej Klitemny. Było mi jej trochę żal i chciałam, żeby moja obietnica została dotrzymana.

Ptolemeusz Dikajos umówił nam spotkanie z akadyjskim konsulem w Menechecie, niejakim Mesilim–Amurrim. Dyplomata z początku patrzył na nas z góry, biorąc za kupców, kiedy jednak usłyszał nazwisko Ysandry de la Courcel, okazał się wielce uczynny. Przydzielił nam czterech swoich ludzi za przewodników i pomógł wytyczyć trasę.

Zmierzaliśmy do Niniwy, miasta leżącego najbliżej Drudżanu. Co ważniejsze, władał tam syn kalifa, Sinaddan–Szamabarsin zwany *lugalem*, czyli księciem. Co najważniejsze, *lugal* Khebbel–im–Akad był mężem Walerii L'Envers, córki diuka Barquiela i kuzynki królowej. Stąd się wzięło niepewne przymierze pomiędzy naszymi krajami.

Dziwne, że pamiętałam, kiedy doszło do tego mariażu. Prawdę mówiąc, dowiedziałam się o nim jako jedna z pierwszych, z ust Rogiera Clavela, panicza w służbie diuka L'Enversa. Był zadurzonym klientem, nikiem więcej; mój pan Delaunay użył go jako odskoczni, by dotrzeć do swojego starego wroga L'Enversa. A ja byłam... kim? *Anguissette* Delaunaya, nic nad to.

Wydawało się, że stało się to bardzo dawno temu.

– Pamiętasz? – zapytałam Joscelina na pokładzie statku, który zabrać nas z Iskandrii do Tyru. – Jak ogłoszono oficjalne wieści o ich zaślubinach? Było to niedługo przed tym, jak zostałeś przydzielony do służby u Delaunaya.

– Pamiętam – odparł. Milczał przez chwilę. – Tak dawno temu?

– Tak, po powrocie diuka Barquiela do Terre d'Ange. I wtedy pierwszy raz, gdy mi towarzyszyłeś, nie szłam do klienta. Poszłam prosić Childrica d'Essoms o przekazanie diukowi prośby Delaunaya o spotkanie.

– Pamiętam. – Uśmiechnął się cierpko. – Przyłożył ci sztylet do gardła. Później próbowałem dać swój miecz Delaunayowi. Nie chciał go przyjąć

– Nie. Nie chciał. A potem przyszli ludzie Barquiela i nalegali, żeby towarzyszył im Alcuin...

– ...a ty uparłaś się, że pojedziesz z nimi, i Delaunay rozkazał mi dołączyć do grupy. Skończyło się na tym, że ty, ja i Alcuin jedliśmy chleb z serem w kuchni, podczas gdy diuk i Delaunay dyskutowali o sprawach stanu. – Joscelin parsknął śmiechem. – Eluo! Naprawdę byliśmy tacy młodzi i lekkomyślni?

– Naprawdę. – Oparłam się o niego. – A ty uważałeś mnie za najbardziej upartą i niemoralną istotę pod słońcem.

– Taka byłaś – powiedział, obejmując mnie ramieniem. – Kiedy Delaunay zagroził, że sprzeda twoją markę, jeśli się nie podporządkujesz, przypomniałaś mu, że Melisanda Szachrizaj może być zainteresowana kupnem.

Skrzywiłam się.

– Tak powiedziałam. Wtedy nie wiedziałam, jaka ona jest.

– Nie. – Joscelin popatrzył na mnie. – Ale teraz wiesz. Fedro, dlaczego dałaś jej słowo w La Serenissimie?

Milczałam przez długą chwilę, patrząc na morze. Wyglądało jak każde inne – wyłącznie gnane wiatrem, zwieńczone pianą fale. Chyba powinnam się cieszyć, że zachmurzone niebo tylko groziło deszczem. Rejs nie był długi, kawałek drogi wzdłuż akadyjskiego wybrzeża, ale zbliżał się koniec sezonu żeglugowego i marynarze woleliby nie wychodzić z portu.

– Nie wiem – odparłam wreszcie. – Chodziło mi tylko o udzielenie pomocy w odnalezieniu jej syna. Nie przypuszczałam, że tak daleko zajdziemy.

– Wiem – powiedział łagodnym tonem. – Prawdopodobnie to samo zrobiłabyś bez obiecywania. Wierz mi, kochanie, wiem, co czujesz. Niezależnie, czyim jest synem, to tylko dziecko. Ja też widziałem

dzieci w Amilcarze i ręce wciąż mnie swędzą do miecza. Ale, Fedro, dałaś słowo Melisandzie.

– Wiem, wiem. – Pomimo mojej przysięgi pisała do faraona za moimi plecami. – Cóż, czy mogłam się spodziewać, że postąpi inaczej? Faraon mógł zwrócić jej syna. Ja, wierna królowej, przekazałabym go pod jej opiekę. Przysięgłam i Melisanda wiedziała doskonale, że tej obietnicy dotrzymam. Zamknęłam oczy, czując na ustach żar jej przelotnego pocałunku – Powiedziała, że jestem sumieniem, którego nigdy nie chciała.

– A ty w to uwierzyłaś?

Nie mogłam winić Joscelina za ten oschły sceptycyzm. Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego.

– Tak. Nie. Nie wiem, Joscelinie. Kapłan Kusziela, gdy ostatnio poszłam... – nie mogłam powstrzymać drżenia na myśl o doznanej rozkoszy – przypomniał mi, że wszyscy Towarzysze, nawet Kusziel, nawet Kasjel, podążają tylko w cieniu Błogosławionego Elui. Pozostaje mi wiara, że robimy to samo.

– Kochaj jak wola twoja – mruknął – i módl się, żeby to wystarczyło.

Pokiwałam głową, bo miałam ściśnięte gardło i nie mogłam mówić. Odwróciłam wzrok i patrzyłam na fale, dopóki skurcz nie przeminął.

– Co innego mogę zrobić? Nienawidzę tego, że na jej widok moje serce powinno zmienić się w kamień, a wcale się nie zmienia. Nie jestem w stanie ująć w słowa rozpacz na myśl, że odwlekam próbę uwolnienia Hiacynta, który cierpi tak długo. Boję się własnych słów, boję się *Skotophagotis* i boję się Akadyjczyków, którzy mają być naszymi sprzymierzeńcami. I jestem wściekła na mojego pana, Kusziela, którego sprawiedliwość wydaje się dla mnie potworna. Gdyby nie wiara we współczucie Elui... – Zadrzałam i nie dokończyłam.

– Fedro. – Joscelin objął mnie oburącz i przytulił mocno. – Hiacynt wytrzymał tuzin lat i wytrzyma jeszcze tuzin, jeśli będzie musiał. Jest silniejszy, niż przypuszczasz. Jest podobny do ciebie, musi być. Twoje

sny są tylko snami, niczym więcej, a Akadyjczycy, straszni czy nie, są naszymi sprzymierzeńcami. Co zaś się tyczy Melisandy... – Wzruszył ramionami. – Kto wie? Może naprawdę jesteś jej sumieniem. Z pewnością syn nie powinien cierpieć za zbrodnie matki. Nikt nie powinien. Uratowanie go to kwestia d'Angelińskiej dumy.

– Dumy. – Zaśmiałam się ze łzami w oczach. – Jednego z naszych grzechów, powiedzieliby Jeszuici. Duma była grzechem Azy, choć wszyscy mamy w tym swój udział. Joscelinie, nie powiedziałaś nic o *Skotophagotis*.

– Ach, kapłani kości. – Poczułam, że się uśmiechnął, bo jego usta poruszyły się w moich włosach. – Jestem sługą Kasjela, kochanie, niezależnie od tego, co się stanie. Jeśli on nie wypełnia niezgłębionego planu Błogosławionego Elui, tak jak się modlisz, aby czynił Kusziel, oboje jesteśmy zgubieni. Ale póki mam ciebie, nie boję się skrzyżować stali z wrogiem, Pożeraczem Ciemności czy kimkolwiek innym.

Obróciłam się w jego ramionach i szepnęłam:

– Joscelinie Verreuil, umarłabym bez ciebie.

– Zapewne. – Znów się uśmiechnął. – Dla melodramatycznego efektu, jeśli niczego więcej.

Roześmiałam się mimo woli; uderzyłam go w pierś, a on chwycił moją dłoń i podniósł do ust, a zaraz potem pocałował mnie z takim żarem, że menechetańscy żeglarze zaczęli zerkać z ukosa i pomrukiwać, ja zaś całkiem zapomniałam, od czego zaczęła się nasza rozmowa i dlaczego byłam taka podenerwowana.

Podróż minęła spokojnie i przybyliśmy do Tyru, gdzie po raz pierwszy postawiliśmy stopę na ziemi Khebbel–im–Akad. Niegdyś, za czasów dawnych cesarstw Akadu i Persji, było to potężne miasto, ale zostało zdobyte przez helleńskiego wodza Al–Iskandra i już nigdy nie powróciło do dawnej chwały. Wciąż jednak jest prężnym portem i w jego murach znaleźliśmy wszystko, czego potrzebowaliśmy do dalszej podróży.

Na nieszczęście jedną z tych rzeczy był woal.

Na morzu Amaury Trente spędził sporo czasu na rozmowach z ludźmi pana Mesilima, z których jeden mówił po helleńsku. Zwyczaje kobiet w Khebbel-im-Akad odbiegają znacznie od tych, jakie obowiązują w innych częściach świata, a zdecydowanie w Terre d'Ange. Wiedziałam o tym, oczywiście. Po prostu nie przypuszczałam, że tutejsze zasady będą się odnosić do mnie.

– Damy wysokiego rodu nie pokazują publicznie twarzy – oznajmił Amaury nieustępliwie. – Również cudzoziemki. Jeśli nie chcesz być wzięta za kobietę z plebsu albo dziwkę, będziesz podróżować w woalu, Fedro.

– Panie, moja matka była adeptką Dworu Nocy, mój ojciec kupcem, a ja dwa razy zostałam wyświęcona do służby Naamie. Jestem kobiety z plebsu i dziwką, i nie wstydę się ani jednego, ani drugiego.

– Jesteś również hrabiną Fedrą nó Delaunay de Montrčve, doradczynią i prawie kuzynką królowej Terre d'Ange, i przypuszczam, że w Khebbel-im-Akad wolisz być traktowana jako taka. – Miał rację. Ustąpiłam i nałożyłam woal. W delegacji uczestniczyła tylko jedna kobieta, Renée de Rives, baronówna, kochanka pana Royce'a Guidela. Oboje byli młodzi i uważali całą wyprawę za wyśmienitą zabawę, za okazję do wspólnego spędzenia długich miesięcy bez ograniczeń, jakie wynikały z jego małżeńskich zobowiązań. Nie jestem do końca pewna, dlaczego pan Amaury ich wybrał, choć tworzyli uroczą parę, a Royce Guidel podobno był niezłym szermierzem.

W każdym razie, Renée de Rives również narzekała na woal, i to nas zbliżyło. Większą część drogi do Niniwy przebyłyśmy razem, otoczone przez mężczyzn. Za radą Akadyjczyków pan Amaury nie oszczędzał na wydatkach i nasza grupa była bogato wyposażona. Konie mieliśmy wspaniałe, rosłe i zgrabne, z lśniącą sierścią. Polubiłam swojego łagodnego gniadosza z białą gwiazdką. Akadyjskie siodła w zasadzie nie były siodłami, tylko haftowanymi derkami z

bogatymi frędzlami i strzemionami na długich pasach. Uzdy natomiast były wyszukane, z grawerowanymi złotymi rzemieniami policzkowymi i wysokimi pióropuszcami. Moja siwa klaczka byłaby zaniepokojona taką ozdobą, ale gniady chyba czuł się z nią doskonale.

Nie trzeba mówić, że po dwóch morskich przeprawach jazda wierzchem sprawiła, że przez kilka pierwszych dni wszystko nas bolało. Cieszyłam się niezmiernie, że pan Amaury potrząsnął kiesą, wynajmując poganiaczy z mułami, a także służących, którzy rozbijali obóz, zwijali go i gotowali. Pierwszy etap podróży wiódł na północ wzdłuż wybrzeża, omijając góry i leżącą za nimi surową pustynię. W końcu dotarliśmy do rzeki Yehordan i skręciliśmy w głąb lądu.

Nie mogłam nie myśleć o swoich badaniach związanych z ludem Habiru, gdy przekraczaliśmy potężną rzekę, występuje ona bowiem często w ich pismach, przypominając dom tym, którzy przebywają na wygnaniu. Z pewnością dom, za którym tęsknili, leżał znacznie dalej na południe, ale nad tą samą rzeką. Ten kraj był dla mnie dziwny i surowy, z żyznymi polami na brzegach rzeki, przedzielonymi wielkimi połaciami jałowej gleby. Tutaj znów zrozumiałam, co znaczy tęsknota za domem.

Przebyliśmy Yehordan i przez niską przełęcz w górach wyjechaliśmy na rozległą nieuprawną równinę. Była to podróż znojna i żałosna, bo zaczęły się deszcze, rozmiękczając twardą czerwoną ziemię. Nasze konie i muły brnęły po pęczyny w czerwonym błocie i wszyscy byliśmy nim zbryzgani. Tak wyglądała zima w Khebbel-im-Akad, i nie mogę powiedzieć, że mi się podobała. Delikatna jedwabna siatka woalu przylegała do mej twarzy, utrudniając oddychanie.

– Zdejmij – mruknęła Renée. Zobaczyłam jej odsłoniętą twarz pod kapturem płaszcza. – Kogo to obchodzi, przy takiej pogodzie? Poganiaczy mułów? Niech sobie gadają.

Wciąż lało niemiłosiernie, kiedy dotarliśmy do pierwszej z dwóch wielkich rzek Khebbel-im-Akad. Przeprawa przez Eufrat okazała się

niełatwa. Akadyjczycy są niezrównanymi tkaczami i hodowcami koni, ale zdecydowanie nie lubią budować mostów. Wezbrany po zimowych deszczach Eufrat płynął zbyt wartko i był zbyt głęboki, żeby przepawić się przez bród. Musieliśmy płynąć na trzciniowych tratwach, ciągniętych ręka za ręką wzdłuż grubych lin.

Po przebyciu mój strach przed rzeką wydawał się niemądry, ale ta rzeka przypominała żywą bestię, rozjuszoną i nieokiełznaną. Na wiosnę, zapewnił nas jeden z przewodników z niezrozumiałą dla mnie radością, Eufrat wróci do koryta, zostawiając żyzny, życiodajny muł na zalewowych równinach. Mniejsza z tym, pomyślałam, ponuro trzymając się tratwy; mam nadzieję, że nie będzie mnie tutaj, aby to zobaczyć. Patrzyłam na mojego biednego gniadosza. Złachmaniony pióropusz kiwał się smętnie, gdy koń starał się utrzymać chrapy nad wodą. Akadyjscy przewoźnicy klaskali w ręce i śmiali się, pokrzykując na zachętę, najwyraźniej nieporuszeni przeprawą.

W końcu przeprawiliśmy się bezpiecznie, choć nasze stroje mocno ucierpiały. Pan Amaury rozkazał rozbić obóz wcześniej tego dnia, żebyśmy mogli oczyścić z błota uprzęż i ubranie. Przewodnicy zapewniali, że przeprawa przez Tygrys będzie łatwiejsza. Ograniczyłam się do machania przemoczonym woalem i piorunowania ich wzrokiem. Przyzwyczajeni w Menechecie do widoku arystokratek bez zasłon na twarzach, wcale się tym nie przejęli.

Następny dzień był słoneczny i chłodny, i muszę przyznać, że po przebyciu wielu mil po jałowych bezdrożach z przyjemnością patrzyłam na żyzne równiny zalewowe obsiane pszenicą i jęczmieniem, choć było już po sezonie. Jechaliśmy drogami, nie brukowanymi, ale gładkimi, podziwiając skomplikowany system rowów nawadniających, które doprowadzały wodę z dwóch wielkich rzek. Napotykałiśmy liczne wioski, gdzie nabywaliśmy prowiant, mleko, daktyle i roczne koźlęta. Zajazdów nie było, a jeśli już, to żaden nie nadawał się do przyjęcia grupy takiej jak nasza. Sypialiśmy

pod dachem tylko w miastach, których było po drodze niewiele.

I tak oto dotarliśmy do Niniwy.

Zobaczyliśmy miasto po drugiej stronie Tygrysu, rzeki o dwakroć szybszym nurcie i o połowę głębszej od Eufratu, leżące na równinie zalewowej, otoczone grubymi, masywnymi murami. Nikt nie uznałby za imponujące miasta wzniesionego z cegieł suszonych na słońcu, ale robiło znacznie większe wrażenie, niż można przypuszczać. W Khebbel-im-Akad jest niewiele innych materiałów budowlanych i mieszkańcy stali się zaskakująco biegli w wykorzystywaniu gliny. Pomimo wszystkich moich wątpliwości okazało się, że nasi przewodnicy powiedzieli prawdę: przeprawa przez Tygrys była łatwiejsza. Most pływający został zbudowany na tej samej zasadzie, co tratwy, ale był znacznie większy. Ogromna platforma z cedrowych bali mogła utrzymać tuziny ludzi i koni. Skomplikowany system lin i bloczków przeciągał ją z jednego brzegu na drugi. Nie wiem, dlaczego Akadyjczycy z taką niechęcią spinają brzegi rzek, ale ten most sprawował się dość dobrze. Przeprawiliśmy się w trzech grupach, po czym stanęliśmy przed bramami Niniwy.

– Tak – powiedział pan Amaury przeciągle, patrząc na naszą gromadkę. – Chyba powinniśmy przenocować przed zaprezentowaniem się synowi kalifa.

Nie mogłam się z nim nie zgodzić.

TRZYDZIEŚCI OSIEM

Powiem jedno: w Niniwie nie brakowało luksusów.

Amaury Trente dopilnował, żebyśmy stanęli w najlepszym zajeździe, który okazał się naprawdę wspaniały. W przestronnych stajniach naszymi wierzchowcami zajęło się tuzin stajennych. Pokoje były zbytkowne, wyłożone dywanami i pełne poduszek tkanych w misterne wzory.

Jedyna wada polegała na tym, że mężczyźni i kobiety kwaterowali osobno.

– Mogło być gorzej. – Rozebrana do koszuli Renée de Rives padła na wyściełany materac, leniwie wyciągając ręce za głowę. Popatrzyła na mnie spod rzęs z przyjaznym uśmiechem. – I zawsze możemy się zabawić, Fedro.

Odwzajemniłam uśmiech i pokręciłam głową.

– Miło, że zaproponowałaś – dodałam.

– Nie jestem miła. – Renée położyła się na boku, wspierając głowę na ręce – Umieram z ciekawości i niezaspokojonej żądzy, i byłoby wielką stratą, gdyby te śliczne łóżka nie zostały wykorzystane. Czy to z powodu Joscelina?

Myślałam o tym, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na materacu naprzeciwko niej.

– Częściowo.

Skrzywiła się.

– Phi! Swoją drogą, dlaczego postanowiłaś zakochać się akurat w kasjelicie? Oni wszyscy są beznadziejni.

Roześmiałam się.

– Możesz być pewna, że nie wybierałam. Czy ty rozmyślnie wybrałaś pana Royce'a? Zawsze to łatwiej, gdy ukochany jest wolny.

– Gdybym spotkała go wcześniej, mógłby być. – Renée też się roześmiała. – Ale to nie to samo, Fedro. Każdy wie, że Joscelin nie chce się tobą dzielić. Royce... Gdybym miała okazję dzielić z tobą łóżko, Royce z radością wepchnąłby mnie do niego. Ja to samo zrobiłabym dla niego.

– Cóż. – Podniosłam się i pochyliłam, żeby ją pocałować. – Może będzie miał swoją szansę.

– To nieuczciwe – powiedziała z uśmiechem, przeciągając się i ziewając. – Na Eluę, nie możesz mieć do mnie żalu, że próbowałam. Jeśli odmawiasz po części z powodu Joscelina, co jeszcze cię powstrzymuje? Nie powiedziałaś.

– Nie, w istocie. – Przerwałam rozpakowywanie kufra i zastygłam, stojąc z wygniecioną suknią w rękach i ściągniętymi brwiami. Tak, minął długi czas, odkąd flirtowałam niezobowiązująco, ale nigdy nie przeczyłam, że ma to swój urok. I chociaż Renée nie była osobą, którą wybrałabym na klienta, mogła budzić pożądanie. Nie, pożądania brakowało we mnie, miałam dziwne wrażenie odroczenia. Było to niezwykle u sługi Naamy, a u *anguisette* wręcz niesłychane. – Naprawdę nie wiem.

– Cóż. – Renée westchnęła leniwie. – Mam nadzieję, że to przejdzie.

Pełna niezwyklej obaw, co wówczas się stanie, zachowałam milczenie.

Tak oto spędziłam noc cnodwie, a rankiem pan Amaury wysłał list do pałacu, zaadresowany do Walerii L'Envers, żony *lugala* Sinaddan—Szamabarsina. Odpowiedź nadeszła szybko, zaproszenie dosłownie promieniowało zapalem. Spędziwszy parę tygodni w Khebbel-im-Akad, nie byłam zaskoczona. Niezależnie od luksusów, pobyt w Niniwie był dla d'Angelińskiej damy najgorszym wygnaniem,

a goście z ojczyzny stanowili nieczęstą osłode.

Wykąpani, w oczyszczonych i wyprasowanych strojach, na koniach wyszczotkowanych i lśniących, z klasą pojechaliśmy do pałacu Niniwy. Ludzie na ulicach bili pokłony, czołami dotykając ziemi. Minęliśmy wiele świątyń pomniejszych bóstw, a potem wielki zigurat Szamasza z solarnym dyskiem na szczycie. Bóg był wyobrażony jako Lew Słońca, z lwim obliczem ujętym w kręgu. Przed świątynią stał potężny posąg Ahzymandiasa, trzy razy większy od śmiertelnego człowieka. Ahzymandias trzymał w ręce włócznie – zwano go Włócznie Szamasza – a jego brodata twarz wyrażała tę samą obojętną srogość, co oblicze boga, gdy patrzył nad dachami miasta.

Przeczytałam inskrypcję wypisaną po akadyjsku: „Zwę się Ahzymandias, król królów: Patrz na moje dzieło, Potężny, i rozpaczaj!”. To przyprawiło mnie o drżenie. Po zaznajomieniu się z kronikami zniszczenia Drudżanu dom Ur budził we mnie lęk.

Pałac Niniwy był strzeżony przez grube mury i kordon strażników w długich tunikach na pełnych zbrojach, w turbanach okręconych wokół spiczastych hełmów. Tutaj wszyscy musieli oddać broń, łącznie z Joscelinem, i przydzielono nam eskortę. Wnętrze pałacu było wyłożone płytkami, chłodne i eleganckie, choć dość ciemne, tylko gdzieniegdzie rozjaśnione przez biały marmur.

Wszędzie wokoło biegali słudzy, przy czym w większości byli to mężczyźni – albo eunuchowie, jak się domyśliłam, patrząc na ich pozbawione zarostu twarze. Nie spotkaliśmy kobiet i cieszyłam się, że obie z Renée mamy twarze przysłonięte woalami. Niezależnie od statusu, jaki nadawały nam te zasłony, tutaj byłam z nich rada.

Wreszcie zostaliśmy wprowadzeni do niewielkiej sali recepcyjnej i dowódca naszej eskorty opowiedział się pulchnemu eunuchowi w bogatym stroju przepasanym złotym łańcuchem. Eunuch uklonił się nisko i spojrzał koso na mężczyzn w naszej delegacji. Strażnicy otworzyli drzwi i weszliśmy.

– Jej Wysokość *lugalina* Waleria Szamabarsin – oznajmił po

akadyjsku eunuch, głosem wysokim i dźwięcznym.

Wszyscy ukloniliśmy się albo dygnęliśmy przed osobą siedzącą na podwyższeniu, ubraną w naszywane klejnotami szaty, z twarzą ukrytą za woalem.

A potem drzwi zamknęły się za nami i kobieta uniosła woal, przez jedną straszną chwilę przywodząc mi na myśl Melisandę Szachrizaj w Małym Dworze. Ale nie, ta kobieta zerkała niespokojnie w stronę drzwi, sprawdzając, czy rzeczywiście zostały zamknięte, a po jej ciemnofiołkowych oczach wszędzie poznałabym potomka rodu L'Envers.

– Panie Trente – powiedziała Waleria L'Envers, schodząc z podwyższenia, by ująć jego rękę i pocałować go na powitanie. Miała zdecydowanie zarysowany podbródek, jak ojciec, tylko ładniejszy. Spod wymyślnego nakrycia głowy spływały włosy o barwie miodu. – Co za spotkanie! Hrabina Fedra nó Delaunay de Montrčve. – Odwróciła się w moją stronę, a ja dygnęłam po raz drugi, szybko podnosząc woal. – Nasze domy łączy długa historia. To zaszczyt cię poznać.

– To ja czuję się zaszczycona, Wasza Książęca Mość – szepnęłam, gdy pochyliła się, żeby mnie pocałować.

– I messire Joscelin Verreuil! – Waleria klasnęła w rękę, szczerze uradowana. – Nie masz pojęcia, ile razy słuchałam „Pojedyńku kasjelitów” z *Cyklu Serenissimskiego*. To moja ulubiona część. Tak bardzo się cieszę, że tu jesteś.

– Wasza Książęca Mość. – Joscelin puścił jej rękę, żeby złożyć kasjelicki ukłon, błyskając zarękwami. – Rad jestem, że sprawiłem ci przyjemność.

– W istocie. – Jej uśmiech posmutniał. – Choć obawiam się, że nie przybyliście dla mojej przyjemności. Panie Trente – zwróciła się do Amaurego – nie róbmy ceremonii. Co sprowadza was do Niniwy? – Zobaczyła, że Amaury spogląda na eunucha. – Barnabasz jest mi wierny, inaczej nie byłoby go tutaj. Śmiało, panie Amaury, co masz do

powiedzenia?

Biorąc głęboki oddech, Amaury Trente powiedział:

– Skoro znasz *Cykl Serenissimski*, Wasza Księżęca Mość, musisz pamiętać, że kiedy zajęliśmy Mały Dwór Benedykta de la Courcel, jego syn zniknął...

Opowiedział jej historię w całej rozciągłości, a przynajmniej tyle, ile sam wiedział – Ysandra powiedziała mu tylko, że chłopiec zniknął z sanktuarium w Siovale i trop doprowadził nas do Amilcaru. Waleria L'Envers słuchała w milczeniu, dopóki nie wspomniał o Drudżanie.

– Drudżan! – wyrzekła to słowo jak przekleństwo, jej rysy stwardniały. – Zatem dlatego tu jesteście.

– Tak, pani. – Amaury uklonił się. – Przybyłem tutaj w imieniu Jej Wysokości Ysandry de la Courcel, królowej Terre d'Ange, aby prosić cię o pomoc w odebraniu chłopca Drudżanom z pomocą środków, jakie uznasz za najlepsze – na drodze handlu, przekupstwa lub broni.

Zadowolenie i dziewczęca radość zniknęły z twarzy Walerii L'Envers. Sztywna w ciężkich od klejnotów szatach, siedziała na tronie jak posąg. Poruszyły się tylko jej usta, gdy wyrzekła jedno słowo:

– Nie.

Amaury Trente zamrugał.

– Wasza Księżęca Mość, masz moje słowo...

Uniosła palec.

– Posłuchaj, panie Trente. Po pierwsze, nie mam możliwości, żeby spełnić twoją prośbę. Tu jest Khebbel-im-Akad. Mam władzę tylko nad eunuchami i kobietami w moich komnatach. Nie mam własnej straży, nie mam prawa negocjować. Liczę się tylko jako matka synów mego męża i dzięki temu mogę udzielać mu rad na osobności, to wszystko. Po drugie, mam zastrzeżenia co do mądrości waszych poczynań. Ten chłopiec to Imriel de la Courcel, syn dwukrotnej zdrajczyni, i im bliżej stoi tronu, tym mniej mi się to podoba. Po trzecie... – Uśmiechnęła się smutno. – Co wiesz o Drudżanie?

– Niewiele – przyznał Amaury. – Tylko tyle, że kapłani budzą lęk, nawet w sercach Akadyjczyków.

– Dżahandar – powiedziała. – Kraina Ognia poświęconych Ahurze Mazdzie, później Szamaszowi. Trzydzieści lat temu Drudżanie zbuntowali się pod wodzą Hoszdara Ahzada. Generał Chussar–Usar stłumił bunt i wymordował tysiące ludzi, w tym cały ród Hoszdara. Dwadzieścia parę lat później coś się zmieniło i Khebbel–im–Akad nie chce o tym mówić, z wyjątkiem zakazania handlu z Drudżanami.

– Tak. – Waleria L’Envers uśmiechnęła się gorzko. – Tyle jeszcze możemy zrobić, przynajmniej na razie. Przeprowadziłaś wywiad, hrabino.

Skłoniłam głowę.

– Na ile było to możliwe. Czy opowiesz nam o Drudżanie, Wasza Książęca Mość?

Jej fiołkowe oczy, tak bardzo podobne do oczu królowej, pozostały nieodgadnione.

– Drudżan zgasił swoje święte ognie. Czy wiesz, co to oznacza?

– Nie.

– Ja też nie wiem. – Jej głos brzmiał ponuro. – Podobnie jak nikt Khebbel–im–Akad, z wyjątkiem Persów, którzy patrzą koso i pomrukują o starożytnych prorocत्वach. Nie wiem, czy należy w nie wierzyć, wiem tylko, że ludzie umierają, kiedy drudżańscy kapłani tego chcą.

– Drudżan jest suwerenny?

Waleria L’Envers pokiwała głową.

– Od dziewięciu lat. Powstali po raz kolejny, mniej liczni i dwakroć bardziej zdesperowani, i wycięli garnizony nie tylko w Daršandze, ale w wszystkich pogranicznych fortach. Kalif wysłał potężną armię. Trzy miesiące później powróciły niedobitki, niosąc opowieści o zatrutej wodzie, osuwiskach skalnych i wyniszczającej chorobie.

– Wojna jest brutalna – wtrącił Trente. – Takie rzeczy się zdarzają.

– Tak. – Waleria popatrzyła na niego twardo. – Dlatego kalif wysłał

drugą armię, przydzielając wojsku najlepszych przewodników i karawanę z zapasami wody. Czy chcesz usłyszeć, co się stało? Żołnierze zostali uwięzieni w dolinie i wycięli się wzajemnie. Wróciło trzech, a razem mieli tyle rozumu, co jeden. Na torturach opowiedzieli tę samą historię: W środku nocy Mahrkagir zszedł z gór z drudzańskim wojskiem i przypuścił atak roznosząc ich na strzępy. Walczyli z nimi zaciekle i rozpaczliwie. A kiedy wstał dzień, kiedy oblicze Lwa Słońca zajrzało do doliny... – Wzruszyła ramionami. – Nie było ani śladu Drudżanów. Tylko akadyjscy żołnierze, zabici w bratobójczej walce. Wojsko zwróciło się przeciwko sobie.

Wyglądało na to, że niewiele jest do powiedzenia. Popatrywaliśmy na siebie nawzajem. Amaury Trente miał taki wyraz twarzy, jakby zamierzał rwać sobie włosy z głowy. Renée de Rives stała blisko Royce'a Guidela, ze strachu trzymając go za rękę. Spokojna była tylko twarz Joscelina. Ściągnęłam brwi, rozmyślając.

– Mahrkagir, pani?

– Tak zwie się ten, który przewodzi Drudżanom i zasiada na tronie w Daršandze.

Staroperski jest spokrewniony z akadyjskim i habiru. Powtarzałam to słowo w głowie, zastanawiając się nad jego znaczeniem.

– Zwycięzca Śmierci.

– Tak. – Błada Waleria pokiwała głową. – Teraz rozumiesz, dlaczego petycja jest daremna? Nawet gdybym przychyliła się do waszej prośby i błagała Sinaddana, żeby wam pomógł, nie wyśle ludzi z Niniwy do Drudżanu.

– Czy próbowaliście załatwić sprawę na drodze dyplomatycznej? – Uniosłam brwi.

– Dyplomacja! – Parsknęła chrapliwym śmiechem. – Po zniszczeniu dwóch armii kalif wysłał poselstwo pod flagą rozejmu, żeby omówić warunki pokoju. Mahrkagir odesłał głowy posłów w worku, pozbawione oczu i języków. Nie radzę wam próbować dyplomacji.

– Zatem nie udzielisz nam pomocy, Wasza Książęca Mość? – zapytał

Amaury Trente ostatni raz, głosem zdradzającym rezygnację, a zarazem ulgę.

Nie mogłam mieć do niego pretensji. Jego zadanie było trudne i domyślałam się, że nie wypełnia go z wielką chęcią. Odmowa Walerii L'Envers naczała koniec. Ysandrze zależało na odnalezieniu chłopca, ale nigdy nie poprosiłaby lojalnych obywateli Terre d'Ange o prowadzenie poszukiwań na wrogim terytorium.

– Nie – Ton Walerii złagodniał. – Wybacz mi, panie Amaury, ale to niemożliwe. Poza tym wierzę, że tak będzie najlepiej dla kraju.

Zapewne, gdy weźmie się wszystko pod uwagę... Mnie jednak wiązała przysięga i prześladowała wizja ze snu, błagalne spojrzenie niebieskich oczu, cień laski padający jak pręga na chłopięcą buzię. Pamiętałam także światło słońca mrugające na granatowej pieczęci Nicoli L'Envers, gdy się zegnałyśmy. „Może znowu się przydać, nigdy nic nie wiadomo”. Dlatego przybyłam do Khebbel-im-Akad. Westchnęłam i zwróciłam się do Walerii L'Envers po akadyjsku, wiedząc, że inni mnie nie rozumieją:

– Pani, rozumiem, że możesz udzielić niewielkiej pomocy, ale mimo to proszę cię o przekazanie naszej petycji mężowi. Zobowiązuję cię na płonącą rzekę.

Siedziała nieruchomo i patrzyła na mnie, w tej chwili wcale niepodobna do swoich krewniaczek.

– Chcesz posłużyć się zawołaniem mojego rodu, żeby mi rozkazywać? – zapytała płynnie po akadyjsku.

– Wybacz – szepnęłam – ale muszę.

Waleria odwróciła wzrok.

– Mojego rodu – powtórzyła z goryczą – pod przewodem mojego umiłowanego ojca, który sprzedał mnie w małżeństwo dla zaspokojenia własnych ambicji. Myślisz, że uhonoruję to hasło?

– Nie wiem – odparłam szczerze i spokojnie. – Uhonorujesz?

Minęła długa chwila, zanim pokiwała głową, i zrobiła to, nie patrząc na mnie.

– Wciąż jestem D’Angelina – powiedziała cicho. – I wyraziłam zgodę na ten związek. Dobrze, pomówię z Sinaddanem i dam ci odpowiedź.
– Spojrzała na mnie, spięta i zła. – Jego odpowiedź będzie taka sama. Przymusiłaś mnie nadaremnie, hrabino, i twój postępki niezbyt mi się podoba.

– Wiem – przyznałam ze smutkiem. – Ale musiałam.

TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Sinaddan–Szamabarsin, *lugal* Khebbel–im–Akad i władca Niniwy wydał ucztę z okazji naszego przybycia.

Niewątpliwie stało się to za namową Walerii, ale trzeba przyznać sam *lugal* był niezwykłym człowiekiem, przynajmniej jak na Akadyjczyka. W czasie dwunastu lat małżeństwa nabrał zdrowego szacunku dla intelektu d’Angelińskiej żony i matki swoich synów. Jeśli nie przyznawał tego publicznie, z pewnością robił to prywatnie, i polubił niektóre d’Angelińskie zwyczaje.

Stąd uczta, w której brała udział garstka wybranych Akadyjczyków wysokiego rodu, i na której kobiety – cała nasza trójka – mogły bez wstydu wystąpić bez woali.

Atmosfera przyjęcia była sztywna i niezręczna, bo w naszej delegacji tylko ja mówiłam po akadyjsku, a *lugal* nie znał d’Angelińskiego ani żadnego innego obcego języka. Jak się dowiedziałam, Akadyjczycy mają w pogardzie uczenie się cudzoziemskiej mowy, gdyż traktują je jako formę uległości, i jest to dopuszczalne tylko wśród nielicznych dyplomatów i posłów. Ponieważ Waleria L’Envers nie zniżyła się do roli tłumacza, obowiązek spadł na mnie.

Sinaddan–Szamabarsin – czyli „Sławiony przez Szamasza” – przystojny na akadyjski sposób, około czterdziestoletni, miał ciemne, inteligentne oczy i zadbaną brodę. Jego szata mieniła się od haftów i wielki szmaragd połyskiwał na jego turbanie, lecz miał ruchy wojownika, oszczędne i energiczne. Uprzejmym tonem podziękował

panu Amauremu za przekazanie pozdrowień od królowej dla krewniaczki w Niniwie i w kwiecistych słowach pochwalił wdzięk d'Angelińskiej sztuki.

Pan Amaury, starannie maskując skrępowanie, udzielił uprzejmej odpowiedzi, co również przetłumaczyłam. Nie był zadowolony, gdy się dowiedział, co zrobiłam. Żaden z delegatów nie był, co spostrzegła Waleria. Kiedy wysunęła prośbę, przedstawiła ją jako moją.

– Panie mężu – zagadnęła przy deserze złożonym z kandyzowanych płatków róż i słodkiego sorbetu z przywiezionego z gór śniegu – czy mogę prosić o łaskę w imieniu hrabiny Fedry de Montrčve?

Księżę Sinaddan uśmiechnął się do mnie.

– Chętnie wysłucham prośby takiej ślicznej tłumaczki, moja pani

– Wydaje się – podjęła z szacunkiem – że Mahrkagir z Drudżanu kupił sprzedanego w niewolę d'Angelińskiego chłopca. Choć powiedziałam, że to niemożliwe, hrabina prosi cię o pomoc w odzyskaniu chłopca, panie małżonku.

Jego twarz pociemniała, gęste brwi zbiegły się nad nosem.

– Niestety – odparł z żalem w głosie. – Niczego bardziej nie pragnę, niż zmierzyć się z Drudżanami, ale już próbowałem i nic z tego nie wyszło. Nie poślę ludzi na śmierć w tym przeklętym kraju. Przykro mi, hrabino, ale chłopiec nie jest jedyną ofiarą. Podobno niegodziwi kapłani sprowadzili do seraju Mahrkagira niewolników z wielu krajów.

Cóż, Waleria uprzedzała, że tak będzie. Niepotrzebnie ją zmuszałam, a na domiar złego straciłam jej życzliwość.

– W jakim celu ich gromadzi?

– Wiem tylko, co mówią Persowie. – Księżę Sinaddan popatrzył na mnie z zadumą. – Czy nie przerażają cię drastyczne sceny, śliczna tłumaczko?

– Kiedyś pewien człowiek próbował żywcem obedrzeć mnie ze skóry, Wasza Księżęca Mość. Czy to wystarczy?

Roześmiał się, pokazując białe zęby.

– Tak, na Szamasza! D’Angelińskie kobiety zawsze są pełne niespodzianek, czyż nie? Skoro jest tak, jak mówisz, przypuszczam, że zniesiesz moje słowa. Persowie mówią, że Mahrkagir odwiódł Drudżanów od kultu Ahury Mazdy, Pana Światła, i teraz czczą Angra Mainju, Pana Ciemności. – Wzruszył ramionami. – Podobno pomiędzy tymi dwoma bogami toczy się odwieczna walka. Proroctwa mówią, że Angra Mainju wstanie pokonany, ale zanim to się stanie, będzie władać przez dziesięć tysięcy lat.

– Mahrgakir chce więc ustanowić rządy na dziesięć tysięcy lat.

– Otóż to. – Sinaddan pokiwał głową. – Chcąc uzyskać pomoc Angry Mainju, zgasił święte ognie i powołał kapłanów ciemności. Zrobił wszystko, żeby wyrzec się światła. Co zaś się tyczy aktu miłości, który daje życie... – uśmiechnął się ponuro – przemienił go w akt nienawiści, płodzący tylko śmierć. Takie nasiona chciałby wysiać w krajach świata. Gromadzi niewolników w swoim seraju, bo podobno szuka idealnej ofiary, nieskazitelnej i niezrównanej, żeby poprzez zadany jej gwałt zagwarantować przewagę Angry Mainju. – Wzruszył ramionami. – To głupota, tak twierdzą kapłani Szamasza, głupota i błazenada. Kiedy jednak drudżańscy kapłani kości chodzą po ulicach, kapłani Szamasza chowają się za zamkniętymi drzwiami i modlą.

Krew stężała mi w żyłach na te słowa, choć przypuszczam, że mogły być gorsze. Słyszałam o większych potwornościach, łącznie z tymi, jakich dopuścili się Akadyjczycy. Ale jestem D’Angeliną i potomkiem Błogosławionego Elui, i nie mogłabym wymyślić większego świętokradztwa. Pamiętałam też dzieci zostawione w Amilcarze.

Fadil Chouma szukał określonego dziecka, tylko jednego. Niezrównanego, perły *gadje*, jak Cyganie nazwali Imriela de la Courcel.

A jego matka dopilnowała, żeby został wychowany w nieskazitelnej czystości.

– Co on mówi? – Amaury Trente położył rękę na moim nadgarstku.
– Czy wysła w naszej sprawie ludzi do Drudżanu?

Nie mogąc odpowiedzieć, tylko pokręciłam głową.

– Niech więc tak będzie. – W tonie Amaurego pobrzmiwała ulga. – Panowie, pani de Rives, słuchajcie! Dołożyliśmy wszelkich starań, żeby spełnić życzenie królowej, i zrobiliśmy więcej, niż wymagał od nas obowiązek. Jestem przygnębiony naszym niepowodzeniem, ale dotarliśmy do miejsca, z którego dalej iść nie możemy. Jako, że królowa powierzyła mi dowodzenie, nakazuję: tutaj kończymy poszukiwania.

Rozległy się spontaniczne okrzyki radości. Nie sędzę, żeby delegaci nie współczuli Imrielowi, lecz strach przed Drudżanem już zdążył zapuścić korzenie. Popatrzyłam na ich szczęśliwe, odprężone twarze. Akadyjczycy, myśląc, że wiwaty są wyrazem hołdu, uśmiechali się z zadowoleniem. Waleria szeptała do księcia Sinaddana, wyjaśniając, co się stało. Renée de Rives była zarumieniona i uśmiechnięta, piękno jej młodości jaśniało niczym płomień świecy. To bardzo dziwne, pomyślałam, że jej propozycja mnie nie poruszyła. Dotąd nie zdarzyło się, żeby moja natura nie dała o sobie znaku.

Tak to się kończy.

Popatrzyłam na Joscelina, na jego dłonie zamknięte wokół kubka z miodowym piwem. Bez śladu radości na twarzy, ze spokojnym współczuciem czekał na moją reakcję. Pomyślałam o swoim śnie, o przysiedze, diamencie w rękę Kusziela. Zastanowiłam się nad nieobecnością pożądania, nad tą straszną, wyczekującą pustką. I czułam wyłaniający się wzór, który unosił się nad nami od tamtej pierwszej strasznej chwili w Siovale, kiedy zrozumiałam, że uprowadzenie Imriela nie jest owocem żadnej intrygi czy spisku.

Rozwidlające się ścieżki, i każda prowadząca w ciemność.

„Podobno Mahrkagir szuka idealnej ofiary...”.

Czym była Wybranka Kusziela, jeśli właśnie nie tym?

O nie, pomyślałam; Błogosławiony Eluo, nie! Nie możesz o to prosić,

to zbyt wiele, zbyt wiele!

I gdy tak rozmyślałam, wewnętrzną pustkę wypełniła powódź radości, miłości i światła, oślepiającego światła. Nabrzmiwało we mnie. Byłam świadoma istnienia przeogromnego wzoru, zawierającego w sobie całe życie, całą miłość. Miłość i wszystko, co się z nią wiązało; skomplikowane więzi, które łączą nas wszystkich, które rodzą życie, wolność, współczucie i poświęcenie w najprawdziwszym znaczeniu. Do wtedy nie wierzyłam, że to możliwe. Nie sądziłam, że śmiertelna istota może zawierać taką chwałę. Do kogo należało to, co mnie przepełniało? Nie do Kusziela, nie, i nie do Naamy, tylko do Elui, Błogosławionego Elui, jasnego cienia, w którym wszyscy oni podążali. Elua ujawnił w końcu ogrom swego planu, wypełniając i otaczając mnie, przesycając moją duszę promienistym światłem, przywodząc smak miodu do moich ust, sprawiając, że moje serce trzepotało niczym skrzydła kolibra, tak, tak, tak.

Nie, pomyślałam. Łzy piekły mnie w oczy. Nie.

To za wiele.

Zaczerpnęłam tchu. Boska obecność oddalała się, rozluźniała swój uścisk, cichła niczym tony pięknej pieśni. Wybacz mi, pomyślałam z pełną rozpaczczą wdzięcznością, wybacz mi, Eluo, panie mój, dziękuję ci za współczucie, za zrozumienie, przysięgam, będę ci posłuszna w każdym uczynku, codziennie będę wylewać kadzidło na twój ołtarz, zmówię tysiące modlitw ku twojej chwale...

Obecność bladła, kurcząc się z żalu, znikając. *Żegnaj*, usłyszałam, ostatnie i nieodwołalnie żegnaj. Odchodził nie tylko Elua, Błogosławiony Elua, ale także inni – Kusziel, którego mosiężne skrzydła po raz ostatni topotały w mojej krwi, i Naama z gasnącym enigmatycznym uśmiechem. Wszyscy oni zostawiali mnie na zawsze.

Głucha, szara pustka czekała, żeby zająć ich miejsce.

– Zgoda! – Zacisnęłam ręce, wbijając paznokcie w skórę, nie zdając sobie sprawy, że mówię na głos. – Zrobię to.

– Fedro?

Był to głos Joscelina, cichy i zatroskany. Patrzyłam na niego przez łyzy, niepewnie siedząc na krześle, przytłoczona powracającą obecnością, która mnie ponownie wypełniała. Nie zostałam porzucona, nie, i nadal byłam sobą.

– Słucham? – szepnęłam.

– Myślałem... – Na jego umiłowanej twarzy malowała się konsternacja. – Po prostu patrzyłaś w pustkę i przez chwilę myślałem... – Pokręcił głową. – Myślałem, że znak, Strzała Kusziela, szkarłatna plamka w twoim oku... znika, przysięgam, kurczy się na moich oczach. Widziałem, jak maleje w punkcik, a potem... – Joscelin dotknął mojego policzka. – Potem powróciła.

– Tak. – Zawroty głowy i rozpacz sprawiły, że mój głos brzmiał dziwnie. – Zapewne tak było. Och, Joscelinie... to ci się nie spodoba. – Nim zdążył zapytać, przemówiłam po akadysku do *lugala*: – Panie Sinaddanie, czy nie znasz przypadkiem kogoś, kto chciałby poprowadzić nas do Daršangi? Nie jako poselstwo, ale jako kupców z żywym towarem na sprzedaż?

Waleria L'Envers już się uśmiechała, pewna zaprzeczenia, gdy *lugal* Khebbel-im-Akad z zadumą pokiwał głową.

– Tak, śliczna pani tłumaczko. Tak się składa, że mogę znać, za odpowiednią ilość złota.

Nie wiedzieć czemu, nie byłam zaskoczona.

Tak skończyła się uczta w Niniwie, a w naszym gronie zapanował chaos.

Pan Amaury Trente, zaznajomiwszy się z moim planem, nie krył swoich poglądów.

– Rozumiesz, że nie mogę na to przyzwolić? – oznajmił, krążąc z zagniewaną miną po pokoju. – To szaleństwo, Fedro. Gdybym miał odrobinę więcej rozsądku, kazałbym zakuć cię w łańcuchy.

– Rozumiem, panie – odparłam chłodno.

Potrząsnął głową.

– Wiesz, że królowa nigdy nie pozwoliłaby na coś takiego? Na Eluę,

nie jestem nawet pewien, czy ta diablica Melisanda Szachrizaj poprosiłaby cię o to!

– Wiem, panie. To nie ona prosi.

Pan Amaury westchnął.

– Zatem niech tak będzie. Posłuchaj mnie, Fedro nó Delaunay. Zgodziłem się zapłacić żadaną sumę przewodnikowi księcia Sinddana, który mogę dodać, jest perskim bękartem i zbójcą, gotowym za złoto sprzedać rodzoną matkę. Był jednym z przewodników w czasie ostatniej ekspedycji i uciekł przed rzezią. Sinaddan zgodził się przydzielić ci zbrojną eskortę do drudzańskiej granicy, a ja... będę wam towarzyszyć. Później zostaniesz zdana na siebie, chyba że... – uniósł palec – chyba że pojedzie Joscelin Verreuil. Zrozum mnie, Fedro. Jeśli kasjelita nie wyrazi zgody, nie puszcze cię samej.

Pokiwałam głową.

– Rozumiem, panie. Jestem wdzięczna, że chcesz podjąć takie ryzyko.

Amaury Trente popatrzył na mnie krzywo.

– Nie daj się zwieść pozorom, nie jestem tym uszczęśliwiony.

Tak zachował się pan Amaury.

Został tylko Joscelin, który nie odzywał się do mnie przez dwa dni, odkąd poznał naturę mojego planu. Nie wiem, co robił w tym czasie, z wyjątkiem tego, że długo spacerował po Niniwie. Nikt go nie zaczepiał. Nic dziwnego, ponura mina, miecz przytroczony na plecach i sztylety wiszące nisko na biodrach działały odstrasżająco. Czekałam, aż w końcu przyjdzie. Kiedyś tego nie zrobił. Dziesięć lat temu w La Serenissimie odszedł ode mnie i nie byłam pewna, czy wróci.

Tym razem byłam.

Usłyszałam krzyki w przeznaczony dla kobiet części zajazdu i wiedziałam. Gdy raz podjął decyzję, żadne konwenanse nie mogły go powstrzymać. Spojrzałam na Renée, patrzącą na drzwi szeroko otwartymi oczyma.

– To Joscelin – powiedziałam. – Moja droga, nie chcę, żebyś przy tym była.

Bez słowa nałożyła woal i wysliznęła się z pokoju, gdy wchodził, nieświadom, że się mijają.

– Fedro – zaczął z morzem udręki zawartym w jednym słowie: jednym słowie, moim imieniu. Pechowym imieniu, tak zawsze mówiłam. – Czy wiesz, o co prosisz?

– Tak – odparłam stanowczo. – Proszę, żebyś zabrał mnie do Daršangi i sprzedał do haremu Mahrkagira z Drudżanu.

Odwrócił się z rękami zaciśniętymi w pięści; słyszałam, jak zaskrzypiały skórzane paski zarękawi.

– Człowiekowi, który płodzi śmierć, jak inni płodzą życie.

– Tak. – Głos mnie zawiódł i zadrżał. – Eluo! Czy myślisz, że się nie boję?

– Zatem dlaczego?! – Joscelin odwrócił się z ogniem w niebieskich oczach, niewinnych jak letnie niebo, pełnych miłości i nienawiści. – Błogosławiony Eluo, Fedro, dlaczego? Czy tak mało ci na mnie zależy? Czy syn Melisandy znaczy dla ciebie tak wiele? Czy może korci cię żądza? Dlaczego?

– Nie – odparłam, kręcąc głową. – Nie. – Patrzyłam na niego, choć sprawiało mi ból. – Czy pamiętasz, jak rozmawialiśmy na statku? Joscelinie, sam Elua żąda tego ode mnie. Przysięgam ci, gdyby było inaczej nie prosiłabym o to.

Z cichym pomrukiem, jak okiełznane zwierzę, osunął się na kolana i ukrył twarz w dłoniach.

– To takie trudne – powiedział stłumionym głosem.

– Wiem – rzekłam cicho, podchodząc do niego i kładąc ręce na jego głowie. – Wierz mi, kochanie, wiem.

Joscelin mocno chwycił mnie w tali.

– Na wieczne potępienie i dłużej – szepnął. Czulałam na brzuchu żar jego ciała. – Przysięgłem. – Dźwięk, który uwiązał mu w gardle, mógł, ale nie musiał być śmiechem. – Jak gdybym miał cień pojęcia, co to

oznacza.

– Joscelinie – szepnęłam – już samo rozważanie tego pomysłu wymagało ode mnie najwyższej odwagi. Powiedz teraz, czy mi pomożesz.

Na klęczkach patrzył na mnie, wznosząc błękitne oczy okolone długimi rzęsami. Jego twarz, choć padał na nią tylko mój cień, była niesamowitym obrazem z mojego snu.

– Chętniej podałbym ci własne serce na talerzu, kochanie, ale nie o to prosisz. Niech tak będzie. Sprzedam cię człowiekowi, który zwie się Zwycięzcą Śmierci, i, Eluo, miej go potem w opiece.

Nie mogłam prosić o więcej.

CZTERDZIEŚCI

Odbyło się wiele łzawych pożegnań, zanim ruszyliśmy do Drudżanu. Nasz wyjazd nikogo nie cieszył i wcale się temu nie dziwię, bo mnie samą opadły wątpliwości. Po kilka razy dziennie kwestionowałam swoją decyzję i jednocześnie pragnęłam wskrzesić swe pierwsze niezachwiane przekonanie, że wypełniam plan Elui, złotej obecności, która napełniła mnie taką przeklętą pewnością.

Niestety, tak się nie stało.

Baron Wiktor de Chalais miał poprowadzić delegatów do domu, za dwie wielkie rzeki, nim się zaczyną wiosenne powodzie. Był dobrym, statecznym człowiekiem i cieszyłam się z takiego rozwiązania. Pan Amaury Trente, Nicolas Vigny i dwóch innych miało towarzyszyć nam do drudżańskiej granicy z eskortą księcia Sinaddana. Mieli tam czekać przez pół roku. Jeśli nie wrócimy w tym czasie, uznają nas za martwych albo zaginionych.

Renée de Rives rzuciła mi się na szyję, całując mnie na pożegnanie. Jej płacz nie pozostawiał wątpliwości, że nie ma nadziei, że kiedyś ujrzy mnie żywą. Pomimo bariery językowej delegatom udało się wysłuchać tyłu opowieści o Drudżanie, że zyskali pewność, iż jedziemy ku pewnej zgubie.

W czasie naszych przygotowań do wyjazdu w Niniwie zginął człowiek – garncarz zmiądzony przez własne wyroby, gdy półka zarwała się w warsztacie po tym, jak przeklął kapłana *Skotophagotis*, który przestąpił jego próg.

To wystarczyło, żeby podsycić strach.

Joscelin mówił niewiele. Ostrzył broń, bez końca pociągając osełką, nacierał olejem pochwy i rękojeści, usuwał ze stali najdrobniejsze ślady rdzy po deszczowej podróży do Niniwy. Opracowaliśmy plan. Człowiek *lugala*, niejaki Tizrav, miał zaprowadzić nas do pałacu w Daršandze. Jeśli dotrzemy tam bezpiecznie, Joscelin zapłaci mu połowę uzgodnionej sumy z własnej sakiewki. Uzgodniliśmy, że Joscelin będzie się podawał za d'Angelińskiego renegata, który uprowadził żonę d'Angelińskiego wielmoży, czyli mnie. Gdy cena za ten wybryk okazała się zbyt wysoka i krewni mojego męża ścigali go przez kilka krajów, postanowił wymienić moje wdzięki na azyl w Drudżanie, gdzie nikt nie ośmieli się go szukać.

Prosty i dobry plan. Pan Amaury miał zatrzymać drugą połowę należności jako poręczenie i zapłacić Tizravowi dopiero wtedy, gdy Pers wróci Drudżanu z umówionym słowem. Joscelin miał mu je podać dopiero wtedy, gdy zyska pewność, że Tizrav nas nie zdradził.

– Jakie hasło wybierzemy? – zapytał Amaury, ściągawszy brwi.

Joscelin popatrzył na mnie.

– Hiacynt – powiedział.

To było odpowiednie słowo.

Jest taki moment, kiedy strach narasta do tego stopnia, że przestaje mieć znaczenie i istnieje tylko jako abstrakcyjne pojęcie. Osiągnęłam ten moment w czasie przygotowań. Nie mogłam zrozumieć boskich zamierzeń, zajęłam się więc przyziemnymi sprawami. Spotkałam się z Tizravem, synem Tizmahta; nie budził zaufania, żyłasty i niechlujny, z okiem wybitym przez strzałę kłusownika, przynajmniej sam tak mówił. Uznałam, że najprawdopodobniej to on kłusował. Mimo wszystko *lugal Khebbel-im-Akad* ręczył za niego.

– Tizrav zna góry – powiedział. – Jest tchórzliwy, ale chytry i nie zdradzi cię... dopóki stawką jest złoto.

Nie miałam innego wyboru niż mu uwierzyć.

– Zechcesz uczyć mnie staroperskiego w trakcie podróży? –

zapytałam. – Do Daršangi daleka droga.

– Oczywiście! – odparł, energicznie kiwając głową, szczerząc zęby i dłubiąc palcem pod łątką na oku. – Cokolwiek pani sobie życzy. To mój ojczysty język, władam nim jak tubylec! Dlatego, dopóki Tizrav jest przewodnikiem, żaden Drudżanin nie przysporzy nam kłopotów.

Miałam wątpliwości, miałam tysiące wątpliwości. Przemilczałam je. Joscelin patrzył na mnie bez słowa, nie przerywając ostrzenia broni.

Jak na ironię, Waleria L'Envers wybaczyła mi nadużycie zawołania jej rodu i polubiła mnie, gdy uznała, że jadę na pewną śmierć. Nie mając do kogo innego się zwrócić, poprosiłam ją, żeby przechowała dżebeński zwój z historią syna Szalomona i tłumaczenie Audyny Davul. Nie tylko wyraziła zgodę, ale z własnej woli wyświadczyła mi inną przysługę.

– Proszę – powiedziała, zarzucając mi na ramiona płaszcz ze szkarłatnego jedwabiu, podbity kunim futrem. – To prezent od Sinaddana, ale rękawy są za krótkie. Nigdy nie pomyślałam, żeby kazać go przerobić. Na ciebie powinien pasować, hrabino, a w górach będzie zimno.

Przymierzyłam, pasował idealnie.

– Dziękuję – powiedziałam cicho, wtulając policzek w jedwabiste brązowe futro. – To miło z twojej strony, pani.

– Nie jestem miła! – Łzy stanęły w jej fiołkowych oczach. – Eluo, dlaczego nie jesteś inna? Znam twoje dzieje! Królowa cię słucha, moja kuzynka Nicola ma bzika na twoim punkcie, nawet mój ociec uznaje twoje zalety! Dlaczego ja jako jedyny członek mojego rodu wyprawiam cię na śmierć, i to dla bachora tej żmii?

– Jeszcze żyję, Wasza Książęca Mość.

– Tak. – Waleria L'Envers odwróciła się, wygładzając szatę. – Lecz być może niedługo, a ja muszę być przygotowana na wszystko. Ha! – prychnęła. – Niech nikt nie powie, że pozwoliłam d'Angelińskiej damie stawić czoło śmierci w byle jakim stroju.

Favriela nó Dzika Róża, pomyślałam, doceniłaby jej odczucia. Nie byłam pewna, czy Ysandra także, ale to już nie miało znaczenia.

Wyruszyliśmy z Niniwy z fanfarami, po ceremonii odprawionej przez kapłanów Szamasza. O świcie rozpalili ogień i złożyli w ofierze parę owiec. Z trudem przełykałam ślinę; w Terre d'Ange nie robimy takich rzeczy. Pod rozciętymi gardłami owiec ustawiono płytkie złote misy, do których zebrano krew. Każdy Akadyjczyk ruszający w podróż wsunął miecz w płonący stos i przytrzymał, póki skraje nie rozgrzały się do czerwoności. Potem zanurzyli miecze w owczej krwi. Gorąca stal syczała i smród krwi rozchodził się w powietrzu, gdy mówili:

– Potężny Szamaszu, spraw, abym następnym razem unurzał miecz we krwi wrogów!

Mniejsza z tym, pomyślałam, oni nie jadą do Drudżanu.

Joscelin przypatrywał się ceremonii w milczeniu i nie wyrzekł modlitwy. Jego miecz został poświęcony dawno temu, przez stryja, a przed nim stryjecznego dziadka, prosta stal z wytartą, często zmienianą skórą na rękojeści. Dla niego samo wyciąganie miecza było modlitwą i do tej pory stal pozostała w pochwie. On też miał nowy płaszcz, z haftowanych skór owczych, z ciepłą wełną od środka. Zastanawiałam się, czy to prezent, czy zakup. Włosy splótł w drobne warkoczyki i związał rzemykami. Nie widziałam ich od czasu ucieczki ze Skaldii.

Sprawały, że wyglądał... Eluo, wyglądał jak d'Angeliński renegat, dziki i zdesperowany.

Kapłani Szamasza zakończyli modły i ukłonili się nisko, wczesne słońce załśniło na ich złożonych napierśnikach z wizerunkiem Lwa Słońca. Ludzie księcia Sinaddana ukłonili się w odpowiedzi i sam *lugal* na balkonie pałacu wznosił ręce ku niebu, pozdrawiając słońce. Stało się. Byliśmy gotowi do drogi.

– Błogosławiony Eluo – szepnęłam i pochyliłam się, żeby dotknąć

ziemi, obcej czerwonej ziemi Niniwy, Khebbel–im–Akad – miej nas w swojej opiece.

Nie doczekałam się odpowiedzi, ale tak naprawdę wcale się jej nie spodziewałam.

Ruszyliśmy w drogę.

Po kilku dniach jazdy równiny ustąpiły nizinom, a niziny wzgórzom. Uśmiechnięty szeroko Tizrav prowadził naszą grupę bezbłędnie najkrótszym szlakiem. Jeśli zamierzał nas zdradzić, to raczej nie tutaj, nie na akadyjskim terytorium. Jechałam w woalu, otoczona przez Joscelina, Amaurego Trente i jego ludzi. Akadyjczycy żartowali, na szczęście nie na mój temat; byli spragnieni krwi i bitwy.

Tak, pomyślałam, są młodzi. Minęło osiem lat, odkąd kalif stracił armię w Drudżanie i nie śmiał spróbować ponownie. Ci ludzie są młodzi i zadufani. Mimo to, kiedy zapadała noc, skupiali się blisko ognia, patrząc w twarze sąsiadów i podnosząc się wzajemnie na duchu: Tak, jesteśmy ludźmi Akadu, Akadu odrodzonego, jesteśmy dzielni i nieustraszeni, nie boimy się cieni nocy.

– To głupcy. – Tizrav splunął wprawnie przez przerwę między zębami i ślina zasyczała w ognisku. Życzliwie skinął głową w kierunku ludzi *lugala*. – Głupcy i dzieci, podskakujący na widok cienia.

– Mówisz, że cienie nie mają mocy? – zapytał Joscelin powoli, w kulawym akadyjskim. Późno zaczął się uczyć języka, ale pomagała mu znajomość habiru.

– Moc. – Tizrav wyszczerzył zęby, pokazując szczerbę. Światło ognia pełgało po brudnej skórzanej łątce, która przysłaniała pusty oczodół. – Czym jest moc? Ci młodzi głupcy poddają się jej z każdym uderzeniem lękliwego serca. W ten sposób cień narasta i nabiera mocy. Czym jest strach, jeśli nie cieniem odwagi?

– Może zdrowym rozsądkiem – rzekł Joscelin krótko, owijając się kocem i szykując do snu.

– Ty wiesz lepiej. – Tizrav łypnął na mnie, jakby jego oko mogło

przeniknąć przez woal. – Gdzie jest światło, tam jest cień, a im jedno jaśniejsze, tym ciemniejsze drugie. To tylko ogień, okiełznany i podsycany. W Drudżanie będzie inaczej, zobaczysz.

Patrzyłam na niego przez woal.

– Jeszcze nie jesteśmy w Drudżanie, Persie. Czy chcesz zrezygnować z trzосу?

– Nie. – Wzruszył ramionami. – Światło, mrok, Tizravowi wszystko jedno, jeśli złoto jest szczere. Przysiągłem i dopilnuję, żebyś trafiła na miejsce. Kłamstwa, prawda, dla mnie to bez różnicy. Na miejscu... – znowu wzruszył ramionami – na miejscu zobaczysz, jak wielki cień rzuca twoja odwaga. Mnie tam wszystko jedno.

Wzgórza ustąpiły górom, powietrze stało się rześkie i czyste. Dotarliśmy do granic akadyjskiej władzy i pożegnaliśmy się z naszą eskortą, która miała wzmocnić załogę akadyjskiej fortecy.

Dalej mieliśmy jechać tylko we trójkę: Joscelin, ja i nasz przewodnik Tizrav.

– Chyba straciłem rozum – powiedział ze smutkiem Amaury Trente, obejmując mnie na pożegnanie. Szron jego oddechu osiadał na moich włosach – Niechaj Elua cię błogosławi i ma w opiece, Fedro nó Delaunay.

– Panie... – Drżałam pomimo kuniego płaszcza od Walerii L'Envers. Niezależnie dokąd się udawałam, natykałam się na zimę i góry. – Dlaczego tu jesteś?

– Dlaczego? – Zamyślony, z uśmiechem na ustach, powiódł wzrokiem po surowym krajobrazie. – Nie wiem, pani. To miejsce dobre jak każde inne. – Popatrzył na mnie i wyraz jego twarzy się zmienił. – Wjechałam Ysandrą de la Courcel w sam środek wojsk Percy'ego de Somerville. Pamiętasz. Byłaś tam. Królowa ani razu się nie obejrzała, wiesz? Ani razu. Gdyby to zrobiła, zobaczyłaby mnie. Byłam tam, a za mną gwardia królewska. Ale nie musiała patrzeć. – Położył rękę na moim ramieniu. – Jeśli spojrzysz, pani, będziemy

tutaj. Będziemy strzec twoich tyłów tutaj, gdzie nas zostawiasz. Obojętne, jakiego wiatru w polu szukasz tym razem, Terre d'Ange jest ci to winna.

– Dziękuję – szepnęłam ze łzami piekącymi mnie w oczy. To było za mało, za mało na dłuższą metę, ale więcej, niż mogłabym prosić. – Jestem ci wdzięczna, panie.

– Cóż. – Pan Amaury z uśmiechem zabrał rękę. – Razem wzięwszy, to niewiele. Ale jeśli ktoś ma wyjść z życiem z serca ciemności, to tylko ty i ten na wpół obłąkany kasjelita.

Przełknęłam ślinę.

– Postaramy się, panie.

Potem ruszyliśmy każde w swoją stronę.

CZTERDZIEŚCI JEDEN

Drudzański patrol graniczny znalazł nas pierwszego wieczoru, napadał zmierzch, ledwie pierwsza zapowiedź nocy, gdy rozbiliśmy obóz w płytkim wąwozie osłoniętym przed wiatrem. Bez wątpienia przyciągnął ich blask ogniska. Tizrav przekonał nas, że głupotą byłoby wierzyć, iż zdołamy niepostrzeżenie przekroczyć granicę. Lepiej pozwolić im się znaleźć, powiedział; wtedy albo umrzemy szybko, albo przeżyjemy.

Było ich pięciu i wyłonili się z cieni jak zjawy, milczący jeźdźcy na krzepkich, kosmatych koniach, uzbrojeni w krótkie, mocno zakrzywione łuki. Joscelin zerwał się z ziemi w chwili, gdy się ukazali, stając między nimi a mną. Światło ognia lśniło czerwienią na jego zarękawicach i skrzyżowanych sztyletach. Zastanowiłam się, czy zdołałby się osłonić, gdyby pięciu ludzi naraz wypuściło strzały. Chyba nie.

– Wilki Angry Mainju są potężnymi myśliwymi! – Tizrav powitał ich w staroperskim. – Czy usiądziecie przy naszym ogniu? Mamy piwo – dodał, podnosząc bukłak.

– Dlaczego wjechaliście do Drudżanu? – Dowódca opuścił odrobinę łuk. Pozostali nie zrobili tego.

– Dlaczego? – Tizrav wyszczerzył zęby. – Ten piękny d'Angeliński pan wpakował się w kłopoty i uznał, że już nie ma dokąd uciekać. Jedźcie i sami zobaczcie, jeśli mi nie wierzycie. Straże w forcie Demseen zostały podwojone, a rozjuszeni krewni tej pani czekają. Ale mój pan prędeż da ją Mahrkagirowi, jeśli ten zechce przyjąć jego

miecz do służby.

Drudżanie naradzali się po cichu, a ja nie znałam staroperskiego na tyle dobrze, żeby zrozumieć, co mówią. Jeden z nich roześmiał się i podjechał bliżej.

– Czemu mielibyśmy ci wierzyć, akadyjska gnido? – zapytał, zadrapując policzek Tizrava grotem strzały. – Po co jeździć do granicy, skoro tutaj czeka nas przednia zabawa?

Trzeba przyznać, że Tizrav nawet nie drgnął, nawet kiedy grot skrobał skórzaną łątkę na oku.

– Moi przodkowie zapuszczali się w te góry, kiedy ród z Ur uciekł na pustynie Umajjatu. Czy gardzisz mną z powodu linii wykreślonej na mapie, synu ciemności?

Inny Drudżanin przemówił z cieni poza kręgiem światła. Nie widziałam jego twarzy, ale dostrzegłam, że nosi pas z kości ludzkich palców. Uniósł rękę i wskazał na mnie.

– Odsuń się – mruknął nagłoco Tizrav do Joscelina. – Odsuń się. Joscelin zrobił to po chwili i złożył kasjelicki ukłon Drudżanowi. Tizrav podszedł do mnie i ukląkł przy ogniu.

– Wybacz mi – szepnął, zrywając woal.

Blask ognia był jaśniejszy bez jedwabnej siatki i zamrugałam, patrząc na Drudżanów. Dwaj jeźdźcy drgnęli, jeden parsknął śmiechem. Ten, który wcześniej wskazał na mnie, teraz bawił się pasem z kości. Dowódca wykrzywił twarz w uśmiechu.

– Ona jest dla Mahrkagira? – zapytał.

– Przysięgłem – odparł Joscelin po persku, szorstkim głosem.

Drudżanin z pasem z kości zaszeptał do dowódcy, który wysłuchał go w skupieniu i pokiwał głową. Musiał być kimś w rodzaju nowicjusza, przyszłego kapłana.

– Żar rozpaczy przygasł w twojej duszy, panie – powiedział dowódca do Joscelina. – Czy jest tak, jak mówi złodziej kóz? Czy chcesz poświęcić swój miecz służbie ciemności?

Przygryzłam język, powstrzymując się od przetłumaczenia. Na

szczęście Joscelin zrozumiał. Jego twarz stężała.

– Drudżan umarł i żyje. Ja jestem martwy dla swojej rodziny. Jeśli mogę żyć znowu w służbie Mahrkagira, jego miecz jest moim mieczem. – Te słowa wyrażały cierpienie. Na ile prawdziwe? Pękało mi serce, gdy się zastanawiałam. Nie zdawałam sobie sprawy, ile kosztowało go to, o co poprosiłam.

To wystarczyło, żeby przekonać nowicjusza.

– Ludzie godzą się na wszystko, byle zachować życie – powiedział twardym głosem. – Nawet na życie w ciemności. Nawet na zadawanie śmierci. Co z tą kobietą?

– Spójrz na nią. – Joscelin wskazał na mnie. – Tak wiarołomna, jak piękna, sługa naszej bogini... – to słowo wykrzywiło mu usta – dziwek.

Użył słowa habiru, ale po krótkiej naradzie Drudżanie chyba ustalili jego znaczenie, bo młody kapłan wybuchnął śmiechem, wysokim i niepohamowanym. Potem znów przekazał coś szeptem dowódcy.

A ten uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Mahrkagir będzie zachwycony – powiedział, unosząc łuk. – Widzicie, jego matka była dziwką. – Wskazał brodą Tizrava. – Pojedziemy do fortu Demseen policzyć strażników. Jeśli kłamiesz, gnido, znajdziemy cię i urządzimy sobie zabawę. Jeśli nie... – Znowu się uśmiechnął. – Niech ona się modli, żebyś nie kłamał.

I z tymi słowy odjechali, wtapiając się w ciemność równie szybko, jak się pojawili. Tylko cichy grzechot kamyków pod końskimi kopytami świadczył o ich bytności.

Tizrav odetchnął z ulgą, oburącz podniósł bukłak z piwem i napił się łapczywie.

– Po wszystkim? – zapytałam.

– Nie. – Opuścił bukłak i grzbietem dłoni wytarł usta. – Ale się zaczęło i jeszcze żyjemy.

Spędziliśmy w górach cztery dni, nie widząc śladu ludzi, tylko

krążące wysoko nad turniami drapieżne ptaki, a na ziemi zające i czasami szybkie, zwinne kuny. Było zimno, choć nie na tyle, żeby lód skuł strumienie. Gdy nie mogliśmy znaleźć wody, topiliśmy śnieg wygarnięty z głębokich rozpadlin. W dolinach konie grzebały kopytami w twardej darni i skubały żółtą trawę, suchą i zmarzniętą, ale i tak pożywną. Wieczorami Tizrav zastawiał sidła na zające i w ten sposób uzupełnialiśmy suchy prowiant.

W drodze rozmawialiśmy niewiele. Jechałam bez słowa skargi, czując, że nie mam prawa narzekać. Tizrava okutanego w warstwy filcu ledwie było widać, gdy przyciskał brodę do piersi i chował brzydką twarz pod rondem pilśniowego kapelusza. Joscelin jechał z gołą głową, nie bacząc na zimno, i z mocno zaciśniętymi ustami.

– Naprawdę tak myślisz? – zapytałam go w końcu, dwie noce po spotkaniu z Drudżanami.

– Co? – zapytał szorstko.

– To co powiedziałaś. – Zawahałam się. – Że jestem równie wiarołomna jak piękna.

– Aha – mruknął. – O to ci chodzi. – Przez chwilę patrzył na mnie. – Możliwe. Fedro... to, o co prosisz... nie wiem, czy zdołam to zrobić. Mogę tylko szukać drogi, a droga jest okrutna.

Gdybym tego nie rozumiała... ale rozumiałam.

– Co ja zrobiłam? – szepnęłam.

– Nie wiem. – Joscelin spuścił głowę i bawił się sprzączką pasa, na którym nosił sztylety. – Chcesz zawrócić?

Chciałam. Chciałam z całego serca.

– Nie.

Pokiwał głową, nie patrząc na mnie.

– W takim razie nie zadawaj pytań, na które nie mogę odpowiedzieć. Jestem kapłanem Kasjela i złamałem wszystkie swoje przysięgi prócz jednej. Proszę mnie, żebym w imię tej ostatniej jechał z tobą w piekielne czeluści. Robię, co mogę. Zadowol się tym albo milcz.

Piątego dnia wjechaliśmy na równiny Drudżanu. Może latem to miejsce jest ładniejsze, nie wiem. Jeśli nawet było mniej surowe niż góry, to bardziej posępne. Tutaj mieszkali i pracowali ludzie, i tutaj zobaczyliśmy cień, pod którym żyli. Ziemie tam są żyzne, więc wśród pól uprawnych i pastwisk dla owiec i kóz nie brakowało wiosek.

Nie byliśmy tu mile widziani.

Widziałam to w twarzach wieśniaków, gdy jechaliśmy starymi, kruszącymi się, ale wciąż przejezdnymi drogami, które kiedyś zbudowało potężne cesarstwo Persji. Patrzyli na nas z nienawiścią, a ja nie miałam pojęcia dlaczego. W jednej wiosce – zapewne miała nazwę, lecz Tizrav jej nie znał – przy drodze stała kobieta z apatycznym dzieckiem w ramionach i patrzyła na nas głodnymi oczami, z rozpaczą i pogardą na wymizerowanej twarzy.

Wiele pól leżało odłogiem, martwych i szarych, i nie było to dzieło zimy.

Wiele stad było wygłodzonych. Żebra zwierząt sterczały pod wyleniałą skórą.

– Co się tu dzieje? – zapytałam Tizrava drżącym głosem. – Jak takie biedne królestwo zdołało zaszachować Khebbel-im-Akad?

Pers wzruszył ramionami.

– Chciałaś przyjechać do Drudżanu, pani, do królestwa, które umarło i żyje. Patrz, jeśli chcesz, na życie w śmierci.

Nie podobało mi się to. Zawracać, pomyślałam; miałam to słowo na końcu języka i byłam gotowa je wypowiedzieć przy każdym kroku mojego wierzchowca. Jednakże nie uczyniłam tego. Wspomniałam chwilę, jaką przeżyłam w sali księcia Sinaddana, powolne, straszne wycofywanie się obecności Elui i czekającą pustką. *Żegnaj*. Patrzyłam na zgorzkniałe, pełne wyrzutu twarze głodujących Drudżanów, aż rozboleło mnie serce. Oni nie wybrali takiego losu, pomyślałam. Co może człowiek z gminu? Cierpieli, szamocząc się pomiędzy młotem wojny a kowadłem walki o przetrwanie; cierpieli i ziali nienawiścią,

widząc, jak z własnej woli jedziemy do piekła na spasionych koniach ze złotymi brzękadłami przy uzdach, odziani w jedwabie i futra.

Nie dostrzegłam też ognia. Dżahandar, Kraina Ognia, był ponury i mroczny.

– Powiedz mi o wierzeniach swoich przodków – poprosiłam Tizrava pewnego wieczoru, gdy rozbiliśmy obóz.

Popatrzył na mnie, jego jedno oko płonęło jak węgielek.

– Pani chce wiedzieć?

– Tak. Naprawdę, synu Tizmahta.

Pokiwał głową, przełknął ślinę i odwrócił głowę, potem zajął się dorzucaniem do ognia, aż płomienie ryknęły niczym płonący stos, wyrzucając snopy iskier w zimne nocne powietrze.

– Widzisz? – zapytał cicho, patrząc na wzlatujące iskry. – W ogniu jest światło, ciepło... życie. I Prawda. Ahura Mazda jest tym wszystkim, Panem Światła i Prawdą. – Wykrzywił usta w niechętnym uśmiechu. – Dobre myśli, dobre słowa, dobre uczynki. Oto potrójna droga, jakiej w sekrecie nauczał mój ojciec, a przed nim ojciec jego ojca. Ogień... ach ogień jest żywym świadectwem, płomieniem danym nam dla oczyszczenia życia.

W sercu ogniska dwie skrzyżowane gałęzie pękły i płomienie przygasać

– Tak. – Tizrav wykrzywił usta. – Ciemność powraca. Nawet wielki prorok Zoroaster nie przeczył, że mrok przejmie władzę na ziemi.

– A jednak jutro wstanie nowy dzień.

– Dzień, tak. – Dorzucił do ognia, nie patrząc na mnie. – Lew Słońca, oblicze Szamasza. Akadyjczycy ukradli światło dnia i nazwali je swoim. A Ahura Mazda nie sprzeciwił się, tylko pozwolił, żeby jego lud ginął pod ich mieczami. Czy się dziwisz, że Drudżanie zaczęli czcić ciemność?

– Nie – odparłam. – Nie, synu Tizmahta.

Tizrav wzruszył ramionami.

– Mój ojciec był głupcem, jak przed nim ojciec jego ojca. Ja

pokładam wiarę w jednym świetle, które trwa, żółtym i
niemrugającym: w jasnym blasku złota.

Na to nie miałam odpowiedzi.

CZTERDZIEŚCI DWA

Skotophagotis wiedzieli, że nadjeżdżamy.

Sami na pewno nazywali się inaczej, ja jednak poznałam ich jako Pożeraczy Ciemności. Słyszałam tę nazwę w swoich snach. Tego dostrzegliśmy z daleka, nie zjawił się niepostrzeżenie. Jechał starą królewską drogą, a za jego plecami wznosiło się miasto Daršanga z wałami obronnymi i wieżami, które rysowały się na szarym tle lodowatego morza.

Jechał na dzikim osie bez strzemion i uzdy, z nogami zwisającymi po bokach, i wyglądałby komicznie, gdyby nie był straszny. Słońce lśniło na hełmie z czaszki dzika i na lasce leżącej w poprzek osiego grzbietu. On też nosił pas z kości palców. W Iskandrii nie zauważyłam czegoś takiego u *Skotophagotis*, ale przecież nie przyglądałam im się z bliska.

– Przybywacie do Mahrkagira.

Leniwie machnął laską, całą naszą trójkę wskazując migoczącą kulą z gagatu. Zdawało się, że na chwilę zatrzymał ją na mnie. Cieszyłam się, że mam woal i nie muszę spoglądać mu w oczy.

– Tak. – Joscelin pchnął do przodu akadyjskiego wierzchowca, długonogiego karego wałacha z trzema białymi skarpetkami. Rękojeść jego miecza wystawała spod kołnierza kozucha, oczy miał chłodne i niebieskie jak zimowe drudzańskie niebo. – Przyjmie mnie?

Skotophagotis patrzył na niego, siedząc spokojnie na grzbiecie osła. skrócony, zabójczy cień padał na starą królewską drogę z palonych ogniu cegieł, kruszących się, przez nikogo nienaprawianych.

– Tak – odparł. – Mahrkagir cię przyjmie.

Pojechaliśmy za nim do Daršangi.

W mieście zobaczyłam więcej życia niż na wsi... więcej życia i więcej strachu. Jakżeby inaczej, skoro jechaliśmy w towarzystwie Pożeracza Ciemności? Ludzie rozbiegali się, gdy przejeżdżaliśmy, i padali na twarze przed kapłanem, przyciskając czoła do ziemi. *Skotophagotis* nie zwracał na nich uwagi.

Nie dostrzegłam wprawdzie targowisk ani sklepów, ale ludzie handlowali, ukradkowo i bez radości, głównie żywnością, przede wszystkim rybami, chlebem i oliwą. Przekupień z dwukołowym wózkiem sprzedawał łożowe świece, a inny igły i szpulki nici. Szewc siedział na zydlu, biorąc miarę na buty dla drudżańskiego żołnierza. Żołnierz nie ukląkł, tylko uklonił się nisko, gdy go mijaliśmy.

Z paru miejsc dobiegały dźwięki z kuźni, młot uderzał dźwięcznie o kowadło, a w powietrzu unosił się kwaśny zapach rozgrzanej stali. Daršanga mogła być biedna i głodna, ale potrafiła wykarmić kuźnię. Był to odór wojny.

Wjechaliśmy na zaniedbany plac. Kiedyś w jego czterech rogach stały kolumny. Teraz leżały pogruchothane. Pośrodku znajdowała się studnia z marmurową cembrowiną, tylko lekko wyniesioną nad bruk. Ponad nią wznosiła się kopuła z trzema ostrołukowymi wejściami. Teraz studnię wypełniał gruz i o jej istnieniu świadczyło tylko niskie cembrowanie.

– Tu była świątynia ognia – powiedział cicho Tizrav.

Na drugim końcu placu, przy marmurowej ławie kucnęli trzej starsi mężczyźni, odziani w brudne łachmany nieokreślonego koloru. Długie, skołtunione brody sięgały im prawie do pasa, a wokół nich zawisł okropny smród. Z początku nie dostrzegłam skuwających ich okowów; zoczyłam je dopiero wtedy, gdy *Skotophagotis* zatrzymał się przed nimi, podnosząc laskę, a oni poruszyli się sztywno i opadli na kolana. Zobaczyłam kajdany na kostkach ich nóg i długi łańcuch przykuty do potężnego bolca tkwiącego głęboko w kamieniu. Wszyscy

trzej padli na twarze. *Sktophagotis* raz skinął głową, opuścił laskę i ruszył dalej.

– Kim oni są? – zapytałam Tizrava.

– Byli magami. – Jego przecięta opaską twarz pozostała obojętna. – Kapłanami Pana Światła. Teraz są żebrakami. Mahrkagir umyślnie zostawił ich przy życiu, żeby podsycali strach.

Obróciłam się w siodle i spojrzałam za siebie. Magowie znów się skulili. Urządzili sobie legowisko pod wysoką kamienną ławą, z gruzu zbudowali murek, utykając szczeliny strzępami skóry i koców dla ochrony przed wiatrem. W najdalszym zasięgu łańcucha piętrzył się cuchnący stos odchodów. „Ludzie zgodzą się na wszystko, byle żyć”, powiedział drudżański zwiadowca. Może to była prawda.

Dotarliśmy do pałacu.

Niegdyś ta budowla, wzniesiona na skale nad Morzem Kaspara, musiała być wygodna, urokliwa i dobrze chroniona. Tizrav powiedział, że w dawnych czasach pod rządami książąt Drudżanu służyła za letnia siedzibę wielkim królom Persji, którzy polowali na półwyspie i z sokołami wyprawiali się w góry. Przez otwarte okna wpadała chłodna bryza, niebieska dachówka jaśniała na dachach, a na wieżach łopotały chorągwie.

Teraz dachy były czarne od smoły, wieże puste, okna zakratowane, szczelnie przysłonięte okiennicami, a na wysokich murach jeżyły się blanki. Pałac Daršanga czekał, zszarzały od deszczu i ponury. Pomyślałam o opisach z akadyjskiej kroniki, o krwi płynącej strumieniami w pałacowych salach. W ustach mi zaschło ze strachu.

Na pierwszym dziedzińcu powitał nas oddział drudżańskich żołnierzy, uzbrojonych po zęby, ubranych w zbroje z gotowanej skóry i stalowe płyty, bez mundurów. Ukłonili się kapłanowi kości i utworzyli szpaler. Ktoś zarzucił sznur na szyję osła, ktoś inny zabrał nasze wierzchowce do stajni. Nikt nie kazał Joscelinowi oddać broni. Żołnierze żartowali po cichu, zerkając na nas z zainteresowaniem.

Jeden z nich zapukał ręką w drzwi i podał hasło.

Po drugiej stronie podniesiono belkę, odciągnięto rygiel. Drzwi zaskrzypiały, otwierając się w ciemność.

– Chodźcie – powiedział *Skotophagotis*.

Stałam w miejscu, sparaliżowana ze strachu. Joscelin zmełł przekleństwo w zębach, chwycił mnie mocno za rękę – nie bacząc, że sprawia mi ból – i powlókł za kapłanem. W pałacu było ciemno, a woal pogłębiał mrok. Potknęłam się o rąbek spódnicy, starając się nadążyć za Joscelinem, który stawiał długie kroki. Dusił mnie strach, odbierając mowę. Za nami spieszył Tizrav.

Pałac Daršanga był zimny i mroczny. Wtedy pomyślałam, że został źle zbudowany albo że może w mieście brakuje opału. Teraz znam prawdę. Taki był rozkaz Mahrgakira, który pogardzał światłem i ogniem. Na ścianach wisiały pochodnie, lecz płonęła tylko co trzecia lub czwarta, dając przyćmiony blask. Same ściany były gołe, podobnie jak podłogi. Zadrżałam, widząc ciemne plamy w szczelinach między kamieniami.

Powiadają, że La Dolorosa, forteca na czarnej wyspie La Serenissimy, jest jednym z najstraszliwszych miejsc na ziemi. Powinnam to wiedzieć, byłam tam bowiem uwięziona. Tutaj jednakże było znacznie gorzej. W La Dolorosie panoszyło się zło wynikłe z rozpacz i szaleństwa, ludzie dopuszczali się strasznych czynów z obłądzenia, który był skutkiem bezustannego zawodzenia Aszery z Morza. Śmiertelnicy nie powinni słuchać rozpaczających bogów.

Pałac Daršanga cuchnął rozmyślnym ludzkim okrucieństwem.

A okrucieństwo przyzywało coś gorszego.

Czułam na skórze pełznące macki ciemności, wypełniające moje usta obrzydliwym smakiem. Nie myślałam wcześniej, jak to będzie, gdy wejdem do warowni Angry Mainju, wroga życia, Pana Ciemności. Jestem D'Angelina, ale poznałam wielu innych bogów i powiem, że żaden z nich nie napawał mnie takim przerażeniem. Bogowie budzili

szacunek, tak, szacunek i lęk, lecz nigdy dotąd w ich obecności nie czułam się tak bardzo wzgardzona. To było... nie potrafię opisać.

Świat zna tysiące bogów – złych bogów, mściwych bogów, zazdrosnych bogów. Są bóstwa, które radują się okrucieństwami i złośliwościami, które żądają krwawych ofiar, które karzą słabych i nagradzają tyranów. Są tacy bogowie i boginie. Wiem, że to prawda. Nie brak bogów, którzy zjadają własne potomstwo, których wyznawcy śpiewają w czasie rzezi, którzy w gniewie podnoszą morza i wstrząsają ziemią, nie bacząc na stracone ludzkie życie. Ten bóg był inny.

Był wszystkim tym naraz, czułam jego gniew, chęć zemsty, zawiść i głód... Eluo, jaki głód! Bezwarunkowy, bezmyślny głód krwi, który nigdy nie zostanie zaspokojony, nawet jeśli pochłonie tysiące, setki tysięcy istnień ludzkich, bo zaspokojenie polegało nie na pochłanianiu, lecz czczeniu. Gdyby nawet cały świat legł wymarły i pusty, ta nienasycona bestia wciąż wyłaby o więcej, rozdziawiając łaknącą, żarłoczną paszczę. Była ucieleśnieniem destrukcji, nieskalanej, niczym nieskażonej żądzy lżenia, niemalże piękną w swej czystości.

Ten byt już jako bezrozumny budziłby krańcowe przerażenie... Niestety, nie był bezrozumny. Miał rozum, był świadomy i przebiegły.

– Angra Mainju – szepnęłam.

– Ach. – *Skotophagotis* zatrzymał się przed drzwiami wielkiej sali i popatrzył na mnie, mrużąc oczy w pełnym zadumy zadowoleniu. – Wyczuwasz jego obecność. Chodź zatem i powitaj jego największego sługę, który stanie się twoim panem.

Weszliśmy do sali.

Była ciemna i hulały w niej przeciągi. Ogień żarzył się smętnie w kominie, kilka wiszących lamp rzucało kałuże światła. Wzdłuż ścian biegi rzeźbiony fryz wyobrażający procesję z daniną, ale twarze postaci zostały odłupane i potłuczone. Na ścianach i w meblach widniały dziury i puste miejsca po zdartych złoconych

wykończeniach.

Naprzeciwno wejścia stał na podwyższeniu tron, lecz nikt go nie zajmował. W pobliżu kręciły się strażę, kilku mężczyzn pograżonych w rozmowie. Jeden był odziany w futra, pozostali mieli długie brokatowe płaszcze, tuniki i spodnie. Gdy wszedł *Skotophagotis*, strażnicy umilkli i stanęli na baczność. W grupie wyróżniał się istny olbrzym z potężnym torsem, górujący nad pozostałymi.

Wszyscy uklonili się kapłanowi.

Wszyscy z wyjątkiem mężczyzny stojącego obok wielkoluda.

– Dewa Gasztaham, kogo mi sprowadzasz? – zapytał z zaciekawieniem.

Kapłan zgiął się w ukłonie, chyląc głowę nakrytą zwierzęcą czaszką. Ludzkie kości zagrzechotały u jego pasa.

– Mahrkagirze, pan z Terre d'Ange prosi o posłuchanie.

Mahrkagir z Drudżanu nie nosił korony ani diademu, ani żadnej innej odznaki władzy; miał czarny płaszcz z wytartym srebrnym deseniem. Był średniego wzrostu, średniej budowy i młody, młodszy niż się spodziewałam, niewiele starszy ode mnie.

– Mów.

Joscelin puścił moją rękę i złożył ukłon, krzyżując zarękawia.

– Panie Mahrkagirze. – Głos miał szorstki. – Ja, Joscelin Verreuil, szukam azylu w Drudżanie. W zamian ofiaruję ci swój miecz, przysięgę wierności i... tę kobietę do twojego haremu.

Odziany w futra mężczyzna zaśmiał się gromko, ktoś inny zażartował. Dwaj strażnicy parsknęli śmiechem, wielkolud skrzyżował potężne ręce na opiętej skórą piersi. Mahrkagir patrzył na Joscelina.

– Dlaczego?

Joscelin naradził się z Tizravem.

– Mahrkagirze – powiedział *Skotophagotis*, kapłan Gasztaham – ten pan dopuścił się gwałtu na tej kobiecie. – Dotknął ucha. – Tej nocy wiatr przemówił. Jej krewni zebrali się na granicy z oddziałem ludzi

Sinaddana z Niniwy. Wszyscy grzechoczą włóczyniami i wykrzykują puste wyzwania.

– Tak. – Mahrgakir przekrzywił głowę. – Jeden miecz, jedna kobieta. Mam miecze i mężczyzn do ich noszenia, mam kobiety i chłopców. Już zapłaciłem drogo za d’Angelińskie ciało, czyste i nietknięte. Czemu miałbym przyjąć kobietę wzgardzoną przez cudzoziemca? Może ta oferta nie jest taka słodka, jak cena wyznaczona za twoją głowę, Jossalinie Verreuil. Koniec końcem mam dług do odebrania. – Ton jego głosu był łagodny. – Tak czy siak, Angra Mainju ucztuje, a twoja próżna nadzieja uczyni ucztę tym słodsza.

Tizrav szeptał coś pilnie do ucha Joscelina, lecz ten go odepchnął. Perski przewodnik potknął się i upadł. Joscelin wybuchnął strasznym śmiechem, przepełnionym rozpaczą, wysokim i dzikim.

Wtedy zrozumiałam, że wciągnęłam go w najczarniejsze głębie osobistego piekła.

– Nie masz takiego miecza, jak mój, panie, ani takiej kobiety. – Zerwał woal i wczepił rękę w moje włosy, szarpnął mocno i rzucił mnie na kolana. Uklęłam. Oddech świszczał mi w gardle, żądza uderzyła mnie z siłą pięści, straszna i niespodziewana. – Zobacz – wycedził Joscelin przez zaciśnięte zęby. – Nie jest żadnym wyrzutkiem, to Fedra nó Delaunay, sługa Naamy, Wybranka Kusziela i Królowa Dziwek, moja największa namiętność, przyczyna mojego upadku. Powierzam twojej pieczy, panie Mahrkagirze, to, co Terre d’Ange ceni sobie najbardziej. Czy powiesz, że ktoś może jej dorównać?

Scena rozgrywała się w półmroku, prawda i kłamstwa splatały się niczym wątek i osnowa w płaszczu bajdura, języki się mieszały – habiru, akadyjski i staroperski. Kamienie odgniały mi kolana i bolała mnie szyja, nienaturalnie wykręcona. Usłyszałam szmer, gdy Tizrav poprawił opaskę na oku. Klęczałam przy stopach Joscelina, rąbek jego kożucha łuskał mój policzek. Wciąż przytrzymywał mnie za włosy.

I czułam pulsującą we krwi obecność, nie Błogosławionego Elui, lecz butnego Kusziela.

Usłyszałam kroki Mahrgakira.

Dotknął mojego policzka zimną ręką. W wielkiej sali Daršangi panował ziąb. Dotyk tego mężczyzny parzył jak ogień, rozpalał żar pomiędzy moimi udami. Wystarczyło jedno muśnięcie, a przejrzał mnie na wskroś. Zacisnęłam zęby, żeby zdusić jęk. Marhkagir nie był ani urodziwy, a odpychający, rysy miał regularne, twarz gładko ogoloną. Jego oczy były piękne, świetliste, z długimi rzęsami, ze źrenicami rozszerzonymi do tego stopnia, że czerń pochłonęła tęczę.

Piękne... i kompletnie, absolutnie szalone.

– Więc to proponujesz. – Mahrkagir z Drudżanu oderwał wzrok od mojej twarzy i skierował go na Joscelina, pokazując w uśmiechu białe, równe zęby. – Panie Vereuil z Terre d'Ange, chyba przyjmę twój dar.

Joscelin puścił moje włosy, a ja upadłam, ledwo świadoma tego, że składa nade mną kasjelicki ukłon.

– Wielmożny Mahrkagir nie będzie żałował.

– Miejmy nadzieję. – Mahrkagir popatrzył na mnie, leżącą na kamiennych płytach. – Tahmurasie, zabierz ją do zenany.

CZTERDZIEŚCI TRZY

Zenana, czyli część pałacu Daršanga wydzielona dla kobiet, tworzyła świat sam w sobie.

Zaprowadził mnie tam Tahmuras, wielkolud. Nic nie mówił po drodze i zaczęłabym się zastanawiać, czy jest głuchy i niemy, gdyby nie skwapliwość, z jaką wykonywał rozkaz Mahrkagira. Szedł korytarzami i na dół po schodach, zupełnie nie zwracając na mnie uwagi, a ja niepewnym krokiem podążałam za nim.

Tego, co się stało z Joscelinem i Tizravem, mogłam się tylko domyślać i nie tracić nadziei. Dokonałam wyboru i podjęłam zobowiązanie – a na wypadek, gdybym zapomniała, pomiędzy moimi udami pulsowała straszna żądza, rozpalona przez dotyk Mahrkagira. Wbijałam wzrok w szerokie barki Tahmuras, skupiając się na drodze. Nie miał innej broni poza gwiazdą zaranną, kolczastą kulą na łańcuchu, z trzonkiem zatkniętym za pas. Nosił skórzany kaftan nabity byle jak obrobionymi stalowymi płytkami. Na niego nie pasowałaby żadna zdobyczna zbroja, nie na takiego kolosa.

Mój umysł przestał pracować, sparaliżowany przez strach i pożądanie, nie słyszałam, co powiedział Tahmuras, gdy zapukał do drzwi zenany. Otworzyły się i zostałam wepchnięta za próg, przekazana pod opiekę naczelnego eunucha.

Ujrzałam wielką salę, której krańce spowijała ciemność.

Musiała być ogromna, żeby pomieścić tyle osób. Odetchnęłam, gdy drzwi zamknęły się za moimi plecami i ciepło wsączyło się w moje kości. Naczelny eunuch obejrzał mnie dokładnie i ściągnął usta.

– Widzisz? – zapytał w języku będącym mieszaniną perskiego, caerdicci i helleńskiego; zwali go mową zenany, lecz tego dowiedziałam się później – Zamaszystym gestem ogarnął salę, stojącą wodę tepidarium, sofę na wysepkach dywanów. – Tu zostaniesz. Znajdź wolne miejsce.

– Panie. – Przełknęłam ślinę i oblizalam usta, szukając słów. – Mówię po persku, trochę.

– Tak? – Uniósł brwi. – Znajdź sobie miejsce. Zawsze jest jakieś wolne po kimś, kto umarł. Nie powinnaś mieć kłopotów ze znalezieniem.

Rozejrzałam się, dostrzegając węzły intryg i układów, tak jak na obrazie. Były tutaj kobiety, więcej niż mogłam przypuszczać, ze wszystkich krajów na ziemi. Były Persjanki i Akadyjki, których skóra przywodziła na myśl starą kość słoniową, i Efezjanki o zmysłowych oczach. Były Bodistanki o bursztynowej cerze i nawet miodowolice Ch'inki, których dotąd nie spotkałam, z prostymi czarnymi włosami spiętymi grzebieniami. Były kobiety z różnych części Caerdicci, Hellenki i skromne Ilirki, a nawet jasnowłose Chowatki o migdałowych oczach. Były dumne, jastrzębionose dziewczęta z Umajjatu i Menechetanki. Oczywiście, nie brakowało Kartaginek i Aragonek, a także hebanowych Dżebenek i Nubijek.

Byli też chłopcy.

Niewielu. Kilku z przestraszonymi, wyzywającymi spojrzeniami trzymało się blisko sof kobiet ze swoich krajów. Żaden nie był D'Angelinem.

– Słyszałam, że jest tu chłopiec – powiedziałam do naczelnego eunucha. – Taki wysoki... – podniosłam rękę, nie mając pojęcia, jakiego wzrostu jest Imriel – z mojego kraju. Ma granatowoczarne włosy i oczy... – zawahałam się – koloru zmięzchu.

– A, ten. – Naczelnny eunuch wywrócił oczami. – Szachriar Mahrgakir chciał mieć kogoś takiego, by wstąpić na potrójną ścieżkę. Wolalbym, żeby aka-magowie znaleźli chłopca sprawiającego mniej

kłopotów. Zamknięto go w odosobnieniu za dźgnięcie sługi widelcem. Posłuchaj mnie pani, i znajdź sobie miejsce.

To rzekłszy, zostawił mnie.

Okrążyłam basen ze ściankami pokrytymi zielonkawym szlamem. Woda cuchnęła. Pod ścianami stali niewzruszeni eunuchowie, na ich twarzach malowała się gorycz. Należeli do akadyjskiego garnizonu, który został wzięty do niewoli. Mahrkagir kazał wszystkich pozbawić męskości. Wielu wolało śmierć, inni zostali strażnikami haremu. I strzegli go kurczowo czepiając się życia, wrząc z tłumionego gniewu.

Wszystko, co karmiło się nienawiścią i śmiercią, służyło Angrze Mainju.

Zatrzymywałam się od czasu do czasu, pytając w różnych językach: „Czy znasz d’angelińskiego chłopca?”.

Znały go, a jakże. Wywnioskowałam, że dzieci w zenanie Mahrkagira nie żyły zbyt długo, nie wytrzymując jego zabiegów. Ten trzymał się dłużej, niż przypuszczano; zdawało się, że Mahrkagir oszczędza go z jakiegoś szczególnego powodu. Z narastającą grozą uświadomiłam sobie, że kobiety robiły zakłady, jak długo Imriel pożyje.

To był inny świat. Surowy.

A ja byłam tu nowa. Nie wiem, czy zdołam opowiedzieć, jak wyglądało życie w tym świecie. Nie był to tradycyjny harem czy zenana, gdzie nałożnice zabiegają o względy pana i ich pozyskanie jest kwestią dumy. Tutaj względy pana oznaczały śmierć albo los zbliżony do śmierci. Jednakże... jak inaczej mogły zdobyć pozycję? Te, które cieszyły się względami Mahrkagira, miały wyjątkowe przywileje, prywatne pokoje, osobistą służbę. Wzbudzały zazdrość i politowanie.

Reszta ustanowiła własną hierarchię opartą na sile charakteru.

– Zapytaj jego – powiedziała do mnie Chowatka, raczywszy się zniżyć do zrozumienia mojego ilirskiego. Ruchem brody wskazała

młodzieńca skulonego w pozycji płodu na dywanie pod ścianą. – On ci powie, jak Mahrkagir traktuje chłopców.

Kucnęłam obok i spojrzałam na twarz chłopca. Skald, zrozumiałam z drzeniem, rozpoznając rysy i żółte jak masło włosy. Zagadnęłam go w jego ojczystym języku. Jęknął i odwrócił się, zaciskając ręce na podbrzuszu.

– Co mu zrobili? – zapytałam posługacza, gdy oburzenie wzięło górę nad zdrowym rozsądkiem. – Dlaczego nikt nie zawoła chirurga?

– Został okaleczony – odparł sługa – i nie chce żyć. – Jego oczy błysnęły, a z akcentu poznałam, że jest Akadyjczykiem. Wtedy zaczęłam pojmować, przynajmniej trochę. – Czy potępiasz go, pani? Już nie jest mężczyzną.

Zrozumiałam, choć broniłam się przed tą myślą. Skaldyjski chłopak chciał umrzeć, a ja nie mogłam mieć mu tego za złe. Był tu sam, jedyny ze swojego ludu. Spotkała go wielka krzywda i nikt nie mógł tego odczynić. To, co spadło na niego, miało być oszczędzone innym, przynajmniej tego dnia. Był sam, podobnie jak ja.

Znalazłam wolną sofę i skuliłam się, pogrążona w głębokiej rozpacz, osiągnęłam cel – cel, który nigdy nie był moim – i zostałam niewolnicą Mahrkagira z Drudżanu. Przebyłam tysiące mil, żeby zniszczyć jedyną prawdziwą miłość, jakiej kiedykolwiek zaznałam. Skazałam Hiacynta na wieczne starzenie się na samotnej wyspie. Zrobiłam to wszystko z własnej woli, lecz mimo to nie znalazłam Imriela de la Courcel, którego twarz nawiedzała moje sny. Strach było zgadywać, przez co przechodził w tym miejscu, i mogłam się tylko modlić, aby zaoszczędzono mu najgorszego. Dlaczego Mahrkagir go oszczędzał? „Dla swojej potrójnej ścieżki”, powiedział naczelnny eunuch. Pomyślałam o młodym Skaldzie i zadrzałam. Jeśli Mahrgakir miał na myśli jakiś wyjątkowy cel, mogło być tylko gorzej.

Dalekie wspomnienie obecności Błogosławionego Elui nie niosło pociechy. Bogowie są okrutni, skoro kładą takie brzemie na barkach swoich śmiertelnych dziedziców. Jak nieśmiertelni mogą sprowadzać

koszt tylko do ciała? Nie wiedziałam, czy zdołam to znieść.

Spałam i modliłam się, żeby zbudzić się gdzie indziej.

Tak się nie stało.

Ocknęłam się, zeszywniała i obolała, na sofie w zenanie Daršangi, skulona w brudnej podróżnej sukni i kunim płaszczu od Walerii L'Envers. Mniejsza z tym, pomyślałam, wciąż jestem Fedrą nó Delaunay i nie będę nikim innym. W zenanie panował ruch, słudzy przynosili talerze z kaszą, przy czym nieliczne wybranki dostawały owsiankę polaną miodem. Choć nie miałam apetytu, zmusiłam się do jedzenia. Hipokaustum grzało wodę w basenie, i podłogi, a dodatkowo kosze z węglami przepędzały nocny chłód. Z żalem pomyślałam o wizycie w iskandryjskiej łaźni.

– Czy tu można się kąpać? – zapytałam służącego, gdy wrócił.

Patrzył na mnie przez chwilę, po czym wskazał basen, zabierając tacę. Pokręciłam głową. Czułam zapach tej wody; żeby zanurzyć w niej choćby palec, musiałabym być o wiele bardziej zdesperowana.

Niektóre kobiety, jak zobaczyłam, miały drobne luksusy – dzban tystej wody, grzebień, butelkę wonnego oleju. Brylowały na swoich izolowanych sofach, świadcząc sobie przysługi, wzajemnie czesząc włosy. nacierając wonnościami rowki pomiędzy piersiami, z obojętną nieskromnością kobiet skazanych na życie w jednym pomieszczeniu. W ich poczynaniach nie było radości i zadowolenia.

– Jesteś nowa – zagadnął mnie eunuch w żargonie zenany.

Poznałam, że jest eunuchem, po brzmieniu głosu. Był młody i szczupły i wyglądał łagodnie.

– Tak.

Przesunął tacę, opierając ją na biodrze.

– Jeśli chcesz... przyniosę ci miskę i mydło.

Gdyby miał wolne ręce, ucałowałabym je. Zamiast tego pochylił głowę i odparłam z wdzięcznością:

– Jesteś bardzo miły.

Odszedł. Siedziałam ze skrzyżowanymi nogami na swojej sofie i rozglądałam się po sali. W Dworze Nocy często wystawia się widowiska dla zamożnych klientów; harem paszy jest wśród nich pospolity, ze skąpo odzianymi adeptkami leżącymi na poduszkach, oddającymi się erotycznym zabawom przy dźwiękach muzyki. Tutaj widziałam żalostną parodię tamtej zmysłowej fantazji. Jedyłą przyjemność, jak zauważyłam, zapewniało palenie opium. Przy wielu wysepkach stały fajki wodne, a kobiety, które z nich korzystały, leżały pogrążone w głębokim śnie. Efezjanka uspokajała płaczącego ośmioletniego chłopca, dmuchając mu w nos siwym dymem. Po jakimś czasie malec przestał płakać i legł apatycznie w jej ramionach.

– To dobrodziejstwo, jak się zdaje – stwierdziłam.

– W istocie. – Perski eunuch wrócił i klęknął ostrożnie, żeby postawić miskę z parującą wodą na dywanie przy mojej sofie. – Dopóki Mahrkagir nie zabierze im fajek. Wtedy cierpią na nowo i znowu pragną śmierci. – Popatrzył na mnie. – Jestem Ruszad, pani.

– Dziękuję, Ruszadzie.

Ponieważ nie miałam innego wyboru, rozebrałam się z wdziękiem, jaki wypływał z wieloletniej praktyki, i uklękłam naprzeciwko niego przed miską. Ruszad z sykiem zaczerpnął tchu, gdy zobaczył moją markę.

– Co to jest? – zapytał.

– Znak, że służę naszej bogini Naamie. – Zanurzyłam ręce, wziętałam mydło i zaczęłam je pieniść. – Jestem Fedra nó Delaunay de Montrčve z Terre d'Ange.

– Terre d'Ange – powtórzył. – Jest tu... chłopiec... podobny do ciebie... równie piękny. Ale on nie mówi naszym językiem. Jak to się stało, że ty mówisz?

– Widziałeś go? – Przerwałam ablucje.

– Tak, oczywiście. – Ruszad sprawiał wrażenie zdziwionego. – Jest... zamknięty.

– Za dźgnięcie kogoś widelcem. Słyszałam. – Przysiadłam na

piętach, rozmyślając – Możesz zaprowadzić mnie do niego?

– Nie! – Ze strachem pokręcił głową. – Nie śmiałym. Nie jestem taki, jak Akadyjczycy, którzy nie boją się śmierci. Wyświadczyłem ci grzeczność. Nie możesz prosić mnie o takie rzeczy.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytałam, podejmując mycie. Ruszad zastanowił się, zerkając na młodego Skalda, do którego odezwałam się wczoraj, a który teraz siedział pod ścianą z podciągniętymi kolanami i nisko spuszczoną głową.

– Podobno... podobno odezwałam się do niego zeszłej nocy, do Ericha. Mówiłam w jego języku. Był moim przyjacielem, wcześniej, choć nie mogliśmy się porozumieć. Teraz... – Wzruszył ramionami. – Nawet nie spróbuję. Pomyślałem, że może...

– To skaldyjski. Myślę, że nie ma śladu tego języka w tym... w zenańskim, tak to nazywacie? Ze mną też nie chciał rozmawiać.

– Może za jakiś czas – mruknął Ruszad.

– Może. – Niechętnie włożyłam swój brudny podróżny strój. – Będę próbować, jeśli ty pomożesz mi znaleźć d'Angelińskiego chłopca.

– Niebawem wróci do zenany. – Ruszad zabrał miskę, unikając mojego spojrzenia. – Jesteś tu, więc go zobaczysz.

Odszedł.

Jeśli jest coś gorszego niż przerażenie, to przerażenie przemieszane z nudą. Siedziałam na sofie, czesząc palcami mokre, splątane włosy, obserwując zenanę, tuziny istot skazanych na wegetację w wielkim, złowieszczym cieniu pałacu Mahrkagira. Zastanawiałam się, co czują. Czy groźną obecność, którą ją wykryłam na górze? Czy znają jej imię? Czy modlą się do swoich bogów?

Niektóre tak, widywałam to od czasu do czasu.

Była wśród nich wysoka Dżebenka, która wróżyła z kości, przyjmując kobiety na wyłożonej dywanem wysepce. Czasami z wielką ceremonią wysnuwała szkarłatną nitkę z wystrzępionego odzienia i splatała taliznan, wymieniając go za drobne podarunki.

Była Chowatka z ukośnymi bliznami na policzkach. Siedziała na podłodze, wsparłszy ręce na kolanach i kołysząc się w przód i w tył, bez przerwy szepcząc modlitwy z mocno zaciśniętymi powiekami.

Były trzy Bodistanki, które najwyraźniej postanowiły umrzeć. Miały pustkę w oczach i na wpół przejrystą skórę, na skutek picia samej wody i nieprzyjmowania pokarmu. Ustawiły swoje sofy w trójkąt i klęczały naprzeciwko siebie ze złożonymi rękami. Zazdrościłam im spokoju i pogody ducha. Nikt nawet nie próbował nakłonić ich do zmiany decyzji.

Tutaj nikt nie żywił nadziei.

I w nikim, pomyślałam, dotyk Mahrkagira nie wzbudził pożądania
Nie chciałam o tym myśleć.

Gdyby Imriel tu był, co wtedy? Choć chlubiłam się swoją biegłością w sztuce szpiegowania, przybyłam tutaj bez planu, zdając się na Błogosławionego Eluę. Zenana była strzeżona, akadyjscy eunuchowie nosili u pasa krótkie, zakrzywione noże. Może Joscelin zdołałby przebić się przez strażę... ale tutaj Joscelin nie mógłby mi pomóc. Nie, zaprzysiągł się do służby Mahrkagira, otaczali go ludzie, którzy pokonali i wykastrowali Akadyjczyków, odziani w skóry i stalowe pancerze, ciężko uzbrojeni. Nawet gdyby spróbował, było ich dostatecznie wielu, żeby go powstrzymać.

Poza tym byli *Skotophagotis*.

Błogosławiony Eluo, myślałam, co ja zrobiłam?

Co ty ze mną zrobiłeś?

CZTERDZIEŚCI CZTERY

– Nie płakałaś.

Słowa wypowiedziane w caerdicci – w cywilizowanym języku, języku uczonych, niemalże moim ojczystym – wyrwały mnie ze snu. Nie zdawałam sobie sprawy, że drzemię. Patrzyłam bez zrozumienia na stojącą przede mną kobietę, przystojną, o wyrazistych rysach. Krew plamiła jej wełnianą suknię, skrojoną w tyberyjskim stylu, z zarzuconym na wierzch szalem.

– Wybacz – wyjąkałam. – Pani...?

– Drucylla. – Bez zaproszenia usiadła na mojej sofie, przesywając mnie zaskakująco spokojnym, szaroniebieskim spojrzeniem. – Wystarczy. Jesteś D’Angelina.

– Tak. – Usiadłam wyprostowana, przeciągając rękami po twarzy – Fedra nó Delaunay.

– Fedra. – Drucylla skinęła głową. – Pechowe imię.

– Tak się zdaje – odparłam, patrząc na nią. Zniosła tę lustrację ze spokojem, tylko schowała ręce pod szal. Zauważyłam, zanim to zrobiła, że czwarte i piąte palce u obu rąk są skrócone do pierwszego stawu. – Jesteś ranna, Pani?

– Nie – Pokręciła głową. – Wracam z wizyty u Hiu–Mei, która niedawno wróciła od pana. Jest jego faworytą. W ataku złości uderzył ją w twarz tym swoim... – Widząc moją bladość, urwała w pół zdania. – To nie moja krew. Kiedyś byłam lekarką. Robię, co w mojej mocy, żeby opatrywać żywych.

– Aha. – Przełknęłam ślinę. – Naprawdę, pani, to godne podziwu.

– Trzyma rozpacz na wodzy – powiedziała Drucylla rzeczowo. – Każdy czepia się tego, co zna, póki... cóż. – Zerknęła na wsunięte pod szal ręce. – Dopóki może. Mówili o tobie. Byłam ciekawa.

Wspomniałam słowa, które mnie zbudziły.

– Bo nie płakałam?

– Tak, i z innych powodów. Strażnik powiedział, że nie zostałam uprowadzona, tylko przyprowadzona. Inne też zostały przyprowadzone, ale nie są takie jak ty. A teraz wśród ludzi Mahrkagira jest d'Angeliński pan, lampart między wilkami. Zeszłej nocy w sali biesiadnej doszło do zatargu.

Serce zamarło mi w piersi. Nadałam głosowi twarde brzmienie:

– Nie żyje?

– Żyje – odparła Tyberyjka. – Zginął jeden z drudzańskich żołnierzy.

Odwróciłam głowę, żeby ukryć głęboką ulgę.

– Zastanawiasz się, dlaczego nie płaczę. Dawno temu zabrakło mi łez. Powiedział mi, że moi krewni nie ośmielą się przekroczyć granicy i wejść do Drudzanu. Teraz w to wierzę.

– Będziesz płakać – rzekła Drucylla cicho. Była bliższa prawdy, niż sądziła.

– Co się ze mną stanie?

Wzruszyła ramionami.

– Pan Mahrgakir przyśle po ciebie, kiedy będzie gotowy. Mogą minąć dni albo tygodnie. Nawet miesiące. W twoim przypadku... Hm. Nie sądzę, żeby zapomniał.

Krew miałam zimną jak lód, ale gdzieś w głębi ciała płonęło pożądanie.

– Będziesz płakała i być może pragnęła śmierci. – Takie słowa w tym miejscu były wyrazem współczucia. – Jeśli nie umrzesz, jeśli przeżyjesz... są sposoby. Niektóre z nas dzielą się posiadаныmi umiejętnościami. Są też inni... klienci, drudzańscy wodzowie i goście pana. – Zamaszystym gestem wskazała te kobiety, które cieszyły się

drobnymi zbytkami. – To inny sposób, żeby trzymać rozpacz na dystans. Nie mój, ale słyszałam, że ty nosisz markę sługi bogini rozkoszy.

Pokiwałam głową, rozumiejąc o co jej chodzi.

– Jak to się odbywa?

– Pan niekiedy rozdziela nałożnice pomiędzy swoich sprzymierzeńców. Jeśli chcą więcej... – Znow wzruszyła ramionami. – Akadyjscy słudzy czasami biorą bakszysz. Nie są oddani swojej służbie. – Wtedy powiedziała mi dlaczego.

A zatem zenana nie była całkowicie odizolowana i mogłam liczyć na zdobycie takich drobiazgów, jak wonne olejki, kości do gry, słodczyce – albo, jeszcze lepiej, surowe opium – jeśli postanowię oddać się drudzańskiemu wodzom. Trzymałam język za zębami i słuchałam wszystkiego, co mówiła Drucylla.

Przypuszczam, że rozmowa z kimś, kto jeszcze nie stracił nadziei, sprawiła jej ulgę. Później dowiedziałam się, że zawsze rozmawiała z nowo przybyłymi do zenany. Większość z nich – z nas – była ofiarami wojen albo handlu niewolnikami, a niektóre zostały przysłane jako danina. Drucylla stanowiła wyjątek. Żadna przygód i niezależna, wyprawiała się z ojczyzny, żeby podziwiać widoki Hellady; zakochała się w tym kraju i osiadła w Pireusie, przyjmując pacjentów. Tam właśnie *Skotophagotis* i towarzyszący mu Drudżanie doszli do wniosku, że przyda im się lekarka, gdy będą żeglować do Efezjum. Po prostu wzięli ją ze sobą.

Świadomość, że *Skotophagotis* stali się tak bezczelni, a my w Terre d'Ange o niczym nie wiedzieliśmy, zatrwożyła mnie bardziej, niż potrafię wyrazić. Drucylla wołała o pomoc. Hellenowie ogłuchli. Kapitan efezjańskiego statku nie baczył na wzniecone przez nią hałasy, choć tłukła w drzwi kabiny, aż ręce spłynęły jej krwią.

– Później krwawiły jeszcze bardziej – dodała z krzywym uśmiechem.

– Mahrkagir? – spytałam.

Przytaknęła i odwróciła głowę, miętosząc końce szala.

– Jest ciekaw, co będę robić, gdy zabraknie mi palców, aby pomagać chorym. Na szczęście zapomina i nie myśli o tym zbyt często. Jest obłąkany.

– Wiem. A czy ty wiesz, z jakiego powodu?

– Być może. – Pochyliła głowę, pasemka brązowych włosów przysłoniły jej twarz. – Przeżył rzeź po rebelii Hoszdara Ahzada. Słyszałaś o tym zdarzeniu? – W milczeniu skinęłam głową, nie chcąc jej rozpraszać. – Jest synem z nieprawego łoża, bękartem. Jego matka była pospolitą ulicznicą. Hoszdar zabrał ją do zenany i wyniósł do statusu nałożnicy. – Drucylla uniosła głowę, wskazując przeciwległą ścianę, pod którą kulił się Skald Erich. – To się stało tam. Usłyszałam tę historię od Ruszada... znasz Ruszada? Nie można być niczego pewnym, gdy mówi się w zenańskim, ale on wie. Usłyszał to od starego akadyjskiego pana, który dowodził tutaj przed laty, do czasu drugiego buntu...

To była prosta historia: Mahrkagir, chłopiec cztero- czy pięcioletni, przeżył rzeź – uderzono go w głowę i zostawiono, uznając za martwego. Krwawiąc z rany na skroni, szeroko otwartymi oczami patrzył, jak Akadyjczycy gwałcą i mordują kobiety i dzieci z zenany – żony o niższej pozycji, nałożnice, jego przyrodnich braci i siostry – aż woda w basenie poczerwieniała od krwi.

Trupy ułożono niczym drewno na opał, odnotował akadyjski kronikarz; w zenanie zostały spiętrzone na wciąż oddychającym chłopcu Mahrkagirze, aż zasłoniły mu widok. To wielkolud, Tahmuras – wówczas rosły czternastolatek, oszczędzony przez Akadyjczyków, którzy potrzebowali silnych rąk do sprzątania po masakrze – wydobył go, kolejno przekładając zwłoki, wydzierając chłopca z łona śmierci.

– Chronił go – powiedziała Drucylla. – Wciąż go ochrania, we dnie i w nocy. To ludzie tak go nazwali, mieszkańcy Daršangi.

– Zwycięzca Śmierci – szepnęłam.

Drucylla pokiwała głową.

– Nikt nie wiedział, jak nazywała go matka, a on na długo stracił mowę, zapewne wskutek uderzenia w głowę. Jego źrenice na zawsze powstały rozszerzone, dlatego nie znosi światła. Podobno nic nie pamięta sprzed swoich drugich narodzin. Tylko śmierć. I jest obłąkany. Całkowicie obłąkany. Tego jestem pewna.

Nie mogłam mówić, bo litość ścisnęła mi gardło. Przełknęłam ślinę, Pragnąc zdusić to uczucie.

– Jest inny chłopiec – powiedziałam ochrypłym głosem. – D’Angeliński...

– Imri. – Drucylla złożyła na kolanach okaleczone ręce, patrząc na mnie z ukosa. – Dopytywałaś się o niego. Słyszałam.

– Znasz go. – Poczułam ulgę.

– Mówi w caerdicci. Odebrał staranne wykształcenie.

Pomyślałam o bracie Selbercie z sanktuarium Elui wśród gór Siovale, gdzie, jak się wydawało, nikogo nie mogła spotkać krzywda.

– Czy... nic mu nie jest?

– Żyje i nie został okaleczony. – Jej rysy stwardniały. – W tym miejscu to oznacza, że wie dzie mu się bardzo dobrze.

Staralam się nie okazać gniewu.

– Chciałabym z nim pomówić, jeśli to możliwe.

– Nie pomówisz, dopóki Nariman go nie wypuści – odparła. – Może minąć wiele dni. Jest tutaj naczelnym eunuchem i karanie to jego przywilej. Nie radzę ci z nim zadzierać. Podobno to on trzydzieści lat temu otworzył bramę zenany przed Akadyjczykami. Pan darował mu życie i zostawił na tym stanowisku. Podobno to go bawi, choć nie mam pojęcia dlaczego. – Drucylla podniosła się z sofy, z westchnieniem przeciągnęła kończyny. – Fedro nó Delaunay, nie spodziewaj się zbyt wiele po chłopcu. Towarzystwo kogoś z rodzinnego kraju może nieść pociechę, ale długi czas spędził w samotności i spotkał się z okrucieństwem. Robię, co mogę, lecz on nie lubi litości.

– Nie. – Pomyślałam o twarzy Melisandy, gdy przekazałam jej

wieści, wspomniałam furie płonąca w jej oczach. – Nie sędę.

Drucylla zostawiła mnie i podjęła obchód po zenanie. Patrzyłam za nią i widziałam, że niektóre kobiety witają ją z szacunkiem, inne zaś traktują obojętnie albo z pogardą. Położyła rękę na ramieniu jednej z trzech głodujących Bodistanek. Nie słyszałam, co mówiły, ale Drucylla ze smutkiem pokiwała głową i ruszyła dalej. Zatrzymała się, żeby zagadnąć skaldyjskiego młodzieńca, który odwrócił się twarzą do ściany. Dla niego nic nie mogła zrobić.

Ktoś zapukał do ażurowych drzwi zenany – drudżański żołnierz. Wokół tepidarium zapadła martwa cisza. Nariman, naczelny eunuch, porozmawiał z żołnierzem i wszedł z dwoma akadyjskimi służącymi. Jego bystry wzrok omiół pomieszczenie i zobaczyłam, że tuziny kobiet nagle starają się być niewidoczne.

Na próżno; Nariman wskazał ręką – ty, ty i ty... Sześć kobiet i jeden chłopiec zrobili zrozpaczone miny, jedna zaczęła zawodzić. Stojący za drzwiami Drudżanin wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Chłopiec był Menechetańczykiem, smukłym i niezdarnym; zdjęta strachem myślałam Nesmucie. Kobiety, z którymi dzielił sofę, płakały otwarcie, zakrywając głowy i drąc ubrania.

Obojętne co się dzieje, pomyślałam, gdzie toczy się bitwa, tam kobiety muszą rozpaczać.

Została wybrana jedna z Bodistanek, śliczna kobieta w szkarłatnych i pomarańczowych jedwabkach. Ciepły odcień jej skóry i długie czarne włosy przywiodły mi na myśl moją matkę; powiadają, że w żyłach mieszkańców Domu Jaśminu płynie krew Bodistanu. Akadyjczycy czekali niemalże z szacunkiem. Kolana się pod nią ugięły, gdy próbowała wstać, i jeden z eunuchów podtrzymał ją delikatnie. Jej towarzyszki, ospałe w obliczu nadchodzącej śmierci, ze łzami w oczach ucałowały jej ręce. Chwiejąc się na nogach, uśmiechnęła się do nich. Błogosławiony Eluo, pomyślałam, pozwól mi iść z takim wdziękiem, kiedy nadejdzie czas mojej śmierci.

Potem odeszły, a przez zenanę przetoczyło się westchnienie ulgi.

Poszły, jak powiedziała mi Drucylla, do sali biesiadnej – dla rozrywki Mahrkagira. W zależności od nastroju pana i jego ludzi, niektóre powrócą, a inne nie. Nie sądziła, że Bodistanka wróci. Innych ani chłopca nie byłam pewna.

Zbyt niespokojna, żeby usiedzieć w miejscu, zaczęłam błąkać się po zenanie. Ponieważ nie miałam nic innego do roboty, przysiadłam na chwilę obok Ericha.

– Z jakiego jesteś plemienia? – zapytałam w jego ojczyściej mowie. – Gdzie leży twoja osada? – Zamknięty przed światem, pogrążony w osobistym cierpieniu, przewrócił się na bok, patrząc w ścianę i nie zwracając na mnie uwagi. Zaśpiewałam mu pieśni jego matek i sióstr, pieśni, których się nauczyłam, gdy byłam niewolnicą – po raz pierwszy, bo kimże innym byłam teraz? – w osadzie Guntera Arnlaugsona, dokąd sprzedała mnie Melisanda. Śpiewałam, aż bezgłośny płacz wstrząsnął jego ramionami, i popadłam w zakłopotanie. – Twój przyjaciel Ruszad tęskni za tobą – szepnęłam. – Nie chce, żebyś umarł.

Erich nie odpowiedział ani nawet nie okazał, że słyszy.

Poszłam dalej, rozmyślając nad dziwnością tego wszystkiego. Był dzień czy noc? Nie umiałam poznać. Kaprysy Mahrkagira narzucały rytm życia w zenanie. Jeśli służący nie przynosili posiłków o regularnych porach, jeśli kobiety i chłopców zabierano rankiem, nie wieczorem... kto mógł powiedzieć? Kiedyś z zenaną sąsiadował ogród, który służył kobietom drudzańskiego księcia – teraz był martwy, żyzna gleba została przemieszana z solą. Mocne belki ryglowały drzwi, nie pozwalając ujrzeć nawet skrawka nieba, okiennice były szczelnie zamknięte. Dzień, noc... to nie miało znaczenia. Żyliśmy przy blasku świec, wedle kaprysów Mahrkagira.

Śpiewałam pieśni o swojej niewoli, pieśni, za które kiedyś kupiłam przeprawę przez zabójczą Cieśninę. Śpiewałam skaldyjskiemu chłopcu z krwi moich wrogów, wykastrowanemu przez człowieka,

któremu dałam się sprzedać.

W istocie, to było dziwne.

Przystanąłam przy wyłożonej dywanem wyspie Dżebenek i Nubijek. Wysoka kobieta, która im przewodziła, spojrzała na mnie wrogo i pytająco. Jej ciało okrywał wystrzępiony materiał o misternym deseni. W czarne wełniste włosy miała wpięte długie szpilki z kości słoniowej

– *Selam* – przywitałam ją z szacunkiem po dżebeńsku, kłaniając się ze złożonymi dłońmi.

Patrzyła jeszcze przez chwilę, potem roześmiała się głośno i powiedziała do swoich towarzyszek coś, czego nie zrozumiałam.

– Myślisz, że znasz dżebeński? – zapytała mnie w prymitywnym żargonie.

– *Yequit'a* – „przepraszam”, odparłam i dodałam po zenańsku: – tylko trochę. Chciałabym nauczyć się więcej, jeśli zgodzisz się być moją nauczycielką.

Roześmiały się wszystkie, wcale nie życzliwie.

– Masz opium? – zapytała wysoka, kładąc się na sofie. – Klejnoty? Kumys? Może słodycze?

– Nie. – Pokręciłam głową. – Wybacz mi, *fedabin* – powiedziałam, zapożyczając ze zwoju tytuł przynależny królowej Saby, a oznaczający mądrą. – Nie będę ci przeszkadzać.

– Zaczekaj. – Zatrzymała mnie, gdy odwracałam się do odejścia. Stałam, a ona patrzyła na mnie z cieniem ciekawości na obojętnej masce twarzy. – Dlaczego chcesz się uczyć, mała? Przyszłaś tutaj, by umrzeć, *gebanum*. Rozumiesz? Tylko to ma znaczenie, i to, ile wycierpisz, zanim to się stanie.

– Rozumiem, *fedabin*. – Ukłoniłam się jej. – Mimo wszystko będę się uczyć.

Jedna z kobiet pochyliła się, szepcząc coś do wysokiej; nazwała ją Kaneka. Kaneka słuchała z na wpół przymkniętymi oczami, potem skinęła głową i usiadła.

– Safija ma pomysł – oznajmiła. – Za twoją grzeczność ofiaruję ci dar, dar wiedzy – Jedną ręką otworzyła płócienny woreczek, który nosiła na rzemyku na szyi, i wytrzasnęła na dłoń trzy dziwne kostki. – Uklęknij tutaj – poleciała, wskazując dywan. – I ucz się.

Uklękłam i czekałam. Jedna z kobiet przyniosła z wielką ceremonią tacę z przesianym drobnym piaskiem. Delikatnie nią potrząsnęła, żeby piasek się wygładził, i postawiła na podłodze przede mną. Kaneka uklękła naprzeciwko, z obojętną twarzą wojownika, i palcem wyrysowała kółko na piasku.

– Dni – powiedziała i dokoła nakreśliła drugie kółko, większe. – Tygodnie. – pytając wzrokiem, czy rozumiem, narysowała największe koncentryczne koło. – Miesiące. – Wzięła mnie za rękę i położyła kości na dłoni. – Trzymaj, póki nie nabiorą twojego ciepła.

Kości były bursztynowe, każda miała osiem sześciokątnych ścianek z wyrytymi oczkami. Zacisnęłam je w ręce. Dżebenki i Nubijki przysunęły się patrząc w skupieniu; podeszło nawet kilka innych kobiet.

– Patrzcie! – Kaneka zwróciła się do niech podniesionym głosem. – W Daršandze Śmierć jest mężczyzną, i pan Śmierć zawsze czeka w zenanie. Jak długo będzie czekać, żeby wezwać cię do swojej sypialni? Jak bardzo pragnie nadziać cię na swoją żelazną pałkę? Jeśli za trzy dni, to czy minie pięć tygodni, zanim znowu cię wezwie? Jeśli pięć tygodni, to czy potem upłyną dwa miesiące? To jedyne pytania... – powiedziała, znów patrząc na mnie – jakie tutaj mają znaczenie.

Zaciśnięte w dłoni ośmioboczne kości się rozgrzały. Dałam je Kanece. Potrząsnęła nimi nad tacą, mrucząc długą modlitwę po dżebeńsku. Rzuciła kości na piasek.

Bursztyn lśnił matowo w świetle lampy, gdy kostki jedna za drugą upadły w koncentryczne kręgi, układając się w linii prostej jak strzała – a na każdej ścianie widniała jedna kropka.

Poczułam w ustach smak strachu.

Ktoś sapnął; wiele kobiet się odsunęło. Kaneka patrzyła na mnie,

białka jej oczu były żółte wokół ciemnych tęczywek.

– Jesteś przeznaczona dla Śmierci. Niebawem.

Patrzyłam na linię kości, trzy pojedyncze oczka na piasku.

– Czy wtedy umrę?

– Nie. – Głos Kaneki stał się chropawy ze strachu. – Kości mówią, kiedy Pan Śmierć będzie cię wzywać. – Pokazała palcem. – Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu. Nie ma wytchnienia. Kiedy umrzesz? – Wzruszyła ramionami. – Jak reszta. Albo kiedy on cię zabije, albo kiedy nie będziesz mogła znieść więcej.

– Rozumiem. – Podniosłam się. – Dziękuję, *fedabin, amessaganum*. Jeśli zechcesz uczyć mnie dżebeńskiego, przyjdę, choć nie mam nic w zamian.

Kaneka zebrała kości i wstała.

– Jesteś głupia, mała – szepnęła chrapliwie. – Wierz albo nie, kości nie kłamią, a ja powiedziałam ci to, czego każda inna wysłuchałaby z drżeniem. Mądrze wykorzystaj pozostały ci czas i póki możesz, pogódź się swoimi bogami.

– Z moimi bogami. – Powiodłam wzrokiem po zenanie. – To oni mnie naznaczyli, *fedabin* Kaneka, nie dla śmierci, ale dla życia w bólu. Jak mam się z tym pogodzić?

Kaneka nie odpowiedziała.

CZTERDZIEŚCI PIĘĆ

Do końca dnia traktowano mnie w zenanie z pełnym strachu szacunkiem.

Potem ten stan rzeczy uległ zmianie.

Sądzę, że Mahrkagir przysłałby po mnie i stałoby się to, co się stało, niezależnie od przepowiedni Kaneki. Jestem *anguisette*. Nie mogło być inaczej. Kości po prostu uczyniły ze mnie napiętnowany cel dla lęków i spekulacji. W środowisku, w którym rządzi terror, droga od strachu do nienawiści nie jest daleka.

Stan zdrowia Hiu–Mei, faworyty Mahrkagira, wciąż się pogarszał. Drucylla opiekowała się nią jak najlepiej, ale bez leków niewiele mogła wskórać. Przypuszczam, że powodem nie było uderzenie w twarz. Wyniszczała ją długotrwała choroba, którą, jak przysięgała jedna z Ilirek, mężczyźni zarażają się od kóz. Tatarzy, o których pomoc zabiegał Mahrkagir, słynęli z przenoszenia francy.

Nie wiem, czy to prawda, ale nie ulega wątpliwości, że Ch'inka poważnie zaniemogła, co stało się przyczyną gorzkiej radości w zenanie. Radości, bo na każdą faworytę patrzono ze wzdargą, i goryczy, bo każda faworyta musiała zostać zastąpiona... a los miał paść na jedną z nas.

Kobiety patrzyły na mnie i poszeptywały o kościach Kaneki.

Ja zaś czułam się odrętwiała i pusta. Obecność Błogosławionego Elui przepadła i pozostał tylko jego cel, wyrysowany liniami prostymi i nieufnymi jak ta, wzdłuż której ułożyły się bursztynowe kości. Linie wiodły do komnaty sypialnej Mahrkagira.

Po zenanie rozeszły się wieści. Kobieta z Bodistanu nie żyła. Jeden z ludzi Mahrkagira – Tizrav nazwał ich wilkami Angry Mainju – założył się, że mając wybór pomiędzy czubkiem sztyletu a smacznym kąskiem, kobieta zacznie jeść. Mahrkagir przyjął zakład. Nawet nie drgnęła, gdy drudżański sztylet przebił jej pierś.

Takie wydarzenia w sali biesiadnej uchodziły za rozrywkę i Mahrkagir był nimi uszczęśliwiony.

Słyszałam też inne wiadomości: o d'Angelińskim panu, który nigdy się nie uśmiecha, a którego piękno jaśnieje niczym gwiazda w zimnych, mrocznych salach Daršangi. W zenanie Joscelin już był upragniony, co wprawiało mnie w ponure rozbawienie. Poza tym nie czułam niczego.

Ruszad zbliżył się kocim krokiem do mojej sofy, przynosząc prezent schowany w dłoni.

– Widzisz? – Otworzył rękę i pokazał pigułkę, ciemną i żywiczną. – Opium! Jeśli nie spalisz, tylko połkniesz, efekt będzie trwał dłużej, znacznie dłużej, i... i ból nie będzie taki wielki. Będzie tak, jakby wszystko działo się we śnie.

– Rozumiem. – Z uśmiechem pokręciłam głową, zamykając jego rękę na tym skarbie. – Jesteś miły, Ruszadzie, ale nie trzeba. Zachowaj to.

Popatrzył na mnie z konsternacją.

– Mahrkagir mówił o tobie. Przyśle po ciebie dzisiaj wieczorem, wiem, wszyscy wiedzą!

– Wiem. – Ściągnęłam brwi, słuchając odgłosów zenany. Ktoś westchnął, ktoś krzyknął, drzwi do ubikacji zatrzęsnęły się z hukiem. Pomyślałam, że słyszę głos sennie mruczący po helleńsku: *lypiphera*. Znosząca ból. Prawdopodobnie był to wytwór mojej wyobraźni. – Wiem, Ruszadzie. Ale nie stać mnie na luksus śnienia na jawie.

Odszedł zawiedziony. Szczerze mówiąc, nie byłam pewna, czy podjęłam dobrą decyzję. Oczywiście potrzebowałam wszystkich zmysłów... a jednak. Nie miałam planu, nawet nie zlokalizowałam

Imriela de la Courcel. Nic nie mogłam zrobić. Nawet gdybym była w stanie porozumieć się z Joscelinem – a nie śmiałam tak wcześniej podejmować ryzyka – co bym mu powiedziała? Że akadyjscy eunuchowie gardzili swoim panem i chętnie brali łapówki? To było coś, ale niewiele, nie więcej mógł się dowiedzieć na własną rękę. Może rzeczywiście mądrzej było spotkać się z Mahrkagirem w kokonie snów.

Albo i nie.

Patrzyłam, jak Kartaginka wdycha z lubością dym z fajki wodnej, odprężona i rozleniwiona. Ci, którzy raz weszli do świata snów, wychodzili z niego tylko pod przymusem. Tak, opium wydawało się dobrodziejstwem. „Dopóki Mahrkagir nie zabierze im fajek. Wtedy cierpią na nowo i znowu pragną umrzeć”.

Miałam wystarczający powód. Nie trzeba szukać większego.

Czekałam więc w odrętwiającej rozpacz, aż w końcu otworzyły się drzwi i naczelnny eunuch wdał się w rozmowę z drudżańskimi strażnikami. Zapadła głucha cisza. Ściągnięte czerwone usta Narimana drżały i dostrzegłam w jego spojrzeniu złośliwość, gdy uniósł pulchną rękę i wskazał na mnie.

Choć spodziewałam się tego, serce zamarło mi w piersi.

Nikt po mnie nie płakał, jak za tamtymi zeszłego wieczoru. Mniejsza z tym, jestem Fedra nó Delaunay de Montrčve i nie potrzebuję niczyjej litości. Z godnością podniosłam się z sofy, wskazując głową eskortę Akadyjczyków.

– *Khannat* – szepnęłam w ich języku, biorąc któregoś pod rękę; dziękuję. Czułam, jak eunuch zeszywniał, a potem pokiwał głową.

Wybrano pięć innych kobiet i chłopca, małego Menechetańczyka, którego wezwano ubiegłej nocy. Oczy miał zapadnięte i puste, żadne dziecko nie powinno mieć takich oczu. Tym razem jego rodaczki na wyłożonej dywanem wyspie tylko zawodziły, nisko i przejmująco.

Poszliśmy.

Drudżańscy strażnicy pobrzękiwali bronią i gawędzili beztrosko

nad naszymi głowami, gdy wchodziliśmy po wąskich schodach. W ich głosach słyszałam podniecenie i znałam jego przyczynę. Byłam czymś nowym, czymś innym. Oczy Akadyjczyków lśniły w ciemności. Zostaliśmy zatrzymani na szczycie schodów i tam sprawdzono, czy nie mamy broni.

Naamo, pomyślałam. Modlitwa napłynęła nieproszona, gdy czekałam na swoją kolej. Łaskawa pani, pani mojej duszy, zgodziłam się na to, jak ty przed wiekami. Dla miłości Błogosławionego Elui położyłaś się z wielkim królem Persji. Ponieważ Elua poprosił, zrobię to samo, chociaż dawna Persja upadła, a król, który pozostał w tym odizolowanym zakątku dawnego cesarstwa, tytułuje się Panem Śmierci. Naamo, moja pani, jeśli leży ci na twojej wiernej służbie, miej ją w opiece.

Przez chwilę – tylko przez chwilę – zdawało mi się, że czuję zapach olejku różanego i słyszę szybki łopot skrzydeł gołębiczy, która zrywa się do lotu. Potem nadeszła moja kolej i drudżański strażnik obmacał mnie bez pośpiechu, lubieżnie łypiąc okiem.

To koszmar *anguisette*. Trzymałam uniesiony podbródek, nie zdradzając żadnych emocji.

– Idźcie – powiedział do innych po persku, potrząsając głową. – On czeka.

Poszliśmy mrocznymi korytarzami, napotykając po drodze jedną płonąca pochodnię. Dwie kobiety płakały. Idący za nimi eunuch zaklął i jedną z nich mocno uderzył w plecy. Inne też szły ciężko, jakby miały nogi z ołowiu. Menechetański chłopiec ociągał się i słaniał, wpadając na ściany. Drudżańscy strażnicy popychali go i zakładali się, za ile kroków upadnie.

– Dość! – krzyknęłam dziko, niezdolna się opanować. – Czy nie widzicie, że jest ranny?

– Milcz. – Strażnik przysunął pochodnię do mojej twarzy i parsknął śmiechem, kiedy się cofnęłam. – Zabawił kilku przyjaciół szachriara, to wszystko. Będziesz miała szczęście, jeśli zdołasz iść o własnych

siłach, gdy pan z tobą skończy!

Szachriar, suwerenny władca. Nariman też tak mówił. W Drudżanie uważali bękartą Hoszdara Ahzada za suwerennego władcę. Milczałam, bojąc się kary. Eskortujący mnie Akadyjczyk rzucił na mnie okiem, podszedł do chłopca i poprowadził go nieco delikatniej.

Zbliżaliśmy się do sali biesiadnej.

Widziałam nikły blask ognia z kominka i nielicznych pochodni, jak w sali audiencyjnej. Tamta sala jednak była inna, pusta i przyciszona.

Tutaj już w połowie korytarza usłyszeliśmy ryk wielu pijanych mężczyzn. Nie zdawałam sobie sprawy, co mnie czeka.

Potem zobaczyłam wysokie sklepienie kopuły, a pod nim zasypaną gruzem niską studnię. Dokoła kulili się mężczyźni, białobrodzi starcy w brudnych łachmanach, ze sznurami na szyjach, z twarzami zastygniętymi w rnaski rozpacz. Magowie, widziałam ich w mieście.

Kiedyś to była świątynia ognia, prywatna świątynia książąt Daršangi.

Teraz była to sala biesiadna Mahrkagira.

W świątyni stały długie drewniane stoły, a wokół nich siedzieli mężczyźni, głównie Drudżanie. Kilku innych miało płaskie twarze i skośne oczy, czujne i pełne rezerwy. Domyśliłam się, że to Tatarzy. Pod stołami grasowały wygłodzone psy, szukające resztek po wieczornym posiłku.

– Wielmożni panowie! – zawołał po persku jeden ze strażników unosząc pochodnię. – Przywiodzę wam ofiarę z zenany szachriara Mahrkagira!

Ktoś pchnął mnie mocno, potknęłam się o własną suknię i ciężko upadłam na kolana. Mężczyźni krzyczeli i walili kubkami w stoły, a ogłuszający hałas tłukł się w moich uszach niczym łopot skrzydeł – nie gołębic, lecz Kusziela.

Na końcu przejścia pomiędzy stołami, w ciemności, ukazała się

postać mężczyzny.

Uniosłam głowę i napotkałam jego spojrzenie.

Iskierki światła skrzyły się na srebrnym hafcie czarnej tuniki i pełgały po zębach. Uśmiechał się, wyciągając rękę. Jego oczy, wpatrzone w moje, były lśniące i czarne, i szalone. Krew w moich żyłach ziębiła jak lód, żar płonął pomiędzy udami. Przycisnęłam czoło do zimnych kamiennych płyt, po czym wstałam. Mężczyzna przywoływał mnie uśmiechem. Zrobiłam jeden krok, potem drugi, moje nogi należały do innej osoby. Wsunęłam dłoń w jego rękę; palce mężczyzny zacisnęły się, zimne i suche. Dziwny strumień energii przepłynął pomiędzy nami. Czułam smak jego strachu i pożądania, widziałam obłąkańczy uśmiech i zatraciłam się w jego rozszerzonych źrenicach.

W okropnej parodii uprzejmości Mahrkagir zaprowadził mnie do swojego stołu i wskazał miejsce obok siebie. Siedziałam zwrócona przodem do słabo oświetlonej sali i dzikich twarzy wiwatujących mężczyzn. Kobiety, z którymi tu przyszedłam, już krążyły wśród nich – na pozór po to, by napełniać kubki piwem, winem lub cuchnącym kumysem, sfermentowanym kobyliim mlekiem, ulubionym napitkiem Tatarów. Tak naprawdę służyły rozrywce, obłapiane i pieszczone przez tych, którzy mieli na to ochotę. Na jednym ze stołów menechetański chłopiec fikał koziołki i robił salta wśród nagich ostrzy; kiedyś był akrobatą.

Siedziałam bez ruchu i patrzyłam na to, zszokowana. Mahrkagir uśmiechał się, trzymając jedną rękę na moim karku. Lodowaty dotyk jego palców nie pozwalał mi się ruszyć. Moje serce biło jak bęben, puls tętnił w kroczu. Błogosławiony Eluo, co każesz mi robić? Menechetanski chłopiec szlochał, ręce i nogi mu drżały, gdy zrobił mostek i próbował zachować równowagę. Drudżanie ryczeli ze śmiechu, dwóch przerzucało się sztyletami pod wygiętymi w łuk plecami. Mężczyzna przy innym stole specjalnie odsunął kubek, gdy Efezjanka chciała nalać piwo, a kiedy chyliła się nad nim, ugryzł ją w

pierś tak mocno, że na skórze został ślad zębów. Kobieta z krzykiem upuściła naczynie. Gdy dzban się rozbił, Drudżanin ryknął śmiechem na całe gardło i powalił ją na kolana, zmuszając do zlizania rozlanego piwa. Czułam mdłości i myślałam, że zwymiotuję, ale straszliwe pożądanie wcale nie przycichło. Przy sąsiednim stole siedział Joscelin, otoczony przez życzliwie usposobionych Drudżanów. Nie wiem, jak on to znosił. Nawet kiedy patrzył mi prosto w oczy, jego twarz pozostawała bez wyrazu. Widziałam martwych, którzy okazywali więcej emocji.

A ja, która drżałam, czując dotyk ręki Mahrkagira, nie mogłam mieć do niego żalu.

Niesamowite wycie rozdarło powietrze i trysnął jasny snop iskier; ktoś przywiązał żagiew do psiego ogona. Podniosłam rękę do ust, tłumiąc krzyk, gdy biedne zwierzę miotało się po sali, a iskry zapalały jego sierść.

– Psy – usłyszałam łagodny głos przy moim ramieniu – należą do Ahury Mazdy, bo są wierne i nie kłamią.

Uniosłam głowę i zobaczyłam kapłana kości. Zapanowałam nad drżeniem, gdy zdałam sobie sprawę, że pada na mnie jego cień.

– Dewa Gasztaham – powiedziałam, pamiętając, jak nazwał go Mahrkagir.

Skotophagotis skłonił się, polerowany hełm z czaszki dzika zalśnił czerwono.

– Masz dobrą pamięć. – Patrzył, jak płonący kundel zwija się w drgawkach agonii. W sali panował okropny hałas. – *Duzhmata* – powiedział leniwie – *duzhūshta, duzhvarshta*. Złe myśli, złe słowa, złe uczynki; potrójna ścieżka Angry Mainju.

– Odejdź, Gasztahamie. – Mahrkagir odezwał się po raz pierwszy, pieszcząc palcami mój kark. Uśmiechnął się do kapłana. – Przyprowadziłeś ją, teraz jest moja i nie potrzebuję twojej rady. – Uśmiechnął się, a ja patrzyłam na niego bezradnie. – Ona już ma złe myśli. Słyszę je, błagalnie lizą moje. Czyż nie? – zapytał.

Zahipnotyzowana własnym bliźniaczym odbiciem w czarnych księżycach jego oczu, szepnęłam:

– Tak.

– Jesteś pierwsza. – Patrzył, jak niezadowolony kapłan kłania się i odchodzi. – Rozesłałem swoich kapłanów, aka–magów Angry Mainju, po całym świecie, żeby zobaczyć, czy jakiś bóg ośmieli się im sprzeciwić. W potężnym Khebbel–im–Akad, w Menechecie, w Efezie, nawet w Helladzie słudzy tamtejszych bogów kulą się ze strachu, a moja zenana rośnie. Władcy Ch’in i Bodistanu przysyłają mi dary z myślą, że może pewnego dnia okażę się sprzymierzeńcem. Nie rozumieją, że w swojej zenanie sieję nasiona śmierci. Ale ty, ach! – Mahrkagir chwycił mnie za podbródek badając wzrokiem moją twarz, jego rozszerzone źrenice zatrzymały się na plamce w lewym oku. – Ty... – podjął, pieścąc mój policzek – jesteś inna. Czuję to, czuję, jak krew szumi w twoich żyłach, podążając za moim dotykiem. – Jego ręka przesunęła się po mojej szyi, objęła pierś. – *Duzhvarshta* – wymruczał, z całej siły szczypiąc sterczącą brodawkę, jego palce ziębiły mnie nawet przez suknię. – Złe uczynki.

Przeszyła mnie strzała bólu i zdusiłam jęk.

– Złe myśli, złe słowa, złe uczynki. – Uśmiechnął się do mnie czule, nie puszczając sutka. Ból przeszywał mnie niczym rozgrzany do białości drut, poruszyłam mimowolnie biodrami i wysunęłam je do przodu. – Masz chętkę na takie rzeczy, wiem. Wiedziałem, kiedy uklękłaś przede mną. Feeedra – wyrzekł przeciągle moje imię, a ja jęknęłam w odpowiedzi, oddychając płytko. – Twoi bogowie wybrali cię, bo jesteś inna, czyż nie?

Zamknęłam oczy.

– Tak.

Mahrkagir mnie puścił. Nagłą nieobecność bólu odczułam jak stratę.

– Przez długi czas szukałem kogoś takiego. Bogowie Terre d’Ange drżą ze strachu i przysyłają daninę na ołtarz Angry Mainju! –

wydyszał. Otworzyłam oczy i zobaczyłam jego twarz zarumienioną z podniecenia. – Miękczy i słabi, lecz mimo to są bogami! – Roześmiał się radośnie, jak chłopiec. – Ty zostaniesz wezwana pierwsza – powiedział, pieszcząc mnie. – Pierwsza.

W sali panował rozgardiasz, ale wszyscy mieli oko na swojego pana. W pewnej chwili umilkli i zaczęli nas obserwować. Nie słyszeli, co mówimy, ale widzieli – widzieli, co mi zrobił, widzieli moją reakcję. Mężczyźni patrzyli z podziwem, kobiety z ledwo skrywaną pogardą.

A Joscelin...

Joscelin.

W ciągu lat spędzonych jako kochanek i kochanka, jako kurtyzana i kasjelita, nigdy nie widział mnie z klientem – nie naprawdę, nie jako *anguisette*.

Zobaczył teraz.

Patrzyliśmy na siebie bez zmrużenia oka. To on odwrócił głowę.

– Bawcie się, panowie. – Mahrkagir wstał, pociągając mnie za sobą. Wolną ręką zrobił zamaszysty gest. – Dzisiejszej nocy wszystko, co należy do mnie, jest wasze! Angra Mainju dał mi znak. Niech wasze uczynki uradują jego serce!

To rzekłszy, wyprowadził mnie z sali.

CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ

Nie lubię mówić o tej nocy ani o wielu innych, które nastąpiły po niej.

Myślałam, przed Drudżanem, że wiem co nieco o mrocznej stronie ludzkiego serca, łącznie z moim własnym. Myliłam się. Nic nie wiedziałam.

Kwatery Mahrgakira były zimne i puste, jak cała reszta Daršangi, ściany odarte z ozdób. Na podłodze piętrzyły się łupy. Eskortował nas wierny Tahmuras; został na straży w korytarzu, gdy drzwi się zamknęły. Drżałam w szafranowej sukni podróżnej, którą uszyła dla mnie Favriela nó Dzika Róża – z lekkiej wełny, odpowiedniej na dżebeńskie upały – i rozglądałam się.

W kątach wały się nieczystości i gruz, na gołej kamiennej podłodze sypialni widniały ciemne plamy. Było tam flagellarium... przypuszczam, że można to tak nazwać. W Terre d'Ange narzędzia rozkoszy, nawet tej, która się budzi na skutek przemocy i bólu, otacza się pieczołowitą opieką. Bicze są czyszczone i nacierane oliwą, kajdany polerowane, mechanizmy dybów, beczek i kół wybornie utrzymane. *Aides d'amour* przechowuje się w wyściełanych aksamitem szkatułkach. Nawet Melisanda... Wspomniałam jej strzałki, nieskazitelne i lśniące, ostre jak brzytwy.

Nie tutaj.

Patrzyłam na szafkę Mahrkagira, na rozrzucone bezładnie narzędzia. Skóra była sucha i spękana, żelazo zardzewiałe, oblepione zaschniętą krwią. Przygryzłam język, żeby powstrzymać się od

płaczu.

– *Duzhvarshita* – powiedział łagodnie, rozpuszczając moje włosy i przeciągając po nich dłońmi. – Złe uczynki. Rozumiesz? – Odwrócił mnie twarzą do siebie, kładąc rękę na moim podbrzuszu. – Nic, co daje życie.

Ze łzami w oczach pokiwałam głową. Aby pokazać, że rozumiem uklękłam przed nim, rozwiązałam troczki jego spodni i wykonałam *languisement*.

Czegokolwiek Mahrkagir z Drudżanu doświadczył w kulcie Angry Mainju, nie sądzę, by wcześniejsze przeżycia przygotowały go na zabiegi d'Angelińskiej kurtyzany wyszkolonej przez największych adeptów Dworu Nocy. Czułam, jak zadrżał na całym ciele, gdy wzięłam go w usta. W przeciwieństwie do rąk, jego fallus był ciepły, sztywny od nabiegłej krwi, wyprostowany i sprężysty. Opadło mnie dziwne uczucie ulgi, gdy zacisnął ręce na mojej głowie i wplótł palce we włosy. Wykonałam swoją sztukę z niezrównaną wprawą, pracując ustami, językiem i małymi mięśniami w gardle, zadowolona z jego jęków przyjemności.

Dopóki mnie nie odepchnął. Uczynił to z taką siłą, że upadłam na zimne płyty.

– Ja decyduję – warknął i grzbietem dłoni uderzył mnie w twarz; zadzwoniło mi w uszach, a w ustach poczułam smak krwi. Uśmiechnął się zimno. Jego fallus poderwał się tak wysoko, że główka muskała brzuch. Uderzył mnie znowu, rozcinając dolną wargę. – Rozumiesz?

– Tak, panie – wymamrotałam niewyraźnie, czując stróżkę krwi ściekającą po brodzie.

– To dobrze. – Kucnął nade mną, chwycił moją twarz w dłonie, jednym ruchem języka zlizął krew z podbródka i wargi. – Mmm...

To mną wstrząsnęło i zatrwożyło bardziej niż wszystko, co dotychczas znałam – i wciąż mnie porusza, nawet teraz. Z tysięcy powodów nie chcę pamiętać tych nocy, ale to zawsze jest wśród nich

najważniejsze. Nie to, co robił, ale moja reakcja.

– Złe myśli – szepnęła. Dostrzegłam swoją krew na jego języku. Włożył lewą rękę pod moją suknię, pod bieliznę. Była taka zimna! Rozsunął dolne wargi, znajdując mnie wilgotną i chętną. – Złe słowa, dziwko bogów. – Nagle wsunął we mnie dwa lodowate palce. Z bezradnym jękiem pchnęłam biodra na ich spotkanie. – Złe uczynki. – Wprawnym kciukiem spenetrował moją drugą dziurkę i teraz jego palce ścisnęły mnie niczym szczęki imadła. Bolało, wstrząsnęła mną siła orgazmu. Mahrkagir uśmiechnął się, nie spuszczając ze mnie szalonych oczu. – Teraz rozumiesz.

Drętwo pokiwałam głową, oblizując rozcięte wargi.

– *Iszta* – wymruczał perskie czułe słówko i wyciągnął rękę. – Myślę, że staniesz się dla mnie kimś bardzo wyjątkowym. Teraz zdejmij ubranie.

Tak wyglądał wstęp.

Potem zaznałam znacznie więcej bólu, co nie znaczy, że Mahrkagir był wyjątkowo biegły w sztuce zadawania go. Nie był. Wiem przecież, że może być lepiej – albo gorzej. Nawet sama nie jestem pewna, co jest prawdą. „Twoi bogowie przeznaczili cię do pohańbienia”, powiedział, i to był jego dar. Z czasem zmusił mnie do błagania o to, co mi robił. Złe słowa. Błagałam, mówiłam, co chciał usłyszeć. To wszystko było zimne, mroczne i brudne, dosłownie.

A potem nastąpiło najgorsze.

Z początku nie widziałam, co wyjął z szafki, wiedziałam tylko, że obchodzi się z tym czymś z czcią. Musiało minąć kilka godzin, jak sądzę, wyczerpanie i łzy zaćmiewały mi oczy, a ciało bolało mnie od znęcania się i rozkoszy.

– Widzisz? – zapytał, gładząc skórzane paski i grube sprzączki, pokazując mi puste wnętrza, wyłożone giemzą natartą oliwą. Tylko ten przyrząd był zadbane. – Kował zrobił go dla mnie. Widzisz?

Bezmyślnie pokiwałam głową, czując w brzuchu twardą kulę przerażenia. Zobaczyłam.

Mahrkagir uśmiechnął się, założył przyrząd i zapiął sprzączki. Uformowane żelazo lśniło, nabite setkami tępych kolców. Sterczało z jego krocza jak straszliwa maczuga.

– To dla ciebie, *iszta* – powiedział czule, gładząc moje włosy. – Wszystko dla ciebie.

Moje usta ułożyły się w dźwięk *signale*. Dość, nie zniosę nic więcej. Hiacynt.

Wziął mnie od tyłu, jedną ręką wciskając moją twarz w poplamioną pościel. Nie mam słów na opisanie tego bólu. „Jak bardzo pragnie wbić w ciebie swoją żelazną pałkę?”. Głupia, myślałam, że to przenośnia. Przy pierwszym pchnięciu byłam przekonana, że zaraz umrę, rozdarta na dwoje. Oddech uwiązał mi w gardle; słyszałam jęki, nieświadoma, że płyną z moich ust. Był to odgłos katowanego zwierzęcia. Tak, to mogła być tylko agonia...

Gdybyż tak było.

Pomimo to... Ciało mnie zdradziło, godząc się z udręką, moje pokaleczone wnętrze, śliskie od żądz i krwi, przyjmowało chętnie straszliwe żelazo drące mnie od środka. Przycisnęłam policzek do pościeli, zawodząc ochryple w rytm jego pchnięć, patrząc w ciemność. Niech mnie tym zabije, myślałam. Niech to zrobi. Rozkosz narastała, niepowstrzymana, niewysłowiona. Moje palce wbijały się w pościel, zaciskały i rozkurczały. Szkarłatny woal przysłonił mi oczy. Słyszałam jego oddech, teraz chrapliwy; Mahrkagir zacisnął ręce na moich biodrach, napierał na mnie. Żelazne guzki... Eluo! Jakie rany zadawały? Miałam nadzieję, że nigdy nie przestanie. Miałam nadzieję, że umrę.

W szkarłatnej mgłę unosiła się twarz Kusziela, kochająca i bezlitosna, z mosiężnymi oczami nakrytymi ciężkimi powiekami. W jednej ręce w jednej ręce trzymał diament na aksamitce. Patrzyłam na niego, mrugając, podczas gdy Mahrkagir mozolił się z tyłu. Ciemność napłynęła falami, gdy Kusziel pochylił się nisko, mrużąc czule błogosławieństwo nad moją głową. Diament zwisał z jego ręki,

światło łamiące się na niezliczonych fasetkach wypełniało moje oczy, gdy potworna rozkosz rosła i rosła...

...aż gwałtownie zaczerpnęłam tchu i krzyknęłam; diament pękł, światło, Błogosławiony Eluo, oślepiające światło, tysiące gwiazd wessanych przez moje zasapane usta, roziskrzające krew w żyłach, wybuchające we mnie, otwierające okno na wszechświat większy, bardziej niezgłębiony...

Mahrkagir jęknął i zeszywniał, całym jego ciałem wstrząsnęła siła spełnienia. Kiedy było po wszystkim, przez chwilę pochyłał się, przytulając twarz do moich pleców, do jasnej skóry zdobionej dziełem mistrza markarza, pociętej przez szpicrutę.

– Fedro – wymruczał, wychodząc ze mnie. – Ach, Fedro!

Gdy się wysunął, obecność Kusziela przepadła. Skuliłam się, leżąc na boku i pragnąc, aby ucichł przejmujący puls pożądania. Wreszcie rozkosz zastąpił ból, straszliwy ból. Mahrkagir siedział obok i gładził moją twarz, zadowolony z siebie i ze mnie.

– Kochasz mnie – powiedział. – Przynajmniej troszeczkę. Czyż nie?

– Tak – odparłam ze zmęczeniem, niezdolna unieść głowy. – Przynajmniej troszeczkę. Tak to już jest, panie.

– Wiedziałem! – Wstał z materaca, nie bacząc na żelazny fallus, który wciąż sterczał na jego podbrzuszu. Wreszcie zaczął rozpinać sprzączki. – To... – podniósł z czcią instrument i koniuszkiem języka posmakował zmieszane płyny – to będzie tylko dla ciebie.

– Jak mój pan sobie życzy. – Odwróciłam wzrok.

Mahrkagir podszedł do skrzyni i zaczął przerzucać rozmaite dary: futra, złote łańcuchy, pudełko bodistańskich przypraw.

– Jest. – Zadowolony, wrócił do materaca z nefrytowym pieskiem. – Masz – powiedział, wręczając mi figurkę. – To dar dla ciebie. Z Ch'in, jak myślę. Bo teraz ty jesteś moją faworytą.

Zmusiłam się do ukłęknięcia, wlokąc obolałe kończyny, kuląc się, bo zaczęły przenikać mnie zimne dreszcze.

– Mój pan jest zbyt dobry.

– Tak. – Uśmiechnął się do wyszczerzonego nefrytowego pyszczka.
– Dzisiejszego wieczoru był w tej sali pies, pamiętasz, jak płonął?

W odpowiedzi tylko pokiwałam głową, bo zgroza ścisnęła mnie za gardło.

– Weź go, żebyś nie zapomniała.

– Nie sądzę, panie – wyszeptałam – że kiedykolwiek zapomnę o tej nocy.

– Ja zapominam różne rzeczy. – Roztargnione spojrzenie Mahrkagira błąkało się po pokoju. – Tahmuras powiedział, że kiedyś miałem psa. To było w zenanie, gdzie mnie znalazł. Ktoś rzucił nim o ścianę. Miał krew na pysku. – Zaśmiał się. – Pewnie ugryzł jakiegoś Akadyjczyka.

– Pamiętasz, co było wcześniej?

Pokręcił głową.

– Tylko ciężar spiętrzonych na mnie ciał. Była tam twarz kobiety, tak blisko. – Przyłożył rękę do nosa. – Została uduszona i oczy wylazły jej z orbit. Czuję, jak jedno dotyka mojego policzka. Być może to była moja matka, nie wiem.

Wezbrała we mnie fala mdłości i jednocześnie litości.

– Kiedy miałam cztery lata, zostałam sprzedana do terminu w burdelu.

– I odrodziłaś się jako ktoś inny. – Oczy Mahrkagira pojaśniały ze rozumienia. – Ktoś ważniejszy. – Ujął moją twarz w zimne dłonie. – Bogowie cię ukształtowali, Fedro. Tutaj są siły, o których nie śmiem marzyć. Ale Angra Mainju wiedział! Tak, wiedział. Jesteśmy podobni, ty i ja. Wezwałem cię przez potrójną ścieżkę. Zostałaś stworzona dla mnie.

Widziałam moje bliźniacze odbicia w jego błyszczących czarnych oczach: twarz poznaczona smugami łez, napuchnięte usta, głowa kiwająca się bezradnie w geście zgody. Uśmiechnął się i puścił mnie.

– Tahmuras cię odprowadzi – powiedział. – Nie zapomnij o swoim psie!

Wyszłam, zaciskając palce na nefrytowej figurce.

Od kwater Mahrkagira biegł korytarz do dolnych sal przy zenanie. Szłam z trudem, wolną ręką przytrzymując się ściany. Tahmuras cierpliwie mnie obserwował, gotów w każdej chwili wziąć mnie na ręce i zanieść, przypuszczam, że robił to często. Ręce i nogi miałam jak z ołowiu, jak w moich snach, a ciało bolało mnie w niezliczonych miejscach. Wnętrze ud lepiło się od krwi, w kroczu pulsował tępy ból. Zaciskałam zęby i ignorowałam go wraz z narastającymi zawrotami głowy.

Wreszcie stanęliśmy przed ażurowymi drzwiami, Tahmuras zapukał i zjawił się naczelny eunuch. Jego małe oczka płonęły z okrutnej uciechy. Już otrzymał rozkazy. Nie spodziewałam się tego.

Był ranek i w zenanie panował ruch. Tego też się nie spodziewałam. Stałam chwiejnie, modląc się, żeby nie zwymiotować ani nie zemdleć, podczas gdy setki oczu patrzyły na mnie z nieskrywaną pogardą. W sali uciech były kobiety; widziały wszystko i opowiedziały innym. Popełniłam największe znane im bluźnierstwo – pragnęłam poniżenia z rąk Śmierci. Nic innego nie mogło być bardziej plugawe.

– Oto Fedra z Terre d'Ange! – krzyknął Nariman wysokim, triumfującym głosem. – Szachriar Mahrkagir wybrał nową faworytę. – Nikt się nie odezwał. Nariman pchnął mnie mocno. – Idź do tapczanu i zabierz swoje rzeczy. Pokój Hiu-Mei należy do ciebie. Umarła – dodał beztrosko – w nocy.

Poszłam, stawiając jedną stopę przed drugą. Nikt nie spojrzał mi w oczy, nawet Drucylla. Skupiłam się na stawianiu kroków. Chodzenie sprawiało mi ból. Nie zdawałam sobie sprawy, że zenana jest taka wielka. Smród stojącej w basenie wody przyprawiał mnie o mdłości. Patrzyłam na wyłożoną płytkami podłogę, na gołe ścieżki pomiędzy dywanami. Przeszłam zbyt blisko czyjegoś tapczanu i zobaczyłam, że kobieta się skuliła, podciągając spódnice, żeby nie skalala ich dotykiem.

Błogosławiony Eluo, co kazałeś mi zrobić?

Przystanąłam na chwilę, biorąc się w garść, potem ruszyłam dalej. Moj tapczan musi być blisko, na pewno już zaraz do niego dotrę. Uniosłam głowę...

...i zobaczyłam chłopca.

Stał na mojej drodze, zaciskając pięści i niemal dygocząc ze złości. Smukły, sięgający mi co najwyżej do mostka, z białą, bezkrwistą twarzą, wstrząsająco piękny. Jego oczy płonęły niczym szafiry, a włosy, choćbrudne i potargane, zachowały granatowy połysk.

– Imriel – szepnęłam.

Szybki jak żmija, przyskoczył do mnie, splunął mi w twarz i uciekł klucząc pomiędzy tapczanami, zanim zdążyłam zareagować.

Gdzieś w zenanie ktoś zaklaskał, ktoś inny zaniósł się przeraźliwym śmiechem.

Ciepła ślina spływała mi po nosie. Odetchnęłam głęboko, wbijając wzrok w swój tapczan, odległy o kilka jardów. W jednym końcu leżał rzucony niedbale płaszcz od Walerii L'Envers. Zrobiłam jeden krok, potem drugi. Pokój wirował szaleńczo przed moimi oczami. Nagle tapczan płynnym łukiem wzniósł się ku niebu i zrozumiałam, że się przewracam.

Ostatnią rzeczą, jaką widziałam, zanim wyłożona kafelkami podłoga spotkała się z moją głową, było to, że ktoś wypróżnił się na mój płaszcz. potem zawładnęła mną ciemność i nic więcej nie pamiętam.

CZTERDZIEŚCI SIEDEM

– To będzie bolało.

Głos Drucylli brzmiał bezosobowo, jej całe wczorajsze – czy to było zaledwie wczoraj? – ciepło przepadło. Klęczałam bez ruchu, gdy smarowała gryzącą maścią niezliczone pręgi i skaleczenia. Piekło jak wszyscy diabli.

– Kamfora? – zapytałam.

– Kamfora i olejek brzozy zmieszany ze smalcem. – Zakręciła słoik. – Tatarzy smarują tym konie i siebie. To jedyne, co mogę zdobyć. – Z niesmakiem skrzywiła usta, oglądając dolne partie mojego ciała. – Powinnam cię zbadać. Inne kobiety dostawały zakażenia i umierały.

Pozwoliłam jej na badanie, zmieniając pozycję i zaciskając zęby z bólu; Drucylla nie starła z palców kamforowej maści. To było... ach, Eluo.

– Mogło być gorzej, jak w większości przypadków. – Wyprostowała się, wytarła ręce, jakby dotknęła czegoś ohydneho. – Twoja... ochota... to ułatwiła. Już zaczyna się goić.

– Szybko wracam do zdrowia – mruknęłam, opierając głowę o ścianę mojej prywatnej komnaty. To był jedyny dar, jaki Kusziel uznał za stosowny dla mnie.

Drucylla skinęła głową.

– Umyłaś się dokładnie?

– Tak. – Status konkubiny Mahrkagira miał swoje zalety. Ruszad, nieproszony, przyniósł mi miskę z wodą. Kazałam mu wygotować

pościel; spała w niej Hiu–Mei, zarażona nie wiadomo jaką chorobą.

– W takim razie to wszystko. – Drucylla zebrała swoje rzeczy do kosza i odwróciła się do wyjścia.

Włożyłam suknię, patrząc za nią, nagle poczułam się rozpaczliwie samotna. Nikt inny się do mnie nie odezwał, nawet Ruszad nie patrzył mi w oczy. Przypuszczam, że Drucylla zachowywałaby się jak wszyscy inni, gdyby nie to, że była lekarką, a uprawianie zawodu pozwalało jej zachować zdrowe zmysły.

– Drucylo – powiedziałam, gdy rozsunęła zasłonę z koralików, która służyła za drzwi. Zatrzymała się zwrócona plecami do mnie. – Drucylo, jestem *anguisette*. Zostałam wybrana przez bogów do znajdowania przyjemności w bólu.

Odwróciła się z koszem w rękach, ze zmarszczonymi brwiami.

– Dlaczego bogowie mieliby to zrobić?

– Dla zachowania równowagi. – Patrzyłam jej w oczy i mówiłam spokojnym tonem, starając się nie zdradzić straszliwego pragnienia nawiązania przyjaźni, zdobycia sprzymierzeńca. – Tak mówią kapłani Kusziela, boga, który naznaczył mnie jako swoją sługę. Ponieważ na tym świecie rodzą się – albo są przez świat kształtowani – ludzie pozbawieni współczucia, czerpiący zadowolenie tylko z posiadania i niszczenia. Szkodzenia. – Pomyślałam o kapłanie Michelu Neversie. – „Aby znosić niewysłowione cierpienie z bezbrzeżnym współczuciem”. *Anguisette* zapewnia równowagę, tak mówią.

Drucylla przełknęła ślinę, jeden raz, drugi, i krew odpłynęła jej z twarzy.

– Kim ty jesteś? – szepnęła, patrząc na mnie tak, jak wtedy, gdy widziała mnie po raz pierwszy. – I po co tutaj przybyłaś?

– Kiedyś miałam przyjaciela – zaczęłam powoli, modląc się, żeby nie wyjawić zbyt wiele. – Gdy zostałam porwana... w innym miejscu, w innym czasie. Był Hellenem, wnukiem lekarza, niewolnikiem w Tyberium, uwolnionym przez piratów. A teraz ty, tutaj... tyberyjska lekarka, uprowadzona z Hellady. – Patrzyłam na nią, gdy stała,

zaciskając okaleczone ręce na pałkach kosza. – Jeśli udzielę odpowiedzi na twoje pytanie, Drucylo, za rozprowadanie tego mogę zapłacić życiem.

– Po pierwsze, nie szkodzić. – Trochę siły wróciło do jej głosu, do jej wykrzywionej twarzy. – Czym lub kimkolwiek jesteś, Fedro nó Delaunay, wiedz, że ja jestem lekarzem. Złożyłam świętą przysięgę Hipokratesa i tak brzmi jej pierwsza zasada. Dzień, w którym ją pogwałcę, będzie dniem mojej śmierci. Nie mogę ci obiecać, że tego nie zrobię, nie w tym miejscu. Wiem tylko, że nigdy nie uczynię tego z własnej woli.

Pokiwałam głową. To wystarczyło, musiało wystarczyć.

– Przybyłam po chłopca.

– Imriego? – Drucylla ze zdziwienia podniosła głos. Nogi się pod nią ugięły i usiadła na łóżku, po czym parsknęła śmiechem. – Oszalałaś? – Patrzyła na mnie niepewnie, kładąc rękę na moim czole. – Może to gorączka albo zadany ci gwałt... Fedro, nie ty pierwsza uciekłabyś w świat fantazji.

– Nie – Chwyciłam ją za rękę. – Zapytaj go, jeśli wątpisz, bo ze mną nie będzie mówił. Zapytaj go, czy to prawda, że został wychowany przez kapłanów w sanktuarium Elui, że został porwany przez kartagińskich handlarzy niewolników, gdy pasł kozy. – Puściłam jej dłoń. – Zabrali go do Amilcaru i sprzedali Menechetańczykowi Fadilowi Choumie. Chouma odsprzedał go kapłanowi, jednemu ze *Skotophagotis* Mahrkagira.

Drucylla podniosła rękę do ust i szeroko otworzyła zdumione oczy.

– Skąd to wiesz?

– Dowiaduję się różnych rzeczy. – Z jakiegoś powodu pomyślałam o Delaunayu. – W tym jestem dobra, w tym i w znoszeniu bólu.

Przez jakiś czas milczała, splatając końce szala.

– Masz plan?

Powoli pokręciłam głową.

– W takim razie jesteś szalona. – Tym razem w jej głosie nie było

niepewności. – Ale kim on jest, że przyszedł za nim w szczęki Śmierci? Nawet cię nie zna!

– Wiem. – Zmieniłam pozycję. Maść działała. Pieczenie ustało, a wraz z nim ból. Parę godzin snu dopełniło dzieła. Byłam Wybranką Kusziela. Wracałam do zdrowia, czy tego chciałam, czy nie. – To nie ma znaczenia. Nawet on sam nie wie, kim jest. Muszę spróbować.

– Wiesz, że nijak nie mogę ci pomóc. – Drucylla uniosła rękę. Widziałam różowawą, pomarszczoną tkankę na kikutach czwartych i piątych palców. – To wszystko, co mam, to i trochę tatarskiej maści dla koni.

– Masz posłuch u Imriela. Przekonaj go, jeśli możesz, żeby mnie wysłuchał. I nie patrz na mnie jak na coś, co nieraz się przykleja do podeszwy buta.

Drucylla z powątpiewaniem, bez przekonania pokiwała głową.

– Co z d’Angelińskim panem? – zapytała, podnosząc się z łóżka. – Tym, który przysiągł swój miecz Mahrkagirowi?

Moje zaufanie miało swoje granice. Byłam skłonna ryzykować własne życie, ale nie życie Joscelina. Kręcąc głową, powiedziałam lodowato:

– On ma swoje sprawy.

Tak minął mój pierwszy dzień jako faworyty Mahrkagira.

Wieczorem znów po mnie przysłał. Poszłam, oczywiście, w tej sprawie nie miałam wyboru. Towarzyszyły mi inne kobiety niż wczoraj. Mały Menechetańczyk umarł – obrażenia wewnętrzne, stwierdziła Drucylla. Chirurg mógłby go uratować, choć niekoniecznie.

Tym razem było inaczej. Wieści szybko się rozchodziły w Daršandze i wszyscy wiedzieli. Jak kobiety z zenany, widzieli mnie zeszłej nocy. Byłam inna. Byłam Dziwką Śmierci. Drudżanie powitali mnie nieprzyzwoitymi okrzykami. Klęczący magowie unieśli głowy, gdy przechodziłam i patrzyli na mnie ze zgrozą i pogardą. Kapłan Gasztaham uśmiechał się niczym kot spijający śmietankę.

Mahrkagir... on też się uśmiechał, tym swoim obłąkańczym uśmiechem, i z błyskiem w czarnych oczach wyciągnął rękę, gdy do niego szłam. Zajął miejsce u jego boku.

Ile nocy przesiedziałam przy nim u szczytu stołu? Nie umiem powiedzieć. Nie zniosłabym liczenia. Szczerze mówiąc, nie jestem pewna, co było gorsze, komnata sypialna czy sala biesiadna. To, co się działo w odosobnieniu, było straszne. W zimnej sypialni tonęłam w najplugawszych głębiach, poznałam najgorsze wynaturzenia. I im bardziej sobą pogardzałam, tym bardziej pragnęłam, tym bardziej pożądałam kary i upokorzenia. Nie jest to miejsce, które chętnie odwiedzam we wspomnieniach.

Ale sala... w sali był Joscelin.

I to było trudniejsze do zniesienia.

Musiałam na niego patrzeć, na jego umiłowaną twarz, nieruchomą, jakby została wykuta z kamienia, ze świadomością, że wszystko widział i słyszał. Patrzyłam na niego w ciemnej, ponurej sali, na jego lśniące jasne włosy i dumne, surowe rysy. I wiedziałam, przy każdym oddechu, że żyje w piekle.

Utrzymał swoją pozycję wśród nich, choć poddali go próbie. Któryś Tatar ośmielił się zaczepić go drugiej nocy – brutalny, pijany i niebezpieczny. Nie widziałam, od czego się zaczęło, słyszałam tylko ryk zachęty, gdy rozpoczynała się walka. Mężczyźni szybko przestawili stoły, porobili zakłady. Mahrkagir patrzył na to z czystą przyjemnością, w jednej ręce trzymając kubek z winem, drugą obejmując mnie, podeksycytowany widowiskiem jak chłopiec. Obserwowałam walkę z sercem w gardle, wbijając paznokcie w dłoń, z twarzą bez wyrazu.

Odziany w futra i plecioną skórę Tatar był uzbrojony w dzi ryt i miecz. Tupiąc głośno, wykrzyczał wyzwanie w niezrozumiałym języku. Nigdy nie poznałam tatarskiej mowy ani jej niezliczonych dialektów. Joscelin tylko się uklonił, krzyżując zarękawia widoczne pod rękawami kozucha. Rękojeść miecza sterczała nad jego

ramieniem. Wyjął sztylety.

– Wygra? Jak myślisz? – zapytał mnie Mahrkagir.

– Tak, panie – odparłam matowym głosem. – Wygra.

Tatar ruszył do przodu, udając, że się chwieje jak pijany. Joscelin przesunął się w lewo na ugiętych nogach, nisko trzymając sztylety. Tatar uniósł dziryt i rzucił, mocno i z bliska.

Joscelin poderwał skrzyżowane sztylety, chwytając dziryt w locie. Ostrza wgrzyły się w drewno, żelazny grot znieruchomiał zaledwie kilka cali od jego twarzy. Drudżanie ryknęli z zachwytem. Swoją drogą, Joscelinowi Verreuil nigdy nie brakowało dramatycznego zacięcia. Przygryzłam usta, żeby powstrzymać łzy, przerażona świadomością tego, jak bardzo go kocham.

Później wynik był już z góry przesądzony.

Lampart wśród wilków, tak nazwała go Drucylla. Widziałam to w tej walce. Ze sztyletami przeciwko mieczowi, z zarękawiami przeciwko zbroi, Joscelin bawił się ze swoim tatarskim przeciwnikiem, z gracją wykonując kasjelickie figury. To było jego mocną stroną – do tego został wyszkolony, do walki wręcz.

Uśmiechał się upiornie. Był to jedyny raz, kiedy w Darśandze widziałam jego uśmiech. Nie wiem, ile razy zranił przeciwnika, kłując skórę sztyletami i kłując uda, wsuwając ostrze w miejsca nieosłonięte przez prymitywny pancerz. Wiele. Dość, by Tatar zaczął potykać się z bólu i utraty krwi, wymachując mieczem niemal z komiczną nieudolnością.

To było okrutne. Drudżanie stukali się kubkami i krzyczeli z aprobatą, Tatarzy tylko pomrukiwali. A Joscelin uśmiechał się do chwili, gdy ciął krzyżowanymi sztyletami, otwierając krwawe rany po obu stronach szyi przeciwnika. Tatar poruszył ustami jak ryba, upuścił miecz, osunął się na kolana, na próżno podnosząc ręce do gardła. Mahrkagir ryczał ze śmiechu, zarumieniony i szczęśliwy.

Dotychczas nie myślałam o tym, co musi robić Joscelin, żeby tutaj przeżyć, ani ile to będzie go kosztowało.

Z wystudiowaną pieczołowitością wytarł skrwawione sztylety w futra tatara, potem odwrócił się w stronę Mahrkagira i z niewzruszonym wyrazem twarzy złożył kasjelicki ukłon.

– Szachriar, ten człowiek wątpił w umiejętności wilków Angry Mainju. – Jego perski, pomyślałam, jest całkiem dobry. Nauczył się więcej, niż przypuszczałam, słuchając lekcji Tizrava w drodze do Daršangi. Tylko Błogosławiony Elua wiedział, ile nowych słów przyswoił od tamtej pory.

– Słyszycie? – Mahrkagir wstał z gorączkowym błyskiem w oczach i podniósł kubek. – Czekanie jest głupotą, przyjaciele! Angra Mainju zwycięża, jego czas nadchodzi. Kiedy Tatarzy się zgodzą – Kereici, Kirgizi, Ujgurowie, wszystkie plemiona – a dewa Gasztaham i inni aka-magowie orzekną, że nadszedł czas, siły Drudżanu ruszą na podbój świata, obce armie pójdą w rozsypkę i kapłani cudzoziemskich bogów ukorzą się przed nami! Czyż nie? Już napływają daniny. Jossalinie Veruj, Doręczycielu Znaków – oznajmił, wykonując rękoma szeroki gest – pozwalam ci wybrać dowolną kobietę z zenany! Jeśli żadna z tych tutaj cię nie zadowala, weź sobie inną.

Z sykiem zaczerpnęłam tchu.

Joscelin stał bez ruchu. Jego spojrzenie spoczywało na mnie.

– Szachriar Mahrkagir, dałem ci jedyną kobietę wartą posiadania – rzekł bezdźwięcznie. – Po niej nie może być innej.

– Przyrowadź mu zatem chłopca – powiedział ze śmiechem Mahrkagir do Tahmurasas. – Co na to powiesz? Mamy mu dać małego D’Angelina, którego skowyt trafił do uszu przestraszonych bogów? Dlaczego nie! Może to odpowiedni krok na potrójnej ścieżce!

Dewa Gasztaham poruszył się za jego plecami.

– Szachriar – mruknął ostrzegawczo.

Nie wiem, co to znaczyło; byłam usidlona przez spojrzenie Joscelina, niezdolna odwrócić wzroku. Przez krótką chwilę widziałam pytający wyraz jego oczu. Czy wie? – pytał mnie. Czy Imriel wie? Leciutko pokręciłam głową. Gdybym mogła, powiedziałabym: Tak,

przyjmij propozycję, wyznaj Imrielowi, kim jesteśmy, dlaczego tu przybyliśmy. Ale mogłam tylko odpowiedzieć na bezgłośnie zadane pytanie.

– Szachriar, nie pragnę niczego – odparł Joscelin z ukłonem.

Mahrkagir wzruszył ramionami, już zapominając o swoim pomysle.

– Niech tak będzie. Widzisz, Gasztahamie? – powiedział do kapłana.

– Wszystko jest dobrze.

Odetchnęłam głęboko. Wieczorne rozrywki trwały dalej. Mogłabym zapłakać nad utraconą okazją, nad przelotnym widokiem mojego dawnego ukochanego w obcej twarzy Joscelina. Nie zapłakałam. Siedział u boku Mahrkagira i patrzyłam na potworne rozpasanie, jakie wyzwoliła moja obecność. Jego dekret z wczorajszego wieczoru pozostawał w mocy; kobiety z zenany były łatwą zdobyczą. Mężczyźni brali je gdzie popadło, bezwstydni jak psy. Do najładniejszych ustawiała się kolejka. Nic dziwnego, pomyślałam, że tak mną pogardzały.

Jakiś czas później poszliśmy do sypialni Mahrkagira.

Moje serce biło jak szalone i zdawało się, że w zimnym, ciemnym pokoju jest za mało powietrza. Tym razem wiedziałam, czego się spodziewać, i wiedziałam dość, żeby się bać. Tym razem miało być gorzej,

Moje ciało już było poranione i posiniaczone. Wbrew sobie szukałam wzrokiem strasznego instrumentu, rzucając przestraszone spojrzenia na szafę. Mahrkagir obserwował mnie z uśmiechem.

– Tego się boisz, *iszta* – powiedział, biorąc narzędzie i przyciskając zimne, guzowate żelazo do mojego policzka. – Tego pragniesz.

Żelazo miało zapach śmierci i pożądania.

– Nie – szepnęłam. – Nie pragnę.

– Zapragniesz. – Odłożył instrument z powrotem do szafki.

Skupiłam się na uczuciu wielkiej ulgi, starając się ignorować mdlące ukłucie rozczarowania. Mahrkagir z uśmiechem pogładził

moje włosy.

– Zniszczenie twojego ciała nie jest trudne. Trudniej zniszczyć duszę. Zaczekam. Za jakiś czas sama o to poprosisz. Czyż nie?

– Nie – szepnęłam i tym razem wiedziałam, że kłamię.

To nie miało znaczenia; Angra Mainju rozkoszuje się kłamstwami. Czułam, jak przytłaczająca ciemność Daršangi upaja się moim mimowolnym pożądaniem, czułam rozbawienie boga, bezgraniczne i niepojęte. Mahrkagir śmiał się, coś pierwotnego i niepohamowanego wyzierało z jego czarnych, bardzo czarnych oczu. Odbył ze mną stosunek analny szybko i brutalnie, po czym odesłał do zenany, gdzie skuliłam się na łóżku w prywatnym pokoju, drżąc z niechcianej, niezaspokojonej żądz.

I przeklinając imię Kusziela.

CZTERDZIEŚCI OSIEM

Imriel de la Courcel nie chciał ze mną rozmawiać.

Próbowałam podejść do niego przy wielu okazjach. Drucylla powielala mi, że zagadnęła go w caerdicci, starając się nakłonić do spotkania ze mną. Niestety, nie śmiała wyjawic powodu. Imri odburknął niegrzecznie w zenańskim i od tej pory jej unikał.

Zobaczenie zwinnego dziesięciolatka w wielkim, zatłoczonym pomieszczeniu granoczyło z cudem. Ponurą pociechę przynosiła mi świadomość, że pomimo ciężkich przejść Imriel zachował na tyle dobrą formę, żeby uciekać. Inne dzieci miały się znacznie gorzej, a Efezjanin zatracił się w opiumowych snach.

Jeszcze nie wiedziałam, jak srodze Imriel ucierpiał ani z jakimi zamiarami względem niego nosił się Mahrkagir. Trochę nadziei czerpałam z tego, że Gasztaham nie chciał dać mu chłopca. Ale może... może oszczędzał go na najgorsze? Pewnych rzeczy mogłam się dowiedziec tylko od Imriela, a on przede mną uciekał.

Ile prób podjęłam? Co najmniej tuzin, budząc wesołość w zenanie. W końcu zawsze musiałam się poddać. Tylko my dwoje byliśmy D'Angelinami, przy czym mnie traktowano jak pariasa. Kobiety do pewnego stopnia rozumiały moją chęć nawiązania kontaktu z chłopcem Tylko do pewnego stopnia. Gdybym biegala za nim jak szalona, czyniąc z siebie widowisko, zaczęłyby się zastanawiać.

A moja pozycja już była ryzykowna.

Od czasu zabrudzenia mojego płaszcza – wyczyszczonego później mniej więcej do czysta – nie zdarzyły się dalsze incydenty, ale

musiałam się z nimi liczyć. Tutaj nie rządziła logika. Niezależnie od tego, co się działo w sali biesiadnej, uwolniłam kobiety od zabójczych względów Mahrkagira; można by sądzić, że powinny być mi wdzięczne. Nie były.

– Tak to już jest – powiedziała Drucylla. – Faworyty zawsze są pogardzane, a ty po dwakroć.

Imriel de la Courcel gardził mną najbardziej ze wszystkich.

Nie miałam o to do niego żalu, nigdy. Czy o tym wiedział, czy nie, w jego żyłach płynęła krew dwóch szlacheckich rodów wraz z całą towarzyszącą im dumą. Hodowcy koni mówią, że z krwią przechodzą przymioty. Wierzę w to. Przez długi okres samotnej niedoli duma i gniew utrzymały Imriela przy życiu. A gdy wreszcie zjawiała się rodaczka, okazała się tchórzliwą, znikczemniałą niewolnicą – Dziwką Śmierci, służalczą daniną słabych bogów, bo za taką uważano mnie w zenanie. Nie, nie miałam do niego żalu.

Próbowałam zjednać go życzliwością, a kiedy to zawiodło, zaskoczyć. Nie udało się, oczywiście. Gdyby nie Skald, zapewne wciąż bym na niego polowała.

Wracając z ubikacji, zobaczyłam, że próbuje podważyć jedną z desek, którymi zabito drzwi do pustego ogrodu.

– Imrielu – powiedziałam, tarasując nogą zejście z krótkich schodów wiodących do drzwi – chcę tylko z tobą pomówić.

Zaskoczony, podniósł się z kucek, warknął dziko i zeskoczył ze schodów. Przesuwał się bokiem pod ścianą, a jego oczy śmigły we wszystkie strony, szukał drogi ucieczki.

– Imrielu. – Szłam za nim, obserwując go czujnie. – Posłuchaj mnie...

Zbliżaliśmy się do miejsca, gdzie siedział przygnębiony Erich. Imriel chciał przeskoczyć nad nogami Skalda, ale Erich wyciągnął rękę, chwycił chłopca za tył koszuli i przytrzymał mocno. Jego spojrzenie spotkało się z moim.

– Dziękuję – mruknęłam po skaldyjsku.

Nie odpowiedział, odwracając głowę, żeby przyjrzeć się Imrielowi.

– Imrielu, jestem Fedra nó Delaunay de Montrčve – przedstawiłam się, wiedząc, że nikt inny w promieniu setek mil tego nie zrozumie.

Elua świadkiem, był szybki; widziałam to wcześniej i nie wątpiłam, że wbicie noża w udo Fadila Choumy wymagało nie lada zręczności, nie wspominając o napaści z widelcem na posługacza. Potomkowie Elui mają różne dary. Ale ja też jestem D’Angelina i choć w moich żyłach płynie krew mniej szlachetna, pochodzę z linii Elui i jego Towarzyszy. Moja matka była adeptką Dworu Nocy, a w Terre d’Ange córka dziwki jest równa księżęcemu synowi. Gdy poderwał rękę, zareagowałam, na wpół spodziewając się ataku. Był przecież synem Melisandy.

Chwyciłam go za nadgarstek, gdy rozczapierzone palce sięgały do moich oczu, i zatrzymałam rękę o parę cali od twarzy.

– Przysłała mnie twoja matka.

Przez chwilę tylko patrzył jak zwierzę w potrzasku, unieruchomione i bezbronne. Potem gniew wykrzywił jego rysy, żywy rumieniec zabarwił alabastrową skórę.

– Kłamiesz! – syknął i zaczął się szamotać. Po chwili wyrwał się mnie i Skaldowi. Splunął ze złością na podłogę pomiędzy nami. – Moja matka nie żyje!

– Żyje. – Patrzyłam, jak się cofa. Rozłożyłam puste ręce, by pokazać, że nie stanowią zagrożenia. – Imrielu, mówię prawdę. To brat Selbert cię okłamał.

Stanął jak wryty i w jednej chwili go olśniło. Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Potem Imriel ze zduszonym okrzykiem obrócił się na pięcie i skoczył niczym królik umykający z pułapki. Pozwoliłam mu odejść i uklękłam obok Skalda.

– Dziękuję – powiedziałam z powagą. – Jeśli mogę coś zrobić, jeśli jakoś mogę ci pomóc...

Erich bez słowa odwrócił się twarzą do ściany. Westchnęłam i pocałowałam go w czoło, a potem poszłam do swojej komnaty.

Później Imriel obserwował mnie z daleka, nieufny, ale wyraźnie zaintrygowany tym, co mu powiedziałam. Nie próbowałam go nachodzić. Obojętne, co przeżył – a drżałam na samą myśl o tym – był przecież tylko małym chłopcem. Ogromowi bólu i gniewu, jaki w sobie nosił, nie podołałoby niewielu dorosłych. Przyparty do ściany, zaatakuje; jeśli go nacisnę, zanim będzie gotów, to ja na tym stracę. Wystarczy jedno słowo o zdradzie. Nie chciałam ryzykować, że padnie z ust skrzywdzonego, rozgoryczonego dziecka.

Jedna dobra rzecz wynikła z tego spotkania – perski eunuch Ruszad znów był mi oddany. Jego ukochany Erich zareagował i dał znak życia. To mu wystarczyło. Przychodził do mnie później, żeby porozmawiać i nieproszony świadczył drobne przysługi.

– Drucylla powiedziała, że tu byłeś, kiedy to się stało – zagadnęłam go pewnego dnia – służąc akadyjskiemu dowódcy. Jak to było, Ruszadzie? Jak Mahrkagir zdobył władzę? Kim są *Skotophagotis*, aka-magowie? Czy naprawdę mają władzę nad życiem i śmiercią?

– Zadajesz wiele pytań, pani – mruknął, podnosząc nefrytowego psiaka. – Byłem tylko niewolnikiem, opiekującym się żoną mojego pana w zenanie. Nie wiem nic więcej nad to, co słyszałem.

– Co słyszałeś? – zapytałam.

Bunt wybuchł niejako w podziemiu, wśród dolnych warstw drudżańskiego społeczeństwa. Rodzina Hoszdara Ahzada została wymordowana, wraz z nią zginęła większość staroperskiej arystokracji. Mahrkagir, uratowany przez Tahmurasę, został wychowany w sekrecie, wśród legionów sług generała Zaggisi-Sina, akadyjskiego dowódcy Daršangi. Był dziwnym chłopcem – nie miał tęczówek i nie znosił światła, ponadto był skłonny do śmiechu w niestosownych okolicznościach. Był jednak synem Hoszdara Ahzada i gdy dorósł, zaczęły krążyć o nim różne opowieści.

Dotarły do wielu uszu. Kapłan Gasztaham odgadł znaczenie znaków i objawił, co zwiastuje odmienność Mahrkagira. Nie byłam zaskoczona gdy to usłyszałam. Mag, wówczas adept, pierwszy

podsunął myśl o odwróceniu się od Ahury Mazdy, Pana Światła, i oddawaniu czci Angrze Mainju.

– Zabił własnego ojca – szepnął Ruszad, ścisząc głos. – Tak mówią. To ofiara, uwznioślenie zwane *vahmyâcam*, oddanie się Angrze Mainju poprzez unicestwienie tego co czyste i dobre. Trzeba zabić osobę, którą najbardziej się kocha. – Zerknął nerwowo na boki i dodał: – Zjadł serce swojego ojca. I nosi u pasa kości jego palców.

– Widziałam. – Wspomniałam pas i zadrżałam z odrazy. – I w ten sposób zyskał moc?

– Tak – odparł Ruszad. Wciąż mówił szeptem. – Jak oni wszyscy. Wezwali Śmierć, i Śmierć odpowiedziała. Dewa Wahumisa zjadł serce swego brata, a dewa Dâdarszi serce swojej żony... Och, jest ich wielu. A ludzie... ludzie się rozgniewali, bo Ahura Mazda ich nie ochronił. Gdy zobaczyli, że aka-magowie mają moc, podążyli za nimi. Wybuchła potężna rebelia. Aka-magowie wynieśli na tron Mahrkagira i lud go poparł. Najpierw... – przełknął ślinę – najpierw zburzyli świątynie. Potem jeźdźcy rozjechali się po całym kraju, zajęli nadgraniczne forty, zdusili ogień.

– Zajęli forty – weszłam mu w słowo – i wycięli garnizon w Daršandze.

Ruszad pokiwał głową, rad, że nie musi tego wyjaśniać.

– Śmiał się – podjął. – Mahrkagir walczył, śmiejąc się, zbryzgany krwią od stóp do głów. Nikt nawet go nie drasnął. Aka-magowie czuwali i Tahmuras go chronił. Tahmuras ze swoją gwiazdą zaranną. Cienie pomykały po ścianach, wokół rozległy się piski i Akadyjczycy walczyli między sobą. Mój pan Zaggisi-Sin zginął, uduszony własnym językiem, który ktoś odciął i wepchnął mu do gardła. A w zenanie... – Umilkł patrząc na ścianę. – Darowali mi życie, bo jestem Persem. Czasami żałuję, że to zrobili. Wiem... Wiem, co się stało trzydzieści lat temu, kiedy generał Chus-sar-Usar pokonał siły Hoszdara Ahzada. Wtedy jeszcze nie było mnie na świecie, ale słyszałem opowieści. Mój pan... mój pan był inny. A jego pani małżonka... – Ruszad pokręcił

głową. – Cóż, oboje nie żyją, a Mahrkagir rządzi. Niedługo – dodał – myślę, że niedługo będzie rządził nie tylko Drudżanem.

Myślałam o tym, ściągając brwi.

– A tutaj kto kim rządzi, Ruszadzie? Mahrkagir aka–magami czy na odwrót?

– Tak naprawdę? – Wzruszył ramionami i objął kolana, siedząc na dywanie. – Ludzie boją się aka–magów, a żołnierze słuchają Mahrkagira. Potrzebują się wzajemnie. Kto kim rządzi? Nie umiem powiedzieć.

– Ale Mahrkagir nie posiada mocy aka–magów.

– Nie, ponieważ nie może złożyć ofiary *vahmyâcam*. Mahrkagir nie pamięta miłości, tylko śmierć. Choć wciąż szuka, nie może znaleźć nic czystego, co mógłby złożyć na ołtarzu. Nic, co należałoby do niego. Dewa Gasztaham... dewa Gasztaham mówi, że Mahrkagir jest bramą. Wola Angry Mainju przepływa przez niego, żeby objawiać się w aka–magach. – Zadrżał, wciąż obejmując kolana. – Jakże straszny się stanie, gdy zdobędzie tę moc!

Zaiste, pomyślałam, straszliwy.

I wspomniałam, jak kapłan Gasztaham się uśmiechnął, niczym kot spijający śmietankę.

Myśl o tym sprawiła, że krew zlodowaciała mi w żyłach.

Ponieważ mój pan Delaunay wyszkolił mnie do szukania odpowiedzi, ponieważ nauczył mnie wierzyć, że niezależnie od kosztów warto jest zdobywać wiedzę, postanowiłam pogłębić swoje wiadomości. Nie było to trudne. W sali biesiadnej dewa Gasztaham, aka–mag Daršangi, zawsze był w pobliżu, rozpościerając niewidzialny płaszcz ochrony nad Mahrkagirem. Szczerze mówiąc, krążył za moim ramieniem jak muchą nad trupem. Nie wiem dlaczego. To była część jego większego planu – tak zaczynałam rozumieć. Ale w grę wchodziło coś więcej, jakieś głębsze przyciąganie. Możliwe, że sprawiało mu przyjemność, gdy się kuliłam widząc go w pobliżu.

Albo może kierowało nim coś jeszcze innego, coś, czego drudżański

kapłan sam nie był w stanie pojąć. Nie wiem. To pytanie dla teologów, bo ja nie lubię się nad tym zastanawiać. Mimo wszystko zmusiłam się, żeby do niego przemówić.

W noc, którą wybrałam, kapłan siedział na lewo ode mnie, przyglądając się wieczornym rozrywkom. Były to improwizowane wyścigi „rydwanów”, zorganizowane przez dwóch rozhukanych młodych żołnierzy, którzy kazali magom – prawdziwym magom, kapłanom Ahury Mazdy – udawać konie. Z bólem w sercu patrzyłam, jak starcy gramolą się niegodnie na rękach i kolanach, z kawałkami sznura w zębach, w podkasanych brudnych szatach, obnażając chude pomarszczone golenie. Żołnierze truchtali za nimi, szarpiąc lejce, pokrzykując, smagając magów batami, gdy zwalniali.

– Ach, Arszaka. – Gasztaham uśmiechnął się, potrząsając głową, obserwując, jak najstarszy mag potyka się o własną brodę. – Starcze – Powiedział, pieszcząc długą laskę z gagatową gałką – powinieneś mieć odwagę umrzeć.

Jak gdyby usłyszał, sędziwy mag uniósł głowę i spojrzał na Gasztahama.

Kapłan wciąż się uśmiechał i gładził laskę, cienie zebrały się w oczodoła hełmu z czaszki dzika. Coś zapaliło się i zaraz potem zgasło w oczach maga. Zwiesił głowę i potruchtał dalej, bez powodzenia próbując uniknąć kopniaków żołnierza. Mahrkagir, siedzący po mojej prawej stronie, śmiał się i klaskał.

– Mag się ciebie boi, dewa Gasztahamie – powiedziałam cicho.

– I jakżeby inaczej? – *Skotophagotis* uśmiechnął się do mnie. W uśmiechu nie było szaleństwa, tylko zapowiedź potworności wijących się w mroku. – Kiedyś był mądrym człowiekiem, wielkim magiem.

– A mądrzy ludzie odczuwają strach. – Wytrzymałam jego spojrzenie, tłumiąc chęć odsunięcia się od niego. – W Menechecie zwa was Pożeraczami Ciemności i wierzą, że człowiek umrze przed zachodem słońca, jeśli wasz cień dotknie jego ciała.

– Mój cień pada na ciebie i żyjesz. Czy wierzysz?

– Nie wiem – odparłam szczerze. – W Daršandze powiadają, że akamagowie mają władzę nad życiem i śmiercią. Nie wiem, czy to prawda, dewa Gasztaham.

– Aha. – Pokiwał głową. – W takim razie zobaczysz.

Wstał i podniósł laskę, celując nad stołami prosto w drugiego maga, który z zaciśniętym w zębach sznurem gramolił się niezdarnie po kamiennej podłodze zbezczeszczonej świątyni. Nagle mag wyprężył się, poderwał na kolana, wypuścił linę z szeroko otwartych ust i zacisnął pokryte plamami starości ręce na szacie nad sercem. Żołnierz zaklął, smagając go po głowie i ramionach.

Na próżno; starzec zadrżał, oczy mu się zaszklily. Upadł na bok z cichym jękiem.

– Śmierć – rzekł z zadumą dewa Gasztaham, siadając. Nie zwracał uwagi ani na moją przerażoną minę, ani na pomruki rozdrażnionej drudzańskiej widowni, którą pozbawił rozrywki. – Stale przebywa wśród nas, nie sądzisz, Fedro nó Delaunay? W każdej chwili, na jawie czy we śnie, jesteśmy tylko krok od niej, odpierając ją każdym naszym oddechem. Może masz... – długim palcem dotknął mojego mostka – skazę w sercu, czekającą na wybuch. A może zawadzisz o rąbek spódnicy... – niemal z zawstyżeniem skręcił fałdę mojej sukni – spadniesz ze schodów i rozbijesz sobie czaszkę. Albo powali cię choroba, tak, ospa, drżączka, wyniszczająca zaraza. W zenanie kobieta kaszle; czy jest śmierć w jej płwocinie? Możliwe. Może koń się spłoszy i powlecze cię z nogą w strzemieniu, może wywróci się tratwa, a ciebie porwą prądy. Albo może... – uśmiechnął się i pieszczodliwie pogładził mnie po policzku – przyczyna skrywa się w duszy.

Zapanowałam nad drżeniem, które przeniknęło mnie do szpiku kości.

– Uczyniłeś sprzymierzeńca ze śmierci.

– Tak. – Gasztaham popatrzył na mnie jakby z żalem. – Rad byłbym, gdyby moi uczniowie choć w połowie byli tak mądrzy jak ty. Szkoda,

że jesteś kobietą. A jednak możesz spełnić swoją rolę.
Jaką, nie zapytałam. Bałam się, że już wiem.

CZTERDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Nie mówiłam o pożądaniu ani o tym, jak długo mu się opierałam.

Może takich rzeczy nie trzeba mówić. Czasami nad nim panowałam niekiedy przez długie godziny. W zenanie zdałam się na rozsądek, stale obserwując, oceniając przyływy i odpływy nienawiści, sekretne przymierza, skrywaną rozpacz. Zauważałam, gdzie się zapala i nie chce zgasnąć nikła iskra oporu. Widziałam ją w niekończących się obchodach lekarki Drucylli, w goryczy akadyjskich wojowników–eunuchów, w urządzonym na poczekaniu dworze przesądów Kaneki. Znajdywałam ją w godności głodujących Bodistanek, dopóki nie umarły; znajdywałam ją także u innych kobiet, zwłaszcza u zaciętej Chowatki. Znalazłam ją w jednym geście Skalda Ericha i w tym, że jeszcze nie zrezygnował z życia.

A przede wszystkim widziałam ją w Imrielu de la Courcel, który był skłócony ze wszystkimi i ze wszystkim, który stale skradał się na skrajach mojej egzystencji.

Kazałam rozłożyć dywan przed wejściem do mojej komnaty i tam siedziałam albo klęczałam, obserwując zenanę. Moje zachowanie budziło komentarze, lecz puszczałam je mimo ucha. Nie mogłam sobie pozwolić na chowanie się w czterech ścianach i życie w niewiedzy. Od czasu do czasu widziałam, jak Imriel wraca do wyjścia do ogrodu, ze smutkiem spoglądając na deski broniące wyjścia. Jak jego matka, nienawidził swojej klatki i tęsknił za widokiem nieba. Kiedy naczelnny eunuch Nariman patrzył, akadyjscy służący odciągali go stamtąd. Imriel walczył z nimi zębami i pazurami; to właśnie

jednego z nich dźgnął widelcem. Pomimo to, jak widziałam, okazywali mu pewne pobłażanie. Być może wynikało ono z planów Mahrkagira, choć podejrzewam, że raczej doceniali nieugięty charakter chłopca.

Kiedyś któryś z nich przyniósł Imriela na mój dywan, zarzuciwszy go sobie uprzednio na ramię, plującego i wierzgającego. Był to Uru-Azag, który pierwszej nocy prowadził małego Menechetańczyka.

– *Khannat*, Uru-Azag – powiedziałam do niego, kłaniając się na siedząco. – Dziękuję.

Dostrzegłam błysk w ciemnych oczach Akadyjczyka.

– *Yamodan* – odparł krótko, potrząsając ręką, w którą ugryzł go Imriel. – Nie ma za co.

Imriel kucnął, jedną ręką dotykając podłogi i patrząc na mnie nieufnie.

– Uru-Azag nie jest naszym wrogiem – powiedziałam do niego po d’angelińsku. – Źle czynisz, walcząc z nim.

– Dziwka Śmierci! – Wyszczrzył zęby i warknął, splątane czarne włosy opadły mu na czoło. – Matka Kłamstw! Wiem, kim są moi wrogowie!

– Czyżby? Ja też. Fadil Chouma był twoim wrogiem, prawda? Nie żyje, wiesz? Dźgnąłeś go w Iskandrii, dźgnąłeś go w udo kuchennym nożem. Wdało się zakażenie i umarł. Znam twoich wrogów lepiej niż ty, Imrielu.

Trwoga rozszerzyła ciemnoniebieskie oczy i usta chłopca poruszyły się bezgłośnie. Nie znajdując odpowiednich słów, tylko splunął na kafelki i uciekł, w biegu przewracając fajkę wodną Efezjanki. Popłynęły za nim bełkodiwe przekleństwa, na które nie zwrócił uwagi. Znalazł schronienie na wysepce Hellenek, które z radością głąskały i przytulały dziecko, nie mając swoich. Jego oczy, oczy jego matki, wciąż na mnie patrzyły, oceniając moją reakcję.

To były dobre chwile w zenanie.

W te złe... byłam świadoma narastania żądz. Pamiętałam

pulsującą ciemną krew, szum mosiężnych skrzydeł Kusziela i skrzące się światło, gdy zimne żelazne guzki darły moje ciało. Chciałam tego znowu, Eluo, Pragnęłam! Gdy byłam słaba, gdy pozwalałam sobie na rozpamiętywanie, widziałam przerażoną twarz biednego maga, zastygłą w grymasie śmierci, i wiedziałam, że wina za przelaną krew ciąży na mojej duszy. Przeszłam *thetalos*. Wiedziałam. Widziałam też Joscelina i jego upiorny uśmiech, gdy bawił się w kotka i myszkę z Tatarem. I wtedy wydawało mi się, że nic nie odkupi mojej winy, że jedyne rozgrzeszenie mogę znaleźć w zimnej, wilgotnej komnacie Mahrkagira, gdy lodowate palce wbijają się moje boki, a natarte olejem rzemienie będą poskrzypywać, podtrzymując wnikające we mnie zabójcze żelazo.

Mój tytuł, moje imię, moja wola... wszystko zostanie złożone na ołtarzu destrukcji.

Tylko wtedy się skończy.

Jakiś czas później zaczęłam prosić. Nie, błęd. Jakiś czas później błagałam. Nie udaję, że jestem kimś lepszym, niż jestem. Zdarzało się, że upadałam na duchu i widziałam tylko ciemność, bezbrzeżną rozpacz. „Musisz uczynić z siebie naczynie, w którym nie będzie ciebie”, powiedział Eleazar ben Enoch, i tego właśnie pragnęłam; nie z idealnej miłości, lecz z idealnej nienawiści do samej siebie. Oczywiście, Mahrkagir mnie poduszczał, szepcząc do ucha, gdy używał zardzewiałych narzędzi do zadawania bólu, gdy korzystał z jakiegoś innego otworu w moim ciele. „Czy nie tego pragniesz?”. Wiedział. W szaleństwie jest przebiegłość. Szepcząc do mojego ucha, sam słuchał podszeptów Angry Mainju, i ciemny wiatr przenikał nas oboje.

Błagałam.

I Mahrkagir ustąpił.

Ale co do jednego pomyliłam się. Kres nie nastąpił. Przez jakiś czas odczuwałam spokój, tak, przez czas wyznaczony przez wytrzymałość mojego ciała – i jego. Szalony czy nie, Mahrkagir był śmiertelnikiem.

Gdy skończył, ja wciąż żyłam, wciąż będąc Fedrą. Leżałam wtedy skulona, drżąca z bólu i ekstazy, a on gładził moje mokre od potu włosy, oblepiające czoło jak macki, i szeptał czułe słówka po staropersku. Zwał mnie *iszta*, umiłowana, z uśmiechem patrząc, jak wstrząsają mną dreszcze, i *srira*, piękna.

Był śmiertelnikiem, zwyczajnym, zaspokojonym mężczyzną.

„Mahrkagir nie pamięta miłości, tylko śmierć... Jakże będzie straszny, gdy zyska taką moc!”.

Pamiętałam o słowach Ruszada i uśmiechu Gasztahama, gdy Mahrkagir z Drudżanu pieścił moje drżące ciało, piętnując je swoim własnym. Każde włókno mojej porażonej przez Strzałę istoty reagowało na jego lodowaty dotyk. Tonęłam w jego czarnych, jakże czarnych oczach w których lśniło szaleństwo i duma, a potem przeklinałam nieuchronny powrót wyszkolonej przez Delaunaya świadomości, świadomości własnego ja.

Przeklinałam, ponieważ znałam objawy na tyle dobrze, że nie mogłam nie rozpoznać ich u Mahrkagira. Widziałam tkliwie uśmiechnięte i rozjaśnione oczy, które oznajmiały światu zaranie tego, czego dotąd nie znał – świętej tajemnicy będącej prowincją Błogosławionego Elui.

Miłości.

Całe szczęście, że sam nie miał o tym pojęcia. Zrozumiałam to w noc, kiedy próbował poranić moją twarz, przeciągając po policzku czubkiem zardzewiałego szydła.

– *Iszta* – szepnął, patrząc, jak drżę i zmuszam się do zachowania spokoju. Szpic szydła sunął po mojej skórze. – Takie piękno! Zniszczenie go rzeczywiście byłoby *duzhvarshta*.

Złe uczynki. Zamknęłam oczy, nie mogąc tego znieść. Gorące, palące łzy spływały spod moich powiek. Czułam, jak szydło rysuje zardzewiałe wzory na mojej twarzy, jak czubek kłuje mnie w policzek. Eluo! Czy to też muszę utracić?

Gdy szydło zagrzechotało w kącie, nie byłam pewna, co się stało.

Uniosłam powieki i zobaczyłam jego twarz, i błysk zdumienia w szeroko otwartych czarnych oczach.

– Nie mogłem! – zawołał, patrząc na swoje puste ręce. Śmiech wyrwał się z jego piersi, gromki i swobodny. – Czy wiesz, *iszta*?. Nie mogłem! Dziwne.

Zarzuciłam mu ręce na szyję i obsypałam pocałunkami jego twarz. Pod pewnymi względami były to chwile najgorsze ze wszystkich.

W zenanie, gdy nie miałam innego zajęcia, kazałam przynieść dywan, siadałam w pobliżu tapczanów Dżebenek i słuchałam ich rozmów, szybko przyswajając słowa. Kaneka i jej towarzyszki patrzyły z irytacją, ale nie śmiały mnie odpędzić. Imriel jak zwykle krążył w oddaleniu. Bałam się dnia, kiedy Mahrkagir wezwie go do sali biesiadnej. Drucylla powiedziała mi, że jesienią chłopiec był stałym faworytem; Mahrkagir wciąż trzymał go przy sobie i nie pozwalał nikomu tknąć.

– Czy on... – musiałam zamknąć oczy – go posiadał?

Drucylla milczała przez chwilę.

– Nie wiem – odparła w końcu. – Chyba nie. Ale Imri nie pozwolił, żebym go zbadała. Może teraz. Pewnego dnia Gasztaham, kapłan, przyszedł do zenany. Rozmawiał z Narimanem. Od tej pory Imri nie był wzywany.

– Wiesz, dlaczego?

Pokręciła głową.

– Mahrkagir oszczędza go do czegoś... wyjątkowego. Odkąd przybyłaś... Fedro, nie jestem pewna. Nigdy nie faworyzował nikogo tak bardzo, jak ciebie.

– Wiem – mruknęłam. – Eluo, dopomóż, wiem.

Jej spojrzenie wyrażało litość.

Powiedziała mi wtedy o Jagunie, wodzu Kereitów, najdzikszego ze wszystkich tatarskich plemion. Po jego powrocie w czasie wiosennych odwilży Mahrkagir wyłożył swoje plany podboju. A Jagun, mający

upodobanie do chłopców, zapalał niepohamowaną żądzą do Imriela.

– Złożył ofertę – wyznała mi z niechęcią, – Mahrkagir odmówił, ale...

Chłopiec niezrównanej urody może być wart przymierza z całym plemieniem Tatarów.

– Może więc teraz oszczędza go dla Jaguna? – zapytałam.

Po chwili wahania Drucylla pokiwała głową.

– Możliwe. Gdybyś się nie zjawiała, cóż, mogło być inaczej. Przez jakiś czas, gdy wzywano go często, myślałam, że Imri chce umrzeć. Teraz... – Skrzywiła usta. – Teraz żyje, przepełniony buntem. Zniszczenie jego nadziei będzie więc tym słodsze. Mahrkagir... – dodała, zerkając na skaldyjskiego młodzieńca – Mahrkagira to bawi. Dobrze zrobisz, jeśli będziesz o tym pamiętać.

Jak gdybym mogła zapomnieć.

Kłęczałam na dywanie, rozpamiętując rozmowę z Drucyllą, a nade mną przepływały dżebeńskie słowa, które powtarzałam mechanicznie. Czułam się chora, chora na duszy. Ach, Eluo! Wezbrała we mnie nadzieja, gdy usłyszałam, że Imriel być może nie ucierpiał tego, co ja – ale czyż nie byłoby gorzką ironią, gdybym zajęła jego miejsce tylko po to, by skazać go na życie tatarskiego katamity? Wiosna. Jaka była teraz pora roku? Wciąż zima, pomyślałam, ale nie miałam pewności. Dni, noce... w zenanie czas nie miał znaczenia. Drucylla mówiła, że pamięta jesień, lecz nie umiała określić daty. Czas, długi czas. Mierzyła jego upływ w oparciu o gojenie się kikutów. Był to kalendarz równie dobry, jak każdy inny, odpowiedni do Daršangi. Patrzyłam, jak Imriel niespokojnie skrada się po zenanie przyciągany przez zabite deskami wyjścia do ogrodu, zerkając przez ramię na Narimana. W ogrodzie, choć pustym, można poznać porę roku.

– Dlaczego? – Kaneka stanęła przede mną, podparta pod boki, rozdrażniona.

Pogrążona w głębokiej zadumie nie usłyszałam, jak wstaje z tapczanu. Przełknęłam ślinę zakłopotana, bo zdałam sobie sprawę, że podniosłam głos, powtarzając ich rozmowę.

– *Yaquita, fedain* – powiedziałam uprzejmie. – Nie chciałam wam przeszkadzać.

– Amon–Re! – wymówiła imię boga jak przekleństwo.

To menechetański bóg, pomyślałam. Dziwne, że Dzebenowie przejęli obyczaje i wiarę porzucone przez Menechetańczyków. Kaneka patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Nie rozumiesz? Dlaczego się upierasz, tutaj? Dzebeński! Dlaczego chcesz nauczyć się dzebeńskiego?

Dzebenki i Nubijki patrzyły na mnie, podśmiewając się i poszeptując; nie zwracałam na nie uwagi. Kaneka nie żartowała. Mój upór wyprowadzał ją z równowagi.

– *Fedabin* – powtórzyłam, patrząc na nią. Czepiając się nadziei zawartej we własnych słowach, odparłam po zenańsku: – Chcę nauczyć się dzebeńskiego, żeby odszukać potomków Makedy i Meleka al’Hakima.

– Co takiego? – W jej tonie brzmiało niedowierzenie.

Unosząc podbródek, pomyślałam o Hiacyncie.

– Jest pewien człowiek, *fedabin*, na którym ciąży straszliwa klątwa. Jest moim przyjacielem, moim najdawniejszym przyjacielem.

Opowiedziałam jej wtedy w dzebeńskim i zenańskim, szukając słów, dzieje Hiacynta i Pana Cieśniny, historię klątwy Rahaba. Zirytowane spojrzenie Kaneki stopniowo łagodniało, aż w końcu usiadła naprzeciwko mnie i słuchała z rozbawioną miną.

Wiele opuściłam – głównie o skaldyjskiej nawale i mojej w niej roli. To nie miało znaczenia. Opowiadałam historię Hiacynta, ona była najważniejsza. Odegrałam w niej znikomą rolę: dawna przyjaciółka, niegdysiejsza kochanka na przekór rozsądkowi czepiająca się nadziei, wierząca w klucz znaleziony w dzebeńskim zwoju.

Pomięłam także udział Melisandy. Ona teraz stanowiła część

historii Imriela. Jeśli przeżyjemy, on jej wysłucha. Nie tutaj, nie w całości. Tu tylko tyle, ile może znieść mały chłopiec.

Kiedy skończyłam, Kaneka wybuchła śmiechem.

Nie takim jak wcześniej, nie chrapliwym; śmiała się donośnie i bez opamiętania, i ten śmiech był prawdziwy. Zgięła się wpół, łyzy niczym krople brązu lśniły na jej ciemnych policzkach.

– Ach, mała! Twarz w wodzie i wir, który mówi! I człowiek z burzą w oczach, starzejący się, lecz nie umierający. Doskonała opowieść, naprawdę.

– Prawdziwa – odparłam tonem urażonej godności.

– Może i tak. – Kaneka otarła załzawione oczy. – Może i tak. Szukasz więc Melehakimów? – Zesztywniałam, słysząc to słowo, co znów pobudziło ją do śmiechu. – Moja babka byłaby tobą zachwycona. Niewiarygodne, opowiadasz bajki równie dobrze jak ona.

– Znasz ich. Słyszałaś o potomkach królowej Saby.

– Jakżeby nie? – zapytała rzeczowo. – Moja babka jest skarbnicą opowieści w wiosce Dabehe. Mała, Dziwko Śmierci, skoro taki jest twój cel, nie mam nic przeciwko. Słuchaj do woli i ucz się dżebeńskiego. Nie będę ci przeszkadzać.

– Dziękuję – powiedziałam, chyląc głowę.

Kaneka popatrzyła na mnie dziwnie, muskając palcami woreczek, w którym nosiła bursztynowe kości.

– Wierzysz w tę historię i w klątwę.

– Tak, *fedabin*. – „Nie okazujcie słabości”, poradziła nam Audyna Davul, mówiąc o Dzebenach. „Bądźcie uprzejmi i nigdy nie zdradzajcie strachu”. – Jeśli ty nie wierzysz... – ruchem głowy wskazałam zenanę – zapytaj Aragonki i Kartaginki, czy to prawda, że po raz pierwszy od ośmiuset lat Cieśnina jest otwarta, umożliwiając żeglugę do Alby. Mogą nie znać przyczyn, ale wiedzą, że tak jest. Ja tam byłam.

– Skoro tam byłaś, a to, czego szukasz, znajduje się w Dzebe–Barkal

dlaczego jesteś tutaj, mała?

Jej ton wyraźnie zdradzał, że uważa, że nie znajdzie odpowiedzi na pytanie. Patrzyłam na nią bez zmruczenia oka. To było niełatwe, budziła bowiem respekt i rządziła w zenanie.

– To ty twierdzisz, że bogowie odpowiadają, gdy do nich przemawiasz. Zapytaj ich, *fedabin* Kaneka. Jeśli odpowiedzą, obie będziemy wiedziały.

– Ach. – Surowy uśmiech wykrzywił jej wargi. – A co dasz mi w zamian?

– Nic. – Pokręciłam głową. – Ty zadałaś pytanie, nie ja.

Zerknęła przez ramię, dopiero teraz dostrzegając niedowierzanie w oczach swoich rodaczek i większości kobiet w zenanie. Nasza rozmowa trwała zbyt długo, o wiele za długo, żeby chodziło o skarcenie mnie za podsłuchiwanie, a przecież tego się spodziewały. Co więcej, Kaneka siedziała na moim dywanie, słuchała mojej opowieści i, o zgrozo, śmiała się serdecznie. Zobaczyłam, jak pręży ramiona i rozdyma nozdrza.

– Nie muszę pytać! Wszyscy wiedzą. Bogowie Terre d'Ange są słabi i tchórzliwi, zrodzeni na szarym końcu. Podczas gdy starsi bogowie próbują dać odpór Panu Śmierci, lękliwi słudzy Terre d'Ange przysyłają daninę!

Z tapczanów Dżebenek dobiegły krzyki i oklaski. Kaneka wstała i popatrzyła na mnie gniewnie, dumna w swoim wyświechtanym majestacie. Klęcząc z rękami złożonymi na kolanach, uniosłam brwi.

– Tak mówi Mahrkagir, *fedabin*. Czy przyjmujesz jego słowa za prawdę?

Jej gniew zapłonął i przygasł. Kaneka westchnęła, zrobiła smutną minę.

– Dziwko Śmierci – mruknęła – powiedziałaś prawdę, kiedy się poznałyśmy. Niezależnie od innych posiadanych cech, mała, twoi bogowie są okrutni.

Nie mogłam temu zaprzeczyć.

PIĘĆDZIESIĄT

Zaczęło się, gdy Skald Erich zerwał deski z drzwi do ogrodu. Nie wszystkie, tylko dwie najniższe, robiąc otwór, przez który mogła się przecisnąć sprawna dorosła osoba. Było to w dzień, gdy główny eunuch Nariman zniknął na kilka godzin, aby ze skarbnikiem Daršangi mówić koszt utrzymania zenany. Dostawaliśmy niewiele, ale pozostawała sprawa wyżywienia i służby, nosiwodów i posługaczy opróżniających nocniki w ubikacji.

Imriel jak zwykle krążył przy drzwiach niszy, odłupując drzazgi z grubych desek. Widziałam, jak akadyjski eunuch Uru–Azag przygląda mi się obojętnie.

– Pozdrowienia, Uru–Azag – zagadnęłam. – Powiedz mi, co się stanie, jeśli chłopcu uda się teraz, gdy nie ma Narimana?

Odwrócił w moją stronę beznamiętną twarz.

– Nie uda mu się, pani.

– Ale gdyby się udało?

Akadyjczyk wzruszył ramionami i spojrzał w bok.

– Mury ogrodu są wysokie i nie ma w nich żadnej furtki. Okna Daršangi są przysłonięte okiennicami. Nikt nie zobaczy.

– Więc nie zostanie ukarany.

Oczy Uru–Azaga rozbłysły. Ze wszystkich osób w zenanie Akadyjczycy pogardzali mną najmniej, bardziej gardząc sobą. Większość ich towarzyszy, żołnierzy Zaggisi–Sina, zginęła – jak należy, w bitwie, choć w szponach szaleństwa, którego nie rozumieli. Ci, którzy zostali, wybrali życie i zapłacili za to swoją męskością.

– Dla widoku nieba? – zapytał. – Nie. Nie zostanie ukarany, gdy nie ma Narimana.

– *Kahnnat* – powiedziałam, pochylając głowę. – Dziękuję. – I poszłam do Ericha.

Zwykle mówiłam do niego po skaldyjsku, przymilając się. Tym razem stanęłam nad nim w milczeniu. Przez długi czas nie zwracał na mnie uwagi. Czekałam, aż się poruszy i skieruje na mnie spojrzenie niebieskoszarych oczu, mrugając za kurtyną jasnych włosów. Imriel kucnął we wnęce i patrzył, czujny jak zwierzę.

– Pomóż mu – poprosiłam.

Nie sądziłam, że posłucha... a potem usłyszałam dźwięk. W drugim końcu zenany Ruszad dławił krzyk, wpychając knykie do ust, gdy Skald wstał z podłogi. Poruszał się szybko. Jak długo – tygodnie? miesiące? – wstawał tylko po to, żeby skorzystać z ubikacji, i to nie częściej niż raz dziennie. Godziny bezruchu usztywniły jego stawy. Mimo wszystko był młody i silny.

W zenanie zapadła cisza, gdy wchodził po krótkich schodach. Wstrzymałam oddech. Wystarczy jedno słowo, a będzie po wszystkim. Ktoś nas zdradzi, ktoś sprowadzi Narimana. Potem zostaniemy ukarani, wszyscy – Erich, Imriel i ja, może też Akadyjczycy.

Nikt się nie odezwał. Czułam na skórze ciarki wywołane cudzą ciekawością, zainteresowaniem, życiem.

Po raz pierwszy coś przypomniało mi o złotej obecności Błogosławionego Elui.

Żelazne gwoździe zazgrzytały, gdy Erich, prężąc mięśnie, pociągnął za deskę. Najniższa obluzowała się i z trzaskiem spadła na wyłożony kafelkami stopień. Tchnienie zimnego powietrza wpadło do sali, świeże i czyste, niosące zapach morza. Zdusiłam chęć wybuchnięcia śmiechem... lub płaczem. Erich wsparł czoło na szorstkich deskach, odpoczywając, chwytając wielkie hausty powietrza. Imriel, rozplaszczony pod ścianą, z niedowierzaniem wpatrywał się w otwór.

Druga deska, lepiej przybita, wymagała więcej zachodu. Erich obluzował jeden koniec, drugi jednak trzymał mocno, wpasowany w futrynę.

Nie mógł sobie z nim poradzić. Milczący jak zawsze, tylko pokręcił głową.

– Szamasz! – rozległo się za moimi plecami przekleństwo. Odwróciłam się i zobaczyłam, że Uru–Azag wyciąga zza pasa zakrzywiony sztylet, jakie nosili wszyscy Akadyjczycy. – Pani, daj mi to – powiedział, podsuwając mi broń.

Erich wsunął cienkie ostrze pod deskę, nacisnął na rękojeść. Drewno zatrzeszczało i gwoździe ustąpiły – tylko na cal, ale to wystarczyło, żeby włożyć palce pod deskę. Siła zrobiła resztę. Powstał otwór wystarczająco duży, żeby zmieścił się w nim człowiek.

– Powiedz mu, żeby powiększył dziury po gwoździach – poradziła któraś kobieta w zenańskim. Odwróciłam się. Kartaginka i kilka innych patrzyły z zaciekawieniem. – Mój ojciec był cieślą. Jeśli poszerzy otworki, będzie można założyć deski z powrotem i Nariman na niczym się nie pozna. Pokiwałam głową, przekładając jej instrukcje na skaldyjski. Erich wsuwał czubek sztyletu w otworki i powiększał je po kolei. Pomimo zimnego powietrza pot rosił mu czoło.

– W ten sposób – powiedziała Kartaginka, podchodząc, żeby mu pomóc. Razem wpasowali górną deskę na miejsce. Dolna okazała się bardziej uparta, dwa gwoździe się skrzywiły. – Tutaj – powiedziała, pokazując i naśladując uderzenia młotem. – Gwoździe muszą być proste.

Dwie Efezjanki ostrożnie wzięły deskę, położyły ją na podłodze i zaczęły pantofelkami prostować zgięte gwoździe. W tym czasie prawie połowa zenany zebrała się, żeby patrzeć. Chowatka pokrzykiwała, próbując opisać lepszą metodę. Jeden z akadyjskich eunuchów ukląkł przy nich, wyjął sztylet i tłukł w gwoździe rękojeścią.

– Ruszadzie – mruknęłam, przemykając pomiędzy nimi. – Ktoś

powinien pilnować, czy nie wraca Nariman.

– To już załatwione, pani. – Wskazał w stronę ażurowych drzwi, gdzie dwie Menechetanki zerkały zza futryny.

Stłumiony okrzyk radości dobiegł od strony stłoczonej grupy. Gwoździe zostały wyprostowane, deska wpasowana na miejsce. Dla przypadkowego obserwatora drzwi wyglądały tak samo jak zawsze. Erich bez trudu zdjął deski. Oparł je o mur we wnęce i wrócił na swoje miejsce, siadając plecami do ściany.

Wszyscy inni stali i patrzyli jak zaczarowani na wysoki na dwie stopy otwór, przez który wpadało zimne powietrze i szare światło.

Imriel, napięty i drżący, pochwycił moje spojrzenie. Jego oczy miały błagalny wyraz.

– Możesz. – Pokiwałam głową.

Błyskawicznie przeczołgał się przez otwór. Nikt inny nie śmiał pójść za nim, wszyscy byli przerażeni śmiałością naszego czynu. Stałam niezdecydowana, bo pragnęłam wyjść, a zarazem bałam się ruszyć. Konspiracja zrodziła przymierze, lecz było ono niepewne. Jeśli sobie przypomnę, jak mną pogardzali, przymierze umrze szybką śmiercią.

– Pani, teraz ty – powiedział do mnie Uru–Azag. Lepiej, że to wyszło od niego. Nie miałam wyboru. Przeszłam powoli przez tłum i wspięłam się na schody, zbierając spódnice. Musiałam nisko przykucnąć, żeby wygramolić się na zewnątrz, a szorstkie deski chwyciły mnie za włosy.

Potem nagle znalazłam się po drugiej stronie, czując pod kolanami zmarzniętą ziemię, a nad głową otwartą przestrzeń. Podniosłam się zasapana, napełniając płuca palącym zimnym powietrzem. Eluo, niebo! Było i zimowe i szare, i absolutnie wspaniałe. W najdalszym narożniku ogrodu stał Imriel, obejmując się rękami, szcękając zębami, z wyrazem rozkoszy na twarzy.

Kilka kobiet wyszło za nami. Przyszła córka kartagińskiego stolarza i dwie Chowatki, i Akadyjka z wysoko zarysowanymi brwiami, ale

żaden z eunuchów. Nie miałam do nich pretensji. Zrobili tyle, ile mogli, a nawet więcej. Jedna z Efezjanek wysunęła głowę przez otwór, odetchnęła głęboko i zadrżała. Było okropnie zimno. Choć raz o to nie dbałam, nie przeszkadzało mi również, że ogród jest zupełnie pusty. Miał może ze trzydzieści kroków wzdłuż i wszerz, spłachetek martwej ziemi i kruszących się ścieżek wokół suchej fontanny, otoczony kamiennymi murami trzy razy wyższymi od rosnącego mężczyzny. Zobaczyłam łzy w oczach córki stolarza, gdy szła, potykając się o zmarznięte grudy, patrząc w niebo.

W Daršandze martwy ogród był rajem.

– Zapach – powiedziała Chowatka, wciągając powietrze przez nos. – Za zimnem nadciąga wiosna.

Przyszło mi na myśl ostrzeżenie Drucylli, ale nawet to nie przygasiło uniesienia. O wiele za szybko ktoś gwizdnął – zapewne Uru–Azag – i ten dźwięk przepełnił nas grozą, zmuszając do spieszego powrotu do zenany. Weszłam ostatnia. Nikt mi nie przeszkodził. Przez chwilę bałam się, że założą deski i mnie zostawią – ale nie, w środku był Ruszad. Z oczami rozszerzonymi ze strachu wyciągnął rękę, żeby mi pomóc. Uru–Azag wepchnął deski na miejsce.

Tego wieczoru, zanim zostałam wezwana do Mahrgakira, Imriel wszedł do mojego pokoju.

Zatrzymał się tuż za zasłoną z koralików, niepewnie marszcząc czoło w świetle lampki oliwnej. Siedziałam ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, czekając. W przeciwieństwie do Joscelina nie umiałam postępować z dziećmi, ale to dziecko rozumiałam.

– Dlaczego powiedziałaś, że przysłała cię moja matka? – zapytał.

– Bo taka jest prawda. Prosiła mnie, żebym cię odnalazła.

– Nie. – Imriel pokręcił głową, podejrzliwie mierzając mnie wzrokiem – Moja matka nie żyje, mój ojciec również. Zmarli na febrę na pokładzie serenissimskiego statku. Przed śmiercią poprosili brata Selberta, żeby się mną opiekował. Wiem, tak mi powiedział. Czemu brat Selbert miałby kłamać? Skąd go znasz?

– Twój ojciec nie żyje, taka jest prawda. Ale kiedy miałeś osiem lat – siedziałam, ignorując jego pytanie – brat Selbert zabrał cię do La Serenissimy. Tam spotkałeś się z pewną panią.

– Nie – Trwoga przemknęła po jego twarzy, usta zacisnęły się w twardą linię – Wcale nie.

Wspomniałam, co mu powiedziano – że pani znajdzie się w niebezpieczeństwie, jeśli wyjawi, że złożył jej wizytę.

– Po części jest to prawdą, Imrielu, a kłamstwo wymyślono po to, żeby chronić ciebie. Brat Selbert wierzył, że postępuje w zgodzie z przykazaniem Błogosławionego Elui.

– Elua! – To słowo w jego ustach zabrzmiało jak pełne udręki przekleństwo. – Elua jest kłamcą!

Na to nie miałam odpowiedzi, przynajmniej takiej, którą mogłabym przekazać dziesięcioletniemu chłopcu. Być może kapłan lub kapłanka mogliby to zrobić, nie wiem. Być może najpierw musieliby przeżyć Daršangę.

– Ona jest twoją matką, Imrielu – powiedziałam. – Pani Melisanda.

– Dlaczego?

Jedno słowo, jedno zapytanie. To pytanie dzieci zadają najczęściej, jak słyszałam. W ustach Imriela de la Courcel było pytaniem nadzwyczaj wielkiej wagi, a ja nie mogłam wyjaśnić wszystkiego, czego dotyczyło. Nie znałam woli bogów. Jeśli Błogosławiony Elua chciał, żeby Imriel znalazł się tutaj, to ja nie znałam powodu. Znałam jednak pragnienia Melisandy Szachrizaj i o niej mogłam mówić. Długo się zastanawiałam, jak odpowiedzieć na takie pytanie bez ujawniania całej grozy sytuacji.

– Twoja matka kiedyś zrobiła głupstwo, Imri – powiedziałam łagodnie. – Dlatego nie może opuścić La Serenissimy i dlatego ma wrogów, ponieważ cię kocha, nie chce, żeby jej wrogowie stali się twoimi wrogami. Dlatego wraz z bratem Selbertem chroniła cię kłamstwem.

Spojrzał w bok i zobaczyłam błysk w jego ciemnoniebieskich

oczach, ale zacisnął szczęki i łzy nie popłynęły. Wspomniałam dziewczynkę Beryl z sanktuarium Elui, nad wiek rozgarniętą, mówiącą o Imrim: „Boi się, że ktoś zobaczy, jak płacze”. Serce mi pękało, gdy patrzyłam na tego chłopca.

– Nie wierzę ci – wysyczał przez zaciśnięte zęby. – Nie wierzę. Jeśli nawet to prawda, dlaczego moja matka miałaby przysłać ciebie? – W głosie brzmiała nienawiść. – Dziwkę Śmierci!

– Możliwe, że to dziwne – odparłam spokojnie. – Ale mimo wszystko cię odnalazłam.

Potem przyszedł po mnie Nariman i tego wieczoru więcej nie rozmawiałam z Imrielem.

PIĘĆDZIESIĄT JEDEN

Skotophagotis wiedział.

Nie byłam pewna aż do nocy, kiedy namówił Mahrkagira, żeby podzielił się mną ze swoimi ludźmi. Jeśli wcześniej nie dałam tego do zrozumienia, teraz powiem wprost: Gasztaham był sprytny. Mahrkagir czasami go słuchał, a czasami nie. Kapłan wiedział, kiedy może narzucić swoją wolę władcy Drudżanu, i umiejętnie nim manipulował.

W jednym z takich przypadków przekonał Mahrkagira, by oddał mnie swoim ludziom.

Nie słyszałam, co powiedział, nie wszystko. Szeptał cicho do ucha swojego pana. Podchwyciłam kilka słów, dość, żeby się zorientować. Siedziałam wyniosła, dumna, ufna we względy, jakimi darzy mnie Mahrkagir; rządziłam zenaną jak królowa, grożąc niezadowoleniem mojego pana każdemu, kto mi się sprzeciwi.

To było kłamstwo, oczywiście. W zenanie nic się nie zmieniło z wyjątkiem tego, że niektórzy spoglądali na mnie nie z jawną pogardą, ale z ostrożnym sceptycyzmem. Duch konspiracji, który otworzył drzwi do ogrodu, nie umarł, lecz pogrążył się w stanie uśpienia i czekał. A ja nie miałam planu, jak zbudzić go i wykorzystać.

– Nie faworyta, panie, lecz zdobycz rzucona wilkom Angry Mainju na życzenie Mahrkagira – mówił kapłan gładko. – Strzaskanie tej puste arogancji rzeczywiście będzie *duzhvarshta*.

Podniecony winem i znudzony, Mahrkagir z szalonym błyski w oczach wyraził zgodę.

– Dzisiaj! – krzyknął, tłukąc kubkiem w stół. – Niech zatem będzie to dzisiaj! – Poderwał mnie z miejsca i podniósł moją rękę nad głowę, jakby pokazywał trofeum. Chciałam zaprotestować, lecz on już przemawiał do zebranych: – To będzie dzisiejsza uciecha! Niech wilki Angy Mainju walczą pomiędzy sobą, a który zwycięży, ten będzie miał panią Fedrę!

Z rykiem zerwali się od stołów, nieokrziesani, brudni wojownicy w byle jakich zbrojach. Sami Drudżanie, ani jednego Tatara. Przez chwilę widziałam głęboki wstrząs na twarzy Joscelina.

– Panie, nie – szepnęłam, gdy Mahrkagir włókł mnie przejściem pomiędzy stołami i wpychał w środek powstającego zamętu. – Nie...

Rozpętało się piekło. Drudżański wojownik chwycił mnie w ramiona i obściskował ze śmiechem, gdy drugi rękojeścią sztyletu mocno uderzył go w głowę. Ktoś inny złapał mnie od tyłu, nie wiem, co się z nim stało. Kątem oka dostrzegłam Joscelina unoszonego przez wir Drudżanów. Ktoś wspiął się na stół i stamtąd skoczył mu na plecy, nie mógł więc dobyć miecza. Przypuszczam, że tej nocy użyłby go bez skrpułów. Chwilę później stos skór, stali i kończyn podrygiwał na podłodze, świadcząc o jego zmaganiach. Inni napaarli na mnie i czułam się jak Imriel, walcząc zębami i pazurami, próbując pohamować ich zapędy, gdy mnie popychali, obłapiali i wyrywali jeden drugiemu.

Na próżno. Drudżanin oczyścił pałaszem przestrzeń wokół siebie, potem rzucił broń, chwycił mnie i przechylił do tyłu nad stołem, wpychając rękę pod mój podbródek.

– Zrób to, Kiszpa! – zawołał ktoś ze śmiechem. – Będziemy pilnować twoich tyłów, jeśli dasz nam pohulać, kiedy skończysz! – Krawędź stołu wbijała się w moje pośladki, szyję miałam naprężoną. Ktoś przytrzymał moje ręce. Łzy piekły mnie w oczy, gdy Kiszpa wciskał się pomiędzy moje uda, gmerając pod spódnicą.

Potem rozległ się krzyk i ktoś inny wdarł się w tłum. Dłoń zniknęła spod mojej brody, ręce znów miałam wolne. Wyprostowałam się i w

panującym zamęcie zobaczyłam Tahmuras, kolczasta gwiazda zaranna rozmywała się w powietrzu, gdy wprawnie kreślił nią mordercze łuki. Mężczyźni rozbiegli się z wrzaskiem. Jeden już leżał z rozbitym, krwawiącym bokiem głowy. Za Tahmurasem stał Mahrkagir, nieuzbrojony, spokojny pośrodku chaosu, z czujnymi szalonymi oczami. Nikt nie tknął go palcem, nikt nie śmiał tego uczynić. Po pierwsze, był tam Tahmuras, a parę kroków dalej Gasztaham, gładzący kapłańską laskę, skupiający wokół siebie ciemność. Zdawało się, że żadnego z nich nie obchodzi, ilu drudżanów zostanie okaleczonych albo zabitych.

A ja wciąż znajdowałam się w samym środku. Wysoki wojownik zatoczył się do tyłu, niemal zbijając mnie z nóg. Ktoś inny przyskoczył od lewej strony i... nie wiem, jak to się stało. Pamiętam, że przywarłam mocno do Joscelina, któremu jakimś sposobem udało się wygramol spod napastników i wstać.

Wiedziałam. Jeszcze zanim zobaczyłam, wiedziałam. Jego ręce zacisnęły się na moich ramionach i uniosłam wzrok, patrząc mu w twarz. Jak Kartaginka spoglądająca w niebo, mogłabym zapłakać.

– Fedro, gdybym sądził, że zdołam rzucić, zanim *Skotophagotis* mnie zabije, wykonałbym *terminus* – powiedział szybko i cicho po d’angelińsku. – Błogosławiony Eluo, objaw mi swoją wolę, zanim oszaleję. Nie wiem, jak długo zdołam tu wytrzymać.

Wola Elui. Wtedy po raz pierwszy spłynęło na mnie straszne podejrzenie.

– Potrzebuję czasu – szepnęłam. – Myślę... Proszę. Trochę więcej czasu.

Joscelin nie odpowiedział, tylko puścił mnie i zgiął się w ukłonie, patrząc na Mahrkagira. Walka dobiegła końca. Jeden człowiek nie żył, drugi dogorywał; pół tuzina innych jęczało, leżąc na podłodze. Mahrkagir się uśmiechał.

– Zmieniłem zdanie – oznajmił spokojnie, biorąc mnie za rękę i prowadząc z powrotem ku szczytowi stołu. – Gasztahamie, to był

głupi pomysł.

Jak Joscelin, kapłan tylko się uklonił, pas z kości palców zagrzechotał. Pomyśleć, że zabił rodzzonego ojca i zjadł jego serce. Przygana Mahrkagira wzbudziła w nim nie niezadowolenie, a powściągliwą satysfakcję człowieka, który potwierdził dawno zrodzoną teorię. Przebiegły mnie ciarki na widok jego miny, dlatego odwróciłam głowę. Po drugiej stronie stołu Tahmuras ścierał krew, włosy i strzępy ciała z najeżonej kuli. Obrzucił mnie długim, taksującym spojrzeniem. Z jego oczu wyczierała nienawiść.

On też wiedział.

I nie podobały mu się te nowiny.

Tej nocy Mahrkagir był zapamiętały w swoich zabiegach, a ja w jego zachowaniu wykryłam coś nowego, żarliwego i triumfalnego. Rękami i zębami darł moje ciało, zostawiając ślady na skórze. Dokonywał podboju, nie tylko mnie, ale wszystkich innych, którzy pragnęli mnie posiadać. i jego zwycięstwo leżało w moim poddaństwie. Wiedziałam to dobrze, bo wielu moich klientów było zaborczych. Niezależnie od tego, czy Mahrkagir z Drudżanu umiał, czy nie umiał tego nazwać – nie sądzę, żeby umiał – tej nocy poznał gorące rozkosze zazdrości.

I właśnie to chciał potwierdzić Gasztaham.

Później, w zenanie, zapytałam Ruszada, jak odbywa się *vahmyâcam*.

– Tego, pani, nie umiem powiedzieć. Wiem tylko, że szkolący się aka-mag zobowiązuje się złożyć ofiarę i zostaje z nią połączony na oczach Angry Mainju. Potem... – Zawahał się. – To odbywa się w odosobnieniu, ciemności. Słyszałem, że trzeba to zrobić gołymi rękami albo żelaznym nożem. Słyszałem, że ofiara musi zostać zaduszona pasem żyjącego maga. Nie wiem.

– Inni aka-magowie nie są obecni?

– W czasie poświęcenia są. W czasie ofiarowania... – pokręcił głową
– nie. Pakt zawiera się w samotności. Nikt nie może udzielić pomocy

ani wsparcia. Jest tylko śmierć i ciemność.

Pokiwałam głową.

– Dziękuję, Ruszadzie.

Do Drudżanu zbliżała się wiosna. Naczelnny eunuch nieczęsto opuszczał zenanę na tyle długo, żeby ktoś mógł zaryzykować wyjście do ogrodu, ale zdarzały się okazje. Korzystałam z nich, ilekroć było to możliwe, żeby ocenić narastanie ciepła w powietrzu i wilgoci niesionej przez wiosenne wiatry. Zastanawiałam się, kiedy śnieg staje na północnych przełęczach. Oceniałam także wysokość ogrodowych murów. Ucieczka przez nie wchodziła w rachubę, gdyż wiodły tylko na dwuspadowe dachy wewnętrznego pałacu. Człowiek z hakiem i liną mógłby je pokonać. Zastanawiałam się, czy Joscelin się odważy.

Możliwe.

Ale nie sądziłam, żeby to było warte ryzyka.

Przesłanie wiadomości byłoby dość proste, gdyby do sali biesiadnej został wezwany ktoś, kogo śmiałabym obdarzyć zaufaniem. Jeszcze wobec nikogo nie mogłam się na to odważyć, dlatego czekałam, przeżywając kolejne dni w swoim prywatnym piekle. Drucylla bez komentarza opatrywała moje obrażenia. Moje ciało goiło się czysto, po to tylko, żeby znów zostać rozdarte i spustoszone. Przyzwyczajałam się do bólu. Nie do nocy żelaza i krwi – nie, do tego nigdy – ale do późniejszych następstw, w nieuchronnego tępego pulsowania. Ignorując je, chodziłam po zenanie, rozważając możliwości ucieczki.

Niestety, nie było żadnych.

– Jesteś szalona – powiedziała Drucylla. – Wszystkie przez ciebie zginiemy!

– Za co? Za to, że chodzę i rozmyślam? – Przekrzywiłam głowę, patrząc nią. – Drucylo, czy kiedykolwiek ktoś próbował zabić Mahrkagira?

– Co takiego? – Zbladła. – Naprawdę oszalałaś.

– Sprawdzają, czy nie mamy broni. Ktoś musiał próbować.

– Ktoś próbował – przyznała ponuro. – Nie skończyło się dobrze. Jej kara... cóż, może są gorsze rodzaje śmierci, lecz nie przychodzą mi na myśl. Zapytaj kogoś innego, jeśli chcesz wiedzieć. Ja nie chcę tego wspominać. Pan może być obłąkany, Fedro, ale jest wyszkolonym wojownikiem i potrafi zatroszczyć się o swoje życie, gdy nie ma kapłanów do ochrony.

Chyba że zamachu dokona ktoś, komu ufa, pomyślałam; ktoś, kogo kocha.

Ta myśl wstrząsnęła mną jak uderzenie gromu. Zdjęta grozą, pochyliłam głowę i zapłakałam, mamrocząc do Drucylli, że chcę zostać sarna, że muszę się położyć, aby uśmierzyć ból. Leżałam skulona na łóżku, patrząc na nefrytowego pieska na półce. Kiedyś Mahrkagir był chłopcem i miał psa. Nie wiedziałam, czy zdołam to zrobić. Błogosławiony Eluo, modliłam się, czy taka jest twoja wola? Czy nawet on nie może zostać ocalony przez miłość?

Już znałam odpowiedź. Chłopiec z psem wyrósł na potwora. I choć to sprawi mu ból, choć jego czarne, bardzo czarne oczy zaszklą się od łez, weźmie dar miłości i złoży go na ołtarzu Angry Mainju. Sprawি, że będę błagać o śmierć, i da mi ją jako ostatni miłosny podarek, szepcząc czułe słówka w trakcie zjadania mojego serca.

Chyba, że ja zabiję go pierwsza.

Sama ta myśl budziła we mnie przerażenie, dlatego próbowałam skupić się na innych sprawach, takich jak ucieczka. Żaden pomysł nie przychodził mi do głowy. Jeśli Ruszad powiedział prawdę, moc *Skotophagotis*, aka–magów, przepływała przez Mahrkagira. Jego śmierć położy kres ich potędze. Doskonale, wtedy pozostanie tylko cała armia drudżańska.

Gdybyśmy zdołali zająć pałac, pomyślałam, moglibyśmy go utrzymać, przynajmniej przez pewien czas. Może na tyle długo, żeby zarekwirować statek i uciec wzdłuż wybrzeża Morza Kaspara do Khebbel–im–Akad – albo przynajmniej wysłać wieści przez morze.

Nie wątpiłam, że *lugal* Sinaddan runie na Drudżan. Mogłam się tylko modlić, żeby nie wynikała z tego druga masakra w rodzaju tej, która stworzyła Mahrkagira.

Jedynym problemem było zajęcie Daršangi.

I popełnienie morderstwa.

Po południu, kiedy Nariman był nieobecny, siedziałam na dywanie i obserwowałam zenanę, oceniając panujące nastroje. Pracowali razem, żeby wyjść do ogrodu, czujki stały na straży, system ostrzegawczy był opracowany. Nie wszyscy oczywiście – wiele kobiet wolało ucieczkę w opiumowe sny. Patrzyłam na siwy dym płynący z fajki Efezjanki i zastanawiałam się, ile opium jest w zenanie i ile byłoby potrzeba, żeby uspić garnizon. Wspomniałam pigułkę, jaką proponował mi Ruszad, i zastanawiałam się, czy można włożyć ją do jedzenia albo rozpuścić w napoju. Kumys, myślałam, zamaskowałby wszelki inny smak.

– Patrzysz i słuchasz! – zawołała ze swojego tapczanu Kaneka. – Zawsze patrzysz i słuchasz. Nie ćwiczysz dżebeńskiego, mała, choć dałam ci pozwolenie.

– *Yequita, fedabin*. – Ukłoniłam się na siedząco. – Rozmyślałam o czymś innym.

– O swoim panu burzy? – Roześmiała się, a inne jej zawtórowały.

– Nie, *fedabin* Kaneka. – Ni z tego, ni z owego powiedziałam prawie: – Zastanawiałam się, czy opium rozpuści się w płynie.

Kaneka uniosła brwi.

– Dlaczego? Czyżby nikt nie chciał podzielić się fajką z faworytą Mahrkagira? W takim razie poproś go o jedną albo łykaj w pigułkach, jeśli wolisz.

– Tylko się zastanawiałam, to wszystko.

To ją zaciekawiło i widziałam, jak myśli przemykają po jej zmarszczonej w zadumie twarzy.

– Nie. Sok makowy musi być przez długi czas gotowany w wodzie, żeby nadawał się do wypicia.

– Aha. Dziękuję, *fedabin*.

– Chodź tutaj – poleciła. Wstałam i uklęknęłam na dywanie Dżebenek. Kaneka spoglądała na mnie spod przymrużonych powiek. – Zrobiłaś to – powiedziała, wskazując drzwi ogrodu i wystawione czujki. – Widziałam, jak to się stało. Inne zapominają. Ja nie. Dlaczego?

– Dla Imriego – odparłam. – Chciałam, żeby zobaczył niebo.

– Dla chłopca. – Jej głos się pogłębił. – Nawet cię nie lubi.

Miała rację. Imriel odważył się zrobić dwa kroki do przodu, przychodząc się ze mną zobaczyć, a potem dał susa w tył, nie chcąc pogodzić się prawdą moich słów. Wzruszyłam ramionami.

– To nie ma znaczenia.

– Tutaj ma – zaznaczyła Achara, jedna z Nubijek.

– Jest tylko dzieckiem – powiedziałam, myśląc o tym, co powiedziała Melisanda. „Niech zatem żyje w nienawiści do mnie, ale niech żyje”.

Kaneka zaśmiała się chrapliwie, bez wesołości.

– Tutaj nie ma dzieci. Czyje wino chciałybyś zaprawić opium, mała? Pana Śmierci?

– Nie. – Uśmiechnęłam się do niej. – W zenanie jest mnóstwo opium, *fedabin* Kaneka, dość, by na jedną noc stępić zmysły całego garnizonu Daršangi. Tylko myślałam, nic więcej.

Światło zgasło w oczach Kaneki i jej twarz stała się podobna do rnaski. Przez długi czas patrzyła na mnie bez słowa.

– Niebezpieczne myśli – rzekła w końcu. – I niebezpieczne słowa.

– I jeszcze bardziej niebezpieczne uczynki – dodałam cicho. – Tak *fedabin*, dlatego powiedziałam, że tylko myślę, nic więcej. Mówienie na głos zagroziłoby całej zenanie, prawda? A wprowadzenie słów w czyn.. – Wzruszyłam ramionami. – Oczywiście, niektórzy z nas by zginęli. Wszyscy, gdybyśmy ponieśli porażkę.

Jej ręka błyskawicznie chwyciła mnie za włosy i szarpnęła moją głowę do przodu. Kaneka pochyliła się na tapczanie, aż nasze twarze niemal się zetknęły. Widziałam czerwone żyłki w białkach jej oczu.

– Nie umrę dla twoich niebezpiecznych myśli, mała, słyszysz? – wycedziła, parząc mi twarz gorącym oddechem. Czułam ostry zapach potu i strachu. – Ani nikt inny! Nadzieja w tym miejscu zabija, a zdrada jeszcze szybciej. Przetrwają tylko ci z nas, którzy nauczyli się żyć z Panem Śmiercią i dzień po dniu trzymać go na dystans. Będzie lepiej dla nas wszystkich, jeśli swoich myśli nie ubierzesz w słowa!

– Umrzesz tutaj, Kaneko – zdołałam powiedzieć bez drżenia, choć jej twarz groźnie wisiała nad moją. – „Kiedy?”, pozostaje jedynym pytaniem, jakie ma znaczenie. Pewnego dnia kości pokażą twój numer i nie uchronią cię żadne talizmany.

Kaneka puściła mnie, zakławszy po dżebeńsku.

– Nie przed tobą! – syknęła. – Nie boję się ludzi Pana Śmierci, tych pochrząkujących głupców. Tylko jego się lękam. A póki ty żyjesz, nie wezwie żadnej innej, Dziwko Śmierci! Wiem, że to prawda. Kości nie kłamią.

– Mój numer już wypadł. Czyj będzie następny?

I z tymi słowy odeszłam, ścigana przez pomrukiwanie Dżebenek. Usłyszałam, jak wśród gniewnych słów ktoś – chyba Safija – mówi z dumą, że kucharz zenany durzy się w Efezjance Nazninie i z pewnością dla niej ugotuje opium. Kaneka rozkazała jej milczeć i więcej o tym nie rozmawiały.

Poszłam do swojej komnaty i usiadłam na łóżku, drżąc na myśl o podjętym ryzyku.

Mały nefrytowy pies patrzył na mnie z półki wytrzeszczonymi oczami przypominając, że zdrada w zenanie jest najmniejszym powodem do strachu. Kaneka powiedziała prawdę – w tym miejscu nadzieja mogła zabić, a zdrada jeszcze szybciej.

Ale jeśli czekała mnie śmierć w Daršandze, to z rąk miłości.

Zznałam w życiu miłości i wiedziałam, co to znaczy kochać i być kochaną. Pierwszy pokochał mnie Hiacynt, mój najwierniejszy przyjaciel, potem mój pan Delaunay, który mnie wykupił, i Alcuin, brat z czasów mojego dzieciństwa. Naprawdę, prawdziwą wartość

różnych rzeczy poznajemy dopiero wtedy, gdy je utracimy.

Są rodzaje miłości, których nigdy nie poznałam i których brak opłakałam na wpół nieświadomie – do rodziców, którzy poświęcili mnie na ołtarzu swojej namiętności, do dzieci, których nie miałam odwagi nosić. Znałam za to miłość drogich, wiernych towarzyszy i królowej, którą podziwiałam i czciłam.

Poznałam miłość w całym jej okrucieństwie, tak kiedyś myślałam. Głos Melisandy napłynął z mojej pamięci. „Jesteśmy związane”. W ostatecznym rozrachunku tak wyglądała prawda, łączyło nas nierozzerwalne ogniwo. Ale, Eluo! W Daršandze dochodziło do bluźnierstw, o jakich ona nigdy nie śniła. Miłość może być okrutna, lecz nawet jej okrucieństwa można sprofanować.

I znałam miłość, która trwała na przekór wszystkiemu.

Na myśl o Joscelinie żal ścisnął mnie za gardło. Jego twarz, ściągnięta z rozpacz, pływała mi przed oczami. Jego rola była trudniejsza, o wiele trudniejsza, niż przypuszczałam. Szaleństwo już deptało mu po piętach. Poprosiłam go o zbyt wiele i nie wiedziałam, jak długo wytrzyma.

A mogłam tylko się modlić.

PIĘĆDZIESIĄT DWA

Wiosna zawitała do Drudżanu.

W kątach ogrodu zenany, gdzie spalona, przemieszana z solą gleba była mniej jałowa, wyrosło kilka bladych roślinek. Gdy tylko nadarzała się okazja, nierozgarnięta dziewczyna z wyspy Cythery pielęgnowała kielki, śpiewając im półgłosem i podlewając je wodą, którą w blaszanym garnczku przynosiła z basenu. Uważałam, że to prędzej je zabije, ale rosły uparcie, cal po calu pnąc się ku słońcu.

Czasami pomagał jej Imriel, nadspodziewanie cierpliwy. Wspomniałam opóźnioną w rozwoju akolitkę z sanktuarium Elui – Lilianę i jej rękę do zwierząt. Nosila imię mojej matki. Imriel musiał ją znać, oczywiście, prawie przez całe życie. Wspomniałam, jak nasze wierzchowce szły za nią bez ponaglania. I wspomniałam też, jak *Skotophagotis* jechał na krnąbrnym osle bez siodła i uzdy, nawet bez kantara.

Dary Błogosławionego Elui.

Moc Angry Mainju.

Jedno miało przeważać tutaj, w Daršandze. I ja, która o tym wiedziałam, zadrzałam pod ciężarem tej wiedzy. Słabi i tchórzliwi, tak Kaneka nazwała bogów Terre d'Ange; ostatni urodzeni, lękliwi słudzy. Nawet Imriel nimi gardził, a Joscelin... nie wiedziałam, w co wierzy Joscelin, nie teraz. Kiedyś był kapłanem Kasjela. Teraz przeżywał potępienie, na jakie się zgodził, gdy postawił miłość ponad obowiązek.

Wokół mnie pałac Daršanga dyszał mroczną nienawiścią, głód

Angry Mainju budził się z przybyciem wiosny i perspektywą niszczenia nowego życia. Z całego Drudżanu i zza granicy do pałacu, do Mahrkagira, ściągali aka-magowie. Najpierw było ich trzech w sali biesiadnej, potem pięciu, potem ośmiu. Uczniowie też przybywali, zwiadowcy w pasach z kości szykujący się do ostatecznego wyświęcenia.

Zjeżdżały się także watahy Tatarów.

Łącznie z Jagunem z plemienia Kereitów. Ruszad pierwszy usłyszał pogłoskę i modliłam się, żeby nie była prawdziwa, modliłam się o interwencję Błogosławionego Elui. Na próżno. Twarz naczelnego eunucha Narimana mówiła wszystko, tłuste policzki podrygiwały z zadowolenia, gdy z obleśnym uśmiechem kiwał palcem na Imriela, żeby zabrać go do sali biesiadnej.

– Będiesz usługiwać wodzowi Kereitów – wysyczał. – Spraw się, żeby nie miał powodów do narzekań na uczenie!

Imriel miał kamienny wyraz twarzy. Nikt nad nim nie płakał. Ja nie miałam odwagi.

Szedł długim korytarzem jak skazaniec na szafot, a mnie pękało serce. Uru-Azag popatrywał na mnie współczująco. Nic więcej nie mógł zrobić.

Sala biesiadna pękała w szwach, wezwano nas dwadzieścioro. Zająłam miejsce u boku Mahrkagira, co w tym czasie już nie budziło zdziwienia. Nie odstępował mnie na krok, jakbym była jego królową, nawet witał mnie uprzejmym pocałunkiem, z szaleństwem i uwielbieniem w oczach. Siedząc u jego boku, ja też czyniłam honory.

Kereici zajmowali zaszczytne miejsce przy jednym z pierwszych stołów, Jaguna poznałam od razu po tym, jak inni mu nadskakowali. Wyglądał imponująco w lamowanej futrem zbroi, barczysty, z krzywymi nogami jeźdźca. Krzyknął z radości i uderzył kuflem kumysu w stół, gdy Imriel podszedł, żeby mu usługiwać. Tatarzy, pomyślałam, przynajmniej nie są rozmyślnie okrutni – w przekleństwie do Drudżanów, którzy wypełniali przykazanie Angry

Mainju i, Eluo, uchowaj, samego Mahrkagira, dla którego noc była dniem, zimno gorącym, a potworność niewinną przyjemnością. A jednak byli dzicy i nieokrzescani. Widziałam łyzy bezsilnej złości w oczach Imriela, gdy Jagun go pieścił i śmiał się z jego prób obrony.

– Jagun pragnie chłopca – wyznał Mahrkagir, patrząc na tę scenę. Zaśmiał się. – Jeśli złoży przysięgę wierności, pójdą za nim wszyscy Kereici, a także Kirgizi i Ujgurowie! Pomaszerujemy na Niniwę! – Oczy mu rozbłysły. – Khebbel–im–Akad będzie w naszych rękach, *iszta*, a to dopiero początek. Omieciemy ziemię niczym czarny wicher. Zobaczysz. – Uśmiechnął się do mnie. – Twoi lękliwi bogowie niecierpliwiają się, chcąc jak najszybciej uklęknąć przed Angrą Mainju, tak jak ty klękasz u moich stóp. Powiedz im, że nadchodzę, *iszta*. To nie potrwa długo. Kiedy Jagun i Tatarzy się zgodzą, przyjdę po twoich bogów, a zniszczenie ich będzie cudownie złym uczynkiem.

– Więc dasz chłopca Jagunowi, panie? – Zmusiłam się, by o to zapytać.

– Jeszcze nie. – Wzruszył ramionami. – Gasztaham mówi, że możemy ruszyć dopiero po *vahmyâcam*. Po ofiarowaniu przybędzie akolitów i zostaną wyświęceni kolejni aka–magowie, przy czym każdy z nich wart jest tysiąca wojowników... i stanie się coś nadto, jak mówi, coś wyjątkowego. Kiedyś sądziłem, że wiem co, lecz to było zanim... patrz, *iszta!* – Znowu się roześmiał. – Zobacz, jak twój d’Angeliński pan Jossalin patrzy na chłopca! Chyba jest zazdrosny, mój Doręczyciel Znaków. Wiedziałem, że zapragnie chłopca, gdy tylko go zobaczy!

– Poślij go więc do niego. – Mój głos zabrzmiał głucho. Zmusiłam się do uśmiechu. – Jagun będzie zazdrosny. Jeśli jego krew jest rozpalona, chętniej dobije targu i sprawa zostanie zamknięta.

– Dobry pomysł – pochwalił. – Może tak zrobię, niedługo. Jeszcze nie teraz. Chcę zaostrzyć apetyt Jaguna. Przyznałem mu pewne przywileje w tej sali, ale jeszcze nie wolno mu sięgnąć po największą nagrodę. Do *vahmyâcam* jest jeszcze trochę czasu. Potem, gdy się dokona, będzie mógł posiąść chłopca. – Popieścił mój policzek

zimnymi palcami. – Jak wiele nauczyłaś mnie o pożądaniu, *iszta*. Pod tym względem stałem się mądry.

Pokiwałam głową i zamknęłam oczy, gdyż jego dotyk sprawiał mi ogromną przyjemność.

– Kiedy odbędzie się *vahmyâcam*?

– Och, to. – Mahrkagir głaskał moją pierś i pocierał brodawkę, aż zeszywniała, a wtedy ścisnął mocno. Zaśmiał się cicho, gdy zdusiłam jęk rozkoszy. To wciąż była jego ulubiona zabawa. – Za dziesięć dni.

Gdy uniosłam powieki, sala wirowała mi przed oczami, skąpana w szkarłatnej mgłę, a żądza pulsowała we krwi. Mocno zacisnęłam ręce na blacie, wbijając paznokcie w drewno. Jeden z aka–magów podszedł żeby pomówić z Mahrkagirem, i zerkał na mnie kątem oka, z uśmiezkiem na ustach.

A Joscelin patrzył na mnie bez wyrazu.

Oderwałam ręce od stołu i rozcapierzyłam palce. Dziesięć dni.

Leciutko skinął głową i spojrzał w inną stronę.

Resztę wieczoru ledwo pamiętam, wspomnienia zlały się z innymi, zbyt wieloma innymi. Wszystko wyglądało podobnie, tylko że tym razem był tam Imriel – i więcej aka–magów, więcej Drudżanów, więcej Tatarów. Staralam się nie patrzeć na incydenty, które przyprawiały mnie o dreszcze. To tchórzostwo, wiem, ale zbyt wiele wycierpiałam, żeby teraz się zdradzić. Jakiś czas później Mahrkagir zabrał mnie do swojej komnaty, gdzie dostałam nagrodę *anguisette*, gdzie zapomniałam o wszystkim w rozkosznych otchłaniach bólu i poniżenia. Potem świadomość wróciła w powodzi rozpacz, którą odczuwałam w trójnasób z powodu odnowionej nienawiści do samej siebie.

Wróciłam do zenany przed Imrielem.

Wcześniej, kiedy Mahrkagir ze mną kończył, zawsze szłam do swojej komnaty i spałam przez kilka godzin. Tym razem czekałam, klęcząc na dywanie, znosząc tępe pulsowanie bólu. Ruszad i Drucylla krążyli w pobliżu, oboje głęboko przejęci. Wpatrywałam się w

ażurowe drzwi, nie zwracając na nich uwagi.

Minęła godzina, zanim wrócił, eskortowany przez Uru–Azaga. Chłopiec, który wrócił, nie był tym, którego znałam, który splunął mi w twarz i zmuszał do radosnej gonitwy po zenanie. Ten chłopiec kroczył sztywno, twarz miał pustą, z malującym się na niej wyrazem oszołomienia, a oczy, wcześniej wyzywające, teraz wyrażały tylko niepojęty ból. Uru–Azag puścił go i ukłonił się nieznacznie, gdy Imriel ciężkim krokiem szedł do swojego tapczanu, wyspa Chowatek leżała na jego drodze. To prawda, że Imri dokuczał im przy wielu okazjach, podkradając łakocie, obrzucając wyzwiskami. W zasadzie nie było w tym nic złego... ale tutaj okrucieństwo rodziło okrucieństwo. Nie przychodzi mi na myśl inny powód zachowania Jolanty, spośród nich najbardziej zapalczywej, która postanowiła dręczyć go takiej chwili. Wiem tylko, że to zrobiła.

– Koguciku! – zawołała do niego w zenańskim. – Koguciku, dlaczego nie piejesz? Co się stało, Tatarzy zabrali ci jajka? – Zadarła głowę i wybuchła śmiechem, widząc jego puste spojrzenie. – Chodź, chłopcze – powiedziała, pocierając się pomiędzy rozłożonymi nogami – jesteś mały, ale lepiej z nich korzystaj, zanim skończysz jak Skald!

– Ja mówię, że już je stracił – wtrąciła inna, podnosząc się z tapczanu. Imriel zamrugał i odepchnął jej rękę, gdy sięgnęła do jego spodni. Trzecia złapała go od tyłu, unieruchomiła ramiona. Zdjęty strachem, zaczął się szamotać, krzycząc wysokim, strasznym głosem. – Która chce się założyć, czy laseczka kogucika jeszcze funkcjonuje?

Na wpół przytomna z wściekłości, sama nie wiem kiedy zerwałam się z dywanu. Świat przybrał znajomy szkarłatny odcień. Przerażliwy wrzask Imriela dzwonił mi w uszach, wrzask i coś więcej, co przemykało przeze mnie niczym wichur, niczym burza łopoczących mosiężnych skrzydeł.

Wciągnęłam powietrze, które sparzyło mi płuca, i krzyknęłam:

– Puście go!

Krzyk zabrzmiał w zenanie jak strzał z bicia, a potem zapadła

cisza. I w tej ciszy patrzyło na mnie sto par oczu.

Jolanta nie była tchórzem. W milczeniu wstała z tapczanu i przeszła przez salę, żeby stawić mi czoło.

– A niby dlaczego? Kim ty jesteś, żeby nam rozkazywać?

Przygryzłam wargi i nie odpowiedziałam.

– Nazywa się... – był to głos mężczyzny, rwący się i chrapliwy, mówiący w łamanym zenańskim – Fedra nó Delaunay, i kiedyś w czasie wojny z własnej woli poszła na tortury i niemal pewną śmierć, żeby ocalić swój kraj. – Erich skrzywił usta, siadając pod ścianą. – Przed Skaldami.

– Wiedziałeś – szepnęłam, patrząc na niego.

– Miałem sześć lat. Przegrani zawsze pamiętają.

Jolanta zamruwała, otwierając i zamykając usta. Kaneka wyrosła z boku niczym posępny cień, wysuwając szpilkę z kości słoniowej z gęstych, wełnistych włosów. Szpilka była ostra jak sztylet i prawie tak samo długa. Machnęła nią, uśmiechając się łagodnie.

– Wracaj na swoją wyspę, Chowatko.

Drgnęłam.

– Imriel.

– Ja się nim zajmę – oznajmiła Drucylla, spokojna i kompetentna. – W tej chwili nic nie możesz dla niego zrobić. Kaneko, idzie Nariman.

Dzebenka dyskretnym ruchem wsunęła we włosy kościaną szpilkę, a Jolanta przemknęła chyłkiem do swojego tapczanu. Nariman podszedł kołysząc się z boku na bok, zadufany w sobie i nadgorliwy.

– Pani – powiedział w zenańskim, posapując ciężko i patrząc na mnie z wrogością w małych oczach – nie krzycz w mojej zenanie.

Ręka Kusziela jeszcze mnie nie puściła.

– Posłuchaj mnie, człowieczku – wycodziłam w staroperskim. – Czy ci się to podoba, czy nie, jestem faworytą Mahrkagira. Jeśli będziesz wchodzić mi w drogę, poproszę go o twoją głowę na talerzu. Jeśli będzie w dobrym humorze, spełni moją prośbę. Czy myślisz, że kocha cię za otworzenie drzwi przed Akadyjczykami? Pozostawienie cię

przy życiu było gorzkim żartem, który już od dawna nikogo nie bawi.

– Zbladł.

– Faworyty się zmieniają – syknął. – Albo umierają. W zenanie zdarzają się wypadki.

– Zapewne – odparłam niewzruszenie. – Ale wiedz, że jeśli coś mi się stanie, cała gromada aka–magów będzie się zastanawiać, dlaczego.

Nariman odszedł.

Kaneka splotła ręce na piersi i patrzyła na mnie.

– Erichu – powiedziałam, nie zwracając na nią uwagi – Ruszad mówił, że nie znasz zenańskiego.

– Trochę znam – odparł po skaldyjsku. – Nauczyłem się słuchać, obserwując ciebie. Poza tym, jestem tutaj od dawna. – Jego jasne oczy spoglądały posępnie spod strzechy splątanych żółtych włosów. – W środku zimy uciekłaś z osady Waldemara Seliga. Wiem. Snujemy o tym opowieści. Poznałem cię po oczach i szkarłatnym znaku. Czy masz plan ucieczki z Daršangi?

– Możliwe, tylko że będzie to wymagało pomocy zenany.

– Czy jest z tobą kapłan z mieczem? Ten, który pokonał Seliga na holmgangu?

– Tak – odparłam po chwili wahania.

– To dobrze. – Uśmiech Ericha był zimny jak śmierć. – Zrobię wszystko, co będzie trzeba. I... nie martw się o chłopca. Niezależnie od tego, cogo spotkało, przeżyje, jeśli ma silną wolę. Pan Śmierć i jego kapłani kości powiedzieli mu, że jeśli zrobi, co każą, zachowa swoją męskość. Oszczędzają go do czegoś wyjątkowego. – Skrzywił usta. – Nie wykastrują go, dopóki Mahrkagir w to wierzy.

Ze łzami w oczach przełknęłam ślinę.

– Przykro mi, Erichu.

Wzruszył ramionami.

– Płacę za cudze grzechy. Może Seliga, kto wie? Miałem sześć lat. Dla bogów to nie ma znaczenia. Jeśli przeżyję, będę pytać Ojca Wszechrzeczy Odyna, dlaczego zostałem wybrany. Jeśli mam

umrzeć... – znów wzruszył ramionami – to z mieczem w dłoni i z twoim imieniem na ustach, czy jesteś moim wrogiem, czy nie. Powinnaś teraz iść i porozmawiać z tą wysoką czarną, zanim cię udusi. Ona mogłaby rządzić osadą. Słuchałoby jej wiele kobiet.

Mimo woli zerknęłam na Kanekę, która uniosła brwi.

– Dobrze. Erichu, dziękuję. Przysięgam ci, nie jestem twoim wrogiem. Nie tutaj, nie w tym miejscu, i później też nie. Nie będę obwiniać Skaldów o wojnę Waldemara Seliga.

– To nie ma znaczenia. – Zamknął oczy. – Śpiewałaś mi pieśni o domu. Już za to będę cię błogosławić w chwili śmierci.

Chciałam odpowiedzieć, ale w tej chwili Kaneka zacisnęła rękę na moim ramieniu.

– Czas, mała – powiedziała kwaśno, odwracając mnie twarzą ku sobie. – Czas na rozmowę.

– Tak. – Spojrzałam na jej szpilkę z kości słoniowej. – Tak, *fedabin*.

Zaprowadziłam ją do swojego pokoju i podeszłam do lampy, niezdarnie krzesząc iskry. Kaneka usiadła na stołku i patrzyła na mnie, jej oczy śniły w półmroku. Wreszcie lampa się zapaliła, ciepły blask rozjaśnił pomieszczenie. Z westchnieniem usiadłam na materacu, sztywna z bólu, nieumyta, świadoma teraz, że obecność Kusziela zupełnie mnie opuściła.

– Kim i dlaczego tu jesteś? – zapytała Kaneka.

Spojrzałam jej w oczy.

– Erich powiedział prawdę. Jestem Fedra nó Delaunay, hrabina Montrčve, sługa Naamy i Wybranka Kusziela. Przybyłam tutaj po chłopca, Imriela.

– Skald cię znał.

– Kiedyś jego kraj napadł na moją ojczyznę. Zrobiłam coś, żeby zapobiec klęsce.

Kaneka pokazała zęby w uśmiechu.

– Coś, o czym snują opowieści.

– Tak, najwidoczniej.

– Musiałaś być wtedy dzieckiem. – Patrzyła na mnie z zadumą. – Czy w twojej ojczyźnie też o tobie opowiadają, mała?

– Trochę – odparłam, myśląc o poświęconych mi częściach epickiego *Cyклу Ysandryjskiego* Thelesis de Mornay, o poematach Gillesa Lamiza, o opowiadkach z Dworu Nocy, o plotkach krążących w pałacu i na ulicach Miasta Elui. – Tak, *fedabin*, trochę opowiadają.

– Chłopiec nie wie.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Nie wie. Został wychowany przez kapłanów, którzy dopilnowali, żeby nie słyszał takich historii.

– Nie zna cię, a jednak przybyłaś po niego. Dlaczego?

– Ponieważ obiecałam to jego matce. I ponieważ zażądali tego ode mnie moi bogowie. – Pozwoliłam sobie na uśmiech zabarwiony goryczą. – Moi słabi i tchórzliwi bogowie.

Kaneka przyglądała mi się uważnie.

– Musisz bardzo kochać któreś z nich. Albo swoich bogów, albo matkę chłopca.

Zaśmiałam się na te słowa, nie mogłam się powstrzymać.

– *Fedabin* Kaneka – powiedziałam, przegarniając palcami potargane włosy i próbując odzyskać panowanie nad sobą. – Skończmy ten taniec, bo nie mam na to czasu. Za dziesięć dni... za dziewięć! Za dziewięć dni aka-magowie Drudżanu odprawią *vahmyâcam*. O ile się nie mylę, a mylę się wcale nie tak często, jak możesz przypuszczać, ich zamiarem jest to, żeby Mahrkagir złożył w ofierze mnie. Widzisz – mówiłam, patrząc jej w oczy – na przekór wszystkiemu nauczył się kochać. I jeśli złoży tę miłość na ołtarzu Angry Mainju, zyska moc, w porównaniu z którą wszystko, co działo się wcześniej, będzie przypominać dziecinne igraszki.

Ciemnoskóra Kaneka nie mogła zblednąć, ale jej twarz przybrała popielatą barwę. Mimo to kobieta nie odwróciła oczu.

– Chyba nie zamierzasz na to pozwolić.

– Nie – odparłam, patrząc na czubek jej głowy. – Zamierzam pożyczyć twoje szpilki do włosów.

Ręce Kaneki, splecione pomiędzy kolanami, zadrżały.

– Chcesz zabić Pana Śmierć.

Nie mogłam tego powiedzieć. Bez słowa pokiwałam głową. Kaneka odwróciła wzrok. Łzy błysnęły w kącikach jej oczu.

– Co się z nami stanie? – zapytała. – Co się stanie z zenaną? Jaką zemstę... wywrą jego zwolennicy?

– Żadną – szepnęłam – jeśli będą martwi albo niezdolni do walki. Kaneko, posłuchaj. Moc aka-magów przepływa przez Mahrkagira. Jeśli on zostanie zabity, zostaną tylko żołnierze. A jeśli zenana pomoże... jeśli pomogą, jeśli będą gromadzić opium, jeśli kucharz zadurzony w Efezjance Nazninie przyrządzi z niego tynkturę, a kobiety podadzą ją żołnierzom w kumysie, piwie i winie w noc *vahmyâcam*... Kaneko, możemy zająć Daršangę.

– My. – Popatrzyła na mnie z twarzą nieruchomą jak maska, ignorując łzy płynące z oczu. – Garść bezbronnych kobiet. Chłopiec.

– I Erich. I Akadyjczycy, którzy mają noże. Będą walczyć, wiem.

– Jesteś taka pewna, mała – mruknęła.

– Nie. – Znowu przełknęłam ślinę, próbując pozbyć się strachu, który dławił mnie w gardle. – Jestem zrozpaczona, *fedabin*, bo nie mogę zrobić tego sama i wiem, że jeśli mi się nie uda, zginiemy. Ty, ja, Imriel, wszyscy w zenanie i nie wiem, gdzie i kiedy skończy się zabijanie, bo jeśli zawiodę, to umrę z rąk Mahrkagira, a wtedy nic na ziemi nie powstrzyma potęgi Angry Mainju, i myślę, choć mogę nie mieć racji, że właśnie dlatego przysłali mnie tutaj bogowie. *Fedabin* Kaneka, opowiedziałam ci same prawdziwe historie. Jeśli złożę w twoje ręce to, co cenię nad życie, czy pożyczysz mi swoje szpilki?

Kaneka patrzyła na mnie w milczeniu. Nagle jednym gwałtownym uchem wyjęła z włosów dwie bliźniacze szpilki z kości słoniowej i położyła je na moich otwartych dłoniach. Spojrzałam na nie, na długie szpikulce ostre jak sztylety, i zamknęłam je w rękach. Zachowały jej ciepło – Dotychczas nie umiałam wymyślić, jak przenieść zabójczą broń bez wzbudzania podejrzeń strażników.

– Bałam się – przyznała Kaneka szorstko. – Za bardzo się bałam, żeby spróbować.

Pokiwałam głową, rozumiejąc.

– Zabiłby cię, gdybyś spróbowała. *Fedabin* Kaneka, dotrzymam umowy. Jest tutaj jeszcze jedna broń. O nim w Skaldii też snują opowieści.

PIĘĆDZIESIĄT TRZY

Następne dni należały do najgorszych w moim życiu. Trudno było nosić tajemnicę w samotności, ale podzielenie się nią było jeszcze gorsze, gdyż narażało wielu z nas. Spisek zataczał coraz szersze kręgi, szepty nie ustawały. Byłam pewna, że lada chwila ktoś beztrząsco powie coś przy Narimanie i wszystko przepadnie.

Nic nie byłoby możliwe bez Kaneki. Zastraszaając, przypocholebiając się, grożąc, przekonała kobiety do naszej sprawy i nakłoniła je do oddawania cennych grudek opium. Nie wszystkie, ale wiele, wystarczająco dużo. Drucylla zajęła się tą daniną, nosząc w swoim lekarskim koszyku coraz większą kulkę. Kiedy osiągnęła wielkość złożonych męskich pięści uznała, że to wystarczy do uśpienia całego garnizonu.

Ruszad też okazał się nieocenionym sprzymierzeńcem. Choć bladł i jękał się ze strachu, wciąż dostarczał informacje o przygotowaniach do ceremonii i uczt, która miała jej towarzyszyć. To on miał zanieść opiumowy wywar do sali biesiadnej i dopilnować, żeby trafił do niezliczonych dzbanów z piwem i kumysem.

Nie przypuszczam, że znalazłby w sercu odwagę, gdyby nie Erich. Powrót Skalda do świata żywych przepełnił go radością i Ruszad uważał, że stało się to dzięki mnie. Stanowili niezwykłą parę przyjaciół, młody skaldyjski wojownik i smukły perski eunuch. Ruszad miał bzika na jego punkcie, a Erich znosił to ze swego rodzaju czułą pobłażliwością.

Co do Akadyjczyków, Uru-Azagowi opisałam plan sama i nie bez

strachu. Wysłuchał mnie w milczeniu i przez długą chwilę tylko stał i patrzył, muskając palcami rękojeść zakrzywionego sztyletu.

– Samo opium nie wystarczy – rzekł szorstko. – Dojdzie do walki. A ludzie, którzy mają urojenia, są niebezpieczni.

– Ale też niezdarni.

Pokiwał głową, rozmyślając.

– Gdybyśmy zdołali dotrzeć do łodzi rybackich, mogłoby się udać. Drudżan nie ma floty, żeby rzucić się w pogoń. A jednak... Sztylety nie na wiele się zdadzą przeciwko mieczom. I przy górnym wejściu do zenany postawią dwóch strażników, nawet w taką noc.

– Strażnicy będą martwi – zapewniłam. – Możecie zabrać ich miecze i zbroje.

Uru–Azag ściągnął brwi, aż spotkały się nad jastrzębim nosem.

– Kto zabije strażników? Ty?

– Nie. – Pokręciłam głową. – Mahrkagir nazywa go Doręczycielem Znaków.

Akadyjczyk roześmiał się.

– On! No tak, teraz rozumiem.

– Zrobisz to?

Spojrzał w dal nad moją głową.

– Jesteś szalona. Zapewne wszyscy umrzemy.

– To możliwe – przyznałam. Przyszły mi na myśl słowa Ericha. Jak Skald, ci Akadyjczycy byli kiedyś wojownikami. – To będzie śmierć wojownika, Uru–Azag. Nie niewolnika.

– W istocie. – Popatrzył na mnie. – Będzie problem z Narimanem. Sam go zabiję. Z przyjemnością poderżnę jego tłuste gardło.

Zdusiłam uczucie ulgi i tylko pokiwałam głową.

– A inni?

– Będą walczyć. – Uśmiechnął się ponuro. – Okryją się hańbą, jeśli tego nie uczynią. Twój bóg, pani, musi być potężnym wojownikiem, skoro roznieca taką odwagę.

Histeryczny śmiech uwiązał mi w gardle.

– Wcale nie – odparłam, na wpół się krztusząc. – Ale jest wielkim kochankiem. Wierz mi, Uru-azag, w tym miejscu to bardziej niebezpieczne.

Akadyjczyk tylko spojrział na mnie z ukosa i odszedł, żeby zająć się swoimi sprawami. To nie miało znaczenia. Uważali mnie za szaloną, za dotkniętą przez boga. Wcześniej to czyniło mnie pariasem, teraz zaś stałam się przywódczynią wielkiej konspiracji. Znaki przemówiły... Kości Kaneki, dźwięczny ton obecności Kusziela, powrót Skalda do życia. To Wystarczyło. Erich będzie walczył, wszyscy będą walczyć.

Pozostało mi jeszcze powiedzieć o tym Imrielowi.

Poszłam do niego tamtego pierwszego dnia po rozmowie z Kaneką. Drucylla zbadała go – tym razem na to pozwolił. Został pobity rzemieniem i na pośladkach miał ślady oparzeń. Były to kereickie runy wskazujące na posiadanie; został nacechowany niczym zwierzę w stadzie. Nie mogąc go pojąć, Jagun naznaczył go na swego. Imriel nie odniósł poważnych obrażeń, zenana widziała znacznie gorsze rzeczy i wiedziałam, że Imriel od tego nie umrze. Drucylla posmarowała pręgi i oparzenia końską maścią i z zapasu, który zwykle rezerwowała dla konających dała mu trochę waleriany dla uśmierzania bólu.

Imriel zasypiał, gdy podeszłam, a ja nie miałam serca go rozbudzać. Usiadłam na tapczanie i patrzyłam na niego.

– Fedro – wymamrotał – naprawdę przysłała cię moja matka?

– Tak, Imri. – Pogładziłam jego granatowoczarne włosy. – Naprawdę.

– Skąd wiedziała, że tu jestem?

– Nie wiedziała – odparłam cicho. – Ale Błogosławiony Elua wiedział.

Sądziłam, że zaprotestuje, ale jego oczy już błędziły sennie.

– Kiedy krzyknęłaś – wyszeptał. – Kiedy krzyknęłaś... pomyślałem o domu i o posągu Elui na makowym polu... jedna z kóz chodziła tam za

mną, nazywała się Niniwer, przeczołgiwała się pod ogrodzeniem... Była malutka, karmiłem ją z butelki, gdy jej mama umarła... Liliana mi pomagała, też przełaziła pod płotem i chodziła za mną...

Imriel zasnął. Siedziałam przy nim, póki nie nabrałam przekonania, że się nie obudzi. Serce mi pękało z bezsilnej czułości. Mnie też bito i dręczono, nosiłam podobne znaki na skórze, ja jednak byłam Wybranką Kusziela i ulegałam z własnej woli. Wstąpiłam do służby Naamie jako dorosła osoba, świadoma swojego wyboru. Taki los nie był przeznaczony dla dziecka. Zaczekałam, aż Imriel zacznie oddychać miarowo, pogrążony w głębokim śnie, i wreszcie poszłam się wykąpać.

– Później gorączkował – wskutek urazu, powiedziała Drucylla, a nie infekcji. Mówił głośno przez sen i bałam się, co może powiedzieć.

– Ciesz się, że tylko mówi – oznajmiła Drucylla ponuro, ja zaś wtedy jeszcze nie wiedziałam, o co jej chodzi.

Stan chłopca nie miał znaczenia dla Mahrkagira, który nazajutrz przysłał po niego, żeby usługiwał kereickiemu wodzowi. Tak samo było następnego wieczoru. Uczty i potyczki trwały bez końca. Joscelin znowu musiał walczyć. Tym razem zrobił to szybko, świadom, jak myślę, przestraszonego spojrzenia Imriela. Chłopiec dosłownie skulił się i przywarł do Jaguna, gdy Joscelin go mijał. Mogłabym rozplakać się na ten widok, choć rozumiałam. Zdrada Melisandy tak samo mną wstrząsnęła. Dla D'Angelina zdrada ojczyzny jest nie do pojęcia.

Po walce ktoś zawołał, żeby Joscelin zmierzył się z Tahmurasem. Podniosły się krzyki zachęty, już obstawiano wynik. Nie sądzę, by perski wielkolud miał coś przeciwko. Łypał groźnie spod krzaczastych brwi i z zawziętym uśmiechem bawił się trzonkiem gwiazdy zarannej. Widziałam go w walce i wiedziałam dość, żeby opadł mnie strach. Joscelin był niezrównanym fechmistrzem, lecz nigdy dotąd nie walczył z człowiekiem uzbrojonym w gwiazdę zaranną, a olbrzym władał tą bronią z nadnaturalną wprawą. Joscelin ukłonił się zimno Mahrkagirowi, czekając na wyraźne życzenia, i tylko lekko zaciśnięte

szczęki zdradzały jego rezerwę.

– Co powiesz? – zapytał Mahrkagir ze śmiechem. – Akuszerka moich urodzin ze Śmierci, mój opiekun Tahmuras przeciwko mojemu Doręczycielowi Znaków? Ten pojedynek wstrząsnąłby krokwiemi! – Zaczekał, aż krzyki ucichną, a wtedy z psotnym błyskiem w oku odebrał zgromadzonym nadzieję na widowisko. – Nie. Ci dwaj są mi potrzebni. Znajdźcie na śmierć kogoś, kogo nie potrzebuję!

Zrobili to. Znaleźli dwie kobiety z zenany i kazali im walczyć. Uzbroili je w sztylety i kłuli włóczniami, aż nie miały innego wyboru. Jedną była Chowatka Jolanta, drugą Kereitka, dar Jaguna, który miał wielką nadzieję, że w zamian za nią dostanie Imriela. Nigdy nie poznałam jej imienia. Żadna z nich nie chciała tego robić. Okrężały się z podkasanymi spódnicami dla większej swobody ruchów, podczas gdy Drudżanie kłuli je po gołych nogach. W końcu, przedkładając walkę o wygraną nad przebicie drudżańską włócznią, ruszyły do ataku. Obie umiały posługiwać się nożem. Jolanta umiała lepiej.

Zobaczyłam łzy w jej oczach, gdy się wyprostowała z krwią tatarskiej dziewczyny na sukni. Jeśli nie cierpiałam Jolanty za dręczenie Imriela, to teraz jej współczułam. Nasze spojrzenia skrzyżowały się na krótko w zatłoczonej sali, gdy goście Mahrkagira krzyczeli i tupali, zadowoleni z widowiska. Odwracając wzrok, podniosła skrwawioną rękę. Zacisnęła ją w pięść i przycisnęła do czoła, a ja poznałam, że to deklaracja lojalności.

– Chodź – powiedział z uśmiechem Mahrkagir. – To będzie wczesna noc. Młodzi mężczyźni rankiem ruszają polować na dziki, na *vahmyâcam*. Poszłam z nim.

Nie wiedział, jeszcze nie. Byłam tego pewna. Zastanawiałam się, kiedy aka-magowie mu powiedzą i czy się boją, że odmówi, jeśli dadzą mu czas do namysłu. Chciałabym, żeby tak było. Byłam pewna, że stanie się inaczej. Byłam jego darem, cennym darem, napawałam go zdumieniem i dawałam mu rozkosz, pozwalając bez protestu na najgorsze wynaturzenia. Złożenie tego daru na ołtarzu Angry Mainju

miało sprawić Mahrkagirowi ból. Ale zrobi to, zrobi to z przekonaniem, że to jego najpiękniejszy uczynek, aka-magowie patrzyli na nas i się uśmiechali.

Tej nocy wszyscy wcześniej wrócili do zenany z powodu rannyck wów. Żałowałam, że wcześniej nie wiedziałam o wyprawie. Lepiej byłoby przeprowadzić atak w czasie nieobecności znacznej części mieszkańców. W takich okolicznościach uciekliśmy z Joscelinem z osady Seliga. Z drugiej strony, gdybyśmy użyli opium dzisiejszego wieczoru, nie ruszyliby na łowy... Teraz to nie miało znaczenia. Data została wyznaczona. *vahmyâcam*, kiedy najmniej się będą spodziewać, kiedy będą pić bez umiaru, kiedy aka-magowie będą nieuważni i kiedy, modliłam się, sam Angry Mainju będzie na tyle nasycony przelaną krwią ofiar, że nie nabierze podejrzeń.

Nie budziłam Ruszada, tylko pobieżnie umyłam się w letniej wodzie z porannej miski i wsunęłam się na materac. Leżałam, nie śpiąc, słuchając, jak wracają inni. Nieczęsto miałam taką okazję. Znałam ich kroki – ciężkie stąpanie Akadyjczyków, chód zmęczonej tancerki Efezjanki Nazniry, zły tupot butów Jolanty. Słyszałam wśród nich Imriela, niezdarnego, potykającego się, wlokącego noga za nogą.

Ale żywego i idącego o własnych siłach. Zasnęłam.

Zbudziły mnie przeraźliwe wrzaski.

Nieopisane wycie rozdzierało uszy, ogłuszało. Gdybym nie widziała tego na własne oczy, nie uwierzyłabym, że płynie z ludzkiego gardła, że mały chłopiec może wydawać taki dźwięk – i mówię to jako osoba, która przez niezliczone dni słuchała żałobnego zawodzenia w La Dolorosie. Ten dźwięk nie wyrażał żalu, tylko bezbrzeżne przerażenie. Usiadłam na łóżku niczym poderwana sprężyną, z sercem walącym jak po długim biegu, wiedząc bez cienia wątpliwości, że to on.

Kobiety w zenanie jęczały, skarżyły się, pomstowały i wołały o ciszę, zakrywając głowy poduszkami. Ubrana tylko w koszulę,

ruszyłam pomiędzy tapczanami.

– Koszmary – powiedziała Drucylla w caerdicci, spotkawszy się ze mną w połowie drogi. Otulała się szalem, oczy miała matowe po gwałtownym wyrwaniu ze snu. – Jesienią też go nękały. Mam walerianę.

– Nie – sprzeciwiłam się. – Ja pójdę.

Po chwili pokiwała głową i odsunęła się na bok.

Przeraźliwe, niekończące się wrzaski odbijały się od ścian i musiałam zacisnąć zęby w obronie przed nimi. W zenanie paliło się tylko kilka lamp i w nikłym blasku zobaczyłam Imriela. Leżał zwinięty w kłębek z mocno zaciśniętymi pięściami i powiekami, z ustami otwartymi szeroko w gryrnasie przerażenia. Ściągną na jego szyi prężyły się niczym powrozy, gdy wrzeszczał bez chwili przerwy, jakby wcale nie musiał nabierać powietrza.

– Imrielu – szepnęłam, klękając przy nim, nie śmiąc go dotknąć ze strachu, że to spotęguje złe sny. – Imrielu, jestem tutaj, wszystko jest dobrze, jestem tu – mówiłam po d’Angelińsku.

Jego oczy się otworzyły i wrzask ucichł. Popatrzył na mnie nieprzytomnym wzrokiem, potem urywanie zaczerpnął tchu i zaniósł się płaczem.

To było jak pękająca tama. Zarzucił mi ręce na szyję, niemalże mnie dusząc, a ja go przytulałam, gdy łkał rozdzierająco i niepoohamowanie, wstrząsany siłą płaczu. Ze łzami w oczach mruczałam nic nieznaczące słowa pociechy. Jego policzek mocno przyciskał się do mojego, jedwabista skóra dziecka była lepka i gorąca ze strachu, drobne ramiona dygotały spazmatycznie.

„Boi się, że ktoś zobaczy, jak płacze”.

Nie jestem silna, ale on miał tylko dziesięć lat i ważył niewiele. Wzięłam go na ręce i zaniósłam do mojej komnaty, prywatnej komnaty faworyty Mahrkagira. Obejmował mnie mocno za szyję, łkając przy moim uchu. Położyłam się z nim na materacu, a on, syn Melisandy, przywierał do mnie, wtulał buzię w moją szyję, wciąż

wstrząsany rozpaczliwym płaczem, i moczył moją koszulę gorącymi łzami. W końcu łkanie przycichło, napięte mięśnie zwiotczały i, wyczerpany, z dziecięcą łatwością zapadł w głęboki sen bez snów, jedną ręką nadal trzymając moją koszulę, z drugą wplątaną we włosy.

– Imrielu – szepnęłam, całując go w czoło. – Och, Imrielu!

Leżałam przez długi czas bezsennie, świadoma niezwykłej obecności dziecka przy moim boku. Tej nocy zrozumiałam, że moje życie się zmieniło. Nie byłam pewna, jak ani dlaczego. Ponieważ bogowie nie dali mi odpowiedzi – ani okrutny Kusziel, ani Naama, ani sam Błogosławiony Elua – w końcu zasnęłam.

Gdy się zbudziłam, wiedziałam, że ktoś na mnie patrzy.

Siedział na stołku z piętami wbitymi w dywan, z łokciami wspartymi na kolanach, i patrzył, jak śpię. Przebudzenie się pod spojrzeniem szafirowych oczu matki w zadumanej twarzy dziecka zrobiło na mnie dziwne wrażenie.

– Czy Elua przysłał cię tutaj na śmierć? – zapytał.

Tylko w zenanie w Daršandze takie pytanie brzmiało naturalnie.

– Nie – odparłam. – Chyba nie. – I wyjawiałam mu swój plan.

Słuchał uważnie, marszcząc brwi, wszystkie ślady nękanego kozmarami dziecka przepadły. Nie zawyżałam naszych szans. Imriel przebywał w Daršandze zbyt długo, by wierzyć w miłe dla ucha bajki, był tutaj dłużej niż ja. Poza tym uważałam, że ukrywanie prawdy przed synem Melisandy – i kuzynem Ysandry – nie byłoby rozsądne. Tego dnia w jego rysach po raz pierwszy wyraźnie ujrzałam przynależność do rodu Courcel.

Nie omawiałam wszystkiego, tylko sprawy dotyczące zenany.

– Imrielu, posłuchaj. Mahrkagir pragnie posiać ziarno zwątpienia w sercu Jaguna i zmusić go do złożenia przysięgi. Namówiłam go, żeby zagrał na zazdrości Kereita. Dziś wieczorem albo może jutro Mahrkagir pošle cię do Joscelina Verreuil, d’Angelińskiego wojownika. Chcę, żebyś mu powiedział...

Nie zdążyłam nic dodać, gdy szeroko otworzył oczy.

– Do niego? – syknął. – Nienawidzę go. Patrzy na mnie, a jego twarz nigdy się nie zmienia. Prędszej pójdę z Jagunem...

– Imrielu. – Złapałam go za ramiona. – On jest moim kochankiem. Nie zrobi ci krzywdy.

Zamrugał, próbując coś z tego zrozumieć.

– Przybył tutaj...?

– Przybył tu ze mną. Ponieważ prosiłam go o to i ponieważ dawno temu przysiągł Kasjelowi, że będzie mnie chronić i mi służyć. Na wieczne potępienie i dłużej, tak przysiągł. I o to go poprosiłam.

– Kasjelita – mruknął. – Dlatego nigdy się nie uśmiecha.

Pokiwałam głową. Poniekąd tak było.

– Powtórzysz mu, co ci powiedziałam? W noc *vahmyâcam* niech nie pije wina, tylko wodę. Kwadrans po tym, jak Mahrkagir wyjdzie ze mną, ma iść do górnego wejścia do zenany i pozbyć się straży. Jeśli wystara się o inną broń, to tym lepiej. Jeśli nie... – Wzruszyłam ramionami. – Zrobimy, co będzie można.

– Powiem mu – obiecał Imriel. Zgarbił ramiona i popatrzył na mnie. – Myślisz, że przeżyjemy?

– Nie wiem – odparłam spokojnie. – Ale będziemy się starać.

Zsunął się ze stołka, zarzucił mi ręce na szyję i schował twarz w moich włosach.

– Cieszę się – powiedział stłumionym głosem – że tu jesteś.

– Ja też, Imrielu – zapewniłam go szczerze. – Ja też.

PIĘĆDZIESIĄT CZTERY

Trzy dni przed *vahmyâcam* Mahrkagir wiedział.

Nie trzeba było mi mówić. Zobaczyłam to w chwili, gdy weszłam do sali biesiadnej. Jego oczy, zawsze roziskrzone, płonęły niczym czarne słońca. Tryskał przesadną radością, pijany z uniesienia. Jego ręce, kiedy ujął moje dłonie, były drżące, lodowato zimne i drżące.

– *Iszta* – mruknął, obejmując mnie. – *Iszta*, ukochana! – Cofnął się o krok i uśmiechnął promiennie. – Wiedziałem, wiedziałem od początku wiedziałem, że jesteś wyjątkowa. Taki dar, *iszta*, ofiarowałaś mi taki dar. Szukałem i nie wiedziałem, czego szukam. Nie wiedziałem, że ten dar ma imię, dopóki dewa Gasztaham mi nie powiedział.

Uśmiechnęłam się, gdy trzymał mnie za rękę.

– Wszystko, co mam, należy do ciebie, panie, cała jestem twoja... Czy o tym mówisz?

Roześmiał się, pogodnie i radośnie.

– Nie wszystko, jeszcze nie! Nie mogę ci powiedzieć. To niespodzianka, największa niespodzianka. – Znowu mnie objął, muskając nosem moją szyję. Nauczyłam go tych czułych subtelności. – Będiesz żyć wiecznie, *iszta*, poprzez mnie, przez dziesięć tysięcy lat! To wspaniała niespodzianka, daję ci słowo.

A ja uśmiechałam się i uśmiechałam, i udawałam, że nie mogę się doczekać tej wspaniałej niespodzianki, i aka-magowie także się uśmiechali, Gasztaham najbardziej, uśmiechali się, widząc moją niewinną radość. Nawet Joscelin się uśmiechał z chłodnym

rozbawieniem, obejmując Imriela w talii, podczas gdy Kereit Jagun zgrzytał zębami ze złości. Imriel odgrywał swoją rolę doskonale, pełen urazy i nieufności, odsuwając się od Joscelina przy każdej okazji.

W sypialni Mahrkagira... Eluo.

Pewne sprawy lepiej pominąć milczeniem.

Jeśli coś mogło wynagrodzić ten koszmar, to widok twarzy Imriela po pierwszej nocy z Joscelinem, gdy iskry oporu na nowo zapaliły się w jego oczach.

– Nawet Drudżanie się go boją – oznajmił triumfalnie. – Mahrkagir dał mnie Joscelinowi, więc żaden z nich mnie nie skrzywdzi. A on mówi, że nikomu na to nie pozwoli, nigdy.

– Powiedziałaś mu o naszych planach? – zapytałam.

Imriel pokiwał głową, zahaczając stopami o poprzeczkę taboretu.

– Mówi, że jesteś szalona jak Mahrkagir i że wszyscy umrzemy.

Nie spodziewałam się innej reakcji.

– Zrobi to?

– Tak.

I w ten sposób nasze plany nabierały rumieńców. W pałacu Daršanga wrzały przygotowania. W sali biesiadnej wzniesiono podwyższenie przy zasypanej studni, gdzie kiedyś płonął wieczny ogień Ahury Mazdy. Pojawiło się wiele nowych twarzy: aka–magowie, akolici i uczniowie, a także zdumieni rodzice, rodzeństwo, ukochane, mimowolne ofiary *vahmyâcam*. Trwały też negocjacje z Tatarami, z gromadką dzikich Czerkiesów, którzy przybyli niezapowiedziani.

Mahrkagir z trudem skrywał radość. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, powiedział mi, w ciągu miesiąca Drudżan pomaszeruje na Niniwę. A kiedy Niniwa upadnie... Drudżanie runą na południe pomiędzy rzekami i całe Khebbel–im–Akad miasto po mieście znajdzie się w ich rękach, jak za dawnych czasów.

– To początek, *iszta*. Tylko początek! – Jego czarne oczy płonęły. –

Stamtąd... dokąd iść? Aka-magowie podróżowali przez dziewięć lat, zapuścili się do Hellady, do Menechetu, do Efezu, nawet do Caerdicca Unitas! Nikt się nam nie oprze. A Terre d'Ange... – Pieścił mnie, uśmiechając się. – Terre d'Ange, jak myślę, będzie największą zdobyczą. Słyszałem opowieści o twoim kraju. Dlatego kazałem aka-magom szukać kogoś z twojej rasy, kogoś niezrównanego, żeby wasi bogowie mogli mnie poznać i zadrzeć, żebym mógł posiać wśród nich nasiona śmierci, żeby Angra Mainju był zadowolony. – Zaśmiał się cicho. – Przywiedli mi chłopca, a ja końcem bicia wypisałem wiadomość na jego skórze! Naznaczyłem go dobrze, ukochana. I usłyszeli mnie, *iszta*, twoi bogowie usłyszeli mnie i poznali strach. Myślałem, że chłopiec przysłuży mi się na koniec, ale się pomyliłem, *iszta*, nie miałem racji. Jest lepiej, niż mogłem sobie wyobrazić. Dobrze, że czekałem, bo jego ból zaniósł wiadomość. – Uśmiechnął się do mnie. – Usłyszałaś, prawda?

Pomyślałam o swoich snach, o Imrielu klęczącym w cieniu kapłana kości. Jeśli nam się nie uda, sen się spełni. Mogłam się tylko modlić, dla dobra nas wszystkich, żeby nasza desperacka gra się powiodła.

– Tak, panie – odparłam cicho. – Tak. Usłyszałam.

– Podobnie jak twoi bogowie – Znowu się zaśmiał, pieszcząc mój policzek zimnymi palcami. – I bogowie Terre d'Ange odpowiedzieli, prawda?

– Tak, panie – przyznałam z drżeniem. – W istocie, odpowiedzieli.

Tak było w pałacu. W zenanie przeważały ponure nastroje, ale nasze plany byty realizowane. Gruda opium w koszyku Drucylli rosła z dnia na dzień. Kucharz przysięgł dozgonną miłość Efezjance Nazninie i obiecał ugotować dekoka. Wcześniej nie widziałam, jak reagują osoby uzależnione, gdy przestają brać narkotyki. Kobiety przechodziły katusze, miały skurcze brzucha, nie mogły spać i gorączkowały.

– Zostaw je w spokoju – powiedziała Kaneka, kiedy litość zaczęła

przeważać nad moim zdecydowaniem. – Znosiły to wcześniej. Tym razem robią to z własnej woli. Daj im spokój.

Tak zrobiłam. Osoby, które nie dołączyły do spisku, które nie oddały zapasu opium, zapłaciły równie wielką cenę. Zmarł efezjański chłopiec. Nie mogę być tego pewna, ale myślę, że kobieta, która się nim opiekowała, z miłością wdmuchując dym w jego usta, udusiła go poduszką w ciemnych godzinach nocy. Co do niej... Nie wiem, ile opium zażyła. Dość, by jej sny trwały wiecznie.

– *Fadima* – powiedziała Naznina żałobnym tonem, stając przy jej tapczanie. Martwa kobieta miała pustą twarz, na jej piersi leżało bezwładne ciało malca. – Nie musiało tak być. – Spojrzała na mnie oczyma mokrymi od łez. – Dość tego. Dlatego ci pomagam. Rozumiesz? Dość.

Rozumiałam i tylko pokiwałam głową. Wobec tej śmierci słowa były niczym.

Słowa – brak mi słów na opisanie odwagi kobiet z zenany. Tyle szczegółów! Trudno, bardzo trudno było opracować plan o tak wielkiej skali, o takim znaczeniu, z szansami na powodzenie tak znikomymi, że na myśl o tym nawet teraz zasycha mi w ustach. Nie moją zasługą jest to, co się stało. Kiedy koła zostały wprowadzone w ruch, najdzielniejsze z kobiet wykonały lwią część planu. Kaneka... Drucylla... Naznina... nawet Jolanta. I inne, wiele innych. Są wśród nich te, które straciły życie, i te, których imion nigdy nie poznałam – choć pamiętam ich twarze, co do jednej. One odegrały kluczową rolę, roznosząc dzbany z napitkami zaprawionymi opium. Zadanie może wydawać się nietrudne, tak, ale było ogromnie ważne.

Wszystko zostało opracowane. Nie mogliśmy zrobić nic więcej.

Nie wiedziałam, czego się spodziewać, z wyjątkiem tego, co powiedział mi Mahrkagir.

– Uczta, *iszta*, jakiej jeszcze nie widziano w Daršandze! A ty będziesz uczestniczyć w niej ze mną. A potem *vahmyâcam*, uczniowie złożą śluby, akolici... – uśmiechnął się czule – akolici zaprezentują

swoje ofiary Angrze Mainju, a aka-magowie zdecydują, czy się nadają. Ja przedstawię cię, *iszta*, jako swoją małżonkę. – Nie było w tym ironii, naprawdę tak to widział. – To dla ciebie – dodał, podając mi wspaniałą szkarłatną suknię z rąbkami sztywnymi od złotego haftu. – Podoba ci się? – zapytał niespokojnie. – Należała do królowej Hoszdara Ahzada, pierwszej żony mojego ojca. Gasztaham powiedział, że podkreśli twoje piękno w czasie *vahmyâcam*.

– Jest piękna, panie.

– Tak! – Rozpromienił się. – Będzie twoją ozdobą, *srira*. I to, i to.. to też włożysz. – Niedbałym gestem rzucił na moje kolana istny skarb w klejnotach, rubinowe kolczyki, kolie z przeplecionych złotych łańcuszków, bransolety na obie ręce. – Ja też chcę, żebyś była najpiękniejsza – szepnął mi do ucha.

– Postaram się, panie – obiecałam.

Nie mogłabym zrobić tego sama, kiedy naszedł dzień *vahmyâcam*, i strach ścisnął mi żołądek. Pomimo wszystkich naszych przygotowań czułam się niegotowa, niepewna i boleśnie świadoma niebezpieczeństwa.

Kobiety z zenany pomogły mi się ubrać, łącząc umiejętności i środki. Szwaczka z Caerdicca Unitas kościaną igłą i nitkami z szala Drucylli zrobiła poprawki, żeby suknia dobrze na mnie leżała. Próżna niegdyś menechetańska dziewczyna podmalowała mi powieki sadzą z lampy, poważna jak giermek, który pomaga rycerzowi włożyć zbroję przed bitwą. Aragonka spryskała moje nadgarstki i szyję olejkami z drewna sandałowego. Dwie Ch'inki o ślicznych, porcelanowych twarzach uczesały moje włosy w wymyślną fryzurę, upinając ją dwoma grzebieniami i kościanymi szpilkami Kaneki.

Jolanta podsunęła mi maleńkie ręczne lusterko, które gdzieś ukradła. Uznałam, że dewa Gasztaham i Mahrkagir nie będą rozczarowani, w nikłym świetle zenany szkarłatna suknia lśniła, złoty rąbek migotał. Rubiny płonęły na uszach, złoto skrzyło się na szyi i

rękach. Moja twarz była blada, oczy przypominały kałuże ciemności, szkarłatna plamka odzwierciedlała kolor sukni. Kościane szpilki nie przyciągały uwagi w elegancko ułożonych włosach, stanowiąc delikatne akcenty.

– Ta – powiedziała melodyjnie Ch'inka w łamanym zenańskim, podnosząc moją rękę do prawej szpilki. – Pociągnij. Włosy nie spadną.

– Dziękuję. – Gardło miałam ściśnięte ze strachu.

Uru-Azag wszedł do zenany i na mój widok stanął jak wryty.

– Czas, pani – powiedział. – Nariman idzie z wezwaniem. Ty masz uczestniczyć w uczcie, a inne przyjdą później, gdy poleje się wino.

– Jestem gotowa. – Poszukałam wzrokiem Imriela. Podszedł powoli, powłócząc nogami, a na jego twarzy malował się ten sam strach, który czułarn ja.

– Imrielu – powiedziałam, biorąc jego twarz w dłonie. – Cokolwiek się stanie, masz zostać z Joscelinem, rozumiesz? Mahrkagir pośle cię do Jaguna, ale Tatar będzie oszołomiony winem. Wymyśl coś, byle tylko nie opuścić z nim sali. Jeśli nie będzie innego wyjścia, uciekaj ile sił w nogach. Joscelin zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby cię ochronić.

Pokiwał smutno głową. Pocałowałam go w czoło i wyprostowałam się. Nic więcej nie mogłam zrobić.

Zapadła cisza, gdy weszłam do sali. Zdawało się, że przebycie jej trwało całe wieki. W Daršandze nie byli przyzwyczajeni do widoku zdobionego piękna i nie było zwyczaju, żeby kobiety jadały z mężczyznami. Sędziwi magowie, prawdziwi magowie, skulili się w grupie w cieniu podwyższenia; cofnęli się z odrazą, gdy przechodziłam. Mężczyźni, Drudżanie i Tatarzy, wytrzeszczali oczy. Dewa Gasztaham z uśmiechem złączył czubki palców.

– Moja królowa – oznajmił Mahrkagir z błyskiem w oczach. – Moja ukochana!

Uczta się rozpoczęła. Nie pamiętam, co podano – zapewne ryby i dziczyznę z niedawnego polowania. Równie dobrze mogłabym jeść

trociny. Nie pamiętam również, co mówiłam, ani jak zdołałam wytrwać. Raz pochwyciłam spojrzenie Ruszada stojącego w drzwiach prowadzących do kuchni i moje serce załomotało tak gwałtownie, że pomyślałam, iż Mahrkagir zobaczy to przez suknię. Nie śmiałam nawet zerknąć na Joscelina.

Kolacja dłużyła się niemiłosiernie, a kiedy wreszcie dobiegła końca, żałowałam, że nie trwała dłużej. Słudzy zaczęli przynosić z kuchni dzbany z winem, wśród nich Ruszad, pokorny, ze spuszczonego wzrokiem. Do pierwszych dzbanów nie dodano opium; wszyscy się zgodziliśmy, że tak będzie bezpieczniej. Niech zdrętwieją im podniebienia, zanim podamy narkotyk. Wino, piwo i kumys lały się strumieniami. Hałas wzrastał w miarę, jak mężczyźni pili. W pewnej chwili do sali weszły kobiety z zenany.

Żadna się nie zdradziła. Kobiety o kamiennych twarzach pod kierunkiem przerażonego Ruszada dostojnie tańczyły pawanę z dzbanami. Imriel usługiwał Jagunowi, uprzejmie dopełniając kubek. Podziękowałam Błogosławionemu Elui, że wódz Kereitów skupia uwagę na ceremonii ofiarowania. Joscelin dyskretnie krążył kilka kroków dalej, na co żaden z Tatarów nie zwrócił uwagi. Ten drobiazg świadczył, że kieruje nami ręka Elui, ale był przecież tylko drobiazgiem.

Kiedy zacznie działać opium? Za godzinę, może później. Nikt nie miał pewności. Drucylla wyliczyła to najlepiej, jak potrafiła, ale nigdy nic nie wiadomo. Narkotyk był rozcieńczony, niektórzy pili więcej niż inni.

A niektórzy mniej. Na przykład groźny Tahmuras.

Zastanawiałam się, kiedy rozpocznie się *vahmyâcam*.

Wszędzie indziej byłoby to świętym obrzędem odprawianym z należytą powagą. W Daršandze nie miało znaczenia to, co liczyło się w innych częściach świata. Bluźniercza hulanka w sprofanowanej świątyni – w kulcie Angry Mainju tak wyglądał rytuał. Nie wszyscy, którzy tu byli, wiedzieli, czym to się skończy, a jeśli wiedzieli, i tak się

nie przejmowali. To nie miało znaczenia. Aka–magowie wiedzieli, i ich akolici. Mahrkagir wiedział. Ja wiedziałam.

A bóg... Błogosławiony Elua, sam bóg wiedział. Żyjąc w cieniu tej mrocznej, złowieszczej obecności, na wpół do tego przywykłam. Tej nocy poczułam to na nowo. Wiosna zawitała do Daršangi i ofiara zbliżała się do ołtarza. Angra Mainju się zbudził, rozdziawiał bezdenną, głodną paszczę, pragnąc pożreć świat. Zamrugałam i zobaczyłam, że ściany Daršangi spływają krwią. Widziałam wolę boga w twarzach ludzi, pożądliwych i wilczych. Widziałam w szalonych, pięknych oczach Mahrkagira, w miłosnym uśmiechu, z jakim na mnie patrzył. Czułam w powietrzu, którym oddychaliśmy, ciężkim jak przed burzą.

Zabijać... gnębić... niszczyć.

Błogosławiony Eluo, modliłam się w głębi duszy, miej nas w opiece.

– Szachriar Mahrkagir – mruknął Gasztaham, chyląc głowę w ukłonie. – Angra Mainju zaraz się objawi. Czy możemy zacząć *vahmyâcam*?

– Tak! – Mahrkagir wybuchnął śmiechem, szczęśliwy i podniecony jak chłopiec na swoich urodzinach. – Śmiało, Gasztahamie, zaczynajcie! Nie mogę się doczekać mojego daru.,

– Niechaj tak będzie. – Kapłan spojrzał na mnie z uśmiechem. – Wyglądasz dzisiaj pięknie, pani.

– Jesteś uprzejmy – powiedziałam, z trudem poruszając lodowatymi ustami.

Niech wie, że się boję; to nie miało znaczenia. W zenanie wszyscy się bali. Żyłam w strachu od chwili wyjazdu z Niniwy. Nie pamiętałam, jak jest, gdy nie odczuwa się lęku. Zapominałam o nim tylko w łóżku Mahrkagira, a to było jeszcze gorsze.

Gasztaham uklonił się swojemu panu, przeszedł między stołami i wspiął się na podwyższenie. Inni aka–magowie ustawili się obok niego, trzymając w ramionach zawiniątka. Razem wzięwszy, było ich dwunastu. Posępne światło pochodni pełgało po hełmach z czaszek

dzika, czarnych szatach, pasach z kości palców. Dewa Gasztaham uniósł ręce, w lewej trzymał hebanową laskę. W sali biesiadnej zapadła głucha cisza.

– Angra Mainju – powiedział kapłan, a jego szept niósł się we wszystkie kąty sali – stoimy przed tobą, aby dowieść naszej wiary. Na tym świecie zostaliśmy stworzeni i poprzez śmierć odradzamy się ku chwale twojego imienia. Wyrzekamy się dzieł Ahury Mazdy! Zagłodziliśmy i wyrznęliśmy jego stada, a ziemię posypaliśmy solą, żeby wyjałowiała. Żyjemy w ciemności i kłamstwie, gardząc wszystkimi prawdami. Z ufnością kroczymy twoją potrójną ścieżką: złe myśli, złe słowa, złe uczynki. Niechaj objawi się twoja obecność pośród nas, niechaj twoja wola się rozprzestrzeni, aż serca wszystkich ludzi świata zapragną wyłącznie zniszczenia, brat obróci się przeciwko bratu i wszystko zmarnieje.

W tych słowach była moc, straszliwa moc. A ja, która siedziałam obok jej uśmiechniętego źródła, drżałam. Musiałam złożyć ręce na kolanach, żeby uciszyć podzwaniające na nadgarstach bransolety.

– Chodźcie. – Gasztaham skinął laską. – Niechaj wystąpią ci, którzy dopełnili *vahmyâcam* i odbyli nowicjat, aby otrzymać nagrodę.

Wystąpiło dziewięciu mężczyzn, jedni w zbrojach, inni w zwyczajnych ubraniach, każdy z kościanym pasem. Jeden po drugim klękali przed podium i rozwiązywali pasy, kładąc je przed sobą. Sędziwy mag Arszaka płakał ze zgrozy. Aka-magowie zajmowali się kolejnymi mężczyznami. Dwóch ścinało im włosy, które garściami spadały na podłogę. Jeden zarzucał na ramiona mężczyzn czarne szaty, następny przewiązywał je pasem kości. Piąty kładł czaszki dzika na ogolonych głowach, a ostatni z ukłonem podawał każdemu nowemu aka-magowi hebanową laskę zwieńczoną śniącą kulką gagatu. Na koniec nowi kapłani zajęli miejsce w szeregach.

Przez cały czas rozglądałam się po sali, próbując ocenić rozwój wypadków. Biesiadnicy przyglądali się jak urzeczeni ceremonii i tempo picia zmalało. Czy narkotyk już działał? Było za wcześnie, żeby

to osądzić.

– *Iszta* – powiedział ciepło Mahrkagir, gładząc mnie po karku. – Już niedługo!

Poświęcenie dobiegło końca. Dewa Gasztaham znowu podniósł ręce, stojąc teraz wśród dwudziestu jeden aka–magów.

– Angra Mainju, Niszczycielski Duchu, Władco Ciemności, Demonie Dziesięciu Tysięcy Lat! Zgasiliśmy ogień twojego odwiecznego wroga i pogrążyliśmy kraj w strachu. Czyniąc zadość twej woli, złożymy znacznie więcej na twoim ołtarzu. – Gasztaham podniósł głos. – Niechaj ci, którzy chcą dokonać *vahmyâcam*, wystąpią z ofiarami, wyjąwszy tego który jest pośród nas ostatni i największy, umiłowany Angry Mainju!

Mahrkagir odchylił się na krześle, obserwując przebieg wydarzeń; wyglądało na to, że my będziemy ostatni. Wystąpiło siedemnastu mężczyzn, każdy z towarzyszem. Byli nimi ci, których wypatrzyłam w sali, nowe twarze – rodzice, rodzeństwo, żony i dzieci. Dzieci wcześniej nie widziałam. Kilkoro wybranych szło chętnie i z dumą, inni z przerażeniem. Kolejne pary wchodziły po stopniach na podwyższenie, by stanąć przed aka–magami. Gasztaham kładł ręce na ich ramionach, spoglądał im w oczy, odczytując ich serca i wolę Angry Mainju.

Trzech kandydatów zostało odprawionych, ofiarę bowiem uznano za niegodną. Między nimi musi być miłość, pomyślałam, prawdziwa miłość. Inni zostali przyjęci i dostali sznury zerwane z talii prawdziwych magów, uczniów Arszaki, kapłanów Ahury Mazdy. Każda para odeszła z przydzielonym aka–magiem. Dokąd się udali, nie wiem. W ciemność i ku śmierci, sami.

Więc tak to się odbywa, pomyślałam z przygnębieniem. Zostanę uduszona, jeśli zawiodę. Cóż, są okrutniejsze rodzaje śmierci.

Gdy wszystkie pary odeszły, Gasztaham po raz kolejny uniósł ręce, z twarzą zarumienioną i triumfującą pod hełmem z czaszki.

– Angra Mainju! – zawołał z zaśpiewem – Ojcie Kłamstwa, wzywam

twojego umiłowanego, twojego ziemskiego syna poczętego w śmierci, żeby stanął przed tobą i dokonał *vahmyâcam*. Wzywam szachriara Mahrkagira!

Mężczyźni krzyknęli na wiwat, tłukąc kubkami o stoły. Kątem oka zobaczyłam, że Jolanta drgnęła i trąciła łokciem stojącą najbliżej kobietę. Obie ruszyły w obchód po sali, nalewając do kubków trunki z narkotykiem.

Pozostałe skwapliwie wzięły z nich przykład. Drudżanie i Tatarzy pili, sławiąc swojego pana. Kereit Jagun wiwatował, zapomniawszy o usługującym mu Imrielu. Mahrkagir wstał i podziękował ukłonem, delektując się tą chwilą, błyskając olśniewającym uśmiechem.

– Chodź, *iszta* – powiedział, wyciągając rękę. – Czas.

Ujęłam jego dłoń i razem ruszyliśmy przejściem pomiędzy stołami do podwyższenia, gdzie czekał dewa Gasztaham z innymi akamagami. Chciałabym się, jak myślę, gdyby nie jego ręka na nioim łokciu, silna i zimna, kiedy prowadził mnie z miłosnym uśmiechem.

– Taka piękna – szepnął. – Wyglądasz tak pięknie, moja królowo!

Razem weszliśmy na podwyższenie.

Gasztaham położył ręce na naszych ramionach, czarna laska trzymana w lewej dłoni znalazła się za plecami Mahrkagira. Cofnęłam się odruchowo i poczułam, że obecność Angry Mainju się nasiliła. Czułam się naga i bezbronna pod badawczym spojrzeniem kapłana, i drżałam tak mocno, że rubinowe kolczyki stukały w moją skórę. Bałam się, że grzebienie Ch'inki wysuną się z włosów, loki się rozsypią, kościane szpilki spadną na podłogę, że lada chwila Gasztaham przejrzy moje żalosne próby oszukaństwa, maskujące jeszcze bardziej żalosny spisek.

Nie przejrzał. Skupiał uwagę na Mahrkagirze, swojej chlubie i radości, bramie bogów.

– Panie, czy jest twoją wolą – powiedział poufałym głosem kochanka – uczynić *vahmyâcam* z tej kobiety?

– Tak – odparł Mahrkagir, ściskając moją rękę.

– A czy ją kochasz?

Uśmiechnął się, patrząc mi w twarz z morzem uwielbienia w lśniących czarnych oczach, z całą chwałą Błogosławionego Elui.

– Tak.

– Angra Mainju jest zadowolony – oznajmił kapłan z dumą i satysfakcją. Zwrócił się do jednego ze swoich towarzyszy: – Dewa Dadarszi, przynieś mi święty pas Arszaki.

Starzec bronił się rozpaczliwie, budząc litość w moim sercu, gdy aka-magowie przecinali brudny sznur. Dotąd nie wiedziałam, że sznur był obrzędowym elementem ich stroju. Gasztaham trzymał go w rękach, patrząc na niego z zadumą.

– Użyłem pasa, którym własnoręcznie mnie okręciłeś, stary głupcze, żeby nanizać kości palców mego ojca – powiedział do zgnębionego maga. – Oszczędzałem cię i twoje życie, z nadzieją modląc się o nadejście tego dnia. Nastał dzisiaj. – Podniósł sznur do ust, ucałował go, potem z czcią złożył w wyciągniętych rękach Mahrkagira. – Weź go, panie, a z nim jej życie. Sam pójdę z tobą i będę czuwać pod drzwiami. A kiedy się dokona... ach, panie, do tej chwili tylko terminowałeś. Angra Mainju nie będzie czekać dłużej. Gdy się dokona, gdy otworzysz jej pierś i zjesz wciąż ciepłe serce, naprawdę staniesz się wcieleniem cierności. – Gasztaham puścił sznur i uklonił się z twarzą ożywioną głębokimi emocjami. – A Drudżan podbije świat!

W odpowiedzi na jego ostatnie słowa rozległ się ryk aprobaty tych, którzy słuchali. Mahrkagir przyjął sznur.

– Zobaczysz, *iszta!* – zawołał z uniesieniem, dopuszczając mnie do cudownego sekretu. Ujął moją twarz w dłonie, przyciskając śmierzdzący sznur do policzka, i pocałował. – To dar, największy dar ze wszystkich! Ty mi go dałaś.

Kątem oka zobaczyłam, że Joscelin o krok przysuwa się do Imriela z dłońmi przy rękojeściach sztyletów. Z boku podium stary mag Arszaka padł na kolana i płakał, omiatając brodą kamienne płyty

posadzki.

Było to ostatnie, co widziałam przed opuszczeniem sali.

PIĘĆDZIESIĄT PIĘĆ

Dewa Gasztaham dotrzymał słowa i odprowadził nas do kwater Mahrkagira, razem ze zwałistym Tahmurasem. Po hałasie panującym w sali cisza wydawała się dziwna, podobnie jak widok znajomych kamiennych ścian. Wszystko, pomyślałam, kończy się tu, gdzie się zaczęło; bez uroczystości, bez ceremonii. Tylko on i ja, znów sami, jak wiele razy wcześniej.

– Jedna lampa – przykazał kapłan przed podwójnymi drzwiami. – Tyle światła, żeby znaleźć jej serce, nie więcej.

Tahmuras wszedł przed nami, żeby sprawdzić, czy w pokoju rzeczywiście pali się jedna lampa. Mahrkagir tylko się roześmiał.

– Kiedy będę potrzebował światła, Gasztahamie? – zapytał przekornie, przyciągając mnie do siebie. – Nawet jedna lampa to za dużo, żeby znaleźć serce ukochanej. – Kapłan się uklonił. Olbrzymi strażnik wyszedł z sypialni i skinął głową na znak, że wszystko jest w porządku. Mahrkagir wepchnął mnie za próg. – Wezwę cię – powiedział do kapłana – abyś zobaczył, że wszystko odbyło się, jak powinno.

To rzekłszy, zamknął drzwi.

Podniosłam rękę do włosów, gdy stał odwrócony plecami, wysunęłam prawą szpilkę z kości słoniowej z zaczesanych do góry loków i ułożyłam w dłoni w ten sposób, że długi szpic przylegał do wewnętrznej strony ramienia. Zęby mi dzwoniły. Trzymałam szpilkę w śmiertelnym uścisku, starając się, żeby nie grzechotała o bransolety.

W niszy płonęła lampa, jedna lampa. Mahrkagirowi, którego blask parzył jak ogień, to światło wystarczało; dla niego musiało być tutaj jasno jak w dzień. Dla mnie było ciemno. Tak miało być – w ciemności i w odosobnieniu.

– Widzisz? – Mahrkagir szeroko machnął ręką. – To musi stać się tutaj, gdzie zazналиśmy tak wiele radości. Takie uczynki, *isztal* – Jego oczy jaśniały. – Takie złe uczynki. Zawsze będę myślał o tobie i pamiętał o twoim darze. – Zbliżył się, zarzucił mi sznur na szyję i skrzyżował końce zaciskając je na gardle. Dolne partie jego ciała mocno napierały na mnie – Jesteś gotowa? – zapytał czule. – Jeśli tak, zaczniemy i ofiaruję ci śmierć, gdy o to poprosisz. To będzie mój dar dla ciebie, ukochana.

– Panie, nie. – Położyłam lewą rękę płasko na jego piersi. – Błagam cię, nie rób tego. Miłość jest nagrodą samą w sobie.

– Tak. – Uśmiechnął się do mnie, jego szalone oczy lśniły w mroku. – Sznur zacieśnił się na mojej szyi. – Wiem, *iszta*. Wiem.

Pod rozpostartymi palcami czułam serce bijące mocno i miarowo. Znałam je dobrze. Czułam jego bicie wiele razy, przyspieszone z wysiłku okrutnego pożądania. Wsunęłam między nas prawą rękę, kładąc czubek szpilki pomiędzy palcem wskazującym i kciukiem lewej ręki, wprost nad jego sercem, delikatnie jak piórko. Jego życie, silne i bijące, leżało pod moją gotową dłonią. Gdyby spojrzał w dół, zobaczyłby. Nie spojrzał.

– To Gasztaham tego pragnie – szepnęłam. – Możesz odmówić.

– Nie. – Pokręcił głową, zaciskając sznur, wciąż patrząc w moją twarz. Dlaczego miałby spoglądać gdzie indziej? Niezależnie od wszystkiego, ufał mi. – Angra Mainju tego pragnie, *iszta*, podobnie jak i ty w głębi serca. – Sznur zaczął odcinać dopływ powietrza i zobaczyłam iskry w ciemności. Świat wokół mnie się rozmywał. Widziałam wyraźnie tylko jego pełen uwielbienia uśmiech. – Twoi bogowie przysłali cię jako daninę.

Słowa zostały wypowiedziane tonem najgłębszej miłości. A pod

moją ręką biło jego serce.

– To pół prawdy – wydyszałam z trudem. Z całej siły wbiłam kościaną szpilkę w stawiające opór ciało. Szeroko otworzył usta, jego oczy wyrażały zdumienie. – Moi bogowie przysłali mnie... ale nie jako daninę.

Milczący, wstrząśnięty Mahrkagir Drudżanu osunął się na kolana, kościana szpilka Kaneki sterczała z jego piersi. Mała, błaha ozdóbka. Wystarczyła. Szpic przeszył serce.

– Przykro mi – szepnęłam żałośnie. – Wybacz.

Wywrócił oczy, poruszył ustami. Nie padły żadne słowa. Umarł

Zakryłam twarz rękami i wybuchłam płaczem.

Nie powiedziałam o tym nikomu, nawet Joscelinowi. To nie trwało długo. Był potworem i zasłużył na śmierć. Wiedziałam, że to prawda. Ale kiedyś był małym chłopcem, królewskim bękartem dziwki sprowadzonej do zenany, i to okrucieństwa Akadyjczyków uczyniły go takim, jakim go poznałam. Tego nie mogłam zapomnieć.

I kochał mnie.

Kiedy łzy przestały płynąć, wzięłam się w garść. Klęcząc na podłodze obok ciała Mahrkagira, nasłuchiwałam oznak niepokojów. Panowała cisza. Nie wiedziałam, co się stanie, gdy go zabiję. Myślałam, że może *Skotophagotis* będą od razu wiedzieli, wyczuwając zmianę w objawieniu Angry Mainju. Ale nie, zbyt polegali na nim, na Zwycięzcy Śmierci przekonani, że nie może umrzeć.

A już na pewno nie z rąk d'Angelińskiej dziwki.

Mniejsza z tym; dowiedzą się, gdy sięgną po moc Angry Mainju i stwierdzą, że przepadła, że śmierć zamknęła bramę. A mój następny krok wcale nie był łatwiejszy. Rozglądałam się po komnacie Mahrkagira, aż w końcu znalazłam coś, co miało posłużyć moim celom – krótką włócznię i skórzany batog oblepiony zakrzepłą krwią. Prawdopodobnie moją.

Ile czasu minęło, odkąd wyszliśmy z sali? Kwadrans, co najmniej. Otworzyłam gwałtownie drzwi, wcale nie udając paniki.

– Pan Mahrkagir! – zawołałam nagłoco, wskazując rozpostarte ciało. – Ma atak!

Z tłumionym przekleństwem Gasztaham odepchnął mnie i wbiegł do pokoju, z Tahmurasem depczącym mu po piętach. Zatrzasnęłam za nimi drzwi, wepchnęłam włącznię pod klamkę i przywiązałam ją długim rzemieniem bata.

Drzwi zadygotały, gdy Tahmuras napał na nie ramieniem. Włócznia wygięła się, ale nie pękła. Wiedziałam, że długo nie wytrzyma. Pobiełam sekretnym przejściem do zenany, drogą, którą mogłabym przebyć po omacku.

Wszyscy w zename czekali. Naczelny eunuch Nariman leżał na podłodze z pulchnym gardłem poderżniętym jak u wieprza. Uru–Azag uśmiechał się z ponurą satysfakcją.

– Zrobione? – zapytała Kaneka.

Pokiwałam głową.

Gdyby ktoś słuchał, wiwaty wzniesione po moim skinieniu ściągnęłyby na zenanę gniew Daršangi. Na szczęście nikogo nie było w pobliżu.

Wielki tłum runął do ażurowych drzwi i tylko Erich zachował zimną krew. Złorzeczając, zatarasował drogę, nie pozwalając nikomu wylec na korytarz.

– Kapłan–wojownik jest na górze? – zapytał mnie po skaldyjsku, ruchem głowy wskazując schody.

– Zobaczę – odparłam. – To był mój plan.

Uru–Azag wybiegł pierwszy i pokonywał po dwa stopnie na raz, ciągnąc mnie za sobą, ze sztyletem w wolnej ręce. Kobiety odepchnęły Ericha na bok. Gdyby Joscelina tam nie było... Gdyby Joscelina tam nie było, przypuszczam, że potem rozdarłyby strażników na strzępy.

Ale był, czekał, w kolczudze na skórzanym kaftanie.

Gromada kobiet wyległa na pusty korytarz. Dwaj akadyjscy eunuchowie uklękli i zaczęli szybko odzierać drudzańskich strażników z broni i zbroi. Ja nie zwracałam uwagi na nic, nawet na

żelazną kolczugę Joscelina, gdy zarzuciłam mu ręce na szyję, gotowa w tej chwili umrzeć, byle tylko czuć, jak po raz ostatni zamyka mnie w objęciach.

– Fedro – wymruczał w moje włosy.

Nie pamiętam, co odpowiedziałam. Potem uniosłam głowę i zapytałam:

– Gdzie Imriel?

– Bezpieczny – szepnął. – Nie martw się, wyprowadziłem go z sali, gdy Tatar był czymś zajęty. Myśli, że Imriel poszedł napełnić dzban. – Joscelin obejmował mnie silnymi ramionami, a ja mogłabym się rozplakać z ulgi, gdybym miała czas.

Tłum się powiększał. Joscelin puścił mnie. Sytuacja stawała się coraz groźniejsza.

– Pani. – Uru-Azag miał na sobie źle dopasowany pancerz, w ręce sztylet. Miecz oddał Erichowi. – Powinniśmy ruszyć do bramy pałacu i do portu.

– Możemy? – zapytałam Joscelina.

– Nie – odparł ponuro. – Za dużo nas. Na zewnątrz pałacu, w orębie murów, są koszary. Drugi garnizon rozniesie nas na mieczach. Naszą jedyną nadzieją jest zajęcie Daršangi i zabarykadowanie drzwi.

– Joscelin! – Był to głos Imriela, wysoki i przeraźliwy, odbijający się od ścian.

Chłopiec biegiem wypadł zza zakrętu korytarza.

– Postawiłeś go na warcie? – wysyczałam. – I mówisz, że jest bezpieczny?

– To był jego pomysł – odparł, po czym zapytał Imriela: – Co się dzieje.

– Zaczyna się. – Podbiegł, zadyszany i blady, wyrzucając słowa d'Angelińskiego i zenańskiego. – Jolanta... Fedro! Jolanta zabiła człowieka a oni... oni... jeden poszedł za mną... – Odwrócił się i wyciągnął rękę. – Za mną.

Ktoś wrzasnął, gdy *Skotophagotis* podążający za Imrielem pojawił

sie na końcu korytarza. W mroku widać było tylko czaszkę dzika, pas z kości i wykrzywioną wściekle twarz. Aka-mag podniósł hebanową laskę i wycelował w zgromadzonych, którzy przywarli do ścian.

Joscelin odwrócił się na pięcie. Nie widziałam, kiedy wyciągnął sztylet, dostrzegłam tylko błysk, gdy broń koziołkowała w powietrzu, po czym ugrzęzła w piersi kapłana. *Skotophagotis* upadł na podłogę.

I wtedy rozpętało się piekło.

Nie zauważyłam, kto je rozpętał, wiem tylko kiedy wszystko się zaczęło. Bezsilna wściekłość Angry Mainju, pozbawionego ziemskiego wcielenia, znalazła upust w szaleństwie tej nocy. Niektórzy mówią, że z dwóch płci kobiety są łagodniejsze. Nie powiedzieliby tego, gdyby byli tam w tę noc upadku Daršangi.

Zaczęło się od długiego, zawodzącego krzyku, i jeśli zrodził się w jednym gardle, to chwilę później wydobył się z następnego i zaraz potem z kolejnego. Nie widziałam, która z kobiet poprowadziła ten szaleńczy atak, bo zdawało się, że wszystkie naraz, nieuzbrojone furie w poszarpanych sukniach, pobiegły dziko do sali biesiadnej, a z nimi większość eunuchów.

Joscelin zaklął i chwycił Uru-Azaga za ramię.

– Zabarykaduj drzwi – polecił po persku. – Dasz radę sam?

– Tak. – Akadyjczyk podniósł sztylet do ust i pocałował ostrze. – Zaprzysięgłem broń Szamaszowi – powiedział z czcią. – Dziś poświęciłem ją w krwi.

– Dobrze. – Joscelin odwrócił się do mnie. – Fedro, zabierz chłopca i schowajcie...

– Imirieli! – Zobaczyłam to za późno, dziki błysk w oczach chłopca, jego wyszczerzone zęby. Ogarnęło go to samo szaleństwo, zrodzone z długich miesięcy nienawiści i poniżania. Jak błyskawica pomknął korytarzem. – Ruszaj! – zawołałam do Joscelina, ogarnięta panicznym strachem.–Ruszaj!

Już był w drodze.

Złodowaciała z przerażenia, poszłam za nim.

PIĘĆDZIESIĄT SZEŚĆ

W sali biesiadnej rozgrywał się koszmar.

To była masakra, inaczej nie można tego opisać. I głównymi jej sprawczyniami były kobiety z zenany.

Gdy przybyłam, pierwsza fala rozlewu krwi już się przewaliła. Słyszałam o tym później od tych, którzy przeżyli. Opium zaczęło działać, gdy wyszłam z Mahrkagirem, i efekty nasilały się z każdą chwilą. Mężczyźni mrugali ospale, uśmiechając się do swoich snów i mamrocząc trzy po trzy. Jeden czy dwóch straciło przytomność.

Aka-magowie, którzy byli w sali, w większości nowi, stawali się niespokojni.

Zaczęło się, gdy Ujgur z sennym wzrokiem wsunął rękę pomiędzy uda Jolanty. Było tak, jak powiedział Imriel. Jolanta wyrwała mu sztylet z za pasa i wbiła go po rękojeść pod ucho.

Przez długą chwilę nikt nie reagował. Mężczyźni głupawo wytrzeszczali oczy, jeszcze nie rozumiejąc. Kobiety spoglądały jedna na drugą, niepewne co robić. Przyczajony za drzwiami Imriel odwrócił się do ucieczki – wtedy jeden z aka-magów, *Skotophagotis*, zobaczył go i ruszył w ślad zanim, zaczynając coś podejrzewać.

Co się z nim stało, już wiedziałam.

Później do sali wpadły kobiety z zenany.

Ilu zabiły w tych pierwszych chwilach? Co najmniej kilkudziesięciu. Atak nastąpił z zaskoczenia. Wyrываяc broń – sztylety, noże do krojenia mięsa, miecze, nawet topory – z rąk oszołomionych wojowników, kobiety wywarły straszliwą zemstę.

Krzyki aka–magów tonęły w ich wrzasku, Puste i nieszkodliwe niczym krakanie wron.

Odurzeni opium Drudżanie i Tatarzy zaczęli walczyć.

Wtedy przybyłam.

Widok był straszny. Otumanieni czy nie, byli wyszkolonymi wojownikami, a wielu z nich miało półpancerze lub skórzane zbroje – tak wyglądała etykieta w sali biesiadnej Mahrkagira. Kobiety z zenany umierały... Efezjanki, Hellenki, Dzebenki – wszystkie nacje, krew bryzgała na skórę jasną i ciemną, lepiała pszeniczne i kasztanowe włosy, czarny jedwab Ch'in, wełniste kędziory Dzebe–Barkal.

Gdzieś powstały ogniska oporu. Widziałam, jak Kaneka wija toporem niczym młotem, pokazując zęby w uśmiechu wojownika, z rękami po łokcie unurzany w krwi. Grupka Chowatek walczyła z ponurą zaciekłością. Akadyjscy eunuchowie zdarli zbroje z martwych i zmagali się z żywymi. Po drugiej stronie sali Erich ze Skaldii bronił drzwi do kuchni z zażartością typową dla swojego narodu, wspierany przez Ruszada z kilkoma sługami.

A pośrodku sali...

Joscelin.

Tyle mogę przysiąc: to nie szaleństwo Angry Mainju nim owładnęło. Wiem. Byłam z nim w korytarzu, gdy spadło na kobiety. Jego gniew był inny, nie zepsuty, zrodzony w czarnych zaułkach Amilcaru, gdzie znaleźliśmy dzieci, podsycony przez przeznaczenie, tłumiony i w końcu wyzwolony, wyostrzony do perfekcji w służbie u Mahrkagira.

Nigdy w życiu nie widziałam bardziej czystego i morderczego tańca śmierci.

Trzymając miecz oburącz, Joscelin z wdziękiem wykonywał kasjelickie figury, a jego twarz była tak spokojna i skupiona jak wtedy, gdy rankiem ćwiczył w ogrodzie. Uśmiechał się, jego błękitne niczym niebo oczy jaśniały, a gdzie szybował miecz, tkając srebrną

nić w ciemnym powietrzu, tam spadała śmierć. Przypuszczam, że kolczuga dobrze mu się przysłużyła, chroniąc przed ciosami.

Większość z jego ofiar nie miała szans na osiągnięcie celu.

Zdawało się, że broń się go nie ima.

A ciągnęli do niego – ciągnęli jak ćmy do płomienia, Drudżanie i Tatarzy, porzucając kobiety i spiesząc na środek sali, żeby podjąć wyzwanie. Kereicki wódz Jagun rzucił się z krzykiem furii, niemal się potykając rozjuszony, dopiero teraz rozumiejąc, jaka zdobycz uciekła mu z rąk. Joscelin powalił go jednym ciosem; jeden cios zakończył i pomścił zło, jakiego Imriel doznał z rąk Tatara. Trup Kereita upadł na podłogę sali, lecz wciąż napływali inni. To było szaleństwo, istne szaleństwo. Mroczny władca Daršangi zbyt późno zrozumiał, kto znalazł się w jego gronie. Joscelin, sługa Kasjela, mój towarzysz doskonały, tańczył z pachołkami Angry Mainju w coraz wyższym kręgu zwłok, na kamieniach śliskich od krwi.

– Imriel! – krzyknęłam, kiedy go ujrzałam.

Syn Melisandy wymachiwał kuchennym nożem i warczał, cofając się przed drudżańskim żołnierzem, wdrapując się na ławę, na stół. Drudżanin z mieczem w dłoni ścigał go, gramoląc się za nim. Wsparł jedno kolano na stole i składał się do ciosu sztychem, gdy, zdjęta grozą, chwyciłam oburącz ławę i przewróciłam ją razem z wojownikiem.

Drudżanin upadł ciężko, uderzył potylicą o kamienną podłogę.

– Pani – wymamrotał po persku, patrząc na zawieszoną nad nim moją twarz. Elua wie, ile opium krążyło w jego żyłach. – Pani.

– Szachriar Mahrkagir nie żyje – powiedziałam cicho. – To koniec.

– Więc... to jest twoje? – Rozbawiony, wciąż leżąc na plecach, podniósł miecze rękojeścią w moją stronę.

Ponieważ nie wiedziałam, co innego zrobić, wzięłam niezdarnie ciężką broń. Żołnierz westchnął i zamknął oczy.

Zgiełk bitwy przycichał.

To było dziwne, ta zapadająca cisza. Wszędzie jęczeli ludzie,

krwawiący i konający, ale szcęk broni cichł stopniowo. Choć zdawało się to niemożliwe, zbliżał się koniec, odurzeni narkotykiem, zdezorientowani wojownicy tracili siły z wyczerpania i upływu krwi. Kobiety z zenany zbiły się w grupy. Zobaczyłam, jak Drucylla kuśtyka wokół sali, trzymając się za brzuch, gdzie rosła ciemna plama, i opatruje rannych. W sali biesiadnej panował krwawy bałagan, stoły były powywracane, kotary na podwyższeniu podarte na strzępy, nawet gruz wypełniający studnię-palenisko został rozrzucony. Akamagowie i magowie kręcili się bez celu, osamotnieni i oszołomieni, bezsilni. Pośrodku sali Joscelin wspierał się na mieczu, oddychając ciężko, otoczony kręgiem śmierci.

Nie został przy życiu nikt z wolą do dalszej walki.

Z wyjątkiem jednej osoby.

Nie krzyk powitał jego przybycie, lecz pogłębiająca się cisza. Zdawało się, że nawet ranni wstrzymali oddech. Cień Tahmuras przyciemnił salę. Zdawało się, że jego ramiona wypełniają wejście. Nawet z daleka widziałam ślady łez na jego twarzy. Przypuszczam, że on jeden rozpaczał po śmierci Mahrkagira, po śmierci człowieka, którego kochał. To nas łączyło, jego i mnie – tylko my zapłakaliśmy. Wszedł do sali wolnym, miarowym krokiem. Nikt nie kiwnął palcem, żeby go zatrzymać. Joscelin powoli uniósł głowę, spojrzenie jego zmęczonych oczu zatrzymało się na roslym wojowniku.

– Ty – powiedział Tahmuras głosem napiętym z bólu, wskazując go trzonkiem swojej broni. Zdawało się, że przemówiła góra. – Umrzecie. – Machnął gwiazdą zaranną, wskazując nas wszystkich. – Wszyscy umrzecie za to, coście zrobili!

Zbyt zmęczony, żeby mówić, Joscelin tylko pokiwał głową. Sztych jego miecza oderwał się od kamiennej podłogi, gdy gotował się do podjęcia tego ostatniego wyzwania.

Nie jest to walka, którą chcę pamiętać.

Nie jest to walka, o której śpiewają poeci.

Gwiazda zaranna jest zabójczą bronią, i trudną. Niewielu

wojowników umie nią dobrze władać. Drudżanin Tahmuras miał talent. Szybszy, niż można by sądzić, przemknął zwinnie pomiędzy stosami trupów, celując kolczastą kulą w nogi Joscelina. W lewej ręce trzymał długi sztylet i ciął nim, gdy Joscelin obracał się, unikając kuli. Tutaj kasjelickie umiejętności nie przydawały się na wiele.

Joscelin został zmuszony do obrony i cofał się, potykając o ciała zabitych przez siebie wojowników. Parował ciosy chaotycznie, nieprzewidywalna gwiazda zaranna przedarła się przez jego obronę, łańcuch groził wydarciem broni z jego ręki. Cofając się przed atakiem Tahmuras, dotarł do podwyższenia i ostrożnie wspinał się po stopniach, naciskany przez przeciwnika. Ścisnęłam rękojeść drudżańskiego miecza, zapomnianego w chwili przerażenia, gdy nagle ręka Imriela mocno zamknęła się na moim ramieniu. Chłopiec klęczał na stole za moimi plecami.

– Fedro! – szepnął nagle.

– Wiem – odparłam ze łzami w oczach, patrząc na pojedynek. – Wiem.

– Nie! – podniósł głos. – Spójrz!

Prześledziłam kierunek, w jakim wskazywał palcem nad moim ramieniem, i zobaczyłam zbliżającego się kapłana Gasztahama.

– Pani – rzekł z okropną parodią uprzejmości, trzymając hebanową laskę jak pałkę. Szedł chwiejnym krokiem, ale jego oczy pod hełmem z czaszki dzika były skupione i zdecydowane. – Pani Fedro nó Delaunay z Terre d’Ange, mamy niedokończoną sprawę.

– Dewa Gasztaham. – Przypomniałam sobie o mieczu i podniosłam go, trzymając oburącz, żeby nie drżał. – Odłóż laskę. Drzwi są zamknięte.

Uśmiech ohydnie wykrzywił twarz kapłana.

– Możliwe, pani. Możliwe. Ale zostałaś obiecana Angrze Mainju i on cię dostanie, nawet jeśli własnymi rękami będę musiał roztrzaskać ci czaszkę– Później dam mu chłopca i każdego, kto wejdzie mi w drogę. – Poderwał laskę do ciosu, nie bacząc na miecz, który trzymałam w

dłoniach i mierząc w moją głowę. – Czy wiesz, co zrobiłaś?! – krzyknął z kropelkami piany w kącikach ust. – Czy wiesz, jaką zapłaciłem cenę? Wiesz, co zniszczyłaś? Bodajby szeszła twoja dusza!

– Tak, panie – odparłam spokojnie, celując sztychem w jego serce, wiadoma ciężaru miecza, świadoma obecności Imriela, świadoma ukradkowego ruchu w cieniach sali, gdzie nie miałam odwagi zerkać. – Wiem.

– Zatem giń! – syknął Gasztaham, prężąc mięśnie.

Przygotowałam się na cios. Nie spadł.

Silna czarna ręka chwyciła od tyłu jego twarz, palce zakryły usta, szarpnęły głowę do tyłu, odsłaniając gardło. Zobaczyłam w cieniach błysk uśmiechu Kaneki, gdy podniosła drugą rękę i ostrze sztyletu zaświeciło w mroku.

Trysnął jasny strumień krwi z tętnicy. Rzuciłam się w bok, żeby go uniknąć, pociągając za sobą Imriela.

– Dobra robota, mała – powiedziała Kaneka, z zadowoleniem patrząc, jak wstrząsany drgawkami aka-mag umiera, a spływające po podłodze strużki krwi zbierają się pomiędzy płytami. – Miałam nadzieję, że zabiję któregoś z tych łotrów.

Nie zwracając na nią uwagi, podniosłam się, żeby odszukać Joscelina.

Było źle.

Cofał się desperacko, trzymając miecz przed sobą, spychany krok po kroku, już nie na podium, ale wzdłuż ściany. Tahmuras nacierał niezmiernie, wymachując gwiazdą zaranną. Joscelin miał coraz wolniejsze ruchy unikając kolejnych ciosów, ustawiając się bokiem i cofając, żeby podjąć obronę, coraz niżej trzymając poszczerbiony, zakrwawiony miecz, widziałam, jak ręce mu drżą z wysiłku, stopy szukają pewnego oparcia na śliskich kamieniach.

A Tahmuras ścigał go, dysząc żądzą zemsty, uderzając wysoko i za chwilę nisko, kolczasta kula zataczała kręgi, ani na chwilę nie tracąc pędu. Stało się, musiało się stać. Kula musnęła kolano. Joscelin

zachwiał się i opuścił gardę, a wówczas kula znów śmignęła w powietrzu i uderzyła mocno w jego lewe ramię.

Usłyszałam krzyk bólu, zobaczyłam, jak pozbawiona czucia dłoń wyrzupuszcza sztylet. Tahmuras z czerwonymi od łez oczami uśmiechał się posępnie, kołysząc gwiazdą zaranną. Kolczasta kula zatańczyła wokół miecza Joscelina, łańcuch zacisnął się na ostrzu.

Drudżanin szarpnął mocno i Joscelin został rozbrojony, miecz zagrzechotał na kamiennej podłodze. Wbiłam w usta kostki palców, tłumiąc krzyk. Zdesperowany Joscelin odwrócił się i wyrwał z uchwytu pochodnię, potrząsając nią jak mieczem. Cofał się krok po kroku, wymachując płomieniem przed twarzą olbrzyma, który skradał się za nim, zapędzając go w kąt sali. Lewa ręka Joscelina zwisała bezwładnie, bezużyteczna. Parował ciosy drugą, pochodnia rysowała smugi światła na tle ciemno' t. tylko opóźniając nieuchronny ostateczny cios.

Zapomniałam o Imrielu.

Był szybki, bardzo szybki. Nim pomyślałam, żeby go zatrzymać, już biegł przez zasłaną trupami salę, zmierzając do kasjelickiego miecza.

– Joscelin! – krzyknął głosem wysokim i dźwięcznym.

Walczący zatrzymali się, odwrócili. Imriel podniósł miecz. Gdy ostrze zazgrzytało po kamieniach, strzeliły iskry. Joscelin rzucił pochodnię jak włócznie...

...prosto w odsłonięte palenisko.

Z hukiem, który wstrząsnął krokwiemi, wzniosła się kolumna ognia, Świętego Ognia Ahury Mazdy, żywe, wijące się płomienie, złote, szafranowe i czerwone, sięgały ku kopule. Tahmuras, wielki cień przed ogniem, stał skamieniały ze strachu, z ustami otwartymi do krzyku, skruchy lub bólu. Joscelin bez chwili wahania chwycił miecz w prawą rękę. Jednym ruchem przeszył serce olbrzyma.

PIĘDZIESIĄT SIEDEM

Nikt nie wiedział, co będzie dalej.

Po tym, jak słup ognia wyczerpał swoją furję i przygasł do umiarkowanego płomienia, najlepiej zapamiętałam starego maga Arszakę. Ze łzami w zaczerwienionych oczach, wyciągając ręce w geście błogosławieństwa, poruszając ustami w modlitwie, klęczał przed Świętym Ogniem, a jasne płomienie oświetlały jego brudne szaty. Zapamiętałam to, bo sama nie miałam czasu na modły.

Podeszłam prosto do Joscelina. Siedział na zbryzganych krwią karnieniach i łapczywie chwycił powietrze, z prawą ręką zamkniętą lekko na rękojeści wyszczerbionego miecza, a lewą na brzuchu. Pachniał przypaloną wełną gorącym metalem.

– Chłopiec’ – zapytał, podnosząc wzrok.

– Żyje – wykrztusiłam. – Żyje, kochanie.

– Widzisz? – Imriel ukląkł przed nim z zatroskaną miną. – Joscelinie, – Jestem tutaj.

Joscelin pokiwał głową i zamknął oczy.

– Zajmij się innymi – mruknął. – Nie umrę od złamanej ręki.

Wstałam.

– Zostań z nim – przykazałam Imrielowi. – Słyszysz? Zostań z nim, bo jak nie, to przysięgam, że sama cię zabiję.

– Zostanę. – Imrielowi głos się załamał. Skulony na kamiennej podłodze, spojrzał na mnie oczyma matki z takim wyrazem, jakiego u niej nigdy nie widziałam. – Obiecuję, Fedro, zostanę.

Trzeba było to zrobić. Podczas gdy niedobitki Drudżanów i

Tatarów, otępiałych od opium i ze strachu, składały broń – jedni przybyszom z zenany, inni magom, płaczącym otwarcie przed Świętym Ogniem – poszłam ocenić stan rannych i policzyć poległych.

A za bramami Daršangi wybuchła rewolucja.

Nie wiem, jakie historie opowiadają w Drudżanie. Nie zostałam tam na tyle długo, żeby je usłyszeć, nie wróciłam tam więcej i póki tchu w piersi nigdy tam nie powrócę. Jedno wiem na pewno, bo dowiedziałam się tamtej nocy: ognie rozpalone w pałacu zapłonęły w mieście i w całym kraju. Dżahandar, Kraina Ognia, odzyskała starożytne miano i ręka Ahury Mazdy wyciągnęła się po swoją własność.

Tak, możliwe, ale to ludzie z setek różnych krajów, jeńcy i niewolnicy, zapłacili za niego okup.

Tak wielu zginęło. Tak wielu.

W drzwiach do kuchni konał Skald Erich, krwawiąc z tuzina ran, z mieczem w dłoni i spokojem na twarzy. Ruszad, z kuchennym nożem w ręce, leżał martwy w poprzek jego kolan, do samego końca dzielnie broniąc pokonanego przyjaciela; łagodny Ruszad, który był takim wojownikiem, jak nie przymierzając ja. Mogłam tylko chwycić Ericha za ręce i śpiewać mu cicho kołysanki, jakich się nauczyłam w niewoli. Zmarł z uśmiechem, jego ręka zwiotczała w mojej. Poszłam dalej. Tak wielu poległych. Jolanta, z palcami zaciśniętymi na rękojeści drudżańskiego miecza, zlepionymi przez krew. Efezjanka Naznira, gibka w śmierci jak za życia, z tatarskim toporem w czaszce. Spośród kobiet z zenany zginęła co trzecia... Erich, Ruszad, dwóch akadyjskich eunuchów. Wszyscy odeszli.

Ale inni przeżyli.

Do sali wszedł, kulejąc, Uru–Azag. Szary na twarzy i ponury, zaczął gromadzić oddział do obsadzenia fortecy. Po rozpaleniu Świętego Ognia nikt nie stawiał oporu. Z pomocą Kaneki, naradzając się z Joscelinem, który podciągnął się na ławę, panowali nad sytuacją. Tu i ówdzie błakali się otępiali z szoku nowicjusze, dowiedziawszy się

poniewczasie, że próżno złożyli ofiarę. Panowanie Angry Mainju dobiegło końca.

Jeden człowiek, ze szkarłatnym strumykiem krwi zasychającym na brodzie, przyjął to najgorzej. Pamiętałam go. To on przyprowadził na podium swojego syna, chłopca cztero- lub pięcioletniego. Był w wieku Mahrkagira, pomyślałam, kiedy Akadyjczycy zajęli Daršangę. Uderzyliśmy za późno, ojciec zdążył zjeść jego serce.

Gdybyż był inny sposób.

Robiłam, co mogłam, ignorując dziękczynne modlitwy magów. Przywołałam doświadczenia z wielu pól bitewnych, żeby pomagać Drucylli, która opatrzyła swoje rany i chodziła na drżących nogach. Mocno przyciskając pięść do brzucha, z trudem wysapywała rozkazy. Córka kartagińskiego cieśli kroczyła za nią jak cień, pomagając bez słowa, werbując innych. Szwaczka z Caerdicca, która przerobiła moją suknię, pod kierunkiem Drucylli nauczyła się zszywać skórę i ścięgna.

Razem uratowałyśmy wielu.

Wreszcie przyszła kolej na Joscelina. Już zdjęcie kolczugi było dla niego torturą.

Nie dokonałabym tego bez Drucylli. To ona mi pokazała, jak wyprostować rękę, ciągnąc, dopóki pęknięte kości się nie wyrównają, jak delikatnie obmacać palcami, sprawdzając, czy są na swoich miejscach. Z kroplami zimnego potu na czole Joscelin klął na czym świat stoi – nawet nie przypuszczałam, że zna takie słowa. A potem było po wszystkim. Owiązałam złamaną rękę zgodnie z instrukcjami Drucylli, okręcając mocno kawałkami wełnianego materiału i mocując łubkę.

– Temblak – mruknęła Drucylla, skubiąc swój szal. – Ręka musi być nieruchoma. Weź. Nie będę go potrzebować.

– Nie – szepnęłam, klękając przy niej. – Nie, Drucylo.

– Nie będzie mi już potrzebny – powtórzyła słabym głosem, z uśmiechem podnosząc okaleczone ręce do moich włosów. – Fedra. Rzeczywiście powiedziałaś prawdę? Pechowe imię. Ja jednak umrę

tak, jak żyłam, będąc lekarzem do samego końca, a nie stworzeniem z ciemności. Ty mi to dałaś. Nie przypuszczałam, że znajdę taki dar, nie tutaj.

– Nie. – Łzy spływały mi po policzkach, słone i gorzkie; to niesprawiedliwe, żeby ona, która tak dzielnie walczyła o życie, o zdrowe zmysły, miała tutaj umrzeć. – Jeśli tylko powiesz nam, co trzeba zrobić... Drucylo, damy radę, przysięgam!

Szwaczka za moimi plecami przytaknęła i poparły ją inne osoby.

– Ostrze przeszło wnętrzości – powiedziała Drucylla łagodnie. Jej ręka opadła, palce przesunęły się po mojej mokrej od łez twarzy. – Czuję to, dziecko, truciznę we krwi. Gdybyś miała narzędzia chirurga i wprawę... – Uśmiechnęła się ze smutkiem, skubiąc wełniany materiał. – I tak byłoby za późno. Weź szal.

Wzięłam, drżąc z rozpacz. To było jej życzenie. Patrzyła, jak szwaczka Helena starannie składa szal i zawiązuje supły, robiąc temblak dla Joscelina. Potem powieki jej zadrżały i opadły. Uru–Azag i dwaj Akadyjczycy zanieśli ją ze czcią w kąt sali, gdzie urządziliśmy infirmerię. Położyli ją na poduszkach przeniesionych z zenany i okryli kocami.

– Pamiętaj o tym – powiedziałam do przyglądającego się temu z powagą Imriela. – Pamiętaj o jej odwadze. Pamiętaj o nich wszystkich.

Pokiwał głową.

Drucylla zmarła nad ranem.

Niedługo później przyszedł po mnie najwyższy mag z lampą w ręce.

– Chodź – powiedział po persku, a ja zamrugałam, wyrwana z płytkiej drzemki na materacu w infirmerii. Znaleziono gdzieś czystą szatę dla starca i umyto mu włosy i brodę. Pomimo głębokich bruzd, które żłobiły jego twarz, wyglądał na znacznie silniejszego niż przed zaledwie paroma godzinami. – Musimy pomówić.

Joscelin natychmiast stał się czujny, sięgając zdrową ręką po miecz.

– Zostań z nimi – powiedziałam do niego.

– Mam spuścić cię z oka? Nie ma mowy – mruknął. Wstał i przywołał jednego z Akadyjczyków, żeby stanął na straży przy rannych i śpiącym Imrielu. – Teraz możemy iść – rzekł do sędziwego maga.

Arszaka skłonił głowę.

– Jak sobie życzysz, Doręczycielu Znaków.

Poprowadził nas przez pałac po krętych schodach do jednej z wież obserwacyjnych. Tam na małym poddaszu leżał martwy drudżański strażnik – kto go zabił, nie wiem. Okiennice zostały otwarte, widziałam kwadrat ciemności nad miastem i terenami za nim.

– Patrz – powiedział najwyższy mag – Dżahandar, Kraina Ognia.

Święty Ogień płonął w zburzonej świątyni w mieście Daršandze.

Wszędzie mrugały zapalone pochodnie. Głosy podnosiły się radośnie i modlitwa płynęła na nocnym wietrze, niosąc imię Ahury Mazdy. Dalej, na równinie półwyspu, płomienie były rozproszone jak gwiazdy, które wyłaniają się zza chmur.

– Nie możecie tu zostać – oznajmił cicho mag Arszaka. – Pan Światła odzyskał swój lud. Niedługo przybędą do Daršangi, a jest was za mało, żeby utrzymać pałac.

W gardle Joscelina zrodził się dźwięk przywodzący na myśl posępny śmiech.

– Teraz jest nasz, magu – przypomniałam.

– Tak – przyznał. – Tej nocy. Macie jeńców, sługi, magów, wszystkich posłusznych waszej woli. Ahura Mazda zezwolił na to, co uczyniliście. Ale co będzie o świcie? Czy kobiety z zenany będą walczyć, gdy szaleństwo Angry Mainju przeminęło? A może utrzymacie drzwi z garścią eunuchów i rannych wojowników? Czy łaska Ahury Mazdy przetrwa, jeśli wezwiecie pomoc z Khebbel-im-Akad i skierujecie Włócznię Szamasza w nasze serce? – Powoli, z żalem pokręcił czcigodną głową. – Nie. Lepiej będzie, gdy otworzycie drzwi Daršangi i wrócicie do domu. Zostawcie nas samym sobie.

Wsparłam ręce na parapecie, patrząc na ludzi z drugiego

garnizonu, którzy gromadzili się przy drzwiach na dole. Byli bez broni i błagali o wpuszczenie, żeby szukać odkupienia w blasku Świętego Ognia.

– Pomiedzy Daršangą a granicą jest kilka tysięcy ludzi Mahrkagira, magu. Wybierzemy drogę morską.

– Są wśród was żeglarze i wioślarze? – Wyczytał odpowiedź w mojej twarzy. – Gdyby tu był statek odpowiedni do waszych potrzeb, dziecko, sam kazałbym go przygotować. Ale mamy tylko łodzie rybackie, a na nich żegluga skończy się dla was na skałach. Musicie podróżować lądem. Rządy Angry Mainju dobiegły końca, a jego dawni słudzy odpowiedzą przed ludem Drudżanu. Jeśli dasz mi słowo, że w Akadzie przemówisz za pokojem, rozkażę, by przepuszczono was bez przeszkód.

– Jesteś władny to zrobić?

Światło lampy przydawało jego rysom surowego dostojeństwa.

– Z łaski Ahury Mazdy, tak.

– Ahury Mazdy – mój głos stwardniał. – Magu, nigdy świadomie nie bluźniłam przeciwko bogom żadnego kraju i nie lekceważę twojej długiej niedoli. Ale tej nocy... tej nocy swoją władzę zawdzięczasz łasce Błogojonego Elui i bogom Terre d'Ange, współczuciu Nammy, okrutnej sprawiedliwości Kusziela i nade wszystko wierności Kasjela.

Joscelin drgnął na te słowa. Najwyższy mag stał nieporuszony.

– Możliwe, dziecko Elui – przyznał, a w jego tonie pobrzmiwało dawne echo głosu aka-maga Gasztahama. – Możliwe. Ale z woli twoich bogów został uwolniony Pan Światła, a ty jesteś daleko od Terre d'Ange. posłuchaj mojej rady i odejdz.

Decyzja była zbyt poważna, żebym mogła podjąć ją sama. Byłam wdzięczna, że żyję, ale też zmęczona do nieprzytomności, wyczerpana na ciele i duchu. Dotychczas nie wiedziałam, że można zaznać takiego znużenia i żyć. Bogowie Terre d'Ange są może litościwi, ale bezwzględnie wykorzystują swoich wybrańców. Głowa bolała mnie od płaczu nad zmarłymi, a musiałam jeszcze podliczyć koszty dla

żywych. Ach, Eluo! Ja i Joscelin poniesiemy największe. Moje zadanie było dalekie od ukończenia. Miałam dług wobec zenany – i wiązała mnie obietnica. Był Imriel. Zaufał mi. Musiałam zrobić wszystko, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo. Dalej nie wybiegałam myślą. Odwróciłam się od starca, wsparłam czoło na ramie okna i patrzyłam na ciemną równinę usianą ogniami, mrugającymi jak dalekie gwiazdy.

– Joscelinie – szepnęłam – co mamy zrobić?

Stanął za mną.

– Ukochana. – Pieszczota w jego rwącym się głosie przywiodła mi łzy do oczu. – Chyba nie mamy wyboru. Kapłan ma rację. Czy rozkażesz zabić jeńców, jeśli się zbuntują przeciwko nam? I sługi? – Pokręcił głową. – Ja nie mógłbym tego zrobić. Ty też nie. A inni, gdyby to uczynili... Po co byłoby ich wyzwalać, gdyby mieli się stać tacy sami, jaki ci, którymi pogardzali? Na dobre czy na złe, Błogosławiony Elua uwolnił Ahurę Mazdę. Jego wola nas tutaj przywiodła. Myślę, że tylko w niej możemy pokładać nadzieję i modlić się, żeby nas stąd wyprowadziła.

Próbowałam wymyślić jakiś inny sposób. Nie potrafiłam.

– Potrzebuję pomocy – powiedziałam, odwracając się do maga Arszaki – Każdej, jakiej możecie udzielić. Potrzebne będą konie, wierzchowce dla wszystkich, którzy zdołają utrzymać się w siodle, i wozy dla pozostałych. Do tego zbroje i broń dla ludzi zdolnych do jej noszenia, a także ekwipunek, bandaże, leki, namioty, koce i tyle prowiantu, żeby wystarczyło co najmniej do granicy. Do tego karawana mułów, poganiacze i tragarze. Ma nam towarzyszyć czterech magów, których uznasz za dość silnych, by wytrwali w podróży. Jeśli masz talizmany albo znaki świadczące o ochronie Ahury Mazdy, też chcę je dostać.

Po każdym zdaniu kiwał głową, a kiedy skończyłam, powiedział:

– Tak będzie. Dostaniecie to wszystko.

– Lepiej, żeby tak było. – Podeszłam do sędziwego maga, który

cofnął się spiesznie, żeby nie skałała go moja bliskość. Po jego oczach poznałam, że wciąż jestem Dziwką Śmierci, faworytą Mahrkagira. – Magu, przysięgam, jeśli nas oszukasz, to módl się do Elui o zmiłowanie dla swoje duszy.

– Nie kłamie – odparł Arszaka chłodno. – Nigdy.

Tak oto nasz los został przesądzony.

PIĘĆDZIESIĄT OSIEM

Wyruszyliśmy przed zachodem słońca.

Było za mało czasu, żeby odpowiednio przygotować się do takiej trudnej podróży, ale obecność niebezpieczeństwa mrowiła nas po skórze i wszyscy pragnęliśmy wyrwać się z cienia Daršangi.

Najwyższy mag Arszaka dotrzymał słowa. Ogołococono spichrze i stajnie, żeby dostarczyć nam wszystko, o co prosiłam. Kiedy otworzono drzwi pałacu, przygotowaliśmy się na walkę, a nawet na śmierć, ale strażnicy z zewnętrznego garnizonu pozdrowili magów jak bohaterów.

Uznałabym to za gorzką ironię, gdybym o to dbała. Nie dbałam. Chciałam tylko bezpiecznie wydostać nas wszystkich z Drudżanu.

W drogę ruszyła większość mieszkańców zenany; zostały tylko Tatarki, żeby dołączyć do współplemieńców, którzy szykowali się do spieszego wyjazdu, bo już nie cieszyli się łaskami w Drudżanie. Byłam zdumiona, że kobiety chciały wrócić do tych, którzy dali je Mahrkagirowi. Ale nie dziwiłam się zbyt mocno. Wola, która nas zjednoczyła, zaczęła słabnąć, a zew krwi – i domu – bywa silny. Pozostałe kobiety miały jechać z nami do Khabbel-im-Akad, gdzie zamierzałam powołać się na więzi z rodem L'Envers i d'Angelińskim tronem. Chciałam nakłonić Walerię L'Envcrs i jej męża, by dopilnowali, żeby każda z byłych niewolnic Mahrkagira wróciła do swojej ojczyzny.

O ile dotrzemy do Akadu.

Polegli mieli zostać pochowani w Drudżanie – z honorami. Obiecał

to najwyższy mag Arszaka. Musiałam uwierzyć mu na słowo. Przysiągł stać na straży prawdy i piętnować mroczne kłamstwo. Zapewne to robił, więc niesłusznie gardzę nim i innymi kapłanami, bo wiele wycierpieli. Ale jestem tylko człowiekiem i nie mogę zapomnieć odrazy na twarzy maga, gdy się do niego zbliżyłam.

Nigdy, jak przypuszczam, żadne przedsięwzięcie nie było równie chaotyczne. Samo wyjaśnienie planów w mieszaninie języków, z przeważającym zenańskim żargonem, zajęło cały ranek. Przygotowanie wozów zabrało resztę przedpołudnia, a przeniesienie rannych trwało prawie do wieczora. Nadzorowałam tę część planu, przez cały czas starając się nie spuszczać oka z Imriela. Trzy razy chodził sprawdzić, czy Tatar Jagun naprawdę nie żyje – choć nie było co do tego najmniejszych wątpliwości – i raz się wymknął na poszukiwanie kasjelickiego sztyletu, którym Joscelin zabił aka-maga. Jedna z kobiet pochwyciła go w czasie dzikiego biegu do sali biesiadnej. Znalazł go, tkwiący po rękojeść w klatce piersiowej drudżańskiego żołnierza.

– Kazałeś mu to zrobić? – zapytałam Joscelina, zmęczona i przygnębiona.

Pokręcił głową.

– Wspomniałem o tym tylko. Mój błąd. Fedro, jesteś pewna, że dasz radę jechać konno? Jesteś biała jak płótno. W trzecim wozie jest wolne miejsce.

– Dam sobie radę.

Joscelin uniósł brwi.

– Fedro – rzekł łagodnie – słyszałem... opowieści.

Odwróciłam wzrok.

– Tak. To nie ma znaczenia. Chcę... chcę odjechać tak, jak przyjechałam. Nie... – Patrzyłam, jak dwóch drudżańskich służących ostrożnie niesie na noszach młodą Hellenkę. – Nie w ten sposób. Nie jak ofiara.

– Dobrze. – Uśmiechnął się cierpko, gdy na niego spojrzałam, i

poruszył ręką na temblaku. – Pamiętaj, jeśli osłabniesz i zaczniesz zsuwać się z siodła, nie zdołam cię podtrzymać.

– Nie spadnę. – Słowa uwięzły mi w gardle; nie pamiętałam, kiedy ostatni raz się uśmiechał, wyjąwszy walkę. – Obiecuję. Joscelinie... – Przycisnęłam palce do bolących skroni, na siłę powstrzymując łzy. – Imri pojedzie na wozie.

– Nie będzie zachwycony.

– Zapewne. Ale to dla niego najlepsze miejsce. Widziałeś, co Jagun zrobił mu w sali. Rany jeszcze się nie zagoiły.

Teraz Joscelin uciekł ze spojrzeniem.

– Nienawidzę tego – powiedział cicho. – Nie masz pojęcia, jak bardzo nienawidzę.

– Wiem. – Nawet gdybyśmy mieli czas, sprawa była zbyt poważna, zbyt świeża, żeby o niej mówić. Dotknęłam jego zdrowej ręki. – Joscelinie, po prostu... po prostu wyjedźmy stąd żywi, to najważniejsze. Reszta może poczekać. Jeśli uda nam się wyjechać, wszystko inne może poczekać.

Po chwili pokiwał głową.

– Będzie musiało.

Parę godzin przed nocą wyjechaliśmy z Daršangi.

Trudna do prowadzenia, wielojęzyczna karawana jeźdźców, wozów i mułów brnęła mozolnie pod śnieżnobiałym sztandarem Ahury Mazdy, eskortowana przez czterech nieszczęśliwych magów. Mimo wszystko posuwaliśmy się do przodu i szare mury Daršangi zostały za nami. W mieście ludzie patrzyli z otwartymi ustami, niepewni, kim jesteśmy, ale nie próbowali nas zaczepiać. Nikt nie kulił się ani nie uciekał. W otwartej świątyni płonął Święty Ogień, grupa robotników uprzętała gruzy z placu i ustawiała marmurowe ławy. W kuźniach panowała cisza. Przejechaliśmy przez miasto i wydostaliśmy się na otwartą przestrzeń.

Joscelin miał rację, jazda wierzchem sprawiała mi ból. Zmusiałam

się do zapomnienia o niezliczonych nocach męki, ale moje ciało nie zapomniało o spustoszeniach dokonanych przez żelazną pałkę Mahrkagira. Musiałam zagryzać usta, żeby nie krzyczeć, gdy siodło naciskało na obolałe miejsca.

Mimo wszystko jechałam konno.

Może zadałam sobie karę, może chciałam odpokutować za cierpienia, jakie spowodowałam w czasie tej przeklętej misji, sama nie wiem. To było głupie, wiem, ale musiałam to zrobić. Przyjechałam do Daršangi z własnej woli. Chciałam wyjechać w ten sam sposób.

A za mną, z determinacją trzymając mnie w pasie i krzywiąc się z każdym końskim krokiem, siedział Imriel. Nie chciał jechać na wozie – Joscelin miał rację. Rozumiałam to, rozumiałam jego niemądre zachowanie lepiej niż własne.

Odziedziczył dumę po matce, a ja nie mogłam nic poradzić – kochałam to u niego.

Jakżeby inaczej, skoro kochałam u niej?

Tak zaczęła się nasza długa nedorzeczna podróż przez Drudżan, którą lepiej byłoby przemilczeć. Wystarczy powiedzieć, że przeżyliśmy ją, w większości. Czasami widywaliśmy żołnierzy, wilki Angry Mainju pozbawione celu i przywództwa. Jedni przychodzili skruszeni po błogosławieństwo magów. Inni uciekali na widok białych flag. Nie wiem, kto władał w Daršandze; być może mag Arszaka.

Kilku rannych zmarło pomimo naszych starań, z powodu zakażenia albo krwotoków wewnętrznych; kobieta uderzona w głowę zasnęła i już nigdy się nie zbudziła. Straciliśmy siedem osób, co znaczyło, że z całej zenany przeżyło ich zaledwie pięćdziesiąt.

Zmarła Hellenka, którą wyniesiono z Daršangi na noszach, wyspiarka sprzedana na targu za garść monet. Miała na imię Ismena; wtedy znałam je wszystkie. Sztynch miecza trafił ją pod pachę i rana zaropiała. Byłam przy niej w noc, gdy konała, bredząc w malignie. Tuż przed świtem gorączka opadła i dziewczyna odzyskała

przytomność.

– *Lypiphera* – szepnęła, patrząc na mnie z uśmiechem. – Wiedziałam, że to ty.

– Sza, leż spokojnie. – Podniosłam wilgotną szmatkę i położyłam rękę na jej czole, gdy próbowała się podnieść. Skórę miała chłodną. – Ismeno, dlaczego tak mnie nazywasz? Już kiedyś słyszałam to określenie.

– Jest pewna opowieść – odparła, patrząc, jak wyzynam gałganek. – Historię tę niewolnicy opowiadają w Helladzie. Czasami sami bogowie uznają, że ból istnienia jest zbyt wielki do zniesienia. Ponieważ są bogami, wybierają śmiertelnika, który znosi go za nich. *Lypiphera*, znosząca ból. – Chwyła moją rękę i przycisnęła do policzka. Zamknęła oczy, wciąż się uśmiechając. – Czasami *lypiphera* przyjmuje również ból zwykłych ludzi. To szczęście, dla niewolników.

– Ismeno. – Nie wiem, który raz przełknęłam łzy, kładąc dłoń na jej delikatnej skórze. – Spróbuj zasnąć.

Rankiem już nie żyła.

A ja myślałam, że niebezpieczeństwo minęło, gdy spadła gorączka. Siedziałam na kamieniu i z zadumą patrzyłam na wschodzące słońce, Joscelin mnie znalazł, gdy zwijano obóz.

– Fedro. – Jego głos rwał się z wyczerpania; wszyscy wtedy byliśmy zmęczeni. – Czas ruszać. Zrobiłaś, co mogłaś.

– Gdybym studiowała medycynę zamiast...

– Nie studiowałaś. – Coś w jego tonie skłoniło mnie do uniesienia głowy. Joscelin westchnął, przegarniając zdrową ręką splątane włosy. – Fedro, daj spokój. Zmarła wolna, w otoczeniu życzliwych jej ludzi. To lepsza śmierć niż ta, która spotkałaby ją w Daršandze. Daj spokój.

Nie mając innego wyjścia, dałam spokój i wróciłam do obozu. Karawana czekała. Pagórek z kamieni znaczył miejsce ostatniego spoczynku Ismeny. Imriel obrócił się w siodle, gdy odjeżdżaliśmy, i patrzył, jak kopczyk maleje.

– „Pamiętaj o nich wszystkich” – powtórzył moje słowa.

Rankami nie było czasu, ale wieczorami, kiedy rozbito namioty, konie i muły przywiązano do kołków i rozpalono ogniska, Joscelin próbował ćwiczyć jedną ręką. Płynna gracia jego ruchów, cała długa dyscyplina opierała się na symetrii i równowadze – wzory tkane bliźniaczymi sztyletami, skrzyżowane zarękawia tworzące żywą tarczę, obracanie dwuręcznym mieczem. Z niewładną lewą ręką poruszał się niezdarnie, psuł ciosy, nie mógł się osłonić. Od czasu do czasu tracił równowagę i nie kończył skomplikowanych figur.

Patrzyłam na niego z bólem w sercu.

Nigdy się nie poskarżył, ani razu. I nie zaprzestał prób, forsując się coraz mocniej, gdy kości zaczęły się zrastać. W czasie pierwszych dni podróży złamana ręka spuchła zatrważająco. Przyglądałam się jej uważnie i z ulgą szeptałam modlitwy, gdy opuchlizna zaczęła maleć. Później w trakcie jazdy trzymał w lewej dłoni dość duży kamień i godzinami ścisnął go rytmicznie, żeby mięśnie nie zwiotczały.

Joscelin miał dziesięć lat, gdy z pełnego miłości galimatiasu Verreuil trafił do ponurego rygoru Bractwa KasjELITÓW. Dopiero w czasie tej podróży przekonałam się, jak to go ukształtowało, jak zahartowało jego stalową wolę. Taki młody, pomyślałam, patrząc na Imriela; tylko chłopiec, drobny i wymizerowany. A ja... ja miałam dziesięć lat, gdy pan Delaunay zabrał mnie z Domu Cereusa i poddał długiej edukacji, która uczyniła mnie tym, kim jestem.

Szkołą Imriela była Daršanga.

„Pamiętaj o tym”.

Dwa razy nawiedziły go koszmary i jego okropne, przeraźliwe wrzaski zbudziły cały obóz. Przestraszeni drudżańscy poganiacze gotowi byli rzucić się do ucieczki, a magowie kulili się lękliwie, wspominając żelazne łańcuchy Angry Mainju. Joscelin z szaleństwem w oczach w jednej chwili zerwał się z posłania i z mieczem w prawicy wypatrywał niepieczeństwa. Akadyjczycy i kobiety z zenany tylko marudzili. Wzięłam Imriela w ramiona, uspokajając go, aż wreszcie

się obudził i poznał mnie. Później płakał, a ja go tuliłam, gdy szloch wstrząsał jego drobnym ciałem.

Joscelin siedział z mieczem położonym w poprzek kolan, patrząc na nas ze znużeniem.

Nie rozmawialiśmy o tym, co się działo w Daršandze. Było za wcześnie, było tego zbyt dużo. Najpierw wydostańmy się stąd żywi, powiedziałam. Co stanie się z nami później, nie umiałam powiedzieć. Miłość nie wygasła, tyle wiedziałam. Serce mi pękało, gdy na niego patrzyłam. A on... słyszałam to w jego głosie, widziałam w zranionym spojrzeniu, czułam w dotyku. Miłość, strzaskana i zniszczona, być może nieodwracalnie. Modliłam się, żeby było inaczej. Wieczorem przyglądałam się jego niezdarnym ćwiczeniom i dławił mnie strach. Przeżył, kości się zrosną, ale czy odzyska dawną sprawność? Niekiedy coś, co zostanie złamane, już nigdy nie utworzy całości.

Modliłam się, żeby nie stało się to z naszą miłością.

W połowie drogi znalazłam na dnie sakwy nefrytowego psa, dar Mahrkagira. Siedziałam wstrząśnięta na podłodze namiotu, patrząc na figurkę. Pamiętałam, z jaką przyjemnością Mahrkagir dawał mi prezenty, pamiętałam jego chłopięce rozradowanie. Myślałam, że zostawiłam wszystkie podarunki. Wspomniałam noce bolesnej rozkoszy, upajający, rozdzierający ból i błagalne brzmienie mego głosu. Wspomniałam jego oczy, czarne, błyszczące i obłąkane, pełne uwielbienia, i jego serce bijące miarowo pod moją ręką, gdy przykładałam śmiercionośną szpilkę.

– Pomyślałem... pomyślałem, że będziesz chciała go mieć. – Imriel wśliznął się do namiotu, niepewny i pełen rezerwy. – Nie wiedziałem.

– Tak. – Pragnęłam odrzucić figurkę, ale zamiast tego zacisnęłam ją w dłoni, gładką i wypolerowaną, czując chłód nefrytu. – Miałeś rację. Dziękuję, Imri.

Zabiłam człowieka, zamordowałam jego zaufanie, odebrałam mu życie. Gdybym miała to powtórzyć, zrobiłabym to, jestem pewna. A jednak nie mogłam zapomnieć.

Nie powinnam zapomnieć.

W przypadku innych było inaczej. Oni nie wybrali swojego losu i cień winy za przelaną krew nie ciążył na ich duszach. Pomimo wszystko, pomimo cierpienia i szaleństwa, pomimo dziesiątków ofiar, im bardziej oddalaliśmy się od Daršangi, tym bardziej poprawiały się nastroje. Serce rosło mi na ten widok, chociaż im zazdrościłam. Uruazag i Akadyjczycy odnaleźli w bitwie miarkę utraconej dumy. Jeśli wracali do domu nie jako mężczyźni, to byli kimś więcej niż niewolnikami.

A kobiety...

Z początku, jak myślę, wiele z nich nie śmiało wierzyć w odmianę losu. Nim dotarliśmy do gór, trzymany na smyczy strach ustąpił nadziei, a nadzieja pełnej rezerwy radości. Teren sprawił, że podzieliliśmy się na grupy, które odzwierciedlały podziały w zenanie. Zenański żargon popadał w zapomnienie, gdy kobiety zaczęły mówić o domu w ojczystych językach, a te, które miały rodziny i ukochanych, zastanawiały się, jak zostaną przyjęte.

Kaneka jako jedyna nie miała wątpliwości. Dzika i gniewna, korzystała z wolności niczym jastrzęb, który wyrwał się z klatki. Jechała konno ze zdobycznym toporem u siodła i sztyletem zatknętym za szarfę w talii.

– I co, mała – zagadnęła mnie w dzień, w który wjechaliśmy w góry, spowalniani przez wozy – wybierasz się do Dżebe–Barkal?

– Na to wygląda.

– Może pojedę z tobą. – Uśmiechnęła się szeroko, pokazując białe zęby. – Jedź ze mną do Debeho. Moja babka, o ile żyje, opowie ci wiele historii o Melehakimach.

– Mam w Iskandrii umówionego przewodnika do Meroe.

– Iskandria. – Kaneka lekceważąco machnęła ręką. – Przewodnik karawan. Oskubie cię do żywego. Lepiej popłyn Wielką Rzeką do Madżibary i tam kogoś wynajmij. Ze mną nie zostaniesz okradziona.

Jechaliśmy tak wolno, że kilku Akadyjczyków zsiadło z koni i strzelając z łuków, polowało na kuropatwy i zające.

– Mówisz poważnie, *fedabin*?

– A jak myślisz? – Kaneka musnęła palcami skórzany woreczek, który zawierał bursztynowe kości. – Twoje szczęście... twoje szaleństwo. Zawdzięczam mu wolność.

– A inni zawdzięczają śmierć.

Wzruszyła ramionami.

– Ty ich zabiłaś? Nie. Ja w każdym razie żyję. To mi wystarczy. Możesz przyjąć propozycję albo nie, twoja sprawa. Niemniej jednak jestem ci wdzięczna.

Popatrzyłam na nią i pokiwałam głową.

– Przyjmuję.

PIĘĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

Trzeciego tygodnia powolnej podróży przez góry znalazł nas Tizrav, syn Tizmahta.

Czekał w obozowisku niedaleko starego królewskiego traktu, zajęty opracowaniem upolowanego jelenia. Usłyszałam zamieszanie na czele karawany i pojechałam sprawdzić, z Joscelinem kilka kroków za mną.

– Pani. – Najemnik powitał mnie po persku, szczerząc zęby pod brudną przepaską na oku, z rękami ociekającymi krwią. – Panie. Wróciliście.

– Tizrav! – Tak się ucieszyłam na jego widok, że miałam ochotę go ucałować. – *Lugal* cię przysłał? Pan Amaury? Są w pobliżu?

– Amaury. – Wsunął nóż głębiej pod skórę jelenia i oddzielił ją wprawnie. – To on wyznaczył nagrodę. Z fortu Damseen zobaczyli ogniska. Przekłęci Akadyjczycy wciąż są zbyt przestraszeni, żeby iść i sprawdzić. Twój pan Amaury zaproponował złoto temu, kto pójdzie na zwiady. Ja się zgłosiłem.

– Znasz tego człowieka? – Uru-Azag patrzył znad orlego nosa na Tizrava.

– Jest najbardziej zaufanym przewodnikiem *lugala* – odparłam, mocno naciągając prawdę.

– *Lugal* każe obedrzeć kogoś ze skóry, kiedy się dowie, że gromada kobiet i eunuchów jedzie swobodnie przez Drudżan, a jego ludzie boją się zrobić krok za granicę – powiedział Tizrav, przesuwając ciało opracowanego jelenia. – Co się stało?

– To długa historia. Mamy zagwarantowany bezpieczny przejazd.

Tizravie, jak daleko jest do granicy?

– W waszym tempie? Dwa dni, może trzy. – Popatrzył na Imriela, który wyglądał zza moich pleców, z niezdrową fascynacją obserwując oprawianie zwierzyny. – Widzę, że masz chłopca, po którego pojechałaś.

– Tak. Granica jest strzeżona?

– Przez Drudżanów? – Wzruszył ramionami. – Cała armia mogłaby przemaszerować, nie natrafiwszy na opór i *lugal* zapewne tak zrobi, gdy tylko się o tym dowie. Uznałem, że zaczekam. Sinaddan nie obiecał złota, w przeciwieństwie do pana Amaurego.

Ktoś podsłuchał jego słowa i wieści pomknęły jak wicher, tłumaczone na tuzin języków. Na wzmiankę o armii najeźdźców rozległy się wiwaty. Podniosłam rękę.

– Nie! – Ostre, wypowiedziane z mocą słowo uciszyło okrzyki. Wzięłam głęboki oddech i przemówiłam w zenańskim: – Drudżan chce prosić o pokój, a ja dałam słowo, że przekażę wiadomość. Niech nikt nie śmie temu przeczyć. Czy to jasne?

Ustąpili niechętnie.

– A czy ty, synu Tizmahta – powiedziałam do najemnika – powściągniesz język, dopóki ja nie przemówię?

Tizrav wzruszył ramionami.

– Wojna, pokój, co mi do tego? Pierwsze zapewnia większy zysk, a drugie mniejsze ryzyko śmierci. Będę milczał, jeśli sobie życzysz. Mój ojciec, pobożny głupiec, z radością ujrzałby rozpalone Święte Ognie. Chyba tyle jestem mu winien.

Ruszyliśmy do granicy.

Drugiego dnia Tizrav pojechał przodem, żeby uprzedzić garnizon w forcie Demseen o naszym przybyciu. Najemnik czy nie, przyprowadził nas bezpiecznie do Daršangi i ufałam, że dotrzyma słowa. Nie pomyliłam się.

Powoli posuwając się górskimi szlakami, zbliżaliśmy się do celu.

Po tak długim czasie szara forteca na horyzoncie, z łopoczącym sztandarem Lwa Słońca Szamabarasinów, starożytnego rodu z Ur, wydawała się nierealna. Kilku Akadyjczyków, wśród nich Uru–Azag, nie wytrzymało i zapłakało. Magowie, którzy nam towarzyszyli, teraz odjechali, zabierając drudzańskich poganiaczy i tragarzy. Nikt nie próbował ich zatrzymać. Kamienie grzechotały, gdy oddalali się pospiesznie.

Rogi zagrały na wieżyczkach, dźwięk trąbki poniósł się nad szczytami. Zostaliśmy dostrzeżeni.

Garnizon wyległ nam na spotkanie.

Pierwszy jechał pan Amaury Trente, z pełną niedowierzania radością wypisaną wielkimi literami na twarzy.

– Fedro! – Objął mnie i ucałował w oba policzki, potem potrząsnął mną za ramiona. – Na Eluę, daję słowo... Joscelin Verreuil, twój szalony kasjelita... – Niezdarnie uściskał Joscelina, uważając na jego obandażowaną rękę. – A ty... – Dostrzegł Imriela chowającego się za naszymi plecami, urwał i złożył dworny ukłon. Jego głos stał się niezwykle łagodny. – Ty musisz być Imriel de la Courcel. Książę, witaj.

– Co? – Oszołomiony głos z początku zginął w gwarze powitań, ale zaraz potem wzniósł się w panice, gdy chłopiec przynosił spojrzenie z Amaurego na mnie i z powrotem. – Co?

Zamknęłam oczy i przygryzłam wewnątrz policzka. Nie pomyślałam.

– Fedro. – Ręka Amaurego zamknęła się na moim ramieniu. – Nie powiedziałaś mu?

– Nie– Pokręciłam głową. – Amaury... nie masz pojęcia, jak tam było.

– Co? – Imriel wołał coraz głośniejszym głosem napiętym ze strachu. Z jego doświadczenia wynikało, że nieznane nie jest dobre. – Co takiego?!

– Imri. – Uklękłam przed nim, chwyciłam go za rękę. – Nie powiedziałam ci całej prawdy. Pan Amaury ma rację. Twoje nazwisko, twoje pełne nazwisko brzmi Imriel de la Courcel. Jesteś

księciem krwi, trzecim w kolejności do d'Angelińskiego tronu.

Krew odpłynęła z jego twarzy.

– Powiedziałaś... powiedziałaś, że mój ojciec nie żyje.

– To prawda. Twoim ojcem był książę Benedykt de la Courcel, stryjeczny dziadek królowej Ysandry. Ona jest twoją kuzynką i modli się żarliwie o twój bezpieczny powrót. Obecny tutaj pan Amaury jest jej emisariuszem. Przebył długą drogę, żeby zabrać cię do domu.

Imriel wyrwał ręce, zacisnął pięści.

– Skłamałaś – syknął z oczami gorączkowo błyszczącymi w bladej twarzy. – Powiedziałaś, że przysłała cię moja matka!

– Twoja matka! – Amaury Trente parsknął śmiechem i przywołał się do porządku. – Książę, twoja matka... – Popatrzył na mnie. – On nie wie.

– Nie. – Imriel splunął na mnie i co sił w nogach pobiegł w kierunku fortecy.

– Pójdę za nim – powiedział cicho Joscelin.

Westchnęłam i wyprostowałam się, ścierając ślinę z policzka.

– Przepraszam. – Pan Amaury przegarnął włosy palcami. – Fedro, przepraszam. Założyłem...

– Powinnam była mu powiedzieć – weszłam mu w słowo. – Wiem. Amaury, chłopiec spędził pół roku w seraju szaleńca. Widzisz te kobiety? Przeszły przez piekło, podobnie jak ja, podobnie jak Imriel. Jak my wszyscy. Dlatego mu nie powiedziałam. I tak, przysłała mnie jego matka. Ysandra – dodałam, patrząc mu w oczy – przysłała ciebie. Melisanda przysłała mnie.

– Melisanda – powtórzył z powątpiewaniem.

– Tak – przytaknęłam, niewiarygodnie zmęczona. – Melisanda.

W forcie Demseen zatrzymaliśmy się na krótko, by przygotować się do podróży do Niniwy. Kwatery były skromne, nieodpowiednie dla tyłu uchodźców. Spaliśmy stłoczeni na siennikach w głównej sali. Imriel unikał mnie przez dwie noce i jeden dzień, przekonany o mojej

zdradzie. Nie próbowałam go szukać. Nie wiedzieć czemu, jego złość nie skupiła się na moim towarzyszu doskonałym. Joscelin chodził za nim jak cień, podobnie jak Kaneka i Uru-Azag, którzy polubili krnąbrnego malca.

Rankiem w dzień wyjazdu Imriel zniknął.

Joscelin przyszedł do mnie, gdy nadzorowałam załadunek rannych – Fedro.

Układałam poduszki pod nogą Aragonki Ursuliny, której udo zostało otwarte prawie do kości. Cud, że rana goiła się czysto, warstwy mięśni i skóry zrastały się, zszyte starannie ręką szwaczki Heleny.

– Znalazłeś go? – zapytałam.

Skinął głową w stronę dalekich skał, na których stała forteca.

Jest na górze. Chyba powinnaś z nim pomówić.

– Jak teraz? – zapytałam Ursulinę po zenańsku, sprawdzając, czy poduszki nie wysuną się w czasie jazdy. – Lepiej? – Gdy z wdzięcznością skinęła głową, odwróciłam się do Joscelina. – Ty idź. Jest na mnie zły i nie bez racji.

Twarz Joscelina wyglądała mizernie w porannym słońcu.

– Wie o swojej matce – dodał, patrząc, jak zmienia się moja mina. – Fedro, musiał się dopytywać i znalazł kogoś, kto mu powiedział. I nie uczynił tego delikatnie.

– Kto?

– Nicolas Vigny. – Nicolas był prawą ręką Amaurego. – I Martin de Marigot. To... to nie ich wina. Po prostu powiedzieli prawdę. Vigny walczył pod Troyes-le-Mont, stracił tam brata. Ma powody do rozgoryczenia. Ostatecznie to jej dzieło.

– A dlaczego ja?

– Bo na dobre czy złe, rozumiesz Melisandę Szachrizaj – odparł stanowczo. – Jesteś jedyną osobą, która może powiedzieć jej synowi, że matka go kocha, nie dławiąc się tymi słowami.

Tyle było między nami niedopowiedzeń.

– Dobrze – mruknęłam, odgarniając z czoła mokre od potu kosmyki

włosów. – Pójdę.

Podnosząc spódnice podróznego stroju, przebyłam wąską ścieżką, która okrążyła fort Damseen, i znalazłam Imriela na najdalszej skałce, z markotną miną, wrzucającego kawałki skał do wąwozu.

– Imrielu.

Jego wąskie ramiona zeszywniały, łopatki sterczały jak skrzydła pod delikatną skórą. Są takie ostre, pomyślałam, choć co ja mogłam wiedzieć o dzieciach? A jednak wydawał się zbyt chudy, zbyt kruchy jak na swój wiek. W porównaniu z nim dzieci w sanktuarium Elui były wyrosnięte i silne. Nawet wiotki, pełen wdzięku Alcuin o mlecznobiałych włosach i łagodnym uśmiechu wyglądałby przy nim jak okaz siły i zdrowia.

Wyminęłam skałki i dołączyłam do Imriela, siadając na skale. Pod nami ział porośnięty lasem wąwóz, lekka mgła skrzyła się złociście w promieniach wczesnego słońca. Imriel siedział, bawiąc się garścią kamyków.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – zapytał, nie patrząc na mnie.

– Myliłam się – odparłam spokojnie. – Imri, zamierzałam to zrobić. Chciałam poczekać, dopóki nie będziemy bezpieczni, to wszystko. Nie spodziewałam się, że pan Amaury tak cię przywita. To było głupie z mojej strony.

– Moja matka zrobiła głupstwo. – Urywanie zaczerpnął tchu, głos niemal mu się załamał. – Tak mi powiedziałaś! Głupstwo! Moja matka zdradziła Terre d’Ange, sprzedała nas Skaldom! – Poderwał głowę, wbił we mnie rozplómięte spojrzenie. – Poślubiła mojego ojca dla władzy i traktowała mnie jak pionka! Chciała zabić królową! Głupstwo!

– Tak – odparłam niewzruszenie. – To ciężkie brzemię, prawda?

Łzy chłopca błysnęły w słońcu.

– Powiedziałaś, że mnie kocha. Powiedziałaś, że cię przysłała.

Objęłam kolana rękami.

– Przysłała, Imri. Królowa przysłała pana Amaurego, twoja matka

przysłała mnie. A ja dałam jej słowo, przysięgłam na imię Błogosławionego Elui, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by cię odnaleźć i ochronić. To nie wystarczyło. Wiem. Ale więcej nie mogłam zrobić.

– Dlaczego jej pomagasz? Dlaczego cię poprosiła? – Imriel patrzył w głąb wąwozu. – To twoje świadectwo ją pograżyło. Tak mi powiedział Nicolas Vigny, a on tam był.

– Tak, był. – Pomyślałam o karawanie, gotowej do odjazdu i czekającej na nas. Popatrzyłam na delikatny profil Imriela i pomyślałam o wszystkim, przez co przeszedł, i o czekającym go życiu syna Melisandy, zrodzonego z podwójnej zdrady, na dworze Ysandry de la Courcel. – Chcesz posłuchać, jak to było? Chcesz poznać całą historię?

Nie patrząc na mnie, pokiwał głową.

Odetchnęłam głęboko i zaczęłam opowiadać – całą historię, najlepiej, jak potrafiłam, dzieje Imriela, jego matki i ojca, i moje. Powiedziałam mu o małżeńskich przymierzach, które zawiązał ród Courcel, i o sekretnej przysiędze mojego pana Delaunaya, o moim wychowaniu jako pionka, sługi Naamy naznaczonej przez Kusziela, wyszkolonej w sztuce szpiegowania i utrzymywanej w niewiedzy. Opowiedziałam mu o patronacie jego matki i o tym, jak mnie wyzwoliła, płacąc za moją markę; opowiedziałam mu bez zająknięcia o jej zdradzie po śmierci Delaunaya – choć oszczędziłam mu szczegółów przesłuchania, jakiemu mnie poddała – i jak oboje z Joscelinem zbudziliśmy się na krytym wozie jadącym do Skaldii. Opowiedziałam mu o niewoli i tajemnicy, jaką poznaliśmy; opowiedziałam mu, jak uciekliśmy, i o naszej desperackiej wyprawie do Alby, o Panu Cieśniny i strasznej ofierze Hiacynta, a potem o bitwie.

Niektóre fakty znał. Brat Selbert po trosze zaznajamiał go z historią. Słyszał o skaldyskiej nawale i o Panu Cieśniny, choć nie znał imienia Hiacynta. O roli Melisandy nic nie wiedział – ani o próbie

przejęcia władzy w La Serenissimie.

Opowiedzenie mu tej części nie było łatwe. Miał rację. Był pionkiem poczętym w imię roszczeń do d'Angelińskiego tronu. Nie zaprzeczałam, tylko podkreśliłam, jak matka próbowała go chronić, oddając go pod opiekę bratu Selbertowi. O swojej roli mówiłam niewiele, tylko tyle, że wróciłam w porę, żeby przekazać ostrzeżenie.

A potem powiedziałam o jego zniknięciu i umowie z jego matką.

Nie kłamałam ani nie owijałam w bawełnę.

– Kupiła cię – powiedział cicho, kiedy skończyłam, patrząc na rozpraszającą się mgłę. – Kupiła cię za wiedzę, tak jak za diamenty czy złoto.

– Imrieliu. – Zobaczyłam, że zgarbił ramiona, słysząc swoje imię. – Twoja matka dumę i wiedzę ceni nade wszystko, i nie szczędziła jednego i drugiego, żeby kupić moją pomoc. Wydała każdą monetę, jaką miała.

– Wszystko, co mnie spotkało, stało się przez nią – mruknął z goryczą. – Zaprzeczysz?

– W Siovale, tak – przyznałam. – Przeklęłam Kusziela w przekonaniu, że każe ci cierpieć za grzechy matki. W Aragonii, w Amilcarze zrobiłam to samo. W Daršandze... Imri, umowa z twoją matką i moja obietnica doprowadziły mnie do Niniwy. Do Drudżanu pojechałam z woli Błogosławionego Elui i daję ci słowo, nie zrobiłabym tego w innym wypadku. Imrieliu... nie jestem kapłanką, nie oceniam woli bogów. Ale jak myślisz, co zrobiłby Mahrkagir, gdybyśmy go nie powstrzymali?

– Zabiłby wielu ludzi – mruknął, skrobiąc skałę ostrym kamieniem. – Podbił świat.

– Ze śmiechem na ustach. – Wsparłam podbródek na rękach. – Uważałby to za wyśmienitą zabawę.

Imriel pokiwał głową.

– Śmiałby się.

– Otóż to. – Odetchnęłam głęboko. – Teraz się nie śmieje. I to dzięki

tobie, Imri. Gdyby nie ty, gdyby nie to, kim jesteś, gdyby nie twoje straszne przejścia, Mahrkagir cieszyłby się życiem. Tak. Teraz nie jestem taka skora do przeklinania bogów, a najmniej ze wszystkich Błogosławionego Elui.

Patrzył uparcie w przepaść pod nogami.

– Ale to niesprawiedliwe.

– Tak. – Serce mi się krajało na myśl o nim, o mnie, o Joscelinie, o nas wszystkich. – Niesprawiedliwe. Ach, Imri! Nawet bogowie mogą zawieść, a przecież ja jestem zwyczajną kobietą. Miałam cię chronić przed krzywdą, lecz zawiodłam w Daršandze i tutaj także. Przepraszam. Robiłam, co w mojej mocy.

Poruszył ramionami.

– Ty zostałam bardziej skrzywdzona. W Daršandze.

– Może. – Wzdrygnęłam się na to wspomnienie i pewnym głosem podjęłam: – Ale to była moja decyzja, Imri, i jak się w końcu okazało, było warto. Mahrkagira już nie ma. A ty... ty jesteś bezpieczny i niebawem znajdziesz się pod opieką królowej, która przez długie lata pragnęła powitać cię pod swoim dachem jako krewnego. Nie mogę prosić o więcej.

– A jednak to niesprawiedliwe.

– Wiem. – Pogładziłam jego włosy. – Tak, skarbie, wiem.

– Chcę zostać z tobą. – Imriel nagle uniósł głowę, znów z wojowniczą i bezradną miną. – Z tobą i Joscelinem. Nie chcę wracać z panem Amauryem, nie chcę być synem jej i jego, cały świat mnie znienawidzi! Nie obchodzą mnie trony i wszystko inne! Nie obchodzi mnie królowa! Chcę zostać z tobą.

– Nie możesz – odparłam łagodnym tonem. – Czy ci się to podoba, czy nie, taka jest prawda. Jesteś Imrielem de la Courcel, księciem krwi. A teraz czeka na ciebie karawana i kucyk, specjalnie wybrany. Uru-Azag sam go osiodłał. Czekają ranne kobiety, którym znacznie lepiej ode mnie pornogą chirurdzy w Niniwie. Czy każesz im czekać przez cały dzień?

– Nie. – Imriel spoważniał i stanął na skraju ziejącej przepaści. Zdusiłam strach i podniosłam się, wyciągając rękę. Ujął ją z powagą i przysunął się do mnie. – Przepraszam, Fedro – powiedział, patrząc na mnie z miną winowajcy. – Jak myślisz, znienawidzą mnie za to? Za to, że jestem synem mojej matki?

– Nie. – Czując ból w sercu, mocno trzymałam go za rękę. – Nie pozwolę im na to.

SZEŚĆDZIESIĄT

Sinaddan–Szamabarsin nie życzył sobie, abyśmy wjechali do Niniwy z fanfarami, dlatego przemknęliśmy przez bramę późną nocą. Biały rogaty księżyc wisiał wysoko na niebie, srebrzysta poświata zalewała gliniane budowle, a dziwne cienie kładły się na pustych ulicach.

To był jedyny sposób. Tak duża grupa, składająca się głównie z kobiet bez woali, przyciągnęłaby uwagę. Byłam zadowolona z tego rozwiązania, bo to znaczyło, że *lugal* wziął do serca ostrzeżenie, które przesłałam przez kuriera. Nie podejmie żadnych działań, dopóki mnie nie wysłucha.

A jednak to było dziwne, noc tłumiała wszystkie odgłosy, znane mi twarze wydawały się obce. Jeszcze dziwniejsze było rozmieszczenie członków naszej grupy w pałacu Niniwy. *Lugalina* Waleria L'Envers poleciła otworzyć nieużywane skrzydło i przygotować je na przyjęcie kobiet. Miały tam mieszkać, póki nie zapadnie decyzja w związku z ich dalszym losem.

Inne powitanie czekało D'Angelinów.

Amaurego, Joscelina, Imriela i mnie traktowano jak królewskich gości, a trzech towarzyszy Amaurego zakwaterowano w pałacu. Pomimo późnej pory zostaliśmy formalnie przyjęci przez samego *lugala*.

– Hrabina Fedra nó Delaunay de Montrčve. – Na policzki Walerii L'Envers, która siedziała jak złocony posąg na tronie w prywatnej sali audiencyjnej, wystąpiły rumieńce. Nie umiałam określić, czy jest

zadowolona z mojego widoku. – Pan Trente, messire kasjelita. – Naszywane klejnotami nakrycie głowy pochyliło się, jej głos uległ zmianie. – Książę Imriel de la Courcel.

Wszyscy złożyliśmy głęboki ukłon. Imriel skłonił się sztywno, z rezerwą.

– Wasza Książęca Mość.

W zamkniętej sali ujrzałam go na nowo – zobaczyłam to, co widziała Waleria, delikatne piękno, granatowoczarne włosy rodu Szachrizaj, oczy barwy szafirów o zmierzchu. Twarz matki, wyrzeźbioną w miniaturze.

Lugalina skrzywiła usta, patrząc na mnie.

– A więc znowu, hrabino, na przekór wszystkiemu powracasz żywa. Wydaje się, że zostanie mi oszczędzone niewesołe zadanie, jakim byłoby układanie dla mojej kuzynki Ysandry powiadomienia o twojej śmierci.

– Wydaje się, że tak, pani – odparłam. – Jesteśmy ci wdzięczni za gościnę.

– Tak. – Waleria patrzyła na nas z zadumą. – Kazałam przygotować dla ciebie i messire Joscelina wspólną kwaterę, hrabino. Ufam, że nie będziesz zawiedziona. W oczach akadyjskiej arystokracji równie dobrze możecie być małżeństwem. Książę zamieszka w sąsiedniej komnacie. Słyszałam, że staliście się sobie bliscy.

Naprawdę wróciliśmy do świata i całej związanej z nim polityki. Wspomniałam szczerą życzliwość, jaką Waleria L'Envers okazała mi przed wyjazdem; obawiam się, że lubiła mnie znacznie bardziej, gdy myślała, że nie żyję. Dygnęłam z wdziękiem, zastanawiając się, czy w czasie mojej nieobecności napisała mowę pogrzebową.

– Pani, jesteś zbyt łaskawa.

Obojętnie machnęła ręką.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić. Mój pan Sinaddan chętnie wysłucha twojego raportu, gdy tylko wypoczniesz. Panie Trente, pokoje przygotowane. Panowie, pani... witajcie w Niniwie.

Zostaliśmy odprawieni i odprowadzeni do kwater. Byłam zbyt zmęczona, żeby roztrząsać jej słowa. Szłam z Joscelinem i Imrielem za eunuchem, który pokazał nam wyznaczone komnaty, wykwintnie i zbytkownie urządzone. Drzwi łączyły nasze pokoje z sypialnią Imriela. Ostatnim, co widziałam, gdy przyłożyłam głowę do miękkiej poduszki na puchowym materacu, była sylwetka Joscelina obrysowana światłem lampy, gdy stał w drzwiach i o coś pytał. Gdy zapadałam w sen, głos Imriela płynął za mną, udzielając odpowiedzi...

...a potem zasnęłam.

Rankiem przyszedł nas zbadać osobisty lekarz Walerii, chirurg z Eisandy, który wyjechał wraz z nią na wygnanie do Khebbel-im-Akad. Wreszcie złamaną ręką Joscelina mogła zająć się doświadczona osoba, więc jego wizyta sprawiła mi ulgę. Medyk delikatnymi palcami rozwinął bandażę i sprawdził ustawienie kości, pomrukując.

Wstrząsnął mną widok ręki. Nieużywane mięśnie bardzo się skurczyły, skóra pobladła i zwiotczała. Na polecenie chirurga Joscelin poruszył palcami i zacisnął pięść. Chirurg tylko chrząkał, ostrożnie omywając złamaną kończynę. Odczekał, aż skóra wyschnie, po czym założył łubki i bandażę z czystej białej bawełny. Pogardliwym ruchem odrzucił szal Drucylli, zastępując go eleganckim temblakiem z brokatu.

– Czy odzyska władzę w ręce? – zapytałam.

– Prawdopodobnie, choć będzie musiał ją oszczędzać. – Chirurg wzruszył ramionami. – Dobrze nastawiona, jak na barbarzyńską robotę.

Przytuliłam do piersi szal Drucylli, brudny po podróży i pognieciony. Barbarzyńska robota.

– Sama je nastawiłam, panie chirurgu. Pod kierunkiem lekarki z Tyberium.

– Sprawiaś się dość dobrze. – Skinął na mnie ręką. – Chodź, rzucę na ciebie okiem.

Joscelin wyszedł z pokoju, gdy chirurg mnie badał. Pomimo swojej szorstkości, podczas badania medyk był delikatny. Pochylał głowę i nie odezwał się, póki nie skończył.

– U innych widziałem gorsze obrażenia – powiedział, myjąc ręce w misce. – Księżna Waleria posłała mnie do nich zeszłej nocy. Nie uwierzyłbym, gdybym nie wiedział, przez co przeszłaś. Żywokost i olejek z lawendy, każę asystentowi sporządzić maść. Ale skaleczenia już się goją. Twoje tkanki... dar Kusziela?

– Tak. – Usiadłam i wygładziłam spódnice na kolanach. – Jeśli tak chcesz to nazwać.

Pokiwał głową z niespodzianym współczuciem w szarych oczach.

– Słyszałem. Zostawię ci też balsam do wcierania w ramię kasjelity, kiedy nadejdzie czas. Bandaże można zdjąć za trzy tygodnie, nie wcześniej, pamiętaj. Balsam wspomogę przepływ krwi i przyspieszy gojenie. Nie mów mu, że ci go dałem, bo w okamgnieniu pozbędzie się temblaka. Znam ludzi jego pokroju.

– Dziękuję – szepnęłam. – Dziękuję, panie chirurgu.

– Nie ma za co. Złożyłem przysięgę, jak ty. – Po chwili dodał: – Wcześniej badałem chłopca.

– I? – Strach przyspieszył bicie mojego serca.

– Wyzdrowieje. – Chirurg zebrał swoje rzeczy. – Zostanie blizna, ale pręgi są czyste, chłopak jest młody i ma silnego ducha. Gorycz jątrzy najbardziej. Niech o tym mówi, jeśli chce. Gdy wejdzie w wiek męski... – Przypomniawszy sobie, do kogo mówi, i ściszył głos. – Tak. Niewątpliwie będzie pod dobrą opieką.

– Niewątpliwie – powtórzyłam. – Dziękuję, panie chirurgu. Wezmę twoje słowa do serca i dopilnuję, żeby zostały przekazane tym, którzy powinni ich wysłuchać.

Maść była gotowa w ciągu godziny, balsam dla Joscelina także, zamknięty w glinianym dzbanku, pachnący kamforą i golterią. Schowałam go w swoich rzeczach. Waleria L'Envers przysłała ubrania, przepyszne szaty i woale w akadyjskim stylu, a także kremy i

wonności. Po wymoczeniu się w łaźni włożyłam ubranie. Elua świadkiem, czułam się dziwnie. Moja własna skóra wydawała się obca, czysta i pachnąca perfumowanymi olejkami. Jedwabie, które ją muskały, budziły skojarzenia z nadzwyczajnym luksusem.

– Pani. – W drzwiach stanął jeden z eunuchów Walerii, skromnie spuszczać wzrok. Za nim dostrzegłam Joscelina – wyglądał egzotycznie w długiej granatowej tunice z szerokimi rękawami. Jego zachowanie wyraźnie mówiło, że czuje się skrępowany, i przyczyną wcale nie był brokatowy temblak. – *Lugal* pragnie cię widzieć.

Nikt nie dyskutuje, kiedy księżę każe. Nałożyłam woal i poszłam.

– Gdzie jest Imri? – zapytałam, gdy szliśmy korytarzami.

– W zenanie – odparł bez namysłu; po akadyjsku słowo brzmiało tak samo. – W pokojach kobiet. Uru–Azag ma go na oku.

– To dobrze. – Zerknęłam na niego z ukosa. Jego jasne włosy, czyste i splecione w warkocz, spływały schludnie na plecy, a pyszny strój podkreślał jego surowe piękno. – Do twarzy ci w tym.

Leciutko uniósł kącik ust.

– Twoim zdaniem.

Kiedy przybyliśmy do prywatnej sali audiencyjnej księcia Sinaddana–Szambarasina, nie było czasu na rozmowy. Byliśmy tylko my i jego żona, ale mimo to spotkanie miało oficjalny charakter. Gdy weszliśmy, *lugal* spacerował po pokoju, ściągając czarne brwi pod turbanem ze złotogłowiu.

– Pogłoski – powiedział, zatrzymując się przed nami. – Słyszę pogłoski, hrabino, pogłoski z Drudżanu. Napływają z Demseen, ze wszystkich ninych pogranicznych fortów, także od mojej pani małżonki. Pogłoski, że władza Mahrkagira legła w gruzach, że jego wojska straciły wolę walki, że święte Ognie znowu płoną, a kapłani Angry Mainju uciekają z krzykiem przed ich blaskiem. I raptem zjawiasz się ty, prowadząc dziesiątki kobiet i eunuchów, uprzedzając mnie, że mam się wstrzymać z działaniem. Tak uczyniłem. Powiedz mi teraz, dlaczego.

Powiedziałam mu.

Choć przeżycie tego wszystkiego trwało całą wieczność, opowieść była krótka. Zabiłam Mahrkagira, a mieszkańcy zenany opanowali Daršangę. Potem rozniecono Święte Ognie i dobiliśmy targu z najwyższym magiem Arszaką. Krótka opowieść, jak na długie miesiące cierpienia.

Waleria L'Envers zbladła. Czy mnie lubiła, czy nie, była D'Angeliną i lepiej niż jej królewski małżonek domyślała się, co się stało i za jaką cenę.

– Dlatego, panie – powiedziałam – proszę cię o pomoc w wyprawieniu tych kobiet do domu. Ucierpiały srodze i wiele poświęciły, każda jedna.

Książę Sinaddan zerknął na swoją żonę, która skinęła głową. Wyglądło na to, że są jednomyślni.

– Tak się stanie – oznajmił. – Wrócą do swoich ojczyzn. Przysięgam na głowy swoich synów. Khebbel–im–Akad wyposaży każdą z nich jak córkę z domu Ur. Ale co powiesz, pani, o Drudżanie? Umowa z magiem wygasła, przybyłaś bezpiecznie do Niniwy. Jesteś wśród przyjaciół, możesz mówić swobodnie. Masz mało czasu, zanim ta sprawa zwróci uwagę mojego ojca i wymusi decyzję. Czy prosisz o pokój nawet po tym, co przeszłaś?

Wzięłam głęboki oddech i zacisnęłam ręce.

– Panie, tak. Nigdy nie było wolą mieszkańców Drudżanu – rolników, rybaków, tkaczy i służących – oddawanie czci Angrze Mainju. To nieliczni rozgoryczeni przejęli władzę. A ta władza, panie, ma swoje korzenie w okrucieństwie Khebbel–im–Akad. Mahrkagir narodził się z potworności popełnionych na rodzinie Hoszdara Ahzada. Panie, proszę o pokój w imieniu Drudżanu, żeby ktoś taki jak on nigdy więcej się nie pojawił.

– Zginęli ludzie – rzekł niskim głosem – zginęli Akadyjczycy, dwie wielkie armie zostały zniszczone. Czy mamy pozwolić, żeby Drudżan poddał się pokojowo i nie został ukarany? Nasza słabość spotka się z

pogardą, a Persowie będą się śmiać w kułak, zachęceni do nowego powstania.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Panie, przez osiem lat drudżańskie rządy kroczyły ścieżką Angry Mainju: złe myśli, złe słowa, złe uczynki. Kraj jest wyniszczony, zmieszana z solą ziemia leży w wielu miejscach odłogiem; zwierzęta były zaniedbywane i bite. Ludzie przymierają głodem i są zmęczeni życiem w ciągłym strachu. Zapytaj swoich zwiadowców, jeśli mi me wierzysz, zapytaj Tizrava, który towarzyszył nam do Daršangi. – Pomyślałam o perskim najemniku, o jego lojalności wobec promienistego blasku złota. – Panie, jeśli wmaszerujesz do Drudżanu z zemstą i rozlewem krwi, to wzniesi nienawiść. Jeśli przybędziesz z pomocą, rozdając żywność i odbudowując handel, będziesz sławiony jako wyzwoliciel.

– Hmm. – Książę Sinaddan spojrział na Joscelina. – Co powiesz, mój milkliwy wojowniku? Wiesz więcej niż hrabina o drudżańskiej polityce wewnętrznej. Zgadzasz się?

– Panie. – Joscelin skłonił głowę. Poznał akadyjski język na tyle dobrze, żeby odpowiedzieć uprzejmie. – Armia Mahrkagira, zawsze zależna od mocy jego aka–magów, jest w rozsypce. Potęga kapłanów ciemności została złamana, sprzymierzeńcy uciekli, lud spogląda na dawnych magów, u nich szukając przewodnictwa. Zgadzam się z panią Fedrą. Chwila jest odpowiednia. Pełniej podbijesz Drudżan współczuciem niż orężem.

Na te słowa *lugal*, akadyjski despota nowego rodzaju, świadom odpowiedzialności piastowanej władzy, pokiwał głową, aż zakołysała się fryzowana czarna broda.

– Niech tak będzie – powiedział na wpół do siebie. – Choć mój ojciec może tego nie zrozumieć. Cóż, powierzył mi obronę północnych granic, mogę więc decydować. Podyktuję warunki pokojowej kapitulacji i wyślę poselstwo do tego maga Arsza. Zobaczymy, co odpowie.

Wezbrała we mnie ogromna fala ulgi.

– Mój pan jest mądry.

– Zobaczymy. – Sinaddan pozwolił sobie na uśmiech. – Hrabino, jestem świadom długu, jaki zaciągnąłem u ciebie. Ty i twój wybranek dokonaliście tego, czego nie zdołały osiągnąć dwie akadyjskie armie. Czego sobie życzysz w nagrodę?

– Twoja wdzięczność jest wystarczającą nagrodą, panie – odparłam odruchowo. – Co do reszty, proszę tylko o zadośćuczynienie dla kobiet z zenany i może honorowe miejsce w twojej straży dla Uruk–Azaga i jego towarzyszy, których odwadze zawdzięczamy życie.

– Utworzą trzon mojej straży przybocznej – oznajmiła Waleria L'Envers. – Będąc eunuchami, nie mogą służyć z pełnosprawnymi mężczyznami, ale myślę, że ten przydział będzie dla nich równie zaszczytny. Fedro nó Delaunay, czy nie chcesz żadnej nagrody dla siebie?

W jej głosie brzmiała nutka niecierpliwości. Przypuszczam, że *lugalina* Khebbel–im–Akad nie chciała być dłużniczką d'Angelińskiej kurtyzany, niezależnie od okoliczności.

– Przydałaby się nam eskorta do Tyru, pani.

– Eskortą! – Książę Sinaddan wybuchnął śmiechem. – Będziesz ją miała, i nie tylko.

Zostaliśmy odprawieni, audiencja dobiegła końca.

Czułam się taka wyczerpana, jakbym stoczyła drugą wojnę. Naprawdę, polityka jest męcząca, pełna napięcia i pułapek, i od decyzji jednego człowieka zależy życie wielu ludzi. Po powrocie do naszych komnat podeszłam do wewnętrznych drzwi, żeby zobaczyć, czy Imriel wrócił z zenany. Jeszcze go nie było. Zbyt zmęczona, by się poruszyć, po prostu stałam. Joscelin stanął za mną, zdrową ręką objął mnie w talii. To wystarczyło. Choć bardzo go kochałam, nie zniosłabym niczego więcej.

– To potrwa jakiś czas – powiedziałam cicho.

– Wiem.

– Przykro mi. – Chciałabym nie czuć tej rysy w swym wnętrzu.

– Fedro. – Odwrócił mnie delikatnie przodem do siebie. – Wiem. Zrobiłaś, co musiałaś. Wolałbym, żeby było inaczej, lecz nie mam do ciebie żalu. To, co zrobiłaś... postąpiłaś odważnie i szlachetnie, naprawdę.

– W takim razie dlaczego czuję się tak okropnie? – szepnęłam.

Joscelin pogładził moje włosy. Był blady.

– Czy chcesz... czy chcesz o tym powiedzieć?

– O tym, co się działo w Daršandze? – Położyłam mu rękę na piersi, nie pozwalając się zbliżyć, czując miarowe, mocne bicie jego serca. Nieproszone łzy napłynęły mi do oczu. – Och, Joscelinie! Jeśli ci opowiem... czy ty to zniesiesz?

Jego odpowiedź była szorstka i uczciwa.

– Nie wiem.

– Otóż to. – Z trudem przełknęłam ślinę, kiwając głową. – Poczekamy, zobaczymy.

SZEŚĆDZIESIĄT JEDEN

Zbudził nas krzyk Imriela – krótki, ostry i nagły, informujący o bezpośrednim zagrożeniu.

– To nie koszmar. – Joscelin w pełni rozbudzony wyskoczył z łóżka, nagi jak bogowie go stworzyli, w biegu sięgając po broń.

Zaplątana w poły jedwabnego szlafroka, spieszyłam za nim, gdy wpadł do pokoju Imriela, oświetlonego przez słaby blask pochodni z korytarza.

Imriel klęczał na łóżku, przerażony, blady jak śmierć, z palcami zakrzywionymi w szpony. Postać odziana w luźne czarne szaty, z twarzą ukrytą pod luźnym końcem zawoju, cofała się w stronę uchylonych drzwi.

Joscelin zaklął i rzucił sztyletem.

Chybił, sztylet zagrzechotał o futrynę. Napastnik obrócił się na pięcie i wybiegł na korytarz, ścigany przez Joscelina. Drżącymi rękami zapaliłam lampkę i dopiero wtedy ośmieliłam się spojrzeć na Imriela.

– Nic ci nie jest?

Pokręcił głową, powoli rozprostowując palce. Jego chuda pierś unosiła się w ciężkim oddechu.

– Co się stało? – zapytałam.

– Zbudziłem się i zobaczyłem, że ktoś jest w pokoju. Krzyknąłem i...

– Pokazał, jak uderza rękami. – Potem wbiegł Joscelin. Myślisz, że chciał mnie zabić?

Przysiadłam na brzegu łóżka.

– A ty jak myślisz?

– Tak. – Wciąż był blady, ale spokojniejszy. – Tak myślę.

Ja również byłam tego zdania.

Wrócił Joscelin.

– Zgubiłem go – rzekł szorstko. – Albo ją, nie wiem. Jak myślisz, Imri? To był mężczyzna czy kobieta?

– Nie wiem – odparł chłopiec żałośnie. – Było ciemno.

– Dobrze się spisałeś. Bardzo dobrze. – Joscelin podniósł sztylet i z niezadowoleniem popatrzył na rękę na temblaku. – Dopadłbym go, gdyby nie to. Przeszkadza mi w celowaniu i nie mogę poruszać się szybko. Miał tylko trzy kroki przewagi, powinienem go dopędzić.

Imriel zadrżał, skulił się na łóżku i objął kolana rękami. Poglądziłam go po głowie.

– Nie przyciągnąłeś zdziwionych spojrzeń? – zapytałam, mierząc wzrokiem Joscelina. Nie licząc temblaka był nagi. Imriel zerknął znad kolan i zachichotał.

– Kilka. – Joscelin uniósł brwi. – Chodź. Od tej pory będziesz mieszkać z nami.

Minęła prawie godzina, ale w końcu Imriel zasnął w naszym łóżku. My siedzieliśmy, ubrani w szlafroki, rozmawiając ściszymi głosami.

– To mógł być każdy – powiedział z niesmakiem. – Mężczyzna, kobieta, eunuch, Akadyjczyk, D’Angelin, nawet Dżebenka... Nie zdążyłem się przyjrzeć. Skoczył w boczny korytarz i tam go zgubiłem.

– Żaden strażnik niczego nie widział?

Pokręcił głową.

– Nikt się nie przyznał.

– Albo kłamali, co znaczyłoby, że w grę wchodzi akadyjski spisek, albo nie widzieli niczego nadzwyczajnego, co znaczy, że prawdopodobnie pastnikiem był Akadyjczyk. Nie kobieta, bo samotna kobieta o tej porze zwróciłaby uwagę.

– To mógł być D’Angelin – powiedział Joscelin cicho. – Waleria ma d’Angelińską służbę.

– Prawda. – Żadne z nas nie musiało stwierdzać rzeczy oczywistej, mianowicie, że Waleria L'Envers jest córką diuka Barquiela, a diuk zdecydowanie wolałby, żeby Imriel nie żył. – Ludzie pana Amaurego też mogą swobodnie poruszać się po pałacu.

Joscelin z westchnieniem przegarnął ręką rozczochrane włosy.

– Amaury... przecież nie podejrzewasz Amaurego.

– Jego nie. Ale inni... – Wpatrzyłam się w tańczący płomyk lampki oliwnej. – Jak dobrze ich znasz? Vigny, de Marigot, Charves... Vigny jest rozgoryczony, sam tak powiedziałeś. – Podniosłam wzrok. – Dołączenie do misji mającej na celu odnalezienie chłopca, którego chce się zamordować, byłoby genialnym posunięciem.

– Towarzysze Amaurego zostali starannie wybrani. Waleria jest bardziej prawdopodobnym kandydatem.

– Zgadza się. – Wspomniałam słowa, jakich użyła Melisanda Szachrizaj w La Serenissimie, opisując pana Amaurego Trente. „Zdolny człowiek, podobno, i wierny królowej, ale chyba niezbyt bystry”. – Mimo wszystko musimy rozważyć taką możliwość.

– Co więc zrobimy?

– Będziemy szukać podrapanej twarzy – odparłam. – Imri pokaleczył napastnika, miał ślady krwi pod paznokciami. Jeśli to nikt z grupy Amaurego... – Skrzywiłam się. – Wszystko, co musimy zrobić, to dostarczyć chłopca bezpiecznie do Tyru.

– Z eskortą ludzi *lugala* – zauważył Joscelin. – Wśród których może być Elua wie ilu zabójców. – Spojrzał w stronę sypialni. – Wiesz... przez całe życie, odkąd miałem dziesięć lat, byłem do tego szkolony, dokładnie do tego, do zapewniania ochrony członkowi rodu Courcel przed skrytobójcami. A teraz? – Wzruszył ramionami, szata ześliznęła się z obandażowanej ręki. – Jestem bezużyteczny.

– Wcale nie – zaprzeczyłam żarliwie. – Wcale nie! Wolę ciebie z jedną ręką niż całą kompanię Czarnych Tarcz!

Uśmiechnął się, ale spojrzenie miał ponure.

– Nie mogę walczyć, Fedro. Sama widziałaś. Do dzisiejszego

zdarzenia w zasadzie to mi nie przeszkadzało, nie tak bardzo, jak się obawiałem. Po Daršandze niespieszno mi zabijać. Ale chłopiec... – Zerknął na Imriela. – Potrzebuje kasjelity, nie kaleki.

– Joscelinie. – Łzy zapiekły mnie w oczy. – Każdy, kto zechce go zabić, najpierw będzie miał z nami do czynienia. A jeszcze nikomu nie udało się nas pokonać.

Po chwili skinął głową i pogładził mnie po policzku.

– Idź do łóżka – mruknął. – Ja pierwszy będę czuwać i zbudzę cię przed świtem.

Spałam niespokojnie i gdy mnie zbudził, wstałam z oczami czerwonymi z niewyspania. W czasie czuwania studiowałam dżebeński zwój, który przechowała dla mnie Waleria L'Envers. Przysłuchując się rozmowom Kaneki i jej towarzyszek, opanowałam język dżebeński znacznie lepiej, niż przypuszczałam. Oglądałam szaty postaci, wysadzany klejnotami napierśnik, diadem założony na czoło Meleka al'Hakima po namaszczeniu. Patrzyłam na dwie osoby uciekające z ruin świątyni, niosące na drążkach okryty płachtą ciężar. Tajemnice, które zgłębiałam, powoli wsączały się do mojej głowy; przypominałam sobie wielogodzinne dysputy z Eleazarem ben Enochem, a przed nim z rabbim, i niezliczone teksty, jakie przeglądałam. Przyszły mi na myśl słowa wyrzeczone przez Eleazara na pożegnanie. „Musisz uczynić z siebie naczynie, w którym nie będzie ciebie”. Co znaczyły, jeśli nie to, co przeżyłam w Daršandze? Zaiste, zamysły bogów są niepoznawalne.

Tłumiony śmiech wyrwał mnie z zadumy. Przestraszona, uniosłam głowę.

– Widzisz? – powiedział Joscelin do Imriela. – Sam *lugal* mógłby przejechać koło niej na tygrysie, a niczego by nie spostrzegła.

– Spostrzegłabym – odparłam.

Nie uwierzyli mi.

Spędziliśmy dzień na prowadzeniu dochodzenia, co nie było łatwe w nieznanym otoczeniu. Joscelin z Imrielem wzięli na siebie ludzi

pana Amaurego, wypatrując zadrapań. Ja poszłam do zenany, mając nadzieję na znalezienie Uru-Azaga. Niestety, spóźniłam się – Waleria zdążyła wprowadzić swój plan w życie. Akadyjczycy przymierzali stroje i ozdobną broń, już jako straż przyboczna *lugaliny*.

Porozmawiałam z Kaneką, ceniąc sobie jej mądrość.

– Przyślij Imriela tutaj, mała, jeśli się boisz o jego życie. Zostało nas dość dużo, żeby ochronić jednego chłopca. – Pokazała zęby w uśmiechu, poklepując topór. – Nie zapomniałam, jak się go używa.

– Tak zrobię, *fedabin*. Dziękuję.

Kaneka wzruszyła ramionami.

– Im prędzej stąd wyjedziemy, tym lepiej. Stopy mnie swędzą, bo chcę już ruszyć do domu.

W kwaterach kobiet panował wesoły nastrój, pomijając cień, jaki rzuciły moje zmartwienia. Waleria i Sinaddan okazali się szczodrzy. Nie mogłam mieć pretensji do kobiet. Nowe stroje, klejnoty, goście przychodzący przez cały dzień z różnymi podarkami... Gońcy wyruszyli z Niniwy i już negocjowano warunki powrotu do domu Persjanek i Akadyjek.

Gdyby w zenanie w Daršandze doszło do próby zabójstwa, ktoś musiałby coś wiedzieć. Tutaj kobiety były obce bardziej niż ja, a Niniwa stanowiła dla nich tylko przystanek. Nie miałam sprzymierzeńców, nie miałam tu żadnego Ruzada, który przynosiłby pałacowe plotki. Ta myśl, zabarwiona nostalgią wyrastającą nie tylko ze smutku na wspomnienie Persa, była niepokojąca.

„Pamiętaj o nich”.

Niektóre chwile pamiętałam aż za dobrze.

Później poprosiłam o posłuchanie u Walerii L'Envers. Uznałam, że oskarżanie czy meldowanie o incydencie nic nie da – mogłaby tylko wyrazić głębokie współczucie i zaproponować przydzielenie straży, wskutek czego jej ludzie znaleźliby się jeszcze bliżej celu. Tego pragnęłam uniknąć za wszelką cenę. Mimo wszystko chciałam się z nią zobaczyć, żeby przekazać subtelną wiadomość.

Waleria przyjęła mnie w prywatnym raju, który urządził dla niej Sinaddan. Powiedziano mi, że nie dorównuje wspaniałością słynnym ogrodom na dachach Babilonu. Możliwe; ponieważ ich nie widziałam, nie mogłam dokonać porównania. Ten był wspaniały, maleńki zakątek Terre d'Ange odtworzony w obrębie murów z czerwonej gliny w Niniwie.

Sprowadzono żyzną ziemię i założono bujny trawnik. Koszt samego systemu nawadniającego ze strumykiem, który wił się w ogrodzie, z brzegami spiętymi przez urocze garbate mostki, musiał być niebotyczny. Akadyjska wiosna przyspieszyła kwitnienie różnorodnych roślin, które w innych częściach świata dłużej czekały na swoją porę – fiołki, róże, smagliczki przesyciły powietrze słodkim zapachem. Waleria L'Envers piknikowała z damami dworu pod drzewem wiśni, na przepysznych kobiercach rozłożonych na usianej płatkami murawie.

– Fedro nó Delaunay, proszę, dołącz do nas – przywitała mnie po akadyjsku, podnosząc kieliszek z d'angelińskim winem. – Zażywamy popołudniowego wywczasu od przykrości świata.

– Czy świat jest taki nieprzyjemny, pani? – zapytałam, klękając na dywanie i układając spódnice wokół nóg.

– Jeszcze się o tym nie przekonałaś? – Waleria mówiła lekkim tonem, ale w moim uchu brzęczała jakaś fałszywa nuta. Z mdłym uśmiechem kazała służącej nalać dla mnie wina. – Sądziłam, że z powodu niedawnych doświadczeń uważasz go za bardzo nieprzyjemny.

Skosztowałam wina.

– A jakie doświadczenia masz na myśli, pani?

Waleria zatrzepotała rzęsami.

– Drudzańskie, oczywiście. Przecież w Niniwie nie spotkały cię żadne przykrości?

– Nie, nie. – Pokręciłam głową. – Nic szczególnego. Po prostu źle spałam zeszłej nocy. Wierzę, że to się nie powtórzy. Biedny Joscelin

spędził na nogach połowę nocy.

Jedna z dam zachichotała, przysłaniając usta ręką, i rzuciła uwagę na temat męskości Joscelina. Zastanawiała się na głos, czy brak zarostu nie świadczy o tym, że jest eunuchem. Zapewniłam ją, że jego męskości nie można nic zarzucić. Potem inna wtrąciła, że podobno widziano go na korytarzu bez odzienia i że rzeczywiście niczego mu nie brakuje. Jej słowa zapoczątkowały spekulacje, dlaczego Joscelin Verreuil błąkał się na golasa po pałacu. Rozmowa zakończyła się wnioskiem, że z wyjątkiem *lugaliny* wszyscy D'Angelinowie są szaleni i nieprzewidywalni, ale miło na nich popatrzeć, zwłaszcza gdy są bez odzienia, i że należy pozazdrościć pałacowym strażom.

Przez cały czas mdły uśmiech nie schodził z warg Walerii L'Envers.

Ja też się uśmiechałam, gdy dopiwszy wino, dziękowałam jej, zbierając się do wyjścia.

Tak, nie miałam wątpliwości, choć było mi przykro. Była kuzynką królowej, a ja zawdzięczałam życie jej ojcu. Co więcej, była także kuzynką Nicoli – Nicoli, której podarowałam prezent kochanki i która kiedyś udzieliła mi cennej lekcji na temat mojej własnej podejrzliwości. Wolałabym, pomyślałam ze smutkiem, żeby podejrzenia okazały się fałszywe.

Valeria L'Envers robiła wiele dobrego w Khebbel–im–Akad. W czasie krótkiego pobytu w Niniwie stwierdziłam, że wywiera dobry wpływ na Sinaddana, temperując jego akadyjską porywczosć. Pochwalała też nakierowaną na przyszłość metodę sprawowania władzy, sprzeczną z rządami twardej ręki jego ojca kalifa. Urodziła trzech synów, z których prawdopodobnie najstarszy zostanie *lugalem*, gdy Sinaddan obejmie kalifat.

Dlaczego pragnęła śmierci Imriela?

Może z lojalności. Członkowie rodu L'Envers dbali o własne interesy, dlatego byli wierni rodowemu zawołaniu. Jakie plany miała Valeria w związku z młodszymi synami? Nie mogłam powiedzieć; nie wiedziałam nic o chłopcach, którzy nie zostali nam przedstawieni.

Lojalność czy ambicja? O ile wiedziałam, Ysandra jako pierwsza z rodu postawiła dobro królestwa nad rodziną... ale Ysandra, pomyślałam, jest jedyna w swoim rodzaju. Tęskniłam za nią, bardzo mi jej brakowało. Była chłodna i wyrachowana, kierowała się intelektem, lecz na swój sposób wypełniała przykazanie Błogosławionego Elui. Kochaj jak wola twoja. Kiedy przyszło co do czego, moja lodowata i skrupulatna królowa gotowa była dla miłości ryzykować życie. Wspomniałam, jak jechała przez wojska de Somerville'a, rozdzielając szeregi niczym wiatr żdźbła trawy. Wspomniałam, jak tańczyli z Drustanem mab Necthana na balu wydanym na naszą cześć, zapatrzeni w siebie z uśmiechami zdradzającymi uczucie tak głębokie, że samo przyglądanie się graniczyło z pogwałceniem intymności.

Widziałam ten wyraz w oczach Mahrkagira.

Zastanawiałam się, czy ja i Joscelin będziemy tak kiedyś na siebie patrzeć.

Zastanawiałam się także, czy Waleria L'Envers działała na własną rękę, czy może z rozkazu ojca. Pan Amaury Trente wysłał wiadomość z Menechetu. Jeśli diuk Barquiel poznał jej treść, miał wiele miesięcy na przekazanie rozkazów Walerii. „Nie będę udawać, że byłoby mi przykro, gdybym usłyszał o śmierci dziecka”, powiedział. Czy on zaaranżował napaść? Miał swoje ambicje i wnuków, żeby je zrealizować. Mógł to zrobić. Jeśli tak, Imrielowi w Mieście Elui będzie groziło niebezpieczeństwo nie mniejsze niż w Niniwie.

„Chcę zostać z tobą”, powiedział Imriel. To wspomnienie rozdzierało mi serce. Ile go kosztowało, żeby zaufać Joscelinowi i mnie? Żałowałam, że musimy się rozstać. Ach, Eluo! Wierzyłam, że Amaury Trente bezpiecznie doprowadzi go do domu, ale Imri ledwo go znał. Będzie się czuł zraniony i zdradzony, i prawdę mówiąc, wolałabym go widzieć pod ochroną miecza Joscelina. Gdybyśmy mogli chronić go tak zawsze. Wolałabym wrócić do Terre d'Ange, zamiast jechać do Dzebe-Barkal. Nie mogłam nawet mu obiecać, że

wrócimy. Czekala nas daleka, bardzo daleka droga.

Ale musialam dotrzymac innej obietnicy i wiedzialam, ze jest los gorzy od smierci.

Hiacynt.

SZEŚĆDZIESIĄT DWA

Nic się nie wydarzyło ani tej nocy, ani w następane, ale czuwaliśmy z Joscelinem na zmianę, zmęczeni i niewyspani. Wyglądało na to, że moje ostrzeżenie zostało wzięte do serca, a kasjelita, choć jednoręki, wciąż budził dostateczny respekt.

Doszłam do wniosku, że Sinaddan nie wiedział o zamachu. Gdyby wiedział, Waleria nie musiałaby działać potajemnie – a w Niniwie zaszytowanie czy otrucie kogoś z nas nie stanowiłoby trudności. Nie, to była prywatna sprawa, rozgrywana za jego plecami. *Lugal Khebbel-im-Akad* nie byłby zadowolony, gdyby pod jego dachem znaleziono zwłoki najszynniejszej kurtyzany *Terre d'Ange*, jej kochanka i, co gorsza, niedawno odnalezionego małego księcia.

Przynajmniej z tego byłam rada, i z tego, że śledztwo Joscelina i Imriela nie zostało uwieńczone znalezieniem podrapanej twarzy wśród ludzi pana Amaurego. To wcale nie świadczyło, że z tej strony nie zagraża nam żadne niebezpieczeństwo, ale zmniejszyło prawdopodobieństwo jego wystąpienia.

Spędziliśmy w Niniwie jeszcze jeden tydzień, który dłużył się jak wieczność. Odbyły się prywatne uczyty i publiczne ceremonie, dorównujące sobie wspaniałością. Księżę Sinaddan obsypał nas darami – dostaliśmy rzadkie przyprawy korzenne, elegancką złotą biżuterię w akadyjskim stylu, misternie tkane dywany. Imrielowi sprezentował zakrzywiony sztylet ze złoconą rękojeścią w kształcie głowy kozła. Imriel podziękował mu po akadyjsku z zenańskim akcentem, dziesięcioletni dworzanin z nic nie zdradzającą miną.

Mając niewiele innych umiejętności do podzielenia się z chłopcem, zaczęłam wtajemniczać go w arkana sztuki szpiegowania, jak pan Delaunay mnie, gdy byłam dzieckiem. Uczyłam go obserwować, interpretować wyraz twarzy, ton głosu i mowę ciała, a także wychwytywać to, co nie zostało powiedziane; uczyłam go, jak nie rzucać się w oczy, jak odczytywać to, co ludzie ujawniają, gdy myślą, że nikt nie zwraca na nich uwagi, i jak rozpoznawać dziewięć oznak kłamstwa.

Miał do tego smykałkę. I dlaczegożby nie? Był przecież synem Melisandy – a Melisanda była utalentowaną adeptką, łączącą sztukę Delaunaya ze swoim darem do manipulowania i intryg. Mój pan Delaunay nauczył ją wiele w zamian za wiedzę, jak naginać ludzi do swej woli i wykorzystywać ich niczym żywe narzędzia.

Teraz ja uczyłam jej syna, nie po to, by zdobył władzę, ale by lepiej chronił własne życie.

Czuwaliśmy w dzień i w nocy, pamiętając, żeby nie jeść ani nie pić nic, czego nie skosztował ktoś inny. Tak mijał nam czas w Niniwie, przy czym mnie wciąż przebiegały ciarki wywołane pełnym strachem oczekiwaniem. Na pożegnalnej uczcie robiłam dobrą minę do złej gry, dziękując Sinaddanowi–Szamabarsinowi za gościnę i szczodrość. Prawdę powiedziawszy, był wspaniałomyślnym gospodarzem i nie wątpiłarn, w jego szczerość. Waleria L'Envers wyraziła z mdłym uśmiechem głęboką wdzięczność za nasze dokonania i za okazję poznania takich znakomitości.

Nie mogłam się doczekać wyjazdu z Niniwy.

W końcu wielka karawana ruszyła na zachód. Podróżowało z nami wiele kobiet z zenany. A nasza eskorta... księżę Sinaddan dotrzymał obietnicy. To była niemal armia. W istocie, przewiezienie namiotów, prowiantu, darów i hojnych posagów wymagało małej armii ludzi.

Nie podobało mi się to, ani trochę. Otaczały nas setki nieznajomych twarzy i w drodze mogły się zdarzyć setki wypadków. Nijak nie

mogłam temu zaradzić, bo przecież sama poprosiłam o eskortę.

Na przekór moim obawom podróż po równinach zalewowych pomiędzy Wielkimi Rzekami okazała się przyjemna. Wiosenne powodzie zostawiły warstwę żyznej aluwialnej gleby na wysuszonych brzegach i jak okiem sięgnąć, rozciągały się pola uprawne, pszenica i jęczmień falowały w słońcu wokół wiosek okolonych rzędami palm daktylowych. Dni były ciepłe, ale nie przesadnie, noce zaś przyjemnie chłodne. Gdyby nie strach o Imriela, byłoby wręcz idyllicznie.

Oczywiście powiedzieliśmy o zamachu panu Amauremu Trente, który wysłuchał nas w milczeniu, z przygarbionymi ramionami.

Współczułam mu. Wyrafinowany czy nie, Amaury był dobrym, lojalnym oddanym i wypełniał tę misję z szacunku dla królowej. Misja okazała się trudniejsza i zawiodła go dalej, niż to uważał za możliwe. Nasze rewelacje jeszcze bardziej komplikowały jego zadanie. Gdy skończyliśmy, z westchnieniem wyprostował ramiona i poszedł powiadomić swoich ludzi, którzy, jak przysiągł, byli godni zaufania. Modliłam się, żeby miał rację.

Razem przez cały czas strześliśmy Imriela, chyba że jechał z Kaneką i Dzebenkami, czasami w towarzystwie Chowatek. Nie jadł nic, co nie pochodziło ze wspólnego kotła, i nie pił wody, o ile nie podały jej przyjazne ręce.

Wszystko szło dobrze do dnia przeprawy przez Eufrat.

Woda opadła, ale rzeka wciąż była wezbrana i rwąca. Pierwsza przeprawa tratwami nie przypadła mi do gustu i wcale nie mniej bałam się za drugim razem. Na naszej trzcinowej tratwie płynęło dziesięciu pasażerów – Joscelin, Imriel i ja, Kaneka i cztery inne kobiety, a także dwóch akadyjskich żołnierzy, przydzielonych nam do ochrony przez kapitana Nurad-Sina. Przemoczeni, wyglądali równie żałośnie jak cała reszta.

Tratwa kolebała się na wścieklej wodzie, gdy śpiewający, roześmiani przewoźnicy ciągnęli ręką za ręką grube, ciężkie od wody liny, które spinały brzegi rzeki. Nasze biedne konie znów musiały

płynąć wpraw i bałam się o ich życie. Imriel klęczał niespokojnie na brzegu tratwy, patrząc, jak akadyjski kucyk dzielnie walczy z prądem.

Ja patrzyłam na niego. Powinnam posłuchać własnych nauk i obserwować żołnierzy.

To stało się nagle.

Na środku rzeki tratwa miotała się tak gwałtownie, że nie zauważyłam, kiedy jeden z żołnierzy wstał i z wyciągniętymi rękami rzucił się chwiejnie na drugą stronę, spychając Imriela do wody.

Krzyk rozpaczony uwiązał mi w gardle. Spieniona, kotłująca się brązowa woda poniosła chłopca między szamoczące się konie, które wściekle biły wodę kopytami. Żołnierz z nikłym uśmiechem wyskoczył za burtę, pozwalając się porwać szalejącej rzece. Wśród krzyków i paniki jeden z przewoźników puścił linę, siła nurtu wyrwała ją z rąk innych, a ci po drugiej stronie ledwie zdołali utrzymać się na nogach.

Nie wiem, co by się stało, gdyby Joscelin nie przyskoczył do liny, nie chwycił jej zdrową ręką. Twarz miał wykrzywioną z bólu, mięśnie ręki napięte do granic wytrzymałości. Nie wyobrażam sobie, jakim cudem lina go nie ściągnęła. Parę sekund później drugi żołnierz chwycił go za nogi, a przewoźnicy podjęli linę. Tratwa odzyskała równowagę.

Imri był już dwadzieścia jardów dalej, widziałam plamę ciemnej głowy na wzburzonej wodzie. Nurt unosił bezwładne ciało. Walka z silnym prądem mogła być beznadziejna, ale przecież umiał pływać, sam uczył młodsze dzieci w sanktuarium. Dlaczego nie próbował walczyć? Wspomniałam, jak trafił pomiędzy konie młócące wodę kopytami i omal nie pękło mi serce. Joscelin klęczał na tratwie i zdejmował temblak, gotów płynąć po chłopca.

– Joscelinie... – szepnęłam.

Jego mina odzwierciedlała moje uczucia.

– Muszę spróbować.

Wtedy usłyszeliśmy plusk i dżebeńskie głosy podniesione w dzikich

okrzykach zachęty.

Kaneka cięła nurt niczym ciemna włócznia, długie ręce miarowo zagarniały wodę, nogi biły mocno, gdy omijała konie. W miejscach, gdzie prąd działał na jej korzyść, płynęła zwawo w dół rzeki, i umiejętnie wykorzystywała wiry, wciąż zbliżając się do celu.

– Ciągnąć! – zawołałam do przewoźników. – Ciągnijcie!

Robili to w szaleńczym tempie, już bez śmiechu. Przypuszczam, że przebyliśmy Euftrat w rekordowym tempie. Nim dobiliśmy do brzegu, Kaneka i Imriel zniknęli nam z oczu. Wyskoczyłam na ląd, nie bacząc na mokre spódnice, i z rąk zaskoczonego akadyjskiego żołnierza wyrwałam wodze najbliższego konia.

– Pilnuj go – powiedziałam do Joscelina, wskazując drugiego żołnierza z naszej tratwy. – I sprowadź Amaurego.

Nie czekając na potwierdzenie, wskoczyłam na konia i popędziłam w dół rzeki. Wierzchowiec był mokry, narowisty i nieosiodłany, ale w czasie swoich podróży stałam się całkiem dobrym jeźdźcem. Pewnie siedziałam na śliskim grzbiecie, popędzając wierzchowca.

Za drugim zakrętem zobaczyłam, jak Kaneka niesie Imriela, idąc po płyciźnie.

Woda strumykami spływała po jej ciemnej skórze, ręce drżały z wysiłku i dyszała jak biegacz po długim wyścigu. Imriel zwisał bezwładnie w jej ramionach. Ściągnęłam konia tak ostro, że zarył kopytami, i zeskoczyłam na ziemię.

Razem wyniosliśmy go na brzeg.

– Przewróć... na... brzuch... – wysapała Kaneka głosem rwącym się z wyczerpania. – Wypchnij... wodę...

Imriel nie oddychał. Postępując zgodnie z instrukcjami, położyłam go na brzuchu i zaczęłam rytmicznie uciskać górną część pleców. Strumyczek wody wypłynął z sinych ust. Nie przestawałam naciskać. Nagle Imriel odetchnął chrapliwie, zakaszlał i zwymiotował połowę Eufratu.

Usiadłam na piętach i wydyszałam dziękczynną modlitwę, gdy

przybył pan Amaury z innymi, Imriel już nie kasłał i nie wypluwał wody. Był przytomny, choć oszołomiony. Pod atramentowymi pasemkami włosów przylepionymi do czoła, gdzie trafiło go końskie kopyto, miał siniak w kształcie półksiężyca, ciemnoniebieski na tle białej skóry.

– Nic mu się nie stało? – zapytał Amaury.

Zsiadł z konia i podał swój płaszcz Kanece, która rozebrała się do naga przed skokiem do wody.

– Chyba nie. – Odgarnęłam mokre włosy z czoła chłopca i osłoniłam jego oczy dłonią, żeby sprawdzić, czy źrenice reagują na światło. Wiedziałam, co może spowodować cios w głowę. Dzięki Elui, źrenice się kurczyły. – Dobrze się czujesz, Imri?

Mokry, drżący z szoku i chłodu, pokiwał głową.

– Kaneka?

– Jestem, mały. – Odpowiedziała po zenańsku, okryta płaszczem Amaurego, kładąc rękę na ramieniu chłopca. – Urządziłeś mi niezłe zawody.

– Eluo! – zawołał Amaury, patrząc na nią z podziwem. – Ona pływa jak ryba. Fedro, czy zechcesz przekazać moje podziękowania i wyrazy uznania?

Zrobiłam to, tłumacząc na dżebeński. Kaneka roześmiała się, kropelki wody skrzyły się jak diamenty w jej wełnistych włosach.

– To zwą wielką rzeką? – Parsknęła z pogardą. – Niech zobaczą Nahar w porze wylewu, gdy płynie przez katarakty, poniżej których czyhają krokodyle. To dopiero jest rzeka!

Ktoś złapał pożyczonego przeze mnie konia, który teraz kręcił się niedaleko nas, a Imriel został owinięty w płaszcz. Gdy wróciliśmy do grupy, przestał się trząść i, podniecony przygodą, z chłopięcą dumą pokazywał Joscelinowi siniak na skroni.

– Bardzo ładny – powiedział Joscelin, unosząc brwi. – Fedro, możemy porozmawiać?

Ciało winowajcy wypłynęło na drugim brzegu. Kapitan Nurad–Sin

przepraszał gorąco, przysięgając na wszystkie świętości, że żołnierz niedawno się zaciągnął do armii, że on nic nie wiedział o jego planach, jak i jego niewinny towarzysz. Wysłuchałam go i uznałam, że mówi szczerze. W końcu nie miałam innego wyboru, jak mu uwierzyć. Byli zbyt nieliczni, żeby kwestionować jego słowa.

– Dziękuję za troskę, panie kapitanie – powiedziałam uprzejmie. – Jej Wysokość królowa Ysandra de la Courcel niecierpliwie czeka na powrót swojego kuzyna, księcia Imriela. Wpadłaby w wielki gniew, gdyby teraz, po tylu przejściach, spotkało go coś złego. Przypuszczam, że Jego Książęca Mość także byłby niezadowolony. Dopilnuj, proszę, żeby twoi ludzie byli tego świadomi.

Ponuro skinął głową.

– Możesz być tego pewna, pani.

Chyba to zrobił, bo następny etap podróży minął bez wypadków. Spędziłam ten czas na ukradkowym zdobywaniu papieru i atramentu. Wieczorami pisałam przy ognisku różne wiadomości, a za dnia jechałam wśród kobiet z zenany i rozmawiałam z Efezjankami.

One pierwsze wraz z honorową strażą Akadyjczyków i pełnym wozem królewskich darów miały nas opuścić, by ruszyć lądem do Efezjum. Pożegnaliśmy się i patrzyłam za nimi, przepełniona gorzką satysfakcją.

– Raczysz mi zdradzić, co zapowiada ta mina? – zapytał Joscelin.

– Zaczekaj, dopóki nie przekroczymy Yehordanu.

Powiedziałam mu, gdy to zrobiliśmy. Joscelin roześmiał się głośno i sam poszedł po Nurad–Sina. Ja, w woalu, jak wypadało, siedziałam w namiocie, gdy Akadyjczyk stanął przed wejściem.

– Panie kapitanie, jesteś świadom, że bezpieczeństwo księcia Imriela jest dla mnie sprawą najwyższej wagi – powiedziałam.

Nurad–Sin zgiął się w ukłonie.

– Tak, pani. Przed Szamaszem przysięgam ci, że podjąłem wszelkie środki ostrożności, aby nie zdarzyły się kolejne incydenty.

– Tak, ja także. Każda z Efezjanek, z którymi się rozstaliśmy przed

kilkoma dniami, niesie list wystosowany w moim imieniu do Jej Wysokości Ysandry de la Courcel, królowej Terre d'Ange. Poleciałam przekazać pisma d'Angelińskiemu ambasadorowi w mieście Efezjum, a dzięki hojności *lugala* kobiety z zenany będą miały środki, by tego dokonać. W listach tych zawarłam kronikę dotychczasowych wypadków i wyłożyłam swoje podejrzania odnośnie ich przyczyny.

Akadyjski kapitan zbladł.

– Pani, *lugal* ceni cię nad złoto. Chyba nie podejrzewasz...

– Nie. – Odparłam neutralnym tonem, przy którym bladła bezbarwność Walerii L'Envers. – Ani trochę. Póki księżę Imriel żyje, moje podejrzania nie zostaną rozgłoszone. Jeśli spotka go jakiś wypadek... – wzruszyłam ramionami. – Listy zostaną wysłane. Może dopilnujesz, kapitanie, żeby wszyscy twoi ludzie – rekruci, weterani, koniuchy i nosiwody, bo nie spodziewam się, że poręczysz za każdego jednego – byli tego świadomi.

Ukłonił się nisko.

– Pani, tak się stanie.

– Zrobiłaś, co mogłaś – powiedział Joscelin, gdy kapitan odszedł.

Wciąż miałam wrażenie, że to za mało.

SZEŚĆDZIESIĄT TRZY

– Dlaczego nie możesz jechać ze mną do domu?

Pytanie było nieuniknione, jak sądzę, i dziw, że Imriel zwlekał tak długo. Zadał je, gdy od Tyru dzielił nas tylko dzień jazdy. Westchnęłam.

– Imri... obiecałam, dawno temu. Nie mogę złamać słowa.

Popatrzył na mnie.

– Jeśli cię kocha, czy nie zrozumie?

– Może – odparłam, myśląc o Hiacyncie, który nie miał pojęcia, że droga, którą będę podróżować, rzeczywiście okaże się bardzo mroczna, z tyloma rozwidleniami. – To nie ma znaczenia. Nie o to chodzi.

Przez jakiś czas Imriel jechał w milczeniu.

– Kochasz go bardziej niż Joscelina?

– Nie. Imrielu, posłuchaj. Gdyby ktoś zajął twoje miejsce w Daršandze... gdyby zamiast ciebie była to Beryl – powiedziałam, przypominając sobie imię najstarszej dziewczynki z sanktuarium Elui, tej, która recytowała wiersz o strzale Kusziela. – Gdyby Beryl zajęła twoje miejsce, a ty miałbyś szansę ją uratować, czy pojechałbyś do domu?

Jego czarne brwi, prostsze niż matczyne, ściągnęły się w zadumie.

– Nie – przyznał z niechęcią. – Ale...

– Ale co?

– Dlaczego musisz kochać go tak mocno?

Uśmiechnęłam się.

– Dlaczego? Nie wiem. Znam go, odkąd byłam młodsza od ciebie. Ilekroć byłam niespokojna, przestraszona albo zła... zawsze biegłam do Hiacynta. Był taki czas, Imri, długi czas, kiedy był moim jedynym prawdziwym przyjacielem.

– Był podobny do mnie? Gdy był chłopcem?

Przyjrzałam mu się uważnie.

– Nie. Nie bardzo.

– Chcę jechać z tobą. – Te słowa wypowiedział tak cicho, że ledwo usłyszałam. – Z tobą i Joscelinem do Dżebe–Barkal.

– Nie możesz. Imri, rozmawialiśmy o tym. W Terre d’Ange czeka na ciebie przyszłość, sama królowa pragnie cię poznać i uczynić członkiem swojej rodziny, rodu Courcel, w którym się urodziłeś.

– Czekają też ludzie, którzy chcą mojej śmierci. – Jego usta zacisnęły się w twardą, wcale nie dziecięcą linię.

– Tak. To także. Ale pan Amaury nie pozwoli, żeby spotkało cię coś złego, ani królowa Ysandra. I skoro o tym mowa, oni ochronią cię znacznie lepiej niż ja.

Spojrzenie Imriela przeszło mnie na wskroś.

– Ale tylko ty jesteś moim przyjacielem, moim prawdziwym przyjacielem.

Wieczorem rozbiliśmy obóz kilka mil od Tyru. Gdy Imriel zasnął, Joscelin poruszył temat. Siedział ze skrzyżowanymi nogami na kocach przed wejściem do naszego namiotu i nacierał rękę balsamem od chirurga z Eisandy. Zdjął wreszcie łąbki i bandaże, ale pomimo ściskania kamyków i innych ćwiczeń lewa ręka była tak słaba, że ledwo mógł utrzymać w niej sztylet.

– To daleka droga – rzekł cicho. – I dawno nie byliśmy w domu. Fedro... nie mówię, że nie powinniśmy jechać do Dżebe–Barkal. Ale... spójrz na mnie. Nie będzie ze mnie wielkiego pożytku, jeśli zdarzą się jakieś kłopoty. A ty... Jeśli kiedykolwiek potrzebowałeś czasu na wyzdrowienie, to właśnie teraz.

– Nic mi nie jest.

Joscelin patrzył na mnie, milcząc.

– Masz rację – przyznałam. – Czuję się niezbyt dobrze, ale mogę podróżować, podobnie jak ty. Joscelinie... część mnie, wielka część, chciałaby jechać z Imrielem, osobiście przekazać ostrzeżenie Ysandrze, wrócić do domu. Ale co będzie, jeśli to zrobimy? – Zadrżałam. – Nie jestem pewna, czy wystarczy mi odwagi, żeby znowu ruszyć w drogę. A nie zdołam żyć ze świadomością, że nie zrobiłam czegoś, co mogłam zrobić, aby zwrócić wolność Hiacyntowi. Może... – Przełknęłam ślinę. – Może byłoby najlepiej, gdybyś ty pojechał z Imrielem.

Wzdrygnął się.

– Nie mówisz poważnie.

– Nie wiem. – Objęłam głowę rękami. – Jest tak, jak powiedziałaś, do tego szkoliliś się przez całe życie. Nie do włączenia się po świecie z pechowymi dziwkami.

– Fedro. – Wydało mi się, że w jego głosie zabrzmiał śmiech, choć bez ładu wesołości. – Skoro ty nie możesz wrócić do domu, póki Hiacynt przebywa na wyspie, to czy wyobrażasz sobie, że pozwolę ci samej jechać do Dżebe–Barkal?

– Więc pojedziesz ze mną?

– Przysiągłem na wieczne potępienie i dłużej. – Wyprężył lewą rękę, wypróbując mięśnie. – To będzie dłużej.

Pomyślne znaki towarzyszyły naszemu przybyciu do Tyru. Niebo było czyste i błękitne, a z południowego zachodu dmuchał jednostajny wiatr. Kurierzy *lugala* dotarli przed nami i zamówili dla nas różne środki transportu. Z tymi kobietami, które zmierzały do Menechetu, nie było żadnych kłopotów, gdyż statki handlowe pływały regularnie, ale dłuższe trasy – do Hellady, Ilirii, Caerdicca Unitas, Kartaginy, Aragonii, Terre d'Ange – wymagały specjalnych przygotowań.

Księżę Sinaddan–Szamabarsin był uosobieniem hojności. Statki czekały, gotowe do drogi, najlepsze, jakie można nająć za pieniądze, a kapitanowie z załogami powitali kobiety z zenany Mahrkagira jak szlachetnie urodzone pasażerki.

Dla niektórych było to szokiem, acz przyjemnym, zwłaszcza dla tych, które urodziły się w niewoli. Jeszcze nie w pełni pojmowały, że straszny los i upokorzenia, jakich zaznały w Daršandze, odmieniły ich życie na lepsze. Cieszyłam się, bo zasłużyły na poprawę losu. Miałam nadzieję, że chociaż kilka z nich znajdzie szczęście albo przynajmniej zadowolenie. Jest wiele rzeczy, których nie można kupić za pieniądze, i większość z nich wymienili filozofowie, którzy każdego ranka zastanawiali się, czy ten dzień nie będzie ich ostatnim. Cieszyłam się, że kobiety, które przeżyły Daršangę, nie będą musiały się martwić przynajmniej o kupienie chleba.

Co do reszty, wszystko zależało od nich. Ocaleli muszą żyć dalej, żeby poniesione ofiary nie straciły sensu.

Ruszad... Drucylla... Erich. Żaden statek nie płynął do Skaldii. Nie poznałam historii Ericha, nie dowiedziałam się, jak trafił do drudzańskiej niewoli. Trzymałam go za rękę i śpiewałam mu skaldyjskie pieśni, gdy konał. Miałam nadzieję, że Odyn, Ojciec Wszecrzeczy, udzielił mu upragnionych odpowiedzi.

W moim sercu już nie było nienawiści ani strachu przed Skaldią.

Wiele łez polało się w czasie pożegnania i choć nie śmiałam zostawiać pisemnego tropu, przekazałam sporo instrukcji, wyszeptanych do dziesiątków kobiet, a przeznaczonych dla pół tuzina d'Angelińskich ambasadorów. Była to ostatnia wielka konspiracja zenany Daršangi i wszystkie chętnie wzięły w niej udział.

Nasz statek miał wyruszyć jutro w południe jako ostatni; d'Angeliński wypływał o świcie. Tę noc spędziliśmy w pięknej tyreńskiej gospodzie, którą *lugal* wynajął dla naszej wygody, i to z zastrzeżeniem, żeby nikt nie robił ceregieli z powodu wspólnego zasiadania do kolacji przez mężczyzn i kobiety. Feta ciągnęła się

długo w noc i przypuszczam, że Amaury Trente wysłuchał więcej rad, niż potrzebował.

Pod koniec wieczoru pożegnałam się z Imrielem, który miał spać z ludźmi pana Amaurego.

– Trzymaj się – szepnęłam, przytulając go. – Uważaj na siebie. Pamiętaj, czego cię nauczyłam.

– Dobrze. – Jego stłumiony głos ginął w moich włosach, bo chłopiec obejmował mnie mocno za szyję. Po chwili, pociągając nosem, popatrzył na Joscelina. Położył rękę na cennym akadyjskim sztylecie, który nosił za pasem. – Nauczysz mnie go używać, gdy wrócisz?

– Obiecuję, książę. – Joscelin skłonił się bez dawnej kasjelickiej gracji. Zamknął oczy, gdy Imriel go ścisnął, i chyba zobaczyłam łzy na jego rzesach. – Uważaj na siebie, dopóki tego nie zrobię.

Potem poszliśmy do naszej kwatery, która bez Imriela wydawała się dziwnie pusta. Żadne z nas już nie musiało czuwać, Joscelin nie musiał pełnić warty przed drzwiami. Pomyśleć, do jakich dziwnych rzeczy człowiek może się przyzwyczaić.

– Zabawne – powiedział Joscelin, rozpinając zarękawia. Z lewej ręki zniknęły stwardnienia, jakie miał przez całe życie, i skórzane paski otarły skórę. – Nigdy się nie spodziewałem, że go polubię.

– Syna Melisandy – mruknęłam.

– Tak. – Ścisnął otarcie i skrzywił się. – Syna Melisandy. Chcesz zobaczyć, jak odpływają?

– Tak. Chyba tak.

Rano oczywiście zaspaliśmy. Nic dziwnego, pomyślałam, gdy otworzyłam oczy i ujrzałam pierwsze promienie słońca zaglądające przez okno, od wielu tygodni oboje nie przespaliśmy spokojnie ani jednej nocy. Zbudziłam Joscelina, który jak zwykle ocknął się w okamgnieniu. Ubraliśmy się w pośpiechu, zarzuciliśmy płaszcze dla odparcia porannego chłodu i pobiegliśmy do portu. Już podnoszono kotwicę i wioślarze śpiewali, galera obracała się na spokojnej wodzie

zatoki, szykując się do podcienia żagli.

Byli tam, stali na pokładzie, pan Amaury z charakterystyczną kasztanową czupryną, prześwietloną przez skośne promienie słońca. Uniósł rękę w salucie, a my pokiwaliliśmy z nabrzeża. Imriel w akadyjskim płaszczu z kapturem nie okazywał, że nas widzi. Ktoś – chyba Vigny – miał go na oku.

– Cóż – mruknął Joscelin. – I tyle.

– Czy ty też...?

– Co?

– Nic – Wzruszyłam ramionami. – Jeden z ludzi wciągających kotwicę... Zdawało mi się, że widziałam szramy na jego twarzy. Jakby zadrapania. Zagojone zadrapania.

Joscelin patrzył za oddalającą się galerą.

– Fedro... przecież... pan Amaury wie, prawda? Powiedziałaś mu o listach, które przekazałaś Efezjankom, i o instrukcjach udzielonych innym kobietom. Powie kapitanowi statku, co go spotka, jeśli Imriel nie dotrze bezpiecznie do portu w Marsilikos.

– Tak. Amaury wie.

– W takim razie daj sobie spokój – powiedział stanowczo, ciągnąc mnie za rękę. – Masz urojenia, to wszystko. Waleria próbowała dwa razy, trzeci raz się nie poważy, a jeśli nawet, my nie możemy nic zrobić. To sprawa Amaurego, jego wyznaczyła królowa. Niech on się tym zajmie.

Poszłam z nim, oglądając się przez ramię. Zapewne miał rację; nawet ja uważałam, że wyobraźnia płata mi figle. Wróciliśmy do gospody i spakowaliśmy nasze rzeczy – głównie te, z którymi opuściliśmy Niniwę, bo pozostałe płynęły na zachód z panem Amaurem – a potem zeszliśmy na śniadanie, żeby spotkać się z Kaneką i pozostałymi kobietami. Do Iskandrii płynął niewielki statek, menechetański handlowiec, z czego byłam rada. Nie zabierał ładunku, bo *lugal* zapłacił za rejs, i było nas łącznie dwadzieścioro, Dzebenki, Menechetanki i D’Angelinowie. Kiedy słońce stanęło

wysoko na niebie, załoga podniosła kotwicę i odbiliśmy od brzegu, chwytając wiatr w podniesione żagle. Stałam na pokładzie i z oszłamiającą lekkością w sercu patrzyłam, jak poszerza się pas wody pomiędzy nami a brzegiem Khebbel–im–Akad.

Skończyło się, pomyślałam. Zostawiliśmy Drudżan za sobą.

I modliłam się, by odległość uczyniła różnicę.

Przyjemnie było, po pobycie w Khebbel–im–Akad, chodzić z odsłoniętą twarzą i czuć na policzkach drobiny słonej wody. Zamknięcie w zenanie pogłębiło moje upodobanie do otwartych przestrzeni, a żadna jest tak wielka jak ocean. Razem zjedliśmy kolację w mesie, śmiejąc się, gdy nasze talerze i kubki jeździły po stole, i wybuchliśmy jeszcze większym śmiechem, gdy Joscelin ze szczególną miną przeprosił i pobiegł pokład.

– Nie lubi morza? – zapytała szeroko uśmiechnięta Kaneka.

– Od dawna nie mogą dojść do porozumienia – odparłam.

W nocy gwiazdy jasno płonęły na niebie, zbite w diamentowe roje na tle aksamitnej ciemności. Pomimo chłodu spacerowałam po pokładzie patrząc na nie, zastanawiając się, czy takie piękno zostało stworzone celowo. Piękno pobudza do miłości, tak mówi się w Terre d’Ange. Czy świat specjalnie został stworzony w ten sposób, żebyśmy go uznali za godny kochania? Możliwe. Nie byłam kapłanką ani filozofem, żeby w gwiazdach szukać odpowiedzi na zagadki świata. Wiem tylko, że były piękne i poruszały moją duszę.

Cieszyłam się, że wciąż wzrusza mnie piękno.

Trzeciego dnia skwar środka dnia stał się nie do wytrzymania, gdy słońce prażyło drewniane pokłady. Wzorem wielu mieszkańców południa najgorszy upał spędzałam w kabinie; zamknięcie czy nie, pobyt w cieniu był lepszy niż smażenie się na słońcu, a w naszej kabinie było okienko, przez które wpadała bryza.

Drzemałam na wąskiej koi, odziana tylko w cienką płócienną koszulę, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Pomyślałam, że to na pewno

Joscelin, nietypowo formalny. Jak zawsze, pierwszą część podróży spędzał głównie na rufie, gdzie napady choroby morskiej, które skręcały mu wnętrzności, były mniej kłopotliwe.

– Tak? – powiedziałam, uchylając drzwi. To była Kaneka. Nie zgadłam.

– Musisz to zobaczyć – powiedziała z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Otworzyłam drzwi szerzej i wytrzeszczyłam oczy.

W ramionach Kaneki wił się Imriel de la Courcel.

SZEŚĆDZIESIĄT CZTERY

– Jak?

Splotłam ręce na piersi i patrzyłam na niego, starając się wyglądać jak najbardziej groźnie. Joscelin, oparty o drzwi kabiny, był poważny i stoicki na tyle, na ile to możliwe w przypadku cierpiącego na chorobę morską kasjelity, a Kaneka... Kaneka powstrzymywała się od śmiechu, lecz Imri chyba o tym nie wiedział. Tyle się nie nauczył, jeszcze nie.

– W gospodzie był chłopiec – odparł wyzywającym tonem. – Akadyjczyk służący. Chciał zobaczyć Terre d’Ange, gdzie mężczyźni wyglądają jak synowie bogów, a kobiety jak... jak ty. Poprosiłem go, by zajął moje miejsce.

Uniosłam brwi.

– Jak?

– Wziął mój płaszcz. W zaułku, przy schodach. I dałem mu swój sztylet, prezent od *lugala*. Zamieniliśmy się miejscami, gdy wszyscy pilnowali znoszenia kufrów. Udałem, że się dąsam, i powiedziałem pana Amauremu, żeby mi nie przeszkadzał, więc nie zauważył, kiedy dokonaliśmy zamiany.

– A jak myślisz, kiedy się wyda?

– Nieprędko. – Uniósł podbródek. – Kazałem mu udawać, że choruje i chce spać, i odwracać twarz od światła.

– Umówiłeś to wszystko pod nosem pana Amaurego? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Pan Amaury nie mówi po akadyjsku – odparł Imriel.

Popatrzyłam na Joscelina.

– Czy zechciałbyś sprowadzić kapitana?

Menechetański kapitan przyszedł bez zwłoki i z wyraźnym helleńskim akcentem powiadomił nas, że zawrócenie do Tyru nie wchodzi w rachubę. *Lugal* Khebbel–im–Akad zapłacił za bezpośredni rejs do Iskandrii i tam właśnie popłynie. Tak, rozumie nieprzewidzianą sytuację, ale przejazd statkiem został opłacony i obecność dodatkowego pasażera nie stanowi problemu. Tak, rozumie, że chłopiec jest ważną osobą w swoim kraju, ale to jest menechetański statek, a stosunki z Khebbel–im–Akad zawsze były delikatne. Bez bezpośrednich rozkazów od samego *lu gala* nie ośmieli się odgadywać jego życzeń. Oczywiście, zarezerwuje dla miejsca, jeśli będziemy chcieli wrócić do Tyru.

– Otóż to – mruknęłam z przygnębieniem, gdy wyszedł. – Tak trzeba będzie zrobić.

Kaneka chrząknęła.

– Mała...

– O co chodzi? – Nie podobał mi się jej ton.

– Podróż nie potrwa długo, ale... jeśli stracisz miesiąc, to gdy dotrzesz na południe, rozpocznie się pora deszczowa. Wtedy nikt nie może podróżować.

Chwyciłam się za włosy, czując więź pokrewieństwa z Amauryem Trente

– Eluo! Imri, dlaczego to zrobiłeś?

Jego twarz była studium płaczliwego buntu.

– Sama powiedziałaś... mówiłaś o przyjaźni, honorze i przykazaniu Błogosławionego Elui! Kochaj jak wola twoja! – wykrztusił te słowa jak przekleństwo. – Dlaczego mnie nie wolno o niczym decydować?

Usiadłam na koi i popatrzyłam na Joscelina, u niego szukając pomocy.

– *Fedabin*. – Ukłonił się Kanece, ostrożnie krzyżując przedramiona. Mówił w łamanym zenańskim, który był naszym jedynym wspólnym

językiem. – Czy podróż jest niebezpieczna?

– Szukając Melehakimów? – Kaneka wzruszyła ramionami. – Niebezpieczna, panie. Jest tam rzeka większa niż Eufkrat i pustynia, która zabija. Są krokodyle i lwy, i padlinożercy, hieny i szakale, krwiopijne muchy, które nawet silnych mężczyzn potrafią doprowadzić do szaleństwa. W Dzebe–Barkal są plemiona, liczne plemiona, niektóre wrogo nastawione. Ale... – dodała z błyskiem w oku – nikt nie będzie nastawał na życie chłopca z powodu jego urodzenia. Poza tym, jeśli chcecie, zawsze możecie zostawić go w Debeho. W mojej wiosce będzie pod dobrą ochroną.

Joscelin popatrzył na mnie. Odpowiedziałam spojrzeniem.

– Nie myślisz poważnie.

– Fedro, zastanów się. – Jego ton brzmiał nadzwyczaj rozsądnie. – Przynajmniej byłby bezpieczny przed próbami zabójstwa. I... na Eluę, chłopak ma rację! Czy jemu nigdy nie wolno decydować?

– Ty nie decydowałeś – burknęłam.. – Ja też nie. Nie w wieku dziesięciu lat.

– I popatrz, dokąd nas to doprowadziło. A jednak żadne z nas nie musiało cierpieć w Daršandze.

Niektóre decyzje trzeba podejmować szybko. Przycisnęłam dłoń do

– Dobrze – powiedziałam. – Dobrze, dobrze, dobrze! Imrielu... – uniosłam głowę – jeśli pozwolimy ci zostać, jeśli wyrazimy zgodę, czy przysięgniesz, że będziesz nam posłuszny? Joscelinowi i mnie, i Kanece także, każdemu naszemu słowu, każdej zachciance, jakby sam Błogosławiony Elua przekroczył granice leżącej w zaświatach Terre d’Ange i obwieścił nowe przykazanie?

Imriel kiwał głową przy każdym moim słowie, wcale nie słuchając, ale zgadzając się na wszystko.

– Przysięgam! – powiedział bez tchu. – Przyrzekam, ślubuję, obiecuję, Fedro, daję słowo!

Resztę podróży spędziłam na układaniu listu do Amaurego Trente.

Była to ryzykancka decyzja i przypuszczam, że nie podjęłabym jej pół roku temu. A jednak wielka odległość i wielkie wydarzenia zmieniają perspektywę. Nasza nosiła znamiona szaleństwa, ale była niczym w porównaniu z tym, co Imriel przeżył w Daršandze. Ponadto Kaneka miała rację; nikomu w Dżebe–Barkal nie zależało na jego śmierci. Gdy tylko postawi nogę w Terre d’Ange, zawsze będzie miał wrogów, zawsze będzie wisiał nad nim cień przeogromnej zdrady matki, każdy jego ruch będzie obserwowany i analizowany.

A jednak.

– Nie mogę uwierzyć, że stanąłeś po jego stronie – powiedziałam do Joscelina wieczorem. Imriel spał w kajucie Kaneki, gdzie była wolna koca. Po trzech dniach polowania na odpadki i spania w ciemnym kącie ładowni był wdzięczny za ten luksus. Gdyby nie przyłapała go przy beczce z wodą, mógłby wytrzymać do samej Iskandrii. – Amaury będzie gotów nas zabić. A Ysandra... wolę nie myśleć.

Joscelin wzruszył ramionami.

– To ty mówiłaś, że widziałaś zabójcę na pokładzie tamtego statku.

– Mówiłam! – Zniżyłam głos. – Nawet ja przyznałam, że to zapewne wyobraźnia gra na moich lękach. To niepodobne do ciebie. Honor, obowiązek, lojalność – wszystkie te kasjelickie cnoty powinny żądać, żeby go odesłać.

– Jestem zmęczony. – Położył się na boku i popatrzył na mnie. – Fedro, przez całe życie wciąż musiałam wybierać, na okrągło. Jestem tym zmęczony.

Daršanga, pomyślałam, jego też zmieniła, zmieniła nas wszystkich.

– Więc miłość jest wystarczającym powodem? Ponieważ on tego pragnie?

– Nie wiem. Błogosławiony Elua mówi, że tak. Imriel poszedł za tobą... za nami z miłości. Wiem, że to prawda, nie ma innego powodu.

– Przetoczył się na plecy i wbił wzrok w sufit. – Fedro, powiedziałaś mu, jak jego matka uciekła z Troyes–le–Mont?

Zimny dreszcz przebiegł mi po krzyżu.

– Nie – szepnęłam.

Choć wydaje się to niewiarygodne, wcześniej nie pomyślałam, że obie ucieczki przeprowadzono podobnie, łącznie z wymianą płaszczy. W Troyes–le–Mont Melisanda zamieniała się miejscami ze swoją kuzynką Persją i wydostała się z niewoli pod nosami pilnujących ją [ludzi](#).

Jej syn sięgnął po prawie taką samą sztuczkę. Podstęp musiał zostać odkryty i ludzie, którzy zostali oszukani, niewątpliwie wracali do Tyru, niepewni i wściekli, trzymając w areszcie rozczarowanego akadyjskiego służącego

– Zrobił to z miłości – powiedział Joscelin łagodnie. – Na tym polega różnica. A ja nie zdradzę go z tego powodu, moje serce jest temu przeciwne. Fedro... ten chłopiec mógłby być niebezpieczny. Mógłby być inny. Nie mogę wybaczyć Melisandzie, ale mogę wybaczyć jej synowi.

– Ktoś powinien – mruknęłam. – Równie dobrze możemy to być my.

– Dlaczego nie? – Roześmiał się, śmiech stopił się z rytmicznym chlupotem fal o kadłub statku. – W każdym razie wydaje się, że zwykle tak jest.

Tak mijła nasza podróż. Rankiem i wieczorami, gdy choroba morską mu nie dokuczała, Joscelin wykonywał kasjelickie ćwiczenia na przednim pokładzie. Pocił się w jasnym słońcu, próbując odzyskać dawną równowagę, stalowe sztylety tkwały misterne wzory – powoli, bardzo powoli. Po pierwszym dniu Imriel dołączył do niego, używając drewnianej broni ćwiczebnej wystruganej przez znużonego marynarza. Bezgranicznie cierpliwy dla własnej ułomności i dla nieporadności Imriela, powoli uczył go podstaw.

Obserwowałam ich obu, poruszona emocjami, których nie

umiałam nazwać. Dawno temu, kiedy wstąpił do służby u Delaunaya, też się przyglądałam, stojąc na tarasie, podczas gdy on ćwiczył w ogrodzie. Zastanawiałam się nad kasjelicką cierpliwością, gdy zaczął uczyć Alcuina, mojego prawie brata Alcuina o mlecznobiałych włosach i łagodnym uśmiechu.

W tamtych czasach pogardzałam Joscelinem.

Teraz...

Kochałam go, wciąż go kochałam. A gdy błyskał uśmiechem, chętny wybaczenia błędu, gdy forsował się niezmordowanie, tańcząc bez gracji na tle lśniącego nieba, gdy słyszałam dźwięczny śmiech Imriela, zaskoczonych i zachwyconego – kochałam go tym bardziej, aż bolało mnie serce, zbyt wielkie, żeby zmieścić się w piersi.

A jednak nawet się nie pocałowaliśmy.

Zbyt wiele cieni leżało pomiędzy nami i wszystkie z nich powstały w Daršandze. Jestem *anguisette*, od urodzenia. Jak Joscelin, kroczyłam swoją ścieżką, zachowując równowagę, balansując pomiędzy lewą stroną, a prawą, pomiędzy przyjemnością a bólem, pomiędzy miłością a tym wszystkim, co miłością nie było. Gdzieś w Daršandze posunęłam się za daleko. I coś we mnie pękło, tak jak jego kości.

Nie wiedziałam, jak znaleźć drogę powrotną.

Tak oto patrzyłam na nich i radowałam się, szukając zadowolenia gdzie tylko mogłam, w czystym morzu i wietrze, w szumie krwi zasilającej jego wymizerowane mięśnie, w łuku stali tnącym niebo, w śmiechu Imriela. I układałam w głowie list do pana Amaurego Trente, starając się wyjaśnić, dlaczego uznałam, że postąpiliśmy zgodnie z wolą Błogosławionego Elui.

Przybyliśmy do Iskandrii.

Nie spodziewałam się, że ujrzę w porcie Nesmuta.

– Łaskawa pani! – Jego głos niósł się po nabrzeżu, a sandały klapały po kamieniach, gdy pędził w naszą stronę, zapominając o swoim dostojeństwie. – Łaskawy panie! Żyjecie!

– Nesmut. – Roześmiałam się, moje serce załomotało z ogromnej

radości. – Znajdziesz czas dla starych klientów? Tym razem jest nas więcej.

Po długich negocjacjach, beztroskich i poważnych zarazem, Nesmut wrócił z powozami i tragarzami, po czym zaprowadził nas do zajazdu – nie u Metrichy, ale do czysto menechetańskiego, przyjemnego i skromnego. Kobiety z zenany nie miały powodów do narzekań. Po Daršandze był prawdziwym pałacem.

A ja nie chciałam, żeby ktokolwiek mógł nas łatwo znaleźć, wystarałam się o pergamin, pióro i atrament, i większą część dnia spędziłam na pisaniu ułożonych w głowie listów – do Amaurego i wielu innych. Gdy skończyłam, przez Nesmuta wysłałam zawiadomienie do Nemeusza Dikajosa. Status chłopca wzrósł znacznie w iskandryjskim świecie, skoro mógł bez przeszkód dostarczyć taką wiadomość. Szczycił się swoją pozycją, czego wcale nie miałam mu za złe.

Niedługo później dostaliśmy wezwanie od faraona.

Jak poprosiłam, spotkanie było dyskretne i nieformalne. Bez Imriela, pomyślałam z żalem, byłoby znacznie łatwiej. Ale decyzja zapadła i musiałam zrobić to, co mogłam, żeby zapewnić bezpieczeństwo.

Ptolemeusz Dikajos przyjął mnie w prywatnej sali recepcyjnej, gdzie kiedyś zawarliśmy umowę. Pod obojętnymi spojrzeniami niewolników z wachlarzami przekazałam mu list, w którym *lugal* wyszczególniał zaistniałe wydarzenia i prosił o pomoc w dopilnowaniu, by uwolnione Menechetanki trafiły do swoich rodzin albo zostały ugoszczone z honorami. Faraon, nie korzystając z usług tłumacza, przeczytał pismo i gdy skończył, spojrzął na mnie z zadumą, leżąc na tapczanie.

– Śmiałe czyny, Fedro nó Delaunay, i godne. Dlaczego więc prosisz o sekretne spotkanie, zamiast chwalić się swoim zwycięstwem przed ambasadorem de Penfars i panem Mesilim–Amurri, konsulem Akadu? Jestem pewien, że gdyby wiedzieli, urządziliby dla was triumfalny

pochód.

– Wystąpiły pewne komplikacje, panie.

Zatrzepotał ciężkimi powiekami.

– Tak? Jakie?

Powiedziałam mu o Imrielu. Gdy skończyłam, roześmiał się.

– A co ja mam zrobić w tej sprawie? Wedle prawa powinienem natychmiast posłać po Penfarsa i przekazać mu chłopca! Zyskałbym względy u d'Angelińskiej królowej.

– W istocie, chyba że ja powiedziałabym jej o twoim przymierzu z Melisandą Szachrizaj.

– Otóż to. – Faraon potarł brodę. – Co więc proponujesz?

– Za kilka dni wyjeżdżamy, panie. Jeśli w tym czasie przyślę ci przez posłańca różne listy, zechciej łaskawie rozesłać je do adresatów. Ten jest od *lugala*, w sprawie kobiet z zenany. – Ruchem głowy wskazałam list, który trzymał, i wyjęłam trzy kolejne. – Ten do pana Amaurego Trente w Tyrze, a ten do ambasadora de Penfars, który przekaze go królowej Ysandrze. Oba zawierają moje podejrzenia i uzasadniają moje poczynania z zapewnieniem, że ty nie wiesz o mojej obecności, i że zdałam się twoją prawość, prosząc o przekazanie ich.

– Przyślesz przez posłańca, hę? – Przez chwilę rozważał implikacje. – Będzie więc wyglądało na to, że dowiedziałem się o twojej bytności w Iskandrii dopiero po twoim wyjeździe.

– Tak, panie. – Siedziałam wyprostowana pod jego pełnym zadumy spojrzeniem.

– Mogłabyś tak zrobić.

– Mogłabym, panie. Ale mam zobowiązania wobec kobiet z zenany. Powierzono mi dostarczenie ich do Menechetu i otrzymałam zapewnienie twojej współpracy. Nie mogłam wyjechać bez tego.

Wachlarze zakreślały szerokie łuki, wprawiając w ruch parne powietrze. Ptolemeusz Dikajos wspierał podbródek na pięści i wciąż na mnie patrzył.

– Jesteś dziwną kobietą, Fedro nó Delaunay, piękną, ale dziwną. Do

kogo jest ten trzeci list?

Zaschło mi w ustach.

– Do Melisandy Szachrizaj de la Courcel.

Faraon szczechnął śmiechem.

– Panie, o to nie proszę. Tę decyzję pozostawiam tobie. Nie wiem, czy utrzymywałaś z nią kontakt, i nie będę pytać. Jeśli nie... –
Wzruszyłam ramionami, kładąc list na niskim stoliku pomiędzy nami.

– Powierz pismo płomieniom. Jeśli tak... niezależnie, co zrobiła, jest matką, panie, rozpaczającą z powodu utraty syna. Ma prawo wiedzieć, że Imriel żyje.

Faraon podniósł listy i przypatrywał im się uważnie, pierścienie z kamieniami lśniły na wszystkich palcach jego rąk.

– Bardzo piękna i bardzo dziwna. Podjęłaś ryzyko, przychodząc do mnie sama, pani.

– Tak. – Pokiwałam głową. – Jednakże, panie, jeśli nie wrócę do zachodu słońca, moi towarzysze poproszą o azyl u ambasadora de Penfars.

Jego oczy rozbłysły z rozbawienia.

– Ambasady nie są niezdobytymi twierdzami.

– Podobnie jak trony – powiedziałam. – Przypuszczam, że pan Raif szukałby pomocy u generała Hermodorusa, nie wspominając o akadyjskim konsulu, gdyby ambasadzie coś zagroziło. Wierz mi, jeśli nie wrócę do zachodu słońca...

– Niech zgadnę. – Faraon postukał dwoma palcami grube pergaminowe koperty. – Są listy, które czekają na wysłanie.

Pokiwałam głową.

– Tak się składa, panie.

Roześmiał się i rzucił pisma na stół.

– Ach, pani Fedro! Bawisz mnie, ogromnie mnie bawisz. Niech tak będzie. Dam ci dwa dni. Trzeciego oznajmię, że otrzymałem doniosłe wieści, i menechetańskie uciekinierki zostaną przyjęte z fanfarami. Twoje listy zostaną wysłane do ambasadora i do Tyru, a ja będę

twierdził, że nie wiedziałem o twojej obłudzie. Mam szczerą nadzieję, pani, że w tym czasie będziesz już daleko, w drodze w górę rzeki.

– Będziemy. – Uklękłam i z wdzięcznością złożyłam głęboki ukłon. –
Dziękuję, panie.

Ptolemeusz Dikajos machnął upierścienioną ręką.

– Idź, i wyjedź.

SZEŚĆDZIESIĄT PIĘĆ

Przez następne dwa dni z pomocą Nesmuta i pod kierunkiem Kaneki zajmowaliśmy się przygotowaniami. Mieliśmy płynąć feluką, szybka łodzią o niewielkim zanurzeniu, w górę rzeki do Madżibary, wielkiego karawanseraju na granicy Menechetu i Dżebe–Barkal. Tam nasza grupa – razem wzięwszy, złożona z siedmiu osób – miała się rozpaść, bo dwie kobiety kierowały się do zachodniej prowincji Nubii, a my mieliśmy podróżować dalej na południe przez pustynię.

Dzięki wspaniałomyślności *lugala* nie brakowało nam funduszy. Za radą Kaneki wymieniliśmy wiele darów na „monety kupców”, ciężkie łańcuchy z miękkiego złota, do płacenia ogniwo po ogniwie. Powierzyliśmy je Joscelinowi, a on nosił je na szyi, ukryte pod ubraniem.

W Iskandrii niewiele wydaliśmy na wyposażenie, bo Kaneka zapewniła nas, że w Madżibarze wszystko będzie tańsze, a żywność bez trudu można kupić po drodze. Zaopatrzyliśmy się w namioty z moczonego w oleju jedwabiu, zwijane maty do spania i kilka garnków. Ja kupiłam kapelusz o szerokim rondzie do ochrony przed słońcem i burnus z białej bawełny; poza tym wciąż miałam akadyjskie szaty i zieloną suknię podróżną, zaprojektowaną przez Favrielę nó Dzika Róża i odpowiednią do klimatu. Druga, którą nosiłam w Drudżanie, już dawno została wyrzucona.

Zatem nowe ubrania i niewiele więcej. Mogła to być niemalże wycieczka dla przyjemności. Ostatnią kolację w Iskandrii zjedliśmy wszyscy razem, łącznie z Nesmutem. Chłopak z pewną zazdrością

popatrywał na Imriela, który znalazł się w centrum wielkich wydarzeń i wyruszał na spotkanie z wielką przygodą. Dziwnie było widzieć ich razem. Nesmut, choć miał więcej lat, wydawał się młodszy, pełen temperamentu i wesołości.

Jak wcześniej, znów pomyślałam o Hiacyncie. „Czy był podobny do mnie?” – zapytał Imriel. Jako chłopiec? „Nie bardzo”, odparłam, bo tak wyglądała prawda. Mały Hiacynt był zupełnie inny. Teraz... w oczach Imriela dostrzegłam cienie, pamięć bólu i brzemienia dziedzictwa, i głód z jakim patrzył na Nesmuta, który śmiał się, jadł i pił z apetytem, szczęśliwy ze swojej pozycji. Pomyślałam o strasznym uśmiechu Hiacynta i jego okropnej samotności.

Prawdę mówiąc, cieszyłam się, że Imriel jest z nami.

Po kolacji pożegnaliśmy się, bo mieliśmy wyruszyć o świcie.

– Przykro mi – powiedziałam do Chepri, którą znałam najlepiej spośród Menechatanek – że musi tak być. Powinnyście wkroczyć do miasta w pochodzie. To wasze prawo.

Uśmiechnęła się, ujmując moją rękę.

– Jutro wystarczy. Nie byłoby nas tutaj, gdyby nie ty, a ja nie potrzebuję pochodów. Pokój jest wszystkim, o co proszę. Mam nadzieję, że najdziesz to, czego szukasz.

– Dziękuję. – Ścisnęłam jej rękę. – Ja też mam taką nadzieję.

Wspólnie spędzony czas dobiegł końca, było nas coraz mniej.

Zgodnie z planem wyruszyliśmy o wschodzie słońca. To coś wartego obejrzenia – wschód słońca nad deltą potężnego Naharu. Kaneka mówiła prawdę; ze wszystkich rzek ta jest największa. W Iskandrii trudno uważać ją za rzekę, bo dzieli się na niezliczone kanały, spokojnie wijące się wśród wielkich połaci zieleni.

O cichym świcie, gdy powietrze wciąż było balsamiczne, czekały na nas dwie feluki, obsadzone przez dwóch Dżebenów. Szybko załadowano nasz dobytek i znaleźliśmy miejsce na statkach – Joscelin, Imriel, Kaneka i ja na jednym, a Safija i dwie Nubijki na drugim. Nasz

kapitan uniósł palec, by sprawdzić kierunek i siłę wiatru, potem wciągnął na pokład prymitywną kamienną kotwicę.

Gdy skośne promienie wczesnego słońca przemieniły brązową wodę delty w lśniący brąz, byliśmy w drodze.

Naprawdę, pierwszy etap podróży do Dżebe–Barkal był nieledwie wycieczką. Nasze feluki ze skośnymi żaglami halsowały po leniwej rzece, żeglarze pokrzykiwali po dżebeńsku. Roślinność była bujna i gęsta, wysokie papirusy rosły wzdłuż brzegów. Czaple i święte ibisy zastygały jak posągi, gdy przepływaliśmy, przekrzywiając długodziobe głowy na niewiarygodnie długich szyjach. Łagodny wiatr dmuchał nam w plecy i czułam, po raz pierwszy od wielu miesięcy, odrobinę dawnego podniecenienia towarzyszącego początkowi nowej podróży.

Kilka godzin drogi na południe od miasta niezliczone drogi wodne zbiegły się w końcu i delta ustąpiła właściwej rzece, szerokiej i statecznej, płynącej pomiędzy zielonymi brzegami. Po rzece pływały najróżniejsze łodzie, od wiosłowych i rybackich po galery i barki holowane przez woły. Żadne nie dorównywały prędkością lekkim felukom, halsującym w tę i z powrotem, z trójkątnymi żaglami chwytającymi wiatr.

Wzdłuż brzegów rzeki ciągnęły się wioski, poprzegradzane pantacjami pszenicy i trzciny cukrowej, obrzeżone palmami i tamaryszkiem. Czasami widzieliśmy karawany – wielbłądy i osły w długich procesjach na brzegu. Gdy uświadomiłam sobie, z jaką prędkością nasz szybki statek zostawia je za sobą, ucieszyłam się, że posłuchałam rady Kaneki.

Przez jakiś czas byłam niespokojna i oglądałam się ze strachem, że faraon złamie słowo i pchnie za nami pościg. Nie dostrzegłam nic podejrzanego i w końcu przestałam się martwić. Co ma być, to będzie, ja nic na to nie poradzę.

Ku mojemu rozczarowaniu nie zobaczyliśmy z rzeki najpotężniejszych budowli Menechetu, Wielkich Grobów

starożytnych królów. Nasz kapitan wspaniałomyślnie zaproponował, że dobije do brzegu i poprowadzi nas lądem – za dodatkową opłatą, oczywiście – ale uznałam, że lepiej nie tracić czasu. Kaneka zapewniła mnie, że świątynie leżące w górze rzeki wynagrodzą mi tę stratę.

Pierwszej nocy rozbiliśmy obóz w malowniczej wiosce, po czym wytargowaliśmy u wieśniaków cenę za melony, słodkie daktyle i pieczone kurczęta; jedliśmy je palcami. Noc była miękka jak aksamit, niebo usiane gwiazdami.

– Muszę przyznać – zaczął sennie Joscelin, wyciągnięty przy ogniu – że jak na razie wcale nie jest źle.

– Nie. – Siedziałam ze skrzyżowanymi nogami, czesząc splątane włosy Imriela, który z bólu zgrzytał zębami. – Naprawdę.

Dni naszej podróży zlały się w pamięci, różniąc się tylko widokami na brzegu. Nasz pierwszy hipopotam wyłonił się z rzeki jak kolos. Strumienie wody ściekały po ciemnej skórze, gdy rozdziawiał wielką różową paszczę z żółtymi kołkami zębów. Imriel zerwał się z pokładu, krzycząc i wyciągając rękę. Kaneka i pozostałe Dzebenki tylko się roześmiały. Później widzieliśmy wiele tych stworzeń, spokojnych i nieszkodliwych, póki się ich nie rozdrażni. Bardziej groźne były niezliczone krokodyle. Ciemnozielone i guzowate, przypominały zanurzone kłody i tylko wąskie oczy zadawały kłam temu złudzeniu. Kaneka uprzedziła nas, że na suchym lądzie poruszają się z ogromną szybkością, dlatego zawsze uważaliśmy wracając nad wodę po zwinięciu obozu.

Kaneka nalegała, żeby odwiedzić świątynię poświęconą Sobkowi, mehetańskiemu bogowi–krokodylowi. Budowla stoi na zakręcie rzeki. Przysięgam, że w pobliżu co najmniej tuzin świętych bestii wygrzewało się na piaszczystym brzegu. Nasi dwaj kapitanowie ostrożnie dobili do plaży i wyskoczyli na ląd z długimi osękami, żeby zapewnić nam bezpieczną drogę do świątyni.

Tutaj na południu menechetańska wiara nie uległa hellenizacji i

jest umocniona przez kontakty z Dżebe–Barkal. Przyznam, że choć świątynia była przyjemna, wyobrażenia Sobka przyprawiły mnie o drżenie. Człowiek–bóg z głową krokodyla podobno pożarł rozczłonkowanego Ozyrysa, umierającego boga, którego Hellenowie utożsamili z Serapisem, bogiem umarłych. Nie byłam pewna, dlaczego czczą krokodyle.

– Pan Sobek ma swoje miejsce, mała – powiedziała Kaneka, widząc moją powątpiewającą minę. – Gdyby Nahar nie występował z brzegów, żeby pożerać ziemię, pola nie mogłyby się odrodzić. Poza tym potrzebujemy jego wyrozumiałości.

To rzekłszy, złożyła na ołtarzu ofiarę, glinianą figurkę pomalowaną w jasne kolory, i cofnęła się z ukłonem.

Musieliśmy czekać godzinę, bo krokodyle wciąż tłumnie okupowały piaszczystą plażę. Klnący, spoceni ze strachu kapitanowie mieli nie lada kłopot z oczyszczeniem drogi do statków.

– Cudowne miejsce na świątynię! – zauważył Joscelin, gdy podnieśliśmy żagiel.

– A gdzież indziej miałyby stać? – zapytała Kaneka logicznie. Patrząc na mnie, uśmiechnęła się szeroko. – Zatrzymamy się w Houbie, mała, i odwiedzimy świątynię Izydy. Myślę, że bardziej ci się spodoba.

Mijały dni, jeden podobny do drugiego, a Największa Rzeka przemykała pomiędzy zielonymi brzegami. Zgodnie z obietnicą Kaneki zobaczyłam potężne świątynie i ogromne groby, świadectwo starożytności tego kraju. Nurt stawał się silniejszy i płynęliśmy wolniej, feluki musiały mniej halsować, posuwając się w górę rzeki. Nie mając innego zajęcia, Kaneka zaczęła uczyć Joscelina i Imriela podstaw dżebeńskiego, śpiewając dziecięce piosenki. Uśmiechałam się na myśl, ile się z nią nawojowałam, żeby pozwoliła mi się uczyć. Czasami dołączał do nich Wali naszej feluki, i zmieszane głosy niosły się nad wodą.

Wali, muszę powiedzieć, ogromnie rozkochał się w Kanece i uważał ją za najcudowniejszą istotę pod słońcem. Najwyraźniej sądził, że zajmuje ona wysoką pozycję. Nie wiem, jak wyglądała prawda w jej rodzinnej wiosce Debeho, ale w zenanie tak było, i teraz także. Odziana w bogato haftowane akadyjskie szaty, mogła uchodzić za ambasadora.

Umizgi kapitana stały się źródłem wesołości dla pozostałych Dzebenek, które patrzyły, jak Wali robi słodkie oczy przy ognisku, i zakładały się po zenańsku, czy Kaneka ulegnie. Pod koniec naszej podróży uległa, kładąc rękę na ramieniu Walego i zapraszając go do swojego namiotu. Drżąc z niedowierzania, pospieszył za nią uszczęśliwiony.

Byłam z tego rada, choć hałas, jaki czynili, kochając się, nie pozwalał nam zasnąć przez połowę nocy. W małym obozowisku nie ma prywatności. Uznałam, że Wali jest dobrym człowiekiem, prostolinijnym i miłym, dumnym ze swojej feluki. Był dobrze zbudowany, miał miłą, szczerą twarz, szerokie barki i muskularne ramiona.

A Kaneka...

Kaneka uśmiechała się rankiem z rozleniwieniem kobiety, która znów umie czerpać radość z cielesnych doznań. Tego dnia nie brakowało docinków, ale były dobroduszne i pełne sympatii. Kiedy Wali co sił w płucach zaśpiewał dzebeńską rymowaną, wszyscy w obu łodziach zaśmiewali się i klaskali, zachęcając go okrzykami.

– Fedro? – Imriel usiadł obok mnie na dziobie, zwieszając nogi za burzę.

– Słucham? Imri, nie rób tego, krokodyl odgryzie ci stopę.

Wciągnął nogi i objął kolana, patrząc na mnie z powagą.

– Dlaczego ty i Joscelin nie... – ruchem głowy wskazał Kanekę i Walego – nie jesteście tacy jak oni?

– Ach, Imri. – Odgarnęłam mu włosy z czoła. Okropny siniak zniknął ze skroni, choć trwało to całe wieki, żółte ślady utrzymywały

się przez długie tygodnie po kopnięciu. – Wiesz, kim byłam w Daršandze.

Pokiwał głową, nie patrząc mi w oczy.

– Faworytą Mahrkagira.

– Dziwką Śmierci – dodałam oschle. – Możesz to powiedzieć. Robiłeś to wcześniej.

– Wtedy nie wiedziałem. – Uniósł głowę, zaciskając z uporem szczęki, na jego czole pojawił się charakterystyczny dla rodu Courcel mars. – Byłaś bardzo odważna. Teraz to wiem.

– To była nie tylko odwaga – poprawiłam go łagodnym tonem. – Imrielu; niektóre historie... niektóre z nich były prawdziwe. Jestem *anguisette*. Czy wiesz, co to oznacza?

Odwrócił wzrok i pokiwał głową.

– Wewnątrz nas są miejsca – podjęłam, starannie dobierając słowa – które budzą strach, miejsca do których nikt nie powinien zaglądać. W Daršandze musiałam udać się do tego miejsca. I... Imri, trudno jest znaleźć powrotną drogę. Staram się. Ale to niełatwe. Rozumiesz?

– Tak. – Przełknął ślinę i przez chwilę skubał materiał spodni. Wreszcie podniósł na mnie oczy pełne bólu. – Czy ty... czy zdarza się, że za tym tęsknisz?

Ach, Eluo! Łzy szczypały mnie w oczy. Nie ufając głosowi, pokiwałam głową. Tak, tęskniłam. Czasami budziłam się w nocy ze snów pełnych krwi i żelaza, chora z pożądania.

– Ja nie – szepnął. – Tylko... kiedyś było łatwiej.

– Tak – powiedziałam. – Wiem. Ale jest lepiej. I będzie lepiej, Imri. Dla nas wszystkich. Elua sprawi, że dla Joscelina i dla mnie także.

Słuchając radosnego śpiewu Walego i gardłowego śmiechu Kaneki, wmawiałam sobie, że powiedziałam prawdę.

SZEŚĆDZIESIĄT SZEŚĆ

W Houbie, pół dnia żeglugi od karawanseraju Madżibara, znajduje się ostatnia wielka świątynia Górnego Naharu. Stoi na zielonej wyspie pośrodku szerokiej rzeki, palmy kołyszą się wdzięczne nad jej wąskimi kolumnami, gąszcz tamaryszku spowija fundamenty.

Wysiedliśmy i dołączyliśmy do kolejki wiernych, która, niestety, nie posuwała się zbyt szybko. Na zewnątrz, w gorącym słońcu, Menechetańczycy i Dzebenowie wymieniali się plotkami i bukłakami, zerkając ciekawie na nas D'Angelinów. Przywykliśmy już do tego, nawet Imriel.

W przestronnym wnętrzu panował chłód, na ile to możliwe na początku lata nad Naharem. Patrzyłam na freski na wysokich ścianach, śledząc wysiłki bogini, która składała rozczłonkowane na siedem części ciało swojego boskiego małżonka Ozyrysa, żeby przywrócić go do życia.

W głębi świątyni stał wielki posąg z rozpostartymi uskrzydłonymi ramionami, z pochyloną nad suplikantami głową w koronie cierniowej, opłacałam za ofiarę z kadzidła i gdy wzbiły się kłęby siwego dymu, uklękałam przed ołtarzem, patrząc na boginię. Wspominałam Naamę, która położyła się z królem Persji dla dobra Błogosławionego Elui, i łagodną Ejszet uzdrowicielkę, do której modliłam się zbyt rzadko.

Pomodliłam się do nich teraz, i do Izydy, przez ziemię której podróżowałam. „Miłosierna bogini”, modliłam się, „ty, która przywróciłaś życie, uczyn mnie całością. Uczyn całością nas

wszystkich”.

Nie wiem, czy mnie wysłuchała; w jej kraju byłam cudzoziemką, przebywająca z dala od ojczyzny. Mimo wszystko po wyjściu ze świątyni było mi lżej na sercu.

– Widzisz? – Kaneka uśmiechnęła się do mnie. – Mówiłam, że tu bardziej ci się spodoba.

Tej nocy obozowaliśmy niedaleko przedmieść Madżibary. Nocny wiatr niósł ściszone dźwięki miasta – wysokie tony piszczałek, wybuch śmiechu. Jutro znów nas ubędzie. Achara i Binudi, Nubijki, odejdą, podróżując na zachód wzdłuż Naharu, podczas gdy my ruszymy na południe do Meroe.

Safija, rodowita Meroenka, opowiadała o chwale swojego miasta i jego władczyni, królowej Zanadachete, która rządziła całym Dżebe-Barkal. Jej straż honorowa, powiedziała, liczy dwa tysiące ludzi, każdy gwardzista ma nie mniej niż sześć stóp wzrostu, wszyscy noszą przepyszne haftowane peleryny i są uzbrojeni w miecze, włócznie i tarcze ze wzorzystej skóry żyraf, mocnej i lekkiej. Nie byłam pewna, czy wierzyć w te historie, ale Kaneka zapewniła, że są prawdziwe.

Tak minęła nasza ostatnia noc nad Naharem.

Rozstawałam się z nim z przykrością. Podróż rzeką była przyjemna, pomijając krokodyle. Wali robił nieszczęśliwą minę, wyraźnie mając nadzieję, że Kaneka zmieni zdanie i zostanie z nim. Myślę, że poszedłby z nią, gdyby tak mocno nie kochał swojej łodzi. Niestety, żaden statek nie może przebyć wąskich, usianych skałami katarakt, stromych progów przegradzających Nahar.

Madżibara w istocie była wielka – miasto z żółtego piaskowca powiększone przez niezliczone karawany obozujące na przedmieściach. Zawinęliśmy do portu i zatrzymaliśmy się w zajeździe, który, jak przysięgał Wali, cieszył się dobrą reputacją. Tam wynajęliśmy tragarzy do przeniesienia naszych rzeczy.

W mieście przeważali Menechetańczycy, Dzebenowie i Umajjaci, kupcy zza Morza Ahram. Oczywiście nie było innych D'Angelinów, Caerdicci czy Hellenów, ani nikogo z bardziej mi znanych nacji.

A nasza podróż ledwo się zaczęła,

Nie wiem, co zrobilibyśmy bez Kaneki. Umiała się targować i doskonale wiedziała, co jest potrzebne do podróży przez dzebeńskie ziemie. Dla mnie na przykład wszystkie wielbłądy wyglądały jednakowo. Te dziwne, niezdarne stworzenia mają wielkie kosmate garby i błyszczące oczy, ocienione długimi, jakby kobiecymi rzęsami. Potrafią dźwigać wielkie ciężary i przebyć wiele mil bez jedzenia i picia, pokonując pustynne piaski na szerokich, rozczapierzonych kopytach.

Są również znane ze złośliwego charakteru, a ich kołyszący się chód jest torturą dla jeźdźca, o tym jednak dowiedziałam się później. Spędziliśmy większą część dnia na umawianiu transportu dla Achary i Binudi. Wynajęliśmy karawanę osłów i zarejestrowaliśmy transakcję u madżibarskiego pana karawan. Nubijki były podekscytowane, na co patrzyłam z przyjemnością; przypuszczam, że dotąd nie wierzyły, że wrócą do domu. Modliłam się, żeby zostały przyjęte w taki sposób, na jaki zasłużyły. Na szczęście miały dary, a chciwość może przeważać tam, gdzie zawodzi współczucie. Nie zapytałam, co powiedzą swoim bliskim.

Nasze przygotowania trwały znacznie dłużej. Po mniej więcej siedmiu dniach jazdy mieliśmy z powrotem dotrzeć do rzeki, w ten sposób oszczędzając na czasie około miesiąca, ale podróż zapowiadała się znojnie. Po drodze był tylko jeden wodopój, i to z wodą tak gorzką, że nadawała się jedynie dla wielbłądów. Musieliśmy zabrać wielki zapas wody. W Iskandrii oszczędzaliśmy, w prowiant zaopatrywaliśmy się po drodze, ale w Madżibarze wydaliśmy bardzo dużo pieniędzy. Kupiliśmy mnóstwo bukłaków i dwie wielkie beczki na wodę, i worki sorga dla wielbłądów. Dla siebie mieliśmy pocięte na paski suszone mięso, daktyle, kruchy biały ser z koziego mleka,

niezbyt apetyczny. Dzebenowie są myśliwymi, a gdy nie mogą zdobyć świeżej zwierzyny, zadowolają się niewyszukanym prowiantem. Nabyliśmy również noże do skórowania, mydło, masło, dwie latarnie, wonną maść przeciwko wszom, torby na ramię, wełniane koce, igły i nici, kawałki skóry i rzemienia do łątania butów i naprawiania uprzęży. Joscelin, który już tęsknił za rzeką, kupił haczyki i mocną linkę, co mnie rozśmieszyło, bo przecież ruszaliśmy na pustynię.

Wynajęliśmy czterech przewodników i dwanaście wielbłądów; nie mogłabym zliczyć, z iloma ludźmi rozmawiała Kaneka, zanim znalazła zwierzęta spełniające jej wymagania. Targowiska Madżibary są trudne do zniesienia, zwłaszcza w palącym słońcu i smrodzie wielbłądziego łajna. Cieszyłam się, kiedy targi dobiegły końca i Joscelin odpiął pięć ogniw łańcucha, płacąc naczelnemu przewodników pod okiem rozsądnej Kaneki.

– Najedzcie się do syta – powiedziała, kiedy interes został ubity – napijcie się do pełna i odwiedźcie łaźnie, bo juro ruszamy na pustynię.

Tej nocy w gospodzie nie brakowało muzyki. Grajek uderzał w bębny obciążone kozią skórą, akompaniując zawodzającemu instrumentowi strunowemu, który przypominał harfę, ale miał tylko cztery struny i bardziej egzotyczne brzmienie. Przez jakiś czas siedzieliśmy i słuchaliśmy ociągając się nad kubkami piwa.

– W „Kogutku” byłyby tańce – powiedział Joscelin z uśmiechem.

– I wino – dodałam, też nie mogąc powstrzymać się od śmiechu. – Pamiętasz, jak bolała mnie głowa?

– W dzień wyjazdu do Landras? Wyglądałaś tak, jak ja się czuję na morzu.

– Spełnialiśmy toasty za Hiacynta. Przynajmniej ja i Emil. Imri, nie mówiłam ci, ale gdyby nie Cyganie, nigdy byśmy cię nie znaleźli.

Opowiedziałam mu wtedy, jak poprosiliśmy Emila o pomoc i jak Kristof, syn Oszkara, sprowadził swoją kompanię do Verreuil.

– Z powodu Hiacynta? – zapytał., gdy skończyłam.

– Tak, z powodu Hiacynta.

Imriel rozmyślał o tym, z marsem Courcelów na czole.

– W takim razie to dobrze, że jestem tutaj, próbując mu pomóc. Czy o tym wie, czy nie, jestem jego dłużnikiem. To słuszne i uczciwe.

Słowa brzmiałyby humorystycznie, gdyby padły z ust innego dziecka w jego wieku.

„Chłopiec mógłby być niebezpieczny. Albo inny”.

– Tak – powiedziała – to słuszne i uczciwe.

Wczesnym rankiem, kiedy gwiazdy gasły na szarym niczym ołów niebie, zebraliśmy naszą karawanę i wyruszyliśmy na ogromną, jałową pustynię.

Wtedy pierwszy raz jechałam na wielbłądzie i muszę przyznać – choć chlubiłam się swoimi z trudem zdobytymi umiejętnościami jeździeckimi – to doświadczenie było dla mnie czymś zupełnie nowym. Na rozkaz przewodnika mój wierzchowiec opadł na kolana, parskając głośno. Nie bez strachu wspierałam się na sztywne siodło z wysokim oparciem i gdy wielbłąd wstał, kołysząc się, znalazłam się bardzo wysoko nad ziemią, ani trochę nie panując nad dziwnym zwierzęciem.

– Doskonale! – pochwalił Mek Timmur, dżebeński przewodnik karawany. – Doskonale, pani!

Popatrzyłam na Imriela, który trzymał się siodła i uśmiechał od ucha do ucha. Po drugiej stronie Joscelin, ubrany w biały burnus z kapturem, wyglądał tak, jakby sam ujeździł setki wielbłądów. Kaneka i Safija były takie odprężone, jakby siedziały na wygodnej kanapie. Cóż, pomyślałam, skoro oni dają sobie radę, ja też mogę.

Po przejechaniu kilku mil przestałam się przejmować jazdą na wielbłądzie.

Wyzwanie rzucone przez pustynię przytłaczało wszystko inne.

Komuś, kto tego nie przeżył, trudno to opisać. Słowa takie, jak „gorąco” czy „słońce” tracą znaczenie. Pustynia, płaska jak stół

rozległa przestrzeń żółtego piasku, rozciągała się we wszystkie strony. Gdy słońce oderwało się od horyzontu i zaczęło wspinać na niebo, żar narastał, niepowstrzymany jak spadający młot. Gdy powietrze stało w miejscu, człowiek modlił się o wiatr, a gdy wiało, miał wrażenie, że bucha na niego żar z pieca. Siedziałam na grzbiecie powłóczącego nogami wielbłąda i czułam, jak wysycham, jak moje zapiaszczone oczy, usta i skóra tracą resztki wilgoci.

Od czasu do czasu mijaliśmy jałowe wzgórza, piramidy czarnego bazaltu wyrastające z płaskich piasków. W południe Mek Timmur oznajmił godzinny popas w cieniu jednego ze wzgórz. Cień sprawiał ulgę, ale od nagrzanym przez słońce kamieni było okropnie gorąco. Oparłam plecy o skałę, wachlując się kapeluszem, w drugiej ręce trzymając chłodny, pocący się bukłak.

– Widzisz? – powiedziała Kaneka wesoło. – Bezpieczniej niż w Niniwie.

Było za gorąco, żeby zrobić coś więcej, niż tylko skinąć głową.

Reszta dnia minęła tak samo, a wieczorem nie zakończyliśmy jazdy. Zmierzch był dziwnie piękny, fioletowe cienie wydłużały się na bezkresnej pustyni. Nigdzie indziej na świecie nie można zobaczyć, jak daleko światło i ciemność sięgają bez przeszkód. Po zachodzie słońca temperatura nieznośnie spadła. Pod baldachimem gwiazd jechaliśmy dalej, gąbczaste kopyta wielbłądów bezgłośnie opadały na piaszczyste podłoże, było słychać tylko poskrzypywanie uprzęży i nasze ciche oddechy.

Nie wiem, o której godzinie Mek Timmur nakazał rozbić obóz. Niedługo później namioty stały, a spętane na noc wielbłądy klęczały pod gwiazdami i metodycznie przeżuwały swoje miarki sorga. Ja padłam na materac i spałam jak zabita.

Nazajutrz scenariusz się powtórzył.

Terre d'Ange jest bogata i żyzna. Podróżowałam po wielu krajach i zawsze tęskniłam za domem, ale nigdy nie byłam w miejscu absolutnie i całkowicie jałowym, pozbawionym wszystkich

elementów, które podtrzymują życie. Gdybyśmy nie mieli zapasu wody, z pewnością umarlibyśmy na samym początku podróży. Suche, gorące powietrze wysysało z ciała całą wilgoć. Trzeciego dnia wjechaliśmy na morze zielonego kamienia, zamarznęte w niewiarygodne, rzeźbione przez fale. Tutaj dął samum, zabójczy wiatr pustyni. Na szczęście nie byliśmy na piaskach, gdzie nie mielibyśmy innego wyboru, jak przeczekać burzę, kuląc się obok wielbłądów i modląc, żeby osłaniały nas przed duszącym pyłem. Tutaj też nie było dobrze, ale wytrzymaliśmy, owinawszy twarze turbanami. Po burzy znów wjechaliśmy na gorące morze piasku o barwie ochry.

Przypuszczam, że spośród nas wszystkich Imriel trzymał się najlepiej: dzięki młodemu wiekowi był najbardziej odporny na palący żar. Pod koniec dnia tylko jemu wystarczało tchu do mówienia; nawet Joscelin z całym swoim kasjelickim stoicyzmem wyglądał mizernie i był wyczerpany.

Czwartego dnia dotarliśmy do wodopoju.

Spodziewałam się – och, sama nie wiem, może oazy ocienionej przez palmy, małego obozowiska. Zobaczyłam po prostu zagłębienie otoczone wysokimi skałami, niesamowicie gorące, bez śladu najmniejszej roślinności. Studnia była głęboka i obfita, ale gorzka woda nadawała się tylko dla wielbłądów, które mogły ją pić bez szkody dla zdrowia. Wokół na dnie doliny widzieliśmy szkielety wielbłądów, które zostały zajeżdżone albo zachorowały i padły z wodą w zasięgu wzroku. Wtedy lepiej zrozumiałam, dlaczego Kaneka tak bardzo wybrzydzała, wybierając karawanę. Na pustyni nie ma ścierwojadów – nawet much plujek – i martwe zwierzęta były doskonale zachowane, z garbami koloru piasku, skórą wysuszoną i przywierającą do kości.

Woda nie nadawała się do picia, ale można było przynajmniej się w niej umyć. Zrobiliśmy to, napełniając miedzianą misę zabraną w tym celu. Wypłukałam drobiny pyłu ze wszystkich zakamarków ciała, umyłam zapiaszczone włosy i poczułam się o kilka funtów lżejsza.

Było tak gorąco, że woda wyparowała z mojej skóry w parę minut po kąpiel, zostawiając mnie bardziej czystą, ale nie mniej odwodnioną. Naelektryzowane włosy, schnące równie szybko, dosłownie trzaskały w gorącym powietrzu.

Z żalem wspomniałam radę daną żonie faraona, biednej, głupiutkiej Klitemnie. Czego bym nie oddała za maść z lanoliny w czasie tej podróży!

Potem znów ruszyliśmy na człapiących, kołyszących się wielbłądach, wyjeżdżając ze spieczonych cieni doliny na płonąca pustynię. Usta miałam spierzchnięte i spękane, nawilżałam je oszczędnie łyčzkami wody z bukłaka. Tylko sterty suchego wielbłądziego łajna w miejscach postojów świadczyły, że ktoś inny pokonywał tę drogę – łajno i od czasu do czasu wysuszone wielbłądzie truchło.

– Jesteś pewna – zagadnęłam Kanekę cienkim, rwącym się głosem – że to najlepsza trasa do Meroe?

– Najlepsza? – Ciemne, rozbawione oczy spojrzały na mnie spod kaptura. – Nie powiedziałam, że najlepsza, mała. Ale na pewno jest najkrótsza.

Żółty piasek i bazaltowe wzgórza ustąpiły granitowym, szarym równinom i wzgórzom z warstwami niebieskiego łupku, cieszącego oko odmianą koloru. Podsyczał wyobraźnię, aż umysł wyczarowywał jeziora, wielkie jeziora, błękitne tafle migoczące w dali. Pierwsza taka wizja zachwyciła mnie i przynagliłam wielbłąda, wyobrażając sobie, jak zanurzam się w chłodnej toni, jak piję bez umiaru, spłukując pył z gardła i napełniając brzuch wodą do pełna.

– Nie, pani. – Mek Timmur zatrzymał mnie, chwytając postronek i kręcąc głową ze smutną miną. – To złudzenie. Tylko złudzenie.

Nie uwierzyłam mu, nie od razu. Po godzinie jazdy, gdy rozmigotane jezioro wcale się nie zbliżyło, zaczęłam mieć wątpliwości. A gdy skręciliśmy lekko na wschód, jezioro zniknęło, ustępując miejsca jałowej skale. Wtedy uwierzyłam.

Naprzód, wciąż naprzód. Opróżniliśmy bukłaki i musieliśmy odszypuntować jedną z beczulek, ostrożnie rozdzielając wodę, żeby nie zmarnowała się ani kropelka. W nocy miałam tak sucho w ustach, że ledwo mogłam przeżuć paski suszonego mięsa. Nasze wielbłądy brnęły przez głęboki piasek i rumowiska, potykając się na luźnych kamyczkach. Jak długo to trwało? Tydzień, oceniła Kaneka. Mnie się zdawało, że znacznie dłużej. Pomimo troski naszych przewodników – a byli dobrzy, jeśli wierzyć opowieściom, jakich wysłuchaliśmy – jeden z wielbłądów okulał i trzeba go było zostawić. Imriel, zasmucony i rozgoryczony, byłby się rozplakał, gdyby miał w organizmie tyle wilgoci, by wystarczyło jej na lzy.

Powoli zaczęły się pojawiać oznaki życia.

Najpierw dostrześliśmy kilka karłowatych drzew mimozy, uparcie walczących o życie. Powitaliśmy je okrzykami radości. Przedostatniego dnia zobaczyliśmy dwie gazy, które uciekły na południe, gdy się zbliżyliśmy.

Ostatniego dnia poczułam zapach rzeki.

Ktoś mógłby powiedzieć, że woda jako taka jest bezwonna, więc nie można jej zwietrzyć. W tym suchym kraju, wierzcie mi, można wykryć ją węchem z dużej odległości. Mój pan Delaunay nauczył mnie używać powonienia tak samo jak innych zmysłów, i to ja pierwsza poczułam słodką, życiodajną wilgoć w powietrzu.

Dotarliśmy do Naharu.

Różnił się znacznie od szerokiej, pełnej wdzięku wstęgi, po której żeglowaliśmy w felukach. Tutaj, bliżej źródeł, rzeka była młodsza i szybsza, a na brzegach, o wiele mniej urodzajnych, leżały nieliczne osady.

A jednak odnaleźliśmy wodę i życie.

Przebyliśmy pustynię.

SZEŚĆDZIESIĄT SIEDEM

Mieliśmy przed sobą kolejne kilka dni podróży brzegiem Naharu do Meroe, miasta leżącego u zbiegu dwóch Wielkich Rzek – Naharu, którym żeglowaliśmy, i Tabary, która płynie bardziej na południe. Po forsownej jeździe przez pustynię ten etap podróży był prawie spokojny. Dzień w dzień piliśmy wodę do syta. Nigdy nie myślałam, że możliwość ugaszenia pragnienia jest takim luksusem.

Po drodze mijaliśmy małe, ubogie wioski. Kupowaliśmy w nich płaskie chleby i mleko dla urozmaicenia diety. Była też zwierzyna łowna. Mek Timmur i inni polowali na gazy, których mięso jedliśmy na wpół upieczone i krwiste.

Nie w moim guście, rzecz jasna, ale było lepsze, niż można się spodziewać. Głód jest pikantną przyprawą dla potraw.

Gdy rozkład dnia z powrotem nabrał pozorów normalności, Joscelin podjął kasjeliczne ćwiczenia – rankiem i wieczorami, niezmordowanie i sumiennie. Być może widziałam tylko to, co pragnęłam zobaczyć, chyba odzyskiwał dawną płynną grację. Oczywiście bez przeciwnika nie miało znaczenia, ale nastąpiła znaczna poprawa.

Tak więc zbliżaliśmy się do Meroe. Z każdą przebytą milą rosło podniecenie Kaneki i Safii. Ich długi powrót do domu wreszcie dobiegał końca.

Musieliśmy przebyć rzekę, żeby dostać się do miasta, i czekała nas ryzykowna przeprawa po wielkim, rozkołysanym moście wiszącym nad bystrzami. Przyznam, że byłam zdenerwowana, gdy nasze

wielbłądy stąpały jeden za drugim w długim szeregu. Mek Timmur pojechał pierwszy, żeby uiścić opłatę po drugiej stronie. Na szczęście przeprawa odbyła się bez wypadków.

Dotarliśmy do Meroe, stołecznego miasta Dzebe–Barkal.

Podczas gdy pustynię cechuje surowe piękno, Meroe chlubi się splendorem. Leżąc w widłach szerokich, wartkich rzek jest nieledwie wyspą, co zapewnia naturalną ochronę i ułatwia nawadnianie. Na przedmieściach znajdują się królewskie cmentarze, strzeliste piramidy z suszonej na słońcu cegły, rzucające wyzwanie błękitnemu niebu, witające zmęczonych podróżnych. Za nimi rozciąga się właściwe miasto, rojne i gwarne, ze świątyniami poświęconymi licznym bogom Menechetu i, jak mówiła Safija, bóstwom Dzebe–Barkal, takim jak lwiegłowy Apamedek i Charkos Myśliwy z dwoma łukami w czterech rękach.

W centrum Meroe stoi pałac królewski.

Strzegą go wysokie mury, a po obu stronach wschodniej i zachodniej bramy klęczą słonie, ogromne zwierzęta z podniesionymi trąbami, dwa razy wyższe od człowieka. Nie wierzyłam w istnienie tak wielkiego stworzenia, póki nie ujrzałam go na własne oczy na ulicach Meroe, ruchomej wieży z dwoma żołnierzami na szerokim grzbiecie. Skórę miało grubą, szarą i pomarszczoną, a stopy wielkości półmisków. Szerokie uszy łopotały jak żagle, wprawiając w ruch gorące powietrze. Patrzyłam z otwartymi ustami, dotąd bowiem tylko czytałam o takich cudach. Słonia poprzedzał oddział rozgadanych żołnierzy w haftowanych pelerynach na lekkich kolczugach, z tarczami ze skóry żyraf.

– Wreszcie widzisz mój kraj – powiedziała Kaneka łagodnie, patrząc na żołnierzy.

Przyznam, że poczułam się zawstydzona. Tak mało wiedziałam o Dzebe–Barkal.

W rodzinnym mieście Safija przyjęła na siebie rolę przewodnika i

skierowała naszą karawanę do najlepszej gospody w mieście. Tam przewoźnicy rozjuczyli wielbłądy i wymieniliśmy słowa pożegnania. Mek Timmur wraz z pomocnikami udał się do obozu i miał szukać ładunku na podróż powrotną. Życzyłam im powodzenia, rada z przebycia pustyni. Dalej na południu majaczył fioletowy cień gór, wyżyny Dzebe–Barkal. Tam leżała wioska Kaneki i tam zmierzaliśmy, na południe, coraz dalej na południe. Pomimo swej wspaniałości, Meroe było tylko kolejnym przystankiem.

Najpierw jednak musieliśmy poprosić królową o błogosławieństw i dopilnować powrotu Safii do domu.

O królowej Zanadachete wiedziałam niewiele; nie wiedziałam nawet, że w Dzebe–Barkal tradycyjnie rządzi kobieta, zamężna czy nie. Do pewnego stopnia jej władza ma charakter tytularny, bo na czele prowincji stoją książęta zwani *rasami*. Ale w Meroe jest ogromnie szanowaną monarchinią.

Przy kolacji ułożyliśmy list, siedząc głowa w głowę. Safija napisała go po dzebeńsku, używając dostarczonego przeze mnie pergaminu i atramentu. Choć robiłam coraz większe postępy w języku mówionym, byłam daleka od opanowania pisma. Safija miała wyrobioną rękę.

– Mój ojciec był skrybą – powiedziała skromnie. – Uczyłam się na jego kolanach.

Zapłaciliśmy właścicielowi zajazdu za dostarczenie wiadomości; wziął całe złote ogniwo, czyli jedną piątą kosztów podróży z Madżibary. Każdy płaci za wstęp w królewskie progi.

Nazajutrz późnym popołudniem nadeszła odpowiedź. Mieliśmy się stawić na dworze następnego dnia rano.

Niech Joscelin się śmieje – i śmiał się, uważając mnie za próżną – ale na audiencję włożyłam d’Angeliński strój, dworską suknię z różowego jedwabiu z kryształowymi paciorkami, którą miałam na spotkaniu z faraonem. Nie chciałam wypaść gorzej u królowej Dzebe–Barkal. Wskutek nalegań Kaneki wynajęliśmy orszak i udaliśmy się na dwór w cieniu obszytych frędzlami parasoli.

Królowa Zanadachete przyjęła nas na wewnętrznym dziedzińcu, dostojna osobistość skryta w niszy za zasłoną. Otaczał nas cichy śpiew ptaków i przyjemny zapach cytronów.

– Przybyliście więc z Khebbel–im–Akad – powiedział po dżebeńsku cień mający za poruszonymi oddechem zasłonami z gazy.

– Proszę, Wasza Wysokość. – Uklękałam, podając list od *lugala*.

Spomiędzy zasłon wysunęła się ciemna ręka z bransoletami z kości słoniowej; ręka starszej kobiety z opuchniętymi kostkami palców, w niszy nastąpiło poruszenie i usłyszałam cichy pomruk głosu innej osoby, tłumaczącej akadyjski tekst na dżebeński.

– To dobrze – powiedziała królowa po wysłuchaniu przekładu, radośnie i z zadowoleniem. Przysłonięta gazą postać pochyliła głowę. – Sami wprawdzie tutaj nie dotarli, ale do naszych uszu doszły szepty o tych... o tych kapłanach kości, budzących lęk nawet w sercu faraona Menechetu. Dobrze, że ich władza została obalona, że mój lud nie jest zagrożony. Syn kalifa wyraża zadowolenie. Córki Dżebe–Barkal, dobrze się spisałyście. Zostaniecie nagrodzone i zaszczyty spłyną na wasze rodziny.

Kaneka i Safija ukłoniły się nisko.

– Wasza Wysokość. – Wciągnęłam głęboko do płuc pachnące cytronem powietrze. – Wraz z moimi towarzyszami proszę cię o pozwolenie na podróż na południe, na poszukiwanie potomków Makedy, królowej Saby. Czy zechcesz go udzielić?

Przez chwilę było słyhać tylko szmer, szybkie poszeptywanie. Zasłony z gazy rozsunęły się lekko i w szczelinie załśniło ciemne oko osadzone w pomarszczonej twarzy.

– Jesteś wybranką swoich bogów? – zapytał kobiecy głos. – Tą, która pokonała kapłanów kości?

Zawahałam się, nie chcąc przyznawać tego tak otwarcie.

– Tak, *fedabin* – odparła za mnie Kaneka, przyciskając czoło do ziemi. – Widziałam na własne oczy. Choć wygląda na słabą, oddech jej dziwnych bogów muska ją po karku.

Nastąpiła kolejna długa, pełna namysłu chwila ciszy. Klęczałam *abeyante*, jak zostałam nauczona. Słowa Kaneki nie były dla mnie niczym nowym. Dawno temu, w czasach, gdy nie śmiał przepowiadać losu mnie, Hiacynt przekazał prorocstwo Melisandzie Szachrizaj: „Ten, kto ulega, nie zawsze jest słaby”.

Nie zawsze, nie. Tyle dowiedziałam się już o sobie.

– Niech tak będzie – szepnęła królowa. Porysowana ciemnymi liniami, pomarszczona ręka odwróciła się z grzechotem kościanych bransolet dłonią w górę. – Na imię Amona–Re, na błogosławione imiona Izydy i Ozyrysa, twoja prośba zostanie spełniona. Udzielimy takiej pomocy, jaka będzie potrzebna. Gdzie sięga władza imienia Zanadachete z Meroe, tam ci ludzie mogą wędrować bez przeszkód.

Odetchnęłam głęboko, z ulgą.

W pałacu spotkaliśmy się z *rasem* Lijasu, wnukiem królowej. Czarny jak heban, przystojny młody człowiek miał bystre, ciekawe oczy babki. Był ubrany w koszulę i spodnie z przepysznego złotogłowiu, i podobną do togi *chamme*. Na jego widok ucieszyłam się, że włożyłam d’Angeliński strój.

– Ha! – zawołał, klaszcząc w ręce. – Przybyłaś aż z Terre d’Ange! Słyszałem, że babka cię polubiła. Co za przyjemność! Muni, gdzie znaki podrózne dla naszych gości?

Jego towarzysz otworzył z uśmiechem szkatułkę. Dżebeński książę wyjął garść złotych sznurków z nanizanymi cylindrycznymi pieczęciami z kości słoniowej, wyobrażającymi Izydę na tronie i lwiołowego Amamedeka.

– Z nimi – powiedział *ras* Lijasu, zakładając mi znak na rękę – możecie wędrować po całym Dzebe–Barkal pod boską opieką królowej Zanadachete. – Uśmiechnął się, nie puszczając mojej ręki. – Wszystkie napotkane osoby będą zobowiązane służyć wam pomocą, nawet sam *ras* Lijasu jeśli go poprosisz; da ci księżyc i gwiazdy, jeśli tylko zechcesz! Czy mówisz po dżebeńsku, duchu ze snów?

– Tak, księżę – odparłam ze śmiechem. – Choć w tej chwili nad księżyc i gwiazdy przedkładałam mapy i przewodników.

Przestąpił z nogi na nogę i przyłożył rękę do piersi.

– Ona mnie rani! Ach, rani mnie, Muni, ta ze skórą jak świeża śmietanka. – A ty, pani? – Lijasu z ujmującym uśmiechem zwrócił się do Safii i chwycił ją za rękę, żeby założyć jej znak. – Czy i ty złamiesz mi serce?

Safija dukała i rumieniła się, nieprzygotowana na takie względy; zapewne jako córka skryby nie spodziewała się, że po powrocie z niewoli będzie flirtować z nią księżę. *Ras* podobnie żartował z Kaneką, która zniosła to z rozbawieniem. *Joscelina* potraktował z uprzejmością, jaką jeden wojownik okazuje drugiemu, a *Imriela* z niewiele mniejszą kurtuazją.

Polubiłam go, nie sposób było go nie lubić. Pomimo okazywanej bez troski, z powagą podchodził do swoich obowiązków. Poleciał zorganizować eskortę dla Safii i zabrał nas do swojego gabinetu, gdzie mogliśmy obejrzeć mapy.

– Tutaj, widzicie – powiedział, wskazując szeroką równinę nad rzeką *Tabarą* – leży *Debeho*, twój dom, pani *Kaneko* – dodał, zerkając na nią figlarnie. – W mojej gwardii służy człowiek, który pochodzi z wyżyn. Zwolnię go ze służby, żeby was poprowadził. A tutaj... – Jego palec przeszedł kręty szlak wśród nadrzecznych gór, zatrzymując się na wielkim jeziorze. – Tutaj biegnie granica i zaczynają się ziemie potomków *Makedy*. – *Ras* *Lijasu* postukał w mapę. – Po drodze grasują zbójcy, moja pani z *Terre d'Ange*, którzy nie posłuchają pieczęci królowej. Górskie plemiona nigdy nie zostały przywołane do posłuchu. Jesteś pewna, że chcesz podjąć ryzyko?

– Tak, jestem pewna.

Westchnął.

– A kto wie, jakie powitanie zgotują wam *Sabejczycy*! – Zrolował mapę i podał mi – Proszę.

Podziękowałam mu gorąco.

Poszliśmy wszyscy zobaczyć powitanie Safii z rodziną. Jej ojciec płaczem padł na kolana; szczerze mówiąc, wiele łez wylało się po obu stronach. Wtedy się dowiedziałam, jak trafiła do niewoli w Drudżanie. W zenanie nikt nie pytał o takie rzeczy. Kobiety mówiły z własnej woli albo milczały. Okazało się, że ojciec powierzył Safię pieczy przewodnika karawany, żeby napisała relację z podróży do Iskandrii. To stamtąd zabrali ją *Skotophagotis*.

Królowa Zanadachete powiedziała prawdę: kapłani kości nie dotarli do Meroe.

O Kanece wiedziałam mniej, bo unikała tego tematu.

Radowaliśmy się szczęściem Safii. Jej powrót do domu był radosny i świętowaliśmy do późnych godzin nocnych. Po tym wszystkim, co przeszliśmy, cieszyłam się, że mogę zobaczyć na własne oczy, jak kobieta z haremu Mahrkagira wraca na łono rodziny. To mnie przepełniało poczuciem zwycięstwa.

Rankiem przyszedł do nas przewodnik *rasa* Lijasu.

Cichy, znający się na rzeczy Tifari Arnu był góralem, miał skórę barwy cynamonu i wyraziste rysy. Odbył z Kaneką długą naradę – sprzeczali się o trasę, sprzeczali się o liczbę osłów do przewiezienia naszych rzeczy, sprzeczali się dosłownie o wszystko, Kaneka zadzierzyście, przewodnik ze spokojnym uporem.

– Chyba go lubi – zauważył Imriel.

– Tak. – Ukryłam uśmiech. Dobrze go wyuczyłam. – Ja też tak myślę.

Sprzeczki dobiegły końca i sprawa została przesądzona. Mieliśmy ruszyć na południe do Debeho, a stamtąd na legendarne ziemie Saby.

Nie obyło się bez polityki, zawsze i wszędzie w grę wchodzi polityka. To smutna rzeczywistość. Dżebe–Barkal i Saba nie utrzymywały kontaktów. Mieliśmy zbadać teren dla królowej Zanadachete, choć na pozór nasza wyprawa nie miała związku z dżebeńską polityką. Z łatwością mogli temu zaprzeczyć albo w razie

potrzeby oświadczyć, że wyświadczyli grzeczność *lugalowi* z Khebbel-
im-Akad.

Nie obchodziło mnie to. Niech nas wykorzystają, jak tylko chcą.
Cieszyłam się, że jedziemy.

SZEŚĆDZIESIĄT OSIEM

W skład naszej grupy poza nami, to znaczy Joscelinem, Imrielem, Kaneką i mną, wchodził Tifari Arnu i drugi żołnierz z Meroe, a także czterech wynajętych tragarzy. Zostawiwszy pustynię za sobą, wykosztowaliśmy się na juczne osły i wierzchowce, ręcznie umajjackie rumaki z wygiętymi w łuk szyjami i dumnie noszonymi ogonami, które powiewały jak proporce

W miarę możliwości trzymaliśmy się brzegu rzeki Tabary, ale często musieliśmy odbijać daleko w bok. Brak mi talentów poety, mam więc kłopoty z opisaniem przemierzanych terenów. Taka różnorodność! Wyżyny przypominały niemal Góry Kamaelińskie na granicy ze Skaldią – zielone i strome, porośnięte sosnami i sykamoramami. Tutaj powietrze było rozrzedzone, a noce tak zimne, że kuliliśmy się w namiotach, drżąc pod wełnianymi kocami.

Głębokie doliny wyglądały zgoła inaczej, pełne bujnej tropikalnej roślinności, w której z głośnym wrzaskiem przemykały różnorakie, jaskrawo upierzone ptaki. Nie brakowało też małych, zmyślnych stworzeń o śmiałym spojrzeniu i skrzekliwych głosach, zwinnych, obdarzonych długimi kończynami. W dolinach przemieszczaliśmy się powoli i byłam rada, że mamy przewodników, bo bez nich zabłądzilibyśmy, choć mieliśmy mapy.

Jedenastego dnia dotarliśmy na równinę, na której leżała wioska Kaneki. Krajobraz znowu był inny – rozległa, płowa przestrzeń pocętkowana sękatymi eukaliptusami. Tutaj znów mogliśmy wędrować wzdłuż rzeki. Płynęła wartko, węższa i szybsza niż tam,

gdzie zlewała się z Naharem.

W pobliżu Debeho Kaneka zmarkotniała.

Zapytałam ją o przyczynę, gdy wieczorem rozbiliśmy namioty pod rozłożystym eukaliptusem.

– Pokłóciłam się z bratem, mała – odparła ponurym tonem. – Masz braci?

Pokręciłam głową.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Kaneka uśmiechnęła się blado.

– Są błogosławieństwem i przekleństwem. Oboje chcieliśmy zostać następcami naszej babki.

– Bajarki – przypomniałam sobie.

– Otóż to. – Pokiwała głową. – Urządzono zawody. Każde z nas miało opowiedzieć historię, prawdziwą historię, której nikt wcześniej nie słyszał. Mafud oszukał. Historię o magicznym pierścieniu i zaczarowanym ujęciu opowiedział mu kupiec z Umajjatu. Wiem, bo podsłuchałam. Ale moja babka nie wiedziała i ogłosiła go zwycięzcą. Nikt mi nie uwierzył, dlatego uciekłam.

– Znaleźli cię *Skotophagotis*? Aka–magowie?

– Nie w Dzebe–Barkal. – Kaneka trzymała na kolanach złoty naszyjnik, dar od *lugala*, i polerowała lśniący metal. – Znaleźli mnie ludzie z plemienia Tigrati, górale, jak on. – Ruchem głowy wskazała Tifariego Ajnu. – Zostałam ich jeńcem. Sprzedali mnie kupcowi z Meroe, a od niego kupił mnie pan karawany, żebym mu gotowała i sprzątała. – Uśmiechnęła się gorzko. – Stąd tyle wiem o wielbłądach, mała. On zabrał mnie do Iskandrii. Tam znalazł mnie aka–mag i stamtąd trafiłam do Drudżanu.

– Boisz się powitania?

– Nie – odparła krótko, zakładając naszyjnik na szyję, gdzie przytulił się do skórzanego woreczka z bursztynowymi kośćmi. – Tak. Im bliżej domu, tym bardziej.

– Nie bój się. – Położyłam rękę na jej ramieniu. – *Fedabin*, w

Daršandze przepowiadałaś nam los i mówiłaś prawdę. Bez twojej odwagi zenana nie podołałaby zadaniu. Przeżyłaś coś, o czym twój brat może tylko śnić w najciemniejsze noce, i uszłaś z życiem, aby o tym opowiedzieć. Zostaniesz powitana z otwartymi ramionami, jestem tego pewna.

Kaneka przez długi czas patrzyła na mnie w milczeniu, potem pokręciła głową.

– Gdybym tak mogła opowiedzieć twoją historię, mała, ale jest ona zapisana w niezrozumiałym dla mnie języku. Sami bogowie muszą podrywać ręce w konsternacji.

No tak.

Wstałam i przeciągnęłam się, patrząc, jak fioletowy zmierzch kładzie się na równinach. Tragarze rozpalili ognisko i gotowali mięso z nocnego polowania. Tifari Amu i jego towarzysz Bizan wylegiwali się przed swoim namiotem, ostrząc włócznie i rozmawiając. Joscelin i Imriel wrócili znad rzeki z pustymi rękami, Joscelin zwijał linkę i wyjaśniał Imriemu tajniki łowienia ryb.

– Mam nadzieję, że nasze historie jeszcze się nie skończyły – powiedziałam, z roztargnieniem patrząc, jak zachodzące słońce wieńczy koroną promieni jasne włosy Joscelina.

– Nie – powiedziała Kaneka z uśmiechem. – Myślę, że jeszcze nie

Rankiem dotarliśmy do Debeho.

Na mocy niewypowiedzianego porozumienia jechaliśmy w określonej kolejności. Tifari Amu i Bizan zajęli miejsca na czele, w haftowanych pelerynach na śnieżnobiałych *chamma*, ich konie stąpały paradnym krokiem. Za nimi jechała Kaneka w akadyjskich szatach, ze sztyletem u pasa i bojowym toporem u siodła, a za nią Joscelin, Imriel i ja. Na końcu ciągnęli dobroduszni tragarze i osły obładowane darami *lugala*.

Debeho było nadrzecznym zbiorowiskiem krytych strzechą lepianek.

Ale dla Kaneki było domem, a dom to potęga. Dostrzeżono nas z daleka i zobaczyłam ciemne sylwetki podskakujących, machających rękami dzieci, ich piskliwe okrzyki niosły się na wietrze.

Mieszkańcy wylegli nam na spotkanie, na dobre czy na złe, z bronią i kosami w spracowanych dłoniach. Na rozkaz Tifariego podnieśliśmy ręce w powitalnym geście, pokazując znaki z kości słoniowej na złotych sznurkach.

Wybuchła powszechna radość.

Wszyscy oprócz Kaneki byliśmy tutaj gośćmi, trzymaliśmy się więc z tyłu, gdy witała się ze swoim ludem, majestatyczna niczym królowa. Ze łzami spływającymi po surowej, ciemnej twarzy poleciła otworzyć skrzynie ze skarbami i rozdawała dary. Wysoki siwiejący mężczyzna z szeroką pierśią musi być jej ojcem, a młodszy, który z płaczem całuje jej rękę, to brat, pomyślałam. Matki nie zauważyłam, ale nieopodal kuśtykała o laskach zgarbiona staruszka z mądrą, pomarszczoną twarzą, z pewnością jej babka.

Tak musiało być, bo dumna Kaneka uklękła. Sędziwa kobieta, ze łzami w ciemnych oczach, położyła drżącą sękatą rękę na jej pochylonej głowie.

Kaneka wróciła do domu.

Uroczystości trwały przez kilka dni i muszę przyznać, że od dawna nie przeżywałam szczęśliwszych chwil. Debeho było skromną wioską, ale bardzo je polubiłam. Chaty z błota, na które z początku patrzyłam z politowaniem, były zadbane i czyste, odpowiednie do gorącego klimatu równin. Wieśniacy uprawiali bawełnę, proso i odporną odmianę melona, a także hodowali bydło. Dzikie pszczoły dawały im miód, który poddawali fermentacji, wytwarzając uderzający do głowy trunek, przyprawy korzenne były tutaj w cenie; niektóre, jak maleńką odmianę papryki, zbierano w żyznych partiach gór, inne zaś kupowano, bo wbrew pozorom Debeho nie było odcięte od świata. Oprócz rolników mieszkali tam tkacze, grabarze i rękodzielnicy wyrabiający przedmioty z kości słoniowej, bo zwierząt tych nie

brakowało na równinach.

I była tam Szoanete, babka Kaneki, bajarka.

Gdybym miała wskazać jej odpowiedniczkę, byłaby nią Thelesis de Mornay, nadworna poetka królowej i moja przyjaciółka. Od kilku lat żyła w odosobnieniu, słabe zdrowie nie pozwalało jej wypełniać obowiązków na dworze; przejął je Gilles Lamiz, jej dawny uczeń. Messire Lamiz jest utalentowany – pierwszy stworzył epos o moich przygodach i jestem mu za to wdzięczna – ale świat nie staje w miejscu i nie wstrzymuje oddechu, gdy recytuje swoje poematy. Thelesis de Mornay, choć utrzymywała, że mój pan Delaunay przewyższał ją talentem, miała ten dar.

Szoanete z Debeho także.

Wiem, bo wiele godzin spędziłam w tej wiosce, siedząc u stóp bajarki, gdy opowiadała o Melehakimach, potomkach z Saby, o Szalomonie, Makedzie i ich synu, Meleku al’Hakim, który został namaszczony jako Melek-Zadok. I każdej z nich słuchałam jak zaczarowana.

Przyznam, że mnie temat interesował z powodów osobistych, ale przecież nie odnosiło się to do dzieci i dorosłych, gromadzących się wokół, żeby słuchać, gdy snuła pradawne opowieści. W jej słabym, rwącym się głosie było coś... jakiś rezonans, siła, która powoływała słowa do życia.

– Tutaj – mówiła, wskazując obszar nad Morzem Ahram na mapie *rasa* Lijasu. – Tutaj leży starożytna Saba, Saba-która-była. A tędy biegnie szlak, którym król Chemosz-Zadok, fałszywie namaszczony, uciekał ze swoim ludem, płacząc i bijąc się w piersi przez całą drogę do Jeziora Łez. – Sękaty palec okrążył wielkie jezioro, które pokazał *ras*. – To źródło samego Naharu, utworzone z łez wylanych przez boginię Izydę, gdy szukała rozczłonkowanego ciała swego umiłowanego męża Ozyrysa.

– A teraz jest sercem Saby? – zapytałam.

– Tak. Tam Melehakimowie przechowują tajemnicę skradzioną

swojemu bogu, potężną tajemnicę, którą bóg chciałby odzyskać, gdyby tylko mógł ją znaleźć. Ale łyzy Izydy zaślepiły jego oczy i nie może jej zobaczyć.

Moje serce przyspieszyło i włoski podniosły mi się na karku.

– Skoro... skoro jest tak potężna, jak to się stało, że Melehakimowie zostali pokonani?

– Ach, o to chodzi. – Staruszka uśmiechnęła się, głębokie bruzdy pocięły jej pomarszczoną twarz. – To historia o królu Chemoszu-Zadoku, fałszywie namaszczonego, który zerwał przymierze mądrości. Bo sama królowa Makeda była uosobieniem mądrości, a jej sprawiedliwość i wielka wiedza słynęły w całym kraju. Otóż doszło do jej uszu, że król z dalekiej północy, Szalomon z Habiru, jest również wysławiany za cnotę swojego sądu. Makeda zapragnęła poznać tego króla i wyprawiała się z ogromny orszakiem, i obdarowała go złotem, kością słoniową i korzeniami, żeby móc zadać mu pytanie.

– Tak jest w Tanachu! – zawołałam z podnieceniem. – Król udzielił poprawnej odpowiedzi.

– W istocie. – Szoanete pokiwała głową, ani trochę nie przejęta, że jej przeszkodziłam. – A potem Makeda powiedziała mu, czego nie wiedział i król Szalomon uklonił się przed jej mądrością i podarował w hołdzie pierścień ze swojego palca. A Makeda, poruszona piękną powierzchownością i wdziękiem króla, postanowiła się z nim położyć. „Ponieważ twoja mądrość ustępuje mojej” – powiedziała – „tej nocy zawiążemy przymierze jako mężczyzna i kobieta. Z tego związku narodzi się syn. Wychowam go wedle moich nauk, a potem pošlę do ciebie, żeby został namaszczonego w twoich. Poznasz go po tym pierścieniu”.

– Melek al’Hakim – powiedziałam z zadumą. – Więc to było przymierze mądrości?

– Tak. Spotkali się jako równi sobie, mężczyzna i kobieta, król i królowa, i mniejsza mądrość ustąpiła przed większą. I tak było przez wiele pokoleń. Melek al’Hakim nie ukradł skarbów Szalomona. Został

namaszczone i należały mu się z mocy prawa, jemu i potomkom architekta Chirama i całemu ludowi, który uciekł przed grabieżcami z Akadu.

– Plemieniu Dana.

Szoanete milczała przez chwilę.

– Możliwe – przyznała. – Nie znałam ich imienia. Dodam je do tej opowieści, mała. Wiedz zatem, że przez wiele pokoleń Melehakimowie władali Sabą, król i królowa razem, połączeni przymierzem mądrości. Matka i syn, mąż i żona, brat i siostra... Królem Tarchetem podobno kierowała córka, ale to inna historia. I cień, jaki rzucali na Dzebe–Barkał, był rozległy, i wszystkie narody i plemiona słuchały mądrości i potęgi Saby. Do czasów panowania króla Chemosza.

Umilkła i odchrząknęła, a jedno ze słuchających dzieci pobiegło po kubek z miodem. Szoanete napiła się i podjęła:

– W państwie nastąpiły kłopoty, bo młody *ras* Yatani z Meroe rozmiłował się w Dalii, siostrze Chemosza. Chemosz w owym czasie nie był królem, tylko starszym synem owdowiałej królowej. Młodszy syn miał na imię Arhosz i to Arhosza matka wybrała do namaszczenia na władcę, był bowiem prawdomówny i mądry, jego brat zaś porywczy i swarliwy. Arhosz patrzył przychylnym okiem na związek *rasa* Yatani i Dalii, Chemosz natomiast był mu przeciwny i mówił, że Meroe robi zakusy na tron Saby.

– Tak było? – spytałam.

Ciemne oczy Szoanete błysnęły z wesołości.

– Możliwe, mała. Jeśli tak, były to pokojowe zakusy – mieczem z lędźwi, nie mieczem ze stali. Jakkolwiek było, młodzi mężczyźni posłuchali Chemosza i w ich sercach zapłonął gniew. „Chemosz powinien być królem” – zawołali. „Nie Arhosz, który pozwala obcemu wyciągać rękę po koronę”. I z czasem starsi posłuchali młodych, a kapłani posłuchali starszych, i nikt już nie słuchał królowej, która mówiła o korzyściach przymierza przez małżeństwo z

najpotężniejszym z ich państw wasalnych.

– I o miłości – mruknęłam, myśląc o Ysandrze i Drustanie. – O przymierzu miłości.

– Tak. Tak mogłoby być, ale nie było, bo kapłani namaścili Chemosza jako Chemosza–Zadoka i wynieśli go na tron, ponad żyjącą matkę i wybranego przez nią następcę, zrywając tym samym przymierze mądrości. A Chemosz–Zadok unieważnił kontrakt małżeński brata. *Ras Yatani* ze zranionym sercem zebrał swoje wojska i wraz z licznymi sprzymierzeńcami pomaszerował na Sabę.

– I Saba została pokonana.

– Saba została pokonana – powtórzyła Szoanete. – To inna długa historia tej bitwy. Dość powiedzieć, że duch boga, który wcześniej był natchnieniem Melehakimów, użyczając im siły i niezniszczalności, wypełniając ich usta potężnym krzykiem, który budził strach w sercach wrogów – ten duch ich opuścił, mała. Na polu bitwy potykali się i krwawili, a jedynymi okrzykami, jakie wydawali, były krzyki bólu. I uciekli. W tym czasie owdowiała królowa zmarła ze zgryzoty, Arhosz poległ w bitwie, Dalia sprawiedliwa zginęła z własnej ręki, a serce *rasa Yatani* przemieniło się w płonący kamień, który nie znał miłosierdzia. Melehakimowie pod przewodem Chemosza–Zadoka uciekli nad Jezioro Łez. A *ras Yatani*, który został władcą Dżebe–Barkal... *Ras Yatani* przysiągł na imię Dalii, że on i jego potomkowie dotrzymają przymierza mądrości, które zerwał Chemosz–Zadok. Powiadają, że dopóki królowa będzie władać Meroe, jego ród przetrwa, i tak jest po dziś dzień.

– A co się stało ze skarbami Szalomona i sekretem Boga Jedynego?

Szoanete rozłożyła ręce.

– Melehakimowie zabrali wszystko ze sobą i ukryli, i odtąd nikt ich nie widział.

Takie były historie babki Kaneki, nad którymi długo rozmyślałam. Eleazar ben Enoch miał nadzieję, że w plemienu Dana przetrwały

obyczaję utracone przez Habiru, ale nie sądziłam, by kiedykolwiek przez mu przez myśl coś takiego, jak przymierze mądrości. Czy to prawda? Historia i legenda splatają się jak wątek i osnowa w płaszczu bajdura, i kiedy sami bogowie milczą, żaden śmiertelnik nie może powiedzieć, gdzie kończy się prawda, a zaczyna fikcja. Nie sądziłam, aby Bóg Jedyiny z Tanachu zobowiązał swój lud do przymierza z cudzoziemską królową – ale dzieje zostały spisane przez skrybów Habiru. Ludzie Makedy opowiadali inną historię, przekazywaną z ust do ust.... potężny krzyk, który budził strach w sercach wrogów...

Błogosławiony Eluo, modliłam się, niech to będzie prawdą. Niech to będzie Imię Boga.

SZEŚĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

Czas spędzony w Debeho należał do przyjemnych, ale musiał się skończyć. W ostatni dzień naszego pobytu wyprawiono wielką ucztę i nikt w wiosce nie pracował, wyjąwszy przygotowania do uczt, a później jedzono i pito, i weselono się długo, ze śpiewem i tańcami. Nawet Tifari Arnu i Bizan zostali zaproszeni, bo byli wprawnymi myśliwymi i upolowali wiele zwierząt do wspólnego kotła. Kaneka przestała udawać, że nie lubi górala, i pomyślałam, że być może Tifari wróci do Debeho, żeby ubiegać się o jej rękę.

Imri był szczęśliwy w wiosce.

Dzięki własnym i odziedziczonym po matce zdolnościom szybko nauczył się dżebeńskiego, ku zaprawionemu goryczą rozbawieniu Joscelina, on bowiem nie wyszedł poza rymowanki. Z łatwością nawiązywał przyjaźnie z dorosłymi i dziećmi, których nie obchodziło, że Imriel de Courcel jest synem największej zdrajczynie, jaką znała Terre d'Ange. I nie miał koszmarów, odkąd tam przybyliśmy.

– Powinniśmy go zostawić – powiedział Joscelin, odgadując myśli. – Tu będzie bezpieczniejszy.

– Myślisz, że zostanie?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Zapytaj go.

Zapytałam i w odpowiedzi zobaczyłam marsa Courcelów, pionowe zmarszczki pomiędzy brwiami.

– Powiedziałaś, że Cyganie pomogli mi znaleźć z powodu Hiacynta. Powiedziałaś, że to słuszne i właściwe, że jadę.

– Prawda – przyznałam, zastanawiając się, dlaczego powiedziałam

coś tak głupiego. – Ale pomożesz najbardziej, zostając bezpiecznie w Debeho.

Odpowiedział tak, jak można się było spodziewać.

– W Daršandze podałem miecz Joscelinowi!

– Tak. – Westchnęłam. – Podałeś. I jeśli w Sabie spróbujesz zrobić coś choć w połowie niebezpiecznego, to przysięgam, każę Tifariemu Arnu, żeby cię powalił i usiadł ci na plecach.

W jego oczach zapłonęła nadzieja, a w głosie niespodziewana błagalna nuta.

– Nie zostawicie mnie?

– Nie – odparłam i tym razem westchnęłam w duchu. Kochaj jak wola twoja. Czy tego chciałam, czy nie, przykazanie Błogosławionego Elui rozciągało się na tego chłopca, a ja nie miałam serca go zostawiać. Zbyt wiele razy zawiedziono jego zaufanie. – Obiecuję, Imri. Nie zostawimy cię.

Po uczcie Kaneka opowiedziała historię Drudżanu i wszyscy słuchali w milczeniu.

Odziedziczyła trochę talentu po babce. Dziwnie było słuchać o tych wydarzeniach z jej perspektywy. Zgromadzeni, wstrzymując oddech, wysłuchiwali katalogu okrucieństw Mahrkagira, choć nie wymieniła ich wszystkich – nie te, które ja poznałam. Nie opisała też codziennej nędzy życia w zenanie – podziałów, małoszkowych nienawiści. A ja... ja nie występowałam w opowieści jako pogardzana przez wszystkich Dziwka Śmierci, lecz jako przebiegła manipulantka, sprytnie wkradająca się w zaufanie Mahrkagira. To skłoniło mnie do lekkiego uśmiechu. Ale cień złowieszczej obecności Angry Mainju kładł się na tej opowieści, przerażający i przytłaczający, i to było prawdą.

Bitwę w sali biesiadnej Kaneka opisała wiernie, ku zadowoleniu drżących przejęcia Dżebenów. Z podziwem i strachem spoglądali na Joscelina gdy opowiadała, jak jego miecz tkał błyszczące wzory zbyt szybkie, by mogło ułoić je oko, i o rosnącym wokół niego kręgu zabitych. On uśmiechał się spokojnie, siedząc z rękami na kolanach.

Nie było to coś, z czego był i miał kiedykolwiek być dumny.

Gdy opisała słup płomieni wybuchający ze studni Ahury Mazdy, słuchacze klaskali i krzyczeli na znak aprobaty – nawet jej brat Mafud, bo radość z jej bezpiecznego powrotu przyćmiła zawiść i długotrwałe poczucie winy. I tak oto historia zakończyła się triumfem. Popatrzyła na Imriela, który miał zatroskaną minę.

– Było inaczej, Fedro – powiedział. – Trochę inaczej.

– Wiem. – Poglądziłam go po głowie. – Dlatego ważne jest, by pamiętać. Ale opowieści też są ważne.

I teraz możemy ich słuchać, pomyślałam, nie całej prawdy, nie, ale prawdy Kaneki, tej, którą będzie pamiętać, którą utka w legendę i która pewnego dnia jej wnuki opowiedzą swoim dzieciom, podnosząc starożytny drudzański topór bojowy ze słowami, że należał do niej, że to była jej historia.

Jeśli tak, może nauczymy się znosić naszą własną.

To był jej kraj, ci ludzie byli jej ludźmi. Zazdrościłam jej tego. Jej historia znalazła szczęśliwe zakończenie. Oczywiście Kaneka zasłużyła na to. Moja historia jednak jeszcze nie dobiegła końca. Ofiara została złożona, a ja pozwoliłam, żeby ktoś inny zajął moje miejsce. Obiecałam kroczyć *Lungo Drom*, najdłuższą drogą, dla Hiacynta. Koniec jego historii jeszcze nie został napisany. Modliłam się, żeby choć w połowie był tak szczęśliwy, z darowanymi długami i radosnym spotkaniem.

Modliłam się, by ta historia zakończyła się miłością. Modliłam się o szczęśliwy powrót do domu nas wszystkich.

Rankiem wyruszyliśmy do Saby. Na pożegnanie Kaneka przytuliła mnie mocno, a ja odwzajemniłam uścisk, czując jej ciepło i siłę.

– Uważaj na siebie, mała – szepnęła. – Uważaj na nich wszystkich. Oby twoi dziwni bogowie strzegli każdego waszego kroku.

Pokiwałam głową, z trudem przełykając ślinę. Była dobrą przyjaciółką i żal było mi się z nią rozstawać.

– I ty, *fedabin*. Myślę, że czeka cię długie życie bajarki Debeho.

– Możliwe. – Kaneka puściła mnie i uśmiechnęła się szeroko. –
Możliwe!

Pojechaliśmy, odwracając się w siodłach, żeby machać rękami na pożegnanie. Potem wioska wtopiła się w krajobraz, gliniane chaty zwały z płową równiną. Znowu byliśmy w drodze.

Drugiego dnia wjechaliśmy w góry, pokonując gęsiego zdradliwe wąskie szlaki, wspinając się na przyprawiającą o zawroty głowy wysokość, z doliny, która rozpościerała się pod nami niczym zielony, zwodniczo gładki dywan. Nasi przewodnicy Tifari Arnu i Bizan odetchnęli w górach swobodniej i gawędzili beztrosko w czasie jazdy. Joscelin też był odprężony, czując się w górach Dżebe–Barkał jak u siebie w Siovale, a Imriel... zapomniałam, że on też wychował się w górach. Patrzyłam, jak wieczorami wspina się po skałkach, zwinny niczym kozica, zbierając suche gałęzie na opał.

Kaginiony książę, wychowany w sekrecie przez kapłanów Elui, nieświadomy swojego pochodzenia. Taki był plan jego matki. Patrząc na niego w górach, niemal żałowałam, że tak się nie stało. Teraz było za późno. Los księcia–pastuszka nie był mu pisany.

Raz napotkaliśmy wojowników z plemienia Tigrati. Przez parę minut żadna ze stron nie była pewna powitania. Dłonie krążyły przy mieczach, gdy mierzyliśmy się wzrokiem. Podniosłam rękę, jak nauczył nas Tifari, pokazując znak *rasa*, i Imri zrobił to samo. Spięty Joscelin krzyżował przedramiona nisko nad sztyletami; nie walczył od czasu Daršangi. Potem jeden z mężczyzn uśmiechnął się i zażartował, Bizan odpowiedział tym samym i wszystko dobrze się skończyło. „Bądźcie uprzejmi i nigdy nie okazujcie strachu”. Wieczorem razem rozbiliśmy obóz i ugotowaliby strawę we wspólnym garnku.

Tej nocy po raz pierwszy usłyszałam „górskich mówców”, bębny, którymi interesował się ojciec Audyny Davul. Myśliwi mieli mniejsze wersje instrumentów, wydrążone i wypolerowane krótkie kłoc drewna, które uderzali pałkami. Wysokie i szybkie dźwięki niosły się

po górach w skomplikowanych seriach. Jakiś czas później usłyszeliśmy odpowiedź, ludnienie wielkich bębnow w odległej wiosce.

– Przejedziemy bez przeszkód – oznajmił z satysfakcją Tifari Arnu.
– Pieści się rozeszły.

Z pewnością tak było, bo nie napotkaliśmy w górach nikogo. Po tygodniu zaczęliśmy pokonywać kolejne płaskowyzę, schodzące ku rzece. W tych okolicach było mnóstwo zwierzyny. Nawet nie spróbuję wymienić gatunków. Widzieliśmy antylopy i gizele, wdzięczne stworzenia o rdzawej sierści i spiralnych, widlastych rogach. Przestraszone, wyskakiwały wysoko w powietrze, wybijając się z czterech nóg. Bizan i Tifari Arnu polowali na nie konno, z oszczepami. Był to zdumiewający widok, gdy umajjackie rumaki dotrzymywały kroku tym zwinnym zwierzętom, co chwila skręcającym i zawracającym.

Widziałam żyrafy, w których istnienie wcześniej nie wierzyłam. Są one niezmiernie wysokie i na pozór niezgrabne, z nogami przypominającymi guzowate szczudła i szyjami sięgającymi czubków drzew, mają jasną sierść w ciemne plamy. Pomimo swoich rozmiarów są łagodnymi stworzeniami i gdy przejeżdżaliśmy, tylko nas obserwowały.

Oczywiście nie brakowało mniejszych, lecz mniej dobrotliwych mieszkańców. Nocami słyszeliśmy przerażający ryk lwów. Ilekroć było to możliwe, ścinaliśmy gałęzie akacji najeżone ostrymi, haczykowatymi kolcami, i budowaliśmy z nich prowizoryczne ogrodzenie wokół obozu, żeby drapieżniki nie zabiły naszych koni. Były tam szakale podobne do rosłych czarnych lisów z długimi pyskami i padlinożerne hieny, niezdarne i nakrapiane. Słyszeliśmy je zawsze po udanych łowach – niesamowity szczekliwy śmiech niosący się w nocy, gdy walczyły o kości, które miażdżyły w silnych szczękach.

Były też latające ścierwojady; niebo ciemniało, gdy Bizan i Tifari

upolowali jakieś zwierzę... myszołowy, sępy z potężnymi skrzydłami i gołymi szyjami, i najdziwniejsze ze wszystkich, długonogie bociany z ostrymi, smukłymi dziobami, dostojnie kroczące wśród innych ptaków.

Muszę przyznać, że to piękna kraina. Potrafiłam zrozumieć, dlaczego ojciec Audyny Davul ją pokochał. Potrafiłam też zrozumieć, dlaczego ona tęskniła za domem. Pomimo wszystkich cudów Dzebe-Barkal – do dziś dnia się cieszę, że widziałam stado słońi kąpiących się w rzece o zachodzie słońca – nie mogłam przestać myśleć, że w Terre d'Ange już kwitnie lawenda, nasycając powietrze zapachem, i zaczynają dojrzewać winogrona.

A jednak mogliśmy trafić w znacznie gorsze miejsce.

Wiedziałam. Widziałam wiele takich.

Może zabranie go było szaleństwem, ale Imriel dosłownie rozkwitł w czasie tej podróży. Choć luźny dzebeński burnus chronił go przed słońcem, bladość z zenany ustąpiła zdrowym rumieńcom. Poruszał się pewnie, bez dawnej czujnej rezerwy, i zniknęły cienie pod jego oczami. Nie miał mocnej budowy ciała, lecz jego kości już nie wydawały się takie kruche i słabe, i przysięgam, że urósł cał od czasów Daršangi.

– Musi mieć jedenaście lat – zauważył pewnego wieczoru Joscelin, patrząc, jak Imriel według wskazówek Bizana układa gałęzie na ognisko. – Jedenaście!

Nie wiedzieć czemu, to mnie zaskoczyło; wbiłam sobie do głowy, że ma dziesięć lat.

– Urodził się na wiosnę, pamiętasz? Miał sześć miesięcy, kiedy zniknął na jesieni. – Chodziło mu o zniknięcie z Małego Dworu w La Serenissimie; Joscelin uczestniczył w poszukiwaniach. – W drodze z Drudżanu skończył jedenaście lat.

– Masz rację.

Joscelin przez pewien czas spoglądał na niego, milcząc.

– Znienawidzi życie w pałacu – rzekł wreszcie. – Będą patrzyli na

niego jak na raroga, minuta po minucie i dzień po dniu, czekając, kiedy przemieni się w matkę.

– Ysandra na to nie pozwoli – zaprotestowałam.

Obrzucił mnie uważnym spojrzeniem.

– Jej własna kuzynka próbowała go zabić. Elua wie, czy nie stał za tym Barquiel. Co robi Ysandra? Sprowadzi braci kasjelitów, przydzielili mu strażnika?

– Jeśli będzie musiała.

– Nie robi tego. – Pokręcił głową. – Nie po La Serenissimie. I nie ukróci plotek. Tego nic nie powstrzyma. Już wykorzystał jedną ze sztuczek Melisandy, uciekając panu Amauremu.

– Nie wiedział – powiedziałam cicho.

– Myślisz, że to będzie miało znaczenie dla plotkarzy?

Odwrociłam wzrok.

– Nie.

– Będzie mu trudno – mruknął Joscelin. – Skóra mi cierpnie na samą myśl o tym.

– Wiem. – Patrzyłam, jak Imriel kuca przy ognisku, krzesząc iskrę krzemieniem Bizana i dmuchając lekko na gniazdko z suchej trawy w środku ułożonych przez siebie gałęzi. – Cóż, przed nami jeszcze długa droga, i jeszcze dłuższa z powrotem.

– Nie taka długa, jak była – powiedział Joscelin. – Ani w połowie.

A ja nie byłam pewna, czy mówi o podróży, czy o czymś innym.

SIEDEMDZIESIĄT

Chwilę wytchnienia zawdzięczaliśmy nosorożcowi.

To nadzwyczaj dziwne, zawdzięczać cokolwiek tak potwornej bestii, a jednak to prawda. Jeszcze mieliśmy rzekę w zasięgu wzroku, gdy zwierzę wypadło z gęstych krzaków pod akacjami, przy czym ostre kolce wcale nie szkodziły jego grubej skórze. Siedziałam w siodle jak skamieniała, czując drżenie ziemi pod końskimi kopytami, patrząc na wielki łeb, który parł niczym dziób okrętu wojennego, na małe, szalone oczy po obu stronach wielkiego rogu. Dla porównania przychodzi mi na myśl tylko Czarny Dzik Cullach Gorrym, jak wyłonił się z lasu, by poprowadzić żołnierzy Drustana ku zwycięstwu w Albie. Wtedy uważałam, że był wielki.

Tifari Amu krzyknął i obaj z Bizanem zawrócili konie w przeciwną stronę, próbując odciągnąć bestię. Nosorożec pochylił głowę i przypuścił szarżę, minął mnie i wpadł pomiędzy tragarzy i osły. Był szybki, szybszy niż można sobie wyobrazić, i wprawiał ziemię w drżenie. Usłyszałam krzyki przerażenia i wycie bólu, gdy ktoś wpadł w kolczaste krzaki.

A potem...

– Joscelinie!

Głos Imriela, wysoki i przenikliwy jak w Daršandze, wzniósł się ponad krzyki i łoskot potężnych kopyt. Zobaczyłam, co się dzieje, i wyszeptałam przekleństwo. Joscelin zsiadł z konia i ustawił się pomiędzy mną a nosorożcem, który zawrócił i pędził w naszą stronę. Błysnął trzymany oburącz miecz. Joscelin stał na lekko ugiętych

nogach, czekając.

Nosorożec szarżował.

Nie widziałam, szczerze mówiąc, co dokładnie się stało, bo w tej chwili wbiłam pięty w boki wierzchowca. Zmagałam się z nim i szarpałam wodze, gdy ze strachem poderwał głowę i tańczył, przesuając się w bok. Wiem tylko, że Joscelin uskoczył z drogi, obracając się jak *tauriere* z Eisandy. Wyprostował ręce i sztych miecza otworzył długą ranę w boku zwierzęcia.

Zrobię to, pomyślałam, wciąż walcząc z wierzchowcem i patrząc, jak nosorożec odwraca się i z opuszczonym łbem, z kłębem wznoszącym się niczym garb na morzu, wypatruje przeciwnika. Joscelin stał na wprost niego, pełen wdzięku i pewności siebie, Tifari i Bizan wracali co koń wyskoczy, ale byli zbyt daleko; wiatr porywał wydobywające się z ich otwartych ust krzyki. Eluo, dopomóż mi, zrobię to, wjadę pomiędzy niego a tego potwora, nawet jeśli będę musiała zabić konia i siebie.

Nie wiem, z jakiego powodu nosorożec zmienił zamiar. Otrząsnął się jak ogromny pies i potruchtął w stronę rzeki, przedzierając się przez kolczaste krzaki.

– Ty idioto! – wrzasnęłam do Joscelina, odzyskując głos. – Mogłeś zginąć! Na Eluę, coś ty sobie myślał?

Z głośnym śmiechem zatoczył chwiejny krąg, ostrzem kreśląc srebrną linię w powietrzu.

– Trafiłem, Fedro! Widziałaś! Wciąż mogę to robić! Wciąż potrafię!
Otworzyłam i zamknęłam usta.

– Mogłeś zginąć – powtórzyłam spokojniej. – Joscelinie, jeśli już musisz poddać się próbie, wybierz przeciwnika, który nie dorównuje wzrostem słoniowi i nie ma skóry twardej jak żelazo. Na pieszo nie można zabić takiej bestii, nie mieczem.

– Można, jeśli przetnie się pęciny. – Spokojniejszy, ale wciąż w doskonałym humorze, schował miecz do pochwy na plecach. – Tak powiedział Tifari Amu, w ten sposób polują na słonie. Sztuka wymaga

precyzji, to wszystko. Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem.

Spojrzałam na niego ciężkim wzrokiem i nie miałam czasu, by coś dodać, bo wrócił Tifari z Bizunem. Koń Bizuna okulał, nadwerężywszy nogę. Tragarza Nkuku trzeba było wyciągać z cierni. Był okropnie poodrapany i wstrząśnięty. Dwa osły też utknęły w krzakach, spłoszone przez atak nosorożca. Nie widziałam niczego podobnego do kolców akacji, są długie jak palec i bardziej ostre niż haczyk na ryby. Dwa bukłaki zostały podarte i nadawały się tylko na łąty. Tifari Amu uznał, że nosorożec musiał być chory i szukał drogi do rzeki. Możliwe, ale spowodował sporo zniszczeń. Na szczęście Imriel przytomnie złapał wodze wierzchowca Joscelina, bo inaczej odszukanie go sprawiłoby nam dodatkowy kłopot.

Trzeba było opatrzyć rany ludziom i zwierzętom, dlatego Tifari pojechał w górę rzeki, żeby znaleźć dogodne miejsce na obóz. Mieliśmy tam zostać, dopóki nie będziemy gotowi do dalszej podróży.

Miejsce leżało na zakręcie rzeki, która płynęła gładko w zwirowym łożysku, tworząc wiry na zakręcie. W pewnej odległości od brzegu naturalne źródło utworzyło głęboką, odosobnioną sadzawkę, z której woda uchodziła krętym strumykiem, szemrzącym na skałach i zasilającym Tabarę. Było to idealne miejsce do kąpieli i prania ubrań bez strachu przed krokodylami czy hipopotamami, co bardzo mnie ucieszyło. Rozbiliśmy namioty blisko zakrętu rzeki, gdzie rosła bujna trawa, dobra na paszę dla koni i osłów, a tragarz Yedo wyciął w krzakach przejście do sadzawki.

Razem wzięwszy, spędziliśmy tam kilka dni, gdy goiły się zadrapania i końska noga. Tifari i Bizan polowali na gazy – nie tylko dla uzupełnienia zapasu mięsa, ale też dla skór, żeby sporządzić nowe bukłaki. Dokładnie oczyścili i wysuszyli skóry, grzebiąc je w gorącym piasku i łupku daleko od naszego obozu. Następnie zawiązali części, które pokrywały nogi, i mocno zszyli brzuch rzemieniem wplecionym z resztek starych bukłaków. Tifari zapewniał, że przysłużą nam się dobrze w czasie ostatniego etapu podróży, gdy

odbijemy od rzeki i znów będziemy wędrować przez góry.

Później mieliśmy dotrzeć do Wielkiego Wodospadu i wejść na ziemię Saby.

Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo potrzebowaliśmy odpoczynku

Dzięki hojności *lugala* z Khebbel-im-Akad i *rasa* Lijasu z Mero podróżowaliśmy wprawdzie nie w przepychu, ale wygodnie, na ile możliwe w dzikich rejonach Dzebe-Barkal. Mieliśmy mnóstwo prosa z którego piekliśmy płaski, gąbczasty dzebeński chleb, a także zapas przypraw, suszonych fig i daktyli. Nasze namioty były solidne i przestronne i wszyscy przyjęliśmy dzebeński zwyczaj spania na skórzanych pryczach łatwych do składania i chroniących śpiącego przed kontaktem z ziemią, gdzie pełzały skorpiony i dokuczliwe owady.

Miałam nawet trójnożny stółek ze skórzanym siedzeniem, a także okazały zapas atramentu i pergaminu do prowadzenia dziennika. Siadywałam przed naszym namiotem i obserwując życie w obozie, zapisywałam historie Szooanete z Debeho, wrażenia z naszej podróży, pieśni myśliwskie Tifarego Arnu i Bizana, a także pieśni naszych tragarzy, których nikt nigdy nie utrwalił w piśmie. Gdybym miała takie luksusy w Skaldii! Choć Skaldowie sąsiadowali z Terre d'Ange, ich kultura była dla nas nie mniej egzotyczna. Przez długi czas chciałam zapomnieć o wszystkim, co wiązało się z tym krajem. Teraz wspominałam pieśni, które śpiewałam biednemu Erichowi w zenanie, i żałowałam, że nie zapamiętałam ich więcej, nie mówiąc o zapisaniu.

Pomyśleć, że jedną z nich przekupiłam Pana Cieśniny.

Rozmyślałam, patrząc na naszych ciemnoskórych i egzotycznych towarzyszy, na Joscelina i Imriela w dzebeńskich strojach, na wspaniały widok dolin ujętych w ramy zielonych gór, na bezkresne błękitne niebo ponad tym wszystkim. Byliśmy bardzo daleko od zielonych wód Cieśniny, od skalistej, samotnej wyspy.

Hiacynt. Nigdy nie zapomniałam.

Trzeciego dnia Joscelin złapał rybę, choć zapamiętałam ten dzień z innego powodu. Oczywiście łowił ryby już wcześniej, i to wiele, niektóre ważące po dziesięć, piętnaście funtów. Nie wiem, do jakiego należały gatunku – Dzebenowie zwali je krowimi rybami – ale miały kolor łososia, duże płetwy grzbietowe i małe głowy. Po ugotowaniu przypominały mięso pstrąga i były całkiem smaczne.

Joscelin złowił wielką rybę.

Pokazał je mnie i Imrielowi, wielkie cienie kryjące się w rzecznych głębinach. Kiwałam głową, słuchając uprzejmie, gdy Imriel wyjaśniał, jak zamierzają użyć mniejszych ryb na przynętę i jak mocuje się kotwiczki, potem wróciłam na swój stołek i pisałam w dzienniku, kątem oka spoglądając na rzekę i zastanawiając się, jak przekonać Sabejczyków – Szooanete zwała ich Melehakimami – żeby zdradzili mi Imię Boga, które ukryli przed samym Adonai.

Moją uwagę przyciągnął krzyk i musiałam pójść nad rzekę, żeby poznać przyczynę.

Joscelin stał po kolana w rwącej wodzie, ubrany tylko w białe dżebeńskie spodnie. Słońce lśniło na jego rozpuszczonych, mokrych włosach, mięśnie grały pod skórą, gdy ręka za ręką ciągnął linkę. W dole rzeki walczyła ogromna ryba, miotając się i skacząc, jej boki lśniły srebrzyście. Przyznam, że wstrzymałam oddech na ten widok.

A na piaszczystej łasze Imriel w przemoczonych spodniach, z czarnymi włosami przylepionymi do policzków, podskakiwał z podniecenia, wykrzykując rady i machając okazałą gałęzią.

Roześmiałam się, nie mogłam się powstrzymać. Na swój sposób były to epickie zmagania, choć nie nadawały się na opowieść poety. Gdy linka się luzowała, Joscelin ciągnął mocno, walcząc z rybą o każdy cal. A jak walczyła ryba! Zobaczyłam ją, gdy wyskoczyła z wody. Miała srebrne boki i zielony grzbiet przechodzący w czerń, była silna i pełna wigoru, prawdziwy rzeczny olbrzym. Imriel wszedł głębiej, bezskutecznie tłukąc wodę kijem, i Joscelin kazał mu wracać, wciąż ciągnąc linkę. Bałabym się krokodyli, gdybym nie pękała ze

śmiechu.

I nagle serce rozboleło mnie z miłości.

Z ogromnym wysiłkiem Joscelin wyciągnął miotającą się rybę na ławę. Imriel przyskoczył z kijem, uderzył ją mocno i upadł na nią, próbując wsunąć palce pod skrzela. Ryba podskakiwała pod nim, zmagali się na płyciźnie, jednakowo mokrzy i lśniący. Dopiął swego, choć ryba była prawie tak duża jak on. Gdy się uspokoiła, Joscelin przyniósł ją na ramieniu. Musiała ważyć około pięćdziesięciu funtów. Wyszedł na brzeg z uradowanym Imrielem.

– Co na to powiesz? – zapytał ze śmiechem, rzucając rybę do moich stóp.

Upadła z głośnym łupnięciem, wijąc się na murawie.

Zrobiłam dwa kroki, chwyciłam go za włosy i pocałowałam.

Myślę, że przez chwilę był zbyt zaskoczony, by zareagować, a potem Eluo! Objął mnie mocno i z żarem odwzajemnił pocałunek, jego ręce sunęły po moich plecach, śledząc zarys marki. To było jak pochodnia rozpalająca Święty Ogień w sali biesiadnej.

Odsunęliśmy się bez tchu i patrzyliśmy na siebie.

– Powiem – zaczęłam niepewnym głosem – że powinieneś częściej przynosić mi ryby.

– Chyba tak – odparł z rozbawieniem. Spojrzał w dół. – Czego szukasz?

– Niczego. – Imriel przestępował z nogi na nogę, podparty pod boki uśmiechnięty od ucha do ucha. – Powinieneś się wykąpać, Joscelinie jesteś cały w rybie.

– Tak jak ty – odparł, a potem mrugnął do mnie. – Teraz ty także. Powinienem... powinienem najpierw sprawić rybę.

– Ja mogę to zrobić. – Imriel wetknął palce pod skrzela i przeciągnął rybę kawałek po ziemi. Przewrócił ją na grzbiet, odsłaniając blady brzuch. – Widzisz? – Wyrysował kreskę mokrym palcem. – Najpierw natnę tutaj. Powiedziałaś, że dobrze się spisałem, pamiętasz? Jest większa od innych, to wszystko. Yedo mi pomoże.

Joscelin uniósł brwi i popatrzył na mnie.

– I co? – powiedziałam. – Imri ma rację, cały jesteś w rybie. Idź się wykąp, Joscelinie.

Poszedł, zabierając suche ubranie, kostkę cennego mydła i względnie czysty ręcznik z menechetańskiej bawełny.

Imriel uśmiechał się triumfalnie i spojrzał na mnie z ukosa.

– Powiem Yedo, żeby nikt nie chodził nad sadzawkę – oznajmił. Uosobienie niewinności. – Gdybyś chciała uprać suknię.

– Myślisz, że powinnam? – Dotknęłam jego mokrych włosów.

Imriel spojrzał pod nogi i energicznie pokiwał głową. Sprawa nagle stała się zbyt wielka, żeby ująć ją w słowa. Zastanowiłam się, dlaczego jest dla niego taka ważna.

– Dobrze, pójdę.

Ścieżka do sadzawki biegła zielonym tunelem, krzaki mimozy nachylały się ku sobie, przesiewając światło, aromatyczny sok spływał ze świeżo ściętych gałęzi. Pęki drobnych żółtych kwiatów ocierały się o suknię, obsypując pyłkiem materiał. Czułam się dziwnie, moja skóra była wrażliwa na najłżejsze tchnienie wiatru, serce biło zbyt szybko z niepewności.

I wciąż bolało.

Tunel otworzył się na sadzawkę, w której stał Joscelin. Nie zobaczył mnie, usiadłam więc na rozgrzanych przez słońce kamieniach i patrzyłam, jak zanurza głowę i prostuje plecy, wyrzucając w powietrze migotliwy łuk kropelek wody. Cętki światła i cienia pomykały po skórze, pod którą prężyły się mięśnie. Jasne blizny odznaczały się na jego ciele, kilka było nowych, jeszcze różowych. Stare znałam na pamięć. Wzdłuż żeber biegła zakrzywiona szrama, pamiątka ze Skaldii. Sama ją zszywałam, w jaskini z pieczęcią Błogosławionego Elui, gdzie schroniliśmy się przed śnieżycą.

I gdzie się kochaliśmy po raz pierwszy, kasjelita i *anguisette*.

Pożądanie pulsowało w mojej krwi niczym daleki huk bębnow na szczycie góry.

Joscelin zobaczył mnie i znieruchomiał, woda ściekała z niego w blasku słońca. Nawet kiedy nim gardziłam, dawno temu, uważałam, że jest piękny. Stał cierpliwie, gdy badałam go wzrokiem. Każdą bliznę nosił z mojego powodu. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Fedro – wyrzekł łagodnym tonem moje imię. – Dołączysz do mnie?

W milczeniu skinęłam głową i nie ruszyłam się z miejsca.

Cienie pomykały po jego ramionach, gdy zrobił parę kroków i podniósł mnie ze skały, jakbym ważyła nie więcej niż złowiona niedawno ryba. Postawił mnie w sadzawce. Dół mojej sukni unosił się na wodzie, gdy zarzuciłam mu ręce na szyję, a on pochylił głowę, żeby mnie pocałować.

Tego pocałunku nie potrafię opisać.

Był jak poemat, modlitwa, niespodziewany powrót do domu. Był jak kruszące się ściany lochu i ukazujące się niebo. Wstrząsnął mną do głębi duszy.

Mogłam tylko przywierać do niego i oddychać urywanie.

Joscelin rozpiął guziki sukni i zsunął ją z moich ramion, aż stanęłam wśród jej wydętych fałd jak w kwiecie lotosu. Wodził palcami po odsłoniętym ciele, a ja drżałam, jego czułość była prawie nie do zniesienia. Nabrał wody w złożone dłonie i polał moją głowę, kropelki zawisły na włosach, potem spłynęły, strącone jego ustami. Kiedy całował moje zamknięte powieki, mogłabym zapłakać.

Tego dnia uczyłam się go na nowo, rękami, ustami i językiem, śledząc linię obojczyka, płaszczyzny torsu, których nie zeszpeciło jeszcze żadne ostrze, jak niewidoma ucząca się patrzeć dotykiem. Głównie jednak poddawałam się jego pieścizotom i na nowo uczyłam miłości. Rozwiązał moje splecione na karku włosy. Gdy podniósł ociekające wodą ręce, żeby objąć moje piersi, westchnęłam; załkałam, czując dotyk jego ust, ciepłych i wilgotnych, zamykających się na obolałych brodawkach.

Podniósł mnie z pływającego lotosu sukni i posadził, opierając

pośladki na ciepłych kamieniach. Delikatnie wykonał *languisement*, jak tchnienie wiatru rozchylając moje dolne wargi i muskając językiem nabrzmią Perłę Naamy. Zdawało się, że czas stanął w miejscu. Leżałam otwarta pod kopułą nieba i wszystko, co uczynił Mahrkagir, zostało odczynione, całe okrucieństwo, każde żelazne pchnięcie – odczynione, odczynione odczynione, każdy pocałunek, każde liźnięcie, każde uderzenie piętnujące miłością moje ciało – odczynione, aż zadrżałam i wplotłam ręce we włosy Joscelina, głośno wykrzykując jego imię, i osiągnęłam szczyt z siłą wezbranych na wiosnę wód, które spadają po skałach.

Joscelin uniósł z uśmiechem głowę.

– Chodź tutaj – powiedziałam, przyciągając go do siebie.

Zrobił to. Wysunął się z wody, podpierając na rękach, po obu stronach moich ramion. Przygryzłam usta, sięgając w dół, żeby wsunąć go w siebie, sztywnego i twardego, ścianki dolnych partii mojego ciała wciąż pulsowały. Każdy inny mężczyzna – każdy, którego znałam, już by wtedy zaczął.

Nie Joscelin. Czekał, czołem dotykając mojego czoła, wsunięty we mnie po same lędźwie, z biodrami na moich biodrach. Mój oddech uspokoił się powoli, dostosowując do jego oddechu.

W przerwach pomiędzy uderzeniami naszych serc czułam obecność Błogosławionego Elui.

Czułam to wcześniej, wypełniające mnie złote światło, smak miodu w ustach. Czułam to teraz, wargi Joscelina smakowały jak miód, a język niczym nektar, gdy się całowaliśmy. Czułam lawendę w jego mokrych włosach, spływających po obu stronach mojej twarzy. Świat pulsował i wzbierał, gdy poruszał się we mnie, a ja unosiłam biodra, już nie mając pewności, gdzie on się kończy, a gdzie ja zaczynam, moje palce sunęły po plecach Joscelina, po kolumnie kręgosłupa, po umięśnionych bokach. Jego oczy, błękitne jak letnie niebo, wpatrywały się w moje, lśniąc od łaski Elui.

Tak oto staliśmy się całością.

Wykrzyknęłam na koniec nie wiem, czyje imię, Joscelina czy błogosławionego Elui. Wtedy było to jedno i to samo. I jeśli nazywałam szczytowaniem to, co przeżyłam wcześniej, tamte doznania były niczym w porównaniu z tym, co stało się nad sadzawką. Fale ekstazy napływały z jakiegoś głębokiego miejsca, istnienia którego dotąd nie podejrzewałam, aż w końcu mogłam tylko z całych sił przywierać do Joscelina i drzeć w jego krzepkich ramionach. A on... Eluo! Zesztywniał na mnie i we mnie, wibracja przebiegła wzdłuż jego kręgosłupa, potem zadygotały lędźwie i wytrysnął.

– Przepraszam – szepnęłam, kiedy skończyliśmy i obecność Elui zgasła. – Joscelinie, naprawdę przepraszam za to, co nam zrobiłam.

Musnął moje rzęsy.

– Za co, kochanie? – zapytał, oglądając moje łyzy na czubkach palców. – Zrobiłaś to, o co cię poproszono. Podobnie jak ja. Co tu wybaczać?

– Przecież wiesz – powiedziałam cicho. – Słyszałeś... opowieści. Niektóre z nich są prawdziwe.

– Tak. – Wyrysował linię od kącika mojego oka, lewego, ze szkarłatną plamką. – Czy chcesz o tym pomówić? Przysięgam ci, teraz to zniosę.

Wspominając, pokręciłam głową.

– Nie. Niech te sprawy zblakną i popadną w zapomnienie. Nie.

– Zatem jest tak jak jest. I jesteśmy tacy jacy jesteśmy. Nie mniej i nie więcej. – Uśmiechnął się. – Nigdy mniej. Zgadzasz się?

Z całego serca. Pokazałam mu, jak bardzo się zgadzam, aż wstrzymał oddech i wybuchnął śmiechem, a potem już się nie śmiał, tylko dyszał z żarliwego pożądania. I jeśli Błogosławionego Elui już nie było z nami, wystarczała nam nasza obecność.

Nie prosiłam o więcej.

Choć raz to wystarczyło.

SIEDEMDZIESIĄT JEDEN

Oczywiście żartowano co niemiara; Dzebenowie ze szczerą przyjemnością mówią o uprawianiu miłości, a w małym obozie nie da się zachować sekretów. Żarty były dobrodusze i ja nie miałam nic przeciwko, a Joscelin jakoś je znosił. Wielka ryba została wypatroszona i oczyszczona i paski mięsa wędziły się nad drugim ogniskiem. Wieczorem zjedliśmy trochę świeżego mięsa, usmażonego na żelaznej patelni z kolendra i dziką cebulą, i pomyślałam, że nigdy dotąd nie jadłam nic smaczniejszego, zapewne było inaczej, ale tej nocy miałam takie wrażenie.

Po kolacji siedzieliśmy przy ogniu i omawialiśmy plany na jutro, żeby przygotować się do wyjazdu. Bizan puścił w obieg bukłak zaoszczędzonego miodu, słodkiego i palącego w ustach. Pochwyciłam spojrzenie Joscelina, a on się uśmiechnął, splatając palce z moimi.

– Są kolce i kolce – powiedział Nkuku roztropnie. – Niektóre są większe od innych, ale ich klucie bywa przyjemniejsze.

Rozległ się śmiech; takie były żarty, których wysłuchiwalismy. Imriel siedział z podciągniętymi nogami, obejmując rękami kolana, popatrując na nas z ledwo skrywaną radością. Teraz rozumiałam to lepiej.

„Uczyń mnie całością”, modliłam się w świątyni Izydy. „Uczyń całością nas wszystkich”.

Staliśmy się jego rodziną.

Są więzy mocniejsze od krwi. Wiedziałam o tym, ja, która w wieku czterech lat zostałam sprzedana do terminu. Myśląc o utraconej

rodzinie, myślę o panu Anafielu Delaunayu i moim przybranym bracie Alcuinie. Oczywiście Joscelin też to wiedział, on, który był uwielbianym nieznajomym w domu dzieciństwa w Verreuil.

Nie myślałam o więzach zadzierzgniętych z Imrielem i co one znaczyły dla niego.

I dla mnie.

Mniejsza z tym; znaleźliśmy się daleko od domu, niezależnie od tego, co mówił Joscelin, a nasza wyprawa była daleka od ukończenia. Pewnego dnia, jak Elua pozwoli, wrócimy do domu. Imriel miał swoje przeznaczenie, które się o niego upomni, czekała nań ochrona Ysandry i zobowiązania wobec rodu Courcel. Była też Melisanda. Nie śmiałam się zastanawiać, jak postąpi. Tego dnia zdałam się na łaskę Błogosławionego Elui, ufna w jego miłosierdzie. Jeśli nieoczekiwanie przyniósł miłość, czy miałam prawo narzekać? Przyciągnęłam Imriela i chłopiec ukląkł przed ogniskiem pomiędzy nami, oparty o kolano Joscelina, pachnący lekko rybą i głęboko uszczęśliwiony po raz pierwszy, odkąd go poznałam.

A my z Joscelinem odzyskaliśmy umiejętność odgadywania myśli bez słów, patrzyliśmy na siebie nad jego głową i nie posiadaliśmy się ze zdumienia.

Następnego dnia w obozie panowało wielkie poruszenie. Trzeba było zszyć wyprawione skóry, zebrać uwędzone i suszone mięso, zapakować uzupełnione zapasy, wypakować, poprzekładać i zapakować jeszcze raz, połatać buty i naostrzyć broń. Tifari Arnu pokazał mi na mapie *rasa*, dokąd się udajemy, rysując palcem szlak przez góry do Wielkiego Wodospadu.

– Co będzie, kiedy dotrzemy do Saby? – zapytałam.

Tifari wzruszył ramionami, spokojny i nieśmiały jak zawsze.

– Tego nie wiem.

Wyruszyliśmy, opuszczając nasze przyjemne obozowisko. Odwróciłam się w siodle i patrzyłam, jak niknie za zakrętem rzeki.

– Nigdy nie przypuszczałam – powiedziałam do Joscelina – że będę wdzięczna nosorożcowi.

Uśmiechnął się szeroko.

– Nigdy nie przypuszczałem, że będę wdzięczny rybie.

Dżebenowie musieli uważać nas za lekko szalonych, choć wcale im to nie przeszkadzało. Nie wiem, co Kaneka powiedziała Tifariemu – z czasem raczyła rozmawiać z nim uprzejmie, co wystarczyło, żeby go podnieść na duchu – ale na pewno tyle, że jesteśmy dotknięci przez bogów, wszyscy troje. Tak, rozumieli to i dlatego królowa Zanadachete pobłogosławiła naszą podróż, a *ras* Lijasu przydzielili nam przewodników. Jako członkowie gwardii, Tifari i Bizan lepiej wyznawali się na polityce, lecz mimo wszystko uważali naszą wyprawę za czyste szaleństwo. Pojedynek Joscelina z nosorożcem nie polepszył sprawy. Przyglądali mu się, kiedy wykonywał swoje kasjelickie ćwiczenia, i tylko kręcili głowami.

Nie przejmowaliśmy się tym, bo każdy dzień przybliżał nas do celu.

Znów wspięliśmy się na zielone wyżyny i wędrowaliśmy przez lasy. Okolica była piękna, nieujarzmiona, bez śladu człowieka. „Za daleko od miast”, powiedział Tifari, „a zbyt trudno budować tutaj drogi”. Jazda była trudna, lecz na szczęście nie brakowało zwierzęcych szlaków i z nich korzystaliśmy.

– Z kim zatem handlują Sabejczycy? – zapytałam Tifariego.

– Obecnie z nikim. – Milczał przez dłuższą chwilę. – Na tym terenie żyją inne plemiona – Zenoe, Szamsuni – które nie podlegają ani Dżebe–Barkal, ani Sabie. Parają się głównie myślistwem i rozbojem. Sabejczycy, felehakimowie, od dawna, od wieluset lat żyją w izolacji. Nie wiem, czego się spodziewasz, ale mogą nie spełnić twoich wyobrażeń.

Nie odpowiedziałam. Szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia czego się spodziewać.

Po kilku dniach dotarliśmy do Wielkiego Wodospadu.

Tifari Arnu opisał mi wodogrzmoty, lecz sam znał je tylko z opowieści, a zresztą żadne słowa nie mogłyby przygotować mnie na taki widok.

W Terre d'Ange nie ma nic, do czego można by je przyrównać; ani w Terre d'Ange, ani nigdzie indziej w znanym mi świecie.

Dotarliśmy do rzeki Nahar, która tutaj, blisko źródeł, znów była szeroka i spokojna – przed wodospadem. Na długo, zanim go zobaczyliśmy, usłyszeliśmy potężny huk. Wreszcie podeszliśmy od góry i stanęliśmy na krawędzi gardzieli, patrząc z wysoka. Wodospad jest szeroki jak rzeka, zbyt szeroki, żeby przerzucić nad nim most, i spada z wysokości stu, a może więcej stóp. Woda przewala się przez skalny próg jak płachta. ubita na pianę leci w dół, aż wreszcie wpada do zielonego kotła z taką siłą, że wzbija wodną mgiełkę, prześwietloną przez słońce i migoczącą tęczkami.

– Na Eluę! – szepnął Joscelin.

Przełknęłam ślinę i ściągnęłam Imriela z omszałych skał na krawędzi, skąd miał lepszy widok.

Nie oddam w pełni wspaniałości Wielkiego Wodospadu, ale tego nie można opisać słowami. Jego siła i piękno są po prostu zbyt wielkie. Staliśmy przez pewien czas, wszyscy, sycąc oczy widokiem, z rykiem spadającej wody w uszach. Nawet na tej wysokości niesione wiatrem kropelki moczyły nam twarze.

Przypuszczam, że gdyby wodospad nie był taki oszałamiający, usłyszelibyśmy myśliwych.

Byli Szamsunami, choć wówczas tego nie wiedziałam; później powiedział mi o tym Tifari Arnu. Było ich dziesięciu, uzbrojonych w prymitywne łuki i oszczepy, zwinnych i silnych, ze skórą w kolorze dojrzewających oliwek i ciasno splecionymi włosami. Myśliwi – i rabusie. Nie trzeba było mi tego mówić. Widziałam, jak spojrzenie przywódcy pomyka po naszych wierzchowcach i objuczonych osłach.

I jak patrzy na mnie, ze zdumieniem i pożądaniem, zwilżając usta językiem. Szybkim ruchem nałożył strzałę i napiął łuk, celując w

Joscelina, najwyższy cel w naszej grupie. Inni wzięli z niego przykład, a ja przyciągnęłam Imriela do siebie.

– Stać – powiedział szamsuński prowodyr w zrozumiałym dżebeńskim dialekcie, zwracając się do Tifariego Arnu i Bizuna, którzy już rozchodzili się w przeciwne strony. – Zabierzemy, co będziemy chcieli, a nikt nie umrze.

– Czego chcecie? – zapytał Tifari z na wpół dobytym mieczem.

– Wasze rzeczy. Waszą broń. Cokolwiek macie – odparł Szamsun.

Niech tak będzie, modliłam się, niech tylko na tym się skończy. Byliśmy tak blisko celu, że utrata bagażu nie miała znaczenia. Tutaj jest woda i ryby, jeśli zdołamy je złapać, a w Sabie z pewnością obowiązują prawa gościnności Habiru. Spojrzenie przywódcy znów prześliznęło się po mnie i zobaczyłam, że oddycha szybciej.

– I kobietę.

Joscelin na tyle znał dżebeński.

Zaskoczył ich, gdy się uklonił, skrzyżowane zarękawia błysnęły w zielonkawym świetle. Zaskoczył ich jeszcze bardziej, gdy się wyprostował ze sztyletami w rękach i rzucił je jeden za drugim.

Lewym chybił. Prawym zabił przywódcę.

Strzały świsnęły w powietrzu. W ostatniej chwili rzuciłam się na Imriela. Miałam wrażenie, że rozgrzany do czerwoności pogrzebacz przeorał moje plecy. Ból przypominał niespodziewaną wizytę starego znajomego, zapach zdeptanej paproci wypełnił moje nozdrza. Imriel zaprotestował stłumionym głosem i podniosłam się ostrożnie, odwracając głowę, by spojrzeć za siebie.

Gdyby Szamsuni stali w większej odległości, zachowaliby przewagę, ale po pierwszym deszczu strzał zaczęła się walka wręcz. Bizana strzała trafiła w udo, ale walczył nieugięcie, podskakując dziko i wymachując mieczem. Jednemu z tragarzy udało się odwiązać z juków żyrfią tarczę Tifariego i wtedy mogłam zobaczyć, jak biegle walczą dżebeńscy żołnierze.

A Joscelin... Joscelinowi krew spływała strumieniem z prawej

strony głowy. Pomimo to walczył tak spokojnie, jakby ćwiczył, z ostrożną gracją dzierżąc dwuręczny miecz. Rzeczywiście nie tak, jak kiedyś, ale miał rację – nadal mógł to robić.

Szamsuni byli przygotowani na polowanie, nie do bitwy. Parę minut później było po wszystkim. Ostatniego, który próbował uciec, Tifari Amu powalił jednym ze swoich oszczepów, ciskając nim z siłą pomiędzy drzewami. Mężczyzna upadł, trafiony w plecy.

– Pobiegliby do swojego plemienia – wyjaśnił Tifari, widząc moją wstrząśniętą minę. Opuścił tarczę, żeby wytrzeć czoło przedramieniem. – A wtedy mielibyśmy dług krwi do spłacenia.

Na to nie miałam odpowiedzi. Żyliśmy.

Poszłam do Joscelina, który skrzywił się, gdy go dotknęłam. Strzała skaleczyła mu ucho, wydzierając kawałek ciała z górnej części płatka. Ponieważ rana nie była groźna, obmyłam ją, posmarowałam maścią z wężowego korzenia i dałam mu czystą szmatkę do tamowania krwawienia.

– I jak? – zapytał.

– Nikt nie zobaczy, jeśli będziesz nosić rozpuszczone włosy – Powiedziałam. – Zawsze to lubiłam.

Roześmiał się i umilkł nagle, gdy się odwróciłam, żeby zawiązać bułak.

– Jesteś ranna.

– Lekko. – Zerknęłam przez ramię na wyżłobienie. – Draśnięcie, nic więcej. Muszę opatrzyć Bizana.

Nie bacząc na jego protesty, nadzorowałam wyciąganie strzały. Na szczęście rana nie była poważna. Szamsuni klepali biedę. Ich strzały miały piękne lotki – jakżeby inaczej, skoro wokół było tyle ptaków – ale poza tym były wykonane tylko z utwardzonego w ogniu i zaostrzonego drewna. Ponieważ strzała nie miała stalowego grotu z zadziorami, po prostu kazałam Nkuku wyciągnąć ją jednym szybkim ruchem, po czym przycisnęłam do rany kłębek czystego materiału na wypadek, gdyby przebiła arterię. Bizan miał szczęście, nie przebiła.

Oczyściłam i obandażowałam ranę.

– Fedro. – Joscelin podszedł z Imrielem. Wyjął z mojej ręki dzbanek z węzowym korzeniem. – Usiądź – polecił, siłą sadzając mnie na kamieniu. – Imri, jesteś zręczny. Oczyść ranę i nałóż na nią trochę tego.

– Akurat dużo wiesz o medycynie... – zaczęłam.

– Och, bądź cicho. – Joscelin podał chłopcu wilgotną szmatkę. Imriel stanął za mną, rozsunął rozdartą suknię i ostrożnie ocierał skaleczenie. – Chcesz, żeby się zaogniła?

– Moje rany goją się czysto – powiedziałam i wciągnęłam przez zęby powietrze, gdy Imriel nałożył maść. Kaneka powiedziała, że jest skuteczna; nie wspomniała, że piecze jak siedem piekieł. Szkarłatna mgiełka na chwilę zasnęła mi oczy, a huk Wielkiego Wodospadu przerodził się w łopot mosiężnych skrzydeł. – Ach.

Gdy zamrugałam, świat pojaśniał. Mina Joscelina uległa zmianie.

– Więc to też się nie zmieniło – powiedział cicho.

– Nie. – Spojrzałam mu w oczy. – Na to wygląda. Czy teraz żałujesz? Po chwili pokręcił głową.

– Nie – odparł i pochylił się, żeby musnąć moje usta wargami. – Po prostu będę musiał złowić więcej ryb, to wszystko.

Wciąż się śmiałam, kiedy ich zobaczyłam.

W przeciwieństwie do Szamsunów, Sabejczycy przybyli gotowi bitwy. Mieli rynsztunek w archaicznym stylu, przynajmniej wtedy tak pomyślałam – pancerze z brązu na bawełnianych tunikach, spódniczki z plecionej skóry i jasne płaszcze. Przy drugim spojrzeniu zrozumiałam, że to nie styl, lecz same zbroje są stare, cienkie od długiego używania pojaśniałe od polerowania, z zachowanymi gdzieś w szczelinach śladami złocień.

Tifari Arnu powiedział prawdę. Nikt od dawna nie handlował z Sabą.

Siedzieliśmy jak skamieniali w naszym prowizorycznym obozie, wśród rozrzuconych leków i zwłok bandytów. Jeden z Sabejczyków

wystąpił ze zmarszczonymi brwiami. Miał surową, brodatą twarz w odcieniu polerowanego mahoni. Nosił brązowy hełm w kształcie szpiczastej czapki; tylko skórzane paski były nowe.

– Ty – powiedział w habiru, wskazując Tifarię, który wstał, podnosząc tarczę. – Co tu się dzieje? Kto zabił tych ludzi?

Tifari pokręcił głową na znak, że nie rozumie.

Mówili w habiru. Po tak długim czasie wciąż mówili w habiru.

– *Baruch hatah Adonai*, ojciec – powiedziałam, podnosząc się ze skały – *Jeszua a'Masziach...* – Mój głos się wyciszył. Przecież ci ludzie nie mogli być Jezuitami. Odchrząknęłam i podjęłam: – Przybyliśmy na pokojowe rozmowy z Sabą.

Patrzył na mnie ze zdumieniem, czemu się nie dziwię. Razem wzięwszy, stanowiliśmy dziwny widok i choć nie mógł wiedzieć, że jestem najsłynniejszą kurtyzaną Terre d'Ange, na pewno się nie spodziewał, że w leśnych ostępach napotka kogoś takiego.

– Ty – zaczął powoli. – Kim ty jesteś?

– Jestem Fedra nó Delaunay de Montrčve z Terre d'Ange. To kraj leżący daleko, dalej niż ojczyzna Szalomona. To moi towarzysze – dodałam, przedstawiając ich po kolei.

Joscelin złożył kasjelicki ukłon, Dzebenowie nieufnie skłonili głowy, Imriel siedział nieruchomo, próbując odczytać minę Sabejczyka.

– Z Meroe. – Sabejski dowódca spochmurniał. – Nie mamy przyjaciół w Meroe.

Przełożyłam jego słowa Tifariemu, który wzruszył ramionami.

– Wrogów też nie mają. Zatarg jest starożytny. Nasza mądra królowa dopilnuje, żeby nie został odnowiony, jeśli Saba tego nie pragnie. Ale nie przyszliśmy tutaj pertraktować, tylko pomóc wam w poszukiwaniach. To ukłon w stronę bogów i *lugala* z Khebbel-im-Akad, nic więcej.

Gdy przetłumaczyłam jego słowa, sabejski dowódca uśmiechnął się gorzko.

– Nasza pamięć sięga daleko wstecz, cudzoziemko. Dla nas spór nie jest zamierzchły, a na dodatek nie lubimy Akadyjczyków. Co zaś się tyczy bogów Dżebe–Barkał, są plugawymi, bestialskimi potworami.

– Jednak słyszałam, że wykorzystujecie rozpacz Izydy dla ukrycia czegoś przed oczami samego Adonai.

Sabejczyk wessał powietrze, jakbym go uderzyła, i jego policzki pociemniały.

– To nie twoja sprawa, cudzoziemko! – Milczałam. Jego ludzie poruszyli się niespokojnie. Po chwili znowu przemówił: – Przez wiele dni bez powodzenia tropiliśmy tych kłusowników – przyznał z niechęcią wskazując zabitych Szamsunów. – Dlatego macie prawo do miejsca przy naszym ognisku. Czy tego sobie życzysz?

– Tak. – Pochyliłam głowę.

– Niech tak będzie. – Znów uśmiechnął się z goryczą. – Jestem Henoł ben Hadad. Zaprowadzę was do miasta Tisaar. Niezależnie, czego szukacie, będziecie mogli przedstawić swoją prośbę starszyźnie.

Tak oto wkroczyliśmy do Saby.

SIEDEMDZIESIĄT DWA

Podróż była niespokojna, acz krótka. Sabejczycy, niezbyt uradowani naszym towarzystwem, trzymali się osobno. Dzebenowie, co zrozumiałe, byli nerwowi i nieufni. Joscelin, Imriel i ja jechaliśmy przygnębieni.

Jeśli Dzebe–Barkal wydawało się nam krajem rodem z legendy, to Saba jeszcze bardziej. Ile lat żyli w izolacji? W grę wchodziło wiele kalendarzy, trudno mi więc było dokonać obliczeń, ale według mnie król Chemosz władał jakieś dwieście lat przed narodzeniem Elui.

Zatarg był starszy od mojej ojczyzny.

Pod przewodem Hanocha ben Hadada dotarliśmy do Jeziora Łez, ogromnego, przypominającego spokojne, śródlądowe morze skrywające swoje tajemnice. Tutaj wreszcie były drogi i mogliśmy jechać obok siebie, zmierzając do stołecznego miasta Tisaar.

Po długim pobycie w zielonej dziczy widok czerwonych kamiennych murów miasta nad jeziorem wydawał się nadzwyczaj dziwny. Strażnicy spoglądali z wieży bramnej, dmąc przeciągle w koźle rogi. Hanoch ben Hadad uniósł rękę i czekaliśmy, aż zdumiona straż wypyta sabejskiego kapitana.

Nie wiem, co powiedział, ale to wystarczyło. Zostaliśmy wpuszczeni do Tisaaru.

Prawie dwadzieścia lat poświęciłam na zgłębianie wiedzy i historii Habiru. Teraz miałam wrażenie, że weszłam do jednego ze swoich zwojów. Pomimo braku handlu z zagranicą, Tisaar był zamożny, Sabejczycy w pełni wykorzystywali bogactwa swojego kraju. Mieli

ziemie uprawne, stada bydła i dziką zwierzynę, drewno i kamień, ale z metali tylko miedź i złoto. Nie mieli żelaza i tym samym stali, a nawet cyny do uzyskania brązu. Nosili antyczne zbroje, przekazywane z pokolenia na pokolenie, wielokrotnie naprawiane i przekuwane, bo każda uncja metalu była cenniejsza niż złoto. Stał w Tisaarze, nadzwyczaj cenną rzadkość, zdobywano w czasie potyczek ze zbójami lepiej uzbrojonymi niż Szamsuni, których spotkaliśmy. Ludzie Hanocha patrzyli na naszą broń z pełnym zazdrości podziwem. Przypuszczam, że chętnie by ją zabrali, ale zakazywało tego prawo gościnności.

Rozglądałam się, gdy jechaliśmy ulicami Tisaaru, zdumiona widokiem archaicznych wozów z miedzianymi obręczami na kołach. Sabejczycy z kolei patrzyli na nas, zastanawiając się, kim jesteśmy, a ich smagłe twarze dziwnie współgrały z językiem habiru i staromodnymi strojami.

W Tisaarze nie było gospód. Sabejczycy, którzy przybywali z miasta, zatrzymywali się u znajomych lub krewnych albo obozowali za murami. Tak właśnie woleli zrobić Tifari i Bizan z tragarzami, mając sześciodniowe zezwolenie na wchodzenie do miasta pod warunkiem, że broń zostawią w obozie. Joscelinowi, Imrielowi i mnie Hanoch ben Hadad zaproponował mieszkanie u swojej owdowiałej siostry, uznając nas za niegroźnych. Z niechęcią pozwolił Joscelinowi zatrzymać broń, choć w mieście nie wolno mu było jej nosić bez wojskowej eskorty.

Dorośla siostrzenica Hanocha wyprowadziła się do domu męża i jej matka mieszkała na parterze przestronnego domu tylko z kucharką i podstarzałą służącą. Piętro było wolne i służyło za składzik.

– Dziwne miejsce. – W przydzielonym nam pokoju Joscelin otworzył kufer, wachając przechowywaną w nim pościel. – Pachnie pleśnią. Całe miasto wygląda jak zapomniane przez czas.

– Prawie tak jest. Nie rób tego, to niegrzeczne. – Polubiłam siostrę hanocha, Jewunę, która obnosiła swój smutek z niewymuszonym

wdziękiem.

– Za trzy złote ogniwa? – Joscelin uniósł brwi. – Mamy prawo.

– Mógłbyś kupić dom za jeden ze swoich sztyletów – zaznaczyłam.

– Prawda. – Zamknął kufer. – Powitanie nie wróży dobrze. Nie sądzę, żeby zdradzili nam Imię Boga. Po prostu odeślą nas w powrotną drogę.

– Nie. Nie sądzę.

Źle spałam tej nocy i śniłam po raz pierwszy od wielu miesięcy – stary sen, który zbudził mnie w naszym domu w Mieście Elui, drżącą i zlaną łzami. Znów znalazłam się na dziobie statku, zaciskając dłonie na relingu, podczas gdy Hiacynt stał na oddalającym się brzegu z wyciągniętymi rękami, bez końca wykrzykując moje imię, rozpaczliwie i błagalnie. Tylko tym razem, gdy poszerzał się pas wody, krzyki stawały się głośniejsze narastając do niesłabnącego wrzasku czystego przerażenia. Zacisnęłam ręce na uszach, nie mogąc tego znieść, i upadłam na pokład.

Nie pomogło. Ogłuszający wrzask zbudził mnie i dopiero wtedy zrozumiałam, że dźwięk z mojego snu jest prawdziwy.

– Imriel – mruknęłam, idąc w ciemności do jego materaca. Za mną Joscelin zapalał lampę. – Już dobrze, to tylko zły sen...

Ocknął się z drgnieniem, skulony i naprężony, z łzami moczącymi mu policzki.

– Śniłem... śniłem, że jestem w Daršandze, a wy mnie zostawiliście. Odjechaliście, nie oglądając się za siebie. A Nariman się śmiał i zaprowadził mnie do Mahrkagira...

– Cicho. – Delikatnie głaskałam go po głowie, aż poczułam, że przestaje dygotać i powoli się uspokaja. – To sen, tylko sen. Nie zostawię cię, nigdzie.

Jakiś czas później zasnął i spał spokojnie. Gdy uznałam, że mogę od niego odejść, podeszłam do okna, z którego roztaczał się widok na dalekie jezioro. Księżyc, prawie w pełni, zeglował po czystym niebie, a poświata migotała na ciemnej wodzie.

– Tam jest ponad czterdzieści wysp – powiedział Joscelin za moimi plecami. – Tak powiedział jeden z ludzi Hanocha.

– Wiem.

Ktoś chodził na dole – wrzaski Imriela zbudziły domowników. Powinnam pójść i powiedzieć Jewunie, że nic się nie stało, ale zamiast tego patrzyłam na jezioro i się zastanawiałam.

– Myślisz, że znajdziemy właściwą? – zapytał Joscelin. – Jeśli przyjdzie co do czego?

– Nie wiem. Ale jeśli przyjdzie co do czego, będziemy musieli spróbować.

Rankiem zjedliśmy śniadanie z Jewuną, czekając na wieści od Sanhedrynu. Niezależnie od tego, ile płaciliśmy za mieszkanie, była miłą gospodynią i w przeciwieństwie do brata cieszyła się z naszego towarzystwa.

– Powiedz mi jeszcze raz, gdzie leży wasz kraj – poprosiła, z trudem zbierając myśli.

Z pomocą Joscelina przekształciłam stół w mapę. Sabę znała, oczywiście i Dzebe–Barkal, a także Menechet, Umajjat i Khebbel–im–Akad; słyszała także o Helladzie. Co do reszty, mogłabym mówić po skaldyjsku.

– To jest Iskandria, pani – powiedziałam, wskazując garnczek z miodem – tutaj rozciąga się ocean... – przesunęłam ręką po stole – tutaj leży Hellada, tu zaczynają się miasta–państwa Caerdicca Unitas, a dalej, tutaj, jest Terre d’Ange. – Położyłam suszoną figę, żeby zaznaczyć to miejsce.

– Tak daleko! – zdumiała się. – Dlaczego przybyliście z tak daleka, dziecko?

– Żeby znaleźć plemię Dana – odparłam szczerze. – Podobno mają klucz do wielkiej mądrości.

Jewuna uciekła ze wzrokiem.

– Kiedyś tak było – powiedziała cicho, potem pokręciła głową. – Na

próżno odbyłaś długą drogę, jeśli szukasz mądrości. Nie mówili ci w Dzebe–Barkal, jak zerwaliśmy przymierze mądrości?

– Słyszałam pewną historię, ale nie znam wersji Melehakimów.

– Melehakimów. – Uśmiechnęła się, delikatne zmarszczki powstały w kącikach jej ust. – Wciąż nas tak nazywają?

– Niektórzy – odparłam, myśląc o Szooanete.

– Ach, my nie nazywamy się tak od wielu pokoleń. Obawiam się, że straciliśmy do tego prawo. – Jej spojrzenie spoczęło na Imrielu, który zjadał suszoną figę oznaczającą położenie Terre d’Ange. – Co chcesz wiedzieć, dziecko? Za pocałunek tego drogiego chłopca opowiem wam waszą historię.

Przetłumaczyłam jej słowa Imrielowi. Dzięki podobieństwu habiru do akadyjskiego chłopiec trochę rozumiał z rozmowy, choć nie tyle, by nadążać za wątkiem. Spojrzał mi w oczy, poważnie skinął głową i podszedł, żeby pocałować zwiędły policzek. Była to ładna scenka dla każdego, kto nie wiedział, ile go kosztowało okazanie uczucia prawie obcej osobie.

– Takie śliczne dziecko, jak figurka z kości słoniowej! I na dodatek czarujące. – Jewuna pogłaskała go po głowie. – Jesteście błogosławieni, mając takiego syna.

Joscelin, który znał habiru, nie skomentował.

– W istocie – powiedziałam. – Pani, jak doszło do zerwania przymierza mądrości?

– Pycha – odparła. – Pycha i gniew. Cóż by innego? Kiedy upadło królestwo Szalomona, Adonai kazał nam zamieszkać w Dzebe–Barkal, gdzie mogliśmy bezpiecznie przechować Jego dary. Miały być używane nie dla osobistych korzyści, ale dla dobra Jego ludu, potomków namaszczonego, Mądrych, Melehakimów. Dary te spoczywały w rękach mężów, lecz przekazywanie mądrości... ach! To należało do niewiast. – Jewuna rozłożyła ręce. – A nasze ręce zawiodły. Słyszałaś o Chemoszu, fałszywie namaszczonego?

Pokiwałam głową.

Westchnęła.

– Nie zareagowałyśmy. Gdy Chemosz przemówił, mężczyźni wysłuchali go i zaczęli powtarzać jego słowa. Gdy przemówiła królowa, my ze strachu zachowałyśmy milczenie. Pozwoliłyśmy na zerwanie łańcucha, przymierze się skończyło. Chemosz został namaszczony w swoim gniewie i obwołany królem, bez kobiecej mądrości dla równowagi, i Chemosz wypowiedział wojnę Meroe. Nemuel, który w tym czasie był kapłanem z linii Aarona, zaniósł na pole bitewne arkę z pękniętymi tablicami. Zawsze wcześniej w czasie potrzeby głos Adonai grzmiał pomiędzy cherubinami, oznajmiając Jego straszne Imię. Tym razem głos milczał.

– I armia Chemosza została pokonana, jak słyszałam.

– Nie tylko to. Kiedy głos milczał... – Spojrzała na Imriela. – Jakie oczy ma ten chłopiec! Jak szafiry o zmroku. W napierśniku Aarona też były szafiry, wiesz, szafir i opal, agat, rubin, topaz, diament... nie potrafię wymienić ich wszystkich. Dwanaście kamieni dla dwunastu plemion.

– Napierśnik Aarona – powtórzyłam z zadumą. – Czy został zabrany ze świątyni Szalomona?

– Tak. – Jewuna pokiwała głową. – Był jednym ze skarbów. I kiedy głos milczał, Nemuel przywdział napierśnik, a także koronę z pieczęcią i wyrytym napisem „Poświęcone dla Adonai”. W swojej pysze, bo to on własnoręcznie namaścił Chemosza, włożył te rzeczy, żeby nagiąć wolę Adonai. A na polu bitewnym Nemuel rozkazał odsłonić arkę pękniętych tablic...

Jej głos się wyciszył. Czekałam, a ze mną Joscelin i Imriel. Po ponad tysiącu lat wydarzenia te były dla sabejskiej wdowy tak świeże, jakby rozegrały się wczoraj.

– To była głupota – wyszeptała – bo Nemuel zbliżył się w gniewie do arki pękniętych tablic. Pomyśleć, że ktoś taki chciał zawrzeć w sobie święte Imię! – Jewuna pokręciła głową. – Gdzie panoszy się pycha i gniew, tam nie ma miejsca dla Adonai. Próba oznacza śmierć. Tej

łaski można dostąpić tylko w stanie doskonałej miłości i ufności.

– Gdy człowiek uczyni się naczyniem, w którym nie będzie miejsca dla niego samego.

– Otóż to. – Jewuna pokiwała głową. – Ale Adonai okazał miłosierdzie i wstrzymał zabójczy cios z miłości do swojego ludu. Podniesiono zasłonę, Nemuel zajrzał do środka i ujrzał Imię Boga. – Miała ponurą minę. – Gdy jednak chciał je wypowiedzieć, oniemiał, język wysechł mu w ustach jak korzeń w czasie suszy. Taka była kara za złamanie przymierza mądrości. I, jak powiedziałaś, armia Chemosza została rozgromiona, a my zebraliśmy się do ucieczki. Uciekaliśmy przed siłami Meroe i przede wszystkim przed gniewem Adonai, który wcześniej dołożył wszelkich starań, żeby ocalić swój lud.

– Surowa kara za grzech jednego człowieka – skomentowałam cicho.

– Nie. – Jewuna uśmiechnęła się smutno. – Grzech został podzielony pomiędzy nas wszystkich, wszyscy bowiem ponosimy winę za zerwanie przymierza. Do dziś dnia kapłani z linii Aarona rodzą się niemi, pozbawieni języków. Są strażnikami bezużytecznego skarbu, który musimy skrywać przed oczami Adonai, Pana naszego, żeby nie przypomniał sobie i nie ukarał nas za naszą głupotę. Sam Chemosz nie miał ani syna, ani córki, i nie śmiemy nawet obwołać króla, tylko ściśle przestrzegamy starożytnych praw przechowywanych przez starszyznę, a kobiety... My wciąż płacimy za wyrzeczenie się władzy. Widzisz więc, że szukasz mądrości na próżno.

Joscelin odetchnął ze świstem i zaczął tłumaczyć historię Imrielowi. Ja rozmyślałam, patrząc na muchy krążące nad garnkiem z miodem.

– Możliwe, pani Jewuno – powiedziałam wreszcie. – Choć przykro mi słyszeć, że kobiety Melehakimów nie podniosły końców zerwanego łańcucha, którym pozwoliły upaść. Ale zawsze warto jest

wiedzieć jak najwięcej, a te historie są dla mnie nowe. O tablicach Mojszego i arce słyszałam. Czym jest ta, o której mówiłaś, arka pękniętych tablic?

– Jest napisane... wiesz, że takie wydarzenia zostały spisane? – zapytała.

Pokiwałam głową, myśląc o przeczytanych tomach, o godzinach spędzonych u stóp rabiego i poznawaniu wiedzy Habiru. Skąd mogła wiedzieć? Większość tekstów powstała długo po tym, jak Melek al-Hakim uciekł z ziemi swego ojca.

– Jest napisane, że były dwa komplety tablic. Pierwszy, rozbity, został zapisany ręką samego Adonai – powiedziała cicho Jewuna. – Drugi wyciął Mojsze i te tablice zawierały prawo. Ale pierwsze... ach! Te zawierały sylaby Imienia Boga.

Włoski podniosły mi się na karku.

– I są tutaj.

– Tak powiadają. – Rozpostarła ręce. – Sama ich nie widziałam. Tak brzmi historia, o którą prosiłaś, i taka jest suma naszej bezużytecznej mądrości. Może pewnego dnia Adonai przyśle nam znak, abyśmy odprawili pokutę. Przez tysiąc lat tego nie uczynił.

Rozległo się pukanie do drzwi; przypuszczam, że wszyscy drgnęliśmy. Służąca poprosiła swoją panią. Jewuna wróciła z poważną miną.

– Starszyzna chce was zobaczyć.

SIEDEMDZIESIĄT TRZY

Nasze spotkanie z sanhedrynem było długie i bezowocne.

Dobrze opowiedziałam – przynajmniej tak sądziłam – historię Hiacynta i Pana Cieśniny, syna Rahaba z nieprawego łoża, i niesłabnącej klątwy Boga Jedynego, i dlaczego szukam Świętego Imienia. Niektóre kwestie nie potrzebowały wyjaśnienia. Znali Rahaba i słyszeli o księdze Razjela, z której brała się jego moc. Co do reszty...

Przez ponad tysiąc lat Sabejczycy żyli w izolacji daleko na południe od Dzebe–Barkal. O moim kraju, o cieśninie dzielącej Terre d’Ange i Albę nic nie wiedzieli i nie miało to dla nich znaczenia. Nie wiedzieli o Błogosławionym Elui, a jego poczęcie...

– Chcesz powiedzieć – zaczął ze ściągniętymi brwiami jeden ze starszych – że ten człowiek, ten Jezua ben Josef został uznany za Masziacha i syna Adonai?

– Tak, panie – odparłam, składając swój najlepszy ukłon. – Tak powiadają Jeszuici, to znaczy potomkowie innego z jedenastu plemion. Obecnie postanowili wypełnić wolę Jezui i stworzyć nową ojczyzn daleko na północ od mojego domu. Wielu tak mówi, choć nie wszyscy wierzą.

– Adonai! – Wyszeptał to słowo jak sakrament. – To prawda?

– Ukrywamy się, Bilgahu – przypomniał mu inny starszy. – Ukrywamy się, odkąd Adonai zaczął żałować darów, które dał swojemu ludowi. Uznał nas za zaginionych. Kto wie, może zesłał Masziacha, żeby poprowadził tych, którzy pozostali?

– Nie wolno ci tak mówić! – Starszy Bilgah ścisnął skronie rękami. – Wolę wierzyć, że Adonai odwrócił się od nas w gniewie niż o nas zapomniał!

I tak dalej, i tak dalej. Hiacynt i jego niedola niewiele ich obchodziły, przyniesione przez nas wieści sprzed tysiąca lat przyćmiły wszystko inne. Przyznam, że byłam wstrząśnięta. Czy to możliwe, że narodziny samego Jezui były skutkiem głupoty Melehakimów, którzy nie zdołali dotrzymać przymierza? Nie wiem. Nie wiedziałam wtedy i nie wiem do dzisiaj. Polityka bogów wykracza poza ludzką zdolność pojmowania. W końcu mogłam tylko trzymać się tego, co wiedziałam: jestem D'Angelina i potomkiem Błogosławionego Elui. I nieważne, jak opowiadana jest historia ani kto ją opowiada, jego poczęcie było nieprzewidziane, bo przyczyniła się do niego śmiertelna miłość – miłość Jezui ben Josefa i Magdaleny. A nad miłością, jak wierzę, żaden bóg nie posiada władzy.

Kochaj jak wola twoja.

Zaczekałam więc, aż starsi skończą dysputy, wtedy znów oboje z Joscelinem ukłoniliśmy się nisko.

– Panowie – zaczęłam cicho – słyszeliście moją opowieść i moją prośbę. Znacie jedno i drugie. Mój przyjaciel, który się poświęcił, starzeje się, ale nie umrze. Jeszcze jest młody, o ile w ogóle człowiek może dźwigać ciężar takiej mocy i zachować młodość. Pewnego dnia młodość się skończy i pewnego dnia owładnie nim szaleństwo. Trzymacie w rękach klucz do jego wolności. Czy zechcecie mi go użyczyć?

Zapadła długa cisza. Przerwał ją jeden ze starszych.

– To nie takie proste, pani. Jeśli nawet mówisz prawdę... jeśli, powiadam... nie mogę spełnić twojej prośby. Adonai zapomniał o nas, kierując uwagę na swojego Syna. Co się z nami stanie, jeśli sobie przypomni? – Pokręcił głową. – Nie, lepiej, żebyśmy pozostali w zapomnieniu.

– Jak długo? – zapytałam. – Przez następne tysiąc lat? Proszę...

Zadzierzgnijcie przymierze na nowo, jeśli nie w imię mądrości, to współczucia.

– To nie takie proste – powtórzył inny starszy. Uśmiechnął się do mnie z życzliwością i smutkiem. – Widzisz, pani, kiedy Adonai, którego ty zwiesz Bogiem Jedynym, odwrócił od nas swoje oblicze, straciliśmy to, co było dla nas świętością. Nie ma wśród nas nikogo obdarzonego łaską, by mógł przyjąć w siebie Imię, którego szukasz, i nie ma nikogo obdarzonego językiem, aby je wypowiedzieć. Jak długo, pytasz, trwa gniew Adonai? Na to pytanie możemy odpowiedzieć. Trwa wiecznie i tysiąc lat to dopiero początek.

Wspomniałam oświetloną przez księżyc taflę Jeziora Łez, historię Szoanetę, historię Jewuny. Wspomniałam także swój sen i błaganie Hiacynta przemieszane z wrzaskami Imriela.

– Mimo wszystko – zaczęłam – chciałabym zobaczyć tę arkę pękniętych tablic i przekonać się osobiście.

Starsi Saby przeprowadzili głosowanie. I mimo, że dobrze opowiedziałam historię, pomimo tego, co wycierpiałam – co wszyscy wycierpieliśmy – nie wyrazili zgody. Nie z radością, nie wszyscy, bo kilku miało współczucie w oczach, ale taka była ich decyzja.

– Nie wiemy, czy twoja historia jest prawdziwa, czy nie – powiedział Abiram, najstarszy ze starszych. – Możliwe, że jest, musimy więc ją przedyskutować. Być może w przyniesionych przez was wieściach tkwi znak, lecz osądzenie tego wymaga długich badań i modłów. Niestety, jedno w tym wszystkim jest pewne. Bóg, któremu służysz, jak powiadasz, ten poczęty na ziemi Elua, nigdy nie został namaszczony przez Adonai. Nie... – pokręcił głową – przykro mi. Nie możemy ci pozwolić na zbliżenie się do najświętszego miejsca. Odrzucilibyśmy taką prośbę każdego ze swoich. Wolno to robić tylko kapłanom z linii Aarona. Spełnienie twojej prośby byłoby większym świętokradztwem niż zerwanie przymierza i zakończyłoby się twoją śmiercią.

– Niech tak będzie – mruknęłam, pokonana. – Dziękuję za

wysłuchanie.

Byłam zła, gdy wróciliśmy do domu Jewuny. Nie mogłam na to nic poradzić.

– Tego się spodziewałaś – powiedział Joscelin. – Niczego więcej, niczego mniej. Często cię ostrzegano, Fedro. Cóż, wynik był przesądzony. Melehakimowie odłożyli mądrość na bok, a wraz z nią współczucie. Poza tym być może mają rację i usechłby ci język, o ile nie zostałabyś porażona... – Jego głos się wyciszył, gdy spojrzał na dom Jewuny. – Na Eluę! Czy ona wyprawia przyjęcie?

W oknach poruszały się sylwetki kobiet w szalach o stonowanych kolorach. W domu ujrzelśmy ich tuzin, krzepkie sabejskie matrony, już niezdolne do rodzenia dzieci, zajęte wynoszeniem różnych naczyń na skromny dziedziniec za domem.

– Wróciliście! – Jewuna klasnęła w ręce, gdy nas spostrzegła. Smutek, który wcześniej gościł na jej twarzy, ustąpił miejsca powściągliwemu podnieceniu. – To dobrze, jesteście prawie gotowe.

– Wybacz nam, pani – powiedziałam grzecznie. – Nie chcieliśmy przeszkadzać w waszym zgromadzeniu. Udamy się na górę, nie wchodząc wam w drogę.

– Nie, dziecko, to wykluczone. Przyszły, żeby was zobaczyć.

Wzięła mnie pod rękę i poprowadziła przez dom, przedstawiając kolejno Raniecie, Dinie, Semirze, Jafficie i wszystkim pozostałym. Oszołomiona, powierzałam ich imiona pamięci, wykorzystując starą sztuczkę, której nauczył mnie Delaunay. Kobiety tłoczyły się, mruczając uprzejme słowa powitania, z ciekawością dotykając moich włosów i skóry, pokrzykując ze zdumienia na widok Joscelina. Byliśmy nie tylko pierwszymi d'Angelinami, jakich widziały, ale pierwszymi przybyszami z północy i jako tacy stanowiliśmy wielką atrakcję.

– Czekajcie – powiedziała do nich Jewuna – aż zobaczycie chłopca! Klejnot w miniaturze!

– Gdzie on jest? – Narosła we mnie trwoga. – Miał zostać w naszym pokoju.

– Ha! – Jewuna klasnęła językiem. – Słuchajcie, jak młoda matka niepokoi się o swoje pisklę. Czy po to zabrałaś go tak daleko, żeby teraz się martwić, iż krzywda spotka go w domu Jewuny? Tak, dziecko, jest na górze, niecierpliwie czekając na wasz powrót. – Zrobiła domyślną minę. – Co nie znaczy, że przynosicie dobre wieści. Powiedz mi, czy starsi przychylili się do twojej prośby?

– Nie. – Kobiety przycichły, czekając i patrząc mądrymi oczami osadzonymi w zniszczonych przez czas twarzach. Zaczęłam rozumieć, że tworzyły coś w rodzaju rady starszych. – Pani Jewuno, co się tutaj dzieje?

– Powiedziałam, że przez tysiąc lat nie było znaku, że nadszedł czas odprawić pokutę. – Jewuna uśmiechnęła się łagodnie, prosta wdowa dźwigająca część tysiącletniego smutku swojego ludu. – Myliłam się. Jesteś ty. Zebrałyśmy się, dziecko, żeby to omówić.

Tak więc opowiedziałam historię drugi raz tego dnia. Tym razem było inaczej. Dziedziniec w porównaniu z salą audiencyjną był przytulny, z treliazami obrośniętymi soczystą zielenią, która ocieniała kamienne ławy z wygodnymi poduszkami. Podano słodczyce na miodzie, melony i kulki sezamowe, a do tego mocny napój zwany *kawah*, gorący i gorzki. Otrzymywano go z ziarenek prażonych nad koszem z węglami i mielonych na miazki proszek, który następnie mieszano z wrzącą wodą i podawano z wielką ceremonią. Jewuna już powtórzyła kobietom to, co powiedziałam wcześniej o Terre d’Ange, o Masziachu i narodzinach Błogosławionego Elui.

Co o tym myślały, nie umiem powiedzieć. Nowiny niczym kamień spadły w głąbie ich świętych dziejów i nie mam pojęcia, jakie mogły spowodować zmiany. Wiem jedno: chciały usłyszeć więcej.

Opowiedziałam więc ponownie historię Hiacynta, tym razem zaczynając od cygańskiego chłopca, którego poznałam na targu, od mojego Księcia Podróżnych z wesołymi oczami i ciemnymi kędziorami, który nie wzgardził przyjaźnią niechcianej wychowawicy Dworu Nocy. Wzdychały, słuchając o jego białym uśmiechu,

uśmiechały się, słuchając o jego wyczynach, i z aprobatą kiwały głowami, gdy opowiedziałam jak za ciężko zarobione pieniądze kupił matce dom, w którym dotąd wynajmowała izbę.

Co zaś się tyczy samych Cyganów i brzemiennej w skutki głupoty, która wyprawiła ich w *Lungo Drom*, Długą Drogę – to rozumiały lepiej niż wszystko inne.

Imriel tymczasem krążył wśród kobiet Tisaaru, podając słodycze i usługując zręcznie, jakbym sama go tego nauczyła. W sanktuarium Elui nie zaniedbują nauki wdzięku. Kobiety wzdychały nad jego jasną cerą i ciemnymi oczami, widząc w granatowoczarnych włosach echo czupryny małego Hiacynta, którego dla nich wyczarowałam słowami.

O Skaldii powiedziałam niewiele, tylko tyle, że stanowiła zagrożenie dla naszego kraju. Obszerniej opisałam wyprawę po pomoc do narzeczonego znękaney młodej królowej, wypędzonego księcia Cruithnów, którego pokochała. To też rozumiały, i klątwę Pana Cieśniny, cierpiącego za urażoną dumę swego nieśmiertelnego ojca.

– Pycha – mruknęła Jewuna – pycha i gniew. Jakżeby inaczej?

Opowiedziałam o pierwszej ofierze Hiacynta, gdy zrezygnował z życia wśród Cyganów i z należnej mu roli dziedzica cygańskiego *kralis*, żeby powiedzieć mi *dromonde* – choć nie wymieniłam imienia Melisandy obawiając się, że Imriel usłyszy i zrozumie. Kobiety Tisaaru rozumiały, że zrobił to na cześć swojej matki, której dziedzictwa nie chciał się wyrzec.

Większość z nich była matkami – matkami, babkami, żonami i wdowami. Widziałam łzy w ich oczach, gdy moja opowieść – historia Hiacynta – zbliżała się do brzegów skalistej wyspy. Mnie też wzruszenie ścisnęło za gardło. Musiałam przełknąć ślinę, żeby odzyskać głos.

„Nie wiesz, że *dromonde* pozwala spoglądać nie tylko do przodu, ale również wstecz?”

Powiedziałam im, jak Księżę Podróżnych użył swego daru, żeby zająć moje miejsce, składając siebie w ofierze, i co go potem spotkało.

Wcześniej myślałam, że przed sanhedrynem dobrze opowiedziałam historię. Myliłam się.

Nie było suchego oka na dziedzińcu, łącznie z moimi. Jeśli zachowałam panowanie nad głosem, to tylko dzięki łzom, które bez przeszkód spływały mi po policzkach. To ja powinnam zostać na wyspie. Ja, nikt inny.

– Ojej! – Jewuna wytrząsnęła z rękawa haftowaną chusteczkę i hałaśliwie wydmuchnęła nos. – Ach, dziecko, taka opowieść! I wierzysz – wierzysz, prawda? – że Święte Imię może przełamać tę klątwę?

– Tak, pani. – Pochyliłam czoło, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na poduszce. – Przez ponad dziesięć lat zgłębiałam tę sprawę. Wierzę, że to prawda. Imię Boga może zmusić Rahaba, żeby wyrzekł się zemsty za zranioną dumę. Nie znalazłam innego sposobu.

– Twoi bogowie są więc bezsilni? – zapytała bystra Ranita. – Dlaczego zatem nie zarzucisz swoich barbarzyńskich wierzeń i z czystym sercem nie zwrócisz się do Pana Zastępów? Zamiast tego przychodzisz jak żebraczka, która nie śmie podejść do drzwi i błaga o jałmużnę przy bramie.

– Nawet Adonai wykorzystuje śmiertelne ręce, żeby wykonały jego nakazy, pani – odparłam.

– Twierdzisz, że przysłali cię twoi bogowie?

Rozłożyłam ręce.

– Nie mam takiego prawa, nie tutaj. Ale jestem wybranką Kusziela, który kiedyś był Karzącą Ręką Boga. To kwestia sprawiedliwości, a sprawiedliwość jest jego domeną. Pani, jestem D'Angelina, mam pochodzenie wypisane we krwi i na ciele. Podczas gdy Adonai rozpaczał nad utratą syna, Błogosławiony Elua wędrował bez przeszkód, wspomagany tylko przez swoich Towarzyszy. Jesteśmy jego ludem, ich ludem, zrodzonym z ich nasienia. Kiedy Adonai wreszcie przypomniał sobie o Elui, zawiązał nowe przymierze z Matką Ziemią, i to przypieczętowało nasze życie. Nie mogę być inna.

Odezwała się inna kobieta, Semira z bystryimi oczami i pornarszczoną, jakby ptasią twarzą.

– Twierdzisz więc, że ten Elua jest Masziachem?

– Masziachem? – Pytanie mnie zaskoczyło. – Nie, matko. Żaden D’Angelin nigdy czegoś takiego nie mówił. Elua jest... Eluą.

– Ach, ale wy jesteście barbarzyńcami. Skąd możecie wiedzieć? – odruchowo skubała dolną wargę. – Są tacy, którzy głosili, że Melek-Zadok był Masziachem, a przymierze mądrości stanowiło pierwszy krok ku wielkiemu uzdrowieniu ziemi, kiedy to skończą się wszystkie wojny i mądrość zamieszka w sercu każdego człowieka.

– Są tacy – rozległ się inny głos, łagodny i nieśmiały – którzy mówią, że Adonai połączy się ze swoją wieczną oblubienicą, kiedy przyjdzie Masziach, i że związek Szalomona i Makedy był zwiastunem tego wydarzenia.

Zapadła cisza i wyczułam, że słucham tajemnic kobiet, niezapisanych w kronikach Habiru i Jeszuitów.

– To się nie stało – powiedziała Semira stanowczo. – Tyle wiemy. Może wina leży w nas samych, gdyż pozwoliłyśmy zerwać przymierze powierzone naszej pieczy. Może był to fałszywy znak, bo przecież nawet w czasach Meleka-Zadoka trwała wojna. Ten Jezua ben Josef, o którym mówisz... nie sądzę, żeby pokój nastął za jego panowania.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Jeszuici zjednoczyli się w jego imię, a Habiru przestali się kłócić między sobą, ale pokój... nie. Znowu zaczęli się dzielić i dzieci Yisraela pragną wyciąć nowe królestwo mieczami. – Joscelin poruszył się, słysząc moje słowa, i wymieniliśmy spojrzenia. Odegrał w tym pewną rolę, choć wiedziało i miało o tym wiedzieć niewielu ludzi.

– Kim ty jesteś? – Marszcząc brwi, Ranita powtórzyła pytanie, jakim powitał nas Hanoch ben Hadad. – Bez przepowiedni, bez zapowiedzi – to nie przystoi! Elua! Kimże jest ten Elua, aby zrodzić się z krwi i łez? Kim są ci aniołowie, ci Towarzysze, by sprzeciwiać się woli Adonai i odbierać cześć równą boskiej? To zło, powiadam, plugawe i

nikczemne. Jak można mówić, że jest inaczej?

– Pani. – Joscelin złożył kasjelicki ukłon. – Ja powiem, jeśli pozwolisz. Służę Kasjelowi, który sam spośród Towarzyszy podążał za Eluą z czystości serca. – Umilkł na chwilę. – Kasjel szukał ucieleśnienia miłości i współczucia, których to cnót Adonai wyrzekł się w swoim gniewie. Wierzę, że taka jest prawda.

– To niebezpieczna herezja. – Ranicie drżał głos. – Naprawdę niebezpieczna!

– Możliwe – powiedziałam. – Ale czy możecie być tego pewni wy, którzy od tak dawna żyjecie w odosobnieniu? Nie proszę was o samo Święte Imię, tylko o możliwość podejścia do ołtarza. Jeśli zginę albo oniemieję za swoje zuchwalstwo, moja strata. Muszę jednak prosić i próbować.

– A my zostaniemy odsłonięci przed okiem Adonai – mruknęła Jewuna.

– Możliwe – odparłam pewnym głosem. – Pani Ranita oskarża nas o herezję. Czy to przystoi, żeby dzieci Yisraela ukrywały swoje skarby za rozpaczą Izydy? Ja nie mogę na to odpowiedzieć, bo my, D'Angelinowie, wszystkich bogów uważamy za godnych szacunku; dzieci Elui są najmłodszymi zrodzonymi na ziemi. Tę sprawę, dostojne panie, musi rozstrzygnąć mądrość, nie mądrość sanhedrynu, ale mądrość linii Makedy, na którą zdał się sam Szalomon. Wy ją posiadacie. Czy taki czyn może służyć niskim celom? – Pokręciłam głową. – Nie wierzę.

– „Mądrość bowiem jest ruchliwsza od wszelkiego ruchu i przez wszystko przechodzi, i przenika dzięki swej czystości” – wyszeptała Semira, cytując z *Chokmah al-Szalomon*. – „Jest bowiem tchnieniem mocy Bożej i przezczystym wpływem chwały Wszechmocnego, dlatego nic skażonego do niej nie przylgnie”.

– „Jest odblaskiem wieczystej światłości” – podjęłam – „zwierciadłem bez skazy działania Boga, obrazem jego dobroci”. Tak zostałam nauczona – powiedziałam, myśląc o Eleazarze ben Enochu,

który nauczył mnie tego ustępu, i o moim panu Delaunayu, który powiedział mi, że zawsze warto wiedzieć jak najwięcej. – I w to wierzę.

Zapadła cisza, dłuższa niż wcześniej. Jewuna i inne kobiety patrzyły na Semirę, najstarszą. Matrona przygryzała dolną wargę, głęboko pogrążona w myślach, i patrzyła na mnie bystrym wzrokiem.

– To sprawa wielkiej wagi. Trzeba ją przedyskutować, nie tylko w naszym gronie. Niech oprócz starych wypowiedzą się także młode, bo mądrość występuje pod wieloma postaciami.

– Oczywiście, pani. – Ukłoniłam się.

– Trzy dni. – Z satysfakcją pokiwała głową. – Za trzy dni odpowiemy na twoją prośbę, po święcie nowego księżyca.

SIEDEMDZIESIĄT CZTERY

Przez trzy dni czekaliśmy w Tisaarze.

Wybraliśmy się za mury miasta, by naradzić się z Tifarim Arnu i pozostałymi. Dzebenowie byli zaniepokojeni wątpliwym przyjęciem i stwierdzili, że zwyczajni mieszkańcy Saby są przychylniej usposobieni niż Hanoch ben Hadad i strażnicy. Za parę kawałków stali – zniszczony grot włóczni, pękniętą sprzączkę – kupili mnóstwo zapasów. I, jak przypuszczam, także informacje dla *rasa* Lijasu, dotyczące możliwości nawiązania przez Sabę kontaktów z Dzebe-Barkal.

– Może Kaneka mnie zechce, jeśli zostanę dyplomatą – powiedział Tifari. W jego głosie pobrzmiwała nutka triumfu.

– Możliwe – odparłam, wierząc, że tak się stanie.

Nie miałam odwagi mu mówić, że jeśli rada kobiet odrzuci naszą prośbę, zaryzykujemy popełnienie największego świętokradztwa i narazimy się na wrogość całej Saby, żeby zdobyć Imię Boga.

Tak bowiem postanowiłam razem z Joscelinem. Przebyliśmy zbyt długą drogę, żeby odejść bez podjęcia próby. Poza tym wszystko, co uzdrowiło się w naszym związku... wszystko zostanie stracone, jeśli zostawimy Hiacynta na łasce losu.

Lepiej spróbować i dołożyć wszelkich starań, niezależnie od kosztów.

Chciałam, żeby w tym czasie nie było z nami Imriela i jednocześnie cieszyłam się z jego obecności, bo podbił serca Sabejek. On sam dobrze to znosił. Nie sądzę, żeby ktokolwiek zauważył jego

wewnętrzne drzenie, gdy nieznamąca ręka głaskała go po policzku. Ja wiedziałam i było mi przykro. Nigdy się nie dowiem, co czuł mój pan Delaunay, gdy posyłał mnie do obcych ludzi.

– Nie zmuszaj się, Imri – powiedziałam. – To nie jest konieczne.

– Nie. – Ściągnął brwi. Ysandra miewała podobny wyraz twarzy, gdy sprzeczała się z Amauryem Trente. – Nie mam nic przeciwko. Mają dobre intencje, więc jest mi łatwiej. Nawet ja potrafię to poznać, Fedro.

Miał rację. Musnęłam jego czoło ustami.

– Jesteś bardzo odważny, Imrielu de la Courcel. Powiedz mi, gdy nie będziesz mógł dłużej tego znosić.

– Nie nazywaj mnie tak! – Imriel odsunął się ode mnie, na jego czole pojawił się gniewny mars.

– Tak się nazywasz – przypomniałam mu łagodnie.

Odwrócił głowę.

– Myślę, że jestem waszym synem, twoim i Joscelina. Nie wyprowadziliśmy nikogo z błędu, bo to było znacznie łatwiejsze niż tłumaczenie prawdy i zapewniało nam większą życzliwość. Teraz lepiej rozumiałam, dlaczego brat Selbert utrzymywał, że to wygodne kłamstwo nie jest sprzeczne z życzeniami Elui. – W istocie, lecz to nie zmienia twojego nazwiska, Imri, ani tego, kim jesteś.

– Chciałbym – szepnął – chciałbym być twoim synem, nie jej.

– W końcu to, kim jesteś, jest sprawą twoją i Błogosławionego Elui. a on z dumą uzna cię za swoje dziecko za to wszystko, co zrobiłeś.

Wysłuchał mnie z głodem w ciemnoniebieskich oczach, pragnąc uwierzyć w jakiś dowód własnej dobroci. Przestraszyłam się, że taką wielką wagę przywiązuje do moich słów. Co ja wiedziałam? Nadal byłam niechcianym bękartem dziwki, starającym się zrozumieć świat i robić to co trzeba. Jakże trudna musi być rola rodzica. Staralam się i modliłam, żeby starania wystarczyły.

Trzeciego dnia wypadło święto nowego księżyca. Nie było mi znane, gdyż Jeszuici już go nie obchodzą. W Sabie wciąż kultywuje się

wiele dawnych tradycji, które popadły w zapomnienie po narodzinach Jezui ben Josefa. Przez cały dzień Tisaar pościł, i my również na znak szacunku. W ciągu dwóch minionych dni odbyło się wiele ukradkowych spotkań. Co z nich wynikło, nie wiedziałam.

Gdy dolny skraj tarczy słońca zetknął się z horyzontem, ryknęły baranie rogi, wzywając Sabejczyków do modlitwy. Sabejskie świątynie są okrągłymi budowlami, z kwadratowym pomieszczeniem w środku – najświętszym miejscem – dwoma koncentrycznymi kręgami na zewnątrz i wewnątrz na sam ołtarz. Choć nie wpuszczono nas do właściwej świątyni, mogliśmy wejść do zewnętrznego kręgu, który otacza dziedziniec ofiarny.

Do przybytku ciągnęła długa procesja, wijąc się ulicami Tisaaru. Nad głowami kapłanów trzymano wymyślne parasole, które rzucały długie cienie w gasnącym świetle słońca. Żałobny dźwięk rogów niósł się ponad miastem, znajdując odpowiedź w rytmicznym pulsowaniu dwuręcznych bębnów z kozłej skóry i małych bębenków niesionych przez kobiety. Na przodzie prowadzono czerwoną jałówkę, której ciche muczenie stapiało się z muzyką kultu.

– Zdejmijcie buty – przykazała nam Jewuna w świątyni – i zostańcie tutaj. Dalej nie wolno wchodzić.

Nie widzieliśmy większej części ceremonii, widok bowiem zasłaniało morze ludzi odzianych w stroje Habiru, z szalami w odcieniach błękitu i długimi frędzlami. Słyszałam modlitwy i muczenie czerwonej krowy; słyszałam, jak nagle ucichła, a po zapachu krwi i mięsa poznałam, że została złożona w ofierze. Imriel miał nietęgą minę. Potem nastąpiły modły w formie pieśni i bosa stopy zadudniły w tańcu. Eleazar miał rację – tutaj przetrwały tradycje zapomniane przez Jeszuitów.

Niebo było fioletowe, gdy wierni wylegli ze świątyni, i nasza trójka rozproszyła się w poszukiwaniu swoich butów. Na południowym zachodzie wisiał nowy księżyc, smukły sierp ledwo widoczny na ciemniejącym niebie. Sabejczycy podnieśli ręce, sławiąc Adonai za

powrót księżycy.

A ja myślałam... Eluo, dopomóż, myślałam o Aszerze z Morza i jej gwiaździstej koronie. O Aszerze, która kiedyś ocaliła mi życie, o Aszerze pod której płaszczem chroniła się Melisanda Szachrizaj. I modliłam się o zmięczeniu do bogini Aszery, do Błogosławionego Elui i jego Towarzyszy, do Izydy, która zszyla rozczłonkowane ciało umiłowanego Ozyrysa, i do samego Adonai, Boga Jedynego Habiru.

Nie wiem, które z nich odpowiedziało.

Wiem tylko, że kiedy wróciliśmy do domu wdowy Jewuny, czekała na nas rada kobiet, a także wielka uczta na zakończenie postu i na cześć nowego księżycy. Tym razem zebrały się młode i starsze, a najmłodsza miała ledwie sześć tygodni – niemowlę w ramionach Ardat, córki Jewuny. Ale to Semira, najstarsza pośród nich, miała oznajmić nam decyzję.

– Zostało ustalone – powiedziała na oświetlonym przez lampy dziedzińcu, stojąc z godnością i otulając szalem zgarbione ramiona. – Zostało ustalone, że wasza obecność wśród nas jest znakiem. I że pokora jest lepszą częścią mądrości. Wasza sprawa jest słuszna. To nie przystoi, żeby śmiertelny człowiek – ten przyjaciel, którego nazywasz Hiacyntem – cierpiał za grzech Rahaba. Sprawę należy przedstawić samemu Adonai. Pomożemy wam to uczynić.

Zakręciło mi się w głowie. Osunęłam się na kolana na dziedzińcu, chwyciłam rękę Semiry i ucałowałam.

– Dziękuję, pani – powiedziałam w habiru, ledwo mając odwagę w to wierzyć. – Dziękuję!

– Nie tak prędko – powiedziała cierpko, odsuwając rękę. – Nie usłyszałaś jak.

„Jak” okazało się skomplikowane.

Długie godziny przesiedzieliśmy w kuchni wdowy, mozoląc się nad mapami nocnego nieba; okazało się, że tylko w ten sposób możemy odnaleźć Kaporet, legendarną wyspę na Jeziorze Łez, gdzie była

ukryta arka pękniętych tablic.

– Widzisz, tutaj – powiedziała Morit, której poruczono naszą naukę, wskazała zwój. – Nemuel odbił od brzegu w miejscu, gdzie powstał Tisaar. – Była młodą kobietą, poważnie traktującą swoje obowiązki. Pochodziła z rodziny, która od niepamiętnych czasów uprawiała sztukę *Mazzalah*, nanosząc na mapę nocne niebo i według niego mierząc czas. – A tutaj jest napisane: „Czerwona planeta wojny wisiała nisko nad horyzontem w dziesiątym stopniu Lwa Judy, i w tym kierunku wyruszyłem, z Tronem Szalomona za lewym ramienia jak omen. Przez pięć godzin wiosłowaliśmy i zanim wstał świt, dobiliśmy do wyspy, którą nazwałem Kaporet, to znaczy miejsce obecności Boga *Lutakh Shabab*, oby Adonai zmiłował się nad nami wszystkimi. I tu zamieszkać do końca moich dni”. – Morit uniosła głowę. – Nawiązuje do pękniętych tablic i mówi, gdzie została zbudowana świątynia, w której są przechowywane. Położenie Kaporetu znane jest tylko linii Aarona i sanhedrynowi starszych, ale kopia tego dokumentu została w dalekiej przeszłości powierzona mojej antenatce dla prowadzenia *Mazzalah*.

– W takim razie musimy podążać za czerwoną gwiazdą – powiedział Joscelin i dodał cierpko: – I wiosłować przez pięć godzin, jak zrozumiałem.

– Nie. – Morit uśmiechnęła się z życzliwą wyższością. – Tylko odległość pozostaje stała. Nemuel podróżował pod koniec pory deszczowej, mój panie D’Angelinie, a nadto gwiazdy zmieniły pozycję od nocy sprzed wieluset lat. Przez dwa dni studiowałam pisma. To... – wskazała – jest mapa nocnego nieba, pod którym płynął Nemuel. A tutaj jest niebo, jakie widzimy dzisiejszej nocy.

Przyjrzałam się kręgom na pergaminie, gwiazdom i konstelacjom wyrysowanym wprawna ręką.

– Zupełnie inne.

– Tak – przyznała krótko. – Zupełnie inne.

Przez resztę nocy, niemal do białego rana, Morit uczyła nas czytać

mapy i wytyczała kurs zbieżny z tym, jaki pokonał statek Nemuela. Semira miała rację. To nie było łatwe.

– Orzeł Dana jest w ascendencie – zauważyła Morit. – Patrzcie tutaj, ta jasna gwiazda oznacza jego przejście. Wyruszyście, kiedy będzie w dziesiątym stopniu, i kierując się na najmniejszą szprychę Koła, znajdzie się prawie na kursie. Konstelacja Laski Mojszego ma być za lewym ramieniem, w miejscu tronu Szalomona. Widzicie? – Prześledziła palcem kształt na pergaminie. – Tu Mojsze trzyma za ogon węża, w którego przemieniła się jego laska, gdy rzucił ją na ziemię.

– Ta–ak – wyjąkałam z powątpiewaniem.

– Zobaczycie – powiedziała Morit z uśmiechem. – Pokażę wam.

Wyszliśmy na dziedziniec i pokazała nam miriady gwiazd, nazywając konstelacje i obrysowując palcem ogromne figury na tle czerni, forny oddane w miniaturze na jej pergaminach. Szkoliła nas bez końca, wymagająca nauczycielka, aż nauczyliśmy się je nazywać i wymieniać z pamięci

– Teraz patrzcie – powiedziała i zabrała nas na piętro domu Jewuny. Stanęliśmy przy oknie i patrzyliśmy w stronę horyzontu, a Morit pokazywała, jak stopień po stopniu obliczać odległość od horyzontu do apeksu.

– Gdy Orzeł Dana stanie tutaj – powiedziałam, pokazując kąt wyciągniętą ręką – musimy wyruszyć.

– Tak – powiedziała za moimi plecami. – Dałabym ci astrolabium, lecz nie śmiem. Zostało postanowione: tylko mądrość, nic więcej. Niech Adonai i mądrość rozstrzygną. Jeśli ma tak być, znajdziesz Kaporet, a wtedy Adonai ci pomoże.

– To wystarczy. – Opuściłam rękę, zapisując kąt w pamięci. Nie jest to trudne dla kogoś, kto był sługą Naamy. W słynnej *Trois Mille Joies* są pozycje, które trzeba zapamiętać i wykonywać pod odpowiednim kątem, a ja miałam klientów, którzy wymagali takich rzeczy. – Jesteśmy ci wdzięczni, pani Morit.

Jej oczy rozbłysły w cieniach, ciemne i świetliste, przywodząc mi na myśl córki Necthany, które dawno temu poznałam na brzegach Alby. Morit. Moireada – tak brzmiało imię najmłodszej, która nas powitała, Moireada, siostra Sibeal, którą Hiacynt mógłby pokochać, gdyby żyła. Tak, nie brakuje znaków, trzeba tylko chcieć i umieć je zobaczyć.

– Nie robimy tego dla wdzięczności, D’Angelino.

– Mimo wszystko jestem wdzięczna.

Morit ukłoniła się lekko.

– Jutro w nocy, jeśli niebo będzie bezchmurne, możecie ruszać. Nic więcej nie mogę powiedzieć. Oby Adonai zapewnił wam bezpieczną podróż i zachował wasze języki, abyście mogli opowiedzieć o niej po powrocie. Będziemy się modlić, wszystkie, żeby ta decyzja nie powiększyła brzemienia naszej pradawnej głupoty.

To rzekłszy, zostawiła nas samych.

Padłam na łóżko, wyczerpana, widząc pod powiekami gwiazdy i rozległe przestrzenie nieba. Spałam niespokojnie i śniłam, że prowadzę łódź przez ocean nocy. Po przebudzeniu pamiętałam tylko fragmenty, strzępy rozgwieżdżonej ciemności i bezkresnej podróży.

Jeszcze jeden dzień i wyruszymy.

SIEDEMDZIESIĄT PIĘĆ

Rankiem zebraliśmy się przy stole, żeby omówić nocne dokonania. Kolejna kobieta z Tisaaru złożyła wizytę wdowie Jewunie. W trakcie rozmowy wspomniała mimochodem, że łódź jej siostrzeńca, który służy w wojsku, przez nikogo niestrzeżona cumuje w południowo-wschodniej części zatoki, niemal w cieniu murów miasta.

Kilka razy odchrząknęła głośno, żebyśmy nie puścili jej uwagi mimo uszu.

– Dziękuję, pani – powiedziałam. – To ważny okrucuch mądrości.

Później wyszliśmy z miasta, żeby złożyć ostatnią wizytę w dżebeńskim obozie. Tym razem powiedziałam prawdę – całą prawdę – Tifariemu Amu i innym. Wysłuchali mnie uprzejmie.

– Co się stanie, jeśli zawiedziesz albo zostanieie pochwyceni w czasie próby? – zapytał Tifari.

– Nie wiem – odparłam szczerze. – Wiem tylko, że wy znajdziecie się w niebezpieczeństwie, jeśli będziecie tutaj. Nie wiem nawet, co się stanie, jeśli się nam powiecie. Jeśli wyruszyacie o zachodzie słońca, będziecie mieli dzień przewagi nad wszelkim pościgiem.

– A wasze konie? – Machnął ręką, wskazując zwierzęta. – A osły?

– Należą do was – odparł Joscelin w swoim kulawym dżebeńskim. – To najmniej, co możemy dla was zrobić.

Tifari zmarszczył czoło.

– Chcecie, żebyśmy was zostawili.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Nie chcemy, żeby spotkało was coś złego. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, pospieszymy za wami i spotkamy

się w dawnym obozowisku przy sadzawce. – Nkuku parsknął śmiechem, a ja lekko poczerwieniałam. – Zdołamy znaleźć to miejsce, a leży ono już na dżebeńskiej ziemi.

– Chcesz z nas zrobić tchórzy. – Bizan parsknął pogardliwie. – Uciekających w nocy!

– Królowa Zanadachete i *ras* Lijasu nie przysłali was tutaj, żebyście ginęli za d'Angelińską sprawę.

– Nie – odparł Tifari z zadumą. – Ale mamy swój honor. Co z chłopcem? Komu powierzycie jego bezpieczeństwo? – Popatrzył na Imriela; wszyscy popatrzyliśmy na Imriela.

– Co? – zapytał Imriel wysokim głosem. – O co chodzi?

– Imri. – Staralam się mówić tak, jak do osoby dorosłej. – Wybierz mądrze. Obiecałam, że cię nie zostawię, i dotrzymam obietnicy, Joscelin również. Ale nasza ścieżka jest najeżona niebezpieczeństwami. Wiele dobrego zrobiłeś w Tisaarze. Każdy dług, jaki byłeś winny Hiacyntowi i Cyganom, został spłacony. Jeśli pójdziesz z Tifarim Arnu, będziesz znacznie bezpieczniejszy. Dam mu listy, które *ras* Lijasu uhonoruje. A ja będę spokojniejsza.

– Wciąż nie dajesz mi wyboru! – W ciemnoniebieskich oczach wezbrały łzy. – Czy ty nigdy nie słuchasz?

Joscelin poruszył się, poprawiając zarękawia, patrząc na mnie bez słowa.

– Słucham – powiedziałam do Imriego. – Czy rozumiesz, skarbie, co jest stawką?

Pokiwał głową.

– Hiacynt był twoim przyjacielem. Twoim jedynym, prawdziwym przyjacielem.

– To nie takie proste... – zaczęłam i urwałam. To było proste. – Imrielu.

– Jego nie obchodziło, jaka byłaś – powiedział. – Kim byłaś. Tak powiedziałaś. Tak powiedziałaś kobietom. Kochaj jak wola twoja!

– Tak – przyznałam, patrząc na Joscelina.

– Imrielu, Fedra ma rację – powiedział cicho po d’Angelińsku. – Wybór należy do ciebie. Tylko wybierz mądrze, bo twoje życie jest dla nas cenne.

– Mądrze! – Imriel gwałtownie zaczerpnął tchu, czknął i zakaszłał.
– Wciąż mówicie i mówicie o mądrości! Patrzcie, co dla niej zaryzykowały Sabejki. Wiem, Fedro. Przyglądałem się ich twarzom, jak mnie nauczyłaś, i słuchałem, gdy nie rozmawiały. Położyły na szali przyszłość swojego ludu, całego swojego ludu! Co ty ryzykujesz?

Joscelin uniósł brwi.

– Dowodzi jak sofista.

– Dowodzi jak jego matka – powiedziałam z rezygnacją.

– Wcale nie! – prychnął Imriel, dygocząc się ze złości.

– A właśnie, że tak. Panie Tifari, wyglądana to, że chłopiec będzie nam towarzyszyć, i niech Błogosławiony Elua ma nas w opiece. Decyzja należy do ciebie. Poznamy ją po powrocie. Będę się modlić do Amona–Re o wasze bezpieczeństwo.

– Dziękuję, pani – odparł z ukłonem. – Zrobię to samo dla was. Jeśli nie zastaniecie nas tutaj... będę się modlił o ponowne spotkanie.

Pożegnaliśmy się z Dzebenami i wróciliśmy do Tisaaru, wędrując przez miasto w południowym słońcu. Malownicza przystań popadała w południowe odrętwienie, łodzie rybackie leżały na brzegu, poranny połów już został zważony. Stragany zamknięto i nie było widać kobiet. Kilkoro dzieci bawiło się na skraju wody, a mężczyźni pili *kawah* i piwo w ocienionych sklepach, obserwując nas z leniwą ciekawością, gdy przechodziliśmy. Znaleźliśmy łódź siostrzeńca, wykończoną na czerwono płaskodenkę z jedną parą wiosła. Była przywiązana do mizernej palmy, skarłalej od nadmiaru wody. Minęliśmy ją niedbałym krokiem i w cieniu murów miasta zawróciliśmy w wąskie uliczki, znajdując drogę do domu Jewuny.

Czekał na nas jej brat, kapitan Hanoch ben Hadad.

Wstał i ukłonił się, gdy weszliśmy do domu, i zmierzył nas czujnym

wzrokiem.

– Cieszę się, pani, że mieliście okazję zobaczyć święto nowego księżycyca. Czy wyjedziecie niedługo, skoro już się skończyło? Nim księżyc przybierze do połowy pełni, zaczną się deszcze.

– Tak ci zależy na naszym wyjeździe, kapitanie? – zapytałam z nutą goryczy w głosie. – Czeka nas długa podróż, tym bardziej mozolna, że nadzieja nie doda nam skrzydeł.

To go zaskoczyło.

– Przemawia przeze mnie troska, pani.

Westchnęłam.

– Nasi dżebeńscy przewodnicy naprawiają ekwipunek i uzupełniają zapasy na drogę. Wyjedziemy za dwa, trzy dni.

– To dobrze. – Hanoch dwa razy skinął głową, z roztargnieniem musując skórzaną rękojeść brązowego miecza. – Nie chciałyś zostać przyłapana przez deszcze.

– Tak słyszałam. – Rzuciłam okiem na Jewunę, która miała znękaną, zalęknioną minę. – Czy jest jakiś problem, panie kapitanie? Twoja siostra wydaje się rada z ceny, jaką uzgodniliśmy za wikt i dach nad głową

– Nie. – Jego brązowe policzki pociemniały z zakłopotania. – Nie, oczywiście. Jesteście tutaj obcy, lecz mile widziani, bo my nie zapominamy, my, którzy kiedyś byliśmy obcy w Menechecie. Czy... – Odchrząknął. – Czy nie potrzebujecie czegoś na drogę? Przeszedłem zaproponować pomoc.

– Nie, panie – odparłam. – Za dwa, trzy dni będziemy mieli wszystko, co trzeba.

– Przykro mi, że odbyliście podróż na próżno – dodał niezręcznie. – Naprawdę mi przykro.

– Dziękuję. Jesteśmy wdzięczni za twoje współczucie.

Po kolejnej krępującej chwili ciszy Hanoch ben Hadad rozmówił się z siostrą i odszedł. Jewuna westchnęła. Była zdenerwowana.

– Coś podejrzewa – powiedziała. – Wiem, że coś podejrzewa. Och,

modłę się, żeby nasz wybór okazał się mądry!

– Jak my wszyscy, pani – odparłam, patrząc na Imriela. – Jak my wszyscy.

Wieczorem wcześniej poszliśmy do łóżek i spaliśmy na zmianę. Miałam wrażenie, że ledwo przyłożyłam głowę do poduszki, a Joscelin mnie zbudził, kładąc palec na ustach i wskazując na nocne niebo za oknem.

Nadszedł czas.

Ubraliśmy się po cichu i wysmyknęliśmy ze śpiącego domu na milczące ulice. Gwiazdy płonęły jasno na czarnej przestrzeni nieba. Wspomniałam, jak Kaneka mówiła, że jeśli wrócimy z Imriem do Tyru, miesięczna zwłoka sprawi, że trafimy na porę deszczową. Miała rację, w co nigdy nie wątpiłam, a jednak nie wiedziałam, czego się spodziewać po dotychczas bezchmurnym niebie. Imriel, w pełni rozbudzony, drżał z przejęcia. Chciałabym czuć się tak samo. Szliśmy krętymi uliczkami do portu, przystając, gdy słyszeliśmy straż nocną. Nawet tutaj Sabejczycy patrolowali ulice, choć pobieżnie, ufając solidnym murem i długiej izolacji.

W porcie panowała cisza i spokój, odległe gwiazdy i sierp księżycy przeglądały się w nieruchomej wodzie. Imriel i ja wsiedliśmy do łodzi, a Joscelin odwiązał linkę od karłowatej palmy. Był nieuzbrojony; jego sztylety, miecz i zarękawia zostały owinięte w kawałek namoczonej w oleju skóry. Ułożyłam pakunek pomiędzy stopami. Czekало go długie wiosłowanie, a broń tylko krępowałaby mu ruchy.

Joscelin zepchnął łódź na głębszą wodę, jego buty mlaskały w błocie. Wstrzymałam oddech, gdy wciągał się za burtę, poskrzypywanie wiosła w dulce niosło się nad cichą wodą. Łódź zakołysała się, gdy usiadł na ławce twarzą do mnie. Siedziałam na rufie, robiąc pomiary nocnego nieba. Zobaczyłam, jak wschodzi Orzeł Dana, w dziesiątym stopniu. Zjawiliśmy się w samą porę. Joscelin zanurzył wiosła i woda pluskała cicho, gdy odbijaliśmy od brzegu.

Imriel klęczał na dziobie.

– Tam – szepnął, gdy wypatrzył Koło nisko nad zachodnim horyzontem.

Ustawiłam palec wskazujący w linii z najmniejszą szprychą.

– W tę stronę. – Wiosła zanurzyły się głębiej i łódź skoczyła do przodu. Kolejne pociągnięcia wiosłami oddalały nas od brzegu, Tisaar małał za rufą. Gdy wypłynęliśmy na otwartą wodę, spojrzałam przez lewe ramię, szukając gwiazdozbioru Laski Mojszego. Był, ze zwisającym węzem ginącym mi z oczu.

– Jesteśmy na kursie – wyszeptałam. – Naprzód!

Joscelin nie tracił tchu na słowa, tylko skinął głową i zaczął wiosłować.

Zamach, zanurzenie, pociągnięcie, zamach, zanurzenie, pociągnięcie, poskrzypywanie wiosel i plusk wody same w sobie były litanią. Jak długo? Pięć godzin, ocenił Nemuel na podstawie gwiazd. Płynął większym statkiem i cięższym, ale miał sześciu wiosłarzy, po dwóch na wiosła, zmieniających się z trzecią parą.

Nas było tylko troje.

Prawda, jezioro było ogromne. Po pierwszej godzinie straciliśmy ład z oczu, przynajmniej w świetle gwiazd, które nie rozjaśniały dali. Od czasu do czasu widzieliśmy na północy i południu wyspy. Mijaliśmy je i wychodziliśmy na otwartą wodę. Firmament obracał się powoli. Pilnowałam, żeby Laska Mojszego wciąż tkwiła za moim lewym ramieniem, a wyciągnięta ręka wskazywała zachód. Imriel był cieniem na dziobie. Światło gwiazd nakryło srebrzystą czapką włosy Joscelina, związane w długi warkocz. Widziałam poszarpaną krzywiznę okaleczonego ucha.

A w ciągu drugiej godziny słyszałam jego oddech.

Zamach, zanurzenie, pociągnięcie; rytm stawał się chaotyczny. Na początku trzeciej godziny, jak oceniłam, łódź posuwała się nie płynnie, lecz bokami, coraz bardziej zbaczając na południe.

– W lewo – szepnęłam do Joscelina, korygując kurs. – W lewo!

Odłożył wiosła, oddychając ciężko.

– Ręka – mruknął przepraszająco. – Nie jest tak silna jak prawa, jeszcze nie.

W trzeciej godzinie zamieniliśmy się miejscami. Był to niezgrabny manewr, na środku jeziora, w dodatku po ciemku. Pokazałam mu igłę naszego kompasu, najmniejszą szprychę Koła, i jak trzymać kurs, mając Laskę Mojszego za lewym ramieniem. Widziałam popękane pęcherze na jego dłoniach, gdy pokazał kurs.

A potem chwyciłam wiosła.

Wiosłowanie było ciężkie, strasznie ciężkie. Z początku wytarte drewno wydawało się jedwabiste w dotyku, gładkie i nieszkodliwe. Pchnęłam rękojeści do przodu, zanurzyłam pióra i pociągnęłam mocno, pokonując opór stawiany przez wodę. Łódź ruszyła. Powtarzałam ruchy, aż w końcu poczułam, że mięśnie ramion płoną z wysiłku.

– W lewo – poprawiał mnie Joscelin. – W lewo... za mocno! Prawym Fedro, ciągnij prawym.

Słoje tego jedwabiste gładkiego drewna tarły o mokre od potu dłonie. Piekło jak wszyscy diabli. W trakcie wiosłowania myślałam o wszystkim, co robił dla mnie Joscelin – chronić i służyć – i o czystym fizycznym wysiłku, o ponoszonych kosztach, jakich nigdy nie oceniałam.

Gdyby był tylko ból... mogłabym to znieść. Wiosłowałam, czując, jak powstają i pękają pęcherze, a ból był tak dojmujący, że ujrzałam szkarłatną mgiełkę Kusziela. Moje nerwy śpiewały niczym struny i przez jakiś czas ból przydawał mi siły. A jednak nawet to przepadło i moje mięśnie zdrętwiały ze zmęczenia.

Zamach, zanurzenie, pociągnięcie.

Pióra wiosel muskały powierzchnię wody. Płynęliśmy po Jeziorze Łez, rozpaczy Izydy. Dlaczego to zawsze bogini rozpacza? Zanurz. Zanurzyłam wiosła głębiej. Ciągnij. Pociągnęłam mocno. Ramiona mi drżały, woda wydawała się gęsta jak miód. Łódź posuwała się

powolnymi skokami.

– Fedro, Fedro!

Oparłam się o wiosła i patrzyłam tępo na Joscelina. Mgła, nie Kusziela, lecz zmęczenia, przysłaniała mi oczy. Joscelin miał twarz ściągniętą z troski.

– Wystarczy – powiedział cicho. – Teraz ja.

– Ja mogę wiosłować. – Imriel obrócił się na dziobie, jego twarz jaśniała w świetle gwiazd. – Przynajmniej przez jakiś czas. Pozwólcie m spróbować.

I znów zamieniliśmy się miejscami, ja wróciłam na rufę, Joscelin przeniósł się na dziób. Woda chlupotała o burty kołyszącej się łodzi. Imriel usiadł na ławeczce i z poważną, wcale nie dziecięcą miną patrzył na moją wyciągniętą rękę. Pomyślałam, że szybko opadnie z sił, ale zaczął powoli i miarowo, wyczuwając wiosła, bardziej cierpliwy niż większość chłopców w jego wieku. Joscelin oddał pas płótna z koszuli i okręcił obtarte dłonie.

Zamach, zanurzenie, pociągnięcie; zamach, zanurzenie, pociągnięcie.

Dobrze to robił, Imriel de la Courcel. Oszczędnie gospodarował siłą i wiosłował w równym tempie dłużej, niż przypuszczałam. Ale łódź została przeznaczona dla dwóch osób, nie więcej, i wysiłek wiosłującego był ogromny. Nie wiem, jak długo wytrzymał, zanim siły go opuściły, popuszczam, że oboje wiosłowaliśmy przez dwie godziny. Joscelin go zmienił.

Została niespełna godzina, wedle rachuby Nemuela, ale my nie płynęliśmy tak szybko. Joscelin zajął miejsce i miarowo pociągał wiosłami.

– Lewym – mruknęłam, gdy prawa ręka zaczęła brać górę nad lewą. – Lewym!

Zgrzytnął zębami i poprawił kurs, ciągnąc jeszcze mocniej. Płóciennie paski na jego dłoniach pociemniały od krwi. Pomyślałam o wyspie Kaporet i zastanawiałam się, czy ją znajdziemy i co się wtedy

stanie. Kimże ja byłam, by szukać Imienia Boga? Uczyni się naczyniem, w którym nie będzie ciebie, powiedział Eleazar ben Enoch, z miłości doskonałej. Miłość znałam, ale co jest doskonałością? Mojego pana Delaunaya kochałam wdzięcznym sercem, a Hiacynta z radością młodości i smutkiem dorosłego życia. Pokochałam Joscelina i wciąż go miłowałam z głębią i namiętnością, jakiej nie potrafię ująć w słowa. Eluo, dopomóż, kochałam Melisandę Szachrizaj, a jakaś cząstka mnie miała ją kochać zawsze.

I w tym wszystkim byłam ja, uwikłana w nierozzerwalne więzy miłości – z wdzięczności, z przyjaźni, z poczucia winy, z namiętności, z powodu zgubnej skazy Strzały Kusziela. Jak można wyrzec się czegoś takiego, jak własne ja? Znałam tylko jedną ścieżkę, tę, którą znalazłam w mrocznych godzinach w Daršandze. Nie sądziłam, że prowadzi do Imienia Boga i do mojego serca, i dlatego się bałam.

– Fedro! – zawołał z dziobu Imriel, wyciągając rękę. – Wstaje świt.

Tak było, zachodnia strona nieba robiła się szara jak ołów, szprychy Koła bledły na jej tle. W coraz silniejszym świetle dostrzegłam garb ziemi na północ od nas.

– Patrz – mruknęłam. – Jak myślisz?

Joscelin wsparł się na wiosłach i spojrział.

– Kaporet? – rzekł matowym głosem. – Możliwe. To znaczy, że zeszliśmy z kursu. Ale z moją ręką...

– Możliwe. – Zadrżałam. – Nie wiem. Nie wiem! Morit zgadywała w najlepszym wypadku. Sprawdźmy.

Popłynęliśmy, Joscelin wiosłował z ponurą determinacją. Wschodzące słońce oświetliło niedużą wyspę, zieloną, tętniącą życiem ptaków, widziałam bieliki, kanie i ibisy z długimi dziobami. Brzegi były gęsto porośnięte paprociami, nietknięte ludzką stopą. Łódź sunęła wzdłuż nich, Imriel balansował na dziobie, wypatrując śladów mieszkańców.

– Nic – zameldował, patrząc w głąb wyspy. – Ani ścieżek, ani

śladów, że ktoś dobijał do brzegu... – Odwrócił się w moją stronę i zbladł. – Na Eluę!

Odwróciłam się.

Był to statek, oczywiście, cóż by innego? Majaczył w dali, widoczny dopiero o świcie. Ledwo widziałam bliźniacze rzędy wiosł, cztery pary wznoszące się i opadające. Ktoś nas zdradził, czyjaś wiara zawiodła, podejrzenia Hanocha ben Hadada zostały podsyczone... kto wiedział? To nie miało znaczenia. Ważne, że zbliżali się do nas.

– Możemy się ukryć! – powiedział z szaleństwem w oczach Imriel. – Dobić do brzegu i schować się na wyspie! Rośliny są wielkie, nie znajdą nas

– Nie – mruknęłam. – To nie Kaporet. – Joscelin chwycił wiosła w zakrwawione ręce i patrzył na mnie spokojnie, wyczekująco. – Eluo! – Wbiłam dłonie w oczy, myśląc i modląc się. – To nie Kaporet – powtórzyłam, opuszczając ręce. – Myliłam się, nie powinnam wątpić. Byliśmy na kursie, tylko płynęliśmy powoli. Joscelinie, możesz wiosłować?

– Tak. – Czerwone plamy rosły na bandażach. – Fedro, gwiazdy gasną.

Patrzyłam na jaśniejące niebo. To prawda, gwiazdy, które prowadziły nas przez noc, bladły, zalewane blaskiem wschodzącego słońca. Koło płowiało, szprychy już zniknęły, Laska Mojszego stawała się niewidoczna. Zamknęłam oczy, wyczuwając kierunek, w jakim powinniśmy płynąć. Mój prawie brat Alcuin doskonale radził sobie z mapami. Ja nigdy mu nie dorównałam, ale Anafiel Delaunay szkolił naszą pamięć.

Moja musiała wystarczyć.

– Tam – powiedziałam, unosząc rękę, nie mając odwagi otworzyć oczu.

Zamach, zanurzenie, pociągnięcie.

Musieliśmy okrążyć bezimienną wyspę. Czułam, jak łódź zmienia kierunek i odpowiednio przesuwałam rękę. Nie śmiałam spojrzeć, nie

śmiałam utracić igły kompasu z pamięci, dopóki nie poczułam podmuchu wiatru na otwartej przestrzeni i nasz kurs nie zrównał się z moją wyciągniętą ręką. Wtedy otworzyłam oczy.

Byliśmy na otwartej wodzie i łódź sunęła gładko, napędzana ramionami Joscelina, zbliżając się do niewidocznego punktu przeznaczenia, smugi na horyzoncie. Zamach, zanurzenie, pociągnięcie. Szmaty na jego rękach były szkarłatne, wiosła poczerwieniały od krwi.

Rzeczywiście dostrzegłam smugę na horyzoncie. Wyspa.

– Naprzód! – zawołałam. – Naprzód, naprzód, naprzód!

Joscelin ogłuchł i oślepl z koncentracji, jego ręce poruszały się z niesłabnącą precyzją. Widziałam, jak prężą się mięśnie ramion, jak pracują nogi. Łódź niemal frunęła nad wodą niczym jaskółka. Imriel klęczał na dziobie i spoglądał w tył, nie na Joscelina ani na mnie, tylko na zbliżający się pościg. Trwoga malowała się na jego twarzy. Nie odwróciłam się, żeby poznać przyczynę.

Przed nami smuga przemieniła się w ziemię, w małą, niczym się niewyróżniającą wyspę, łatwą do przeoczenia na Jeziorze Łez. Też była zielona, ale nie dziewicza, zauważyliśmy ślady obecności człowieka. Zobaczyłam płytką plażę, gdzie krzaki zostały wycięte, łódź rybacką na brzegu i budowlę na wzgórzu, okrągłą, jak świątynia w Tisaarze. Zobaczyłam ścieżkę jaśniejącą wśród zieleni i ogród, i pole o kształcie zbyt regularnym, żeby mogło być dziełem natury.

– Kaporet – szepnęłam. – Znaleźliśmy.

SIEDEMDZIESIĄT SZEŚĆ

Dobiliśmy do brzegu tuż przed pościgiem.

Imriel wyskoczył z łodzi w chwili, gdy dziób zetknął się z lądem, i pociągnął linkę. Ja szybko podniosłam broń Joscelina, nie bacząc na kołysanie łodzi, kiedy wysiadał. Gdy wyskoczyłam za nim, rzucając mu tobolek, sabejski statek dobił do brzegu.

Później zaczął się wyścig.

Gdy biegliśmy do ścieżki, dostrzegłam żołnierzy, którzy wysiedli z sabejskiego statku. Oczywiście, mieli antyczną broń z brązu, nie ze stali, ale nie mniej ostrą, i było ich co najmniej dwudziestu.

My mieliśmy stal, tak. Mieliśmy Joscelina.

W biegu wsunął sztylety do pochew u pasa, rozplątał pas i zarzucił go na ramiona. Skóra skrywająca wcześniej pakunek upadła przy ścieżce, gdy wetknął jedno zarękawie pod pachę, wsuwając skrwawioną dłoń w kolczą rękawicę drugiego. Skórzane paski powiewały z każdym krokiem, niepodobna było zapiąć ich w biegu.

A potem znaleźliśmy się na polanie na szczycie wzgórza. Zamknięta na głucho okrągła świątynia była uśpiona we wczesnym słońcu, podczas gdy dwudziestu sabejskich żołnierzy rozchodziło się promieniście, żeby nas otoczyć, ich brązowe ostrza połyskiwały w słońcu.

– Wiedziałem – oznajmił Hanoch ben Hadad. – Wiedziałem! Zbyt wiele kobiet odwiedzało moją siostrę. Powiedziałem to sanhedrynowi

– Jak to, kapitanie? – zapytałam cicho, kątem oka obserwując jak Joscelin zapina zarękawia. – Czy twoja siostra nie zasługuje na

towarzystwo? Uważam, że jest nadzwyczaj miłą gospodynią.

– Głupia kobieta – rzekł Hanoch twardym głosem. – Ofiara uprzejmości i smutnej powiastki. Starzeje się i jest samotna. Macie szczęście, że moja siostrzenica Ardat poznała się na jej głupocie i w porę wyznała wszystko swojemu mężowi Jafetowi. Zdążyliśmy ruszyć w pościg. Byłoby gorzej, gdyby udało się wam sprofanować świątynię.

Ardat. Córka Jewuny z niemowlęciem w ramionach. Zrobiło mi się niedobrze. Zajść tak daleko!

– Ardat nie wie, co robi – powiedziałam dziwnym, płynącym jakby z daleka głosem. – Przemawia przez nią strach.

– Tak, strach. – Pokiwał głową. – Boi się o przyszłość swego dziecka, boi się, że wzbudzimy gniew Adonai. To jest mądrość, prawdziwa kobieca mądrość, strach matki. Żałuj, że nie pomyślałaś o tym samym. Wasz syn ucierpi za twoją głupotę. Dziękuj Adonai, że zatrzymaliśmy was w porę. Jeśli sanhedryn okaże miłosierdzie, zostanieie skazani nie na śmierć, a tylko na niewolę.

– Jaka nagroda spotka ciebie, Hanochu ben Hadadzie, za znalezienie wyspy Kaporet, gdzie jest ukryta hańba Nemuela? – zapytałam go ze złością. – Powiem ci, wola Błogosławionego Elui doprowadziła nas tutaj, przez pustynie, góry i rzeki, przez niebezpieczeństwa, które odebrałyby ci siły, gdybyś o nich usłyszał! Nie tobie decydować, nie, ani sanhedrynowi. To wybór samego Adonai, i kobiety Tisaaru poznały się na nim w swej mądrości. Już nie chcą ukrywać się dłużej przed wolą Boga, który zapomniał o was na długie stulecia!

Hanoch milczał. Jego ciemne oczy migotały, żołnierze popatrywali niespokojnie jeden na drugiego.

– Mimo wszystko – powiedział, wskazując sztychem miecza zamknięte drzwi świątyni za naszymi plecami – tam kryje się miejsce najświętsze, a droga jest zamknięta. Rad jestem. Milczenie Adonai mówi samo za siebie. Wróćcie z nami do Tisaaru i zostanieie osądzeni.

Joscelin skrzyżował ramiona i ukłonił się, stal błysnęła we wschodzącym słońcu. Sztylety spoczywały na jego udach, rękojeść miecza sterczała nad ramieniem. Kasjelicka dyscyplina nie miała sobie równych. Nikt z patrzących nie mógłby odgadnąć, w jakim stanie są jego ręce, jak bardzo jest wyczerpany.

– Panie kapitanie – powiedział w habiru – nie rób tego. Nie chciałbym rozlewać krwi w tym miejscu. Pozwól pani Fedrze przynajmniej spotkać się z kapłanem z linii Aarona.

Hanoch ben Hadad znowu się zawahał, potem pokręcił głową.

– Nie – odparł. Machnął mieczem i szereg sabejskich żołnierzy przybliżył się o krok, unosząc tarcze nabite brązem. – Przykro mi, D’Angelinie. Jesteś dzielnym wojownikiem, jeśli opowieść o twojej walce z Szamsunami nie została zmyślona. Ale nie wejdziecie do środka. Wola Adonai jest jasna.

Rzuciłam okiem przez ramię. Drzwi świątyni pozostały zamknięte.

– Ty tak mówisz – rzekł łagodnie Joscelin. Sztylety zaśpiewały, skrzyżowane i lśniące niczym gwiazda, krew spływała po wewnętrznej stronie jego nadgarstków. – Ja jednak złożyłem przysięgę.

– Nie Adonai – odparł sabejski kapitan. – Nie Panu Zastępów, przyjacielu.

– Nie. – Joscelin uśmiechnął się, a w narastającym blasku dnia jego oczy były błękitne jak letnie niebo nad polami Terre d’Ange. – Jego nigdyś wiernemu słudze Kasjelowi, który ma lepszą pamięć niż Bóg. A ja... chronię i służę.

Hanoch ben Hadad potrząsnął nakrytą brązowym hełmem głową.

– Zginiesz, D’Angelinie.

– Będzie, co ma być. – Wokół świątyni śpiewały ptaki, z rozgrzanych przez słońce liści płynął zielony zapach. Joscelin Verreuil przyjął obronną postawę, mówiąc niemal beztrąsko: – Przez całe życie zarabiałem na śmierć.

Cień żalu przemknął po twarzy Hanocha ben Hadada, zanim uniósł

tarczę i miecz z brązowym ostrzem.

– Brać ich!

Rozciągnięci w szeregu, żeby oskrzydlić Joscelina, Sabejczycy ruszyli na rozkaz.

Tak blisko, tak blisko! Czuję obecność wielkiej tajemnicy unoszącej się w pobliżu, prawie w zasięgu moich wyciągniętych palców. Prawie. Odwróciłam się i niewiele myśląc podbiegłam do drzwi świątyni, na próżno bębniąc w nie pokrytymi pęcherzami rękoma.

– Proszę – błagałam w habiru, po d'Angelińsku, sama nie wiem w jakim języku jeszcze. – Na litość boską, pozwólcie mi zapytać!

Drzwi jednak pozostały zamknięte, nie doczekałam się żadnej odpowiedzi. W tle słyszałam okropne odgłosy bitwy, gdy Joscelin walczył z ludźmi ben Hadada. Nie miałam więcej kart w rękawie. To bolało – dotrzeć tak blisko i ponieść porażkę. Eluo, jak to bolało! Osunęłam się na kolana przybita niepowodzeniem.

– Pani. – Czyjaś ręka zamknęła się na moim ramieniu i sabejski żołnierz trącił mnie mieczem luźno trzymanym w dłoni. – To święta ziemia, nie miejsce przemocy. Już po wszystkim. Pójdziecie z nami.

– Nie – szepnęłam. – Błagam, nie.

Imriel de la Courcel krzyknął.

Był to głos, który rozdzierał nocę w zenanie, na równinach Drudżanu, w domu Jewuny; dźwięk czystego, niczym nieskażonego przerażenia, przeraźliwy i nieznośny dla ucha, mrozący szpik w kościach i straszny. Twarz Imriela była blada jak płótno, źrenice czarne i rozszerzone. Z nadspodziewaną szybkością wskoczył pomiędzy nas, wyrwał miecz z ręki zaskoczonego żołnierza i zamachnął się dziko oburącz.

– Zostaw ją!

– Adonai! – Żołnierz cofnął się o krok, trzymając się za udo, zranione sztychem miecza.

Inni zatrzymali się i patrzyli, wymieniając spojrzenia. Joscelin stał

bez ruchu, zamarł w kręgu wytyczonym przez miecz, z rysami zastygłymi w maskę przerażenia.

Hanoch ben Hadad skrzywił się.

– Trzymać go na dystans – rozkazał ludziom otaczającym Joscelina. Podszedł do nas, słońce lśniło na zabójczym skraju miecza z brązu, a gniew jak burza przyciemniał jego twarz. – Chłopcze – powiedział ponuro, wskazując sztychem czupurnego Imriela – ceną za krew rozlaną progu świątyni jest śmierć.

To było jak sen, straszny sen.

I jak we śnie, czułam się tutaj i nie tutaj, sobą i nie sobą. Bezwiednie podniosłam się z kolan i pchnęłam Imriela za siebie, patrząc na sabejskiego kapitana.

– Ja go tu przywiodłam – powiedziałam, a w moich uszach zabrzmiało to tak, jakby przemówił ktoś nieznajomy. – Ja ponoszę winę.

Słyszałam zgiełk, gdy Joscelin zdwoił wysiłki, żeby przerwać pierścień otaczających go żołnierzy. Zgiełk wydawał się bardzo odległy. W moich rozmyślaniach o rodzajach miłości była jedna, której nie wyliczyłam. Nie uwzględniłam Imriela. Tutaj nie było podpowiedzi żadnego boga, tylko miłość zwyczajna, niczym niezdobiona. Zrozumiałam zbyt późno, co znaczy zapomnieć o sobie. Wciąż miałam przed sobą jeszcze jedną drogę, która zawsze stoi otworem. Nie zyskam Imienia Boga, ale zapewnię życie Imrielowi.

– Skoro ceną jest śmierć, ja zapłacę – dodałam.

Na chwilę skłonił głowę, potem wyprostował się i podniósł miecz.

– Ty jesteś sprawczynią tego świętokradztwa i popełniłaś tutaj niewybaczalny grzech. Lepiej, żebyś umarła i odkupiła winę. Zgadzam się.

Patrzyłam, jak słońce lśni na jego mieczu.

– Oszczędzisz chłopca?

Po chwili Hanoch ben Hadad pokiwał głową.

– Na miłosierdzie Adonai, oszczędzę.

Tak, pomyślałam, tak wygląda koniec. Hiacyncie, wybacz. Staralam się ze wszystkich sił.

– Fedro, nie!

– Fedro!

Pierwszy krzyknął Joscelin, głosem chrapliwym ze strachu, przeszywającym moje serce. To prawie wystarczyło, żebym zmieniła zdanie. Doprowadziło do tego drugie zawołanie, głos Imriela, nie przerażony, ale napięty i nagły. Usłyszałam grzechot upuszczonego miecza, gdy jedną ręką złapał mnie za łokieć, wbijając palce w moje ciało, a drugą wskazał drzwi świątyni. Były otwarte.

W drzwiach stał kapłan z linii Aarona, bosy, w białej płóciennej szacie obszytej niebieską, szkarłatną i purpurową lamówką, lśniącej od złotej nici. Hanoch ben Hadad podniósł miecz i z twarzą pustą z konsternacji niepewnie cofnął się o dwa kroki. Zapadła cisza. Joscelin opuścił miejsce potyczki, minął oszołomionych żołnierzy i dołączył do nas. Spojrzeliśmy na siebie, on i ja.

– Dobrze – powiedział krótko. – Zapytaj go, Fedro.

Drżąc, odetchnęłam głęboko.

–Tak.

Nikt inny się nie poruszył, gdy szłam do kapłana. Nie był ani młody, ani stary, zamknięte usta uśmiechały się w niesfornej czarnej brodzie. Śmiertelny człowiek, nie więcej i nie mniej, kruche naczynie strzegące niezemskiej potęgi i dźwigania spuścizny gniewu Boga Jedyneego. Oczy miał ciemne, jak wszyscy Sabejczycy, i jego mahoniową skórę pokryła warstewka potu.

– Jestem Fedra nó Delaunay de Montrčve – powiedziałam do niego w habiru – i szukam Imienia Boga.

Kapłan po chwili przestał się uśmiechać i bezgłownie wypowiedział słowo. *Tam*, rzekł, wskazując cieniste wnętrze świątyni. W jamie jego ust zobaczyłam dowód prawdziwości sabejskiej legendy, kikut języka wysuszony jak korzeń. Ciarki zdenerwowania mrowiły mi skórę. Odwróciłam się w stronę Hanocha ben Hadada.

– Panie kapitanie, czy zabronisz mi wejść?

Padł na kolana, jak zresztą wszyscy Sabejczycy, którzy bili pokłony, kołysali się i mamrotali modlitwy. Tylko Joscelin i Imriel stali, patrząc na mnie. Joscelin schował sztylety i jedną ręką przygarnął Imriego.

– W takim razie – powiedziałam do nich po d’Angelińsku, świadoma, jak mój język współpracuje z ustami, formułując wypowiedź. Jeśli to miały by być moje ostatnie słowa, wolałabym, żeby brzmiały mniej banalnie. – W takim razie lepiej pójdę.

Joscelin chrząknął.

– Chyba... chyba tak.

– Tak. – Kiwałam głową jak idiotka. – Na wypadek, gdybym nie mogła powiedzieć tego później... cóż. Kocham cię.

– Wiem. Kocham cię.

– I ciebie – powiedziałam do Imriela.

Tylko skinął głową, nie ufając głosowi.

– W takim razie – zwróciłam się do kapłana – idziemy.

Kapłan z linii Aarona uśmiechnął się i uklonił nisko, wskazując drogę. Przystąpiłam próg świątyni i weszłam do ciemnego wnętrza. Usłyszałam, jak drzwi zamykają się za nami, odcinając dostęp porannemu słońcu. Stałam w ciemności, gdy kapłan wziął kaganek i zapalił świeczkę, a od niej inne lampy. Moje oczy przyzwyczajały się powoli do ich światła.

Świątynia, skromna, zbudowana z palonej na słońcu cegły, niewiele się różniła od tamtej w mieście. Tylko ozdoby były wspaniałe, piękne lampy w złożonych uchwytach zalewały bogatym złotym blaskiem niewyszukane wnętrze. Kapłan wskazał na moje stopy, więc pochyliłam się żeby zdjąć buty. Nie było tutaj podłogi, tylko twardo ubita ziemia, sucha i miejscami krusząca się.

– Czy to dobrze? – zapytałam. – Nie przyniosłam... nie przyniosłam ofiary, panie.

Gdy powiedział bezgłośnie, wskazując na mnie, wyschnięty korzonek języka poruszył się w grocie ust. Ty. A potem wskazał na

siebie, dotykając własnej piersi. *Ja.*

– Tak – szepnęłam. – Rozumiem.

Poszłam za nim do drugiego kręgu świątyni Kaporetu, rozumiejąc, że on jest taki jak ja, śmiertelnik mimowolnie naznaczony palcem boga. Kusziel, Adonai, czy to ma jakieś znaczenie? Płacimy za grzechy, których nie pamiętamy, i pragniemy wypełniać wolę, której nie pojmujemy. Tak to jest, być wybranym bożym.

W drugim kręgu były skarby, góry skarbów spiętrzone na polepie, naczynia ze złota i srebra, danina z czasów Szalomona. A dalej... Eluo! Hanoch ben Hadad nazwał to miejscem najświętszym. Patrzyłam na wejście do wewnętrznego sanktuarium, przysłonięte kotarami w kolorze szkarłatu, purpury i błękitu, i drżałam.

To tu, pomyślałam. Arka pękniętych tablic.

Imię Boga.

Przechowywane w milczeniu przez długie lata, przez ponad tysiąc lat, otulone całunem rozpacz bogini. Kimże ja byłam, żeby naruszać tę świętość?

Hiacynt.

Tłumiąc strach, poszłam za kapłanem, który okrążył wewnętrzne sanktuarium i zbliżył się do ołtarza we wnęce. Na szczerozłotym ołtarzu płonęła lampa, Ur Tamid, światło, które nigdy nie gaśnie. Nawet dziś płonie w jezuickich świątyniach. Na ołtarzu stała wielka kadzielnica, złoto na złocie, wewnętrzna misa pociemniała przez lata składania ofiar, wypowiadając bezgłośnie modlitwę, kapłan złożył w ofierze szczodrą garść kadzidła, zapalił świeczką wonne grudki żywicy. Słodki, gryzący dym wzbił się pod sufit w niebieskawej chmurze.

Odwrócił się wtedy i wskazał miejsce najświętsze, pytająco unosząc brwi.

– Co się stanie, panie? – zapytałam, pomimo ciepłego poranka drżąc w rozświetlonej przez lampy ciemności. – Co się stanie, jeśli to zrobię?

Potrząsnął głową, jego usta zamknęły się, skrywając tajemnice

gniewu Adonai

Hiacynt.

– Niech się stanie – powiedziałam.

Kapłan z rodu Aarona rozsunął zasłony miejsca najświętszego

SIEDEMDZIESIĄT SIEDEM

W mrocznej komnacie arka pękniętych tablic lśniła niczym miniaturowe słońce.

Bosy kapłan poruszał się bezszelestnie, zapalając świeczniki, aż płomienie odbiły się od złota i refleksy zatańczyły na glinianych ścianach. Stałam spokojnie i patrzyłam na arkę. Była zrobiona z akacjowego drewna zgodnie z opisem zawartym w Tanachu, wybita złotem, wciąż spoczywająca na pozłacanych drągach niegdyś służących do przenoszenia; wielka skrzynia, którą dźwigało czterech krzepkich mężczyzn.

Przykrywała ją złota płyta zwana kaporettem, czyli przebłagalnią, i od niej nosiła nazwę wyspa. Na płycie znajdowały się dwa cherubiny, dziwne stworzenia z zadem byka, piersią lwa, skrzydłami orła, twarzami... ach, Eluo! Twarzami takimi, jakie widziałam w świątyniach Terre d'Ange, ludzkimi, surowymi i pogodnymi. Ich rysy wyrażały sprawiedliwość Kusziela, namiętność Naamy, dumę Azy, inteligencję Szamchazaja, zaciekłość Kamaela, dobroć Ejszet, szczodrość Anaela, wierność Kasjela.

To wszystko wyrażały ich rzeźbione twarze.

Kapłan uklonił się przed arką i zdjął ze stojaka napierśnik ze złota, spięty skręconym łańcuchem. Gdy włożył go na szatę, zamrugwały cztery linie klejnotów: rubin, topaz i granat, szmaragd szafir i diament, opal, agat i ametyst, beryl, onyks i jaspis – po jednym dla dwunastu plemion Dzieci Yisraela.

A ja, dziecko Elui, patrzyłam i drżałam.

Potem wziął koronę z wyrytymi słowami, „Poświęcone dla Adonai”. Nałożył ją na czoło, zawiązując sznury z ufarbowanego na niebiesko jedwabiu. Tak uczynił Nemuel, pomyślałam, na równinach Dzebe-Barkal. Kapłan stał, bardziej surowy i wyższy w tym obrzędowym stroju. Czułam się mała i zmęczona. Mięśnie bolały mnie po znojnym wiosłowaniu, ręce miałam pokryte pęcherzami i odarte ze skóry. Głos nie przemówił spomiędzy cherubinów, nie objawił się Elua ani nawet Kusziel, wskazujący drogę swoją szkarłatną mgiełką.

– Nie wiem co robić, panie – powiedziałam pokornie. – Jestem suplikantem. Pragnę tylko uwolnić mojego przyjaciela.

Kapłan położył ręce na masywnym wieku i patrzył na mnie nieruchomym wzrokiem, ruchem głowy wskazując drugi koniec arki. Milczące herubiny spoglądały jeden na drugiego.

– Imię Boga – szepnęłam. Jeśli istniało, kryło się w arce. Wyciągnęłam drżące ręce, wsunęłam palce pod narożniki kaporetu naprzeciwko kapłana. Był to grzech, za który Adonai ukarał Nemuela i wszystkich jego potomków. – Boję się, panie.

Nie odpowiedział, czekając i patrząc na mnie życzliwie. Klejnoty na napierśniku mrugały, oznaczając dwanaście plemion, milczące modlitwy i przypomnienie dla obojętnego boga. Jeśli ten akt był grzechem, to kapłan już płacił za niego przez całe życie. Czy wcześniej próbował? Nie wiedziałam. Zaszło mi w ustach. Czy grzeszyłam? Jeśli Adonai jest miłosierny, spotka mnie taka sama kara. Oblizalam spierzchnięte wargi, myśląc o językach, jakimi władałam. D’Angeliński, caerdicci, helleński, skaldyjski, cruithne, dzebeński, nawet zenański. Mowa cygańska, dialekt Dalriady.

Wszystko to mogłam utracić.

I sztuki Naamy, sztuki miłości. Wspomniałam, jak Joscelin pocałował mnie w sadzawce. Nie mogłam znieść myśli, że to też utracę.

Och, Hiacyncie, pomyślałam. To mało, jakże mało w porównaniu z tym, co ty poświęciłeś. Wybacz mi niegodny strach, ale nie mogę temu

zaradzić, bo język jest częścią mnie, częścią tego, kim jestem. I nie wiem, co się z nami stanie, jeśli zawiodę. Z milczącą modlitwą o wybaczenie zacisnęłam zęby i zebrałam siły. Przerazona powodzeniem, przerazona porażką, próbowałam podnieść masywne wieko, wbijałam w nie paznokcie, uginając się pod jego ciężarem. Po drugiej stronie kapłan z linii Aarona skłonił głowę i też się wyteżył, ścięgna zaznaczyły się na jego rękach. Korona „Poświęcona dla Adonai” lśniła na jego mokrym od potu czole.

Dźwignęliśmy razem i wieko drgnęło. Unosiło się cal po calu. Trzęsły mi się ręce. W przestrzeni pomiędzy cherubinami panowała cisza.

Masywne złote wieko, tron boży, uniosło się wyżej.

Niezdarnie wyginając ciało, ośmieliłam się zajrzeć do arki.

Zobaczyłam *Luvakh Shabab*, pęknięte tablice, szare kawałki i okruchy, bez jednego zachowanego słowa tekstu. Czy były to tablice zapisane ręką Adonai? Zapłakałabym, gdybym miała siły. Pusta skrzynia ze stertą gruzu na dnie – taki był wynik moich poszukiwań. Taka była tajemnica strzeżona przez rozpacz Izydy. Taki był sekret, który Sabejczycy przez ponad tysiąc lat skrywali przed okiem Boga.

Gruz poruszył się sam z siebie.

Wstrzymałam oddech.

Ręce, plecy i ramiona bolały mnie z wysiłku, gdy trzymałam podniesione wieko. Gdybyż tu był Joscelin! Naprawdę, nie zdawałam sobie sprawy z rozmiarów jego pracy. Kurz sprzed dwóch tysiącleci wirówował w złoconych głębiach. Starożytny gruz ruszał się, fragmenty kamieni dopasowywały się, pojawiały się litery; alfabet habiru, tworzący na moich oczach Imię... Jod, alef, kuf, lamed... nun? Eluo, innych nie poznawałam! Kef, alef, więcej – zbyt wiele, zbyt szybko, nawet moja wyszkolona przez Delaunaya pamięć nie mogła ich ogarnąć, mój język na próżno nazywał litery, zbyt wolny, mięśnie drżały z wysiłku. Och, to niesprawiedliwe. Zaginiony alfabet, nieznane mi znaki, nigdy nie wryte ludzkimi rękami. Dwanaście lat

badania, wszystko na próżno. Jak wypowiedzieć dźwięk, którego nigdy nie słyszałam? Staralam się zapamiętać kształt liter, ale znikaly zbyt szybko i nie nadazalam. Litery widziane przez okamgnienie tworzyly w zlotym cieniu niewypowiedziane Imie. Lzy rozpaczy piekly mnie w oczy i mrugalam nadaremnie, zeby lepiej widziec.

Kurz i gruz przemowil; kurz i gruz umilk, wracajac do stanu bezruchu. Czubki moich placow slizgaly sie po wieku, rece kaplana staly sie mniej pewne. Wieko z litego zlota opadlo z hukiem. I co? Zloto nie uwolni Hiacynta z wyspy, a mnie nie trzeba bylo mowic, ze zmarnowalam jedna jedyna okazje. Pochyilam glowe i poczulam smak gorzkiego owocu porazki. Glos między cherubinami milczal, ale *Luvakh Shabab* przemowily. Adonai odpowiedzial. Nie odezwie sie drugi raz. Wiedza mnie zawiodla, i to bylo gorzkie doswiadczenie, naprawde gorzkie.

Powinnam sie cieszyc, pomyslam, ze mam jezyk, aby czuc smak porazki.

Odetchnelam glęboko i unioslam glowe, zeby stawic czolo klęsce.

Po drugiej stronie arki, z twarzą pomiędzy milczącymi cherubinami, uśmiechał się kapłan z linii Aarona. Ani młody, ani stary, uśmiechał się; on, który na próżno pomógł mi podnieść kaporet. Patrzałam na niego bez zrozumienia. Człowiek, śmiertelny człowiek z potarganą brodą i miłyrni oczami, promieniujący radością. Dlaczego? Zęby, silne i białe, okalały jaskinię skurzonego języka. Takie współczucie w jego ciemnych oczach, i taka radość, radość nie do zniesienia. Chciałam zapytać, dlaczego, lecz strach zapieczętował mi usta. Nadzieja sprawiała ból.

Cisza wypełniła najświętsze miejsce. Ani szmeru, ani echa, ani szeptu. Nawet płomienie w złotych lampach były ciche i nieruchome. A w tej ogłuszającej ciszy... Bez języka, bez głosu, kapłan wyrzekł niedające się wypowiedzieć Imię Boga.

– _____!

Jak znieść dźwięk nieprzeznaczony dla śmiertelnych uszu? Wybuchł w mojej czaszce niczym grzmot nad górami, dudniący i mosiężny, wzbudzający ogłuszające echa. Jedno słowo wypalone w mojej pamięci. Paliło jak mocne wino, jak pierwszy smak *joie*, który poznałam w dzieciństwie, jak dotyk Melisandy. Wiedziałam to wtedy, zobaczyłam mój kurs wykreślony w chwili, gdy poznałam Anafiela Delaunaya, zobaczyłam krętą ścieżkę, która mnie tu doprowadziła – tutaj, do skromnej świątyni na ukrytej wyspie, otoczonej przez rozpacz bogini. Kto wykreślił ten kurs? Niezliczone odnogi mojego losu były już wytyczone i niepoznawalne. Mroczne ścieżki doprowadziły mnie tutaj. Tutaj. Zrozumiałam to wszystko i wstrzymałam oddech, bo w końcu ujrzałam cały wzór. Chwytałam ustami powietrze, czując, jak pierś mi pęka, rozsadzana przez płomień. Święte Imię! Byłam zbyt mała, aby je pomieścić. Kolana ugięły się pode mną i osunęłam się na ziemię, skuliłam się wokół pustego miejsca, które we mnie wydrążyło.

Imię Boga.

Och, Hiacyncie!

Nie wiem, jak długo leżałam. Zostałabym tam na zawsze, jak myślę, gdyby kapłan mnie nie podniósł. Delikatne ręce potrząsały mną, trzymając za ramiona. Oczy patrzyły życzliwie. Czułam pylistą ziemię świątyni i zapach kadzidła. Czułam paprykę, którą jadł na kolację. Żyłam, brzemienna Świętym Imieniem. Moje ciało wydawało się dziwne, gdy kapłan podnosił mnie na nogi. Całą przestrzeń mojego umysłu zajmowało Imię. Wibrowało w moich strunach głosowych i musiałam zacisnąć zęby, żeby go nie wykrzyczeć.

Zniszczyłoby mnie, gdybym nie znalazła w sobie miejsca zamieszkanego wyłącznie przez miłość, zwyczajną i niczym nieskrępowaną. Dopiero wtedy kapłan w swojej mądrości otworzył drzwi. Gdybym nie wyprowadziła Imriego z ciemności Daršangi, nigdy nie poznałabym tej jasności. To prawda, miłość była cudowną siłą, a ja w końcu dostrzegłam ność jej dzieł.

Wszystko w świątyni wydawało się dalekie, przedmioty odznaczały się jasno na ciemnym tle. Miałam kłopoty z oceną odległości. Dotknęłam świecznika, zdumiewając się gładkością złota. Uwolniony z bezruchu płomień w misie tańczył jak zwierzątko, migocząc szafranowo. Przysunęłam do niego palce, czując ciepło. Dotknęłabym go, ale kapłan położył rękę na moim nadgarstku i odciągnął mnie, łagodnie kręcąc głową. Wskazał na drzwi. Czy jestem gotowa wyjść?

Pokiwałam głową, nie mając odwagi przemówić. Imię trwało uparcie na moim języku.

Wyprowadził mnie do zewnętrznego kręgu i tam usiadłam na marmurowej ławie, żeby włożyć buty. Czułam chłodną powierzchnię marmuru, maleńkie żyłki i skazy. Patrzyłam na swoje bose stopy, szczupłe i białe, pobrudzone ziemią z podłogi świątyni. Tak wiele delikatnych kości, tak wiele stawów! Wszystko to, by móc chodzić po ziemi. Z niechęcią włożyłam buty i kapłan pomógł mi zapiąć sprzączki, bo nie mogłam przestać zdumiewać się tym, jak bardzo są skomplikowane. Patrzyłam z podziwem na jego zwinne palce, na sznury błękitnego jedwabiu, które przytrzymywały nakrycie głowy na szorstkiej czerni kędzierzawych włosów. „Poświęcona dla Adonai”. Taki kontrast barw i faktury!

U drzwi świątyni przystanął i ujął w dłonie moją twarz. Zamknęłam oczy, gdy całował mnie w czoło, świadoma, że czyni to na znak pokrewieństwa, błogosławieństwa, wybaczenia. To miejsce nie było moim, a Adonai nie był mym Bogiem. Widziałam to wszystko.

Zostałam obdarzona ogromnym zaufaniem.

Modliłam się, żebym była tego godna.

Kapłan puścił mnie i otworzył drzwi świątyni. Słońce wpadło za próg i Imię nabrzmiało we mnie na widok takiej jasności, dźwięcząc w mojej głowie tonami trąbki. Mocno zacisnęłam zęby i wyszłam w oślepiający blask. Niebo... jakie błękitne! A krzewy! Nigdy nie widziałam takiej zieleni. Widziałam każdy liść, ostro zarysowane skraje; czułam zapach korzeni szeleszczących w suchej glebie. A

ludzie... och, Eluo, ludzie.

Joscelin z dzikim wzrokiem skoczył na równe nogi. Mogłam tylko na patrzeć, oniemiała. Każda linia, każda płaszczyzna wypisana w alfabecie kości i ciała mówiła o miłości. Jak mogłam dotąd tego nie widzieć? I Imriel u jego boku – splątany kłębek strachu i tęsknoty, wzruszająco bezbronny. Bolało mnie serce, gdy na niego patrzyłam.

– Masz? – zapytał Joscelin, na poły bojąc się odpowiedzi. – Udało się?

Pokiwałam głową, Imię Boga tkwiło w moim gardle jak kamień.

– Możesz... możesz mówić? – zapytał.

– Nie jestem pewna – szepnęłam.

Joscelin zrobił trzy szybkie kroki i wziął mnie w ramiona, zasypując moją twarz deszczem pocałunków. Przytuliłam się do niego i pocałowałam go mocno, żeby sprawdzić, czy mogę. Strach uszedł zeń, gdy go puściłam. Uklękłam wtedy i otworzyłam ramiona, żeby przygarnąć Imriela. Rzucił się i złapał mnie za szyję tak mocno, jakby chciał udusić, chowając twarz w moich włosach.

– Bałem się, Fedro. Nie wiedziałem, co się stanie.

– Ja też, Imri – wymruczałam. – Ja też nie wiedziałam.

– I co teraz? – Joscelin przemówił twardym głosem, zwracając się do Sabejczyków.

Stanęłam obok niego.

Zdjęli hełmy i odłożyli tarcze w trakcie długiego oczekiwania – musiało być długie, bo słońce, jak zobaczyłam, wisiało już wysoko na niebie. Hanoch ben Hadad patrzył na mnie z mieszaniną strachu i niedowierzania.

– Ujrzałaś Święte Imię? – zapytał.

– Tak.

– Skąd mamy wiedzieć, że to prawda?

Nie musiałam odpowiadać. Tylko patrzyłam na niego, podczas gdy Imię Boga huczało jak grzmot w moich myślach i wzbierało w ustach, aż nie śmiałam wypowiedzieć słowa. Po drugiej stronie polany kapłan

z linii Aarona stał w drzwiach świątyni, patrząc z powagą, klejnoty błyszczały na jego złotym napierśniku, złoto spoczywało na czole, bosa stopy na ziemi.

– Hanochu – powiedział z drżeniem któryś z żołnierzy. – Hanochu, jest światłość na jej twarzy. Boję się. Nie pytaj więcej.

– Dlaczego? – Sabejski kapitan podniósł w gniewie głos. – Dlaczego ty po tak długim czasie?!

I na to też nie mogłam odpowiedzieć. Gdybym śmiała, mogłabym rzec, że nie klątwa, nie gniew boga wiązał ich przez stulecia, lecz strach i poczucie winy. Kapłan to wiedział. Ilu innych przed nim wiedziało? Nikt jednak nie miał odwagi, by pytać tych, którzy zostali pozbawieni głosu. A ja... to nie było moje miejsce, Adonai nie był moim Bogiem. Nie mogłam za niego odpowiadać Sabejczykom. Musieli zapytać Go sami. To, co zostało mi powierzone, służyło tylko jednemu celowi. Nadużycie byłoby grzechem.

– Pani. – Młody żołnierz wystąpił z brązowym hełmem pod pachą, patrząc na mnie łagodnie i ze zdumieniem. – Jestem Eszkol Ben Awidan i nie lękam się. Przepraszam, że próbowaliśmy cię zatrzymać. Jeśli chcesz zawieziemy cię do Tisaaru. A tam, jak myślę, będziesz mogła pójść wolna, choć nie mnie o tym decydować.

– Eszkol! – syknął ben Hadad. – To niesubordynacja!

– Nie, kapitanie – zaprzeczył żołnierz grzecznie. – To, jak myślę, mądrość.

Kapłan uśmiechnął się w drzwiach świątyni.

– Tak, żołnierzu – powiedziałam, przełykając ślinę, broniąc się przed upartym naciskiem Imienia. – Jeśli zechcesz nas zabrać, pójdziemy.

SIEDEMDZIESIĄT OSIEM

Była to długa podróż do Tisaaru, i dziwna. Przez większą jej część siedziałam w milczeniu, ucząc się oddychać i myśleć z budzącym grozę Imieniem Boga w umyśle. Z wyjątkiem wciąż ponurego, niepewnego Hanocha ben Hadada, Sabejczycy wiosłowali chętnie, zmieniając się co jakiś czas, rozmawiając ściszymi głosami jak ludzie, którzy widzieli wydarzenia wykraczające poza zrozumienie. Nawet żołnierz raniony przez Imriela nie chował urazy.

Natchnęła ich odwaga Eszkola ben Awidana, słyszałam w ich głosach i widziałam w twarzach jutrzenkę podziwu, zaranie nadziei. Tego dnia zostały posiane nasiona, które wydadzą owoce długo po naszym wyjeździe. Zastanawiałam się, czyim byłam narzędziem. Przez tak długi czas skupiałam się na jednym celu, na uwolnieniu Hiacynta.

Teraz, tutaj, był cały lud, którego izolacja trwała dłużej niż życie Pana Cieśniny. Czyjemu służyłam celowi? Może byłam tylko małą dźwigni w planie Adonai, służącą do wprawienia w ruch jakiegoś wielkiego koła, gdy po wielu stuleciach zwrócił uwagę na zaniedbane plemię Dana? Nie wiedziałam.

W końcu to nie miało znaczenia.

Uzyskaliśmy to, po co przybyliśmy.

To, co nastąpi po naszym wyjeździe z Sabą, było sprawą samych Sabejczyków i Adonai, Boga Jedynego, ich Pana Zastępów. Co do nas... Zadrżałam.

Nigdy naprawdę nie wybiegałam myślami poza ten punkt. Czekają

nas różne reperkusje za samowolne zabranie Imriela de la Courcel na niebezpieczną wyprawę do kraju, który był na wpół legendarny nawet w dalekim Dżebe–Barkał, a to, co nastąpi potem... było sprawą Rahaba i moją.

Otóż to, pomyślałam. Tym brzemieniem nie mogę ani się podzielić, ani przekazać go nikomu innemu; jest moje, wyłącznie moje, z Imieniem Boga wypalonym w mojej głowie. I tak być powinno, albowiem Hiacynt zajął moje miejsce. Ale tego dnia dwa razy stawiałam czoło śmierci i byliśmy daleko od domu, a na drodze nie brakowało bandytów, lwów i krokodyli, czekała nas długa morska podróż i gniew Ysandry, co nie było drobiazgiem. Dlatego postanowiłam, że później będę się martwić o spotkanie z aniołem pychy i zuchwałości, ponieważ teraz miałam zbyt wiele spraw do zgłębienia.

Zapadał wieczór, gdy dotarliśmy do Tisaaru. W porcie było pełno ludzi – mężczyzn, kobiet i dzieci, patrzących w milczeniu, czekających na nasz powrót. Semira z Jewuną i kilkoma innymi stały z upartymi, zawziętymi minami, obrzucane krzywymi spojrzeniami starszych sanhedrynu.

– Ludu Tisaaru! – przemówił do zebranych Eszkol ben Awidan, wyskoczywszy zwinnie na nabrzeże. – Bracia i siostry, Melehakimowie! Tego dnia widzieliśmy tajemnicę.

Opowiedział im, co się stało, podczas gdy cumowano statek, a my wysiadaliśmy. Straszne sylaby Imienia kołatały się w mojej głowie i cieszyłam się, że nie muszę mówić. Żadne z nas nie czuło się zbyt dobrze. Po długim znoju Joscelin wyglądał na wyczerpanego, smugi zaschniętej krwi czerwieniały na jego dłoniach i pod zarękawiami, a Imriel miał sine kręgi pod oczyma. Zastanawiałam się, czy kapłan otworzyłby drzwi, gdyby Imri nie wrzasnął. Czy to dźwięk zrodzony z bólu i grozy Daršangi podszył serce Adonai? Możliwe. Jeśli tak, Imriel odegrał rolę, jakiej żadne z nas nie mogło przewidzieć.

Tak rozmyślałam, niezdolna poświęcić słowom Eszkola należytej

uwagi, uwikłana w tajemnice zamknięte w mojej głowie. Ale kiedy Eszkol skończył, starsi sanhedrynu stłoczyli się, zasypując mnie pytaniami, niespokojni i natarczywi.

– Czy głos Adonai przemówił spomiędzy cherubinów?

– Jaka jest natura Świętego Imienia?

– Ośmieliłaś się podnieść kaporet?

– Panowie. – Mój głos był chrapliwym szeptem. – Nie mnie odpowiadać na wasze pytania.

– Zatem komu? – zapytał natarczywie białobrody Bilga. – Ty podważyłaś nasz autorytet, idąc tam, gdzie zakazaliśmy! Ty wszczęłaś walkę na świętej ziemi! Kogo mamy zapytać, jeśli nie ciebie?

– Zapytaj Adonai, stary głupcze! – zawołała Semira z grupy kobiet. – Albo kapłana, potomka Aarona i Nemuela, który przemawia w imieniu Pana Zastępów. Czy zapomniałeś, kim jesteśmy? Nie dziwota, że Adonai zachował milczenie! – Z dezaprobatą kręcąc głową, przepchnęła się przez grupę starszych. Zobaczyłam współczucie wypisane na jej pobrużdżonej twarzy, i mądrość wyzierającą spod dawnego smutku. – Ach, dziecko. To ciężkie brzemię, prawda?

Pokiwałam głową.

– Tak mówią – mruknęła. – Tak mówią.

Wciąż sprzeczekali się o to – mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy. Zamknęłam oczy i słuchałam, słysząc głębokie tony strachu i wątpliwości zderzające się z dźwięcznym brzmieniem nadziei i wiary. Sprawa nie zostanie przesądzona ani tego dnia, ani w najbliższej przyszłości. To jednak wystarczyło. Sprzeczekali się o znaczenie, ale wierzyli. Niepojęta wola Adonai została objawiona. Nie będzie kary, nie dla nas.

– Fedro. – Joscelin chwycił mnie za łokieć i podtrzymał. Nie zdawałam sobie sprawy, że słaniam się na nogach. – Chodź. Semira mówi, że dysputy nieprędko się zakończą. Potrzebujesz odpoczynku i jedzenia, jak my wszyscy. – Jewuna czekała z Imrielem.

– Co z Tifarim Arnu i pozostałymi? – zapytałam z trudem.

– Żywi i uwięzieni. – Skrzywił usta w cieniu dawnego cierpkiego uśmiechu. – Nie uciekli. Dżebeńska duma, jak myślę. Eszkol rozmawiał z dowódcą oddziału wysłanego przez ben Hadada. Powiedział, że poddali się mniej więcej pokojowo, by czekać na nasz powrót.

– Możemy doprowadzić do ich zwolnienia?

– Eszkol się tym zajmuje.

– Dobrze. – Widziałam jasny płomień odwagi w sercu młodego żołnierza, i jego blask miał rozjaśniać przyszłość Saby. – Chodźmy więc, zanim się przewrócę.

Nie było łatwo przebić się przez tłum. Ludzie napierali, chcąc nas zobaczyć. Zmęczona, z ciężką głową, szłam skupiona na stawianiu jednej nogi przed drugą, a sylaby Imienia rezonowały z każdym moim krokiem. Jewuna zaopiekowała się Imriem, z czego byłam rada. Joscelin ostrzegawczymi spojrzeniami odpierał największe zapędy zgromadzonych. Nikt nie zgłosił sprzeciwu, że kasjelita wszedł uzbrojony do miasta Tisaaru.

Raz jednak przystanął niepewnie.

Płacząca kobieta zastąpiła nam drogę. Nawet Jewuna stanęła, pochylając głowę.

– Ardat – rzekła ze smutkiem, witając córkę.

– Wybacz mi – poprosiła Ardat ze łzami w ciemnych oczach. – Bałam się. Bałam się! – Uniosła oburącz dziecko. – Każ mi nosić hańbę, jeśli musisz, ale błagam cię, oszczędź klątwy mojej córce i udziel jej swojego błogosławieństwa!

– Mojego błogosławieństwa? – Zduszony śmiech uwiązał mi w gardle, gdzie tkwiło Imię Boga. – Ardat... nie ma żadnej winy, nie ma klątwy. Jeśli nawet twój strach był głupotą, to zrodził się z miłości. Jestem D'Angelina, w moim sercu nie gości żal. Kto może wiedzieć, co by się stało, gdybyś nas nie zdradziła? Być może nie znaleźlibyśmy Kaporetu.

Zadrżały jej usta.

– Zatem nie pobłogosławisz mojego dziecka?

Popatrzyłam na niemowlę, które trzymała w wyciągniętych rękach. Twarzyczka dziewczynki krzywiła się z niezdecydowania, czy się uśmiechnąć, czy rozplakać.

– Ardat, to nie moja rola. Nie jestem kapłanem, żeby przemawiać w imieniu Adonai. Jestem Fedra nó Delaunay de Montrčve, sługa Naamy i wybranka Kusziela, *anguisette* Delaunaya i najślawniejsza kurtyzana Terre d’Ange. Czy takiego błogosławieństwa chcesz dla swojej córki?

– Tak – szepnęła, a ja wiedziałam, że nie zrozumiała ani jednego mojego słowa. – Proszę, pani!

Popatrzyłam na Joscelina, który wzruszył ramionami.

– Kochaj jak wola twoja – powiedziałam po d’Angelińsku, kładąc rękę na główce dziecka. – I obyś znalazła w tym mądrość.

Twarz Ardet uległa przemianie.

– Dziękuję, pani, dziękuję! – zawołała z ogromną radością, biorąc córeczkę na jedną rękę, a drugą podnosząc moją dłoń do ust. – Dziękuję!

Odeszła, trzymając dziecko i gnąc się w ukłonach, a Jewuna, zła na nią, kazała nam się pospieszyć. Nie rozmawialiśmy w drodze, dopiero gdy bezpiecznie dotarliśmy do domu, gdzie w kuchni czekała na nas zatroskana kucharka i mnóstwo przygotowanego jedzenia. Byliśmy zmęczeni | żadne z nas nie jadło przez cały dzień. Cudowny smak kurczęcia duszonego z papryką wypełnił moje usta bogatymi sokami. Przełknęłam, świadoma, jak pożywna strawa wędruje do mojego brzucha, jak siła wraca do moich członków. Jakim cudem są dzieła ziemi, i my, śmiertelne dusze, które ją zamieszkujemy!

Później, gdy Imriel się kąpał, a Jewuna krzątała po domu, namoczyłam i rozwinęłam pasy płótna z rąk Joscelina, krzywiąc się na widok zdartej skóry. Zniósł moje zabiegi bez skargi, tylko posykiwał przez zęby, gdy czyściłam rany i smarowałam je tynkturą z wężowego korzenia. Gdy założyłam czyste bandaże, mruknął:

– Powinienem zrobić to samo dla ciebie. Nie cieszyłabyś się tak bardzo.

Obejrzałam pokryte pęcherzami dłonie.

– Nie jest tak źle. Przynajmniej została mi skóra.

Joscelin roześmiał się, lecz oczy miał poważne.

– Jak się czujesz? Tak naprawdę?

– Naprawdę? – Z namysłem przekrzywiłam głowę. – Chyba dobrze. Dziwnie. Czuję się dziwnie. Jak dawniej, tylko jakby większa. Uczyniłam z siebie naczynie, a Imię mocno w nim ciąży. Teraz jest lepiej niż na samym początku. Nauczę się je nosić.

Pokiwał głową.

– Powiesz mi, co zaszło w świątyni?

Otworzyłam i zamknęłam usta, pokręciłam głową.

– Nie. Jest jeszcze za wcześnie.

– Nie sądziłem, że to będzie takie straszne. Myślałem, że najgorsze stało się na zewnątrz. Być może się myliłem. – Joscelin skrzywił usta w lekkim uśmiechu dezaprobaty. – Zabawne, prawda? Poszłaś, żeby wydrzeć imię Panu Zastępów, a ja nie miałem żadnego pomysłu.

– Ani ja. – Pomyślałam, jak bliska byłam klęski. – To był dar.

– Tak? – Popatrzył na mnie. – W takim razie lepiej użyjmy go mądrze.

– Mądrość, tak. – Skrzywiłam się. – Dziś wypowiedziałam śmiałe słowa o naturze strachu. Wyświadcz mi przysługę i przypomnij o nich we właściwym czasie.

– Gdy stawisz czoło Rahabowi?

Pokiwałam głową.

– Cokolwiek trzeba będzie zrobić, zrobimy to razem – powiedział, biorąc w obandażowane ręce moje pokryte pęcherzami dłonie. – Tyle powinnaś wiedzieć.

Zerknęłam w stronę tyłów domu, gdzie mieściła się łaźnia.

– Wszyscy razem?

– Myślisz, że uda się nam go zostawić? Dziś prawie ocalił ci życie,

Fedro. Jeśli ma gdzieś swoje miejsce, to przy nas. – Joscelin głęboko, urywanie zaczerpnął tchu, ścisnął moje palce. – Śmiałe słowa, wiem. Przypomnij mi o nich we właściwym czasie.

– Gdy stawimy czoło Ysandrze?

– Uhm.

To było wszystko, co wtedy powiedzieliśmy, bo wróciła Jewuna, zmęczona i blada, ale zadowolona.

– Posłałam chłopca do łóżka, jeśli nie macie nic przeciwko. Zrobił się senny w kąpieli i kazałam mu iść na górę. Ach, dziecko! Niebezpieczną ścieżką prowadzicie tak młodą osobę.

– Wiem, pani Jewuno – odparłam. – Wierz mi, sprawa nie jest prosta.

– Tak, tak myślę. – W jej życzliwych oczach zaśniła chytra iskierka.

– Nie jest twój, prawda?

– Nie. – Pokręciłam głową. – Nie jest naszym synem.

– Tak myślałam. – Wdowa pokiwała głową. – Mówi wam po imieniu, nie: matko i ojciec. Nie od razu zwróciłam na to uwagę, dopiero dzisiaj, kiedy cię wołał. Czyj on jest?

– To nie ma znaczenia – rzekł Joscelin łagodnie. – Nie tutaj. Daj mu spokój.

– Jest dzieckiem grzechu i głupoty?

– Po prostu jest dzieckiem – powiedziałam. – Ma własny charakter.

– Jak Ardat – mruknęła Jewuna. – Jak wszystkie nasze dzieci, gdy dorosną. Ach, dziecko, nie zamierzam naciskać. Wyświadczyłaś Ardat uprzejmość. Masz rację, najczęściej sami wykuwamy własne łańcuchy i nawet sam Adonai nie może nas od nich uwolnić. Musimy robić to osobiście. Jesteś miła, to ją ośmieliło.

Poradziła nam, żebyśmy skorzystali z łaźni, i odeszła, życząc dobrej nocy. Wyczerpani, zakończyliśmy rozmowę.

A jednak długo nie mogłam zasnąć, słuchając cichego oddechu Joscelina obok mnie i Imriela na sąsiednim materacu; na szczęście był zbyt zrnęczony, żeby śnić koszmary. Bolały mnie mięśnie, piekły

otarte dłonie. Gdyby doskwierało mi tylko to, mogłabym zasnąć; zaznałam gorszych rzeczy. Leżałam i wsłuchiwałam się w Imię Boga, tętniące w mojej głowie z każdym uderzeniem serca. Dysputy w bezsennym Tisaarze zataczały coraz szersze kręgi.

Niektóre łańcuchy są wykute dla nas.

Te jest najtrudniej nosić.

SIEDEMDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

Rankiem Tifari Arnu i jego towarzysze zostali wypuszczeni z więzienia. Byli trochę poturbowani, ale mogło być gorzej. Tifariemu dopisywał humor. Uśmiechnął się szeroko, gdy go objęłam.

– Kaneka ostrzegła mnie, że postąpię głupio, jeśli cię zostawię – powiedział, odwzajemniając uścisk. – Szczęście, że Bizan i pozostali wyrazili zgodę! Czy ruszamy do domu, pani?

Dom.

On myślał o Meroe, a ja o Terre d'Ange.

– Do domu – powtórzyłam z zapalem. – Tak, mój panie Tifari. Ruszajmy do domu.

Jak zawsze, łatwiej było powiedzieć niż zrobić. Wszystkie nasze rzeczy – wierzchowce, osły, ekwipunek i prowiant – zostały przejęte przez sabejskie wojsko. Ich odzyskanie było kwestią jednego dnia, zawstydzeni żołnierze pod wodzą Eszkola ben Awidana odstawili wszystko na miejsce. Drugi dzień minął na sprawdzaniu stanu zwierząt, bukłaków i zapasów.

Nastroje w Tisaarze były niezdecydowane, optymizm mieszał się ze strachem. Służyłam jako tłumaczka, gdy Tifari Arnu wystąpił przed sanhedrynem, zapewniając, że nie żywi urazy za nieporozumienie i przekazując serdeczne pozdrowienia od *rasa* Lijasu z Meroe, wnuka królowej Zanadachete. Starszyzna wysłuchiwała go, nie spuszczając ze mnie wzroku.

Przemówił też, razem z Bizanem, do rady kobiet, którą zwołała

Jewuna. Tutaj było weselej, bo Bizan flirtował niepoprawnie z pannami, co wymagało niewiele tłumaczenia.

Cokolwiek wyniknie w przyszłości, Saba już nigdy nie będzie taka sama. Przymierze mądrości zostało ogłoszone na nowo i część władzy wróciła w ręce sabejskich kobiet. Uważałam, że ją potraktują z najwyższą powagą. Nie wiedziałam, jak ich odnaleziona wola poradzi sobie z długotrwałym autorytetem sanhedrynu, ale w sprawie handlu z Dzebe–Barkal rada kobiet miała prawo głosu.

– Mówisz, że Dzebenowie nie są wrogo nastawieni? – zapytała mnie Semira, ściągając brwi.

– Mówię, matko, że Meroe dawno temu zapomniało o zatargu z Sabą – odparłam ostrożnie. – Co do reszty, zadecydują wasze dwa kraje.

– Byłoby miło mieć igły ze stali – szepnęła z zadumą.

Mieliśmy igły w naszych zapasach; posłałam Imriego, by poszukał w moich jukach. Elua świadkiem, nie miałam z nich żadnego pożytku, radzę sobie z igłą i nicią jak wielbłąd, a może jeszcze gorzej.

– Pani Semiro – powiedziałam, podając jej trzy igły różnej wielkości – proszę, przyjmij je z wyrazami mojej wdzięczności.

– Ojej! – Trzymała igły w pomarszczonych palcach, obracając je w ten sposób, żeby pochwyciły światło. Pięknie wykuta stal zamigotała. Musiałam zamrużyć, żeby nie zobaczyć Imienia Boga w rozbłyskach. Semira wypróbowała wytrzymałość jednej igły. – Istotnie, porządnie zrobiona. Przeszyje mocną bawełnę i się nie zegnije. Dziękuję, dziecko. To szczodry dar.

– Nie. – Pokręciłam głową. – To drobiazg w porównaniu z tym, co wy nam dałyście.

– A co takiego? – Staruszka uśmiechnęła się tajemniczo. – Szansę? Sami tworzymy swoje szansę, dziecko. Wystarczyło nam mądrości, żeby pozwolić przemówić Adonai własnym głosem. Módl się, żebyśmy zapamiętały tę lekcję. Ty w zamian dałaś nam znak. – Podniosła igły. – Nie miecze do siekania, nie zbroje do odpierania

mieczów, nie pługi do orki, ale igły do cerowania i zszywania. Niech to oznacza początek powrotu Saby do większego świata.

– Eluo, spraw, żeby tak było – mruknęłam.

– Elua! – powiedziała ze śmiechem. – Może pewnego dnia porozmawiamy o tym Elui, tak, i o Jezui ben Josefie zwanym przez Dzieci Izraela Masziachem. Może to bluźnierstwo, ale moim zdaniem z nich dwóch to zrodzony na ziemi Elua, który wywabił anioły z nieba, wydaje mi się bardziej interesujący. Nie wiem. Może tę kwestię rozstrzygną dzieci wnuków moich dzieci. – Semira trąciła mnie łokciem. – Wyświadczy nam przejęcie, dziecko. Jeśli zaczniemy handlować, jeśli za twojego życia zostaną otwarte szlaki do Saby, przyślij nam wieści, jak skończyła się ta opowieść.

– Opowieść? – zapytałam z konsternacją. – Wybacz mi, pani...

– Opowieść! Twoja opowieść o chłopcu na wyspie, skazanym wieczne życie.

– Hiacynt – powiedziałam, biorąc głęboki oddech.

– Otóż to. Książę Podróżnych! – powiedziała Semira. – Płakałam słuchając tej opowieści. Jest prawdziwa, prawda?

– Tak. Prawdziwa.

– Musisz więc jeszcze zmierzyć się z aniołem Rahabem? – zapytała chytrze.

Święte Imię już czekało na moim języku. Ze strachu nie otworzyłam ust, tylko pokiwałam głową.

– No cóż. – Poklepała mnie po policzku. – Będziemy modlić się za ciebie i opowiadać twoją historię.

Czego się nie spodziewałam, Hanoch ben Hadad przyszedł do domu siostry przed naszym wyjazdem. Było to krępujące spotkanie. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie przy stole Jewuny, Joscelin stał za moim krzesłem z obandażowanymi rękami na sztyletach. Nikt już mu nie zabraniał nosić broni w mieście. Hanoch spoglądał na mnie nabiegłymi krwią oczami. Ostatnie dni były dla niego nielekkie. Patrzyłam nań z narastającą litością.

Przerwał milczenie, mówiąc drewnianym głosem:

– Postępowałem zgodnie z naszym prawem.

Pokiwałam głową.

– To zrozumiałe, kapitanie.

– Nie mieliście prawa tego robić. – Wezbrał w nim gniew wyrastający z poczucia niemocy. – Żadnego prawa!

– Wiem – przyznałam łagodnie. – Ale miałam wielką potrzebę.

Łzy błysnęły w jego oczach, gdy odwracał ode mnie wzrok.

– Czy wiesz, ile lat zmarnowaliśmy? Jak długo ukrywaliśmy się bez potrzeby?

– Tak. – Przełknęłam ślinę. – Hanochu...

Pokręcił głową.

– Adonai okazał nam miłosierdzie, jednak ja... sprzeciwiłem się Jego woli z twojego powodu. Nie rozumiem.

Na to nie miałam odpowiedzi, a przynajmniej nie taką, jakiej by wysłuchał.

– Przykro mi.

Po chwili wstał i złożył sztywny ukłon. Jego brązowa zbroja lśniła miękko w świetle kuchennej lampy.

– Oby twoja podróż przebiegała szybko i niech cię chronią twoi bogowie – rzekł. – Powiedziałaś prawdę, pani. Rad będę z waszego odjazdu.

– Na Eluę! – mruknął Joscelin po jego wyjściu. – Jeśli to miały być przeprosiny, to pozostawiają wiele do życzenia.

– Nie. – Wspomniałam wzór widziany w świątyni i wiedziałam, że jakby Hanoch nie próbował nas powstrzymać, gdybym tak bardzo nie bała się o Imriela, nie znalazłabym w sobie miejsca, w którym nie było mnie samej. Nawet w swoim miłosierdziu bogowie bywają okrutni. Hanoch zrobił to, co uważał za słuszne, nie mniej i nie więcej. – Biedny człowiek! Ma powody do rozgoryczenia.

– Współczułbym mu bardziej, gdybym nie widział jego miecza przy twoim gardle – powiedział Joscelin cierpko, zasiadając przy stole. –

Ale w jednym ma rację. Czas stąd wyjechać.

Tak minęły nasze ostatnie dni w Tisaarze, mieście nad Jeziorem Łez w legendarnej Sabie. Rankiem rada kobiet zgromadziła się u bramy miasta, żeby nas pożegnać. Wymieniliśmy pożegnalne podarki i Jewuna zamknęła Imriela w ostatnim uścisku. Odwzajemnił go bez lęku, przytulając policzek do jej twarzy, a ja pomimo smutku rozstania ucieszyłam się na ten widok.

Potem odwróciliśmy się w stronę domu, przejechaliśmy przez bramę i niedługo później miasto Tisaar zostało daleko za nami. Gdyby nie bezustanny grzmot w mojej głowie, nasz odjazd niewiele różniłby się od przybycia. Odmiana polegała też na tym, że Eszkol ben Awidan z oddziałem żołnierzy – w takim stopniu miłych, w jakim Hanoch był opryskliwy – eskortował nas do Wielkiego Wodospadu. Zakrawało na cud, że jesteśmy wszyscy razem i że nikt nie zginął.

Ja zaś wciąż uczyłam się żyć z Imieniem Boga.

Czasami było spokojnym nasieniem drzemącym w moim mózgu i niemal mogłam zapomnieć, że noszę je w sobie. A potem coś je budziło – bogaty zapach ziemi, ptak, wodospad – Eluo, wodospad! Wtedy wypełniało mnie niczym głos trąbek i zatraciałam się w zadumie, patrząc na świat tak, jakby z chwili na chwilę był tworzony na nowo. Gdy dotarliśmy do Wielkiego Wodospadu, stanęłam na skraju urwiska i długo patrzyłam w dół na ryczącą, spowitą przez mgłę gardziel, na tony wody spadające bez ustanku, i widziałam Imię wypisane we wzorach kotłującej się piany.

– Fedro.

To Imriel mnie odciągnął. Z jego ciemnoniebieskich oczu wyzierał strach. Staralam się powstrzymać Imię od wypełnienia mnie całej, ale nie było to łatwe.

Pół dnia jazdy za wodospadem pożegnaliśmy się z Sabejczykami. Eszkol też płakał. Patrzyłam, jak łzy wzbierają w jego oczach i przelewają się przez dolne powieki, spływając niczym kropelki

deszczu po mahoniowych policzkach, szepcząc po drodze Imię Boga.

– Dałaś mi marzenie – powiedział. – Nie jestem pewny jakie, ale to marzenie. Nigdy wcześniej żadnego nie miałem.

– Będiesz wiedział – zapewniłam z przekonaniem. To miało wypisane w geometrii kości, w wyraziście zarysowanych policzkach, w budowie dłoni. Brzmiało w jego głosie i pasji, z jaką mówił. – Jakakolwiek stanie się Saba, pomożesz ukształtować ją odwagą i mądrością.

– Modłę się, żeby tak było – powiedział z ukłonem. – Niech Adonai cię prowadzi.

– I was – odparłam, patrząc za nimi. – I was.

Miła po mili wracaliśmy wolno po własnych śladach.

Wędrówka prowadziła czasami przez wzgórza i przez niebosiężne szczyty, pod którymi daleko w dole rozpościerał się zielony dywan lasu. Patrzyłam na jastrzębie i myszołowy krążące ponad dolinami i kręciło mi się w głowie na widok gracji, z jaką rysowały kręgi nachylonymi skrzydłami. Jeśli Dzebenowie wcześniej myśleli, że jestem dotknięta przez boga, to teraz byli tego pewni; na wpół szalona i błogosławiona, ale skłonna do narażania się na niebezpieczeństwa. Nie byłam szalona, nie sędzę, choć nie mam pewności. Semira powiedziała prawdę; było to ciężkie brzemię.

Jeszuicki mistyk Eleazar ben Enoch twierdził, że Imię Boga było pierwszym wyrzeczonym słowem. Słowem, które zapoczątkowało stworzenie. Nie wiem, czy to prawda; każdy naród opowiada inną historię powstania świata. My jesteśmy dziećmi Elui, ostatnimi narodzonymi, i wzięliśmy świat taki, jaki zastaliśmy. Ale wiem, że w Imieniu była wielka moc, i kiedy płonęło w moich myślach, oglądałam świat innymi oczami.

Imrielowi się to nie podobało.

Dowiedziałam się dlaczego po tygodniu podróży.

Tego wieczoru zauroczyło mnie ognisko – rozżarzone węgielki w

grocie spiętrzonych gałęzi, płomienie skaczące powyżej i kolumna iskier pnąca się w czarne niebo. Jak długo patrzyłam zdumiona? Kilka sekund, myślałam, choć zapewne znacznie dłużej. W pewnej chwili spostrzegłam, że ktoś szarpie mnie za ramię.

– Fedro!

– Słucham? Przepraszam, zamyśliłam się.

Imriel potrząsnął głową i odwrócił wzrok.

– Wcale nie – mruknął.

– Imri. – Czekałam, aż na mnie spojrzy. – Staram się. Czuję się tak, jakby ktoś krzyczał mi do ucha, potrafisz zrozumieć? Kiedy to się dzieje, nie słyszę nic innego. Nie wiedziałam, że tak będzie, bo uprzedziłabym cię. Ale nikt nie pytał i nikt nie mógł przewidzieć.

– Wyglądasz tak, jak w Daršandze – powiedział szeptem.

– Co?

– Wyglądasz tak, jak w Daršandze! – Podniósł głos, przestraszony i z wyzywającą miną. – Gdy siedziałaś z Mahrkagirem w sali biesiadnej, twoja twarz... wyglądała tak samo, dokładnie tak samo!

– Naprawdę? – zapytałam Joscelina.

Uniósł brwi i wzruszył ramionami.

To skłoniło mnie do śmiechu. Elua tylko wie dlaczego, ale śmiałam się, a kiedy raz zaczęłam, nie mogłam przestać. Cała niedorzeczność naszej długiej podróży, ogrom naszego zadania, chaos, jaki zostawiliśmy za sobą, niezliczone wariacje ścieżki, którą było mi dane podążać – wszystko to spadło na mnie jednocześnie.

– Ach, Eluo – wysapałam, ocierając oczy. – Wygląda na to, że bogowie są podobni do klientów. Forma ich żądz może być inna, ale posiadanie sprowadza się do tego samego.

Imriel patrzył z lękiem na moją rozbawioną minę.

– Nic jej nie jest – zapewnił go Joscelin. Jego twarz wyrażała powątpiewanie.

– Och, Imri. – Z trudnością odzyskałam panowanie nad sobą. – To w niczym nie przypomina Daršangi, daję ci słowo. Posłuchaj, a opowiem

ci, co się wydarzyło.

Opowiedziałam wtedy im obu, co się stało, gdy weszłam do świątyni Kaporet. Opowiedziałam im o sprzętach, dokładnie takich, jak je opisano w Tanachu, i jak kapłan złożył w ofierze kadzidło, potem zaprowadził mnie do sanktuarium. Opowiedziałam im o arce pękniętych tablic, o cherubinach z twarzami Towarzyszy Elui. Opowiedziałam, jak wspólnie z kapłanem podnieśliśmy wieko i jak milczący gruz układał się w Imię, którego nie mogłam przeczytać.

Opowiedziałam im, jak wyrzekł je kapłan bez języka i co się stało ze mną.

Słuchali obaj, Imriel z szeroko otwartymi oczami, jak każde dzieci oczarowane opowieścią o cudach, już bez strachu. Co myślał Joscelin, nie umiem powiedzieć.

– Naprawdę wyglądałam jak u Mahrkagira? – zapytałam go później tej nocy, przytulając się doń na zsuniętych pryczach.

– Uhm. – Zasypiał, obejmując mnie ramionami. – I w sadzawce, po tym, jak złapałem rybę.

– Tam gdzie się kochaliśmy? – Uniosłam się na łokciu, żeby na niego spojrzeć.

– Tak. – Otworzył oczy. – I gdy po skaleczeniu przez strzałę Imri smarował ranę wężowym korzeniem, i w Niniwie, gdy mnie powiadomiłaś, że jedziemy do Drudżanu. Fedro, przywykłem. W Darśandze było inaczej, ale... twoja wędrówka z Imieniem Boga w głowie jest po prostu kolejnym przekleństwem, do którego trzeba przywyknąć.

– I trudno ze mną wytrzymać?

– Tak. – Objął mnie mocniej. – Ale warto.

Wydarzenia mogłyby potoczyć się inaczej tej nocy, gdyby Imriel nie spał w tym samym namiocie. Ponieważ był z nami, mogłam tylko fantazjować – i nazajutrz zasugerować Imriemu bez szczególnego taktu, żeby następną noc spędził u Bizana albo Nkuku. Uczynił to z

chęcią, bo cieszyło go uczucie, jakie okazywaliśmy sobie z Joscelinem. Mogę powiedzieć, że dobrze wykorzystaliśmy ten czas, i byłam z tego rada. Nie wiem, czy wskutek oczyszczającego śmiechu, opowiedzenia historii, czy uprawiania miłości uparta obecność Świętego Imienia stała się później łatwiejsza do zniesienia.

Choć prawdopodobnie przyczyną były deszcze.

Zaczęły się dwa dni po naszej rozmowie.

Po podróżach w Khebbel–im–Akad myślałam, że wiem co nieco o deszczu. Myliłam się. Deszcze, które padają w Dzebe–Barkal, nie są podobne do żadnych innych, i początek pory deszczowej oznacza koniec wszystkich podróży. My jednak wędrowaliśmy dalej. Gdybym wcześniej nie widziała krajobrazu, miałabym kłopoty z jego opisaniem, bo często przysłaniała go kurtyna ulewy. Jechaliśmy wierzchem, gdy było to możliwe, i szliśmy, gdy nie było, prowadząc konie przez zdradliwe wąwozy i po obluzowanych przez wodę rumowiskach. Na równinach brnęliśmy wzdłuż brzegów wezbranej Tabary, z opuszczonymi głowami, kuląc się w spadających na nas płachtach wody.

Rankami deszcze na jakiś czas ustawały.

I Wtedy zjawiały się muchy.

Kaneka nazwała je krwio pijnymi i teraz wiedziałam dlaczego. Były czarne i natrętne, ich ukąszenia piekły jak wszyscy diabli. Nasze zwierzęta były na wpół oszalałe, a my w niewiele lepszym stanie. Muchy sprawiały, że czekaliśmy na deszcz. Wieczorami deszcz i dym, o ile udało nam się rozpalić ogień, trzymały owady na dystans. Czasami drewno było zbyt mokre i nawet Bizan nie mógł wyczarować płomienia. Wszyscy nauczyliśmy się nosić hubkę owiniętą w nieprzemakalną skórę.

– Możemy rozbić obóz, pani, i przeczekać deszcze – powiedział Tifari Arnu po pięciu dniach niedoli. – Na wyżynach nie jest tak źle. Możemy zbudować szałas, zwierzyny nie brakuje.

– Jak długo?

Wzruszył ramionami.

– Może trzy miesiące.

Wówczas dotarlibyśmy do Menechetu w zimę, za późno na znalezienie statku. Popatrzyłam na Imriela owiniętego w burnus, na Joscelina zgarbionego w ulewie. Nasi tragarze na przemian klęli i błagali osły, których krótkie nogi głęboko zapadały się w błoto.

– Co radzisz, Tifari?

– Tylko szaleńcy podróżują w czasie pory deszczowej, pani. – Popatrzył na rozciągniętą linię ludzi i zwierząt. – Szaleńcy i my. Pytasz mnie? Chcę wrócić do domu, pani. Jeśli masz odwagę w sercu, radzę jechać dalej.

– Jedziemy dalej – powiedziałam, myśląc: Jedziemy do domu.

OSIEMDZIESIĄT

Podróż była żalosna.

Nie ma słów, żeby ją opisać. Ruszaliśmy w godzinach rannych, gdy ustawały deszcze. Wschodzące słońce ogrzewało błotnistą ziemię, jechaliśmy więc jak w łaźni parowej, w powietrzu gęstym od zielonego smrodu gnijących roślin. Zachowanie czegokolwiek suchego graniczyło z cudem. Zapasy ziarna pleśniały i kiełkowały w workach.

Żywiliśmy się głównie mięsem upolowanej zwierzyny.

A kiedy go nie było, głodowaliśmy, bo większość zabranego prowiantu uległa zepsuciu. Na szczęście nie brakowało wody i bujnej trawy dla zwierząt. Gdybyśmy mogli jeść to samo, co one! Tifari i Bizan polowali, więc przez dwa dni na trzy mieliśmy co jeść, a gdy jechaliśmy w pobliżu rzeki, Joscelin łowił ryby. Przynajmniej one nie miały nic przeciwko ulewom.

Wciąż prześladowały nas muchy, a także choroby. Yedo, jeden z tragarzy, dostał gorączki, co zatrzymało nas na trzy dni. W najcięższym stadium bredził, czoło miał suche i rozpalone pomimo wszechobecnej wilgoci. Pomogłaby wierzbowa kora, gdybyśmy ją mieli. Siedziałam przy nim przez całą noc, mocząc mu czoło gąbką, i wspominałam Ismenę, helleńską dziewczynę, która zmarła po wyjeździe z Daršangi.

Ismena zmarła. Yedo przeżył, gorączka spadła przed świtem, a on, wycieńczony, pocił się w wilgotnym powietrzu. Kto wie dlaczego.

Potem znów zwinęliśmy obóz i brnęliśmy dalej w ssącym bagnie,

powoli zmierzając ku Meroe. Konie miały grzbiety otarte od siodeł i nisko zwieszały dumne umajjackie głowy, z mokrymi grzywami przyklejonymi do zlanej deszczem skóry. Objuczonym ciężkimi pakunkami osłom nie wiodło się lepiej. Okładaliśmy otarcia sproszkowaną siarką, z której w wilgotnym powietrzu zrobiła się papka. Niewiele pomagało. Nic nie pomagało. Gdzie były otarcia, tam w nocy muchy składały jaja. Oboje z Imrielem nauczyliśmy się je wybierać i robiliśmy to sprawnie, bo mieliśmy palce mniejsze niż inni.

– Mogłeś zostać na dworze – przypomniałam mu. – Jeść przepiórcze jajka gotowane w koszulkach i słodzone fiołki ze srebrnego talerza.

Spojrzał na mnie wilkiem spod ociekającego wodą kaptura.

– Wolę być tutaj.

Trzeba mu oddać, że nigdy się nie skarżył – i nie spowalniał nas, jego chłopięce ręce wprawnie radziły sobie z wodzami wałacha. Wątłość znana mi z Daršangi maskowała żyłastą siłę i miał, dzięki Elui, silny organizm. Podczas gdy wszyscy drapaliśmy się i kasłaliśmy, obolali i pokąsani, nękani przez muchy, febrę i ciernie, Imri pozostawał okazem zdrowia. Najgorsze były oparzenia słoneczne od jazdy z gołą głową w pogodne godziny poranka, gdy mokry burnus suszył się na łęku siodła.

Muszę powtórzyć, że bez Tifariego Arnu i innych zabłądzilibyśmy co najmniej kilkanaście razy, szukając na wyżynach rzeki, która płynęła w głęboko wyciętych dolinach, rwąca i grzmiąca. Pomimo moich najlepszych starań mapa *rasa* Lijasu przemokła we wszechobecnej wilgoci atrament się rozmył, oznaczenia stały się nieczytelne. W górach prowadził nas Tifari, a na równinach Bizan. Wkład tragarzy – Nkuku, Yefo, Bomaniego i Najji – był wcale nie mniejszy.

W ten sposób wędrowaliśmy na północ przez Dzebe–Barkal, mila za znojną milą. Nie napotkaliśmy ludzi, i dobrze, bo znaki z Meroe były poobijane, oblepione błotem i zupełnie nie do poznania. Raz w

dali dostrzegliśmy lwy i serce zabiło mi mocniej na ich widok. Wczesnym rankiem, na zmytej przez deszcz równinie, ozłocona przez słońce para wznosiła się w narastającym cieple. Lwy upolowały albo znalazły martwe zwierzę – Bizan powiedział nam, że nie gardzą padliną – i otaczały zdobycz, pięć samic i jeden samiec.

– Patrzcie – powiedział Bizan, wskazując palcem na drugą stronę szerokiej rzeki.

Zatrzymaliśmy wierzchowce i obserwowaliśmy, jak szarpia zębami antylopę, bezpieczne na przeciwnym brzegu Tabary. Zwróciłam uwagę na ich straszną siłę, na mięśnie prężące się pod płową skórą. Sylaby Imienia Boga huczały w mojej głowie. Jedna z samic podniosła umazany krwią pysk i patrzyła na nas. Samiec podszedł na brzeg rzeki i krążył, potrząsając bujną grzywą.

Nic dziwnego, pomyślałam, patrząc nad wodą w jego złociste oczy. Ach, Eluo, nic dziwnego, że tak wielu dostrzegało w nim oblicze boga!

– Są leniwe – powiedział Nkuku z uśmiechem. – W głębi duszy lew jest rad, że stoimy po drugiej stronie rzeki. To kobiety wykonują pracę, tak?

Później znów zaczęło padać i w milczeniu posuwaliśmy się przez błoto w zielonych górach wzdłuż wąwozu rzeki. Wierzchowiec Tifariego nabawił się choroby kopyt i musieliśmy zatrzymać się na jeden dzień. Najja ugotował jakieś korzenie i przygotował cuchnący okład, który, jak przysięgał, wyciągnie chorobę. Namioty przeciekały, krwiopijne muchy zlatywały się chmarami i wszyscy chodzili rozdrażnieni. Co jeszcze powiedzieć? Była to żałosna podróż. I, jak wszystkie podróże, miała swój koniec.

Nie rozpoznałam rozłożystych eukaliptusów, gdy zjechaliśmy z wyżyn na kolejną równinę. Było popołudnie i padało, chmury jak okiem sięgnąć przysłaniały niebo. Wieczorem rozbiliśmy obóz i zjedliśmy na kolację paski na wpół uwędzonego mięsa gazeli sprzed dwóch dni.

Rankiem dotarliśmy do miejsca, gdzie nad wezbraną Tabarą stały

solidne chaty z błota.

– Debeho – powiedział z lekkim uśmiechem Tifari Arnu. Nie trzeba mówić, że powitanie było radosne.

I wilgotne, rzecz jasna; żadne miejsce w Dzebe–Barkal nie jest odporne na deszcz. Ale wieśniacy przyjęli nas jak swoich. Sama Szoanete wyszła nam na spotkanie, kuśtykając o laskach. I Kaneka! Wyglądała jak prawdziwa królowa, choć woda spływała po jej akadyjskim stroju. Objęłam ją, niezmiernie rada, że znów ją widzę.

– Ach, mała. – Głos dudnił w jej piersi. Odsunęła mnie na długość ramion i spojrzała mi w oczy. – Znalazłaś, prawda?

– Tak. – Chciało mi się śmiać i płakać zarazem. – Znalazłam.

– Dobrze. – Jej zęby błysnęły w uśmiechu, gdy uniosła rękę i zacisnęła ją na skórzanym woreczku noszonym na szyi. – Moje kości zawsze mówią prawdę. Wiedziałam, że jesteś wyjątkowa. Masz historie do opowiedzenia mojej babce, prawda? Teraz ogromnie mnie ciekawią takie sprawy.

– Mamy dużo do opowiedzenia, *fedabin*. – Z uśmiechem ucisnęłam jej rękę. – Tak, możesz być pewna! Mamy wiele historii.

I opowiedzieliśmy je tego dnia i w nocy, podczas gdy mieszkańcy Debeho nas gościli, a deszcz bębnił po gęstej strzesze ich głównej chaty, budowli bez ścian, otoczonej tylko niskim murkiem ze spieczonej na słońcu gliny. Pod dachem było prawie sucho. Maczając gąbczasty chleb we wspólnych miskach z pikantnym gulaszem, jedliśmy palcami i opowiadaliśmy o Melehakimach i o tym, co się wydarzyło na ziemi Saby. Sędziwa Szoanete słuchała i z aprobatą kiwała głową, kątem oka zerkając na Tifariego Arnu, który siedział skromnie obok jej postawnej wnuczki. Podziwiałam jego odwagę. Kaneka parsknęła, udając, że nic sobie z tego nie robi, ale widziałam, jak popatruje na niego z namysłem.

„Kochaj jak wola twoja”, szepnęłam, a Imię Boga pulsowało na moim języku.

Imriel z łatwością odnowił stare przyjaźnie, witając się z towarzyszami zabaw. Nim posiedzenie dobiegło końca, biegał na wpół nagi jak oni wszyscy, w samych spodniach. Skórę miał łaciatą, twarz i ręce opalone przez słońce – choć łuszczył się jak wąż, gdy oparzenia zbladły – a tors mlecznobiały. Dzieci ganiały po całej chacie, chlapiąc się wodą, bawiąc w berka wśród woali wody ściekającej z okapów, starsze dokuczały młodszym, chłopcy droczyli się z dziewczynkami. Dobrze było – ach, Eluo, jak dobrze – widzieć Imriela de la Courcel zajętego zabawą, śmiejącego się i krzyczącego jak każdy inny chłopiec w jego wieku.

– Gdyby tak mogło zostać – mruknął Joscelin.

– Wiem – powiedziałam i pochyliłam się, żeby go pocałować. – Wiem, kochanie.

Kaneka usłyszała i włączyła się do rozmowy.

– Chłopiec dobrze wygląda – stwierdziła rzeczowo. – Wasze towarzystwo mu służy, mała. Czy ktoś pomyślałby o tym, gdy splunął ci w twarz? Sama się zakładałam, że długo nie pociągnie, gdy Mahrkagir znów weźmie go w obroty.

– Nie mówiłaś mi o *tym*, *fedabin* – obruszyłam się, sztywniejąc.

Zaśmiała się i poklepała mnie po policzku.

– Nie złość się! Kto mógł wiedzieć w Darśandze kim jesteś? Widziałam znaki, ale straciłam wolę, żeby je odczytać. – Pomacała ramię Joscelina nie kryjąc podziwu. – I ty, panie Joscelinie. Lampart wśród wilków. Widzę, że ręka dobrze się zrosła.

– Mniej więcej, pani Kaneko. – Uśmiechnął się łagodnie. – Nie jest taka, jak dawniej, ale wystarczy, by służyć.

– Więc służy ci należycie, mała? – Kaneka trąciła mnie łokciem, żebym dobrze ją zrozumiała. D'Angelinowie są bardziej subtelni w takich przekomarzeniach. Jej babka Szoanete zachichotała, wspierając się na laskach. – Nie masz powodów do narzekań?

Zarumieniłam się mocno.

– Nie, *fedabin*.

– To dobrze. – Kaneka usiadła na swoim stołku, kiwając głową. – Dobrze. Zatem dobrze się stało. Historia może zakończyć się szczęśliwie. To ważne w takiej opowieści.

– Jest dla nas nadzieja – powiedziałam. – Gdzie życie, tam nadzieja. Ale inni drogo zapłacili za naszą nadzieję. Za nasze życie.

– Drucylla – szepnęła Kaneka. – Jolanta, Naznina. Erich, Ruszad... tak, i inni, wielu innych. Nie bój się, mała. Nie zapomniałam. Opowiem także ich historie i ich poświęcenie nie zostanie zapomniane. Zenana Daršangi przetrwa w moich opowieściach, z całą swą desperacką odwagą. I, jeżeli Amon-Re pozwoli, opowieści wprawia w ruch wydarzenia, które być może bez nich nie nastąpiłyby w Dzebe-Barkal. Ale to ważne, mała, że nadzieja żyje. Bo kiedy zgaśnie... wtedy otwierają się wrota rozpacz, przez które Pan Śmierć wkracza do świata żywych. Rozumiesz?

– Tak – odparłam, patrząc jej w oczy. – *Tak, fedabin.* Rozumiem.

Spędziliśmy kilka dni w Debeho i dla mnie wyjazd był równie niemiły jak poprzednim razem. Może to zabrzmiało głupio, ale w niewielu miejscach byłam szczęśliwsza. W wiosce, która na pierwszy rzut oka wydawała się biedna, mieszkali ludzie bogaci w życzliwość, posiadający bogactwo wiedzy. Obdarowali nas hojnie, dzieląc się tym, co mieli, i opuściliśmy Debeho w czystych, suchych ubraniach, z załatanymi i namoczonymi w oleju namiotami, z uzupełnionym prowiantem i z zadbanymi, wypoczętymi zwierzętami.

W czasie wszystkich przeprowadzonych rozmów widziałam Imię Boga wypisane niepoznawalnymi literami.

– To ostatnie rozstanie – powiedziała Kaneka, obejmując mnie przed odjazdem. – Wiedziałam, że wrócisz. Ach, mała, trzymaj się i uważaj na siebie! Będzie mi ciebie brakowało.

– A mnie ciebie. – Uśmiechnęłam się do niej. – Powodzenia, Kaneko. – Spojrzałam w stronę karawany. Tifari Arnu przyglądał się naszemu pożegnaniu z cierpliwością myśliwego. – I gdyby ktoś z nas wrócił,

modle się, żebyś przyjęła go życzliwie.

Kaneka wybuchła śmiechem.

– Czy ty nigdy nie przestaniesz się wtrącać?

– Chyba nie.

– Hmm. – Zerknęła z ukosa na Tifariego, zastanawiając się. – Jeśli góralski przewodnik *rasa* zapragnie wrócić do Debeho, nie będzie niemile widziany. Czy to cię zadowala, mała?

– Tak – odparłam z uśmiechem. – Jak najbardziej.

Odjechaliśmy szybko, nim zaczęło padać, nim smutek zdążył zapuścić korzenie. Pożegnania zawsze są trudne. Jakie historie będzie opowiadać o nas Kaneka, kiedy się zestarzeje? Może nigdy się nie dowiem, bo Debeho leży daleko, a jej historie nie będą zapisywane, tylko przekazywane ustnie.

Może pewnego dnia przenikną do Terre d'Ange, prawda spleciona z fikcją, barwne jak płaszcz bajdura, romanse, przygody i tragedie zszyte lśniąca nicią nadziei, upominające słuchaczy, żeby kochali prawdziwie, czcili zmarłych, stali na straży przymierza mądrości i nigdy, nawet w najczarniejszych godzinach, nie poddawali się rozpacz.

Miałam nadzieję, że tak będzie.

OSIEMDZIESIĄT JEDEN

Jechaliśmy do Meroe.

O tej podróży powiem niewiele, mijała bowiem bez przygód, chyba że bezustanny deszcz uznać za ciekawe wydarzenie. Tifari Arnu cieszył się, bo przekazałam mu słowa Kaneki, i starał się narzucać jak największe tempo. Była to jednak mokra, znojna podróż, dlatego z niecierpliwością oglądałam jej końca.

– Pamiętaj o tym, kiedy znajdziemy się na pustyni – skomentował Joscelin, wyzymając przemoczoną *chamma*.

Nim dotarliśmy do Meroe, deszcze zaczęły słabnąć. Wzdłuż brzegów rzeki rolnicy mierzyli poziom wody i czekali na ustąpienie zalewu, żeby wysiać bawełnę i proso. Słońce świeciło jasno, z każdym dniem coraz dłużej, i przesiąknięta ziemia parowała.

Meroe.

Miasto wydawało się niemal starym przyjacielem po naszej długiej podróży. Wszystko, co widziałam – potężne piramidy, karawany kupieckie z długimi rzędami wielbłądów, wewnętrzne mury królewskiego pałacu, haftowane peleryny żołnierzy, nawet słonie, których wielkie jak półmiski stopy podnosiły się z błota z głośnym mlaśnięciem – wyglądało znajomo i przyjaźnie. Tifari Arnu zaprowadził nas do tego samego zajazdu, w którym zatrzymaliśmy się za pierwszym razem, i wytargował u właściciela najlepsze pokoje.

– Wypocznijcie – poradził – i korzystajcie ze wszystkich udogodnień. Ja muszę zameldować się u *rasa* Lijasu, który

niewątpliwie jutro zechce was przyjąć.

Dziwnie było się rozstać po tak długim wspólnie spędzonym czasie. Z Tifarim i Bizanem mieliśmy się jeszcze zobaczyć, ale nie z tragarzami, którzy po odebraniu zapłaty od *rasa* wracali do swoich rodzin. Ucałowałam ich wszystkich na pożegnanie, przepełniona uczuciem sympatii. Joscelin wyciągnął znacznie skrócony łańcuch monet kupca, który nosił pod *chamma*, i dał im po ogniwie.

– To niewiele – przeprosił w kulawym dżebeńskim – po prostu na podziękowanie.

Najcichszy z tragarzy, Bomani, chciał oddać swoje ogniwo.

– Nie trzeba, panie. *Ras* nam zapłacił, a was czeka daleka droga.

– Nie trzeba – powiedział Joscelin stanowczo.

– Ja swoje zatrzymam – oznajmił Nkuku, klepiąc Joscelina po plecach – i będę pamiętać o człowieku, który tańczył z nosorożcem. Nic dziwnego, że wpadłem w krzaki!

Posypało się znacznie więcej żartów, nim się rozstaliśmy – Nkuku miał dla mnie szereg chytrych rad, jak postępować z węzami i co robić w sadzawkach – ale potem odeszli. Każdy pożegnał się z Imrielem, traktując go niemal jak równego sobie.

Cóż, czemu nie, pomyślałam. Zasłużył na to.

Nasze pokoje były przestronne, ładne i suche. Nikt, kto nie spędził niezliczonych dni całkowicie przemoczony, nie potrafi zrozumieć, jaki luksus znaleźć się w suchym miejscu. Po raz pierwszy w życiu nie miałam ochoty pójść do łaźni, ciesząc się, że nie czuję wody na skórze. A jednak poszłam i byłam zadowolona, a jeszcze bardziej rada, gdy okręciłam się grubym bawełnianym szlafrokiem, czystym i cudownie suchym.

Większość naszych ubrań, niestety, nie nadawała się do użytku, z wyjątkiem wieśniaczego przyodziewku, jaki dostaliśmy w Debeho. Stroje od *lugala*, zielona suknia projektu Favrieli nó Dzika Róża i ta z różowego jedwabiu z kryształowymi paciorkami – wszystkie uległy

zniszczeniu, materiał spleśniał z wilgoci. Patrzyłam na nie z przerażeniem.

– To tylko ubrania – powiedział Joscelin, wzruszając ramionami. – Masz Imię Boga, Fedro. Czy to ważne, co na siebie włożysz?

Miałam już ostrą odpowiedź na końcu języka, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Okazało się, że to gromada sług przysłanych przez *rasa* Lijasu, który dowiedział się o naszym powrocie. Wszyscy przynieśli dary – słodyczne, wonne olejki, rozmaite owoce i bele pięknej tkaniny. Pełen szacunku krawiec wziął miarę na nowe stroje.

– Tak – odpowiedziałam Joscelinowi, gdy wyszli. – W Meroe to ma znaczenie.

Najedliśmy się do syta wieczorem i spaliśmy w normalnym łóżku w czystej, suchej pościeli, która pachniała kwiatami pomarańczy, a solidny dach chronił nas przed deszczem, gdy zaczęło padać – deszcz nad miastem był równie ulewny, jak na równinach i w górach.

Spałam jak zabita, dopóki nie zbudziły mnie koszmary Imriela.

Tym razem było inaczej. Usłyszałam nie nieludzkie, rozdzierające wrzaski, ale zdławione, wywołane przerażeniem pojękiwanie.

– Ja pójdę – mruknęłam do Joscelina, wkładając szlafrok.

Poszłam do mniejszego pokoju, gdzie ulokowaliśmy Imriela, po ciemku potykając się o stołek. Nikłe światło gwiazd sączyło się przez okno. Imriel miotał się, zaplątany w pościel. Przysiadłam na brzegu materaca i łagodnym głosem powiedziałam:

– Imri, Imri, wszystko jest dobrze. To tylko zły sen.

Zbudził się, gdy go dotknęłam, oddychając ciężko i przecierając twarz.

– Śniłem.

– Wiem. – Wygładziłam mu potargane włosy i usiadłam wygodniej podgiętej nodze. – Daršanga?

Pokiwał głową.

– Przed tobą.

Zaczęłam rozplątywać prześcieradła.

– Przede mną?

– Zanim przybyłaś. – Jego blada twarz wyglądała upiornie w świetle gwiazd.

– Aha. – Wyglądziłam pościel. Imriel wpatrywał się we mnie, jego oczy przypominały czarne dziury. – To już się skończyło i nigdy się nie powtórzy.

– Wiem. – Głośno przełknął ślinę. – On robił mi różne rzeczy. Znieruchomiałam.

– Mahrkagir.

Imri przytaknął.

– Chcesz mi powiedzieć?

Znów pokiwał głową, z twarzą stężałą ze strachu.

– Dobrze – powiedziałam cicho z wielkim bólem w sercu. – Powiedz.

Powiedział.

A ja słuchałam, gładząc go po czole, gdy głos mu się łamał, i z bólu zamykałam oczy. Mahrkagir oszczędził mu najgorszego, lecz był pomysłowy w wymyślaniu tortur, a duszę można udręczyć gorzej niżli ciało. Wiele z opisanych kar ja otrzymywałam z rąk klientów i zwałam je przyjemnością, ale, Eluo! – w Daršandze spotkały Imriela, Imriego! Chłopca, dziesięcioletnie dziecko sprzedane w niewolę i przerażone. Słuchałam, a łzy piekły mnie w oczy. Spadły na niego wszystkie nieszczęścia, które, jak się bałam, mogą spotkać dziecko z mojej własnej krwi. Wiedziałam, że mogę znieść ból i poniżenie w każdej postaci, ale nie zdołam patrzeć, jak cierpi ktoś niewinny.

Wreszcie skończył.

– Imrielu. – Ujęłam w dłonie jego twarz, a on patrzył na mnie z lękiem. – To nie twoja wina, rozumiesz? Niczemu nie jesteś winny. Wszystko, co zrobił Mahrkagir, zrobił wbrew twojej woli. Spotkało cię wielkie zło, lecz nie z twojej winy.

– Ale przeze mnie innym robił gorsze rzeczy. – Miał nieszczęśliwą toinę. – Przeze mnie, tak mówił.

– Nieprawda. – Pokręciłam głową. – Kłamał, Imri, to były złe słowa, wypowiadał je tylko po to, żeby cię zranić.

– Robił mi też inne rzeczy – podjął słabym głosem. – Powiedział, że jeśli nie... – Przełknął ślinę. – Kazał mi błagać o ich życie. Obiecał, że ich oszczędzi, choć tego nie zrobił. A ja błagałem. Robiłem wszystko kazał.

– I przeżyłeś – powiedziałam ostro. – Nigdy się tego nie wstydz! Kaneka ma rację: gdzie jest życie, tam jest nadzieja. Postąpiłeś słusznie, żeby przeżyć. Dobrze zrobiłeś, Imri. Próbowaleś ochronić innych. To nie twoja wina, że Mahrkagir kłamał. To on źle postępował. I drogo za to zapłacił.

– Zabiłaś go. – To nie było pytanie.

– Tak. – Pokiwałam głową. – Błogosławiony Elua złożył jego życie w moją rękę i ja je wzięłam. On nie żyje, Imri. Już nikt nigdy tak cię nie skrzywdzi.

– Obiecujesz?

Zajrzałam w jego nawiedzone oczy i pomyślałam o przysiędze, którą tyle lat temu Anafiel Delaunay złożył księciu Rolandowi, o przysiędze Joscelina i o tym, jak ukształtowała jego życie; o niemożliwych do dotrzymania przysięgach zmieniających ludzki los. Pomyślałam o Imrielu de la Courcel, który nie znosił, gdy ktoś widział jego łzy, i dla którego noc budziła koszmary. W biały dzień nie poprosiłby o coś takiego.

– Obiecuję – powiedziałam, całując jego wilgotne czoło.

Imriel westchnął i poczułam, że strach go opuszcza. Przytuliłam go mocno.

– Imri. – Sennie oderwał głowę od mojej piersi, by spojrzeć na mnie oczami matki. – Imri, gdybyś na wyspie Kaporet nie postąpił tak, jak postąpiłeś, wypadki potoczyłyby się zupełnie inaczej. Chcę, żebyś o tym wiedział.

Uśmiechnął się. Uśmiech był jego, nikogo więcej.

– Nie chciałem, żeby cię skrzywdzili.

– Tak sądziłam. – Uniosłam brwi. – Pamiętaj, jeśli kiedyś spróbujesz zrobić coś podobnego, każę Joscelinowi usiąść ci na plecach. – Roześmiał się. Pocałowałam go jeszcze raz. – Dobrze się sprawiłeś, kochanie. Dałeś mi najwspanialszy prezent, jaki kiedykolwiek otrzymałam, i obym nigdy więcej nie musiała takiego dostawać. Teraz śpij, dobrze? Rankiem mamy spotkać się z *rasem*.

Niedługo później zasnęłam, oddychając coraz wolniej i równiej, odprężony. Przez długi czas leżałam bezsennie, patrząc w ciemność i rozmyślając. Chciałam pójść do swojego łóżka, ale sama nie wiem, kiedy zasnęłam. Rankiem zbudził mnie Joscelin, a Imriel stał za nim z szerokim uśmiechem, bez śladu nocnych lęków na twarzy.

– Fedro, może raczysz wstać? – powiedział Joscelin z rozbawioną miną. – Przyszedł krawiec.

Tak więc mieliśmy na sobie dżebeńskie stroje, gdy wezwano nas na dwór królewski Meroe. W przypadku Joscelina i Imriela były to spodnie i *chamma* ze śnieżnobiałego płótna, z narzuconymi na wierzch krótkimi płaszczami. Joscelin nie krył irytacji, bo strój krępował jego ruchy. Nie współczułam mu, ponieważ Dżebenki okręcały się szerokimi pasami kolorowej tkaniny ze szlakami na skrajach, spinane złotymi szpilkami.

Ras Lijasu jednakże promieniał z zadowolenia.

– Ach, pani! – zawołał, klaskając w dłonie. – Jakaż to przyjemność widzieć cię w stroju naszego ludu! Nathifa, czyż ona nie wygląda ślicznie?

– Tak, bracie. – Siostra *rasa* uśmiechnęła się do nas.

Była podobna do niego, z tą samą nieskazitelną hebanową cerą i okrągłymi policzkami, tylko bardziej poważna.

– Mój pan jest hojny – powiedziałam, dygając.

– Och, to drobiazg. Muni, gdzie są dary? Gdzie je zapodziałeś? – *Ras* rozejrzał się. – Są! Powłóczysz nogami jak staruszek, Muni. Daj, ja je przekażę. – Ukłonił się i z wielką ceremonią podał mi szkatułkę z

drewna sandałowego. Gdy podniósł wieczko, zobaczyłam sześć bransolet z kości słoniowej i sześć złotych, zdobionych wyobrażeniami flory i fauny Dżebe–Barkał. – To od babci, z wyrazami uznania. Królowa Zanadachete wysłuchiwała raportu moich ludzi i jest zadowolona.

– Są przepiękne, panie. Dziękuję.

– Włóż je! Nathifo, zechcesz jej pomóc? To nie byle jaka kość słoniowa, duchu ze snów. Zostały wyrzeźbione z ciosów Starego Mlimy, słonia, który niósł mojego prapradziadka na wojnę przeciwko zbuntowanemu Tigrati. Muni, przestań się guzdrać. Gdzie jest... aha, tam. – *Ras* podniósł coś z poduszki, którą podsunął uśmiechnięty sługa: wielki kołnierz z lwiej grzywy. Zarzucił go na ramiona Joscelina, stając na palcach, żeby dosięgnąć. – Proszę! – Przyjrzał się z satysfakcją. – Stosowny dar dla męznego wojownika. Tifari Arnu opowiedział mi, jak stanąłeś przeciwko Szamsunom, a ja słyszałem inne historie, które przybyły z wami z Khebbel–im–Akad.

Patrzyłam na Joscelina i starałam się powstrzymać od śmiechu, gdy wykonał poważny kasjelicki ukłon, z twarzą okoloną płową sierścią.

– Bardzo ładnie! – zawołał *ras*. – Bardzo dobrze. A dla panicza... – Wyjął pas z pochwą na sztylet z wytłaczanego złota. – Skóra nosorożca, młodzieńcze! Nigdy się nie wytrze ani nie zapleśnieje. I zobacz – dodał, rozciągając pas – jest miejsce na większy brzuch. – Z aprobatą pokiwał głową, gdy Imriel zapiął klamrę. – Myślę, że będzie ci służyć przez długie lata. Dobrze, na tym koniec! Chodźcie, zjecie z nami obiad i opowiecie o Sabie.

Zasiedliśmy na poduszkach wokół niskich stołów. Jedliśmy przyprawione pikantnie kurczęta, melony oraz kulki prosa z cytryną i sezamem, popijając miodem i wodą z sokiem z cytronu. Słudzy byli dobrze wyszkoleni i pełni szacunku, a ja miałam wrażenie, że wszyscy w pałacu uwielbiają młodego władcę. Pomimo całej swojej paplaniny, *ras* Lijasu umiał słuchać uważnie, a gdy przerywał, zadawał wnikliwe pytania.

– Więc zmiana zaczyna się od kobiet? – Zerknął na siostrę. – Babcia nie będzie zaskoczona, prawda?

– Nie. – Oczy Nathify zabłyśły wesoło, co jeszcze bardziej podkreśliło jej podobieństwo do brata. – Cała wasza trójka wywarła dobre wrażenie. Królowa Zanadachete chce wiedzieć, czy waszym zdaniem Sabejczycy przyjmą przyjaźnie delegację handlową. Jest również ciekawa, czy ten wysoki zostanie, żeby dołączyć do jej straży honorowej. Uważa, że prezentowałyby się wspaniale.

Joscelin zakaszłał, maskując zaskoczenie, i popatrzył na mnie, żeby sprawdzić, czy dobrze zrozumiał dżebeński. Gdy przytaknęłam, rozbawiona, skłonił głowę przed Nathifą.

– Przekaż, proszę, królowej, że czuję się zaszczycony, ale mam zobowiązania wobec swojej władczyni.

Nathifa roześmiała się.

– Przekażę. Co powiecie o handlu, przyjaciele?

Mówiliśmy na ten temat przez jakiś czas. Wspominając igły podarowane Semirze, poddałam myśl, że najlepsza będzie skromna delegacja, lekko uzbrojona, żeby nie sugerować zagrożenia militarnego, z darami w postaci żywności niedostępnej w Sabie.

– To zaostrzy im apetyt – powiedziałam – i otworzy drzwi dla pokojowej wymiany.

– Czy mają coś na wymianę? – zapytał *ras* Lijasu. – Warte naszego zachodu?

Pomyślałam o tanim złocie w Sabie, o obfитоści bogactw naturalnych.

– Tak, panie, oczywiście.

– I brakuje im stali. – Na jego przystojnej twarzy odmalowała się zaduma. – Ich wojsko będzie kiepsko wyekwipowane w porównaniu z naszym, gdyby do czegoś doszło.

– Panie. – Zaszło mi w ustach. Czułam przyspieszone bicie serca i Imię Boga grzmiące we krwi. – Czy znasz stare historie o Melehakimach? Jak na polu bitewnym ich usta wypełniał potężny

krzyk, który budził strach w sercach wrogów?

Ras powoli pokiwał głową.

– W takim razie nie sądz, że Saba byłaby łatwą zdobyczą.

Patrzył na mnie przez długą chwilę, milcząc.

– Tifari i Bizan powiedzieli, że jesteście dotknięci przez bogów, zjawo ze snów. Wysłucham twojego ostrzeżenia. Ale pamiętaj, że to Saba dawno temu wystąpiła zbrojnie przeciwko Meroe. Ja tylko myślę o ochronie swego ludu.

– Podobnie jak *Chemosz Przeklęty* – skomentowała cierpko jego siostra. – Nie obawiajcie się, przyjaciele. Królowa *Zanadachete* jest mądrzejsza od swego impulsywnego wnuka. Póki Saba nie odnowi starożytnego zatargu, *Dżebe-Barkal* tego nie uczyni. Nie dojdzie do żadnej napaści.

– Ach! – *Lijasu* wyrzucił ręce w powietrze. – Czy mężczyźnie nie wolno już nawet myśleć? Nie powiedziałem, że chcę wojny, tylko zastanawiałem się nad jej wynikiem. *Muni*, dopełnij mój kubek, jestem osaczony przez piękne kobiety.

Moje serce się uspokoiło. Rozmawialiśmy dłużej o Sabie i innych sprawach, a potem *ras* zaproponował nam przedłużenie pobytu w Meroe. Gdy odmówiliśmy, oznajmił, że wobec tego zapewni nam przewóz do *Madżibary*. Byłam wdzięczna, bo, nie ma co ukrywać, nasze fundusze znacznie się skurczyły, a poza tym byliśmy zdani na siebie, bez *Kaneki* doświadczonej w wybieraniu odpowiedniej karawany. Razem wzięwszy, dzień minął przyjemnie. *Nathifa* zabrała nas jeszcze na wewnętrzny dziedziniec, na ostatnią audiencję u królowej *Zanadachete*.

Zaczął padać deszcz, mniej ulewny niż wcześniej. Uklękliśmy przed przysłoniętą niszą, podczas gdy słudzy stali z boków, trzymając nad nami parasole z nawoskowanej bawełny.

– Babciu! – zawołała *Nathifa*. – *D’Angelinowie* chcą ci podziękować.

Zasłony poruszyły się i znów ujrzałam skrawek twarzy, zaciekawione ciemne oko. Ukloniłam się nisko na klęczkach,

bransolety ze złota i kości słoniowej zadzwoniły na moich rękach. Imriel przesunął swój nowy pas z pochwą, gdy zgiął się w ukłonie, a lwia grzywa Joscelina musnęła wilgotne płytki.

– Proszę, Wasza Wysokość, przyjmij wyrazy naszej wdzięczności – powiedziałam.

– Wyświadczyliście nam przysługę – odparła Zanadachete z Meroe. Proszę o jeszcze jedną. – Ręka wysunęła się spomiędzy zasłon i skinęła na Nathifę, która podeszła z ukłonem, żeby przyjąć szkatułkę podobną do tej, którą dał mi *ras*, tylko większą. – Wnuk mówi mi, że wracacie do swojego kraju. Przekaż to waszej królowej wraz z moimi pozdrowieniami. Powiedz, że z otwartymi ramionami przyjmujemy jej ambasadora w Meroe, jeśli zapragnie go przysłać.

– Zrobię to, Wasza Wysokość – odparłam z kolejnym ukłonem, biorąc szkatułkę.

– To dobrze. Możecie odejść, z moim błogosławieństwem. – Zasłony zetknęły się, skrywając ledwo widoczną postać. Wszyscy się ukłoniliśmy i pospieszyliśmy za Nathifą. Za plecami usłyszałam cichy szept królowej do niewidzialnego sługi: – Tak myślałam. Wysoki dobrze wygląda w grzywie wojownika.

– A tutaj – powiedziała do nas Nathifa w królewskim pałacu – są starzy przyjaciele, którzy odprowadzą was do zajazdu. – Wskazała ręką Tifariego Arnu i Bizana, obu wspaniałych w pełnym żołnierskim rynsztunku. – Ten dar wymaga ochrony.

– A co to takiego? – zapytałam.

Wzruszyła ramionami.

– Sama zobacz.

Otworzyłam szkatułkę i zobaczyłam lśniący naszyjnik ze złota i szlachetnych kamieni. Wisiorek wyobrażał klęczącą Izydę z rozpostartymi uskrzydłonymi ramionami, z masywnym szmaragdem pomiędzy rogami wieńczącymi jej głowę.

Bizan gwizdnął przeciągle.

Opuściłam wieczko.

- Mamy to wieźć przez dwa tysiące mil do królowej Ysandry?
- Odpowiedni dar dla królowej od królowej. Dlaczego nie? – Nathifa uśmiechnęła się i palcem dotknęła mojego czoła. –Tutaj masz coś znacznie cenniejszego, prawda?
- Tak. – Wytrzymałam jej spojrzenie.
- To... – Nathifa postukała w szkatułkę – to tylko kamyki i metal, wykute w miłą dla oka formę. Skoro dajesz sobie radę z tym drugim, to z tym też nie powinnaś mieć kłopotu.
- Postaram się.
- Wiem – odparła z uśmiechem. – Nie lękaj się o Sabę, pani. Mój brat myśli jak mężczyzna, ale kiedy chce, potrafi zwabić ptaki z nieba. Tutaj dotrzyliśmy przymierza mądrości. Dopilnujemy, żeby władał swoim urokiem, nie mieczem.
- Niechaj bogowie sprawią, żeby tak było.
- Tak będzie – zapewniła Nathifa.
- Joscelin, którego lwia grzywa łaskotała w nos, kichnął potężnie.

OSIEMDZIESIĄT DWA

Wieczorem pożegnaliśmy się z Tifarim i Bizanem.

– Postępuj ostrożnie z Kaneką – poradziłam naszemu góralskiemu przewodnikowi, gdy wypuściłam go z objęć. – Jest silną kobietą i ma silną wolę.

– Wiem. – Nagrodził mnie jednym ze swoich nieczęstych uśmiechów. – To mnie w niej pociąga.

– Umie też wprawnie władać toporem – przestrzegłam.

Pokiwał głową. Był przystojnym mężczyzną, Tifari Arnu, z cynamonową skórą i ciemnymi, cierpliwymi oczami. – Słyszałem tę historię, pani Fedro. Słuchałem tego, co zostało i co nie zostało powiedziane. Rozumiem jej odwagę i mam ją w wielkim uszanowaniu.

– To dobrze – powiedziałam, chwytając go za ramiona. – Cieszę się.

Bizan dał Imrielowi przybory do rozpalania ognia, zakrzywiony kawałek żelaza i odłamek krzemienia dopasowany do ręki wraz z wodoszczelnym woreczkiem z przegródką na hubkę. – Byłeś dobrym towarzyszem. Pamiętasz, jak uczyłem cię krzesać iskrę?

Imriel pokiwał głową, szeroko otwierając oczy i przyciskając woreczek do piersi.

– Dziękuję, Bizanie.

– W ten sposób możesz to przywiązać do nowego pasa. – Bizan przytroczył woreczek i zmierzwił włosy chłopca. Imriel nie tylko się nie wzdrygnął, ale nawet pokraśniał z dumy. – Wyrośniesz na

dobrego żołnierza królewskiej gwardii, chłopcze.

Sami odmówili przyjęcia podarków, przysięgając, że w służbie *rasa* jest to zabronione. Nie wiem, czy to prawda, ale nie dali się przekonać. Bizan powiedział, że pomoże sprzedać umajjackie wierzchowce i osły, bo jego kuzyn jest handlarzem koni, i tę propozycję przyjąłem z wdzięcznością. Przypuszczam, że dostał swój udział, ale cena była znacznie lepsza, niż gdybyśmy targowali się na własną rękę.

Dzięki pomocy Bizana i hojności *rasa* Lijasu spędziliśmy w Meroe jeszcze tylko jeden dzień, szykując się do wyjazdu. Znowu, jak tyle razy wcześniej, spakowaliśmy nasze rzeczy, zbytkowne drobiazgi trafiły na dno kufrow, a te niezbędne na wierzch. Szkatułkę z naszymi królowej Zanadachete schowałam na samym dnie swojego kufra.

– Co mam z tym zrobić? – jęknął Joscelin, podnosząc kołnierz z lwiej grzywy.

– Możesz włożyć – odparłam z poważną miną. – Dzebenowie uważają, że jest ci do twarzy.

– A ty? – Popatrzył na mnie.

– Szczerze? – Przekrzywiłam głowę i spojrzałam na niego. – Joscelinie Verreuil, chociaż brakuje ci kawałka ucha, jesteś jednym z najpiękniejszych mężczyzn, jakich kiedykolwiek widziałam. Ale z lwią grzywą na karku wyglądasz trochę głupio.

I tak grzywa trafiła do skrzyni, ku wielkiemu rozczarowaniu Imriela.

Odjechaliśmy tak, jak przyjechaliśmy, na wielbłądach po wiszącym moście. Przewodnik karawany nazywał się Mek Gamal i był małomównym człowiekiem, cieszącym się sławą jednego z najlepszych w swoim fachu. Z wielką powagą przyjął zadanie od *rasa* i jeśli nie zaliczał się do zbytnio gadatliwych, z pewnością znał się na

rzeczy.

Siedząc na kołyszącym się wielbłądzie, wiele razy spoglądałam przez ramię na malejące Meroe, gdy jechaliśmy z biegiem Naharu, aż w końcu mogłam zobaczyć tylko szczyty królewskich piramid. Kolejne rozstanie, kolejna podróż.

Kolejny krok w stronę domu.

Tym razem pustynia kwitła za sprawą długotrwałych deszczów. I jeśli było coś dziwniejszego i bardziej fantastycznego niż tamto pozbawione życia pustkowie, to tylko widok kwiecia. Jak to możliwe, zdumiewałam się, że coś rośnie w takim miejscu? A jednak rosło. Na obrzeżach mijaliśmy kwitnące mimozy, krzewy ciężkie od żółtych kwiatów, jaskrawych w jasnym słońcu.

Nawet w głębi nie brakowało życia. W cieniu bazaltowych skał widywaliśmy melony, dojrzewające w niewyobrażalnym tempie. Mek Gamal zarządził postój i jedliśmy melony, lekko cierpkie, ale cudownie soczyste. Za przykładem Dzebenów pestki wypluwaliśmy w piasek.

Deszcze naprawdę ustały i w nocy gwiazdy były jasne i rojne, jak pamiętałam. Teraz znałam je lepiej. Gdyby nie zapędzano mnie spać, siedziałabym godzinami, patrząc w niebo, wspominając nazwy, których tak skrupulatnie uczyła mnie Merit. Do dziś dnia są gwiazdozbiory, które umiem nazwać tylko w habiru. Godzina za godziną obracały się na niebie w wolnym tańcu. Patrzyłam na nie i myślałam o Imieniu Boga.

Było gorąco, tak, gorąco jak w piecu, żar palił jak wcześniej. Usta miałam nie mniej spieczone, skórę nie mniej suchą. Monotonne kołysanie wielbłądów było nie mniej dokuczliwe niż wcześniej. Ale na pustyni można obserwować taniec gwiazd, stałą wędrówkę słońca po niebie i grę światła na wysuszonej ziemi. Otaczało nas czyste powietrze, więc światło cięło niczym skraj miecza. W takim miejscu, pomyślałam, odartym do kości istnienia, zostało wypowiedziane po raz pierwszy Święte Imię.

Dotarliśmy do gorzkiej studni oznaczającej połowę drogi, która tym razem wcale mi się nie dłużyła.

Siedziałam na skale w spieczonej dolinie, patrząc, jak wielbłądy piją do woli, świadoma gorąca, lecz nie zwracając na nie uwagi. To cud, że istniały stworzenia, które mogły żyć w takich warunkach! Jakie to dziwne, że my, ludzie, potrzebujemy soli do życia, umieramy jednak z jej nadmiaru. Sól konserwuje mięso, a jednocześnie zabija. W słonej wodzie pływamy, odżywiając się w łonie matki, i sól płynie z krwią w naszych żyłach.

– Fedro. – Głos Joscelina był chrapliwy, gdy rzucił mi bukłak. – Musisz się napić.

Napiłam się ciepłej, pozbawionej smaku wody, czując, jak nawilża moje tkanki, i pomyślałam, że to dziwne – woda ma podtrzymywać życie, a jednak musieliśmy zadać śmierć, żeby móc zabrać ją ze sobą, że wyprawiona skóra zawiera w sobie życie.

– Mek Gamal czeka – powiedział Joscelin. – I Imriel się martwi.

Wsiadłam na wielbłąda i podjęliśmy podróż. Wjechaliśmy na morze szarego kamienia, gdzie wiatr wyrzeźbił baśniowe formacje. Tym razem wokół panowała cisza i jedynym dźwiękiem w promieniu stu mil był grzechot kamyków przemieszczanych przez wielbłądzie kopyta. Nic dziwnego, że prorocy Habiru uciekali na pustynię, żeby medytować! Ja to robiłam w czasie tej podróży. Myślałam o *rasie* Lijasu i jego wesołym usposobieniu, o jego gotowości do rozpatrywania wojny. Czy myśl o zabijaniu bliźnich jest przypisana ludzkiemu rodzajowi? Modliłam się, żeby tak nie było. Zbyt wiele razy widziałam śmierć, zbyt wiele okrucieństwa.

A jednak to właśnie robimy, wciąż i wciąż. A ja... ja byłam współwinna, bo czyż przed wieloma laty nie zaniósłam Ysandrze wieści o skaldyjskiej napaści? Czyż nie wyprawiałam się do Alby z błaganem, żeby jej mieszkańcy ruszyli na wojnę?

Jaki jest nasz cel, jeśli nie zabijać i ginąć?

Kochaj jak wola twoja.

To łatwe, gdy jest się bogiem; niełatwe dla tych, którzy są śmiertelni. Gdybyż tak było na tym świecie. Wtedy mój pan Delaunay wciąż cieszyłby się życiem, a ja... Elua wie, gdzie bym była. Gdyby miłość wystarczała, czy moja matka i ojciec mogliby żywić się nią jak Błogosławiony Elua i czy zatrzymaliby mnie? Miałam nadzieję, że tak.

Ale nawet Błogosławiony Elua miał swoich Towarzyszy. Gdzie byłby, gdyby Naama nie oddała się królowi Persji za jego wolność, gdyby nie kładła się w gospodach Bodistanu z nieznanymi, żeby mógł się najeść? Gdzie byłby, gdyby miecz Kamaela nie zapewnił mu ochrony? Co stałoby się z Terre d'Ange bez dumy Azy, który wytyczył nasze granice, bez bystrego Szamchazaja, który zbudował nasze miasta? Gdzie byśmy byli bez uzdrowicielskich umiejętności Ejszet, bez gospodarności Anaela? Jak byśmy pokutowali bez miłosierdzia Kusziela?

Jak Elua odpowiedziałby Bogu Jedynemu, gdyby Kasjel nie podał mu sztyletu?

Jesteśmy tym wszystkim, myślałam, gdy słońce płonęło na niebie, a żar odbijał się od piasku w kolorze ochry. Duma, pożądanie, współczucie, inteligencja, wojowniczość, urodzajność, lojalność... i poczucie winy. Ale ponad tym wszystkim stoi miłość. I jeśli chcemy być lepsi, to musimy kierować się tą właśnie gwiazdą.

Możemy tylko próbować. To wystarczy.

O takich sprawach rozmyślałam na pustyni i podróż minęła szybciej, niż to uważałam za możliwe. Dopiero gdy dotarliśmy do Madżibary leżącej nad szerokim, wezbranym po deszczach Naharem, gdzie wielka cisza rozległych otwartych przestrzeni ustąpiła hałasowi targowiska i wielojęzycznemu gwarowi, zdałam sobie sprawę z poniesionych kosztów. Wiedziałam, że jestem wycieńczona i gorączkuję z pragnienia, czułam się wysuszona i wypalona do kości, a także w pewien sposób oczyszczona przez naszą pustynną przeprawę.

Dotarliśmy do Menechetu.

– Czasami martwisz nawet mnie – powiedział Joscelin tej nocy, gdy leżeliśmy w łóżku w gospodzie, słuchając dalekiej muzyki z karawan. Niemal się bałem, że odejdiesz i zostawisz nas, jeśli spuszczę cię z oka.

– Nie. – Okręciłam na palcu pasemko jego włosów. – Rozmyślałam, to wszystko.

– Przez tydzień drogi przez pustynię? – Uśmiechnął się lekko. – O czym?

– O życiu – odparłam. – Śmierci, wojnie, miłości... o naturze człowieka.

– Czy doszłaś do jakichś wniosków?

– Nie – odparłam i uniosłam głowę, żeby go pocałować. – Nie do takich, których już bym nie znała.

I powiedziałam mu – nie słowami, ale w mowie ciała, ust, języka i rąk, przyspieszonego oddechu i skoku krwi w żyłach, słonej śliskości pożądania. Te same pytania dotyczą naszego istnienia i odpowiedź jest zawsze ta sama. Tajemnica leży nie w stawianiu pytań i nie w odpowiedziach, ale w pytaniu siebie i odpowiadaniu sobie, wciąż i wciąż, bo koniec jest źródłem początku.

Tyle się dowiedziałam.

Nie bez problemów wynajęliśmy felukę, żeby pożegłować do Iskandrii. Wody wylewu się cofały i na Naharze panował ożywiony ruch. Spędziliśmy w porcie pół dnia i wreszcie udało nam się wynająć statek, mocny statek kierowany przez dobrodusznego menechetańskiego żeglarza o imieniu Inherit, który mówił łamanym dżebeńskim i znał parę słów helleńskich. Statek nie był luksusowy, ale musiał wystarczyć.

Po tak wielu pożegnaniach wyjazd z Madżibary wydawał się niemal dziwny, bo nikogo tam nie znaleźliśmy i nie zrywaliśmy żadnych więzi. Nasze rozstanie z Mekiem Gamalem obyło się bez wzruszeń.

Przewodnik karawany miał zobowiązania tylko wobec *rasa* Lijasu, był zadowolony z bezpiecznej przeprawy i chętny do ubicia interesu na drogę powrotną.

O świcie udaliśmy się do portu, zapłaciliśmy tragarzom za przeniesienie kufrów do ładowni feluki. Wschodzące słońce przemieniło rzeczny basen portowy w taflę bitego złota. Czekaliśmy cierpliwie na nabrzeżu, podczas gdy Inherit modlił się do bogów Menechetu, szczególnie do Sobka, krokodylego boga Naharu.

Potem z radosnym uśmiechem zaprosił nas na pokład. Rozlokowaliby się, a on podniósł skośny żagiel. Na nabrzeżu pomogło mu dwóch Marynarzy, odwiązali cumy i rzucili je na pokład. W dole rzeki czekały na nas brzegi zielone od bujnego tamaryszku i papirusu.

Znów byliśmy w drodze.

OSIEMDZIESIĄT TRZY

Powrót do Iskandrii był szybszy, bo żeglowaliśmy z prądem i Dolny Nahar, choć spokojny, po deszczach płynął wartko. Inherit przekładał żagiel z burty na burtę, by chwytać kapryśne podmuchy, ale niezależnie od powodzenia jego wysiłków, stały prąd niósł nas w dół rzeki. Kiedy wiatr wydymał brzuch żagla, feluka mknęła niczym jaskółka na szerokiej piersi rzeki, aż Imriel pokrzykiwał z radości.

Minęliśmy świątynię w Houbie, gdzie modliłam się do Izydy.

Mijaliśmy niezliczone plantacje, zielone w jasnym słońcu, pełne Menechetańczyków, którzy pracowali gorączkowo, żeby jak najlepiej wykorzystać porę wegetacji.

Widywaliśmy krokodyle i hipopotamy, i wiele ptaków z gatunków, które poznaliśmy wcześniej. W czasie tamtej podróży Kaneka nauczyła nas ich nazw po dżebeńsku. Tym razem Inherit uczył nas po menechetańsku, wskazując i nazywając je w trakcie żeglugi. Imriel bawił się ze mną, jego bystry umysł w lot chwytał nowe słowa; Joscelin tylko wywracał oczami i łowił ryby, wlokąc linkę w wodzie, łapiąc niewiele z powodu prędkości feluki. Wieczorami obozowaliśmy w pobliżu wiosek i jak wcześniej, kupowaliśmy żywność u mieszkańców.

Po złożeniu hołdu w świątyni Sobka – na naleganie Inherita, bo ja chętnie zrezygnowałabym z tej wątpliwej przyjemności – uświadomiliśmy sobie, jak naprawdę szybko ten etap podróży zbliża się do końca.

– Fedro. – Siedzący na dziobie feluki Joscelin odłożył starannie

zwinętą linkę. – Co będzie, gdy dotrzemy do Iskandrii?

Spojrzałam na rufę. Inherit uczył Imriela sterować statkiem, obaj byli zajęci przy rumplu.

– Pójdziemy do ambasadora de Penfars, jak myślę. O ile nie zostaniemy aresztowani zaraz po wyjściu na ląd.

Uniósł brwi.

– Myślisz, że Ysandra tak bardzo się rozłościła?

– Nie. Nie wiem. Zdrada zaboli ją tym mocniej, że dopuściliśmy się jej oboje. – Zastanowiłam się. – Nie złamaliśmy prawa w Menechecie, ale może poprosić faraona o przysługę.

– I narażać Imriela?

– Raczej nie – przyznałam.

– Ja też nie sądzę. Jeśli więc nie zostaniemy aresztowani, zapewne delegacja będzie czekać na nas w ambasadzie.

– Zapewne. – Popatrzyłam na niego. – Przykro mi.

Joscelin wzruszył ramionami.

– Ja pierwszy podjąłem decyzję, Fedro. Zastanawiałaś się, co powiesz Ysandrze?

– Tak – odparłam i z trudem przełknęłam ślinę.

– Jest ci winna łaskę związaną z Gwiazdą Towarzysza.

Pokiwałam głową.

– Cokolwiek będzie w jej mocy – mruknął Joscelin. – Choć to jej się nie spodoba, ani trochę. Ty musisz zdecydować, kochanie. Czy warto na zawsze tracić życzliwość królowej?

Odwróciłam się, żeby spojrzeć na Imriela, oboje to zrobiliśmy. Pod kierunkiem Inherita trzymał oburącz rumpel, aż pobiełały mu kostki, oczy w opalonej twarzy jaśniały mu z przejęcia. Zobaczył, że patrzymy, i uśmiechnął się dumnie.

– Tak – odparłam. – Warto.

Parę dni później dotarliśmy do końca szerokiej, statecznej rzeki i wpłynęliśmy w niezliczone drogi wodne na południe od miasta.

Roślinność po deszczach była jeszcze bardziej bujna, a w wilgotnym powietrzu unosił się obrzydliwy zapach. Feluka zwolniła, żegluga przez bagnistą deltę zabrała większą część dnia. Powietrze było nieruchome, żagiel zwisał bezwładnie. Dryfowaliśmy powoli, niesieni leniwym prądem. Inherit nucił wesoło, kierując feluką za pomocą długiej tyczki. Wskazywał nam czarnogłowe ibisy i czaple ze śnieżnobiałymi grzebieniami i opisywał, czym różnią się od swoich braci z góry rzeki.

– Na nabrzeże targowe, *kyria*? – zapytał, mieszając słowa menechetańskie i helleńskie, gdy już widzieliśmy miasto, korony palm nad budynkami. – Tam możecie wynająć powóz, ale jeśli wysiądziecie wcześniej, nie zapłacicie myta.

– Nie – powiedziałam. – Zabierz nas na nabrzeże, Inhericie.

Posłuchał, żwawo wymachując tyczką, i szybko ustawił żagiel, gdy zerwała się bryza. Patrzyłam, jak wokół nas materializuje się miasto Iskandria ze znajomą wielką latarnią w oddali, z szerokimi, wygodnymi ulicami i eleganckimi budynkami. Było ozłoczone wieczornym światłem i czułam zapachy, które w czasie pierwszej podróży wydawały się egzotyczne – aromat pomarańczy, ostrych przypraw i mięsa pieczonego na wieczorny posiłek.

Na nabrzeżu handlowym panował duży ruch, w kanale tłoczyły się łodzie. Rolnicy handlujący pierwszymi płodami sezonu ładowali przed odpłynięciem niesprzedane resztki, rybacy i myśliwi polujący na ptactwo wodne wracali ze zdobyczą. Było niewielu podróżnych podobnych do nas, bo tacy podróżowali głównie w karawanach albo większymi barkami, które zawijały do portu na południe od miasta. Musieliśmy czekać i zaciekle walczyć o miejsce, nim zacumowaliśmy. Poborca podatkowy podszedł do nas, gdy Joscelin i Inherit wyładowali nasze rzeczy, i nie zwracając na nas większej uwagi, skupił się na przeglądaniu zawartości kufrów.

– Mówisz po menechetańsku? – zapytał, podnosząc jedną z moich dżebeńskich sukni.

– Trochę – odparłam. – Jesteś Hellenem?

– A masz mnie za rolnika czy rybaka? Tak, mówię po helleńsku. – Szorstko skinął głową. – To rzeczy na handel, *kyria*, czy osobistego... na Serapisa! – Twarz poborcy zbladła, gdy spojrzał na mnie pierwszy raz.

– Panie? – spytałam, zaskoczona.

Chwycił mnie za rękę i przyciągnął bliżej.

– *Kyria*, ty jesteś... przyjaciółką Nesmuta?

Odsunęłam się, widząc, że Imriel już biegnie po Joscelina.

– A jeśli tak?

Wybacz mi. – Poborca puścił moją rękę i zgiął się w ukłonie, kątem oka zerkając na Joscelina, który szedł z rękami lekko wspartymi na rękojeściach sztyletów. – Poruczono mi wiadomość do ciebie, *kyria*. Wszystkim nam, którzy pilnują dróg prowadzących do miasta. Niespotykamie piękna D'Angelina, ciemne włosy i jasna twarz, ze znaczkiem czerwonym jak hibiskus w lewym oku.

– Nesmut tak powiedział? – zdumiałam się.

– Nie, *kyria*. – Pokręcił głową. – Takiej osoby kazano mi wypatrywać. Moje rozkazy pochodzą od faraona.

– A jak brzmi jego wiadomość?

– Chce was widzieć – odparł. – Niezwłocznie.

„Niezwłocznie” okazało się względne, bo najpierw musieliśmy rozliczyć się z Inheritem, co potrwało jakiś czas, a potem spierałam się z Joscelinem, co również trwało jakiś czas, podczas gdy Imriel siedział na kufrze i patrzył. Oczywiście, wynik był z góry przesądzony; życzenie faraona w mieście Iskandrii było rozkazem. Poborca dyskretnymi kanałami przesłał do pałacu wiadomość, że przybyła „przyjaciółka Nesmuta”, a niedługo później przybył kryty powóz z dwoma gwardzistami.

Przez cały czas staliśmy na widoku na targowisku, otoczeni przez zaciekawionych mieszkańców. Przypuszczam, że w każdym innym

mieście wieść o naszym przybyciu błyskawicznie dotarłaby do d'Angelińskiej ambasady, ale tutaj była Iskandria i otaczali nas rybacy, rolnicy, myśliwi i zwyczajni mieszkańcy miasta. Ambasador Penfars nigdy nie zabiegał o względy Menechetańczyków, zależało mu wyłącznie na znajomościach wśród ludzi helleńskiego pochodzenia.

Jego strata, pomyślałam, i miałam nadzieję, że nie nasza.

Bagaze zostały załadowane do powozu i my też zajęliśmy miejsca. Siedzieliśmy niespokojnie za zaciągniętymi zasłonami.

– Fedro? – Głos Imriela zdradzał zmartwienie. – Mamy kłopoty?

Pokręciłam głową.

– Chyba nie, kochanie. Ptolemeusz Dikajos jest... cóż, nie przyjacielem, ale swego rodzaju sojusznikiem. Nie sądzę, żeby chciał zrobić nam krzywdę. Nic by w ten sposób nie zyskał.

– Zapewne chce osobiście przekazać nas w ręce ambasadora de Penfars – rzekł cicho Joscelin. – Jeśli stracił twarz, pozwalając nam wyjechać z Iskandrii, to teraz ją odzyska.

– Och. – Imriel wciąż miał strapioną minę. Nie byłam tym zdziwiona.

Przy bramie straż pałacowa przeszukała nasze rzeczy, okazując wielkie zainteresowanie ogromnym naszyjnikiem na dnie mojego kufra.

– To dar – wyjaśniłam. – Od królowej Dzebe-Barkal dla jej Wysokości Ysandry de la Courcel z Terre d'Ange. Przypuszczam, że żadna z nich nie byłaby zachwycona, gdyby zaginął w pałacu faraona.

– Dostaniesz swoje rzeczy z powrotem, *kyria* – odparł jeden z żołnierzy. – Nie ma obawy. *Kyrios*, twoja broń, proszę.

Joscelin z niechęcią rozstał się z mieczem i sztyletami. Poprowadzono nas wokół pałacu do bocznego wejścia, z którego korzystałam wcześniej. Słudzy wyładowali nasze kufry i nie wiem, dokąd je zabrali. Zostaliśmy wprowadzeni do tej samej komnaty recepcyjnej, którą odwiedziłam już dwukrotnie. Tym razem nie było

nawet milczących sług z wachlarzami.

Zostaliśmy sami.

Jak długo? Zdawało się, że minęły godziny. Za wysokimi oknami zapadał zmierzch, cienie robiły się niebieskie i coraz dłuższe, zlewając się z ciemnością. Imriel wyjął krzesiwo od Bizana i zapalił olejne lampy. Freski na ścianach zbudziły się do życia i lśniły, ilustrując dokonania dynastii Ptolemeuszy. Wszedł sługa z tacą, na której stał dzban z wodą z hibiskusem, postawił go na stole i wyszedł bez słowa.

– Co myślisz? – zapytał Joscelin cicho.

– Myślę, że Ptolemeusz Dikajos odpłaca się nam za wcześniejsze zastosowanie przymusu – odparłam. Nalałam wodę do kubka i posmakowałam. – Gdyby chciał naszej śmierci, nie musiałby używać trucizny.

– Chodzi mi o czekanie.

Wzruszyłam ramionami.

– Jest faraonem, Joscelinie. Czekamy na jego przychylność. Daje nam to do zrozumienia.

Minęła kolejna godzina, nim w końcu się zjawił, i w tym momencie byliśmy już porządnie zmęczeni i głodni. Towarzyszyli mu czterej gwardziści. Czekali, gdy oddaliśmy mu hołd na kolanach, bijąc pokłony, a potem stanęliśmy ze spuszczonym wzrokiem. Imriel naśladował Joscelina i mnie, spóźniając się odrobinę. Widziałam błyski światła odbite od klejnotów naszytych na szaty faraona. Ptolemeusz Dikajos odprawił strażę i dopiero wtedy do nas przemówił.

– Myślę, Fedro nó Delaunay, że nie będziemy robić ceregieli.

Spojrzałam w jego chytre oczy.

– Jak sobie życzysz, panie.

Podszedł do niskiego stolika i powąchał zawartość dzbana.

– Nie piwo? Ufam, że przynajmniej zostaliście nakarmieni.

– Nie, panie – odparłam. – Nie jedliśmy.

Ptolemeusz Dikajos psyknął.

– Słudzy źle zrozumieli. Proszę o wybaczenie. Naprawimy to później. Messire Verreuil, miło cię znów widzieć.

– Panie. – Joscelin złożył kasjelicki ukłon.

– I ciebie. – Faraon zwrócił się do Imriela i dwornie skłonił głowę. – Wierzę, że mam przyjemność poznać księcia Imriela de la Courcel?

A ja dałam mu do zrozumienia, że syn Melisandy jest trzeci z kolei do d’Angelińskiego tronu, pomyślałam.

Imriel spojrział na mnie niepewnie. Skinęłam głową.

– Panie faraonie – wymamrotał w szkolnym helleńskim, odwzajemniając ukłon.

– Piękny chłopiec – powiedział do mnie Ptolemeusz Dikajos.

– Tak, Wasza Wysokość – odparłam uprzejmie. – Panie, jeśli wybaczysz mi natarczywość, spoczywa na nas obowiązek stawienia się w domu hrabiego Raifa Laniola, ambasadora de Penfars. Czy zamierzasz dopilnować, abyśmy tam trafili?

– Może w złoconych okowach? – Faraon zaśmiał się. – Paradujący po ulicach Iskandrii z odzyskanym d’Angelińskim księciem w zdobionej klejnotami lektyce? Tak, ładnie by to wyglądało, nieprawdaż? Przypuszczam, że wasz ambasador byłby zadowolony. Uważa, że nie raz wystrychnęliście go na dudka.

Czułam, że blednę, ale zachowałam panowanie nad głosem.

– To przywilej faraona. Czy taka jest jego wola?

Ptolemeusz Dikajos potarł podbródek.

– Niekoniecznie. Przypuszczam, że wasza królowa nie byłaby zachwycona takim obrotem sprawy, zwłaszcza po zamachu na życie chłopca w Niniwie. Bez wątplenia woli, żeby nie rozgłaszać po mieście, kim jest, tym bardziej że nie brakuje tutaj Akadyjczyków, a do wiosny żaden statek nie wypłynie do Terre d’Ange. – Uśmiechnął się, widząc moją minę. – Mam informatorów w Khebbel-im-Akad, moja droga. Nie powinnaś być zaskoczona.

– Statek zawsze można znaleźć. Panie, jeśli nie zamierzasz siłą odesłać nas do ambasady, czy pozwolisz nam odejść?

– Do ambasadora? – Uniósł brwi. – Zakuje was w kajdany, przecież wiesz. Odchodzi od zmysłów w przekonaniu, że królowa oskarży cię o zdradę za porwanie członka rodu królewskiego.

– To była moja decyzja... – zaczął Joscelin.

W tym momencie Imriel krzyknął:

– To nie było porwanie...!

– Dość. – Faraon uniósł rękę, zamrugały kamienie w pierścieniach.

– Osądzanie was nie należy do mnie.

– Z całym należnym szacunkiem, panie – powiedziałam – nie wolno ci nas zatrzymywać. Jesteśmy obywatelami Terre d'Ange i cokolwiek zrobiliśmy, nie złamaliśmy menechetańskiego prawa.

– Nieodmiennie myśląca – powiedział z rozbawieniem – nieodmiennie przekonująca Fedra nó Delaunay. Czy w ten sam sposób targujesz się ze swoją władczynią?

– Nie, panie. – Wytrzymałam jego spojrzenie. – Ale Ysandra de la Courcel nie gra w takie gry jak twoje.

Roześmiał się.

– Mogłaby, gdyby władała Menechetem, a nie Terre d'Ange. Ci z nas, których władza opiera się na intelekcie, wcześniej uczą się grać. Ale tym razem źle mnie osądziłaś, pani Fedro. To nie gra, lecz gest życzliwości przez wzgląd na starego dobrego przyjaciela. I to, dokąd pójdziesz po opuszczeniu mojego pałacu, zależy wyłącznie od ciebie, choć mogę dodać, iż jutro piękny handlowiec wypływa do La Serenissimy, a przypadkiem wiem, że są wolne miejsca.

– Panie?

Ptolemeusz Dikajos wyjął z fałd szaty zapieczętowany list.

– Ostatnim razem, gdy tu byłaś, dałaś mi listy, a ja zaprzeczyłem, że dostałem je z twojej ręki. Tym razem mam list dla ciebie – powiedział i rzucił kopertę na stół.

Nie musiałam oglądać pieczęci. Poznałam charakter pisma. Było to

pismo Melisandy Szachrizaj.

OSIEMDZIESIĄT CZTERY

– Napisałaś do Melisandy? – zapytał Joscelin z wściekłością. – Nie powiedziałaś mi!

– Nie musiałaś wiedzieć – burknęłam, czytając list.

Choć pergamin nie był perfumowany, przysięgam, że czułam jej zapach. Myśl o niej, połączona z głodem i zmęczeniem, przyprawiła mnie o zawroty głowy. Na przekór temu wszystkiemu jej słowa zmusiły mój umysł do pracy.

Joscelin odetchnął głęboko i zacisnął szczęki, świadom obecności faraona.

– Czego chce? – wycedził.

Podalam mu list.

– Zobaczyć Imriela.

Imri, blady, nic nie powiedział.

– Ha. – Joscelin przeczytał kilka linijek i rzucił list na stół, potrząsając głową. – Nawet gdyby to było możliwe... Eluo. Nie jest, bo już nam grozi oskarżenie o zdradę.

– Nikt nie wie, że tu jesteśmy? – zapytałam Ptolemeusza Dikajosa.

– Nie – odparł. – Chyba że wasz ambasador de Penfars nabrał rozumu i znalazł informatorów wśród Menechetańczyków, w co wątpię.

– Fedro...

– Imri – powiedziałam, nie zwracając uwagi na Joscelina. – Mam pomysł. Jeśli się uda... jeśli się uda, wyświadczymy wielką przysługę Terre d'Ange. Pomożesz mi?

Ze łzami w oczach Imriel pokiwał głową.

– Co mam zrobić?

– Zobaczyć się ze swoją matką – odparłam łagodnie. – To wszystko.

– Czy to sprawi, że ty i Joscelin nie zostaniecie oskarżeni o zdradę?

– Nie wiem, ale może uchronić królową Ysandrę i twoje małe kuzynki, jej córki, przed przedwczesną śmiercią.

Przełknął ślinę.

– Zrobię to. Tylko dlatego że prosisz.

Joscelin złapał się za głowę.

– Fedro, co planujesz?

– Ubić interes z Melisandą Szachrizaj – odparłam i zwróciłam się do faraona: – Panie, myślę, że omówienie tej sprawy zajmie kilka godzin. Czy pozwolisz nam odejść?

Ptolemeusz Dikajos wskazał drzwi.

– Służba zaprowadzi was do pokoiów w pałacu i zbudzi o świcie. Przekażecie swoją decyzję strażnikowi przy drzwiach, zaufanemu kapitanowi. On zaprowadzi was do krytego powozu z waszymi rzeczami. Pojedziecie albo do portu, albo do d’Angelińskiej ambasady, wasza wola. Jeśli do ambasady, przejmę uniżone podziękowania ambasadora. Jeśli do portu...

– Rozumiem. Nasza rozmowa zostanie w tych murach.

– Otóż to. – Faraon Menechetu wyciągnął upierścienioną rękę i poklepał Imriela po policzku. – Szkoda, miałem nadzieję, że młody książę będzie mi winien przysługę, ale wygląda na to, że winien jest wdzięczność komuś innemu.

Imriel wyszczerzył zęby, a w jego oczach zalśniła furia, którą pamiętałam z Daršangi.

– Imri – mruknęłam.

Faraon zabrał rękę.

– Gryzie? – zapytał drwiąco.

– Może – odparłam. – Jak jego matka. Ale chyba już o tym wiesz.

Tak wyglądało nasze ostatnie spotkanie z Ptolemeuszem Dikajosem, którego przebiegłość przyprawiała mnie o ciarki. Zostaliśmy zaprowadzeni do bogato urządzonej sypialni, gdzie znaleźliśmy nienaruszone kufry. Skruszeni słudzy podali nam zimne placki z fasoli i odgrzewaną potrawkę z jagnięciny. Miałam rację, przewidując, że omówienie planów zajmie dużo czasu. Oboje z Joscelinem nie zmrużyliśmy oka przez całą noc, sprzecząc się po cichu, podczas gdy Imriel spał niespokojnie.

Wszystkie uwagi Joscelina były trafne i sensowne, a najważniejszą wśród nich było to, że z łatwością możemy wejść w pułapkę.

– Nie – zaprzeczyłam.

– Skąd ta pewność?

Na to miałam tylko jedną odpowiedź.

Nie mam prawa go widzieć i nie mam prawa Cię prosić. Wiem. Mogę powiedzieć tylko, że byłabym Twoją dłużniczką, i przysięgam na imię Kusziela, że ani Tobie, ani jemu nie stanie się krzywda.

Znałam Melisandę Szachrizaj.

Joscelin w końcu skapitulował, choć nie był zachwycony.

– Wiesz, że twoje starania nie muszą zostać docenione – powiedział. – Nawet jeśli się uda.

– Tak, wiem.

– Melisanda nie ma wystarczających środków, żeby zagrozić życiu Ysandry. – Miał niepewną minę. – Już nie.

Uniosłam brwi.

– Ma ich dość, żeby nakłonić faraona Menechetu do odegrania roli chłopca na posyłki. Ma też Elua wie ilu agentów, którzy szukali Imriela, zanim nas wezwała. Pamiętasz, co powiedziała Ysandrze w La Serenissimie?

– Tak, pamiętam.

– „Wiedziałam, nawet jeśli ty tego nie rozumiałaś, że prowadzimy grę” – zacytowałam z pamięci. – „Zabierz mojego syna, a zostaniemy wrogami. Wierz mi, Wasza Wysokość, nie chcesz, żebym uważała cię

za wroga”.

– Pamiętam.

– Jest trzeci w kolejce do tronu, Joscelinie.

Spojrzał na śpiącego Imriela.

– A ty myślisz, że zdołasz go zatrzymać dzięki obietnicy Melisandy Szachrizaj.

Skinęłam głową. Joscelin westchnął.

– Powiedz mi przynajmniej, że wypełniasz wolę Kusziela albo Błogosławionego Elui, albo że drgnęło w tobie Imię Boga.

– Chciałabym – szepnęłam. – Och, Joscelinie! Już tkwimy w kłopotach po szyję. Ysandra zdaje sobie sprawę, że mogliśmy zginąć w Dżebe–Barkal, zabici przez bandytów razem z Imrielem. Czy powrót przez La Serenissimę, a nie bezpośrednio z Iskandrii może pogorszyć sprawę? Na dobre czy na złe, Melisanda kocha syna i ta miłość jest jedynym sznurem, który wiąże jej ręce. Po prostu mamy jedyną okazję, żeby wypróbować jego siłę.

– Dlaczego? Dlaczego jedyną, dlaczego teraz?

Opowiedziałam mu, jaką kartą zamierzam zagrać.

Westchnął i pomasował bolące skronie.

– Zgoda. Możemy zostać powieszoni równie dobrze za krowę, jak za cielaka. Ach, Eluo, zapewne to nas czeka, jeśli nie zostaniemy zabici albo uprowadzeni. Mam nadzieję, że Ricciardo Stregazza dbał o nasze konie.

– A widzisz? I tak musielibyśmy płynąć do La Serenissimy.

Pałacowy niewolnik zbudził nas o świcie i przekazałam wiadomość strażnikowi stojącemu na warcie przed drzwiami. Gwardzista skinął głową i odmaszerował, po czym zjawił się niedługo później z tragarzami do przeniesienia naszych bagaży do zamkniętego powozu. Nikt w pałacu nie okazał, że wie o naszej obecności. To było dziwne wrażenie. Musieliśmy się spieszyć, żeby zdążyć na statek, który już się szykował do odbicia od brzegu.

– La Serenissima?! – krzyknął jeden ze strażników do marynarza

na pokładzie.

– Tak!

– Czekajcie na troje pasażerów!

Wbiegliśmy na pokład i zaraz potem wniesiono nasze kufry. Joscelin wyrwał swoją broń z rąk gwardzisty, zarzucił pas z mieczem na ramię i drugi ze sztyletami.

– Prędko – powiedział kapitan w caerdicci, stojąc z rękami na biodrach. – Ruszamy, żeby złapać ostatnie jesienne wiatry.

– Jesienne – mruknęłam. – Jest jesień.

– Tak, prawie zima. – Popatrzył na mnie dziwnie, bo byłam ubrana w dżebeńską suknię, spiętą szpilkami na piersi, ze złotymi i kościanymi bransoletami na rękach. Miałam zamiar uzupełnić garderobę w Iskandrii, kupić albo wyprosić coś u Julietty Laniol, żony ambasadora. – Jesteś D’Angelina, pani?

– To hrabina Fedra nó Delaunay de Montrčve z Terre d’Ange – poinformował go Joscelin, poprawiając pas z mieczem.

– Ha, w takim stroju zmarznie na otwartym morzu. – Kapitan postawnie zmierzył mnie wzrokiem. – Co nie znaczy, że mnie to przeszkadza. Przygotować się do podniesienia kotwicy!

Marynarze wykonali polecenie kapitana.

OSIEMDZIESIĄT PIĘĆ

Zapłata za przejazd na pokładzie statku pochłonęła nasze ostatnie monety kupca, a koja była mała. Nim straciliśmy ląd z oczu, wiatr stał się zimny, i musiałam wytargować od jednego z marynarzy płaszcz ze zgrzebnej wełny. Dałby mi go za całusa – Joscelin nawet by nie zauważył, zajęty tradycyjną bitwą z chorobą morską – ale zapłaciłam kryształowymi koralikami ze zniszczonej sukni, wartymi znacznie więcej niż płaszcz.

Wreszcie na pokładzie statku mieliśmy mnóstwo czasu na rozmowy. Musieliśmy omówić wiele spraw, przy czym niektóre dotyczyły Imriela. Ostatecznie mój plan zależał od jego decyzji i zamierzałam dopilnować, żeby podjął ją świadomie i z własnej woli.

– Dlaczego królowa Ysandra jest na ciebie zła? – chciał wiedzieć Imri. – Przeze mnie? Przecież to moja wina, to ja poszedłem za tobą.

– Wiem – odparłam. – Ale mogliśmy cię oddać. I to była nasza decyzja. – Po raz kolejny przypomniałam długą historię jego rodziny, rodu Courcel podzielonego przez krwawe waśnie i jak Ysandra chciała położyć kres zatargom, sprowadzając go na łono rodziny. – To szlachetny cel, Imri. Polubisz ją. Bardzo ją polubisz. Ja nikogo bardziej nie podziwiam.

Ściągnął brwi, siedząc na pokładzie ze skrzyżowanymi nogami w dżebeńskich spodniach i *chamma*. Na słońcu i w miejscu osłoniętym od wiatru wciąż było ciepło.

– Waleria L'Envers pragnie mojej śmierci.

– Możliwe, ale Niniwa leży szmat drogi od Miasta Elui.

– Gdzie jej ojciec jest dowódcą wojsk królewskich.

– Tak, masz rację.

W twarzy Imriela nie było nic dziecięcego, kiedy to rozważał.

– Dom L'Envers nie będzie zadowolony z decyzji królowej. A jest potężny.

– Nie potężniejszy niż królowa – odparłam.

Pochylił głowę i bawił się sakiewką u pasa, mówiąc ledwo słyszalnym głosem:

– Powiedziałaś, że mnie nie zostawisz.

– Nie zostawię – odparłam łagodnie, dotykając jego ramienia. – Imri, posłuchaj. Polubiłeś bardzo Joscelina i mnie, bo znaleźliśmy cię w miejscu najgorszym z możliwych.

– Nie. – Imriel uniósł głowę ze zdesperowaną i upartą miną. – Nie znaleźliście. Przyszliście i zabraliście mnie stamtąd. Ludzie królowej nie mieli odwagi, *lugalz* Khebbel-im-Akad nie miał odwagi, a wy to zrobiliście! Szlachta oddaje swoje dzieci na wychowanie innym, wiem! Czemu wy nie możecie mnie adoptować? Bo królowa będzie zła? Bo... – głos mu się załamał – bo mnie nie chcecie? Sprawilem wam kłopoty, wiem...

– Nie! – przerwałam mu ostrzej, niż zamierzałam. Westchnęłam i przegarnęłam ręką potargane przez wiatr włosy. Rozmowa stawała się chaotyczna. – Imrielu, kochamy cię ogromnie, oboje z Joscelinem. Gdyby tylko o to chodziło... Eluo! Usynowilibyśmy cię w jednej chwili.

Patrzył na mnie ze strasznym wyrazem oczu, jaki można dostrzec tylko w oczach porzuconego dziecka.

Niech więc tak będzie. Nie mogłam znieść myśli, że cierpi. Ale musiałam być pewna.

– Pamiętasz, jak nienawidziłeś mnie w Daršandze? – zapytałam.

Pokiwał głową.

– I jak cię wystraszyłam, po Sabie?

Pokiwał głową.

– Taka jestem, Imri. – Z drżeniem zaczerpnęłam tchu. – I to się

nigdy nie zmieni, do końca życia będę *anguisette*. Może zmieniać się sposób, ale natura pozostanie taka sama. Jestem *anguisette*, Wybranką Kusziela. To, co dla ciebie było udręką... ja przyjmowałam z własnej woli. Rozumiesz?

– Tak – mruknął.

– Masz w żyłach krew Kusziela. – Ujęłam jego rękę i odwróciłam ją, wskazując błękitne żyłki na delikatnym nadgarstku. – Pewnego dnia sam to odkryjesz. I to wszystko utrudni.

– Nie! – Wyrwał rękę. – Nigdy! Nie jestem taki jak on. – Skrzywił się z odrazą. – Jak ona.

Jak Mahrkagir.

Jak jego matka.

– Nie, nie jesteś. Jesteś sobą. Ale ze strony matki pochodzisz z linii Kusziela, Imrielu, jednej z najczystszych i najstarszych w królestwie. W swoim czasie to da o sobie znać. W swoim czasie zaczniesz mną pogardzać, jak w Daršandze. Nie powiedziano tam o mnie nic, co nie byłoby prawdą. Być może wzgardzisz Joscelinem, który został ze mną, choć zna moją naturę. Miłosierdzie Kusziela jest wielką tajemnicą. Ja rozumiem tę część, która ulega. Twoje dziedziczne prawo dotyczy innej części.

Jego twarz ożywiły targające nim emocje.

– Nie chcę go. Nie chcę! Dlaczego mi to mówisz?

– Bo taka jest prawda – odparłam cicho. – I musisz o tym wiedzieć jeśli chcesz, jeśli naprawdę chcesz zostać przyjęty do mojego domu.

Imriel wstrzymał oddech; nie śmiał oddychać, nie śmiał mieć nadziei. Zbyt dobrze znałam to uczucie.

– Naprawdę? – zapytał szybko.

Pokiwałam głową.

– To nie będzie łatwe. Nawet jeśli mój plan się uda, a nie jestem tego całkowicie pewna, oboje z Joscelinem znajdziemy się w niełasce. Ale jeśli zostaniesz z nami, to warto, skarbie. Mogę ci to obiecać. Widzisz, królowa jest mi winna przysługę. Wielką przysługę...

Nie zdążyłam dodać słowa więcej, bo Imriel rzucił mi się na szyję tak, jakby chciał mnie udusić. Mogłam go tylko obejmować, nie rozumiejąc urywanych słów, które wysapywał w moje włosy. Wszystkie moje lęki, wszystkie problemy, jakie miały pojawić się z czasem, w porównaniu z tym były bez znaczenia. Mogłam tylko przytulać go mocno i mruganiem przepędzać szczypiące mnie w oczy łzy.

– Co mnie ominęło? Ktoś umarł?

Joscelin wreszcie doszedł do siebie po atakach choroby morskiej i patrzył na nas z konsternacją. Imriel puścił mnie i przywitał go okrzykiem radości, rzucając mu się w ramiona. Joscelin chwycił go i zachwiał się.

– Zakładam, że mu powiedziałaś – rzekł do mnie nad głową chłopca.

– Uhm.

– Ha. – Joscelin pocałował Imriela w policzek. – Mam nadzieję, że nie myślisz, że w naszym domu zawsze będzie tak ekscytująco.

A Imriel, wyczerpany stresem, wybuchnął płaczem.

Uspokojenie go zajęło jakiś czas, a jeszcze więcej wyjaśnienie procedur wiążących się z usynowieniem. Adopcja nie oznacza, powiedziałam surowo, że przestanie należeć do rodu Courcel. Dodałam, że w wieku osiemnastu lat ma prawo wyrzec się swojego rodu, choć nie sądziłam, żeby chciał to zrobić. Oboje spodziewamy się, powiedziałam z naciskiem, że uzna swoje pochodzenie, zaznajomi się ze swoją rodziną i dziedzictwem. Ilekroć królowa zażyczy sobie, by stawił się w pałacu, posłuchamy. Cokolwiek zarządzi, przychylimy się, byle tylko on nie odniósł szkody.

– Ale mogę mieszkać z wami? – zapytał.

– Tak – odparłam, czując, jak rośnie moje serce. – Możesz.

Po pierwszej szaleńczej reakcji Imriel się uspokoił, ale wciąż promieniał z radości. Patrzyłam, jak marynarze chętnie uczą go

swojego rzemiosła, jak inni pasażerowie, głównie kupcy, uśmiechają się do niego. Dojmujący, uporczywy strach zmalął, ale wiedziałam, że szorstkie słowo czy odrobina okrucieństwa mogą go wzbudzić i chłopiec znów stanie się nieufny.

– Dobrze zrobiliśmy– mruknął Joscelin, obejmując mnie ramieniem.

– Wiem.

– Nie będzie łatwo.

– Wiem. – Elua wiedział, że nie.

– Uda się. – Joscelin obrócił mnie przodem do siebie. – Zawsze nam się udaje.

– Wiem – powtórzyłam po raz trzeci i pocałowałam go. – Wiem.

Przed zawinięciem do portu w La Serenissimie omówiliśmy jeszcze wiele innych spraw. Imriel z powagą wysłuchał mojego planu i pokiwał głową na zgodę. Nie martwiłam się o jego dyskrecję. Nie pisnął słowa o buncie w Daršandze. Po tamtym wszystko inne było łatwe.

Tylko że w tej grze miała swoje miejsce Melisanda.

Żeglowaliśmy na północ, wiatr był coraz zimniejszy i bardziej przenikliwy, a morze szare, burzone przez niespodziewane sztormy. Pasażerowie zamknęli się w kabinach, gdy płynęliśmy w górę wybrzeża caerdicci, zbliżając się do La Serenissimy.

Dotarliśmy do La Dolorosy, czarnej wyspy.

Gdy statek ją mijał, Joscelin i ja staliśmy na pokładzie.

Wyglądała inaczej. Forteca, w której byłam uwięziona, została opuszczona i podupadała, a marynarze gwizdali mimochodem, bardziej z nawyku niż ze strachu broniąc się przed straszliwą rozpaczą bogini Aszery po zabitym synu. Wciąż opowiadali o wydarzeniach w fortecy; wiem, bo słyszałam. Brałam w nich udział. Tym razem nikt mnie nie rozpoznał, z czego byłam rada.

Wystrzępiona konopna lina z kawałkami desek, srebrno-szarych

od soli i ze starości, wciąż skręcała się na wietrze, uderzając w bazaltowe urwiska. Kiedyś podtrzymywała most, kołyszący się nad groźnym morzem i skałami. Przebyliśmy go, oboje. Ja szłam, będąc więźniem MeliSandy. A on... on przepelźł pod spodem, cał po koszmarnym calu.

Joscelin sięgnął po moją rękę i nasze palce splotły się, gdy patrzyliśmy na La Dolorosę.

Oszczędziliśmy Imrielowi pewnych historii i ta była jedną z nich. Już miał dość powodów, żeby nienawidzić swojej matki; nie potrzebował dodatkowych. Uwięzienie mnie w La Dolorosie, śmierć kawalerów, Fortuna i Remy'ego... te fakty nie były tajemnicą i niewątpliwie kiedyś je pozna. Ale nie teraz, było na to za wcześnie.

– Włócznia Bellonusa! – zawołał marynarz na oku. – La Serenissima!

Tak było.

Wpłynęliśmy do portu.

OSIEMDZIESIĄT SZEŚĆ

Cesare Stregazza, sędziwy doża, zmarł.

Nie było to niespodzianką, ponieważ i tak żył o dziesięć lat dłużej, niż się spodziewano. Zaskakujące było to, że nie zastąpił go syn Ricciardo.

– Mógłby, oczywiście – powiedziała nam jego żona Allegra po powitaniu w Villa Gaudio. Miała tuziny pytań w oczach i zbyt dobre wychowanie, żeby je zadać. – Byłby to jednak niefortunny wybór i doprowadziłby do podziałów. Sestieri Navis ma wielkie wpływy w mieście, a gdy Lorenzo Pescaro zawarł korzystną umowę z dowódcą ilirskiej floty handlowej, liczba jego popleczników się podwoiła. W końcu Ricciardo zdecydował, że zadowoli się zasiadaniem w Consiglio Maggiore i reprezentowaniem Scholae. To wszystko, czego zawsze pragnął.

– Ilirskiej floty handlowej? – zapytałam. – Ograniczenia handlowe zostały zniesione?

Allegra pokiwała głową.

– Całkowicie, ubiegłej wiosny. Ban Ilirii natychmiast mianował dowódcę, gwarantując mu dużą swobodę działania. To mądry człowiek, powiadają, i śmiały. Wygląda na to, że po jego mianowaniu akty rozboju na morzu ustały.

– Nie... – Spojrzałam w jej roziskrzone oczy. – Nie!

– Kazan Atrabiades? – Allegra roześmiała się, widząc moją minę. – W istocie, ten sam. Widzę, że go pamiętasz, moja droga.

W taki sposób odnowiliśmy znajomość i Allegra podzieliła się z nami nowinami z Terre d'Ange, z których żadna, na szczęście, nie była godna uwagi. Dopiero wieczorem po kolacji, gdy Imriel położył się do łóżka w jednym z licznych pokoi gościnnych, rozmowa skierowała się na cel naszego przybycia.

– Z pewnością się zastanawiasz... – zaczęłam.

– Fedro – weszła mi w słowo Allegra – dwanaście lat temu twoje ostrzeżenie ocaliło Ricciardowi życie. Gdyby nie ty... – Potrząsnęła głową. – Jesteśmy twoimi dłużnikami. Gdyby Ricciardo tu był, powiedziałby to samo. Udzielimy ci wszelkiej pomocy. Nie muszę wiedzieć, w jakim celu.

– Chyba powinnaś, pani – powiedział cicho Joscelin. – Ściągnęliśmy na siebie niezadowolenie królowej, która może nie patrzeć przychylnie na tych, którzy nam pomogą.

Allegra Stregazza wzruszyła ramionami.

– A kiedy Ysandra de la Courcel patrzyła przychylnym okiem na ród Stregazza? Co nie znaczy, że nie daliśmy jej powodu. Ale Terre d'Ange ma w La Serenissimie wpływy znacznie mniejsze niż kiedyś, a Ysandra cieszy się opinią uczciwej osoby. Nie sądzę, żebyśmy musieli bać się jej niezadowolenia z powodu spłaty honorowego długu.

– Mimo wszystko Joscelin ma rację – powiedziałam. – I jeśli coś pójdzie źle, powinnaś wiedzieć, Allegro.

Spojrzała w kierunku marmurowych schodów prowadzących na piętro willi.

– O chłopcu, prawda? Jest synem księcia Benedykta.

–Wiedziałaś?

– Tylko dlatego że Ricciardo widział jego matkę bez woalu w świątyni Aszery, gdy ty... gdy przerwałaś ceremonię inwestytury. Opisał mi ją – Uśmiechnęła się lekko. – Powiedział, że na szczęście uroda kobiet nie robi na nim większego wrażenia, bo inaczej znacznie bardziej bałby się Melisandy. Przynajmniej z tego się cieszę. Czy... – Allegra zawahała się. – Czy zamierzacie oddać jej chłopca?

– Nie – odpowiedzieliśmy jednocześnie.

– Aszerze niech będą dzięki. – Westchnęła. – Bałam się spytać.

Uchyliliśmy rąbek tajemnicy, wtajemniczając ją w nasz plan, i opowiedzieliśmy o przygodach przeżytych w ciągu ponad roku, jaki minął od naszego wyjazdu z La Serenissimy na poszukiwanie Imienia Boga w Menechecie. Przedstawiliśmy wersję skróconą, ale i tak wprawiła ją w zdumienie. Niewielu osobom ufam bezgranicznie. Allegra Stregazza do nich nie należy, ale w pewnych sprawach jestem skłonna jej zawierzyć.

– Słusznie obawiacie się wpływów Melisandy – powiedziała poważnie, kiedy skończyliśmy. – Cesare nigdy się nie bał, a Lorenzo Pescaro... cóż, on interesuje się głównie statkami i handlem. Nikt nie wie, co naprawdę dzieje się w świątyni Aszery z Morza, nikt z wyjątkiem kapłanek i eunuchów, a oni są dyskretni. Jednakże przez ubiegły rok docierały do mnie pogłoski. Wiesz, że współpracuję ze Scholae Kurtyzan? One słyszą to, czego nikt inny nie słyszy, choć tobie chyba nie muszę tego mówić, moja droga

– Pogłoski? – zaciekałam się.

Do pokoju wszedł sługa, żeby dopełnić nasze kieliszki mocnym czerwonym winem z Caerdicca Unitas. Po wielu miesiącach dobre wino smakowało nadzwyczajnie. Allegra podziękowała uprzejmie i zaczekała, aż wyjdzie.

– Pogłoski – powiedziała wtedy. – O sekretnym kulcie.

– Kulcie Melisandy? – Głos mi się załamał. Joscelin tylko zaklął.

– Założyła Welon Aszery w chwili, gdy znalazła się La Serenissimie. Poprosiła o azyl i przez dwanaście lat zносиła bez skargi zamknięcie w świątyni. Jest osieroconą matką. I choć jej twarz widzieli nieliczni, o urodzie Melisandy mówi się w całym mieście. Trzeba niewiele więcej, żeby powstała legenda.

– Jest również zdrajczynią skazaną na śmierć – zauważyłam.

– Tak twierdzi Terre d'Ange. Tutaj ludziom łatwo jest w to nie wierzyć. Wysunięte przeciwko niej zarzuty nie zostały potwierdzone

w La Serenissimie. – Na twarzy Allegrы malowała się powaga. – To pogłoski, nic więcej, ale masz prawo się obawiać.

– Cudownie – prychnął Joscelin, łapiąc się za głowę. – Teraz możemy się martwić, że jakiś serenissimski fanatyk ogłosi Melisandę Szachrizaj żywym wcieleniem Aszery z Morza i ogłosi świętą wojnę, żeby zniszczyć jej wrogów?

– Nie, kochanie. – Uśmiechnęłam się do niego. – Dlatego tu jesteśmy.

Rozmawialiśmy do późna i Allegra potwierdziła swoją chęć pomocy. Spałam kiepsko i wcześniej się obudziłam. Próbowałam ułożyć odpowiedź na list Melisandy. Nie było to łatwe. W końcu ujęłam treść w proste, rzeczowe słowa.

Przysięgnij na imię Kusziela, że nie będę miała powodów, by tego żałować, a zobaczysz swojego syna.

Wezwany przez Allegrę Ricciardo Stregazza przybył rankiem do Villa Gaudio i znów opowiedzieliśmy całą historię. Imriel tym razem był obecny i słuchał z cieniem w oczach, i bólem wywołanym na skutek przypomnienia o zdradzie swoich rodziców. Nastrój poprawił mu się dopiero wtedy, gdy Lucio, teraz szesnastoletni i dumny ze swojej dorosłości, zabrał go do stajni, żeby mógł sobie wybrać wierzchowca.

– Jest dobrym chłopcem, prawda? – powiedział Ricciardo odprowadzając ich wzrokiem

– Tak, bardzo dobrym – odparłam.

Moja wiadomość została dostarczona przez anonimowego kuriera, kamieniarza z jednej ze Scholae, które reprezentował Ricciardo. Czekaliśmy na niego w Villa Gaudio. Allegra zabrała nas na wycieczkę po ogrodach, gdzie jeszcze kwitły późnojesienne kwiaty.

– Przepraszam, panie kasjelito – powiedziała do Joscelina. – To musi być dla ciebie okropnie nudne.

– Nie. – Złożył nieskazitelny kasjelicki ukłon. – Wcale nie, pani

Allegro. Niezmiernie lubię ogrody.

Wspomniałam, jak przybyliśmy tutaj na zaproszenie Ricciarda, ledwo odzywając się do siebie. Ten ogród wydawał się rajem. W Montrčve mamy ogrody, ale rośnie w nich tyle samo ziół, co kwiatów. Richelina Purnell, żona mojego zarządcy, pielęgnuje je z zamiłowaniem. Joscelin klęczał w jednym z nich przez wiele godzin, rozmyślając nad swoim cierpieniem i kasjelickimi ślubami, kiedy mu powiedziałam o tym, że chcę powrócić do służby Naamie, by podjąć wyzwanie Melisandy.

Zdawało się, że to było bardzo dawno temu.

Kamieniarz wrócił przed zmrokiem i przyniósł list z jednym słowem.

Przysięgam.

Pismo było chwiejne. Nie zauważyłby tego nikt, kto nie znał go dobrze, kto nie znał eleganckiego, formalnego charakteru pisma d'Angelińskiej arystokracji i adeptów Dworu Nocy. Ja zauważyłam. Ręka Melisandy drżała, gdy pisała to słowo.

Serce przyspieszyło mi w piersi, a oddech się spłycił. Krew szumiała w uszach, głosząc Imię Boga, podczas gdy inne imię pulsowało w moich żyłach. Błogosławiony Eluo, modliłam się, użyż mi siły.

Podczas wieczornego posiłku panował nastrój powagi, głównie za sprawą mojego zamyślenia. Dołączyła do nas córka Ricciarda i Allegry, Sabrina z mężem. W rok naszego wyjazdu pracowita, zrównoważona córka zaskoczyła rodziców, zakochując się w poecie, młodszym synu jednej ze Stu Godnych Rodzin. Byli już po ślubie i jej brzuch zaczynał się zaokręglać. Zwróciłam uwagę na pełną czułości dumę, z jaką się nosiła, i pomyślałam o tajemnicach życia.

– Czujesz? – zapytała Imriela, zachęcając go, żeby przyłożył ręce do jej brzucha. – Niebawem zaczniesz się ruszać.

Jego poważna twarz wyrażała przejęcie.

– Kiedyś pomogłem Lilianie odebrać koźlę – powiedział. – Było

odwrócone, ale urodziło się zdrowe, bo ona tam była. Brat Selbert zawsze ją wołał, gdy koza się kociła.

– W takim razie wiem, do kogo się zwrócić – powiedziała z uśmiechem Sabrina – jeśli akuszerka będzie miała kłopot.

Książę–pastuszek. Wspomniałam, co o nim opowiadano w sanktuarium Elui. Pomyślałam o prostodusznej akoliticie Lilianie, której ufały zwierzęta, i zabolalo mnie serce. Powinien wieść takie życie, powinien dorosnąć w górach Siovale, zdrowy i szczęśliwy, biegając po łąkach.

Powinno tak być.

Ale wciąż byłaby Melisanda.

Rankiem popłynęliśmy wynajętą gondolą do świątyni. Ricciardo i Allegra z radością pożyczyliby nam którąś ze swych łodzi, przydzielając strażników, ale wolałam ten pierwszy sposób. Jeśli coś pójdzie nie po naszej myśli, nazwisko Stregazza nie zostanie splamione. Dotarliśmy rzeką do wyspiarskiego miasta, drżąc lekko w zimnym powietrzu. Miałam zamiar wystarać się o nowy strój, ale w końcu jakiś kaprys kazał mi włożyć pod pożyczony płaszcz dżebeńską suknię, najpiękniejszy dar *rasa* Lijasu, ze złotymi i kościanymi bransoletami. Niech Melisanda wie, pomyślałam, jak daleka była nasza podróż.

Dzień, choć chłodny, był widny i zimowe słońce ogrzewało La Serenissimę. Świątynia Aszery z Morza, z jej złoconymi kopułami, była widoczna z daleka. Wysiedliśmy na tłoczonym Campo Grande, gdzie nikt nie spoglądał ze zdziwieniem na troje D'Angelinów w dżebeńskich strojach. Słuchałam kupców, którzy w niezliczonych językach zachwalali swoje towary, i rozumiałam więcej niż wcześniej. Przed świątynią stali eunuchowie z ceremonialnymi włóczniami. Sami decydowali o utracie swojej męskości, przynajmniej tak powiadano. Pomyślałam o Ruszadzie i Skaldzie Erichu, i zastanowiłam się, jak Uru–Azag radzi sobie w Niniwie.

– I co? – Joscelin położył rękę na moim ramieniu. Imriel trzymał się blisko niego, nieporuszony cudami targu na Campo Grande. Ciężki strach czaił się w jego oczach. – Gotowa?

– Jesteś pewien? – zapytałam Imriego.

Pomimo lęku, powoli pokiwał głową i ze znajomym uporem zacisnął szczękę.

– Tak – powiedziałam do Joscelina. – Jesteśmy gotowi.

OSIEMDZIESIĄT SIEDEM

– Imriel.

Jedno słowo, nic więcej, na wpół wydyszane błaganie, mimowolna modlita. Gdybym mogła, zamknęłabym uszy przed głębią zawartych w nim emocji – bólu, smutku, skruchy i ulgi tak dojmującej, że bolało mnie serce.

Nie mogłam na nią patrzeć.

Imriel stał sztywno, z twarzą bladą pod opalenizną.

– Matko.

Melisanda zerknęła na mnie. Musiałam na nią spojrzeć.

– Wie, ludzie Ysandry mu powiedzieli – wyjaśniłam. – Jeden z nich stracił brata w Troyes-le-Mont.

Ta wiedza była dla niej gorzka. Patrzyłam, jak przyjmuje ją niczym cios, trzepocząc powiekami. Dlaczego nic pod słońcem nie mogło jej oszpeciść? Czas tylko wyczelował jej piękno, rozpacz nadała mu głębi.

– Wybacz – powiedziała do Imriela. – Uwierz mi, jest mi bardzo przykro z powodu tego, co wycierpiałeś.

– Dlaczego? – Zrobił krok w jej stronę, drżąc z wściekłości i z wysiłku, z jakim powstrzymywał się od płaczu. – Dlaczego?

Pytanie, uporczywe pytanie dziecka wreszcie zostało skierowane do tej, która mogła udzielić odpowiedzi. Melisanda zniosła je spokojnie.

– Och, Imrielu – rzekła cicho. – Tak wiele powodów, i tak niewiele. Czy chcesz znać je wszystkie? Wyliczenie ich zabrałoby długi czas.

– Ludzie zginęli przez ciebie! – syknął.

– Tak. – Głos miała spokojny. – Ludzie zginęli także przez Ysandrę de la Courcel i przez Fedrę nó Delaunay. Messire Verreuil sam wielu z nich uśmiercił. Czy gardzisz nimi z tego powodu?

– Nie. – odparł Imriel niepewnie. Joscelin rzucił mi zatroskane spojrzenie, a ja nieznacznie pokręciłam głową. – To co innego.

– Co innego, bo znasz historię z ich strony. – Twarz Melisandy była niesamowicie spokojna. – Nie znasz jej z mojej. Zapytałeś. Posłuchasz?

Wszyscy staliśmy, czując się niezręcznie podczas tej oficjalnej rozmowy. Zimowe słońce wpadało do marmurowej komnaty, ogrzewanej przez dwa kosze z węglami. W tle szemrała niewidoczna fontanna. Imriel zwrócił się do mnie ze łzami w oczach:

– Nie chcę wiedzieć – powiedział po dżebeńsku. – Nie powinienem pytać. Czy muszę jej wysłuchać?

– Nie. – Pokręciłam głową. – Decyzja należy do ciebie.

– Powiedziała prawdę?

Popatrzyłam na Melisandę, której spojrzenie wyostrzyło się, gdy jej syn zaczął mówić do mnie w nieznanym języku.

– Tak – odparłam po d’Angelińsku. – To prawda. Każda historia ma dwie strony, nawet historia twojej matki.

Joscelin przestąpił z nogi na nogę, ale powstrzymał się od komentarza.

Imriel patrzył na Melisandę.

Byli podobni i ten fakt miał się nigdy nie zmienić. Po ojcu odziedziczył kształt podbródka i prostą linię brwi. Wszystko inne miał po niej – piękny kościec twarzy, czyste czoło, pełne, zmysłowe usta, granatowoczarne włosy, które spadały w falach, a nie w lokach. I oczy, Eluo, oczy!

– Nie – powiedział wreszcie szorstko. – Wiem dość. Nie chcę wiedzieć nic więcej.

Melisanda skłoniła głowę.

– Jak sobie życzysz, Imrielu. Pamiętaj, że zawsze możesz mnie

wysłuchać.

Zwrócił się do mnie:

– Możemy już iść?

– Tak, jeśli chcesz.

Pokiwał głową, jego twarz miała chorobliwy, błagalny wyraz.

– Idź z Joscelinem – powiedziałam łagodnie. – Możecie złożyć ofiarę Aszerze z Morza, która kiedyś ocaliła mi życie. Ja zostanę na chwilę i pomówię z twoją matką.

Poszli, Imriel z ręką ufnie wsuniętą w dłoń Joscelina. Joscelin rzucił mi posępne, ostrzegawcze spojrzenie, ale nie powiedział słowa. Melisanda patrzyła za nimi, a ja czułam na skórze gorzki żar jej tęsknoty. Kiedy wyszli, usiadła na kanapie i z urywanym westchnieniem przeciągnęła rękami po twarzy.

– Jaki on jest, naprawdę? – zapytała.

– Na ciele zdrowy, pani. Nękają go koszmary – odparłam, wciąż stojąc.

Melisanda podniosła wzrok.

– Czy powinnam wiedzieć, dlaczego?

– Nie. – Pokręciłam głową. – Nie powinnaś.

Spojrzała w inną stronę.

– Jestem twoją dwukrotną dłużniczką. Czy powinnam wiedzieć, co wycierpiałaś, żeby go znaleźć, Fedro?

– Nie. – Nie mogłam otrząsnąć się ze współczucia. – Nie, pani, nie powinnaś.

– Królestwo, które umarło i żyje. – Melisanda roześmiała się bez cienia wesołości. – Drudżan. Dżahandar, kraina ognia. Ptolemeusz Dikajos bał się, wiem, a jest uczonym człowiekiem. Teraz podlega władzy Khebbel-im-Akad, słyszałaś?

– Nie.

– Zdaje się, że poddali się bez walki. – Spojrzała na mnie. – Nadzwyczaj dziwne, biorąc pod uwagę fakt, że nawet potężna armia kalifa bała się przekroczyć granice. Jak zresztą ludzie pana

Amaurego.

Milczałam. Melisanda westchnęła.

– Co z ludźmi, którzy skrzywdzili mojego syna?

– Nie żyją.

Jej rysy stwardniały.

– Przysięgniesz?

– Tak. – Pomyślałam o Imrielu, który kilka razy sprawdzał, czy tatarski wódz Jagun nie żyje, i o sercu Mahrkagira bijącym pod moją ręką, o jego lśniących, ufnych oczach, gdy przykładalam szpilkę do jego piersi. – Przysięgam.

– Zabrałaś mojego syna do Dzebe–Barkal.

– Tak. – Podeszłam do niskiego stolika, na którym stała zapomniana taca z napojami, i nalałam sobie kieliszek wina. Ze strachu zaschło mi w ustach. – Zabrałam.

– Dlaczego?

Jej spojrzenie kłuło bardziej niż ostra szpilka Kaneki. Z obojętnym wyrazem twarzy usiadłam na kanapie naprzeciwko niej i popijałam wino.

– Czy wiesz, że sam to zrobił? Posłużył się twoją sztuczką, pani, zamieniając się na płaszcz z tyreńskim służącym. Elua wie, co zrobił pan Amaury, kiedy to odkrył.

– Mogłaś go odesłać.

– Czy mamy prowadzić grę? – zapytałam cicho, wtulając się w kąt kanapy. – Tak, pani, mogliśmy to zrobić. Ale straciłabym kilka cennych miesięcy, podczas gdy mój przyjaciel Hiacynt, mój jedyny prawdziwy przyjaciel, powoli pogrąża się w szaleństwie. Dlatego wyruszyłam na tę wyprawę, pamiętasz? Dlatego zgodziłam się na umowę z tobą. I, jak się okazało, Imriel miał pewną rolę do odegrania.

– Znalazłaś to, czego szukałaś.

Patrzyłam na Melisandę, czując Imię Boga na końcu języka, czując tętnienie we krwi. Imię było wypisane w nieskazitelnej geometrii jej rysów w jej krwi i kościach, w porażającym pięknie.

– Tak, znalazłam.

Nigdy, ale to nigdy nie wykładaj swoich kart. To pierwsze prawo handlu, gry umiejętności. Niestety, moja siła polega na uleganiu. Czekanie i wytrzymywanie jej spojrzenia było trudne, bardzo trudne. Ale wytrzymałam, i to Melisanda pierwsza odwróciła wzrok.

– A teraz przekażesz mojego syna Ysandrze – mruknęła. Napiałam się wina.

– To, pani, zależy od ciebie.

Jej oczy zapłonęły, policzki poróżwiały.

– Co masz na myśli?

– Powiem ci, co proponuję. Powiem ci, czego żądam w zamian. Jestem skłonna, pani, przyjąć Imriela do swojego domu. I jako taki... – Głos uwiązał mi w gardle. – Ach, Melisando! Nie mogę go zmusić, żeby cię pokochał. Sama zatruiłaś tę studnię, na długo przed jego narodzinami. Mogę ci jednak obiecać, że będzie miał wolną wolę, a ja nie zwrócę go przeciwko tobie, nie rozmyślnie. Jeśli chcesz z nim korespondować, dopilnuję, żeby twoje listy trafiły w jego ręce. Czy je przeczyta, to będzie zależało od niego. Pewnego dnia być może zechce wysłuchać twoją historię. Jeśli tak, pozwolę mu. Dam mu wybór. To proponuję.

– Ysandra nigdy na to nie pozwoli.

– Pozwoli, jeśli powiem, że ta łaska mi się należy. Otrzymałam Gwiazdę Towarzysza, pani. Ysandra obiecała mi to na oczach kwiatu d'Angelińskiej arystokracji. Nie może mi odmówić.

Melisanda przyglądała mi się badawczo.

– Dlaczego?

Dotknęłam dołeczka u podstawy szyi, gdzie kiedyś spoczywał jej diament.

– Dlaczego zapłaciłaś za moją markę? Dlaczego mnie wyzwoliłaś?

Błady uśmiech pojawił się na jej ustach.

– Żeby zobaczyć, co zrobisz.

– Otóż to. – Pokiwałam głową. – Chcę zobaczyć, co zrobi Imriel, na

kogo wyrośnie, gdy będzie miał swobodę wyboru. Po tym, co wycierpiał, zasługuje przynajmniej na tyle. Ale mam także na względzie bezpieczeństwo własne i tych, którzy są ze mną związani.

– Kasjelita – powiedziała cierpko.

– Między innymi. Tak, Joscelin jest pierwszy z nich wszystkich, ale są też inni. Ti-Filip, mój kawaler... pamiętasz go, pani? Jego towarzysze zginęli z rozkazu księcia Benedykta. Eugenia, moja gospodyni, i mieszkańcy Montreve... mój zarządca Purnell Friote z żoną Micheliną i inni, zbyt wielu, żeby ich wymieniać. Polubiłam twojego syna, Melisando, bardzo go polubiłam. Ale jeśli będziesz spiskować przeciwko tronowi, wszystkim nam zagrozi oskarżenie o zdradę. Nie narażę ich z jego powodu. Żądam zabezpieczenia.

To było kłamstwo, blef. Zagrałam bez zmrużenia oka. Spojrzenie Melisandy przeszukiwało moją twarz.

– Powiedziałaś, że jest cena – odezwała się w końcu.

Mogłam tylko powstrzymać się od westchnienia ulgi.

– Dwie sprawy – powiedziałam, unosząc dwa palce. – Po pierwsze, przysięgniesz na imię Kusziela, że nie zrobisz nic, co naraziłoby życie Ysandy de la Courcel i jej córek. Po drugie, nie będziesz próbowała opuścić sanktuarium. Doczekasz tu końca swoich dni, szukając tylko skruchy, a nie czci.

Melisanda roześmiała się.

Czekałam.

– Ach, Fedro! – Pochyliła się i musnęła mój policzek czubkami palców. Jej dotyk zapiekł jak smagnięcie biczem. Zamknęłam oczy.

– Jeden – powiedziała czule, głosem przywołującym na myśl dym i miód. – Postawiłaś mi dwa warunki, Fedro. Jeśli zabierzesz mojego syna i wychowasz go bez powiększania nienawiści do mnie, spełnię jeden warunek. Tylko jeden. Wybór należy do ciebie.

Trudno było nie przytulić się do jej ręki. Jej dotyk poruszył mnie, poruszył to, czego nie czułam od Daršangi. Wtedy myślałam, że mogę już nigdy nie zatęsknić za takim czułym okrucieństwem. Myliłam się.

Zapach Melisandy otaczał mnie, mącił mi w głowie. Nawet Święte Imię rozmyło się pod jej palcami, przemieniając w niezrozumiałe sylaby. Miałam wrażenie, że mój język puchnie z pożądania. Chciałam jej dotknąć, poczuć jej smak, ukłęknąć u jej stóp.

– Pierwsze – powiedziałam, czując pulsowanie pomiędzy udami. – Przysięgnij na imię Kusziela, że nie podniesiesz ani swojej, ani cudzej ręki przeciwko Ysandrze i jej córkom.

– Przysięgam. – Melisanda zabrała rękę. – Na imię Kusziela, przysięgam.

Stałam, czując zawroty głowy.

– W takim razie wychowam twojego syna jak własnego, pani.

– Niech tak będzie.

Byłam w połowie drogi do drzwi, gdy zatrzymał mnie jej głos.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytała, patrząc na mnie ze zdumieniem.

– Dlaczego zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy, a nawet więcej? Moja przysięga nie wiązała cię do rzucania się w ramiona śmierci. Miałaś własną misję i klucz do znalezienia Imienia Boga. Dlaczego zrezygnowałaś, żeby pójść samotnie, z samym tylko kasjelitą dla ochrony, do kraju, którego bali się najdzielniejsi wojownicy Akadu? Tylko po to, żeby uwolnić mojego syna?

Pokręciłam głową.

– Nie, pani. Moja przysięga zawiodła mnie do Khebbel–im–Akad, nie dalej. Mogę tylko powiedzieć, że ciąg dalszy wynikał z woli Elui i stanowił część wzoru większego, niż mogłam przypuszczać. W Drudżanie... w Drudżanie było coś, czego Ptolemeusz Dikajos miał prawo się obawiać, cień, który mógł paść na nas wszystkich, gdyby przetrwał. Ale to już przeszłość. Wielkie zło zostało zażegnane. Tak by się nie stało, gdybym nie poszła.

Twarz Melisandy była bardzo spokojna.

– W takim razie Imriel nie cierpiał na próżno.

– Nie – odparłam i znowu pokręciłam głową, współczując jej wbrew sobie. – Niezupełnie, pani, i nie tylko za twoje zbrodnie. Cel

był większy niż tylko sprawiedliwość Kusziela.

Zamknęła oczy i jej usta poruszyły w dziękczynnej modlitwie. Nie powinnam tego oglądać. Odwróciłam się do wyjścia.

– Fedro.

Po wszystkich latach naszej znajomości moje imię padające z jej ust wciąż mogło zatrzymać mnie w pół kroku. Równie dobrze Melisanda mogłaby trzymać mnie na smyczy. Stałam, rozpaczając w duchu, i patrzyłam, jak wstaje z kanapy i podchodzi do mnie. Kwadraty zimowego światła kładły się na marmurowej posadzce, słońce lśniło na podniesionym Welonie Aszery, migotliwa siatka okrywała granatowoczarne włosy. Jej ręce, blade jak kość słoniowa, z długimi, zwężającymi się palcami, objęły moją twarz z niezmierną czułością i obietnicą nieskazitelnego okrucieństwa. Rozdarta przez pragnienie ucieczki i pozostania, wstrzymywałam oddech, a moje serce biło zbyt szybko, nierówno.

– Fedro. – Melisanda uśmiechnęła się. Jej oczy były ciemnoniebieskie i niezgłębione jak wieczorne niebo. – Jesteś okropną kłamczuchą.

Odetchnęłam, drżąc w jej rękach.

– Nigdy cię nie okłamałam.

– Nie? – Kąciki jej cudnych ust uniosły się z rozbawienia. – Powiedzmy, że przemilczałaś pewne rzeczy, takie jak próba zamachu na Imriela w Khebbel–im–Akad. Co do reszty, powiem tylko tyle. Pewnego dnia – nieprędko, ale pewnego dnia – oznajmisz mojemu synowi, że nasza dzisiejsza umowa jest moim darem dla niego, jedynym, jaki przyjąłby ode mnie. A ja będę spokojniejsza, wiedząc, że z tobą i kasjelitą jest bezpieczniejszy niż gdziekolwiek w Mieście Elui, bo ty nie pozwolisz na żadne intrygi pod swoim dachem i oboje będziecie go chronić nawet za cenę życia. – Przyjrzała się mojej twarzy i roześmiała. – Och, Fedro! Czyżbyś myślała, że nie poznam, że Imriel was kocha i jest przez was kochany? Nawet Joscelin pragnie go chronić przede mną. A ty... moja droga, ty możesz odtrącić miłość nie

bardziej, niż wymazać z oka znak Strzały Kusziela.

Rozgorączkowana z pożądania i strachu, bezskutecznie szukałam odpowiedzi.

Melisanda zignorowała moje wysiłki i pocałowała mnie. Imię Boga zapłonęło w mojej czaszce, rozniecone dotykiem jej ust, jej języka. Zobaczyłam przecinające się i rozchodzące nasze ścieżki, niezliczone ścieżki *co by było, gdyby*. Wszystkie scenariusze mogły się wydarzyć, gdyby wypadki potoczyły się inaczej, i we wszystkich nasze losy były splecione. W jednym Melisanda zjednoczyła siły z Anafielem Delaunayem, *in loco parentis* wobec mnie, i nasze relacje były pełne napięć najgorszych z możliwych. W innym poślubiła Baudoina de Trevalion, a ja służyłam im jako zabawka. W jeszcze innym stałam obok niej, patrząc na otrutego Waldemara Seliga i wiedząc, że jestem sprawczynią jego śmierci.

Scenariuszy było znacznie więcej.

Wszystkie mogły się zdarzyć.

Melisanda uniosła głowę i puściła mnie.

– Troszcz się o mojego syna.

– Tak. – Nie wiem, gdzie i jak znalazłam głos, bo gardło miałam ściśnięte przez pragnienie, wizje i Imię Boga. Melisanda tylko skinęła głową.

Zawsze znała mnie lepiej niż ktokolwiek inny.

– Do zobaczenia, Fedro.

OSIEMDZIESIĄT OSIEM

Weszłam do świątyni Aszery, gdzie Joscelin opisywał Imrielowi zdarzenia, jakie rozegrały się tam około dwunastu lat temu. Stali w kącie i szeptali, gdy pokazywał balkon naprzeciwko wielkiego posągu. Kapłanki Aszery miały niezadowolone miny, co było widać nawet przez welony, i pomrukiwały niechętnie.

Ukoronowana gwiazdami Aszera z Morza, nieśmiertelna i niewzruszona, patrzyła z powagą w pustkę pod kopułą. Jak Święte Imię Boga Jedyne, jej tajemnica sięgała dalej w przeszłość niż pamięć śmiertelnych, i miała trwać po naszym odejściu do prawdziwej Terre d'Ange, która leży w zaświatach.

Roześmiałam się, ponieważ wiedziałam, że to prawda.

Joscelin uniósł głowę i uśmiechnął się do mnie. Jego uśmiech nie zawierał żadnej ukradkowej wiadomości, wyrażał po prostu zadowolenie z mojego powrotu.

– Zgodziła się?

Pokiwałam głową i wyciągnęłam rękę do Imriela. Podszedł z rezerwą, przepelniony dawnym lękiem.

– Obiecała?

– Tak, choć nie wszystko. Tylko ważną część.

– Dotrzyma obietnicy? – Jego spojrzenie przeszukiwało moją twarz.

– Dotrzyma. A my pojedziemy do domu.

Ze świątyni udaliśmy się do Banco Tribuno, gdzie wciąż miałam konto otwarte przez mojego faktora w Mieście Elui, messire Brenina.

Jego serenissimski partner pamiętał mnie dobrze i powstrzymał się od komentarza na temat naszych dżebeńskich strojów. Podpisałam skrypt na sumę wystarczającą na nasze potrzeby i z Banco poszliśmy do krawca, gdzie obstalowaliśmy stroje podróżne w serenissimskim stylu – jasne aksamity i ciężkie peleryny lamowane gronostajem. Jak na mój gust były zbyt strojne, ale dobre na zimę w Caerdicca Unitas.

– Nie musiałaś zamawiać gronostajów – zauważył Joscelin.

Spojrzałam na niego znad kołnierza nowego płaszcza.

– Ostatecznie jestem hrabiną de Montrčve. Nie sądzisz, że powinnam oglądać jak hrabina?

Jak zawsze, nie brakowało innych przygotowań. Gdybyśmy byli sami, podróżowalibyśmy jak wcześniej, ale teraz musieliśmy mieć wzgląd na Imriela, a ja nie zapomniałam o zbrojczach, którzy napadli nas w drodze z Terre d’Ange. Ricciardo Stregazza znalazł nam eskortę najemników, za których osobiście poręczył, marynarzy pozbawionych do wiosny zajęcia. Należało jeszcze, jak zwykle, omówić trasę, zaopatrzenie w wodę, paszę i tak dalej.

Była też jeszcze jedna sprawa.

Po namyśle postanowiłam wysłać list do Severia Stregazza, który był obecnie panem Małego Dworu – przemianowanego na Palazzo Immortali. Odziedziczył go w jakiś czas po śmierci dziadka, księcia Benedykta de la Courcel.

Kiedyś dobrze znałam Severia, był moim klientem. Wciąż pozostaje jedynym mężczyzną, który poprosił mnie o rękę, a ja nawet rozważałam jego propozycję... przez chwilę. Dobrze się stało dla nas obojga, że odmówiłam. Pozostaje również jedynym żyjącym serenissimskim krewnym Imriela, który nie dopuścił się morderstwa czy zdrady.

Ciotka Severia, Teresa, brała udział w zabójstwie Izabeli L’Envers de la Courcel, matki Ysandry. Nigdy tego nie zapomnę, bo dla zdobycia tej wiedzy mój przybrany brat Alcuin ryzykował życie – i tę wiedzę wykorzystał Delaunay, żeby kupić wątpliwie przymierze z

diukiem Barquielem L'Envers.

Barquiel kazał zabić za to Dominika, wuja Severia. Tego także nigdy nie zapomnę.

A matka Severia, Maria Celestyna, najstarsza córka księcia Benedykta, obmyśliła spisek, którego celem było usunięcie starego Cesare z urzędu doży i posadzenie na tronie jej męża Marka. Przynajmniej tak mówią w La Serenissimie. To Maria Celestyna przekupiła kapłanki ze świątyni Aszery, tego jestem pewna. Melisanda zawsze wystrzegą się świętokradztwa.

Dlatego wiedziałam, że dotrzyma przysięgi.

Nawet teraz, gdy wokół jej wygnania tworzył się kult, nie wątpiłam, że starannie dobierała słowa, nie wysuwając roszczeń, które mogłyby obrazić bogów, gdyż dobrze wiedziała, jaki skutek mogłoby to wyrzucić na wyznawcach Aszery. I nie wątpiłam, że to jej geniusz skrywał się za zdradą Marii Celestyny.

Tak czy owak, Severio, podobnie jak jego stryj Ricciardo, był jednym z tych dobrych Stregazza, mających sumienie, którego brakowało innym członkom rodziny. Napisałam do niego z Villa Gaudio, kładąc nacisk na zachowanie dyskrecji.

Kurier Ricciarda wrócił spiesźnie w eleganckiej bissonie z herbem Stregazza, karaką i wieżą pomiędzy długimi szyjami łabędzi domu Courcel. Towarzyszyło mu pół tuzina szlachciców z Immortali, umiłowanego klubu Severia. Rozpoznałam ich przywódcę w sutym płaszczu z niebieskiego aksamitu z żółtą jak szafran podszewką.

– Hrabino! – zawołał, gdy sternik podprowadził złoconą łódź do pomostu Villa Gaudio. – Hrabino, wróciłaś i znów łamiesz mi serce!

– Benito Dandi – powiedziałam z uśmiechem.

Wyszczrzył zęby i skłonił się zamasyście.

– Pamiętasz!

Pamiętałam. Immortali pod przewodem Severia ocalili mi życie w świątyni Aszery, gdy w desperacji przyciskałam do gardła szpic własnego sztyletu, pragnąc za wszelką cenę powstrzymać Melisandę.

– Oczywiście – powiedziałam, a Joscelin uniósł brwi. – Pan Benito... Severio powiedział ci, że prosiłam o dyskrecję?

– Ach, tak. – Benito uśmiechnął się jeszcze szerzej i wskazał jedwabny baldachim bissony. – Tutaj nikt cię nie zobaczy, a dla zaufanych Immortali widok twojego oblicza zawsze jest upragnioną nagrodą. Panie kasjelito, możesz oczywiście zatrzymać broń – powiedział z pewnym szacunkiem; pojedynek Joscelina z kasjelickim zdrajcą Dawidem de Rocaille był legendą wśród tych, którzy go widzieli. – A ty... – z nieskrywaną ciekawością skinął głową Imrielowi – ty musisz być krewniakiem. Witaj, paniczu.

Udaliśmy się do Małego Dworu i wpłynęliśmy przez bramę na Grand Canal. Benito Dandi wyskoczył na nabrzeże i pomógł nam wsiąść, a strażnicy powitali nas przyjaźnie. Dziwnie było, po tak długim czasie, odwiedzić to miejsce. Dzień był widny i rześki, światło odbite od wody kanałów rzucało faliste refleksy na chłodny marmur. Imriel patrzył na to ze zdumieniem.

– Tu się urodziłeś – powiedziałam.

Przełknął ślinę.

– Nie czuję... to nie moje miejsce.–

– Nie. – Pogłaskałam go po głowie. – Twój ojciec czuł podobnie, jak sądzę. Chciał mieć syna czystej d’Angelińskiej krwi. To część twojej historii, powinieneś wiedzieć.

– A Severio może okazać się sprzymierzeńcem.

Pokiwałam głową, choć nie lubiłam, gdy Imri miał taką dorosłą minę.

– Polityka.

Miała być nieodłącznym elementem jego życia, naszego życia. Zawsze.

Mały Dwór się zmienił, choć pozostały w nim d’Angelińskie drobiazgi, wazony w niszach, piękne dywany na zimnych podłogach z marmuru. Ich elegancję podkreślał serenissimski wystrój wnętrza,

misterne rzeźby z drewna, mozaiki ilustrujące dokonania Stregazza od protoplasty rodu, Marka Aureliusza Stregi.

Severio przyjął nas w prywatnej komnacie, za co byłam wdzięczna. Nie lubiłam wspomnień wiążących się z salą tronową, w której zginął Remy z Fortunem.

– Fedro, całe wieki! – zawołał w caerdicci, otwierając ramiona, żeby mnie objąć i obdarzyć d’Angelińskim powitalnym pocałunkiem.

Uściskałam go serdecznie. Pozycja Severia wzrosła, a majątek znacznie się powiększył, gdyż otrzymał w spuściźnie ogromne bogactwo. Był młodzieńcem, kiedy go poznałam; teraz miałam przed sobą dojrzałego mężczyznę ze zmarszczkami w kącikach ust i na czole pod brązowymi lokami.

– Severio, miło cię wiedzieć.

– I ciebie. – Z uśmiechem ujął moje dłonie. – Ach, Fedro! Czas traktuje cię nazbyt uprzejmie. Czy minęło dziesięć lat? Dwanaście? Nie uwierzyłbym w to, widząc ciebie. I ty, panie kasjelito. – Severio mocno uściśnął rękę Joscelina. – Mój zbrojmistrz co najmniej raz w roku każe mi opowiadać o twojej walce w świątyni. Nigdy mi nie wybaczył, że nie widziałem zakończenia.

– Książę Severio – mruknął Joscelin.

– I ty. – Severio zwrócił się do Imriela i ukłonił mu się formalnie, jak równemu sobie. – Jesteś moim krewniakiem, poniekąd moim wujkiem, jeśli się nie mylę.

Imriel, czerwieniejąc, odwzajemnił ukłon.

– Panie, jestem Imriel. Po prostu Imriel.

Severio spojrzał na mnie z lekkim zdziwieniem.

– To prawda – powiedziałam do Imriego. – Twój ojciec, książę Benedykt, był dziadkiem pana Severia. Jego matka jest twoją przyrodnią siostrą, choć dzieli was duża różnica wieku.

– Przepraszam – wymamrotał Imriel. – Przepraszam, panie.

– Nie ma za co, kuzynku – odparł Severio nadzwyczaj łagodnym tonem. Dojrzał pod wieloma względami, odkąd go poznałam. – Co

mamy powiedzieć? Jesteśmy kuzynami i żaden z nas nie jest dumny ze swojego dziedzictwa. Nie wybierałeś miejsca swoich narodzin, a ja... ja odniosłem z niego korzyść. Czy zazdrościsz mi Małego Dworu, Palazzo Immortali? Ojciec przeznaczył go dla ciebie, dawno temu.

– Nie! – Imriel, przestraszony, poderwał głowę. – To... – rozejrzał się i bezradnie machnął rękami – to serenissimski pałac. Jest przeznaczony dla ciebie, panie. Nie dla mnie.

– Dobrze – odparł Severio z uśmiechem. – W takim razie jesteśmy zgodni, kuzynku. Czy zostaniemy przyjaciółmi? Zdaje się, że twoja przybrana matka Fedra uważa to za dobry pomysł.

Choć nie byłem, ściśle rzecz biorąc, przybraną matką Imriela, Severio nie mógłby powiedzieć nic, co by mi bardziej schlebilo. Parę godzin spędziliśmy na miłej rozmowie, zdając skrócone sprawozdanie z naszych przygód. Nawet Joscelin się odprężył, zapominając o dawnej urazie. Dzielila nas zła krew, gdy Severio został moim klientem, ale wyrosliśmy z tego i nikt nie mógłby zaprzeczyć, że także Severio dorósł. Nieokrzesany serenissimski panicz z królewską krwią D'Angelinów w żyłach stał się mężczyzną cnót godnych pozazdroszczenia.

Chciałabym poznać jego żonę, ale, niestety, byliśmy w La Serenissimie i choć miastem rządziła bogini, rola kobiet nie dorównywała roli mężczyzn. Poza tym, przypuszczam, mogła nie kwapić się do spotkania ze mną. W Mieście Elui wciąż mówiono z podziwem o zapłacie, jaką Severio uiścił za spotkanie ze mną po moim powrocie do służby Naamie.

Mimo wszystko Severio nie był nieczuły na sprawy dotyczące Terre d'Ange.

– Co z jego matką? – zapytał, ruchem głowy wskazując Imriela, gdy zakończyliśmy naszą opowieść. – Kiedyś próbowała posadzić go na d'Angelińskim tronie. Czy spróbuje ponownie?

– Nie tak jak wcześniej – odparłam. – Nie za pomocą tych samych środków.

– Aszero z Morza, spraw, żeby tak było.

Tak przebiegało nasze spotkanie z Severiem Stregazza i przyznam, że byłam rada, gdy dobiegło końca. Zanim wyjechaliśmy z La Serenissimy, Imriel pogodził się z myślą, że rzeczywiście jest księciem krwi i członkiem licznej rodziny, w której nie wszyscy byli zdrajcami i spiskowcami– za sprawą mojej głupoty wiedza o jego pochodzeniu została mu ujawniona w mało delikatny sposób, a zamachy na jego życie w Khebbel–im–Akad sprawiły, że nie miał zaufania do krewnych.

Severio pomógł załagodzić to wrażenie, on i jego weseli Immortali. odwieźli nas do Villa Gaudio, śpiewając serenady – głównie na moją cześć – z niedorzecznie górnolotnymi tekstami. Słuchając ich, Joscelin wywracał oczami w udawanym przerażeniu, a Imriel śmiał się do rozpuku.

Już choćby dla tego było warto.

OSIEMDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

Podróż do domu minęła bez wypadków, z czego byłam rada.

Dom. Dom!

Jak długo to trwało? Pomyślałam, że wiosną miną dwa lata, gdy zapłakana i roztrzęsiona zbudziłam się ze snu o Hiacyncie. Czasami zdawało się, że dłużej; czasami zdawało się, że czas minął w okamgnieniu.

Rok temu byliśmy w Daršandze.

Imriel podrósł co najmniej o cal od powrotu z Dzebe–Barkal. Na wiosnę będzie miał dwanaście lat. Co zostało z jego dzieciństwa – co zostawił Mahrkagir – szybko przeminie. Przypominałam sobie o tym codziennie, obserwując go.

Nasza najemna eskorta traktowała go z dobroduszną bezceremonialnością, a jemu było z tym dobrze, lepiej, niż gdyby odnosili się do niego jak do arystokraty. Książę–pastuszek, niewolnik barbarzyńcy. Te rzeczy znał. Uczyli go kląć w caerdicci, gdy myśleli, że jestem poza zasięgiem słuchu. Uśmiechałam się do siebie i nic nie mówiłam.

W nocy śniłam.

Śniłam, że jestem sama na skalistej wyspie spowitej mgłą, i gdzieś na tej wyspie był Hiacynt. Nie mogłam go zobaczyć, choć słyszałam głos wypowiadający moje imię. „Fedro, Fedro”. I tańczyłam sama na nagiej skale, w powolnym dworskim takcie, odtwarzając w kręgu wcześniej zrobione kroki. Kiedy wróciłam do początku, wiedziałam,

że mgła się rozwieje, a w środku kręgu zobaczę wieżę Pana Cieśniny.

Hiacynta.

Tylko że we śnie nie dotarłam do końca. Zbudziłam się z kołataniem serca, z Imieniem Boga na koniuszku języka.

Wracaliśmy po własnych śladach w poprzek półwyspu Caerdicca Unitas. Ile razy pokonałam tę trasę? Raz z Ysandrą i Amauryem Trente – to ta podróż, o której snują opowieści. Raz, tam i z powrotem, z Joscelinem... I ostatni raz w tamtą stronę. Później pożeglowaliśmy do Menechetu.

Teraz wracaliśmy, krok po kroku. Pavento, Milazza... zatrzymywaliśmy się w zajazdach, gdzie było to możliwe, a towarzyszący nam serenissimscy marynarze pili i bawili się do późnej nocy. Bez pytania płaciłarn rachunki. Gdy noc zaskoczyła nas pomiędzy miastami, obozowaliśmy przy źródle czystej wody. W jednym z takich miejsc, gdy Imri już spał, a Serenissimczycy byli zajęci opróżnianiem bukłaka z winem, odbyłam rozmowę z Joscelinem.

– Wiedziała – powiedziałam, patrząc w mrugające płomienie.

– Co? – Nie mieszkał w moich myślach, więc nie od razu zrozumiał.

– Melisanda?

Pokiwałam głową.

– Wiedziała, o co poproszę i dlaczego, lecz mimo to się zgodziła. Potem mi powiedziała.

Joscelin milczał przez jakiś czas.

– Dlaczego to zrobiła?

– To jej dar – odparłam, unosząc głowę. – Jej dar dla Imriela, powiedziała. Z miłości.

– Z miłości – powtórzył i pogrzebał w ognisku długą gałęzią.

– Z miłości.

Na wpół zwęglona gałąź przesunęła się i spadła, wzbijając w niebo fontannę pomarańczowych iskier.

– Czy możesz powiedzieć, że znasz całą wolę Elui? – mruknął. – Tak

brzmiały słowa kapłana w Siovale. Gdyby powiedział mi wtedy, że wyprę się królowej dla dobra syna Melisandy Szachrizaj, roześmiałbym się mu w twarz.

Uśmiechnęłam się.

– Ta miłość to niebezpieczna siła.

Joscelin skrzywił kącik ust.

– Otóż to.

Przekroczyliśmy granicę na południe od Milazzy w zimny, ponury dzień. Ziemia zamarzła i nasze konie przedeptywały niespokojnie, gdy czekaliśmy na odprawę. Gdybyśmy przekroczyli granicę w Kamlachu, spotkalibyśmy Czarne Tarcze Niewybaczonych, ale tutaj, w Eisandzie, pogranicza strzegli ludzie Pani Marsilikos. Na kolczugach mieli grube płaszcze z błękitnej jak morze wełny, które chroniły przed chłodem, z symbolem Ejszet na piersi – dwie złote ryby, każda zwrócona pyskiem do ogona drugiej, tworzące krąg.

– Hrabino. – Podszedł do nas kapitan straży, kłaniając się nisko. Miał strapioną minę. – Nie spodziewaliśmy się was tutaj.

Uniosłam brwi.

– Czy wydano rozkaz, że nie wolno mnie przepuścić?

– Nie, oczywiście, że nie, pani. Chodzi tylko o to... chodzą słuchy, że zaginęłaś w dalekim kraju. – Przesunął wzrok na Imriela. – Kim jest ten chłopiec?

Trudno mi było ocenić, ile wiedział; chyba niewiele, gdyż w przeciwnym wypadku zostalibyśmy aresztowani. Ysandra zachowała milczenie, bojąc się o bezpieczeństwo Imriela. Ale nie było tajemnicą, że księżę Imriel de la Courcel ponad dziesięć lat temu zniknął z Małego Dworu w La Serenissimie, a Imri... Imri po prostu wyglądał na syna swojej matki.

Straż na granicy z Caerdicca Unitas miała powody, żeby rozpoznać krew Szachrizaj.

– Jest moim podopiecznym. – Złożyłam ręce na łęku siodła. – I rzeczywiście przybywamy z dalekiego kraju, dalszego niż możesz

sobie wyobrażać. To wszystko, co musisz wiedzieć, panie kapitanie, i wszystko, co życzy sobie wiedzieć królowa. Jeśli to nie wystarcza, pojedziemy na północ i wjedziemy do Terre d'Ange przy Południowym Forcie w Kamlachu. Jestem pewna, że słowo Fedry nó Delaunay de Montrčve będzie dość dobre dla Niewybaczonych...

– Nie! – Kapitan skrzywił się, już wyobrażając sobie następstwa odprawienia z kwitkiem zaufanej przyjaciółki królowej i zaginionego księcia Courcel. – Oczywiście, że nie. Masz wstęp wolny, ty i twoi towarzysze. Proszę o wybaczenie, hrabino.

Tak oto wjechaliśmy do Terre d'Ange.

Kraj trochę się różnił od ziem Caerdicci, które opuściliśmy – wzgórza i niskie góry, coraz łagodniejsze w miarę, jak jechaliśmy. Pola leżały odłogiem, nagie i szare pod niskim niebem. Zieleniały tylko łąty cedrów na wzgórzach. Ale to był dom i głęboko oddychałam d'Angelińskim powietrzem. W miastach i wioskach słyszałam wyłącznie ojczysty język. Wydawało się to dziwne po tak długim pobycie na obczyźnie. Serenissimczycy śmiali się, próbując się porozumieć na migi i w marynarskim żargonie.

Imriel patrzył na to inaczej niż dotychczas, jako osoba z prawami do tronu i jako powracający wygnaniec. W jego spojrzeniu gościł smutek. Zachował swoje myśli dla siebie, a ja na niego nie naciskałam.

Zatrzymywaliśmy się w gospodach i ludzie nas poznawali – mnie po szkarłatnej plamce w lewym oku, a Joscelina po kasjelickiej broni. Za każdym razem wydawano ucztę dla uczczenia naszego powrotu, bo długa nieobecność rzeczywiście zrodziła plotki o naszej śmierci lub zaginięciu. Wino lało się strumieniami, a ja miałam kłopot, bo nikt nie chciał przyjąć za nie zapłaty. Najlepsi wioskowi poeci rywalizowali o zaszczyt śpiewania ballad o naszych wyczynach.

Niektóre ballady miały heroiczny wydźwięk.

Niektóre były sprośne.

Imriel słuchał jednych i drugich w milczącym zdumieniu. Na

szczęście nikt go nie rozpoznał. Tutaj, na wsi, zapomniano o urodzie Melisandy. Wszystkie poematy, które kiedyś sławiły jej imię, zostały zmienione. Na pierwszy rzut oka Imriel mógł uchodzić za naszego syna, dziecko mieszanej krwi. W Sabie uwierzyli w to bez zastrzeżeń. I dlaczego nie? Ja różniłam się od swoich rodziców, ciemnowłosej matki i ojca blondyna.

– Piszą poematy poświęcone tobie – powiedział Imriel po pierwszej takiej uczcie. – Poematy! Dlaczego nie powiedziałaś mi w Daršandze?

– Czy to było ważne?

Po chwili pokręcił głową.

– Nie, wtedy nie.

– No właśnie. Tak czy owak, opowiadają liczne historie o wielu ludziach. W domu, w Mieście, poznasz *Cykl Ysandryjski*, który jest wielkim dziełem Thelesis de Mornay. Warto go poznać, bo opisuje, jak Ysandra zasiadła na tronie i uratowała królestwo przed Skaldami.

– Byłaś tam.

Wzruszyłam ramionami.

– Tylko pod koniec.

– Sprowadziłaś z Joscelinem albijskie wojska.

– Tak. – Pomyślałam o Drustanie mab Necthana, o Grainnie i Eamonnie z Dalriady. – Przekazaliśmy prośbę królowej. Ale myślę, że sami zdecydowali. I to Hiacynt zapłacił za tę przeprawę – dodałam ponuro.

– Hiacynt – powtórzył Imriel.

– Tak. Hiacynt.

Nie opowiadają tej historii w leżących w głębi lądu wioskach Terre d'Ange. Hiacynt, syn Anastazji, przypis w *Cyklu Ysandryjskim*. Poza Cyganami i tymi, którzy pełnili straż na wybrzeżu Azalii, już nikt nie pamiętał. Dobito targu z Panem Cieśniny, zapłacono cenę.

Osiemsetletnia tajemnica Pana Cieśniny przetrwała. Wziął ucznia, cykl trwał nieprzerwanie. O mnie opowiadają – o mojej szkarłatnej plamce i wszystkim innym – bo zostałam, tworząc swoją historię jako

hrabina de Montrčve, powiernica królowej, najszynniejsza od pokoleń słuęa Naamy, która stanęła na balkonie w świątyni Aszery i zdemaskowała groźny spisek. O Hiacyncie – o jego wesołym uśmiechu i neodpartym uroku, o jego ręce do koni i darze *dromonde* – o Hiacyncie poeci nie śpiewają.

Pewnego dnia, pomyślałam, będą to robić.

Miałam nadzieję, że Hiacynt wciąż będzie umiał się śmiać.

DZIEWIĘĆDZIESIĄT

Prószył śnieg, gdy ujrzeliśmy białe mury Miasta Elui. Pomimo mojej odprawy nasza serenissima eskorta uparła się, żeby wprowadzić nas do miasta.

– Nie, nie, pani – powiedział wesoło przywódca. – Pan Ricciardo zapłacił nam za dopilnowanie, żebyście bezpiecznie trafili do domu, i tam was odprowadzimy, do samego progu, ani kroku bliżej.

Niebo miało ołowianą barwę, płatki śniegu wirowały w powietrzu, by w końcu spaść na zamrożoną ziemię. W winnicach pędy tworzyły suchą, brązową plataninę. Przy południowej bramie dwóch miejskich strażników zmieniało się przy koszu z węglami, zdejmując rękawice, żeby ogrzać zmarznięte dłonie. Reszta nie wychylała nosów z garnizonu.

Joscelin pojechał pierwszy.

– Hrabina Fedra nó Delaunay de Montrčve powraca – oznajmił swoim najbardziej beznamiętnym głosem.

Przez chwilę panowała pełna zdumienia cisza.

– Pani! – Jeden ze strażników podszedł z niskim ukłonem. – Witaj w domu.

– Dziękuję.

Spojrzałam przez bramę na znajome ulice, na architekturę zabudowań elegancko wkomponowanych w otoczenie. Po ulicach spacerowali ludzie otuleni w płaszcze, śmiejący się i gawędzący. Przejechał powóz zaprzężony w dobrane gniadosze; poznałam herb na drzwiczkach, bronę markiza d'Arquil. Gdy ostatni raz go

widziałam, zbeształ Joscelina i mnie, że nie poszliśmy na fetę kwitnącej wiśni i błagał, żebyśmy wzięli udział w następnym przyjęciu. Wydawało się, że to było bardzo dawno temu.

– Panie strażniku – powiedziałam, biorąc głęboki oddech. – Zechciej powiadomić królową Ysandrę o moim powrocie. Teraz udamy się do domu, a stamtąd niezwłocznie do pałacu.

– Pani. – Ukłonił się i jego ton się zmienił. Zobaczył Imriela. Tak jak strażnik na granicy, domyślił się. – Tak się stanie.

– Ci ludzie – dodałam, wskazując naszą serenissimską eskortę – służą panu Ricciardowi Stregazza z La Serenissimy i zgodnie z naszym przymierzem wolno im przebywać w Mieście.

– To się rozumie.

Odsunął się na bok, żeby nas przepuścić, i patrzył ze zdumieniem. Połowa garnizonu wyległa ze strażnicy, gdy przejeżdżaliśmy przez bramę, a pozostali przepychali się w drzwiach, walcząc o pierwszeństwo.

Słyszając szepty, Imriel naciągnął kaptur i opuścił głowę.

– Nie masz nic do ukrycia – przypomniałam mu.

Zerknął na mnie z cieni kaptura i nic nie powiedział, ale jego palce zbieleły na wodzach.

Słyszałam, jak za nami konny strażnik rusza cwałem do pałacu.

Joscelin jechał na czele naszej grupy, nie przejmując się szeptami. Rozpoznawano go, oczywiście. Nikt, kto nie jest zaprzysiężonym członkiem Bractwa KasjELITÓW, nie śmiałyby nosić broni – stal zarękawi lśniła na przedramionach, bliźniacze sztylety na biodrach, rękojeść miecza nad ramieniem. I znali mnie. Imriel, otulony płaszczem i zakapturzony, kulił się w siodle. Serenissimscy strażnicy skupili się wokół nas, obrzucając gapiów groźnymi spojrzeniami, i byłam rada, że nam towarzyszą.

W ślad za nami ciągnęły szepty.

– Fedra – usłyszałam, imię zabrzmiało jak w moim śnie. – Fedra. – I, jak we śnie, wracaliśmy krok po kroku krętą drogą przez Miasto Elui

w powolnej, statecznej pawanie.

Na wąskim dziedzińcu przed domem stajennemu Benoit opadła na nasz widok szczęka, wiadra zakołysały się na nosidle na jego ramionach.

– Benoit, wróciliśmy – powiedziałam. – Czy przygotujesz stajnię...

Drzwi się otworzyły i z domu wybiegł rumiany młodzieniec, barczysty niczym wół. Z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy, po czym ryknął co sił w potężnych płucach:

– Filipie! Filipie!

Zsiadałam z konia, starając się przypomnieć sobie jego imię, i już prawie je miałam, gdy przybiegł Ti-Filip z mieczem na wpół dobytym z pochwy, którą trzymał w dłoni. Pośliznął się, hamując na pokrytych szronem kamieniach, i z wrzaskiem radości odrzucił broń.

– Fedra! – Chwycił mnie w talii, zdjął z siodła i okręcił dokoła. – Żyjesz!

– Wątpiłeś? – zapytałam, gdy mnie postawił na ziemi.

– Nie powinienem – odparł z szerokim uśmiechem. – Nie powinienem. Kasjelita! – Zwrócił się do Joscelina, który już zeskoczył z konia, i objął go mocno, waląc rękami po plecach. – Na Jaja Elui, dobrze cię widzieć!

– I ciebie, marynarzu. – Nawet Joscelin promieniał. – I ciebie!

– Co przywiozłaś do domu tym razem, pani? – zaciekawiał się Ti-Filip, patrząc na pozostałych, wciąż w siodłach. – Jeszuickiego mędrca? Dżebeńską straż honorową? Nie wyglądają na Dzebenów... – Jego głos się wyciszył, gdy Imriel zdjął kaptur. – Na Eluę!

– Filipie Dumont – zaczęłam, dokonując formalnej prezentacji – to...

– Imriel de la Courcel – dokończył za mnie. – Ach, pani! Udało ci się!

Później powstał niemały chaos, którego sprawczynią była przede wszystkim moja gospodyni. Eugenia odepchnęła wszystkich na boki, żeby mnie uściskać, złapać za ramiona i potrząsnąć z płaczem, a potem znów przytulić do piersi. Hałaśliwie wycalowała Joscelina i też

nim potrząsnęła. Ti-Filip zajął się Serenissimczykami, odprawiając ich z podziękowaniami i zapłatą. Mówił w caerdicci i marynarskim żargonie, i nie wątpiłam, że polecił im najlepsze miejsca, w których będą mogli wydać pieniądze na kości, wino i rozkosze, z jakich słynie Miasto Elui. Ja też im podziękowałam i obiecałam, że pochwalę ich w liście do Ricciarda Stregazza. W tym czasie Hugues – przypomniałam sobie jego imię – nosił ciężkie kufry, Benoit zaprowadził wierzchowce do stajni, a Eugenia zaczęła wywracać dom do góry nogami, żeby nas godnie przyjąć.

– Nie – powiedziałam do niej łagodnie. – Jedziemy prosto do pałacu. Jeszcze nie ma czego świętować. Kąpiel i lekka przekąska wystarczą.

Ramiona jej opadły, lecz zaraz się wyprężyła.

– Ach, dziecko. To ten chłopiec, prawda?

Pokiwałam głową.

Eugenia poklepała mnie po policzku.

– Trzeba otoczyć go opieką, i to jak najtroskliwszą, prawda? Przyprowadzisz go z pałacu do domu, pani?

– Wiesz, kim on jest?

– Jakżebym miała nie wiedzieć? – W jej uśmiechu była życzliwość i mądrość. – Mówiłam ci kiedyś, pani: ognisko domowe i dom oznaczają także miłość. I jeśli jakiś chłopiec tego potrzebuje, to właśnie ten.

Znalazłam Imriela w salonie, gdzie przyglądał się popiersiu Delaunaya na marmurowym cokole. Usiadłam na kanapie i patrzyłam na niego. Czuję się dziwnie. Dom był nieskazitelnie czysty, pachnący cytrusowym olejkiem i woskiem pszczelim. Wszystko było tak, jak zostawiłam do najmniejszego szczegółu – szaszetka z wonnościami na niskim stoliku ekran przed kominkiem pod takim samym kątem, w narożniku wysoki wazon z suszonymi kwiatami – potrząśnięte, grzechotały jak tykwa – prezent od dawnego klienta interesującego się botaniką.

– Kim on jest? – zapytał Imriel, nie odwracając się.

– To mój pan Anafiel Delaunay de Montrčve, o którym ci mówiłam. Kupił moją markę i przyjął mnie do swojego domu. I wyszkolił w sztukach szpiegowania.

– Uczynił cię swoim szpiegiem.

– Tak. Ale pytał mnie, na każdym kroku, czy jestem pewna, że tego chcę. Zawsze się zastanawiałam, Imri, dlaczego wciąż zadawał mi to pytanie, skoro odpowiedź zawsze brzmiała tak samo. Teraz lepiej to rozumiem.

Imriel usiadł obok mnie.

– Ty też mnie pytasz, czy jestem pewien.

Delaunay spoglądał na nas oboje, surowe rysy były pełne ironii i czułości żywego człowieka. Wsparłam podbródek na rękach i patrzyłam na niego, zastanawiając się, co zrozumiałby z tego nieprawdopodobnego obrotu wypadków. Jak tysiące razy po jego śmierci, teraz też żałowałam, że nie ma go wśród nas.

– Tak. Właśnie tak.

– Żałowałaś?

Spojrzałam na Imriela. Siedział uśmiechnięty, miał roztańczone oczy, już znał odpowiedź.

– Nie. – Uśmiechnęłam się do niego. – Może niekiedy przeklinałam, ale nigdy nie żałowałam.

– Ja też nie będę żałował. Nie będę.

– Być może kiedyś ci to przypomnę. – Pochyliłam się i pocałowałam go w czoło. – Chodź, zaprowadzę cię do łaźni, żebyś wyglądał przyzwoicie na dworze.

– Czy mogę włożyć *chamma* i pas od *rasa* Lijasu?

– Lepiej nie. Jest za zimno, a poza tym wolałabym nie przypominać Ysandrze... – Przerwało mi łomotanie do drzwi. – Imrielu, idź z Eugenią do kuchni. Prędko!

Poszedł, z cieniem strachu w oczach. Ti-Filip, Joscelin i Hugues już stali w wejściu, gdy się zjawiałam. Ti-Filip nakazał ciszę, potem

otworzył wąskie okienko w drzwiach, stając z boku.

– Kto nachodzi hrabinę de Montrčve?

– Gwardia królewska – padła stłumiona odpowiedź.

Ti–Filip przyłożył oko do szpary, cofnął się i ponuro skinął głową.

– Cały oddział czeka przed drzwiami, pani.

Westchnęłam.

– Wpuść ich.

Gwardzistów było dwudziestu, z polerowanymi rękojeściami mieczów u boków, w wypucowanych butach, w ciemnoniebieskich kaftanach z łabędziem domu Courcel haftowanym srebrną nicią. Porucznik ukłonił mi się.

– Hrabina Fedra nó Delaunay de Montrčve?

– Tak – odparłam, czując zmęczenie po długiej podróży.

– Aresztuję cię z rozkazu Jej Wysokości królowej Ysandry de la Courcel – oznajmił formalnym tonem. – Mam rozkaz doprowadzić przed majestat ciebie, messire Joscelina Verreuil i waszego młodego... towarzysza. Natychmiast. – Coś zmieniło się w jego twarzy, gdy dodał innym głosem: – Przykro mi, pani.

– Rozumiem – odparłam. – Czy możemy się przebrać? Mamy za sobą długą jazdę.

Po chwili namysłu porucznik pokręcił głową.

– Mam rozkaz doprowadzić was natychmiast.

Skłoniłam głowę.

– Pójdę po chłopca.

Poza zasięgiem ich wzroku, pospieszyłam do swojej sypialni i zabrałam parę drobiazgów, wyrzucając zawartość kufra przyniesionego przez Huguesa i robiąc totalny bałagan. Jeden przedmiot schowałam w sakwie podróżnej, którą wciąż miałam u pasa, drugi wsunęłam pod ramię. Poszłam do kuchni po Imriela. Był pod opieką Eugenii, niespokojny i nieufny.

– Królowa przysłała eskortę – powiedziałam. – Chce nas widzieć.

– Musimy iść?

Skinęłam głową.

– Pamiętasz, co masz mówić?

– Pamiętam. – Imriel przełknął ślinę. – I... przepraszam, że sprawiłem ci tyle kłopotów.

– Wcale nie. – Z uśmiechem pogłaskałam go po policzku. – To był nasz wybór, wiesz o tym. A gdybyś nie pojechał z nami... prawdopodobnie wciąż próbowałabym przekonać kobiety z Tisaaru albo, w najlepszym wypadku, dobijałabym się do drzwi świątyni na Kaporecie, błagając kapłana, żeby mnie wpuścił. Pamiętasz? – Zbyt zdenerwowany, żeby odpowiedzieć, tylko skinął głową. – To dobrze. Tylko dzisiaj nie wrzeszcz. Nie sadzę, żeby coś takiego zrobiło dobre wrażenie na Ysandrze de la Courcel.

Roześmiał się, na co właśnie liczyłam, i był mniej zalekniiony, gdy szliśmy na spotkanie z gwardią królewską. Rezerwa powróciła, gdy gwardziści się uklonili.

– Książę Imriel de la Courcel – powitał go porucznik. Uprzejmość, jaką mi okazywał, zniknęła na widok chłopca. Twarz oficera zmieniła się w formalną maskę, tylko tik w kącie oka zdradzał, że jest poruszony. – Przynoszę ci pozdrowienia od twojej krewnej, Jej Wysokości królowej Ysandry de la Courcel.

– Dziękuję. – Imriel przyglądał się drgającej powiece.

– Panowie, pani, raczycie pójść z nami – powiedział porucznik, starając się ignorować badawcze spojrzenie Imriego. Uniósł rękę, gdy Joscelin ruszył z miejsca. – Wybacz mi, messire Verreuil, ale nie możesz nosić broni w obecności królowej. Twój oręż musi tu zostać.

Joscelin uniósł brwi.

– Mam przyzwolenie samej królowej.

– Już nie.

Któryś z gwardzistów mruknął coś pod nosem, gdy Joscelin metodycznie, bez jednego słowa odpinał zarękawia i pasy. Znali legendę. Hugues ze złości przyjął jego podniszczoną broń.

– Mogę spytać, co zabierasz, pani? – Porucznik wskazał szkatułkę pod moim ramieniem.

– Kamienie i metal wykute w przyjemną dla oka formę. Kazał mi pokazać, a kiedy to zrobiłam, zarumienił się.

– Przepraszam. To mój obowiązek, pani.

– Wiem – odparłam. – Możemy iść?

DZIEWIĘCDZIESIĄT JEDEN

Pojechaliśmy do pałacu królewskim powozem z herbem rodu Courcel na drzwiczkach. Dwaj strażnicy wsiedli z nami, a pozostali towarzyszyli nam konno. Zasłony były zaciągnięte. Słyszałam dobiegające zza nich odgłosy, świadczące o zaciekawieniu, przechodnie zatrzymywali się, żeby złożyć ukłon lub dygnąć, zastanawiając się, jaki królewski gość albo członek rodziny jedzie w powozie.

Spekulacje ucichły, gdy dotarliśmy do pałacu. Tutaj wszyscy wiedzieli.

Nie miałam nic przeciwko publicznemu zainteresowaniu. Przez wiele lat byłam sługą Naamy, przywykłam do spojrzeń i szeptów. A Joscelin... Joscelin znosił to wcześniej.

Pękało mi serce z powodu Imriela.

Ysandra skończyła z dochowywaniem tajemnicy, to było jasne. Szliśmy szerokimi, gustownie urządzonymi korytarzami, pod eskortą gwardzistów. Sześciu otaczało Imriela, z rękami na broni, napiętych i czujnych; inni mieli oko na Joscelina i na mnie, trzymając się kilka kroków za parni. Widziałam tylko wyprostowane plecy Imriego, gdy szedł, patrząc prosto przed siebie.

Na wsi nikt go nie rozpoznał.

W Mieście Elui było inaczej, nie mówiąc o królewskim pałacu. Dworzanie przystawali i patrzyli. Jakaś kobieta z pieskiem na ręku ścisnęła pupila tak mocno, że zapiszczała. Czyjś służący pobiegł

bocznym korytarzem – zapewne do Sali Gier, gdzie goście pałacu często spędzali czas. Na korytarzach przybywało ciekawskich, a w ich szeptach pobrzmiwały jadowite tony. Droga do sali tronowej, gdzie w końcu zostaliśmy przyjęci, wydawała się bardzo długa. Drzwi zamknęły się za nami, gapie odeszli.

Pod ścianami stały na baczność dwa oddziały gwardii. Naprzeciwko wejścia siedziała w całym majestacie Ysandra de la Courcel, królowa Terre d'Ange. Ostatnim razem, gdy widziałam ją na tronie, stałam u jej poka jako powierniczka. Dziś miała ciemnofioletową suknię zdobioną pasem ze szlachetnymi kamieniami i ciężki płaszcz o barwie leśnej zieleni, lamowany złotogłowiem. Po jej lewicy stał diuk Barquiel L'Envers, z nieodgadnioną miną na przystojnej twarzy, a po prawicy córki, Sydonia i Alais. Urosły, odkąd je widziałam ostatnio.

Sprawa rodzinna – i sprawa stanu, bo rozpoznałam kilka innych osób członków parlamentu. Spotkanie musiało mieć świadków.

Mnie i Joscelina zatrzymano niedaleko tronu, podczas gdy Imriel poszedł dalej. Nikt się nie odezwał. Ysandra patrzyła na niego z powagą. Długo czekała na tę chwilę. Strażnicy doprowadzili chłopca do stóp tronu i odsunęli się, zostawiając go samego. Imriel uklonił się sztywno.

– Imrielu de la Courcel – powiedziała Ysandra i uśmiech odmienił jej twarz – witaj w domu. – Wstała z tronu i zeszła ze stopnia, by położyć ręce na jego ramionach. – Długo czekaliśmy, kuzynie, żeby powitać cię w naszej rodzinie.

– Dziękuję, Wasza Wysokość – odparł bez drżenia i byłam z niego dumna.

Ysandra odwróciła się w stronę Barquielu i wielmożów, trzymając jedną rękę na ramieniu Imriego.

– To Imriel de la Courcel, książę krwi, syn mojego stryjecznego dziadka księcia Benedykta de la Courcel i Melisandy Szachrizaj z Kuszetu – oznajmiła. – Na oczach wszystkich tutaj zgromadzonych

uznajemy prawa przysługujące mu z urodzenia i ogłaszamy go niewinnym wszelakich zbrodni popełnionych przez jego rodzinę. Czy zostało to usłyszane i zapamiętane?

Tuzin głosów mniej więcej unisono udzielił odpowiedzi:

– Słyszano i zapamiętano.

Patrzyłam na ich twarze, gdy odpowiadali. Większość, pod badawczym spojrzeniem królowej, pozostała neutralna, tylko Barquiel L'Envers wyglądał na rozbawionego. Był tam Amaury Trente z kamiennym wyrazem twarzy. Pani Denise Grosmaine, nadworny sekretarz uczestniczący we wszystkich formalnych spotkaniach i rejestrujący ich przebieg, mogła mieć cień życzliwości w oczach. Sydonia, młoda delfina, patrzyła na Imriela z chłodną powagą swej matki, ale bez odrobiny ciepła. Tylko księżniczka Alais, młodsza córka, przyglądała się z nieskrywaną ciekawością, zapewne zaintrygowana faktem, że nowy kuzyn, mniej więcej w jej wieku, mógłby być jej bratem.

– Jesteśmy radzi. – Ysandra skłoniła głowę. – Zapamiętajcie dobrze moje słowa i weźcie je do serca, jak my bierzemy do swego. I... – dodała – niech będzie również wiadomym: przestępstwo przeciwko księciu Imrielowi będzie uważane za przestępstwo przeciwko domowi Courcel.

– Więc nie ukatrupisz małego gałgana – mruknął Barquiel L'Envers.

Ktoś sapnął głośno.

Ktoś zaśmiał się histerycznie.

Do dziś dnia nie wiem, czy L'Envers chciał, żebyśmy usłyszeli jego odwagę. Mówił szeptem, ale w zaprojektowanej przez siovaleńskich inżynierów sali tronowej jest znakomita akustyka. Może zrobił to przez złośliwość albo dla kaprysu; mógł też mieć poważniejszy cel na myśli.

Nie wiem.

Ysandra pobladła z gniewu. Przywołałaby go do porządku

natychmiast, gdyby Imriel się nie odezwał. Nie zaplanowaliśmy tego, ale chłopiec odziedziczył po matce zmysł korzystania z okazji i wycucie czasu.

– Wasza Królewska Mość! – Jego wysoki, czysty głos poniósł się w sali tronowej. – Została złożona propozycja podwójnego zaszczytu. Błagam cię o wyrażenie zgody na jej przyjęcie.

Jest to rytualne oznajmienie, które otwiera proces formalnego usynowienia wśród d’Angelińskiej szlachty – zaszczyt dla domu, który składa propozycję, i zaszczyt dla domu, który ją przyjmuje.

Ysandra wbiła wzrok w Imriela, jak zresztą wszyscy inni.

– Co takiego?

Zarumienił się, ale nie cofnął, zaciskając szczęki.

– Podwójny zaszczyt...

– Wasza Wysokość! – zawołałam i ruszyłam z miejsca, nie bacząc na gwardzistów, którzy niepewnie popatrywali jeden na drugiego i czujnie zerkali na Joscelina. Nawet nieuzbrojony, budził w nich lęk. Złożyłam niski ukłon przed Ysandrą. – Wasza Wysokość, w imieniu domu Montrčve składam propozycję podwójnego zaszczytu dotyczącą Imriela de la Courcel.

– W imieniu domu Montrčve? – powtórzyła Ysandra z niedowierzaniem. – Chyba żartujesz.

Pokręciłam głową.

– Nie, Wasza Wysokość. Jestem śmiertelnie poważna.

Barquiel L’Envers roześmiał się głośno, potem zapadła cisza.

W tej ciszy Ysandra odetchnęła powoli i głęboko, starając się nie stracić panowania nad sobą. Gdy przemówiła, jej głos brzmiał spokojnie:

– Dom Montrčve, o ile się nie mylę, składa się z nieoszacowanej sługi Naamy, wyklętego brata kasjelity i gromadki ekscentrycznej czeladzi. Nawet gdyby nie groziło ci... – zaostrzyła ton – oskarżenie o zdradę za porwanie członka mojego rodu, księcia krwi, wbrew moim wyraźnym życzeniom, tudzież narażanie go na nieopisane

niebezpieczeństwa, jaką korzyść z przyjęcia twojej propozycji miałyby odnieść dom Courcel, d'Angelińska dynastia spowinowacana przez małżeństwo z cruarchą Alby i kalifem Khebbel-im-Akad? – Podeszła do mnie, ściągając brwi. – Czyżbyś zgubiła rozum w czasie swoich podróży? Dla kogo ta zamiana miałyby być zaszczytna? Fedro, skąd ci przyszło do głowy, że się na to zgodzę?

Patrząc na nią bez słowa, sięgnęłam do sakiewki, wyjęłam Gwiazdę Towarzysza i podniosłam ją na dłoni.

Ysandra znieruchomiała.

– Nie zrobisz tego.

– Jesteś mi winna nagrodę, Ysandro – powiedziałam cicho. – Wszystko, co w twojej mocy i w granicach prawa. Masz władzę i prawo.

– Nie. – Ysandra uniosła podbródek dokładnie w taki sposób, jak robił to Imriel. – Nie. To sprawa stanu i korony. Książę Imriel jest trzeci w kolejce do tronu, a ja jako władczyni Terre d'Ange nie mam prawa go narażać. Sama przyznałaś, że ma wrogów, którzy nastają na jego życie. Czy sądzisz, że w twoim domu będzie równie bezpieczny jak w moim?

– Czy masz zaprzysiężonego i zaufanego brata kasjelitę, który będzie go chronił? Ja mam, a choć został wyklęty, sama nagrodziłaś go laurem Rycerza Królowej. Mogę poręczyć słowem, pani, za każdego mężczyznę, kobietę i dziecko pod moim dachem. Czy ty możesz zrobić to samo? – Popatrzyłam na Barquiela L'Envers, który zasalutował mi drwiąco.

– Twoi domownicy są nieliczni – odparła Ysandra, rozmyślnie ignorując sugestię zawartą w moim spojrzeniu – i łatwo was pokonać.

– Wcale nie tak łatwo. – Uśmiechnęłam się. – Braki w liczbie Montrčve nadrabia przyjaciółmi i sprzymierzeńcami. Ile wielkich rodów Terre d'Ange może pochwalić się przyjaźnią z Panem Cieśniny?

Był to celny cios, a zadanie go nie przyszło mi lekko, nie przed taką

widownią. Stałam przed królową, trzymając Gwiazdę Towarzysza, i modliłam się, żeby dłoń mi nie zadrżała.

Ysandra spojrzała mi w oczy.

– Fedro, dlaczego?

Pomyślałam o Imrielu w Daršandze i o nocy, gdy pierwszy raz się rozplakał. Wspomniałam, jak szalał nad rzeką, zmagając się z wielką rybą, i jaki był rozpromieniony, gdy Bizan dał mu swoje krzesiwo. Wspomniałam, jak w mojej obronie rzucił się na żołnierza na wyspie Kaporet.

– Nie wszystkie rodziny łączy krew i nasienie, pani. Powinnaś o tym wiedzieć. Gdyby Anafiel Delaunay nie kochał twojego ojca, byłabyś martwa.

Jej rysy stężały.

– Czy to wyrzut?

– Nie. – Ze smutkiem pokręciłam głową. – Tylko przypomnienie.

– A ty, kasjelito? – Ysandra zwróciła się do Joscelina, który stanął za mną. – Czy bierzesz udział w tym szaleństwie?

Uklonił się z nieskazitelną kasjelicką gracją.

– Wybacz mi, Wasza Wysokość, tak.

– Niech więc tak będzie. – Wzięła Gwiazdę Towarzysza z mojej ręki i ściskając ją w garści, przemówiła ponuro do osłupiałych obserwatorów: – Złożono propozycję podwójnego zaszczytu i poproszono o łaskę, którą przysięgliśmy wyświadczyć. – Zwróciła się do Imriela: – Czy jest twoim życzeniem przyjęcie propozycji?

– Tak. – Chłopiec drżał z przejęcia, oczy mu błyszczały. – Tak, Wasza Wysokość.

Ysandra westchnęła.

– Niech zatem zostanie odnotowane, że członek naszego rodu, zwany odtąd Imrielem nó Montrčve de la Courcel, będzie przynależał do domu Montrčve, dopóki wszystkie strony nie rozsądzą inaczej, pod warunkiem, że jego przybrana matka, hrabina de Montrčve, i jej szanowny wybranek Joscelin Verreuil nie zostaną zakuci w łańcuchy.

Hrabino, mamy list skreślony twoją ręką, w którym z własnej woli wyznajesz, iż wraz z messire Verreuil postanowiłaś sprzeciwić się moim życzeniom odnośnie powrotu księcia Imriela. Czy zaprzeczysz?

– Nie, Wasza Wysokość.

– Byłaś zobowiązana jak najrychlej stawić się u hrabiego Raifa Laniola, ambasadora de Penfars w Iskandrii, a jednak tego nie zrobiłaś. Dlaczego?

Chrząknęłam.

– Ponieważ przyszło mi na myśl, że wrócę przez La Serenissimę i zawrę umowę z Melisandą Szachrizaj.

Twarz Ysandry przybrała lodowaty wyraz.

– A jaka jest natura tej umowy?

Trudno było wytrzymać spojrzenie królowej, ale zmusiłam się do patrzenia jej w oczy.

– Ja wychowam jej syna, nie ty. W zamian przysięgła, że nigdy nie podniesie swojej ani cudzej ręki przeciwko tobie i twoim córkom.

Nie wiem, czego się spodziewała, ale na pewno nie tego. Spojrzała w bok.

– Stąd propozycja podwójnego zaszczytu.

– Nie, wystąpiłabym o to niezależnie od umowy. Wcześniej powiedziałam prawdę. Ale wtedy mogłam wykorzystać tę propozycję, żeby związać jej ręce. Przepraszam, pani, naprawdę.

– Naprawdę myślisz, że Melisanda Szachrizaj dotrzyma słowa, *anguisette*? – zapytał Barquiel L'Envers, wsparty nonszalancko o pusty tron Ysandry; był niebezpieczny jak wygrzewający się w słońcu lampart. – Zabawny pomysł! Wciąż jesteś zadurzona, moja droga.

Nie odpowiedziałam, patrzyłam na królową. Kiedyś nazwała mnie wariatką, bo uwierzyłam Melisandzie, a po La Serenissimie obiecała, że nigdy we mnie nie zwątpi. Wiedziałam, że mam rację. Nie wiedziałam czy Ysandra o tym wie albo czy ją to obchodzi.

Patrzyła na mnie.

– Masz coś więcej do powiedzenia?

– Tak, Wasza Wysokość. – Uklękłam i otworzyłam przyniesioną szkatułkę. – Jej Wysokość królowa Zanadachete z Meroe, władczyni Dzebe–Barkal, przesyła pozdrowienia i oświadczenie, że jeśli przyślesz ambasadora, powita go z radością.

Ysandra wyjęła ciężki naszyjnik. Zwisał z jej ręki, złoto lśniło, wielki szmaragd pomiędzy rogami Izydy rzucał zielone rozbłyski na ściany. Wart był bajeczną sumę.

– Królowa Zanadachete z Meroe – powtórzyła Ysandra.

– Tak, Wasza Wysokość. – Klęczałam z pochyloną głową.

– Fedro. – Ton głosu królowej sprawił, że spojrzałam na nią. Miała nieodgadniona minę. – Czy znalazłaś to, czego szukałaś?

Mogłybyśmy być same w sali tronowej, ona i ja. Wiele razem przeżyłyśmy, Ysandra de la Courcel i ja. Mój pan Delaunay z miłości do jej ojca przysiągł na własne życie, że będzie ją chronić. Większość swoich bitew stoczyłam w jej imieniu i jeśli czegoś żałowałam, to tylko środków, nie celu.

Nasze żywoty również były splecione.

I w tym także było Imię Boga.

– Tak, Wasza Wysokość – odparłam, patrząc na nią i czując napływające do oczu łzy. – Znalazłam.

Ysandra powoli pokiwała głową i rozejrzała się po sali tronowej, z Gwiazdą Towarzysza w jednej ręce, z naszyjnikiem od królowej Zanadachete w drugiej. Nikt się nie odzywał, Barquiel L’Envers nawet się nie uśmiechał.

– W liście, w którym przyznajesz się do winy, podajesz porę deszczową w Dzebe–Barkal jako przyczynę złamania mojego rozkazu. Postanowiłaś kontynuować poszukiwania, zamiast wrócić i oddać księcia Imriela pod piekę pana Amaurego Trente. Czyż nie?

– Tak, pani.

– Dobrze. – Ysandra wrzuciła naszyjnik do szkatułki, którą wciąż trzymałam w wyciągniętych rękach, zamknęła wieko i skinęła na sługę, żeby ja zabrał. – Ponieważ dobrowolnie przyznajesz się do

winy, mój wyrok jest następujący: przez jedną porę roku, której nie chciałaś poświęcić na bezpieczny powrót mojego krewniaka, ty i twoi domownicy będziecie mieszkać w Mieście Elui.

Hiacynt.

– Wasza Wysokość! Nie możesz...

– Dość! – Oczy Ysandry rozbłysły. – O ile więcej pobłażliwości będziesz mnie prosić, Fedro nó Delaunay? Chętnie się pochwaliłaś przyjaźnią z Panem Cieśniny. Czy zagrozi jej taki drobiazg, jak trzy miesiące? Przezimujesz w Mieście Elui, a jeśli postawisz nogę za murami, zostaniesz oskarżona o zdradę. Czy to zrozumiała?

– Hiacynt poświęcił dla ciebie życie, pani. Dla ciebie i dla Terre d’Ange, żeby Drustan mab Necthana mógł pospieszyć ci z pomocą i zająć miejsce u twojego boku.

– Nie. – Twarz Ysandry trochę złagodniała. – Zrobił to dla ciebie, Fedro. Nie jestem nieświadoma jego poświęcenia. Ty jednak rozmyślnie sprzeciwiłaś się mojej woli, i to wykroczenie ma swoją cenę. Żałuję, że zapłaci za to Hiacynt, syn Anastazji, ale to twoja wina, nie moja. Czy tym razem będziesz mi posłuszna?

Skłoniłam głowę, czując zimny marmur pod kolanami. Wyrok był surowy – i sprawiedliwy.

– Tak – szepnęłam. – Będę posłuszna.

DZIEWIĘDZIESIĄT DWA

Kiedy poeci śpiewają o Najsroźszej Zimie w Terre d'Ange, mają na myśli zimę przed skaldyjską nawałą, kiedy choroba pustoszyła kraj, kiedy Melisanda Szachrizaj i Izydor d'Aiglemort go zdradzili, kiedy zmarł Ganelon de la Courcel, stary król.

Dla mnie najsroźsza była ta zima.

Zaczęła się od odprawienia przez Ysandrę, od długiej drogi powrotnej przez salę tronową, przez korytarze pałacu. Zbyt pochopnie pochwaliłam się swoją odpornością na spojrzenia ludzi. Cięły mocno i głęboko, a szepty stały się okrutne.

– Fedra. Fedra.

Nic dziwnego, że w swoim śnie nie mogłam znaleźć Hiacynta. Droga powrotna była dłuższa, niż przypuszczałam, i jeszcze nie dobiegła końca. Przez wzgląd na Imriela prostowałam ramiona i szłam z podniesioną głową, po raz tysięczny wdzięczna za obecność Joscelina. Szepty spływały po nim niczym krople deszczu i odpowiadał na pogardliwe spojrzenia z chłodną obojętnością. Wrogość arystokracji Terre d'Ange nie mogła mu nijak zaszkodzić.

A ja nie mogłam tego samego powiedzieć o sobie.

Ysandra była władna zakuć mnie w łańcuchy, ale nie chciała tego zrobić. Wiedziałam, wiedziałam równie dobrze jak to, że Melisanda dotrzyma słowa. Gdybym natychmiast poszła do Hiacynta, Ysandra nie próbowałaby mnie zatrzymać.

Zapłaciłabym później.

Nie mogłam mieć żalu do królowej za taką decyzję. Sprzeciwiłam się jej, za plecami i twarzą w twarz, stosując wobec niej przymus na oczach poddanych. Była królową Terre d'Ange. Takiej przewiny nie mogła puścić płazem, bo inaczej skutki przez długie lata prześladowałyby jej panowanie. W oczach królestwa kara była lekka. Jeśli się nie podporządkuję, jeśli sprzeciwię się kolejny raz, reperkusje będą znacznie poważniejsze.

Mogę stracić tytuł i włości.

Z pewnością stracę Imriela.

Wyrok był surowy i sprawiedliwy. Świadomie podjęłam decyzję. Zastanawiałam się, czy Ysandra wiedziała, że nic nie zaboli mnie dotkliwiej niż myśl, że z mojej winy przedłuży się cierpienie Hiacynta. Może wiedziała; w żyłach rodu L'Envers płynie krew kuszelicka, a wraz z nią świadomość bólu. Może taka była wola Kusziela, może chciał, żebym zrozumiała, jak to jest, gdy każe się niewinnym cierpieć za nasze grzechy. Nawet Wybranka nie może uciec przed sprawiedliwością Kusziela.

Nie wiem.

Ta zima była długa i sroga.

Zdarzały się jasne chwile, głównie dzięki Imrielowi. Rozkwitł w naszym domu w Mieście Elui. Eugenia dostała bzika na jego punkcie, podobnie jak wszyscy moi domownicy. Imriel ćwiczył z Joscelinem w zamarzniętym ogrodzie, naśladowując jego ruchy; Ti-Filip, nie chcąc być gorszy, uczył go konwencjonalnej szermierki. Ku rozbawieniu nas wszystkich młody Hugues mianował się jego osobistym strażnikiem. Nie miał szczególnej wprawy we władaniu białą bronią, ale nosił pasterską laskę i kiedyś widziałam, jak w pojedynku z Joscelinem wcale nieprędko ustąpił pola. Gdy stwierdził, że Imri zna podstawy, nauczył go grać na flecie.

Mój książę-pastuszek.

Ja uczyłam go innych rzeczy, jak kiedyś Anafiel Delaunay uczył Alcuina i mnie. Czytał dobrze po d'Angelińsku i w caerdicci, a ja

podsuwałam mu dzieła historyków i filozofów, z archiwów Akademii wypożyczając te, których nie miałam. Uczyłam go mowy Cruithnów, znanej mu już trochę z lekcji w sanktuarium Elui. Kiedyś tym językiem mówili tylko wytatuowani na niebiesko barbarzyńcy po drugiej stronie morza strzeżonego przez Pana Cieśniny. Sama buntowałam się przeciwko nauce. Obecnie cruithne, ojczysty język cruarchy Alby, małżonka królowej Ysandry de la Courcel, jest wykładany w d'Angelińskich szkołach.

Jak do tego doszło? Dzięki Hiacyntowi.

Tylko że tego nauczyciele nie mówią.

Przedstawiłam Imriela Emilowi z Progu Nocy, a poprzez niego cygańskim mieszkańcom Terre d'Ange. Dla nich ważne było nie jego pochodzenie, lecz rola, jaką odegrał w zdobyciu klucza, który miał uwolnić syna Anastazji, cygańskiego króla, Księcia Podróżnych.

Jak ja, Cyganie czekali na wiosnę.

Przedstawiłam go także Eleazarowi ben Enochowi, jeszuickiemu mistykowi. Smuciło mnie, że nie mogę podzielić się z nim Imieniem Boga, którego szukał tak długo. Na myśl o tym coś ścisnęło mnie za gardło i wiedziałam, że Święte Imię zostało powierzone mi w jednym celu, wyłącznie w jednym.

– Adonai kieruje się własną wolą i nikt z nas nie może pojąć jego myśli – powiedział łagodnie Eleazar. – Moje serce raduje się w twoim imieniu, Fedro nó Delaunay.

Nie mogłam podzielić się z nim Imieniem Boga, ale mogłam mu opowiedzieć o plemienu Dana – o związku Szalomona i Makedy, o przymierzu mądrości, o głupocie Chemosza, o ucieczce do Tisaaru nad Jeziorem Łez, o arce pękniętych tablic na wyspie Kaporet. Notował skwapliwie, a jego żona Adara przysłuchiwała się z pobłażaniem i zaciekawieniem. W taki sposób mijała moja najsrozsza zima.

Długie godziny spędziłam na pisaniu listów, odrabiając roczne

zaległości. Choć moje listy miały popłynąć za morze dopiero na wiosnę, napisałam do Nicoli L'Envers y Aragon w Amilcarze, do Kazana Atrabiadesa w Epidauro, który powiadomił mnie o swoim awansie, do Pazyfa Asterius, która jest korą Temenos. Obsesyjnie czytałam wszystko, co miałam w bibliotece na temat anioła Rahaba, co gromadziłam przez dziesięć lat, i uczyłam się na nowo. Rozmyślałam o czekającej mnie konfrontacji. Niewielu gości odwiedzało mój dom i niewielu zapraszało mnie do siebie. Otrzymałam kilka propozycji od osób, które w przeszłości nie ośmieliłyby się prosić o spotkanie – kupców o wątpliwej reputacji, drobnej szlachty podejrzanej o molestowanie służby. Spaliłam listy, nie zniżając się do udzielania odpowiedzi.

Miasto Elui czekało i zastanawiało się, czy Ysandra mi wybaczy.

Co tydzień do domu przybywał przedstawiciel królowej, żeby sprawdzić, czy Imriel jest w dobrym zdrowiu i dobrym humorze – niejaki Cuillen Baphinol, młody szlachcic z Eisandy, który studiował medycynę w jednym z sanktuariów Ejszet. Podejmowałam go uprzejmie. Z początku ostentacyjnie sprawdzał dom i oceniał jego bezpieczeństwo, z powagą wypróbowując rygle w drzwiach. Joscelin przyglądał mu się z rozbawieniem, Imriel z ledwo skrywaną pogardą. Mój dom, choć niewielki, jest dobrze zabezpieczony. Dbam o takie rzeczy, odkąd mój pan Delaunay i przybrany brat Alcuin zostali zamordowani we własnym domu. Z czasem Cuillen nas polubił, a ja zasięgałam u niego rad na temat ziołolecznictwa.

Nigdy nie zdradził, co myśli Ysandra.

Nie wszyscy moi znajomi odwrócili się do nas plecami. Kiedy plotka dotarła do uszu Cecylii Laveau-Perrin, mojej dawnej mentorki w sztukach Naamy, zaczęłam regularnie dostawać od niej listy. Kilka lat temu zamknęła salon na dobre i przeprowadziła się do wiejskiej posiadłości Perrinwolde, leżącej, niestety, dzień jazdy od murów Miasta. Prowadziłyśmy ożywioną korespondencję, co sprawiało mi dużą przyjemność.

Otrzymałam także zaproszenie, dla nas wszystkich, od Thelesis de Mornay, nadwornej poetki, i przyjąłam je z radością. Mieszkała w pałacu, mogłam więc ją odwiedzić bez łamania słowa.

Nie widziałyśmy się od blisko trzech lat i byłam wstrząśnięta jej stanem. Wyniszczona przez gorączkę w czasie tej pierwszej Najsroźszej Zimy, Thelesis nigdy nie wróciła do zdrowia. W jej pokojach zawsze panował nieznośny upał; teraz w każdym był kominek i liczne kosze z węglami. Garnki z wrzącą wodą wiszące nad ogniem użyczały wilgoci, więc powietrze było gorące i parne jak na równinach Dżebe–Barkal w czasie pory deszczowej. Służący w liberii rodu Courcel doglądał tego wszystkiego z cichą gorliwością.

Thelesis wyglądała staro jak na swoje lata, włosy miała przyprószone siwizną, skórę ziemistą i pomarszczoną. Mimo to jej ciemne oczy, choć zapadnięte, wciąż płonęły, a w głosie pobrzmiwały echa dawnej bogatej melodyjności.

– Fedra nó Delaunay – wyszeptała, całując mnie na powitanie. – Dobrze cię widzieć.

Przytuliłam policzek do twarzy Thelesis, czując kruchość jej kości.

– Jesteś miła. Błagam, nie pozwól, żebyśmy nadszarpnęli ci siły.

– Bzdura. – Przyjrzała mi się z uśmiechem. – I ciebie, messire Verreuil. Chodź tutaj i pokaż, jaki jesteś silny, rycerzu królowej.

– Już nie jestem rycerzem królowej – odparł, oddając pocałunek. – Ale dobrze cię widzieć, nadworna poetko. Mam nadzieję, że dbasz o siebie.

– Jak widzisz. – Thelesis wskazała garnki, kosze, wieczny bałagan w pokoju, który był zarzucony książkami, zwojami i arkuszami pergaminu z na wpół ukończonymi poematami. Przy stole w kącie siedziała dziewczyna w burym fartuchu, zajęta ucieraniem w moździerzku dębowych galasów, składników atramentu. Łupinki wały się po podłodze. Znałam Thelesis de Mornay od wielu lat i wiedziałam, że nie mogła pracować, gdy wokół niej panował porządek. Teraz spojrzenie jej ciemnych oczu spoczęło na Imrieli. –

Okropny bałagan, prawda?

– Fedra robi bałagan w gabinecie za każdym razem, gdy próbuje coś znaleźć – powiedział ostrożnie, obserwując jej reakcję. – Choć sama wcale tak nie uważa.

– Naprawdę? – Thelesis uśmiechnęła się. – Nie wyobrażam sobie. Jestem Thelesis de Mornay, a ty musisz być Imriel.

Uklonił się lekko.

– Imriel nó Montrčve.

– Wiem. – Lekko dotknęła jego policzka. – Nosisz piękne nazwisko, i szlachetne. Anafiel Delaunay de Montrčve był moim przyjacielem i wciąż go oplakuję. Byłby dumny z tego, co Fedra dokonała pod jego nazwiskiem, i po dwakroć dumny, gdyby wiedział, że ty je przybrałaś. Sam nigdy go nie używał, nie w czasie dorosłego życia. Słyszałaś tę historię?

– Tak. – Imriel odprężył się i odwzajemnił uśmiech. – Mam jego popiersie, wiesz?

– Wiem. – To był jej prezent dla mnie. – Chciałabym poznać twoją historię, Imrielu, jeśli nie masz nic przeciwko. Twoją, Fedry i Joscelina.

Opowiedzieliśmy jej więc naszą historię od początku do końca, a zabrało to dużo czasu. Służący przyniósł herbatę słodzoną miodem i talerz ciasteczek, a także ciepły koc z pięknie czesanej wełny, którym otulił ramiona swojej pani. Thelesis słuchała bez przerywania, popijając herbatę żeby złagodzić ataki kaszlu. Od czasu do czasu jej ciemne oczy wypełniały się łzami. Opowiadaliśmy po kolei i jedynym dźwiękiem prócz głosu mówiącego było ciche chrząszczanie galasów ucieranych na proszek. Po jakimś czasie nawet młoda uczennica przestała pracować i słuchała, przycupnąwszy na stołku, z podbródkiem wspartym na rękach.

– Och, moje dzieci – mruknęła Thelesis, gdy skończyliśmy.

Nic więcej nie mogła powiedzieć. Uczennica podniosła moździerz i zaczęła znowu ucierać.

– Ta opowieść nie nadaje się do ubrania w wiersze – powiedziałam.
– Nie to, co dotyczy Daršangi.

– Nie. – Jej przepełnione współczuciem spojrzenie zatrzymało się na Imrielu. – Ale należy ją opowiadać, żebyśmy pamiętali i nigdy nie dopuścili do czegoś podobnego. Pomyślę, jak to zrobić. Może nie dożyję ukończenia pracy, ale przypuszczam, że ujrzę początek.

– Nie powinnaś mówić takich rzeczy – powiedziałam, nie mogąc tego słuchać.

Jej uśmiech był zabarwiony smutkiem.

– Ach, Fedro! Nigdy nie uciekałaś przed prawdą. Przeżyłam wszystko, o czym marzy poeta, i niczego nie żałuję. Ale nie bój się, moja droga, jeszcze nie odchodzę. Stracić koniec historii... ach, to mnie zasmuca. – Jej ton się zmienił. – Czekanie musi być trudne.

Odetchnęłam głęboko i nie odpowiedziałam.

– Ysandra ci wybaczy. – Thelesis odczytała moją minę. – Nie dałaś jej wyboru, Fedro. Przypuszczam, że nieposłuszeństwo dotknęło ją tym mocniej, że to ty się go dopuściłaś. Ale bardzo dobrze pamiętam twojego cygańskiego przyjaciela i przypuszczam, że ma jeszcze rezerwy hartu, do których nie sięgnął. Prawie dwa lata temu dałaś mu dar nadziei. Będzie czekał trzydzieści lat, jeśli zajdzie potrzeba, trzy miesiące są niczym w obliczu nieśmiertelności.

Jej słowa podniosły mnie na duchu.

– Sibeal przekazała moją wiadomość?

– Nikt ci nie powiedział? – Pokręciła głową. – Oczywiście, że nie. Kto śmiały? Tak, moja droga, przekazała. Pozwolił statkowi cruarchy wejść do zatoki i wtedy mu powiedziała. I nie zapominaj, Hiacynt ma dar *dromonde*, prawda? Ścieżka twojego życia miała wiele niespodziewanych zakrętów, lecz teraz chyba biegnie prosto i wyraźnie.

– Do Rahaba. – Zadrżałam.

– Do anioła pychy i zuchwałości – dodała Thelesis łagodnym głosem. – Czy już wiesz, co mu powiesz?

– Nie. Niezupełnie.

– Wymyśli plan, zanim wyruszymy – powiedział Joscelin do Imriela. – Prawdopodobnie będę musiał trzy razy opłynąć wyspę wpływ, niosąc cię na plecach z lwią grzywą *rasa* Lijasu na głowie, wrzeszczącego co sił w płucach i wymachującego mieczem. To powinno przyciągnąć uwagę Rahaba, nie sądzisz?

Imriel uśmiechnął się szeroko.

– Choroba morska ci w tym nie przeszkodzi?

– Sza. – Joscelin pociągnął go za włosy. – Nie powinieneś wyjawiać mojej wstydlivej tajemnicy, zwłaszcza nadwornej poetce.

Thelesis przysłuchiwała się ich rozmowie. Uśmiechnęła się, gdy zobaczyła, że to zauważyłam.

– Co powiedziałaś Ysandrze? Nie wszystkie rodziny powstają z krwi i nasienia?

– Powtórzyła ci? – Nie kryłam zaskoczenia.

– Nawet królowa może rozpoznać rękę Elui, Fedro nó Delaunay. Daj jej czas. – Thelesis odwróciła głowę, żeby zakaszleć, przysłaniając usta chusteczką z herbem Courcelów. Dziewczyna odłożyła tłuczek, zsunęła się ze stołka i przyniosła utarte galasy do sprawdzenia. – Dobra robota – pochwaliła Thelesis, gdy odzyskała głos. – Dziękuję, Alais.

Alais? Drgnęłam, dopiero teraz rozpoznając w ciemnowłosej dziewczynie w burym fartuchu młodszą córkę Ysandry. I tyle, pomyślałam, co do mojego zmysłu obserwacji.

– Księżniczka Alais – powiedziałam szybko i wstałam, żeby dygnąć. Skierowała na mnie fiołkowe oczy i zmarszczyła nos.

– Tutaj jestem tylko Alais. Thelesis czasami pozwala, żebym jej pomogła.

– Akurat teraz? – Uniosłam brwi, patrząc na Thelesis.

– Chciała posłuchać historii kuzyna. Ysandra nie zgłosiła sprzeciwu. Jej dziadek Ganelon chronił ją przed przykrymi prawdami, kiedy sama była dzieckiem. Uznała, że nie będzie

postępować w ten sposób z córkami. Lepiej, żeby od początku poznały zło i nauczyły się żyć w prawdziwym świecie.

– Sydonia nie chciała słuchać – powiedziała Alais z zadowoleniem – nie lubi się brudzić. Ja nie mam nic przeciwko. Opowiesz mi coś o lwach kuzynie? – zapytała Imriela. – Ja ci pokażę, jak robimy atrament.

Imriel zerknął na mnie pytająco. Wzruszyłam ramionami.

– Idź, jeśli chcesz.

– Alais, nie dotykajcie witriolu! – zawołała Thelesis. – Pamiętaj, co się stało ostatnim razem.

– Dobrze, Thelesis.

Joscelin uklonił się młodej księżniczce. Śmiała się głośno, prowadząc Imriela do stołu.

– To ten urwis! Pamiętam, jak Alais chciała się bawić moimi sztyletami. Ile ma lat? Siedem? Osiem?

– Osiem – odparła Thelesis. – Czasami miewa sny, które mówią prawdę; dotyczą drobiazgów, ale zawsze są wierne. Drustan uważa, że mogła odziedziczyć dar po jego matce, Necthanie.

W milczeniu patrzyliśmy na dzieci, na dwie głowy pochylone w skupieniu nad stołem, gdy Alais wyjaśniała Imrielowi, jak sproszkowane galasy miesza się z witriolem i gumą arabską, żeby powstał trwały atrament, który nie będzie spływał ani się rozmazywał nawet w wilgoci. Z daleka mogli uchodzić za rodzeństwo. Ona ma sny, pomyślałam, a on koszmary. Ja miewam jedno i drugie, ale, jeśli Błogosławiony Elua pozwoli, niedługo się skończą. Dla tych dwojga życie składa się z samych początków.

– Mówimy o zakończeniu historii – powiedziała cicho Thelesis de Mornay – podczas gdy prawda jest taka, że to my się kończymy. Historie trwają dalej.

Modliłam się w milczeniu, żeby nie trwały beze mnie.

Jeszcze nie.

Hiacynt.

DZIEWIĘCDZIESIĄT TRZY

Zerwały się kapryśne wiatry wczesnej wiosny.

W całej Terre d'Ange zaczęły zielenić się pola. Kiełki wyrastały z żyznej gleby, sięgając ku słońcu. Kwitły krokusy, liliowe, białe i żółte, a korony drzew spowiła mgiełka pączków liści. W górach pasterze czekali na kocenie się owiec. Na wsi rolnicy obserwowali pogodę i przystępowali do wysiewu. Na wybrzeżu marynarze oceniali siłę i kierunek wiatru, szykując się do podróży.

A w Mieście Elui ludzie zakładali się o datę przybycia cruarchy.

Przypuszczam, że nigdy nie czekałam na to zdarzenie z takim utęsknieniem. Tak bowiem brzmiał wyrok Ysandry: „Kiedy cruarcha wejdzie w bramy Miasta, Fedra będzie mogła je opuścić”.

To Cuillen Baphinol przyniósł nam wieści, na pozór składając oficjalną wizytę, ale jego koń był spieniony, gdy wjechał na dziedziniec. Krzyki przybysza sprawiły, że Joscelin biegiem rzucił się do drzwi, z mieczem w pogotowiu. Kasjelici mogą wyciągać miecze tylko po to, żeby zabić, ale gdy chodziło o bezpieczeństwo Imriela, nie dbał o zasady.

– Pokój – wysapał Cuillen, podnosząc ręce. – Pokój, messire Verreuil. Mam nowiny! Widziano okręt flagowy cruarchy!

Joscelin wbił w niego wzrok, potem wrzasnął z radości i serdecznie uściskał eisandzkiego panicza.

Cuillen Baphinol uśmiechał się szeroko, klepiąc go po plecach.

– Wiedziałem, panie, że to cię ucieszy!

Wieczorem wydaliśmy ucztę i wszyscy świętowaliśmy. Po

zakończeniu przygotowań dałam wolne służbie, od Eugenii poczynając, na stajennym Benoit kończąc. Czekanie było dla nas wielkim ciężarem i okryło trzymiesięcznym całunem to, co miało być radosnym powrotem do domu. Tego dnia wreszcie mogliśmy świętować. Nie wątpię, że wielkie rody Terre d'Ange byłyby wstrząśnięte na wieść, iż w domu Montrčve pokojówka zasiada do kolacji obok kawalera, a stajenny ma słomę we włosach, lecz to był mój dom, a ci ludzie o niego dbali. Byłam hrabiną i niewolnicą barbarzyńcy; nie jestem na tyle dumna, żeby nie sięść do stołu z kimś, kto chwilę wcześniej wydlubał brud spod paznokci.

Eluo spraw, żebym nigdy taka nie była.

Choć Benoit pachniał lekko stajniami.

Rankiem chyba wszyscy mieliśmy trochę ciężkie głowy. Hulanka przeciągnęła się do późnej nocy i beczułka z winem została opróżniona do sucha. Za moim pozwoleniem Imriel wypił dwa kieliszki i oczy mu rozbłysły, a rumieńce przyciemniły jasne policzki. Czystym, dźwięcznym głosem odśpiewał pasterską pieśń miłosną przy akompaniamencie fletu Huguesa. Zastanawiałam się, kiedy jego głos zacznie się zmieniać na męski? Niebawem. Daršanga opóźniła jego dojrzewanie, ale teraz szybko nadrabiał zaległości.

– Będzie łamać serca – zawyrokowała Eugenia.

Na drugi dzień wysłałam Huguesa, który ledwo widział na oczy, do Emila w Progu Nocy i do Eleazara w dzielnicy jezuickiej, żeby powiadomił ich o rychłym przybyciu cruarchy. Zrobiłam to z grzeczności, niewątpliwie obaj już słyszeli nowiny. Słyszając pukanie do drzwi, pornyślałam, że Hugues wrócił.

Był to królewski kurier z wezwaniem królowej.

– O co chodzi? – zapytał Joscelin, patrząc na pismo. – Chyba nie zmieniła zdania.

– Czy jej Wysokość dała jakieś zalecenia? – zwróciłam się do kuriera.

Pokręcił głową.

– Macie stawić się w pałacu, pani. Ty, messire Verreuil i chłopiec.

Znów pojechaliśmy do pałacu, tym razem własnym powozem. Ludzie świętowali w całym mieście, winiarnie i karczmy były otwarte, na targach ubijano szybkie interesy, w domach gier wypłacano zakłady i przyjmowano nowe. Studenci Akademii mieli dzień wolny i wylegli na ulice, wznosząc toasty za zdrowie cruarchy, nie mogąc się doczekać trzech dni i nocy hulanków po jego dotarciu do Miasta. Powrót Drustana stał się istnym świętem wiosny. Żałowałam, że nie podzielałam radosnych nastrojów; wezwanie Ysandry obudziło strach w moim sercu i przygasiło radość.

Nadrabiałam miną, gdy majordomus prowadził nas przez pałac pod eskortą dwóch gwardzistów. Zastanawiałam się, czy trafimy do sali tronowej, czy na prywatną audiencję. Jeśli to sprawa stanu, pomyślałam, Ysandra przyjmie nas w sali tronowej albo audiencyjnej. Bałam się, co może oznajmić publicznie. Nie miałam pojęcia, co może powiedzieć na osobności, i bałam się jeszcze bardziej.

Stało się inaczej.

Majordomus zaprowadził nas do Salonu Harfy Ejszet, przestronnej komnaty z eleganckimi freskami ilustrującymi historię niefortunnego romansu Ejszet i *tauriere* z Eisandy. Tutaj d'Angelińscy wielmożą gromadzą się na pogawędki i koncerty. Było już parę osób i wydawało się, że muzycy dopiero co skończyli grę na flecie i lutni. Ysandra siedziała na sofie, otoczona przez dworzan i służę. Towarzyszyła jej jedna znajoma mi osoba.

– Książę Imriel nó Montrčve de la Courcel, hrabina Fedra nó Delaunay de Montrčve, messire Joscelin Verreuil – zaanonsował majordomus.

Na pół sekundy zapadła cisza.

– Na Jaja Elui, dziewczyno, chodź tutaj, niechże cię uściskam! – ryknął admirał floty królewskiej, Kwintyliusz Rousse, i wstał z kanapy, otwierając ramiona. – Na co czekasz, na pozłacane zaproszenie?

Oszołomiona, przeszłam przez salon i znalazłam się w miażdżącym kości uścisku.

– Panie admirale – wydukałam, gdy mnie puścił. – Co cię tu sprowadza?

Rousse uśmiechnął się do mnie. Jeśli nawet w jego rudej czuprynie przybyło siwych włosów, to wciąż był krzepki i rubaszny jak zawsze, a niebieskie oczy jaśniały w ogorzałej twarzy.

– Słyszałem, że mamy wyruszyć po tego twojego nawiedzonego cygańskiego chłopca, gdy tylko przybędzie pan Drustan. Mam rację?

Zamrugalam, potem popatrzyłam na Ysandrę, ponieważ przysiadając w dygu.

– Wasza Wysokość.

Ysandra uniosła jasne brwi.

– Chyba nie myślałaś, że wyprawię cię samą, Fedro. Los Hiacynta, syna Anastazji, leży nam na sercu, dlatego poczyniliśmy pewne przygotowania. Okręt flagowy admirała Rousse czeka w Pointe des Soeurs w Azailii. Możesz omówić, czego potrzebujesz na drogę, z panem Rousse, który ma otwarte konto u sekretarza królewskiej szkatuły. Ufam, że będziecie gotowi przed przybyciem Drustana.

– Tak. – Przełknęłam dławiące mnie łzy. Utrata przyjaźni Ysandry znaczyła dla mnie więcej, niż przypuszczałam, i dałabym wiele, żeby ją odzyskać. – Tak, Wasza Wysokość. Będziemy gotowi.

– To dobrze. – Spojrzenie Ysandry spoczęło na Imrielu. – Przypuszczam, młody kuzynie, że będziesz nalegał na udział w wyprawie?

– Wasza Wysokość. – Imriel ukłonił się z twarzą bez wyrazu. – Jeśli zakazesz, zostanę.

– A jaką urazę to zrodzi? – Ysandra uśmiechnęła się cierpko, patrząc, jak Kwintyliusz Rousse zamyka Joscelina w niedźwiedzim uścisku. – Nie, młody kuzynie, nie zakażę, choć bardzo bym chciała. Nauczyłam się jednak, kiedy trzeba stanąć na drodze, a kiedy ustąpić. Messire Verreuil! – zawołała do Joscelina, który podszedł do niej z

ukłonem. – Będę wdzięczna, jeśli w przyszłości w publicznych miejscach zechcesz towarzyszyć księciu Imrielowi pod bronią. Czyż nie obiecano mi, że będzie go chronić brat kasjelita, rycerz królowej?

– Wasza Wysokość. – Joscelin wyprostował się z szerokim uśmiechem. – Nie stawię się ponownie przed tobą bez broni.

– Dobrze. – Ysandra powiodła wzrokiem po dworzanach, którzy przysłuchiwali się temu z otwartymi ustami. – Czy ktoś ma coś do powiedzenia? Nie? Doskonale. Panie Rousse, możesz odejść, aby zająć się przygotowaniami. Spodziewam się pełnego sprawozdania z twoich planów.

Zaraz potem zostaliśmy odprawieni.

Większą część dnia spędziliśmy na dyskusji z Kwintyliuszem Rousse, który wrócił z nami do domu. W kuchni panował bałagan po wczorajszej hulance i Eugenia musiała dokonać cudu, żeby godnie przyjąć admirała floty królewskiej.

Kwintyliusz popijał przednie wino i z apetytem pochłaniał pikantne przystawki.

– Masz więc Imię Boga zamknięte w ślicznej główce, dziewczyno? Może tak, może nie, ale zabiorę cię, dokąd tylko zechcesz. Obiecałem dawno temu. Pytanie, co się stanie, kiedy tam dotrzemy?

Wzruszyłam ramionami.

– Spróbujemy wezwać Rahaba.

– A jeśli przybędzie?

– Wypowiem Imię Boga i przepędzę go. – Zacisnęłam zimne dłonie.

– Panie Rousse, w ciągu dziesięciu lat nie dowiedziałam się niczego więcej. Nie mogę ci powiedzieć, co się stanie, jeśli przyjdzie, ani czy uda się go wypędzić. Z pewnością to będzie niebezpieczne. Jak bardzo, nie wiem.

– Książę Głębin – mruknął Kwintyliusz Rousse. – A ja myślałem, że sztuką jest przeżyć spotkanie z Panem Cieśniny. Ta wyprawa to będzie dopiero coś! Spełnienie marzeń żeglarza, Fedro nó Delaunay,

niezależnie od tego, czy ujdziemy z życiem. – Położył krzepką rękę na kolanie Ti-Filipa. – Jesteś gotów, chłopcze? Mam nadzieję, że nie zapomniałeś, jak napinać wantę talrepem?

– Nie, panie! – Ti-Filip uśmiechnął się do niego. – Tym razem nie dam się zostawić.

– A co z tobą, na wpół szalony kasjelito? – Rousse spojrzał na Joscelina. – Wciąż rzygasz przez reling?

– Niestety. – Joscelin też się uśmiechnął. – Ale to jeszcze nigdy mnie nie powstrzymało.

– I szczenię Melisandy. – Popatrzył na Imriela i pokręcił głową. – Na Jaja Elui, chłopcze, jesteś podobny do matki! Fedra mówi, że umiesz zachować się na pokładzie i nie płaczesz się pod nogami. Chcesz płynąć, prawda?

– Tak, panie admirale. – Imriel był zbyt zafascynowany gościem, żeby się obrazić. Barczysty, nieprzebierający w słowach Kwintyliusz Rousse ze starą blizną na twarzy rzeczywiście był imponującą figurą. Był również jednym z najdawniejszych przyjaciół mojego pana Delaunaya i jednym z niewielu ludzi, do których miałam bezgraniczne zaufanie. – Cyganie pomogli Fedrze i Joscelinowi mnie znaleźć, z powodu Hiacynta. To sprawa honoru – dodał z lekkim wyzwaniem w głosie.

– Honoru, hę? – Rousse spojrzał na niego spod przymrużonych powiek. – Mówisz inaczej niż matka.

Imriel zacisnął szczęki i rozdał nozdrza.

– Nie jestem moją matką, panie admirale.

Kwintyliusz Rousse ryknął śmiechem.

– Chłopcze, mam taką nadzieję! Jeden kłopot wystarczy, świat nie zniósłby dwóch takich. Na szczęście Fedra nó Delaunay oprócz smykałki do pakowania się w tarapaty ma również dar dobierania przyjaciół. Skoro postanowiła cię usynowić, to sądzę, że jesteś tego godzien.

Z pomocą admirała opracowaliśmy plany. Ta wyprawa miała być

większa od poprzedniej. Po naszym spotkaniu w Salonie Harfy Ejszet wiadomość lotem błyskawicy rozeszła się po Mieście. Do naszego domu zaczęły napływać listy, strumyczek przerodził się w powódź. Nie przyjąłem żadnego zaproszenia, odmawiając uprzejmie. Później będzie inaczej... o ile będzie jakieś później. Nie lubiłam hipokryzji dworskiej polityki, ale taka jest mentalność d'Angelińskich wielmożów. Dla dobra Imriela będę musiała odnowić dawne znajomości.

Teraz musiałam skupić się na Rahabie.

Sposobami, w jakie nie wnikałam, Eleazar ben Enoch zdobył zakazany traktat poświęcony wzywaniu aniołów i dał mi pod warunkiem, że zachowam dyskrecję. Studiowałam zaklęcia, powierzając je pamięci. Ponieważ nigdy nie słyszałam, by za ludzkiej pamięci okazały się skuteczne, wątpiłam w ich wartość. A jednak należało spróbować.

Joscelin miał rację.

W mojej głowie wykluwał się plan.

Zachowałam go dla siebie. Gdybym się nim podzieliła, pewnie próbowaliby mnie powstrzymać, wybić mi go z głowy. Miałam nadzieję, że nie będę musiała realizować swojego pomysłu. Jeśli tak... cóż. Dopóki nie dotrzemy do brzegów Trzeciej Siostry, nic nie będzie wiadomo. Miałam za przewodnika tylko Imię Boga, sylaby pulsowały równie pewnie i miarowo, jak moje własne tętno.

Dni wlokły się w ślimaczym tempie. Codziennie z Azalii przybywał kurier, ostatni w łańcuchu, i meldował o postępach orszaku cruarchy.

Mieliśmy wyruszyć z eskortą marynarzy admirała Rousse, wyszkolonych do walki na lądzie i na morzu. Cieszyłam się, że nie będą to wojska królewskie, nie podobał mi się bowiem pomysł podróżowania Imriela pośród żołnierzy, którzy przysięgli wierność diukowi Barquielow L'Envers.

Nasza karawana została przygotowana do drogi, konie były

podkute, juczne muły czekały w pogotowiu.

Czekaliśmy.

Drustan mab Necthana wjechał do Miasta Elui.

DZIEWIĘDZIESIĄT CZTERY

Ysandra zaplanowała spotkanie na Placu Elui w centrum Miasta, gdzie cztery fontanny biją pod sędziwym dębem, posadzonym podobno przez samego Błogosławionego Eluę. Tam kazano nam się stawić i czekać na przybycie orszaku cruarchy. Usłyszeliśmy, że jadą, na długo wcześniej, niż zobaczyliśmy – z daleka dobiegało dźwięczenie dzwonków, głosy podniesione w wiwatach.

Wszystko było wspaniałe, Drustan w szkarłatnym płaszczu ze złotym naszyjnikiem cruarchy, Ysandra u jego boku w jedwabnej sukni o barwie wiosennej zieleni, ciężkiej od złotego haftu. Ramiona miała odsłonięte i założyła naszyjnik od królowej Zanadachete, wielki szmaragd połyskiwał na jej piersi. Sztandar Elui, łabędź rodu Courcel i Czarny Dzik Cullach Gorrym powiewały nad głowami. Rozpromieniona Alais jechała z ojcem na łąku siodła; poważna delfina Sydonia u boku matki na kucyku. Bliźniacze szeregi gwardzistów w barwach domu Courcel chroniły ich przed naporem ludzi, którzy rzucali kwiaty.

Płatki spadały niczym wonny deszcz.

Spotkaliśmy się z nimi w cieniu wielkiego dębu. Kwintyliusz Rousse w najświetniejszym stroju czekał z uszanowaniem na rozkazy królowej. Ja byłam ubrana w aksamitną suknię do jazdy konnej w kolorze leśnej zieleni, barwie domu Montrčve. Hugues trzymał nasz sztandar, poważny w nowej liberii. Imriel chciał włożyć barwy Montrčve, ale uznałam, że będzie lepiej, gdy ubierze się na ciemnoniebiesko, składając ukłon w stronę linii Courcel.

Joscelin oczywiście sprokurował sobie strój w odcieniu szarości i wyróżniał się tylko kasjelicką bronią. Już do tego przywykłam.

– Panowie i panie, mesdames i messires! – Ysandra zaczęła, aż orszak się zatrzyma, i dźwięcznym głosem przemówiła do tłumów. – Tego dnia nie tylko witamy mego małżonka i dostojnego władcę Alby, Drustana Lab Necthan, ale także żegnamy admirała floty królewskiej Kwintyliusza Rouse, który poprowadzi wyprawę do Trzech Sióstr w nadziei na przerwanie klątwy Pana Cieśniny. Wiedźcie, że sercem jesteśmy z nimi. – Klacz przesunęła się w bok i Ysandra ściągnęła wodze, patrząc na mnie. – Fedro nó Delaunay de Montrčve – podjęła łagodniejszym tonem. – Tego dnia twoja kara dobiega końca i masz wolną wolę, by zająć się tym, czego pragnęłaś od ponad dziesięciu lat. Wiedz, że dobrze ci życzymy i modlimy się o powodzenie.

Dygnęłam nisko, stojąc obok swojego wierzchowca, i moi domownicy wzięli ze mnie przykład.

Drustan mab Necthana zsiadł z konia, podając wodze Alais. Nie bacząc na etykietę, przywitał się z nami wszystkimi, ściskając rękę Kwintyliusza Rouse, obejmując Joscelina jak brata. Z powagą wymienił uścisk dłoni z Imrielem, który był pod wielkim wrażeniem misternych wzorów wytatuowanych niebieskim urzetem na twarzy cruarchy.

– Fedro. – Drustan położył ręce na moich ramionach. Zawsze się rozumieliśmy, on i ja. – Naprawdę wierzysz, że zdołasz go uwolnić?

Pokiwałam głową, niezdolna odpowiedzieć. Imię Boga pęczniało mi na języku. Mogłam tylko patrzeć na Drustana, widząc w jego ciemnych oczach świadomość poświęcenia Hiacynta i poczucie winy, które nękało go tak długo. Jak ja, gdyby mógł, wzięłby tę ofiarę na siebie. Był tam. Wiedział. Słyszałam w głowie cykanie konika polnego i po raz kolejny przypomniałam sobie, co leży na szali.

Nieśmiertelność bez młodości; wieczność starzenia się.

To właśnie znosił Hiacynt, podczas gdy my wszyscy kochaliśmy, walczyliśmy i mnożyliśmy się, tworząc nasze historie bez niego.

– Oby tak było. – Drustan pochylił głowę i pocałował mnie w czoło.
– Honor Cullach Gorrym będzie ci towarzyszyć w walce o wolność naszego brata Hiacynta. Sibeal czeka na ciebie w Pointes des Soeurs, Fedro. Nosi w sercu moją nadzieję.

To rzekłszy, Drustan wsiadł na konia, obejmując Alais ramieniem.

Tłum wiwatował i obsypywał ich kwiatami, ponaglając. Tego dnia w Mieście Elui rozpoczną się hulanki, a wieczorem salony recepcyjne w Dworze Nocy będą pękać w szwach, gdy D Angelinowie na swój sposób zechcą uczcić spotkanie królowej z małżonkiem.

Popatrzyłam za Ysandrą, która odjeżdżała wyprostowana w siodle i westchnęłam.

– Naprzód! – Kwintyliusz Rousse, już na koniu, popędził swoich żołnierzy. – Im prędzej ruszymy w drogę, chłopcy, tym prędzej będziemy na morzu! Pani, jesteś gotowa? Tak? W takim razie ruszajmy. Władca Głębiny czeka i pozwolę sobie dodać, że czeka zbyt długo!

Zaczęła się nasza podróż.

Najpierw napotkaliśmy Cyganów. Z początku to nie wydawało się dziwne; wiosną Cyganie zawsze są na drodze, zmierzając na końskie targi. To Imriel zwrócił uwagę, że podążają za nami. Z całym oddziałem ludzi Rousse – w większości pochodzących z korpusów wciąż noszących imię Chłopców Fedry i śpiewających w marszu piosenki, które sprawiały, że chciałam zakryć Imrielowi uszy – nie mogliśmy przemknąć niezauważeni. W wioskach i miastach obecność Cyganów nie rzucała się w oczy. Stała się oczywista, gdy rozbiliśmy obóz przy drodze.

Cyganie jechali za nami.

I nie tylko Cyganie.

Jeszuci byli mniej widoczni niż Cyganie, którzy podróżowali w jaskrawo malowanych wozach, ale stopniowo stało się jasne, że podążają za nami. Jedni szli pieszo, inni jechali skromnymi wozami.

– Na Jaja Elui! – zawołał Kwintyliusz Rousse. – A oni czego chcą?

– Chcą wiedzieć, co się stanie – odparłam. – Chcą usłyszeć Imię Boga.

Co się stanie, gdy je wymówię? Nie wiedziałam. Ta sprawa była zbyt wielka, żebym mogła ogarnąć ją rozumem. Już to, co wiedziałam i rozumiałam, sprawiało mi wystarczająco duży problem. Jechaliśmy przez zieleniące się ziemie Terre d'Ange, zmierzając do Pointe des Soeurs w niezwykłej asyście. W trakcie jazdy myślałam o Imieniu Boga i wszystko, co widziałam, nabierało nadzwyczajnej ważności w moich oczach, od najmniejszego listka rozwijającego się na pędzie winorośli po moich towarzyszy. Rubaszny Rousse, wierny Ti-Filip, ochoczy Hugues i – Eluo! – Joscelin w szarym kasjelickim stroju, który skrywał liczne blizny, wszystkie pozyskane z mojego powodu. Rozpuszczone włosy zasłaniały skaleczone przez strzałę ucho, i było to jego jedyne ustępstwo na rzecz próżności.

I Imriel. Imriel.

Serce mi się krajało na jego widok, szczęśliwego i dumnego, że bierze udział w heroicznej wyprawie. Jechał z podniesioną głową, czujny i bystry, pewnie trzymając wodze.

Sprawa honoru.

Wierzył w to.

Och, Melisando, pomyślałam. Nie znasz swojego syna, naszego syna. Brat Selbert miał rację, Imriel może zaskoczyć nas wszystkich. Nasz księżę-pastuszek, nasz niewolnik barbarzyńcy. Czy dobrze robię, tak go narażając? Jednak gdybym go nie zabrała, gdybym mu zakazała... Ysandra miała rację. Jaką to zrodziłoby urazę? Ma swoją dumę, Melisando, i nie wolno mu tego zabronić. Złość zbyt szybko się w nim jątrzy. Mogę tylko mitygować ten gniew i dla równowagi uczyć go współczucia.

Błogosławiony Eluo, spraw, żebym przeżyła, by móc to robić.

Patrzyłam więc na nich wszystkich i nie zdradzałam swojego planu, gdy jechaliśmy przez Terre d'Ange, a nasza milcząca świta

wciąż się powiększała.

Pointe des Soeurs znacznie się różniło od tamtego samotnego garnizonu, który widziałam przed dwoma laty. Pod murami powstał obóz wielkości małego miasta i panował w nim ożywiony handel. Evrilac Duré powitał nas i zaprowadził do fortecy. To on dwa lata temu przyniósł wieści o odejściu starego Pana Cieśniny, choć wówczas tego nie wiedział.

– Zaczęło się tej zimy – rzekł w odpowiedzi na moje pytanie dotyczące obozu. – Głównie Cyganie. Patrzą i czekają, nie mam pojęcia na co. Dostałem ze dwadzieścia próśb o miejsce na okręcie admirała. Admirał Rousse je rozpatrzy, tak im powiedziałem.

– Jest cygańskim królem – mruknęłam. – Hiacynt, rzecz jasna. Wymawiają jego imię na skrzyżowaniach dróg. Czekają na jego powrót.

– Tak. – Evrilac Duré przyjrzał mi się bacznie. – Może się okazać, że jest inny, niż się spodziewają. Słyszałem historie, pani. Widziałem co widziałem. Ktoś, kto był Panem Cieśniny, ma na głowie coś więcej niż cygański motłoch. Powiem ci, że siostra cruarchy także tu czeka.

– Pani Sibeal.

– Ta sama. – Dał znać, żeby straż podniosła broń, i wjechaliśmy do właściwej fortecy. – I nie miej mi za złe, gdy powiem, że tutaj, w Azalii, sporo o tym mówimy.

Nie dodał nic więcej, nie musiał. Tyle się dowiedziałam w czasie prywatnej najsroźszej zimy w Mieście Elui. Kwestia sukcesji w Albie pozostawała nierozstrzygnięta. Wedle starych praw dziedziczenia matrylinearnego dziecko z lędźwi Drustana nie mogło objąć władzy w Albie. Nowym cruarchą miał zostać potomek którejś z jego siostr.

Breidaja, najstarsza, miała dzieci.

Sibeal nie.

Komendant fortu przydzielił jej najlepsze pokoje i zakwaterował jej

straż honorową złożoną z wojowników Cruithne. Ghislain nó Trevalion przysłał osobistego kuchmistrza i młodszego szambelana, żeby zapewnić jej – i nam – wszelkie wygody. To też zostało uzgodnione w czasie zimowych miesięcy. Ysandra nie próżnowała, gdy ja rozmyślałam.

– Fedra nó Delaunay. – Sibeal mówiła już z lepszym akcentem. Chwyciła moje ręce. – Przybyłaś, tak jak śniłam. Czy podróż była długa?

– Tak, pani, długa.

Poważnie pokiwała głową i odwróciła się, żeby powitać Joscelina.

– Dobrze cię widzieć, bracie.

– Pani Sibeal. – Joscelin uklonił się, zarękawia błysnęły w blasku lamp jadalni. – To dla mnie zaszczyt.

– Nie. – Pokręciła głową. – Mówię prawdę. Tak nazwał cię mój brat cruarcha, jesteś moim bratem. Ja... ja mogłam tylko patrzeć i czekać, gdy inni kroczyli mroczną ścieżką. Tutaj przywiodły mnie sny i jestem wam wdzięczna za wyrozumiałość.

Byłoby łatwiej, gdybym mogła znieubić Sibeal i znaleźć w sercu urazę. Nie mogłam. Zbyt przypominała swojego brata Drustana, patrząc tymi samymi poważnymi, ciemnymi oczami, nosząc się z tą samą spokojną godnością. I kochała Hiacynta. Czy mogłam mieć jej to za złe? Ja też go kochałam. Jeśli dla niego wstąpiłam na złowrobną ścieżkę, to nie byłam w tym osamotniona.

Zjedliśmy razem kolację w omiatanych wiatrem murach Pointe des Soeurs. Kwintyliusz Rousse naradził się ze swoimi ludźmi, planując nasz kurs. Evrilac Duré przyniósł mu petycje z prośbami o miejsce na okręcie flagowym. Rousse rzucił na nie okiem i ze ściągniętymi brwiami przekazał je mnie.

– Cyganie i Jeszuici ubiegają się o miejsca na pokładzie! Co oni sobie myślą, że ruszamy na morską wycieczkę? Nie mam miejsca dla szczurów lądowych. Jeśli Władca Głębiny wystąpi przeciwko nam, musimy mieć na okręcie doświadczonych ludzi. Nie wezmę nikogo i

basta.

Zerknęłam na petycje.

– Ta sprawa jest dla nich ważna, panie admirale.

– Niech płyną na swoich statkach, jeśli tak im zależy. – Łypnął na mnie z wyjątkowo groźną miną. – Dwóch. Dam ci dwa miejsca, Fedro nó Delaunay. Powiadomisz ich o brzasku, bo niedługo później podniesiemy żagle.

– Panie. – Skłoniłam głowę, uznając jego decyzję.

DZIEWIĘDZIESIĄT PIĘĆ

Nie spałam do późnej nocy. Nie z powodu petycji, bo ich rozpatrzenie było łatwe. Znacznie dłużej trwało odcyfrowanie gryzmołów strażników, którzy zapisali prośby na świstkach papieru. Większość Cyganów była niepiśmienna, nie miała wykształcenia właściwego dla d'Angelińskiego społeczeństwa. Wśród D'Angelinów nawet najskromniejsze rodziny dbają o edukację swoich dzieci; to dar dla nas od Elui i jego Towarzyszy.

Nie rozdzieliliśmy go dobrze.

Kristof, syn Oszkara. Pamiętałam go dobrze. Naraził swoją kompanię, żeby przynieść nam wieści o kartagińskich handlarzach niewolników.

A co do Jeszuitów...

Przybył Eleazar. Było mi przykro, że mnie nie odszukał, aby poprosić o przysługę. Przez wiele lat razem studiowaliśmy. Po śmierci rabiego Nahuma ben Izaaka był moim najbliższym znajomym w społeczności Jeszuitów. Ale, w łasce czy w niełasce, ja byłam hrabiną de Montrčve. Pewnie nie śmiał prosić.

Ale będzie miał okazję usłyszeć Imię Boga. Zasłużył na to, szukając go tak długo. Miałam nadzieję, że wyświadczam mu uprzejmość, a nie skazuję na śmierć.

Jutro będę wiedziała.

Imriel wcześniej przegrał bitwę i zapadł w głęboki sen na materacu, zmęczony podróżą i morskim wiatrem. Joscelin nie spał. Rozmawialiśmy, siedząc w półmroku, bo knot lampy został przycięty.

Potem została do omówienia tylko jedna sprawa.

– Co się z nami stanie? – zapytał cicho Joscelin, kładąc się obok mnie. – Fedro... jeśli... gdy uda ci się uwolnić Hiacynta, co będzie z tobą i ze mną?

– Nie wiem – szepnęłam. Przeciągnęłam palcami po długim paśmie włosów, które leżało na jego ramieniu. To było łatwiejsze niż spojrzenie mu w oczy. – Joscelinie, wiesz, że cię kocham nad życie. Nic, co się stanie, nie może tego zmienić. Jesteśmy rodziną, ty i ja... i Imri. Nigdy nie zerwę tych więzi.

– Ale jego też kochasz.

Spojrzałam na niego wtedy, musiałam.

– Mógłbyś prosić, żebym nie kochała?

– Nie. – Zadrżał i objął mnie. – Boję się, to wszystko.

Czułam jego siłę, miarowe bicie serca blisko mojego, Imię Boga tętniące w każdym uderzeniu.

– Mój towarzysz doskonały – powiedziałam z uśmiechem. – Joscelinie, wypowiedaliśmy śmiało słowa o strachu, pamiętasz? Nie ma nikogo innego takiego jak ty. Nikogo. Zdaliśmy się na łaskę Elui, gdy wjechaliśmy do Drudżanu. Wciąż możemy na nią liczyć i zawsze będziemy.

– Modłę się, żebyś miała rację. – Pocałował mnie i nie dodał już ani słowa.

Nie było nic więcej do powiedzenia.

Po jakimś czasie Joscelin zasnął, a ja leżałam bezsennie, patrząc na nich obu. Słuchałam, jak Imriel mamrocze przez sen, zbyt cicho, żeby to był prawdziwy koszmar. Joscelin spał z rozrzuconymi rękami w łacie księżycowej poświaty. Miał otwartą dłoń, palce lekko zgięte. Ile razy chroniło mnie to silne ramię? Nie mogłabym zliczyć. Księżyc płynął po nocnym niebie, fale łamały się na brzegu poniżej fortecy.

Zastanawiałam się, co będzie jutro.

W końcu ja też zasnęłam i śniłam, że wciąż nie śpię, patrząc i

czekając. Dopiero gdy otworzyłam oczy w szarym świetle brzasku i usłyszałam krzyki mew, zrozumiałam, że spałam. Ludzie admirała szykowali statek do wyjścia w morze. W fortecznych kuchniach panowała krzątanina. Zostawiłam Joscelina z Imrielem i pojechałam do obozu z kapitanem Duré i oddziałem jego ludzi. Tam też tętniło życie, paliły się ogniska, Cyganie i Jeszuici czekali. Zobaczyli naszą grupę. Wiedzieli, że to nastąpi dzisiaj.

– Jest miejsce! – zawołałam. – Dla dwóch ludzi, i tylko dwóch, na okręcie flagowym admirała. Wy, którzy wystosowaliście petycje, wiedzcie, że podróż jest niebezpieczna, a jej kres niepewny. Czy ktoś chce zrezygnować?

Gdy umilkłam, podniósł się szmer, gdy przekazywano moje słowa po całym obozie. Potem zapadła cisza. Zakwiliło cygańskie dziecko, uciszone przez matkę. Nikt się nie odezwał.

– Niechaj tak będzie – powiedziałam. – Z Cyganów, wśród których narodził się ten, który jest Panem Cieśniny, wyznaczam Kristofa, syna Oszkara, który udzielił pomocy w chwili wielkiej potrzeby. Z Jeszuitów wzywam Eleazara ben Enocha, który poświęcił życie na szukanie Imienia Boga.

Wystąpili, obaj. Cygański *tzeroman* w jasnożółtej koszuli pożegnał się ze swoją kompanią i podszedł z powściągliwym wyrazem twarzy. Eleazar jechał na osiołku, niemal wlokąc stopy po ziemi, z radosnym uśmiechem w splątanej brodzie.

– Powinieneś poprosić – powiedziałam z wyrzutem.

– Wcześniej nie od ciebie to zależało. – Uśmiechnął się szerzej. – Teraz tak.

Westchnęłam i spytałam ich obu:

– Rozumiecie, że możemy nie wrócić?

Eleazar jeszcze bardziej się rozpromienił, potrząsając brodą. Przez chwilę było mi żal Adary, która pozwoliła mężowi ścigać takie marzenia. Kristof tylko skinął głową.

– Kroczyłaś dla niego *Lungo Drom*, pani – powiedział. – Jeden z nas

powinien tam być, żeby zobaczyć kres drogi, obojętne jaki on będzie.

Potem wróciliśmy do fortecy Pointe des Soeurs, odprowadzani tęsknymi spojrzeniami tych, którzy zostali. Kwintyliusz Rousse nie rzucał słów na wiatr. Jego okręt flagowy „Obietnica Elui” cumował w porcie, gotów do wyjścia w morze. Sześć proporców powiewało na masztach – złote lilie w gwiazdami Elui i jego Towarzyszy, srebrny łabędź rodu Courcel, Czarny Dzik Cullach Gorrym, szczyt i księżyc Montrčve, Gwiazda Nawigatora domu Trevalion, i... czarna chorągiew z nierównym kręgiem szkarłatu przeszytym złotą strzałą.

Strzała Kusziela.

– Tak trzeba, pani – oznajmił posepnie Kwintyliusz Rousse.

Wsiedliśmy na okręt. Słońce wyłoniło się zza chmur, okrywając wodę płaszczem złotego światła. Podniesiono kotwicę i żagle ze srebrnym łabędziem na błękitnym polu. Cygan Kristof uniósł rękę w salucie, a ja się zastanowiłam, ilu ludzi zostawił w swojej kompanii. Bałam się spytać. Eleazar wystawił brodatą twarz na wiatr, chętny niczym kochanek.

Sibeal stała sama na dziobie, kołysząc się wraz ze statkiem, z czujnymi wojownikami Cruithne za plecami. W moich snach to ja zawsze tam stałam.

Ale ja... ja miałam Joscelina, zzieleniałego i z trudem przełykającego ślinę, stojącego nieugięcie przy Imrielu, i Ti-Filipa, który czuł się jak ryba w wodzie, rad z pobytu na morzu, i Huguesa, czujnego jak ogar na tropie przygody.

Nie byłam sama.

Jeszcze nie.

Wiatr sprzyjał i dął silnie, jak gdyby zapraszająco. Zastanawiałam się czy Hiacynt wiedział, czy korzystał z możliwości Pana Cieśniny i prowadził nas do swego domu. Wysoko po błękitnej kopule nieba przemykały białe obłoki, światło słońca skrzyło się na wodzie. Mewy krążyły z ochrypłym krzykiem za rufą, w nadziei że to statek rybacki,

z którego posypią się odpadki z połowu. Po tak długim czasie czekania groźna konfrontacja wydawała się nierealna. Był to dzień odpowiedni na radosne świętowanie, nie na zakończenie.

Przez kilka godzin żeglowaliśmy jak na skrzydłach. Zbyt szybko rozległ się okrzyk z bocianiego gniazda – marynarz dostrzegł Trzy Siostry. Słońce jeszcze nie było w zenicie, gdy zobaczyliśmy wysokie urwiska Trzeciej Siostry. Tak blisko do brzegu, tak daleko od świata! Dla tej krótkiej podróży powędrowałam do Saby i z powrotem. Wstrzymałam oddech, gdy Kwintyliusz Rousse przejął ster i wydał rozkazy, prowadząc okręt do wąskiego przesmyku, który był wejściem do zatoki.

Pomiędzy wysokimi urwiskami wiatr nagle ucichł.

– Do wiosł! – ryknął Rousse, gdy żagle zwiły, a proporce opadły. – Wiosłować!

Trzeci raz miałam gościć w królestwie Pana Cieśniny. Za pierwszym przyniosła nas fala, za drugim przywiał wiatr. Teraz weszliśmy do osłoniętej zatoki kosztem ludzkich mięśni, ścięgien, kości i potu.

Skalisty cypel i wycięte w skale stopnie przeglądały się w spokojnej, płaskiej jak lustro wodzie, wydawało się więc, że drugie schody prowadzą do świątyni w głębinach zatoki, pomniejszonej przez odległość, spowitej przez chmury na dnie morza. Zmarszczki odbiegające od dziobu okrętu zepsuły złudzenie, zniekształcając odbicie samotnej postaci, która czekała na cyplu.

Hiacynt.

Imię Boga wezbrało we mnie i pragnęłam wykrzyczeć je w puste niebo.

Był ubrany jak wcześniej, w rdzawoczarne aksamity w staroświeckim stylu, stara koronka pieniała się jak morze przy mankietach i pod szyją. Na ramionach miał płaszcz w nieokreślonym kolorze z satynową podszewką. Może kiedyś był fioletowy; czas, słońce i sól nadały mu barwę zmatowiałego srebra, jak zmierzch na

oceanie. Gdy statek podpłynął bliżej brzegu, gdy pozostało tylko kilka jardów otwartej wody, Hiacynt złożył ręce na wysokości pasa, potem rozsunął je z dłońmi ułożonymi równoległe do ziemi.

Usłyszałam, jak Sibeal szepcze jego imię.

Okręt się zatrzymał, wiosła znieruchomiały w przejrzystej wodzie. Wioślarze na próżno wyteżali siły. Patrzyłam na Hiacynta w milczeniu, ze Świętym Imieniem w gardle.

On patrzył na mnie, niedające się nazwać kolory zmieniały się w jego przepaścistych oczach, gdzieś w głębi kryła się nadzieja przemieszana ze strachem, niewyraźna jak rozfalowane odbicie świątyni.

– Przybyłaś – powiedział w końcu, a jego głos brzmiał dziwnie i niezwykle, zupełnie inaczej niż w moich snach. – W morskim zwierciadle w świątyni widziałem, jak podnosicie żagle.

– Tak. – Przełknęłam ślinę. – Hiacyncie, mam klucz.

Strach i nadzieja wypłynęły z głębi i w obliczu Pana Cieśniny dostrzegłam twarz chłopca, którego pokochałam. Pochylił głowę, żeby to ukryć, przycisnął palce do skroni.

– Starszy Bracie! – Kwintyliusz Rouse podszedł do relingu, używając tradycyjnego tytułu, jaki żeglarze nadali Panu Cieśniny. – Jestem tutaj w imieniu Jej Wysokości królowej Ysandry de la Courcel, Cyganie. Czy stałeś się zbyt dumny, żeby wpuścić na brzeg starych przyjaciół? Przybyliśmy, by przełamać twoją klątwę.

– Panie admirale – Hiacynt uniósł głowę, krzywiąc usta w uśmiechu – wybacz mi brak ogłady. Miło cię znowu widzieć. Pani... pani Sibeal.
– Patrzył na nią przez chwilę i nie wiem, co sobie przekazali w tym spojrzeniu. – I ciebie, kasjelito.

– Cyganie. – Joscelin uklonił się, krzyżując ramiona. – Cygański królu.

Hiacynt znieruchomiał, dostrzegając Kristofa.

– Dlaczego go zabrałaś?

– Cyganie czekają na twój powrót, Księżę Podróżnych – odparłam. –

Kristof, syn Oszkara, przybył tu w ich imieniu. Eleazar ben Enoch reprezentuje Jezuitów, którzy szukają Imienia Boga. Czy pozwolisz nam wyjść na brzeg?

Po chwili pokręcił głową, zgodnie z moimi przewidywaniami.

– Nie mogę, Fedro. Nie śmiem. – Głos mu złagodniał. – To zbudziłoby klątwę.

– A my ją przełamamy – oświadczyłam pewnie. – Po to przybyliśmy.

– Nie. – Jego rysy stwardniały. – Nie można.

– W takim razie będziesz musiał nam przeszkodzić.

Coś się poruszyło w głębiach jego oczu.

– Widziałaś, co stało się wcześniej.

Skinęłam głową.

– Rahab albo jego objawienie. Hiacyncie, nie ma innego wyjścia. Rahab musi się objawić, żebym mogła go wypędzić. Spróbuję go wezwać, jeśli ty spróbujesz przejść po morzu. Czy się odważysz?

Jego uśmiech był zabarwiony goryczą.

– Postawiłbym życie, żeby przerwać tę klątwę, ale nie narażę niewinnych. Wezwij go, jeśli myślisz, że zdołasz.

– Niech tak będzie.

Odwróciłam się w stronę Imriela i kazałam mu przynieść ze schowka skrzynkę z pismami. Wszyscy na pokładzie statku stali w milczeniu, patrząc i czekając.

Hiacynt ściągnął brwi, ciemne tęczęwki powiększały się i zmniejszały.

– Syn Melisandy?

– Teraz nasz. – Spojrzałam na Joscelina, który uśmiechał się łagodnie.

Imriel wrócił z kuferkiem z nawoskowanej skóry, zawierającym pergaminy, pióra i atrament. Ti-Filip odwiązał pustą baryłkę po wodzie i przytoczył ją bez pytania, żebym miała na czym pisać. Otworzyłam kuferek i sprawdziłam ostrość pióra, starając się

opróżnić umysł. Odkorkowałam kałamarz i zanurzyłam pióro, napisałam na dziewiczym kawałku pergaminu akrostych, który znalazłam w zakazanym traktacie Eleazara.

RAHAB

ABARA

HABAH

ARABA

BAHAR

Skończyłam. Imię Rahaba ograniczało krzyżowy palindrom Habah – Hu Habah, Ten, Który Nastanie, jedno z tajemnych imion Masziacha. Drżącymi palcami odłożyłam pióro, zakorkowałam kałamarz, ukloniłam się czterem stronom świata, uznając zwierzchnictwo Boga Jedynego.

– Wzywam cię, Rahabie – zaintonowałam zakłęcie w habiru. – Na Ukryte Imię Masziacha wzywam ciebie, Rahabie, który jesteś Władcą Głębiny. Masz przybyć i odpowiedzieć, albowiem wszystkie duchy podlegają Jeszui ben Josefowi, albowiem wszystkie duchy firmamentu i eteru, na ziemi i pod ziemią, na suchym lądzie i w wodzie, wirujące w powietrzu czy w ogniu muszą być posłuszne woli Adonai. – Przechyliłam się nad relingiem i rzuciłam pergamin na wodę. – Rahabie, wzywam cię!

W głębinach zatoki coś się poruszyło. Okręt zadrżał.

– Teraz, Cyganie! – krzyknął Joscelin.

Hiacynt spróbował, jak wcześniej. Ufny, znękany, zrobił krok na wzburzoną wodę, nie lękając się głębi. I jak wcześniej, świat się obrócił. Otworzył się wir i coś poruszyło się w głębi, coś jasnego, lśniącego i straszego. Przymykając powieki, zobaczyłam, że woda podnosi się niczym ogromne zielone skrzydło z pianą na skrajach, odsłaniając wybałuszone oko. Otworzyłam usta z Imieniem Boga na czubku języka. Zostało tam, unieruchomione jak wiosła i napięte, gdy objawienie balansowało na skraju zaistnienia. Nagle okręt skoczył niczym narowisty wierzchowiec, wznosząc się na fali; upadłam na

kolana i przygryzłam język, czując smak krwi. Skądś dochodziły krzyki marynarzy, którzy próbowali podnieść „Obietnicę Elui” z przechyłu.

Chwila przeminęła, wezwanie zawiodło. Na brzegu wyspy zgięty wpół Hiacynt dyszał ciężko, z każdym oddechem krzywiąc się z bólu.

– Nie... tak... łatwo... – wysapał z trudem, prostując się.

Sibeal na dziobie okrętu zapłakała.

Niech więc tak będzie.

– Przykro mi – powiedziałam do Eleazara ben Enocha. – Byłoby miło, gdyby się udało. – Zwróciłam się do Imriela: – Pamiętaj, co obiecałam, nie zostawiłabym cię, gdybym nie wierzyła, że wrócę. Z powagą pokiwał głową, rozumiejąc. Joscelin także zrozumiał i już biegł, żeby mi przeszkodzić. – Fedro, nie!

Położyłam rękę na relingu i wyskoczyłam za burtę. Widziałam, jak Joscelin wyciąga ręce, próbując złapać spódnicę i zatrzymać mnie w locie ku falom.

Za późno.

Skoczyłam.

DZIEWIĘCDZIESIĄT SZEŚĆ

Potężny podmuch wiatru pochwycił mnie i nie puścił.

Wisiałam w powietrzu, miotana przez wichurę, moje włosy wiły się niczym gniazdo wściekłych żmij, spódnice trzaskały na wietrze. Oczy zasły mi łzami pod wpływem siły wiatru, który wyrywał oddech z ust.

W ryku wichru za plecami usłyszałam krzyki trwogi, trzeszczenie okrętu, śpiew napiętych lin, gdy żagle łopotały i wydymały się w porywach.

Pode mną stał Hiacynt z rozpostartymi rękami. Straszna, mordercza moc Pana Cieśniny odmieniła jego rysy i nie było w nim nic, do czego mogłabym przemówić.

Jak wielka pięść, wiatr zaczął nieść mnie z powrotem do statku.

– Idiota! – wrzasnęłam, słowo zaginęło w huku powietrznego wiru Pan Cieśniny czy nie, jego głos nawiedzał moje sny. – Puść mnie! Mam klucz! Daj mi szansę go użyć!

Niedowierzenie odmalowało się w jego nieludzkich oczach. Jakimś sposobem w ryku własnych żywiołów usłyszał moje krzyki.

– Jesteś pewna?

Słowa dobiegały zewsząd, jakby przemówił sam wiatr. Roześmiałam się. Ile razy pytałam Imriela o to samo? Teraz pytanie wróciło do mnie.

– Tak – powiedziałam w środku wiru z nadzieją, że Hiacynt usłyszy.
– Jestem pewna.

Jego ręce i usta poruszyły się, wiatr ucichł.

Spadłam na skalisty cypel jak kamień, na ręce i kolana, oszołomiona siłą uderzenia.

– Cyganie!

Przepełniony furją głos Joscelina był pierwszym, co usłyszałam, gdy wiatr ucichł. Odwróciłam głowę i zobaczyłam, że przełazi przez reling, gotując się do skoku, wyrrywając się z rąk próbujących zatrzymać go towarzyszy. Pas wody się poszerzył, okręt został odepchnięty kilka jardów od brzegu.

– Joscelinie, nie! – krzyknęłam, zrywając się z ziemi. Patrzył na mnie dzikim, zrozpaczonym wzrokiem, z włosami zwichrzonymi przez wiatr. – Nie rób tego – poprosiłam. – Tylko ja musiałam wyjść na hrzeg. Tylko ja. Jeśli się mylę... nie ma potrzeby narażać nikogo innego.

– Wiedziałaś. – Palce zbieleły na relingu, jego twarz skamieniała. – Zaplanowałaś to.

– Przypuszczałam, że może do tego dojść – przyznałam cicho. – Nic więcej.

– Joscelinie, Joscelinie! – Imriel złapał go za rękaw. – Nie – wydukał łamiącym się ze strachu głosem. – Proszę, nie. Nie oboje. Obiecałeś.

Była to chwila pełna napięcia. Kwintyliusz Rouse patrzył z gniewnym zatroskaniem, inni z mieszaniną strachu i zaciekawienia. Ti-Filip i Hugues stali w pobliżu Joscelina, gotowi go zatrzymać, gdyby zaszła tak potrzeba. Nie mieliby większych szans, gdyby chciał skoczyć, ale prośba Imriela przemówiła mu do rozumu. Westchnął, pokonany, i oparł się o reling.

– Rób, co chcesz – mruknął – i niech to się wreszcie skończy.

Dopiero wtedy w pełni zrozumiałam, że stoję na skale Trzeciej Siostry, wyspy Pana Cieśniny. Podniosłam wzrok i napotkałam spojrzenie Hiacynta, który stał krok ode mnie.

– Fedro – szepnął.

Zarzuciłam mu ręce na szyję i zalałam się łzami. Czuł to samo. Niezależnie od tego, jakie zmiany spowodowało w nim długie

cierpienie i jakimi władał mocami, wciąż był Hiacyntem, moim przyjacielem z dzieciństwa, moim Księciem Podróżnych. Zapach jego skóry wyzwolił więcej wspomnień, niż mogłabym zliczyć. Przed Joscelinem, przed królową, przed Thelesis de Mornay, przed Cecylią Laveau-Perrin, przed samym panem Delaunayem... przed nimi wszystkimi poznałam Hiacynta.

– Fedro – powtórzył, oddychając urywanie, trzymając mnie mocno.

– Powiedziałaś, że jesteś pewna. Powiedziałaś, że jesteś pewna!

Uniosłam mokrą od łez twarz.

– Jestem, Hiacyncie, bardziej pewna być nie mogę. Nie chciałam narażać nikogo z nas. Czy ja miałam to zrobić, skoro tylko ja jestem tutaj potrzebna?

Jego uśmiech był cieniem dawnego uśmiechu, gdy mnie puścił.

– Jesteś okropnie uparta jak na *anguisette*. Choroba we krwi, mawiała moja matka.

Zaśmiałam się przez łzy.

– Pamiętam.

Hiacynt zadrżał i położył ręce na moich ramionach.

– Wiesz, że muszę spytać?

Pokiwałam głową.

– Co jest potrzebne, żeby przerwać klątwę? Wiem. Ja zajmę twoje miejsce.

– Mogłbym spytać o więcej.

– Czy muszę to mówić? – Grzbietem ręki wytarłam łzy i zapanowałam pad głosem. – Znam źródło twojej mocy, są nim stronice *Sepher Raziel*, Zaginionej Księgi Razjela, które Rahab wydobył z głębin. Wiem, że Rahab pokochał D'Angelinę, która go nie kochała, i stąd zrodziła się plątwa. Czy chcesz usłyszeć więcej? Wiem więcej. Mogę ci opowiedzieć o samym Rahabie i jak wcześniej został ukarany, gdy nie rozdzielił mórz na rozkaz Boga Jedynego. Klątwa się dopełniła, Hiacyncie. Jesteś od niej wolny.

– Księga. – Spojrzał na schody. – Nie powinienem jej zostawiać.

– Zatem chodźmy po nią.

Hiacynt skinął głową i przeszedł na koniec cypla, żeby przemówić do ludzi na statku. Tuziny twarzy spoglądały znad relingu.

– Admirale Rouse – powiedział głosem, który rozbrzmiewał echem dochodząc z zewsząd i znikąd. – Pójdziemy teraz po cenny przedmiot. Wrócimy i jeszcze raz spróbujemy przeprawy. Wybacz mi, ale muszę dopilnować, żeby nikt inny nie wysiadł na ten przeklęty brzeg.

Dmuchnął i pchnął delikatnie rękami, szepcząc niesłyszalne słowa, trzema palcami rysując kółko w powietrzu. Fala zniosła okręt na środek zatoki, a tam wokół niego powstał zielonkawy, przejrzysty wir, ściana wody krążąca razem z rybami.

Słyszałam okrzyki strachu i konsternacji. Nawet z daleka widziałam, co robią ludzie na pokładzie. Kwintyliusz Rouse rozkazywał marynarzom, którzy zakładali sztormowe żagle, przygotowując się na najgorsze. Sibeal wciąż stała na dziobie, kurczowo czepiając się nadziei. Eleazar spoglądał to tu, to tam, zachwycony cudem. Joscelin stał z rękami założonymi na piersi, nie kryjąc poczucia zdrady. A Imri... Imri wychylał się nad relingiem i wyciągał rękę, żeby dotknąć jednej z krążących ryb, podczas gdy Hugues i Ti-Filip trzymali go za nogi.

Nie boi się, pomyślałam. Ach, Imrielu! Błogosławiony Eluo, dzięki ci za tę łaskę.

– Syn Melisandy! – Hiacynt pokręcił głową. – Zaglądałem do morskiego zwierciadła i sięgałem wzrokiem tak daleko, jak mogłem, ale gdy opuściłaś wody oblewające Terre d'Ange, nie mogłem nic zobaczyć. Władza Pana Cieśniny ma swoje granice.

– A *dromonde*?

Milczał przez chwilę, wchodząc na niekończące się schody.

– Patrzyłem – odparł w połowie drogi. – Ostatni raz ośmieliłem się spojrzeć przed rokiem. Zobaczyłem ciemność tak gęstą, że bałem się spojrzeć znowu.

– Daršanga – powiedziałam. – Byliśmy wtedy w Daršandze.

Hiacynt skłonił głowę.

– Przeżyłaś. Przez długi czas nie byłem pewien. Po tym, co widziałem, postanowiłem zawierzyć zwyczajnej nadziei zamiast *dromonde*. Kilka miesięcy temu pojawiłaś się w morskim zwierciadle, lecz niewiele mogłem zrozumieć.

– Wróciliśmy do domu. To długa historia.

– Tak sędzę. – Hiacynt podjął wspinaczkę, wlokąc za sobą płaszcz w nieokreślonym kolorze.

Sapałam, mięśnie mi drżały z wysiłku. Zapomniałam, jakie długie i strome są schody prowadzące na szczyt. Szłam na ostatnich nogach, gdy wreszcie dotarliśmy do otwartej świątyni.

Nie zmieniła się w czasie jego urzędowania, posadzka z białego marmuru, marmurowe kolumny sięgające ku niebu niczym pozostająca bez odpowiedzi modlitwa. Daleko w dole okręt „Obietnica Elui” wyglądał jak dziecięca zabawka, unosząc się w wodnym pierścieniu. Pośrodku świątyni stała na trójnogu wielka misa z brązu – Hiacynt nazywał ją morskim zwierciadłem. Dwie osoby w długich szatach ukłoniły się Panu Cieśniny.

– Tilianie, Gildasie – powiedział Hiacynt. – Pamiętacie Fedrę nó Delaunay.

Ja ich pamiętałam. Gildas, starszy, miał białe włosy, kiedy go poznałam; teraz był bardzo sędziwy. Podszedł, wyciągając drżącą szponiastą rękę.

– Ty się zgodziłaś – powiedział w języku znanym już tylko z najstarszych dworskich ballad. – Zgodziłaś się złożyć ofiarę, piękna pani.

– Niezupełnie. – Ujęłam jego dłoń. Kości zdawały się ptasie, obciążone pergaminową skórą. – Przybyłam przełamać klątwę, panie Gildasie. Twoja długa służba dobiegła końca.

Zabrał rękę z tłumionym szlochem. Hiacynt tylko patrzył. Tilian, młodszy, ukłonił się.

– Czy mam zmienić wodę w misie przed zachodem słońca, panie? –

zapytał.

– Słyszałeś, co powiedziała Fedra – odparł Hiacynt. – Tak czy inaczej, nastąpi koniec. Niczego już nie potrzebuję.

Zostali, patrząc za nami z konsternacją. Hiacynt prowadził mnie do schodów samotnej wieży, która przez długi czas była jego domem. Wznosiła się, szara i kamienna, na skale Trzeciej Siostry, okna w wykuszach lśniły w słońcu – różowoczerwone, bursztynowe, szmaragdowe, Kobaltowe jak oczy Imriela. Patrzyłam na nie, jak za pierwszym razem. Hiacynt nie zwracał uwagi. To było jego więzienie, znajome mu niczym własna skóra.

Zapomniałam, ilu ludzi usługiwało Panu Cieśniny. Kłaniali się nisko i spoglądali na mnie z ciekawością w oczach, gdy szliśmy po kręconych schodach we wnętrzu wieży. Jego służby, jego dozorczy. Byli dla nas mili, dawno temu. Teraz traktowali go z mieszaniną szacunku i strachu.

Wspięliśmy się na sam szczyt, na poziom niewidoczny z dołu. Była tam komnata nie z kolorowymi szybkami, ale z oknami otwartymi na niebo, spoglądającymi na morze we wszystkich kierunkach. Zawierała nieprzebrane skarby wydobyte z głębin – złocony hełm inkrustowany koralem, pstre jajo wielkości noworodka, marmurowego sfinksa, harfę bez strun z kości szczęki wieloryba – mnóstwo dziwnych, cudownych przedmiotów, przeżartych przez sól i starożytnych. Hiacynt stanął pośrodku pokoju i rozejrzał się.

– Tutaj mnie uczył – rzekł cicho. – Tutaj stałem się tym, kim jestem. Nie był zły, tylko zrozpaczony i spętany więzami, które nie były jego dziełem.

– Wiem – szepnęłam.

– To dziwne. – Hiacynt odwrócił się w stronę regału z książkami. Przewertował kartki, stronice niewyobrażalnej mocy. – Nigdy tak naprawdę nie miałem ojca. Przez krótki czas w Hippochampie myślałem, że Manoj mnie uzna. Ale... – Wzruszył ramionami. – Było *dromonde*. W końcu trafiłem tutaj. On stał się dla mnie kimś w

rodzaju ojca.

Patrzyłam, jak owija kartki w ceratę i wkłada do staroświeckiego skórzanego kuferka opasanego taśmami z brązu.

– Przykro ci stąd odchodzić?

– Nie. – Zamknął walizkę i popatrzył na mnie, z trudem przełykając ślinę. – Tak. – Usiadł na niskim stołku z kości słoniowej, pochodzącym z czasów cesarstwa tyberyjskiego. – To był długi czas, Fedro. Z początku myślałem, że może mógłbym zmienić tę rolę, to miejsce... wprowadzić tu trochę światła i wesołości, mojego charakteru, nie jego. – Pokręcił głową. – Myliłem się. Było zbyt ciężko, zbyt długo, zbyt samotnie. A władza... izoluje. To ja się zmieniłem. A teraz? – Zaśmiał się gorzko. – Stałem się taki jak on. Ja, Hiacynt, który w Progu Nocy miał stajnię do wynajęcia i przepowiadał przyszłość pijanym paniczom! Kto by w to uwierzył? Stałem się Panem Cieśniny i nie umiem być nikim innym.

– Emil wciąż ma stajnię – powiedziałam, klękając i biorąc go za rękę. – I kamienicę twojej matki, i znacznie więcej. Całkiem dobrze mu się powodzi.

– Wiem. – Jego palce poruszyły się w moich dłoniach. – Widziałem w morskim zwierciadle. Wiesz, że nie mogę do tego wrócić, Fedro.

– Cyganie nazwali cię...

– Królem. – Skrzywił usta. – Pół krwi *didikani*, wyrzucony z powodu *dromonde*. Pozwolili, by Manoj mnie wypędził, pozwolili, by moja matka żyła i zmarła jako *vrajna*, splamiona utratą czci, choć nie ona ponosiła winę. Czy myślisz, że obwołaliby mnie królem, gdyby nie podziwiali mojej władzy?

– Może i nie – odparłam spokojnie. – Dziwisz im się? Przez tysiące lat sami byli wyrzutkami, chyba nie zapomniałeś. Nawet w Terre d'Ange są ledwo tolerowani i czasami spotykają się z pogardą, wciąż wędrują i sami muszą się bronić. Są gotowi się zmienić, dla ciebie. Już dziś *didikani* cieszą się większym poważaniem niż kiedyś. Pod twoim przewodem prawa, które skazały twoją matkę, które ciebie uczyniły

wyrzutkiem, mogą ulec zmianie.

Hiacynt zabrał ręce i ukrył w nich twarz.

– To za wiele – powiedział stłumionym głosem. – Znasz obowiązki Pana Cieśniny. Przez osiemset lat chroniliśmy Albę i Terre d’Ange. Tak. – Uniósł głowę, patrząc nieziemskimi oczami. – Chroniliśmy! Choć oba kraje były rozdzielone, ochranialiśmy was! Nawet teraz żaden skaldyjski statek nie pożegluje na północ bez mojego zezwolenia, żaden aragoński czy kartagiński nie przypłynie z południa. Czy myślisz, że moje obowiązki się skończą, gdy klątwa zostanie przerwana? Nie, Fedro. Będę je wypełniać do końca życia, bo to jest konieczne. Czy przypuszczasz, że mogę panować na morzu i jednocześnie przewodzić Cyganom?

– Nie. – Struchlałam, przeszyta jego spojrzeniem, ale szybko wzięłam się w garść. – Czy dlatego boisz się opuścić wyspę?

Odwrócił wzrok.

– Kto mówi, że się boję?

Odpowiedziałam pytaniem:

– Boisz się Rahaba czy powrotu do świata?

Za oknami wieży krążyły unoszone na wietrze mewy. Hiacynt patrzył na nie.

– Jedno i drugie – przyznał w końcu. – Och, Fedro! Chcę tego, chcę tak bardzo, że czuję smak pragnienia, marzę o tym. Widzę w lustrze moją starzejącą się twarz i nie myślę o niczym innym. Ale śmiertelnie się boję. – Popatrzył na mnie. – Zawiodłem. Przestraszyłem się. Wezwanie spełniłoby swoją rolę, gdybym się nie bał?

– Nie wiem. – Przysiadłam na piętach i patrzyłam na niego. – Tym razem się uda. Klątwa jest teraz moja.

– Co się stanie, jeśli ty zawiedziesz?

Chciałam się roześmiać, lecz śmiech uwiązł mi w gardle.

– Pewnie zostanę twoim uczniem.

– A ja umrę, podczas gdy ty będziesz się wiecznie starzeć. – W czarnych oczach Hiacynta błysnęły łzy, łzy śmiertelnika. – Nie

powinienem był wpuszczać cię na brzeg.

Złożyłam dłonie, żeby ukryć ich drżenie.

– Nie zawiodę.

Uśmiechnął się ze smutkiem.

– Możesz być tego pewna?

– Nie. – Staralam się panować nad głosem. – Ale wszyscy, których oprócz ciebie kocham najbardziej w świecie, są na okręcie pośrodku zatoki. I ja nie miałam dwunastu lat, żeby o tym zapomnieć. Co jest ceną, Hiacyncie, za stąpanie przed siebie, póki Rahab się nie objawi? Ból? Strach? Jestem *anguisette*. Urodziłam się do znoszenia bólu i strachu.

Hiacynt pokręcił głową.

– Ty nigdy się nie poddajesz, prawda?

– W każdym razie nie teraz. – Podniosłam się i wyciągnęłam do niego rękę. – Chodź, Panie Cieśniny. Czeka na nas statek pełen niespokojnych ludzi, pragnących wiedzieć, czy ujdą stąd z życiem. Niech się dowiedzą. Później będziesz się martwić, co zrobić z Cyganami. – Pomogłam mu wstać, a gdy odwróciłam się do wyjścia, zobaczyłam swoją twarz w brązowym zwierciadle. Stałam w pół kroku. Wiatr, który mnie unosił, przemienił moje włosy w kłębowisko węzowych splotów. Z irytacją podniosłam rękę, bezskutecznie próbując rozsypać potargane loki. – Na Eluę! Hiacyncie, patrz, co zrobiłeś z moimi włosami!

– Myślisz, że to będzie ważne dla Rahaba? – zapytał Hiacynt. Spiorunowałam go wzrokiem i zobaczyłam, że szczyty zębów w dawnym uśmiechu, niespodziewanym, upragnionym jak światło w ciemnicy, nieodpartym, wesołym i białym na tle śniadej skóry. Roześmiał się z mojej złości, zrobił unik przed dobrze wymierzonym ciosem i złapał mnie w ramiona. – Ach, Fedro! Ani trochę się nie zmieniłaś.

– Ty też nie – szepnęłam, składając głowę na jego piersi. – Nie naprawdę, nie wewnątrz. Wciąż cię znam, Hiacyncie.

Staliśmy tak przez długą chwilę.

– Dałaś mi dar – powiedział, grzejąc oddechem moje rozczochrane włosy. – Tamtej ostatniej nocy na wyspie, zanim zostawiłaś mnie samego... – Skrzywił usta w uśmiechu. – Dałaś mi piękne wspomnienia. Czasami tylko one trzymały mnie przy zdrowych zmysłach.

– To nie był dar – wymruczałam. – To też pamiętam.

– Fedro. – Hiacynt ujął moją twarz w dłonie. – Będzie mi ciebie brakowało.

Spojrzałam w jego ciemne, zmienne jak morze oczy i nie mogłam udawać, że wcale się nie zmienił.

– Odejdiesz z Sibeal.

Pokiwał głową.

– Widywała w snach, jaki się staję. A ja ją obserwowałem w morskim zwierciadle. Rozumieliśmy się od początku, Fedro, córki Necthany i ja. Sibeal nie jest tobą, ale jest kimś, kogo mógłbym kochać. A ty... na ciebie też patrzyłem.

– Joscelin – powiedziałam.

– Joscelin, – Miał smutny uśmiech. – Przeklęty kasjelita, tak. Widziałem to już w Albie, mówiłem ci. Elua musiał się śmiać, gdy wiązał wasze serca. Moja moc, niezależnie jak wielka, jest niczym w porównaniu z potęgą miłości. Nie zerwę tej więzi.

– Więc to pożegnanie?

– Pożegnanie Królowej Kurtyzan i Księcia Podróżnych. – Hiacynt obrysował palcem moje lewe oko, to trafione przez Strzałę. – W końcu nią zostałam, prawda? A ja... ja będę musiał się przychylić do prośby Cyganów. Nie mogę wprowadzić władac nimi jako *kralis*, ale będę miał coś do powiedzenia w sprawie wyboru następcy i przyszłości naszego ludu. Tyle muszę zrobić.

– Zatem to pożegnanie.

– Może. – Coś poruszyło się w głębiach jego morskich oczu, dostrzegłam dawną wesołość Hiacynta i moc Pana Cieśniny. – Jeśli

zdarzy się, że za rok albo za trzy nocny wiatr zawoła moim głosem twoje imię, Fedro nó Delaunay, czy odpowiesz?

Zarzuciłam mu ręce na szyję i pocałowałam go mocno w odpowiedzi.

W pocałunku, znajomym i obcym zarazem, czułam smak dzieciństwa utraconego przez niechcianego bękarta dziwki, wychowanego przez niechętny Dwór Nocy, po raz pierwszy znajdującego przyjaźń. Była w nim cała nasza historia, tarapaty i psoty, obopólne zaufanie i mroczniejsze cienie dorosłości – bitwa pod Bryn Gorrydum, gdzie poznałam uzdrowicielski aspekt sztuk Naamy, i późniejsze poświęcenie się Hiacynta na tej wyspie. Czułam smak dziwności, jaka stała się nieodłącznym elementem jego życia, i obcej wiedzy o żywiołach, słonym przyborze wody morskiej, głębokich prądach, kłębiących się chmurach, widlastej sile błyskawicy, czystej muzyce rozpętanych wiatrów.

– Myliłem się. – Hiacynt zaśmiał się głośno, serdecznie i radośnie, jego czarne oczy tańczyły. – Zmieniłaś się. Czy to przez Imię Boga?

– Tak – odparłam i pocałowałam go znowu.

Jego uśmiech wyrażał czystą złośliwość dawnego Hiacynta.

– A co sądzi o tym Melisanda Szachrizaj?

Może się domyślił, był przecież Panem Cieśniny, wtajemniczonym w arkana wiedzy; był także synem Anastazji i miał dar *dromonde*. Ale odgadł prawdopodobnie dlatego, że był Hiacyntem i znał mnie dłużej niż ktokolwiek inny.

– Och, zamknij się. – Roześmiałam się, wsuwając ręce w czarne kędziory i przyciągając jego głowę. – Próbuję się z tobą pożegnać.

Tym razem mnie posłuchał.

Nie wyszliśmy poza pocałunek, milczącą obietnicę, gorzko-słodkie pożegnanie. Nie żałowałabym, gdyby wynikło coś więcej. Może tak by się stało, kiedy byliśmy młodszy, ale teraz zbyt wiele rzeczy wchodziło w rachubę i zbyt mocno byliśmy ich świadomi. Puściłam go i patrzyłam, jak znów spowity poważną aurą mocy podnosi kuferek ze

stronicami z Zaginionej Księgi Razjela.

– Nic innego nie chcesz zabrać? – zapytałam, rozglądając się po komnacie.

– Nie. – Pokręcił głową. – Niech wezmą to sobie wyspiarze z Trzech Sióstr, jeśli chcą. Równie długo jak on czy ja cierpieli z powodu klątwy. – Zawahał się. – Czy ty czegoś pragniesz, Fedro? To wielki skarb, możesz wziąć, co tylko chcesz.

– Tylko z biblioteki – odparłam, wspominając, ile godzin spędziłam w tej wieży, czytając helleńskie dzieła od dawien dawna uznane za zaginione. – Są w niej zapomniane historie. Chciałabym przywrócić je światu.

– Zapomniane historie. – Uśmiechnął się. – Będą twoje, jeśli przeżyjemy. Rozkażę, żeby tak się stało. Jesteś gotowa?

– A ty? – Uważnie przyjrzałam się jego twarzy.

– Tak. – Złapał mnie za rękę i ścisnął mocno, kolory zmieniały się w jego oczach niczym nocne morze, gdy chmura przesłania księżyc. – Wytrwam, jeśli ty nie zawiedziesz.

Miał władzę nad falami i wiatrem.

Pan Cieśniny się bał.

– Nie zawiodę – obiecałam i modliłam się, żeby to była prawda.

DZIEWIĘDZIESIĄT SIEDEM

Hiacynt wezwał mieszkańców wyspy, którzy stawili się w sali na dole. Tłoczyli się tam kucharze, pomywaczki, lokaje, praczki, słudzy wszelkiego rodzaju, którzy od niezliczonych pokoleń spędzali życie na wykonywaniu poleceń Pana Cieśniny, dbając o wieżę, dostarczając żywność, czyszcząc i odnawiając skarby wyniesione z dna morza.

Szeptali między sobą w archaicznym d'Angelińskim dialekcie, zapomnianym na lądzie od ośmiuset lat, i rzucali pełne strachu spojrzenia na Hiacynta, gdy stał na kręconych schodach nad nimi, czekając. Sędziwy Gildas i Tilian, który także nie był już młody, byli wśród nich; codziennie odbywali znojną wędrówkę po kamiennych schodach, żeby o wschodzie i zachodzie słońca napełnić misę morskiego zwierciadła. Przez ile lat? Można by sądzić, że będą się cieszyć z wolności, ale wyglądali na przerażonych.

– Moi drodzy – choć Hiacynt przemówił cicho, głos wypełnił całą wieżę – tego dnia zamierzam przełamać *geis* i opuścić wyspę. Jeśli nam się uda, już tu nie wrócę. Wiedźcie, że wszystkie rzeczy w tej wieży należą do was, wyjąwszy bibliotekę, która jest przeznaczona dla Fedry nó Delaunay z Montrčve. Wygnanie było dla mnie gorzkie, wy jednak służyliście mi długo i dobrze, i jestem wam za to wdzięczny. Dziękuję.

– Jasny panie! – zawołał zdławionym głosem stary Gildas. – Przecież będziesz potrzebował morskiego zwierciadła... tak, i sług do napełniania!

– Nie, Gildasie. – Hiacynt pokręcił głową. – Zostało wykute na

Trzeciej Siostrze i nie otworzy swego dalekowzrocznego oka nigdzie indziej w świecie. Muszę zbudować nowe zwierciadło w innym miejscu, z którego będzie mogło patrzeć. Niech pozostanie tutaj, na pamiątkę.

– Panie, co teraz mamy zrobić?! – zawołał ktoś, zapoczątkowując grad niespokojnych dociekań. – Co się z nami stanie? Co mamy robić? – Pytania odbijały się od kamiennych ścian wieży, unoszone na skrzydłach lęku.

Czoło Hiacynta pociemniało, sztormowe chmury zebrały się w oczach.

– Życ! – Słowo zagrzmiało niczym uderzenie gromu, uciszając ich w jednej chwili. Zadrzałam, czując płynące z niego fale mocy, powietrze pachnące jak po uderzeniu pioruna. – Życ – powtórzył spokojniej budzącym echa głosem. – Życ wolnymi od tej klątwy, łowić ryby i polować, siać zboże i hodować bydło. Zbudujcie łodzie i popłyńcie na ląd, handlujcie i mnożcie majątek. Twórzcie muzykę, piszcie wiersze, tańczcie. Odnajdźcie się w miłości, traćcie jeden drugiego w smutku. Żyjcie.

Nikt się nie odezwał, gdy zszedł ze schodów. Rozstąpili się, robiąc mu przejście. Widziałam, jak śledzą go wzrokiem – przestraszeni, kalkulujący, ożywieni i zagubieni. Nikt nie powiedział słowa, gdy szliśmy do drzwi.

– Panie! – zawołał za nami Tilian, śmiało i wyzywająco. – A jeśli zawiedziesz, panie? To nie tajemnica, że już próbowałeś, nawet dzisiejszego dnia. My, którzy ci służyliśmy przez długie lata, znamy prawdę. Czemu miałoby ci się powieść tym razem?

Hiacynt odwrócił się i patrzył długo, aż Tilian pobladł.

– Ponieważ tym razem nie jestem sam – odparł. – Długi czas służyłeś mocy, Tilianie, i zaczęłeś rozkoszować się jej smakiem. Posłuchaj mnie teraz: nie módl się o moją klęskę. Ponieważ tym razem Rahab objawi się w całej swojej potędze i odwiecznym gniewie, a moja moc w porównaniu z jego mocą jest jak wiadro wody w

oceanie. Jeśli poniesiemy porażkę, jego gniew może podnieść morza i zatopić Trzy Siostry. Kiedy ryby będą skubać twoje ciało, a kraby pomykać wśród kości, nie będziesz musiał się martwić, jak żyć bez Pana Cieśniny.

Nie padły dalsze protesty.

Zaczekałam, aż wyjdziemy na zewnątrz i jasne słońce przepędzi chłód z mojego ciała. Dopiero wtedy spytałam, czy wierzy w swoje słowa.

– Tak – odparł krótko. – Jak myślisz, dlaczego się boję?

Tak, w moich rękach spoczywało życie setek niewinnych ludzi. Uniosłam spódnicę, skupiając się na schodzeniu po długich schodach. Mój oddech stawał się płytki i wytężony – nie z wysiłku tym razem, ale ze strachu. Pod nami „Obietnica Elui” kołysała się na kotwicy w środku okiełznanego wiru, unosząc ładunek zbyt cenny, żeby go opisać słowami.

Byłoby lepiej, pomyślałam, gdyby stąd odpłynęli.

– Możesz ich odesłać? – zapytałam.

– Poza zasięg Rahaba? – Skrzywił usta. – Na morzach nie ma takiego miejsca.

– W takim razie z widoku. Z pewnością tak będzie bezpieczniej.

Dotarliśmy do cypla. Hiacynt spojrział na okręt, potem na mnie, przekładając kuferek ze stronicami Księgi Razjela.

– Możliwe. Nie podziękują ci za to.

– Wiem. Zrób to.

– Kwintyliusz Rousse! – Głos Hiacynta odbił się echem od ścian urwiska, płynąc ponad zatoką. – Podnieś kotwicę! Odpłyniecie poza spojrzenie Rahaba!

Usłyszałam krzyki protestu i oburzenia. Biedny Eleazar, pomyślałam, przebył całą tę drogę, żeby usłyszeć Imię Boga, a teraz go odsyłałam. Tak jednak było lepiej. Nie chciałam nawet myśleć, co powie Joscelin.

– Jesteś pewna? – zapytał Hiacynt.

Skinęłam głową.

– Teraz, zanim opuści mnie odwaga.

Hiacynt pochylił się, położył kuferek na skale, potem wyszeptał zaklęcie, wydmuchując powietrze. Nagły, silny wiatr wypełnił sztormowe żagle „Obietnicy Elui”. Rousse zrozumiał ostrzeżenie; usłyszałam szcęk łańcucha, dwóch marynarzy podnosiło w szaleńczym tempie kotwicę. Żagle wydeły się z trzaskiem, gdy statek obrócił się dziobem w stronę wąskiego przesmyku. Hiacynt poruszył trzema palcami w przeciwnym kierunku i wir uspokoił się, rozpluwając w wodzie.

Zielony garb podniósł się przy cyplu. Hiacynt znów pchnął powietrze oburącz, mrużąc pod nosem niezrozumiałe dla mnie słowa. Nienaturalna fala ruszyła, nabierając prędkości, i podniosła okręt jak korek. Z wydętymi żaglami, podskakując na szczycie fali, „Obietnica Elui” wpłynęła do przesmyku i zniknęła za ścianą urwiska.

Odpłynęli.

Odrętwiała, siedziałam na cyplu.

– Joscelin będzie wściekły.

Hiacynt koncentrował się, oczy miał szeroko otwarte i matowe.

– Nie. Musi teraz myśleć o chłopcu. Zrozumie. – Zadowolony ze swoich wysiłków, podniósł kuferek.

Zatoka była pusta i spokojna, jak wtedy, gdy do niej weszliśmy. Małe postacie skupiły się na szczycie schodów poniżej świątyni, ale nie śmiały podejść bliżej. Byliśmy tylko my dwoje.

– Co teraz? – zapytał cicho Hiacynt. – Spróbujemy?

Wciąż siedząc, pokiwałam głową.

– Możesz sprawić, by woda utrzymała nas na powierzchni?

– Tak. – Usiadł obok mnie ze skrzyżowanymi nogami, trzymając kuferek w ramionach, dziwna figura w stuletnich aksamitach i koronkach, z twarzą z moich najwcześniejszych, najlepszych wspomnień i oczami niczym dno morza. – Chyba że zawiedziemy.

Było mniej strasznie, gdy okręt kotwiczył niedaleko brzegu.

Popatrzyłam na jasne niebo, wirujące mewy. Dzień dobry na początek, nie koniec.

– Nie zawiedziemy.

Uśmiechnął się lekko.

– Powiesz mi później, jak podróżowałaś przez ciemność i znalazłaś Imię Boga?

– Jeśli chcesz. – Nasze ramiona stykały się leciutko. Siadywaliśmy tak razem, jedząc kradzione ciastka pod mostem na Skrzyżowaniu Tersjusza w Mieście Elui. – Powiesz mi, jak to jest rządzić wiatrem i morzem?

– Tak. – Hiacynt patrzył na pustą zatokę. – Zwlekanie nie ma sensu, prawda?

Chciałabym, żeby było inaczej, teraz, gdy do tego doszło. Ale Hiacynt miał rację.

– Nie.

– W takim razie idziemy. – Wstał, wsuwając kuferek pod pachę, i teraz on pomógł mi się podnieść.

Trzymałam go za rękę, gdy szliśmy na skraj cypla. Woda pluskała na skałach, czysta, spokojna i zdecydowanie nie twarda. Hiacynt puścił moją rękę, żeby wypowiedzieć kolejne zaklęcie w nieznanym mi języku, zacisnął wolną rękę w pięść i otworzył dłoń.

Woda wciąż falowała łagodnie, dokładnie tak samo.

Oddech uwiązał mi w gardle. Nie przypuszczałam, że będę się bała zrobić pierwszy krok.

– Mówiłam ci, jak bliska byłam utonięcia u wybrzeża La Serenissimy?

– Fedro. – Hiacynt musnął mój policzek. – Jestem Panem Cieśniny i najlepsze lata młodości spędziłem w niewoli z powodu zemsty Rahaba za to, że od dawna martwa kobieta popełniła grzech, nie obdarzając go miłością. Jesteś moją najdroższą, jedyną nadzieją. Dopóki nie stracisz odwagi, nie pozwolę ci utonąć. Ufasz mi?

– Tak – szepnęłam. – Tak.

Zamknęłam oczy i weszłam na wodę.

DZIEWIĘDZIESIĄT OSIEM

Zrobienie tego pierwszego kroku było trudne, trudniejsze, niż sobie wyobrażałam. *Geis*, które wiązało mnie z wyspą, uderzyło jak pięść w chwili, gdy moje stopy oderwały się od skały, wyciskając mi powietrze z płuc, aż zgięłam się z bólu. Ziejąca pustka otworzyła się w wodzie przede mną, głęboka jak ocean, ciemna i wirująca, i sparaliżował mnie strach. A na dnie coś się poruszało, coś jasnego i straszego.

Opuściły mnie wszystkie dzielne słowa, które wypowiadałam.

Wyprostowałam się z trudem i zrobiłam następny krok.

Woda była wzburzona i nie mogłam zaakceptować myśli, że na niej stoję. Wokół mnie spokojna zatoka wrzała z wściekłości, wiatr smagał fale. Chciałam wrócić na wyspę tak bardzo, że aż bolało, i strach niczym nóż wwiercał się w mój brzuch.

Odwróciłam się wtedy i zobaczyłam Hiacynta stojącego na wodzie. Popielaty z grozy, przyciskał do siebie kuferek. Patrzył z bezsilną mocą w oczach. Trzymała go tylko jego obietnica.

Strach.

Ból.

Niech zatem się stanie. Stawiłam czoło jednemu i drugiemu, i pozwoliłam, by przepłynęły przeze mnie, aż wrażliwe nerwy zaśpiewały przenikliwie słodko, a niezrównane cierpienie zabarwiło odcieniem krwi wszystko, co miałam przed oczami. Jestem *anguisette*. Czymże to było w porównaniu z żelazną pałką Mahrkagira albo zabójczymi strzałkami Melisandy? Na pewno nie gorsze, bez dwóch zdań. Tylko ból, tylko strach.

Zrobiłam kolejny krok w szkarłatne opary.

Wir przede mną rozdziawił się niczym paszcza i migotliwa jasność przepędziła wpływ daru Kusziela, nie pozostawiając nic, co dodałoby mi odwagi. Widziałam Rahaba, lewiatana i boskiego posłańca z pism jesusuickich. Coś wezbrało, ogromne, pokryte łuskami i lśniące, zielone jak nefryt. Ból łamał mnie w kościach jak febra. Przygryzłam wargi i na drżących nogach zrobiłam następny krok. Wiatr ryczał mi w uszach, nie śmiałam się obejrzeć. Nie miało znaczenia, czy Hiacynt zawiódł – liczyło się tylko to, żebym ja nie zawiodła. Nie pozwoli mi utonąć.

„Dopóki ty nie zawiedziesz...”.

Następny krok.

Głębie wiru kotłowały się, chwilami widziałam coś zmiennego i nienazwanego, zrodzonego w krainie cieni. Macka, zmrużone oko, łuk grzywiastego karku, płetwy wieloryba, rzeźbiona łopata, potężne skrzydło... straszliwe piękno, bezpostaciowe i zmienne, większe niż można ogarnąć rozumem. Nie umiem powiedzieć, dlaczego, ale widok ten wstrząsnął mną do głębi duszy, przepełniając podziwem i zgrozą.

Zmuszałam nogi do ruchu, stawiając krok po drżącym kroku, zbliżając się do krawędzi ziejącej otchłani. I choć władza Hiacynta nad żywiołem słabła, choć fale szalały dokoła i wściekle biły o brzegi, choć wiatr mnie smagał i byłam przemoczona do suchej nitki, woda unosiła mój ciężar.

– Rahabie! – Mój głos nie był słyszalny. Wciągnęłam powietrze przesycone słoną wodą i zawołałam znowu w głąb wirującego dołu. – Rahabie, na więzi twojej własnej klątwy, wzywam cię!

Pomiędzy klifami pędził na skrzydłach burzy okręt „Obietnica Elui”, z wydętymi żaglami, szybując niczym pustułka na wietrze. Spojrzenie Rahaba sięgało dalej, niż przypuszczaliśmy. Usłyszałam, jak gdzieś za mną Hiacynt krzyknął ze strachu i wzburzona woda, po której stapałam, zrobiła się miękka. Miotana przez fale, straciłam równowagę, osunęłam się na kolana i opuściłam ręce, żeby się

podeprzeć... i ręce zanurzyły się po łokcie. Stroma ściana wiru nachylała się przede mną, grożąc wessaniem mnie w głęboką paszczę. Słona woda zalała mi twarz i walczyłam o oddech, przerażona, że zaraz utonę.

Jeśli zawrócę, wszystko będzie dobrze.

Jeśli zawrócę, moi ukochani będą bezpieczni.

Ach, Eluo! To było niesprawiedliwe. Chciałam zawrócić, pragnęłam tego bardziej niż czegokolwiek, co znałam. Bałam się o siebie, o Joscelina, o Imriela – o nas wszystkich. Ale każdy klient, pomyślałam, pragnie, bym podała *signale*. Tutaj jest tak samo. Jeśli zawrócę, co wtedy? Będę musiała się poddać. A gdzieś za mną, zbyt blisko, żeby płynął z brzegu, brzmiał głos Hiacynta, rwący się, śpiewający wcześniejsze zaklęcie, dotrzymujący obietnicy. Woda stała się bardziej sprężysta, twardsza. Zdołałam podnieść się na nogi, odgarnęłam z oczu splątane włosy i głęboko zaczerpnęłam tchu.

– Rahabie – szepnęłam.

Wir znieruchomiał wyczekująco, niewiarygodnie głęboka studnia w małej zatoce. Fale opadły, wiatr ucichł. Jakieś trzydzieści jardów dalej dryfowała „Obietnica Elui”, tracąc pęd. Powierzchnia morza drżała niczym bok zdrożonego rumaka.

Zrobiłam kolejny krok, przysuwając się do otchłani.

– Rahabie.

W głębi coś zamigotało, jasność narosła. Odetchnęłam jeszcze raz, czując dziwną lekkość w głowie, idąc po wodzie jak po ziemi. Tylko raz podałam *signale* i wiedziałam, że teraz tego nie zrobię, nie poddam się temu słudze Boga Jedynego, który sprawił ból komuś, kogo kocham.

– Rahabie, na więź twojej własnej klątwy, przyzywam cię tutaj!

Jasność wybuchła z morza, opadając w lśniących kaskadach, które przybrały postać tak wspaniałą, ogromną i szlachetną, że człowiek mógł tylko marzyć o takiej powłoce. Oblicze z wody ukształtowane przez Pana Cieśniny było zaledwie bladym echem tej postaci, która

piętrzyła się ponad urwiskami. Światło słońca lśniło na przejrzystych ramionach, gdy skłoniła masywną głowę, zielone loki spływały jak rzeki po obu stronach jej twarzy.

Nie była to jego prawdziwa postać, jeszcze nie.

Z trudem przełknęłam ślinę.

– Rahabie, w Imię Boga przyzywam cię.

I świat się przekrzywił.

Podobno wśród setek artystów, którzy widzieli ich żywych, żaden nie zdołał oddać piękna Błogosławionego Elui i jego Towarzyszy. Wcześniej uważałam, że to niemożliwe. Znałam potomków Elui. Wczesną młodość spędziłam w Dworze Kwiatów Kwitnących Nocą, gdzie od tysiąca pokoleń kultywowano piękno. Teraz rozumiałam.

Anioł Rahab objawił się na wodzie.

Jego piękno było niczym miecz, jasne jak stal w promieniach słońca i dwa razy twardsze. Patrzenie na niego sprawiało ból. Każda kość, każdy staw zostały precyzyjnie ukształtowane. Płaszczyzna jego czoła przypominała księżyc wznoszący się nad morskim horyzontem. Oczodoły były ocienionymi grotami, do których ludzkie oko nie powinno zaglądać. Nie wiem, czy skórę miał jasną, czy ciemną, bo ciało Rahaba spowijała jasność, która nijak się miała do naszego ograniczonego rozumienia światła, a włosy wyglądały jak pokryta patyną woda, jak krasnorosty, jak korona słońca w czasie zaćmienia.

Wezwałaś mnie.

Słowa zadźwięczały niczym srebrne kuranty, przeszywając bębenki w moich uszach. Jeśli głos mógł brzmieć jak światło słońca na wodzie na wszystkich wodach świata, łamiące się i zwielokrotniające tysiące razy to tak właśnie brzmiał głos Rahaba.

Gdyby Hiacynt nie stał za mną, uciekłabym na suchy ląd.

– Rahabie. – Oblizalam usta, czując smak soli i strachu. – Nakazuję ci zerwanie twojej klątwy.

Jego głowa uniosła się powoli i nieuchronnie niczym gwiazda

wieczorna w ciemności. Kształt ust był okrutny i bezlitosny, uformowany przez słowa wszystkich konających żeglarzy, którzy kiedykolwiek utonęli w morzu. A jego oczy – ach, Eluo! – były białe jak kość, a jednak widziały, widziały, widziały. Kiedy Bóg Jedyne rozkazał rozdzielić morza dla Mojszego, kiedy wieloryb połknął Jehonaha, te oczy już były stare. W tych oczach Błogosławiony Elua był oseskiem.

Mojej klątwy.

Na wodzie, z wody, anioł Rahab wysunął ramiona. Kajdany skuwwały jego ręce, ciężki łańcuch biegł pomiędzy nimi, na pozór wykuty z granitu, lecz było to coś twardszego niż kamień, bardziej gęstego niż znane ludziom substancje, a każde ogniwo pieczętował boski alfabet. Falując i zmieniając się, nieśmiertelne ciało Rahaba lśniło na tle tych okowów, jedyne ograniczenia jego mocy, niepozwalającego mu opuścić morza i podporządkowującego go woli Boga Jedyne. Wyciągnął ręce w moją stronę, pokazując łańcuchy, i okrutne usta wyrzekły słowa, które dźwięczały pięknem.

Dopóki Bóg nie zakończy kary, dopóty ja nie zdejmę klątwy. Przysięgłem.

Morze zrobiło się miękkie pod moimi stopami i zapadłam się, zakrztusiłam. Fale znów się podniosły, wysokie i wściekłe, woda zalewała mi usta, słona jak krew i bardziej gorzka. Straciłam oparcie, pochłonął mnie wielki grzywacz. Koziółkowałam, nie wiedząc, gdzie jest góra, a gdzie dół, ocean ze straszliwą siłą ciągnął moją przemoczoną suknię. Walczyłam, lecz żywioł był silniejszy. Płuca mi płonęły, nie mogłam złapać tchu.

Jak gdyby z wielkiej dali usłyszałam swoje imię, wykrzyczane wysokim, dźwięcznym i nagłym głosem.

– Fedro! Fedro!

Imriel.

Młody i czysty głos niósł się nad wodą, jak w czasie walki w sali Mahrkagira, jak w czasie szarży nosorożca, jak przed drzwiami

świątyni. Wtedy poznałam, z której strony leży życie i miłość. Odzyskałam oparcie na powierzchni wody i usłyszałam, jak Hiacynt powtarza zaklęcie, przepełniony furią i buntem z powodu straconych lat życia.

Podniosłam się z wysiłkiem, ociekając wodą.

– Na ból kary – wysapałam – rozkazuję ci zakończyć klątwę!

Morze migotało wokół Rahaba, wznosząc się w potężnych kolumnach i wieżach, które musiały zawierać więcej wody niż cała zatoka i zagrażały wysokim urwiskom. Okręt Kwintyliusza Rousse unosił się na grzywacu w głębokim przechyle, ściągany ku otchłani. Białe jak kość oczy odszukały moje. Rahab wydawał się jednocześnie nie wyższy od zwyczajnego człowieka i ogromny jak góra.

Jak śmiesz? – zapytał, napinając łańcuchy z trzaskiem gromu. – *Jak śmiesz, bękarcie Elui?*

Jest siła w uległości. Wyszłam poza swój strach.

– Elua rozumiał miłość – powiedziałam do niego. – Świat byłby lepszy, panie Rahabie, gdybyś czynił to samo. Czy odejdiesz w pokój? Daję ci taką możliwość.

Morze piętrzyło się i szalało, a Rahab jaśniał jak zakuta w łańcuchy gwiazda, srebrny, biały i zielony, odziany w szaty z wody, jaśniejący wewnętrznym ogniem, który nie miał nic wspólnego ze światem śmiertelnej gliny.

Moje serce nie zna pokoju i nie zazna go twoje!

Niech więc się stanie.

Co dziwne, opadł mnie spokój. Święte Imię rozkwitało we mnie niczym róża, coraz większe, nie pozostawiając miejsca nawet na odrobinę strachu. Ujrzałam w Rahabie stulecia ginące w zamierzchłej przeszłości, pradawny konflikt – bunt zrodzony z dumy, uległość wyrastającą z uwielbienia. Widziałam nienawiść i gorzką zazdrość, jaką żywił wobec Elui i jego Towarzyszy. Widziałam całą radość i cuda głębokich mórz, i samotność. I miłość, ach, Eluo! To bolało, cięło do kości. Nic w czasie niezliczonych stuleci burzliwej służby Bogu

Jedynemu nie przygotowało Rahaba na kaprysy śmiertelnej miłości, na ból odtrącenia.

– W Imię Boga – powiedziałam z litością – wypędzam cię, Rahabie.

Fale zahuczały w odpowiedzi i Rahab zawrzał gniewem, niebiesko-białe błyskawice migotały w jego lokach, gdy potężny głos zagrział:

Nie masz prawa, dziecko Elui!

Ale ono było we mnie, w każdej części mej istoty, w każdym włóknie, wznoszące się niczym przypływ, żeby mnie pochłonąć, i wybuchłabym śmiechem albo zapłakała, gdyby nie wypełniało mi gardła. Poszłam na krańce znanego świata, szukając Imienia Boga, i przemierzyłam ścieżki mroczniejsze, niż widziałam w koszmarach.

Pozostało tylko je wypowiedzieć.

Zrobiłam to.

– _____!

Gdyby cały śmiertelny świat był dzwonem i gdyby ten dzwon zadzwonił, taki byłby dźwięk, kiedy niedające się wymówić sylaby spłynęły z mojego języka, huczac nad wodą, dźwięcząc bez początku i końca, jakby nigdy nie istniało nic innego, ani morze, ani ziemia, ani niebo, tylko to wieczne Słowo sprzed zarania czasu. Przez chwilę, w której je wypowiadałam, nie było nic innego. Potem... potem wszystko wróciło, a ja byłam w samym środku, pusta i rozbrzmiewająca echem, z językiem kołaczącym się niczym nieme serce dzwonu. Słaniałam się, oszołomiona i głucha, niepotrzebna jak instrument, którego czas przeminął.

Wyrzekłam Imię Boga.

Ach, Eluo!

Stało się.

Głowa Rahaba opadła bez jednego dźwięku, jak ostatnia gwiazda niknąca o świcie. Smutek i klęska. Jedna ręka podniosła się zamasyście, pierzaste skrzydło wody i morskiej piany skute niezniszczalnymi okowami, i przesunęła przed twarzą. W tym zakończeniu była słodcz przemieszana z goryczą. Nawet gniewne,

odtrącone serce miało w sobie miłosierdzie. Klątwa, która dzieliła Terre d'Ange i Albę przed poświęceniem Hiacynta, która wiązała go później, stała na straży naszego bezpieczeństwa i strzegła naszych brzegów. Podczas gdy Bóg Jedyny porzucił swoje bękarcie wnuki, Rahab w całym swoim bólu nieśmiertelnego serca nie odwrócił się od nich.

Teraz to się skończyło.

Jasność Rahaba przygasła, wiatr zamierał, niebosiężne grzywacze przemieniły się w zmarszczki na wodzie. A potem... nic. Przepadł, a ja, ja byłam pustym naczyniem, pozbawionym celu, wymyte ściany mojej istoty już zapomniały, co w sobie mieściły. Z podskakującej na wodzie, przez nikogo niesterowanej „Obietnicy Elui” dobiegły ciche krzyki. Osunęłam się na przejrzystą, sprężystą powierzchnię wody, mokre spódnice unosiły się na łagodnych falach.

– Fedro.

Głos Hiacynta, ręka Hiacynta na moim ramieniu. Popatrzyłam na niego, rada z przypomnienia. Tak, byłam Fedrą, Fedrą nó Delaunay, *anguisette* Delaunaya, Wybranką Kusziela, służką Naamy. I jego przyjaciółką, prawdziwą przyjaciółką Hiacynta. Twarz miał łagodną i z jego zmiennych oczu wyzierało współczucie – ciemnych, wielobarwnych oczu Pana Cieśniny, który odziedziczył ból Rahaba i pokrętną miłość do naszych ziem.

– Patrz. – Hiacynt ruchem głowy wskazał zatokę. Statek płynął, choć żagle zwisały, za to woda ściekała z wiosł, gdy wiosłarze prężyli plecy, pociągając mocno. – Płyną po nas.

Z trudem po raz trzeci podniosłam się na nogi, żeby stanąć na wodzie.

Nie zachwiałam się.

Widziałam ich twarze, gdy „Obietnica Elui” podpływała do nas i rzucała kotwicę, twarze wyrażające emocje zbyt wielkie, żeby je opisać. Kwintyliusz Rousse patrzył z respektem żeglarza, który widział Władcę Głębiny. Kristof, syn Oszkara, zobaczył koniec długiej

drogi pewnego Cygana. Eleazar ben Enoch promieniał, gdyż wreszcie usłyszał Imię Boga.

I inni, inni! Och, Eluo, inni.

Marynarze, Chłopcy Fedry. Mieli nosić to miano do śmierci.

Hugues z pewnością ułoży kiepskie wiersze, widziałam to w jego zachwyconych oczach. Ti-Filip stał obok niego. Czy byli kochankami? Tak założyłam, nigdy nie pytając. Powinnam spytać. Byli moimi ludźmi. Powinnam wiedzieć takie rzeczy.

Joscelin.

Z jego błękitnych jak niebo oczu biła złość, że miałam czelność go odesłać, że odesłałam ich wszystkich. I było w nich zrozumienie, dlaczego to zrobiłam, ile mnie to kosztowało. Nie potępienie, wreszcie nie potępienie, tylko duma i ulga większe niż morze. Byliśmy ponad to, oboje.

W końcu Joscelin zrozumiał.

Jego ręce spoczywały na ramionach Imriela, który również to wiedział. Widziałam to w głębiach jego oczu, ciemnoniebieskich jak niebo o zmierzchu, w oczach jego matki, nieopisanie pięknych, patrzących z wiarą, jakiej nigdy u niej nie widziałam.

Imri nie zwątpił nawet przez chwilę.

DZIEWIĘĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

Nie jestem pewna, jak znalazłam się na pokładzie, bo stało się to w zamieszaniu i dzięki połączonym wysiłkom. Fale podniosły się, posłuszne wymruczanej komendzie Hiacynta, i pół tuzina rąk sięgnęło do mojej mokrej sukni, zostałam jednocześnie podniesiona i wciągnięta, żałosna i ociekająca wodą, w ramiona Joscelina.

To było dobre miejsce.

Gdyby świat stanął w miejscu, ja też bym tak stała, do końca czasu. Ponieważ było inaczej, puściłam Joscelina i odwróciłam się do Imriela. Coś ścisnęło mnie za gardło, gdy przypadł do mnie ni to z krzykiem, ni z łkaniem. Objęłam go mocno, przytulając policzek do jego mokrych włosów, a łzy napłynęły mi do oczu.

– Fedro nó Delaunay. – Głos Kwintyliusza Rousse był niski i niezwykle poważny. Popatrzyłam na niego, a on padł na kolano i pochylił głowę. – Oddaję honory twojej odwadze, pani z Montrčve.

– Nie trzeba, admirale – szepnęłam z zakłopotaniem. – Proszę nie sprawiać mi przykrości.

Śmiech poniósł się nad wodą, swobodny i nieskrępowany, i wszyscy na pokładzie statku odwrócili się w stronę Hiacynta, który stał na morzu. Posłuszna fala podniosła go na wysokość relingu.

– Nie sprzeciwiaj się, Fedro – powiedział, trzymając pod pachą kuferek. – Zasłużyłaś. – Nasze oczy się spotkały. – Dziękuję.

Pokiwałam głową, niezdolna wyrzec słowa. Fala zakrzywiła się nad relingiem i Hiacynt z lekkością jaskółki zsunął się na pokład. Powitała go cisza i pełne szacunku spojrzenia. Nikt nie wiedział, jak się teraz

do niego zwracać.

Joscelin przerwał milczenie.

– Cyganie, witaj.

– Kasjelito. – Z krzywym uśmiechem Hiacynt wyciągnął rękę i mocno chwycili się za nadgarstki. – Dziękuję.

Joscelin wzruszył ramionami.

– Dałem słowo.

– Pamiętam.

Nic więcej nie powiedzieli; przypuszczam, że to im wystarczyło. Mężczyźni, którzy znają swoje serca i umysły, umieją porozumieć się bez słów, i cokolwiek zaszło pomiędzy nimi w tej chwili, zadowoliło ich obu. Później Rousse uklonił się nisko Panu Cieśniny i powitał go na pokładzie okrętu, a inni z ciekawością muskali nieśmiało jego rękawy, rąbek płaszcza, upewniając się, że Hiacynt nie jest zjawą, tylko człowiekiem z krwi i kości. Imriel stał ze mną, z boku, patrząc na podchodzącego Kristofa.

– Cygański *kralis* – powiedział *tseroman* chrapliwym głosem. – Wróciłeś.

Zmienne oczy Hiacynta były ciemne i mroczne.

– Odkąd to Cyganie uznają *didikani* z nieprawego łóża, synu Oszkara? Czy mój dziadek Manoj nie ma bratanków i siostrzeńców z własnej krwi? Czy nie wyznaczył spośród nich następcy?

– Cztery rodziny *baro kumpai* wybrały ciebie, synu Anastazji. – Choć krople potu wystąpiły mu na czoło, Kristof nie cofnął się ani o krok. – Zaszły zmiany. Imię twojej matki jest wymawiane i pamiętane.

Twarz Hiacynta trochę złagodniała.

– Tak? To dobrze.

– Czy więc nas poprowadzisz? – Głos *tseromana* był pełen nadziei.

– Nie. – Hiacynt pokręcił głową, nie bez żalu. – Jeśli *baro kumpai* sobie tego życzy, spotkam się z nimi i udzielenie rady; jeśli posłuchają, zapewnię ochronę temu, kto zostanie wybrany. Ale Manoj mnie

wypędził i jest dla mnie za późno, żebym został jego wnukiem tak z czynów, jak z imienia. Stałem się kimś innym.

Kristof spuścił głowę, pokonany.

– Co zrobisz, morski królu? Dokąd pójdziesz?

Hiacynt rozejrzał się po okręcie.

W całym zamieszaniu niemal zapomniałam o Sibeal; drobna osoba łatwa do przeoczenia, stojąca z mocno zaciśniętymi rękami na dziobie. Przez długi czas patrzyli na siebie, a my wszyscy nagle zdaliśmy sobie sprawę z wielkiego napięcia. Oczy Sibeal były szerokie i posępne, drobna zmarszczka pomiędzy brwiami zdradzała niepokój. Mięśnie na szyi Hiacynta poruszyły się, gdy przełknął ślinę.

– Pani Sibeal. – Stanął przed nią i ze sztywnym ukłonem postawił na pokładzie kuferek, który zawierał stronicę z Zaginionej Księgi Razjela. – Czy zgodzisz się wraz ze mną opiekować tym brzemieniem?

– Tak. – Niebieskie linie na policzkach Sibeal pociemniały, gdy zarumieniała się z radości. – Zgadzam się.

Zerwał się wiatr, marszcząc żagle, wydymając spłowiały płaszcz i burząc lśniące czarne włosy Sibeal, gdy Hiacynt ujął jej rękę. Przez chwilę wokół nich tańczył wietrzny wir, zagłuszając słowa. Odwróciłam się, żeby nikt nie zobaczył łez, które szczypały mnie w oczy. Moje serce palił ból, jakiego dotąd nie zaznałam. Wyspiarze tłoczyli się na podeście w połowie schodów, wyciągając ręce, patrząc ze zdumieniem na okręt i Pana Cieśniny na pokładzie. Będą snuć opowieści, pomyślałam, o tym dniu.

– Fedro. – Joscelin oparł się o reling obok mnie, cichy i nienarzucający się, znajomy mi jak mój własny cień. – Jesteś gotowa wracać do domu?

Pod tym pytaniem kryło się inne, a ja je zrozumiałam. Po tak długim czasie patrzenie, jak Hiacynt odchodzi, jak łączy swój los z Sibeal i rusza ścieżką odmienną od mojej, sprawiało mi wielki ból. Ale byłam *anguisette* i ból rozumiałam. Jest cena życia i kochania, i nie wątpiłam, wtedy ani nigdy, że dokonałam mądrego wyboru.

Zaciskając ręce na relingu, odetchnęłam głęboko.

– Tak – powiedziałam, patrząc na Joscelina, uśmiechając się do jego umiłowanej twarzy. – Jestem gotowa.

– To dobrze. – Uśmiechnął się do mnie, a potem zawołał do Hiacynta: – Cyganie! Będziesz tracić czas czy może zbudzisz wiatr, żeby zaniósł nas do domu?

– Jak sobie życzysz, kasjelito. – Hiacynt odsunął się od Sibeal i skłonił się lekko. – Za twoim pozwoleniem, panie admirale.

Kwintyliusz Rousse uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Na miejsca, chłopcy! – ryknął. – Starszy Brat opuszcza Trzy Siostry i zabiera nas do domu!

Podniosły się wiwaty, marynarze – Chłopcy Fedry – wreszcie dali upust ogromnej uldze. Słyszałam później opowieści, jak strasznym przeżyciem był dla nich ten moment, gdy wichry Rahaba zawróciły ich z otwartego morza, niosąc niczym liść z powrotem do zatoki, gdzie fale wzniosły się jak wieże i groziły okrętowi wciągnięciem w głąb wiru. Słyszałam później wiele opowieści. Wtedy tylko zdzierali sobie gardła, wrzeszcząc co sił w płucach. Głos Imriela wznosił się nad ich głowami, bo Hugues posadził go na szerokich ramionach, żeby mógł patrzeć, jak Pan Cieśniny pełni honory.

Hiacynt obrócił się i posłuchał. Jego ręce i usta się poruszyły, i wiatr przygnał w odpowiedzi niczym wierny pies, wydymając żagle, marszcząc spokojną wodę. Hugues zachwiał się i szybko postawił Imriela na pokładzie. Rousse chwycił ster i „Obietnica Elui” obróciła się dziobem w kierunku przesmyku, a potem ruszyła kursem prostym jak linia wyrysowana przez rzucony oszczep.

Wracaliśmy do domu.

Przynajmniej teraz resztki dnia pasowały do nastrojów. Serce mi rosło, gdy statek wypłynął z wąskiego przesmyku, mocno przechylony na burtę, i okrążał Trzecią Siostrę, żeby skierować się do brzegu. Hiacynt pewnym krokiem przemierzył pokład, ani trochę nie przejęty

prędkością naszej żeglugi.

– Jest tu ktoś, kogo nie znam – powiedział, skinąwszy głową Imrielowi.

Stałam za chłopcem, kładąc mu ręce na ramionach.

– Hiacyncie, synu Anastazji, Panie Cieśniny, to przybrany syn mój i Joscelina, książę Imriel nó Montrčve de la Courcel.

– Courcel?

Morskie zwierciadło Pana Cieśniny było ślepe poza d’Angelińskimi wodami. Zapomniałam.

– Syn księcia Benedykta – wyjaśniłam, czując, jak Imriel sztywnieje.

– Urodzony w La Serenissimie z matki Melisandy Szachrizaj. Hiacyncie, mam ci tyle do powiedzenia!

– Na to wygląda. – Ukłonił się, rozbawiony. – Miło cię poznać, książę Imrielu.

Imri skrzywił się gniewnie.

– Imrielu nó Montrčve – poprawił i po namyśle dodał: – panie.

Błysk dawnej wesołości zamigotał w zmiennych jak morze oczach Hiacynta.

– Wybacz, Imrielu nó Montrčve – dodał i zwrócił się do mnie: – przypuszczam, że wiesz, co robisz?

Wzruszyłam ramionami i zmierzwiłam włosy Imriela.

– Bez niego wciąż byłbyś na wyspie, a ja zdzierałabym sobie ręce do krwi, bębniąc w drzwi świątyni Boga Jedynego na południe od Dzebe–Barkal. Wiele zawdzięczamy jego odwadze.

Imriel miał zadowoloną minę, Hiacynt natomiast kompletnie zaskoczony.

– Rzeczywiście masz wiele do powiedzenia.

– Więcej niż przypuszczasz. Czy udasz się do Miasta Elui, zanim rozpoczniesz życie w Albie? To da nam trochę czasu na wspomnienie minionych dwunastu lat.

– Obawiam się, że moje były nudne. – Hiacynt z krzywym uśmiechem popatrzył na swoje ręce. – Widziałaś skutki; opowieść nie

będzie ciekawa, chyba że chcesz posłuchać o nieskończonych godzinach nauki. Ale tak, przybędę do Miasta Elui. Sibeal dołączy do Drustana i spędzimy tam lato, a jesienią popłyniemy do Alby. Omówię z królową i cruarchą kwestię opieki nad granicznymi wodami, a z *baro kumpai* Cyganów sprawę następcy Manoja. I... – dodał – tak, wysłucham twojej opowieści o poszukiwaniu Imienia Boga, i o tym, co wydarzyło się po drodze, o sprawach wielkich i małych, i o wszystkim innym, co zaszło w twoim życiu, odkąd postawiłem nogę na tej przeklętej skale.

– To dobrze, bo zamierzam ci opowiedzieć.

Silny wiatr przywołany przez Hiacynta wypełniał żagle, więc droga powrotna do Pointe des Soeurs przeminęła szybko. I dobrze, bo gdy brzegi Trzeciej Siostry zostały za nami, ogarnęło mnie wielkie zmęczenie. Schroniłam się przed wiatrem, usiadłam na poduszce pod ścianą kabiny. Rozpostarłam spódnice, żeby wysuszyło je popołudniowe słońce, zastanawiając się, dlaczego nie pomyślałam, żeby zabrać suche ubranie na zmianę. Wydawało się niemożliwe, że minął niespełna dzień, odkąd o świcie wjechałam do obozu.

Czułam się niemal inną osobą – pozbawioną świętego zaufania, jakie nosiłam przez wiele miesięcy, Imię Boga już nie napierało na moje myśli, nie podchodziło do gardła, nie balansowało na czubku języka. Wciąż było wypisane we mnie, wyryte w najgłębszych warstwach pamięci, których nie umiemy przywołać na zawołanie, wykute w kości, ścięgnię i krwi. Wiedziałam, a jednak już nie słyszałam, jak rozbrzmiewa echem w mojej czaszce. Zamiast niego pod zmęczeniem, pod obawą o przyjaciół i ukochanych było coś, co mogło być zadowoleniem, ale takim, jakiego nigdy dotąd nie zaznałam.

Skończyło się.

W ciągu dwunastu lat poznałam różne rodzaje szczęścia, radości i przyjemności, ale zawsze przyćmiewał je cień losu Hiacynta.

Wreszcie to się skończyło. Jeśli nawet Hiacynt nie był taki, jak kiedyś, to kto z nas był? Nie ja, która w sypialni Mahrkagira poznałam najczarniejsze zakamarki ludzkiej duszy. Nie Joscelin, który przeżył piekło gorsze, niż mógłby wyśnić w koszmarach, zmuszony stać bezczynnie i patrzeć. I, Eluo! Z pewnością nie Imriel, który stracił dzieciństwo w Daršandze i który po powrocie do kraju spotkał się z pogardą i lękiem z powodu swego urodzenia. Rozpaczałam nad straconymi latami Hiacynta, nad utratą jego dawnej osobowości. Ale miał żyć, uwolniony od losu gorszego niż śmierć. Jeśli wciąż dźwigał brzemie, to klątwa została przełamana.

Nic więcej nie mogłam zrobić.

– Zasłużyłaś na odpoczynek, Fedro nó Delaunay.

Otworzyłam oczy i zobaczyłem Eleazara ben Enocha, który siedział przede mną rozpromieniony, jakby wiedział, że odpowiedział na moje myśli. Uśmiechnęłam się do niego.

– Eleazarze, jesteś zadowolony z dzisiejszej przygody?

– Ujrzeć sługę samego Adonai w nieśmiertelnej powłoce? Usłyszeć niesłyszane od tysięcy pokoleń Święte Imię dźwięczące nad wodą? – Roześmiał się radośnie. – Tak, Fedro nó Delaunay, jestem zadowolony.

– Więc je słyszałeś. – Usiadłam prosto, zaciekawiona. – Powiedz mi, ojcze, co słyszałeś, gdy wyrzekłam Imię Boga?

– Ach. – Eleazar skubnął rozczochraną brodę. Oczy mu się skrzyły.

– Usłyszałem słowo złożone z niepojętych sylab, dźwięki, jakich nigdy nie słyszałem z ust śmiertelnika. Nawet z daleka uderzały w moje uszy niczym wielkie pięści, moje kości zrobiły się miękkie, kolana przemieniły się w wodę i padłem na klęczki, podczas gdy mój duch urósł, nie mieszcząc się w ciele, płonąc jak potężny ogień, i krzyknąłem z radości. A jednak...

– Tak? – przynagliłam, gdy cisza się przedłużała.

– A jednak zdawało mi się, Fedro nó Delaunay, że pod niezrozumiałym słowem krył się trzon brzmiący w każdej sylabie,

opoka, na której zostało zbudowane Święte Imię. I to słowo znałem. – Złożył ręce na kolanach, promieniejąc radością. – Czy się domyślasz?

Po chwili pokręciłam głową. Imię Boga było zbyt wielkie.

– *Awhab* brzmiało słowo, które usłyszałem, ale... – Eleazar uniósł palec – tylko ja. Rozmawiałem z innymi. Cygan Kristof także słyszał echo słowa, lecz brzmiało ono *madahn*, a Cruitlinowie towarzyszący pani Sibeal słyszeli *gradh*. Władasz wieloma językami, Fedro nó Delaunay. – Uśmiechnął się szeroko. – Domyślasz się, jakie słowo słyszeli d’Angelińscy marynarze?

– Miłość – szepnęłam.

– Miłość! – Eleazar roześmiał się głośno. – Miłość! – Kościste kolana zaskrzypiały, gdy się podniósł, a potem nachylił i z niespodziewaną czułością pocałował mnie w czoło. – Adonai nie spieszy się z jego uznaniem, lecz wierzę, że jest dumny ze swojego syna Elui, choć został nieprawo poczęty – powiedział. – Może trzeba było jednej bardzo upartej śmiertelniczki, żeby mu to pokazać.

Z niedowierzaniem i zachwytem patrzyłam za Eleazarem, rozczochranym i bezgranicznie szczęśliwym, idącym po pokładzie rozkołysanym krokiem, jakby był urodzonym żeglarzem. Rozbawiona, pokręciłam głową, zastanawiając się nad radością, jaką znajdował w swojej wierze, radością tak silną, że nawet herezję mogłaby przytulić do serca. Może tak było, kto wie? Roztrząsanie tego jest sprawą kapłanów i kapłanek, a prawdę znali tylko sami bogowie. Ja dotrzymałam obietnicy i uwolniłam przyjaciela, i żyliśmy, wszyscy, by móc się tym cieszyć.

To wystarczyło.

Byłam zadowolona.

Wysoki krzyk przyciągnął moją uwagę. Wstałam i rozejrzałam się, szukając jego źródła. W bocianim gnieździe na szczycie środkowego masztu Imriel wskazywał ład, a Ti-Filip trzymał go mocno jedną ręką.

– Odbierze nam dziesięć lat życia.

Głos Joscelina, niski i rozbawiony, zabrzmiał przy moim uchu.

– Wiem. – Nie oglądając się, sięgnęłam do tyłu, złapałam go za rękę i przysunęłam ją do swojej talii.

Kwintyliusz Rouse wykrzykiwał rozkazy, jego ludzie zwijali się jak w ukropie, gdy zbliżaliśmy się do brzegów Terre d'Ange. Hiacynt wykonał pełen gracji gest, na jego twarzy odmalowało się nadnaturalne skupienie, gdy dyrygował wiatrem. Sibeal patrzyła na niego ze spokojną radością zakochanej kobiety. Wytatuowani wojownicy Cruithne z jej straży honorowej trzymali kuferek z kartkami, dumni, że powierzono im taki skarb. U stóp masztu przejęty Hugues błagał Ti-Filipa i Imriela, żeby zeszli, co pobudziło mnie do śmiechu.

– Żałujesz?

– Nie. – Joscelin objął mnie mocno i poczułam, że się uśmiecha, wtulając twarz w moje włosy. – Niczego, ani przez chwilę.

Ja też nie żałowałam.

STO

Wieść szybowwała przed nami.

Po naszym powrocie do Pointe des Soeurs świętowano przez całą noc, w fortecy i w obozie. Nim przygotowaliśmy się do podróży do Miasta Elui, wieści obiegiły okolicę i słowa przekazywane z ust do ust pędziły niemal równie szybko, jak kurierzy wysłani przez Kwintyliusza Rousse do Ysandry.

Osiemsetletnia legenda zstąpiła na ziemię.

Hiacynt znosił z godnością ciekawość ludzi, którzy wylęgali ze wszystkich wiosek i siół, wytrzeszczając oczy i szepcząc na jego widok... na widok młodego człowieka z cygańską krwią w żyłach, cichego i opanowanego, odzianego w spłowiałe aksamity. Tylko otaczająca go aura i morskie barwy wirujące w ciemnych oczach dawały świadectwo jego strasznej władzy.

Kiedyś byłby zachwycony wzbudzonym zainteresowaniem, Hiacynt, mój Książę Podróżnych, który nosił się strojnziej niż połowa elegantów w Mieście, który złotoustymi przepowiedniami wyłuskiwał monety z ich trzosów i przywodził rumieńce na policzki. Teraz po prostu to znosił. Pamiętałam, jak było, gdy ostatni raz podróżowaliśmy razem, Joscelin, Hiacynt i ja. Hiacynt grał na bębenkach, flirtował z napotkanymi po drodze cygańskimi pannami i godzinami uczył powściągliwego brata kasjelitę, jak naśladować bajdura.

To już minęło.

W każdej gospodzie goszczono nas za darmo, a karczmarze

prześcigali się w podawaniu jak najbardziej wystawnych posiłków z ostatnich zimowych zapasów i pierwszych owoców wiosny. Nawet Cyganie, którzy podróżowali w naszym towarzystwie, byli przyjaźnie witani na obrzeżach wioski, a wieśniacy, zamiast chować swoje cenne przedmioty, przynosili im jedzenie. W karczmach tłoczyli się poeci, pilnie nadstawiając uszu i słuchając opowieści marynarzy admirała.

Byłam ich bohaterką, *anguisette*, która przepędziła anioła. Coś takiego nigdy się nie zdarzyło w dziejach Terre d'Ange. Ludzie szeptali między sobą i zerkali na mnie ukradkiem, wypatrując oznak wielkiej magii, jakie widzieli u Hiacynta. Znajdywali tylko szkarłatną plamkę Strzały Kusziela, znak dobrze znany za mojego życia i niebędący żadną nowością. Szeptali cicho, ze zdumieniem i powątpiewaniem.

To skłaniało mnie do uśmiechu. W moich czynach nie było magii, wyjąwszy tę, jaką powierzył mi Bóg Jedyny. Nie, Eleazar miał rację; do zwycięstwa przyczynił się mój upór, dziwna spuścizna wątpliwego daru Kusziela, który nauczył mnie ulegać bez poddawania się. Wytrzymałość i miłość – to była moja czarodziejska siła.

Dzień po dniu skracała się nasza podróż, której towarzyszyła nadzwyczaj piękna pogoda, niebo było błękitne i bezchmurne, temperatura umiarkowana. Jakżeby inaczej, skoro podróżowaliśmy z Panem Cieśniny? Na lądzie czy na morzu, wiatr i woda były mu posłuszne dalej, niż okiem sięgnąć we wszystkich kierunkach. W istocie to straszna władza, myślałam, gdy jechaliśmy wśród dojrzewających zielonych i złotych pól. Bardziej niebezpieczna na wolności niż na wyspach Trzech Sióstr. Mógłby spustoszyć ziemię, gdyby tak postanowił. Głupotą było sądzić, że Hiacynt kiedykolwiek wróci do dawnego życia.

Stronice Księgi Razjela przez cały czas były blisko niego, a albijscy wojownicy w coraz większym stopniu uświadamiali sobie potęgę

powierzonego im skarbu. Często zmieniali się w niesieniu kuferka, jakby mógł poparzyć im palce.

– Co by było, gdyby ktoś je ukradł? – zapytałam pewnego dnia Hiacynta.

– Kto śmiałyby? – Uśmiechnął się posepnie i wiatr poruszył końskimi grzywami jak gdyby ku przestrodze. – Nie, z tego łupu złodziej nie miałby żadnego pożytku, Fedro. Nikt nie odczyta pisma, którego nie został nauczony, a nauka stanowiła najdłuższą część mojego terminowania. Musiałem poświęcić aż siedem lat, bo takich liter nigdy nie widziałem, a żaden ludzki język nie znał ich brzmienia.

Puls mi przyspieszył.

– Podobnie jest z Imieniem Boga.

– Tak. – Patrzył na mnie zmiennymi jak morze oczyma. – Ale to słowo zostało zapisane tylko jeden raz i zanim go nie wyrzekłaś, z pewnością nigdy nie było słyszane na tej przeklętej wyspie. Nie mam pojęcia, jak się go nauczyłaś.

– Zostało wypowiedziane przez człowieka bez języka – odparłam. Hiacynt roześmiał się cicho, ale bez niedowierzania. – Hiacyncie, co zrobisz z tymi stronicami? Weźmiesz ucznia czy pozwolisz, żeby wiedza umarła wraz z tobą?

Przez długi czas nie odpowiadał.

– Nie wiem – rzekł w końcu. – Fedro... wciąż przyzwyczajam się do myśli, że jestem wolny i mogę wędrować po ziemi, że mogę żyć i kochać, płodzić dzieci, starzeć się i umrzeć... umrzeć jak każdy śmiertelnik, a nie kurczyć się bez końca, pogrążony w szaleństwie. Sprawa jest zbyt poważna, żeby teraz rozstrzygnąć. – Znów na mnie popatrzył. – Czy chcesz się tego nauczyć?

– Nie! – Parsknęłam przestraszona. – Na Eluę, nie!

Cień dawnego uśmiechu podniósł kącik jego ust.

– Więc twoja ciekawość ma granice.

– Tak, tak mi się zdaje.

Hiacynt dotknął mojej ręki, gdy jechaliśmy obok siebie.

– Dla ciebie nie żałowałbym tej wiedzy – rzekł z powagą. – Ty jedna ze wszystkich ludzi jesteś dość mądra, żeby rozumieć, iż władza takiej natury jest bardziej brzemieniem niż błogosławieństwem. Wiedz jednak, że nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiliście, ty i Joscelin... i chłopiec. Dopóki żyję, możecie liczyć na moją ochronę i pomoc.

Ścisnęłam jego dłoń.

– Dziękuję.

Nic więcej nie dodał. Jeszcze mu nie opowiedziałam całej naszej historii ani tego, co się stało w Niniwie, gdzie nóż zabójcy czyhał na życie Imriela, ale Hiacynt mógł się domyślać, że syn Melisandy będzie miał wrogów. Byłam mu szczerze wdzięczna, że z własnej woli zaproponował ochronę, którą przedwcześnie pochwaliłam się Ysandrze de la Courcel. Nie było żadnej gwarancji, bo przecież brzegi Alby leżą daleko od Miasta Elui i mojej posiadłości Montrčve, ale przyjaźń Pana Ciešniny mogła odstraszyć wrogów.

Imriel.

Jechał w grupie marynarzy, Chłopców Fedry, i puchł z dumy, bo jeden z nich powierzył mu sztandar kompanii, chorągiew ze Strzałą Kusziela. Naprawdę go polubili, ujęci jego niesłychaną odwagą na pokładzie „Obietnicy Elui”. Przysięgam, wydawało się, że znowu urósł o cal w czasie tej wyprawy. Pomyślałam z żalem o propozycji Hiacynta. Szczerze mówiąc, kusiła mnie taka moc... odrobinę. Nie dla władzy, ale dla wiedzy. Opanować język Nieba! Ach, Eluo, to byłoby coś. Może w tych dziwnych literach rozpoznałabym te, które widziałam w arce pękniętych tablic, może mogłabym je zapisać, notując dla potomności niedające się wymówić Imię Boga.

Zawsze warto wiedzieć jak najwięcej.

Tak zwykł mawiać mój pan Delaunay, w to zawsze sama wierzyłam. Nauka języka i pisma zabrała Hiacyntowi siedem lat. Ile czasu ja musiałabym na nią poświęcić? Mniej, jak sądzę, bo miałam za sobą przewagę w postaci dziesięciu lat znajomości habiru. To

powinno ująć co najmniej połowę.

Za trzy lata Imriel wejdzie w piętnasty rok życia.

I tych lat nie chciałam stracić za nic, nawet za wszystkie sekrety Boga Jedynego. Na wpół oszalałe, przerażone dziecko, które znalazłam w Daršandze, niedługo stanie się młodzieńcem. Chłopiec był dumny, drażliwy i skrzywdzony, ale miał w sobie odwagę, która wprawiała w podziw dorosłych mężczyzn, oraz serce zdolne do miłości i wielkiego poświęcenia. Nawet gdy dorośnie, szczodrość ducha będzie w nim skłócona z poczuciem gorzkiej niesprawiedliwości losu, z pamięcią o potwornościach, które go spotkały, ze świadomością pozostawionych przez nie blizn. Tylko miłość zrównoważy szale.

Dotknęłam gołej szyi, gdzie kiedyś wisiał diament Melisandy.

Miałam obietnicę do dotrzymania.

Z drugiej strony, myślałam, jadąc pod jasnym d'Angelińskim niebem, może Hiacynt zechce podzielić się ze mną samym alfabetem, może sporządzi dla mnie fonetyczny przewodnik do wymowy nieznanymi liter. Przecież poradziłam sobie, ucząc się dżebeńskiego pod kierunkiem Audyny Davul. Kaneka mogła się ze mnie śmiać w zenanie, ale rozumiała mnie dość dobrze, a ja gromadziłam wiedzę na pokładzie statku i przy ogniskach. Parę godzin od czasu do czasu... Nie muszę poświęcać ostatnich lat młodości na absorbujące terminowanie, bo wiele można osiągnąć w kradzione godziny, gdy jest się dostatecznie zdeterminowanym. Kto wie, jakie teksty mogłyby ujrzeć światło dzienne, gdyby pewnego dnia została nawiązana korespondencja pomiędzy Sabą a Terre d'Ange? Eleazar ben Enoch byłby z tego rad, jestem pewna. W miarę pogłębiania się schizmy Dzieci Yisraela, ci Jeszuici, którzy przedkładali pokój nad wojnę, byli coraz bardziej skłonni do odstąpienia od dawnego sposobu myślenia; ich obecność wśród nas w czasie tej podróży była tego dowodem.

– Do licha, co knujesz tym razem? – Joscelin podprowadził karego wałacha do boku mojej klaczy.

– Nic. – Uśmiechnęłam się do niego. – Tylko rozmyślam.

Jakieś pięć mil przed Miastem Elui spotkaliśmy pierwszych emisariuszy, ludzi Ysandry i Drustana, gwardzistów w błękitach i srebrze rodu Courcel oraz wojowników cruarchy w wełnianych albijskich kiltach, z nagimi torsami, z misternymi tatuażami na twarzach i miedzianymi naszyjnikami, które oznaczały, że każdy jest synem wysokiego rodu. Utworzyli eskortę, prowadząc nas pod pierwszymi z niezliczonych kwietnych łuków zbudowanych wzdłuż drogi, a królewski herold stentorowym głosem wykrzykiwał wieści tym, którzy jeszcze ich nie słyszeli – czyli, jak sądzę, nikomu.

Od tej pory nasz pochód posuwał się bardzo, bardzo powoli.

Już kiedyś jechałam w pochodzie triumfalnym, kiedy Ysandra wróciła do Miasta po bitwie pod Troyes-le-Mont, gdzie pokonaliśmy armię skaldyjską. Pamiętałam to dobrze, bo wtedy radość mieszała się z goryczą; cieszyłam się ze zwycięstwa, ale nie mogłam zapomnieć o poległych i opłakiwałam poniesione straty.

Tym razem było inaczej. Pomimo strasznych wydarzeń na morzu, wszyscy przeżyli. Hiacynt był wolny i nikt nie okupił życiem jego wolności. Nikt nie zapłacił za podróż, choć była długa i męcząca. Gdybym teraz weszła do jaskini Temenos i poddała się rytuałowi *thetalos*, moje łańcuchy winy za przelaną krew nie stałyby się cięższe.

Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mnie to cieszy.

Była Daršanga, oczywiście; zawsze będzie. Nikt z nas, którzy tam byliśmy, nigdy nie uwolni się od jej cienia. Ale to... to było coś innego, i nie triumf świętowaliśmy dzisiaj.

Ysandra i Drustan czekali na nas u bram.

Ile razy stałam w tłumie, witając powracającego Drustana? Tyle, ile lat minęło od ich ślubu. Teraz patrzyłam na to jak widz z drugiej strony, jadąc w ślimaczym tempie w szpalerze gapiów, którzy krzyczeli, rzucali kwiaty i napierali na straż miejską, próbując wylec na drogę. Białe mury Miasta Elui były zapełnione gapiami. Dworki

Ysandry rzucały słodycze i drobne monety dzieciom, które piszczały z radości.

Jak przystało, Hiacynt i Sibeal jechali pierwsi, otoczeni przez wojowników Cruithne. Zatrzymałam się za Kwintyliuszem Rouse i patrzyłam, jak zsiadają z koni.

– Panie Cieśniny – przemówiła czystym głosem Ysandra. – Hiacyncie, synu Anastazji, witaj w Mieście Elui. – Dygnęła nisko przed cygańskim mieszańcem, synem praczki z zaułków Progu Nocy, składając hołd należny osobie starszej rangą, do czego nie posunął się za ludzkiej pamięci żaden d’Angeliński monarcha.

Tłum zbiorowo zaczerpnął tchu, po czym wydał z siebie ryk uznania.

– W imieniu Alby – zawołał Drustan – witam cię! – Ukłonił się głęboko i wyprostował z uśmiechem. – Witaj również w mojej rodzinie, bracie. Dziękuję ci za bezpieczne sprowadzenie na ląd mojej siostry, pani Sibeal!

Kolejny ryk nastąpił po tym oświadczeniu.

Sibeal uśmiechnęła się pogodnie i podeszła, żeby obdarzyć powitalnym pocałunkiem Drustana i Ysandrę oraz swoje młode bratanice, Alais i Sydonie. Spojrzenia wszystkich spoczywały na Hiacyncie, który stał samotnie przed Ich Królewskimi Mościami. Ukłonił się nisko i trwał zgięty tak długo, żeby nie było wątpliwości, że uznaje ich zwierzchność. Jego płaszcz opadł w nieskazitelnych fałdach, gdy się wyprostował, włosy spłynęły w czarnych pierścionkach na kołnierzu.

– Wasze Wysokości – powiedział i choć nie podniósł głosu, dźwięk poniósł się nad tłumami, odbił echem od murów, dochodząc z zewsząd i znikąd. – Najjaśniejsza Pani, Najjaśniejszy Panie, cieszę się, że tu jestem.

Więcej nie zdążył powiedzieć, bo krzyki zagłuszyły nawet jego głos. Przypuszczam, że większość ludzi wiwatowała by niezależnie od tego, kim był, potomkiem Rahaba czy synem praczki, bo najważniejsze

znaczenie miał sam dramatyzm wjazdu Pana Cieśniny do Miasta Elui. Ale tam, na białych murach stała delegacja przysłana niewątpliwie z najmniej szacownych części Progu Nocy, kilku młodych ludzi dwudziesto- i trzydziestoletnich, Cyganów, mieszańców i D'Angelinów, którzy tupali i skandowali:

– Hia–cynt! Hia–cynt!

Popatrzył na nich, i jeśli się zastanawiałam, czy Pan Cieśniny wciąż umie płakać, to właśnie poznałam odpowiedź. Łzy lśniły na jego policzkach, gdy uklonił się w ich stronę, wirując płaszczem w stylu dawnego Księcia Podróżnych, a potem poderwał ręce w powietrze i ścisnął dłonie nad głową.

Huk gromu rozdarł czyste niebo.

Hiacynt wrócił w domu, chociażby tylko na krótki czas.

Wrzawa zagłuszyła powitanie Kwintyliusza Rouse z królową i cruarchą, i nie miałam pojęcia, co powiedział admirał. Widziałam tylko, że Ysandra podniosła go z klęczek i ucałowała w policzek, a Drustan z uśmiechem uściśnął jego przedramiona. Potem nadeszła nasza kolej i stwierdziłam, że trzęsą mi się nogi, gdy zsiadliśmy z koni i zbliżaliśmy się do królewskiej pary. Takie powitanie po naszym nieposłuszeństwie... Nie miałam słów na wyrażenie wdzięczności.

To była polityka, tak, ale w grę wchodziło coś więcej.

Joscelin złożył kasjelicki ukłon, zamaszysty i precyzyjny, słońce zaśniło na poobijanej stali zarękawi – i to także tłum kochał. Jak się okazało, królowa nie mianowała innego Rycerza. Stąd i zowąd dobiegały również okrzyki na cześć Imriela, który wciąż trzymał flagę ze Strzałą Kusziela, moją chorągiew, sztandar Chłopców Fedry. Ludzi zachęciło wycie marynarzy i ujęła ich duma, z jaką Imriel dzierżył drzewce, gdy składał ukłon, nie opuszczając sztandaru. Tego dnia zyskał wielu wielbicieli samą swoją postawą.

Widziałam, jak błyszczą mu oczy, i wiedziałam, że robi to dla mnie.

A potem...

– Nawet o tym nie myśl – wymruczała Ysandra bez poruszania

wargami, gdy dygnęłam, owładnięta pragnieniem rzucenia się na kolana i błagania o wybaczenie za grzechy przeciwko tronowi. – Przysięgam, Fedro nó Delaunay, jeśli to zrobisz...

– Wybacz – szepnęłam, gdy chwyciła mnie za łokieć, boleśnie naciskając palcami, nie pozwalając mi ugiąć kolan. – Ysandro, tak mi przykro.

– Wiem. – Fiołkowe oczy królowej Ysandry de la Courcel złagodniały, choć nie rozluźniła uścisku. Pokręciła głową. – Ty idiotko – powiedziała z uczuciem, a potem na oczach tysięcy ludzi obdarzyła mnie powitalnym pocałunkiem, przywracając mój status zaufanej powiernicy, i wcale nie prędko odsunęła usta.

To też spotkało się ze znaczną aprobatą.

Byliśmy przecież w Terre d'Ange.

Zarumieniona, dygnęłam przed cruarchą Alby, Drustanem mab Necthana. Oczy mu jaśniały z rozbawienia i zadowolenia.

– Więc jednak to zrobiłaś.

– Tak. – Wiedziałam, co ma na myśli. Drustan był tam, kiedy Hiacynt zapłacił cenę, jaką oboje wzięlibyśmy na siebie, gdyby nam pozwolono. Odetchnęłam głęboko i wypuściłam powietrze w drżącym śmiechu, czując się dziwnie z tą czystą, niczym niezmaconą radością. – Zrobiliśmy.

Drustan też mnie pocałował, a potem przeszliśmy przez bramę, podczas gdy okrzyki płynęły w nieskończonych falach pod bezchmurnym niebem, wolne od złości czy zazdrości, unosząc się wysoko w jasnym powietrzu Miasta Elui, bo choć raz świętowane zwycięstwo nie było skażone porażką.

Byłam zadowolona.

Wróciliśmy do domu, wszyscy.

STO JEDEN

Lato minęło szybko.

Odzyskałam łaskę królowej, w sposób widoczny i niezaprzeczalny, i ci sami wielmoża, którzy stronili ode mnie w czasie mojej długiej, srogiej zimy, teraz zasypywali mnie podarkami i pełnymi humoru zaproszeniami na taką czy inną okazję. Większości odmówiłam, tłumacząc się nadmiarem zajęć, co nie było kłamstwem. Na polecenie Hiacynta Ghislain nó Trevalion wysłał galerę po zawartość biblioteki z wieży Pana Cieśniny, byłam więc zajęta katalogowaniem około czterystu tomów i zwojów, z których wiele uznano za zaginione. Wieść o zbiorach przeciekła i musiałam rozpatrzyć pół tuzina ofert z akademii i uniwersytetów, pragnących powiększyć swoje archiwa.

Oczywiście najpierw zamierzałam sprawdzić, co zawiera księgozbiór, i dopilnować sporządzenia wiernych kopii.

Hiacynt mieszkał w pałacu i spędzał długie godziny z królową, cruarchą i narzeczoną Sibeal. Nie znam przebiegu tych spotkań, wiem tylko, że osiągnięto porozumienie i Drustan mab Necthana nadał im nadmorskie dobra na północ od Bryn Gorrydum, gdzie niegdysiejszy Pan Cieśniny miał pełnić swoją wartość. Tam mieli się udać jesienią, po złożeniu obietnicy małżeńskiej przed matką cruarchy i jego krewnymi w Albie.

Poza tym Hiacynt spotkał się z *baro kumpai*, czterema najważniejszymi rodami cygańskimi, i z nich wyłoniono króla. Spotkanie odbyło się za murami Miasta Elui, bo Cyganie czystej krwi, którzy przemierzają Długą Drogę, czują się najlepiej na otwartej

przestrzeni. Słyszałam, że w cieniu murów Miasta dotąd nie widziano większego zgromadzenia.

Nie uczestniczyłam w nim, bo w tym czasie przebywaliśmy w Montrčve, mojej od dawna zaniedbywanej posiadłości.

Dobrze było zamieszkać w Montrčve. Imriel pokochał to miejsce, czego się nie spodziewałam – a powinnam, bo przecież wychował się w górach Siovale. Tam tempo życia jest wolniejsze. Zastaliśmy wszystko w nienagannym porządku, bo choć przez dwa lata byłam nieobecna, Purnell Friote i jego żona Richelina sprawnie zarządzali majątkiem i czekali na nasze przybycie. Mieli troje dzieci, w wieku Imriela i młodsze, i Imriel szybko się z nimi zaznajomił; sprzeczał się, wdawał w bójki i skakał ze stryszku na siano, jak przystało na chłopca w jego wieku. Czuałam ciepło w sercu, kiedy to widziałam.

Joscelin i Ti-Filip zadbali o bezpieczeństwo naszej posiadłości. Objechali granice i dopilnowali, żeby każdy zagrodnik i dzierżawca znał wartość naszego podopiecznego, a także zorganizowali siatkę obserwatorów i gońców. Siovaleńczycy są sprytni i bystrzy, a my zyskaliśmy ich lojalność choćby tylko przez najzwyklejszy w świecie brak zainteresowania. Tutejsi mieszkańcy nie lubią, gdy jaśniepaństwo wtrącają się w ich sprawy, a ja nie dawałam im powodów do narzekań. Jeśli na początku byli wobec mnie nieufni, to z biegiem lat pogodzili się z moimi rządami w Montrčve. Teraz służba u mnie stała się powodem do dumy i niemało rodzin przysyłało swoich synów i córki do mojego dworu. W pustym od lat garnizonie koszarowało dwudziestu młodych rekrutów, a Ti-Filip i Joscelin zaczęli szkolenie. Nim skończyli, nie miałam wątpliwości, że w Terre d'Ange jest niewiele miejsc, w których Imri byłby bardziej bezpieczny niż w domu dzieciństwa mojego pana Delaunaya.

Później Joscelin zabrał się do budowania sokolarni.

Dałam mu słowo, choć zdążyłam o tym zapomnieć. Elua świadkiem, on pamiętał. Zwierzyniec, powiedziałam, jeśli wrócimy cali i zdrowi. Miałam szczęście, że poprzestał na sokolarni – i psiarni,

bo na pierwszą wieść o naszym powrocie jego brat Luk przysłał długi list pełen plotek, dołączając do niego szcenną sukę ogara, czym ogromnie uszczęśliwił Imriela. Co do sokolarni, Ysandra oddelegowała swojego naczelnego sokolnika, żeby nadzorował budowę. Musiałam się pogodzić z tym, że część moich włości zostanie przeznaczona do łowienia ryb i polowania.

Rekompensowała mi tę niedogodność radość, jaką owe zabiegi sprawiały Joscelinowi i Imrielowi.

Przez całe lato prowadziłam ożywioną korespondencję, na bieżąco otrzymując informacje o wydarzeniach w Mieście Elui i wszędzie indziej. Nicola L'Envers y Aragon przysłała sążnistą odpowiedź na mój list, zdając pełne sprawozdanie z tego, co zaszło w Aragonii po naszej wizycie. Wykrycie rozległej tajnej sieci kartagińskich handlarzy niewolników było wielkim przedsięwzięciem i jej mąż Ramiro się w nim wyróżnił ku zaskoczeniu tych, którzy uważali go za dobrego tylko w picciu i grach hazardowych. Ucieszyłam się z listu Nicoli, choć to, niestety, znaczyło, że w tym roku nie wybierze się do Miasta Elui. Spotkanie z nią sprawiłoby mi przyjemność.

Zresztą może i dobrze, bo miałam wiele do zrobienia. Żyliśmy w idyllicznym otoczeniu, lecz rzadko kiedy pozwalałam sobie na próżnowanie. Oprócz przystosowania się do zmian, które zaszły w Montrčve, i nauki Imriela – ilekroć mogłam zatrzymać go w czterech ścianach, co nie zdarzało się często – katalogowałam biblioteczne skarby, często nad poszczególnymi tekstami spędzając więcej czasu, niż powinnam. Goście przyjeżdżali i wyjeżdżali, a nasza sieć nadgranicznych obserwatorów okazała się skuteczna, bo nikt nie zjawił się bez uprzedzenia.

Z wyjątkiem jednej osoby.

Hiacynta.

Przybył o zmierzchu, kiedy gromadzące się burzowe chmury walczyły z zachodzącym słońcem. Usłyszałam krzyk Richeliny w

zielniku, wybiegłam na dwór i zobaczyłam go, niewyraźną postać na siwym koniu. Wyłonił się z niskiej mgły kłębiącej się w gaju oliwnym, przestrelonej ostatnimi promieniami słońca, które opadało za wzgórza. Nic dziwnego, że przejechał niepostrzeżenie, spowity w żywioły, którym rozkazywał.

– Fedro. – Uśmiechnął się do mnie, gdy mgła się rozproszyła. Kropelki wilgoci przywierały do jego czarnych kędziorów.

Richelina przycisnęła ręce do ust, upuszczając zioła, które zbierała do wieczornego posiłku.

– Hiacyncie. – Przełknęłam ślinę. – Myślałam, że nocny wiatr miał szepnąć moje imię.

– Nie tak – powiedział, zsiadając z konia. Przez chwilę był tylko człowiekiem, obolałym i zmęczonym po długiej jeździe. – Jeszcze nie. Jechałem konno, żeby wziąć miarę, żeby poznać i zapamiętać tę ziemię. I chciałem... chciałem zobaczyć, jak mieszkasz, zanim odejdę.

W domu rozległ się krzyk i z drzwi na tyłach wypadł Hugues z uniesionym kijem. Wytrzeszczył oczy, widząc Pana Cieśniny przy furtce naszego ogrodu.

– Huguesie, zajmiesz się koniem Hiacynta? – zapytałam.

W odpowiedzi zadudnił grom. Hiacynt od niechcienia machnął ręką i szepnął zaklęcie, żeby rozwiać chmury.

– Och, nie – powiedziałam impulsywnie. – Potrzebujemy deszczu.

Uśmiechnął się do mnie i wymruczał niezrozumiałe sylaby. Zaczął padać lekki deszcz, szemrzając srebrzyście w koronach drzew oliwnych. Wokół nas wzniósł się zapach wilgotnej ziemi. Taka była moc Pana Cieśniny.

Chrząknęłam.

– Wejdiesz?

– Tak – odparł cicho. – Chętnie.

Siedzieliśmy w salonie, gdy Joscelin i Imriel wrócili z całodziennego wycieczki, przemoczeni do suchej nitki i mimo to w wyśmienitych humorach, gdyż znaleźli łąkę idealną do trenowania sokołów. Stanęli

jak wryci na widok Hiacynta.

Jakże dziwnie było widzieć ich wszystkich naraz.

Przeszliśmy do jadalni. Przy kolacji Hiacynt opowiedział nam o zgromadzeniu *baro kumpai* i o wyborze kandydatów do poprowadzenia Cyganów. Przepytał ich wszystkich, jak pokierowaliby losem jego matki, Anastazji, wypędzonej za oddanie cnoty D'Angelinowi, co było gorzkim skutkiem zakładu lekkomyślnego kuzyna. Wszyscy wiedzieli, jaką odpowiedź chciał usłyszeć, lecz tylko Bexhet, syn Nadji, podał ją bez zająknięcia, z cichą dumą syna wychowanego przez wdowę. Ten kandydat gotów był rzucić wyzwanie staremu kodeksowi, który tak wielką wagę przywiązywał do przestarzałych zasad honoru, ceniących cnotę kobiety ponad nią samą.

– Mogłeś wybrać kobietę – powiedziałam, żeby mu dokuczyć.

Hiacynt obdarzył mnie cieniem dawnego uśmiechu.

– Mogłem, ale wymuszanie wzrostu równe jest zabiciu. Niech Cyganie dojrzeją do zmian we własnym tempie. Kto wie? Może znajdą w tym koniec *Lungo Drom*.

Później wróciliśmy do salonu i Imriel podał likier na srebrnej tacy, dumny ze swojej roli, zręczny i schludny niczym adept Dworu Nocy; patrzył i słuchał z przenikliwością, jakiej go uczyłam.

– Syn Melisandy – mruknął Hiacynt, gdy Imri wyszedł z pokoju.

– Nie, Cyganie. Nasz – poprawił go Joscelin. Wypił likier i ściągnął brwi, z cichym stukiem odstawiając kieliszek. – Wybacz mi szorstkość, bo rad jestem z twojej wizyty, lecz muszę spytać: Po co przybyłeś?

– Kasjelito. – W głosie Hiacynta usłyszałam ból. – Wybacz mi, lecz muszę wiedzieć: Jaką cenę zapłaciliście za moją wolność?

Posłałam Imriela do łóżka, zanim opowiedzieliśmy naszą historię w całej rozciągłości. Imriel brał w niej udział, tak, i odegrał ważną rolę, ale wciąż był chłopcem. Sam ją kiedyś opowie tym, którym postanowi zaufać. Na razie chciałam chronić go przed tym, czego z powodu wieku nie mógłby zrozumieć, co na nowo rozbudziłoby koszmary.

Hiacyntowi powiedzieliśmy prawdę.

Powiedzieliśmy mu wszystko, poczynając od pierwszej umowy z Melisandą i o długiej drodze – naszej własnej *Lungo Drom*. Miejscami Joscelinowi brakowało słów na opisanie tego, co się wydarzyło. Ja mówiłam o zenanie, o okrucieństwie Mahrkagira, o całunie Angry Mainju, a mój głos brzmiał w moich uszach jak obcy. Hiacynt płakał bezgłośnie, łzy niczym krople deszczu spływały po jego śniadych policzkach, gdy poznawał prawdę o Daršandze, co zniosłam ja, co wycierpiał Imri i co przeszedł Joscelin, którego rola pod pewnymi względami była najtrudniejsza.

Złe myśli, złe słowa, złe uczynki.

Nawet Hiacyntowi nie wyznałam wszystkiego.

Opowiedzieliśmy mu o Dżebe–Barkal i o dziwności Saby z towarzyszącą jej chwałą i grozą, o długiej, znoonej podróży łodzią przez Jezioro Łez, o trwodze, jaka opadła mnie na Kaporecie, i o arce pękniętych tablic. Mówiliśmy też o Bogu Jedynym, o Jeszuitach i Dzieciach Yisraela, o Rahabie i Panu Cieśniny, o Błogosławionym Elui i jego Towarzyszach, i gdzie rozeszły się ich splecione ścieżki. W pewnym momencie zmęczony Joscelin życzył nam dobrej nocy i musnął ustami mój policzek. Nie zatrzymywałam go i przesiedziałam długie godziny z Hiacyntem, kłócąc się o wymowę i pochodzenie liter, gryzmołąc je resztkami likieru na blacie stołu, sprzecząc się o brzmienie Imienia Boga i o niebiański alfabet.

Nie wiem, kiedy zapomniałam o jego zmiennych niczym morze oczach, on zaś przestał być Panem Cieśniny i znów stał się tylko Hiacyntem, mym najdawniejszym przyjacielem, upartym i byстрыm jak mój pan Delaunay, jak ja sama, szczerze mówiąc.

Po prostu w pewnym momencie.

Wiedzieliśmy, oboje. Hiacynt pochylił głowę i ze smutnym uśmiechem wyciągnął rękę nad marmurowym stołem, zamazując wyrysowane palcami litery.

– Zrobię, o co prosiłaś – powiedział. Zwieszzone loki przysłoniły jego

twarz. – Alfabet będzie twój, gdy... gdy osiadziemy w Albie.

Niespodziewany ból ścisnął mi serce.

– Ty i Sibeal.

Pokiwał głową, nie podnosząc wzroku.

– Widzi cię w snach o mnie – mruknął. – Rozumie.

– Kiedy jedziecie?

– Za miesiąc. – Wtedy uniósł głowę i z jego oczu wyjrzał Cygan, którego kochałam. – Może za sześć tygodni. Nie później.

– Odejdiesz tak, jak przybyłeś? – zapytałam, chora na samą myśl. – Mglisty cień przemierzający ziemię, niewidzialny dla człowieka czy zwierza?

– Może. – Hiacynt wzruszył ramionami. – Tak jest łatwiej. Czy to ważne?

– Tak – odparłam. Zaświtał mi pewien pomysł. – Tak, to ważne.

Hiacynt wyjechał rankiem, kiedy mgła jeszcze unosiła się nad polami, spowijając go niczym całun. Moi domownicy wstali, żeby go pożegnać, i patrzyli, jak niknie w oparach. Krople nocnego deszczu spadały z drzew oliwnych i srebrzysto-zielone liście szemrały, gdy przejeżdżał.

– Co knujesz tym razem? – zapytał Joscelin, odczytując moją minę z łatwością człowieka, który ma w tym długie doświadczenie.

– Nic – odparłam i zaraz się poprawiłam: – Festyn. Planuję festyn.

STO DWA

Wciąż o nim mówią w Mieście Elui.

Nie udałoby mi się tego dokonać, gdyby nie pomoc wielu dobrych ludzi, a pierwszą pośród nich jest moja dawna mentorka, Cecylia Laveau–Perrin, która służyła bezcenną radą. Mój faktor Jacques Brenin wynegocjował korzystną cenę za teksty z biblioteki Pana Cieśniny, bez czego nie byłoby mnie stać na to przedsięwzięcie. On też podsunął pomysł, żeby zwrócić się z prośbą o datki do licznych panów i dam ubiegających się o moje względy, dla uhonorowania Pana Cieśniny.

Oczywiście potrzebowałam pomocy Emila i wiedziałam, że mi nie odmówi, a za nim szedł cały Próg Nocy. Powrót Hiacynta tylko to umocnił i choć raz Miasto miało naśladować Próg Nocy, nie pałac.

To był mój hołd dla Hiacynta.

Za mego życia tylko jedno wydarzenie sparaliżowało Miasto Elui. Gorączka tego nie zrobiła, jak słyszałam; byłam w Skaldii, gdy szalała. Nie dokonała tego nawet napaść Waldemara Seliga, bo skaldyjskie zagony nie zapuściły się tak daleko na południe. Miasto stanęło w miejscu, mówią, kiedy Percy de Somerville nadciągnął pod mury, a wuj Ysandry, Barquiel L'Envers, zamknął przed nim bramy. Podobno zamarło na jeden dzień, zanim podjęto zakłady i Dwór Kwiatów Kwitnących Nocą otworzył podwoje.

Drugi raz zamarło w czasie mojego festynu.

Nie spieszyłam się, szykując się na tę noc, jesienną noc, nietypowo ciepłą, bo zimowy mróz nie miał jeszcze przystępu. Joscelin przyszedł

do mojej łaźni, jedyne pomieszczenia w domu, do którego mam nienaruszalne prawa. Uśmiechnął się, widząc mnie zanurzoną po szyję w ciepłej wodzie z pachnącymi olejkami. Moja służka Clory, siostrzenica Eugonii, uciekła zarumieniona.

– Pachnie tu jak w cieplarni – powiedział Joscelin, przysiadając na skraju wanny i przebierając palcami w wonnej wodzie.

– Tak? – Uniosłam brwi. – Wolaleś, gdy byliśmy w Montrčve, gdzie pachnie owcami?

– Niezupełnie. – Joscelin popatrzył na mnie. – Może wolę wieś od Miasta, ale taki widok... – Wzruszył ramionami. – Chciałbym być rybą i pływać u twoich stóp.

Roześmiałam się i przesunęłam, robiąc dla niego miejsce.

– Chodź tutaj – powiedziałam, a on zrzucił ubranie i usadowił się w drugim końcu wanny, blask niezliczonych świec pełgał po bliznach na jego ciele; bliznach po ranach, które odniósł z mojego powodu. Objęłam go za szyję mokrymi rękami, gdy wsunął się pode mnie. – Tak, tutaj.

– Imriel – wymruczał, przesuwając się pod moimi rozsuniętymi udami i łapiąc mnie za pośladki – jest zdania, że powinienem założyć lwią grzywę, którą dał mi *ras* Lijasu.

– Poważnie? – Przygryzłam usta, gdy czubek fallusa rozsunął moje dolne wargi.

– Tak.

– Ha. – Woda przelała się przez boki wanny, gdy wsiadałam na niego, wsuwał się we mnie cał po rozkosznym calu. – Może ma rację.

– Czy nie mówiłaś, że wyglądam w niej głupio?

– Naprawdę? – Splotłam nogi za jego plecami, czując się rozpustnie syta, całkowicie wypełniona. – Nie pamiętam.

– Tak. – Joscelin poruszył się lekko, wbijając palce w moje pośladki. Sapnęłam i woda znów się przelała. – Powiedziałaś.

– Musiałam stracić rozum – szepnęłam i odchyliłam głowę, żeby go pocałować.

Dobrze, że wcześniej zaczęłam przygotowania.

Zacząło się o zachodzie słońca, kiedy latarnicy rozpoczęli obchód po Mieście, zapalając pochodnie i niezliczone szklane lampy oliwne rozwieszane pomiędzy drzewami na ulicach i placach. Na każdym rogu i placu zbierali się muzycy, strojąc instrumenty. Robotnicy wynajęci przez kupców winnych z Namarry przyszli za wozami i teraz stękali, przekładając beczki wina przez burty, ustawiając je na placach.

Ludzie wylęgali na ulice, zastanawiając się, czy to się dzieje naprawdę.

Zaplanowałam festyn dla całego Miasta Elui, miasta narodzin Hiacynta, miasta, które go wychowało. Oczywiście spytałam Ysandrę o pozwolenie. Udzieliła go, choć uznała, że straciłam rozum. Drustan rozumiał. Straż miejska tej nocy została potrojona – po części po to, żeby zapobiec zamieszkom, a po części dlatego, żeby strażnicy mogli wypełniać obowiązki na zmianę, by każdy miał czas świętować. Choć przygotowania zabrały tygodnie i wymagały wtajemniczenia wielu ludzi, największe niespodzianki czekały na ostatnią chwilę. Chciałam wziąć Miasto z zaskoczenia – Miasto i Hiacynta.

Próg Nocy miał być sercem festynu.

Tyle wspomnień! Miałam siedem lat, gdy wdrapałam się na gruszę i przelazłam przez mur Domu Cereusa, uciekając do Progu Nocy, gdzie uśmiechnięty cygański chłopak nauczył mnie kraść ciastka na targu. Moje ucieczki były pierwszym aktem oporu, jaki podjęłam w swoim młodym życiu. I nieważne, kto odwoził mnie do domu, strażnicy duejny czy Guy, człowiek Delaunaya, zawsze wracałam. To tutaj Hiacynt wyrósł z ulicznika na młodzieńca, który handlował informacjami, miał stajnię i dom z pokojami do wynajęcia – samozwańczy Książę Podróżnych z darem *dromonde*, mój jedyny prawdziwy przyjaciel.

Zrezygnował z tego wszystkiego.

W Progu Nocy go pamiętali, nigdy o nim nie zapomnieli. Nie był postacią z legendy – bo jego legenda zataczała coraz szersze kręgi, opowieści snute na wybrzeżu Azalii dotarty do Miasta – lecz po prostu Hiacyntem z ciętym językiem i smykałką do handlu, nieszczędzącym grosza kompanem i troskliwym synem, który dopilnował, żeby matka przeżyła w wygodzie swe ostatnie lata. Zasłużyli na to, żeby móc się z nim pożegnać.

Wszyscy zasłużyliśmy.

– Dosłownie promieniejesz – powiedział Joscelin, przechylając głowę i muskając wargami moje ucho.

Jechaliśmy otwartym powozem przez już zatłoczone ulice. Grupa wczesnych hulaków uniosła kubki, wykrzykując toasty. Oparłam się o niego z uśmiechem.

– Możesz mieć z tym coś wspólnego.

Naprawdę założył lwią grzywę, a co więcej, za moimi plecami umówił się z Favrielańskim Różem. Dar *rasa* Lijasusa został naszyty na kołnierzu wspaniałego czerwonego płaszcza w kolorze o ton jaśniejszym od *sangoire*, harmonizującym z moim strojem. Pszeniczne włosy Joscelina spływały na płowe futro i ciemnoczerwony aksamit. Ze znajomą kasjelicką bronią, wypolerowaną na wysoki połysk, choć raz wyglądał absolutnie imponująco.

Ja miałam strój dżebeński – styl Meroe w interpretacji Favrieli – mówiący o naszej podróży, o najlepszych etapach naszej długiej podróży. Jechałam więc w dżebeńskiej sukni barwy krwi o północy, w kolorze *sangoire*, który tylko ja, jedyna *anguisette* za ludzkiej pamięci, miałam prawo nosić. Ramiona miałam odsłonięte, a materiał ściśle opinał moje ciało, spięty złotymi szpilkami w kształcie strzałek. Włosy splotłam w koronę, zwieńczenie marki żywo odznaczało się na karku, kościane i złote bransolety od *rasa* dzwoniły na moich rękach.

I jeśli wpięłam we włosy szpilkę z kości słoniowej, to kto by spytał,

dlaczego?

Tak, zachowałam ją, szpilkę Kaneki, jedną z pary. Druga została w Daršandze, wbita w serce Mahrkagira. Nigdy nie zapomniałam, nawet tutaj, nawet teraz. Zachowałam ją, podobnie jak nefrytowego pieska o wytrzeszczonych oczach, żeby zawsze pamiętać. Mahrkagir mi zaufał. Ufał mi nawet wtedy, gdy zaciskał sznur na moim gardle, patrząc na mnie z miłością i wdzięcznością za dar, który, jak myślał, mu ofiarowuję. A ja go zamordowałam.

Pamiętałam.

I uważałam, że było warto.

Imriel na szczęście zaczął zapominać, przynajmniej trochę. Choć wciąż miewał koszmary, stawały się coraz krótsze i rzadsze. Elua wie, jak bardzo się z tego cieszyłam. On też miał dżebeński strój; uparł się, żeby włożyć śnieżnobiałą *chamma* i spodnie, a do tego krótką haftowaną pelerynę. Pozwoliłam, za pół roku wyrośnie z tych rzeczy. Założył też pas ze skóry nosorożca, podarek *rasa* Lijasu; w istocie, było miejsce na brzuch w tym darze. Twarz miał ożywioną z przejęcia, a mnie aż bolało serce, gdy widziałam go takim szczęśliwym.

Młodzi siovaleńscy strażnicy w barwach Montrčve otaczali nasz powóz, gawędząc między sobą i zachowując czujność pod baczным okiem Ti-Filipa. Nasze przybycie powitano okrzykami, bo beczki już zostały odszpuntowane i na ulicach Progu Nocy panowała powszechna wesołość. Jedna z podlegszych dzielnic Miasta wyglądała tej nocy pięknie, zalana światłem i radością. Emil przywitał nas przed „Kogutkiem”, pocąc się w nieco pretensjonalnym aksamitnym wamsie.

– Hrabino! – zawołał, prostując się po ukłonie, i szeroko rozłożył ramiona. – Wybranko Kusziela, *anguisette* Delaunaya! Witaj na swoim festynie.

Był wspaniały. Wolno mi tak powiedzieć, okazał się lepszy, niż zaplanowałam. Przybyło już wielu wielmożów, d'Angelińscy panowie

i damy w pięknych jedwabiach i adamaszkach, obwieszeni lśnącymi klejnotami, wmieszali się w tłum oberżystów, handlarzy i robotników wszelkiego rodzaju, zachwyceni nowością tego doświadczenia. Niektórzy, co śmielsi poszukiwacze przygód już bywali w Progu Nocy, zwabieni tutejszymi tandetnymi atrakcjami, zabawiając się w drodze do i z Domów Dworu Nocy, inni natomiast zawitali tu po raz pierwszy. Nikt wcześniej nie pomyślał, aby urządzić tutaj festyn.

Uważali, że postąpiłam sprytnie i odważnie, i nie kryli się z tym poglądem, gdy krążyłam w tłumie, wymieniając słowa powitania. Niech sobie mówią, co chcą. Zrobiłam to, bo tutaj był dom Hiacynta i mój azyl. Nie miało znaczenia to, w co wierzyli, liczyło się tylko to, że świętowali. A świętowali z wielką chęcią. Wino uderzało do głowy i było znakomite; nie szczędziłam grosza na sprowadzenie go z Namarry, nie mając zaufania do cienkusza Emila. Muzycy grali wiązanekę za wiązanekę, zmieniając się często, i grupa cygańskich skrzypków otrzymała największe brawa. Na placach zrobiono miejsce do tańca i szlachta płaśała z pospólstwem, jedwabne suknie muskały spodnie z szorstkiego barchanu. Wynajęci słudzy, zarumienieni i roześmiani po spróbowaniu wina, roznosili tace przysmaków z wielu krajów: pikantne aragońskie krewetki, menechetańskie kebaby, ryż zawinięty w liście helleńskich winorośli, akadyjskie ciastka na miodzie, dzebeński gulasz na płaskim, gąbczastym chlebie; zbyt wielu, by zliczyć.

Minęła godzina z okładem, nim przybył gość honorowy, a kiedy się zjawiał, w Progu Nocy zapadła cisza, bo nie przybył sam. Słyszeliśmy, że jadą, już od połowy drogi z pałacu, poznając to po okrzykach. Nie sądzę, by kiedykolwiek monarcha Terre d'Ange zniżył się do odwiedzin w Progu Nocy. Wiedziałam, że na pewno nie zrobił tego cruarcha Alby.

Przybyli ceremonialnym albijskim rydwanem. Drustan mab Necthana powoził, mięśnie ramion prężyły się, gdy trzymał wodze, złoty naszyjnik lśnił na jego szyi. U jego boku Ysandra jaśniała niczym

płomień, wysoka i jasnowłosa, a na jej twarzy odmalowała się radość, gdy zobaczyła, z jaką miłością jest tutaj witana. Otaczająca ich zbrojna eskorta nie była potrzebna, mieszkańcy miasta uwielbiali swoich monarchów.

– Przyjechali – mruknął Imriel. – Nie przypuszczałem.

– Ani ja – odszepnęłam.

W rydwanie za Ysandrą i Drustanem stała druga para. Sibeal, zaskoczona powitaniem, przejęta i poważna, ufnie trzymała za rękę swego towarzysza.

A Hiacynt...

– To twoje dzieło – rzekł cicho, gdy podeszłam do rydwanu z Imrim u boku i Joscelinem o krok za nami. Gdzieś znów zaczęto skandować jego imię. „Hia-cynt! Hia-cynt!”. Jego imię, mój *signale*. Wypowiedziałam go tylko raz. – Dlaczego?

Zacisnęłam ręce na burcie rydwanu i popatrzyłam na niego.

– Chciałam się pożegnać.

Ktoś – śmiały aktor z podrzędnej trupy – przepchnął się do rydwanu, z ukłonem podniósł w toaście kufel wina i przepił do Drustana, który przyjął naczynie ze śmiechem, pociągnął wielki łyk i podał je królowej. Wino mogło być zatrute, o czym wszyscy wiedzieli. Ysandra ułała ofiarną kropelkę, po czym skosztowała trunku. Tłum ryknął z zachwytu, tuzin rąk wyciągnął się z kuflami i kubkami.

D’Angelinowie, Cyganie, nawet Jeszuici.

– Mont Nuit! – krzyknął ktoś, wyciągając rękę. – Patrzcie!

Z wyżyn wzgórza Mont Nuit, gdzie stało Trzynaście Domów Dworu Kwiatów Kwitnących Nocą, ku Progowi Nocy schodziła długa, oświetlona pochodniami procesja. Wszyscy... szli wszyscy, wszystkie Domy. Wstrzymałam oddech na ten widok. Dwór Nocy zamknął podwoje. Przyszli w hołdzie, na cześć, wszyscy słudzy Naamy. Pochód prowadził Dom Cereusa, sławiąc ulotne piękno, a za nim podążali ekscentryczni adepci Domu Dzikiej Róży, śpiewając, grając, fikając koziołki. Ach, Eluo! Wszyscy tam byli: skromna Smagliczka, łagodna

Melisa, dumna Dalia, rozmarzona Gencjana, wesoła Orchidea, rozkochany Heliotrop, przebiegły Przesęp, idealna Kamelia, zmysłowy Jaśmin, Dom mojej matki, i, tak, Mandragora z rozkosznym okrucieństwem, i Waleriana w całej swej słodkiej uległości. Dołączyli do festynu jak strumień, którego wody mieszają się z potężną rzeką.

– Zaplanowałaś to? – zapytał Hiacynt drżącym głosem.

– Nie. – Mój głos też nie był pewny. – To prezent.

– Och, Fedro! – Łzy zalśniły w jego oczach, w zmiennych oczach, a jednak oczach Hiacynta, mojego Księcia Podróżnych. – Będę za tobą tęsknić. Będę tęsknić za tym wszystkim.

Młoda swawolna akrobatka z Dzikiej Róży ominęła strażę i wskoczyła do powozu, żeby skraść pocałunek roześmianemu Drustanowi i zarzucić mu zieloną wstążkę na szyję. Kiedyś w tym samym miejscu trupa adeptów Dzikiej Róży dręczyła Joscelina, podczas gdy my z Hiacyntem staliśmy na pustych beczkach po winie i patrzyliśmy, krztusząc się ze śmiechu. Akrobatka chwyciła rękę Ysandry i złożyła na niej pocałunek, zrobiła salto w tył i zeskoczyła z rydwanu, nim straż zdążyła ją zatrzymać. Ysandra też się śmiała. Niedaleko za nią dostrzegłam diuka Barquiela L'Envers, mrużącego oczy z wyrachowanym rozbawieniem. Spostrzegł, że na niego patrzę, i zasalutował. Duejn Domu Orchidei namówił cygańskiego skrzypka do gry na żywszą nutę. Głos Emila niósł się nad tłumem, lecz nikt nie zwracał na niego uwagi.

– Tęsknij za nami później – powiedziałam do Hiacynta. – Dzisiejsza noc jest twoja.

Pokiwał głową.

– Dziękuję.

I festyn, mój festyn trwał w całym Mieście Elui. Ciągnął się do późnej nocy i opowiada się o nim niezliczone historie, bo Miasto Elui dotąd nie widziało czegoś podobnego. Radość mieszała się ze smutkiem, było to bowiem świętowanie i pożegnanie zarazem.

Nazajutrz wiele głów będzie pękać z przepicia, a ja na nowo zacznę się martwić o bezpieczeństwo Imriela i dumać, jaka wiadomość kryła się w drwiącym salucie Barquiela L'Envers, i jak długo Melisanda zadowoli się pobytem w świątyni Aszery z Morza.

Na razie wystarczyło mi to, co miałam.

Jeśli nie miałam wszystkiego, było tego i tak dostatecznie wiele. Mogłam liczyć na wsparcie domowników – na Eugenię, która podniosła spódnicę i zaskakująco zwinnie ruszyła w tany. Cieszyłam się poważaniem cruarchy Alby, którego ceniłam nad złoto, i uzyskałam wybaczenie mojej królowej Ysandry de la Courcel, co znaczyło dla mnie więcej, niż kiedykolwiek sądziłam.

Brakowało mi mojego pana Anafiela Delaunaya, bardziej niż potrafię wyrazić słowami. Brakowało mi przybranego brata Alcuina. Brakowało mi Kaneki, którą nauczyłam się szanować i od której dzieliła mnie wielka odległość; brakowało mi Kazana Atrabiadesa, mojego ilirskiego pirata. Chciałabym porozmawiać z Pazyfae Asterius, korą Temenos. Pamiętałam i opłakiwałam innych, których utraciłam, którzy zginęli przeze mnie: Eamonna z Dalriady, Remy'ego i Fortuna, moich drogich kawalerów, a także dzielne, zdesperowane kobiety z zenany. Dotknęłam kościanej szpilki we włosach, wspominając Drucyllę, porywczą Jolantę i wiele innych. I nie tylko kobiety, nie; był Ruszad, który przypominał mi Alcuina, i Skald Erich, który zginął, próbując go ochronić.

Tylu umarło.

Tylu żyło.

Hiacynt, mój jedyny prawdziwy przyjaciel. Zwróciłam mu życie i jeśli nie było takie, jak dawniej, wciąż należało do niego. Miał Sibeal, którą lubiłam i podziwiałam, która rozumiała jego sny. A ja... ja teraz wszędzie miałam przyjaciół. Przyjaciół i towarzyszy, klientów i kochanków.

Miałam Joscelina, mojego Towarzysza Doskonałego, według którego nastawiałam kompas swego serca.

Nikt nie mógłby prosić o więcej. .

Ja nie prosiłam, a jednak zostałam obdarowana. Przez Kusziela, który wykorzystywał swoją Wybranę okrutniej niż kogokolwiek za ludzkiej pamięci? Przez Naamę, której służyłam długo i wiernie? Przez samego Błogosławionego Eluę, którego miłosierdzie wykracza poza ludzką miarę? Nie wiem. W końcu to bez znaczenia.

Miałam Imriela.

Imriego, który splunął mi w twarz w dzień naszego poznania, a który teraz ufał mi bezgranicznie. Syn Melisandy, potomek mojego największego wroga, przedmiotu mojej najmroczniejszej żądy. Kto mógł przypuszczać? Nikt, nawet kapłani Elui, jak myślę. Mój dumny, skrzywdzony chłopiec, z sercem wielkim jak równiny Dzebe–Barkal i dwakroć bardziej dzikim. Kochałam go do szaleństwa i gdybym dla niego drugi raz musiała sprzeciwić się Ysandrze, zrobiłabym to bez wahania.

Błogosławiony Elua był pełen dobroci.

Festyn, mój festyn trwał w Mieście Elui.

Dotknęłam pustego dołeczka u podstawy szyi i uśmiechnęłam się, wspominając.

Kochaj jak wola twoja.

Spis treści

- KARTA TYTUŁOWA
- PODZIĘKOWANIA
- DRAMATIS PERSONAE

- JEDEN
- DWA
- TRZY
- CZTERY
- PIĘĆ
- SZEŚĆ
- SIEDEM
- OSIEM
- DZIEWIĘĆ
- DZIESIĘĆ
- JEDENAŚCIE
- DWANAŚCIE
- TRZYNAŚCIE
- CZTERNAŚCIE
- PIĘTNAŚCIE
- SZESNAŚCIE
- SIEDEMNAŚCIE
- OSIEMNAŚCIE
- DZIEWIĘTNAŚCIE
- DWADZIEŚCIA
- DWADZIEŚCIA JEDEN
- DWADZIEŚCIA DWA
- DWADZIEŚCIA TRZY
- DWADZIEŚCIA CZTERY
- DWADZIEŚCIA PIĘĆ
- DWADZIEŚCIA SZEŚĆ
- DWADZIEŚCIA SIEDEM
- DWADZIEŚCIA OSIEM
- DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ
- TRZYDZIEŚCI
- TRZYDZIEŚCI JEDEN

- TRZYDZIEŚCI DWA
- TRZYDZIEŚCI TRZY
- TRZYDZIEŚCI CZTERY
- TRZYDZIEŚCI PIĘĆ
- TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ
- TRZYDZIEŚCI SIEDEM
- TRZYDZIEŚCI OSIEM
- TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ
- CZTERDZIEŚCI
- CZTERDZIEŚCI JEDEN
- CZTERDZIEŚCI DWA
- CZTERDZIEŚCI TRZY
- CZTERDZIEŚCI CZTERY
- CZTERDZIEŚCI PIĘĆ
- CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ
- CZTERDZIEŚCI SIEDEM
- CZTERDZIEŚCI OSIEM
- CZTERDZIEŚCI DZIEWIĘĆ
- PIĘĆDZIESIĄT
- PIĘĆDZIESIĄT JEDEN
- PIĘĆDZIESIĄT DWA
- PIĘĆDZIESIĄT TRZY
- PIĘĆDZIESIĄT CZTERY
- PIĘĆDZIESIĄT PIĘĆ
- PIĘĆDZIESIĄT SZEŚĆ
- PIĘĆDZIESIĄT SIEDEM
- PIĘĆDZIESIĄT OSIEM
- PIĘĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ
- SZEŚĆDZIESIĄT
- SZEŚĆDZIESIĄT JEDEN
- SZEŚĆDZIESIĄT DWA
- SZEŚĆDZIESIĄT TRZY
- SZEŚĆDZIESIĄT CZTERY
- SZEŚĆDZIESIĄT PIĘĆ
- SZEŚĆDZIESIĄT SZEŚĆ
- SZEŚĆDZIESIĄT SIEDEM
- SZEŚĆDZIESIĄT OSIEM
- SZEŚĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ
- SIEDEMDZIESIĄT

- SIEDEMDZIESIĄT JEDEN
- SIEDEMDZIESIĄT DWA
- SIEDEMDZIESIĄT TRZY
- SIEDEMDZIESIĄT CZTERY
- SIEDEMDZIESIĄT PIĘĆ
- SIEDEMDZIESIĄT SZEŚĆ
- SIEDEMDZIESIĄT SIEDEM
- SIEDEMDZIESIĄT OSIEM
- SIEDEMDZIESIĄT DZIEWIĘĆ
- OSIEMDZIESIĄT
- OSIEMDZIESIĄT JEDEN
- OSIEMDZIESIĄT DWA
- OSIEMDZIESIĄT TRZY
- OSIEMDZIESIĄT CZTERY
- OSIEMDZIESIĄT PIĘĆ
- OSIEMDZIESIĄT SZEŚĆ
- OSIEMDZIESIĄT SIEDEM
- OSIEMDZIESIĄT OSIEM
- OSIEMDZIESIĄT DZIEWIĘĆ
- DZIEWIĘĆDZIESIĄT
- DZIEWIĘĆDZIESIĄT JEDEN
- DZIEWIĘĆDZIESIĄT DWA
- DZIEWIĘĆDZIESIĄT TRZY
- DZIEWIĘĆDZIESIĄT CZTERY
- DZIEWIĘĆDZIESIĄT PIĘĆ
- DZIEWIĘĆDZIESIĄT SZEŚĆ
- DZIEWIĘĆDZIESIĄT SIEDEM
- DZIEWIĘĆDZIESIĄT OSIEM
- DZIEWIĘĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ
- STO
- STO JEDEN
- STO DWA